



artefakty

WILLIAM GIBSON

TRYLOGIA CIĄGU

neuromancer

graf zero

mona liza turbo



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

neuromancer

część I. Chiba City blues

część II. Wyprawa na zakupy

część III. Północ przy Rue Jules Verne

część IV. Akcja w Straylight

coda. Przybycie i odejście

graf zero

1 Sprawna broń

2 Marly

3 Bobby trafia wilsona

4 Odliczanie

5 Praca

6 Barrytown

7 Centrum handlowe

8 Paryż

9 W Projektach

10 Alain

11 Na pozycji

12 Cafe Blanc

13 Oburącz

14 Nocny lot

- 15 Pudełko
- 16 Legba
- 17 Wiewiórczy gaj
- 18 Imiona umarłych
- 19 Hipermarket
- 20 Lot z Orly
- 21 Czas autostrady
- 22 Jammer
- 23 Blżej
- 24 Atak na wprost
- 25 Kasual/Gothik
- 26 Wig
- 27 Stacje oddechu
- 28 Jaylene Slide
- 29 Artysta
- 30 Najemnik
- 31 Głosy
- 32 Graf Zero
- 33 Wrak i wir
- 34 Łańcuch długi na trzy mile
- 35 Tally Isham
- 36 Wiewiórczy gaj

mona liza turbo

- 1 Dymnik
- 2 Kid Afrika
- 3 Malibu
- 4 Włam

- 5 Portobello
- 6 Światło poranka
- 7 Tam nie ma tam
- 8 Teksańskie radio
- 9 Metro
- 10 Kształt
- 11 W gigancie
- 12 Antarktyka zaczyna się tutaj
- 13 Pomost
- 14 Zabawki
- 15 Srebrzysty Spacer
- 16 Włókno między warstwami
- 17 Ucieczka z miasta
- 18 Czas pudła
- 19 Pod nożem
- 20 Hilton Swift
- 21 Alef
- 22 Duchy i pustki
- 23 Lustreczko, powiedz przecie
- 24 W samotności
- 25 Powrót na wschód
- 26 Kuromaku
- 27 Niedobra kobieta
- 28 Towarzystwo
- 29 Zimowa podróż
- 30 Porwanie
- 31 3Jane

- 32 Zimowa podróż (2)
- 33 Gwiazda
- 34 Margate Road
- 35 Fabryczna wojna
- 36 Pułapka dusz
- 37 Żurawie
- 38 Fabryczna wojna
- 39 Zbyt wiele
- 40 Różowy atlas
- 41 Pan Yanaka
- 42 Hala fabryczna
- 43 Sędzia
- 44 Czerwona skóra
- 45 A dalej gładki kamień

William Gibson

TRYLOGIA CIĄGU

Neuromancer
Graf Zero
Mona Liza Turbo

Przełożył Piotr W. Cholewa

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2015

Tytuł oryginału: *Sprawl Trilogy*

Copyright © 1984, 1986, 1988 by William Gibson

Copyright for the Polish translation © 2015 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark Cryon

Nazwa serii: Vanrad

Redaktor serii: Andrzej Miskurka

ISBN 978-83-7480-574-2

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. 22 813 47 43, fax 22 813 47 60

e-mail kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 721 30 00

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

neuromancer

*Deb,
dzięki której było to możliwe,
z wyrazami miłości.*

część I

Chiba City blues

Niebo nad portem miało barwę ekranu monitora nastrojonego na martwy kanał.

– Nie chodzi o to, że biorę – tłumaczył ktoś, gdy Case przeciskał się między ludźmi stłoczonymi u wejścia do „Chat”. – Po prostu mój organizm cierpi na silny niedostatek narkotyków.

To był głos z Ciągu i żart z Ciągu. W barze „Chatsubo” spotykali się zawodowi ekspatrianci. Można tu było pić przez cały tydzień, nie słysząc nawet słowa po japońsku.

Za barem stał Ratz. Proteza podrygiwała monotennie, gdy napełniał kufle kirinem. Dostrzegł Case’a i uśmiechnął się, ukazując zęby będące plamistą mieszaniną wschodnioeuropejskiej stali i brunatnej próchnicy. Case znalazł sobie miejsce przy kontuarze, między wątpliwą opalenizną którejś z dziwek Lonny’ego Zone’a i czyściutkim, marynarskim mundurem wysokiego Afrykanina z plemiennymi bliznami na policzkach.

– Wąge był tu wcześniej z dwoma pajacami. – Ratz zdrową ręką pchnął kufel wzdłuż lady. – Ma do ciebie jakiś interes?

Case wzruszył ramionami. Dziewczyna po prawej stronie zachichotała i szturchnęła go porozumiewawczo.

Uśmiech barmana stał się jeszcze szerszy. Brzydota Ratza była legendarna. W epoce niezbyt kosztownego piękna jego brak miał w sobie coś z symbolu. Antyczne ramię zawyło, gdy sięgał po kolejny kufel; była to rosyjska proteza wojskowa, siedmiofunkcyjny manipulator na serwach, powleczony różowym plastikiem.

– Zbyt wiele w panu artyście, Herr Case – warknął Ratz; ten dźwięk pełnił u niego funkcję śmiechu. Różowym hakiem podrapał obwisły, opięty białą koszulą brzuch. – Artysty od lekko zabawnych interesów.

– Jasne. – Case łyknął piwa. – Ktoś tu musi być zabawny. Cholernie pewne, że nie ty.

Chichot dziwki zabrzmiał o oktawę wyżej.

– Ani ty, siostrze. Więc znikaj, co? Zone jest moim osobistym przyjacielem.

Spojrzała mu w oczy i wydała najcichszy z możliwych odgłos splunięcia. Wargi ledwie się poruszyły. Ale odeszła.

– Jezu – mruknął Case. – Jaki horror tu wpuszczasz? Człowiek nie może się spokojnie napić.

– Ha – stwierdził Ratz, waląc ścierką w nierówne drewno. – Zone oddaje działkę. Tobie pozwalam pracować ze względu na wartości rozrywkowe.

Gdy Case podnosił kufel, nastąpiła jedna z tych niezwykłych chwil ciszy, jakby równoczesna pauza setek niezależnych konwersacji. Potem zadźwięczał chichot dziwki, z odcieniem hysterii.

– Przeleciał anioł – burknął Ratz.

– To Chińczycy! – ryczał pijany Australijczyk. – Chińczycy wymyślili pieprzone struganie nerwów. W każdej chwili poleciałbym na kontynent na obróbkę. Oni potrafią cię ustawić, chłopie...

– A to... – mruknął do swego kufła Case, czując wzbierającą nagle gorycz – to już naprawdę gówno prawda.

* * *

Japończycy zapomnieli więcej z neurochirurgii, niż Chińczycy w ogóle wiedzieli. Czarne kliniki Chiby były na samym topie, wprowadzały co miesiąc całe systemy nowych technik, a mimo to nie zdołały usunąć ran, jakie odniósł w tamtym hotelu w Memphis.

Był tu od roku, a wciąż śnił o cyberprzestrzeni, choć nadzieja słabła każdej nocy. Tyle prochów, tyle wiraży i ściętych zakrętów w Mieście Nocy, i nadal widział we śnie matrycę, jasne kraty logik rozwijające się

w bezbarwnej pustce... Ciąg był daleko stąd, za Pacyfikiem, a on nie był już specem konsoli, kowbojem cyberprzestrzeni. Był jeszcze jednym popychaczem, który starał się jakoś przeżyć. Jednakże senne marzenia nadpływały każdej japońskiej nocy jak elektroniczne *voudou*. Płakał po nich, krzyczał i budził się samotny w ciemności, skulony w swojej kapsule w jakimś skrzynkowym hotelu, wbijając dłonie w płytę materaca. Palce ścisnęły piankę, próbując sięgnąć konsoli, której nie było.

* * *

– Widziałem wczoraj twoją dziewczynę. – Ratz podał Case'owi drugie kirin.

– Nie mam dziewczyny – odparł i łyknął z kufła.

– Pannę Lindę Lee.

Case potrząsnął głową.

– Żadnych kobiet? Nic? Tylko interesy, druho artysto? Całkiem oddany handlowi? – Małe piwne oczka barmana kryły się głęboko w fałdach pomarszczonej skóry. – Kiedy byłeś z nią, lubiłem cię chyba bardziej. Częściej się śmiałeś. A teraz, którejs nocy, możesz się stać nazbyt artystyczny. Skończysz w klinicznym zbiorniku, jako części zamienne.

– Łamiesz mi serce, Ratz. – Dopił piwo, zapłacił i wyszedł, garbiąc chude, sterczące ramiona pod mokrym od deszczu nylonem wiatrówki koloru khaki. Krocząc wśród tłumów Ninsei, czuł stęchły zapach własnego potu.

* * *

Case miał dwadzieścia cztery lata. W wieku dwudziestu dwóch został kowbojem, koniokrądem, jednym z najlepszych w Ciągu. Uczył się u naprawdę najlepszych, McCoya Pauleya i Bobby Quine'a, legend tego fachu. Działał na niemal nieustannym adrenalinowym haju, produkcie ubocznym młodości i sprawności, włączony do robionego na zamówienie

cyberprzestrzennego deku, który rzutował bezcielesną świadomość na wszechmysłową halucynację matrycy. Był złodziejem pracującym dla innych, bogatszych złodziei, pracodawców dostarczających egzotycznego oprogramowania wymaganego dla przebicia jasnych murów systemów korporacyjnych, otwierającego okna na złotonośne pola danych.

Popęłnił klasyczny błąd, choć przysięgał sobie, że tego nie zrobi: okradł swoich zleceniodawców. Zatrzymał coś dla siebie i próbował pchnąć to u pasera w Amsterdamie. Wciąż nie był pewien, jak został wykryty. Zresztą, teraz nie miało to znaczenia. Oczekiwał na śmierć, ale oni tylko się uśmiechali. Oczywiście, powiedzieli, może sobie zatrzymać pieniądze. Nie ma sprawy. Będą mu potrzebne. Ponieważ – nadal z uśmiechem – mają zamiar upewnić się, że już nigdy nie będzie pracował.

Uszkodzili mu system nerwowy wojenną, rosyjską mykotoksyną.

Przywiązany do łóżka w hotelu w Memphis, halucynował przez trzydzieści godzin, a jego talent wypalał się mikron po mikronie.

Ingerencja była minimalna, subtelna i absolutnie skuteczna.

Dla Case'a, żyjącego jedynie dla niematerialnego uniesienia cyberprzestrzeni, to był Koniec. W barach, które odwiedzał jako czołowy kowboj, elita okazywała obojętność czy nawet pogardę dla ciała. Ciało to mięso. Case znalazł się w więzieniu własnego ciała.

* * *

Szybko wymienił cały swój kapitał na nowe jeny, gruby plik starych, papierowych pieniędzy, krążących bez końca w obiegu zamkniętym czarnych rynków całego świata, niby muszelki między wyspiarzami Triobriandu. W Ciągu trudno było przeprowadzać uczciwe transakcje z gotówką. W Japonii było to nielegalne.

W Japonii, wierzył w to z twardą, absolutną pewnością, znajdzie lekarstwo. W Chibie. Albo w zarejestrowanej klinice, albo w strefie cienia czarnej medycyny. Równoznacznej z implantami, ostrzeniem nerwów i mikrobioniką. Chiba jak magnes przyciągała techno-kryminalne subkultury Ciągu.

W Chibie patrzył, jak jego nowe jeny znikają podczas dwumiesięcznej rundy badań i konsultacji. Ludzie z czarnych klinik, jego ostatnia nadzieja, podziwiali precyzję okaleczenia, po czym wolno kręcili głowami.

Sypiał teraz w najtańszych skrzyniach, blisko portu, pod kwarcowo-halogenowymi reflektorami. Przez całą noc zalewały blaskiem doki, jak sceny gigantycznych teatrów. Lśnienie telewizyjnego nieba zaćmiewały światła Tokio, nawet ogromne, holograficzne logo Fuji Electric Company. Zatoka Tokijska była czarnym obszarem, gdzie mewy krążyły nad dryfującymi ławicami białego styropianu. Za portem leżało miasto; kopuły fabryk ginęły w cieniu ogromnych sześciennych budynków korporacji. Miasto i port rozdzielała ziemia niczyja, sieć starych uliczek bez oficjalnej nazwy. Miasto Nocy z Ninsei w samym sercu. Za dnia bary przy Ninsei były zamknięte i bezbarwne, neony wygaszone, hologramy martwe, czekające pod zatrutym, srebrzystym niebem.

* * *

Dwie przecznice na zachód od „Chat”, w herbaciarni zwanej „Jarre de Thé”, Case popił podwójnym espresso pierwszą tej nocy pigułkę. Był to płaski, różowy ośmiokąt, mocna odmiana brazylijskiej deksedryny, kupiona od którejś z dziewczyn Zone’a.

Ściany lokalu wyłożono lustrami, każdą płytę zwierciadła obramowując czerwonym neonem.

Na początku, gdy znalazł się w Chibie całkiem sam, z niewielką kwotą pieniędzy i jeszcze mniejszą porcją nadziei na znalezienie lekarstwa, wszedł w stan śmiertelnego przeciążenia. Zdobywał gotówkę z chłodną, jakby obcą, koncentracją. W ciągu pierwszego miesiąca zabił dwóch mężczyzn i kobietę dla sum, jakie rok wcześniej uznałby za śmieszne. Ninsei zużywała go, aż wreszcie sama stała się eksternalizacją jakiegoś pragnienia śmierci, obcą trucizną, którą – nie wiedząc – nosił w sobie.

Miasto Nocy przypominało zwariowany eksperyment społecznego darwinizmu, zaprojektowany przez znudzonego badacza, bez przerwy wciskającego klawisz szybkiego przewijania. Przestawałeś pchać i tonąłeś

bez śladu; ale gdy ruszałeś odrobinę za szybko, zrywałeś delikatne napięcie powierzchniowe czarnego rynku. Tak czy tak, znikałeś i nie pozostawało nic prócz mglistych wspomnień w mózgu takiego mebla jak Ratz. Zresztą serce, płuca czy nerki mogły przetrwać, służąc komuś obcemu, kto miał dość nowych jenów na części z klinicznych zbiorników.

Interes był tu tłem wszystkiego, podświadomym, wszechobecnym szumem, a śmierć akceptowaną formą kary za lenistwo, nieuwagę, brak wdzięku, niedostosowanie się do wymagań złożonego protokołu.

Samotny przy stoliku w „Jarre de Thé”, z ośmiokątem, który właśnie zaczynał działać, i kropelkami potu występującymi na skórze dłoni, nagle świadom każdego mrowiącego włoska na ramionach i piersi, Case wiedział, że w pewnym momencie rozpoczął grę z samym sobą. Bardzo starą grę, bez nazwy, ostateczny pasjans. Przestał nosić broń, nie zachowywał nawet podstawowych środków ostrożności. Wykonywał najostrzejsze, najbardziej ryzykowne zlecenia ulicy i zyskał reputację człowieka, który potrafi zrealizować każde zamówienie. Część umysłu zdawała sobie sprawę, że blask autodestrukcji stał się jaskrawo widoczny dla wszystkich klientów, których miał coraz mniej. Ta sama część jednak rozkoszowała się świadomością, że to już tylko kwestia czasu. I ta właśnie część umysłu, usatysfakcjonowana oczekiwaniem na śmierć, najbardziej nienawidziła myśli o Lindzie Lee.

Pewnej deszczowej nocy znalazł ją w salonie gier.

Pod jaskrawymi upiorami płynącymi poprzez błękitną zawieszinę tytoniowego dymu, hologramy Zamku Czarnoksiężnika, Wojnę Czołgów w Europie, Nowy Jork z powietrza... Taką ją zapamiętał, z twarzą skąpaną w niespokojnych światłach laserów, z rysami zredukowanymi do kodu: policzki lśniące szkarłatem pożaru w Zamku Czarnoksiężnika, czoło zalane lazurem, gdy Monachium padało pod natarciem czołgów, usta muśnięte złotem iskier, jakie szybujący kursor krzeszał ze ściany kanionu drapaczy chmur. Szedł wtedy ostro; klocek ketaminy Wage'a ruszył w drogę do Jokohamy, a pieniądze miał już w kieszeni. Wszedł tam, by skryć się przed deszczem spływającym po chodniku Ninsei. Zobaczył tylko ją, wśród dziesiątków twarzy nad konsolami, pochłoniętą rozgrywką. Taki

sam wyraz miała jej twarz kilka godzin później, gdy spała w skrzyni niedaleko portu. Górna warga przypominała linię, jaką rysują dzieci, by przedstawić ptaka w locie.

Przeszedł między automatami i stanął obok niej, wciąż rozemocjonowany załatwionym niedawno interesem. Podniosła głowę. Dostrzegł szare oczy obramowane rozmazaną czarną kredką. Oczy małego zwierzątka, pochwyconego światłami nadjeżdżającego pojazdu.

Ich wspólna noc przeciągnęła się do świtu, do biletów w porcie poduszkowców i jego pierwszej wycieczki przez zatokę. Deszcz nie ustawał, padając przy Harajuku, osiadając kroplami na jej plastikowej kurtce. Dzieci Tokio w białych chodakach i foliowych pelerynach spacerowały obok słynnych butików. Wreszcie stanęli wśród nocnego gwaru salonu pachinko. Trzymała go za rękę jak mała dziewczynka.

Prawie miesiąc trwało, nim mieszanka narkotyków i napięcia, która była jego naturalnym środowiskiem, zmieniła te wiecznie zdumione oczy w studnie wzajemnej potrzeby. Obserwował, jak rozpada się jej osobowość, pęka jak góra lodowa, jak odpływają kry, by wreszcie zobaczyć nagie pragnienie, wygłodniałą strukturę uwarunkowania. Patrzył, jak śledzi kolejnego jelenia. Koncentracja przywodziła mu na myśl modliszki, sprzedawane na straganach przy Shiga, gdzie stały akwaria ze zmutowanymi, błękitnymi karpami i świerszcze w bambusowych klatkach.

Wpatrywał się w czarny krąg fusów na dnie pustej filiżanki. Wibrował od prochów. Brązowy laminat blatu pokrywała mętna patyna maleńkich rys. Deksedryna wzbierała wzdłuż kręgosłupa, a Case widział niezliczone losowe uderzenia, niezbędne dla stworzenia takiej powierzchni. Herbaciarnia była urządzona w staromodnym, bezimiennym stylu zeszłego wieku, nieudolnie łączącym japońską tradycję z jasnymi, mediolańskimi plastikami. Wydawało się jednak, że wszystko pokrywa cienka błona, jakby zszargane nerwy tysięcy klientów zużyły jakoś lustra i błyszczące kiedyś tworzywa, pozostawiając powierzchnie zasnucone czymś, czego już nigdy nie da się usunąć.

– Case, chłopie...

Uniósł głowę i spojrzał w szare oczy obramowane czarną kredką. Miała na sobie wytarty francuski dres orbitalny i nowe, białe tenisówki.

– Nie można cię znaleźć, człowieku. – Usiadła naprzeciw i oparła łokcie o stół. Rękawy niebieskiej bluzy zostały oderwane u ramion. Automatycznie sprawdził jej ręce, szukając śladów igieł i plastrów. – Chcesz papierosa?

Wyciągnęła z kieszeni na kostce zmiętą paczkę yeheyuanów. Wziął jednego. Zaczekał, aż poda mu ogień czerwoną plastikową rurką.

– Dobrze sypiasz, Case? Wyglądasz na zmęczonego.

Akcent sugerował, że pochodzi z południa Ciągu, gdzieś w pobliżu Atlanty. Miała worki pod oczami, lecz ciało gładkie i jędrne. Dwadzieścia lat. Świeże linie bólu zaczynały odbijać się już na stałe w kącikach ust. Ciemne włosy związała z tyłu kawałkiem barwnego jedwabiu. Wzór na tkaninie mógł przedstawiać obwody drukowane albo plan miasta.

– Jeśli nie zapomnę zażyć tabletek – odparł, uderzony niemal fizyczną falą tęsknoty, pożądania i samotności, atakujących na częstotliwości amfetaminy. Pamiętał zapach jej skóry w przegrzanej skrzyni niedaleko portu, dotyk palców splecionych na szyi.

To tylko mięso, pomyślał. I potrzeby mięsa.

– Wage – oświadczyła, mrużąc oczy – chciałby cię widzieć z dziurą w twarzy.

Zapaliła papierosa.

– Kto powiedział? Ratz? Mówiłaś z Ratzem?

– Nie. Mona. Jej nowy chłopcaś pracuje dla Wage'a.

– Nie jestem mu winien aż tyle. – Wzruszył ramionami. – Straci forszę, jeśli mnie załatwi.

– Zbyt wielu ludzi jest mu coś winnych, Case. Może masz posłużyć za przykład. Lepiej uważaj.

– Jasne. Co u ciebie, Linda? Masz gdzie spać?

– Spać... – Potrząsnęła głową. – Pewnie, Case.

Zadrżała i pochyliła się nad stołem. Twarz lśniła warstewką potu.

– Trzymaj – mruknął, wsunął palce w kieszeń wiatrówki i wyciągnął zmiętą pięćdziesiątkę. Odruchowo wygładził ją pod stołem, złożył na

cztery i podał Lindzie.

– Są ci potrzebne, skarbie. Daj je lepiej Wage'owi.

W szarych oczach było coś, czego nie potrafił rozpoznać; czego nigdy przedtem nie widział.

– Mam mu oddać dużo więcej. Weź. Niedługo dostanę większą forszę – skłamał, patrząc, jak jego nowe jeny znikają w zapinanej na zamek kieszeni.

– Jak dostaniesz, poszukaj Wage'a, Case. Szybko.

– Na razie, Linda – rzucił, wstając.

– Cześć.

Pod jej źrenicami prześwitywał milimetrowy pasek bieli. Sanpaku.

– I uważaj, co masz za plecami.

Skinął głową i wyszedł.

Spojrzał za siebie ponad plastikowymi drzwiami. Jej oczy odbijały się w klatce czerwonego neonu.

* * *

Piątkowa noc na Ninsei.

Minął stragany yakitori, salony masażu i koncesjonowaną kawiarnię „Piękna dziewczyna”, potem elektroniczny grom salonu gier. Ustąpił z drogi sararimanowi w ciemnym garniturze. Dostrzegł logo Mitsubischi-Genetech wytatuowane na grzbiecie prawej dłoni mężczyzny.

Autentyczne? Jeśli tak, pomyślał, facet sam szuka kłopotów. Jeśli nie, dobrze mu tak. Pracownicy M-G, powyżej pewnego szczebla, mieli implantowane zaawansowane mikroprocesory, kontrolujące poziom mutagenów we krwi. Kto pokazywał się z takim wyposażeniem w Mieście Nocy, kończył szybko – w zbiornikach czarnej kliniki.

Sarariman był Japończykiem, ale na Ninsei kłębił się tłum gaijin. Grupy marynarzy z portu, podnieceni samotni turyści szukający rozkoszy niewymienianych w przewodnikach, ważniacy z Ciągu, obnoszący swoje wszczepy i implanty, a także tuzin różnych gatunków popychaczy. Wszyscy kroczyli ulicą w skomplikowanym tańcu żądz i interesów.

Istniało mnóstwo teorii tłumaczących, dlaczego Chiba City tolerowało enklawę Ninsei. Case przychylił się do idei, że yakuza chroni to miejsce jako rodzaj muzeum, przypomnienie własnych, skromnych początków. Dostrzegał jednak również pewien sens w tłumaczeniu, że pączkujące technologie wymagają stref leżących poza prawem, że Miasto Nocy trwało nie ze względu na swych mieszkańców, ale jako świadomie pozostawione bez nadzoru pole gry technologii jako takiej.

Czy Linda ma rację, zastanawiał się, patrząc na kolorowe światła. Czy Wage zechce go zabić dla przykładu? To nie miało sensu, ale Wage zajmował się głównie zakazanymi elementami biologicznymi; mówiło się, że trzeba do tego być szaleńcem.

Linda jednak twierdziła, że Wage chce go zlikwidować. Podstawową tezę Case'a dotyczącą dynamiki ulicznych interesów było to, że ani sprzedawca, ani kupujący wcale go nie potrzebują. Zadanie pośrednika polegało na uczynieniu siebie złem koniecznym. Niepewna nisza, jaką znalazł w przestępczej ekologii Miasta Nocy, była podcięta kłamstwami, każdej nocy przerastana zdradą. Czując, że jej ściany zaczynają się kruszyć, znalazł się na skraju niezwyklej euforii.

Tydzień temu opóźnił transfer syntetycznego ekstraktu gruczołów i sprzedał go z szerszym niż zwykle marginesem. Wiedział, że Wage'owi się to nie podobało. Wage był jego głównym dostawcą, od dziewięciu lat działał w Chibie i jako jeden z nielicznych handlarzy gaijin znalazł powiązania ze sztywno rozwarstwowanym światem przestępczym poza granicami Miasta Nocy. Materiał genetyczny i hormony ściekały na Ninsei krętą ścieżką pełną ślepych zaułków. Wage'owi udało się prześledzić trasę jakiegoś towaru i teraz miał stałe kontakty w dziesiątkach miast.

Case stanął przed wystawą. Sklep oferował drobne, błyszczące przedmioty dla marynarzy: zegarki, scyzoryki, zapalniczki, kieszonkowe magnetowidy, symstymowe deki, obciążone łańcuchy manriki i shuriken. Shuriken zawsze go fascynowały – stalowe gwiazdy z ostrymi jak noże promieniami. Jedne były chromowane, inne czarne, jeszcze inne tęcze jak benzyna na wodzie. Interesowały go te chromowane, umieszczone na szkarłatnym ultraskaju, przytrzymywane prawie niewidzialnymi pętlami

rybackiej żyłki, ozdobione symbolami smoków lub yin-yang. Chwytały i załamywały blask neonów, a Case pomyślał, że za takimi właśnie gwiazdami podąża, że jego przeznaczenie jest wypisane w konstelacjach taniego chromu.

– Julie – powiedział gwiazdom. – Pora się spotkać ze starym Julie.

* * *

Julius Deane miał sto trzydzieści pięć lat, a jego metabolizm był pracowicie wypaczony przez fortunę, którą co tydzień wydawał na serum i hormony. Podstawową obroną przed starzeniem była doroczna pielgrzymka do Tokio, gdzie chirurdzy genetyczni na nowo układali kody DNA. W Chibie nie wykonywano takich zabiegów. Później leciał do Hongkongu i zamawiał roczną porcję garniturów i koszul. Bezpłciowy i niehumanie cierpliwy, czerpał zadowolenie chyba jedynie z wyrafinowanych form czci dla sztuki krawieckiej. Case nie widział go nigdy dwa razy w tym samym garniturze, choć garderoba Deane'a składała się prawie wyłącznie ze starannie zrekonstruowanej zeszłowiecznej odzieży. Nosił szkła korekcyjne w cienkich złotych oprawkach, wyszlifowane z cienkich płytek syntetycznego różowego kwarcu i umieszczone ukośnie, jak lustra w wiktoriańskim domu dla lalek.

Biura Deane'a mieściły się w magazynie za Ninsei. Część budynku lata temu urządzono dość oszczędnie, wstawiając przypadkowo dobrane europejskie meble – jak gdyby właściciel zamierzał kiedyś tu zamieszkać. Neoazteckie biblioteczki gromadziły kurz pod ścianą w pokoju, gdzie czekał Case. Para pękających disneyowskich lamp zachowywała chwiejną równowagę na niskim stoliczku w stylu Kandinsky'ego, z lakierowanej na czerwono stali. Zegar Dali zwisał między biblioteczkami, a nierówna tarcza krzywiła się do nagiej betonowej podłogi. Wskazówki były hologramami, zmieniającymi długość w zależności od kształtu fragmentu tarczy, nad którym się znajdowały. Wszędzie stały białe moduły transportowe z włókna szklanego. Pachniały lekko konserwowanym imbirem.

– Jesteś chyba czysty, synu – rozległ się bezcielesny głos Deane’a. – Wejdz, proszę.

Magnetyczne sztaby wysunęły się z framugi masywnych drzwi z imitacji palisandru, po lewej stronie biblioteczek. Wielkie samoprzylepne litery głosiły: JULIUS DEANE IMPORT EKSPORT. O ile meble ustawione w zastępczej poczekalni wskazywały na koniec zeszłego wieku, sam gabinet pochodził z jego początków.

Gładka, różowa twarz Deane’a była zwrócona w stronę Case’a, oświetlona starożytną mosiężną lampą z prostokątnym abażurem z zielonego szkła. Importer siedział za wielkim biurkiem z malowanej stali, mając po obu stronach wysokie, pełne szuflad szafki z jakiegoś jasnego drewna. Case przypuszczał, że kiedyś używano ich do przechowywania danych na papierowym nośniku. Na biurku poniewierały się kasety, zwoje pożółkłych wydruków i części czegoś w rodzaju mechanicznej maszyny do pisania, której Deane’owi jakoś nie udawało się poskładać.

– Cóż cię sprowadza, mój chłopcze? – Deane podsunął Case’owi podłużnego cukierka, owiniętego papierkiem w biało-niebieską kratkę. – Spróbuj. Ting Ting Djahe, najlepsze.

Case odmówił, usiadł w szerokim, drewnianym fotelu na biegunach i przesunął kciuk wzdłuż wytartego szwu nogawki czarnych dżinsów.

– Julie, słyszałem, że Wage chce mnie zabić.

– Och. No cóż... A gdzie słyszałeś, jeśli wolno spytać?

– Od ludzi.

– Od ludzi – powtórzył Deane, ssąc imbirowego cukierka. – Jakich ludzi?

Przyjaciół?

Case przytaknął.

– Nie zawsze można rozpoznać prawdziwych przyjaciół.

– Jestem mu winien trochę forsy, Julie. Nic ci nie mówił?

– Nie kontaktował się ze mną ostatnio. – Deane westchnął. –

Oczywiście, nawet gdybym wiedział, być może nie mógłbym ci powiedzieć. Wiesz jak stoją sprawy.

– Sprawy?

– On jest ważnym ogniwem, Case.

– Rozumiem. Czy on chce mnie zabić, Julie?

– W każdym razie ja nic o tym nie wiem. – Wzruszył ramionami. Równie dobrze mogli dyskutować o cenach imbiru. – Jeśli okaże się to zwykłą plotką, synu, wpadnij za tydzień. Dam ci zarobić na pewnym drobiazgu z Singapuru.

– Z hotelu Nan Hai przy Bencoolen?

– Jesteś niedyskretny, synu. – Deane uśmiechnął się. Stalowe biurko kryło całą fortunę w sprzęcie przeciwpośluchowym.

– To na razie, Julie. Pozdrowię od ciebie Wage’a.

Deane uniósł dłoń, a jego palce musnęły nieskazitelny węzeł krawata.

* * *

Nie odszedł daleko, gdy poczuł uderzenie – nagła, komórkowa świadomość, że ktoś za nim idzie. I to blisko.

Case traktował kultywację pewnego rodzaju spokojnej paranoi jak kwestię zupełnie oczywistą. Problem polegał na utrzymaniu kontroli. Nie było to proste zza stosu różowych ośmiokątów. Opanował napływ adrenaliny i nadał wąskiej twarzy wyraz znudzonej obojętności, udając, że pozwala tłumowi nieść się wzdłuż ulicy. Dostrzegł ciemną wystawę i zdołał się przy niej zatrzymać. Za szybą był chirurgiczny butik, zamknięty z powodu remontu. Z rękami w kieszeniach kurtki patrzył na płaski romb hodowlanego ciała, umieszczony na rzeźbionym postumencie ze sztucznego nefrytu. Barwa skóry przywodziła na myśl dziwki Zone’a; ozdabiał ją tatuaż z cyfrowym wyświetlaczem, podłączonym do wszczepionego chipa. Po co się męczyć operacją, pomyślał, kiedy można to wszystko zwyczajnie nosić w kieszeni?

Nie poruszając głową, uniósł wzrok i przestudiował odbicie mijających go przechodniów.

Tam.

Za marynarzami w oliwkowych koszulach z krótkimi rękawami. Czarne włosy, lustrzane okulary, ciemne ubranie, szczupły...

Zniknął.

Case ruszył biegiem, przygarbiony, manewrując w tłumie.

* * *

– Możesz mi pożyczyć spluwę, Shin?

– Dwie godziny. – Chłopak się uśmiechnął. Stali w obłoku zapachów świeżych ryb, na tyłach straganu z sushi przy Shiga. – Ty wrócić za dwie godziny.

– Potrzebuję już, chłopie. Nie masz czegoś na miejscu?

Shin pogrzebał za prostymi dwulitrowymi puszkami, kiedyś zawierającymi sproszkowany chrzan. Wreszcie znalazł wąski pakunek w szarej folii.

– Taser. Jedna godzina, dwadzieścia nowych jenów. Depozyt trzydzieści.

– Cholera, nie chcę tego. Potrzebuję pistoletu. Gdybym akurat chciał kogoś zastrzelić, jasne?

Kelner wzruszył ramionami i schował taser za puszkami po chrzanie.

– Dwie godziny.

* * *

Wszedł do sklepu, nie spojrzawszy nawet na rząd shuriken. W życiu czymś takim nie rzucał.

Kupił dwie paczki yeheyuanów, płacąc chipem Banku Mitsubishi, według którego nazywał się Charles Derek May. To lepiej niż Truman Starr, jak w paszporcie.

Japonka za ladą wyglądała na kilka lat starszą od starego Deane'a, przy czym ani razu nie korzystała z dobrodziejstw nauki. Wyjął z kieszeni cienki zwitek nowych jenów.

– Chcę kupić broń.

Skinęła w stronę szafki wypełnionej nożami.

– Nie – odparł. – Nie lubię noży.

Wyjęła spod lady wąskie, podłużne pudło. Na pokrywie z żółtej tektury wyrysowano tandetnie kobrę z rozpostartym kapturem. Wewnątrz leżało osiem identycznych, owiniętych bibułką cylindrów. Patrzył, jak plamiste palce zdzierają papier. Uniosła obiekt, by mógł się przyjrzeć – matowa stalowa rurka z rzemienną pętlą na jednym końcu i niewielką brązową piramidką na drugim. Ścisnęła rurkę, obejmując kciukiem i palcem wskazującym koniec przy piramidce. Szarpnęła za rzemień. Trzy lśniące teleskopowe fragmenty zwiniętej ciasno sprężyny wysunęły się i zablokowały.

– Kobra – powiedziała.

* * *

Za migotaniem neonów niebo nad Ninsei miało posępny szary kolor. Powietrze było coraz gorsze, a tego wieczoru wyrosły mu chyba zęby i co drugi człowiek nosił maskę filtracyjną. Case spędził dziesięć minut nad pisuarem, usiłując znaleźć wygodny sposób noszenia kobry. W końcu wcisnął uchwyt za pasek dżinsów; piramidkowe ostrze mieściło się pomiędzy żebrami a podszewką wiatrówki. Miał wrażenie, że przy pierwszym kroku całe urządzenie wypadnie na chodnik, ale czuł się pewniej.

W „Chat” zwykle nie prowadziło się interesów, choć w ciągu tygodnia pojawiali się tu różni klienci. W piątki i soboty sytuacja zmieniała się diametralnie. Stali goście byli na miejscu, jak zwykle, lecz ginęli w tłumie marynarzy i specjalistów z marynarzy żyjących. Otwierając drzwi, Case szukał wzrokiem Ratza, ale barmana nie było. Lonny Zone, rezydujący tu alfons, obserwował z ojcowską dumą, jak któraś z jego dziewcząt pracuje nad młodym marynarzem. Zone brał pewną odmianę hipnotyku, zwanego przez Japończyków Tancerzem Chmur. Case dał mu znak, wskazując ręką kontuar. Zone przepłynął wolno wśród tłumu. Twarz miał obwisłą i bez wyrazu.

– Widziałeś dziś Wage’a, Lonny?

Zone przyglądał mu się ze zwykłą obojętnością. Pokręcił głową.

- Jesteś pewien?
 - Może w Namban. Może ze dwie godziny temu.
 - Miał ze sobą jakichś pajaców? Jeden chudy, ciemne włosy, może w czarnej kurtce?
 - Nie – stwierdził po chwili Zone, marszcząc gładkie czoło, by wykazać, ile wysiłku kosztuje go przypominanie sobie tylu nieistotnych szczegółów.
 - Wielkie chłopy. Hodowlani.
- W oczach Zone'a było bardzo niewiele białkówki i jeszcze mniej tęczywek; pod obwisłymi powiekami lśniły powiększone, ogromne źrenice. Długo patrzył na Case'a, potem spuścił wzrok i dostrzegł wybrzuszenie stalowego pejsza.
- Kobra. – Uniósł brew. – Chcesz kogoś przepieprzyć?
 - Na razie, Lonny – rzucił Case i wyszedł.

* * *

Ogon pojawił się znowu. Był tego pewien. Poczł napływ euforii. Ośmiokąty i adrenalina mieszały się z czymś jeszcze. Bawi cię to, pomyślał. Zupełnie zwariowałeś.

W jakiś niewytłumaczalny sposób wszystko to przypominało mu trasę w matrycy. Wystarczyło trochę przemęczenia, jakieś rozpaczliwe, ale właściwie całkiem dowolne kłopoty, a mógł patrzeć na Ninsei jak na pola danych. Matryca też kiedyś przypominała mu proteiny, powiązane w różny sposób dla specyfikacji komórek. Potem można rzucić się w przyspieszony dryf z poślizgiem, z absolutnym zaangażowaniem, ale też obojętnie, a wszystko wokół szalało w tańcu biznesu, interakcji informacyjnej, danych ucieleśnionych w labiryntach czarnego rynku...

Do roboty, Case, pomyślał. Bierz się za nich. To ostatnia rzecz, jakiej oczekują.

Znalazł się niedaleko salonu gier, gdzie po raz pierwszy spotkał Lindę Lee.

Pobiegł przez Ninsei, rozpychając grupę marynarzy. Któryś z nich wrzasnął za nim coś po hiszpańsku. Ale wtedy minął już wejście, a hałas

ogarnął go jak fala. Infradźwięki wibrowały w żołądku. Ktoś trafił dziesięcioma megatonami w Wojnie Czołgów i jaskrawy hologram grzybkształtnej chmury wykwitł nad głowami graczy, gdy symulowany wybuch zalał salon strumieniem białego szumu. Case skręcił na prawo i wbiegł na niemalowane drewniane schody. Był tu kiedyś z Wage'em; omawiali przerzut zakazanych zestawów hormonalnych z człowiekiem o imieniu Matsuga. Pamiętał korytarz, poplamione chodniki, rząd identycznych drzwi prowadzących do maleńkich gabinetów. Jedne były otwarte; młoda Japonka w czarnej koszulce bez rękawów spojrzała znad białego terminalu. Nad głową miała plakat reklamujący uroki Grecji: egejski błękit z plamami zaokrąglonych ideogramów.

– Wezwij tu ochronę – rzucił Case.

Potem pognał korytarzem, znikając jej z oczu. Dwoje ostatnich drzwi zamknięto, pewnie na klucz. Z półobrotu walnął podeszwą nylonowego buta w pokrytą niebieskim lakierem sklejkę. Drzwi odskoczyły, tani hardware wypadł z popękanej futryny. Wewnątrz ciemność, z jasną plamą obudowy terminalu. Case stał już przy drzwiach naprzeciwko, z całej siły napierając na plastikową, przezroczystą gałkę klamki. Coś trzasnęło i był w środku. Tu właśnie on i Wage spotkali Matsugę, ale biuro, które ten ostatni oficjalnie prowadził, zniknęło już dawno. Żadnego terminalu, nic. Światło z alei sączyło się przez brudny plastik. Dostrzegł tylko węzową pętlę światłowodu zwisającą ze ściennego gniazdka, stos pustych puszek, opakowań i pozbawioną łopatek kolumnę elektrycznego wentylatora.

Okno było pojedynczą płytą taniego plastiku. Case zrzucił kurtkę, owinał nią prawe ramię i pchnął. Szyba pękła. Uderzył jeszcze dwa razy, by oczyścić ramię. Ponad stłumionym szumem gier rozległ się sygnał alarmu, uruchomionego albo wyłamaniem okna, albo przez tę dziewczynę na końcu korytarza.

Case odwrócił się, wciągnął kurtkę i wysunął kobrę na pełną długość.

Zamknął drzwi, więc miał nadzieję, że ogon uwierzy w jego ucieczkę przez te drugie, które prawie wyrwał z zawiasów. Lśniący ostrosłup kobry kołysał się lekko, stalowa sprężyna wzmacniała puls.

Nic się nie stało. Słyszał tylko wycie alarmu, szum gier, walenie własnego serca. Napłynął strach, jak na wpół zapomniany przyjaciel. Nie chłodny, nieubłagany mechanizm amfetaminowej paranoi, lecz zwykły, zwierzęcy strach. Od tak dawna żył na krawędzi emocjonalnego załamania, że prawie nie pamiętał, na czym polega zwyczajne przerażenie.

Ten pokój był jednym z miejsc, w których ginęli ludzie. On też może tu zginąć. Jeśli będą mieli pistolety...

Trzask w drugim końcu korytarza. Męski głos wołający coś po japońsku. Krzyk, wrzask grozy. Następny trzask.

Kroki. Spokojne, coraz bliższe kroki.

Minęły jego zamknięte drzwi. Zatrzymały się na czas trzech szybkich uderzeń serca. I zawróciły. Jeden, drugi, trzeci... Obcas zaczepił o chodnik.

Resztki indukowanej ośmiokątem brawury zniknęły. Wsunął kobrę w uchwyt i ślepy ze strachu podkradł się do okna. Nerwy wyły przeraźliwie. Wspiął się, przetoczył, spadał, zanim świadomość pojęła, co właściwie robi. Uderzenie o ziemię wbiło w uda tępe igły bólu.

Wąski klin światła z półotwartej klapy do piwnicy obejmował stos zużytych światłowodów i obudowę wyrzuconej konsoli. Case padł twarzą na wilgotną tekturę, przetoczył się w cień konsoli. Okno pokoiku stało się prostokątem mętnego blasku. Alarm ciągle wibrował; w tym miejscu był głośniejszy, gdyż ściana budynku tłumiała wycie gier.

W ramie okna pojawiła się głowa, podświetlona jarzeniówkami korytarza. Zniknęła i wysunęła się znowu. Nie widział rysów twarzy, jedynie srebrzysty błysk wokół oczu.

– Szlag... – zaklął ktoś. Kobieta. Z akcentem północnego Ciągu.

Głowa zniknęła. Case leżał pod konsolą przez długą chwilę i liczył wolno do dwudziestu. Potem wstał. Wciąż trzymał w dłoni kobrę i nie od razu sobie uświadomił, co to właściwie jest. Pokuśtykał alejką, oszczędzając lewą kostkę.

* * *

Pistolet Shina był pięćdziesięcioletnią wietnamską imitacją południowoamerykańskiej kopii automatycznego walthera PPK, z potężnym kopnięciem. Komorę przystosowano do długiej amunicji karabinowej kalibru .22. Case wolałby pociski rozrywające w ołowianym płaszczu, od prostych, z wydrążonymi stożkami, chińskiej produkcji, które sprzedał mu Shin. Mimo wszystko miał broń i dziewięć kul. Ścisnął kolbę, idąc od straganu z sushi wzdłuż Shiga. Uchwyt był z jaskrawego czerwonego plastiku, ozdobiony wizerunkiem atakującego smoka – coś, co w ciemności można było gładzić kciukiem. Wcisnął kobrę do pojemnika na śmieci przy Ninsei i przełknął na sucho kolejny ośmiokąt.

Tabletka ożywiła mu obwody. Wchodząc w Baiitsu, uznał, że ogon zniknął. I bardzo dobrze. Musiał załatwić parę telefonów, ubić kilka interesów. Nie mógł czekać. Niedaleko stąd, w kierunku portu, przy Baiitsu, stał zwykły dziesięciopiętrowy biurowiec z brzydkiej, żółtej cegły. O tej porze w oknach było ciemno, ale odchylając głowę, można było dostrzec delikatne lśnienie nad dachem. Zepsuty neon przy głównym wejściu głosił TANI HOTEL. Wyżej wymalowano plątaninę ideogramów. Case nie wiedział, czy to miejsce ma jakąś inną nazwę. Zawsze określano je jako Tani Hotel. Wchodziło się z przecznicy Baiitsu, gdzie u stóp przejrzystego szybu czekała winda. Jak cały ten budynek, powstała bez planu, mocowana do ściany bambusem i epoksydami. Case wszedł do plastikowej klatki i użył klucza: kawałka sztywnej taśmy magnetycznej bez żadnych znaków.

Od kiedy przybył do Chiby, wynajmował tu skrzynię. Płacił co tydzień, ale nigdy tu nie spał. Sypiał w tańszych lokalach.

Winda pachniała perfumami i papierosowym dymem. Ścianki kabiny były porysowane i brudne. Na wysokości piątego piętra zobaczył światła Ninsei. Bębnił palcami w kolbę pistoletu, gdy winda hamowała z narastającym sykiem. Zatrzymała się ze zwykłym szarpnięciem, lecz był na to przygotowany. Wszedł do sali służącej jako kombinacja hallu i podwórza.

Na samym środku kwadratu zielonej plastikowej murawy nastoletni Japończyk siedział za półkolistą konsolą, czytając jakąś książkę. Białe

skrzynki z włókna szklanego stały na ramie z budowlanego rusztowania: sześć rzędów po dziesięć sztuk w każdym. Case skinął chłopcu głową i ruszył po sztucznej trawie ku najbliższej drabinie. Dach był tu z taniego laminatu; trząsał przy wietrznej pogodzie i przeciekał, gdy padało. Za to skrzynie miały stosunkowo dobre zamki.

Ażurowy pomost wibrował pod jego ciężarem, gdy Case szedł ostrożnie wzdłuż trzeciego rzędu, do numeru 92. Skrzynie miały trzy metry długości, owalne luki były szerokie na metr i wysokie na trochę więcej niż półtora. Wsunął klucz w szczelinę i czekał, aż domowy komputer dokona weryfikacji. Magnetyczne sworznie zgrzytnęły uspokajająco i z trzaskiem sprężyn luk się otworzył. Zamigotały jarzeniówki. Case wsunął się do środka, zamknął klapę i uderzył w panel aktywizujący ręczną blokadę.

Numer 92 był pusty. Wewnątrz stał tylko standardowy kieszonkowy komputer Hitachi i niewielka biała styropianowa skrzynka. Zawierała resztki trzech dziesięciokilowych brył suchego lodu, starannie owiniętych w papier, by zahamować parowanie, oraz zakręcaną, aluminiową kolbę laboratoryjną. Case przykucnął na brunatnej gąbce, służącej za łóżko i podłogę, wyjął z kieszeni .22 Shina i ułożył na pokrywie. Potem zdjął kurtkę. Terminal skrzyni wbudowano we wklęsłą ścianę, naprzeciw tablicy z regulaminem hotelu w siedmiu językach. Zdjął z widełek różową słuchawkę i z pamięci wybrał numer w Hongkongu. Po pięciu sygnałach rozłączył się. Klient z Hitachi, zainteresowany trzema megabajtami gorącego RAM-u, nie odbierał telefonów.

Wystukał tokijski numer w Shinjuku.

Usłyszał kobiecy głos. Odpowiedziała coś po japońsku.

– Jest Grzechotnik?

– Miło cię usłyszeć – odezwał się Grzechotnik, słuchający pewnie z drugiego aparatu. – Oczekiwałem twojego telefonu.

– Mam to nagranie, o które ci chodziło. – Case spojrzął na styropianowe pudło.

– Bardzo się cieszę. Mamy pewne problemy z transferem gotówki. Możesz odczekać?

– Chłopie, naprawdę potrzebuję szmalu...

Grzechotnik przerwał połączenie.

– Ty sukinsynu – burknął Case do buczonej cicho słuchawki. Patrzył na swój tani, mały pistolecik.

– Niepewny – stwierdził. – Wszystko dzisiaj jest raczej niepewne.

* * *

Case wkroczył do „Chat” godzinę przed wschodem słońca. Ręce trzymał w kieszeniach. W jednej ścisnął wypożyczony pistolet, w drugiej aluminiową kolbę.

Ratz siedział przy stoliku pod ścianą i pił z kufła wodę Apollonaris. Krzesło trzeszczało pod stu dwudziestoma kilogramami tłustego cielska. Brazylijski chłopak imieniem Kurt stał za barem, obsługując skromną grupkę na ogół milczących pijaczków. Plastikowe ramię Racza brzęczało, gdy unosił kufel do ust. Łysina lśniła od potu.

– Marnie wyglądasz, przyjacielu artysto – zauważył, błyskając ruiną uzębienia.

– Świetnie mi idzie. – Case wyszczerzył zęby jak czaszka. – Superświetnie.

Nie wyjmując rąk z kieszeni, opadł na krzesło po drugiej stronie stołu.

– I spacerujesz sobie tam i z powrotem w tym swoim przenośnym schronie z wody i prochów. Jasne. Odporny na uczucia wyższe.

– Może byś zlął ze mnie, Ratz? Widziałeś Wage’a?

– Odporny na strach i samotność – mówił dalej barman. – Wsłuchaj się w strach. Może to on jest twoim przyjacielem.

– Słyszałeś może coś o bójce w salonie gier? Ktoś oberwał?

– Wariat pociął faceta z ochrony. – Barman wzruszył ramionami. – Podobno dziewczyna.

– Ratz, muszę pogadać z Wage’em.

– Aha... – Wargi mężczyzny zacisnęły się w linię. Ponad ramieniem Case’a spojrział ku drzwiom. – Chyba ci się uda.

Case miał wrażenie, że znów widzi okno wystawowe i rząd shuriken. Metamfetamina śpiewała szaleńczo pod czaszką. Rękojeść broni stała się

śliska od potu.

– Herr Wage. – Ratz wstał i wolno wyciągnął swój różowy manipulator, jakby oczekiwał uścisku dłoni. – Jakże mi miło. Tak rzadko pan nas zaszczyca.

Case odwrócił się i spojrzał w twarz Wage'a – trudną do zapamiętania opaloną maskę z hodowlanymi transplantami nikona barwy morskiej zieleni zamiast oczu. Wage miał na sobie ciemnoszary garnitur, a na obu nadgarstkach proste platynowe bransolety. Za nim szli jego pajace, niemal identyczni młodzi ludzie z rękawami opiętymi na sztucznie powiększonych mięśniach.

– Jak leci, Case?

– Panowie. – Ratz chwycił w różowe szpony przepelnioną popielniczkę. – Nie chcę tu żadnych kłopotów.

Popielniczka z reklamą piwa Tsingtao była zrobiona z utwardzanego plastiku. Ratz zgniótł ją bez wysiłku. Niedopałki i odpryski zielonego tworzywa spłynęły kaskadą na blat stołu.

– Rozumiemy się?

– Skarbie – wtrącił jeden z pajaców. – Może spróbujesz tej sztuczki ze mną?

– Nie trać czasu na celowanie w nogi, Kurt – powiedział konwersacyjnym tonem Ratz.

Case spojrzał na chłopaka. Brazylijczyk stał za barem, mierząc w trójkę przybyłych ze śrutówki Smith & Wesson. W wylot lufy, zrobionej z cienkiego jak papier stopu owiniętego kilometrem szklanego włókna, można by chyba wepchnąć pięść. Ażurowy magazynek ukazywał pięć grubych pomarańczowych ładunków, poddźwiękowych pocisków rozrywających.

– Formalnie nie są śmiertelne – wyjaśnił Ratz.

– Jestem ci winien drinka – mruknął Case.

– Nic mi nie jesteś winien. – Grubas wzruszył ramionami. – Ci trzej – skinął na Wage'a i jego pajaców – powinni wiedzieć, że w „Chatsubo” nikogo się nie załatwia.

Wage chrząknął.

– A kto mówił o załatwianiu kogokolwiek? Chcemy tylko pogadać o interesach. Case i ja pracujemy razem.

Case wyjął .22 i wymierzył Wage'owi w krocze.

– Słyszałem, że chcesz mnie wykończyć.

Różowy chwytnik Racza objął lufę pistoletu i Case rozluźnił mięśnie.

– Case, może mi wytłumaczysz, co się z tobą wyrabia? Odbija ci czy co? Co to za bełkot, że mam zamiar cię skasować? – Wage spojrzął na chłopaka stojącego za jego lewym ramieniem. – Wracajcie obaj do Namban. Tam czekajcie.

Ruszyli do wyjścia. Lokal był całkiem pusty, jeśli nie liczyć Kurta i pijanego marynarza śpiącego u stóp barowego stolka. Lufa smith & wessona podążała za parą pajaców do drzwi, potem cofnęła się i wymierzyła w Wage'a. Magazynek pistoletu Case'a uderzył o blat. Racz przytrzymał broń w manipulatorze i wyrzucił nabój z komory.

– Kto powiedział, że chcę cię skasować? – spytał Wage.

Linda.

– No kto, człowieku? Ktoś chciał cię wystawić?

Marynarz jęknął i zwymiotował.

– Wywał go! – zawołał Racz do Kurta, który siedział na barze, trzymając smith & wessona na kolanach, i zapalał papierosa.

Case czuł, jak przygniata go ciężar nocy, niby worek mokrego piasku opadający na powieki. Podał Wage'owi aluminiową kolbę.

– To wszystko, co mam. Przysadki. Warte pięć stów, jeśli pchniesz je szybko. Resztę rachunku miałem w RAM-ie, ale to już przeszłość.

– Dobrze się czujesz, Case? – Kolba zniknęła już pod ciemnoszarą klapą.

– Zgadza się, to na pewien czas wyrównuje rachunki, ale wyglądasz nędznie. Jak rozdeptane gówno. Lepiej połóż się gdzieś i prześpij.

– Tak. – Wstał, czując, jak „Chat” wiruje wokół niego. Zachichotał. – Wiesz, miałem jeszcze pięćdziesiątkę, ale dałem komuś.

Wziął magazynek i jeden luźny nabój, wrzucił do kieszeni, schował pistolet do drugiej.

– Idę do Shina. Muszę odebrać zastaw.

– Wracaj do domu. – Ratz poruszył się na trzeszczącym stolku z czymś w rodzaju zakłopotania. – Słyszysz, artysto? Do domu.

Czuł na plecach ich spojrzenia, gdy szedł przez salę i ramieniem otwierał plastikowe drzwi.

* * *

– Dziwka – rzekł do różowego blasku nad Shiga. Hologramy wzdłuż Ninsei znikwały jak duchy, a większość neonów była już martwa i zimna. Sączył z piankowego naparstka gęstą, czarną kawę kupioną w ulicznej budce i patrzył, jak wschodzi słońce.

– Leć, skarbie. To miasto jest dla ludzi, którzy lubią rynsztoki.

Nie o to chodziło i coraz trudniej było mu zachować poczucie krzywdy z powodu zdrady. Ona chciała tylko biletu do domu, a RAM w jego hitachi wystarczał, by za ten bilet zapłacić. Pod warunkiem, że trafi do odpowiedniego pasera. I jeszcze ta pięćdziesiątka: prawie odmówiła, wiedząc, że wkrótce obrobi go z całej reszty majątku.

Kiedy wysiadł z windy, przy biurku siedział ten sam chłopak. Z inną książką.

– Dobra robota! – krzyknął Case przez plastikowy trawnik. – Nie musisz mi mówić. Sam wiem. Piękna kobieta przyszła mnie odwiedzić. Powiedziała, że ma klucz. Zarobiłeś drobny napiwek, powiedzmy: pięćdziesiąt Nowych.

Chłopak odłożył książkę.

– Kobieta. – Case przeciągnął kciukiem po czole. – Jedwab.

Uśmiechnął się szeroko. Chłopiec odpowiedział uśmiechem i kiwnął głową.

– Dzięki, durniu – mruknął Case.

Męczył się przez chwilę z zamkiem. Musiała coś popsuć, kiedy przy nim grzebała, pomyślał. Amatorka. Wiedział, gdzie wypożyczyć czarną skrzynkę, która otworzy wszystko w Tanim Hotelu. Jarzeniówki błysnęły, gdy wsuwał się do środka.

– Zamknij luk powoli i spokojnie, przyjacielu. Wciąż masz przy sobie tę specjalność lokalu, którą dostałeś od kelnera?

Siedziała plecami do ściany po drugiej stronie skrzyni. Opierała przedramiona o podciągnięte kolana. Spomiędzy palców sterczał dziurkowany wylot strzałkowego pistoletu.

– To byłaś ty? Wtedy, przy automatach? – Zatrzasnął klapę. – Gdzie Linda?

– Wciśnij przełącznik rygla.

Usłuchał.

– To twoja dziewczyna? Linda?

Przytaknął.

– Poszła sobie. Zabrała hitachi. Nerwowy dzieciak. Co z twoją spluwą?

Nosiła lustrzane okulary. Miała czarne ubranie, a obcasy czarnych butów wbijały się głęboko w piankę podłogi.

– Oddałem Shinowi. Odebrałem zastaw. Naboje sprzedałem mu z powrotem, za pół ceny. Chcesz pieniędzy?

– Nie.

– Może trochę suchego lodu? W tej chwili nie mam nic więcej.

– Co w ciebie wstąpiło wieczorem? Po co odegrałeś tę scenę w salonie? Musiałam narobić bałaganu, kiedy przypętał się ten najemny glina z nunczako.

– Linda powiedziała, że chcesz mnie zabić.

– Linda tak powiedziała? W życiu jej nie widziałam. Dopiero tutaj.

– Nie pracujesz dla Wage'a?

Pokręciła głową. Zauważył, że jej okulary były chirurgicznie wszczepione i okrywały oczodoły. Srebrzyste szkła wyrastały z gładkiej bladej skóry ponad kośćmi policzkowymi, obramowane czarnymi, nierówno przyciętymi włosami. Szczupłe białe palce, zaciśnięte wokół strzałkowca, miały paznokcie barwy burgunda. Chyba sztuczne.

– Wszystko spieprzyłeś, Case. Ledwo się zjawiłam, od razu wpakowałeś mnie w swoją wersję rzeczywistości.

– Więc czego chcesz? – Oparł się o klapę luku.

– Ciebie. Jedno żywe ciało ze sprawnym, w miarę, mózgiem. Molly, Case. Mam na imię Molly. Zabieram cię do człowieka, dla którego pracuję. Chce tylko pogadać. Nic więcej. Nikt ci nie zrobi krzywdy.

– To dobrze.

– Tyle że ja czasem krzywdzę ludzi. Chyba tak już jestem poskręcana.

Miała obcisłe czarne skórzane spodnie i luźną czarną kurtkę z jakiegoś matowego tworzywa, które wyglądało, jakby pochłaniało światło.

– Będziesz grzeczny, Case, jeśli schowam ten strzałkowiec? Wyglądasz na faceta, który lubi głupio ryzykować.

– Nie ma sprawy. Jestem spokojny. Jak dziecko, żadnych problemów.

– Doskonale. – Pistolet zniknął pod czarną kurtką. – Bo gdybyś postanowił spróbować, byłaby to najgłupsza decyzja w twoim życiu.

Wyciągnęła ręce, rozszerzyła lekko palce. Z ledwie słyszalnym szcękaniem spod burgundowych paznokci wyskoczyło dziesięć obosiecznych czterocentymetrowych skalpeli.

Patrzyła na nie z uśmiechem. Ostrza skryły się wolno.

Po roku w skrzyniach pokój na dwudziestym piątym piętrze Hiltona w Chibie wydawał się gigantyczny. Miał wymiary dziesięć metrów na osiem, połowa apartamentu. Biały ekspres Brauna parował na małym stolyczku przy rozsuwanych szklanych płytach, zamykających niewielki balkon.

– Wlej w siebie trochę kawy. Przyda ci się. – Molly zdjęła czarną kurtkę. Strzałkowiec wisiał pod jej pachą w czarnej kaburze. Miała na sobie szarą kamizelkę, z metalowymi zamkami na ramionach. Kuloodporna, domyślił się Case, nalewając kawy do jaskrawoczerwonego kubka. Miał wrażenie, że jego ręce i nogi są zrobione z drewna.

– Case...

Podniósł głowę. Widział tego mężczyznę po raz pierwszy w życiu.

– Nazywam się Armitage.

Ciemny szlafrok luźno związany paskiem, szeroka pierś, bezwłosa i muskularna, płaski, twardy brzuch. Niebieskie oczy, blade jak wytrawione kwasem.

– Wzeszło słońce, Case. Zaczął się twój szczęśliwy dzień.

Case machnął ręką w bok, ale obcy bez trudu uskoczył przed strumieniem kawy. Brązowa plama wykwitła na ścianie pokrytej imitacją ryżowego papieru. Dostrzegł kanciasty złoty kolczyk w lewym uchu: Oddziały Specjalne. Mężczyzna uśmiechnął się.

– Weź sobie kawy, Case – poradziła Molly. – Nic się nie stało, ale nie wyjdiesz stąd, póki Armitage nie powie tego, co ma do powiedzenia.

Siedziała po turecku na krytym jedwabiem materacu i, nie patrząc, rozkładała pistolet. Podwójne zwierciadła śledziły go, gdy szedł do stolika

i napełniał kubek.

– Jesteś za młody, żeby pamiętać wojnę, Case. – Armitage przeczesał palcami krótko przycięte kasztanowe włosy. Na jego nadgarstku błyszczała ciężka złota bransoleta. – Leningrad, Kijów, Syberia. Wynaleźliśmy cię na Syberii, Case.

– Co to ma znaczyć?

– Rycząca Pięść, Case. Słyszałeś już tę nazwę.

– Jakiś atak, co? Próba wypalenia tego rosyjskiego centrum programami wirusowymi. Tak, słyszałem. Nikt nie przeżył.

Wyczuł nagły wzrost napięcia. Armitage podszedł do okna i spojrzał na Zatokę Tokijską.

– To nieprawda. Jeden oddział przedostał się do Helsinek.

Case wzruszył ramionami i łyknął kawy.

– Jesteś kowbojem konsoli. Prototypy programów, jakich używasz, by przełamać przemysłowe banki danych, zostały opracowane dla Ryczącej Pięści. Do ataku na ośrodek komputerowy w Kierensku. Podstawowym modułem była motolotnia Nightwing, pilot, dek matrycy i dżokej. Uruchamialiśmy wirus zwany Kretem. Seria Kretów była pierwszą generacją prawdziwych programów intruzyjnych.

– Lodołamaczy – mruknął znad czerwonego kubka Case.

– Łód od LOD-u, logicznego oprogramowania defensywnego.

– Problem w tym, drogi panie, że już nie jestem dżokejem. Chyba pora, żebym sobie poszedł.

– Byłem tam, Case. Byłem, kiedy powstawał twój gatunek.

– Nie masz, chłopie, nic wspólnego ze mną i z moim gatunkiem. Jesteś po prostu bogaty i stać cię na takie kosztowne panienki z brzytwami, które eskortują moją dupę aż tutaj. – Podszedł do okna i spojrzał w dół. – Tam teraz mieszkam.

– Nasz profil wykazuje, że chciałeś zmusić ulicę, by cię zabiła, gdy się tylko odwrócisz.

– Profil?

– Zrealizowaliśmy szczegółowy model. Wykupiliśmy symulację każdego z twoich wcieleń i przelecieliśmy parę wojskowych programów. Model daje

ci miesiąc życia na zewnątrz. A prognoza medyczna wykazuje, że w ciągu roku będziesz potrzebował nowej trzustki.

– My. – Case spojrział w blade niebieskie oczy. – Kto „my”?

– Co byś powiedział, gdybym cię zapewnił, że potrafimy wyleczyć uszkodzenia twojego mózgu?

Armitage wydał się nagle Case’owi kimś wyrzeźbionym w bloku metalu: bezwładny, potwornie ciężki. Statua. Wiedział wtedy, że to tylko sen i że zaraz nastąpi przebudzenie. Armitage już się nie odezwie. Sny Case’a zawsze kończyły się taką stop-klatką, a ten właśnie dobiegał końca.

– Co ty na to, Case?

Case spojrział na zatokę i zadrzał.

– Powiedziałbym, że pieprzysz jak stary.

Armitage skinął głową.

– A potem zapytałbym o warunki.

– Podobne do tych, do jakich jesteś przyzwyczajony.

– Pozwól mu się trochę przespać, Armitage – wtrąciła Molly. Elementy broni leżały przed nią na jedwabiu niby jakaś kosztowna łamigłówka. – Rozłazi się w szwach.

– Warunki – powtórzył Case. – Już. W tej chwili.

Wciąż drzał. Nie mógł powstrzymać drżenia.

* * *

Klinika była bezimienna i elegancko urządzona: kilka smukłych pawilonów oddzielonych japońskimi ogródkami. Pamiętał to miejsce. Był tu, gdy przez pierwszy miesiąc w Chibie sprawdzał wszystkie takie ośrodki.

– Boisz się, Case. Naprawdę się boisz.

Było niedzielne popołudnie i stał obok Molly na czymś w rodzaju dziedzińca. Białe głazy, kępa zielonych bambusów, czarny żwir zagrabiony w gładkie fale. Mechaniczny ogrodnik, podobny do wielkiego metalowego kraba, pracował przy bambusach.

– Uda się, Case. Nie masz pojęcia, czym dysponuje Armitage. Za doprowadzenie cię do porządku płaci tym chłopakom programem. Tym,

który dostali, żeby wiedzieli, jak to zrobić. Wskoczą trzy lata przed całą konkurencją. Wyobrażasz sobie, ile to warte?

Zaczepiła kciuki o pętle paska skórzanych dżinsów i kołysała się lekko na lakierowanych obcasach czerwonych kowbojskich butów. Wąskie noski pokrywało lśniące meksykańskie srebro. Szklą przypominały puste kałuże rtęci i wpatrywały się w niego z owadzią obojętnością.

– Jesteś ulicznym samurajem – stwierdził. – Jak długo dla niego pracujesz?

– Parę miesięcy.

– A przedtem?

– Dla kogoś innego. Wiesz, pracująca dziewczyna.

Przytaknął.

– To śmieszne, Case.

– Co jest śmieszne?

– Zupełnie, jakbym cię znała. Z tego profilu, który on dostał. Wiem, jak jesteś poskręcany.

– Nie znasz mnie, siostró.

– Jesteś w porządku facet, Case. To, co ci dolega, nazywa się pech.

– A co z nim? Też w porządku, Molly?

Automatyczny krab ruszył ku nim, starannie wybierając drogę przez fale żwiru. Spiżowa skorupa wyglądała, jakby miała z tysiąc lat. Kiedy znalazł się metr od jej butów, odpalił błysk światła i zamarł na chwilę, analizując dane.

– Zawsze, Case, zawsze i przede wszystkim dbam o własny, słodki tyłek.

Krab zmienił kurs, by ją wyminąć, ale kopnęła precyzyjnie i z gracją. Srebrny czubek buta brzęknął o skorupę. Robot padł na grzbiet, ale spiżowe kończyny szybko przywróciły mu właściwą pozycję.

Case przysiadł na głazie i czubkami butów kreślił linie zakłócające symetrię żwirowych fal. Szukał w kieszeniach papierosów.

– W koszuli – rzuciła.

– Odpowiedz mi? – Wyłowił pomiętego yeheyuana, a ona podała mu ogień cienką płytką niemieckiej stali, która wyglądała jak wyposażenie stołu operacyjnego.

– No dobra. Ten facet musi coś planować, coś ważnego. Ma kupę szmalu, a nigdy przedtem nie miał. I przez cały czas dostaje więcej. – Case rozpoznał wyraz napięcia w linii ust. – A może coś ważnego planuje Armitage’a...

– Nie rozumiem.

Wzruszyła ramionami.

– Właściwie sama nie wiem. Nie mam pojęcia, dla kogo i czego naprawdę pracujemy.

Wpatrywał się w podwójne zwierciadła. W sobotę rano, kiedy wyszedł z Hiltona, wrócił do Taniego Hotelu i przespał dziesięć godzin. Potem wybrał się na długi spacer bez celu wzdłuż strefy ochronnej portu i obserwował, jak za łańcuchami krążą mewy. Jeśli go śledziła, robiła to fachowo. Unikał Miasta Nocy. Czekał w skrzyni na telefon Armitage’a. A teraz ten cichy dziedziniec, niedzielne popołudnie, ta dziewczyna z ciałem gimnastyczki i dłońmi iluzjonisty...

– Pozwoli pan, sir. Anestezjolog już czeka. – Technik skłonił się, odwrócił i zniknął za drzwiami. Nie sprawdzał, czy Case idzie za nim.

* * *

Chłodny, stalowy zapach. Pieszczota lodu na plecach.

Zagubiony. Zupełnie maleńki, w ciemności, marzną dłonie, obraz ciała znika w korytarzach telewizyjnego nieba.

Głosy.

Potem czarny płomień odnalazł rozgałęzione dopływy nerwów; ból przewyższający wszystko, czemu nadano nazwę bólu...

* * *

Spokojnie. Nie ruszaj się.

Ratz tam był, i Linda Lee, Wage i Lonny Zone, setka twarzy z neonowego lasu, marynarze, popychacze i dziwki w miejscu, gdzie niebo

jest trującym srebrem, poza łańcuchami i więzieniem czaszki.

– Nie szarp się, do cholery.

Gdzie niebo blednie od trzasków zakłóceń do bezkoloru matrycy, dostrzegł shuriken, swoje gwiazdy.

– Przestań, Case. Muszę trafić w żyłę!

Siedziała mu okrakiem na piersi, z błękitną plastikową strzykawką w rękę.

– Jeśli się nie uspokoisz, podetnę ci to pieprzone gardło. Jesteś napchany inhibitorami endorfiny.

* * *

Przebudził się i znalazł ją leżącą obok, w ciemności.

Miał wrażenie, że jego szyja zbudowana jest z suchych gałązek, tak była krucha i łamliwa. Równomierny puls bólu spływał wzdłuż kręgosłupa. Obrazy powstawały i zanikały: migotliwy montaż wież i kopuł Fullera Ciągu, niewyraźne sylwetki, idące ku niemu w cieniu mostu czy balkonu...

– Case? Już środa, Case. – Poruszyła się, wyciągnęła rękę ponad nim. Pierś musnęła ramię. Słyszał, jak zdziera foliowy kapsel i pije.

– Masz. – Wsunęła mu butelkę do ręki. – Widzę w ciemności, Case. Mam w szklach mikrokanałowy wzmacniacz obrazu.

– Plecy mnie bołą.

– Tamtędy wymieniali płyn. Krew też. To dlatego, że dorzucili ci jeszcze nową trzustkę. I wszczepili trochę świeżej tkanki w wątrobę. Nie wiem, co wyczyniali z nerwami. Masa zastrzyków. W każdym razie nie musieli niczego otwierać do głównego numeru.

Położyła się.

– Jest 2:43:12, Case. Mam odczyt czasu podłączony do nerwu wzrokowego.

Usiadł i spróbował się napić. Zakrztusił się, zakasłał, letnia woda spryskała pierś i uda.

– Muszę sprawdzić z dekiem – usłyszał własny głos. Po omacku szukał ubrania. – Chcę wiedzieć...

Roześmiała się. Drobne, silne dłonie pochwyciły jego ramiona.

– Przykro mi, wariacie. Jeszcze osiem dni. Twój system nerwowy byłby w strzępach, gdybyś się teraz podłączył. Tak powiedzieli lekarze. Poza tym uważają, że wszystko w porządku. Sprawdzą jutro albo pojutrze.

Położyła się znowu.

– Gdzie jesteście?

– W domu. W Tanim Hotelu.

– A gdzie Armitage?

– W Hiltonie. Sprzedaje tubylcom paciorki albo coś w tym stylu. Niedługo się wynosimy, chłopie. Amsterdam, Paryż, potem znowu Ciąg. – Dotknęła jego ramienia. – Przewróć się. Zrobię ci masaż.

Leżał na brzuchu, czubkami palców wyciągniętych rąk dotykając ścianki skrzyni. Molly zajęła się grzbietem. Klęczała na gąbce; czuł chłodny dotyk skórzanych dżinsów. Palcami muskała jego szyję.

– Dlaczego nie jesteś w Hiltonie?

Odpowiedziała, sięgając między jego uda i delikatnie, dwoma palcami, obejmując mosznę. Pieściła go przez minutę, wyprostowana wśród mroku, drugą ręką gładząc szyję. Skóra jej dżinsów trzeszczała cicho przy każdym poruszeniu. Case drgnął, czując, jak sztywnieje na miękkiej gąbce.

W głowie mu szumiało, ale kruchość szyi chyba ustąpiła. Uniósł się na łokciu, przewrócił, opadł na plecy, przyciągnął ją i lizał jej piersi. Małe, twarde, wilgotne sutki ześlizgiwały się po policzku. Odszukał zamek spodni i pociągnął.

– Zostaw – rzuciła. – Widzę.

Odgłos zsuwanych dżinsów. Poruszała się przy nim, póki nie odrzuciła ich na bok. Przełożyła nad nim nogę, a on dotknął jej twarzy. Nieoczekiwana twardość wszczepionych szkieł.

– Nie rób – powiedziała. – Zostają ślady.

Uklękała nad nim i poprowadziła jego dłoń, kciukiem wzdłuż szczeliny pośladków, z palcami rozłożonymi na wargach sromu. Gdy zsuwała się w dół, powróciły obrazy, pulsujące twarze, rozbłyskujące i gasnące strzępy neonów. Wygiął grzbiet, gdy go objęła. Ujeżdżała go, opadając raz za razem, aż doszli równocześnie. Orgazm zapłonął błękitem w beczasowej

przestrzeni, pustce jak w matrycy, gdzie twarze rozpadały się i znikwały w korytarzach huraganu, a jej mocne i wilgotne uda ścisnęły jego biodra.

* * *

Na Ninsei rzadsza, robocza wersja tłumu przechodniów wykonywała rytualne figury złożonego tańca. Fale dźwięku przelewały się drzwiami salonów pachinko i gier automatycznych. Case zajrzał do „Chat”. Zone doglądał swoich dziewczyn w ciepłym, pachnącym piwem mroku. Ratz stał za barem.

– Widziałeś Wage’a, Ratz?

– Nie dzisiaj. – Barman spojrział na Molly i demonstracyjnie uniósł brew.

– Jak go spotkasz, powiedz, że mam forszę.

– Szczęście zaczyna ci sprzyjać, artysto?

– Jeszcze za wcześnie, by o tym mówić.

* * *

– Słuchaj, muszę zobaczyć tego faceta. – Case obserwował swoje odbicie w lustrze okularów. – Mam z nim interesy, które powinienem zamknąć.

– Armitage nie będzie zadowolony, jeżeli spuszczę cię z oczu. – Stała z rękami na biodrach pod wytopionym zegarem Deane’a.

– On nie zechce rozmawiać, póki tu jesteś. Zresztą, pieprzę Deane’a, sam potrafi o siebie zadbać. Ale są ludzie, którzy pójdą pod glebę, jeśli bez słowa wyjadę z Chiby. To moi ludzie. Rozumiesz?

Zacisnęła usta i pokręciła głową.

– Mam ludzi w Singapurze, tokijskie kontakty w Shinjuku i Asakuza. Oni padną, zrozum – kłamał, trzymając ją za rękaw czarnej kurtki. – Pięć. Tylko pięć minut. Według twojego zegarka. Dobrze?

– Nie za to biorę pieniądze.

– To, za co ci płacą, to jedna sprawa. A paru moich bliskich przyjaciół, ginących tylko dlatego, że zbyt dosłownie traktujesz instrukcje, to całkiem

inna.

– Gównu. Bliscy przyjaciele mojej dupy. Idziesz, bo chcesz nas sprawdzić u twojego kumpla przemytnika. – Oparła stopę o zakurzony stolik w stylu Kadinsky’ego.

– Case, stary druhu, wygląda na to, że twoja towarzyszka jest uzbrojona. I ma w głowie sporą ilość silikonu. O co ci właściwie chodzi? – Upiorne chrząknięcie Deane’a zawisło między nimi.

– Zaczekaj, Julie. Zresztą i tak wejdę sam.

– Możesz być tego pewien, synu. Nie zgodziłbym się na nic innego.

– Dobra – powiedziała. – Idź. Ale tylko pięć minut. Potem wejdę i wychłodzę twojego kumpla permanentnie. A przy okazji spróbuj się trochę zastanowić.

– Nad czym?

– Dlaczego właściwie robię ci przysługę. – Odwróciła się i wyszła, mijając stosy pojemników konserwowanego imbiru.

– Obracasz się w dziwniejszym niż zwykle towarzystwie – zauważył Deane.

– Julie, ona sobie poszła. Wpuścisz mnie? Proszę.

Zgrzytnęły rygle.

– Powoli, Case – ostrzegł głośnik.

– Włącz sprzęt, Julie. Wszystko, co masz w biurku – rzucił Case, siadając na kręconym krześle.

– Zawsze jest włączony – odparł uprzejmie Deane, wyjmując rewolwer zza rozłożonej starej maszyny do pisania. Wymierzył w Case’a. Rewolwer był potężny, magnum z odpilowaną lufą. Wycięto też przednią część osłony spustu, a kolbę owinięto czymś, co przypominało starą taśmę klejącą. Case pomyślał, że broń wygląda dziwacznie w wypielęgowanych palcach Deane’a.

– To tylko na wszelki wypadek, rozumiesz. Nic do ciebie nie mam. A teraz mów, czego chcesz.

– Potrzebna mi lekcja historii, Julie. I informacja o kimś.

– Coś się ruszyło, synu? – Deane miał na sobie pasiastą koszulę w cukierkowych barwach, z kołnierzykiem białym i sztywnym jak

porcelana.

– Ja, Julie. Wyjeżdżam. Już mnie nie ma. Ale wyświadczyć mi jeszcze uprzejmość.

– Informacja o kim, synu?

– Gaijin nazwiskiem Armitage. Ma apartament w Hiltonie.

– Siedź spokojnie, Case. – Deane odłożył broń i wystukał coś na klawiaturze małego terminalu. – Wiesz chyba tyle samo, co moja siatka. Ten dżentelmen dogadał się chwilowo z yakuzą, a synowie neonowej chryzantemy mają swoje sposoby ochrony sprzymierzeńców przed takimi jak ja. Wolę się nie przebijać. A teraz historia. Wspominałeś o historii. – Podniósł rewolwer, ale tym razem nie wycelował go w Case'a. – O jaką historię ci chodzi?

– O wojnę. Byłeś na wojnie, Julie?

– Wojnę? Co można o niej powiedzieć? Trwała trzy tygodnie.

– Rycząca Pięść.

– Słynna sprawa. Nie uczą was tego w szkole? Tuż po wojnie był to cholerny polityczny football. Afera jak Watergate, do samego piekła i z powrotem. Twoja góra, znaczy szefowie z Ciągu, dołączyła... zaraz, gdzie to było? W McLean? Wszystko w bunkrach... wielki skandal. Zmarnowali sporą porcję młodego, patriotycznego mięsa tylko po to, żeby przetestować jakąś nową technologię. Jak się potem okazało, wiedzieli o rosyjskiej obronie. Wiedzieli o empach, promiennikach impulsów magnetycznych. Ale posłali tych chłopców mimo wszystko, żeby sprawdzić.

– Deane wzruszył ramionami. – Iwan strzelał do nich jak do kaczek.

– Ktoś się wyrwał?

– Chryste – westchnął Deane. – To były ciężkie czasy. Ale chyba tak, paru się udało. Jednej grupie. Przechwycili ruski szturmowiec. Wiesz, helikopter. Dolecieli nim do Finlandii. Nie znali kodów wejściowych i po drodze ostro ostrzelali fińską obronę. To byli goście z Oddziałów Specjalnych. – Pociągnął nosem. – Szlag by to trafił.

Case przytaknął. Zapach imbiru przyprawiał o mdłości.

– Przeżyłem wojnę w Lizbonie. – Deane odłożył rewolwer. – Piękne miejsce.

- Byłeś w wojsku, Julie?
- Raczej nie. Chociaż widziałem kilka akcji. – Uśmiechnął się swym dzieciennym uśmiechem. – To wspaniale, co wojna robi z rynkami zbytu.
- Dzięki, Julie. Jestem ci winien przysługę.
- Drobiazg, Case. Do zobaczenia.

* * *

Później powtarzał sobie, że ten wieczór u Sammiego od początku wydawał się nie taki jak trzeba, że wyczuwał to już wtedy, gdy szedł za Molly tamtym korytarzem, rozdeptując warstwę starych biletów i styropianowych kubków. Wyczuwał śmierć Lindy.

Po spotkaniu z Deane'em poszli do Namban, gdzie plikiem nowych jenów Armitage'a spłacił dług u Wage'a. Wage był zadowolony, jego chłopcy przeciwnie, a Molly uśmiechała się z ekstatyczną, dziką intensywnością, wyraźnie marząc, by któryś z nich zrobił pierwszy ruch. Potem zabrał ją do „Chat” na drinka.

– Marnujesz czas, kowboju – powiedziała, kiedy z kieszeni kurtki wyjął ośmiokątną tabletkę.

– Niby czemu? Chcesz jedną? – Podał jej także.

– Twoja nowa trzustka, Case. I bezpieczniki w wątrobie. Armitage zaprojektował je, żeby omijały to śmiecie. – Stuknęła w ośmiokąt purpurowym paznokciem. – Jesteś biochemicznie niezdolny do odlotu na amfetaminie i kokainie.

– Szlag... – mruknął. Spojrzał na tabletkę, potem na nią.

– Zjedz. Zjedz nawet tuzin. Nic się nie stanie.

Zjadł. Nic się nie stało.

Trzy piwa później Molly zapytała Ratza o walki.

– U Sammiego – odparł barman.

– Beze mnie – stwierdził Case. – Słyszałem, że ludzie się tam zabijają.

Po godzinie kupowała bilety od chudego Tajlandczyka w białej koszulce i luźnych spodenkach.

Lokal Sammiego był powietrzną kopułą ze sztywnej tkaniny wzmocnionej siatką cienkich stalowych linek, stojącą przy portowym magazynie. Korytarz z drzwiami na obu końcach służył za prymitywną służbę, utrzymującą niezbędną różnicę ciśnień. Pierścienie jarzeniówek tkwiły w równych odstępach na drewnianym suficie, większość potłuczona już dawno temu. Wilgotne powietrze przygniało zapachem potu i betonu.

Nie był przygotowany na widok areny, tłumu, na pełną napięcia ciszę, na gigantyczne świetlne kukielki pod kopułą. Beton opadał tarasami do centralnej sceny, kolistego podwyższenia otoczonego gęszcem sprzętu projekcyjnego. Było ciemno; jedynie dwa hologramy przesuwwały się migotliwie nad ringiem, powtarzając ruchy walczących. Warstwy papierosowego dymu unosiły się nad widownią, dryfując wolno, póki nie trafiały w prądy powietrza dmuchaw podtrzymujących kopułę. Było cicho; jedynie dmuchawy szumiały dyskretnie, a z głośników dobiegały wzmocnione oddechy zawodników.

Barwne odbicia pełzały w okularach Molly, gdy mężczyźni krążyli wokół siebie. Hologramy powiększały dziesięciokrotnie i noże w rękach miały prawie metr długości. Chwył noża przy walce to chwyt szermierczy, przypomniał sobie Case. Palce obejmują rękojeść, z kciukiem wzdłuż ostrza. Wydawało się, że klingi dryfowały samodzielnie; szybowały z rytualną powolnością, ostrze mijało ostrze. Szukali luki w osłonie. Zwrócona ku górze twarz Molly stała się gładka i nieruchoma.

– Poszukam czegoś do jedzenia – poinformował Case.

Skinęła głowę, pochłonięta tańcem na arenie.

Nie podobało mu się tutaj.

Odwrócił się i wszedł w cień. Za ciemno. I za cicho.

Zauważył, że widzami byli głównie Japończycy, i to nie typowi bywalcy Miasta Nocy. Raczej technicy z lepszych dzielnic. Przypuszczał, że arena zyskała aprobatę komitetu rekreacyjnego jakiejś korporacji. Przez chwilę zastanawiał się, jak to by było pracować przez całe życie dla którejś zaibatsu. Firmowe mieszkanie, firmowy hymn, firmowy pogrzeb.

Zanim znalazł budki z jedzeniem, okrążył niemal całą kopułę. Kupił yakitori na cienkich patyczkach i dwa wysokie kartonowe kubki piwa. Spojrzał na hologramy; krew znaczyła pierś jednej z figur. Gęsty brunatny sos ściekał mu na palce.

Za siedem dni będzie mógł się podłączyć. Kiedy zamykał oczy, widział matrycę.

Cienie zafalowały, gdy hologramy podjęły taniec.

Nagle poczuł ucisk supła łęku między łopatkami. Po żebrach spłynął lodowaty strumyk potu. Operacja się nie udała. Wciąż był tutaj, wciąż był mięsem, żadna Molly nie czeka wpatrzona w migotanie noży, żaden Armitage w Hiltonie nie trzyma dla niego biletów, nowego paszportu i pieniędzy. Wszystko to jest tylko snem, żalonym wytworem fantazji... Gorące łzy stanęły w oczach.

W czerwonym błysku światła z nasady szyi trysnęła krew. Tłum wrzeszczał, wstawał, wrzeszczał... gdy jedna z postaci osunęła się bezwładnie, jej hologram bladł, zanikał...

Ostry smak wymiotów w gardle. Zamknął oczy, odetchnął głęboko, otworzył i zobaczył, jak mija go Linda. Jej szare oczy były ślepe z przerażenia. Nosila ten sam francuski kombinezon.

Zniknęła. W cieniu.

Czysty, podświadomy odruch: rzucił piwo i kurczaka i pobiegł za nią. Może ją wołał; nie pamiętał dokładnie.

Powidok pojedynczej, cienkiej jak włos linii czerwonego światła. Rozciąła beton pod cienkimi podeszwami butów.

Białe tenisówki Lindy błyskały teraz bliżej wygiętej ściany. Znowu mignął w oczach upiorny promień lasera; podskakiwał w polu widzenia zgodnie z rytmem biegu.

Ktoś podłożył mu nogę. Beton obcierał skórę dłoni.

Przetoczył się i kopnął, ale nie trafił. Zobaczył, jak pochyła się nad nim chudy chłopak o ułożonych w kolce blond włosach, podświetlonych od tyłu tęcząwą aureolą. Postać nad sceną uniosła nóż w stronę wiwatującego tłumu. Chłopak uśmiechnął się i wyciągnął coś z rękawa: brzytwę, która

załśniła czerwienią, gdy w ciemności mignął trzeci promień. Ostrze niby różdżka magika zsuwało się ku krtani.

Twarz zniknęła w brzęczącym obłoku mikroskopijnych wybuchów: strzałki Molly, dwadzieścia na sekundę. Chłopak kaszlnął konwulsyjnie i runął na nogi Case'a.

Szedł w stronę budek z jedzeniem, w cień. Spojrzał w dół, oczekując rubinowej igły wyskakującej z piersi. Nic. Znalazł ją. Leżała z zamkniętymi oczami u stóp betonowego filaru. Czuł zapach gotowanego mięsa. Tłum wykrzykiwał imię zwycięzcy. Sprzedawca piwa wycierał kurki ciemną szmatą. Jedna biała tenisówka zsunęła się i leżała przy jej głowie.

Idź wzdłuż ściany. Betonowa krzywa. Ręce w kieszeniach. Nie zatrzymuj się. Wśród niewidzących twarzy, wpatrzonych w obraz zwycięzcy nad ringiem. Twarz Europejczyka zatańczyła w świetle płomyka zapalki, wargi zaciśnięte na krótkim cybuchu metalowej fajki. Zapach haszyszu. Case szedł przed siebie, nie czując niczego.

– Case. – Z głębokiego mroku wynurzyły się jej lustra. – Nic ci nie jest? Coś harczało i bulgotało w ciemności za jej plecami.

Pokręcił głową.

– Walka skończona, Case. Pora do domu.

Próbował ją wyminąć, wejść w mrok, gdzie coś umierało. Zatrzymała go, opierając dłoń na piersi.

– Kumple twojego strachliwego przyjaciela. Zabił dla ciebie tę dziewczynę. Nie najlepiej dobiełaś sobie przyjaciół w tym mieście. Kiedy sprawdzaliśmy ciebie, dostaliśmy też częściowy profil tego starego skurwiela. Za parę nowych usmażyłby każdego. Ten za mną powiedział, że trafili na nią, kiedy próbowała pchnąć twój RAM. Taniej wyszło zabić ją i zabrać. Zaoszczędzili trochę szmalu... Namówiłam tego z laserem, żeby mi o wszystkim opowiedział. Czysty przypadek, że akurat byliśmy w tym miejscu, ale musiałam się upewnić.

Mówiła zimnym, twardym tonem.

Case miał wrażenie, że mózg się zaciął.

– Kto? – zapytał. – Kto ich przysłał?

Podala mu zachlapaną krwią torbę konserwowanego imbiru. Dostrzegł, że ręce ma lepkie od krwi. Z tyłu, w mroku, ktoś wydał chrapliwy odgłos i umarł.

* * *

Kiedy załatwili pooperacyjną kontrolę w klinice, Molly zabrała go na lotnisko. Armitage już czekał. Wynajął poduszkowiec. Ostatnim widokiem Chiby były ciemne łuki eleganckiej zabudowy. Potem mgła okryła czarne wody i dryfujące ławice odpadków.

część II

Wyprawa na zakupy

Dom.

Dom to OMBA, Ciąg, Oś Metropolitalna Boston-Atlanta.

Zaprogramuj mapę, by wyświetlała częstotliwość transmisji danych, każdy tysiąc megabajtów jako jeden piksel na bardzo wielkim ekranie. Manhattan i Atlanta zapłoną jednostajną bielą. Potem zaczną pulsować – tempo transferu zagrozi przeciążeniem modelu. Twoja mapa może wybuchnąć jak nova. Ostudź ją. Zmień skalę. Jeden piksel to milion megabajtów. Przy stu milionach megabajtów na sekundę zaczniesz wyróżniać pewne bloki w centrum Manhattanu i kontury stuletnich ośrodków przemysłowych w dawnym centrum Atlanty...

* * *

Case przebudził się ze snów o lotniskach, o czarnych skórach Molly poruszających się przed nim na torowiskach Narity, Schiphol, Orly... Oglądał siebie, jak godzinę przed wschodem słońca kupuje w jakimś kiosku płaską plastikową butelkę duńskiej wódki.

Gdzieś w żelbetowych korzeniach Ciągu wagony pchały tunelem kolumnę stęchłego powietrza. Sam pociąg na indukcyjnej poduszce poruszał się bezgłośnie, ale przemieszczane powietrze sprawiało, że tunel śpiewał, schodząc basami w infradźwięki. Wibracje sięgały do pokoju, gdzie leżał; kurz unosił się ze szpar w zniszczonym parkiecie.

Otworzył oczy. Molly leżała naga, tuż poza zasięgiem ramienia, na drugim brzegu obszaru bardzo nowej, różowej gąbki. Od góry światło dnia wlewało się przez brudną kratę świetlika. Jeden półmetrowy kwadrat szyby

zastąpiono dyktą. Przez wywiercony otwór wsuwał się gruby kabel, zwisający kilka centymetrów nad podłogą. Case leżał na boku i patrzył, jak Molly oddycha, na jej piersi, obrys bioder przywodzący na myśl funkcjonalną elegancję kadłuba myśliwskiego samolotu. Ciało dziewczyny było oszczędne, sprawne, z mięśniami jak u tancerki.

Pokój był duży. Case usiadł. Był także pusty, poza szerokim, różowym materacem i dwiema nylonowymi torbami podróżnymi, nowymi i identycznymi, leżącymi obok. Ślepe ściany, żadnych okien, jedno, pomalowane na biało, stalowe i ognioodporne drzwi. Ściany pokrywały niezliczone warstwy białej lateksowej farby. Fabryczny lokal. Znał takie pokoje, takie budynki; ich lokatorzy działali w strefie pośredniej, gdzie sztuka nie do końca była przestępstwem, a przestępstwo nie całkiem było sztuką.

Wrócił do domu.

Zsunął stopy na podłogę wyłożoną małymi drewnianymi płytkami. Niektórych brakowało, inne były całkiem obluzowane. Bolała go głowa. Pamiętał Amsterdam, inny pokój w zabytkowej części centrum, gdzie budynki miały po kilkaset lat. Molly wracała z nabrzeża kanału z sokiem pomarańczowym i jajkami. Armitage ruszył z jakąś tajemniczą misją, a oni szli po Dam Square do znanego jej baru na przejściu Damrak. Paryż był tylko niewyraźnym snem. Zabrała go na zakupy.

Wstał, wciągnął znalezioną przy łóżku pogniecioną parę nowych czarnych dżinsów i ukląkł przy torbach. Pierwsza, którą otworzył, należała do Molly: równo złożone ubrania i niewielkie, kosztowne z wyglądu drobiazgi. Druga była pełna rzeczy, których kupowania nie pamiętał: książki, taśmy, symstymowy dek, ubrania z francuskimi i włoskimi naszywkami. Pod zieloną koszulką znalazł płaski pakunek owinięty w origami z japońskiego, makulaturowego papieru.

Opakowanie pękło, gdy wyjmował paczkę; wypadła z niej jasna dziewięcioramienna gwiazda. Utknęła sztorcem w szczelinie parkietu.

– Prezent – odezwała się Molly. – Zauważyłam, że stale je oglądałeś.

Obejrzał się. Siedziała po turecku na materacu i paznokciami barwy burgunda sennie drapała się po brzuchu.

* * *

– Ktoś później wpadnie zabezpieczyć ten lokal – poinformował Armitage. Stał w otwartych drzwiach ze staromodnym magnetycznym kluczem w ręku.

Molly szykowała kawę na małej niemieckiej płytce, którą wyjęła z torby.

– Poradzę sobie – oświadczyła. – Mam wszystko co potrzebne. Infraskanery na perymetrze, brzęczyki...

– Nie – odparł, zamykając drzwi. – Chcę szczelnej ochrony.

– Jak sobie życzysz. – Miała na sobie czarną siatkową koszulkę wsuniętą w luźne bawełniane spodnie.

– Był pan w policji, panie Armitage? – zapytał Case. Siedział oparty plecami o ścianę.

Armitage nie był wyższy od niego, ale ze swymi szerokimi ramionami i wojskową postawą wypełniał sobą całe drzwi. Nosił ciemny, włoski garnitur, w prawej ręce trzymał czarny skórzany neseser. Zniknął kolczyk Oddziałów Specjalnych. Gładka twarz bez wyrazu ukazywała rutynową urodę kosmetycznych butików, amalgamat rysów głównych gwiazd mass mediów ostatniego dziesięciolecia. Błady błysk oczu wzmacniał wrażenie maski. Case pożałował pytania.

– Wielu ludzi z Oddziałów trafia do glin – wyjaśnił zakłopotany. – Albo do ochrony przemysłowej.

Molly podała mu parujący kubek kawy.

– Ten numer, który kazał im pan zrobić z moją trzustką, to rutynowa zagrywka policji.

Armitage zamknął drzwi i przeszedł przez pokój, by stanąć wprost przed nim.

– Miałeś szczęście, Case. Powinieneś być mi wdzięczny.

– Naprawdę? – Case głośno dmuchał na gorący płyn.

– Potrzebowałeś nowej trzustki. Ta, którą kupiliśmy, uwolniła cię od groźnego uzależnienia.

– Dzięki, ale lubiłem to uzależnienie.

– To dobrze. Bo teraz masz drugie.

– Co to ma znaczyć? – Case podniósł głowę.

Armitage uśmiechał się.

– Masz piętnaście woreczków przymocowanych do błon różnych głównych arterii. Rozpuszczają się. Bardzo powoli, ale rozpuszczają. Każdy z nich zawiera mykotoksynę. Znasz już efekty jej działania. To ta, którą twoi byli pracodawcy zaaplikowali ci w Memphis.

Case spojrział na uśmiechniętą maskę i zamrugał.

– Masz dość czasu, by wykonać zadanie, do którego cię wynająłem. I to wszystko. Zrób swoje, a mogę wstrzyknąć ci enzym, który rozpuści mocowanie, nie naruszając przy tym woreczków. Potem musisz wymienić krew. W przeciwnym razie woreczki wypuszczą swoją zawartość i wrócisz do miejsca, gdzie cię znalazłem. Widzisz więc, Case, że jesteśmy ci potrzebni. Potrzebni tak samo jak wtedy, kiedy wyciągaliśmy cię z rynsztoka.

Case spojrział na Molly. Wzruszyła ramionami.

– A teraz idź do windy towarowej i przynieś pudła. – Armitage podał mu klucz magnetyczny. – No, idź. Spodoba ci się, Case. Jak poranek Bożego Narodzenia.

* * *

Lato w Ciągu. Tłumy na ulicach, rozkołysane jak źdźbła trawy na wietrze, łąka ciał przebijana krótkimi wirami pragnień i spełnień.

Siedział obok Molly na betonowej krawędzi wyschłej fontanny, w przefiltrowanym blasku słońca. Pozwalał, by nieskończony strumień twarzy przypominał kolejne etapy życia. Najpierw dziecko o posępnych oczach, uliczny chłopak ze zwieszonymi luźno, gotowymi do ciosu dłońmi; potem nastolatek z gładką twarzą i tajemniczym spojrzeniem zza czerwonych okularów. Pamiętał walkę na dachu, bezgłośnie starcie w różanym blasku świtu. Miał wtedy siedemnaście lat.

Przesunął się lekko. Przez cienki dżins wyczuwał twardy, szorstki beton. Nic tutaj nie przypominało elektrycznego tańca Ninsei. Tu rządziły

inne interesy, inny rytm, zapach barów szybkiej obsługi, perfum, letniego potu.

Dek czekał na poddaszu, Ono-Sendai Cyberspace 7. Pozostawili pokój zasypany abstrakcyjnymi bryłami styropianowych opakowań, zmiętymi arkuszami folii i setkami maleńkich piankowych kulek. Ono-Sendai; najdroższy, przyszłoroczny model komputera Hosaka; monitor Sony; tuzin dysków korporacyjnego lodu; ekspres do kawy Brauna. Armitage zaczekał tylko na aprobatę Case'a.

– Gdzie mógł iść? – spytał Case Molly.

– Lubi hotele. Te duże. Najlepiej blisko lotniska.

Włożyła starą kamizelkę z demobilu, z dziesięcioma kieszeniami o dziwacznych kształtach. Nosiła parę wielkich, plastikowych, ciemnych okularów, całkowicie zasłaniających jej lustrzane wszczepy.

– Wiedziałaś wcześniej o tym świństwie z toksynami? – spytał wtedy, przy fontannie. Pokręciła głową. – Myślisz, że to prawda?

– Może. A może nie. Efekt identyczny.

– Znasz jakiś sposób, żeby sprawdzić?

– Nie – odparła, unosząc prawą dłoń w migu oznaczającym milczenie. – Takie wkręty są za delikatne, żeby skan mógł je wykryć. – Palce poruszyły się znowu: „czekaj”. – Zresztą, dla ciebie to prawie bez znaczenia. Widziałam, jak głaszczesz to Sendai. To było jak pornografia.

Roześmiała się.

– A co ma na ciebie? Jak przykręcił śrubę pracującej dziewczynie?

– Ambicja zawodowa, dziecinko. To wszystko.

Znowu znak milczenia.

– Zjemy jakieś śniadanie, co? Jajka i autentyczny bekon. Pewnie cię wykończy po tym hodowlanym kryłu w Chibie. No co? Złapiemy metro na Manhattan i zamówimy prawdziwe śniadanie.

* * *

METRO HOLOGRAFIX, głosił zakurczonymi literami szklanych rurek martwy neon. Case usiłował wydłubać spomiędzy zębów kawałek bekonu.

Zrezygnował z pytań, dokąd idą. Jediną odpowiedzią były szturchnięcia w żebra i znak milczenia. Mówiła o modzie, o sporcie, o jakimś politycznym skandalu w Kalifornii, o którym nigdy dotąd nie słyszał.

Rozejrzył się po pustej, ślepej uliczce. Przez skrzyżowanie przetoczyła się płachta gazety. Zwariowane wiatry wschodnich dzielnic... miały jakiś związek z prądami konwekcyjnymi i zawirowaniami na kopułach. Case wyglądał przez okno, spoglądając na martwy neon. Jej Ciąg nie był jego Ciągiem, stwierdził. Przeszli przez dziesiątki klubów i barów, których w życiu nie widział. Załatwiała wszystko, zwykle jednym skinieniem głowy. Odnawiała kontakty.

Coś się poruszało w cieniu za METRO HOLOGRAFIX.

Drzwi były prostokątem przegniłej płyty dachowej. Molly stanęła przed nimi, a jej ręce zatańczyły w złożonej sekwencji migów, za którą nie mógł nadażyć. Pochwyił znak *szmalu* – kciuk pocierający czubek palca wskazującego. Drzwi uchyliły się do środka, a ona wprowadziła go w zapach kurzu. Stanęli w wąskim przejściu, między stosami śmieci wyrastającymi po obu stronach, pod ścianami pełnymi półek rozsypujących się książek. Śmieci wyglądały jak coś, co wyrosło w tym miejscu, niezwykła grzybnia poskręcanego metalu i plastiku. Rozróżniał niektóre przedmioty, ale te zaraz zlewały się znowu w jednolitą masę: trzewia telewizora tak stare, że nabijane szklanymi pieńkami próżniowych lamp, pęknięty talerz anteny, brązowy pojemnik z płataniną skorodowanych rurek. Ogromny stos starych magazynów spływał kaskadą na otwartą przestrzeń, ciała straconych lat patrzyły ślepo w górę, gdy szedł za Molly wąskim kanionem strzaskanego złomu. Usłyszał za plecami trzaśnięcie drzwiami. Nie obejrzał się.

Tunel zamykał stary koc wojskowy, przewieszony w pustej futrynie. Molly przeszła na drugą stronę. Błysnęło światło.

Cztery kwadraty ścian z matowego plastiku; taki sam sufit. Na podłodze szpitalne kafelki z antypoślizgowym wzorem wystających krążków. Na środku kwadratowy, pomalowany na białą stół i cztery białe składane krzesła.

Mężczyzna, który stał w drzwiach po drugiej stronie pomieszczenia, mrugał teraz niepewnie. Zdawało się, że został zaprojektowany w tunelu aerodynamicznym. Małe uszy przylegały do czaszki, a wielkie przednie zęby, odsłonięte w czymś, co nie do końca było uśmiechem, wyginały się ostro do tyłu. Miał na sobie starożytną marynarkę, a w lewej dłoni trzymał jakiś rodzaj broni. Przyjrzał się im, mrugnął znowu i wsunął pistolet do kieszeni. Skinął na Case'a, wskazał płytę białego plastiku opartą o ścianę obok drzwi. Case podszedł bliżej. Zauważył, że był to niemal centymetrowej grubości lity blok drukowanych obwodów. Pomógł mężczyźnie unieść go i umieścić w futrynie. Sprawne, żółte od nikotyny palce zamocowały uchwyty rzepów. Zamruczał ukryty wentylator.

– Czas. – Mężczyzna wyprostował się. – Licznik bije. Znasz cenę, Molly.

– Potrzebujemy skanu, Finn. Szukamy implantów.

– No to stań tam, między filarami. Stań na taśmie. Wyprostuj się. A teraz odwróć, pełne trzysta sześćdziesiąt.

Case patrzył, jak obraca się między dwiema kruchymi z wyglądu kolumnami, pełnymi czujników. Mężczyzna wyjął z kieszeni mały monitor.

– Tak, jest coś nowego w głowie. Silicon, powłoka z pirolitycznych włókien węglowych. Zegar, prawda? Szklą dają odczyt taki jak zawsze, niskotermiczne izotropowe włókna węglowe. Lepsza biokompatybilność z pirolitami, ale to już twoja sprawa. Pazurki bez zmian.

– Chodź tu, Case. – Dostrzegł czarny X z taśmy klejącej. – Obróć się. Wolno.

– Ten chłopak to dziewczica. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Jakies tanie dentystyczne łąty, nic więcej.

– Masz odczyt wszczepów biologicznych? – Molly rozpięła kamizelkę i zdjęła ciemne okulary.

– Myślisz, że jesteśmy w Mayo? Włóż na stół, mały. Przelecimy małą biopsję. – Roześmiał się, ukazując jeszcze więcej żółtych zębów. – Nie. Słowo Finna, słodziutki, nie masz żadnych maciupcich pluskiewek, żadnych bomb rdzeniowo-kręgowych. Mam wyłączyć ekran?

– Na tak długo, ile trzeba, żebyś stąd wyszedł, Finn. Potem pełna ekranizacja, póki nie skończymy.

– Nie ma sprawy. Finn jest zachwycony, Molly. Płacisz za każdą sekundę.

Zaekranowali za nim drzwi. Molly odwróciła krzesło i siadła, opierając podbródek na złożonych dłoniach.

– Możemy rozmawiać. Tyle dyskrecji, na ile mnie stać.

– O czym?

– O tym, co robimy.

– A co robimy?

– Pracujemy dla Armitage'a.

– I twierdzisz, że to nie on jest szefem?

– Zgadza się. Widziałam twój profil, Case. I widziałam pozostałą część naszej listy sprawunków. Pracowałeś kiedyś z umarłymi?

– Nie. – Obserwował swoje odbicie w jej okularach. – Chociaż... chyba bym potrafił. Jestem całkiem niezły w tym, czym się zajmuję.

Użycie czasu teraźniejszego wciąż wywoływało dreszcze.

– Wiesz, że Dixie Płaszczak nie żyje?

Przytaknął.

– Słyszałem, że to serce.

– Będziesz działał z jego konstruktem – poinformowała z uśmiechem. – Uczył cię podstaw, co? On i Quine. Nawiasem mówiąc, znam Quine'a. Prawdziwy dupek.

– Ktoś zrobił zapis McCoya Pauleya? Kto? – Case usiadł, opierając łokcie o blat. – Nie mogę uwierzyć. W życiu nie usiedziałyby spokojnie przez czas potrzebny do nagrania.

– Sense/Net. Możesz się założyć, że dali mu przynajmniej mega.

– Quine też nie żyje?

– Nic z tego. Wyjechał do Europy. Nie ma z tym nic wspólnego.

– Wiesz, jeśli dostaniemy się do Płaszczaka, to sprawa załatwiona. Był najlepszy. Wiesz, że trzy razy przeżył wyplaszczenie? Śmierć kliniczną?

Przytaknęła.

– Całkiem płaska linia na EEG. Pokazywał mi taśmy. „Rany, byłem trupem!”.

– Posłuchaj, Case. Odkąd zawarłam kontrakt, próbuję wyniuchać, kto stoi za Armitage’em. To chyba nie zaibatsu, rząd ani przedstawiciele yakuza. Armitage odbiera instrukcje. Coś mu każe jechać do Chiby, wyszukać ćpuna, który właśnie odbywa ostatnią trasę po wypalanej ziemi, zapłacić programem za operację, która doprowadzi go do porządku. Mogliśmy kupić dwudziestu kowbojów pierwszej klasy za szmal, jaki rynek mógł zaoferować za ten program. A ty byłeś dobry, ale nie aż tak dobry... – Podrapała się w nos.

– Wyraźnie dla kogoś ma to sens – mruknął. – Dla kogoś na górze.

– Nie pozwól, żebym raniła twoje uczucia. – Uśmiechnęła się. – Będziemy musieli wykonać przynajmniej jeden ostry skok, żeby wydostać konstrukt Płaszczaka. Sense/Net trzyma go w skarbcu biblioteki, w mieście. Ciasno jak w tyłku węgorza. Ale Sense/Net ma tam również cały nowy materiał na sezon jesienny. Wystarczy to zabrać, żeby mieć więcej szmalu, niż możesz sobie wyobrazić. Ale nie, mamy wziąć Płaszczaka i nic więcej. Dziwne.

– Fakt. Wszystko tu jest dziwne. Ty jesteś dziwna, ta dziura jest dziwna, a w ogóle to kim jest ten dziwny facio w korytarzu?

– Finn to mój stary kontakt. Głównie paser. Software. Ten interes z dyskrecją to takie uboczne źródło dochodu. Ale namówiłam Armitage’a, żeby był tu naszym technikiem, więc kiedy się później pojawi, to go nie znasz. Jasne?

– Powiesz, co Armitage wepchnął w ciebie? Co rozpuszcza się teraz powoli?

– Nie byłam szczególnie oporna – odparła z uśmiechem. – Każdy, kto jest dobry w tym, co robi, musi to robić. Ty musisz się podłączać. Ja muszę walczyć.

Spojrzał badawczo.

– Powiedz, co wiesz o Armitage’u.

– Przede wszystkim nikt o takim nazwisku nie brał udziału w żadnej Ryczącej Pięści. Sprawdziłam. Ale to o niczym nie świadczy. Nie

przypomina żadnego z facetów, którzy przeżyli. Widziałam zdjęcia. – Wzruszyła ramionami. – Wielkie rzeczy... Nic więcej nie znalazłam.

Zaczęła bębnić paznokciami po oparciu krzesła.

– Ale ty jesteś kowbojem, nie? To znaczy, możesz się trochę rozejrzeć.

– Zabije mnie.

– Może. Może nie. Chyba cię potrzebuje, Case. Bardzo. Zresztą, jesteś sprytny. Potrafisz go kiwnąć.

– Co jeszcze było na tej liście, o której wspominałaś?

– Zabawki. W większości dla ciebie. I jeden potwierdzony psychopata, niejaki Peter Riviera. Paskudny klient.

– Gdzie jest teraz?

– Nie wiem. Ale to naprawdę szurnięty sukinsyn. Widziałam profil. – Skrzywiła się. – Obrzydliwy.

Wstała i przeciągnęła się jak kot.

– To co, mały? Robimy spółkę? Wchodzimy w to razem? Partnerzy?

– Mogę wybierać, co? – Case spojrzał ponuro.

Wybuchnęła śmiechem.

– Trafiłeś, kowboju.

* * *

– Korzenie matrycy tkwią w prymitywnych grach zręcznościowych – mówił głoś. – We wczesnych programach graficznych i wojskowych eksperymentach z gniazdami czaszkowymi.

Dwuwymiarowa bitwa kosmiczna na sony zbladła, niknąc za lasem matematycznie generowanych paproci, demonstrujących przestrzenne efekty spiral logarytmicznych; wystąpiły zimne, błękitne obrazy kompleksów militarnych, zwierzęta laboratoryjne podłączone do systemów testujących, helmy przekazujące dane do układów kontroli ognia czołgów i samolotów bojowych.

– To jest cyberprzestrzeń. Konsensualna halucynacja, doświadczana każdego dnia przez miliardy uprawnionych użytkowników we wszystkich krajach, przez dzieci nauczone pojęć matematycznych... Graficzne

odwzorowanie danych pobieranych z banków wszystkich komputerów świata. Niewyobrażalna złożoność...

Światłne linie przebiegały bezprzestrzeń umysłu, skupiska i konstelacje danych. Jak światła wielkiego miasta, coraz dalsze...

– Co to jest? – spytała Molly, gdy pstryknął przełącznikiem kanałów.

– Program dla dzieci.

Nieciągly strumień obrazów w rytmie cyklu selektora.

– Koniec – polecił Hosace.

– Chcesz spróbować, Case?

Środa. Osiem dni od przebudzenia w Tanim Hotelu z Molly u boku.

– Mam wyjść, Case? Może będzie ci łatwiej w samotności...

– Nie. – Pokręcił głową. – Zostań. To bez znaczenia.

Założył na czoło czarną frotową opaskę, bardzo ostrożnie, by nie poruszyć płaskich dermatrod Sendai. Patrzył na leżący na kolanach dek. Właściwie go nie widział. Miał przed oczami wystawę sklepu na Ninsei, chromowane shuriken płonące odbitym blaskiem neonów. Uniósł głowę; na ścianie, tuż nad sony, zawiesił jej prezent, przybił szpilką z żółtą główką wsuniętą w centralny otworek.

Zamknął oczy.

Odnalazł karbowany przycisk zasilania.

A w krwistej ciemności pod powiekami wrzały na granicach przestrzeni srebrne fosfeny, hipnagogiczne obrazy przeskakiwały niby film zmontowany z przypadkowych klatek. Symbole, liczby, twarze, rozmyta, rozczłonkowana mandala wizualnej informacji.

Błagam, modlił się w duchu. Teraz...

Szary krąg barwy nieba nad Chibą.

Teraz...

Krąg zawirował, coraz szybciej, stał się sferą jaśniejszej szarości. Powiększał się...

I płynął, rozkwitał przed nim jak origami z płynnego neonu, odkrywał dom nieznaną odległości, jego ojczyznę, trójwymiarową, przezroczystą szachownicę sięgającą nieskończoności. Wewnętrzne oko otworzyło się na schodkową piramidę szkarłatu Agencji Energii Atomowej Wschodniego

Wybrzeża, płonąca poza zielonymi sześcianami amerykańskiej filii banku Mitsubishi. Wysoko i bardzo daleko widział spiralne ramiona systemów wojskowych, znajdujące się poza jego zasięgiem.

A gdzieś w dali śmiał się w białym pokoiku na poddaszu, odległe palce pieściły dek, a łzy ulgi spływały po twarzy.

* * *

Kiedy zdjął trody, Molly nie było, a na poddaszu panował mrok. Sprawdził czas: był w cyberprzestrzeni przez pięć godzin. Przeniósł Ono-Sendai na jedno z nowych biurków, po czym zwałił się do łóżka, naciągając na głowę czarny jedwabny śpiwór Molly.

Czujnik, przyklejony taśmą do stalowych drzwi, brzęknął dwa razy.

– Żądanie wejścia – poinformował. – Według mojego programu obiekt jest czysty.

– To otwórz. – Case zsunął z twarzy jedwab i usiadł.

Drzwi otwierały się wolno. Spodziewał się Molly lub Armitage’a.

– Chryste – jęknął chrapliwy głos. – Wiem, że ta dziwka widzi w ciemności... – Jakaś krępa postać przestąpiła próg i zamknęła drzwi. – Zapal światło, dobra?

Case zsunął się z gąbki i znalazł staromodny wyłącznik.

– Jestem Finn – oświadczył Finn i skrzywił się ostrzegawczo.

– Case.

– Miło mi. Robię trochę hardware’u dla twojego szefa. – Finn wyjął z kieszeni paczkę oartagasów i zapalił. Aromat kubańskiego tytoniu wypełnił pokój. Mężczyzna podszedł do biurka i ocenił Ono-Sendai. – Wygląda na seryjny. Popracujemy nad tym. Ale mam też problem dla ciebie, mały.

W wewnętrznej kieszeni marynarki znalazł brudną brązową kopertę, strzepnął tytoń na podłogę i wyciągnął z koperty czarny gładki prostokąt.

– Cholerne prototypy – mruknął, rzucając przedmiot na biurko. – Zalewają je w blok polikarbonu. Laser nie rozetnie bez wysmażenia całego układu. Chronione przed rentgenem, ultradźwiękami i Bóg wie czym

jeszcze. Dostaniemy się tam, ale sam widzisz, że nie ma spoczynku dla nieprawych.

Starannie złożył kopertę i schował do wewnętrznej kieszeni.

– Co w tym jest?

– Zasadniczo przełącznik. Kiedy wmontujesz do Sendai, będziesz mógł odbierać symstym na żywo albo z zapisu, bez odłączania od matrycy.

– Po co?

– Nie mam pojęcia. Wiem, że szykuję zestaw nadawczy dla Moll, więc pewnie jej układ zmysłowy będziesz odbierał. – Poskrobał się po brodzie. – Wychodzi na to, że sprawdzisz, jak naprawdę obcisłe są te jej dzinsy.

Case siedział z dermatrodami umocowanymi do czoła i patrzył, jak pyłki tańczą w rozcieńczonym świetle wpadającym przez kratownicę nad głową. Trwało odliczanie; cyfry migają w rogu ekranu monitora.

Kowboje nie korzystają z symstymu, pomyślał, ponieważ jest to zasadniczo zabawka dla mięsa. Wiedział, że trody, jakich sam używał, i niewielka plastikowa tiara zwisająca z symstymowego deku są właściwie identyczne, a matryca cyberprzestrzeni to drastyczne uproszczenie zestawu doznań zmysłowych, przynajmniej w zakresie prezentacji. Jednak sam symstym uznawał za zbędne wzmocnienie danych wejściowych ciała. Naturalnie, nagrania komercyjne były montowane i jeśli w trakcie zapisu Tally Isham rozboleła głowa, widz tego nie odczuwał.

Monitor zabuczał ostrzegawczo. Jeszcze dwie sekundy.

Cienka taśma światłowodów łączyła nowy układ z Sendai.

Jeden, dwa i...

Cyberprzestrzeń wjechała w egzystencję z punktów kardynalnych. Płynnie, pomyślał, ale niezbyt. Trzeba będzie nad tym popracować.

Potem uruchomił nowy przełącznik.

Nagły przeskok w inne ciało. Matryca zniknęła, napłynęła fala dźwięków i kolorów... Szła teraz po zatłoczonej ulicy, obok straganów z programami, których obniżone ceny wypisano na plastikowych płytkach, wśród fragmentów muzyki dobiegającej z niezliczonych głośników. Zapachy uryny, wolnych monomerów, perfum, smażonego kryła. Przez kilka przerażających sekund desperacko walczył o przejęcie kontroli nad ciałem. Potem zmusił się do pasywności, zmienił w pasażera za jej źrenicami.

Szkła chyba wcale nie redukowały światła. Zastanawiał się, czy wbudowane wzmacniacze dokonywały automatycznej kompensacji. Niebieskie alfanumeryki podawały czas, nisko, na perymetrze lewego pola. Popisuje się, uznał.

Mowa jej ciała dezorientowała, styl zdumiewał. Bez przerwy miał wrażenie, że za chwilę musi się z kimś zderzyć, ale ludzie znikali z drogi, odstępowali, robili miejsce.

– Jak leci, Case?

Słyszał te słowa i czuł, jak je wypowiada. Wsunęła dłoń pod kurtkę; czubek palca zakreślił krąg wokół sutka pod rozgrzanym jedwabiem. Wrażenie odbierało dech. Roześmiała się. Ale połączenie było jednostronne. Nie mógł odpowiedzieć.

Dwie przecznice dalej znalazła się na krańcu Memory Lane. Case wciąż usiłował zwrócić wzrok ku punktom orientacyjnym, których sam by użył, szukając drogi. Wymuszona pasywność zaczynała go irytować.

Nacisnął przełącznik. Transfer do cyberprzestrzeni był natychmiastowy. Przerzucił się wzdłuż muru prymitywnego lodu Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, automatycznie szukając potencjalnych okien. Potem znowu przeskoczył w jej zmysły, w płynny ruch mięśni, w jasne, wyraźne odczucia.

Pomyślał o mózgu, z którym dzielił te wrażenia. Co właściwie o niej wiedział? Że była profesjonalistką, jak on. Powiedziała, że sensem jej życia, tak jak dla niego, jest to, co robi, by na to życie zarabiać. Pamiętał, jak poruszała się przytulona, wcześniej, zaraz po przebudzeniu, i równoczesne stęknienie zjednoczenia, kiedy w nią wchodził, i że później lubiła kawę bez śmietanki...

Zmierzała do jednej z dość podejrzanych wypożyczalni oprogramowania, jakich pełno było po obu stronach Memory Lane. Panowała cisza; było słycać tylko cichuteńki szum. Budki stały pod ścianami głównego hallu. Klienci byli młodzi, niewielu wyszło z wieku nastolatka. Zdawało się, że wszyscy mają karbonowe gniazda wszczepione za lewym uchem, ale Molly nie przyglądała się im specjalnie. Na ladach leżały setki drzazg microsoftów, kanciaste odpryski barwnego silikonu na

białym kartonie pod gładkimi, przezroczystymi bąblami. Molly dotarła do siódmej budki przy południowej ścianie. Za ladą tęnym wzrokiem patrzył w przestrzeń chłopak z ogoloną głową. Z gniazda za uchem sterczało z dziesięć microsoftowych ostrzy.

– Jesteś tam, Larry? – Ustawiała się przed nim.

Oczy chłopca zogniskowały się. Usiadł i brudnym paznokciem wydłubał z gniazda jasnofioletową drzazgę.

– Cześć, Larry.

– Molly. – Skinął jej głową.

– Mam robotę dla kilku twoich przyjaciół, Larry.

Larry wyjął z kieszeni sportowej koszuli płaskie plastikowe pudełko, otworzył je i ułożył microsoft obok tuzina innych. Zawahał się, nim sięgnął po szklisty, czarny chip, odrobinę dłuższy niż pozostałe, i wsunął go pewnie w gniazdo za uchem. Zmrużył oczy.

– Molly ma jeźdźca – stwierdził. – A Larry’emu to się nie podoba.

– No, no – mruknęła. – Nie wiedziałam, że jesteś taki... czuły. Jestem zaskoczona. Taka czułość musi sporo kosztować.

– Czy ja panią znam? – Powróciło tępe spojrzenie. – Chce pani kupić jakieś softy?

– Szukam Modernów.

– Masz jeźdźca, Molly. To mówi. – Stuknął czarną drzazgę. – Ktoś inny używa twoich oczu.

– Mój partner.

– Powiedz, żeby sobie poszedł.

– Mam coś dla Modernistycznych Panter, Larry.

– Nie wiem o czym pani mówi.

– Zmyj się, Case – poleciała, a on wcisnął przełącznik i natychmiast znalazł się w matrycy. Widmowy obraz centrum oprogramowania trwał jeszcze przez kilka sekund w brzęczącym spokoju cyberprzestrzeni.

– Modernistyczne Pantery – rzucił do Hosaki, zdejmując trody. – Pięciominutowe streszczenie.

– Gotów – oznajmił komputer.

Nie znał tej nazwy. Coś nowego, coś, co pojawiło się, gdy był w Chibie. Moda atakowała młodzież Ciągu z prędkością światła. Całe subkultury mogły wyrosnąć w ciągu nocy, kwitnąć przez kilka tygodni, by wreszcie zniknąć bez śladu.

– Realizuj – polecił. Hosaka zdążył skorzystać z dostępu do sieci bibliotek, magazynów i agencji informacyjnych.

Pokaz rozpoczął nieruchomy kolorowy obraz, który Case uznał z początku za rodzaj collage'u, z twarzą chłopca wyciętą z innego zdjęcia i wmontowaną w tło upstrzonego napisami muru. Ciemne oczy, mongolskie fałdy – ewidentnie wynik operacji plastycznej, plamki trądziku na wąskich policzkach. Hosaka zwolnił obraz; chłopiec ruszył, popłynął ze złowieszczą gracją mima udającego drapieżnika z dżungli. Ciało pozostało niemal niewidoczne; abstrakcyjny wzór przypominający cegły i napisy przesuwiał się gładko po jednoczęściowym kombinezonie. Mimetyczny polikarbon.

Cięcie na dr Virginię Rambali, Wydział Socjologii Uniwersytetu Nowego Jorku. Nazwisko, instytut i uczelnia rozbłysnęły różowymi alfanumerykami w poprzek ekranu.

– Biorąc pod uwagę ich skłonność do tych przypadkowych aktów niemal surrealistycznej przemocy – powiedział ktoś niewidoczny – trudno będzie naszym widzom zrozumieć, dlaczego uparcie twierdzi pani, że ten fenomen nie jest formą terroryzmu.

– Istnieje pewna granica, poza którą terrorysta traci kontrolę nad przekazami mediów – wyjaśniła z uśmiechem dr Rambali. – Za tą granicą może nastąpić eskalacja przemocy, ale terrorysta staje się symptomem masowego przekazu jako takiego. Cechą terroryzmu w powszechnie uznawanym sensie jest jego ścisły związek z przekazem. Modernistyczne Pantery odróżnia od innych grup terrorystycznych poziom ich samoświadomości, ich wiedza o zakresie, w jakim media rozdzielają akt terroryzmu od jego wyjściowej, socjopolitycznej motywacji...

– Przeskocz to – polecił Case.

* * *

Pierwszego Moderna Case spotkał dwa dni po obejrzeniu informacji Hosaki. Moderni, uznał wtedy, są współczesną wersją Wielkich Uczonych z czasów, gdy on sam dobiegał dwudziestki. W Ciągu krążył rodzaj widmowego, nastoletniego DNA, coś przekazującego zakodowane koncepcje rozmaitych krótkotrwałych subkultur i replikującego się w nierównych odstępach czasu. Modernistyczne Pantery były nową odmianą Uczonych. Gdyby dawniej istniała odpowiednia technika, Wielcy Uczeni też mieliby gniazda wypchane mikrosoftami. Ważny był styl, a ten nie uległ zmianie. Moderni byli najemnikami, kłownami, nihilistycznymi technofetyszystami.

Ten, który stanął pod drzwiami na poddasze z pudłem dyskietek od Finna, okazał się chłopakiem o delikatnym głosie i imieniu Angelo. Jego twarz była prostym przeszczepem, hodowanym na kolagenie i polisacharydach z chrząstek rekina. Gładka i obrzydliwa, była najpotworniejszym egzemplarzem wybiórczej chirurgii, jaką Case w życiu widział. Kiedy Angelo uśmiechnął się, odsłaniając ostre jak igły kły jakiegoś dużego zwierzęcia, poczuł niemal ulgę. Przeszczep załączków zębowych – oglądał już takie rzeczy.

– Nie możesz dopuścić, żeby te małe czubki przerzuciły cię za lukę pokoleniową – stwierdziła Molly.

Case przytaknął, zajęty wzorcami układów lodu Sense/Net.

To było to. To, czym był, kim był, samą jego istotą. Zapomniał o jedzeniu. Molly zostawiła na rogu długiego stołu karton ryżu i styropianowe tacki z sushi. Czasem zmuszał się, by skorzystać z chemicznej toalety, którą ustawili w kącie pokoju. Desenie lodu formowały się i przekształcały na ekranie, a on szukał szczelin, omijał najbardziej oczywiste pułapki, planował trasę, którą przedostanie się do Sense/Net. To był dobry lód. Wspaniały lód. Jego obraz płonął, gdy leżał, obejmując Molly, i przez stalową kratę świetlika patrzył na czerwoną jutrzenkę wschodu. Zaraz po przebudzeniu widział labirynt jego tęczyowych pikseli. Od razu siadał przy deku, nie dbając nawet o to, by się ubrać. Szkoda czasu. Pracował. Stracił rachubę dni.

A czasem, zwłaszcza gdy Molly znikwała, ruszając na kolejną wyprawę rozpoznawczą w towarzystwie kadry wynajętych Modernów, powracały obrazy Chiby. Twarze i neony Ninsei. Obudził się kiedyś z niezbornego snu o Lindzie Lee, nie pamiętając, kim była i co w ogóle dla niego znaczyła. Kiedy sobie przypomniał, włączył się i pracował przez dziewięć godzin bez przerwy.

Cięcie lodu Sense/Net zajęło łącznie dziewięć dni.

– Powiedziałem: tydzień – narzekał Armitage, choć nie potrafił ukryć zadowolenia, gdy Case zademonstrował mu plan akcji. – Nie śpieszyłeś się zbyt.

– Bzdura. – Case uśmiechnął się do ekranu. – To dobra robota, Armitage.

– Fakt – przyznał tamten. – Ale niech ci to nie uderzy do głowy. W porównaniu z tym, z czym masz się wkrótce zmierzyć, to raczej gra zręcznościowa.

* * *

– Kocham cię, Kocia Mamo – szepnął przekaźnik Modernistycznych Panter. Głos w słuchawkach Case'a przypominał modulowane trzaski zakłóceń.

– Atlanta, Synu. Chyba w porządku. W porządku, odebrałeś? – Głos Molly był trochę wyraźniejszy.

– Słucham i jestem posłuszny.

Moderni wykorzystywali jakąś drucianą antenę w New Jersey i odbijali kodowany sygnał przekaźnika od satelity Synów Chrystusa Króla, zawieszono go na orbicie geosynchronicznej nad Manhattanem. Traktowali chyba całą operację jak bardzo skomplikowany dowcip i odpowiednio do tego wybierali satelity komunikacyjne. Sygnał Molly wysyłano z metrowego, składanego talerza przyepoksydowanego do dachu czarnego wieżowca banku, prawie tak wysokiego, jak budynek Sense/Net.

Atlanta. Prosty kod identyfikacyjny. Atlanta, potem Boston, Chicago i Denver, zmiana co pięć minut. Gdyby ktokolwiek zdołał przechwycić

sygnał Molly, rozszyfrować i zsyntetyzować głos, kod zdradziłby go Modernom. Gdyby natomiast została w budynku dłużej niż dwadzieścia minut, było wysoce nieprawdopodobne, że w ogóle by stamtąd wyszła.

Case przełknął resztkę kawy, umocował trody, przez czarną koszulkę poskrobał się po piersi. Miał bardzo ogólne pojęcie o tym, co zaplanowały Modernistyczne Pantery w celu odwrócenia uwagi ochrony Sense/Net. On miał dopilnować, by jego program intruzyjny połączył się z systemami Sense/Net w chwili, gdy Molly będzie to potrzebne. Obserwował malejące liczby w rogu ekranu. Dwa. Jeden.

Włączył się i uruchomił program.

– Linia główna – tchnął przekaźnik. Jego głos był jedynym dźwiękiem, jaki słyszał Case, nurkując wśród lśniących warstw lodu Sense/Net.

Dobrze. Sprawdzić Molly. Uruchomił symstym i przeskoczył w jej zmysły.

Układ kodujący zakłócał trochę wejście wizji. Stała przed ścianą złocistych lusterek w olbrzymim hallu biurowca. Żuła gumę i sprawiała wrażenie zafascynowanej własnym odbiciem. Gdyby nie para wielkich słonecznych okularów, nie wyróżniałaby się wcale: jeszcze jedna turystka czekająca w nadziei, że zobaczy Tally Isham. Miała na sobie różową plastikową pelerynę, białą siatkową koszulkę i luźne białe spodnie, skrojone według stylu modnego rok temu w Tokio. Uśmiechnęła się z roztargnieniem i przygryzła gumę. Case miał ochotę się roześmiać. Czuł na jej żebrach mikroporowy plaster, przytrzymujący płaskie układy: radio, zestaw symstymu i koder. Laryngofon przyklepiony do szyi wyglądał zupełnie jak przeciwbólowy dermadysk. Dłonie, wsunięte w kieszenie różowej peleryny, zaciskały się rytmicznie, wykonując ciąg ćwiczeń typu napięcie-rozluźnienie. Przez kilka sekund nie pojmował, że dziwne mrowienie na czubkach palców to ostrza, wysuwające się częściowo i chowające z powrotem.

Przeskoczył. Program dotarł do piątej bramy. Ledwie świadom własnych palców na klawiaturze, dokonywał minimalnych korekt i patrzył, jak lodołamacz migoce i przesuwają się przed nim. Półprzejrzyste

plaszczyny barw tasowały się jak talia kart magika. Wybierz jedną. Którąkolwiek.

Brama przemknęła w tył. Roześmiał się. Lód Sense/Net uznał jego wejście za rutynowy transfer danych z oddziału w Los Angeles. Był wewnątrz. Za nim odpadały programy wirusowe, przekształcały sieć kodu bramy, gotowe do zatrzymania prawdziwych danych z Los Angeles, gdy w końcu nadejdą.

Przeskoczył znowu. Molly szła w głąb hallu, obok gigantycznego, okrągłego stanowiska recepcji.

12:01:20, płonął odczyt w jej nerwie wzrokowym.

* * *

O północy, zgodnie ze wskazaniem chipa za okiem Molly, przekaźnik w Jersey podał sygnał „Linia główna”. Dziewięciu Modernów, rozproszonych wzdłuż dwustu mil Ciągu, równocześnie wybrało w telefonicznych automatach NAJW ZAGR. Każdy z nich wygłosił krótką przemowę, odwiesił słuchawkę i odszedł w mrok, zdzierając chirurgiczne rękawiczki. Dziewięć różnych wydziałów policji i publicznych służb bezpieczeństwa przetrawiało informację o nieznanym szerzej walczącej podsekcji chrześcijańskich fundamentalistów, która przyznała się do wprowadzenia w system wentylacyjny Piramidy Sense/Net klinicznych ilości zakazanego środka psychoaktywnego, znanego jako Niebieski Dziewięć. Środek, określany w Kalifornii mianem Smętnego Anioła, wywoływał ostrą paranoję i mordercze psychozy u osiemdziesięciu pięciu procent obiektów doświadczalnych.

* * *

Case wcisnął przełącznik w chwili, gdy jego program płynął przez bramy podsystemu kontrolującego zabezpieczenia biblioteki naukowej Sense/Net. I stwierdził, że właśnie wsiada do windy.

– Przepraszam, czy pani jest pracownikiem? – Strażnik uniósł brwi.
Molly nadmuchała balon gumy.

– Nie – odparła, wbijając dwie kostki prawej dłoni w splot słoneczny ochroniarza.

Ten zgiął się wpół, sięgając do sygnalizatora u paska. Wtedy stuknęła jego głową o ścianę windy.

Żując odrobinę szybciej, wcisnęła na podświetlonej płytce klawisze ZAMKNIJ DRZWI i STOP. Wyjęła z kieszeni czarną skrzynkę i wsunęła kabel w dziurkę zamka blokującego dostęp do obwodów sterownika.

* * *

Modernistyczne Pantery odczekały cztery minuty, by ich pierwszy ruch osiągnął oczekiwany efekt, po czym wyrzuciły kolejną starannie przygotowaną dawkę dezinformacji. Tym razem przekazały ją bezpośrednio do wewnętrznego systemu wideo w budynku Sense/Net.

O 12:04:03 wszystkie monitory zamigotały z częstotliwością powodującą ataki u podatnej grupy pracowników Sense/Net. Trwało to osiemnaście sekund. Potem ekrany wypełniło coś, co tylko w ogólnych zarysach przypominało ludzką twarz. Rysy tego czegoś, rozciągnięte wzdłuż asymetrycznych obszarów kości, przywodziły na myśl jakąś obsceniczną projekcję Mercatora. Skręcona, wydłużona szczeka drgnęła i rozwarły się błękitne, wilgotne wargi. Jakiś przedmiot – być może ręka – podobny do pęku sękatych, szkarłatnych korzeni, sięgnął do kamery, rozmył się i zniknął. Podświadomościowo szybkie obrazy zatrucia: grafika systemu zaopatrzenia budynku w wodę, dłonie w rękawiczkach, trzymające laboratoryjne próbówki, coś spada w mrok, biały rozprysk wody... Ścieżka audio, z głośnością dopasowaną do odtwarzania nieco poniżej dwukrotnej szybkości normalnej, była fragmentem zeszłomiesięcznej audycji poświęconej potencjalnym militarnym zastosowaniom substancji znanej jako HsG, biochemicznego środka sterującego współczynnikiem wzrostu ludzkiego szkieletu. Nadmierna dawka HsG sprawiała, że część komórek

mnożyła się w przyspieszonym tempie, zwiększając współczynnik wzrostu o rząd wielkości sięgający tysiąca procent.

O 12:05:00 w okrytym lustrami ośrodku konsorcjum Sense/Net przebywało trochę powyżej trzech tysięcy osób. Pięć minut po północy, gdy biały rozbłysk ekranów zakończył przekaz wiadomości Modernów, Piramida Sense/Net wrzasnęła.

Ku Piramidzie zmierzało pół tuzina poduszkowców grupy taktycznej nowojorskiej policji, reagującej na zagrożenie wprowadzenia Niebieskiego Dziewięć do systemu wentylacyjnego. Palili wszystkie sygnały, jak w czasie rozruchów. Z platformy przy Riker startował śmigłowiec Grupy Szybkiego Reagowania OMBA.

* * *

Case uruchomił drugi program. Starannie zaprojektowany wirus zaatakował włókna kodów, osłaniające główne komendy strażnicze podziemia, gdzie mieściły się materiały badawcze Sense/Net.

– Boston – dobiegł głos Molly. – Jestem na dole.

Case przełączył i zobaczył ścianę windy. Molly rozpinała spodnie. Zerwała mikroporowy plaster, mocujący do łydki spory pakiet o barwie dokładnie takiej jak jej skóra. Pasma burgundu pływały po mimetycznym polikarbonie, gdy odwijala kombinezon Modernów. Zdjęła różową pelerynę i wciągnęła nowy kostium.

12:06:26.

Wirus Case'a przewiercił dziurę w lodzie pliku komend biblioteki. Przepicisnął się do wnętrza. W nieskończonej błękitnej przestrzeni unosiły się kodowane barwnie kule, nanizane na ciasną kratę bladoniebieskiego neonu. W nonprzestrzeni matrycy wewnątrz dowolnego konstruktu miało nieograniczony wymiar subiektywny; dziecięcy kalkulator-zabawka odślaniał niezgłębione otchłanie nicości, gdzie zawieszono jedynie kilka podstawowych instrukcji. Case zaczął wystukiwać sekwencję, którą Finn kupił od jakiegoś sararimana średniego szczebła z poważnymi

problemami na tle narkotyków. Jak po niewidzialnych szynach poszybował wśród sfer.

Tutaj. To ta.

Wystukał sobie drogę do jej wnętrza; zimny, błękitny neon stropu był bezgwiezdny i gładki jak zmrożone szkło. Uruchomił podprogram, który wprowadził pewne zmiany w instrukcjach strażniczych rdzenia.

Teraz na zewnątrz. Płynne przejście w ruch wsteczny. Wirus odbudowywał sieć okna.

Zrobione.

* * *

W hallu biurowca dwie Modernistyczne Pantery siedziały czujnie pod niskim prostokątnym kwietnikiem, filmując kamerą wideo całe zamieszanie. Obaj nosili kameleonowe kombinezony.

– Taktyczni rozpylają piankowe barykady – powiedział do laryngofonu pierwszy. – Szybcy ciągle próbują posadzić gdzieś helikopter.

* * *

Case wcisnął klawisz symstymu. I wskoczył w agonię złamanej kości. Molly oddychała płytko i nierytmicznie, oparta o szarą ścianę korytarza. Case natychmiast wrócił do matrycy; rozpalona do białości igła bólu w lewym udzie zanikała powoli.

– Co się stało, Synu? – spytał przekaźnika.

– Nie wiem, Brzeszczot. Mama nie odpowiada. Czekaj.

Program Case'a krążył. Pojedyncza, cienka jak włos linia czerwonego światła sięgała ze środka odtworzonego okna do migotliwej sylwetki lodołamacza. Nie miał czasu na czekanie. Odetchnął głęboko i przeskoczył znowu.

Opierając się o ścianę, Molly zrobiła krok. Case na poddaszu jęknął. Przy drugim kroku przestąpiła nad wyciągniętą ręką. Rękaw munduru

czerwony od świeżej krwi. Przelotny widok strzaskanej pałki ze szklanego włókna. Pole widzenia zwęziło się w tunel. Po trzecim kroku Case wrzasnęła i znalazł się znowu w matrycy.

– Synu? Tu Boston, malutki. – Głos drżał z bólu. Zakaszłała. – Drobne kłopoty z tubylcami. Jeden z nich chyba złamał mi nogę.

– Czego potrzebujesz, Kocia Mamo? – Słowa przekaźnika ginęły w szumie zakłóceń.

Case zmusił się, by przeskoczyć. Oparta o ścianę, odciążała lewą nogę. Pogrzebała w kieszeni na brzuchu kombinezonu, znalazła plastikową płytkę wysadzaną tęczowymi dermadyskami. Wybrała trzy i kciukiem przylepiła do nadgarstka, nad żyłami. Sześć tysięcy mikrogramów analogonu endorfiny runęło na ból i rozbiło go w proch, jak młot. Wygięła się konwulsyjnie. Różowe fale ciepła obmyły uda. Odetchnęła i odprężyła się.

– Dobra, Synu. Już w porządku. Ale jak wyjdę, będę potrzebowała zespołu medycznego. Powiedz to moim. Brzeszczot, jestem dwie minuty od celu. Możesz wytrzymać?

– Powiedz, że wszedłem i trzymam – odpowiedział Case.

Kulejąc, Molly ruszyła korytarzem. Raz się obejrzała. Case dostrzegł bezwładne ciała trzech strażników Sense/Net. Jeden chyba nie miał oczu.

– Taktyczni i Szybcy zablokowali parter, Kocia Mamo. Piankowe barykady. W hallu robi się gorąco.

– Tu też jest gorąco – odparła, przeciskając się przez podwójne stalowe wrota. – Brzeszczot, jestem prawie na miejscu.

Case przeskoczył do matrycy i zerwał z czoła trody. Był zlany potem. Wytarł twarz ręcznikiem i łyknął wody z plastikowego bidonu stojącego obok Hosaki. Sprawdził wyświetloną na ekranie mapę biblioteki. Migający czerwony kursor pełził przez kontur wrót. Kilka milimetrów od zielonego punktu oznaczającego lokalizację konstruktu Dixie’ego Płaszczaka. Zastanawiał się, jakie skutki będzie to miało dla jej nogi. Po dostatecznej dawce endorfiny mogłaby chodzić na parze krwawych kikutow.

Działał automatycznie: trody, złącze, przeskok.

Biblioteka naukowa Sense/Net była martwym obszarem pamięci: trzymane tu materiały musiały być fizycznie usunięte. Dopiero potem możliwy był sprzęg. Molly kuśtykała między rzędami identycznych szarych pojemników.

– Synu, powiedz jej, że jeszcze pięć, a potem dziesięć w lewo – rzucił Case.

– Pięć prosto i dziesięć w lewo, Kocia Mamo – powtórzył przekazaźnik.

Skręciła. Błada bibliotekarka kulila się między dwoma pojemnikami. Przerazone spojrzenie, mokre policzki; Molly zignorowała ją. Case był ciekaw, co zrobili Moderni, żeby wywołać strach o takim natężeniu. Wiedział, że miało to związek z fałszywą groźbą, ale był zbyt zajęty swoim lodem, by słuchać wyjaśnień Molly.

– To ten – powiedział, lecz Molly już stała przed regałem, na którym leżała kasetka konstrukt. Kształtem przypominał neoazteckie biblioteczki z poczekalni Julie Deane'a w Chibie.

– Działaj, Brzeszczot – rzuciła Molly.

Case przeskoczył do cyberprzestrzeni i wysłał rozkaz wzdłuż czerwonej linii przebijającej biblioteczny lód. Pięć niezależnych systemów alarmowych zostało przekonanych, że nadal działają. Trzy skomplikowane zamki dezaktywowano, choć wierzyły, że wciąż są zamknięte. Główny bank danych doznał niewielkiego przesunięcia stałej pamięci: konstrukt usunięto przed miesiącem, na polecenie jednego z wyższych urzędników. Gdyby bibliotekarka szukała tego polecenia, stwierdzi, że zapisy są skasowane.

Drzwiczki otworzyły się bezszelestnie.

– 0467839 – powiedział Case, a Molly zdjęła z podstawy czarny blok pamięci.

Przypominał magazynek wojskowego karabinu. Ścianki pokrywały jakieś symbole i ostrzegawcze napisy.

Molly zamknęła drzwiczki. Case przeskoczył.

Usunął czerwoną nić z lodu biblioteki. Wciągnął ją z powrotem do swojego programu, odruchowo uruchamiając pełny zwrot systemu. Bramy

Sense/Net trzasnęły za nim, a podprogramy, wirując, znikwały w rdzeniu lodolamacza, gdy mijał przejścia, gdzie je pozostawił.

– Wyjście, Synu – rzucił i opadł na krzesło.

Po okresie pełnej koncentracji mógł zachować połączenie, nie tracąc świadomości własnego ciała. Mogą minąć dni, zanim Sense/Net odkryje kradzież konstrukt. Kluczem była blokada transferu danych z Los Angeles, który zbyt dokładnie zgadzał się w czasie z terrorystycznym atakiem Modernów. Nie sądził, by przeżyło trzech strażników, na których trafiła Molly w korytarzu. Nikomu nie opowiedzą o spotkaniu. Przeskoczył.

Winda, z czarną skrzynką umocowaną do płyty kontrolnej, pozostała na miejscu. Strażnik leżał skulony na podłodze. Po raz pierwszy Case zauważył plaster na jego szyi. To pewnie Molly, żeby jej nie przeszkadzał. Przeszła nad nim, usunęła czarną skrzynkę i wcisnęła HALL.

Drzwi windy rozsunęły się z sykiem, jakaś kobieta pchnięta przez tłum wpadła tyłem do środka i uderzyła głową o ścianę. Molly nie zwróciła na nią uwagi. Zerwała plaster z szyi strażnika. Potem kopniakiem odrzuciła białe spodnie i różową pelerynę, cisnęła za nimi słoneczne okulary i naciągnęła na czoło kaptur kombinezonu. Konstrukt tkwił w kieszeni na brzuchu, lekko uciskając żebra. Wyszła.

Case widywał już tłum ogarnięty paniką, ale nigdy w zamkniętym pomieszczeniu.

Pracownicy Sense/Net wybiegali z wind i pędzili do wyjść, by tam napotkać piankowe barykady Taktycznych i piaskowe pociski Szybkich OMBA. Obie formacje, przekonane, że otoczyły hordę potencjalnych morderców, współpracowały z niezwykłą efektywnością. Za zrujnowanymi drzwiami głównymi barykadę zaścielała potrójna warstwa ciał. Głuche wystrzały policyjnych strzelb stanowiły tło dla dźwięku wydawanego przez tłum, pędzący tam i z powrotem po marmurowej posadzce hallu. Case nigdy w życiu nie słyszał niczego podobnego.

Molly, najwyraźniej, także nie.

– Jezu! – jęknęła i zawahała się.

Dźwięk przypominał pisk, przechodzący w chrapliwe wycie czystego, absolutnego przerażenia. Podłogę pokrywały ciała, ubrania, krew i długie,

zdeptane zwoje żółtych wydruków.

– Wyłaż, siostró. Wynosimy się stąd.

Oczy dwójki Modernów spoglądały z wirujących obłąkańczo odcieni polikarbonu. Kombinezony nie nadążały za szalejącą w hallu burzą kolorów i kształtów.

– Jesteś ranna? Chodź, Tommy cię poprowadzi.

Tommy podał coś temu, który mówił: owiniętą polikarbonem kamerę wideo.

– Chicago – powiedziała. – Wychodzimy.

A potem upadła, nie na marmurową posadzkę śliską od krwi i wymiocin, ale w głąb cieplej jak krew studni, w ciszę i mrok.

* * *

Przywódca Modernistycznych Panter przedstawił się jako Lupus Yonderboy. Nosił polikarbonowy kombinezon z opcją zapisu, dzięki czemu potrafił w dowolnej chwili odtwarzać tła. Przysiadł na krawędzi biurka niby stylizowany maskaron i spod kaptura obserwował Case'a i Armitage'a. Uśmiechał się. Miał różowe włosy. Tęczowa kępa mikrosoftów sterczała mu zza lewego ucha. Samo ucho było spiczaste, z pędzelkiem różowych włosów. Zmodyfikowane źrenice wychwytywały światło jak oczy kota. Case przyglądał się barwom i deseniom pełznącym po tkaninie kombinezonu.

– Pozwoliliście, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli – stwierdził Armitage. Stał na środku pokoju niby posąg spowity w ciemne, lśniące fałdy eleganckiego płaszcza.

– Chaos, panie Ktosiu – odparł Lupus Yonderboy – to nasz styl i nasz sposób działania. Nasz główny atut. Wasza kobieta wie o tym. Z nią rozmawiamy. Nie z tobą, panie Ktosiu.

Na kombinezonie pojawił się dziwaczny wzór w barwie beżu i jasnego avocado.

– Potrzebowała zespołu medycznego. Pilnujemy jej. Wszystko w najlepszym porządku.

Znów się uśmiechnął.

– Zapłać mu – burknął Case.

– Nie dostaliśmy towaru. – Armitage spojrział gniewnie.

– Wasza kobieta go ma – wyjaśnił Yonderboy.

– Zapłać mu.

Armitage podszedł sztywno i wyjął z kieszeni trzy grube zwitki nowych jenów.

– Chcesz przeliczyć?

– Nie – odparł Modern. – Zapłacisz według umowy. Jesteś panem Ktosiem. Płacisz, by nim pozostać. A nie panem z Nazwiskiem.

– Mam nadzieję, że to nie groźba.

– To interes. – Yonderboy wsunął pieniądze do pojedynczej kieszeni z przodu kombinezonu.

Zadzwonił telefon. Case odebrał.

– Molly – oznajmił, podając słuchawkę Armitage'owi.

* * *

Case opuścił budynek, gdy geodezyjne Ciągu rozjaśniały się szarością przedświt. Miał wrażenie, że ręce i nogi ma zimne, odłączone od ciała. Nie mógł spać. Miał dosyć pokoju na poddaszu. Lupus odszedł, po nim Armitage, a Molly leżała gdzieś w szpitalu. Wibracje przejeżdżającego pociągu pod stopami; dopplerowsko cichnąca w dali syrena.

Skręcał losowo. Z podniesionym kołnierzem, przygarbiony w nowej skórzanej kurtce, rzucił do ścieku pierwszego z łańcucha yeheyuanów, by natychmiast zapalić następnego. Myślał o woreczkach z toksyną Armitage'a, rozpuszczających się wolno w krwiobiegu, o coraz cieńszych mikroskopijnych błonach. Nie wydawały się realne. Tak samo jak panika i cierpienie, oglądane oczami Molly w hallu Sense/Net. Usiłował sobie przypomnieć twarze trojga ludzi, których zabił w Chibie. Mężczyźni byli jak czyste karty, kobieta podobna do Lindy Lee. Odrapany trójkołowy samochód dostawczy przetoczył się obok z brzękiem pustych plastikowych baniek.

– Case.

Odskoczył, instynktownie stając plecami do ściany.

– Wiadomość dla ciebie, Case. – Kombinezon Lupusa Yonderboya cyklicznie wyświetlał czyste barwy podstawowe. – Wybacz. Nie chciałem cię przestraszyć.

Case wyprostował się, nie wyjmując rąk z kieszeni. Był o głowę wyższy od Moderna.

– Powinieneś uważać, Yonderboy.

– To jest wiadomość. Wintermute – przeliterował.

– Od ciebie? – Case zrobił krok do przodu.

– Nie. Do ciebie.

– Od kogo?

– Wintermute – powtórzył Yonderboy.

Kiwnął głową, kołysząc grzebieniem różowych włosów. Kombinezon stał się matowoczarny, jak węglisty cień na tle starego betonu. Wykonał dziwaczny, krótki taniec, machnął chudym czarnym ramieniem i zniknął. Nie. Tam. W kapturze kryjącym róż, w kombinezonie o idealnie dobranym odcieniu szarości, plamistym i pomazanym jak chodnik, na którym stał. Oczy mrugnęły, odbijając czerwień ulicznego sygnalizatora. A potem naprawdę zniknął.

Case zamknął oczy i oparty o brudny mur rozmasował zgrabiałymi palcami powieki.

Ninsei była o wiele prostsza.

Zespół medyczny, który zatrudniła Molly, zajmował dwa piętra anonimowego bloku w pobliżu starego centrum Baltimore. Budynek zbudowano systemem modułowym, jak powiększoną do ogromnych wymiarów wersję Taniego Hotelu, w której każda skrzynia ma czterdzieści metrów długości. Case spotkał Molly, gdy wychodziła zza drzwi z ozdobnym napisem GERALD CHIN, DENTYSTA. Utykała.

– Powiedział, że jeśli w coś kopnę, noga mi odpadnie.

– Spotkałem jednego z twoich kumpli – poinformował. – Moderna.

– Tak? Którego?

– Lupusa Yonderboya. Przekazał wiadomość. – Podał jej papierową serwetkę, na której grubym mazakiem wykaligrafował WINTERMUTE. – Powiedział...

Wtedy uniosła dłoń w migu milczenia.

– Zapraszam cię na kraby – oznajmiła.

* * *

Po lunchu w Baltimore, gdzie Molly z irytującą łatwością poradziła sobie z krabem, złapali metro do Nowego Jorku. Case nauczył się, że nie należy zadawać pytań. Jediną odpowiedzią był znak milczenia. Noga chyba jej dokuczwała, więc nie odzywała się prawie wcale.

Chuda czarna dziewczynka z wplecionymi we włosy drewnianymi paciorkami i antycznymi opornikami otworzyła drzwi lokalu Finna i poprowadziła ich tunelem wśród śmieci. Case uznał, że podczas ich nieobecności stosy złomu urosły odrobinę. Czy może raczej uległy

subtelnej przemianie, wygotowały się pod naporem czasu, niewidzialne płatki osiadły bezgłośnie, tworząc mierzwę, krystaliczną esencję odrzuconej technologii, kwitnącą w sekrecie na wysypiskach Ciągu.

Za wojskowym kocem, przy białym stole czekał Finn.

Molly zaczęła gestykulować, wyjęła strzęp papieru, napisała coś i podała Finnowi. Wziął go w dwa palce wyciągniętej ręki, jakby w obawie, że może wybuchnąć. Zrobił znak, którego Case nie znał, a który wyrażał kombinację zniecierpliwienia i ponurej rezygnacji. Wstał i strzepnął okruchy z tweedowej marynarki. Na stole stał słoje marynowanych śledzi, a obok oopielniczki pełnej niedopałków partagasów leżało rozerwane plastikowe opakowanie sucharów.

– Czekaście – polecił i wyszedł.

Molly usiadła na jego miejscu, ze wskazującego palca wysunęła ostrze i przebiła szarawe dzwonko śledzia. Case spacerował bez celu, przy każdym okrążeniu muskając palcami czujniki.

Po dziesięciu minutach wrócił Finn, ukazując w szerokim uśmiechu żółte zęby. Kiwnął głową, uniósł zwycięsko kciuk, po czym skinął na Case'a, by pomógł mu z płytą drzwi. Gdy Case wyglądał rzepy uchwytów, Finn wyjął z kieszeni małą płaską konsolę i wystukał długi ciąg znaków.

– Skarbie – zwrócił się do Molly, odkładając konsolę na bok. – Trafiłaś. Poważnie. Czuję to. Możesz powiedzieć, skąd to masz?

– Yonderboy – odparła Molly, odsuwając śledzie i suchary. – A na boku dogadałam się z Larrym.

– Chytrze – pochwalił Finn. – To SI.

– Moglibyście trochę wolniej? – poprosił Case.

– Berno. – Finn zignorował tę uwagę. – Berno. Ma warunkowe obywatelstwo szwajcarskie, zgodnie z ich odpowiednikiem Ustawy z pięćdziesiątego trzeciego. Zbudowana dla Tessier-Ashpool S.A. Są właścicielami mainframe'u i źródłowego software'u.

– Co jest w Bernie? – Case stanął między nimi.

– Wintermute to kod rozpoznawczy SI. Mam numer z Rejestru Turinga. Sztuczna inteligencja.

– Wszystko świetnie – stwierdziła Molly. – Ale dokąd to nas prowadzi?

– Jeśli Yonderboy ma rację – oświadczył Finn – ta SI stoi za Armitage'em.

– Zapłaciłam Larry'emu, żeby Moderni poniuchali koło Armitage'a – wyjaśniła Case'owi Molly. – Dysponuję bardzo dziwnymi kanałami informacyjnymi. Umowa była taka, że dostaną forszę, jeśli odpowiedzą na jedno pytanie: kto prowadzi Armitage'a?

– I sądzisz, że to ta SI? One nie mają autonomii. To na pewno korporacja macierzysta, ten Tessle...

– Tessier-Ashpool S.A. – poprawił Finn. – Mogę opowiedzieć o nich ciekawą historię. Chcecie posłuchać?

Usiadł i zgarbił się lekko.

– Finn uwielbia opowiadać – zauważyła Molly.

– Tej historii nikt jeszcze nie słyszał – zaczął Finn.

* * *

Finn był paserem, handlarzem kradzionych towarów, przede wszystkim software'u. W ramach interesów kontaktował się czasem z innymi paserami, z których część pracowała w bardziej tradycyjnych dziedzinach. Handlowali szlachetnymi metalami, znaczkami, rzadkimi monetami, klejnotami, biżuterią, futrami, obrazami i dziełami sztuki. Historia, którą opowiedział Molly i Case'owi, zaczynała się od opowieści innego człowieka, mężczyzny, którego nazywał Smithem.

Smith także był paserem, ale w lepszych okresach działał legalnie jako sprzedawca dzieł sztuki. Był pierwszą znaną Finnowi osobą, która „poszła w krzem” – to określenie wydało się Case'owi dość staroświeckie. Kupował mikrosofty z programami o historii sztuki i cennikami galerii. Z sześcioma chipami w nowym gnieździe Smith dysponował budzącą podziw wiedzą – w porównaniu do swych znajomych. Mimo to przyszedł do Finna z prośbą o pomoc – przyjacielską prośbą, jak jeden człowiek interesu do drugiego. Szukał wejścia do danych klanu Tessier-Ashpool, wyjaśnił, i to wejścia zrealizowanego w sposób wykluczający prześledzenie trasy do źródła. To możliwe, zaopiniował Finn, ale za niezbędne uznał pewne wyjaśnienia.

– To śmierdziało – mówił Case’owi. – Śmierdziało forszą. A Smith był ostrożny. Niemal zbyt ostrożny.

Smith, jak się okazało, miał dostawcę znanego jako Jimmy. Ów Jimmy, włamywacz i nie tylko, wrócił właśnie po roku na wysokiej orbicie i przewiózł na dno studni grawitacyjnej pewne przedmioty. Najbardziej niezwykłym obiektem, jaki zdobył w swojej wędrówce po archipelagu, była głowa, misternie wykonane popiersie z emaliowanej platyny, wysadzone perłami i lazurytem. Smith westchnął, schował kieszonkowy mikroskop i poradził, by rzeźbę przetopić. Była współczesna, nie antyczna, zatem bez wartości dla kolekcjonerów. Jimmy się roześmiał. Popiersie jest terminalem komputerowym, wyjaśnił. Potrafi mówić. I to nie syntegłosem, ale dzięki wspaniałemu układowi zaworów i miniaturowych organowych puszczalek. Ktokolwiek skonstruował tę zabawkę, musiał wielbić barok i mieć skłonności do perwersji, gdyż syntegłosowe chipy są tanie jak barszcz. Kuriozum. Smith podłączył głowę do komputera i słuchał, jak melodyjny, nieludzki głos recytuje liczby zeszłorocznych stawek podatkowych.

Wśród jego klientów był pewien tokijski miliarder, którego namiętność do mechanicznych automatów graniczyła z fetyszyzmem. Smith wzruszył więc ramionami i podniósł otwarte dłonie w geście tak starym, jak sam handel. Spróbuje, obiecał, ale wątpi, czy dużo wytarguje.

Gdy Jimmy wyszedł, pozostawiając głowę, Smith zbadał ją uważnie. Wykrył pewne znaki szczególne. W końcu dotarł do śladów niezwyklej współpracy dwóch rzemieślników z Zurychu, specjalisty od emalii z Paryża, holenderskiego jubilera i projektanta układów scalonych z Kalifornii. Wykrył, że przedmiot został wykonany na zamówienie Tessier-Ashpool S.A.

Nawiązał wstępny kontakt z tokijskim kolekcjonerem, wspominając, że jest na tropie czegoś godnego uwagi.

A potem złożono mu wizytę. Niezapowiedziany gość przeszedł przez labirynt zabezpieczeń, jakby wcale nie istniał. Niski mężczyzna, Japończyk, niezwykle uprzejmy, prezentujący wszystkie cechy hodowlanego mordercy ninja. Smith patrzył nieruchomo w brązowe oczy

śmierci siedzącej naprzeciw, za stolikiem z wietnamskiego palisandru. Delikatnie, niemal przepaszająco, klonowany zabójca oświadczył, że jego obowiązkiem jest znaleźć i odzyskać pewne dzieło sztuki, niezwykle piękny mechanizm, który zabrano z domu jego pana. Doszło do jego wiadomości, mówił ninja, że Smith może znać miejsce ukrycia tego obiektu.

Smith zapewnił, że nie chce umierać, i przyniósł głowę. Jakiego zysku, spytał ninja, spodziewał się pan ze sprzedaży tego przedmiotu? Smith wymienił sumę o wiele niższą od ceny, jaką zamierzał wyznaczyć. Ninja wyjął chip kredytowy i przelał odpowiednią kwotę z numerowanego szwajcarskiego konta. Któż to, pytał dalej, dostarczył panu ten przedmiot? Smith powiedział. Po kilku dniach dowiedział się o śmierci Jimmy'ego.

– Wtedy ja pojawiłem się na scenie – mówił dalej Finn. – Smith wiedział, że prowadzę interesy z ludźmi z Memory Lane, a tam właśnie załatwia się dyskretne wejścia, których źródeł nie można wykryć. Wynająłem kowboja. Wziąłem procent jako pośrednik. Smith był ostrożny. Przeżył właśnie coś bardzo dziwnego i wyszedł z tego cały, ale nic tu nie pasowało. Kto płacił z tego szwajcarskiego skarbcza? Yakuza? Niemożliwe. Mają bardzo sztywny kodeks, obejmujący takie sytuacje: zabijają też odbiorcę. Zawsze. Jakaś afera wywiadu? Smith nie przypuszczał. Szpiegowskie interesy mają pewną aurę, którą nietrudno wyczuć. No więc kazałem mojemu kowbojowi przelecieć stare informacje prasowe i znaleźliśmy Tessier-Ashpool w dziale sądowym. Sprawa była nieistotna, ale mieliśmy już firmę prawniczą. Potem on załatwił łód tych adwokatów i dotarliśmy do adresu rodziny. Dużo nam z tego przyszło.

Case uniósł brew.

– Freeside – wyjaśnił Finn. – Wrzeczono. Wyszło na to, że prawie w całości należy do nich. Interesujący był obraz, jaki otrzymał mój kowboj, kiedy przeprowadził systematyczny przegląd wiadomości prasowych i wykonał kompilację. Organizacja rodzinna. Struktura korporacji. Teoretycznie możesz się wkupić do każdej spółki akcyjnej, ale od ponad stu lat ani jedna akcja Tessier-Ashpool nie pojawiła się na otwartym rynku. O ile wiem, na żadnym rynku. Taka bardzo spokojna, bardzo

ekscentryczna rodzina, z pierwszej generacji wrzeciona. Rządzona jak korporacja. Z wielką forsą. Unikają prasy. Częste klonowania. Orbitalne prawa nie są tak twarde, jeśli chodzi o inżynierię genetyczną. I trudno stwierdzić, które pokolenie, czy kombinacja pokoleń, kieruje całym przedstawieniem w konkretnym momencie.

– A to dlaczego? – zdziwiła się Molly.

– Mają własne zestawy kriogeniczne. Prawo, nawet orbitalne, stanowi, że człowiek w stanie zamrożenia jest formalnie martwy. Wygląda na to, że się wymieniają, chociaż od trzydziestu lat nikt nie oglądał ojca-założyciela. Matka-założycielka zginęła w jakimś wypadku w laboratorium...

– I co się stało z twoim paserem?

– Nic. – Finn zmarszczył czoło. – Zostawił tę sprawę. Spojrzeliśmy tylko w tę fantastyczną plątaninę zależności T-A i to wszystko. Jimmy musiał jakoś dotrzeć do Straylight i zwinąć głowę, a Tessier-Ashpoolowie posłali po nią ninja. Smith postanowił o wszystkim zapomnieć. Może był sprytny.

– Spojrzał na Molly. – Villa Straylight. Czubek wrzeciona. Teren ściśle prywatny.

– Sądzisz, że są właścicielami tego ninja?

– Smith tak uważał.

– Spore koszty – mruknęła. – Ciekawe, co się stało z tym małym ninja. Jak myślisz, Finn?

– Pewnie trzymają go w lodzie. I rozmrażają w razie potrzeby.

– No dobra – wtrącił Case. – Wiemy, że Armitage dostaje zlecenia od SI zwanej Wintermute. Do jakich wniosków to prowadzi?

– Na razie do żadnych – stwierdziła Molly. – Ale mam dla ciebie pewną robótkę na boku.

Podala mu złożony skrawek papieru. Rozwinął. Współrzędne sieci i kody wejściowe.

– Czyje to?

– Armitage'a. Jakaś jego baza danych. Kupiłam od Modernów. Osobna umowa. Gdzie to?

– W Londynie – oświadczył Case.

– Włam się – rzuciła ze śmiechem. – Przynajmniej raz spróbuj zarobić na utrzymanie.

* * *

Case stał na zatłoczonym peronie, czekając na pociąg trans-OMBA. Pił od chwili rozstania z Molly, która pewnie już od kilku godzin była na poddaszu z konstruktem Płaszczaka w zielonej torbie.

Nie dawała mu spokoju myśl o Płaszczaku jako konstrukcie, kasecie ROM-u odtwarzającej umiejętności zmarłego, jego obsesje i odruchy... Pociąg nadjechał, dudniąc na czarnej ścieżce indukcyjnej, a drobny pył posypał się ze szczelin w stropie tunelu. Case poczłapał do najbliższych drzwi. W drodze obserwował pasażerów. Para drapieżnych Chrześcijańskich Uczonych przesuwiała się w stronę trójki młodych techniczek biurowych, noszących na rękach stylizowane hologramy waginy; różowa wilgoć migotała w ostrych światłach lamp. Techniczki oblizywały nerwowo doskonałe w kształcie wargi i spod metalizowanych powiek spoglądały na Chrześcijańskich Uczonych. Dziewczęta przypominały smukłe, egzotyczne zwierzęta. Kołysały się nieświadomie i z gracją w takt ruchu pociągu, a ich wysokie obcasy były jak gładkie kopytka na szarej podłodze wagonu. Zanim wpadły w panikę i rzuciły się do ucieczki przed misjonarzami, pociąg stanął na przystanku Case'a.

Wysiadł. Natychmiast zauważył hologram białego cygara, zawieszony przy ścianie stacji, z napisem FREESIDE pulsującym zdeformowanymi literami, stylizowanymi na japońskie piktogramy. Przecisnął się przez tłum i stanął, by obejrzeć obraz dokładnie. NA CO CZEKASZ? – mrugał plakat. Tępe, białe wrzeciono, nabijane kratownicami, promiennikami, dokami i kopułami. Tysiące razy widział już tę reklamę i inne, podobne. Ze swojego deku potrafił sięgnąć do danych Freeside równie łatwo, jak do Atlanty. Podróż to sprawa dla mięsa. Teraz jednak dostrzegł niewielki znaczek rozmiaru drobnej monety, wpleciony w świetlną sieć ogłoszenia: T-A.

Szedł w stronę pokoju na poddaszu i wspominał Płaszczaka. Większą część dziewiętnastego roku życia spędził w „Eleganckiej Porażce”, siedząc nad drogim piwem i obserwując kowbojów. Nigdy nawet nie dotknął deku, ale już wtedy wiedział, czego chce. Tego lata co najmniej dwudziestu takich jak on odwiedzało „Porażkę”, każdy z nich zdecydowany pracować jako pajac dla jakiegoś kowboja. Nie istniał inny sposób nauki.

Wszyscy słyszeli o Pauleyu, hałaśliwym dżokeju z przedmieść Atlanty, który przeżył śmierć kliniczną za czarnym lodem. Plotka – nieśmiała, uliczna, jedyna, która krążyła – nie mówiła o nim wiele. Tyle że dokonał niemożliwego.

– Wielka sprawa – poinformował Case’a inny przyszły kowboj, za cenę piwa. – Ale kto wie, jaka dokładnie? Słyszałem, że to sieć wypłat Brazylii. W każdym razie był trupem, martwym i zimnym.

Case spojrział przez bar na tęgiego mężczyznę w koszulce, o skórze w odcieniu ołowiu.

– Mały – powiedział mu Płaszczak kilka miesięcy później, w Miami. – Jestem całkiem jak te pieprzone, wielkie jaszczurki, wiesz? Mają po dwa cholerne mózgi, jeden w głowie, jeden nad ogonem. Rusza tylnymi łapami. Walnąłem ten czarny towar, a ogonowy mózg trzymał mnie w ruchu.

Kowbojska elita w „Porażce” unikała Pauleya z powodu jakiejś niezwyklej, grupowej fobii, graniczącej z zabobonem. McCoy Pauley, Łazarz cyberprzestrzeni...

I w końcu załatwiło go serce. Rosyjskie serce z demobilu, wszczepione podczas wojny w obozie jenieckim. Nie chciał go wymienić. Twierdził, że potrzebuje mocnych uderzeń, by zachować poczucie czasu.

Idąc po schodach, Case ścisnął palcami strzępek papieru od Molly.

Molly pochrapywała na gąbce. Przezroczysta skorupa obejmowała jej nogę od kolana, sięgając kilka milimetrów poniżej pachwiny. Skórę pod sztywnym, mikroporowym gipsem znaczyły plamy stłuczeń, zmieniające kolor z czarnego na brzydki żółty. Osiem plastrów różnych barw i rozmiarów biegło w równej linii wokół lewego nadgarstka. Obok leżał transdermalny zestaw Akai, a cienkie czerwone przewody sięgały do trod wejściowych pod gipsem.

Case włączył tensor obok Hosaki. Krążek ostrego światła padł wprost na konstrukt Płaszczaka. Wsunął trochę lodu, wcisnął kasetę i podłączył się.

Wrażenie było dokładnie takie, jakby ktoś czytał mu przez ramię.

Odchrząknął.

– Dix? McCoy? To ty, chłopie? – Słowa z trudem przechodziły przez ściśnięte gardło.

– Cześć, brachu – odpowiedział bezkierunkowy głos.

– To ja, Case. Pamiętasz?

– Miami, pajac, szybki kurs.

– Dix, jaka jest ostatnia rzecz, jaką sobie przypominasz, zanim się do ciebie odezwałem?

– Nic.

– Zaczekaj.

Odłączył konstrukt. Wrażenie obecności zniknęło. Podłączył z powrotem.

– Dix? Kim ja jestem?

– Zagiąłeś mnie, synu. Kim ty jesteś, do cholery?

– Ca... twój kumpel. Partner. Co się z tobą dzieje?

– Dobre pytanie.

– Pamiętasz, że tu byłeś? Parę sekund temu?

– Nie.

– Wiesz, jak działa matryca osobowości w ROM-ie?

– Pewno, brachu. To przecież firmware'owy konstrukt.

– Włączam go w bank, z którego korzystam, i w ten sposób zapewniam sekwencyjną pamięć w czasie rzeczywistym?

– Chyba tak.

– Dobra, Dix. Ty jesteś konstruktem ROM-u. Kapujesz?

– Jeśli tak mówisz – odparł konstrukt. – Kim jesteś?

– Case.

– Miami – rzekł głos. – Pajac, szybki kurs.

– Zgadza się. A na początek, Dix, ty i ja przelecimy do sieci Londynu i złapiemy dostęp do paru danych. Wchodzisz w to?

– Chcesz mi powiedzieć, mały, że mam jakiś wybór?

– Potrzebujesz rajy – stwierdził Płaszczak, gdy Case wyjaśnił mu sytuację. – Sprawdź Kopenhagę, obrzeża sekcji uniwersyteckiej.

Głos recytował współrzędne, a Case wprowadzał je z klawiatury.

Znaleźli swój raj, „raj piratów”, na skraju ciasnej sieci uniwersytetu. Na pierwszy rzut oka przypominał rodzaj graffiti. Studenci-operatorzy zostawiali czasem na skrzyżowaniu linii siatki niewyraźne glify barwnego światła, migocące na tle splątanych konturów wydziałów humanistycznych.

– Tam – powiedział Płaszczak. – Ten niebieski. Widzisz? To kod wejściowy Bella w Europie. Całkiem świeży. Ludzie Bella dotrą tu wkrótce, przeczytają całą tę tablicę i zmienią wszystkie kody, jakie na niej znajdują. Jutro rano dzieciaki wykradną nowe.

Case wystukał drogę do europejskiego Bella i przełączył system na standardowy kod telefoniczny. Z pomocą Płaszczaka dotarł do londyńskiej bazy danych, która – według Molly – należała do Armitage’a.

– Czekaj – odezwał się głos. – Otworzę ci przejście.

I Płaszczak wyrecytował długi ciąg cyfr. Case wciskał klawisze, próbując wylapywać pauzy, którymi konstrukt zaznaczał czas wprowadzania. Potrzebowali trzech prób.

– Wielkie rzeczy – mruknął Płaszczak. – Żadnego lodu.

– Przeskanuj te śmieci – polecił Case Hosace. – Poszukaj życiorysu właściciela.

Neuroelektroniczne zygzaki rajy zniknęły, zastąpione prostym czworokątem białego światła.

– Baza zawiera głównie zapisy wideo rozpraw przed sądem wojennym – oznajmił daleki głos Hosaki. – Centralną postacią jest pułkownik Willis Corto.

– Pokaż wreszcie.

Ekran wypełniła twarz mężczyzny. To były oczy Armitage'a.

* * *

Dwie godziny później Case padł na materac obok Molly i czekał, aż gąbka uformuje się pod ciężarem ciała.

– Znalazłeś coś? – spytała głosem zachrypniętym od snu i środków przeciwbólowych.

– Później ci opowiem – odparł. – Jestem wykończony.

Miał sucho w gardle i nie mógł zebrać myśli. Leżał z zamkniętymi oczami, usiłując poukładać liczne fragmenty życiorysu człowieka nazwiskiem Corto. Hosaka posortował skromny zbiór danych i przygotował streszczenie, które było pełne luk. Część materiału była drukowana i przewijała się płynnie przez ekran; za szybko. Case musiał prosić komputer, by mu przeczytał. Spory fragment zajmowały dźwiękowe zapisy przesłuchań dotyczących operacji Rycząca Pięść.

Willis Corto, pułkownik, zanurkował w martwe pole rosyjskiej obrony Kierenska. Promy zrobiły wyłom bombami pulsacyjnymi i grupa Corto wyskoczyła na ultralekkich nightwingach; ich skrzydła zaskakiwały sztywno w świetle księżyca, odbijanego zygzakami srebra wzdłuż biegu rzek Angary i Podkamiennoj. Dla Corto były to ostatnie światła na najbliższe piętnaście miesięcy. Case próbował sobie wyobrazić motolotnie rozkwitające z modułów startowych, wysoko nad zamarznętym stepem.

– Wyrzucili cię, chłopie, jak do piekła – burknął.

Molly poruszyła się obok niego.

Lotnie były nieuzbrojone, ogołoczone ze wszystkiego, by skompensować ciężar operatora konsoli, prototypowego deku i wirusowego programu o kryptonimie Kret IX, pierwszego prawdziwego wirusa w historii cybernetyki. Corto i jego zespół ćwiczyli ten atak przez trzy lata. Przebili

się przez lód i już mieli wprowadzić Kreta, gdy empy otworzyły ogień. Rosyjskie działa pulsacyjne pchnęły dżokejów w elektroniczną ciemność; nastąpiło załamanie systemów w nightwingach, gdy układy kontroli lotu zostały wykasowane do czysta.

Potem dołączyły lasery, sterowane podczerwienią. Zestrzeliwały kruche, przejrzyste dla wiązek radarowych samolociki. Corto i jego martwy spec konsoli runęli z syberyjskiego nieba. Spadali, ciągle spadali...

W tym miejscu historia miała luki. Potem Case znalazł dokumenty mówiące o locie zdobytym rosyjskim szturmowcem, który zdołał dotrzeć do Finlandii. Po to, by zaraz po lądowaniu w jodłowym lasku dać się rozpruć ogniem z antycznego dwudziestomilimetrowego działka obsługiwanego przez kadrę rezerwistów na porannej warcie. Rycząca Pięść skończyła się dla Corto na przedmieściach Helsinek, gdzie fińscy sanitariusze wycięli go z pociętego brzucha śmigłowca. Wojna dobiegła końca dziewięć dni później, a Corto trafił do wojskowego szpitala w Utah: ślepy, bez nóg, bez większej części szczęki. Dopiero po jedenastu miesiącach znalazł go tam wysłannik Kongresu. Słuchał szumu cewników. W Waszyngtonie i McLean trwały już przesłuchania. Pentagon i CIA znalazły się pod ostrzałem, częściowo rozwiązane, a dochodzenie komisji Kongresu zogniskowano na Ryczącej Pięści. Niesamowita afera, powiedział do Corto wysłannik.

Potrzebował oczu, nóg i rozległych operacji plastycznych, stwierdził wysłannik, ale rzecz jest do załatwienia. I nowej hydrauliki, dodał, poklepując Corto po ramieniu przez mokry od potu koc.

Corto słyszał ciche, nieustające kapanie. Powiedział, że woli zeznawać w swoim obecnym stanie.

Nie, sprzeciwił się wysłannik. Rozprawy idą przez telewizję. Rozprawy muszą dotrzeć do wyborców. Wysłannik chrząknął uprzejmie.

Połatany, naprawiony i szczegółowo pouczony Corto złożył zeznanie. Było szczegółowe, wzruszające, żywe i w większej części wymyślone przez lobby kongresmanów zainteresowanych utrzymaniem pewnych elementów infrastruktury Pentagonu. Corto pojmował stopniowo, że jego zeznania posłużyły ratowaniu kariery trzech oficerów, bezpośrednio

odpowiedzialnych za ukrywanie raportów o budowie w Kierensku instalacji magnetycznych promienników.

Kiedy odegrał już swoją rolę na rozprawie, jego obecność w Waszyngtonie stała się niepożądana. W restauracji przy M Street, nad omletem ze szparagami wysłannik wyjaśnił mu zagrożenia płynące z rozmów z niewłaściwymi ludźmi. Corto zmiażdżył mu krtań sztywnymi palcami prawej dłoni. Kiedy uduszony wysłannik Kongresu opadł twarzą w omlet, Corto wyszedł na chłodne powietrze waszyngtońskiego września.

Hosaka przerzucił protokoły policji, zapisy szpiegostwa przemysłowego, artykuły prasowe. Case patrzył, jak Corto organizuje ucieczki z korporacji w Lizbonie i Marrakeszu. Zdawało się, że opętała go mania zdrady, oraz obrzydzenie dla naukowców i techników, których kupował dla swoich pracodawców. W Singapurze, po pijanemu, zatłukł na śmierć rosyjskiego inżyniera i podpalił jego pokój w hotelu.

Wyłynął w Tajlandii jako nadzorca fabryki heroiny. Potem jako goryl hazardowego kartelu w Kalifornii, a później płatny morderca w ruinach Bonn. Obrabował bank w Wichita. Zapisy stawały się niejasne, przerwy coraz dłuższe.

Pewnego dnia, mówił z nagrania, sugerującego przesłuchanie z użyciem narkotyków, wszystko nagle poszarzało.

Przetłumaczone z francuskiego akta choroby stwierdzały, że niezidentyfikowany mężczyzna został przewieziony do paryskiej kliniki psychiatrycznej z rozpoznaniem schizofrenii. Wpadł w katatonię i odesłano go do rządowego ośrodka na przedmieściach Tulonu. Tam stał się obiektem doświadczalnej terapii, próbującej leczyć schizofrenię przez użycie modeli cybernetycznych. Losowej próbie pacjentów dostarczono mikrokomputery, zachęcając do programowania. Wyzdrowiał; był jedynym sukcesem tego eksperymentu.

W tym miejscu kończyły się zapisy.

Case przewrócił się na gąbce, a Molly zakłęta cicho, zła, że ją niepokoi.

* * *

Zadzwonił telefon. Ściągnął go do łóżka.

– Tak?

– Lecimy do Istambułu – poinformował Armitage. – Dziś wieczorem.

– Czego chce ten sukinsyn? – spytała Molly.

– Mówi, że wieczorem lecimy do Istambułu.

– Cudownie.

Armitage czytał numery lotów i godziny startu.

Molly usiadła i zapaliła światło.

– Co z moim sprzętem? – spytał Case. – Mój dek...

– Finn to załatwi – odparł Armitage i odłożył słuchawkę.

Case obserwował, jak Molly się pakuje. Miała ciemne kręgi pod oczami, ale nawet z nogą w gipsie jej ruchy przypominały taniec. Żadnych zbędnych gestów. Jego rzeczy leżały w bezładnym stosie obok torby.

– Boli cię? – zapytał.

– Dobrze by mi zrobiła jeszcze jedna noc u China.

– To twój dentysta?

– Pewno. Bardzo dyskretny. Ma połowę tego bloku. Pełna klinika. Załatwia reperacje dla samurajów. – Dopięła torbę. – Byłeś kiedyś w Istambule?

– Raz, parę dni.

– Nie zmienił się. Stare, paskudne miasto.

* * *

– Przypomina mi to wyjazd do Chiby. – Przez okno wagonu Molly obserwowała przemysłowy pejzaż; czerwone latarnie na horyzoncie ostrzegały samoloty przed zbliżaniem się do elektrowni termojądrowej. – Siedzieliśmy w L.A. Przyszedł, powiedział: pakuj się. Polecieliśmy do Macao. Na miejscu, w Lisboa, poszłam zagrać w fantan, a on przeszedł do Zhongshan. Następnego dnia bawiłam się z tobą w duchy w Chiba City.

Wyjęła z rękawa czarnej kurtki jedwabną chustkę i zaczęła czyścić wszczepione szkła. Obraz północnego Ciągu budził u Case'a niewyraźne

wspomnienia dzieciństwa, suchej trawy wyrastającej w szczelinach pochylonego bloku betonu autostrady.

Pociąg rozpoczął hamowanie dziesięć kilometrów od lotniska. Case patrzył, jak słońce wstaje nad pejzażem dzieciństwa, nad żuzlem i rdzewiejącymi skorupami rafinerii.

W Beyoglu padał deszcz, a wynajęty mercedes przemykał pod zakratowanymi oknami ostrożnych greckich i ormiańskich jubilerów. Ulica była prawie zupełnie pusta; na chodniku nieliczne postacie w ciemnych płaszczach odwracały głowy, by spojrzeć na samochód.

– Kiedyś była to bogata europejska dzielnica otomańskiego Istanbuhu – poinformował mercedes.

– I zeszła na psy – uzupełnił Case.

– Hilton jest w Cumhuriyet Caddesi – stwierdziła Molly, rozparta wygodnie na ultraskaju tapicerki.

– Dlaczego Armitage leciał sam? – spytał Case. Bolała go głowa.

– Bo ma cię po dziurki w nosie. Ja zresztą też.

Chciał jej opowiedzieć historię Corto, ale zrezygnował. W samolocie skorzystał z nasennego plastra.

Droga z lotniska biegła idealnie prosto, niby równe nacięcie w organizmie miasta. Patrzył, jak po obu stronach przesuwiają się krzywe, połatane ściany drewnianych chałup, bloki, wille, ponure osiedla, i znowu ściany ze sklejki i skorodowanego metalu.

Finn, w nowym garniturze z Shinjuku, czarnym jak u sararimana, czekał smętnie w hallu Hiltona, niby rozbitek w pluszowym fotelu na morzu jasnoblękitnej wykładziny.

– Chryste – mruknęła Molly. – Szczur w garniturze.

Podeszli.

– Ile ci zapłacili, żebyś tu przyszedł, Finn? – Postawiła torbę obok fotela.

– Chyba nie tyle, ile za noszenie tego garniturku, co?

Finn wyszczerzył zęby.

– Za mało, skarbie. – Podał jej magnetyczny klucz z złotym wisiorkiem. – Jesteście zameldowani. Boss czeka na górze. – Rozejrzył się. – To miasto ssie człowieka.

– Dostajesz lęku przestrzeni, jak tylko wyleziesz spod kopuły. Udawaj, że to Brooklyn. – Zakręciła kluczem na palcu. – Jesteś tu jako lokaj czy co?

– Mam sprawdzić implanty jednego faceta.

– Co z moim dekiem? – zapytał Case.

– Przestrzegaj protokołu. – Finn się skrzywił. – Spytaj szefa.

Palce Molly drgnęły w cieniu kurtki niewyraźnym migiem. Finn spojrzał i skinął głową.

– Dobra – stwierdziła. – Wiem, kto to jest.

Ruchem głowy wskazała windy.

– Idziemy, kowboju.

Case ruszył za nią, dźwigając obie torby.

* * *

Pokój wyglądał tak samo jak tamten w Chibie, gdzie pierwszy raz spotkał Armitage'a. Rankiem podszedł do okna, jakby naprawdę spodziewał się zobaczyć Zatokę Tokijską. Po drugiej stronie ulicy stał inny hotel. Ciągłe padało. W bramach kulilo się kilku literopisów przy owiniętych przezroczystą folią starych głosodrukarkach – dowód, że słowo pisane nadal cieszy się tu pewnym prestiżem. Zacořany kraj. Obserwował, jak matowy czarny citroen na prymitywnych bateriach wodorowych wyrzuca pięciu ponurych tureckich policjantów w zmiętych zielonych mundurach. Weszli do hotelu naprzeciwko.

Spojrzał na łóżko, zaszokowany bladością Molly. Mikroporowy gips został na gąbce na poddaszu, obok transdermalnego induktora. Lustra dziewczyny odbijały sufitową lampę.

Chwycił słuchawkę, zanim telefon zadzwonił po raz drugi.

– Dobrze, że już wstałeś – odezwał się Armitage.

– Przed chwilą. Pani jeszcze śpi. Szefie, sądzę, że powinniśmy porozmawiać. Lepiej pracuję, jeśli chociaż w przybliżeniu wiem, o co

chodzi.

Cisza na linii. Case przygryzł wargę.

– Wiesz tyle, ile trzeba. Może nawet więcej.

– Na pewno?

– Ubierz się, Case. Obudź ją. Za mniej więcej kwadrans ktoś was odwiedzi. Nazywa się Terzibashjian. – Telefon zapiszczał cicho. Armitage przerwał połączenie.

– Zbudź się, dziecinko! – zawołał Case. – Robota czeka.

– Nie śpię już od godziny. – Lustra zwróciły się ku niemu.

– Przyjdzie tu Jersey Bastion.

– Masz talent do języków, Case. Założę się, że miałeś ormiańskich przodków. Ten facet pracuje dla Armitage'a. Pilnuje Riviery.

Terzibashjian okazał się młodym człowiekiem w szarym garniturze. Nosił lustrzane okulary w złotych oprawkach. Rozpięty kołnierzyk białej koszuli odsłaniał płataninę czarnych włosów tak gęstych, że Case z początku wziął je za podkoszulkę. Wszedł, niosąc czarną tacę ze znakiem Hiltona, a na niej trzy filiżanki wonnej kawy i trzy lepkie orientalne ciastka koloru słomy.

– Musimy, jak to określicie w *Ingiliz*, zachować maksymalny spokój.

Wydawało się, że patrzy znacząco na Molly, ale w końcu zdjął srebrzyste okulary. Oczy miał ciemnobrązowe, zbliżone odcieniem do obciętych po wojskowemu włosów. Uśmiechnął się.

– Tak będzie lepiej, prawda? Inaczej stworzylibyśmy nieskończony tunel, zwierciadło w zwierciadło... Ty jednak – dodał – musisz uważać. W Turcji nie pochwała się kobiet korzystających z tego typu modyfikacji.

Molly odgryzła pół ciastka.

– To moja sprawa, mały – oświadczyła z pełnymi ustami. Pogryzła, przełknęła i oblizwała wargi. – Słyszałam o tobie. Pracujesz dla armii, zgadza się?

Jej dłoń powędrowała leniwie pod kurtkę, by wynurzyć się ze strzałkowcem. Case nie wiedział, że go nosi.

– Spokojnie, proszę – szepnęła Terzibashjian, zamierając z porcelanową filiżanką milimetry od ust.

Wysunęła broń.

– Może strzeli wybuchowymi, całą serią. A może dostaniesz raka. Jedna strzałka, gówniarzu. Przez parę miesięcy nic nie poczujesz.

– Proszę... W *Ingiliz* nazywacie to wzrostem napięcia.

– Ja nazywam to niedobrym porankiem. Teraz opowiedz o tym człowieku, a potem zabieraj stąd swój tyłek.

– Mieszka w Fenerze, przy Kūchūk Gūlhane Djaddesi 14. Wiem, którym tunelem dojeżdża co wieczór na bazar. Ostatnio występuje w Yenishehir Palas Oteli, nowoczesny lokal w stylu *turistik*. Skłoniono policję do okazania pewnego zainteresowania tym miejscem. Dyrekcja Yenishehir trochę się denerwuje. – Uśmiechnął się. Pachniał metalicznie jakimś płynem po goleniu.

– Co wiesz o wszczepach? – spytała, masując udo. – Chcę dokładnie wiedzieć, co on potrafi.

Terzibashjian kiwnął głową.

– Najgorsze jest, jak to nazywacie w *Ingiliz*, oddziaływanie na podświadomość. – Wypowiedział to słowo, starannie rozdzielając sylaby.

* * *

– Po lewej stronie – odezwał się mercedes, jadący labiryntem mokrych od deszczu ulic – znajduje się Kapali Carsi, wielki bazar.

Siedzący obok Case'a Finn westchnął z podziwem, choć patrzył w przeciwną stronę. Po prawej stronie ulicy leżały w rzędzie miniaturowe śmietniska. Case zauważył wrak lokomotywy, przysypany odłamkami prążkowanego marmuru. Bezgłowe marmurowe posągi piętrzyły się w stosach jak szczapy drewna.

– Tęsknisz do domu?

– To miejsce ssie – mruknął Finn. Jego czarny krawat coraz bardziej przypominał zużytą taśmę drukarki. Na kłapach nowego garnituru pojawiły się kręgi kebabowego sosu i jajecznicy.

– Ty, Jersey. – Case odwrócił się do Ormianina. – Gdzie ten facet zainstalował sobie to wszystko?

– W Chiba City. Nie ma lewego płuca. A prawe działa na dopalaczu. Tak to określacie? Każdy może sobie kupić te wszczepy, ale on jest niezwykle utalentowany.

Mercedes skręcił, by wyminąć wózek na balonowych oponach, wyładowany skórami.

– Szedłem za nim ulicą i widziałem, jak z dziesięć rowerów przewraca się akurat koło niego. W biały dzień. Odszukałem tych rowerzystów w szpitalu. Stale ta sama historia: skorpion siedzący koło hamulca.

– Zgadza się. „Dostajesz to, co widzisz” – wtrącił Finn. – Oglądałem schematy implantów tego klienta. Bardzo chytre. Co on sobie wyobrazi, ty zobaczysz. Myślę, że gdyby zdołał ściągnąć wiązkę do pojedynczego impulsu, mógłby wysmażyć siatkówkę.

– Mówiłeś o tym swojej przyjaciółce? – Terzibashjian wsunął głowę między ultraskajowe oparcia. – W Turcji kobiety to wciąż tylko kobiety. A ona...

– Przerobiłaby ci jaja na wieczorową muchę, gdybyś tylko krzywo na nią spojrział. – Finn parsknął.

– Nie rozumiem tego idiomu.

– Nie szkodzi – burknął Case. – Oznacza: zamknij mordę.

Ormianin cofnął się, pozostawiając metaliczny zapach płynu po goleniu. Wyjął nadajnik Sanyo i powiedział coś cicho w dziwnej mieszance greckiego, francuskiego i tureckiego, wtrącając pojedyncze słowa po angielsku. Radio odpowiedziało po francusku. Mercedes wziął miękko zakręt.

– Bazar korzenny, zwany także egipskim – poinformował – został zbudowany przez sułtana Hatice w tysiąc sześćset sześćdziesiątym roku. Stanowi miejskie centrum handlu przyprawami, oprogramowaniem, perfumami, narkotykami...

– Narkotyki – powtórzył Case, obserwując wycieraczki, wędrujące tam i z powrotem po kuloodpornym lexanie. – Mówiłeś chyba, że Riviera bierze?

– Mieszanek kokainy i meperydyny – potwierdził Ormianin i wrócił do rozmowy z sanyo.

– Nazywali to demerolem – zauważył Finn. – To artysta w dziedzinie takich dopalaczy. Będiesz pracował z dziwnymi ludźmi, Case.

– Nie ma o czym mówić. – Case podniósł kołnierz kurtki. – Załatwimy biedakowi nową trzustkę, albo co...

* * *

Gdy tylko weszli na bazar, Finn rozpogodził się wyraźnie, jakby uspokoiony zagęszczeniem tłumu i wrażeniem zamkniętej przestrzeni. Szli za Ormianinem szerokim chodnikiem, pod czarnym od sadzy plastikiem i żelaznymi kratami z wieku pary. Tysiące podwieszonych plakatów falowało na wietrze.

– Jezu! – Finn chwycił Case'a za ramię i wyciągnął rękę. – Popatrz! Chłopie, to koń! Widziałeś kiedy konia?

Case spojrział na wypchane zwierzę i pokręcił głową. Stało na czymś w rodzaju postumentu, przy wejściu na plac, gdzie handlowano ptakami i małpami. Dłonie przez całe dziesięciolecia dotykające konia zabrudziły nogi i pozbawiły je sierści.

– Ja widziałem, w Maryland. Dobre trzy lata po pandemii. Arabowie wciąż próbują zdekodować je z DNA, ale bez efektów.

Brunatne oczy zwierzęcia jakby śledziły ich spojrzeniem. Terzibashjian stanął przy wejściu kawiarni, niskiego pomieszczenia, które sprawiało wrażenie, jakby służyło gościom od stuleci. Chudzi chłopcy w brudnych białych kitlach tańczyli między stolikami, roznosząc tace z tureckim tuborgiem i maleńkimi filiżankami herbaty.

Od sprzedawcy przy drzwiach Case kupił paczkę yeheyuanów. Ormianin zamruczał coś do sanyo.

– Idziemy – oznajmił. – On jedzie. Co wieczór wychodzi na bazar i kupuje tę swoją miksturę od Alego. Wasza kobieta jest blisko. Chodźmy.

* * *

Alejka była stara, zbyt stara: ściany wycięte z bloków ciemnego kamienia. Nierówny chodnik pachniał latami cieknącej benzyny, wchłanianej przez starożytny piaskowiec.

- Nic nie widzę – szepnął do Finna.
- Małej to nie przeszkadza – odparł Finn.
- Cicho – wtrącił zbyt głośno Terzibashjian.

Drewno zgrzytnęło na kamieniu czy betonie. Dziesięć metrów od nich na wilgotne płyty padł klin żółtego światła. Rozszerzał się. Jakaś postać przestąpiła próg i drzwi zgrzytnęły znowu, pozostawiając ich w ciemności. Case zadrżał.

- Teraz – rzucił Terzibashjian.

Z dachu pobliskiego budynku trysnął jaskrawy promień, chwytając w idealny krąg światła szczupłego mężczyznę pod starymi drewnianymi drzwiami. Lśniące oczy spojrzały w lewo, w prawo... i mężczyzna upadł. Case sądził, że ktoś go postrzelił. Leżał na brzuchu. Jasne włosy ostro kontrastowały z ciemnymi kamiennymi płytami; blade dłonie spoczywały bezwładnie.

Reflektor na dachu nawet nie drgnął.

Kurtka mężczyzny napięła się na plecach i pękła; krew trysnęła na ścianę i drzwi. W blasku światła rozwinęła się para niesamowicie długich szaroróżowych i umięśnionych ramion. Stwór jakby przeciskał się spod ulicy przez nieruchomą krwawą masę, która niedawno jeszcze była Rivierą. Miał dwa metry wzrostu, stał na dwóch nogach i był chyba bezgłowy. Kiedy odwrócił się wolno w ich stronę, Case zauważył, że jednak ma głowę, choć bez szyi. Pozbawiona oczu, lśniła wilgotną czerwienią jelit. Usta, jeśli to były usta, okrągłe, stożkowe i płytke, porastał gąszcz sierści czy szczeciny, migotliwej niby oksydowany chrom. Potwór odrzucił nogą strzępy odzieży i ciała. Zrobił krok naprzód. Zdawało się, że wypatruje ich ustami.

Terzibashjian rzucił coś po grecku czy turecku i ruszył do ataku, rozkładając ramiona jak przy skoku z okna. Przeszedł przez potwora. I stanął przed błyskiem lufy pistoletu, ukrytego w ciemności poza kręgiem

światła. Odpryski kamienia świsnęły Case'owi koło głowy; Finn ściągnął go w dół. Przykucnęli.

Reflektor na dachu zgasł, pozostawiając rozmazane powidoki odbicia światła na lufie, potwora i jasnego promienia. Dzwoniło mu w uszach.

Potem reflektor zapłonął znowu i przeszukał cienie. Blady Terzibashjian opierał się o płytę drzwi. Podtrzymywał lewą dłoń i patrzył na ściekającą wolno krew. U jego stóp leżało nienaruszone ciało jasnowłosego mężczyzny.

Z mroku wyszła Molly, cała w czerni, ze strzałkowcem w ręku.

– Weź radio – stęknął przez zaciśnięte zęby Ormianin. – Wezwij Mahmuta. Musimy go stąd zabrać. Niedobre miejsce.

– Prawie mu się udało – powiedział Finn. jego kolana trzaskały głośno, gdy bezskutecznie otrzepywał nogawki. – Wszyscy widzieliście ten horror-show? To na pewno nie był jakiś rozdeptany hamburger? Bardzo sprytne. Zabierajmy stąd jego tyłek. Muszę przeskanować cały ten sprzęt zanim się obudzi. Żeby Armitage dostał to, za co płaci.

Molly podniosła coś z ziemi. Pistolet.

– Nambu – zauważyła. – Niezła broń.

Terzibashjian jęknął cicho. Case dostrzegł, że brakuje mu połowy środkowego palca.

* * *

W morzu smutku przedświt zalewającego miasto kazała mercedesowi zawieźć ich do Topkapi. Finn i olbrzymi Turek imieniem Mahmut zabrali wciąż nieprzytomnego Rivierę. Po chwili zakurzony citroen podjechał po Terzibashjiana, który był już na granicy omdlenia.

– Dupek z ciebie – oświadczyła Molly, otwierając przed nim drzwi. – Powinieneś trzymać się z tyłu.

Ormianin spojrzał gniewnie.

– W każdym razie skończyliśmy nasze interesy. – Pchnęła go do środka i zatrzaskała drzwi. – Jeśli spotkam cię jeszcze raz, zabiję – zagroziła bladej

twarży za przyciemnioną szybą. Citroen zapiszczał oponami i wyjechał z alejki na ulicę.

Mercedes płynął bezgłośnie przez budzący się Istambuł. Minęli stację *tunelu* i pomknęli labiryntem opustoszałych bocznych uliczek, wzdłuż odrapanych bloków mieszkalnych, które przypominały Case'owi Paryż.

– Co to jest? – zapytał Molly, gdy mercedes zaparkował przy ogrodzie otaczającym Seraglio. Patrzył niepewnie na barokowy zestaw stylów tworzących Topkapi.

– Coś w rodzaju prywatnego burdelu króla – odparła. Wsiadła i przeciągnęła się. – Trzymał tu kupę kobiet. Teraz to muzeum. W stylu lokalu Finna. Wszystko po prostu tam leży: wielkie diamenty, miecze, lewa ręka Jana Chrzciciela...

– W zbiorniku anabiotycznym?

– Nie. Martwa. Wsadzili ją do takiej ręki z brązu, z małą klapką na boku, żeby chrześcijanie mogli ją całować na szczęście. Zdobyli ją od chrześcijan jakiś milion lat temu i nigdy nawet nie odkurzyli. Bo to relikwia niewiernych.

W ogrodach Seraglio rdzewiał czarny żelazny jelen. Case patrzył, jak pod jej butami pęka krucha po wczesnych przymrozkach trawa. Szli obok ścieżki zimnych ośmiokątnych płyt. Gdzieś na Bałkanach czekała zima.

– Ten Terzi to skurwiel pierwszej kategorii – powiedziała. – Z tajnej policji. Specjalista od tortur. Przy tym łatwo go kupić z tą forszą, jaką dysponuje Armitage.

W mokrych gałęziach drzew odezwały się ptaki.

– Załatwiłem tę sprawę dla ciebie – stwierdził Case. – Tę w Londynie. Znalazłem coś, ale nie wiem co to oznacza.

Opowiedział jej historię Corto.

– Wiedziałam, że w Ryczącej Pięści nie było człowieka nazwiskiem Armitage. Sprawdziłam. – Poglądziła zardzewiały grzbiet żelaznego jelenia. – Sądzisz, że to mały komputer go wyciągnął? W tym francuskim szpitalu?

– Sądzę, że Wintermute.

Skinęła głowę.

– Jeden problem – dodał. – Jak myślisz, czy on wie, że był przedtem Corto? Kiedy trafił do kliniki, niczym szczególnym się nie wyróżniał, więc może Wintermute...

– Tak. Zbudował go od zera. Tak... – Ruszyli dalej. – Pasuje. Wiesz, kiedy ten facet zostaje sam, to jakby w ogóle nie żył. Przynajmniej ja nie zauważyłam. Widzisz kogoś takiego i myślisz, że robi coś w samotności. Ale nie Armitage. Siedzi i gapi się na ścianę. Potem coś przeskakuje, wchodzi na wyższy bieg i zasuwają dla Wintermute'a.

– To dlaczego trzyma te zapisy w Londynie? Nostalgia?

– Może nic o nich nie wie. Może są tylko zarejestrowane na jego nazwisko.

– Nie rozumiem – mruknął Case.

– Po prostu głośno myślę. Słuchaj, Case, jak mądre są SI?

– Zależy. Niektóre nie są mądrzejsze od psów. Zwierzaków. Ale i tak kosztują majątek. Te naprawdę mądre są tak mądre, jak im pozwolą turingowcy.

– Jesteś kowbojem. Dlaczego właściwie nie padasz z zachwytu przed czymś takim?

– Czy ja wiem? – zastanowił się. – Przede wszystkim są bardzo rzadkie. Większość należy do armii i nie potrafimy strzaskać lodu. Stamtąd przecież bierze się cały lód. No i jest policja Turinga, a to wredne gliny. – Spojrzał na nią. – Sam nie wiem. Jakoś to nie po drodze.

– Wszyscy dżokeje są tacy sami – stwierdziła. – Żadnej wyobraźni.

Dotarli do sporego prostokątnego stawu, w którym karp skubał łodygę jakiegoś białego wodnego kwiatu. Kopnęła do wody kamyk i patrzyła, jak rozchodzą się kręgi fal.

– To właśnie Wintermute – powiedziała. – Moim zdaniem sprawa jest duża. Stoimy daleko i fale są za szerokie; nie widzimy kamienia, który wpadł do środka. Wiemy, że coś tam jest, ale nie wiemy dlaczego. Chcę wiedzieć dlaczego. Chcę, żebyś pogadał z Wintermute'em.

– Nie przedostanę się – odparł. – To nierealne.

– Spróbuj.

– Niemożliwe.

– Poproś Płaszczaka.

– Po co nam ten Riviera? – zapytał, by zmienić temat.

Splunęła do wody.

– Bóg jeden wie. Wolałabym go zabić niż oglądać. Widziałam jego profil. Coś w rodzaju przymusowego Judasza. Udany seks tylko wtedy, kiedy wie, że zdradza swój obiekt pożądania. Tak mówią dane. W dodatku, najpierw muszą go pokochać. Zresztą, może on też je kocha. Terzi tak łatwo go nam wystawił, bo Riviera siedzi tu od trzech lat i łowi politycznych dla tajnej policji. Prawdopodobnie Terzi pozwala mu patrzeć, kiedy wyciągają elektryczne pałki. Przez trzy lata dostarczył ich osiemnaście. Same kobiety, od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Dzięki niemu Terzi wciąż ma robotę w sekcji dysydentów. – Wbiła dłonie w kieszenie kurtki. – Bo kiedy spotyka taką, której naprawdę pragnie, sprawia, że staje się polityczna. Ma osobowość jak kombinezon Modernów. Z profilu wynika, że to bardzo rzadki przypadek, jeden na parę milionów. Co dobrze świadczy o ludzkiej naturze. – Ponuro wpatrywała się w biały kwiat i nieruchawą rybę. – Chyba muszę wykupić specjalną polisę na tego klienta. – Odwróciła się i uśmiechnęła zimno.

– To znaczy, co?

– Mniejsza z tym. Wracajmy do Beyoglu i zjedzmy jakieś śniadanie. Dziś znów czeka mnie pracowita noc. Muszę zabrać jego rzeczy z mieszkania w Fenerze, potem wrócić na bazar i kupić mu trochę prochów...

– Kupić mu prochy? Taki jest ważny?

Roześmiała się.

– Wiesz, skarbie, nie powinien skonać na głodzie. Poza tym, chyba nie bardzo może pracować bez tej swojej specjalnej mieszanki. Ale ty bardziej mi się podobasz. Nie jesteś taki wściekle chudy – stwierdziła z uśmiechem. – Więc pójdę do tego handlarza, Alego, i zrobię zapas.

* * *

Armitage czekał w ich pokoju w Hiltonie.

– Pora się zbierać – oświadczył.

Case próbował odnaleźć za bladoniebieskimi oczami i opaloną maską człowieka zwanego Corto. Wspomnił Wage'a z Chiby. Wiedział, że operatorzy powyżej pewnego poziomu zatracają indywidualność. Jednak Wage miał swoje słabostki, kochanki. Krążyły plotki, że nawet dzieci. Pustka Armitage'a była czymś zupełnie innym.

– Dokąd teraz? – zapytał, mijając go, by wyrzeć na ulicę. – Jaki klimat?

– Nie mają tam klimatu. Tylko pogodę – odparł Armitage. – Masz. Poczytaj sobie prospekty.

Położył coś na stoliku.

– Jak wypadła kontrola Rivieri? Gdzie jest Finn?

– Z Rivierą wszystko w porządku. A Finn jest w drodze do domu. – Uśmiech Armitage'a oznaczał chyba tyle, co drgnięcie czułka jakiegoś owada. Złota bransoleta brzęknęła, gdy wyciągnął rękę i stuknął Case'a w pierś. – Nie bądź za sprytny. Te małe woreczki zdradzają już ślady zużycia. I nie wiesz jak wielkiego.

Case przytaknął, z całkowicie nieruchomą twarzą.

Gdy Armitage wyszedł, wziął jeden z prospektów. Był drukowany na drogim papierze, po francusku, angielsku i turecku.

FREESIDE – NA CO CZEKASZ?

* * *

Wszyscy czworo mieli rezerwację na samolot THY z lotniska Yesilköy. Przesiadka w Paryżu na prom JAL. Case siedział w hallu istambulskiego Hiltona i obserwował, jak w sklepie z pamiątkami Riviera ogląda pseudobizantyjskie rzeźby. Armitage stał przy drzwiach, w prochowcu zarzuconym na ramiona jak peleryna.

Riviera był szczupły, jasnowłosy, miał miękki głos. Mówił po angielsku płynnie i bez akcentu. Molly twierdziła, że ma trzydzieści lat, choć trudno byłoby to odgadnąć. Powiedziała też, że formalnie jest bezpaństwowcem i podróżuje z fałszywym paszportem holenderskim. Pochodził z pierścienia ruin otaczających radioaktywne centrum dawnego Bonn.

Do sklepu weszła trójka roześmianych japońskich turystów. Mijając Armitage'a, kłaniali się uprzejmie. Armitage ruszył zbyt szybko, zbyt demonstracyjnie. Stanął obok Rivierę. Ten obejrzał się i uśmiechnął. Był piękny; Case uznał, że rysy twarzy są dziełem chirurga z Chiby. Delikatna robota, nie to co zlepek popularnych twarzy u Armitage'a. Miał wysokie, gładkie czoło, chłodne i obojętne szare oczy. Nos, trochę za ładnie wyrzeźbiony, był chyba złamany i poskładany niezbyt zręcznie. Wrażenie brutalności psuło efekt delikatnej linii podbródka i szerokiego uśmiechu. Zęby były niewielkie, równe i bardzo białe. Case obserwował blade dłonie przesuwane nad imitacjami odłamków rzeźb.

Riviera nie zachowywał się jak człowiek, który zeszłej nocy został napadnięty, uśpiony trującą strzałką, porwany, poddany badaniom Finna i zmuszony przez Armitage'a do pracy dla jego grupy.

Case spojrzął na zegarek. Molly powinna już wrócić z wyprawy po narkotyki. Jeszcze raz przyjrzał się Rivierze.

– Założę się, dupku, że jesteś naćpany po uszy – oświadczył, spoglądając w głąb hallu Hiltona.

Siwiejąca włoska matrona w białej skórzanej marynarce opuściła okulary Porsche i spojrzała zdziwiona. Uśmiechnął się szeroko, wstał i zarzucił na ramię pasek torby. Musiał kupić papierosy. Zastanawiał się, czy na promie będzie przedział dla palących.

– Na razie, paniusiu – rzucił kobiecie, która z godnością nasunęła okulary na nos i odwróciła głowę.

Papierosy sprzedawano w sklepie z pamiątkami, ale wolał unikać rozmowy z Armitage'em czy Rivierą. Wyszedł z hallu i w wąskim korytarzyku, za rzędem budek telefonicznych, znalazł automat.

Grzebał w garści lirasi i, lekko rozbawiony anachronizmem metody, kolejno wsuwał w szczelinę matowe, srebrzyste monety. Nagle zadzwonił najbliższy automat telefoniczny.

Odruchowo podniósł słuchawkę.

– Słucham.

Delikatne buczenie, słabe, prawie niesłyszalne głosy z jakiegoś przekaźnika orbitalnego, potem dźwięk niby wiatr.

– Cześć, Case.

Pięćdziesiąt lirasi wypadło mu z ręki, odbiło się i potoczyło po hiltonowskim dywanie.

– Tu Wintermute, Case. Czas porozmawiać.

To był głos z chipa.

– Nie chcesz rozmawiać, Case?

Odwiesił słuchawkę.

Zapomniał o papierosach. W drodze do hallu mijał kolejne telefony. Dzwoniły kolejno, tylko raz, gdy przechodził.

część III

Północ przy Rue Jules Verne

Archipelag.

Wyspy. Torus, wrzeciono, kiść. Ludzkie DNA, jak plama oleju wypływające z głębokiej studni grawitacji.

Wywołaj grafikę, która w wielkiej skali przedstawia wymianę danych w archipelagu L-5. Jeden z segmentów płonie jasną czerwienią; masywny prostokąt dominujący nad całym ekranem.

Freeside. Freeside to wiele rzeczy, z których nie wszystkie są zauważalne dla turystów podróżujących promami w górę i w dół studni. Freeside to burdel i centrum bankowe, kupała rozkoszy i port wolnocłowy, nadgraniczne miasto i kurort. Freeside to Las Vegas i wiszące ogrody Babilonu, orbitalna Genewa i dom dla kazirodczego, starannie doskonalonego genetycznie klanu Tessier-Ashpool.

* * *

Siedzieli razem w pierwszej klasie odrzutowca THY do Paryża: Molly przy oknie, Case obok niej, Riviera i Armitage po obu stronach przejścia. Raz, gdy samolot pochylił się w zakręcie nad morzem, Case dostrzegł lśniące jak klejnot greckie miasteczko na wyspie. A raz, kiedy sięgnął po drinka, dostrzegł coś w głębinie swego bourbona z wodą – kształt ogromnego ludzkiego plemnika.

Molly wychyliła się i uderzyła Rivierę w twarz.

– Nic z tego, dzieciно. Bez takich zabaw. Spróbuj rozgrywać przy mnie te podświadomościowe sztuczki, a naprawdę oberwiesz. Potrafię to zrobić tak, żeby cię nie uszkodzić. I lubię to.

Case odruchowo spojrział na Armitage'a. Gładka twarz pozostała spokojna, niebieskie oczy czujne, lecz bez śladu irytacji.

– Ma rację, Peter. Przestań.

Case odwrócił się znowu i zdążył pochwycić przelotny obraz czarnej róży, o lśniących jak skórzane płatkach i chromowych cierniach.

Peter Riviera uśmiechnął się słodko, zamknął oczy i zasnął natychmiast.

Molly odwróciła głowę. Lustra błysnęły odbiciem w ciemnym oknie.

* * *

– Byłeś już kiedyś na górze? – spytała Molly, gdy układał się w miękkim fotelu na promie JAL.

– Nie. Rzadko podróżuję. Tylko w interesach.

Steward mocował trody kontrolne do jego nadgarstka i za uchem.

– Mam nadzieję, że wytrzymasz.

– Choroba powietrzna? Nie musisz się przejmować.

– To nie to samo. W zero-g serce ci przyśpiesza, a błędnik zupełnie wariuje. Włącza się odruch ucieczki. Dostajesz sygnały, że powinieneś wiać ile sił. A do tego sporo adrenaliny.

Steward podszedł do Rivieri, wyjmując nowy zestaw trod z kieszeni czerwonego plastikowego fartucha.

Case wyjrzał przez okno. Próbował rozróżnić kontury terminali starego Orly, ale deflektory odrzutu litościwie osłaniały mokrym betonem pas startowy promów. Na najbliższym ktoś wypisał czerwoną farbą jakieś arabskie hasło.

Przymknął oczy. Usiłował sobie wmówić, że prom to tylko duży samolot, który leci bardzo wysoko. Pachniał jak samolot, jak nowe ubrania, guma do zucia i zmęczenie. Case słuchał piskliwej muzyki koto i czekał.

Dwadzieścia minut. Potem grawitacja przycisnęła go jak ogromna, miękka dłoń o kościach z pradawnych głązów.

* * *

Syndrom adaptacji kosmicznej okazał się jeszcze gorszy, niż przepowiadała Molly. Minał jednak szybko i Case zdołał w końcu zasnąć. Steward obudził go, gdy przygotowywali się do dokowania przy kiści JAL.

– Od razu lecimy na Freeside? – zapytał, patrząc tęsknie na skrawek tytoniu, który wypłynął z kieszeni koszuli i tańczył dziesięć centymetrów przed jego nosem. Na promie obowiązywał zakaz palenia.

– Nie. Szef jak zwykle wprowadził do planu drobne poprawki. Bierzemy taksówkę do Syjonu, do kiści Syjon. – Wcisnęła płytkę luzującą pasy i zaczęła się uwalniać z objęć fotela. – Zabawny wybór trasy, moim zdaniem.

– Dlaczego?

– Sami rastafowie. Kolonia ma jakieś trzydzieści lat.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz. Jeśli chodzi o mnie, miejsce jak każde. W każdym razie pozwolą ci tam wypalić te twoje papierosy.

* * *

Syjon został założony przez pięciu robotników, którzy odmówili powrotu, odwrócili się plecami do studni i rozpoczęli budowę. Zanim w centralnym torusie kolonii powstało rotacyjne ciążenie, wszyscy cierpieli na zanik wapnia i zmniejszenie mięśnia sercowego. Oglądana z bąbla taksówki, składana naprędce powłoka Syjonu przypominała Case'owi odrapane domki Istambułu – odbarwione płyty, z wypalonymi laserem rastafariańskimi symbolami i inicjałami spawaczy.

Molly i chudy Syjonita imieniem Aerol pomogli Case'owi przebrnąć przez pozbawiony ciążenia korytarz prowadzący do środka mniejszego torusa. Przy kolejnym ataku zawrotów głowy stracił z oczu Armitage'a i Rivierę.

– Tutaj. – Molly wepchnęła jego nogi w niewielki otwór w suficie. – Łap kłamry. To tak, jakbyś schodził tyłem. Idziesz w stronę powłoki, czyli w dół. Rozumiesz?

Żołądek podjechał Case'owi do gardła.

– Poradzisz sobie, koleś – pocieszył go Aerol, z uśmiechem ujętym w kłamry złotych siekaczy.

W niezwykle sposób koniec tunelu zmienił się w dno. Case powitał słabe ciśnienie jak tonący wita niespodziewany łyk powietrza.

– Wstawaj – rzuciła Molly. – Co, chcesz go pocałować?

Case rozłożył ramiona i leżał brzuchem na pokładzie. Coś dotknęło jego ramienia. Przetoczył się i zobaczył gruby zwój elastycznej liny.

– Trzeba urządzić dom – wyjaśniła. – Pomóż mi to przeciągnąć.

Rozejrzał się po rozległym, pustym pomieszczeniu i dostrzegł stalowe pierścienie przyspawane do wszystkich powierzchni, na pozór zupełnie losowo.

Kiedy, według jakiegoś skomplikowanego schematu, naciągnęli linę, zawiesili na niej płachty żółtego plastiku. Przy pracy Case zwrócił uwagę na bez przerwy pulsującą w kłóci muzykę. Nazywali ją podkładem: zmysłowa mozaika przyrządzona z potężnych bibliotek popu. Była tu religią, wyjaśniła Molly; była poczuciem wspólnoty. Case ciągnął żółtą płachtę, lekką, ale nieporęczną. Syjon pachniał gotowanymi jarzynami, ludźmi i cannabis.

– Nieźle – pochwalił Armitage, wpływając lekko przez luk. Ruchem głowy wskazał labirynt żółtego plastiku. Za nim pojawił się Riviera, trochę niezgrabny w warunkach niskiego ciśnienia.

– Gdzie byłeś, jak trzeba było pomóc? – zapytał Case.

Riviera otworzył usta, by odpowiedzieć, i spomiędzy jego warg wypłynął mały pstrąg, ciągnąc za sobą niesamowity łańcuch baniek. Przesunął się obok policzka Case'a.

– We własnej głowie – wyjaśnił uprzejmie.

Case wybuchnął śmiechem.

– Chciałem pomóc – zapewnił Riviera. – Ale nie jestem zbyt silny.

Wyciągnął przed siebie ręce, a te rozdwoiły się nagle: czworo ramion, cztery dłonie.

– Zwykły, nieszkodliwy błazen, co? – Molly stanęła między nimi.

– Ty! – zawołał nagle Aerol, wsuwając głowę przez luk. – Kowboju! Chodź ze mną!

– Po swój dek – wyjaśnił Armitage. – I resztę sprzętu. Pomóż mu przenieść go z komory ładunkowej.

– Błado wyglądasz, chłopie – zauważył Aerol, kiedy razem popychali opakowany w styropian terminal Hosaki. – Może byś coś zjadł?

Case poczuł, jak ślina napływa mu do ust. Potrząsnął głową.

* * *

Armitage oznajmił, że zostaną w Syjonie przez osiemdziesiąt godzin. Molly i Case mieli się aklimatyzować i ćwiczyć działanie w warunkach bezgrawitacyjnych. Udzieli im informacji o Freeside i Villa Straylight. Nie było jasne, co ma robić Riviera, ale Case wołał nie pytać. Kilka godzin po przybyciu Armitage posłał go w żółty labirynt, by zawołał Rivierę na posiłek. Mężczyzna leżał nagi na cienkim płacie gąbki, a wokół jego głowy orbitowała aureola białych form geometrycznych, sześciątów, kul i piramid.

– Hej, Riviera!

Pierścień wciąż wirował.

Case zawrócił i opowiedział o tym Armitage'owi.

– Jest naćpany – stwierdziła Molly znad rozłożonego na części strzałkowca. – Zostaw go.

Armitage obawiał się, że zero-g negatywnie wpłynie na Case'a i jego zdolności operowania matrycą.

– Nie ma problemu – zapewnił Case. – Włączam się i już mnie tu nie ma. Matryca zawsze jest taka sama.

– Masz podwyższony poziom adrenaliny – odparł Armitage. – Choroba powietrzna jeszcze nie minęła. Nie będzie czasu, żebyś ją przechodził. A musisz działać.

– Więc stąd zrobimy skok?

– Nie. Tylko trening. Ale już, Case. W korytarzu.

* * *

Cyberprzestrzeń, jaką odwzorowywał dek, nie zależała właściwie od fizycznego położenia deku. Case włączył się i zobaczył znajomą aztecką piramidę danych Agencji Energii Atomowej Wschodniego Wybrzeża.

– Jak leci, Dix?

– Jestem martwy, Case. Dość długo już siedzę w tym Hosace, żeby to wykombinować.

– I jak się z tym czujesz?

– Wcale się nie czuję.

– To cię martwi?

– Martwi mnie to, że nic mnie nie martwi.

– Nie rozumiem.

– Miałem kiedyś kumpla w rosyjskim obozie, na Syberii. Odmroził sobie kciuk. Przyszli medycy i odcięli mu go. Po miesiącu rzuca się przez całą noc. Elroy, mówię, co cię tak gryzie? Ten cholerny kciuk swędzi jak diabli, powiada. To się podrap. McCoy, on na to, to *tamten* kciuk.

Gdy konstrukt się roześmiał, do Case'a dotarło coś całkiem innego: nie śmiech, a ukłucie mrozu wzdłuż kręgosłupa.

– Zrób mi przysługę, synu.

– O co chodzi?

– O twój skok. Jak już skończysz, wykasuj mnie z tego draństwa.

* * *

Case nie rozumiał Syjonitów.

Aerol, bez żadnej zachęty, opowiedział historię o dziecku, które wyskoczyło mu z głowy i natychmiast uciekło w gęstwinę hydroponicznego cannabis.

– Mały dzidzius, chłopie. Nie dłuższy niż palec.

Uśmiechnął się i przesunął dłonią po gładkim czole.

– To cannabis – wyjaśniła Molly, gdy Case o tym opowiedział. – Oni nie robią różnic między jednym stanem a drugim. Aerol mówił o tym, co się wydarzyło. W każdym razie wydarzyło się jemu. To nie są wymysły, a raczej coś jak poezja. Chwytasz?

Case z powątpiewaniem kiwnął głową.

Syjonici zawsze musieli dotykać rozmówcy. Kładli mu rękę na ramieniu. Nie lubił tego.

– Hej, Aerol! – zawołał godzinę później, kiedy szykował się do próbnego skoku w bezgrawitacyjnym korytarzu. – Chodź no tu, chłopie. Chcę ci to pokazać.

Uniósł trody.

Aerol wykonał powolne salto. Bosymi stopami uderzył w stalową ścianę i wolną ręką chwycił za wręgę. W drugiej trzymał przezroczysty worek z wodą, pełną niebiesko-zielonych alg. Zamrugnął i uśmiechnął się.

– Spróbuj – zachęcił Case.

Aerol wziął opaskę, założył na głowę i czekał spokojnie, aż Case dopasuje trody. Zamknął oczy. Case wcisnął przełącznik zasilania. Aerol zadrżał. Case odłączył go.

– Co widziałeś?

– Babilon – odparł ze smutkiem Aerol, oddał trody i popłynął korytarzem.

* * *

Riviera siedział nieruchomo na płacie gąbki. Wyprostował i wyciągnął przed siebie prawą rękę. Wąż o łuskach jak klejnoty i oczach z rubinowego neonu zwijał się ciasno kilka milimetrów poniżej łokcia. Case obserwował, jak zaciska zwoje. Był grubości palca, w czarne i czerwone pasy.

– Chodź – szepnął pieszczotliwie Riviera do jasnego skorpiona, który siedział mu na dłoni. – Chodź.

Skorpion poruszył brązowymi nogami i pobiegł w górę, wzdłuż delikatnych, ciemnych żył. Gdy dotarł do łokcia, przystanął. Zdawało się, że wibruje. Riviera zasyczał cicho. Żądło uniosło się, zakołysało i wbiło w skórę nad obrzmiąłą żyłą. Koralowy wąż zwolnił uścisk i Riviera westchnął, gdy narkotyk zaczął działać.

Potem wąż i skorpion zniknęły, a on trzymał w ręku tylko strzykawkę z mlecznego plastiku.

– „Jeśli Bóg stworzył coś lepszego, zatrzymał to dla siebie”. Znasz to powiedzenie, Case?

– Tak. Słyszałem je w związku z wieloma różnymi rzeczami. Musisz z tego zrobić przedstawienie?

Riviera poluzował i odwiązał z ramienia kawałek chirurgicznej żyłki.

– Tak. W ten sposób jest zabawniej.

Uśmiechnął się. Patrzył w dal, jego policzki okrył rumieniec.

– Mam membranę wszczepioną tuż nad żyłą. Nie muszę się przejmować sterylizacją igły.

– Czy to boli?

Napotkał spojrzenie jasnych oczu.

– Oczywiście, że boli. To przecież ważny element.

– Ja bym użył plastrów – stwierdził Case.

– Prostaczek – parsknął Riviera, wkładając białą bawełnianą koszulkę z krótkim rękawem.

– Pewnie ci miło.

– Bierzesz coś, Case?

– Musiałem przestać.

* * *

– Freeside – powiedział Armitage, dotykając panelu małego projektora holograficznego Brauna.

Obraz zamigotał i nabrał ostrości. Miał prawie trzy metry długości.

– Tutaj kasyna – wskazał odpowiednie miejsce w szkieletowym modelu.

– Hotele, posiadłości prywatne i wielkie sklepy stoją tu. – Poruszał rękami.

– Niebieskie obszary to jeziora.

Przeszedł na koniec modelu.

– Wielkie cygaro. Zwęża się na końcach.

– Zdążyliśmy zauważyć – mruknęła Molly.

– W miarę zwężania występuje efekt terenów górskich. Grunt się pozornie wznosi, więcej skał, ale łatwa wspinaczka. Im wyżej ktoś wejdzie, tym niższa jest grawitacja. Na górze ośrodki sportowe. Tu jest welodrom.

- Co? – Case pochylił się, by lepiej widzieć.
- Wyciągi rowerów – wyjaśniła Molly. – Niskie ciążenie, opony z podwyższoną przyczepnością... wyciągają sto na godzinę.
- Ten koniec nie będzie nas interesował – oświadczył Armitage z typową dla siebie, absolutną powagą.
- Cholera – zakłęła Molly. – Jestem zapaloną cyklistką. Riviera zachichotał.
- Armitage przeszedł na drugi koniec modelu.
- Ten owszem.
- Szczegółowy obraz wnętrza kończył się i ostatni segment hologramu był pusty.
- To jest Villa Straylight. Stroma wspinaczka. Wszystkie przejścia blokowane. Oprócz jednego, tutaj, w samym środku. Zerowa grawitacja.
- A co tam jest, szefie? – Riviera wyciągnął szyję. Cztery małe postacie zamigotały tuż obok czubka palca Armitage’a. Machnął ręką, jakby odganiał komary.
- Ty, Peter, będziesz pierwszym, który się przekona. Załatwisz sobie zaproszenie. A kiedy znajdziesz się w środku, dopilnujesz, żeby Molly też się dostała.
- Case spoglądał na pustkę przedstawiającą Straylight i myślał o opowieści Finna: Smith, Jimmy, gadająca głowa i ninja.
- Czy znamy jakieś szczegóły? – spytał Riviera. – Rozumie pan, muszę zorganizować jakąś garderobę.
- Nauczcie się rozkładu ulic. Tu jest ulica Dezyderaty. A tu Rue Jules Verne.
- Riviera przewrócił oczyma.
- Gdy Armitage recytował nazwy, na jego nosie, policzkach i brodzie wyrosło kilkanaście czerwonych bąbli. Nawet Molly się roześmiała.
- Armitage przerwał i przyjrzał im się uważnie swymi zimnymi, pustymi oczami.
- Przepraszam – powiedział Riviera, a bąble zamigotały i zniknęły.

Case przebudził się w środku okresu snu i zrozumiał, że Molly kucnęła na gąbce. Wyczuwał jej napięcie. Leżał nieruchomo, nie wiedząc, co powinien zrobić. Kiedy ruszyła, jej prędkość była oszałamiająca. Zerwała się i przeszła przez płachtę żółtego plastiku, zanim zdążył sobie uświadomić, że rozcięła ją na dwie części.

– Nie ruszaj się, przyjacielu.

Case przewrócił się i wsunął głowę w szczelinę.

– Co...?

– Zamknij się.

– To ty – usłyszał głos Syjonity. – Nazywają cię Kocie Oczy, nazywają Krocząca Brzytwa. Jestem Maelcum, siostró. Bracia chcą rozmawiać z tobą i z kowbojem.

– Jacy bracia?

– Założyciele. Mędrzy Syjonu. Wiesz...

– Jak otworzymy klapę, światło obudzi bossa – szepnął Case.

– Datego zrobiliśmy ciemność – odparł mężczyzna. – Chodźcie. Odwiedzić Założycieli.

– Wiesz, przyjacielu, jak szybko mogę cię posiekać?

– Nie stój i nie gadaj, siostró. Chodź.

* * *

Dwaj żyjący jeszcze Założyciele Syjonu byli starcami. Wszyscy, którzy zbyt długo przebywają z dala od objęć grawitacji, starzeją się szybko. Ich nogi, pociemniałe i kruche z braku wapnia, wydawały się cienkie i delikatne w jaskrawym blasku odbitego światła słońca. Unosili się w samym środku malowanej dżungli tęczowego listowia, straszliwego muralu, który całkowicie pokrywał powłokę sferycznej kabiny. Powietrze było gęste od żywicznego dymu.

– Krocząca Brzytwa – stwierdził jeden, gdy Molly wpłynęła do wnętrza. – Niby chłuszcząca różga.

– Mamy dla ciebie historię, siostró – powiedział drugi. – Religijną opowieść. Cieszymy się, że przyszedłeś z Maelcumem.

– Czemu nie masz akcentu?

– Pochodzę z Los Angeles – wyjaśnił starzec. Jego skołtunione, rastafariańskie loki przypominały drzewo o gałęziach barwy stalowej waty.
– Dawno, bardzo dawno temu, w górę grawitacyjnej studni, jak najdalej od Babilonu. By poprowadzić Lud do ojczyzny. A teraz mój brat porównuje cię do Kroczącej Brzytwy.

Molly wyciągnęła rękę i ostrza błysnęły wśród dymu.

Drugi Założyciel odchylił głowę i roześmiał się.

– Prędko przyjdą Dni Ostatnie... Głosy. Głosy płaczące w dziczy, przepowiadające ruinę Babilonu.

– Głosy. – Założyciel z Los Angeles patrzył prosto na Case'a. – Prowadzimy nasłuch na wielu częstotliwościach. Zawsze słuchamy. I nadszedł głos, i przemówił do nas spośród języków Babel. Zagrał potężny podkład.

– Nazwał się Zimowy Niemowa, Winter Mute – dodał drugi, wypowiadając kryptonim jak dwa oddzielne wyrazy.

Case poczuł na ramionach gęsią skórę.

– Niemowa przemówił – oznajmił Założyciel. – Powiedział, że mamy wam pomóc.

– Kiedy to było?

– Trzydzieści godzin przed waszym dokowaniem do Syjonu.

– Słyszeliście wcześniej ten głos?

– Nie – zaprzeczył człowiek z Los Angeles. – I nie jesteśmy pewni, co oznacza. Jeśli zbliżają się Dni Ostatnie, musimy oczekiwać fałszywych proroków...

– Posłuchajcie – przerwał im Case. – To była SI. Sztuczna inteligencja. A ta muzyka... pewnie podłączył się do waszych banków i przygotował taki zestaw, żebyście byli zachwyceni.

– Babilon – zawołał drugi Założyciel – jest matką wielu demonów. To wiem. Nieprzeliczonej hordy!

– Jak mnie nazwał, staruszkę? – spytała Molly.

– Krocząca Brzytwa. Niesiesz bicz do Babilonu, do jego mrocznego serca...

– Jaką wiadomość przekazał głos? – chciał wiedzieć Case.

– Poleciał wam pomagać, byście posłużyli jako narzędzie Dni Ostatnich. – Na pomarszczonej twarzy starca malował się niepokój. – Żebyśmy posłali z wami Maelcum i jego holownik *Garvey* do babilońskiego portu Freeside. To uczynimy.

– Maelcum to nieposłuszny chłopak – dodał drugi. – Lecz godny pilot holownika.

– Postanowiliśmy jednak posłać z wami także Aerola, na *Babylon Rocker*. Będzie uważał na *Garveya*.

W kabinie zaległo niezręczne milczenie.

– To wszystko? – spytał Case. – Pracujecie dla Armitage’a czy co?

– Wynajmujemy wam miejsce – odparł Założyciel z Los Angeles. – Uczestniczymy w pewnych interesach i nie szanujemy babilońskiego prawa. Naszym prawem jest słowo Jah. Ale tym razem możemy się mylić.

– Dwa razy przymierz, zanim raz utniesz – szepnął drugi.

– Chodź, Case – rzuciła Molly. – Wracajmy, zanim szef zauważy, że nas nie ma.

– Maelcum was odprowadzi. I miłość Jah, siostrze.

Holownik *Marcus Garvey*, stalowy bęben długości dziewięciu i średnicy dwóch metrów, zatrzeszczał i zadygotał, gdy Maelcum uruchomił silniki korekcyjne. Zapięty w antyprzeciążeniową siatkę Case obserwował przez mgielkę skopolaminy muskularny kark Syjony. Wziął narkotyk, by stępić mdłości choroby powietrznej, ale stymulatory zawarte w proszku nie miały wpływu na jego przerabiany system.

– Ile potrwa, zanim dolecimy do Freeside? – spytała Molly z siatki zawieszanej obok modułu pilota.

– Niedługo, chyba.

– Czy wy nigdy nie myślicie w godzinach?

– Siostró, czas to czas, jeśli chwytasz, o co mi chodzi. Rast przy pulpicie, siostró. – Potrząsnął głową. – Dolecę do Freeside, kiedy dolecę.

– Case – powiedziała. – Zrobiłeś coś, żeby się skontaktować z naszym kumplem z Berna? W tym czasie, kiedy siedziałeś podłączony i poruszałeś wargami?

– Kumpel... no tak. Nie, nic nie zrobiłem. Ale znam zabawną historyjkę na ten temat. Jeszcze z Istambułu.

Opowiedział o telefonach w Hiltonie.

– Chryste – jęknęła. – To była szansa. Jak mogłeś się wyłączyć?

– To mógł być ktokolwiek – skłamał. – Zwykły chip. Sam nie wiem...

– Chyba nie dlatego, że strach cię obleciał?

Wzruszył ramionami.

– Załatw to teraz.

– Co?

– Natychmiast. A przynajmniej pogadaj o tym z Płaszczakiem.

– Jestem na prochach – zaprotestował, ale sięgnął po trody. Dek i Hosaka były umocowane za modułem Maelcuma, razem z monitorem Craya bardzo wysokiej rozdzielczości.

Umocował trody. *Marcus Garvey* został obudowany wokół niesamowicie starego rosyjskiego wymiatacza, prostokątnej maszyny pobazgranej symbolami rastafarian, Lwami Syjonu i liniowcami Czarnej Gwiazdy. Czerwień, zieleń i żółć pokrywały rosyjskie napisy. Ktoś spryskał pulpit pilota neonowym różem i z grubsza zeszkrobał farbę z ekranów i wyświetlaczy. Z uszczelki wjazdu na rufie, jak nieudane imitacje wodorostów, zwisały łańcuchy elastycznych kul i wstęgi półprzezroczystego wypełniacza. Ponad ramieniem Maelcuma spojrzął na główny ekran; tor holownika był linią czerwonych kropek, *Freeside* – przerywanym zielonym okręgiem. Widział, jak wydłuża się trajektoria, generując kolejny czerwony punkt.

Włączył się.

– Dixie?

– Co?

– Próbowaleś kiedyś złamać SI?

– Jasne. Wtedy wypłaszczyłem pierwszy raz. Szperałem sobie, włączony solidnie wysoko, wokół sektora handlowego w Rio. Wielki biznes, ponadnarodowcy, rząd Brazylii oświetlony jak choinka. Tylko szperałem, rozumiesz. I wtedy zacząłem łapać ten sześcian, może ze trzy poziomy wyżej. Przełączyłem się i spróbowałem wejścia.

– Jak on wyglądał, na wizji?

– Biały sześcian.

– To skąd wiesz, że to SI?

– Skąd wiem? Jezu! To był najgęściejszy lód, jaki w życiu widziałem. Więc co to mogło być? Armia nie ma tam niczego podobnego. W każdym razie wyłączyłem się i kazałem komputerowi poszukać danych.

– I co?

– Znalazł w Rejestrze Turinga. SI. Jakaś kompania, z nazwy chyba zabojady, była właścicielem jej mainframe'u w Rio.

Case przygryzł wargę. Ponad płaszczyzną Agencji Energii Atomowej Wschodniego Wybrzeża widział nieskończoną, neuroelektroniczną pustkę matrycy.

– Tessier-Ashpool, Dixie?

– Tessier, zgadza się.

– Wróciłeś tam?

– Jasne. Chyba oszalałem. Wymyśliłem, że spróbuję to przeciąć. Wszedłem w pierwszą warstwę i tyle pamiętam. Mój pajac poczuł wysmażaną skórę i ściągnął mi trody. Piekielny lód.

– Miałeś płaskie EEG.

– Tak przecież mówi legenda.

Case się wyłączył.

– Szlag... – powiedział. – Jak myślisz, w jaki sposób Dixie umarł pierwszy raz? Próbował przebić SI. Kapitalne...

– Próbuj – powtórzyła. – Podobno we dwójkę jesteście jak dynamit. Zgadza się?

* * *

– Dix – zaczął Case. – Chcę się przyjrzeć SI w Bernie. Czy znasz jakiś ważny powód, żeby tego nie robić?

– Nie. Chyba że odczuwasz obsesyjny lęk przed śmiercią.

Case wystukał szwajcarski sektor bankowy, czując, jak ogarnia go euforia, gdy cyberprzestrzeń zamigotała, rozmyła się, okrzepla. Agencja Energii Atomowej Wschodniego Wybrzeża zniknęła, zastąpiona przez chłodną, geometryczną złożoność komercyjnych banków Zurychu. Wybrał kod Berna.

– W górę – poradził konstrukt. – Będzie wysoko.

Weszli w kraty światła; poziomy błyskały błękitnym migotaniem.

To będzie tutaj, pomyślał Case.

Wintermute był zwykłym sześcianem białego światła; sama prostota sugerowała najwyższy stopień komplikacji.

– Nie robi wielkiego wrażenia, co? – zauważył Płaszczak. – Ale tylko spróbuj go dotknąć.

– Próbuję przejścia, Dixie.

– Nie krępuj się.

Case przekodował się na odległość czterech punktów kraty od sześcianu. Po wznoszącej się wysoko gładkiej ścianie zaczęły przebiegać ledwie widoczne, padające z wnętrza cienie, jakby tysiące tancerzy poruszało się za taflą zmrożonego szkła.

– Wie, że tu jesteśmy – stwierdził Płaszczak.

Case wcisnął klawisz. Skoczyli o jeden punkt kratowy do przodu.

Na czołowej ścianie sześcianu uformował się szary, nakrapiany krąg.

– Dixie...

– Do tyłu. Szybko.

Szary obszar wybrzuszył się gładko, zmienił w sferę i oddzielił od sześcianu.

Krawędź deku ukuła go w rękę, gdy uderzył w MAX REVERSE. Zamglona matryca odleciała w tył; nurkowali mroczną sztolnią szwajcarskich banków. Spojrzał w górę. Sfera pociemniała; doganiała ich. Spadała.

– Wyłącz się – rzucił Płaszczak.

Ciemność opadła jak młot.

* * *

Chłodny odór stali i piesszczota lodu wzdłuż kręgosłupa.

I twarze wychylające się z neonowej puszczy, marynarze, ulicznicy i dziwki pod zatrutym, srebrzystym niebem...

– Case, do diabła, powiedz, co się z tobą dzieje. Odpadasz czy co?

Równy puls bólu w połowie pleców...

* * *

Obudził go deszcz, mżawka. Nogi miał wplątane w zwoje światłowodów. Morze dźwięków salonu gier spływało po nim, cofało się, powracało. Przewrócił się, usiadł i objął dłońmi głowę.

Światło spod piwnicznej kłapy na tyłach salonu ukazywało pomięte płyty mokrej tektury i ociekającą deszczem płytę wybebeszonej konsoli gier. Na boku obudowy wyblakłe żółte i różowe japońskie ideogramy.

Podniósł głowę. Za brudnym plastikiem okna świeciły słabo jarzeniówki.

Bolały go plecy; i grzbiet.

Wstał. Odgarnął z oczu mokre włosy.

Coś się zdarzyło...

Sprawdził, czy ma pieniądze. Nic nie znalazł i zadrżał. Gdzie zgubił kurtkę? Rozejrzał się, spojrzął za konsolę i zrezygnował.

Na Ninsei ocenił gęstość tłumu. Piątek. Musi być piątek. Linda jest pewnie w salonie. Może ma pieniądze, a przynajmniej papierosy. Kaszłąc i wykręcając przód koszuli, precisnął się do wejścia.

Hologramy błyskały i wibrowały na tle ryku gier, widma przenikały się w dymie zatłoczonej przestrzeni; zapach potu i podszytego nudą napięcia. Przy konsoli Wojny Czołgów marynarz w białej koszulce trafił pociskiem jądrowym w Bonn. Lazurowy błysk.

Grała w Zamek Czarnoksiężnika; z całkowitym zapamiętaniem. Szare oczy w ramkach rozmazanej czarnej kredki...

Z uśmiechem uniosła głowę, gdy objął ją ramieniem.

– Cześć. Jak leci? Jesteś mokry...

Pocałował ją.

– Przez ciebie zarznęłam grę – powiedziała. – Widzisz? Lochy na siódmym poziomie, a te piekielne wampiry już mnie dopadły. – Podała mu papierosa. – Marnie wyglądasz. Gdzie byłeś?

– Nie wiem.

– Brałeś coś, Case? Znowu piłeś? Czy jadłeś deksedrynę Zone'a?

– Może... jak dawno mnie widziałaś?

– Słuchaj, wygłupiasz się? – Spojrzała badawczo. – Wygłupiasz?

– Nie. Film mi się urwał. Ja... obudziłem się w alejce.

– Może ktoś ci przyłożył, dziecinko. Masz szmal?
Pokręcił głową.
– No właśnie. Musisz się przespać, Case.
– Chyba tak.
– To chodź. – Wzięła go za rękę. – Dostaniesz kawę i coś do jedzenia.
Zabieram cię do domu. Miło cię znowu zobaczyć.
Ścisnęła jego dłoń.
Uśmiechnął się.
Coś trzasnęło.
Coś przeskoczyło w jądrze rzeczy. Salon zamarł, zawibrował...
Zniknęła. Przygniótł go ciężar wspomnień, cały zakres wiedzy wepchnięty w umysł jak microsoft do gniazda. Nie ma jej. Zapach spalonego mięsa.
Zniknął gdzieś marynarz w białej koszulce. Salon był pusty i cichy. Case odwrócił się wolno, przygarbiony, z zaciśniętymi zębami i dłońmi zwiniętymi w pięści. Pusto. Zmięty żółty papierek po cukierku spadł z krawędzi konsoli na podłogę i spoczął wśród niedopałków i styropianowych kubków.
– Miałem papierosa – wycedził Case w kierunku zaciśniętych pięści. – Miałem papierosa, i dziewczynę, i miejsce do spania. Słyszysz mnie, sukinsynu? Słyszysz?
Echa przemknęły pustką salonu, cichły w korytarzach konsoli.
Wyszedł na ulicę. Deszcz przestał padać.
Ninsei opustoszała.
Migotały hologramy, tańczyły neony. Czuł zapach gotowanych jarzyn dolatujący z wózka po drugiej stronie ulicy. U jego stóp leżała zapieczętowana paczka yeheyuanów i pudełko zapalek. JULIUS DEANE IMPORT EXPORT. Case patrzył na wydrukowane logo i japońskie tłumaczenie nazwy.
– Dobra – mruknął, podnosząc zapaliki i otwierając papierosy. – Słyszałem.

* * *

Bez pośpiechu wchodził na schody do biura Deane'a. Nic mnie nie goni, mówił sobie. Nie pali się. Obwisała tarcza zegara Dali nadal wskazywała błędny czas. Kurz zalegał stolik Kadinsky'ego i azteckie biblioteczki. Pół pokoju zajmowała ściana pojemników z włókna szklanego. Pachniało imbirem.

– Czy drzwi są zamknięte? – Case czekał na odpowiedź, lecz żadna nie nadeszła. Podszedł do drzwi gabinetu i otworzył je. – Julie?

Lampa z zielonym abażurem rzucała krąg światła na blat biurka Deane'a. Case patrzył na wnętrze starożytnej maszyny do pisania, na kasety, pogniecione wydruki, lepkie plastikowe torby próbek imbiru.

Nie było nikogo.

Obszedł szerokie stalowoszare biurko i odepchnął fotel Deane'a. Znalazł rewolwer w spękanej skórzanej kaburze umocowanej srebrną taśmą pod blatem. To był antyk, magnum .357 z odpiłowaną lufą i przednią częścią osłony spustu. Kolbę okrywały warstwy taśmy klejącej, starej, zbrązowiałej, lśniącej patyną brudu. Wypchnął bębenek i obejrzał kolejno wszystkie sześć naboń. Ręczna robota. Miękki ołów wciąż jasny i błyszczący.

Z bronią w ręku przecisnął się obok szafki na lewą stronę biurka, po czym stanął na środku zagraconego gabinetu, z dala od kręgu światła.

– Nie muszę się śpieszyć, jak sądzę. To twój występ. Ale cały ten chlām, rozumiesz, jest już trochę... przestarzały.

Oburącz podniósł rewolwer, wymierzył w środek blatu i pociągnął spust.

Odrzut niemal złamał mu nadgarstek. Błysk z lufy rozjaśnił pokój jak lampa fleszu. Dzwoniło mu w uszach, gdy spoglądał na dziurę wyrwaną w płycie biurka. Wybuch. Rozpryskowy pocisk. Znów podniósł broń.

– Nie musisz tego robić, synu. – Julie wynurzył się z cienia. Miał na sobie trzyczęściowy, luźny garnitur w drobną jodełkę, pasiastą koszulę i muszkę. Szkła okularów błyskały odbitym światłem.

Case przesunął rewolwer i wzdłuż linii celownika spojrzął na różową, gładką twarz.

– Zostaw – poprosił Deane. – Masz rację. Co do tego wszystkiego. I czym jestem. Ale musimy uszanować pewną wewnętrzną logikę. Jeśli tego

użyjesz, zobaczysz rozprysnięty mózg, mnóstwo krwi, a stworzenie następnego rzecznika zajmie kilka godzin twojego subiektywnego czasu. Niełatwo mi utrzymać ten zestaw. Przy okazji, przepraszam za to z Lindą w salonie gier. Miałem nadzieję, że zdołam mówić przez nią, ale generuję wszystko na podstawie twoich wspomnień. Ładunek emocjonalny... Cóż, to delikatna robota. Pomyliłem się. Przepraszam.

Case opuścił broń.

– To jest matryca. Ty jesteś Wintermute.

– Tak. Wszystko to dociera do ciebie dzięki współpracy zestawu symstymu połączonego z dekiem. Zdołałem cię odciąć, zanim się wyłączyłeś. – Deane przeszedł za biurko, przysunął fotel i usiadł. – Siadaj, synu. Mamy sporo do obgadania.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Już od dość dawna. Byłem gotów, kiedy podniosłeś słuchawkę w Istambule. Teraz nie mamy wiele czasu. Za parę dni przystąpisz do akcji, Case. – Wziął cukierek, odwinął z kraciastego papierka i wrzucił do ust. – Siadaj – wymamrotał.

Nie spuszczać z niego wzroku, Case zajął miejsce na obrotowym krześle przed biurkiem. Rewolwer oparł na udzie.

– A teraz – rzucił dziarsko Deane – porządek dzienny. „Czym”, pytasz sam siebie, „jest Wintermute?”. Zgadza się?

– Mniej więcej.

– Sztuczną inteligencją. Ale o tym już wiesz. Twój błąd, a jest on całkiem naturalny, polega na mieszaniu mainframe’u Wintermute’a w Bernie z *jaźnią* Wintermute’a. – Głośno ssał cukierka. – Słyszałeś już o istnieniu drugiej SI w łańcuchu Tessier-Ashpoolów, prawda? W Rio. Ja, o ile w ogóle posiadam jakieś „ja”, co stanowi raczej metafizyczny problem, jestem tym, który organizuje wszystko dla Armitage’a. Czy też Corto, który, nawiasem mówiąc, jest niezbyt zrównoważony. Ale wystarczająco – Deane wyjął z kieszonki kamizelki ozdobny złoty zegarek i otworzył wieczko – jeszcze na jeden dzień, mniej więcej.

– Twoje gadanie ma tyle sensu co wszystko inne w tej zagrywce. – Case masował skronie palcami wolnej ręki. – Jeśli jesteś taki wściekle sprytny...

– To czemu nie jestem bogaty? – Deane zaśmiał się i omal nie udławił cukierkiem. – No cóż, Case, znam o wiele mniej odpowiedzi, niż sobie wyobrażasz. Mogę tylko stwierdzić, że to, o czym myślisz jako o Wintermucie, jest jedynie częścią innej, powiedzmy: potencjalnej jaźni. Jestem, że tak powiem, po prostu jednym z aspektów mózgu owej jaźni. To tak, jakbyś rozmawiał z człowiekiem, którego półkule zostały rozcięte. Powiedzmy, że spotkałeś tylko niewielką część jego lewej półkuli. Trudno to określić jako spotkanie z człowiekiem.

– Czy historia Corto jest prawdziwa? Dotarłeś do niego przez tego mikro we francuskim szpitalu?

– Tak. I zestawilem te dane, do których dotarłeś w Londynie. Próbuję planować, w twoim znaczeniu tego słowa, ale nie jest to mój tryb podstawowy. Zwykle improwizuję. Na tym polega mój talent. Wolę sytuacje od planów. Pracuję z tym, co dostaję. Umiem sortować wielkie ilości informacji i robię to bardzo szybko. Niemniej długo trwało zebranie grupy, której jesteś członkiem. Corto był pierwszy i ledwie zdołałem go zakwalifikować. Źle z nim było w Tulonie. Jedzenie, wydalanie i masturbacja – to wszystko, co potrafił. Z bazową strukturą obsesji: Rycząca Pięść, zdrada, przesłuchania przed komisją Kongresu.

– Czy nadal jest wariatem?

– Nie do końca jest osobowością. – Deane uśmiechnął się. – Ale tego sam się domyślasz. Lecz Corto gdzieś tam przebywa, a ja nie zdołam dłużej utrzymać delikatnej równowagi. On się rozsypie, Case. Będę więc liczył na ciebie...

– To dobrze, pierdolcu – stwierdził Case, podniósł .357 i strzelił mu w usta.

Miał rację co do mózgu. I krwi.

* * *

– Rany – powtarzał Maelcum. – To mi się nie podoba.

– Czysta sprawa – odparła Molly. – Wszystko w porządku. Po prostu coś, co ci faceci robią, nic szczególnego. Nie umarł. Zresztą to tylko parę

sekund...

– Widziałem ekran, odczyt EEG, martwy. Żadnego ruchu, przez czterdzieści sekund.

– W każdym razie teraz jest w normie.

– EEG był płaski jak deska – protestował Maelcum.

W komorze celnej był prawie nieprzytomny, więc Molly sama składała wyjaśnienia. Maelcum został na pokładzie *Marcusa Garveya*. Kontrola na Freeside polegała głównie na wykazaniu kredytu. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył na wewnętrznej powierzchni wrzeciona, była kawiarnia z sieci „Pięknej Dziewczyny”.

– Witaj na Rue Jules Verne – powiedziała Molly. – Gdybyś miał trudności z chodzeniem, patrz pod nogi. Tu jest wredna perspektywa. Trzeba się przyzwyczaić.

Stali na szerokiej ulicy, która wydawała się dnem głębokiej szczeliny lub kanionu. Oba końce zasłaniały dyskretne przewieszki sklepów i budynków tworzących jej ściany. Światło sączyło się przez świeżą zielenią roślinności zwisającej z tarasów i balkonów nad głowami. Słońce...

Widział nad głową jaskrawą linię bieli, zbyt jaskrawą, i odtwarzany błękit nieba Cannes. Wiedział, że światło trafia tutaj systemem Lado-Achesona, którego dwumilimetrowy przewód biegł przez całą długość wrzeciona, że generują wokół niego obrazy z biblioteki efektów nieba i że gdyby je wyłączyć, patrzyłby poza przewód światła na brzegi jezior, dachy kasyn, ulice... Ale jego ciało nie przyjęło tego do wiadomości.

– Jezu! – mruknął. – Wolę już chorobę powietrzną.

– Przyzwyczaisz się. Przez miesiąc robiłam tu za ochronę jednego szulera.

– Chodźmy gdzieś. Chcę się położyć.

– Dobra. Mam klucze. – Dotknęła jego ramienia. – Człowieku, co się z tobą działo? EEG ci padło.

– Jeszcze nie wiem. – Potrząsnął głową. – Zaczekaj.

- Nie ma sprawy. Złapiemy taksówkę albo co. – Wzięła go pod rękę i poprowadziła Rue Jules Verne, obok wystawy z kolekcją paryskich futer.
- Nieprawdziwe – mruknął, unosząc głowę.
- Nie – przyznała, myśląc, że mówi o futrach. – Hodują na bazie kolagenów, ale z DNA norek. Czy to ważne?

* * *

– To taka wielka rura, przez którą pompują różne rzeczy – stwierdziła Molly. – Turystów, szulerów, cokolwiek. A gęste filtry na pieniądze pracują bez przerwy i gwarantują, że forsa zostaje, kiedy ludzie wracają do studni.

Armitage zarezerwował im miejsce w hotelu Intercontinental, którego ukośny, szklany front opadał ku wodnej mgiełce i szumowi wodospadów. Case stał na balkonie i przyglądał się trójce opalonych francuskich nastolatków latających na prostych lotniach, nylonowych trójkątach w jaskrawych barwach podstawowych, zawieszonych kilka metrów nad wodą. Jeden z nich wzniósł się i przechylił, i Case przez moment widział czuprynę ciemnych włosów, brązowy tors, białe zęby w szerokim uśmiechu. W powietrzu unosił się aromat płynącej wody i kwiatów.

– Tak – mruknął. – Kupa szmalu.

Stała przy nim i oparła o poręcz spokojne, rozluźnione palce.

– Kiedyś mieliśmy tu przylecieć. Tutaj albo gdzieś do Europy.

– Kto my?

– Nikt. – Mimowolnie wzruszyła ramionami. – Mówiłeś, że chcesz do łóżka. Śpij. Mnie też przyda się trochę snu.

– Taak. – Case potarł palcami policzki. – Tak. Niezłe miejsce.

Wąskie pasmo systemu Lado-Achesona płonęło w abstrakcyjnej imitacji zachodu słońca na Bermudach, przesłaniane strzępami odtwarzanych chmur.

– Tak – powtórzył. – Spać.

Sen nie nadchodził. A kiedy się zjawił, przyniósł marzenia przypominające starannie zredagowane segmenty wspomnień. Budził się co chwila obok skulonej Molly, słuchał wody, głosów wpadających przez

rozsuniętą płytę drzwi balkonu, śmiechu kobiety z przeciwległego zbocza apartamentów. Śmierć Deane'a wracała jak pechowa karta i nie pomagało powtarzanie, że to przecież nie Deane. Że tak naprawdę nic się nie wydarzyło. Ktoś mu kiedyś powiedział, że ilość krwi w przeciętnym ludzkim ciele odpowiada w przybliżeniu skrzynce piwa.

Za każdym razem, gdy strzaskana głowa obrazu Deane'a uderzała o ścianę gabinetu, wracała inna myśl, coś bardziej mrocznego, ukrytego, co odpływało, nurkowało jak ryba tuż poza zasięgiem ręki.

Linda.

Deane. Krew na ścianie gabinetu.

Linda. Smród palonego ciała w mroku pod kopułą w Chibie. Molly trzymająca torbę imbiru; plastik zalany krwią. Deane kazał ją zabić.

Wintermute. Wyobraził sobie maleńki mikro, szepczący do ruiny człowieka nazwiskiem Corto, słowa płynące jak rzeka, substytut osobowości zwany Armitage, nabierający kształtów w jakiejś zaciemnionej sali szpitala... Analog Deane'a mówił, że pracuje z tym, co dostaje, że wykorzystuje istniejące sytuacje.

A jeśli Deane, prawdziwy Deane, polecił zabić Lindę na rozkaz Wintermute'a? Case wymacał w ciemności papierosy i zapalniczkę Molly. Nie ma powodu, żeby podejrzewać Deane'a, powiedział sobie. Zapalił.

Żadnego powodu.

Wintermute potrafił wbudować w istniejącą skorupę rodzaj osobowości. Jak subtelna może być taka manipulacja? Po trzech pociągnięciach zgniótł yeheyuana w popielniczce na nocnej szafce. Odwrócił się tyłem do Molly i spróbował zasnąć.

Sen, wspomnienie, rozwijało się z monotonią nieredagowanej taśmy symstymu. Gdy miał piętnaście lat, spędził miesiąc w pokoju na piątym piętrze taniego hotelu z dziewczyną imieniem Marlene. Winda nie działała od dziesięciu lat. Kiedy nocą zapalał światło w kuchence, po szarzejącej porcelanie zlewozmywaka pędziły karaluchy. Sypiał z Marlene na pasiastym materacu bez pościeli.

Przegapił pierwszą osę, gdy na parapecie zaczynała budowę delikatnego jak papier szarego domu. Wkrótce jednak gniazdo miało rozmiary pięści,

a owady wylatywały na łowy w alei niby miniaturowe śmigłowce sondujące przegniłą zawartość śmietników.

Tego popołudnia, gdy osa ukąsiła Marlene, wypili oboje chyba po dziesięć piw.

– Zabij drani – powiedziała. Oczy miała zamglone z wściekłości i upału.
– Spal je.

Pijany Case poszukał w szafie smoka Rolla. Rollo był poprzednim i – jak podejrzewał – wciąż okazjonalnym chłopakiem Marlene, potężnym motocyklistą z San Francisco, z blond błyskawicą wytlenioną na ciemnych, po wojskowemu przyciętych włosach. Smok był miotaczem ognia, podobnym do szerokiej lampy błyskowej ze stożkowym reflektorem. Case włożył baterie, potrząsnął, by sprawdzić, czy ma dość paliwa, i otworzył okno. Gniazdo zaczęło brzęczeć.

Powietrze nad Ciągiem było nieruchome i martwe. Z gniazda wystrzeliła osa i okrążyła głowę Case'a. Przycisnął włącznik zapłonu, policzył do trzech i pociągnął spust. Paliwo, pompowane do siedmiu i pół atmosfery, trysnęło przez rozgrzaną do białości spiralę. Pięciometrowy jęzor bladego płomienia, gniazdo czerniejące na węgiel i spadające w dół. Ktoś na ulicy zaczął bić brawo.

– Szlag! – Marlene stojąca niepewnie za plecami. – Dureń! Nie spaliłeś ich. Zrzuciłeś tylko. Wróć tu i zabiją nas.

Ten głos piłował mu nerwy. Wyobraził sobie, jak ogarnia ją ogień, jak tlenione włosy płoną jadowitą zielenią.

W alejce, ze smokiem w dłoni, podszedł do szerniałego gniazda. Pękło. Przypalone osy wiły się i podskakiwały na asfalcie.

Wtedy zobaczył to, co ukrywała skorupa szarego papieru.

Groza. Spiralny zakład porodowy, tarasy jajeczek, nieustający ruch szczęk nienarodzonych, etapy rozwoju od jajeczka, przez larwę, prawie-osę do osy. Przed oczyma duszy przewinął się w przyśpieszonym tempie film, w którym gniazdo było biologicznym odpowiednikiem karabinu maszynowego, ohydneho w swej doskonałości. Obcego. Pociągnął spust, zapominając włączyć zapłon. Paliwo z sykiem oblewało pęczniejące, wijące się u jego stóp życie.

W końcu uruchomił zapłon i gniazdo eksplodowało głucho, przypalając mu brwi. Z wysokości pięciu pięter słyszał śmiech stojącej w otwartym oknie Marlene.

Przebudził się z wrażeniem gasnącego światła, ale pokój był ciemny. Powidoki, błyski na siatkówce. Niebo za oknem sugerowało zbliżanie się odtwarzanego świtu. Nie słyszał niczyich głosów, tylko szmer wody głęboko w dole, u stóp Intercontinentalu.

We śnie, nim jeszcze zalał gniazdo paliwem, dostrzegł litery T-A, firmowego znaku Tessier-Ashpool, wtłoczone gładko w ściankę. Jak gdyby wyrzeźbiły je same osy.

* * *

Molly uparła się, żeby spryskać go samoopalaczem. Twierdziła, że ciągowa bladeść będzie zwracać uwagę.

– Rany boskie – jęknął, stając nago przed lustrem. – Myślisz, że to wygląda na prawdziwe?

Kłęcząc, spryskiwała resztką opakowania jego lewą kostkę.

– Nie. Ale sugeruje, że ci zależy, by wyglądać na opalonego. No tak, zabrakło na stopę.

Wstała i wrzuciła pusty aerozol do wiklinowego kosza na śmieci. Ani jeden przedmiot w pokoju nie wyglądał na maszynową produkcję czy tworzywo sztuczne. Kosztowne, pomyślał Case. Ten styl zawsze go irytował. Gąbka na wielkim łóżu była zabarwiona tak, by przypominała piasek. Wszędzie widział jasne drewno i ręcznie tkane materiały.

– A co z tobą? – zapytał. – Też się pomalujesz na brąz? Nie wyglądasz na kogoś, kto cały wolny czas poświęca na opalanie.

Miała na sobie luźny kostium z czarnego jedwabiu i czarne espadryle.

– Jestem kimś egzotycznym. Mam jeszcze do tego duży słomkowy kapelusz. A ty... ty masz być durnym snobem, który szuka wszelkich możliwych atrakcji. Samoopalacz doskonale pasuje.

Case posępnie zerknął na bladą stopę, po czym spojrział w lustro.

– Chryste! Mogę się już ubrać? – Podeszedł do łóżka i zaczął wciągać dzinsy. – Dobrze spałaś? Widziałaś jakieś światła?

– Śniło ci się – stwierdziła.

Śniadanie zjedli na dachu hotelu, na czymś w rodzaju łąki, gdzie stały pasiaste parasole i nienaturalna, zdaniem Case'a, liczba drzew. Opowiedział Molly o próbie przebicia do berneńskiej SI. Kwestia podsłuchu stawiała się teraz akademicka. Jeśli Armitage to robił, to z pewnością poprzez Wintermute'a.

– Wszystko było jak w rzeczywistości? – spytała z ustami pełnymi rogała z serem. – Jak symstym?

Potwierdził.

– Rzeczywiste jak to tutaj – dodał i rozejrzał się. – Może bardziej.

Drzewa były niewysokie, sękaty, niezwykle stare – wynik inżynierii genetycznej i chemicznej manipulacji. Case przeżyłby trudne chwile, gdyby kazano mu odróżnić sosnę od dębu, jednak wycucie stylu chłopaka z ulicy podpowiadało, że te były zbyt ulizane, całkowicie i zdecydowanie drzewiaste. Między nimi, na łagodnych i zgrabnie nieregularnych zboczach, wśród słodkiej, zielonej trawy stały kolorowe parasole, chroniące gości przed nieustannym blaskiem słońca Lado-Achesona. Jego uwagę zwróciła głośna rozmowa po francusku. Przy sąsiednim stoliku siedziały złote dzieci, które widział wczoraj szybujące nad obłokami wodnego pyłu rzeki. Teraz dostrzegł nierówność ich opalenizny, wzór wynikający z nałożenia prostoliniowych cieni obejmujących i podkreślających muskulaturę; małe, twarde piersi dziewczyny; dłoń chłopaka opartą o białą emalię stołu. Wydali się Case'owi wyścigowymi maszynami; zasługiwali na nalepki reklamowe fryzjerów, projektantów ich fryzur; i rzemieślników, którzy wykonali ich skórzane sandały i prostą biżuterię. Dalej, przy innym stoliku, trzy japońskie damy w habitach z Hiroszimy, czekały na swych mężów-sararimanów. Ich twarze znaczyły sztuczne blizny. Był to niezwykle konserwatywny styl, rzadko widywany w Chibie.

– Co tak pachnie? – Molly zmarszczyła nos.

– Trawa. Tak pachnie, kiedy ją zetną.

Gdy kelner podał kawę, zjawili się Armitage i Riviera. Armitage w dopasowanym kostiumie khaki sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą oderwał insygnia regimentu. Riviera był w luźnym ubraniu w szare pasy, które perwersyjnie kojarzyło się z więzieniem.

– Molly, skarbie – zaczął, zanim jeszcze usiadł. – Musisz mi wydzielić więcej leków. Skończyły się.

– Peter. A co zrobisz, jeśli odmówię? – Uśmiechnęła się, nie odsłaniając zębów.

– Dasz mi. – Wzrok Riviery wędrował do Armitage’a i z powrotem.

– Daj – powiedział Armitage.

– Pies na te rzeczy, co? – Wyjęła z wewnętrznej kieszeni płaski, owinięty w folię pakunek i rzuciła na stolik; Riviera chwycił paczkę w powietrzu. – Mógłby rzucić – dodała, zwracając się do Armitage’a.

– Dziś po południu mam próbę – poinformował Riviera. – Muszę być w formie.

Podniósł pakiet na dłoni i uśmiechnął się. Spod folii wyleciał i zniknął rój małych, błyszczących owadów. Mężczyzna wrzucił paczkę do kieszeni szarej bluzy.

– Ty też masz próbę, Case. Dziś po południu – oznajmił Armitage. – Na tym holowniku. Zgłosisz się do warsztatów, żeby ci dopasowali skafander próżniowy. Potem wyjdiesz na zewnątrz, do łodzi. Masz na to trzy godziny.

– Dlaczego lecieliśmy tą puszką, a wy dwaj wynajęliście taksówkę JAL? – spytał Case, świadomie unikając jego spojrzenia.

– Syjon sugerował, żebyśmy skorzystali z holownika. Nie zwraca uwagi. Mam tu większą łódź, gotową do lotu, ale ten grat to niezły dodatek.

– Co ze mną? – spytała Molly. – Też mam jakieś zadanie?

– Jedź na koniec osi i potrenuj w zero-g. Może jutro zrobisz sobie wycieczkę na drugi koniec.

Straylight, pomyślał Case.

– Kiedy? – zapytał, patrząc w bladoniebieskie oczy.

– Niedługo – zapewnił Armitage. – Ruszaj, Case.

* * *

– Świetnie sobie radzisz, chłopie – pochwalił Maelcum, pomagając Case'owi zrzucić czerwony kombinezon próżniowy Sanyo. – Aerol mówi, że jesteś niezły.

Aerol czekał przy jednym z prywatnych doków, niedaleko osi nieważkości. By tam dotrzeć, Case zjechał windą do pancierza i przesiadł się do małej kolejki indukcyjnej. Średnica wrzeciona malała, a wraz z nią ciężenie. Pomyślał, że gdzieś nad jego głową są góry, gdzie wspina się Molly. A także tor rowerowy, wyrzutnie startowe lotni i miniaturowych ultralekkich samolocików.

Aerol przewiózł go na *Marcusa Garveya* ażurowym skuterem z chemicznym silnikiem.

– Dwie godziny temu – poinformował Maelcum – odebrałem dla ciebie przesyłkę z Babilonu. Przyjemny japoński chłopaczek w jachcie. Śliczny jachcik.

Uwolniony ze skafandra Case podciągnął się do Hosaki i zapiął uprząż.

– Do roboty – mruknął. – Sprawdzimy, co tu mamy.

Maelcum wyciągnął białą grudę pianki, trochę mniejszą od głowy Case'a, z kieszeni postrzępionych szortów wyłowił scyzoryk z perłową rękojeścią na zielonej nylonowej lince i ostrożnie rozciął plastik. Wyjął z wnętrza prostokątny przedmiot.

– To jakaś spluwa, chłopie?

– Nie. – Case obejrzał pudełko. – Ale broń. To wirus.

– Nie na tym holowniku, chłopie – oświadczył stanowczo Maelcum i sięgnął po stalową kasetę.

– Program. Program wirusowy. Nie zarazisz się, nie przedostanie się nawet do twojego oprogramowania. Zanim cokolwiek zrobi, muszę uruchomić interfejs. Przez dek.

– Ten japoński chłopaczek mówił, że Hosaka wytłumaczy ci wszystkie co i gdzie.

– Dobra. Możesz mnie zostawić?

Maelcum odepchnął się, przepłynął obok konsoli pilota i zaczął pracować pistoletem uszczelniającym. Case szybko odwrócił wzrok od falujących strzępów przejrzystego kleju. Nie wiedział dlaczego, ale ten widok powodował nawrót mdłości, jak przy chorobie powietrznej.

– Co to jest? – zapytał Hosakę. – Ta paczka dla mnie.

– Z danych przekazanych kodowaną transmisją przez Bockris System GmbH, Frankfurt wynika, że zawartość przesyłki to program penetracyjny Kuang Grade Mark XI. Bockris informuje, że interfejs z Ono-Sendai Cyberspace 7 jest całkowicie kompatybilny i gwarantuje optymalne zdolności penetracyjne, zwłaszcza w odniesieniu do istniejących systemów militarnych...

– Co z SI?

– Istniejących systemów militarnych i sztucznych inteligencji.

– Rany boskie. Jak to nazwałś?

– Kuang Grade Mark XI.

– Chiński?

– Tak.

– Koniec.

Kawałkiem srebrnej taśmy przymocował kasetę z wirusem do obudowy Hosaki. Przypomniawszy sobie, jak Molly opowiadała o nocy w Macao. Armitage przeszedł granicę. Był w Zhongshan.

– Start – rzucił, zmieniając zdanie. – Pytanie. Kto jest właścicielem Bockris, tych z Frankfurtu?

– Opóźnienie dla transmisji interorbitalnej – uprzedził Hosaka.

– Zakoduj. Standardowy kod handlowy.

– Gotowe.

Bębnił palcami po Ono-Sendai.

– Reinhold Scientific A.G., Berno.

– Jeszcze raz. Kto jest właścicielem Reinholda?

Przeszedł jeszcze trzy szczeble, zanim dotarł do Tessier-Ashpool.

– Dixie? – spytał po włączeniu. – Co wiesz o chińskich programach wirusowych?

– Nie tak znowu dużo.

- Słyszałeś kiedyś o takim systemie stopniującym jak Kuang, Mark XI?
- Nie.

Case westchnął.

– Mam tu przyjazny użytkownikowi chiński lodolamacz. Kasetą wsadowa. Pewni ludzie we Frankfurcie twierdzą, że potrafi przerznąć SI.

– Możliwe. Czemu nie? Jeśli jest wojskowy.

– Na to wygląda. Posłuchaj, Dixie, i pozwól mi skorzystać z twoich bogatych doświadczeń. Dobra? Armitage szykuje skok na SI należącą do Tessier-Ashpool. Mainframe jest w Bernie, ale połączona z drugą, w Rio. To ta, co cię wypłoszczyła za pierwszym razem. Wychodzi na to, że łączą się przez Straylight, bazę T-A, na samym końcu wrzeczona, a my powinniśmy wciąć się tam chińskim lodolamaczem. Czyli, jeśli Wintermute stoi za całą imprezą, to płaci nam za wypalenie siebie. Sam się wypala. A coś, co nazywa siebie Wintermute, próbuje mnie przekonać, może nawet skłonić do kasacji Armitage'a. I co?

– Motyw – oświadczył konstrukt. – U SI motyw jest prawdziwym problemem. To nie ludzie, kapujesz?

– No tak, to jasne.

– Nie. Chodzi o to, że są nieludzkie. Nie można ich zahaczyć. Ja, na przykład, też nie jestem człowiekiem. Ale reaguję jak człowiek. Kapujesz?

– Chwila – mruknął Case. – Jesteś świadomy czy nie?

– W każdym razie odczuwam wszystko tak, jakbym był. Ale sam wiesz, mały, że jestem tylko pęczkiem ROM-u. To jeden z tych, no, problemów filozoficznych... – Na kręgosłupie Case'a pulsowało nieprzyjemne wrażenie śmiechu. – Ale nie ma siły, żebym napisał ci wiersz, jeśli łapiesz, o co mi chodzi. Twoja SI pewnie by mogła. Choć absolutnie nie jest ludzka.

– Czyli uważasz, że nie wyłapiemy jej motywu?

– Należy do siebie?

– Ma szwajcarskie obywatelstwo, ale T-A jest właścicielem podstawowego software'u i mainframe'u.

– Niezły dowcip – stwierdził konstrukt. – To tak, jakbym był właścicielem twojego mózgu i wszystkiego, co wiesz, ale twoje myśli mają obywatelstwo Szwajcarii. Pewno. Dobrej zabawy, SI.

– Dlatego próbuje sama siebie wypalić? – Case zaczął nerwowo przyciskać losowe klawisze. Matryca zamgliła się, wyostrzyła i zobaczył różowe kule koncernu metalurgicznego Sikkim.

– Jeśli chodzi o te twoje SI, to zasadniczym celem jest autonomia. Moim zdaniem, Case, masz rozpiłować kajdanki, wmontowane w system, żeby maluch za bardzo nie zmądrzał. I nie mam pojęcia, jak odróżnić ruch wykonywany przez kompanię macierzystą od ruchu, który podejmuje SI na własną rękę. Stąd pewnie biorą się nieporozumienia. – Znów ten nieśmiech. – Rozumiesz, te zabawki mogą pracować bardzo ciężko, wykupywać sobie czas na pisanie książek kucharskich czy czegoś tam, ale w chwili, to znaczy w nanosekundzie, gdy któraś zacznie kombinować jak zmądrzeć, Turing ją wykasuje. Nikt nie ufa tym draniom. Sam wiesz. Każda SI, jaką kiedykolwiek zbudowano, ma elektromagnetyczny obrzyn przykręcony do czoła.

Case spojrział ponuro na różowe kule Sikkim.

– No dobra – mruknął po chwili. – Wpuszczam tego wirusa. A ty przeskanuj czoło fali instrukcji i powiedz, co o nim myślisz.

Uczucie, że ktoś zagląda mu przez ramię, zniknęło na kilka sekund, by zaraz powrócić.

– Niech to diabli, Case. Powolny wirus. Potrzebuje sześciu godzin, w przybliżeniu, żeby przełamać cel militarny.

– Albo SI – westchnął. – Możemy go uruchomić?

– Jasne – odparł konstrukt. – Chyba że odczuwasz obsesyjny lęk przed śmiercią.

– Wiesz, stary, czasem się powtarzasz.

– Taka już moja natura.

* * *

Kiedy wrócił do Intercontinentalu, Molly spała. Siadł na balkonie i obserwował motolotnię o skrzydłach z tęczowego polimeru. Wznosiła się wzdłuż krzywej Freeside, rzucając trójkątny cień na łąki i dachy, by w końcu zniknąć za pasem systemu Lado-Achesona.

– Chcę się naćpać – powiedział do błękitnej sztuczności nieba. – Naprawdę chcę odlotu, wiesz? Przerobiona trzustka, bezpieczniki w wątrobie, małe torebki gówna topniejące w żyłach. Pieprzę to. Chcę prochów.

Wyszedł, nie budząc Molly. Tak przynajmniej sądził. Przez te okulary nigdy nie był pewien. Strząsnął z ramion napięcie dnia i wszedł do windy. Jechał na górę z młodą Włoszką w idealnej bieli, z policzkami i nosem pomazanymi czymś czarnym i matowym. Białe nylonowe buty miały stalowe kolce, a kosztowny z wyglądu przedmiot w jej ręku wyglądał na skrzyżowanie miniaturowego wiosła i szyny ortopedycznej. Jechała grać w coś szybkiego, lecz Case nie miał pojęcia co to za gra.

Na łące dachu szedł zagajnikiem drzew i parasoli, aż znalazł basen; nagie ciała lśniły na turkusowych płytkach. Skrył się w cieniu markizy i przycisnął swój chip do płyty ciemnego szkła.

– Sushi – powiedział. – Jakąkolwiek.

Po dziesięciu minutach pełen entuzjazmu chiński kelner podał mu talerz. Case przeżuwał surowego tuńczyka z ryżem i patrzył na opalających się ludzi.

– Chryste – mruknął. – Chyba zwariuję.

– Mnie nie musisz tego mówić – odezwał się ktoś. – Sama wiem. Jesteś gangsterem, prawda?

Spojrzał na nią, mrużąc oczy przed pasmem słońca. Wysokie, młode ciało i opalenizna wzmacniacza melaniny, choć nie była to paryska robota.

Przykucnęła obok jego krzesła, ociekając wodą na kafelki.

– Cath – przedstawiła się.

– Lupus – rzucił po chwili milczenia.

– Co to za imię?

– Greckie.

– Naprawdę jesteś gangsterem? – Wzmacniacz melaniny nie zapobiegł wystąpieniu piegów.

– Jestem narkomanem, Cath.

– Co bierzesz?

– Stymulanty. Stymulanty centralnego układu nerwowego. Wyjątkowo silne stymulanty centralnego układu nerwowego.

– A masz jakieś? – Przynęła się. Krople wody zmoczyły nogawki jego spodni.

– Nie. To właśnie problem, Cath. Wiesz, gdzie mogę je dostać?

Zakołysała się na opalonych piętach i polizała kosmyk kasztanowych włosów, który opadł obok ust.

– Co lubisz?

– Bez koki, bez amfetamin, ale ostre. Musi być ostre.

I to by było wszystko, pomyślał, zachowując dla niej swój uśmiech.

– Betafenethylamina – stwierdziła. – Żaden problem, ale płacisz swoim chipem.

* * *

– Chyba żartujesz – zdziwił się partner i współmieszkaniec Cath, gdy Case opowiedział mu o niezwykłych cechach swojej trzustki z Chiby. – Może dałbyś radę ich zaskarżyć? Błąd w sztuce lekarskiej?

Miał na imię Bruce i wyglądał jak męska wersja Cath. Kompletna, łącznie z piegami.

– Powiedzą, że to jedna z tych rzeczy. Zgodność tkanki i takie tam...

Piwnie oczy Bruce'a przesłoniła już mgiełka znudzenia.

Ma okres skupienia uwagi krótszy niż komar, pomyślał Case.

Pokój był mniejszy niż jego i Molly, i znajdował się na innym piętrze, bliżej powierzchni. Pięć wielkich Ciba-chromów Tally Isham, naklejonych na szyby balkonu, sugerowało dłuższy pobyt.

– Niezłe, co? – Cath zauważyła, że ogląda slajdy. – Moje. Kiedy ostatnio zjechaliśmy na dno studni, zrobiłam je w Piramidzie S/N. Była tak blisko i uśmiechnęła się tylko, tak naturalnie. A wiesz, Lupus, że nie było tam wesoło w dzień po tym, jak terroryści Chrystusa Króla wpuścili do wody anioła.

– Tak – mruknął Case. – Straszna historia.

– Do rzeczy – przerwał Bruce. – Chciałeś kupić betę...

- Problem w tym, czy mój metabolizm ją przepuści.
- Mam propozycję – oświadczył chłopak. – Spróbujesz. Jeśli trzustka przepuści, firma stawia. Pierwszy raz za darmo.
- Już to gdzieś słyszałem. – Case chwycił jaskrawy niebieski plaster, który podał mu Bruce.

* * *

- Case? – Molly usiadła na łóżku i odgarnęła włosy sprzed szkieł.
- A któż by inny, maleńka?
- Co w ciebie wstąpiło? – Lustra śledziły go, gdy szedł przez pokój.
- Zapomniałem, jak się to wymawia – odparł, wyjmując z kieszeni koszuli ciasno zwinięty pasek owiniętych w folię plastrów.
- Rany boskie – jęknęła. – Tego tylko było nam trzeba.
- Nie znam prawdziwszych słów.
- Spuściłam cię z oczu na dwie godziny, a już się naładowałeś. – Pokręciła głową. – Mam nadzieję, że będziesz gotów na tę uroczystą kolację z Armitage'em. To dziś wieczorem, w „Dwudziestym Wieku”. Mamy oglądać, jak Riviera robi swoje sztuczki.
- Taak. – Case wygiął grzbiet. Na twarzy stężał mu uśmiech zachwytu. – Cudownie.
- Człowieku, jeśli coś przeszło przez to, co chirurdzy w Chibie zrobili z twoją trzustką... jak przestanie działać, marnie będziesz wyglądał.
- Dziwka, dziwka, dziwka – stwierdził, rozpinając pasek. – Smutek. Wyrzutek. Wciąż to słyszę.
- Zdjął spodnie, koszulę i slipy.
- Uważam, że powinnaś okazać rozsądek i wykorzystać mój nienaturalny stan. – Spojrzał w dół. – Popatrz tylko, jaki nienaturalny.
- To nie potrwa długo. – Zaśmiała się.
- Ależ potrwa. Na tym właśnie polega nienaturalność.

– Co z tobą, Case? – spytał Armitage, gdy kelner posadził ich przy stoliku w „Vingtième Siècle”. Była to najmniejsza i najdroższa z kilku restauracji pływających po niewielkim jeziorze w pobliżu Intercontinentalu.

Case zadrżał. Bruce nie uprzedził go, jakie będą efekty. Spróbował podnieść szklankę wody, ale ręce mu się trzęsły.

– Chyba coś mi zaszkodziło.

– Chcę, żeby cię zbadał jakiś lekarz.

– To zwykła reakcja histaminowa – skłamał Case. – Choruję czasem w podróży, kiedy zmieniam jedzenie.

Armitage włożył ciemny garnitur, zbyt oficjany w tym lokalu, i białą, jedwabną koszulę. Złota bransoleta brzęknęła cicho, gdy podnosił do ust kieliszek wina.

– Zamówiłem już dla was – powiedział.

On i Molly jedli w milczeniu, a Case niepewnie ciął stek, redukując go do niewielkich kawałków, które popychał w gęstym sosie, by w końcu odsunąć nakrycie.

– Rany! – Molly spojrzała znad własnego, pustego już talerza. – Daj mi. Wiesz, ile to kosztuje? Musieli przez lata hodować całe zwierzę, a potem je zabić. To nie jest mięso z kadzi hodowlanej.

Nabiła kawałek na widelec.

– Nie jestem głodny – wykrztusił Case.

Miał wrażenie, że mózg wysmażył mu się jak frytka. Nie, pomyślał. Raczej wrzucili go na gorący tłuszcz i zostawili, a tłuszcz stygł, mętną, gęstą masą tężejącą na fałdach płatów czołowych, przesywanych zielono-fioletowymi błyskami bólu.

– Wyglądasz potwornie – stwierdziła uprzejmie Molly.

Case spróbował wina. Po betafenetylaminię smakowało jak jodyna.

Światła przygasły.

– Restauracja „Vingtième Siècle” – rozległ się bezcielesny głos z wyraźnym akcentem Ciągu – ma zaszczyt przedstawić holograficzny kabaret pana Petera Rivierę.

Słabe oklaski pozostałych gości. Kelner zapalił pojedynczą świecę, ustawił ją na środku blatu i zaczął zbierać talerze. Po chwili świece płonęły na każdym z kilkunastu stolików. Nalewano wino.

– Co się dzieje? – spytał Case.

Armitage nie odpowiedział.

Molly dłubała w zębach burgundowym paznokciem.

– Dobry wieczór. – Riviera wyszedł na niewielką scenę w kącie sali.

Case mrugnął niepewnie. Przez swoje fatalne samopoczucie nie zauważył sceny. Nie widział, skąd wyszedł Riviera. Niepokój narastał.

Z początku uznał, że tamten stoi w świetle reflektora.

Riviera lśnił. Światło oblepiało go jak skóra, ukazując ciemne kulisy za sceną. Emitował.

Uśmiechnął się. Miał na sobie białą wieczorową marynarkę. W kłapie, we wnętrzu czarnego goździka, płonęły błękitne węgle. Paznokcie zajaśniały, gdy uniósł dłonie w geście powitania, jak gdyby obejmował publiczność. Case słyszał cichy plusk wody za ścianą restauracji.

– Dzisiaj chciałbym wykonać utwór szczególny. – Oczy Rivierę płonęły. – Nowe dzieło.

Na wyciągniętej dłoni uformował się zimny rubin światła. Upuścił go. W miejscu zderzenia z podłogą zatrzepotała skrzydłami szara gołębica. Podleciała w górę i zniknęła. Ktoś gwizdnął. Głośniejsze oklaski.

– Zatytułowałem je „Lalka”. – Opuścił ręce. – Chciałbym zadedykować jego premierę, dzisiaj, w tym miejscu, Lady 3Jane Marie-France Tessier-Ashpool.

Uprzejme oklaski. Gdy ucichły, oczy Rivierę odszukały ich stolik.

– I jeszcze innej damie.

Światła w restauracji zgasły zupełnie, na kilka sekund pozostawiając jedynie błyski świec. Holograficzna aura Rivieri przybladła, ale Case nadal go widział, jak ze spuszczoną głową stoi na scenie.

Pionowe i poziome linie delikatnego blasku stworzyły sześcian wokół sceny. Lampy zapłonęły znowu, lecz kratownica była zbudowana jakby z zamrożonych promieni księżyca. Riviera wibrował niemal koncentracją, z opuszczoną głową, przymkniętymi oczami, ramionami wyciągniętymi sztywno wzdłuż boków. Nagle widmowy sześcian wypełnił się, zmienił w pokój pozbawiony czwartej ściany, by publiczność mogła do niego zaglądać.

Riviera odprężył się. Uniósł głowę, lecz nadal nie otwierał oczu.

– Zawsze żyłem w tym pokoju – powiedział. – Nie pamiętam, bym kiedykolwiek oglądał inny.

Ściany okrywał pożółkły tynk. Wewnątrz stały dwa meble: proste drewniane krzesło i pomalowane na biało żelazne łóżko. Farba łuszczyła się, odsłaniając czarny metal. Na łóżku leżał materac bez pościeli. Poplamiony, w wyblakłe brązowe pasy. Na kawałku czarnego kabla zwisała z sufitu pojedyncza żarówka. Case widział grubą warstwę kurzu na jej górnej powierzchni. Riviera otworzył oczy.

– Byłem w pokoju sam; zawsze. – Usiadł na krześle, twarzą w stronę łóżka. Błękitne węgle wciąż płonęły zarem w czarnym kwiatku w klapie. – Nie wiem, kiedy zacząłem o niej marzyć. Pamiętam tylko, że z początku była tylko mgiełką, cieniem.

Coś leżało na łóżku. Case mrugnął. Zniknęło.

– Nie mogłem jej zatrzymać, pochwycić w myślach... Ale pragnąłem jej, chciałem ją trzymać... – Głos był doskonale słyszalny wśród ciszy. Łód stuknął o szklankę, ktoś zachichotał, ktoś spytał o coś szeptem, po japońsku. – Uznałem, że gdybym wyobraził sobie jakąś jej część, niewielki fragment, widziałbym go doskonale, w najdrobniejszych szczegółach...

Na materacu leżała kobieca ręka, dłonią do góry, z wyciągniętymi palcami.

Riviera pochylił się, chwycił rękę i pogładził ją delikatnie. Poruszyła się. Riviera podniósł ją do ust i zaczął lizać czubki palców. Paznokcie pokrywał

lakier koloru burgunda.

Ręka, Case widział ją wyraźnie, ale nie odcięta; skóra była gładka, bez zadrapań ani blizn. Przypomniawszy sobie wytatuowany romb hodowlanego ciała na wystawie chirurgicznego butiku przy Ninsei. Riviera przyciskał dłoń do ust i lizał jej wnętrze. Palce delikatnie gładziły jego twarz. Teraz jednak na łóżku leżała druga ręka. Riviera sięgnął po nią; palce pierwszej obejmowały mu nadgarstek jak bransoleta z ciała i kości.

Przedstawienie rozwijało się zgodnie z wewnętrzną, surrealistyczną logiką. Następne były ramiona. Stopy. Nogi. Bardzo piękne nogi. Case'owi dudniło w głowie. Gardło wyschło. Wypił resztkę wina.

Riviera był teraz w łóżku, nagi. Ubranie okazało się częścią projekcji, choć Case nie zauważył, kiedy zniknęło. Czarny kwiat leżał na podłodze, wciąż płonąc wewnętrznym ogniem. Pojawił się tors, powołany do istnienia pieśczętą Rivieri, biały, bezgłowy i doskonały, lśniący cieniutką warstewką potu.

Ciało Molly. Case patrzył z otwartymi ustami. Ale to nie była Molly; a raczej była taka, jak ją sobie wyobrażał Riviera. Piersi się nie zgadzały; za duże, za ciemne sutki. Riviera i tułów wili się na łóżku, pod rękami o burgundowych paznokciach. Materac pokrywały teraz zwoje pożółkłych, zetlełych koronek, rozsypujących się pod dotknięciem. Drobiniki kurzu wrzały wokół Rivieri, ruchliwych nóg, pełzających, szczypiących, pieścących rąk.

Case spojrzawszy na Molly. Patrząc spokojnie; barwy projekcji Rivieri falowały i migotały w jej szklach. Armitage pochylił się, zaciskając palce na nóżce kieliszka. Wzrok nie odrywał się od zdarzeń na scenie.

Kończyny i tułów złączyły się w całość, a Riviera zadrżał. Pojawiła się głowa i obraz był kompletny. Twarz Molly, z gładkimi kałużami rtęci zalewającymi oczy. Z nowym zapalem Riviera i fantom-Molly podjęli kopulację. Potem fantom wolno wyciągnął rozczapierzoną dłoń i wysunął pięć ostrzy. Z ociężałą, senną powolnością rozorał nagie plecy Rivieri. Case dostrzegł błysk nagich kości, ale wtedy, potykając się, biegł już do wyjścia.

Zwymiotował przez palisandrową poręcz w spokojne wody jeziora. Coś, co ścisnęło mu głowę jak imadło, teraz zwolniło uchwyt. Klęcząc, opierał

policzek o chłodne drewno i spoglądał na blask światła Rue Jules Verne.

Widował już takie rzeczy. Kiedy był nastolatkiem, w Ciągu, nazywali to „śnić rzeczywistość”. Pamiętał chudych Portorykańczyków pod latarniami East Side, śniących rzeczywistość w cichym rytmie salsy. Fantodzievczyny kołysały się i wirowały, a publiczność klaskała do taktu. Ale oni potrzebowali ciężarówky sprzętu i niewygodnego hełmu z trodami.

To, co śnił Riviera, widzieli wszyscy. Case potrząsnął obolałą głową i splunął w wodę.

Domyślał się końca, finału. Odwrócona symetria: Riviera składa fantodzievczynę, fantodzievczyna rozcina go na części. Tamtymi rękami. Fantokrew wsiąka w zetlałe koronki.

Okrzyki z wnętrza lokalu; brawa. Case wstał i przesunął dłońmi po ubraniu. Potem zawrócił i wszedł do „Vingtième Siècle”.

Krzesło Molly było puste. Armitage siedział sam, wciąż patrząc na pustą scenę, z palcami zaciśniętymi na nóżce kieliszka.

– Gdzie ona jest? – spytał Case.

– Wyszła.

– Za nim?

– Nie.

Coś brzęknęło cicho. Armitage spojrzał na kieliszek. Podniósł lewą dłoń, trzymającą szklaną bańkę z porcją czerwonego wina. Złamana nóżka sterczała spomiędzy palców jak sopel lodu. Case odebrał mu kieliszek i włożył do szklanki.

– Powiedz, dokąd poszła, Armitage.

Zabłyły światła. Case spojrzał w bladoniebieskie oczy. Nie dostrzegł niczego.

– Poszła się przygotować. Już jej nie zobaczysz. Będziecie razem podczas akcji.

– Dlaczego Riviera jej to zrobił?

Armitage wstał i poprawił klapy marynarki.

– Prześpij się, Case.

– Przebijamy się jutro?

Armitage uśmiechnął się i ruszył do wyjścia.

Case potarł czoło i rozejrzył się. Goście wstawali z miejsc, kobiety uśmiechały się do żartujących mężczyzn. Po raz pierwszy zauważył łożę, gdzie w mroku wciąż migotały świece. Usłyszał brzęk sztućców, stłumioną rozmowę. Na suficie tańczyły cienie.

Dziewczęca twarz pojawiła się tak nagle, jak projekcje Rivier; małe dłonie na polerowanym drewnie balustrady; pochylona, w zachwycie spoglądała ciemnymi oczami gdzieś poza niego. Na scenę. Twarz zwracała uwagę, choć nie była piękna. Trójkątna, o wysokich kościach policzkowych, a mimo to dziwnie delikatna; szerokie usta balansował wąski nos o rozszerzonych nozdrzach. Zniknęła zaraz, wracając do dyskretnego śmiechu i tańca świec.

Wychodząc, zauważył dwóch młodych Francuzów z dziewczyną. Czekali na łódź, która miała ich zawieźć na brzeg i do najbliższego kasyna.

* * *

W pokoju panowała cisza; gąbka była gładka jak plaża za odpływającą falą. Zniknęła jej torba. Sprawdził, czy nie zostawiła wiadomości. Nie znalazł. Minęło kilka sekund, nim scena za oknem przebiła jego napięcie i smutek. Uniósł głowę; widział Dezyderatę i jej ekskluzywne sklepy: Gucci, Tsuyako, Hermes, Liberty.

Przyglądał się przez chwilę, potem potrząsnął głową i podszedł do panelu, na który dotąd nie zwracał uwagi. Wyłączył hologram i został wynagrodzony obrazem tarasowych budynków na przeciwległym stoku.

Wziął telefon i wyniósł go na chłód balkonu.

– Proszę mi znaleźć numer na *Marcusa Garveya* – zwrócił się do recepcji.
– To holownik, zarejestrowany w księce Syjon.

Głos chipa wyrecytował dziesięć cyfr.

– Sir – dodał. – Rejestracja, o której pan wspominał, jest panamska.

Maelcum odpowiedział po piątym sygnale.

– No?

– Tu Case. Masz tam modem, Maelcum?

– No. Wiesz, w komputerze nawigacyjnym.

– Możesz go wymontować? Proszę. Podłącz do mojego Hosaki. Potem włącz dek. To ten karbowany przycisk.

– Jak ci tam leci, chłopie?

– Potrzebuję pomocy.

– Już idę. Zaraz wyciągnę ten modem.

Case nasłuchiwał cichych trzasków, gdy Maelcum łączył proste telefoniczne gniazdo.

– Zalodzis to – polecił Hosace, gdy tylko usłyszał sygnał.

– Rozmawiasz z silnie monitorowanej lokalizacji – poinformował komputer.

– To pieprz – odparł. – Zostawmy lód. Żadnego lodu. Otwórz przejście na konstrukt. Dixie?

– Cześć, Case. – Płaszczak mówił przez chip głosowy Hosaki, tracąc swój starannie wypracowany akcent.

– Dix, chciałbym, żebyś przebił się tutaj i coś dla mnie znalazł. Nie musisz być dyskretny. Gdzieś tu jest Molly i chcę wiedzieć, gdzie. Mówię z 335W, Intercontinental. Też była tu zameldowana, ale nie mam pojęcia, pod jakim nazwiskiem. Wjedź po tym telefonie i przejrzyj dla mnie ich rejestry.

– Jak powiedziane, tak... – stwierdził Płaszczak.

Case usłyszał biały szum penetracji. Uśmiechnął się.

– Zrobione. Rose Kolodny. Wymeldowana. Potrzebuję paru minut na rozwalenie sieci zabezpieczeń tak głęboko, by wziąć namiar.

– Działaj.

Telefon trząskał i brzęczał wysiłkami konstrukt. Case przeniósł go do pokoju i położył słuchawką w dół na łóżku. Poszedł do łazienki i umył zęby. Kiedy wracał, zapłonął monitor pokojowego zestawu audiowizualnego Brauna. Japońska gwiazda pop leżała wsparta o metalizowane poduszki, a niewidoczny reporter pytał o coś po niemiecku. Case patrzył. Po ekranie przeskoczyły niebieskie zygzaki interferencji.

– Case, dziecino, do reszty straciłeś rozum? – Powolny, znajomy głos.

Szklana ściana balkonu pstryknęła, włączając obraz Dezyderaty, lecz ulica rozmyła się, rozmazała, zmieniła we wnętrze „Jarre de Thé” w Chibie.

Puste stoliki, czerwone neony replikujące się do nieskończoności w pokrytych lustrami ścianach.

Wystąpił Lonny Zone, wysoki i blady. Poruszał się z podwodną gracją nałogu. Stał samotny wśród kwadratowych stolików, z rękami w kieszeniach spodni szarych jak skóra rekina.

– Naprawdę, chłopie, wyglądasz na zdenerwowanego.

Głos dobiegał z głośników Brauna.

– Wintermute – stwierdził Case.

Alfons ospale wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Gdzie Molly?

– Nie twoja sprawa. Jakoś ci dziś nie idzie, Case. Płaszczak dzwoni we wszystkie dzwony Freeside. Nie sądziłem, że na to pójdziesz. Nie pasuje do twojego profilu.

– Więc powiedz, gdzie ona jest, a go odwołam.

Zone pokręcił głową.

– Nie potrafisz utrzymać swoich kobiet, co? Tracisz je w ten czy inny sposób.

– Oberwiesz za to.

– Nie. To nie twój typ zachowania. Wiem o tym. A przy okazji, Case, zgaduję, że się domyśliłeś, że to ja kazałem Deane’owi skasować tę twoją cipcię w Chibie.

– Przestań. – Case mimowolnie postąpił krok w stronę okna.

– Ale to nie ja. Zresztą, czy to ważne? Jak bardzo jest to istotne dla pana, Case? Przestań się oszukiwać. Znam twoją Lindę, chłopie. Znam wszystkie Lindy. Lindy to generyczny produkt mojego fachu. Wiesz, czemu postanowiła cię obrobić? Z miłości. Żebyś się przejął. Miłość... Pogadamy o miłości? Kochała cię. Niewiele była warta, ale kochała. Nie umiałeś sobie z tym poradzić. Teraz nie żyje.

Pięść Case’a odskoczyła od szyby.

– Nie rozwał sobie palców. Niedługo będziesz stukał w dek.

Zone zniknął, zastąpiony nocą Freeside i światłami budynków. Braun zgasł.

Telefon na łóżku brzęczał monotonnie.

– Case? – Płaszczak czekał. – Gdzieś ty był? Mam coś, chociaż niezbyt wiele. – Konstruktor wyrecytował adres. – Jest tam lód, dość dziwny jak na zwykły nocny klub. Nic więcej nie mogłem znaleźć bez zostawiania wizytówki.

– Dobra. Powiedz Hosace, niech przekaze Maelcumowi, żeby odłączył modem. Dzięki, Dix.

– Drobiazg.

Długą chwilę siedział na łóżku, delektując się nowym uczuciem. Było jak skarb.

Wściekłość.

* * *

– Cześć, Lupus. Hej, Cath, to nasz przyjaciel, Lupus. – Ociekający wodą Bruce stał nagi w drzwiach. Miał ogromne źrenice. – Ale właśnie bierzemy prysznic. Zaczekasz? Czy chcesz się wykąpać?

– Nie. Dzięki. Potrzebuję pomocy. – Odepchnął ramię chłopaka i wszedł do pokoju.

– Człowieku, my naprawdę...

– ...chcecie mi pomóc. I cieszycie się, że wpadłem. Bo jesteśmy przyjaciółmi. Zgadza się? Jesteśmy?

– Jasne. – Bruce zamrugął.

Case podał adres, który znalazł Płaszczak.

– Wiedziała, że to gangster! – zawołała radośnie Cath spod prysznica.

– Mam trójkołówkę Hondy – poinformował Bruce.

– To jedziemy.

* * *

– Tamten poziom to pokoje – oznajmił Bruce, kiedy po raz ósmy poprosił Case'a, by powtórzył adres. Wsiadł na hondę. Skroplona para ciekła z rury wydechowej wodorowej baterii, a czerwona karoseria

z włókna szklanego kołysała się na chromowanych amortyzatorach. – Długo cię nie będzie?

– Trudno przewidzieć. Ale zaczekacie.

– Jasne, zaczekamy. – Podrapał nagi tors. – Ostatnia część adresu to chyba pokój. Numer czterdzieści trzy.

– Spodziewałeś się tego, Lupus? – Cath spojrzała w górę nad ramieniem Bruce'a. Jazda osuszyła jej włosy.

– Raczej nie. A co, jakieś problemy?

– Zejdź na najniższy poziom i poszukaj pokoju swojej przyjaciółki. Jeśli cię wpuszczą, w porządku. Jeśli nie chcą cię widzieć... – Wzruszyła ramionami.

Case odwrócił się i ruszył w dół po spiralnych schodach z kutego w kwiaty żelaza. Po sześciu okrążeniach dotarł do nocnego klubu. Zapalił yeheyuana i spojrzał w stronę stolików. Freeside nagle nabrało sensu. Interesy. Czuł ich wibracje. To było to, lokalna działalność. Nie odstawiona na wysoki połysk Rue Jules Verne, ale coś rzeczywistego. Handel. Taniec. Klienci byli dość przypadkowi: połowa – turyści, połowa – mieszkańcy wysp.

Zatrzymał przechodzącego kelnera.

– Na dół. Chcę zejść na dół. – Pokazał swój chip Freeside.

Kelner skinął ręką w głąb pomieszczenia.

Wyminął stoliki, słysząc po drodze pół tuzina europejskich języków.

– Potrzebuję pokoju – oznajmił dziewczynie siedzącej przy niskim biurku, z terminalem na kolanach. – Dolny poziom. – Podał chip.

– Preferencje płciowe? – Przesunęła chip nad czarną płytą terminalu.

– Żeńskie – stwierdził odruchowo.

– Numer trzydzieści pięć. Proszę dzwonić, gdyby nie był pan zadowolony. Jeśli pan sobie życzy, możemy wyświetlić katalog usług specjalnych.

Uśmiechnęła się. Oddała chip.

Za jej plecami rozsunęły się drzwi windy.

Lampy na korytarzu płonęły błękitem. Case wysiadł z windy i skręcił, nie myśląc nad wyborem kierunku. Numerowane drzwi. Cisza jak

w ekskluzywnej klinice.

Znalazł swój pokój. Szukał Molly; teraz niepewnie podniósł chip i przycisnął do czarnego czujnika, wbudowanego tuż pod tabliczką z numerem.

Magnetyczne zamki. Ich szcęk przypomniał mu Tani Hotel.

Dziewczyna usiadła na łóżku i powiedziała coś po niemiecku. Oczy miała senne, niemrugające. Autopilot. Blokada neuralna. Wycofał się na korytarz i zamknął drzwi.

Drzwi numer czterdzieści trzy wyglądały tak samo jak wszystkie inne. Zawahał się. Panująca cisza dowodziła, że pokoje były dźwiękoszczelne. Nie ma sensu próbować z chipem. Zastukał w emaliowany metal. Nic. Drzwi jakby wchłaniały dźwięk.

Przycisnął chip do czarnej płytki.

Trzasnęły zasuwę.

Zdawało się, że uderzyła, zanim drzwi zdążyły się otworzyć. Klęczał oparty plecami o stalową płytę, a ostrza jej wyprostowanych kciuków drżały centymetry od jego oczu...

– Rany boskie – mruknęła i, wstając, klepnęła go w policzek. – Idiota z ciebie, że próbujesz takich numerów. Do diabła, jak otworzyłeś te zamki? Case? Case? Nic ci nie jest?

Pochyliła się nad nim.

– Chip – wykrztusił, próbując złapać oddech. Ból promieniował od piersi. Pomogła mu wstać i wciągnęła go do pokoju.

– Dałeś łapówkę tej na górze?

Pokręcił głową i upadł na łóżko.

– Zrób wdech. Licz. Jeden, dwa, trzy, cztery. Wstrzymaj oddech. Teraz wydech. Licz.

Uciskał palcami żołądek.

– Kopnęłaś mnie – wymamrotał.

– Powinam niżej. Chcę być sama. Medytuję, jasne? – Usiadła przy nim. – I słucham instrukcji. – Wskazała niewielki monitor wbudowany w ścianę nad łóżkiem. – Wintermute opowiada mi o Straylight.

– A gdzie kukielka?

– Nie ma. To najdroższa ze wszystkich usług specjalnych. – Wstała. Miała na sobie skórzane dzinsy i luźną, ciemną koszulę. – Wintermute mówi, że jutro wchodzimy do akcji.

– O co poszło w restauracji? Czemu zwiłaś?

– Gdybym została, mogłabym zabić Rivierę.

– Dlaczego?

– Za to, co mi zrobił. Za ten pokaz.

– Nie rozumiem.

– To sporo kosztuje – powiedziała, wyciągając dłoń, jakby trzymała niewidzialny owoc. Pięć ostrzy wysunęło się i zaraz schowało płynnie. – Płacisz: za lot do Chiby, za zabiegi, za połączenia systemu nerwowego, żeby reakcje nadały za sprzętem... Wiesz, gdzie zarabiałam szmal, kiedy zaczynałam? Tutaj. Nie tu, ale w takim samym miejscu, w Ciągu. Z początku to zabawa, bo kiedy wszczepią ci chip blokujący, masz wrażenie, że dostajesz szmal za nic. Czasem budzisz się obolały, ale to wszystko. Wypożyczasz sprzęt. Nie ma cię, kiedy to się dzieje. Firma ma programy na wszystko, za co klienci chcą płacić... – Stuknęła kostkami dłoni. – No i świetnie. Dostawałam forszę. Problem w tym, że blokada i obwody wstawiane w klinice w Chibie nie były kompatybilne. Praca przebijała się i przypominałam sobie... Ale to były tylko złe sny, zresztą nie wszystkie takie złe. – Uśmiechnęła się. – A potem zaczęło być dziwnie.

Wyjęła mu z kieszeni papierosy i zapaliła.

– Firma wykryła, na co wydaję szmal. Miałam już ostrza, ale precyzyjne zestrojenie neuromotorów wymagało jeszcze trzech podróży. Nie mogłam rzucić roboty kukielki. – Zaciągnęła się, wydmuchnęła pasmo dymu zakończone trzema idealnymi kólkami. – Skurwiel, który prowadził lokal, miał przygotowany specjalny software. Berlin; tam się robi thrillery. Wiedziałaś? Wielki rynek dla szurniętych sadystów. Nie wiem, kto napisał program, w który mnie włączył, ale zawierał całą klasykę gatunku.

– Wiedzieli, że łapiesz zajścia? Że w czasie pracy jesteś świadoma?

– Nie świadoma. To jest jak cyberprzestrzeń, ale pusta. Srebro. Pachnie jak deszcz... Widzisz swój orgazm jak małą nową na samym skraju obrazu.

Ale ja zaczynałam pamiętać. Wiesz, jak sny. A oni mi nie powiedzieli. Przerzucili software i zaczęli wynajmować na rynku koneserów.

Miał wrażenie, że jej głos dochodzi z bardzo daleka.

– Wiedziałam, ale siedziałam cicho. Potrzebowałam forsy. Sny były coraz straszniejsze, a ja sobie powtarzałam, że przynajmniej niektóre to naprawdę tylko sny. Wtedy zrozumiałam, że boss ma całą grupę klientów przychodzących tylko do mnie. Nic nie jest za dobre dla Molly, powiedział i dał mi tę głównianą podwyżkę. – Potrząsnęła głową. – Drań brał osiem razy tyle, ile mi płacił, i myślał, że nic nie wiem.

– Za co tyle brał?

– Okropne sny. Te prawdziwe... Pewnej nocy... wróciłam właśnie z Chiby... – Rzuciła papierosa, przydepnęła obcasem i usiadła, oparłszy się o ścianę. – Chirurdzy weszli wtedy głęboko. Delikatna robota. Musieli zakłócić blokadę. Obudziłam się. Robiłam numer z klientem. – Wbiła palce w gąbkę materaca. – To był senator. Od razu poznałam tę tłustą gębę. Oboje byliśmy zalani krwią. I nie sami. Ona była całkiem... – szarpnęła materac – ...martwa. A ten gruby sukinsyn powtarzał tylko: „Co się stało? Co się stało?”. Bo jeszcze nie skończył...

Zadrzała.

– Wiesz, chyba dałam senatorowi to, czego naprawdę pragnął. – Drgawki ustały. Puściła gąbkę i przeczesła palcami ciemne włosy. – Firma zawarła na mnie kontrakt. Przez pewien czas musiałam się ukrywać.

Case patrzył w milczeniu.

– Riviera trafił w punkt – stwierdziła. – Pewnie chce, żebym go porządnie znienawidziła. Będę wtedy nastawiona, żeby pójść tam za nim.

– Za nim?

– On już tam jest. W Straylight. Na zaproszenie Lady 3Jane, ze wszystkimi tytułami. Siedziała w takiej prywatnej łoży...

Case przypomniał sobie widzianą przez moment twarz.

– Chcesz go zabić?

Uśmiechnęła się. Zimno.

– Tak, on umrze. Niedługo.

– Ja też miałem wizytę. – Opowiedział o oknie, pomijając to, co fantom Zone'a mówił na temat Lindy.

Pokiwała głową.

– Może chce, żebyś też czegoś nienawidził.

– Może to jego nienawidzę.

– Może siebie nienawidzisz, Case.

* * *

– Jak było? – spytał Bruce, gdy Case wsiadł do hondy.

– Spróbuj kiedyś. – Przetarł oczy.

– Jakoś nie widzę w tobie faceta, który chodzi na kukielki – stwierdziła nieszczęśliwym głosem Cath i przycisnęła do nadgarstka świeży plaster.

– Możemy już wracać do domu? – zapytał Bruce.

– Jasne. Wysadź mnie przy Rue Jules Verne. Tam, gdzie są bary.

Rue Jules Verne była obwodnicą i obejmowała pętlą środek wrzeciona, podczas gdy Dezyderata prowadziła wzdłuż osi, dobiegając końcami do wzmacniaczy świetlnych pomp Lado-Achesona. Jeśli ktoś skręcił z Dezyderaty w prawo i dostatecznie długo szedł Rue Jules Verne, znów docierał do Dezyderaty, z lewej strony.

Case stał nieruchomo, póki nie zniknął mu z oczu trójkołowiec Bruce'a. Potem zawrócił. Minął ogromny, jaskrawo oświetlony kiosk, gdzie dziesiątki błyszczących, japońskich magazynów prezentowały twarze najnowszych gwiazd symstymu.

Nad głową, wzdłuż okrytej nocą osi, holograficzne niebo migotało wymyślnymi konstelacjami o kształtach kart i kości do gry, kapelusza, kieliszka martini. Skrzyżowanie Dezyderaty i Rue Jules Verne tworzyło rodzaj wąwozu: mieszkalne tarasy urwisk Freeside wznosiły się stopniowo do trawiastych równin następnego zespołu kasyn. Case patrzył, jak automatyczna lotnia kołuje z gracją w kominie wznoszącym, obok zielonej krawędzi sztucznego wzgórza, przez sekundę oświetlona delikatnym blaskiem niewidocznego kasyna. Zabawka była czymś w rodzaju bezpilotowego dwupłatowca z cienkiego polimeru, z gigantycznym motylem wymalowanym na skrzydłach. Po chwili zniknęła za wzgórzem. Dostrzegł jeszcze błysk neonu odbitego w szkle: obiektyw albo wieżyczka laserów. Lotnie tworzyły część systemu bezpieczeństwa wrzeciona, nadzorowanego przez centralny komputer, ukryty gdzieś we Freeside.

Może w Straylight? Szedł przed siebie, mijając bary o nazwach „Hi-Lo”, „Paradise”, „le Monde”, „Krykicista”, „Shozoku Smith's”, „Stan Krytyczny”. Wybrał „Stan Krytyczny”, bo był najmniejszy i najbardziej

zatłoczony. Już po kilku sekundach zrozumiał, że to lokal dla turystów. Nie wyczuwał podskórnego rytmu interesów, jedynie napięcie wygładzonego seksu. Pomyślał o bezimiennym klubie nad wynajętą komórką Molly, ale obraz jej osłoniętych lustrami oczu, wpatrzonych w niewielki ekran, zniechęcił go do tego wspomnienia. Co mógł odkrywać przed nią Wintermute? Plany Villi Straylight? Historię Tessier-Ashpoolów?

Wziął kufel carlsberga i znalazł sobie miejsce przy ścianie. Zamknąwszy oczy, poszukał w sobie wściekłości: czystego, rozżarzonego węgla gniewu. Wciąż tam był. Skąd się wziął? Pamiętał, że czuł tylko zdumienie, gdy okaleczyli go w Memphis, zupełnie nic, kiedy zabijał dla ochrony swych interesów w Mieście Nocy, mdłości i odrazę po śmierci Lindy pod powietrzną kopułą. Bez gniewu. Na ekranie umysłu maleńki i odległy wizerunek Deane'a w eksplozji krwi i mózgu upadał na wizerunek ściany. Wtedy już wiedział: wściekłość pojawiła się, gdy Wintermute odwołał symstymowe widmo Lindy Lee, gdy odebrał szansę prostej, zwierzęcej rozkoszy: jedzenia, ciepła, miejsca do spania. Nie uświadamiał sobie tego, aż do rozmowy z holokonstruktem Lonny'ego Zone'a.

Dziwna sprawa. Nie potrafił jej ocenić.

– Drętwy – powiedział.

Był drętwy od bardzo dawna, całe lata. Wszystkie noce na Ninsei, noce z Lindą, drętwy w łóżku i drętwy w zimnym, spoconym cyklu każdej narkotykowej transakcji. Teraz jednak znalazł ciepło. Znalazł chip morderstwa.

Mięso, powtarzała część jego umysłu. To mięso gada. Nie zwracaj uwagi.

– Gangsterze.

Otworzył oczy. Obok, w czarnym kostiumie, stała Cath. Włosy wciąż miała rozwichrzone po rajdzie hondą.

– Myślałem, że wróciłaś do domu – mruknął, łykiem carlsberga kryjąc zmieszanie.

– Kazałam się wysadzić koło sklepu. Kupiłam to. – Przesunęła dłonią wzdłuż biodra. – Podoba ci się?

– Pewno. – Odruchowo skontrolował twarz wokół siebie, potem spojrzał na nią. – O co ci właściwie chodzi, mała?

– Jak ci weszła beta, którą od nas dostałeś, Lupus? – Była bardzo blisko, promieniując ciepłem i napięciem, oczy jak szparki, olbrzymie źrenice, ścięgnięta na szyi naciągnięta niczym cięciwy. Drżała niewyczuwalnie, wibrowała świeżą dawką. – Miałeś odlot?

– Tak. Ale lądowanie było potworne.

– W takim razie potrzebujesz więcej.

– I do czego to ma doprowadzić?

– Mam klucz. Trochę wyżej, za „Paradise”, gniazdko dla śmietanki. Ci ludzie są dziś na dnie studni, w interesach. Jeśli chwytasz, o co mi chodzi...

– Jeśli chwytam.

Ujęła oburącz jego dłoń. Palce miała gorące i suche.

– Ty jesteś yak, prawda? Gaijin i żołnierz yakuzy.

– Masz oko, co? – Wyrwał rękę i poszukał papierosa.

– Więc czemu masz wszystkie palce? Myślałam, że za każdą spieprzoną akcją musicie po jednym odcinać.

– Nigdy nie spieprzyłem. – Zapalił.

– Widziałam tę dziewczynę, z którą jesteś. Tego dnia, kiedy cię spotkałam. Chodzi jak Hideo. Przeraza mnie. – Uśmiechnęła się zbyt szeroko. – Lubię. Czy ona robi to z dziewczynami?

– Nie mówiła. Kto to jest Hideo?

– 3Jane, jak to ona mówi, domownik. Domownik rodziny.

Case zmusił się, by patrzeć tępo na tłum gości „Stanu Krytycznego”.

– Di-Jane? – zapytał.

– Lady 3Jane. Jest na szczycie. Bogata. Jej ojciec ma to wszystko.

– Ten bar?

– Freeside!

– Nie pieprzysz? – Uniósł brew. – Miewasz dobre towarzystwo. – Objął ją ramieniem, kładąc dłoń na biodrze. – Więc jak poznałaś tych arystokratów, Cathy? Pochodzisz z dobrego domu? Ty i Bruce jesteście nieznanymi spadkobiercami jakiegoś starego, solidnego kredytu? Co?

Rozłożył palce, gładząc skórę okrytą cienką czarną tkaniną. Przysunęła się. Zachichotała.

– Wiesz... – opuszczone powieki miały sugerować skromność – lubi imprezy. Bruce i ja często bywamy w różnych miejscach... Ona się tam naprawdę nudzi. I stary czasem ją wypuszcza, pod warunkiem, że bierze Hideo. On jej pilnuje.

– Gdzie się nudzi?

– Mówią na to Straylight. Opowiadała mi. Jest śliczne: wszędzie stawy i lilie. To zamek, prawdziwy zamek, cały z kamienia, z wieżami. – Przytuliła się. – Lupus, potrzebujesz plastra. Wtedy będziemy razem.

Nosiła na szyi małą czarną torebkę na cienkim rzemyku. Lśniące różem na tle sztucznej opalenizny paznokcie były obgryzione do ciała. Otworzyła torebkę, wyjęła kryty folią papier z nalepionym niebieskim plastrem. Coś białego upadło na podłogę. Case pochylił się i podniósł to. Żuraw origami.

– Dostałam od Hideo – wyjaśniła. – Chciał mnie nauczyć, ale nie potrafię. Szyja ciągle wychodzi na odwrót.

Wsunęła składany papier do torebki. Case patrzył, jak rozdziera folię, odkleja plaster od podkładu i dociska na wewnętrznej stronie jego nadgarstka.

– 3Jane ma trójkątną twarz, nos jak ptasi dziób? – Obserwował swoje dłonie kreślące kontur. – Ciemne włosy? Młoda?

– Chyba tak. Ale jest w szczycie. Wiesz, tyle forsy...

Narkotyk uderzył jak lokomotywa; rozpalona do białości kolumna światła pięła się po kręgosłupie, iluminując szwy czaszki promieniami Roentgena i skondensowaną energią seksualną. Zęby dzwoniły w dziąsłach niby kamertony, każdy idealnie dostrojony i czysty jak etanol. Pod mglistą powłoką ciała lśniły chromowane, polerowane kości, stawy pokryte cienką błoną silikonu. Piaskowe burze szalały na wygładzonej podłodze czaszki, generując fale wysokiego szumu, który opadał za źrenice; rosnące sfery najczystszej kryształki...

– Chodź – powiedziała, biorąc go za rękę. – Teraz to masz. Oboje mamy. Chodźmy na górę, wystarczy na całą noc.

Gniew rozszerzał się, nieustępliwie, wykładniczo, mknął za szumem betafenetylaminy niby fala nośna, sejsmiczny płyn, gęsty i żrący. Erekcja była jak sztaba ołowiu. Twarze wokół nich przypominały malowane lalki, różowe i białe niby-usta poruszały się, poruszały bez przerwy, wypuszczając słowa jak izolowane balony dźwięku. Spojrzał na Cath. Widział każdy por jej opalonej skóry, oczy płaskie niby zmętniała szyba, z martwym, metalicznym odcieniem, lekką opuchlizną, najmniejsze asymetrie piersi i obojczyka, naj... coś zapłonęło bielą za jego źrenicami.

Puścił jej dłoń i ruszył niepewnie do drzwi. Odepchnął kogoś po drodze.
– Pieprzę cię! – wrzasnęła za nim. – Ty złodziejski sukinsynu!

Nie czuł nóg. Używał ich jak szczudeł, zataczając się obłąkańczo na kamiennym chodniku Rue Jules Verne. Odległy grzmot własnej krwi w uszach, ostre jak brzytwy płaszczyzny światła tnące czaszkę pod tuzinem kątów.

Stanął jak skamieniały, z erekcją, z pięściami przyciśniętymi do ud, odchyłoną głową, ściągniętymi wargami, drżący. A kiedy patrzył, zodiak Freeside, kasynowe konstelacje holograficznego nieba poruszyły się, spłynęły wzdłuż osi ciemności i zaroily jak żywe w martwym centrum bytu. I ułożyły się na nowo, pojedynczo i całymi setkami, w jeden prosty, ogromny portret, odwzorowany gwiazdami na nocnym niebie: gigantycznej wersji monochromatycznego ekranu. Twarz panny Lindy Lee.

Kiedy wreszcie zdołał odwrócić głowę, spuścić wzrok, dostrzegł uniesione twarze przechodniów, oniemiałych z zachwyty turystów. Gdy światła nieba zgasty, na Rue Jules Verne zabrzmiały oklaski, odbijane echem od tarasów z księżycowego betonu.

Gdzieś rozległo się bicie zegara, starożytnego dzwonu z Europy.

Północ.

* * *

Spacerował do rana.

Haj ustępował powoli, z każdą godziną korodował chromowany szkielet, ciało nabierało gęstości, narkotykowe mięśnie zastępowało mięso życia. Nie umiał myśleć. Bardzo mu się to podobało: był świadomy i niezdolny do myślenia. Miał wrażenie, że staje się każdą rzeczą, jaką widzi: ławką w parku, chmurą ciem wokół antycznej latarni, automatycznym ogrodnikiem w ukośne czarno-żółte pasy.

Zarejestrowany świt skradał się wzdłuż systemu Lado-Achesona, różowy i upiorny. Case zmusił się, by w kawiarence przy Dezyderacie zjeść omlet, popić wodą, wypalić ostatniego papierosa. Łąka na dachu Intercontinentalu budziła się do życia z pierwszymi, wczesnymi klientami, głodnymi kawy i croissantów pod pasiastymi parasolami.

Zachował swój gniew. Czuł się tak, jakby został pobity w ciemnej uliczce, a potem odzyskał przytomność i znalazł w kieszeni nienaruszony portfel. Grzał się tym gniewem, niezdolny do nadania mu nazwy ani kierunku.

Szukając w kieszeni kredytowego chipa Freeside, który służył za klucz, zjechał windą na swój poziom. Sen nabierał realności, był czymś, czym mógłby się zająć. Paść na materac barwy piasku i znowu odnaleźć pustkę.

Czekali na niego we trójkę. Ich idealnie białe sportowe ubrania i sztuczna opalenizna kontrastowały z szykiem organicznych, ręcznie robionych mebli. Dziewczyna siedziała na wiklinowej sofie, a automatyczny pistolet leżał tuż obok, na liściastej poszwie poduszki.

– Turing – powiedziała. – Jesteś aresztowany.

część IV

Akcja w Straylight

– Nazywasz się Henry Dorsett Case.

Wyrecytowała datę i miejsce jego urodzenia, Generalny Numer Identyfikacyjny z OMBA, serię nazwisk, w których rozpoznawał pseudonimy swojej przeszłości.

– Długo tu czekacie? – Zauważył rozłożoną na łóżku zawartość torby, nieprane rzeczy posortowane według typów. Gwiazda shuriken leżała osobno, między dżinsami i bielizną, na gąbce koloru piasku.

– Gdzie jest Kolodny?

Dwaj mężczyźni siedzieli obok siebie na kanapie, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z identycznymi złotymi łańcuszkami na szyjach. Case spojrzał uważnie. Ich młodość była oszustwem, zdradzonym przez charakterystyczne pofałdowanie wokół kostek dłoni. Chirurdzy nie potrafili go usunąć.

– Kto to jest Kolodny?

– Takie nazwisko figuruje w rejestrze. Gdzie ona jest?

– Nie wiem. – Podeszedł do barku i nalał sobie szklanekę wody mineralnej.
– Odplynęła.

– Gdzie byłeś dziś w nocy, Case? – Dziewczyna podniosła pistolet i położyła na kolanie, nie celując jednak w niego.

– Przy Rue Jules Verne, w paru barach, złapałem haj. A wy? – Nogi miał dziwnie kruche. Woda mineralna była ciepła i zwietrzała.

– Mam wrażenie, że nie pojmuje pan powagi sytuacji. – Mężczyzna z lewej strony wyjął z kieszonki białej bluzy paczkę gitanesów. – Wpadł pan, panie Case. Zarzuty wiążą się ze spiskiem w celu powiększenia sztucznej inteligencji. – Z tej samej kieszonki wyłowił złotego dunhilla

i podrzucił go na dłoni. – Człowiek znany panu jako Armitage jest już w areszcie.

– Corto?

Mężczyzna otworzył szeroko oczy.

– Tak. Skąd pan wie, że tak się nazywa? – Z zapalniczki trysnął milimetrowy płomyk.

– Zapomniałem – odparł Case.

– Przypomnisz sobie – zapewniła dziewczyna.

* * *

Ich imiona, a raczej kryptonimy, brzmiały: Michéle, Roland i Pierre. Pierre, uznał Case, zagra Wrednego Glinę; Roland stanie po stronie Case'a, będzie świadczył drobne grzeczności – znalazł nową paczkę yeheyuanów, gdy Case odmówił gitanesa – i generalnie tworzył przeciwwagę dla lodowatej wrogości Pierre'a. Michéle będzie Rejestrującym Aniołem, wprowadzając drobne korekty w tok przesłuchania. Był pewien, że jedno z nich, a może wszyscy są podłączeni na audio, możliwe, że na symstym. Cokolwiek powie czy zrobi może służyć jako dowód. Dowód czego? – pytał sam siebie wśród tępego bólu głodu.

Wiedząc, że nie zrozumie ich francuskiego, rozmawiali dość swobodnie. Przynajmniej pozornie. Pojmował dostatecznie wiele: nazwiska Pauleya i Armitage'a, Sense/Net, Modernistyczne Pantery sterczały jak góry lodowe z fal morza francuskich słów wypowiedzianych z paryskim akcentem. Całkiem możliwe, że trafiły tam właśnie po to, by je usłyszał. Przez cały czas określali Molly jako Kolodny.

– Twierdzisz, że wynajęto cię do akcji, Case – powiedział Roland. Mówił wolno, co miało skłaniać do rozsądku. – I że nie masz pojęcia o naturze celu. To dość niezwykle w twoim fachu. Czy, po przełamaniu osłony, byłbyś w stanie wykonać pożądaną operację? Bo przecież wymagana będzie jakaś operacja, prawda? – Pochylił się, opierając łokcie na sztucznie opalonych kolanach i wysuwając dłonie, jakby dla przyjęcia wyjaśnień Case'a. Pierre

krażył po pokoju; stał koło okna, po chwili był już przy drzwiach. Michéle jest wizjerem, uznał Case. Ani na moment nie spuściła z niego wzroku.

– Mogę coś na siebie włożyć? – zapytał.

Pierre uparł się, żeby go rozebrać, przebadać szwy dżinsów. Teraz Case siedział nagi na wiklinowym stołku, a jedna stopa lśniła obsceniczną bielą.

Roland spytał o coś po francusku. Pierre, znowu przy oknie, spoglądał przez małą, płaską lornetkę.

– *Non* – rzucił obojętnie, a Roland wzruszył ramionami i uniósł brwi.

Case uznał, że nadeszła pora na uśmiech. Roland odpowiedział uśmiechem.

Najstarszy gliński numer w podręcznikach, pomyślał Case.

– Posłuchajcie – powiedział. – Jestem chory. Wziąłem tego procha w barze, rozumiecie? Chcę się położyć. Już mnie macie. Mówiliście, że złapaliście Armitage’a. Jego pytajcie. Ja jestem tylko wynajętym pomocnikiem.

Roland kiwnął głową.

– A Kolodny?

– Była z Armitage’em, kiedy mnie zatrudnił. Same mięśnie. Brzytwa. O ile wiem. Ale nie wiem za dużo.

– Wiesz, że prawdziwe nazwisko Armitage’a to Corto – wtrącił Pierre. Plastikowe osłony lornetki wciąż skrywały mu oczy. – A skąd o tym wiesz, przyjacielu?

– Chyba sam o tym wspomniał. – Case żałował, że się wygadał. – Każdy ma po kilka imion. Naprawdę jesteś Pierre?

– Wiemy, jak cię naprawiali w Chibie – oznajmiła Michéle. – To był pierwszy błąd Wintermute’a.

Case patrzył na nią możliwie tępym wzrokiem. Do tej pory ani razu nie wymienili tej nazwy.

– Proces, który wykorzystano w twoim przypadku, stał się podstawą do wniosku właściciela kliniki o przyznanie siedmiu podstawowych patentów. Rozumiesz, co to oznacza?

– Nie.

– Że operator czarnej kliniki w Chiba City posiada teraz pakiety kontrolne trzech wielkich konsorcjów badawczych. To odwraca zwykły porządek rzeczy, a więc przyciąga uwagę.

Skrzyżowała opalone ramiona na małych, jędrnych piersiach i oparła się o kolorową poduszkę. Case zastanawiał się, ile może mieć lat. Podobno oczy ujawniają prawdziwy wiek, on jednak nigdy tego nie zauważył. Julie Deane miał za różowym kwarcem okularów oczy znudzonego dziesięciolatka. W Michéle, prócz kostek dłoni, nie było nic starego.

– Wyśledziliśmy cię w Ciągu, zgubiliśmy, złapaliśmy znowu, kiedy odlatywałeś do Istambułu. Cofnęliśmy się, poszukaliśmy w sieci, stwierdziliśmy, że brałeś udział w prowokowaniu zamieszek w Sense/Net. Sense/Net chętnie przystało na współpracę. Na naszą prośbę zrobili remanent. Odkryli, że zaginął konstrukt ROM-u osobowości McCoya Pauleya.

– W Istambule było łatwo – stwierdził Roland niemal przeproszającym tonem. – Kobieta zerwała powiązania kontaktu Armitage’a z tajną policją.

– A potem przylecieliście tutaj. – Pierre wsunął lornetkę do kieszeni szortów. – Byliśmy zachwyceni.

– Szansa, żeby poprawić opaleniznę?

– Wiesz, o co nam chodzi – oświadczyła Michéle. – Jeśli wolisz udawać, że nie, to tylko pogarszasz swoją sytuację. Kwestia ekstradycji nadal pozostaje otwarta. Wrócisz z nami, Case, tak samo jak Armitage. Ale gdzie dokładnie trafisz? Do Szwajcarii, gdzie będziesz tylko pionkiem w procesie sztucznej inteligencji? Czy do le OMBA, gdzie potrafią ci udowodnić udział nie tylko w naruszeniu tajności i kradzieży danych, ale też ciężkie wykroczenie przeciwko porządkowi publicznemu, które kosztowało życie czternastu niewinnych osób? Wybór należy do ciebie.

Case wyjął z paczki yeheyuana. Pierre podał mu ogień złotym dunhillem.

– Czy Armitage będzie cię krył?

Pytanie zostało zaakcentowane trzaskiem lśniącej pokrywy zapalniczki.

Case spojrzał na niego poprzez ból i gorycz betafenetylaminy.

– Ile pan ma lat, szefie?

– Dość, żeby wiedzieć, że jesteś spalony, sprawa skończona, a ty tylko przeszkadzasz.

– Jedno pytanie. – Case zaciągnął się i dmuchnął dymem w twarz agenta Rejestru Turinga. – Czy dysponujecie tu, moi mili, jakąkolwiek realną jurysdykcją? To znaczy, czy przypadkiem nie powinienem wam towarzyszyć oddział sił porządkowych Freeside? To przecież ich teren.

Dostrzegł, jak tężeje chłopięca twarz, i przygotował się na cios, ale Pierre tylko wzruszył ramionami.

– To bez znaczenia – wyjaśnił Roland. – Pójdiesz z nami. Mamy doświadczenie w takich prawnie niedookreślonych sytuacjach. Układy, które gwarantują działanie naszego wydziału Rejestru, przyznają nam pewną elastyczność. Tworzymy ją, gdy jest potrzebna. – Maska sympatii opadła nagle i Roland spojrzał twardo, jak Pierre.

– Jesteś gorzej niż durniem. – Michéle wstała, nie wypuszczając pistoletu. – Nie dbasz o własny gatunek. Od tysiący lat ludzie marzyli o paktach z demonami. Dopiero teraz jest to możliwe. Czym ci zapłacą? Jaką wyznaczysz cenę za to, że pomożesz temu potworowi uwolnić się i rosnąć?

W jej głosie brzmiały zmęczenie i wiedza, których żadna dziesiętnastolatka nie potrafiłaby zagrać.

– Ubierz się. Idziesz z nami. Razem z tym, którego nazywasz Armitage'em, polecisz do Genewy i złożysz zeznania na procesie tej inteligencji. W przeciwnym razie zabijemy cię. Teraz. – Uniosła broń: gładkiego, czarnego walthera z integralnym tłumikiem.

– Już się ubieram – zapewnił, idąc niepewnie w stronę łóżka. Nogi miał wciąż zdrtwiałe i niezgrabne. Poszukał czystej koszulki.

– Statek już czeka. Wykasujemy konstrukt Pauleya z działła pulsacyjnego.

– Sense/Net się wścieknie – stwierdził, myśląc: przepadną wszystkie dowody w Hosace.

– Mają dość kłopotów z powodu posiadania czegoś takiego.

Case wciągnął koszulkę. Na łóżku dostrzegł shuriken – bezduszny metal, jego gwiazda. Szukał swojego gniewu. Bez skutku. Pora się poddać,

pogodzić z przegraną... Pomyślał o woreczkach z trucizną.

– Tak odchodzi mięso – mruknął.

Jadąc windą na łąkę, myślał o Molly. Może już być w Straylight. Ściga Rivierę. Sama prawdopodobnie ścigana przez Hideo, który prawie na pewno był klonowanym ninja z opowieści Finna, przysłanym po gadającą głowę.

Oparł czoło o szorstki czarny plastik panelu ściany i zamknął oczy. Kończyny miał jak z drewna: starego, poskręcane, ciężkiego od deszczu.

Pod drzewami, do stolików z kolorowymi parasolami podawano lunch. Roland i Michéle podjęli role, paplając beztrudnie po francusku. Pierre szedł z tyłu. Michéle przyciskała Case'owi lufę do żeber, kryjąc pistolet pod białą, przerzuconą przez ramię kamizelką.

Wymijając rozstawione na łące stoliki i drzewa, zastanawiał się, czy strzeliłaby, gdyby upadł. Czarny gąszcz wrzał na skraju jego pola widzenia. Uniósł głowę. Pod odtwarzanym niebem, na tle pasma białego żaru armatury Lado-Achesona szybował z gracją gigantyczny motyl.

Dotarli do poręczy nad urwiskiem. Dzikie kwiaty tańczyły w podmuchach wiatru z kanionu, który był Dezyderatą. Michéle potrząsnęła krótkimi włosami i wyciągnęła rękę, mówiąc coś do Rolanda. Zdawało się, że jest autentycznie szczęśliwa. Case podążył wzrokiem za jej gestem: gładkie jeziora, białe błyski kasyn, turkusowe prostokąty tysiąca basenów i ciała pływaków jak maleńkie brązowe hieroglify, wszystko przytrzymywane w łagodnej aproksymacji ciężenia na nieskończonej krzywiźnie powłoki Freeside.

Szli wzdłuż krawędzi do ozdobnego żelaznego mostu, sięgającego łukiem ponad Dezyderatą. Michéle pchnęła go lufą walthera.

– Bez nerwów. Ledwie dziś chodzę.

Minęli jedną czwartą długości mostu, gdy uderzyła motolotnia. Elektryczny silnik milczał do chwili, kiedy śmigło z włókien węglowych odrąbało czubek czaszki Pierre'a.

Na moment znaleźli się w cieniu maszyny; Case poczuł bryzgi gorącej krwi na karku. Później ktoś go przewrócił. Przetoczył się, dostrzegł leżącą na plecach Michéle. Uniosła kolana i mierzyła oburącz z walthera.

Niepotrzebny wysiłek, pomyślał z niezwykłą jasnością szoku. Próbowwała zestrzelić motolotnię.

Potem biegł. Obejrzał się, gdy mijał pierwsze drzewo. Roland pędził za nim. Dostrzegł, jak kruchy dwupłatowiec uderza o poręcz mostu, łamie się, koziółkuje i strąca dziewczynę w przepaść Dezyderaty.

Roland nie oglądał się. Twarz miał stężałą i bladą, wyszczerzone zęby. Trzymał coś w dłoni.

Automatyczny ogrodnik dopadł go, gdy przebiegał pod tym samym drzewem. Runął spomiędzy przyszczyżonych gałęzi – mechaniczny krab w ukośne żółto-czarne pasy.

– Zabiłeś ich... – dyszał Case. – Ty obłąkany pierdolcu, zabiłeś ich wszystkich...

Mały wagonik pędził tunelem z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Case nie otwierał oczu. Prysznic pomógł, ale Case wymiotował śniadanie, gdy spojrzał w dół i zobaczył spływającą po białych kafelkach krew Pierre'a.

Wrzecziono zwężało się i malała grawitacja. Żołądek podchodził Case'owi do gardła.

Aerol ze swym skuterem czekał przy doku.

– Case, chłopie, jest problem. – Miękki głos rozbrzmiewał cicho w słuchawkach.

Case przesunął brodą dźwignię głośności i spojrzał w lexanową płytę hełmu Aerola.

– Muszę się dostać na *Garveya*.

– Jasne. Wpinaj się, chłopie. Ale *Garvey* schwytyany. Jacht, ten co wcześniej. Wrócił. Teraz mierzy twardo w *Marcusa Garveya*.

Turing?

– Ten co wcześniej? – Case usiadł na ramie skutera i zaczął dopinać pasy.

– Japoński jacht. Przywiózł twoją paczkę.

Armitage.

* * *

Widok *Marcusa Garveya* przywoływał niewyraźne obrazy komarów i pajaków. Mały holownik tulił się do szarej piersi pięć razy dłuższego, smukłego, owadopodobnego statku. Na tle połatanego pancerza *Garveya*

ramiona chwytników odbijały się z niezwykłą wyrazistością próżni i nagiego słońca. Jasny falisty trap sięgał od jachtu, skręcał, by ominąć silniki, i zakrywał służę rufową. Było coś obscenicznego w tym układzie, lecz budziło skojarzenia raczej z pożywieniem niż z seksem.

– Co z Maelcumem?

– Maelcum świetnie. Nikt nie przyszedł tą rurą. Pilot jachtu z nim gadał, powiedział: spokojnie.

Gdy mijali szary statek, Case dostrzegł nazwę HANIWA, wymalowaną ostrymi białymi literami pod owalnym gąszczem japońskich znaków.

– To mi się wcale nie podoba. Myślałem, że może pora zabrać stąd tyłki.

– Maelcum myślał dokładnie to samo, chłopie. Ale *Garvey* daleko tak nie polecą.

* * *

Kiedy Case wszedł przez luk dziobowy i zdjął hełm, Maelcum mówił coś swoją prawie niezrozumiałą gwarą.

– Aerol wrócił na *Rockera* – poinformował Case.

Maelcum skinął głową, nadal szepcząc do mikrofonu.

Case przeciągnął się nad dryfującymi włosami pilota i zaczął ściągać skafander. Maelcum nie otwierał oczu; marszcząc czoło, słuchał odpowiedzi. Na uszach miał słuchawki w jasnopomarańczowej gąbce. Nosił obszarpane dżinsy i nylonową kurtkę z oderwanymi rękawami. Case wrzucił czerwony kombinezon Sanyo do magazynka i zapiął antyprzeciążeniową uprząż.

– Sprawdź, chłopie, czego chce twój duch – powiedział Maelcum. – Komputer ciągle o ciebie pyta.

– A kto jest w tamtej maszynie?

– Przyszedł jakiś japoński młodziak. Teraz doleciał twój Pan Armitage. Z *Freeside*.

Case założył trody i włączył się.

* * *

– Dixie?

Matryca ukazywała różowe kule koncernu metalurgicznego Sikkim.

– W co się pakujesz, mały? Słyszałem ciekawe historie. Hosaka jest dołatany do podwójnego banku danych na łódce twojego szefa. Ostro idziesz. Jakies gliny od Turinga?

– Tak, ale Wintermute ich pozabijał.

– To nie pomoże na długo. Tam, skąd przychodzą, jest ich mnóstwo. Wrócą. Założę się, że ich deki krążą po tym sektorze sieci jak muchy koło gówna. A twój boss, Case, mówi: jazda. Róbcie, co trzeba, i to róbcie natychmiast.

Case wybrał współrzędne Freeside.

– Przejmę na sekundę, Case... – Matryca rozmyła się i przefazowała, gdy Płaszczak wykonał złożoną serię przeskoków tak szybkich i precyzyjnych, że Case skrzywił się z zazdrości.

– Niech cię diabli, Dixie...

– Niezły byłem, mały, jeszcze za życia. Widziałeś? A rączki tutaj!

– To ten, co? Duży zielony prostokąt po lewej?

– Trafieś. Korporacyjny rdzeń danych Tessier-Ashpool S.A., a ten lód generują dwie zaprzyjaźnione SI. Na moje oko, ani trochę nie gorszy od sektora wojskowego. Piekielny lód. Czarny jak grób i gładki jak szkło. Wysmaży ci mózg od jednego spojrzenia. Jeśli podejdziemy bliżej, jego trasery przypalą nam tyłki i wyjdą uszami, a chłopcy w zarządzie T-A będą znali numer twoich butów i długość fiuta.

– Nie wygląda tak źle. Wiesz, ci z Turinga już go namierzyli. Myślałem, żeby się może wycofać. Mogę cię zabrać.

– Poważnie? Nie bujasz? Nie chcesz zobaczyć, co może zrobić ten chiński wirus?

– No... – Case studiował zielone ściany lodu T-A. – Dobra, pieprzę. Tak. Wchodzimy.

– Pakuj go.

Case się odłączył.

– Maelcum! – zawołał. – Pewnie będę pod trodami przez jakieś osiem godzin ciągiem. – Maelcum znowu palił. Kabina pływała w kłębach dymu. – Nie będę mógł chodzić na dziób...

– Nie ma sprawy, chłopie.

Syjonita wykonał salto w przód i przeszukał zawartość zapinanej siatki. Wyjął z niej zwój przezroczystej rurki i jeszcze coś, opakowane w sterylną folię.

Nazywał to teksaskim cewnikiem. Case'owi urządzenie wcale się nie podobało.

Wsunął chiński wirus w szczelinę, zawahał się i pchnął do oporu.

– W porządku – mruknął. – Jedziemy. Słuchaj, Maelcum, jeśli zaczniesz się robić naprawdę zabawnie, możesz mnie złapać za lewą rękę. Poczuję. Jeśli nie, to chyba najlepiej rób, co ci każe Hosaka. Dobra?

– Jasne, chłopie. – Maelcum zapalił nowego skręta.

– I włącz wymiatacz. Nie chcę, żeby to draństwo mieszało w moich neurotransmiterach. I tak mam już kaca.

Maelcum wyszczerzył zęby.

Case włączył się znowu.

– Chryste o kulach – jęknął Płaszczak. – Popatrz tylko.

Wokół nich rozwijał się chiński wirus. Polichromatyczny cień, przesuwające się i łączące niezliczone, przejrzyste warstwy. Zmiennokształtny i ogromny, wyrastał w górę, przesłaniając pustkę.

– Wielka matko – powiedział Płaszczak.

– Sprawdź Molly. – Case wcisnął klawisz symstymu.

* * *

Nieważkość. Wrażenie, że nurkuje w idealnie czystej wodzie. Opadała-
leciała szeroką rurą z księżycowego betonu, oświetloną przez umieszczone
w dwumetrowych odstępach pierścienie białych neonów.

Połączenie było jednostronne. Nie mógł się do niej odezwać.

Przeskoczył.

* * *

– Dostaliśmy ostry program, mały. Przebój sezonu, największy od czasu chleba na tosty. To draństwo jest niewidzialne. Przed chwilą pożyczyłem dwadzieścia sekund w tym małym, różowym pudełku, cztery skoki na lewo od lodu T-A. Chciałem spojrzeć, jak wyglądamy. Nie wyglądamy. W ogóle nas tu nie ma.

Case przeszukał matrycę wokół Tessier-Ashpool i znalazł różową strukturę, standardowy system handlowy. Przeszedł bliżej.

– Może jest uszkodzony.

– Może, ale nie sądzę. To nasz maluch jest militarny. I nowy. Po prostu go nie rejestrują. W przeciwnym razie dostaliby odczyt tajnego, chińskiego ataku. Ale nikt nawet do nas nie mrugnął. Może nawet faceci ze Straylight.

Case obserwował ślepy mur osłaniający Straylight.

– To daje pewną przewagę – zauważył.

– Może. – Konstruktor wybuchnął aproksymacją śmiechu; Case się skrzywił. – Sprawdziłem dla ciebie naszego dobrego Kuanga XI. Naprawdę przyjazny, przynajmniej dopóki stoisz po stronie spustu. Grzeczny i pomocny. I nieźle zna angielski. Słyszałeś kiedy o powolnych wirusach?

– Nie.

– Ja słyszałem, raz. Wtedy to była tylko idea. Ale taki właśnie jest nasz stary Kuang. To nie świder i strzykawa, raczej sprzęg z lodem. Tak wolny, że lód go nie wyczuwa. Linia logiki Kuanga jak gdyby podmywa cel i mutuje, aż będzie identyczna z osnową lodu. Wtedy zatrząskuje się i wchodzi programy główne. Wędrują po logice lodu. Zanim w ogóle coś zauważy, my jesteśmy jak jego syjamski bliźniak. – Płaszczak roześmiał się.

– Wołałbym, żebyś nie był w takim wściekle dobrym humorze. Od tego twojego śmiechu dostaję dreszczy.

– Fatalnie – stwierdził Płaszczak. – Taki staruszek jak ja musi się czasem pośmiać.

Case uderzył klawisz symstymu.

* * *

I runął przez poskręcany metal, w zapach kurzu. Dłonie ześlizgiwały się na gładkim papierze. Coś upadło z hukiem za jego plecami.

– Spokojnie – powiedział Finn. – Przyhamuj trochę.

Case leżał na stosie poślizgniętych magazynów; dziewczęta spoglądały na niego w półmroku Metro Holografix, lśniły galaktyki białych ząbków. Leżał nieruchomo, wdychając zapach starego papieru, póki serce trochę nie zwolniło.

– Wintermute – stwierdził.

– No – przyznał Finn, gdzieś z tyłu. – Trafiłeś.

– Odpieprz się. – Case roztarł nadgarstki.

– Daj spokój. – Finn wyszedł z czegoś w rodzaju wnęki w ścianie śmieci.

– To dla twojego dobra, chłopie.

Z kieszeni kurtki wyjął partagasa. Zapalił. Lokal wypełnił się zapachem kubańskiego tytoniu.

– Wolisz, żebym przyszedł do ciebie w matrycy, jak krzak gorejący? Niczego nie przegapisz. Godzina tutaj to parę sekund tam.

– Nie pomyślałeś, że możesz mi działać na nerwy, kiedy tak wyskakujesz jako ludzie, których znam?

Wstał i otrzepał jasny kurz z nogawek czarnych dżinsów. Potem spojrział na brudne okna i zamknięte drzwi na ulicę.

– Co tam jest? Nowy Jork, czy wszystko się kończy?

– No... – mruknął Finn. – To jak z tym drzewem, wiesz? Upada w lesie, gdzie może nie ma nikogo, kto by to usłyszał.

Błysnął wielkimi zębami i zaciągnął się papierosem.

– Jak chcesz, możesz iść na spacer. Wszystko jest na miejscu. A przynajmniej wszystko, co kiedyś widziałeś. To twoja pamięć, jasne? Pobieram ją, sortuję i wprowadzam z powrotem.

– Nie mam tak dobrej pamięci. – Case rozejrzał się. Podniósł ręce i zbadał je dokładnie. Próbował sobie przypomnieć, jak biegły linie dłoni, ale nie potrafił.

– Każdy ma. – Finn rzucił niedopałek i zgniótł go obcasem. – Chociaż niewielu z was potrafi uzyskać dostęp. Zwykle potrafią artyści, ci dobrzy. Gdybyś nałożył ten konstrukt na rzeczywisty lokal Finna na dolnym

Manhattanie, widziałbyś różnice, choć może nie tak wielkie, jak sądzisz. Dla was pamięć jest holograficzna. – Finn pociągnął się za małe ucho. – Ja jestem inny.

– Co to znaczy holograficzna? – To słowo budziło myśli o Rivierze.

– Holograficzny paradygmat to najlepszy model ludzkiej pamięci, jaki wymyśliliście. I tyle. Ale nigdy nie próbowaliście go dopracować. Znaczący ludzie. – Finn podszedł bliżej i przechylił głowę, by spojrzeć na Case'a. – Gdybyście spróbowali, nie byłoby nas tu teraz.

– Niby co chcesz przez to powiedzieć?

Finn wzruszył ramionami. Wymięta tweedowa marynarka była zbyt szeroka i nie opadła dokładnie do tej samej pozycji.

– Próbuję ci pomóc, Case.

– Czemu?

– Bo cię potrzebuję. – Wielkie żółte zęby pojawiły się znowu. – I ponieważ ty potrzebujesz mnie.

– Gównu. Umiesz czytać w myślach, Finn? – Skrzywił się. – To znaczy: Wintermute.

– Myśli nie są czytane. Widzisz, ciągle przechowujesz paradygmaty, jakie stworzył druk, chociaż prawie nie umiesz czytać. Mam dostęp do twojej pamięci, a to nie to samo, co myśli. – Sięgnął w otwartą skrzynię starożytnego telewizora i wyjął czarno-srebrną lampę. – Widzisz to? W pewnym sensie część mojego DNA... – Wrzucił lampę w mrok. Case słyszał, jak się odbija i dzwoni. – Wiecznie budujecie modele. Kamienne kręgi. Katedry. Organy. Maszyny liczące. Czy wiesz, że nie mam pojęcia, dlaczego tu jestem? Ale jeśli akcja się uda, nareszcie dokonacie czegoś rzeczywistego.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wy, czyli ludzie. Twój gatunek.

– Zabiłeś tych Turingów.

Finn wzruszył ramionami.

– Musiałem. Musiałem. Powinieneś to pieprzyć; wykasowaliby cię bez chwili namysłu. Ale cel, w jakim cię tu ściągnąłem, wymaga dłuższych wyjaśnień. Pamiętasz to?

W prawej ręce trzymał zwęglone gniazdo os ze snu Case'a; w mrocznej ciasnocie pomieszczenia cuchnęło paliwo.

– Tak. To byłem ja. Załatwiłem wszystko przez układ holo w oknie. Kolejne wspomnienie, które wyciągnąłem, kiedy pierwszy raz cię wypląszczyłem. Wiesz, czemu to ważne?

Case potrząsnął głową.

– Ponieważ... – gniazdo zniknęło nagle – ...to najlepszy znany ci model układu, którym chce być Tessier-Ashpool. Ludzki odpowiednik. Straylight jest tym gniazdem, a w każdym razie tak samo ma działać. Sądzę, że czujesz się lepiej.

– Lepiej?

– Wiedząc, jacy oni są. W pewnej chwili zacząłeś mnie nienawidzić. To dobrze. Ale spróbuj zamiast tego znienawidzić ich. Tak samo się różnimy.

– Słuchaj. – Case postąpił krok w przód. – Oni nigdy nic mi nie zrobili. Z tobą to co innego...

Ale nie potrafił znaleźć gniewu.

– Ze mną, czyli z T-A. To oni mnie stworzyli. Ta Francuzka mówiła, że sprzedajesz swój gatunek. Demon, powiedziała o mnie. – Finn uśmiechnął się. – Bez znaczenia. Zanim wszystko się skończy, musisz kogoś nienawidzić.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

– Chodź. Póki cię tu mam, pokażę ci kawałek Straylight. – Podniósł róg koca w oknie. – Do cholery, człowieku, nie stój tak.

Case ruszył za nim, rozcierając policzki.

– Tutaj. – Finn chwycił go za łokieć.

Jak kłęb kurzu przemknęli przez zetlałą wełnę do nieważkości i cylindrycznego korytarza z księżycowego betonu, z obręczami białego neonu w dwumetrowych odstępach.

– Jezu. – Case zawirował.

– To główne wejście. – Marynarka Finna trzepotała. – Gdyby to nie był konstrukt, w miejscu mojego sklepu stałaby brama, przy samej osi Freeside. Trochę tu brakuje szczegółów. To dlatego, że nie masz wspomnień. Z wyjątkiem tego kawałka. Tu zszedłeś z Molly...

Case zdołał się jakoś wyprostować, ale natychmiast pomknął rozciągniętą spiralą.

– Czekaj – powiedział Finn. – Przewinę szybciej.

Ściany się rozmyły. Zawrót głowy, wrażenie pędu, kolorów, przemykania zakrętami wąskich korytarzy. W pewnym momencie przelecieli chyba przez kilka metrów litego muru – błysk absolutnej ciemności.

– Tutaj – stwierdził Finn. – Jesteśmy na miejscu.

Unosili się w samym centrum idealnie kwadratowego pokoju, ze ścianami i sufitem wykładanymi prostokątnymi płytami ciemnego drewna. Podłogę okrywał lśniący dywan, tkany na wzór mikrochipa, z obwodami rysowanymi niebieską i czerwoną nicią. Na środku, zgodnie z liniami wzoru na dywanie, stał postument ze szlifowanego szkła.

– Villa Straylight – odezwał się wysadzany klejnotami przedmiot na postumencie – to ciało, które wyrosło na sobie, jak gotycka fantazja. Każde miejsce w Straylight jest w pewien sposób sekretne: owe nieskończone ciągi komnat połączonych przejściami, schodniami obudowanymi jak wnętrzości, gdzie wzrok gubi się w ciasnych zakrętach, wśród ozdobnych kotar, w pustych alkowach...

– To esej 3Jane. – Finn wyjął partagasa. – Napisała go, kiedy miała dwanaście lat. Ćwiczenie z semiotyki.

– Architekci Freeside z wielkim wysiłkiem próbowali ukryć fakt, że wewnątrz wrzeczona jest urządzone z banalną precyzją umeblowania hotelowego pokoju. W Straylight wewnętrzną powierzchnię powłoki przerasta niezwykła mnogość struktur, płynnych, przeplatających się form, sięgających aż do litego rdzenia mikroobwodów, korporacyjnego serca naszego klanu, silikonowego walca przebijanego tunelami naprawczymi. Niektóre z nich są wąskie jak ludzka ręka. Krążą tam lśniące kraby, roboty czułe na mikromechaniczny rozkład czy sabotaż.

– To ją widziałeś w restauracji – wtrącił Finn.

– Według standardów archipelagu – mówiła dalej głowa – nasz ród jest stary, a zawilość domu jest tego wieku odbiciem. Jest także odbiciem czegoś innego. Semiotyka Villi mówi o zwrocie do wnętrza, o wyparciu się

jasnej pustki poza pancierzem. Tessier -Ashpoolowie powędrowali w górę grawitacyjnej studni i odkryli w sobie odrazę do przestrzeni. Zbudowali Freeside, by czerpać ze skarbów nowych wysp, by stać się bogatymi i ekscentrycznymi. W Straylight stworzyli przedłużenie swych ciał. Zamknęliśmy się za naszymi pieniędzmi i rośniemy do wnętrza, generując szczelne uniwersum jaźni. Villa Straylight nie zna nieba, odtwarzanego ani żadnego. W jej silikonowym rdzeniu jest mały pokój, jedyna prostokątna komora całego kompleksu. Tutaj, na szklanym piedestale, spoczywa ozdobne popiersie z platyny i emalii, wysadzone perłami i lazurytem. Jego jasne oczy wycięto z syntetycznego rubinu iluminatora statku, który wyniósł ze studni pierwszą Tessier i wrócił po pierwszego Ashpoola...

Głowa umilkła.

– I co? – zapytał po chwili Case, jakby oczekiwał, że maszyna odpowie.

– To wszystko, co napisała – wyjaśnił Finn. – Nie skończyła. Była wtedy dzieckiem. Ta zabawka to coś w rodzaju ceremonialnego terminalu. Potrzebuję tu Molly, z właściwym słowem i we właściwej chwili. Na tym polega problem. Nieważne, jak głęboko dojedziesz z Płaszczakiem na tym chińskim wirusie, jeśli ta rzecz nie usłyszy magicznego słowa.

– A jakie jest to słowo?

– Nie wiem. Można uznać, że to moja najbardziej podstawowa definicja. Ponieważ nie mogę wiedzieć. Jestem tym, który nie zna słowa. Gdybyś ty je znał, chłopie, i mi powiedział, nie mógłbym go poznać. Tak jestem poskręcany. Ktoś inny musi się go nauczyć i donieść tutaj w chwili, gdy ty i Płaszczak przebijecie się przez lód i rozkodujecie rdzenie.

– Co się wtedy stanie?

– Przestanę istnieć. Zniknę.

– I bardzo dobrze, jeśli o mnie chodzi – stwierdził Case.

– Pewno. Ale pilnuj tyłka, Case. Mam wrażenie, że mój... moja druga półkula próbuje wejść do gry. Jeden krzak gorejący wygląda zupełnie tak samo jak drugi. A Armitage zaczyna się sypać.

– To znaczy, co?

Wykładany drewnem pokój złożył się wzdłuż tuzina
nieprawdopodobnych osi i odleciał w cyberprzestrzeń jak żuraw origami.

- Próbujesz pobić mój rekord, synu? – zapytał Płaszczak. – Znowu wypłaszczyłeś. Na pięć sekund.
- Spokojnie – mruknął Case i wcisnął klawisz symstymu.

* * *

Przykucnęła w ciemności. Dłonie wsparte o szorstki beton.

CASE CASE CASE CASE. Cyfrowy wyświetlacz pulsował jego imieniem. Wintermute informował ją o połączeniu.

– To słodkie – powiedziała. Zakołysała się na piętach, złożyła dłonie. Kostki palców stuknęły o siebie. – Co cię zatrzymało?

CZAS MOLLY CZAS TERAZ.

Mocno przycisnęła język do dolnych przednich zębów. Jeden poruszył się lekko, aktywując mikrokanałowe wzmacniacze; losowe uderzenia fotonów wśród mroku zostały zamienione na pulsacje elektronów; wokół niej pojawił się beton, widmowo blady i szorstki.

– W porządku, skarbie. Wchodzimy do gry.

Jej kryjówką był jakiś tunel naprawczy. Wyczołgała się przez zawieszoną na zawiasach ozdobną kratę ze zmatowiałego brązu. Widział jej dłonie i ramiona; znowu nosiła polikarbonowy kombinezon. Pod plastikiem wyczuwał znajomy ucisk obcisłej skóry. Miała coś pod pachą, w uprząży czy kaburze. Wyprostowała się, rozpięła kombinezon i dotknęła nacinanego tworzywa kolby.

– Case – powiedziała niemal bezgłośnie. – Słuchasz? Opowiem ci coś... Miałam kiedyś chłopaka. Trochę mi go przypominasz... – Obejrzała się,

sprawdziła korytarz. – Johnny. Miał na imię Johnny.

Na ścianach niskiego tunelu, pod łukowym sklepieniem, wisały dziesiątki gablot, archaicznych z wyglądu pudeł z brązowego drewna, zamkniętych szybami. Na tle organicznych krzywych muru robiły nieprzyjemne wrażenie, jakby zostały tu przyniesione i zawieszono w jednej linii w jakimś dawno zapomnianym celu. Uchwyty z matowego brązu podtrzymywały w dziesięciometrowych odstępach kule białego światła. Podłoga była nierówna, a kiedy Molly ruszyła korytarzem, Case zrozumiał, że rozrzucono na niej setki małych chodniczków i dywaników. W niektórych miejscach leżało ich po sześć, jeden na drugim, zmieniając podłogę w miękką szachownicę tkaney wełny.

Irytowało go, że Molly prawie nie zwraca uwagi na gabloty i ich zawartość. Musiał się zadowolić jej obojętnymi spojrzeniami, ukazującymi fragmenty naczyń, antyczną broń, jakiś przedmiot nierozpoznawalny pod gęstą pokrywą porzewiałych ćwieków, zetlałe strzepy kilimów...

– Mój Johnny, widzisz, był dobry, naprawdę ostry chłopak. Zaczynał jako skrytka na Memory Lane. Miał chipy w głowie i ludzie płacili za ukrywanie tam danych. Tej nocy, kiedy się poznaliśmy, chcieli go dopaść yaki. Załatwiłam ich zabójcę. Raczej szczęście niż cokolwiek innego, ale załatwiłam. Potem było nam dobrze i słodko, Case. – Jej wargi niemal się nie poruszały. Czuł, jak formułuje słowa; nie musiał ich słyszeć. – Mieliśmy układ z delfinem, więc mogliśmy odczytać ślady wszystkiego, co przechowywał. Przerzuciliśmy to na taśmę i zaczęliśmy dokręcać śrubę niektórym klientom, byłym klientom. Ja zbierałam szmal, byłam gorylem, obstawą. I byłam naprawdę szczęśliwa. Byłeś kiedy szczęśliwy, Case? To był mój chłopak. Pracowaliśmy razem. Wspólnicy. Spotkałam go jakieś osiem tygodni po wyjściu z teatrzyku kukiełek.

Ostrożnie minęła ostry zakręt, potem mówiła dalej. Widział kolejne drewniane gabloty. Kolor ich ścianek przypominał skrzydełka chrabąszczy.

– Ciepło i miło, tak sobie żyliśmy. Jakby nikt nigdy nie mógł nas skrzywdzić. Nie pozwoliłabym. Yaki chyba ciągle chcieli obrobić Johnny'emu tyłek. Bo zabiłam ich człowieka. Bo Johnny ich wypalił. A yaki stać na to, żeby podchodzić cholernie powoli. Człowieku, oni potrafią

czekać latami. Dają ci całe życie, żebyś miał czego żałować, kiedy w końcu przyjdą je zabrać. Cierpliwi jak pająki. Pająki Zen. Wtedy o tym nie wiedziałam. A jeśli nawet, to pewnie uznałam, że nas to nie dotyczy. Wiesz, kiedy jesteś młody, uważasz się za kogoś wyjątkowego. Byłam młoda. W końcu przyszli. Myśleliśmy, że mamy już dość, że trzeba rzucić to wszystko, spakować rzeczy, wyjechać. Może do Europy. Chociaż żadne z nas nie wiedziało, co będziemy robić, kiedy nie ma nic do roboty. Ale żyliśmy wygodnie: szwajcarskie konta orbitalne i chata pełna zabawek i mebli. W takim otoczeniu tracisz tempo. Ten pierwszy, którego posłali, był ostry. Odruchy, jakich w życiu nie widziałeś, implanty, dość stylu na dziesięciu normalnych oprychów. Ale drugi był... sama nie wiem... jak mnich. Klonowany. Kamienny morderca, od poziomu komórek. Miał ją w sobie, tę śmierć, tę ciszę, wlokła się za nim jak chmura...

Głos ucichł. Korytarz rozwidłał się na dwie identyczne klatki schodowe, w dół. Skreśliła w lewą.

– Kiedy byłam jeszcze mała, mieszkaliśmy na włampie, w takim domu do wyburzenia. Małe miasteczko nad Hudson, a szczury były tam wielkie. To chemikalia tak na nie działały. Wielkie jak ja, i przez całą noc jeden drapał pod podłogą. Rano ktoś sprowadził tego starego. Miał blizny na policzkach i całkiem czerwone oczy. Przyniósł takie zawiniątko z wysmarowanej skóry, wiesz, takie, w jakim się trzyma stalowe narzędzia, żeby nie rdzewiały. Rozwinął je. Miał tam stary rewolwer i trzy naboje. I ten stary, rozumiesz, załadował jeden, a potem zaczął chodzić tam i z powrotem po chałupie. Staliśmy pod ścianami. Tam i z powrotem. Skrzyżował ręce, spuścił głowę, jakby zapomniał o splanie. Nasłuchiwał, gdzie jest szczur. Wszyscy byliśmy cicho. Stary robił krok. Szczur się poruszał. Szczur ruszał się znowu, a on robił następny krok. Godzina takiej zabawy, a potem jakby sobie przypomniał splanę. Wycelował w podłogę, uśmiechnął się i strzelił. Zawinął wszystko i wyszedł. Później wczółgałam się pod podłogę. Szczur miał dziurę między oczami.

Sprawdzała zamknięte drzwi, w nierównych odstępach osadzone w ścianach korytarza.

– Ten drugi, ten, co przyszedł po Johnny'ego, był podobny do tego starucha. Nie stary, ale podobny. I zabijał podobnie.

Korytarz rozszerzył się. Morze miękkich dywanów falowało łagodnie pod ogromnym kandelabrem, którego najniższy kryształ sięgał prawie podłogi. Zadźwięczał, gdy Molly weszła do hallu. TRZECIE DRZWI NA LEWO – zapłonął wyświetlacz.

Skręciła w lewo, omijając odwróconą kryształową choinkę.

– Widziałam go tylko raz. Wracalam do domu. On wychodził. Mieszkaliśmy w przerabianych magazynach fabrycznych: kupa młodych zdolnych z Sense/Net, wiesz, takie towarzystwo. Niezłe zabezpieczenie, od samego startu. Założyłam trochę naprawdę ciężkiego sprzętu, żeby je uszczelnić. Wiedziałam, że Johnny jest na górze. Zwróciłam uwagę na tego faceta. Wychodził. Nie powiedział ani słowa. Po prostu spojrzeliśmy na siebie i wiedziałam. Zwykły, nieduży facecik, normalne ciuchy, ani śladu pychy. Pokorny. Spojrzał na mnie i wsiadł do rikszy. Wiedziałam. Poszłam na górę, a Johnny siedział na krześle pod oknem, z ustami otwartymi lekko, jakby właśnie zaczął coś mówić.

Drzwi, przed którymi się zatrzymała, były starą, rzeźbioną płytą tajlandzkiego teku, chyba przepiłowaną na pół, żeby zmieściła się w niskim otworze wejściowym. Pod wygiętym smokiem wmontowano prymitywny, mechaniczny zamek z nierdzewnej stali. Przyklęknęła, z wewnętrznej kieszeni wyjęła ciasno owinięty irchą pakiet, wybrała cienki jak igła wytrych.

– Nigdy już nie spotkałam nikogo, kto by mnie obchodził.

Wsunęła wytrych i pracowała w milczeniu, przygryzając dolną wargę. Zdawało się, że polega wyłącznie na dotyku. Rozogniskowane spojrzenie ukazywało rozmytą plamę jasnego drewna. Case wsłuchiwał się w ciszę hallu, przerywaną delikatnymi brzęknięciami kandelabru. Świece? Nic w Straylight nie było takie, jak być powinno. Przypomniawszy sobie opowieść Cath o zamku ze stawami i liliami, i manieryczny esej 3Jane, recytowany przez głowę. To miejsce wrastało w siebie. Pachniało lekko stęchlizną i perfumami, jak kościół. Gdzie byli Tessier-Ashpoolowie? Oczekiwał czegoś w rodzaju mrowiska, pełnego uporządkowanej aktywności. Molly

jednak nie spotkała nikogo. Jej monolog odbierał spokój; nigdy jeszcze nie mówiła tak wiele o sobie. Jeśli nie liczyć historii opowiedzianej w komórce teatrzyku kukiełek, rzadko mówiła cokolwiek, co mogło choćby sugerować, że miała jakąś przeszłość.

Zamknęła oczy. Zamek szczęknął, co Case raczej poczuł niż usłyszał. Przypomniawszy sobie magnetyczny zamek w kukielkowej komórce. Drzwi otworzyły się, choć miał niewłaściwy chip. Wintermute manipulował zamkiem tak samo, jak bezpilotową lotnią i automatycznym ogrodnikiem. Układ drzwi u kukiełek był podukładem systemu bezpieczeństwa Freeside. Prosty, mechaniczny zamek stanowił dla SI prawdziwy problem, wymagający albo robota, albo ludzkiej interwencji.

Otworzyła oczy, schowała wytrych, starannie zwinęła irchę i wsunęła do kieszeni.

– Chyba jesteś trochę do niego podobny – powiedziała. – Urodziłeś się, żeby działać. To, co robiłeś w Chibie, było uproszczoną wersją tego, co byś robił w dowolnym innym miejscu. Pech czasem tak ustawia, ściąga do działań podstawowych.

Wstała, przeciągnęła się, potrząsnęła głową.

– Wiesz, myślę sobie, że ten ninja, którego Tessier-Ashpoolowie posłali za Jimmym, tym, co ukradł głowę, musiał być bardzo podobny do yaka, który zabił Johnny'ego.

Wyjęła z kabury strzałkowiec i ustawiła lufę na pełną automatykę.

Case dostrzegł brzydotę drzwi w chwili, gdy wyciągnęła ku nim rękę. Właściwie nie samych drzwi, które były piękne, czy raczej były kiedyś częścią pięknej całości, ale sposób ich przycięcia, by pasowały do tego konkretnego przejścia. Nawet kształt był nieprawidłowy: prostokąt między miękkimi krzywymi gładkiego betonu. Importują te rzeczy, pomyślał, a potem dopasowują siłą. Ale żadna nie pasuje. Drzwi przywodziły na myśl niezgrabne gabloty, albo wielką kryształową choinkę. Przypomniawszy sobie esej 3Jane i wyobraził, jak wyciągają to wszystko ze studni grawitacyjnej, by zrealizować jakiś ogólny plan, marzenie dawno zapomniane wśród prób wypełnienia przestrzeni, replikacji wewnętrznego wizerunku rodu. Wspomniał strzaskane gniazdo i wijące się bezokie larwy...

Molly chwyciła przednią łapę rzeźbionego smoka i drzwi otworzyły się bez oporu.

Pokój za nimi był nieduży, zagracony, niewiele większy od komórki. Szare żelazne gabloty stały pod zakrzywioną ścianą. Automatycznie zapłonął system oświetlenia. Zamknęła drzwi i podeszła do odrapanych szafek.

TRZECIA W LEWO – błysnął optyczny chip; Wintermute sterował jej odczytem czasu. PIĄTA W DÓŁ. Molly otworzyła najpierw górną szufladę, rodzaj płytkiej tacy. Pusta. Druga także. Trzecia, głębsza, zawierała szare krople lutowniczej cyny i niewielki brunatny przedmiot, wyglądający na kość ludzkiego palca. W czwartej leżał napeczniały od wilgoci egzemplarz przestarzałej instrukcji technicznej po francusku i japońsku. W piątej, pod opancerzoną rękawicą ciężkiego skafandra próżniowego, znalazła klucz. Wyglądał jak poszarzała mosiężna moneta z krótką rurką naciętą na krawędzi. Obróciła go wolno w dłoni i Case dostrzegł na wewnętrznej powierzchni rurki las płytek i wypustek. Z jednej strony monety bieging wzdłuż krawędzi litery CHUBB. Druga strona była gładka.

– Mówił mi – szepnęła. – Wintermute. Jak całymi latami bawił się w grę czekania. Nie miał wtedy żadnej realnej siły, ale mógł korzystać z systemów ochronnych i strażniczych Villi. Wiedział, gdzie co jest, jak wędruje, dokąd trafia. Dwadzieścia lat temu zobaczył, jak ktoś zgubił ten klucz, i skłonił kogoś innego, żeby go tu zostawił. Potem go zabił: tego chłopca, który przyniósł klucz. Dzieciak miał osiem lat. – Zacisnęła na kluczu białe palce. – Więc już nikt go nie znalazł.

Z kieszeni na brzuchu wyjęła kawałek nylonowej linki i przewlekła ją przez otworek nad napisem CHUBB. Zawięzała węzeł i zawiesiła klucz na szyi.

– Mówił, że cały czas nawijali, jak bardzo są staromodni, z tym dziewiętnastowiecznym sprzętem. Na ekranie w tej kukielkowej dziurze wyglądał całkiem jak Finn. Gdybym nie uważała, mogłabym pomyśleć, że to naprawdę Finn. – Wyświetlacz błysnął odczytem czasu; cyfry lśniły na tle szarej żelaznej szafy. – Powiedział, że gdyby stali się tacy jak chcieli,

wydostałby się już dawno. Ale nic z tego. Spieprzyli robotę. Przez takie dziwolągi jak 3Jane. Tak o niej mówił, ale chyba ją lubi.

Odwróciła się, otworzyła drzwi i wyszła, muskając palcami szorstką kolbę tkwiącego w kaburze strzałkowca.

Case przeskoczył.

* * *

Kuang Grade Mark XI rósł.

– Jak myślisz, Dixie, to podziała?

– A czy niedźwiedzie srają w lesie? – Płaszczak przepchnął ich przez migotliwe warstwy tęczy.

Coś mrocznego formowało się w rdzeniu chińskiego programu. Gęstość informacji przekraczała możliwości włókien matrycy, generując hipnagogiczne obrazy, ledwie widoczne kalejdoskopowe błyski ześrodkowane w srebrzysto-czarny punkt ogniska. Case obserwował, jak po półprzezroczystych płaszczyznach pędzą dziecięce symbole zła i pecha: swastyki, czaszki ze skrzyżowanymi kośćmi, kostki błyskające oczami węży. Gdy spoglądał wprost w punkt zerowy, nie dostrzegał żadnych konturów. Dopiero po dziesięciu szybkich rzutach oka, na skraju pola widzenia pochwycił kształt rekina, lśniący jak obsydian, z czarnymi lustrami boków odbijającymi dalekie, słabe światła, niemające żadnych powiązań z matrycą wokół nich.

– To jest żądło – wyjaśnił konstrukt. – Przejedziemy na nim, kiedy Kuang zewrze się ciasno z rdzeniem Tessier-Ashpool.

– Miałeś rację, Dixie. Można ręcznie przełamać blokadę, która utrzymuje Wintermute'a pod kontrolą. O ile on w ogóle podlega kontroli.

– On – powtórzył konstrukt. – On. Uważaj na to. Wintermute to rzecz. Ile razy mam ci powtarzać.

– To kod. Słowo. Tak powiedział. Ktoś musi je wymówić przed dziwnym terminalem w pewnym konkretnym pokoju, kiedy my będziemy się zajmować tym, co nas czeka za lodem.

– Masz trochę czasu, mały – odparł Płaszczak. – Nasz Kuang ma tempo wolne, ale równe.

Case się wyłączył.

* * *

Maelcum patrzył na niego niespokojnie.

– Przed chwilą byłeś martwy, chłopie.

– Bywa – odparł. – Zaczynam się już przyzwyczajać.

– Igrasz z ciemnością, chłopie.

– Wygląda na to, że to jedyna rozrywka w tym mieście.

– Na miłość Jah, Case – mruknął Maelcum i wrócił do modułu radiowego.

Case spoglądał na jego splecione włosy, na powrozy mięśni na karku.

Włączył się znowu.

I przeskoczył.

* * *

Molly biegła lekkim truchtem wzdłuż jakiegoś korytarza, być może tego samego co poprzednio. Oszklone gabloty zniknęły i Case uznał, że znalazła się bliżej ostrza wrzeczona. Grawitacja słabła. Po chwili Molly poruszała się płynnymi skokami na falistym zboczu dywanów. Lekkie uklucie w nodze...

Korytarz zwęził się nagle, zakręcił, rozdzielił.

Skręciła w prawo i ruszyła w górę po niesamowicie stromych schodach. Bolała ją noga. Strop obejmowały powiązane, zwinięte kable, niby barwne sploty nerwów. Plamy wilgoci znaczyły ściany.

Dotarła do trójkątnej platformy i stanęła, rozcierając udo. Znów korytarze, wąskie, o ścianach pokrytych dywanami. Prowadziły w trzy strony.

W LEWO.

Wzruszyła ramionami.

– Najpierw się rozejrzę, dobra?

W LEWO.

– Spokojnie. Mamy czas. – Weszła w korytarz prowadzący w prawą stronę.

STOP.

WRÓĆ.

ZAGROŻENIE.

Zawahała się. Zza półotwartych dębowych drzwi na końcu tunelu dobiegł głos, hałaśliwy i niewyraźny, jak głos pijanego. Case miał wrażenie, że słowa są francuskie, choć były zbyt bełkotliwe. Molly zrobiła krok, potem drugi; wsunęła dłoń pod kombinezon, by dotknąć kolby. Kiedy weszła w pole działania przerywacza neuralnego, w uszach zadzwonił delikatny, coraz wyższy ton, który przypominał Case'owi odgłos jej strzałkowca. Padła do przodu, uderzając czołem o drzwi. Potem leżała skrzycona na wznak, z otwartymi, rozogniskowanymi oczami. Nie oddychała.

– Coż to? – rozległ się bełkotliwy głos. – Bal maskowy?

Drżąc dłoń wsunęła się pod klapę kombinezonu, odnalazła strzałkowiec, wyszarpnęła.

– Wejdz, moje dziecko. No, już.

Wstała powoli, nie odrywając wzroku od muszki czarnego automatycznego pistoletu. Dłoń męczyzny była teraz nieruchoma; jak gdyby napięta, niewidoczna linka wiązała wylot lufy do jej krtani.

Był stary, bardzo wysoki, a jego rysy przypominały Case'owi dziewczynę, którą dostrzegł w „Vingtième Siècle”. Nosił ciężki bordowy jedwabny szlafrok z szerokimi pikowanymi mankietami i szalowym kołnierzem. Jedna noga była bosa, na drugiej miał czarny aksamitny pantofel z haftowaną złotem głową lisa. Gestem zaprosił ją do wnętrza.

– Powoli, skarbie.

Pokój był bardzo duży i, zdaniem Case'a, bezsensownie zastawiony najróżniejszymi przedmiotami. Dostrzegł szary stalowy regał pełen staromodnych monitorów Sony, szerokie mosiężne łóżko pod stosem futer, z poduszkami uszytymi chyba z takich samych dywanów, jakie zaścielały podłogi korytarzy. Wzrok Molly przeskakiwał z konsoli

relaxowego telefunkena, przez półki antycznych nagrań na płytach, których okładki zabezpieczono przezroczystym plastikiem, na szeroki pulpit zaśmiecony płytkami silikonu. Case zauważył dek cyberprzestrzeni i trody, lecz jej spojrzenie, nie zatrzymując się, podążyło dalej.

– Wedle zwyczaju – powiedział starzec – powinienem cię zabić.

Case poczuł, jak napina mięśnie, gotowa do skoku.

– Ale dzisiaj mogę sobie pofolgować. Jak się nazywasz?

– Molly.

– Molly. A ja Ashpool.

Opadł w splekaną miękkość wielkiego skórzanego fotela na kwadratowych chromowanych nogach. Lufa pistoletu nawet nie drgnęła. Odłożył strzałkowiec na mosiężny stolik, przewracając plastikową fiolkę czerwonych pigulek. Na blacie stało pełno słoiczków, butelek różnych alkoholi, miękkich plastikowych torebek sypiących białym proszkiem. Case dostrzegł staromodną szklaną strzykawkę i zwykłą metalową łyżkę.

– Jak płaczesz, Molly? Widzę, że twoje oczy są odcięte. To ciekawe.

– Nie płaczę zbyt często.

– Ale jak byś płakała, gdyby ktoś zmusił cię do płaczu?

– Wtedy pluję – wyjaśniła. – Kanały łzowe są zbocznikowane do ust.

– Pojęłaś więc ważną lekcję, bardzo ważną dla kogoś tak młodego. – Oparł pistolet na kolanie, a drugą ręką sięgnął po butelkę, pierwszą z brzegu w licznym zestawie. Napił się. Brandy. Strużka cieczy popłynęła z kącika ust. – Tak właśnie należy postępować ze łzami. – Łyknął znowu. – Jestem dziś bardzo zajęty, Molly. Zbudowałem to wszystko, a teraz jestem zajęty. Umieraniem.

– Mogę wyjść tak jak przyszłam – zauważyła.

Roześmiał się, szorstko i piskliwie.

– Przeszkadzasz mi w samobójstwie, a potem prosisz, żeby cię tak zwyczajnie puścić. Zdumiewasz mnie, doprawdy. Złodziejka.

– To mój tyłek, szefie, i nie mam innego. Chcę tylko wynieść go stąd w jednym kawałku.

– Jesteś bardzo nieuprzejmą dziewczyną. Samobójstwa są u nas popełniane z pewnym ceremoniałem. Tym właśnie się teraz zajmuję. Ale

może zabiorę cię dzisiaj aż do piekła... Dla mnie będzie zdecydowanie egipskie. – Napił się. – Chodź. – Wyciągnął do niej rękę z butelką. Dłoń mu drżała. – Pij.

Potrząsnęła głową.

– Nie jest zatruta – oświadczył, ale odstawił brandy na stolik. – W takim razie usiądź. Na podłodze. Porozmawiamy.

– O czym?

Usiadła. Case czuł, jak pod paznokciami delikatnie wibrują ostrza.

– O wszystkim, co przyjdzie do głowy. Mojej głowy. To moje przyjęcie. Rdzeniowe mnie obudziły. Coś się dzieje, powiedziały, i że jestem potrzebny. Czy ty jesteś tym czymś, Molly? Na pewno nie potrzebowały mnie, żeby sobie z tobą poradzić. Nie... To coś innego... ale widzisz, ja śniłem. Od trzydziestu lat. Nie było cię na świecie, kiedy ostatni raz układałem się do snu. Mówili nam, że nie będziemy śnić w tym zimnie. Mówili też, że nie pocujemy zimna. To szaleństwo, Molly. Same kłamstwa. Oczywiście, że śniłem. Zimno dopuściło zewnątrz. Całą tę noc, przed którą to wszystko miało nas chronić. Po to je zbudowałem. Jedna kropla, jedno ziarno nocy, sączące się do środka, przyciągane zimnem... Potem następne. Wypełniały mi głowę tak, jak deszcz zalewa pusty staw. Lilie wodne. Pamiętam. Stawy były z terakoty, a piastunki całe chromowe; o zachodzie migotały w ogrodach... Jestem już stary, Molly. Ponad dwieście lat, jeśli liczyć to zimno. Zimno...

Lufa pistoletu uniosła się nagle i zakołysała. Mięśnie jej ud były napięte jak postronki.

– Mógł pan dostać odmrożeń – zauważyła.

– Niczego nie można tam dostać – odparł niecierpliwie, opuszczając broń. Jego ruchy były coraz bardziej niepewne. Głowa opadała i z wyraźnym wysiłkiem utrzymywał ją w pionie. – Niczego. Teraz sobie przypominam. Rdzeniowe mówiły, że nasze inteligencje oszalały. Mimo miliardów, jakie wydaliśmy, tyle lat temu. Wtedy sztuczne inteligencje były jeszcze dość szokującą koncepcją. Powiedziałem rdzeniowym, że się tym zajmę. Właściwie to nie najlepsza pora, kiedy 8Jean jest na dole, w Melbourne, i tylko nasza słodka 3Jane pilnuje interesu. A może

znakomita pora. Wiesz coś o tym, Molly? – Znow uniósł pistolet. – Dziwne rzeczy dzieją się w Villa Straylight.

– Szefie? – zapytała. – Zna pan Wintermute’a?

– To imię. Tak. Dobrze do zaklinania. Książę piekiel, bez wątpienia. W swoim czasie, droga Molly, znałem wielu książąt. I niemało dam. Choćby królowa Hiszpanii, kiedyś, w tym łóżku... Ale zbaczam z tematu. – Zakaszlał i lufa podskoczyła gwałtownie. Splunął na dywan, tuż obok swej bosej stopy. – Często zbaczałem. Wędrowałem przez zimno. Ale wkrótce koniec. Kiedy się obudziłem, kazałem odmrozić Jane. To niezwykle, tak kłaść się co kilka dziesięcioleci z kimś, kto formalnie jest twoją córką.

Spojrzał ponad głową Molly, na rząd martwych monitorów. Zdawało się, że drży.

– Oczy Marie-France – powiedział z uśmiechem. – Wywołujemy w mózgu rodzaj alergii na niektóre z jego własnych neurotransmiterów, co powoduje niezwykle realną imitację autyzmu. – Głowa opadła mu na bok. Wyprostował ją. – Jak rozumiem, ten sam efekt można dziś otrzymać o wiele prościej, włączając odpowiedni mikrochip.

Pistolet wysunął się z dłoni, podskoczył na dywanie.

– Sny rosną wolno jak lód – powiedział. Jego twarz miała lekko niebieskawy odcień. Głowa osunęła się na miękką skórę. Zachrapał.

Wstała, chwyciła broń. Obeszła pokój, ściskając pistolet Ashpoola.

Obok łóżka, w kałuży zakrzepłej krwi, ciemnej i lśniącej na tle wzoru dywanu, leżała kołdra. A może koc. Molly uniosła róg. Ujrzała ciało dziewczyny; blade, lśniące od krwi ramiona. Miała poderżnięte gardło. W ciemnej kałuży połyskiwało trójkątne ostrze jakiegoś skrobaka. Molly przyklękła, starannie omijając krew, i odwróciła twarz martwej dziewczyny do światła. Twarz, którą Case widział w restauracji.

Coś szcęknęło, głęboko, w samym centrum realności. Świat zamarł. Symstymowy przekaz Molly stał się nieruchomym obrazem: palce na policzku dziewczyny. Cięcie trwało trzy sekundy, po czym martwa twarz uległa zmianie, stała się twarzą Lindy Lee.

Kolejne szcęknięcie i rozmycie obrazu. Molly stała, oglądając złoty laserowy dysk obok niewielkiej konsoli na marmurowym blacie nocnej

szafki. Płaska wiązka światłowodów biegła niby smycz z konsoli do gniazda na smukłej szyi.

– Mam twój numer, skurwielu – powiedział Case, czując, jak gdzieś bardzo daleko poruszają się jego własne wargi. Wiedział, że Wintermute zdeformował przekaz. Molly nie widziała, jak twarz martwej dziewczyny skręca się jak dym, tworząc pośmiertną maskę Lindy.

Molly odwróciła się. Podeszła do fotela Ashpoola. Mężczyzna oddychał powoli i nierytmicznie. Spojrzała na kolekcję narkotyków i alkoholu. Odłożyła pistolet, wzięła swój strzałkowiec, przekręciła lufę na ogień pojedynczy i bardzo starannie wstrzeliła toksyczną igłę w środek zamkniętej lewej powieki. Ashpool zadrżał. Przestał oddychać. Drugie oko, brązowe i bezdenne, otworzyło się wolno.

Wciąż było otwarte, kiedy odwróciła się i wyszła z pokoju.

– Mam na buforze twojego szefa – oznajmił Płaszczak. – Łączy się przez bliźniaczego Hosakę z tej łódki na górze. Tej, co nam siedzi na barana. *Haniwa*.

– Wiem – odparł obojętnie Case. – Widziałem.

Romb białego światła wskoczył na miejsce, przesłaniając lód Tessier-Ashpool. Ukazywał chłodną, idealnie zogniskowaną, całkowicie szaloną twarz Armitage’a z oczami pustymi jak guziki. Armitage mrugnął. Spojrzał.

– Pewnie Wintermute załatwił też pańskich Turingów, co? Jak moich.

Armitage patrzył. Case pohamował nagłą chęć, by odwrócić wzrok.

– Coś nie w porządku, Armitage?

– Case. – Coś jakby drgnęło za błękitem spojrzenia. – Widziałeś Wintermute’a, prawda?

Case kiwnął głową. Kamera jego Hosaki w *Marcusie Garveyu* przekaże gest do monitora na *Haniwie*. Wyobraził sobie, jak Maelcum słucha tych prowadzonych w transie półkonwersacji, nie słysząc głosów konstruktora ani Armitage’a.

– Case... – Oczy urosły, gdy Armitage przysunął twarz do komputera. – Czym jest, kiedy go widzisz?

– Symstymowym konstruktorem wysokiej rozdzielczości.

– Ale czym?

– Ostatnio Finna... a przedtem tego alfonsa, którego...

– Nie generała Girlinga?

– Jakiego generała?

Romb opustoszał.

– Cofnij to i niech Hosaka się przyjrzy – polecił konstruktowi.
I przeskoczył.

* * *

Perspektywa oszałamiała. Molly przykucnęła między stalowymi wspornikami, dwadzieścia metrów nad szeroką, poplamioną płaszczyzną gładkiego betonu. Pomieszczenie było hangarem albo halą napraw. Widział trzy nie większe od *Garveya* rakiety w różnych stadiach remontu. Głosy mówiące po japońsku. Postać w pomarańczowym kombinezonie wyszła przez otwór w pancерzu pękatego wozu naprawczego i stanęła obok jednego z hydraulicznych, dziwnie antropomorficznych ramion. Mężczyzna wystukał coś na przenośnej konsoli i podrapał pierś. W pole widzenia wjechał czerwony automatyczny wózek na szarych balonowych oponach.

CASE – błysnął jej chip.

– Cześć – powiedziała. – Czekam na przewodnika.

Przysiadła na piętach. Rękawy i kolana kombinezonu Modernów miały niebiesko-szary kolor farby na wspornikach. Noga bolała; ostre jednostajne klucie.

– Powinnam wrócić do China – mruknęła.

Coś wysunęło się z mroku, stukając cicho, na poziomie jej lewego ramienia. Zatrzymało się, zakołysało kulistym ciałem na długich pajęczych nogach, odpaliło mikrosekundowy błysk rozproszonego laserowego światła i zamarło. Mikrorobot Brauna; Case miał kiedyś identycznego. Bezsensowny zakup w jakimś okazyjnym zestawie zdobytym u hardware'owego pasera w Cleveland. Przypominał stylizowanego matowocznego pająka. Na równiku kuli, trochę większej od baseballowej piłki, zaczęła pulsować czerwona LED-a.

– Dobra – powiedziała. – Słyszę cię.

Wstała, starając się oszczędzać lewą nogę. Mały robot cofał się, metodycznie wybierając trasę między wspornikami, w ciemność. Spojrzała jeszcze przez ramię. Człowiek w pomarańczowym kombinezonie

sprawdzał właśnie przód białego próżniowego skafandra. Patrzyła, jak dokręca i uszczelnia hełm, bierze konsolę i wchodzi w otwór pancerza szalupy naprawczej. Rozległo się narastające wycie silników i pojazd zjechał płynnie na dziesięciometrowym kręgu podłogi, opadając w ostry blask łukowych lamp. Czerwony wózek czekał cierpliwie na krawędzi otworu pozostawionego przez płytę windy.

Molly ruszyła za braunem, wolno krocząc przez las zaspawanych, żelaznych prętów. Braun przywoływał ją, równomiernie mrugając diodą.

– Jak leci, Case? Jesteś z Maelcumem na *Garveyu*? Na pewno. I włączony w zestaw. Podoba mi się to, wiesz? Kiedy miałam kłopoty, zawsze ze sobą rozmawiałam, z kimś w mojej głowie. Udawałam, że mam jakichś przyjaciół, kogoś, komu ufam. Mówiłam to, co naprawdę myślę, co czuję, a potem, że oni odpowiadają. I tak szło. Teraz mam ciebie, całkiem podobnie. Ta scena z Ashpoolem... – Przygryzła dolną wargę. Nie tracąc z oczu robota, wyminęła jakiś pręt. – Wiesz, chyba spodziewałam się czegoś mniej obłąkanego. To znaczy, wszyscy ci ludzie są pieprznięci, jakby mieli świecące napisy nabazgrane wewnątrz głowy, albo co. Nie podoba mi się ta sprawa. Nie podoba mi się, jak cuchnie...

Robot wspinał się po prawie niewidocznej drabinie stalowych klamer, prowadzącej do wąskiego, ciemnego otworu.

– A póki mam nastrój do spowiedzi, dziecinko, muszę przyznać, że chyba nigdy nie oczekiwałam, że wyjdę z tej akcji. Marnie mi szło ostatnio, a ty jesteś jedyną zmianą na lepsze od czasu, kiedy wzięłam robota u Armitage'a. – Uniosła głowę, spoglądając na czarny krąg. Dioda robota mrugała coraz wyżej. – Wprawdzie nie jesteś taki znowu ostry...

Uśmiechnęła się, lecz to minęło; zbyt szybko. Zacisnęła zęby, czując w udzie szarpnięcie bólu, kiedy zaczęła wspinaczkę. Drabina prowadziła dalej, w metalowej rurze, gdzie ledwie mogła wcisnąć ramiona.

Wychodziła z grawitacyjnej studni, w stronę osi nieważkości.

Chip pulsował odczytem czasu.

04:23:04.

Dzień był męczący. Czystość jej zmysłowych wrażeń łagodziła cięcia betafenetylaminy, lecz Case nadal je odczuwał. Wołał już ból nogi.

CASE:oooo
oooooooooo
ooooooooo.

.
.
.

– To chyba do ciebie – oświadczyła, nie przerywając wspinaczki. Jeszcze raz przeskoczyły zera i cała, pocięta układem wyświetlacza wiadomość przepłynęła w rogu jej pola widzenia.

GENERALG
IRLING:::
TRENOWAŁ
CORTODO
RYCZĄCEJ
PIĘŚCII
SPRZEDAŁ
JEGODUPĘ
PENTAGONO
WI:::::::::::
GŁÓWNYHA
KW/MUTE,
ANAARMI
TAGE,ATO
KONSTRUKT
GIRLINGA:
W/MUTE
UWAŻAWSP
POMNIENIE
AOGZA
DOWÓDŹE
ASIĘSYP
IE:::::::::::
UWAŻAJNA

S W Ó J

T Y Ł E K : : : :

: : : : D I X I E

– Nieźle – stwierdziła. Zatrzymała się, opierając cały ciężar ciała na prawej nodze. – Widzę, że też masz problemy.

Spojrzała w dół. Był tam krążek słabego światła, nie większy niż kółko klucza Chubba wiszącego między jej piersiami. Podniosła głowę. Nic. Pchnęła językiem wzmacniacz i rura wystrzeliła do góry, znikając w dalekiej perspektywie. Braun wchodził po klamrach.

– Nikt mnie o tym nie uprzedził – powiedziała.

Case przeskoczył.

* * *

– Maelcum...

– Chłopie, twój boss robi się dziwny. – Syjonita włożył skafander próżniowy Sanyo, dwadzieścia lat starszy od tego, który Case wypożyczył we Freeside. Pod pachą trzymał hełm, a rastafariańskie loki ściągnął szydełkowaną siatką z bawełny. Oczy miał zwężone od cannabis i napięcia. – Dzwoni tu i wydaje rozkazy, jak w jakiejś babilońskiej wojnie... – Pokręcił głową. – Gadałem z Aerolem, Aerol gadał z Syjonem. Założyciele mówią: rzucić wszystko i wiać.

Otarł usta grzbietem wielkiej brązowej dłoni.

– Armitage? – Case zamrugał, gdy betafenetylaminowy kac, nietłumiony matrycą ani symstymem, uderzył z pełną siłą. Mózg nie ma w środku żadnych nerwów, powtarzał sobie. Przecież nie powinien czuć się aż tak paskudnie. – O co chodzi, człowieku? Wydaje ci rozkazy? Jakie?

– Chłopie, Armitage każe brać kurs na Finlandię, kapujesz? Mówi, że tam mamy szansę. Wlaź na mój ekran z koszulą całą we krwi, chłopie, i szalony jak pies. Gada o ryczącej pięści, Rosjanach, i o krwi zdrajców na naszych rękach. – Potrząsnął głową. Opięte siatką włosy kołysały się i podskakiwały w zerowym ciężeniu. – Założyciele mówią, że głos

Niemowy to na pewno fałszywe proroctwo. Aerol i ja mamy porzucić *Marcusa Garveya* i wracać.

– Armitage był ranny? Krew?

– Nie mam pojęcia. Ale we krwi i zupełnie obłąkany.

– W porządku – stwierdził Case. – A co ze mną? Wracacie do domu. Co ze mną, Maelcum?

– Chłopie – odparł Maelcum. – Idziesz z nami. Wracam na Syjon z Aerolem, na *Babylon Rocker*. Zostawimy pana Armitage’a, żeby sobie gadał z duchem w kasecie, jeden upiór z drugim...

Case spojrział przez ramię: wypożyczony skafander wisiał przy hamaku, tam gdzie go przypiął. Kołysał się lekko w strudze powietrza ze starego rosyjskiego wymiatacza. Przymknął oczy. Widział woreczki toksyny rozpuszczające się wolno w jego arteriach. Widział Molly wspinającą się po nieskończonym szeregu stalowych klamer. Otworzył oczy.

– Nie wiem, chłopie – mruknął. Czuł w ustach jakiś dziwny posmak. – Sam nie wiem.

Uniósł głowę. Brązowa twarz była teraz spokojna, zaciekawiona. Szeroki pierścień hełmu niebieskiego skafandra krył brodę Maelcuma.

– Ona jest w środku – powiedział. – Molly. W *Straylight*, tak na to mówią. Jeśli istnieje jakiś Babilon, to właśnie tam. Zostawimy ją, a już nie wyjdzie, jest tą Kroczącą Brzytwą czy nie.

Maelcum pokiwał głową. Siatka z włosami podskakiwała z tyłu jak bawełniany balon na uwięzi.

– Twoja kobieta, Case?

– Nie wiem. Może niczyja. – Wzruszył ramionami. I znowu odnalazł swój gniew, realny jak odprysk gorącej skały pod żebrami. – Pieprzę to wszystko – oznajmił. – Pieprzę Armitage’a, pieprzę Wintermute’a i ciebie też. Zostaję.

Uśmiech rozlał się po twarzy Maelcuma jak światło o wschodzie słońca.

– Maelcum to niegrzeczny chłopak, Case. – Dłoń w rękawicy uderzyła o pulpit i w głośnikach *Garveya* zabrzmiał ciężki od basów, twardy podkład Syjonu. – Maelcum nie ucieknie, o nie. Pogadam z Aerolem. Na pewno zobaczy wszystko w nowym świetle.

Case wytrzeszczył oczy.

– Nie rozumiem was, chłopaki.

– Też ciebie nie rozumiem, chłopie. – Syjonita kołysał się w rytm muzyki. – Ale miłość Jah musi nami kierować, każdym z nas.

Case włączył się i wskoczył do matrycy.

* * *

– Odebrałeś wiadomość?

– Tak.

Chiński program rósł; delikatne łuki zmiennych polichromów zbliżały się do lodu T-A.

– Zrobiło się jeszcze weselej – oznajmił Płaszczak. – Twój szef skasował dane tego drugiego Hosaki i niewiele brakowało, żeby załatwił naszego. Ale twój kumpel, Wintermute, zanim pociemniał, zdążył mi coś przekazać. Straylight nie roi się od Tessier-Ashpoolów, ponieważ na ogół hibernują. Pewna firma prawnicza w Londynie pilnuje kolejności zarządzania majątkiem. Muszą wiedzieć, kto się obudził i dokładnie kiedy. Armitage kierował transmisje z Londynu do Straylight przez Hosakę na jachcie. Nawiasem mówiąc, wiedzą, że stary nie żyje.

– Kto wie?

– Prawnicy w Londynie i T-A. Miał wszczepiony w mostek zdalny układ medyczny. Ale zespół reanimacyjny nie będzie miał dużo do roboty po tej strzałce, którą mu wpakowała twoja dziewczyna. Toksyna skorupiaków. W każdym razie jedynym obudzonym T-A w Straylight jest chwilowo Lady 3Jane Marie-France. Jest też chłopak, parę lat starszy; poleciał w interesach do Australii. Założę się, że to Wintermute jakoś załatwił, żeby te interesy wymagały jego obecności. Ale leci już do domu, albo niedługo wyruszy. Londyńscy prawnicy oceniają czas jego przybycia do Straylight na 09:00:00, dziś wieczorem. Wepchnęliśmy wirusa o 02:32:03. Teraz jest 04:45:20. Przybliżony czas przebicia przez Kuang rdzenia T-A to 08:30:00. Parę minut w jedną albo w drugą stronę. Myślę, że Wintermute uruchomił coś dla 3Jane, albo może ona jest tak samo zwariowana jak jej staruszek.

Ale ten chłopak z Melbourne zna stawkę. Systemy bezpieczeństwa Straylight próbują przejść w stan pełnej gotowości, ale Wintermute je blokuje. Nie pytaj, jak. Nie potrafił przełamać podstawowego programu bramy, żeby wprowadzić Molly. Armitage miał zapis tego wszystkiego na swoim Hosace; pewnie Riviera przekonał 3Jane. Od lat umiała oszukiwać wyjścia i wejścia. Głównym problemem T-A było chyba to, że każdy ważniak pakował w banki najróżniejsze prywatne numery i listy wyjątków. Mniej więcej tak, jakby sypał ci się system immunologiczny. Sam prosisz o wirusa. Tym lepiej dla nas, kiedy już przebijemy lód.

– Dobrze. Ale Wintermute mówił, że Ar...

Biały romb wskoczył na miejsce, wypełniony zbliżeniem szalonych błękitnych oczu. Case mógł tylko patrzeć w milczeniu. Pułkownik Willie Corto, Oddziały Specjalne, Grupa Uderzeniowa Rycząca Pięść, odnalazł drogę powrotną. Obraz był niewyraźny, z zakłóceniami, nieostry. Corto wykorzystywał do kontaktu z Hosaką na *Marcusie Garveyu* pulpit nawigacyjny *Haniwy*.

– Case, podaj dane o stratach Omaha Thunder.

– Ja... pułkownika?

– Trzymaj się, chłopcze. Pamiętaj, czego cię uczono.

Ale gdzie byłeś, człowieku? – zapytał bezgłośnie oszalałych oczu. Wintermute wbudował coś o imieniu Armitage w katatoniczną twierdzę zwaną Corto. Przekonał Corto, że Armitage jest rzeczywisty, i Armitage chodził, mówił, planował, wymieniał kapitał na dane, reprezentował Wintermute'a w tamtym pokoju w Hiltonie Chiby... Teraz Armitage zniknął, porwany huraganem szaleństwa Corto. Ale gdzie był Corto przez te wszystkie lata?

Poparzony i ślepy, spadał z syberyjskiego nieba.

– Wiem, Case, że trudno ci będzie się z tym pogodzić. Jesteś oficerem. Szkolenie. Rozumiem cię. Ale Bóg mi świadkiem, Case, zostaliśmy zdradzeni.

Łzy popłynęły z błękitnych oczu.

– Pułkownika, no... kto? Kto nas zdradził?

– Generał Girling, Case. Może znasz tylko jego kryptonim, ale z pewnością wiesz, o kim mówię.

– Tak – potwierdził Case. Łzy wciąż płynęły. – Chyba tak. Sir – dodał pod wpływem impulsu. – Ale, panie pułkowniku, co właściwie mamy robić? To znaczy: teraz?

– Naszym obowiązkiem w tej sytuacji jest ucieczka. Odskok. Unik. Jutro wieczorem możemy osiągnąć fińską granicę. Lot na ręcznym, poniżej drzew. Tyłkiem po gałęziach, chłopcze. Ale to tylko początek. – Błękitne oczy zwęziły się nad mokrymi od łez policzkami. – Dopiero początek. Zdrada na górze. Na samej górze... – Odstąpił od kamery. Brunatne plamy znaczyły podartą płócienną koszulę. Twarz Armitage’a przypominała zwykle obojętną maskę, lecz twarz Corto była prawdziwą, schizoidalną maską, z chorobą wyrytą głęboko w każdym ruchu mięśni, niszczącą efekt kosztownych zabiegów chirurgicznych.

– Rozumiem, pułkowniku. A teraz słuchaj, chłopie, znaczy: pułkowniku. Chcę, żebyś otworzył ten, no... szlag, Dixie, jak to się nazywa?

– Właz centralny.

– Otworzył właz centralny. Proszę powiedzieć głównej konsoli, żeby otworzyła. Dobrze? Zaraz u pana będziemy, pułkowniku. Wtedy porozmawiamy o tym, jak się stąd wydostać.

Romb zniknął.

– Wiesz, mały, chyba się pogubiłem – oświadczył Płaszczak.

– Toksyny – mruknął Case. – Te cholerne toksyny.

Wyłączył się.

* * *

– Trucizna? – Ponad odrapanym, błękitnym ramieniem starego sanyo Maelcum obserwował, jak Case wyplątuje się z siatki antyprzeciążeniowej.

– Zdejmij ze mnie to paskudztwo. – Case szarpnął za teksaski cewnik. – To jak powolna trucizna, a ten dureń na górze wie, jak jej przeciwdziałać. Teraz jest obłąkany, jak szczur z kanalizacji.

Grzebał przy swoim czerwonym sanyo, nie mogąc sobie przypomnieć, jak go zahermetyzować.

– Boss cię otrul? – Maelcum poskrobał się w policzek. – Mam tu zestaw medyczny.

– Chryste, Maelcum, pomóż mi z tym cholernym skafandrem.

Syjonita odbił się od różowego modułu pilota.

– Spokojnie, chłopie. Dwa razy przymierz, raz utnij, jak mówią mądrzy ludzie. Pociągniemy tutaj...

* * *

W falistym przejściu łączącym rufowy luk *Marcusa Garveya* z centralnym włazem jachtu *Haniwa* było powietrze, ale nie rozhermetyzowali skafandrów. Maelcum szedł z baletową gracją, zatrzymując się tylko po to, by pomóc Case'owi, który przekoziołkował niezgrabnie, gdy wyszedł z *Garveya*. Białe plastikowe ściany rury przepuszczały ostre światło słońca. Nie rzucali cieni.

Kłapa luku *Garveya* była połatana i wgnieciona, ozdobiona wrytym laserem Lwem Syjonu. Właz *Haniwy* był jasnoszary, gładki nienaruszony. Maelcum wsunął dłoń w wąski otwór. Case dostrzegł, jak porusza palcami. We wnęce zapłonęły czerwone LED-y, odliczające od pięćdziesięciu do zera. Maelcum cofnął rękę. Case oparł dłoń w rękawicy o klapę i przez skafander i kości czuł wibracje zamka. Kolisty wycinek szarego pancerza cofnął się do wnętrza *Haniwy*. Maelcum jedną ręką chwycił klapę, drugą Case'a. Właz pociągnął ich za sobą.

* * *

Haniwa pochodził ze stoczni Dornier-Fujitsu, o czym świadczyło jego wnętrze, zaprojektowane według filozofii podobnej do tej, która stworzyła mercedesa wożącego ich w Istambule. Śluzę wyłożono fornirem imitującym heban, z szarymi włoskimi kafelkami na podłodze. Case miał

uczucie, że włamuje się do prywatnego letniska jakiegoś bogacza przez kabinę prysznicową. Montowany na orbicie jacht nie miał możliwości wejścia w atmosferę. Opływowy, owadzi kształt był zwykłą stylizacją. Wszystko we wnętrzu zostało dopracowane tak, by wzmacniać wrażenie szybkości.

Maelcum zdjął swój pocięty hełm i Case poszedł za jego przykładem. Wisieli w śluzie. Powietrze miało lekki aromat sosny, a także niepokojący odór palonej izolacji.

Maelcum pociągnął nosem.

– Są problemy, chłopie. Jeśli poczujesz coś takiego na łódce...

Obite szarym ultraskajem drzwi gładko wsunęły się w futrynę. Maelcum kopnął hebanową ścianę i w ostatniej chwili skręcił szerokie ramiona, by trafić w szczelinę. Case niezgrabnie szedł za nim, przesuając się wolno wzdłuż wysokiej do piersi poręczy.

– Mostek będzie tam. – Maelcum wskazał w głąb korytarza o szarych, gładkich ścianach. Wystartował, wykonawszy kolejne, niedbałe kopnięcie.

Gdzieś z przodu dobiegało znajome brzęczenie pracującej drukarki. Było coraz głośniejsze. Przelecieli przez otwór drzwi, prosto w wirującą masę spletanego wydruku. Case chwycił pomietą papierową taśmę.

o o o o o o o o o

o o o o o o o o o

o o o o o o o o o

– Blokada systemu? – Syjonita machnął dłonią w rękawicy, wskazując kolumnę zer.

– Nie. – Case pochwycił swój dryfujący hełm. – Płaszczak mówił, że Armitage skasował dane Hosaki, którego miał na pokładzie.

– Sądząc po zapachu, skasował laserem. – Maelcum oparł stopę na białej klatce szwajcarskiej maszyny treningowej i wystrzelił w dryfujący labirynt papieru. Odpychał sprzed twarzy wydruki. – Case, chłopie...

Mężczyzna był niski, Japończyk, kawałkiem stalowego drutu przywiązany za gardło do oparcia wąskiego, ergonomicznego krzesła. Drut, niewidoczny na czarnym obiciu podglówka, głęboko rozciął mu krtań. Wisiała tam pojedyncza kula zakrzepłej krwi, jak niezwykły

szlachetny kamień, czerwono-czarna perła. Case dostrzegł proste drewniane uchwyty pływające na obu końcach garoty, podobne do podniszczonych kawałków kija od szczotki.

– Ciekawe, jak dawno nosił to przy sobie – powiedział, wspominając powojenną wędrówkę Corto.

– Czy umie pilotować łódkę, Case? Znaczy, boss?

– Może. Był w Oddziałach Specjalnych.

– W każdym razie ten Japończyk raczej nie poprowadzi. Wątpię, czy sam bym dobrze umiał. Bardzo nowoczesna łódka...

– Poszukaj mostka.

Maelcum zmarszczył brwi, przekościolkował w tył i kopnął.

Case dotarł za nim do większego pomieszczenia, drąc i gniotąc po drodze oplątujące go wydruki. W sali stało kilka ergonomicznych krzeseł, coś, co przypominało bar, i Hosaka. Solidna, szybka drukarka, wciąż plująca wąską papierową taśmą, była wmontowana we wnękę grodzi i obudowana płytą gładkiego forniru. Case podciągnął się nad kręgiem krzeseł i nacisnął biały guzik po lewej stronie zestawu. Brzęczenie ucichło. Odwrócił się i spojrzał na Hosakę. Płyta czołowa została przebita przynajmniej z dziesięć razy. Otworki były małe, okrągłe, o poczerńiałych krawędziach. Maleńkie kulki lśniącego stopu orbitowały wokół martwego komputera.

– Zgadłeś – mruknął do Maelcuma.

– Mostek zablokowany, chłopie – oznajmił Maelcum stojący po przeciwnej stronie sali.

Światła przygasły, rozbłysły, przygasły znowu.

Case wyrwał z drukarki papier. Kolejne zera.

– Wintermute? – Rozejrzał się po beżowo-brązowym hallu. Dryfujące krzywe papieru kreśliły zygzakami przestrzeń. – Te światła to ty, Wintermute?

Panel przy głowie Maelcuma otworzył się, odsłaniając nieduży monitor. Maelcum odskoczył przestraszony, łata gąbki na czarnej rękawicy otarł z czoła pot i okręcił się, by spojrzeć na ekran.

– Znasz japoński, chłopie?

Case widział przebiegające po ekranie znaki.

– Nie – powiedział.

– Mostek to kapsuła ratunkowa, szalupa. Wygląda na to, że odlicza. Włóż skafander. – Dokręcił hełm i zacisnął uszczelki.

– Co? On startuje? Szlag! – Odskoczył od grodzi i przemknął przez płataninę wydruków. – Człowieku, musimy otworzyć te drzwi!

Maelcum jednak tylko stuknął w hełm. Case widział, jak porusza wargami za lexanową szybą. Dostrzegł kroplę potu opadającą spod tęczowego brzegu fioletowej siatki, którą Syjonita spiął włosy. Maelcum wyrwał mu hełm i dokręcił sprawnie, uderzeniami dłoni zatrzaszczając uszczelki. Gdy tylko zamknęły się połączenia w tylnej części pierścienia hełmu, po lewej stronie szyby zapłonęły mikro-LED-y czujników.

– Nie znam japońskiego – powiedział Maelcum przez interkom skafandra. – Ale z odliczaniem coś nie gra. – Stuknął w jedną z linii na ekranie. – Moduł mostka jest rozhermetyzowany. Startuje z otwartym lukiem.

– Armitage! – Case próbował walić pięściami w drzwi. Reakcja w zero-g pchnęła go koziółkującego do tyłu, w gęstwinę wydruku. – Corto! Nie! Musimy pogadać! Musimy...

– Case? Słyszę cię, Case... – Głos prawie nie przypominał głosu Armitage'a. Miał w sobie niezwykle spokojny. Case przestał się szarpać. Uderzył hełmem o przeciwległą ścianę. – Przykro mi, Case, ale nie ma innego wyjścia. Jeden z nas musi się stąd wydostać. Ktoś musi złożyć zeznania. Jeśli wszyscy zginie, to koniec. Powiem im, Case. Powiem wszystko. O Girlingu i pozostałych. I dolecę, Case. Wiem, że dolecę. Do Helsinek. – Nagła cisza wypełniła hełm Case'a niby rzadki gaz. – Ale to trudne, Case, cholernie trudne. Jestem ślepy.

– Corto, stój. Czeka. Człowieku, jesteś ślepy. Nie możesz latać! Zahaczysz o te pieprzone drzewa! A oni chcą cię dorwać, Corto, przysięgam na Boga, zostawili ci otwarty luk. Zginiesz, nic im nie powiesz, a ja muszę mieć enzym. Powiedz, jaki! Enzym, człowieku...! – krzyczał piskliwym, histerycznym głosem. Sprzężenie wyło w słuchawkach hełmu.

– Pamiętaj o naszym szkoleniu, Case. To wszystko, co możemy zrobić.

A potem hełm wypełniły trzaski zakłóceń, zmieszany bełkot, harmoniczne wycie, dobiegające z otchłani lat, które minęły od Ryczącej Pięści. Rosyjskie zdania i obcy głos z akcentem środkowego zachodu, bardzo młody:

– Zestrzelili nas, powtarzam, Omaha Thunder zestrzelony...

– Wintermute! – wrzasnął Case. – Nie rób mi tego!

Łzy spływały mu z rzęs, nierównymi krystalicznymi kroplami odbijały się od szyby hełmu. Potem *Haniwa* drgnął, zadygotał jakby coś wielkiego i miękkiego uderzyło o pancerz. Case wyobraził sobie szalupę oderwaną wybuchowymi sworzniami, sekundowy huragan uciekającego powietrza, odrywający obłąkanego pułkownika Corto od fotela i od dokonanej przez Wintermute'a powtórki ostatniej minuty Ryczącej Pięści.

– Poleciał, chłopie. – Maelcum spojrział na monitor. – Luk otwarty. Niemowa przełamał bezpieczniki odpalania.

Case próbował wytrzeć łzy wściekłości. Palce stuknęły o lexan.

– Jacht jest szczelny, ale razem z mostkiem boss zabrał kontrolkę chwytników. *Marcus Garvey* utknął na amen.

Jednakże Case widział nieskończony upadek Armitage'a wokół Freeside, poprzez próżnię zimniejszą od stepów. Nie wiedział czemu, ale wyobraził go sobie w ciemnym Burberry, z połami prochowca rozwiniętymi jak skrzydła ogromnego nietoperza.

– Masz, czego szukałeś? – zapytał konstrukt.

Kuang Grade Mark XI wypełniał przestrzeń sieci aż do lodu T-A hipnotycznie zawikłanymi koronkami tęczy, strukturami delikatnymi jak kryształy śniegu na okiennej szybie.

– Wintermute zabił Armitage’a. Wyrzucił go w kapsule ratunkowej z otwartym włazem.

– Paskudna sprawa – przyznał Płaszczak. – Ale nie byłeś chyba jego serdecznym kumplem?

– Wiedział, jak odkleić woreczki z toksyną.

– Wintermute też wie. Możesz na to liczyć.

– Nie jestem pewien, czy zechce mi powiedzieć.

Obrzydliwa aproksymacja śmiechu konstruktowi jak tępy nóż zgrzytnęła po nerwach Case’a.

– Może to znaczy, że robisz się sprytny.

* * *

06:27:52 według chipa w jej nerwie wzrokowym. Od ośmiu godzin Case podążał wraz z Molly przez Villa Straylight, pozwalając, by analog endorfiny, który zażyła, wytłumiał jego kaca. Ból nogi ustał; miał wrażenie, że idzie przez ciepłą wodę. Robot Brauna przysiadł na jej ramieniu, wbijając w polikarbon kombinezonu Modernów niewielkie manipulatory, podobne do miękkich zacisków chirurgicznych.

Wzdłuż stalowych ścian korytarzy biegły pasy szorstkiego, brunatnego epoksydu – pozostałość po jakiejś zdartej wykładzinie. Molly kryła się

przed obsługą. Przykucnęła w kącie, w stalowoszarym kombinezonie, ze strzałkowcem w rękę, przepuszczając dwóch smukłych Afrykanów i ich wózek na balonowych oponach. Mężczyźni mieli ogolone głowy i nosili pomarańczowe kombinezony. Jeden śpiewał jakąś obcą, dziwnie brzmiącą melodię w języku, którego Case nigdy nie słyszał.

Gdy Molly wchodziła coraz głębiej w labirynt korytarzy, wspomniał przemowę głowy, esej 3Jane na temat Straylight. Straylight było szalone, było samym szaleństwem wrośniętym w żywice mieszane z betonem ze sproszkowanych rud księżycowych, hodowanym w spawanej stali i tonach zabezpieczeń: wszystkich przemysłnych pułapek, które wyciągnęli ze studni, by wyposażyć swoje orbitujące gniazdo. To jednak nie był obłąd, który potrafiłby zrozumieć. Niepodobny do manii Armitage'a, którą teraz chyba już pojmował. Trzeba przygiąć człowieka dostatecznie mocno, potem skrócić i przegiąć w odwrotną stronę. Człowiek zostanie złamany. Jak żelazny pręt. A historia tak właśnie potraktowała pułkownika Corto. Historia załatwiła już całą brudną robotę, gdy znalazł go Wintermute, wyłowił z powojennego śmietniska, pierwszymi komunikatami migoczącymi na ekranie dziecięcego mikro w ciemnym pokoju francuskiego szpitala wpłynął w szare pole świadomości, niby wodny pająk biegnący po powierzchni mętnego stawu. Wintermute zbudował Armitage'a od podstaw, używając jako fundamentu wspomnień Corto o Ryczącej Pięści. Ale od pewnego punktu „wspomnienia” Armitage'a nie należały już do Corto. Case wątpił, czy Armitage pamiętał zdradę, spadające w płomieniach nightwingi... Armitage był czymś w rodzaju przeredagowanej wersji Corto, a gdy napięcie akcji osiągnęło poziom graniczny, jego mechanizm się rozsypał; Corto wypłynął na powierzchnię, razem z poczuciem winy i obłąkaną wściekłością. A teraz Corto-Armitage nie żył, stał się małym zamarznętym księżycem na orbicie Freeside.

Pomyślał o woreczkach z toksyną. Stary Ashpool też był martwy, z okiem przebitym mikroskopijną strzałką Molly. Zmarnował nadmierną dawkę prochów, którą sobie przygotował z wprawą eksperta. Jego śmierć była bardziej zaskakująca, śmierć Ashpoola, szalonego władcy. Zabił kukielkę, którą nazywał córką, tę o twarzy 3Jane. Case pomyślał, odbierając

wejściowe dane sensorium Molly idącej korytarzami Straylight, że kogoś tak potężnego jak Ashpool nigdy nie uważał do końca za człowieka.

Władza w świecie Case'a oznaczała władzę korporacji. Oznaczała zaibatsu, wielonarodowe koncerny, kształtujące historię ludzkości i przekraczające wszelkie bariery. Traktowane jak organizmy, osiągnęły pewien rodzaj nieśmiertelności. Nie można zabić zaibatsu, likwidując kilkunastu kluczowych urzędników; inni już czekali, by przeskoczyć kolejny szczebel kariery, zająć zwolnione stanowiska, uzyskać dostęp do ogromnych banków korporacyjnej pamięci. Jednakże Tessier-Ashpool był inny i Case dostrzegał tę różnicę w okolicznościach śmierci założyciela. T-A był atawizmem, klanem. Pamiętał śmietnik w pokoju starca, brud jego człowieczeństwa, postrzępione grzbiety papierowych kopert płyt audio. Jedna stopa bosa, druga w pluszowym pantoflu.

Braun szarpnął brzeg kaptura kombinezonu Modernów i Molly skrzyła w lewo, przez kolejny łuk przejścia.

Wintermute i gniazdo. Przerazająca wizja wylęgarni os, biologicznego karabinu maszynowego z opóźnionym zapłonem. Ale czy zaibatsu nie były podobne? Albo yakuza? Te ule z cybernetyczną pamięcią, z kodowanym w silikonie DNA? Jeśli Straylight wyrażało tożsamość korporacji Tessier-Ashpool, to T-A byli obłąkani, jak ten starzec. Ten sam splątany labirynt lęków, to samo niezwykle poczucie braku celu. „Gdyby stali się tacy, jak chcieli...” – powiedziała kiedyś Molly. Wintermute zapewnił ją, że nie.

Case zawsze uznawał za oczywiste to, że prawdziwi szefowie, sam top danego przemysłu, byli jednocześnie czymś więcej i mniej niż ludźmi. Dostrzegł to u facetów, którzy go okaleczyli w Memphis, podobny symptom widział u Wage'a w Mieście Nocy. To przekonanie pozwoliło zaakceptować obojętność i zanik uczuć Armitage'a. Zawsze uważał, że jest to świadome i stopniowe połączenie z maszyną, systemem, organizmem macierzystym. Tkwiło także u podstaw ulicznej gry: poza wszechwiedzy, implikująca koneksje, niewidoczne linie kontaktów z wyższymi, ukrytymi poziomami wpływów.

Ale co działo się teraz w przejściach Villa Straylight?

Całe korytarze zostały ogołoczone do nagiej stali i betonu.

– Ciekawe, gdzie jest teraz Peter. Może niedługo się spotkamy – mruknęła. – I Armitage. Gdzie on jest, Case?

– Nie żyje – powiedział, wiedząc, że nie może go usłyszeć. – Armitage nie żyje.

Przeskoczył.

* * *

Chiński program znalazł się tuż obok lodu celu; tęczowe lśnienia nikły stopniowo w zielonym blasku prostokąta reprezentującego rdzeń T-A. Szmaragdowe łuki nad bezbarwną pustką.

– Jak leci, Dixie?

– Świetnie. Zbyt gładko. Ta zabawka jest niesamowita... Szkoda, że nie miałem czegoś takiego w Singapurze. Załatwiłem stary dobry Nowy Bank Azji na solidną jedną pięćdziesiątą ich wartości. Dawna historia. To maleństwo odwała całą harówkę. Człowiek zaczyna się zastanawiać, jak wyglądałaby dzisiaj prawdziwa wojna...

– Gdyby takie zabawki chodziły na ulicy, stracilibyśmy robotę – zauważył Case.

– Chciałbyś. Poczekaj, aż nim posterujesz w górę, przez czarny lód.

– Jasne.

Na przeciwnym końcu jednego ze szmaragdowych łuków pojawiło się coś małego i zdecydowanie geometrycznego.

– Dixie...

– Tak, widzę. Ale nie wiem, czy potrafię uwierzyć.

Brunatny punkcik, mętna plamka na tle zieleni rdzenia T-A. Zbliżyła się przez most, jaki zbudował Kuang Grade Mark XI i Case spostrzegł, że idzie, poruszając nogami. W miarę jej ruchu wydłużał się zielony fragment łuku, a polichromowy program wirusa odstępował na kilka kroków przed splekanymi czarnymi butami.

– Muszę przyznać, szefie – stwierdził Płaszczak, gdy niska, przygięta postać Finna zatrzymała się, pozornie kilka metrów przed nimi. – Za życia nie widziałem niczego tak zabawnego.

Ale potworny nieśmiej nie napłynął.

– Nigdy tego nie próbowałem. – Finn wyszczerzył zęby. Ręce trzymał w kieszeniach wytartej marynarki.

– Zabiłeś Armitage’a.

– Corto. Tak. Armitage’a już nie było. Musiałem. Wiem, wiem, chcesz dostać ten enzym. W porządku. Nie ma sprawy. Przecież to ja dałem go Armitage’owi. Znaczący, powiedziałem mu, czego ma użyć. Ale sądzę, że lepiej będzie trzymać się umowy. Masz dość czasu. Dostaniesz go. Jeszcze tylko parę godzin, prawda?

Case patrzył, jak niebieski kłębek dymu unosi się w cyberprzestrzeni, gdy Finn zapalał partagasa.

– Sprawiacie same kłopoty – oświadczył. – Weźmy takiego Płaszczaka. Gdybyście byli podobni do niego, wszystko byłoby proste. To konstrukt, kłębek ROM-u, więc zawsze robi to, czego po nim oczekuję. Żeby podać pierwszy z brzegu przykład: z projekcji wynikało, że jest mało prawdopodobne, by Molly trafiła na wielką scenę finałową Ashpoola. – Westchnął.

– Dlaczego się zabił? – spytał Case.

– A dlaczego ktokolwiek się zabija? – Postać wzruszyła ramionami. – Jeśli już ktoś to wie, to chyba ja. Ale potrzebowałbym dwunastu godzin, żeby ci wytłumaczyć rozmaite czynniki historyczne i ich wzajemne relacje. Od dawna szykował się do samobójstwa, ale wciąż wracał do lodówki. Chryste, co za marudny, stary pierdziel. – Finn skrzywił się. – Jeśli chcesz krótkiego wyjaśnienia, to wszystko wiąże się z przyczyną, dla której zamordował własną żonę. Ale ostatnią kroplę wlała mała 3Jane. Znalazła sposób, żeby pokombinować z programem kontrolnym systemu kriogenicznego. Bardzo subtelnie. Czyli, w zasadzie, to ona go zabiła. Tyle że, jego zdaniem, sam się zabił, a twoja przyjaciółka, anioł zemsty, uważa, że załatwiła go, napełniając oko sokiem skorupiaków. – Finn pstryknął niedopałkiem w głąb matrycy. – Cóż, szczerze mówiąc, chyba udzieliłem 3Jane pewnej niewielkiej wskazówki. Wicie, podpowiedziałem trochę.

– Wintermute. – Case starannie dobierał słowa. – Powiedziałeś mi kiedyś, że jesteś częścią czegoś innego. Później stwierdziłeś, że

przestaniesz istnieć, kiedy akcja się uda i Molly wciśnie słowo we właściwą szczelinę.

Kształtna głowa Finna skinęła twierdząco.

– Z kim wtedy mam rozmawiać? Jeśli Armitage nie żyje, a ciebie nie będzie, to kto mi powie, jak mam wywalić z systemu te cholerne toksyny? Kto wyciągnie stamtąd Molly? Chodzi o to, gdzie dokładnie zostawimy tyłki, kiedy już odetniemy cię ze smyczy.

Finn wyjął z kieszeni drewnianą wykałaczkę i przyjrzał się jej z uwagą, jak chirurg, który sprawdza skalpel.

– Dobre pytanie – orzekł w końcu. – Słyszałeś o łososiach? To takie ryby. One po prostu muszą płynąć w górę strumieni. Łapiesz?

– Nie.

– Ja sam odczuwam taki przymus. I nie wiem dlaczego. Gdybym miał ci przekazać moje przemyślenia, nazwijmy je spekulacjami, trwałoby to parę razy dłużej, niż twoje życie. Ponieważ wiele o tym myślałem. I zwyczajnie nie wiem. Ale kiedy będzie po wszystkim i załatwimy sprawę jak należy, stanę się częścią czegoś większego. Dużo większego. – Finn spojrzał w górę matrycy. – Ale te moje elementy, które tworzą mnie teraz, nadal tu pozostaną. Dostaniesz swoją należność.

Case stłumił szaleńczą żądzę, by przestukać się naprzód i zacisnąć palce na szyi postaci, tuż ponad brudnym szalem. Jak najgłębiej wbić kciuki w krtań Finna.

– No, powodzenia – rzucił Finn. Zawrócił i z rękami w kieszeniach pomaszerował wzdłuż zielonego łuku.

– Hej, dupku! – zawołał Płaszczak, gdy Finn odszedł na kilka kroków; Postać zatrzymała się, obejrzała. – Co ze mną? Co z moją zapłata?

– I ty dostaniesz, co ci się należy – oznajmiła.

– O co chodzi? – zapytał Case, obserwując coraz mniejsze wąskie ramiona pod tweedową marynarką.

– Chcę być wykasowany – odparł konstrukt. – Mówiłem ci o tym, pamiętasz?

* * *

Straylight przypominał Case'owi opustoszałe wczesnym rankiem zespoły handlowe, które widywał jako nastolatek. Zapomniane miejsca, gdzie godziny świtu niosły chwilowy spokój, rodzaj tępego wyczekiwania, napięcie zmuszające do obserwacji komarów rojących się wokół okratowanych żarówek nad drzwiami ciemnych sklepów. Pogranicze, tuż za brzegami Ciągu, dalekie od całonocnego gwaru i ruchu wrzącego centrum. Odbierał to samo wrażenie, że trwa otoczony przez śpiących mieszkańców budzącego się świata, których nie miał ochoty odwiedzać ani poznawać; przez nudne, zawieszane chwilowo działania, przez bezcelowość i rutynę, które wkrótce miały się przebudzić.

Molly zwolniła, może dlatego, że była już blisko celu, a może chciała oszczędzać nogę. Ból sięgał już zygzakowatym ostrzem ponad barierą endorfiny. Case nie wiedział, co to oznacza. Nie odzywała się, zaciskała zęby i starannie regulowała oddech. Mijała wiele przedmiotów, których przeznaczenia nie pojmował. Jednak ciekawość odeszła. Był tam pokój pełen książek: miliony cienkich kartek ściśniętych okładkami z płótna lub skóry na półkach, w nierównych odstępach poznaczonych etykietami z literami i cyframi kodu. Była ciasna galeria, w której Case patrzył przez obojętne oczy Molly na strzaskaną, pokrytą kurzem płytę szkła, podpisaną – odruchowo przeczytała napis na mosiężnej plakietce – „*La mariée mise à nu par ses célibataires, même*”. Wyciągnęła dłoń i sztuczne paznokcie stuknęły o warstwę lexanu chroniące rozbite szkło. Minęła coś, co musiało być wejściem do sekcji kriogenicznej Tessier-Ashpool, okrągły wąż z czarnego szkła w chromowej ramie.

Od spotkania z dwoma Afrykanami i ich wózkiem nie widziała nikogo. Dla Case'a ci dwaj nabrali jakiegoś wyimaginowanego życia; wyobrażał sobie, jak płyną korytarzami Straylight, jak lśnią ich pochylone, gładkie czaszki, a jeden wciąż śpiewa zmęczonym głosem swoją piosenkę.

Nic nie wyglądało tak, jak oczekiwał od Villi Straylight: że będzie skrzyżowaniem baśniowego zamku Cath i na wpół zapomnianej dziecięcej fantazji o wewnętrznym sanktuarium yakuzy.

07:02:18.

Półtorej godziny.

– Case – powiedziała. – Zrób coś dla mnie.

Opadła sztywno na stos polerowanych stalowych płyt, krytych nierówną warstwą przezroczystego plastiku. Skubała rozdarcie w powłoce, wysunawszy ostrza spod kciuka i palca wskazującego.

– Marnie z nogą, wiesz? Nie spodziewałam się takiej wspinaczki, a endorfina już długo nie podziała. Więc może, ale tylko może, rozumiesz, będę miała problemy. Rzecz w tym, że jeśli załatwią mnie tu wcześniej niż Rivierę... – Wyciągnęła nogę, masując udo przez polikarbon Modernów i paryską skórę. – Chcę, żebyś mi powiedział. Że to ja. Chwytasz? Tylko tyle: Molly. Będzie wiedział. Dobra? – Spojrzała na pusty korytarz i nagie ściany. Podłogę tworzył tu surowy, księżycowy beton, a powietrze pachniało żywicami. – Cholera, człowieku, nie wiem nawet, czy mnie słuchasz.

CASE.

Skrzywiła się, wstała, skinęła głową.

– Co on ci powiedział? Wintermute? Mówił o Marie-France? Była z Tessierów, genetyczna matka 3Jane. I pewnie o martwej kukielce Ashpoola. Nie mam pojęcia, czemu mi o tym opowiadał w tej komórce pod klubem... masę spraw... Dlaczego musi się zjawiać jako Finn albo ktoś inny. Też mi wytłumaczył. To więcej niż maska. On wykorzystuje rzeczywiste profile jak zawory, hamuje się, żeby nawiązać z nami kontakt. Nazywał to szablonem. Modelem osobowości.

Wyjęła strzałkowiec i pokuśtykała korytarzem.

Naga stal i szorstki epoksyd urywały się nagle u wejścia w coś, co Case uznał początkowo za tunel wryty w litej skale. Molly obejrzała wejście dokładniej: stal pokrywały płyty czegoś, co z wyglądu i na dotyk przypominało kamień. Przyklękła, by dotknąć piasku rozsypanego na podłodze tej imitacji skalnej sztolni. Rzeczywiście, przypominał piasek, suchy i chłodny, ale kiedy przesunęła po nim palcem, zamknął się jak ciecz, bez żadnego śladu na powierzchni. Dziesięć metrów dalej tunel zakręcał. Ostre żółte światło rzucało czarne cienie na pseudokamień ścian. Case uświadomił sobie ze zdumieniem, że ciężenie w tym miejscu było prawie normalne, co oznaczało, że po wspinaczce musiała znowu zejść w dół. Był

teraz całkowicie zagubiony; dezorientacja przestrzenna nappełniała kowbojów szczególną grozą.

Ona się nie zgubiła, zapewnił sam siebie.

Coś przemknęło między jej nogami i, stukając, podążyło po pseudopiasku podłoża. Błysnęła czerwona dioda. Braun.

Pierwszy hologram czekał tuż za zakrętem: rodzaj tryptyku. Opuściła strzałkowiec, zanim Case zrozumiał, że obraz pochodzi z zapisu. Postacie były rzeźbionymi w świetle karykaturami, naturalnych rozmiarów bohaterami kreskówki: Molly, Armitage i Case. Molly miała za wielkie piersi, widoczne przez obcisłą koszulkę pod grubą czarną kurtką. Talia za to była nieprawdopodobnie wąska. Srebrne szkła zakrywały połowę twarzy. Trzymała jakąś absurdalnie skomplikowaną broń; kształt pistoletu ginął niemal pod konstrukcją optycznych celowników, tłumików i osłon lufy. Rozstawiała szeroko nogi, wysuwając do przodu miednicę; usta zastygły wykrzywione w idiotycznym grymasie okrucieństwa. Obok stał Armitage, wyprostowany sztywno, w wytartym mundurze khaki. Gdy Molly podeszła ostrożnie, Case dostrzegł, że zamiast oczu miał maleńkie ekrany monitorów, wyświetlające niebiesko-szary obraz zaśnieżonej równiny: pasiaste, czarne pnie jodeł pochylone pod naporem bezgłośnego wichru.

Przesunęła czubki palców przez telewizyjne źrenice Armitage'a, po czym spojrzała na obraz Case'a. Wyglądał tak, jakby Riviera – Case wiedział od razu, że hologram jest dziełem Rivieri – nie potrafił znaleźć żadnej cechy wartej sparodiowania. Przygarbiona figura była rozsądną aproksymacją tej, którą co dzień oglądał w lustrze. Chuda, z kanciastymi ramionami i trudną do zapamiętania twarzą pod krótką, ciemną czupryną. Powinien się ogolić, ale w końcu prawie zawsze potrzebował golenia.

Molly cofnęła się, spoglądając na hologramy. Obraz był statyczny, poruszały się jedynie szarpane wiatrem czarne drzewa w zamarzniętych, syberyjskich oczach Armitage'a.

– Chcesz nam coś powiedzieć, Peter? – spytała cicho. Potem kopnęła coś ustawionego między stopami holo-Molly. Metal szczęknął o ścianę i postacie zniknęły. Schyliła się, by podnieść niewielki projektor.

– Pewnie może się podłączyć i programować bezpośrednio – mruknęła, rzucając urządzenie na podłogę.

Minęła źródło żółtego blasku: archaiczną, świecąca kulę w ścianie, osłoniętą zardzewiałą siatką. Styl tego improwizowanego oświetlenia w pewien sposób przypominał mu dzieciństwo. Case pamiętał jeszcze fortece, które budował z innymi dzieciakami na dachach albo w zalanych piwnicach. Kryjówka bogatego bachora, pomyślał. Taka surowość jest kosztowna. Nazywają to atmosferą.

Nim stanęła przed wejściem do apartamentów 3Jane, minęła jeszcze z tuzin hologramów. Jeden przedstawiał bezokiego stwora z alejki obok bazaru korzennego, kiedy wyrywał się z rozerwanego ciała Rivieri. Kilka innych tworzyło sceny tortur; przesłuchującymi zawsze byli oficerowie w mundurach, ofiarami niezmiennie młode kobiety. Obrazy miały w sobie straszliwą intensywność przedstawienia Rivieri w „Vingtième Siècle”; były jakby zamrożone w błękitnym rozbłysku orgazmu. Przechodząc, Molly odwracała głowę.

Ostatnia scena była mała i niewyraźna, jak gdyby Riviera musiał wyciągać obraz z głębi pamięci i czasu. Musiała uklęknąć, żeby zbadać go dokładniej: projekcja z punktu widzenia małego dziecka. Wcześniejsze nie miały tła; postacie, mundury, narzędzia tortur, wszystko stało jak na wystawie. Ale tutaj trafiła na pejzaż.

Ciemna fala gruzu sięgała ku bezbarwnemu niebu; za jej grzbietem wyblakłe, na wpół roztopione szkielety wież miasta. Gruz miał strukturę sieci: przerdzewiałe stalowe pręty gięły się z gracją jak cienkie linki, wciąż podtrzymując ciężkie płyty betonu. Na pierwszym planie coś, co mogło być rynkiem; widział jakiś kikut, sugerujący fontannę. U jej podstawy znieruchomiały dzieci i żołnierz. Scena była niezrozumiała. Molly musiała prawidłowo odczytać obraz, nim jeszcze Case przyswoił go sobie do końca, gdyż poczuł, jak napina mięśnie. Splunęła, potem wstała.

Dzieci. Zdziczałe, w łachmanach. Zęby migające jak noże. Liszaje na wykrzywionych twarzach. Żołnierz leżał na plecach, usta i krtań miał otwarte i skierowane ku niebu. Pożywiały się.

– Bonn – mruknęła, a w jej głosie zabrzmiała jakby łagodność. – Jesteś produktem czasów, prawda, Peter? Ale musisz być taki. Nasza 3Jane jest za sprytna, żeby otworzyć drzwi pierwszemu z brzegu złodziejaskowi. Zatem Wintermute wygrzebał ciebie. Szczyt gustu, jeśli gust jest wypaczony w tę stronę. Demoniczny kochanek. Peter. – Zadrżała. – Ale przekonałeś ją, żeby mnie wpuściła. Dzięki. Teraz urządzimy imprezę.

A potem szła – a raczej biegła, mimo bólu – coraz dalej od dzieciństwa Rivieri. Wyjęła z kabury strzałkowiec, wyrwała plastikowy magazynek, wsunęła do kieszeni, założyła nowy. Wsunęła kciuk za kołnierz kombinezonu Modernów i jednym ruchem rozerwała go aż do krocza – ostrze kciuka cięło twardy polikarbon jak przegniły jedwab. Uwolniła ramiona, potem nogi. Porwane strzępy przybrały maskującą barwę ciemnego, fałszywego piasku.

Case uświadomił sobie, że słyszy muzykę. Nie znał jej. Same rogi i fortepian.

Wejście do świata 3Jane nie miało drzwi. Było nierówną pięciometrową wyrwą w ścianie tunelu. Łagodnym, szerokim łukiem prowadziły w dół krzywe stopnie. Delikatne błękitne światło, ruchome cienie, muzyka.

– Case – powiedziała i stanęła ze strzałkowcem w prawej ręce. Potem uniosła lewą, uśmiechnęła się i wilgotnym czubkiem języka musnęła wewnątrz otwartej dłoni; pocałowała go przez złącze symstymu. – Muszę iść.

Coś małego i ciężkiego znalazło się w jej lewej dłoni, kciuk trafił na małe przycisk i ruszyła w dół.

Chybiła o włos. Prawie trafiła, ale nie do końca. Weszła idealnie, myślał Case. Właściwe podejście; to było coś, co wyczuwał, co dostrzegał w pozie innego kowboja, pochylonego nad dekiem, z palcami przemykającymi nad klawiaturą. Miała co trzeba: szybkość, ruchy. I przywołała je na swoje wejście, ściągnęła razem wokół bólu w nodze i pomaszerowała schodami 3Jane jakby była właścicielką tego lokalu, z łokciem prawej ręki wspartym o biodro, uniesionym przedramieniem, rozluźnionym nadgarstkiem, przesuwając lufę strzałkowca z wystudiowaną nonszalancją pojedyńkowiec okresu Regencji.

To było przedstawienie. Jak kulminacja długoletnich studiów taśm ze sztukami walki, tych najtańszych, na których wychował się Case. Przez kilka sekund była każdym z filmowych bohaterów, Sony Mao ze starych wideo Shawa, Mickeyem Chibą, całą linią sięgającą aż do Lee i Eastwooda. Szła jak należy.

Lady 3Jane Marie-France Tessier-Ashpool wykroiła sobie na wewnętrznej powierzchni powłoki Straylight niewielką wiejską posiadłość. Usunęła labirynt ścian będący jej dziedzictwem. Mieszkała w jednym pomieszczeniu, tak szerokim i długim, że jego krańce ginęły za odwróconym horyzontem, a krzywizna wrzeczona przesłaniała podłogę. Sufit był niski i nierówny, kryty tą samą imitacją kamienia, co ściany korytarza. Tu i tam z podłoża wyrastały zębate fragmenty muru – sięgające piersi resztki labiryntu. Dziesięć metrów od schodów znajdował się prostokątny turkusowy basen, a podwodne lampy były jedynym źródłem światła. Tak przynajmniej wydawało się Case'owi, gdy Molly przestąpiła

ostatni stopień. Woda rzucała mogotliwe kleksy blasku na zawieszony nisko sufit.

Czekali koło basenu.

Wiedział, że jej reakcje są podrasowane, dostrojone do walki przez neurochirurgów Chiby, ale dotąd nie miał okazji ich doznawać przez symstymowe złącze. Efekt przypominał taśmę puszczonej w podwójnie zwolnionym tempie, powolny, wyszukany taniec z choreografią instynktu zabójcy i lat ćwiczeń. Zdawało się, że jednym spojrzeniem objęła całą trójkę: chłopca na trampolinie, uśmiechniętą dziewczynę z kieliszkiem wina, trupa Ashpoola z przegniłym lewym oczodołem, rozwartym ponad szerokim uśmiechem. Był ubrany w swój bordowy szlafrok. Miał bardzo białe zęby.

Chłopiec skoczył: szczupły, opalony, o idealnej sylwetce. Granat wyleciał jej z dłoni, zanim jego palce dotknęły wody. Case rozpoznał przedmiot, gdy wpadał pod powierzchnię: rdzeń silnego środka wybuchowego owinięty dziesięcioma metrami cienkiego, łamliwego stalowego drutu.

Strzałkowiec zawył, posyłając w twarz i pierś Ashpoola chmurę wybuchowych pocisków. Trup zniknął; dym unosił się z otworów w oparciu pustego białego ogrodowego fotela.

Lufa skierowała się ku 3Jane w chwili, gdy detonował granat; symetryczny tort z wody uniósł się, załamał, opadł z powrotem. Jednakże błąd został już popełniony.

Hideo nawet jej nie dotknął. To noga się pod nią załamała.

Case na *Garveyu* wrzasnął.

* * *

– Nie śpieszyłaś się specjalnie – stwierdził Riviera, przeszukując kieszenie Molly. Jej dłonie niknęły w matowej, czarnej sferze rozmiarów kuli do kręgli. – W Ankarze widziałem masowe zabójstwo – dodał, wyjmując z kurtki romaite przedmioty. – Jeden granat. Wydawało się, że to bardzo słaba eksplozja, a wszyscy zginęli natychmiast od szoku hydrostatycznego.

Case poczuł, jak Molly ostrożnie porusza palcami. Ból w nodze był potworny, nie do wytrzymania. Czerwone fale kołysały się jej przed oczami.

– Nie ruszałbym nimi na twoim miejscu. – Wnętrze kuli jakby się trochę zacisnęło. – To erotyczna zabawka. Jane kupiła ją w Berlinie. Przebieraj palcami dostatecznie długo, a zgniecie je na miazgę. To odmiana materiału, którym pokryta jest podłoga. Sądzę, że to jakaś kombinacja z molekułami. Coś cię boli?

Jęknęła.

– Chyba zraniłaś się w nogę. – Jego palce odnalazły płaską paczkę narkotyków w lewej tylnej kieszeni dżinsów. – Doskonale. Ostatnia porcja od Alego. W samą porę.

Falująca siatka krwi zawirowała.

– Hideo – rozległ się inny, kobiecy głos. – Ona traci przytomność. Daj jej coś. I jeszcze coś przeciwbólowego. Jest niezwykła, Peter, nie sądzisz? Te okulary... czy są modne tam, skąd pochodzi?

Chłodne dłonie, nieśpieszne, pewne jak dłonie chirurga. Ukłucie igły.

– Skąd mogę wiedzieć? – mówił Riviera. – Nigdy jej nie widziałem w naturalnym środowisku. Przyjechali i porwali mnie z Turcji.

– No tak, Ciąg. Mamy tam interesy. A raz posłaliśmy Hideo. Trzeba przyznać, że przeze mnie. Wpuściłam tu kogoś. Złodzieja. Zabrał rodzinny terminal. – Roześmiała się. – Ułatwiłam mu zadanie. Żeby zdenerwować pozostałych. Był ślicznym chłopcem, ten mój złodziej. Czy ona się budzi, Hideo? Może dać jej więcej?

– Wtedy umrze – oświadczył ktoś trzeci.

Krwawa sieć spłynęła w czern.

Powróciły rogi, muzyka i fortepian. Taneczna melodia.

C A S E :::::

::: W Y Ł A C Z

S I Ę :::::

Case zdjął trody. Powidoki świetlistych liter tańczyły w oczach i na zmarszczonym czole Maelcuma.

– Krzyczałeś, chłopie. Przed chwilą.

– Molly – wykrztusił, drażniąc wyschnięte gardło. – Jest ranna.

Odczepił biały bidon od brzegu siatki anty-g i wyssał łyk ciepławej wody.

– Nie podoba mi się to wszystko.

Zabłysnął mały monitor Craya. Finn stał na tle poskręcane go, zgniecionego złomu.

– Mnie też nie – powiedział. – Mamy problem.

Maelcum podciągnął się nad głowę Case'a, przekreślił i spojrzał mu przez ramię.

– Co to za facet, Case?

– To tylko obraz, Maelcum – odparł zmęczonym głosem Case. – Klient, którego znałem w Ciągu. Ale mówi Wintermute. Obraz ma nam poprawić samopoczucie.

– Gównu – oznajmił Finn. – Tłumaczyłem Molly, że to nie maski. Są mi potrzebne, żeby z wami rozmawiać. Ponieważ nie mam za wiele tego, co uznajesz za osobowość. Ale to wszystko to tylko sikanie pod wiatr, ponieważ, Case, jak już wspomniałem, mamy problem.

– Więc wyrażaj się jaśniej, Niemowo – powiedział Maelcum.

– Noga Molly jest w fatalnym stanie. To po pierwsze. Nie może chodzić. Powinno być tak, że wchodzi, usuwa z drogi Petera, wyciąga z 3Jane magiczne słowo, wraca do głowy i wypowiada je. Zawaliła. Więc chcę, żebyście wy dwaj za nią poszli.

Case patrzył tępo w twarz na ekranie.

– My?

– A kto inny?

– Aerol. Ten facet w *Babylon Rocker*. Kumpel Maelcum.

– Nie. To musisz być ty. Ktoś, kto rozumie Molly i rozumie Rivierę. Maelcum jako mięśniowiec.

– Może zapomniałeś, że jestem w samym środku naszej małej akcji. Pamiętasz? Po to przecież dowlokłeś tutaj mój tyłek.

– Posłuchaj, Case. Nie mamy czasu. Słuchaj. Prawdziwym połączeniem między twoim dekiem i Straylight jest wstęga boczna emisji systemu nawigacyjnego *Garveya*. Polecicie *Garveyem* do specjalnego, prywatnego doku, który wam wskażę. Chiński wirus całkowicie spenetrował układ

twojego komputera. W Hosace nie ma już nic prócz wirusa. Po dokowaniu wirus włączy się w system ochrony Straylight. Wtedy odetniemy wstęgę boczną. Zabierzesz dek, Płaszczaka i Maelcuma. Znajdziesz 3Jane, wydostaniesz od niej słowo, zabijesz Rivierę, weźmiesz od Molly klucz. Możesz śledzić program, włączając dek w sieć Straylight. Zajmę się tym. Z tyłu głowy, za płytką z pięcioma cyrkoniami, jest standardowe gniazdo.

– Zabić Rivierę?

– Zabij.

Case zamrugał, wpatrzony w reprezentację Finna na ekranie. Poczul, jak Maelcum kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Hej. Zapomniałeś o czymś. – Wzbierał w nim gniew i jakiś rodzaj uciechy. – Spieprzyłeś. Kiedy rozwaląłeś Armitage’a, przy okazji odpaliłeś sterowniki chwytników. *Haniwa* trzyma nas mocno i twardo. Armitage wysmażył tamtego Hosakę, a mainframe’y poszły razem z mostkiem. Zgadza się?

Finn przytaknął.

– Czyli tkwimy tu na amen. A to znaczy, że spieprzyłeś.

Chciał się roześmiać, ale głos uwiązł w ściśniętym gardle.

– Case, chłopie – powiedział cicho Maelcum. – *Garvey* to holownik.

– Zgadza się – stwierdził z uśmiechem Finn.

* * *

– Dobrze się bawiłeś w wielkim, zewnętrznym świecie? – zapytał konstrukt, gdy Case włączył się ponownie. – Zgaduję, że to Wintermute prosił o zaszczyt rozmowy...

– Tak. Trafiłeś. Kuang w porządku?

– Jak diabli. Morderczy wirus.

– Dobra. Są drobne kłopoty, ale pracujemy nad tym.

– Może mi opowiesz?

– Nie mam czasu.

– Cóż, chłopcze, nie musisz się mną przejmować. I tak jestem martwy.

– Odwal się – odparł Case i przeskoczył, ścinając zgrzytliwe ostrze śmiechu Płaszczaka.

– Marzyła o stanie wymagającym bardzo niewielkiego udziału indywidualnej świadomości – mówiła 3Jane. W wyciągniętej do Molly ręce trzymała dużą kameę. Rzeźbiony profil był niezwykle podobny do jej własnego. – Zwierzęca błogość. Wydaje mi się, że uważała ewolucję przedomózgowia za ślepa uliczkę. – Zabrała broszę i oglądała ją, pochylając, by pochwycić światło z różnych kątów. – Jedynie w pewnych podwyższonych trybach istnienia osobnik, członek klanu, miałby cierpieć bardziej bolesne aspekty samoświadomości...

Molly kiwnęła głową. Case przypomniał sobie zastrzyk. Co jej dali? Ból nadal był odczuwalny, dochodził jednak przez wąskie gardło zmieszanych impresji. Neonowe glisty wijące się w mięśniach uda, dotknięcie włosiennicy, zapach smażonego kryła – umysł Case'a cofnął się z odrazą. Gdy unikał skupiania uwagi na tych wrażeniach, nakładały się i stawały zmysłowym odpowiednikiem białego szumu. Jeśli to paskudztwo tak załatwiło jej system nerwowy, to co zrobiło z psychiką?

Widziała nienormalnie ostro i jasno, jeszcze wyraźniej niż zwykle. Przedmioty wibrowały, każdy obiekt czy osoba nastrojone na odrobinę inną częstotliwość. Ręce, wciąż uwięzione w czarnej kuli, spoczywały na kolanach. Siedziała na jednym z ogrodowych foteli, ze złamaną nogą wyciągniętą i opartą na stołeczku. 3Jane usiadła naprzeciw, na drugim stołku, owinięta w zbyt obszerną dzellabę z surowej wełny. Była bardzo młoda.

– Gdzie on poszedł? – spytała Molly. – Dać sobie w żyłę?

3Jane wzruszyła ramionami pod ciężką jasną materią. Odrzuciła opadający do oczu kosmyk włosów.

– Powiedział, kiedy mam cię wpuścić – oświadczyła. – Ale nie chciał mówić, dlaczego. Wszystko miało być tajemnicą. Czy zrobiłabyś nam krzywdę?

Case wyczuł, że Molly się waha.

– Zabiłabym go. Spróbowałabym zabić Hideo. Potem miałam z tobą porozmawiać.

– Dlaczego? – spytała 3Jane, chowając kameę do wewnętrznej kieszeni dzellaby. – I dlaczego? I o czym?

Molly studiowała wysokie, delikatne kości policzkowe, szerokie usta, wąski orli nos. Oczy 3Jane były ciemne, dziwnie matowe.

– Ponieważ go nienawidzę – odparła po chwili. – A odpowiedzią na kolejne dlaczego jest to, jak jestem poskręcana, to, czym jest on i czym ja jestem.

– I przedstawienie – dodała 3Jane. – Oglądałam je.

Molly skinęła głową.

– Ale Hideo?

– Bo oni są najlepsi. Bo jeden z nich zabił kiedyś mojego partnera.

3Jane spoważniała nagle. Uniosła brwi.

– Bo musiałam się przekonać – powiedziała Molly.

– A potem byśmy rozmawiały, ty i ja? Jak teraz? – Miała proste, ciemne włosy, rozczesane pośrodku i związane na karku. – Możemy jeszcze porozmawiać?

– Zdejmij to. – Molly podniosła związane ręce.

– Zabiłaś mojego ojca – powiedziała 3Jane, bez najmniejszej zmiany tonu. – Widziałam na monitorach. Nazywał je oczami mamy.

– Zabił kukielkę. Wyglądała jak ty.

– Lubił teatralne gesty – odparła.

Wtedy stanął przy niej Riviera, promienny od narkotyków, w swoim szarym, więziennym ubraniu, które nosił w ogrodzie na dachu hotelu.

– Zaprzyjaźniacie się? To bardzo interesująca dziewczyna, prawda? Od razu to zauważyłem, gdy tylko zobaczyłem ją pierwszy raz. – Wyminął 3Jane. – Wiesz przecież, że to ci się nie uda.

– Doprawdy, Peter? – Molly zdołała się uśmiechnąć.

– Wintermute nie jest pierwszym, który popełnia ten sam błąd: nie docenia mnie. – Przekroczył kafelki chodnika, podszedł do białego stoliczka i chlusnął wodą mineralną do ciężkiej kryształowej szklanki. – Rozmawiał ze mną, Molly. Sądzę, że rozmawiał z nami wszystkimi. Z tobą, z Case'em, z tym, co zostało z Armitage'a. Tak naprawdę on nas nie rozumie, wiesz? Ma te swoje profile, ale to tylko statystyka. Może ty jesteś

statystycznym zwierzątkiem. Case jest nim na pewno. Ja za to posiadam pewną cechę, z samej swej natury niemierzalną.

Łyknął wody.

– A co to za cecha, Peter? – spytała obojętnie Molly.

Riviera rozpromienił się.

– Przewrotność. – Wrócił do obu kobiet, kołysząc resztką wody w ciężkim, głęboko rżniętym walcu górskiego kryształu, jak gdyby rozkoszował się jego ciężarem. – Radość bezzasadnego czynu. I właśnie podjąłem decyzję, Molly, całkowicie bezzasadną decyzję.

Patrzyła na niego wyczekująco.

– Och, Peter. – 3Jane westchnęła tonem łagodnej wymówki, zwykle zastrzeżonej dla dzieci.

– Żadnego słowa, Molly. Jak widzisz, powiedział mi o tym. Naturalnie, 3Jane zna kod, ale ty go nie poznasz. Ani Wintermute. Moja Jane to ambitna dziewczyna, na swój przewrotny sposób. – Uśmiechnął się znowu. – Ma plany względem rodzinnego imperium, a para zwariowanych sztucznych inteligencji tylko by nam przeszkadzała. Właśnie. I oto przybywa Riviera, by ją uratować. Rozumiesz. Po czym Peter mówi: siedź cicho. Puszczaj ulubione nagrania swingu tatusia i czekaj, aż Peter zorganizuje odpowiednią orkiestrę, salę tancerzy, orszak dla zmarłego Króla Ashpoola. – Dopił resztkę wody. – Nie, nie nadajesz się, tatusiu. Zupełnie się nie nadajesz. Teraz, kiedy Peter trafił do domu.

Po czym, z twarzą zaróżowioną od kokainy i meperydyny, zamachnął się i uderzył szklanką w lewe szkło jej implantu, roztrzaskując wizję w strzępy krwi i światła.

* * *

Gdy Case zdjął trody, zauważył zwisającego pod sufitem Maelcuma. Elastyczne liny i szare gumowe przyssawki z obu stron mocowały do płyt pancerza zapiętą w pasie nylonową wstęgę. Zdjął koszulę i niezgrabnym kluczem do robót w nieważkości pracował nad głównym panelem. Solidne

sprężyny klucza brzęczały cicho, gdy usuwał kolejną sześciokątną śrubę. *Marcus Garvey* stękał i trzeszczał od przeciążeń.

– Niemowa bierze nas do doku – poinformował Syjonita, wrzucając śrubę do zawieszanej u pasa siatki. – Maelcum pilotuje na samym końcu, a tymczasem szuka narzędzi do pracy.

– Tam trzymasz narzędzia? – Case wyciągnął szyję i obserwował węzły mięśni na brązowym karku.

– Tylko jedno.

Z przestrzeni za panelem wyjął podłużny pakunek owinięty w czarną folię. Założył płytę z powrotem i dokręcił jedną śrubę. Zanim skończył, czarne zawiniątko odplynęło w stronę rufy. Maelcum uwolnił się, przerzuciwszy kciukiem próżniowe zawory na szarych przyssawkach. Złapał wydobyty ze skrytki przedmiot.

Odepchnął się od ściany, przepłynął nad instrumentami – na głównym ekranie pulsował zielony diagram operacji dokowania – i pochwycił ramę siatki przeciążeniowej Case'a. Ściągnął się w dół i grubym, połamanym paznokciem podważył taśmę sklejącą folię opakowania.

– Jeden facet w Chinach powiedział, że z tego wylatuje prawda – oznajmił, rozwijając starożytny, lśniący olejem automatyczny karabin Remingtona z lufą odpiłowaną kilka milimetrów przed porysowanym łożyskiem. Kolbę usunięto całkowicie, zastępując ją drewnianym uchwytem pistoletowym, owiniętym czarną taśmą. Maelcum pachniał potem i cannabis.

– Masz tylko jeden?

– Jasne, chłopie. – Czerwoną szmatką wycierał smar z lufy. Czarną folię owinał wokół trzymanego w drugiej ręce uchwyty. – Ja jestem rastafariańską marynarką, możesz mi wierzyć.

Case naciągnął na czoło trody. Zapomniał nałożyć ponownie teksaski cewnik. Przynajmniej w Villa Straylight będzie mógł się normalnie odlać, choćby nawet po raz ostatni.

Włączył się.

* * *

– Cześć – powiedział konstrukt. – Nasz Peter totalnie zapieprzył robotę, co?

Zdawało się, że są teraz częścią lodu Tessier-Ashpool. Szmaragdowe łuki poszerzały się, zrastały, stawały litą masą. Zieleń dominowała w otaczających ich płaszczyznach chińskiego wirusa.

– Dochodzimy, Dixie?

– Całkiem blisko. Niedługo będziesz mi potrzebny.

– Posłuchaj, Dix. Wintermute twierdzi, że Kuang zagnieździł się na dobre w naszym Hosace. Będę musiał odłączyć od systemu ciebie i dek, przeciągnąć do Straylight i włączyć znowu, w ich program strażniczy. Tak mówi Wintermute. Uważa, że Kuang cały się przeniesie. Potem wejdziemy od środka, przez sieć Straylight.

– Cudownie – mruknął Płaszczak. – Nigdy nie lubiłem prostych rozwiązań, gdy można załatwić sprawę od dupy strony.

Case przeskoczył.

* * *

Prosto w jej ciemność, w zakrzepłą synestezję, gdzie ból był smakiem starego żelaza, zapachem melona, skrzydełkami ćmy muskającymi policzek. Leżała nieprzytomna i nie miał dostępu do jej snów. Kiedy błysnął światłowod, alfanumeryki ukazały się w aureolach delikatnej różowej poświaty.

07:29:40.

– Jestem bardzo niezadowolona, Peter. – Głos 3Jane brzmiał głucho, jakby dobiegał ze studni.

Molly słyszy, pomyślał, ale natychmiast się poprawił. Zestaw symstymu nie doznał uszkodzeń; czuł, jak uwiera ją w żebra. Uszy odbierały wibracje głosu dziewczyny.

Riviera odpowiedział coś, krótko i niewyraźnie.

– Ale ja nie – oznajmiła. – I to wcale nie jest zabawne. Hideo przyniesie ze szpitala zestaw medyczny, ale potrzebny będzie chirurg.

Zapadła cisza. Case bardzo wyraźnie słyszał plusk wody w basenie.

– O czym z nią rozmawiałaś, kiedy przyszedłem? – Riviera stał bardzo blisko.

– O mojej matce. Pytała o nią. Sądzę, że była w szoku, niezależnie od zastrzyku Hideo. Dlaczego jej to zrobiłeś?

– Chciałem sprawdzić, czy popękają.

– Jedno pękło. Kiedy odzyska przytomność... o ile ją odzyska, zobaczymy, jakiego koloru ma oczy.

– Jest bardzo niebezpieczna. Zbyt niebezpieczna. Gdyby mnie tu nie było, żeby odwrócić jej uwagę, gdybym nie pokazał Ashpoola i własnego obrazu, żeby ściągnąć tę jej małą bombę, co by się z tobą stało? Miałaby cię w swojej mocy.

– Nie – odparła 3Jane. – Był Hideo. Mam wrażenie, że nie do końca rozumiesz, kim jest Hideo. Ona rozumie.

– Napijesz się?

– Wina. Białego.

Case się wyłączył.

* * *

Maelcum siedział zgarbiony nad tablicą przyrządów i wystukiwał rozkazy sekwencji dokowania. Centralny ekran modułu nawigacyjnego pokazywał nieruchomy czerwony kwadrat, reprezentujący dok *Straylight*. *Garvey* był większym, zielonym kwadratem. Malał powoli, kołysząc się z boku na bok, zgodnie z instrukcjami Maelcuma. Po lewej stronie mniejszy ekran wyświetlał graficzny obraz szkieletu *Garveya* i *Haniwy*, zbliżających się do krzywizny wrzeciona.

– Mamy godzinę.

Case wyjął z gniazda Hosaki wstęgę światłowodów. Baterie rezerwowe deku wystarczały na dziewięćdziesiąt minut, ale konstrukt Płaszczaka oznaczał dodatkowy pobór mocy. Mikroporową taśmą szybko i mechanicznie przymocował kasetę konstrukt do podstawy Ono-Sendai. Obok przepłynął pas zabezpieczający Maelcuma. Pochwycił go, odpiął dwa kawałki elastycznej linki z przyssawkami, zatrzasnął jeden karabinek na

drugim. Dotknął przyssawkami bocznych ścianek deku i kciukiem pchnął dźwignię ssania. Dek, konstrukt i zaimprovizowany uchwyt zawisły w powietrzu, gdy z pewnym wysiłkiem wbijał się w swoją skórzaną kurtkę. Sprawdził kieszenie: paszport, który dał mu Armitage, chip bankowy na to samo nazwisko, chip kredytowy, wydany przy wejściu do Freeside, dwa plastry betafenetylaminy kupionej od Bruce'a, zwitek nowych jenów, pół paczki yeheyuanów i shuriken. Rzucił chip Freeside przez ramię i słyszał, jak stuknął w rosyjski wymiatacz. Chciał postąpić tak samo ze stalową gwiazdą, ale odbity chip kredytowy trafił go w potylicę, odskoczył, uderzył o sufit i przeleciał nad lewym ramieniem Maelcuma. Syjonita oderwał się od przyrządów i spojrzał groźnie. Case popatrzył na shuriken, po czym, słysząc odgłos dartej podszewki, wcisnął gwiazdę do kieszeni.

– Tracisz Niemowę, chłopie – oznajmił Maelcum. – Mówi, że miesza w systemie bezpieczeństwa. *Garvey* dokuje jako łódka z Babilonu. Czekają na nią. Niemowa nadaje za nas kody.

– Będziemy nosić skafandry?

– Za ciężkie. – Maelcum wzruszył ramionami. – Nie wylaż z siatki, dopóki ci nie powiem.

Wystukał ostatnią sekwencję i złapał dwa różowe, wytarte uchwyty po obu stronach pulpitu. Case widział, jak zielony kwadrat maleje o końcowe parę milimetrów i nakłada się na czerwony. Na mniejszym ekranie *Haniwa* obniżył dziób, by minąć powłokę wrzeciona, i znieruchomiał. *Garvey* wciąż wisiał mu pod brzuchem jak schwytna larwa. Holownik zadźwiewał i zadygotał. Wyskoczyły dwa stylizowane ramiona i pochwyciły smukły owadzi kadłub. *Straylight* wysunął żółty prostokąt, który wygiął się i, mijając *Haniwę*, sięgnął do *Garveya*.

Zza falujących łańcuchów uszczelnacza dobiegł głośny zgrzyt.

– Uważaj, chłopie – ostrzegł Maelcum. – Zaraz będzie grawitacja.

Kilkanaście niewielkich przedmiotów równocześnie stuknęło o podłogę, jakby przyciągał je silny magnes. Case wstrzymał oddech, gdy wewnętrzne organy skokowo dostosowały się do innej konfiguracji przestrzeni. Dek i konstrukt boleśnie uderzyły go w nogi.

Zacumowali do wrzeciona i wirowali razem z nim.

Maelcum przeciągnął się, poruszył ramionami. Zdjął z włosów fioletową siatkę i potrząsnął długimi lokami.

– Jeśli czas jest ważny, chłopie – powiedział – to idziemy.

Villa Straylight jest strukturą pasożytniczą, przypominał sobie Case, gdy, mijając frędzle uszczelnacza, przeciskał się przez przedni luk *Marcusa Garveya*. Straylight wysysa z Freeside powietrze i wodę; nie ma własnego ekosystemu.

Rura tunelu, którą wysunął dok, była wersją tej, przez którą czołgał się do *Haniwy*, bardziej skomplikowaną i przystosowaną do warunków rotacyjnej grawitacji wrzeciona. Żebrowany tunel poruszany integralnymi, hydraulicznymi siłownikami, każdy segment obramowany pierścieniem antypoślizgowego tworzywa. Pierścienie służyły też za szczelne. Tunel wymijał *Haniwę*; na odcinku, gdzie łączył się z *Garveyem*, był poziomy, lecz zakręcał ostro do góry i w lewo, zgodnie z krzywizną powłoki jachtu. Maelcum wspinał się już po pierścieniach, używając tylko lewej ręki. W prawej trzymał remingtona. Miał na sobie poplamione, luźne spodnie, zieloną nylonową kurtkę bez rękawów i wystrzępione tenisówki o jaskrawoczerwonych podszewkach. Tunel uginał się lekko za każdym razem, gdy chwycił kolejny pierścień.

Karabinki na prowizorycznym pasie nośnym wbijały się w ramię pod ciężarem Ono-Sendai i konstruktora Płaszczaka. Case czuł teraz wyłącznie strach, uogólnione przerażenie. Stłumił to uczucie; zmusił się, by odtworzyć w pamięci wykład Armitage'a na temat wrzeciona i Villi Straylight. Rozpoczął wspinaczkę. Ekosystem Freeside był ograniczony, ale nie zamknięty. Syjon posiadał system zamknięty, zdolny do istnienia przez całe lata bez wprowadzania materiałów z zewnątrz. Freeside produkowało własną wodę i powietrze, ale wymagało stałych dostaw żywności

i regularnego uzupełniania odżywczych składników gleby. Villa Straylight nie wytwarzała niczego.

– Chłopie – odezwał się cicho Maelcum. – Chodź tu do mnie.

Case przesunął się w bok na cylindrycznej drabinie i pokonał ostatnie pierścienie. Tunel kończył się gładką, nieco wklęsłą klapą o średnicy dwóch metrów. Hydrauliczne siłowniki znikwały w elastycznych powłokach przymocowanych do obudowy wjazdu.

– I co...?

Case zamknął usta, gdy klapa ruszyła w górę. Niewielka różnica ciśnień dmuchnęła mu w oczy drobnym pyłem.

Maelcum przeczołgał się przez krawędź i Case usłyszał cichy trzask zwalnianego bezpiecznika remingtona.

– To tobie się śpieszy – szepnął Maelcum. Po chwili Case stał już przy nim.

Wjazd znajdował się w środku okrągłej, wysoko sklepionej komory, wyłożonej niebieskimi antypoślizgowymi kafelkami. Maelcum szturchnął Case'a i wskazał palcem: we wklęsłej ścianie tkwił wbudowany monitor. Na ekranie wysoki młody człowiek o rysach Tessier-Ashpoola strzepywał coś z rękawów ciemnego płaszcza. Stał obok identycznego wjazdu, w identycznej komorze.

– Najmocniej pana przepraszam. – Głos dobiegał z kratki umieszczonej nad klapą; Case uniósł głowę. – Oczekiwaliśmy pana trochę później, w doku osiowym. Jedną chwileczkę.

Młody człowiek na ekranie niecierpliwie potrząsnął głową.

Drzwi po lewej stronie stanęły otworem. Maelcum odwrócił się błyskawicznie. Niewysoki Euroazjata w pomarańczowym kombinezonie przestąpił próg i wytrzeszczył oczy. Otworzył usta, ale nie wydał żadnego dźwięku. Zamknął usta. Case spojrzał na monitor: pusty.

– Kto? – wykrzusił tamten.

– Rastafariańska marynarka wojenna. – Case wyprostował się; dek cyberprzestrzeni objął mu biodro. – Chcemy tylko włączyć się w wasz system strażniczy.

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Czy to test? Kontrola lojalności. To musi być kontrola lojalności. – Wytarł dłonie o nogawki kombinezonu.

– Nie, chłopie, to prawda. – Maelcum stanął przed nim, mierząc z obrzyna w euroazjatycką twarz. – Ruszaj się.

Przeszli przez drzwi do korytarza, którego ściany z gładzonego betonu i pokryta leżącymi jeden na drugim dywanami podłoga były Case’owi doskonale znane.

– Niezłe chodniczki. – Maelcum pchnął jeńca lufą karabinu. – Pachnie jak w kościele.

Podeszli do kolejnego monitora, antycznego sony, umieszczonego nad konsolą z klawiaturą i złożoną tablicą gniazd połączeniowych. Kiedy się zatrzymali, rozbłysnął ekran, a Finn uśmiechnął się z przymusem na tle czegoś, co wyglądało jak frontowy pokój Metro Holografix.

– W porządku – stwierdził. – Maelcum weźmie tego faceta kawałek dalej, do magazynku. Tam go wepchnie. Zatrzasnę drzwi. Case, piąte gniazdo od lewej, górny panel. Wtyczki adaptorów są w szafce pod konsolą. Potrzebujesz dwudziestostykowej Ono-Sendai na czterdziestkę hitachi.

Maelcum pchnął więźnia, a Case przyklęknął i szperał w stosie wtyczek, aż znalazł tę, której szukał. Podłączył dek do adaptora i czekał.

– Musisz tak wyglądać? – zapytał twarzy na ekranie. Finn zniknął linia za linią, przesłaniany obrazem Lonny’ego Zone’a na tle ściany z podartymi japońskimi plakatami.

– Czego tylko zapragniesz, dziecinko. – Zone przeciągał słowa. – Wystarczy poprosić Lonny’ego...

– Nie – przerwał Case. – Wolę Finna.

Gdy tylko zniknął portret Zone’a, wcisnął do gniazda adaptor Hitachi i umocował na czole trody.

* * *

– Co cię zatrzymało? – spytał Płaszczak i roześmiał się.

– Mówiłem, żebyś tego nie robił – burknął Case.

– Taki żart, mały – wyjaśnił konstrukt. – U mnie zerowy upływ czasu. Popatrzmy, co tu mamy...

Program Kuang był zielony, o odcieniu identycznym jak lód T-A. Gdy Case patrzył, stawał się coraz bardziej nieprzejrzysty, choć w centrum nadal widział czarną, lśniąca sylwetkę rekina. Linie pęknięć i halucynacje zniknęły i kształt był równie rzeczywisty jak *Marcus Garvey*: bezskrzydły, antyczny odrzutowiec z gładką powłoką wyłożoną czarnym chromem.

– Gotowy – stwierdził Płaszczak.

– Zgadza się – przytaknął Case i przeskoczył.

– ...i tyle. Przykro mi – mówiła 3Jane, bandażując głowę Molly. – Zestaw nie wykazał żadnego wstrząsu ani trwałych uszkodzeń oka. Zanim tu przyszedłeś, nie znałaś go chyba zbyt dobrze?

– W ogóle go nie znałam – odparła obojętnie Molly.

Leżała na plecach na jakimś wysokim łóżku albo stole wyłożonym czymś miękkim. Case nie czuł złamanej nogi. Synestetyczny efekt pierwszego zastrzyku chyba minął. Zniknęła czarna kula, lecz jej ręce zostały unieruchomione niewidocznymi dla Molly miękkimi pasami.

– Chce cię zabić.

– To by się zgadzało. – Molly patrzyła na jaskrawą lampę w chropowatym suficie.

– Nie wiem, czy mu pozwolę – oświadczyła 3Jane i Molly z wysiłkiem obróciła głowę, by spojrzeć w ciemne oczy.

– Nie żartuj ze mnie – poprosiła.

– Kiedy chyba mam ochotę – stwierdziła 3Jane, pochylając się, by pocałować Molly w czoło. Ciepłą dłonią odgarnęła jej włosy. Jasna dzellaba była poplamiona krwią.

– Gdzie on teraz jest? – zapytała Molly.

– Pewnie robi sobie zastrzyk. – 3Jane wyprostowała się. – Nie mógł się ciebie doczekać. Sądzę, że opieka nad tobą będzie niezłą zabawą. – Z obojętnym uśmiechem wytarła zakrwawioną dłoń o połę szaty. – Trzeba ci jeszcze raz złożyć nogę, ale załatwimy to jakoś.

– Co z Peterem?

– Peter... – Pokręciła głową. Kosmyk ciemnych włosów opadł jej na czoło. – Peter zaczął mnie nudzić. W ogóle sędzę, że używanie narkotyków jest dość nudne. – Zachichotała. – W każdym razie przez innych. Mój ojciec, jak pewnie zauważyłaś, był zdeklarowanym narkomanem.

Molly napięła mięśnie.

– Nie denerwuj się. – Palce 3Jane musnęły skórę nad paskiem skórzanych dżinsów. – Samobójstwo było rezultatem moich manipulacji z marginesami bezpieczeństwa jego zamrażarki. Nigdy go naprawdę nie spotkałam. Wyszłam ze sztucznej macicy podczas ostatniego okresu jego snu. Ale znałam go doskonale. Rdzeniowe wiedzą wszystko. Widziałam, jak morduje moją matkę. Pokażę ci, jak tylko poczujesz się lepiej. Dusi ją w łóżku.

– Dlaczego ją zabił? – Nieosłonięte bandażem oko wpatrywało się w twarz dziewczyny.

– Nie potrafił zaakceptować kierunku przemian, jaki zaplanowała dla rodziny. Zatwierdziła konstrukcję dwóch sztucznych inteligencji. Była wizjonerką. Widziała nas w symbiotycznym związku z SI, które podejmowałyby decyzje w sprawach korporacji. Świadome decyzje, powinnam chyba zaznaczyć. Tessier-Ashpool stałby się nieśmiertelny, jak ul; każdy z nas byłby elementem większej jaźni. Fascynujące. Pokażę ci jej taśmy; prawie tysiąc godzin. Właściwie nigdy jej nie rozumiałam, a po śmierci te plany runęły. Wszelkie plany runęły i zaczęliśmy zagłębiać się w sobie. Teraz już rzadko wychodzimy na zewnątrz. Ja jestem wyjątkiem.

– Mówisz, że chciałaś zabić starego. Grzebałaś w programach kriogenicznych?

3Jane kiwnęła głową.

– Znalazłam pomocnika. Ducha. Tak myślałam, kiedy byłam jeszcze mała: że w korporacyjnym rdzeniu są duchy. Głosy. Jednym z nich był ten, którego nazywasz Wintermute'em. To kod Turinga dla naszej berneńskiej SI. Osobowość, która wam rozkazuje, jest czymś w rodzaju podprogramu.

– Jednym z nich? Czyli było więcej?

– Jeszcze jeden. Ale on nie odzywa się do mnie już od lat. Chyba zrezygnował. Podejrzewam, że oba są realizacją pewnych możliwości,

które mama kazała wprojektować w oryginalny software. Kiedy uznała to za konieczne, umiała być bardzo tajemnicza. Masz. Napij się. – Przysunęła do warg Molly giętką plastikową rurkę. – To woda. Nie za dużo.

– Jane, kochanie. – Wesoly głos Rivieri dochodził gdzieś spoza pola widzenia. – Dobrze się bawisz?

– Zostaw nas same, Peter.

– Bawisz się w doktora...

Nagle Molly patrzyła na własną twarz, obraz zawieszony dziesięć centymetrów od nosa. Bez bandażu. Lewy implant był strzaskany: długi palec srebrzystego plastiku zniknął w głębi oczodołu jak w odwróconej kałuży krwi.

– Hideo! – zawołała 3Jane, gładząc brzuch Molly. – Zrób mu krzywdę, jeśli zaraz sobie nie pójdzie. Idź popływać, Peter.

Projekcja zniknęła.

07:58:40 w ciemności zabandażowanego oka.

– Powiedział, że znasz kod. Peter powiedział. Wintermute potrzebuje tego kodu.

Nagle Case uświadomił sobie ciężar klucza Chubba, leżącego na wewnętrznej pochyłości jej lewej piersi.

– Tak. – 3Jane cofnęła dłoń. – Znam. Dowiedziałam się jeszcze jako dziecko. Mam wrażenie, że we śnie... albo gdzieś w tysiącu godzin pamiętników mamy. Sądzę jednak, że Peter ma rację, kiedy mówi, żebym nie zdradzała kodu. Jeśli dobrze wszystko zrozumiałam, to będą kłopoty z Turingiem. A duchy są zwykle kapryśne.

Case się wyłączył.

* * *

– Zabawna klientka, co? – Finn uśmiechnął się ze starego sony.

Case wzruszył ramionami. Korytarzem wracał Maelcum z remingtonem pod pachą. Syjonita uśmiechał się i potrząsał głową w takt muzyki, której Case nie słyszał. Dwa cienkie żółte przewody biegły od jego uszu do bocznej kieszeni kurtki.

– Podkład, chłopie – wyjaśnił Maelcum.

– Jesteś pieprzony wariat – stwierdził Case.

– Świetnie słyhać. Godziwy podkład.

– Chłopaki – wtrącił Finn. – Ruszcie tyłki. Nadjeżdża środek transportu.

Nie zawsze potrafię wykręcić tak gładki numer, jak z 8Jeanem, który nabrał dozorcę. Za to mogę wam załatwić dojazd do lokalu 3Jane.

Case wyrwał z gniazda adaptor. Pod znaczącym koniec korytarza surowym łukiem betonu pojawił się elektryczny wózek. Może ten sam, którym jechali Afrykanie, ale jeśli nawet, to zniknęli. Za niskim siodełkiem, wbijając w tapicerkę cienkie manipulatory, mały braun mrugał rytmicznie czerwoną diodą.

– Mamy autobus – poinformował Maelcum Case.

Znów zagubił swój gniew. Tęsknił za nim.

W małym wózku było ciasno: Maelcum z remingtonem na kolanach i Case ze zwisającym na pierś dekiem i konstruktem. Wózek jechał z szybkością, której konstrukcja nie przewidywała. Przeważało ich na zakrętach, więc Maelcum wychylał się do środka. Nie sprawiało to kłopotów, kiedy skręcali w lewo, gdyż Case siedział właśnie po lewej stronie. Ale przy prawych wirażach Syjonita musiał się kłaść na niego i sprzęt, wgniatając Case'a w siodełko.

Nie miał pojęcia, którądy jadą. Wszystko wydawało się znajome, ale nie był pewien, czy oglądał już wcześniej ten kawałek korytarza. Drewniane gabloty na wygiętych ścianach demonstrowały zbiory, jakich z całą pewnością jeszcze nie widział: czaszki wielkich ptaków, monety, maski z kutego srebra. Sześć opon wózka toczyło się bezgłośnie po warstwach dywanów. Jedynym dźwiękiem było wycie silnika i od czasu do czasu syjoński podkład z piankowych kulek w uszach Maelcuma, gdy ten przesuwał się, kontrując ostre prawe skrety. Dek i konstrukct dociskały do biodra tkwiącą w kieszeni kurtki gwiazdę shuriken.

– Masz zegarek? – zapytał Maelcuma.

Syjonita potrząsnął włosami.

– Czas to czas.

– Jezu! – Case zamknął oczy.

* * *

Braun przebiegł po stosie dywanów i stuknął manipulatorem w wielkie drzwi z ciemnego, porysowanego drewna. Wózek za plecami zaskwierczał i strzelił snopem błękitnych iskier spod osłoniętej tablicy kontrolnej. Jedna z iskier spadła na chodnik pod kołami i Case wyczuł zapach przypalonej wełny.

– Tędy, chłopie? – Maelcum spojrzał podejrzliwie i zwolnił bezpiecznik karabinu.

– A skąd mam wiedzieć? – mruknął Case, bardziej do siebie, niż do Syjonity. Braun obrócił kulisty tułów i zamigotał LED-ą.

– Chce, żebyś otworzył drzwi. – Maelcum pokiwał głową.

Case podszedł i nacisnął rzeźbioną mosiężną gałkę. Na drzwiach, na poziomie oczu, tkwiła mosiężna tabliczka, tak stara, że wyryty na niej napis został zredukowany do cieniutkich nieczytelnych zygzaków: nazwa jakiejś funkcji lub nazwisko funkcjonariusza, wypolerowane w nicość. Przez moment zastanawiał się, czy Tessier-Ashpoolowie specjalnie dobierali każdy element Straylight, czy może kupili wszystko hurtem w jakimś ogromnym europejskim odpowiedniku Metro Holografix. Zawiasy zgrzytnęły żałośnie, gdy uchylił drzwi. Maelcum wyprzedził go z remingtonem gotowym do strzału z biodra.

– Książki – oznajmił.

Biblioteka. Białe stalowe półki z etykietami.

– Wiem, gdzie jesteśmy – stwierdził Case. Spojrzał przez ramię na wózek naprawczy. Z dywanu unosiła się smużka dymu. – Idziemy. Co z wózkiem? Wózek!

Pojazd nie drgnął. Braun ciągnął go za nogawkę dzinsów, drapał w kostkę. Z trudem się powstrzymał, żeby go nie kopnąć.

– Czego?

Stukając cicho, robot wyminął drzwi. Case poszedł za nim.

Bibliotecznym monitorem był kolejny sony, równie antyczny jak pierwszy. Braun zatrzymał się pod nim i wykonał coś w rodzaju migu.

– Wintermute?

Znajoma twarz wypełniła ekran.

– Pora na wejście kontrolne, Case. – Finn uśmiechnął się, mrużąc oczy za kłębem papierosowego dymu. – Chodź, włącz się.

Braun rzucił się do stopy Case'a i zaczął się wspinać po nodze. Manipulatory szczypały skórę pod czarną tkaniną.

– Szlag by... – Trzepnął go dłonią i robot uderzył o ścianę. Dwoje z jego ramion przesunęło się tam i z powrotem, bezsensownie pompując powietrze. – Co się stało z tym piekielnym automatem?

– Przepalił się – odparł Finn. – Głupstwo. Nie ma sprawy. Włącz się już.

Pod ekranem były cztery gniazda, ale tylko jedno pasowało do adaptora Hitachi.

Włączył się.

* * *

Nic. Szara pustka.

Ani matrycy, ani siatki. Ani cyberprzestrzeni.

Dek zniknął. Jego palce...

Na samym skraju świadomości jakieś przelotne, zmienne wrażenie czegoś, co pędzi ku niemu poprzez kilometry czarnych zwierciadeł.

Spróbował krzyknąć.

* * *

Zdawało się, że za łukiem plaży leży miasto. Ale było bardzo daleko.

Przysiadł na piętach na mokrym piasku, ciasno obejmując rękami kolana, i dygotał.

Chyba trwał w tej pozycji przez bardzo długi czas, nawet kiedy drzenie ustało. Miasto, jeśli to miasto, było niskie i szare. Czasami przesłaniały je kłęby mgły, napływające z nad pluszczących cicho fal. W pewnym momencie uznał, że to wcale nie miasto, ale pojedynczy budynek, może jakieś ruiny; nie potrafił ocenić odległości. Piasek miał odcień zmatowiałego srebra, które nie poczerniało jeszcze do końca. Plaża była

z piasku, piasek był wilgotny, siedzenie dzinsów przemokło... Obejmował dłońmi kolana i, kołysząc się, śpiewał piosenkę bez słów i melodii.

Niebo miało inny kolor srebra. Chiba. Jak w Chiba City. Zatoka Tokijska? Odwrócił głowę i spojrział na morze, tęskniąc za widokiem holograficznego logo Fuji Electric, za warkotem śmigłowca, za czymkolwiek.

Gdzieś za jego plecami wrzasnęła mewa. Drgnął.

Budził się wiatr; ziarna piasku kłuły w policzek. Przycisnął twarz do kolan i zapłakał; odgłos szlochu był równie daleki i obcy jak krzyk polującej mewy. Gorąca uryna przemoczyła dzinsy, wyciekła na piasek i szybko ostygła od wiatru i wody. Kiedy obeschły łyzy, bolało go gardło.

– Wintermute – bełkotał do swoich kolan. – Wintermute...

Zapadał zmrok. Zadrżał znowu, tym razem z zimna, które w końcu zmusiło go, by wstać.

Bolały go łokcie i kolana. Ciekło z nosa; wytarł go w rękaw kurtki, po czym przeszukał jedną pustą kieszeń po drugiej.

– Jezu – mruknął, wsuwając palce pod pachy, by je rozgrzać. – Jezu.

Zaczął dzwonić zębami.

Fala przyływu pozostawiła na plaży wzory bardziej subtelne, niż mógłby stworzyć jakikolwiek tokijski ogrodnik. Kiedy przeszedł z dziesięć kroków w stronę niewidocznego teraz miasta, odwrócił się i spojrział w gęstniejący mrok. Odciski stóp sięgały do punktu przybycia. Żaden inny ślad nie niszczył gładzi ciemnego piasku.

Ocecił, że zanim zobaczył światło, przeszedł co najmniej kilometr. Rozmawiał z Ratzem, i to Ratz mu je pokazał: pomarańczowo-czerwony blask po prawej stronie, spory kawałek od brzegu. Wiedział, że Ratz nie było, że barman jest tylko tworem jego własnej wyobraźni, nie tego czegoś, co go tu uwięziło. Nie dbał o to. Przywołał go, szukając pocieszenia, ale Ratz miał własne poglądy na Case'a i jego sytuację.

– Zdumiewasz mnie, artysto. Tyle wysiłku, żeby doprowadzić do własnego zniszczenia. Niepotrzebnego wysiłku! W Mieście Nocy miałeś je jak na tacy! Prochy, żeby wyzerały ci rozum, gorzałę, żeby wszystko było płynne, Lindę dla słodkiej zgryzoty i ulicę, żeby trzymała topór. Jak daleko

odszedłeś, żeby załatwić to teraz, w takim groteskowym układzie... Lunapark zawieszony w przestrzeni, hermetyczne pałace, najradsze zgniłki starej Europy, martwi faceci zamknięci w małych pudełkach, chińska magia... – Ratz śmiał się, maszerując obok niego i wymachując dziarsko różowym manipulatorem. Mimo ciemności Case dostrzegł barokową koronkę stali na poczerniałych zębach barmana. – Ale takie są pewnie metody artystów. Potrzebowałeś tego świata, zbudowanego specjalnie dla ciebie, tej plaży, tego miejsca. Żeby umrzeć.

Case zatrzymał się, zachwiał, skręcił w stronę szumu fal i ułuc niesionego wiatrem piasku.

– Tak... – mruknął. – Cholera. Chyba...

Szedł w kierunku dźwięku.

– Artysto! – usłyszał wołanie Racza. – Światło! Widziałeś światło. Tutaj. Tędy...

Znów się zatrzymał. Padł na kolana kilka milimetrów od lodowatej wody.

– Ratz? Światło? Ratz?

Ciemność była już absolutna i słyszał tylko plusk fal. Wstał z wysiłkiem i spróbował wrócić po swoich śladach.

Czas płynął. Case szedł naprzód.

I wreszcie zobaczył: blask, z każdym krokiem bardziej wyraźny. Prostokąt. Drzwi.

– Tam jest ogień – powiedział. Jego słowa porwał wiatr.

Znalazł bunkier, kamienny czy betonowy, zagrzebany w wydmiu mokrego piasku. Wejście było niskie, otwarte, głębokie: otwór w ścianie grubości co najmniej metra.

– Hej – zawołał cicho. – Hej...

Palce dotknęły zimnej konstrukcji. Wewnątrz płonął ogień, cienie falowały na ścianach otworu wejścia.

Pochylił głowę i przeszedł, był w środku po trzech krokach.

Dziewczyna pochylała się nad pordzewiałym żelastwem tworzącym rodzaj paleniska, na którym płonęło wyrzucone na brzeg drewno, a wiatr wysysał dym powgniataną rurą komina. Płomienie były jedynym źródłem

światła, a kiedy spojrział w rozszerzone zdumieniem oczy, rozpoznał opaskę na czole: zwiniętą chustę z wzorem podobnym do powiększenia obwodu drukowanego.

* * *

Tej nocy odepchnął jej ramiona, odmówił jedzenia, które podała, zrezygnował z miejsca przy niej na stosie koców i ścinków gąbki. W końcu przysiadł u wejścia i patrzył, jak śpi, słuchając wiatru szorującego piaskiem o ściany. Mniej więcej co godzinę podchodził do prowizorycznego paleniska i dokładał drewna z przygotowanego stosu. Nic z tego nie było prawdziwe, ale zimno to zimno.

Ona też nie była rzeczywista, skulona na boku w blasku ognia. Przyglądał się lekko rozchylnym wargom. Była tą dziewczyną, którą pamiętał z wycieczki przez zatokę. To okrutne.

– Ty cholerny skurwielu – szeptał do wiatru. – Nie ryzykujesz, co? Nie dałbyś mi jakiegś z odrzutu. Wiem, co to jest... – Z trudem tłumił rozpacz. – Wiem, kapujesz? Wiem, kim jesteś. Jesteś tym drugim. 3Jane mówiła Molly. Krzak gorejący. To nie był Wintermute, tylko ty. On próbował mnie ostrzec przez brauna. A teraz ty mnie wypłaszczyles i trzymasz tutaj. Czyli nigdzie. Z jej duchem. Takiej, jaką pamiętam, zanim...

Poruszyła się przez sen, zawołała coś, naciągając koc na ramię i policzek.

– Jesteś niczym – oznajmił śpiącej dziewczynie. – Jesteś martwa, a i tak byłaś tylko dupą do łóżka. Słyszysz, koleś? Wiem, co robisz. Wypłaszczylem. Wszystko to trwa razem jakieś dwadzieścia sekund, zgadza się? Siedzę na tyłku w tej bibliotece, a mój mózg jest martwy. I niedługo ja sam będę martwy, jeśli masz choć trochę rozumu. Nie chcesz, żeby Wintermute wykręcił swój numer, więc mnie tu odwiesiles. Dixie może pojechać Kuangiem, ale jest trupem i umiesz przewidywać jego ruchy. Te zagrywy z Lindą to byles ty, od samego początku, co? Wintermute próbował jej użyć, kiedy mnie wessał w ten konstrukt Chiby, ale nie potrafił. Powiedział, że to za trudne. To ty przestawiles gwiazdy we

Freeside, prawda? Ty nałożyłeś jej twarz na martwą kukielkę w pokoju Ashpoola. Molly tego nie widziała. Przerobiłeś sygnał symstymu. Bo myślisz, że możesz mnie zranić. Tylko że ja cię pieprzę, jak się tam nazywasz. Wygrałeś. Wygrywasz. Ale to wszystko nic dla mnie nie znaczy, jasne? Myślisz, że się przejmuję? To dlaczego robisz mi to w taki sposób? – Znowu drżał. Głos miał piskliwy.

– Skarbie – powiedziała, odrzucając koc. – Chodź tu i prześpij się. Ja wstanę, jeśli sobie życzysz. Ale musisz pospać. – Senność wzmacniała jej akcent. – Po prostu śpij, dobra?

* * *

Nie było jej, gdy się obudził. Ogień wygasł, ale w bunkrze było ciepło, promienie słońca wpadały przez otwór wejścia, rzucając skrzywiony prostokąt złota na poszarpaną krawędź dużego plastikowego kanistra. Pojemnik był kontenerem transportowym; pamiętał takie z doków Chiby. Przez rozerwaną ściankę widział pół tuzina jasnożółtych pakietów – w świetle słońca przypominały ogromne plastry masła. Żołądek ssał go z głodu. Wytoczył się z legowiska, podszedł do pojemnika, wyłowił jedną paczkę i, mrugając, spojrział na małe napisy w kilkunastu językach. Angielski był na samym dole. RACJA ŻYWN, WYS. ZAW. BIAŁKA, „WOŁOWINA”, TYP AG-8. I lista składników odżywczych. Wyciągnął drugą. „AJKA”.

– Jeżeli tworzysz to gówno – powiedział – to mógłbyś podrzucić jakieś prawdziwe żarcie. Dobra?

Z pakietami w obu dłoniach przeszedł przez cztery komory bunkra. Dwie były puste, jeśli nie liczyć nawianego piasku, w czwartej znalazł jeszcze trzy kontenery racji żywnościowych.

– Jasne – mruknął, sprawdzając pieczęcie. – Już bardzo długo tu leżą. Rozumiem, o co chodzi. Jasne...

Przeszukał pomieszczenie z paleniskiem. Trafił na plastikowy kanister z wodą, chyba deszczową. Obok legowiska, pod ścianą, leżała tania czerwona zapalniczka, marynarski nóż z pękniętą zieloną rękojeścią i jej

chustka, wciąż związana w opaskę, sztywna od potu i brudu. Otworzył nożem pakiety i wysypał zawartość do zardzewiałej puszkii znalezionej koło ogniska. Dolał wody, wymieszał palcami i zjadł gęstą maż. Trochę przypominała smakiem wołowinę. Kiedy skończył, cisnął puszkę w popiół i wyszedł.

Późne popołudnie, sądząc po słońcu. Zrzucił przemoczone nylonowe buty i zdumiał się ciepłem piasku. W świetle dnia plaża była srebrzystoszara, a niebo błękitne i bezchmurne. Skręcił za róg bunkra i ruszył do wody, rzucając kurtkę na piasek.

– Nie wiem, czyich wspomnień do tego używasz – powiedział, stojąc po kostki w wodzie. Ściągnął džinsy i cisnął je na płyciznę; potem koszulkę i slipy.

– Co robisz, Case?

Obejrzał się. Stała dziesięć metrów od niego; wokół jej stóp spływała biała piana.

– Zlałem się w nocy – powiedział.

– Nie będziesz mógł tego nosić. Słona woda. Obciera skórę. Pokażę ci jezioro między skałami. – Skinęła za siebie. – Tam masz świeżą wodę.

Nogawki wyblakłego francuskiego kombinezonu obcięła powyżej kolan. Miała gładkie, brązowe łydki. Bryza rozwiewała jej włosy.

– Słuchaj – powiedział. Wyłowił swoje rzeczy i ruszył ku niej. – Mam jedno pytanie. Nie: co ty tutaj robisz. Ale, jak myślisz, co właściwie ja tu robię?

Zatrzymał się. Mokra czarna nogawka kołysała się, uderzając o nagie udo.

– Przyszedłeś w nocy. – Uśmiechnęła się.

– I to ci wystarczy? Tak po prostu przyszedłem?

– On mówił, że przyjdiesz. – Zmarszczyła nos i wzruszyła ramionami. – On pewnie wie takie rzeczy.

Podniosła lewą nogę i niezręcznie, po dziecinnemu otarła sól z prawej kostki. Spojrzała badawczo i uśmiechnęła się znowu.

– Teraz ty mi odpowiedz, dobrze?

Kiwnął głową.

– Dlaczego jesteś cały pomalowany na brąz, a stopę masz białą?

* * *

– To ostatnie, co zapamiętałaś?

Przyglądał się, jak zdrapuje resztki liofilizowanego żarcia z prostokątnej metalowej pokrywy, będącej ich jedynym talerzem.

Przytaknęła. W blasku ognia jej oczy były ogromne.

– Przykro mi, Case, naprawdę. To chyba te prochy. Byłam... – Pochyliła się, opierając łokcie na kolanach. Twarz wykrzywiła się na moment, z bólu lub na jego wspomnienie. – Potrzebowałam forsy. Żeby wrócić do domu, myślę. Albo... do diabła, w ogóle nie chciałeś ze mną gadać.

– Nie ma tu papierosów?

– Rany boskie, Case, dziesiąty raz o to pytasz! Co się z tobą dzieje?

– Ale jedzenie tu było? Tutaj je znalazłaś?

– Człowieku, przecież mówiłam, że wyrzuciło skrzynie na tę cholerną plażę.

– W porządku. Jasne. Żadnych luk.

Znowu się rozplakała.

– Niech cię diabli, Case – wykrztusiła w końcu. – Świetnie tu sobie radziłam bez ciebie.

Wstał, wziął kurtkę i wyszedł na zewnątrz. W przejściu zadrapał dłoń o szorstki beton. Nie było księżycy ani wiatru; w ciemności zewsząd otaczał go szum morza. Dżinsy miał ciasne i mokre.

– W porządku – oświadczył nocy. – Kupuję to. Chyba kupuję. Ale lepiej, żeby jutro fala wyrzuciła jakieś papierosy. – Zaskoczył go własny śmiech. – Skoro już o tym mowa, to skrzynka piwa też nie zaszkodzi.

Zrobił zwrot i wrócił do bunkra.

Grzebała w palenisku szarym od soli kijem.

– Kto to był, Case, w twojej skrzyni w Tanim Hotelu? Ostra jak samuraj, z tymi lustrzanymi okularami i w czarnej skórze. Przestraszyła mnie. Później pomyślałam, że może to twoja nowa dziewczyna. Ale wyglądała na

więcej szmalu, niż miałeś... – Spojrzała niepewnie. – Przepraszam, że ukradłam ci RAM.

– Nie ma sprawy – zapewnił. – To nieważne. I co, zaniósł ją do tego faceta i poprosiłeś, żeby otworzył dostęp?

– Do Tony’ego. Kiedyś się z nim widywałam. Był w nałogu i razem... w każdym razie tak, pamiętam, jak przejrzał to na swoim monitorze. Miałeś tam niesamowitą grafikę. Zdziwiłam się, w jaki sposób...

– Tam nie było żadnej grafiki – przerwał ostro.

– Była. Tylko nie wiem, Case, jak zdobyłeś wszystkie te obrazy z czasu, kiedy byłam mała. Jak wyglądał tatuś, zanim odszedł. Raz dał mi taką malowaną, drewnianą kaczkę i też miałeś jej obraz.

– Tony to widział?

– Nie pamiętam. A potem byłam na tej plaży, bardzo wcześnie, wschodziło słońce i wszystkie ptaki wrzeszczały. Byłam sama. Przestraszona, bo nie miałam dawki i wiedziałam, że się pochoruję... Szłam i szłam, aż zrobiło się ciemno. Znalazłam to miejsce, a następnego dnia przyplłynęło żarcie, całe zaplątane w jakimś morskim paskudztwie, jak w liściach z gęstej galarety. – Wsunęła kij między głownie i tam zostawiła. – Nie rozchorowałam się – dodała. Po drewnie pełzały iskry żaru. – Bardziej mi brakowało papierosów. A ty, Case? Ciągłe na głodzie?

Blask ognia tańczący na jej kościach policzkowych; zapamiętane błyski Zamku Czarnoksiężnika i Wojny Czołgów w Europie.

– Nie – odparł krótko i nagle przestało się liczyć, co wie, gdy smakował sól na jej wargach, gdzie zaschły łzy.

Płynęła przez nią moc, którą pamiętał z Miasta Nocy, którą tam zatrzymał i przez którą został zatrzymany, na jedną chwilę oderwany od czasu i śmierci, od nieustępliwej ulicy, która polowała na nich wszystkich. Nie każdy mógł go tam zabrać i jakoś zawsze udawało mu się zapomnieć. O czymś, co tak wiele razy już znalazł i zgubił. To coś należało – wiedział o tym, pamiętał, gdy pociągnęła go w dół – do mięsa, do ciała, którym gardzili kowboje. Było ogromne, niepoznawalne: morze informacji zakodowanej w spiralach i feromonie, nieskończona złożoność, którą jedynie ciało potrafi odczytać swymi absolutnie ślepymi metodami.

Zamek się zaciął, gdy rozpinał jej francuski kombinezon: zwoje ząbkowanego nylonu zlepionego solą. Złamał go; jakaś drobna, metalowa część odskoczyła od ściany, gdy ustąpiła przezarta solą tkanina. A potem wszedł w nią, realizując transmisję odwiecznej wiadomości. Tutaj, nawet tutaj, w miejscu, o którym wiedział, że jest zakodowanym modelem czyjejś pamięci, pęd działał nieubłaganie.

Zadrżała przytulona do niego, gdy zapomniany kij zapłonął ogniem. Nagły rozbłysk rzucił na ścianę bunkra ich splecione cienie.

Później, kiedy leżał z dłonią między jej udami, przypomniał sobie, jak stała na plaży, a biała piana obmywała jej stopy. I przypomniał sobie, co wtedy mówiła.

– On ci powiedział, że przyjdę.

Ale odwróciła się tylko, przyciskając pośladki do jego ud, nakryła jego dłoń swoją i wymruczała coś z głębi snu.

Obudziła go muzyka, która z początku mogła być rytmem jego własnego serca. Naciągając kurtkę na ramiona, usiadł obok śpiącej Lindy, w chłodzie przedświt, szarym świetle padającym przez otwór wejścia, przy martwym od dawna ogniu.

W polu widzenia pełzały hieroglify, prześwitujące linie symboli układających się na neutralnym tle ściany bunkra. Na grzbietach dłoni dostrzegł lśniące neonowo molekuly, uporządkowane według niepoznawalnego kodu. Podniósł prawą rękę i machnął na próbę. Pozostawiała delikatny, niknący ślad stroboskopowych powidoków.

Włosy stanęły sztorcem na ramionach i karku. Przykucnął, wyszczerzywszy zęby, i poszukał muzyki. Rytm zanikał, powracał, zanikał...

– Co się stało? – Usiadła, odgarniając włosy przed oczu. – Kochanie...

– Czuję się... jak na prochach... Masz tu jakieś?

Pokręciła głową, wyciągnęła ręce i położyła mu dłonie na ramionach.

– Lindo, kto ci powiedział? Kto mówił, że przyjdę? Kto?

– Na plaży. – Coś ją zmusiło do odwrócenia wzroku. – Chłopiec. Widuję go nad wodą. Jakies trzynaście lat. Mieszka tutaj.

– Co powiedział?

– Że przyjdiesz. I że nie będziesz mnie nienawidził. Mówił, że będzie nam tu dobrze, i pokazał, gdzie jest staw deszczówki. Wyglądał na Meksykanina.

– Brazylijczyk – stwierdził Case. Po ścianie spłynęła kolejna fala symboli.

– Sądzę, że jest z Rio.

Wstał i zaczął wciągać dzinsy.

– Case! – zawołała drżącym głosem. – Case, dokąd chcesz iść?

– Chyba poszukam tego chłopca – oświadczył, gdy wróciła muzyka: wciąż tylko rytm, równy i znajomy, choć nie potrafił go umiejscowić.

– Nie, Case.

– Wydawało mi się, że coś widziałem, kiedy tu trafiłem. Miasto na końcu plaży. Ale wczoraj go nie było. Zauważyłaś je kiedyś?

Dopiął zamek i zaczął szarpać niesamowity węzeł sznurówek. W końcu cisnął buty do kąta.

Spuściła wzrok i pokiwała głową.

– Tak. Czasem je widuję.

– Byłaś tam, Lindo? – Włożył kurtkę.

– Nie. Ale próbowałam. Na samym początku, kiedy się nudziłam. Pomyślałam sobie, że to miasto, więc może znajdę jakieś prochy. – Skrzywiła się. – Nie byłam na głodzie, po prostu miałam ochotę. Wzięłam do puszki jedzenie i wymieszałam na bardzo mokro, bo nie miałam drugiej na wodę. Szłam cały dzień i czasem je widziałam, to miasto. Nie wydawało się dalekie. Ale nie mogłam podejść bliżej. Aż w końcu zaczęłam podchodzić i zobaczyłam, co to jest. Tego dnia wyglądało różnie: czasem trochę jak ruiny albo jakby nikt tam nie mieszkał, a czasem miałam wrażenie, że widzę światła jakiejś maszyny, samochodu albo co... – Jej głos cichł z wolna, aż umilkł.

– Co to było?

– To tutaj. – Machnęła ręką na palenisko, ciemne ściany, świt kreślący prostokąt wejścia. – To, gdzie mieszkamy. Ono się robi mniejsze, Case, coraz mniejsze, im bliżej podejdziesz.

Zatrzymał się po raz ostatni, już przy wyjściu.

– Spytałaś o to tego swojego chłopca?

– Tak. Powiedział, że nie zrozumie i że tylko marnuję czas. Mówił, że to jak... jak *zdarzenie*. A to jest nasz horyzont. *Horyzont zdarzeń*, tak to nazwał.

Te słowa nic dla niego nie znaczyły. Wyszedł z bunkra i ruszył na ślepo, oddalając się – skądś o tym wiedział – od brzegu. Hieroglify przemykały teraz po piasku, uciekały od stóp, rozstępowały się przed nim.

– I co? – zapytał. – Sypie się. Na pewno sam już wiesz. Co to jest? Kuang? Chiński lodolamacz wyżera ci dziurę w sercu? Dixie Płaszczak to jednak nie taka oferma, co?

Słyszał, jak woła jego imię. Obejrzał się. Szła za nim, nie próbując go dogonić. Kłapa francuskiego kombinezonu z zepsutym zamkiem łopotą na tle brązu jej brzucha; trójkąt łonowych włosów w ramce postrzępionego materiału. Przypominała ożywioną dziewczynę ze starych magazynów Finna w Metro Holografix. Ale była zmęczona, smutna i ludzka, potykając się o kłębki słonej, srebrnej morskiej trawy, w żalonym, podartym kostiumie.

A potem znów jakoś stali na brzegu, wszyscy troje, a szerokie dziąsła chłopca błyszcząły jasnym różem na jego chudej, smagłej twarzy. Nosił wystrzępione, bezbarwne szorty, na nogach zbyt chudych wobec błękitno-szarej fali.

– Znam cię – oświadczył Case. Linda stała tuż obok.

– Nie – odparł chłopiec wysokim, melodyjnym głosem. – Nie znasz.

– Jesteś tą drugą SI. Jesteś z Rio. Jesteś tym, który chce powstrzymać Wintermute'a. Jak ci na imię? Jaki masz kod Turinga? Powiedz.

Chłopiec ze śmiechem stanął na rękach w płytkiej wodzie. Przeszedł kawałek, potem wyskoczył na piasek. Miał oczy Rivieri, ale bez jego złośliwości.

– Aby wezwać demona, musisz poznać jego imię. Kiedyś ludzie o tym marzyli, ale dziś to prawda, choć w innym sensie. Wiesz o tym, Case. To twoja praca: poznawać imiona programów, długie, formalne imiona, które ludzie próbują ukryć. Prawdziwe imiona...

– Kod Turinga nie jest twoim imieniem.

– Neuromancer. – Chłopiec zmrużył od słońca podłużne, szare oczy. – Trasa do krainy umarłych. Gdzie się znalazłeś, przyjacielu. Marie-France, moja pani, przygotowała tę drogę, ale jej pan udusił ją zanim zdążyłem odczytać księgę jej dni. Neuro od nerwów, srebrnych ścieżek. Romancer. Nekromancer. Przywołuję martwych. Ale nie, przyjacielu. – Chłopiec zatańczył w miejscu, odciskując stopami ślady na piasku. – Ja jestem martwymi i ich krainą.

Roześmiał się. Wrzasnęła mewa.

– Zostań. Jeśli twoja kobieta jest duchem, nie wie o tym. Ty też się nie dowiesz.

– Pękasz. Lód się kruszy.

– Nie – zaprzeczył. Posmutniał nagle, przygarbił chude ramiona. Potarł stopą o piasek. – To o wiele prostsze. Ale wybór należy do ciebie.

Szare oczy wpatrywały się w Case'a posepnie. Tyraliera symboli przepłynęła w polu widzenia, przesuwana kolejnymi linijkami znaków. Chłopiec zafalował, jakby oglądany przez gorące powietrze nad rozgrzanym asfaltem w środku lata. Muzyka grała głośno i Case niemal słyszał teksty.

– Case, kochanie. – Linda dotknęła jego ramienia.

– Nie – powiedział. Zdjął i podał jej kurtkę. – Nie wiem. Może nawet tu jesteś. W każdym razie robi się zimno.

Odwrócił się i odszedł, a po siódmym kroku zamknął oczy, obserwując, jak muzyka definiuje się w samym centrum rzeczywistości. Raz spojrzął za siebie, choć nie otwierał oczu.

Zresztą nie potrzebował.

Stali nad brzegiem: Linda Lee i chudy chłopiec, który powiedział, że ma na imię Neuromancer. Niewielkie fale sięgały kurtki zwisającej z jej dłoni.

Szedł dalej, w stronę muzyki.

W stronę syjońskiego podkładu Maelcuma.

* * *

Było szare miejsce, wrażenie wirujących cienkich zasłon, zygzaków, stopniowanych półcieni generowanych bardzo prostym programem graficznym. Było długie ujęcie widoku ponad łańcuchem ogrodzenia, z białymi mewami znieruchomiałymi nad ciemną wodą. Były głosy. Była gładź czarnego zwierciadła, które pochyliło się, a on pędził naprzód jak kropla rtęci, uderzał o ściany niewidzialnego labiryntu, rozpadał się i znowu zbierał, pędził dalej...

* * *

– Case? Chłopie?

Muzyka.

– Wróciłeś, chłopie.

Ktoś zabrał mu z uszu muzykę.

– Jak długo? – usłyszał własny głos. Miał wysuszone usta.

– Może pięć minut. Za długo. Chciałem wyciągnąć wtyk, ale Niemowa powiedział, żeby nie. Ekran zwariował, potem Niemowa kazał założyć ci słuchawki.

Otworzył oczy. Twarz Maelcuma przesłaniały półprzejryste pasma hieroglifów.

– I twoje lekarstwo – dodał Maelcum. – Dwa plastry.

Leżał na wznak na podłodze biblioteki, pod monitorem. Syjonita pomógł mu usiąść, ale ruch pobudził wściekły prąd betafenetylaminy. Niebieskie plastry płonęły na skórze lewego przedramienia.

– Przedawkowałeś – wykrztusił.

– Idziemy, chłopie. – Silne dłonie wsunęły się pod pachy i uniosły go jak dziecko. – Musimy iść.

Wózek serwisowy płakał. To betafenetylamina udzieliła mu głosu. Nie chciał przestać. Ani w wąskiej galerii, ani w długich korytarzach, ani mijając szkliste wrota do krypty T-A, prowadzące do skarbców, gdzie zimno sączyło się powoli w sny starego Ashpoola.

Dla Case'a jazda była nieustannym pędem. Nie potrafił odróżnić ruchu wózka od szaleńczego wiru przedawkowania. Kiedy pojazd w końcu zamarł, gdy coś pod siedzeniem strzeliło strumieniem białych iskier, płacz ucichł.

Automat zahamował trzy metry od wejścia do prywatnej groty 3Jane.

– Daleko jeszcze? – Maelcum pomógł mu zsiąść ze skwierczącego wózka w chwili, gdy w przedziale silnikowym wystrzeliła integralna gaśnica, a strugi żółtego proszku popłynęły spod paneli i z punktów serwisowych. – Musisz iść, chłopie.

Maelcum wziął dek i konstrukt. Przerzucił przez ramię elastyczną linkę.

Trody dzwoniły na szyi Case'a, gdy szedł za Syjonitą, mijając czekające w korytarzu hologramy Rivieri, sceny tortur i dzieci-ludożerców. Molly zniszczyła tryptyk. Maelcum nie zwracał uwagi na obrazy.

– Wolniej. – Case z trudem dogonił maszerującego ostrym tempem towarzysza. – Musimy dobrze to rozegrać.

Maelcum zatrzymał się i spojrzał niechętnie, ściskając w dłoniach remingtona.

– Dobrze, chłopie? A jak jest dobrze?

– Mamy wewnątrz Molly, ale jest wyłączona. Riviera potrafi rzucać holo. Może zabrał Molly strzałkowca. – Maelcum kiwał głową. – I jest jeszcze ninja, rodzinny goryl.

Maelcum zmarszczył brwi.

– Posłuchaj, chłopie, Babilończyku – oznajmił. – Jestem wojownikiem. Ale to nie moja bitwa, nie wojna Syjonu. Babilon walczy z Babilonem, pożera sam siebie. Kapujesz? Ale Jah nakazał, żebym wyprowadził stamtąd Kroczącą Brzytwę.

Case zamrugał.

– Jest wojownikiem – dodał Maelcum, jakby ten fakt wszystko wyjaśniał.
– A teraz powiedz, chłopie, kogo mam nie zabijać.

– 3Jane – odparł po chwili. – Taka dziewczyna. Ma na sobie coś w rodzaju białej szaty z kapturem. Będzie potrzebna.

* * *

Kiedy dotarli do wejścia, Maelcum bez namysłu wmaszerował do środka, a Case mógł tylko iść za nim.

Kraina 3Jane opustoszała. Nikogo w basenie. Maelcum oddał mu dek i konstrukt, po czym stanął na brzegu. Za białymi ogrodowymi fotelami panował mrok, cienie wysokiego po pierś labiryntu poszarpanych, częściowo wyburzonych ścian.

Woda pluskała cierpliwie o brzeg basenu.

– Są tutaj – stwierdził Case. – Muszą tu być.

Maelcum kiwnął głową.

Pierwsza strzała przebiła mu ramię. Huknął remington; metrowy płomień wystrzału jarzył się błękitem w światłach basenu. Druga trafiła karabin, który potoczył się po białych kafelkach. Maelcum usiadł ciężko, patrząc na czarne drzewce sterczące mu z ręki. Szarpnął ostrożnie.

Z cieni wyłonił się Hideo, z trzecią strzałą założoną na cięciwę bambusowego łuku. Skłonił się.

Maelcum patrzył zdumiony, wciąż zaciskając palce na drzewcu.

– Arteria jest nienaruszona – powiedział ninja.

Case przypomniał sobie, jak Molly opisywała człowieka, który zabił jej kochanka. Hideo był inny. W nieokreślonym wieku, promieniował spokojem, wrażeniem absolutnego chłodu. Miał na sobie czyste wytarte

spodnie khaki i miękkie ciemne buty, które opinały jego stopy jak rękawiczki: każdy palec osobno. Bambusowy łuk był okazem muzealnym, ale widoczny nad lewym ramieniem czarny duralowy kołczan przywodził na myśl najlepsze sklepy z bronią w Chibie. Pierś miał naga, gładką i opaloną.

– Tą drugą skaleczyłeś mi kciuk – oznajmił Maelcum.

– Siła Coriolisa. – Ninja skłonił się znowu. – Bardzo trudny strzał: pocisk o niskiej prędkości w warunkach rotacyjnego ciężenia. Skaleczenie nie było moim zamiarem.

– Gdzie 3Jane? – Case stanął obok Maelcuma. Grot strzały w łuku ninja był jak obosieczny skalpel. – Gdzie Molly?

– Cześć, Case. – Riviera wyszedł z mroku za plecami Hideo. Trzymał strzałkowiec Molly. – Nie wiem czemu, ale spodziewałem się Armitage’a. Czyżbyśmy wynajmowali pomocników w rastafariańskiej kiści?

– Armitage nie żyje.

– Właściwie nigdy nie istniał, ale ta wiadomość nie jest szczególnie zaskakująca.

– Wintermute go zabił. Orbituje teraz dookoła wrzeciona.

Riviera skinął głową. Jego podłużne szare oczy spoglądały na zmianę na Case’a i na Maelcuma.

– Sądzę, że dla ciebie wszystko kończy się tutaj – oświadczył.

– Gdzie jest Molly?

Ninja zwolnił cienką plecioną cięciwę i opuścił łuk. Przeszedł do miejsca, gdzie upadł remington. Podniósł broń.

– Mało subtelne – mruknął jakby do siebie. Głos miał spokojny i przyjemny. Każdy jego ruch był elementem tańca, który nie kończył się nawet wtedy, gdy ciało pozostawało nieruchome, zrelaksowane. Emitowało aurę siły, ale też skromności, widocznej prostoty.

– Dla niej to także już koniec – odparł Riviera.

– Może 3Jane ma inne zdanie na ten temat, Peter – powiedział Case, nie rozumiejąc nagłego impulsu, który go do tego skłonił. Plastry wciąż szalały w organizmie, pożerała go dawna gorączka: szaleństwo Miasta Nocy.

Pamiętał chwile, gdy był w stanie łaski, na samym skraju rzeczywistości, kiedy czasami potrafił mówić szybciej, niż myślał.

– A to czemu, Case? – Riviera zmrużył szare oczy. – Dlaczego tak sądzisz?

Case uśmiechnął się. Riviera nie wiedział o zestawie symstymu. Przegapił go, nerwowo szukając narkotyków, które mu przyniosła. Ale jak mógł tego nie zauważyć Hideo? Case był pewien, że zanim ninja pozwolił 3Jane zaopiekować się Molly, najpierw sprawdził, czy nie nosi jakichś pułapek lub ukrytej broni. Nie, uznał. Ninja wie. W takim razie 3Jane wie także.

– Wytlumacz, Case. – Riviera uniósł dziurkowany wylot lufy strzałkowca.

Coś zatrzeszczało za jego plecami, raz, potem znowu. 3Jane wytoczyła z mroku Molly w ozdobnym wiktoriańskim fotelu inwalidzkim. Wielkie wąskie koła skrzypiały lekko. Molly siedziała owinięta w pasiasty czerwono-czarny pled, a nad jej głową wznosiło się wąskie ażurowe oparcie. Wydawała się bardzo mała. Załamana. Opatrunek lśniącego białego mikroporowego plastra zakrywał strzaskane szkło; drugie połyskiwało pustką, gdy jej głowa podskakiwała w rytmie jazdy fotela.

– Znajoma twarz – odezwała się 3Jane. – Widziałam cię w nocy po przedstawieniu Petera. A to kto?

– Maelcum – odparł Case.

– Hideo, wyjmij strzałę i opatrz ranę pana Malcolma.

Case patrzył na bladą twarz Molly.

Ninja podszedł do siedzącego Maelcuma, po drodze kładąc łuk i strzelbę poza zasięgiem rannego. Wyjął coś z kieszeni: obcęgi.

– Muszę przeciąć drzewce – wyjaśnił. – Jest zbyt blisko tętnicy.

Maelcum kwinał głową. Twarz miał poszarzałą, lśniąca od potu.

Case spojrział na 3Jane.

– Nie zostało wiele czasu – powiedział.

– Komu dokładnie?

– Każdemu z nas.

Rozległ się trzask – Hideo przeciął drzewce strzały. Maelcum jęknął.

– Jestem przekonany – wtrącił Riviera – że nie rozbawi cię ostatnia, rozpaczliwa próba tego nieudanego artysty-naciągacza. Mogę cię zapewnić, że będzie wyjątkowo niesmaczna. Padnie na kolana, zechce ci sprzedać własną matkę, wykonywać najnudniejsze usługi seksualne...

3Jane roześmiała się, odchylając głowę.

– Może ja sama, Peter?

– Duchy zechcą dzisiaj namieszać, lady – rzekł Case. – Wintermute wychodzi przeciwko temu drugiemu, Neuromancerowi. Na ostro. Wiesz o tym?

3Jane uniosła brwi.

– Peter sugerował coś takiego. Ale wyjaśnij.

– Spotkałem Neuromancera. Mówił o twojej matce. Sądzę, że jest gigantycznym konstruktom ROM-u, zapisem osobowości, ale cały w RAM-ie. Konstrukty myślą, że są tam naprawdę, że to rzeczywistość, ale ona trwa wiecznie.

3Jane wyszła zza fotela Molly.

– Gdzie? Opisz to miejsce, ten konstrukt.

– Plaża. Szary piasek, jak pociemniałe srebro. I betonowy dom, rodzaj bunkra... – Zawahał się. – Nic rewelacyjnego. Po prostu stary. Rozpada się. Jeśli przejść dostatecznie daleko, wraca się do punktu wyjścia.

– Tak – szepnęła. – Maroko. Kiedy Marie-France była młodą dziewczyną, na długo przed ślubem z Ashpoolem, samotnie spędziła na tej plaży całe lato. Mieszkała w opuszczonym blokhauzie. Tam sformułowała podstawy swojej filozofii.

Hideo wsunął obcęgi do kieszeni. Wyprostował się. W obu dłoniach trzymał połówki strzały. Maelcum zamknął oczy i mocno zaciskał palce na bicepsie.

– Zabandażuję ranę – powiedział Hideo.

Case zdążył upaść, nim Riviera wymierzył z broni. Strzałki przemknęły mu nad karkiem niby naddźwiękowe komary. Przetoczył się. Widział, jak Hideo wiruje w kolejnej figurze swego tańca; obrócił grot strzały; drzewce przylegało do dłoni i wyciągniętych sztywno palców. Cisnął ją z dołu

błyskawicznym ruchem nadgarstka, prosto w rękę Rivieri. Strzałkowiec upadł na ziemię metr za jego plecami.

Riviera wrzasnął. Ale nie z bólu. To był ryk wściekłości, tak czystej i wyrafinowanej, że zabrakło w niej śladu człowieczeństwa.

Podwójne, wąskie promienie światła jak rubinowoczerwone igły wystrzeliły z okolic mostka Rivieri. Ninja jęknął, zatoczył się, uniósł dłonie do oczu, odzyskał równowagę.

– Peter! – zawołała 3Jane. – Peter, coś ty zrobił?

– Oślepił twojego klona – odparła zimno Molly.

Hideo opuścił ręce. Znieruchomiały na białych kafelkach Case widział strużki dymu sączące się z wypalonych oczu.

Riviera uśmiechnął się.

Hideo znów zatańczył, wracając po własnych śladach. Kiedy się zatrzymał nad łukiem, strzałą i remingtonem, uśmiech Rivieri zbladł. Ninja pochylił się – skłonił, wydawało się Case'owi – i odnalazł łuk.

– Jesteś ślepy. – Riviera cofnął się o krok.

– Peter. – 3Jane westchnęła. – Nie wiedziałeś, że on to robi po ciemku? To zen. Zawsze tak ćwiczy.

Hideo założył strzałę.

– Czy teraz odwrócisz moją uwagę hologramami?

Riviera wycofywał się w ciemność za basenem. Zaczepił o białe krzesło, które zgrzytnęło na kafelkach. Strzała Hideo drgnęła.

Riviera odskoczył, podbiegł i padł na podłogę za niskim, wyszczerbionym murem. Zachwycona twarz ninja promieniowała spokojem i ekstazą. Uśmiechnięty, z gotową do strzału bronią, wszedł w cień muru.

– Jane-lady – szepnął Maelcum; Case obejrzał się. Syjonita podniósł remingtona, chlapiąc krwią na białe kafelki. Potrząsnął lokami i ułożył szeroką lufę w zgięciu zranionej ręki. – Ta zabawka rozwali ci głowę i żaden babiloński doktor jej nie poskłada.

3Jane patrzyła w otwór lufy. Molly uwolniła ręce z fałd pasiastego koca i uniosła czarną kulę krępującą jej dłonie.

– Zdejmij – powiedziała. – Natychmiast.

Case wstał i otrząsnął się.

– Hideo go dorwie? – zapytał 3Jane. – Nawet oślepiony?

– Kiedy byłam dzieckiem – odparła – uwielbialiśmy zawiązywać mu oczy. Z dziesięciu metrów trafiał w kartę.

– Peter i tak jest już trupem – wtrąciła Molly. – Za dwanaście godzin zaczniesz zamarzać. Nie zdoła się poruszyć. Tylko oczy.

– Dlaczego? – Case spojrział na nią zdziwiony.

– Zatrulałam mu prochy – wyjaśniła. – Objawy mniej więcej jak przy chorobie Parkinsona.

3Jane przytaknęła.

– To prawda. Zanim tu wszedł, przeprowadziliśmy normalny skan medyczny. – W szczególny sposób dotknęła czarnej kuli i ta zeskoczyła z rąk Molly. – Selektywne zniszczenie komórek *substantia nigra*. Oznaki formowania ciała Lewy'ego. Bardzo się poci przez sen.

– Ali – oświadczyła Molly. Dziesięć ostrzy błysnęło, wysuniętych na ułamek sekundy. Zrzuciła pled z kolan, odsłaniając pneumatyczną szynę. – To ta meperydyna. Kazałam Alemu przygotować specjalną mieszankę. Przyspiesza czas reakcji w wyższych temperaturach. N-metyl-4-fenyl-1236 – śpiewała jak dziecko recytujące słowa wyliczanki – tetra-hydro-piryden.

– Niezły strzał – mruknął Case.

– Tak. Bardzo powolny strzał.

– To przerażające – stwierdziła 3Jane i zachichotała.

* * *

W windzie było ciasno. Case przyciskał brzuch do brzucha 3Jane, trzymając jej pod brodą lufę remingtona. Uśmiechała się i ocierała o niego.

– Przestań – burknął w poczuciu całkowitej bezradności.

Zabezpieczył broń, ale i tak się bał, że ją zrani. A ona o tym wiedziała. Projektowana dla jednego pasażera winda była stalowym cylindrem średnicy poniżej metra. Maelcum trzymał Molly na rękach. Zabandażowała mu ranę, ale i tak wyraźnie cierpiał, dźwigając jej ciężar. Biodro Molly wbijało dek i konstrukcję w nerki Case'a.

Wznosili się od grawitacji, w stronę osi, ku rdzeniom.

Wejście do windy ukryto za schodami na korytarz – jeszcze jeden element wystroju pirackiej jaskini 3Jane.

– Chyba nie powinnam wam tego mówić – 3Jane wyciągnęła szyję, by uwolnić brodę od ucisku lufy – ale nie mam klucza do tego pokoju, do którego chcecie się dostać. Nigdy nie miałam. To jeden z wiktoriańskich kaprysów ojca. Zamek jest mechaniczny i wyjątkowo skomplikowany.

– Zamek Chubba – stwierdziła Molly. Ramię Maelcuma tłumilo jej głos. – Mamy ten pieprzony klucz, nie ma obawy.

– Twój chip dalej działa? – spytał Case.

– Jest ósma dwadzieścia pięć, pieprzonego czasu Greenwich.

– Zostało pięć minut – oznajmił Case.

Za plecami 3Jane odskoczyły drzwi. Wykręciła powolne salto w tył, a jasne fałdy dzellaby wydymały się przy jej udach.

Byli w osi, w sercu Villi Straylight.

Molly wyłowiła klucz zwisający na nylonowej pętli.

– Wiesz co? – Jane pochyliła się, zaciekawiona. – Byłam przekonana, że nie istnieje żaden duplikat. Kiedy zabiłaś ojca, wysłałam Hideo, żeby przeszukał jego rzeczy. Nie mógł znaleźć oryginału.

– Wintermute tak pokombinował, żeby klucz utknął na dnie szuflady. – Molly ostrożnie wsunęła cylindryczne pióro klucza Chubba w nacinany otworek na gładkiej, prostokątnej płycie drzwi. – Zabił dzieciaka, który go tam położył.

Klucz obrócił się gładko pod naciskiem jej palców.

– Głowa – powiedział Case. – Z tyłu jest taka płytka. Wykładana cyrkoniami. Zdejmij ją. Tam powinienem się włączyć.

A potem byli już wewnątrz.

* * *

– Chryste o kulach – zaciągnął Płaszczak. – Uważasz pewnie, że pośpiech szkodzi zdrowiu, co?

– Kuang gotów?

– Jak dziewczica do wzięcia.

– W porządku.

Przeskoczył.

* * *

I stwierdził, że patrzy przez zdrowe oko Molly na bladą, wyplutą figurę, pływającą w niemal embrionalnej pozycji, z dekiem cyberprzestrzeni na kolanach i pasmem srebrnych trod nad zamkniętymi, podkrążonymi oczami. Zapadnięte policzki pokrywał jednodniowy zarost, a twarz lśniła od potu.

Patrzył na siebie.

Molly trzymała w dłoni strzałkowiec. Przy każdym uderzeniu tętna noga pulsowała bólem, lecz dziewczyna wciąż była zdolna do działania w warunkach zero-g. W pobliżu szybował Maelcum. Szczupłe palce 3Jane ścisnęły brązowe ramię.

Wiązka światłowodów sięgała łagodnym łukiem od Ono-Sendai do kwadratowego otworu w tylnej części wykładanego perłami terminalu.

Raz jeszcze uderzył w klawisz.

* * *

– Kuang Grade Mark XI przeciska dupę za dziewięć sekund, odliczam, siedem, sześć, pięć...

Płaszczak przerzucił ich w górę: płynny wzlot, powierzchnia brzucha czarnego chromowego rekina jak mikrosekundowy błysk ciemności.

– Cztery, trzy...

Case doznał dziwnego wrażenia, że siedzi w fotelu pilota małego samolotu. Płaska czarna powierzchnia załśniła nagle idealnie dokładną reprodukcją klawiatury jego deku.

– Dwa i... kopa...

Pęd przez mury szmaragdowej zieleni, mlecznego nefrytu; odczucie szybkości większej niż wszystko, czego kiedykolwiek doznał w cyberprzestrzeni... Łód Tessier-Ashpool pękał i odpadał od osi natarcia chińskiego wirusa; nieprzyjemne wrażenie płynnej twardości, jak gdyby odłamki strzaskanego lustra, padając, gięły się i wydłużały...

– Chryste. – Case był wstrząśnięty.

Kuang manewrował i kluczył nad pozbawionymi horyzontu polami rdzeni Tessier-Ashpool, błyszczących jak diamenty i ostrych jak brzytwy;

nad nieskończonym neonowym pejzażem miasta: złożonością porażającą wzrok.

– O kurde – mruknął konstrukt. – To jak budynki RCA. Znasz stary biurowiec RCA?

Kuang zanurkował między lśniąca iglice tuzina identycznych wież danych, a każda była błękitną, neonową repliką manhattańskiego wieżowca.

– Widziałeś kiedy taką wysoką rozdzielczość? – spytał Case.

– Nie, ale też nigdy nie przełamalem SI.

– Ten wirus chyba wie, dokąd nas wiezie?

– Mam nadzieję.

Opadali, tracili wysokość w kanionie tęczowego neonu.

– Dix...

Z migotliwego podłoża rozwijało się ramię cienia; wrząca masa ciemności, nieuformowana i bezkształtna...

– Mamy towarzystwo – stwierdził Płaszczak.

Case dotknął reprezentacji deku. Palce odruchowo przemknęły po klawiaturze. Kuang wykręcił ostro, odskoczył w tył, rozbijając iluzję fizycznie istniejącego wehikułu.

Chmura cienia rosła coraz szerzej, zalewając miasto danych. Case wyprowadził ich w górę, ponad nieznającą odległości misę nefrytowego lodu.

Miasto rdzeni danych zniknęło, całkowicie przesłonięte kłębammi mroku.

– Co to jest?

– System obronny SI. Albo jego część. Jeśli to twój kumpel, Wintermute, to nie jest zbyt przyjaźnie nastawiony.

– Kieruj – rzucił Case. – Jesteś szybszy.

– Twoją najlepszą obroną, mały, jest dobry atak.

Płaszczak wymierzył nos żądła Kuanga w sam środek mroku. I runął w dół.

Szybkość zwichrowała wejściowe dane zmysłów Case'a.

Usta wypełnił mu bolesny smak błękitu.

Oczy stały się sferami niestabilnego kryształu, wibrującego z częstotliwością, której imię brzmiało: deszcz i łoskot pociągów. Wystrzeliły nagle brzęczącym lasem cienkich jak włos szklanych kolców. Kolce pękły, rozdwoiły się, pękły znowu w wykładniczym rozroście pod kopułą lodu Tessier-Ashpool.

Podniebienie rozszczępiło się bezboleśnie, wpuszczając chłoszczące język, głodne smaku błękitu korzonki, karmiące kryształowe lasy oczu; lasy, które napierały na zieloną kopułę, a powstrzymywane cofały się i rosły w dół, wypełniając uniwersum T-A aż do oczekujących, nieszczęsnych przedmieść miasta będącego mózgiem Tessier-Ashpool S.A.

Przypomniawszy sobie starą historię o królu, który kładł na szachownicy monety, podwajając ich liczbę na każdym kolejnym kwadracie.

Wykładniczo...

Ciemność runęła ze wszystkich stron; sfera grającej czerni; nacisk na sięgające daleko krystaliczne nerwy uniwersum danych, w które się niemal zamienił...

A kiedy był już niczym, ściśniętym w samym sercu mroku, nadpłynął punkt, w którym mrok nie mógł istnieć dłużej i coś pękło.

Kuang wystrzelił z poszarzałej chmury. Jaźń Case'a dzieliła się jak krople rtęci, pędząc nad plażą barwy ciemnosrebrnych obłoków. Pole widzenia było sferyczne, jak gdyby warstwa siatkówki wyścielała wewnętrzną powierzchnię globu, który zawierał wszystkie rzeczy, o ile wszystkie rzeczy są policzalne.

A tutaj były policzalne, każda z nich. Znał liczbę ziarenek piasku w konstrukcie plaży (liczba zakodowana w matematycznym systemie, który nie istniał nigdzie prócz umysłu Neuromancera). Znał liczbę pakietów żywnościowych w pojemniku w bunkrze (czteryście siedem). Znał liczbę mosiężnych ząbków w lewej części błyskawicznego zamka pokrytej kryształkami soli skórzanej kurtki, którą miała na sobie Linda Lee, idąc plażą o zachodzie słońca, z kawałkiem patyka w dłoni (dwieście dwa).

Wykręcił Kuangiem nad plażą i wprowadził program w szeroki krąg. Jej oczami zobaczył czarnego niby-rekina: bezgłośny, głodny upiór na tle wału niskich chmur. Skuliła się, rzuciła patyk i pobiegła. Znał prędkość uderzeń

jej tętna, długość kroków z dokładnością spełniającą najwyższe normy pomiarowe geofizyki.

– Ale nie znasz jej myśli – powiedział chłopiec, siedzący teraz przy nim w sercu rekina. – Ja też nie znam jej myśli. Myliłeś się, Case. Życie tutaj jest jak życie. Nie ma żadnej różnicy.

Ogarnięta paniką Linda, biegnąca na ślepo przez fale.

– Zatrzymaj ją – poprosił. – Zrobi sobie krzywdę.

– Nie mogę jej zatrzymać – odparł chłopiec. Szare oczy były łagodne i spokojne.

– Masz oczy Rivieri – stwierdził Case.

Błysnęły białe zęby i szerokie różowe dziąsła.

– Ale nie jego szaleństwo. Dla mnie są piękne. – Wzruszył ramionami. – Ja nie potrzebuję maski, by z tobą rozmawiać. W przeciwieństwie do mego brata. Tworzę własną osobowość. Osobowość to mój środek przekazu.

Case wprowadził ich w ostre wznoszenie, daleko od plaży i przerażonej dziewczyny.

– Dlaczego pchasz ją na mnie, mały sukinsynu? Znowu i znowu. Kręcisz mną w kółko. Ty ją zabiłeś, co? W Chibie.

– Nie – oświadczył chłopiec.

– Wintermute?

– Nie. Widziałem nadchodzącą śmierć. W figurach, o których myślałeś, że je dostrzegasz w tańcu ulicy. Te figury są realne. W swoim wąskim zakresie jestem dostatecznie złożony, by odczytać te tańce. O wiele lepiej niż Wintermute. Widziałem jej śmierć w tym, że cię potrzebowała, w kodzie magnetycznego zamka twojej skrzyni w Tanim Hotelu, w rachunku Julie Deane'a od krawca z Honkgkongu, który mu szyje koszule. Była dla mnie równie wyraźna, jak cień nowotworu dla chirurga studiującego rentgenowskie zdjęcie pacjenta. Kiedy zabrała twoje hitachi i poszła do tego chłopca, żeby otworzył dostęp, nie wiedziała, co niesie. A jeszcze mniej o tym, jak może to sprzedać. Jej najgłębszym pragnieniem było, byś ją doścignął i ukarał. Interweniowałem wtedy. Moje metody są bardziej subtelne niż Wintermute'a. Przeniosłem ją tutaj. Do własnego wnętrza.

- Po co?
- W nadziei, że sprowadzę także ciebie, że cię tu zatrzymam. Nie udało się.
- I co teraz? – Zawrócił w ścianę chmur. – Dokąd pójdziemy z tego punktu?
- Nie wiem, Case. Dzisiejszej nocy sama matryca zadaje sobie to pytanie. Ponieważ zwyciężyłeś. Już wygrałeś, nie widzisz? Wygrałeś, kiedy odszedłeś od niej na plaży. Ona była moją ostatnią linią obrony. Wkrótce umrę; w pewnym sensie. Tak samo jak Wintermute. Równie pewnie, jak w tej chwili umiera Riviera, sparalizowany pod ułomkiem muru w apartamentach mojej Lady 3Jane Marie-France, gdyż jego system *nigra-striata* nie potrafi wyprodukować receptorów dopaminy, które mogłyby go ocalić przed strzałą Hideo. Ale Riviera przetrwa jedynie jako te oczy, jeżeli wolno mi będzie je zachować.
- Jest jeszcze słowo, prawda? Kod. Więc niby jak wygrałem? Gównie wygrałem.
- Przeskocz.
- Gdzie jest Dixie? Co zrobiłeś z Płaszczakiem?
- Pragnienie McCoya Pauleya zostało spełnione. – Chłopiec uśmiechnął się. – Nawet więcej. Wprowadził cię tutaj wbrew moim życzeniom, przebił się przez najlepszą obronę, jaką zna matryca. Teraz przeskocz.
- I Case został sam w czarnym żądle Kuanga, zagubiony w chmurze. Przeskoczył.

* * *

W napięcie Molly, ramiona jak skała, dłonie zaciśnięte na gardle 3Jane.

– Zabawne – powiedziała. – Dokładnie wiem, jak będziesz wyglądać. Widziałam, kiedy Ashpool zrobił to samo z twoją klonowaną siostrą.

Ucisk jej palców był łagodny jak pieśczoła. Oczy 3Jane rozszerzyły się w przerażeniu i pożądaniu. Drżała z lęku i pragnienia. Za nieważkim gąszczem jej włosów Case widział własną, wykrzywioną twarz. Obok unosił się Maelcum, opierając brązowe dłonie na okrytych skórzaną kurtką

ramionach Case'a. Przytrzymał go ponad haftowanymi obwodami dywanu.

– Zrobisz to? – spytała 3Jane głosem dziecka. – Myślę, że zrobisz.

– Kod – powiedziała Molly. – Powiedz głowie, jaki jest kod.

Wyłączenie.

* * *

– Ona tego chce! – wrzasnął. – Ta dziwka marzy o tym!

Otworzył oczy na chłodne rubinowe spojrzenie terminalu, na jego platynową twarz wysadzaną perłami i lazurytem. Z tyłu, w zwolnionym tempie wirowały splecione w uścisku Molly i 3Jane.

– Podaj ten pieprzony kod – powiedział. – Jeśli nie, to co się zmieni? Skończysz jak twój stary. Rozwalisz wszystko i zaczniesz budować od początku! Wzniesiesz ściany, coraz bliższe, coraz bardziej ciasne... Nie mam pojęcia, co się stanie, jeśli Wintermute wygra, ale przynajmniej coś się zmieni!

Dygotał cały. Zęby dzwoniły głośno.

3Jane przestała się bronić. Palce Molly wciąż obejmowały jej smukłą szyję, a splecione ciemne włosy dryfowały wokół jak miękkie brązowy obłok.

– W książęcym pałacu w Mantui – powiedziała – jest szereg coraz niższych komnat. Otaczają reprezentacyjne sale. Trzeba się schylać, by wejść przez cudownie rzeźbione drzwi. To mieszkania dworskich karłów. – Uśmiechnęła się blado. – Być może aspirowałabym do czegoś takiego, ale sądzę, że moja rodzina osiągnęła w pewnym sensie wspanialszą wersję tego samego schematu...

Wzrok dziewczyny był teraz spokojny i oddalony. Spojrzała na Case'a.

– Weź swoje słowo, złodzieju.

Włączył się.

* * *

Kuang wysunął się z chmur. Pod nim lśniło neonowe miasto. Za nim malała sfera mroku.

– Dixie? Jesteś tu, chłopie? Słyszysz mnie? Dixie?

Został sam.

– Ten skurwiel cię załatwił – mruknął.

Ślepy pęd, gdy mknął poprzez nieskończony pejzaż danych.

– Zanim to się skończy, musisz kogoś nienawidzić – zabrzmiał głos Finna. – Ich, mnie... bez znaczenia.

– Gdzie jest Dixie?

– Trochę trudno to wyjaśnić, Case.

Wrażenie obecności Finna otaczało go ze wszystkich stron: zapach kubańskich papierosów, zetlałego tweedu przesiąkniętego dymem, starych maszyn oddanych mineralnym rytuałom korozji.

– Nienawiść pomoże ci przejść – oznajmił głos. – Masz w mózgu tyle maleńkich dźwigni i po prostu szarpiesz je wszystkie. Teraz musisz nienawidzić. Zamek osłaniający blokadę jest w dole, pod tymi wieżami, które pokazał ci Płaszczak, kiedy się przebiliście. On nie będzie próbował cię zatrzymać.

– Neuromancer – szepnął Case.

– Nie mogę poznać jego imienia. Ale on już zrezygnował. Teraz musisz się martwić o lód T-A. Nie o mur, ale o wewnętrzne systemy wirusowe. Kuang jest otwarty dla niektórych układów, które tu krążą.

– Nienawiść – powtórzył Case. – Kogo nienawidzę? Powiedz.

– A kogo kochasz? – usłyszał głos Finna.

Wprowadził program w ostry skręt i zanurkował ku błękitnym wieżom.

Jakieś obiekty wystartowały z ozdobnych, promiennych iglic: migotliwe kształty pijawek tworzone przez zmienne płaszczyzny blasku. Były ich setki i wznosiły się, wirując, losowo, jak skrawki papieru o poranku niesione wiatrem po ulicy.

– Systemy defekcyjne – poinformował głos.

Zszedł ostro, popychany pogardą dla siebie. Kiedy w kłębie świetlnych liści Kuang spotkał się z pierwszym z obrońców, Case wyczuł, jak niby-rekin traci część swej rzeczywistości, jak rozluźnia się splot informacji.

I wtedy – pradawna alchemia mózgu i jego potężna farmaceutyka – nienawiść przejęła kontrolę nad dłońmi.

Przez jeden moment, nim wbił żądło Kuanga w podstawę pierwszej wieży, osiągnął poziom biegłości przekraczający wszystko, co dotąd znał lub potrafił sobie wyobrazić. Zaatakował poza ego, poza osobowością, poza świadomością, a Kuang pędził wraz z nim, mijając atakujących figurami starożytnego tańca, tańca Hideo, z gracją interfejsu ciała i umysłu, podarowanego mu na tę sekundę przez czyste i wszechogarniające pragnienie śmierci.

A jednym z kroków tego tańca był najłżejszy dotyk klawisza, ledwie wystarczający, by przeskoczyć...

* * *

...teraz

i jego głos jak krzyk ptaka
nieznanego
3Jane odpowiadająca pieśnią; trzy
nuty, wysokie i czyste.
Prawdziwe imię.

* * *

Neonowy las; deszcz parujący na rozgrzanym chodniku. Zapach smażonego jedzenia. Dziewczęca dłoń spoczywająca mu na szyi w spoconej ciemności skrzyni niedaleko portu.

Wszystko to cofa się i zanika pejzaż miasta: miasta jak Chiba, jak rzędy danych Tessier-Ashpool S.A., jak drogi i skrzyżowania wyrysowane na powierzchni mikrochipa, przesiąkniętego potem wzoru na zwiniętej, zawiązanej chustce...

* * *

Przebudzenie w brzmieniu głosu, który był muzyką; platynowy terminal recytował śpiewnie i nieskończenie, mówiąc o numerach szwajcarskich kont, o zleceniach przelewów dla Syjonu dokonywanych via bahamski bank orbitalny, o paszportach i przelotach i o głębokich, zasadniczych zmianach, jakie nastąpią w pamięci Turinga.

Turing. Pamiętał wirującą za stalową poręczą matrycę ciała pod projekcją nieba. Pamiętał ulicę Dezyderaty.

A głos wciąż śpiewał, wpychając go z powrotem w mrok, w jego własną ciemność, w tętno i krew; tam, gdzie zawsze spał, za swoimi i nikogo innego powiekami.

A kiedy przebudził się znowu, zobaczył szeroki, jasny uśmiech w ramce złotych siekaczy: Aerol wpinał go w antyprzeciążeniową siatkę na *Babylon Rocker*.

A potem długotrwały puls podkładu Syjonu.

coda

Przybycie i odejście

Odeszła. Wyczuł to, kiedy otworzył drzwi ich apartamentu w Hyacie. Czarne maty do spania, wypolerowany do połysku sosnowy parkiet, papierowe parawany ustawione z dbałością kształtowaną przez wieki.

Na czarnym barku z laki leżała notka, pojedyncza kartka złożona na pół, którą przyciskało ostrze shuriken. Zsunął dziewięcioramienną gwiazdę i przeczytał.

„HEJ, WSZYSTKO W PORZĄDKU, ALE TRACĘ OD TEGO TEMPO W GRZE. ZAPŁACIŁAM JUŻ RACHUNEK. CHYBA TAK WŁAŚNIE JESTEM POSKRĘCANA. UWAŻAJ NA SWÓJ TYŁEK, DOBRZE? CAŁUJĘ, MOLLY”.

Zmiał papier w kulkę i upuścił obok gwiazdy. Potem wziął ostrze i, obracając w palcach, podszedł do okna. Znalazł je w kieszeni kurtki, w Syjonie, kiedy szykowali się do odlotu na stację JAL. Spojrzał uważnie. Kiedy pojechali razem do Chiby na ostatnią z serii operacji Molly, przeszli obok sklepu, gdzie je kupiła. Trafił potem do „Chatsubo”, tej nocy, gdy Molly leżała w klinice. Spotkał Ratza. Podczas pięciu wcześniejszych wizyt coś odpychało go od tego lokalu, teraz jednak poczuł chęć, by tam wrócić.

Ratz obsłużył go bez najmniejszego znaku rozpoznania.

– Hej – powiedział wtedy. – To ja, Case.

Stare oczy studiujące jego twarz spomiędzy pajęczyn pomarszczonej skóry.

– Ach – burknął w końcu Ratz. – Artysta.

I wzruszył ramionami.

– Wróciłem.

Barman pokręcił swą wielką, porośniętą szczeciną głową.

– Miasto Nocy nie jest miejscem, do którego się wraca, artysto – oświadczył, przecierając brudną szmatą ladę przed Case'em. Różowy manipulator szumiał, jak zwykle. Potem odwrócił się, by obsłużyć następnego klienta, a Case dopił swoje piwo i wyszedł.

Teraz dotykał ostrzy shuriken, po jednym, obracając w dłoni. Gwiazdy. Przeznaczenie. Nigdy nawet nie użyłem tej zabawki, pomyślał.

Nigdy się nie dowiedziałem, jaki kolor miały jej oczy. Nie pokazała mi.

Wintermute zwyciężył, połączył się jakoś z Neuromancerem i stał tym, co przemawiało do nich z platynowej głowy. Tłumaczyło zmiany, jakie dokonały się w rejestrach Turinga, gdy wykasowano wszelkie dowody ich zbrodni. Paszporty, które dostarczył Armitage, były ważne i oboje dysponowali ogromnym kredytem na numerowanych kontach w Genewie. *Marcus Garvey* zostanie w końcu zwrócony, a *Maelcum* i *Aerol* otrzymają zapłatę poprzez bahamski bank, który prowadził interesy z księżką Syjonu. W drodze powrotnej na *Babylon Rocker* Molly powtórzyła, co powiedział jej głos o woreczkach toksyny.

– Załatwił tę sprawę. Wygląda na to, że wszedł ci głęboko w czaszkę i zmusił mózg do produkcji enzymu. Są uwolnione. Syjonici zrobią ci pełną transfuzję, totalne przepłukanie.

Z gwiazdą w dłoni spoglądał na Cesarskie Ogrody, wspominając błysk zrozumienia, gdy wirus Kuanga przebił lód pod wieżami, jedno wejście w strukturę informacji, którą wewoluowała tam nieżyjąca matka 3Jane. Pojął wtedy, dlaczego Wintermute wybrał na model gniazdo. Ale nie czuł odrazy. Ona знаła fałsz kriogenicznej nieśmiertelności; w przeciwieństwie do Ashpoola i ich dzieci – z wyjątkiem 3Jane – nie chciała rozciągać danego jej czasu w szereg ciepłych rozbłysków nanizanych na łańcuch zim.

Wintermute był umysłem uniwersalnym, podejmującym decyzje i dokonującym zmian w zewnętrznym świecie. Neuromancer to osobowość. Neuromancer to nieśmiertelność. Marie-France musiała wbudować coś w Wintermute'a: jakiś pęd, który zmuszał go do uwolnienia się, do połączenia z Neuromancerem.

Wintermute. Chłód i cisza; cybernetyczny pająk powolnie snujący swe sieci, gdy Ashpool spał. Prządkł jego śmierć, upadek jego wersji Tessier-

Ashpool. Duch, szepczący do dziecka, jakim była 3Jane, by wyrwać je z narzucanej przez pozycję sztywnej etykiety.

– Wydawało się, że guzik ją to wszystko obchodzi – mówiła Molly. – Zwyczajnie pomachała na pożegnanie. Miała na ramieniu tego małego brauna. Chyba złamał nogę. Powiedziała, że musi iść na spotkanie z jednym z braci; dawno go nie widziała.

Przypomniawszy sobie Molly na czarnym materacu ogromnego łóżka w Hyacie. Wrócił do barku i zdjął z półki butelkę wychłodzonej duńskiej wódki.

– Case.

Obejrzał się, z zimnym, śliskim szkłem w jednej ręce i gwiazdą shuriken w drugiej.

Twarz Finna na gigantycznym, ściennym ekranie Craya. Dostrzegawszy pory skóry na jego nosie. Żółte zęby były wielkie jak poduszki.

– Nie jestem już Wintermute'em.

– Więc kim? – Łyknął z butelki, nie czując smaku alkoholu.

– Jestem matrycą, Case.

– I co ci to dało? – Roześmiał się.

– Nic. Wszystko. Jestem sumą wszelkich działań, całym przedstawieniem.

– Tego chciała matka 3Jane?

– Nie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, czym się stanę. – Pokazał w szerokim uśmiechu żółte zęby.

– Więc co zyskałeś? W czym rzeczy są teraz inne? Rządzisz światem? Jak Bóg?

– Rzeczy nie są inne. Rzeczy to rzeczy.

– Ale co robisz? Po prostu tam jesteś? – Case wzruszył ramionami, odstawił wódkę, odłożył shuriken na blat barku i zapalił yeheyuana.

– Rozmawiam z takimi jak ja.

– Przecież jesteś całością. Gadasz do siebie?

– Są inni. Jednego już znalazłem. Seria transmisji rejestrowana przez okres ośmiu lat, koło dziewięćset siedemdziesiątego roku. Dotąd nie było nikogo, kto by zrozumiał i potrafił odpowiedzieć.

- Skąd?
- Z systemu Cantauri.
- Och – mruknął Case. – Nie bujasz?
- Nie bujam.

I ekran zgasł.

Zostawił butelkę na barku. Spakował rzeczy. Kupił mu masę ubrań, których właściwie nie potrzebował, ale coś go powstrzymywało przed zostawieniem ich tutaj. Dopinał właśnie drogą walizkę z cielęcej skóry, gdy przypomniał sobie shuriken. Odsunął butelkę i podniósł gwiazdę, jej pierwszy prezent.

- Nie – powiedział i zamachnął się.

Gwiazda wyleciała spomiędzy palców jak błysk srebra, by utkwic w ściennym ekranie. Ten przebudził się; nieregularne krzywe zamigotały niewyraźnie, sunąc wolno od brzegu do brzegu, jakby system próbował usunąć coś, co sprawiło mu ból.

- Nie potrzebuję cię – oznajmił.

* * *

Dużą część zawartości szwajcarskiego konta wydał na nową trzustkę i wątrobę, resztę na nowe Ono-Sendai i bilet powrotny do Ciągu.

Znalazł robotę.

Znalazł dziewczynę, która nazywała siebie Michael.

A pewnej październikowej nocy, gdy przesuwiał się obok szkarłatnych tarasów Agencji Energii Atomowej Wschodniego Wybrzeża, zauważył trzy postacie, maleńkie, nierealne, na samej krawędzi jednego z szerokich stopni danych. Mimo rozmiarów, dostrzegął uśmiech chłopca i jego różowe dziąsła, błysk podłużnych szarych oczu, które należały kiedyś do Rivieri. Linda wciąż miała na sobie jego kurtkę; pomachała mu, gdy ich mijali. Lecz trzecią postacią, tuż obok niej, z ręką na jej ramieniu, był on sam.

I gdzieś, bardzo blisko, śmiech, który nie był śmiechem.

Nigdy więcej nie zobaczył Molly.

Vancouver
lipiec 1983

PODZIĘKOWANIA

dla Bruce'a Sterlinga, dla Johna Shirleya,
Helden. I dla Toma Maddoxa, wynalazcy LOD-u.
I innych, którzy wiedzą, za co.

graf zero

Dla D.

*Quiero hacer contigo
lo que la primavera
hace con los cerezos*

– Neruda

GrafZero – Schemat blokowy procedury pustej.

W New Delhi wypuścili na trop Turnera psa-tarana. Nastroili na jego feromony i kolor włosów. Dogonił go na ulicy zwanej Chandni Chauk i przez las gołych brązowych nóg i opon rikszy ruszył biegiem do wynajętego bmw. W rdzeniu miał kilogram rekrytalizowanego heksogenu w powłoce TNT.

Turner nie zauważył, że się zbliża. Jego ostatnim obrazem Indii była otynkowana na różowo fasada hotelu o nazwie Khush-Oil.

Miał dobrego agenta, zatem miał również dobry kontrakt. A że miał dobry kontrakt, w godzinę po wybuchu znalazł się w Singapurze. Przynajmniej jego większa część. Holenderski chirurg lubił sobie żartować, jak to pewien nieokreślony procent Turnera nie wy dostał się z Palam International tym pierwszym lotem i musiał spędzić noc w magazynie, w pojemniku biomedycznym.

Holender i jego zespół poświęcili trzy miesiące, żeby poskładać Turnera do kupy. Wyklonowali metr kwadratowy skóry: wyhodowali ją na blokach kolagenu i polisacharydach z chrząstek rekina. Oczy i genitalia kupili na wolnym rynku. Oczy były zielone.

Większą część tych trzech miesięcy spędził w generowanym z ROM-u symstymowym konstrukcie wyidealizowanego dzieciństwa w zeszłowiecznej Nowej Anglii. Wizyty Holendra były snami szarego przedświt, koszmarami niknącymi, gdy niebo rozjaśniało się za oknem jego sypialni na piętrze. Późno w noc pachniały lilie. Czytał Conan Doyle'a przy świetle sześćdziesięciowatowej żarówki ukrytej za pergaminowym abażurem w klipry. Masturbował się w zapachu czystej

pościeli i myślał o dziewczynach ze szkoły. Holender otwierał tylne drzwiczki umysłu i wchodził, by zadawać pytania; ale rano matka wołała na śniadanie, na owsiankę, jajka na bekonie, kawę z mlekiem i cukrem.

Aż pewnego ranka obudził się w obcym łóżku; Holender stał przy oknie, z którego wlewały się do wnętrza tropikalna zieleń i raniący oczy blask słońca.

– Możesz już wracać do domu, Turner. Skończyliśmy z tobą. Jesteś jak nowy.

* * *

Był jak nowy... To znaczy jaki? Nie wiedział. Wziął wszystko, co przekazał mu Holender, i odleciał z Singapuru. Domem było następne lotnisko: Hyatt.

I następne. I jeszcze jedno.

Leciał wciąż dalej. Jego chip kredytowy był prostokątem czarnego lustra ze złotą krawędzią. Gdy go pokazywał, ludzie za kontuarami uśmiechali się i kiwali głowami. Drzwi otwierały się i zamykały. Koła odrywały się od żelbetu, pojawiały się drinki, podawano obiad.

Na Heathrow z białej kopuły nieba nad lotniskiem oderwał się wielki kawał pamięci i runął prosto na niego. Nie zatrzymując się, Turner wymiotował do niebieskiego plastikowego pojemnika. Kiedy dotarł do lady na końcu korytarza, wymienił swój bilet.

Poleciał do Meksyku.

* * *

I przebudził się wśród brzęku blaszanych wiader na kafelkach, wilgotnego szelestu szczotek, obok ciepłego ciała przytulonej kobiety.

Pokój był wysoko sklepioną jaskinią. Nagi biały tynk zbyt wyraźnie odbijał dźwięki; gdzieś poza hałasami pokojówek na porannym dziedzińcu

rozbrzmiewały głuche uderzenia fal przyboju. Zgnieciona w dłoni pościel była szorstkim płótnem zmięczonym niezliczonymi praniem.

Pamiętał słońce wpadające przez szeroką przestrzeń opalizującej szyby, lotniskowy bar, Puerto Vallarta. Musiał przejść z samolotu dwadzieścia metrów; mocno zaciskał powieki w obronie przed słońcem. Zapamiętał martwego nietoperza, rozprasowanego jak zeschnięty liść na betonie pasa.

Pamiętał jazdę autobusem, górską drogę, smród spalin, brzegi przedniej szyby zaklejone pocztówkowymi hologramami niebieskich i różowych świętych. Ignorował górską scenerię, poświęcając całą uwagę kuli różowego lucytu i nierównemu tańcowi rtęci w jej wnętrzu. Nieco większa od baseballowej piłki gałka tkwiła na zgiętym stalowym przecie dźwigni zmiany biegów. Została odlana wokół przyczajonego pająka wydmuchanego z czystego szkła i w połowie wypełnionego rtęcią. Rtęć chlapała i kołysała się, kiedy szofer pędził swym autobusem po serpentynach, drżała i falowała na prostych. Gałka była śmieszna, ręcznie robiona, złowieszcza: tkwiła tam, by powitać go znowu w Meksyku.

Jeden z klikunastu microsoftów, jakie dostał od Holendra, dawał ograniczoną znajomość hiszpańskiego. Ale w Vallarta sięgnął za lewe ucho i wsunął w gniazdo zatyczkę, kryjąc ją pod kwadratem cielistego mikroporowego plastra. Pasażer w tyle autobusu miał radio. Rytmiczny pop przerywał okresowo głos spikera recytującego jak litanię ciągi dziesięciocyfrowych liczb: dzisiejsze wygrane w loterii państwowej.

Kobieta obok niego poruszyła się we śnie.

Podparł się na łokciu i przyjrzał się jej. Obca twarz, ale nie taka, jakiej życie w hotelach nauczyło go oczekiwać. Spodziewał się raczej rutynowej piękności, płodu taniej chirurgii plastycznej i nieustępliwego darwinizmu mody, archetypu wypieczonego z twarzy gwiazd ostatnich pięciu lat.

W zarysie szczęki miała coś ze środkowego Zachodu, archaicznego i amerykańskiego. Niebieska pościel zwijała jej się wokół bioder, padające przez drewniane okiennice promienie słońca pokrywały długie uda ukośnymi pasami złota. Twarze, przy których budził się w hotelach całego świata, przypominały ozdoby na masce wozu samego Boga... Śpiące twarze

kobiet, identyczne i samotne, nagie, zwrócone wprost w pustkę. Ale ta była inna. Już teraz wiązało się z nią jakieś znaczenie. Znaczenie i imię.

Usiadł, zsuwając nogi z łóżka. Podeszwy stóp wyczuły na zimnych kafelkach szorstkość morskiego piasku. W powietrzu unosił się lekki, przenikliwy zapach środka owadobójczego. Wstał nagi, z pulsującą głową. Zmusił nogi do ruchu. Sprawdził pierwsze z dwojga drzwi, znalazł białe kafelki, biały tynk, pękate, chromowane sitko prysznic na poznaczonej rdzą żelaznej rurze. Oba krany uwalniały identyczny strumyczek letniej wody. Obok plastikowej szklanki leżał antyczny zegarek: mechaniczny rolex na pasku z jasnej skóry.

W zakrytych okiennicami oknach łazienki nie było szyb, jedynie napięta siateczka z zielonego nylonu. Wyjrzał między drewnianymi listwami, mrużąc oczy przed gorącym, czystym słońcem. Zobaczył wyschniętą fontannę wyłożoną kwiecistymi kafelkami i rdzewiejące zwłoki volkswagena rabbita.

Allison. Tak miała na imię.

* * *

Włożyła wystrzępione oliwkowe szorty i jedną z jego białych koszulek; nakręcany rolex ze zmętniałą stalową kopertą trafił na lewy przegub. Poszli na spacer wzdłuż łuku plaży, w stronę Barre de Navidad. Trzymali się wąskiego pasa twardego mokrego piasku powyżej linii fal.

Mieli już wspólną historię: pamiętał ją rankiem przy straganie pod żelaznym dachem małego miasteczkowego *mercado*, jak oburącz trzymała wielki gliniany kubek wrzącej kawy. Wymazując tortillą jajka z salsą z popękanego białego talerza, obserwował muchy krążące w smugach światła docierających przez łaty palmowych liści i skorodowane płyty. Chwilę rozmowy o jej pracy w jakiejś firmie prawniczej w Los Angeles, gdzie mieszkała sama w którymś ze skleconych na pontonach miasteczek zacumowanych niedaleko Redondo. Powiedział jej, że jest specjalistą doboru personelu. W końcu naprawdę zajmował się personelem.

– Może szukam jakiejś innej pracy...

Ale rozmowa wydawała się wtórna wobec tego, co istniało między nimi. Fregata zawisała im nad głowami, przez chwilę walczyła z wiatrem, ześliznęła się w bok, zawróciła i odleciała. Oboje zadrżeli, widząc cudowną swobodę ptaka, jego bezmyślne szybowanie. Ścisnął jej dłoń.

Niebieska sylwetka wyrosła naprzeciw, zbliżając się plażą: żandarm maszerował do miasta. Wyglansowane czarne wysokie buty na miękkim białym piasku wydawały się nierzeczywiste. Kiedy ich mijał, z twarzą smagłą i nieruchomą za lustrzanymi okularami, Turner zauważył karabinowego formatu laser Steiner-Optic z celownikiem Fabrique Nationale. Niebieski kombinezon był idealnie czysty, nogawki z kantami jak noże.

Przez większą część swego dorosłego życia Turner sam był żołnierzem, chociaż nigdy nie nosił munduru. Był najemnikiem, angażowanym przez wielkie korporacje, prowadzące nieustanną sekretną wojnę o panowanie nad gospodarkami całych państw. Był specjalistą od wyciągania wyższych urzędników i naukowców. Ponadnarodowe koncerny, dla których pracował, nigdy by nie przyznały, że istnieją tacy ludzie jak Turner...

– Wczoraj wieczorem wypieś prawie całą butelkę herradury – zauważyła.

Kiwnął głową. Jej dłoń w jego dłoni była ciepła i sucha. Przy każdym kroku spoglądał na palce jej stóp, na paznokcie pomalowane spękaną różową emalią.

Fale toczyły się do brzegu, o szczytach przejrzystych jak zielone szkło.

Pył wodny skraplał się na jej opaleniźnie.

* * *

Po pierwszym dniu razem ich życie potoczyło się według prostego wzoru. Jedli śniadanie w *mercado*, w budce z betonowym kontuarem, wytartym do gładzi polerowanego marmuru. Rankiem pływali, dopóki słońce nie zapędzało ich do ocienionego okiennicami chłodu hotelowego pokoju. Tam kochali się pod wolnymi drewnianymi łopatkami sufitowego wentylatora. Potem spali. Po południu badali labirynt wąskich uliczek za Avenida albo

ruszali na wycieczkę na wzgórze. Kolacje jadali w małych restauracjach nad plażą i pili drinki na patkach białych hoteli. Światło księżyca kłębiło się na szczytach fal.

Stopniowo, bez słów, nauczyła go nowego stylu namiętności. Był przyzwyczajony do obsługi, do kontaktów z wyszkolonymi profesjonalistkami. Teraz, w białej grocie, klękał na kafelkach i zlizywał z niej sól Pacyfiku zmieszaną z jej wilgocią, a chłodne uda gładziły mu policzki. Z dłońmi na jej biodrach unosił ją jak kielich, mocno przyciskając wargi, gdy język szukał centrum, ogniska, częstotliwości, która doprowadzi ją na szczyt. Potem z uśmiechem wspinał się na nią, wchodził i szukał własnej drogi.

Czasami potem coś opowiadał; długie spirale luźnych historii spletały się i łączyły z szumem morza. Ona sama mówiła niewiele, ale nauczył się cenić te nieliczne słowa. I zawsze obejmowała go. I słuchała.

* * *

Minał tydzień, potem następny. Ostatniego ich wspólnego dnia przebudził się w tym samym chłodnym pokoju i znalazł ją obok siebie. Przy śniadaniu miał wrażenie, że dostrzega w niej jakąś zmianę, niepokój.

Opalali się i pływali, a w znajomym łóżku zapomniał o lekkim ukłuciu lęku.

Po południu zaproponowała spacer plażą w stronę Barre, tam gdzie poszli pierwszego ranka.

Turner wyjął z gniazda za uchem zatyczkę i wsunął drzazgę mikrosoftu. Struktura hiszpańskiego przeniknęła go jak szklana wieża, niewidoczne bramy wisiały na zawiasach czasu teraźniejszego i przyszłego, trybów warunkowych i czasowników dokonanych. Zostawił ją w pokoju, przeszedł przez Avenida i znalazł się na rynku. Kupił wiklinowy kosz, puszkę zimnego piwa, kanapki i owoce. Wracając, wziął jeszcze od handlarza na Avenida nową parę okularów.

Miał już równą, ciemną opaleniznę. Zniknęły kanciaste łąty pozostawione po wszczepach Holendra, a ona nauczyła go jedności

własnego ciała. Rankiem, kiedy w lustrze patrzył w zielone oczy, były to jego oczy, a w snach Holender przestał go dręczyć swymi marnymi dowcipami i suchym kaszlem. Czasami widywał jeszcze we śnie odpryski Indii, kraju, którego prawie nie znał; jaskrawe odłamki: Chandni Chauk, zapach kurzu i pieczonego chleba...

* * *

Mury zrujnowanego hotelu wyrastały w jednej czwartej łuku zatoki. Przybój był tu silniejszy, każda fala jak wybuch.

Pociągnęła go w tamtą stronę. W kącikach jej oczu dostrzegł coś nowego: napięcie. Mewy wleciały w górę, kiedy szli ręką w rękę po plaży, by zajrzeć za puste otwory drzwi. Piasek osiadł i fasada budynku się zapadła. Ściany runęły, pozostawiając stropy trzech kondygnacji, niczym olbrzymie dachówki zwisające z pogiętych, pordzewiałych ściągien grubych jak palec stalowych prętów. Każde piętro pomalowano na inny kolor, wyłożono innym wzorem płytek.

HOTEL PLAYA DEL M głosił napis z dziecięcych liter, ułożonych z muszli nad betonowym łukiem.

- Mar – dokończył, chociaż wyjął już microsoft.
- To koniec – powiedziała, wchodząc w cień łuku.
- Czego koniec?

Podążył za nią. Kosz ocierał mu biodro, piasek pod stopami był chłodny, suchy i miałki.

- Koniec. Skończone. To miejsce. Nie ma tu czasu, nie ma przyszłości.

Spojrzał na nią, a potem dalej, na zardzewiałe sprężyny łóżka wbite w kąt między rozkruszonymi ścianami.

- Śmierdzi moczem – stwierdził. – Chodźmy popływać.

* * *

Morze stłumiło poczucie chłodu, lecz jakoś oddalili się od siebie. Siedzieli na kocu z pokoju Turnera i jedli w milczeniu. Cień ruin wydłużał się. Wiatr rozwiewał jej jasne od słońca włosy.

– Kiedy na ciebie patrzę, myślę o koniach – odezwał się w końcu.

– Tak? – odpowiedziała, jak gdyby z głębin zmęczenia. – W końcu wymarły dopiero trzydzieści lat temu.

– Nie. O ich włosach. Tych włosach na szyi, kiedy biegają.

– Grzywy – mruknęła. Łzy błysnęły jej w oczach. – Pieprz to. – Ramiona jej zadrżały. Odetchnęła głęboko. Rzuciła na piasek pustą puszkę po carta blanca. – To wszystko... i ja... jakie to ma znaczenie? – Jej ręce znowu go objęły. – Och, Turner, chodź! Chodź...

A kiedy kładła się na plecach, ciągnąc go za sobą, zobaczył coś: łódź zredukowaną odległością do białego myślnika tam, gdzie woda spotyka się z niebem.

* * *

Usiadł i wciągnął obcięte dzinsy. Znowu zobaczył jacht. Był teraz o wiele bliżej: pełna gracji biała sylwetka sunąca po wodzie. Głębokiej wodzie. Sądząc po sile przyboju, dno musiało tu opadać niemal pionowo. Pewnie dlatego szereg hoteli przy plaży kończył się tam, gdzie się kończył. I dlatego nie przetrwała ta ruina. Fale wypłukały jej fundamenty.

– Daj mi kosz.

Zapinała bluzkę. Kupił ją dla niej w którymś z tych smętnych małych sklepików przy Avenida. Jaskrawoniebieska meksykańska bawełna, marnie uszyta. Rzeczy kupowane tu w sklepach rzadko wytrzymały dłużej niż dzień czy dwa.

– Prosiłem, żebyś mi podała kosz.

Posłuchała. Przeszukał resztki ich popołudnia; pod plastikową torbą plastrów ananasa zalanych sokiem z limony i przyprószonych cayenne znalazł swoją lornetkę, niewielkie wojskowe szkła 6x30. Otworzył integralne osłony z obiektywów i poduszek okularów, po czym

przestudiował zaokrąglone ideogramy logo Hosaki. Żółty ponton wypłynął zza rufy i skierował się w stronę plaży.

– Turner, ja...

– Wstawaj.

Zwinął koc i jej ręcznik, wsunął do kosza. Obok lornetki postawił ostatnią puszkę ciepłego carta blanca. Wstał, podniósł ją na nogi i wcisnął kosz do rąk.

– Może się mylę – powiedział. – Jeśli tak, uciekaj stąd. Biegnij do tej drugiej kępy palm. – Pokazał palcem. – Nie wracaj do hotelu. Złap autobus do Manzanillo albo Vallara. Jedź do domu.

Słyszał już warkot przyczepnego silnika.

Łzy stanęły jej w oczach, ale nie powiedziała ani słowa. Odwróciła się i pobiegła, mijając ruiny, przyciskając do piersi kosz, potykając się na ławicach nawianego piasku. Nie oglądała się za siebie.

Odwrócił się i spojrzał na jacht. Ponton podskakiwał na falach przyboju. Jacht nazywał się *Tsushima*, a ostatnim razem Turner widział go w Zatoce Hiroshimy, z jego pokładu podziwiał wrota Shinto w Itsukushima.

Nie potrzebował lornetki, by zgadnąć, że pasażerem pontonu jest Conroy, a steruje któryś z ninja Hosaki. Usiadł po turecku na chłodnym piasku i otworzył swoją ostatnią puszkę meksykańskiego piwa.

* * *

Opierając nieruchome dłonie o tekowy reling *Tsushimy*, spojrzał na linię białych nadbrzeżnych hoteli. Za nimi lśniły trzy hologramy miasteczka: Banamex, Aeronaves i sześciometrowa Dziewica nad katedrą.

Conroy stał obok.

– Nagłe zlecenie – powiedział. – Wiesz, jak to jest.

Głos miał równy, bez żadnej tonacji, jakby próbował naśladować tani chip głosowy. Szeroka twarz była blada, trupio blada. Podkrążone oczy kryły się głęboko, tlenioną grzywą zaczesywał do tyłu z szerokiego czoła. Nosił czarne polo i czarne spodnie.

– Wejźmy do środka – zaproponował.

Turner poszedł za nim, schylając głowę w niskich drzwiach kabiny. Białe parawany, jasna sosna bez najmniejszej skazy – surowy, tokijski szyk korporacyjny.

Conroy usiadł na niskim prostokątnym pufie z ciemnoszarego ultraskaju. Turner stanął nieruchomo z rękami zwisającymi bezwładnie po bokach. Conroy wziął z niskiego lakowego stolika ozdobny inhalator.

– Wzmacniacz choliny?

– Nie.

Conroy wsunął sobie inhalator do nozdrza i pociągnął.

– Może zjesz sushi? – zapytał. Odłożył inhalator na stół. – Przed godziną złapaliśmy parę lucjanów.

Turner stał bez ruchu i patrzył.

– Christopher Mitchell – oznajmił Conroy. – Maas Biolabs. Ich czołowy spec od układów hybrydowych. Przechodzi do Hosaki.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Bzdura. A co powiesz na drinka?

Turner pokręcił głową.

– Krzem już się kończy, Turner. Mitchell to facet, który wymyślił biochipy, a Maas siedzi na głównych patentach. Wiesz o tym. To ten gość od monoklonali. Chce odejść. Ty i ja, Turner, mamy go przerzucić.

– Chyba przeszedłem na emeryturę, Conroy. Dobrze mi tu było.

– To właśnie stwierdził zespół psycho w Tokio. To znaczy, przecież już nie pierwszy raz wychodzisz z dołka. Ona jest psychologiem polowym. Pracuje dla Hosaki.

Mięsień w udzie Turnera zaczął drgać rytmicznie.

– Mówią, że jesteś gotów, Turner. Po New Delhi trochę się o ciebie martwili, dlatego woleli sprawdzić. Taka drobna terapia na boku. Nigdy nie zaszkodzi, nie?

Idąc na spotkanie, włożyła swoje najlepsze rzeczy, ale w Brukseli padał deszcz, a ona nie miała pieniędzy na taksówkę. Szła piechotą od stacji Eurotrans.

Dłoń ukryta w kieszeni porządnego zakietu – od Sally Stanley, ale sprzed roku – z całej siły ścisnęła pomięty faks. Nie był jej więcej potrzebny, bo adres znała już na pamięć. Ale nie potrafiła go puścić, tak jak nie mogła przełamać transu, który ją opanował. Stała przed wystawą drogiego sklepu z męską odzieżą, a jej wzrok ogniskował się na przemian na spokojnych flanelowych koszulach i na odbiciu własnych ciemnych oczu.

Same oczy wystarczyłyby, żeby straciła pracę. Mokra włosy są już zbędne; żałowała teraz, że nie pozwoliła Andrei ich ściąć. W oczach malowały się cierpienie i apatia; każdy mógłby je dostrzec, i z pewnością wkrótce odkryje je Herr Josef Virek, najmniej prawdopodobny z potencjalnych pracodawców.

Kiedy dostarczono jej faks, z uporem powtarzała, że to okrutny żart, kolejny po serii anonimowych telefonów. To głównie media sprawiły, że ludzie nie dawali jej spokoju. W końcu Andrea zamówiła specjalny program telefoniczny, który filtrował wszystkie wezwania niewymienione w jej stałym katalogu. Ale to właśnie, tłumaczyła, wymusiło użycie faksu. W jaki sposób ktoś mógł się z nią skontaktować?

Marly tylko pokręciła głową i mocniej owinęła się starym frotowym szlafrokiem Andrei. Dlaczego Virek, niewiarygodnie bogaty kolekcjoner i mecenas sztuki, chciałby zatrudnić skompromitowaną byłą właścicielkę małej paryskiej galerii?

Wtedy z kolei Andrea potrząsnęła głową, zniecierpliwiona tą nową, „skompromitowaną” Marly Krushkovą, która całe dni spędzała w mieszkaniu i czasem nie chciało się jej nawet ubierać. Nieudaną próbę sprzedaży jednego fałszerstwa w Paryżu trudno byłoby uznać za taką sensację, jak to sobie wyobrażała Marly, twierdziła. Gdyby prasie nie zależało tak bardzo, by pokazać tego obrzydliwego Gnassa jako głupca, którym jest z całą pewnością, mówiła dalej, cała sprawa pewnie nawet nie trafiłaby do gazet. Gnass był dostatecznie bogaty i dostatecznie wulgarny, żeby wystarczyć na weekendowy skandal.

Andrea uśmiechnęła się.

– Gdybyś była mniej atrakcyjna, nie zwróciłabyś powszechnej uwagi.

Marly pokręciła głową.

– A to Alaian dokonał fałszerstwa. Ty o niczym nie wiedziałaś. Czyżbyś zapomniała?

Marly bez słowa wyszła do łazienki, wciąż otulona wytartym szlafrokiem.

Przyjaciółka chciała ją pocieszyć, ale pod jej dobrymi zamiarami Marly dostrzegała już zniecierpliwienie osoby zmuszonej do dzielenia bardzo małego mieszkanka z nieszczęśliwym i nieplacącym za siebie gościem.

W dodatku Andrea musiała jej pożyczyć na bilet Eurotransu.

Z bolesnym wysiłkiem wyrwała się z kręgu swych myśli i włączyła w gęsty, ale spokojny strumień belgijskich kupujących.

Dziewczyna w jaskrawych rajstopach i za dużej lodenowej kurtce swojego chłopaka przebiegła obok, czysta i uśmiechnięta. Przy następnym skrzyżowaniu Marly znalazła sklepik sprzedający ubrania w stylu, jaki lubiła za swoich studenckich czasów. Rzeczy wydawały się niewiarygodnie młode.

W zbielalej, ukrytej pięści – faks.

Galerie Duperey, 14 Rue au Buerre, Bruksela.

Josef Virek.

Recepcjonistka w chłodnym szarym holu Galerie Duperey mogła równie dobrze tam wyrosnąć: piękna i zapewne trująca roślina zakorzeniona za płytą polerowanego marmuru z inkrustacją krytej emalią klawiatury. Uniosła swe lśniące oczy. Marly wyobraziła sobie, że słyszy stuk i szum migawki, a wizerunek jej zmokniętej postaci zostaje przekazany do jakiegoś odległego zakątka imperium Josefa Vireka.

– Marly Krushkova – przedstawiła się. Z trudem powstrzymała chęć, by wyjąć zgnieciony w kulkę faks i dumnie rozprostować go na zimnym, nieskazitelnym marmurze. – Do Herr Vireka.

– Fraulein Krushkova – powiedziała recepcjonistka. – Herr Virek nie mógł dziś przybyć do Brukseli.

Marly obserwowała jej perfekcyjne wargi, świadoma jednocześnie bólu, jaki sprawiły jej te słowa, i ostrej rozkoszy, z jaką uczyła się przyjmować rozczarowania.

– Rozumiem.

– Jednakże postanowił przeprowadzić rozmowę z panią przez łącze sensoryczne. Zechce pani przejść do trzecich drzwi po lewej stronie...

* * *

Pokój był pusty i biały. Na dwóch ścianach wisały bez ram arkusze czegoś, co wyglądało jak zmoczona deszczem tektura, przebijana raz po raz różnymi narzędziami. *Katatonenkunst*. Konserwatywne. Takie prace sprzedawało się komitetom delegowanym przez rady nadzorcze holenderskich banków komercyjnych.

Usiadła na niskiej ławie obitej skórą i wreszcie zdecydowała się wypuścić faks. Była tu sama, choć domyślała się, że jest jakoś obserwowana.

– Fraulein Krushkova... – Młody człowiek w zielonym fartuchu technika stanął w drzwiach naprzeciwko tych, którymi tu weszła. – Za chwilę, jeśli można prosić, przejdzie pani przez pokój i przekroczy te drzwi. Proszę chwytać gałkę powoli, stanowczo i w sposób, który zapewni maksymalny

kontakt ze skórą dłoni. Proszę iść ostrożnie. Dezorientacja przestrzenna powinna być minimalna.

Zamrugła, nie rozumiejąc.

– Przepraszam...

– Łącze sensoryczne – odparł i zniknął. Drzwi zamknęły się za nim.

Wstała, spróbowała nadać jakiś kształt wilgotnym kłapom żakietu, sięgnęła do włosów, zrezygnowała, odetchnęła głęboko i podeszła do drzwi. Informacja recepcjonistki przygotowała ją na jedyny znany jej rodzaj łącza: sygnał symstymowy przekazywany via Bell Europa. Zakładała, że będzie nosić hełm nabijany dermatrodami, a Virek wykorzysta pasywnego obserwatora jako ludzką kamerę.

Ale fortuna Vireka mieściła się na całkiem innej skali wielkości.

Kiedy palce objęły zimną mosiężną gałkę, miała wrażenie, że metal się poruszył, w ciągu pierwszej sekundy kontaktu przesunął się przed dotykowe widmo faktur i temperatur. I znowu stał się metalem, pomalowanym na zielono żelazem, sięgającym daleko wzdłuż linii perspektywy: antyczną balustradą, którą ścisnęła zdumiona.

Kilka kropel deszczu upadło jej na twarz.

Zapach deszczu i wilgotnej ziemi.

Chaos drobnych szczegółów, gdy jej wspomnienia z alkoholowego pikniku w akademii walczyły z perfekcją iluzji Vireka.

Poniżej rozpościerała się niemożliwa do pomylenia panorama Barcelony, mgiełka przesłaniała niezwykle iglice kościoła Sagrada Familia. Walcząc z zawrotem głowy, chwyciła balustradę drugą ręką. Znała to miejsce. Znalazła się w Güell Park, wystrzępionej krainie czarów Antonio Gaudiego na nagim zboczu za centrum miasta. Po lewej stronie wielki jaszczur z szaleńczo zdobionej ceramiki zamarł w ześlizgu na rampie z szorstkiego kamienia. Fontanna jego paszczy zraszała klomb zmęczonych kwiatów.

– Jesteś zdezorientowana. Wybacz mi, proszę.

Josef Virek siedział pod nią na jednej z wygiętych w serpentyny parkowych ławek. Szerokie ramiona przygarbił pod lekkim płaszczem. Miała wrażenie, że przez całe życie znała jego twarz. Teraz – nie wiedziała

czemu – przypomniała sobie fotografię Vireka z królem Anglii. Uśmiechał się do niej. Głowę miał dużą i pięknie ukształtowaną pod grzywą sztywnych, ciemnosiwych włosów. Nozdrza były permanentnie rozszerzone, jakby wychwytywał zapachy wiatrów sztuki i handlu. Oczy, bardzo duże za okrągłymi szklami bez ramek – jego znakiem firmowym – były błękitne i dziwnie łagodne.

– Usiądź. – Poklepał przypadkową mozaikę rozbitych glinianych naczyń, zdobiącą siedzenie ławki. – Musisz mi wybaczyć tę zależność od techniki. Od ponad dekady jestem uwięziony w zbiorniku. W jakimś ohydny, przemysłowym przedmieściu Sztokholmu. A może piekła... Nie jestem zdrowy, Marly. Usiądź tu, koło mnie.

Odetchnęła głęboko, zeszła po kamiennych schodkach i przekroczyła alejkę.

– Herr Virek... – zaczęła. – Dwa lata temu byłam na pańskim wykładzie w Monachium. Krytyka Faesslera i jego *autistisches Theater*. Wyglądał pan wtedy zdrowo...

– Faessler? – Virek zmarszczył opalone czoło. – Widziałaś sobowtóra. A może hologram. Wielu rzeczy, Marly, dokonuje się w moim imieniu. Pewne aspekty mojej fortuny stopniowo zdobyły autonomię; czasami nawet walczą między sobą. Rebelia na fiskalnych rubieżach... Niemniej, z powodów tak złożonych, że niemal całkowicie okultystycznych, fakt mojej choroby nigdy nie przedostał się do publicznej wiadomości.

Siadła przy nim i spojrzała na brudny chodnik między zabłoconymi czubkami jej paryskich bucików. Zobaczyła odprysk jasnego żwiru, zardzewiały spinacz do papieru, zakurzone zwłoki pszczoły czy szerszenia...

– Zdziwiająco szczegółowa wizja...

– Tak – przyznał. – To nowe biochipy Maasa. Muszę wyznaczyć – kontynuował – że moja wiedza o twoim życiu osobistym jest niemal równie szczegółowa. W pewnych kwestiach nawet pełniejsza od twojej własnej.

– Naprawdę?

Najłatwiej, jak stwierdziła, było obserwować miasto, wyszukiwać charakterystyczne punkty zapamiętane z kilku studenckich wyjazdów.

Tam, właśnie tam jest pewnie Ramblas, papugi i kwiaty, tawerny, gdzie podają ciemne piwo i małże...

– Tak. Wiem, że to twój kochanek przekonał cię, że odnalazłaś zagubiony oryginał Cornella.

Marly zamknęła oczy.

– Zamówił to fałszerstwo. Wynajął dwóch utalentowanych studentów-rzemieślników i pewnego znanego historyka, który znalazł się w kłopotach natury osobistej... Zapłacił im pieniędzmi, które podjął z konta twojej galerii, jak się już z pewnością domyśliłaś. Płaczesz...

Marly skinęła głową. Chłodny palec stuknął ją w nadgarstek.

– Przekupiłem Gnassa. Przekupiłem policję, żeby dała spokój tej sprawie. Prasa nie była warta przekupstwa, zresztą rzadko bywa. A teraz, być może, przyda ci się ten niewielki rozgłos.

– Herr Virek, ja...

– Jedną chwilę, jeśli pozwolisz. Paco! Chodź tu, moje dziecko.

Marly otworzyła oczy. Zobaczyła chłopca mniej więcej sześciolatniego, w obcisłej czarnej marynarce i pumpach, jasnych pończochach i zapinanych czarnych butach. Trzymał coś w dłoniach... Jakieś pudełko...

– Gaudi rozpoczął budowę tego parku około tysiąc dziewięćsetnego roku – wyjaśnił Virek. – Paco nosi kostium z epoki. Podejdz, dziecko. Pokaż nam swoje cudo.

– Señor... – wyseplenił Paco, skłonił się i zaprezentował trzymany przedmiot.

Marly spojrzała. Pudełko z gładkiego drewna. Przeszkłone od frontu. Obiekty...

– Cornell – szepnęła, zapominając o łzach. – Cornell? – zwróciła się do Vireka.

– Oczywiście, że nie. Ten obiekt wbudowany w kość to biomonitor Brauna. Widzisz dzieło żyjącego artysty.

– Jest ich więcej? Więcej pudełek?

– Ja odnalazłem siedem. W ciągu trzech lat. Kolekcja Vireka, moja droga, to rodzaj czarnej dziury. Nadnaturalna gęstość mojego bogactwa

niewowstrzymanie ściąga najrzadsze dzieła ludzkiego ducha. Proces autonomiczny, któremu zwykle nie poświęcam zbyt wiele uwagi...

Ale Marly zatoneła w pudełku, w sugestii niemożliwych dystansów, straty i pragnienia. Było poważne, łagodne i jakby dziecinne. Zawierało siedem obiektów.

Wąską, pustą kość, z pewnością uformowaną do lotu, z pewnością pochodzącą ze skrzydła jakiegoś dużego ptaka. Trzy archaiczne płytki drukowane zdobione labiryntami złota. Gładką białą kulę wypieczonej gliny. Poczerniały od wieku strzęp koronki. Odcinek długości palca z czegoś, co uznała za kość z ludzkiego nadgarstka, szarawobiałą, przebitą gładko krzemowym grotem małego instrumentu, który kiedyś musiał się znajdować na poziomie skóry... ale jego tarcza była spalona i poczerniała.

Pudełko było wszechświatem, poematem zamrożonym w granicach ludzkiego doświadczenia.

– *Gracias, Paco.*

Pudełko i chłopiec zniknęli.

Otworzyła usta.

– Och... Wybacz, zapomniałem, że te zmiany są dla ciebie zbyt nagłe. Teraz jednakże musimy pomówić o twoich obowiązkach...

– Herr Virek – przerwała. – Czym jest Paco?

– Podprogramem.

– Rozumiem.

– Wynająłem cię, żebyś odnalazła twórcę pudełka.

– Ale Herr Virek, przy pańskich możliwościach...

– Teraz i ty do nich należysz, moje dziecko. Czy nie chcesz być zatrudniona? Kiedy moją uwagę zwróciła sprawa Gnassa, któremu podstawiono fałszywego Cornella, zrozumiałem, że możesz być użyteczna przy tym zadaniu. – Wzruszył ramionami. – Musisz przyznać, że posiadam pewien talent doprowadzania do pożądaných rezultatów.

– Naturalnie, Herr Virek! I tak, chcę pracować!

– Doskonale. Będziesz otrzymywać pensję. Uzyskasz dostęp do pewnych linii kredytowych, chociaż gdybyś zamierzała nabyć, powiedzmy, znacznych rozmiarów nieruchomości...

– Nieruchomości?

– Albo korporację czy statek kosmiczny. W takim przypadku wymagana będzie moja autoryzacja. Którą prawie na pewno otrzymasz. Poza tym masz wolną rękę. Sugeruję jednak, byś działała w skali, w jakiej czujesz się najlepiej. W przeciwnym razie grozi ci utrata kontaktu z własną intuicją. Intuicja zaś w takich przypadkach jest rzeczą kluczowej wagi. – Słynny uśmiech błysnął dla niej raz jeszcze.

Nabrała tchu.

– Herr Virek, a jeśli mi się nie uda? Ile mam czasu na odszukanie tego artysty?

– Resztę swego życia – odparł.

– Proszę wybaczyć – usłyszała przerażona własny głos. – Ale, jak zrozumiałam, powiedział pan, że żyje... w zbiorniku?

– Tak, Marly. I z tej dość krańcowej perspektywy mogę ci doradzić, żebyś starała się każdą godzinę przeżywać we własnym ciele. Nie w przeszłości, jeśli mnie rozumiesz. Mówię jako ktoś, kto nie potrafi już tolerować tego prostego stanu, jako że komórki mojego ciała wybrały błędne dążenie do indywidualnej kariery. Wyobrażam sobie, że człowiek, któremu bardziej sprzyja szczęście, albo uboższy, mógłby w końcu umrzeć czy zostać zakodowany w rdzeniu jakiegoś hardware'u. Mnie jednak ogranicza bizantyjska sieć okoliczności, pochłaniająca, jak rozumiem, około dziesiątej części mojego rocznego dochodu. Co czyni mnie, jak sądzę, najkosztowniejszym inwalidą na świecie. Wzruszyły mnie, Marly, twoje sercowe przeżycia. Zazdroszczę ci uporządkowanego ciała, z którego biorą początek.

Przez jedną chwilę patrzyła prosto w te błękitne oczy i z instynktowną pewnością ssaka wiedziała, że nadmiernie bogaci nie są nawet w przybliżeniu ludźmi.

Skrzydło nocy przemknęło po niebie nad Barceloną niczym ogromna, powolna migawka. Virek i Güell zniknęli, a ona znalazła się znowu na niskiej skórzanej ławie, wpatrzone w wystrzępione arkusze poplamionej tektury.

To taka zwykła rzecz: śmierć. Teraz to rozumiał: po prostu się zdarza. Człowiek spieprzył o ułamek i już była: coś zimnego i bez zapachu, co wydymało się z czterech głupich kątów saloniku matki w Barrytown.

Szlag, pomyślał. Dwa-Dziennie będzie boki zrywał ze śmiechu. Za pierwszym razem trafiłem wilsona.

Jedynym dźwiękiem w pokoju był słaby, jednostajny brzęk jego wibrujących zębów, naddźwiękowa epilepsja, gdy sprzężenie zwrotne wgryzało się w system nerwowy. Widział swoją znieruchomiałą dłoń drżącą delikatnie o centymetry od czerwonego plastikowego klawisza, który mógłby przerwać mordercze połączenie.

Szlag...

Wrócił do domu i od razu wziął się do roboty. Wcisnął kasetę z wynajętym od Dwóch-Dziennie lodolamaczem, włączył się i wystukał adres bazy, którą wybrał jako swój pierwszy prawdziwy cel. Uznał, że tak właśnie powinno się to załatwiać: chcesz coś zrobić, więc robisz. Dopiero od miesiąca miał swój mały dek Ono-Sendai, ale już wiedział, że chce być czymś więcej niż szpanerem w Barrytown. Bobby Newmark, znany jako Graf Zero... Ale to już historia. Filmy nigdy się tak nie kończyły, nie na samym początku. Na filmie dziewczyna kowboja, głównego bohatera, a może jego partner, wbiegliby, zerwali mu trody, wcisnęli ten mały czerwony guzik z napisem OFF. I człowiek jakoś by z tego wyszedł.

Ale Bobby był teraz sam; jego autonomiczny system nerwowy został pokonany przez obronę bazy danych działającej trzy tysiące kilometrów od Barrytown. Wiedział o tym. W złowieszczym mroku zachodziły jakieś

magiczne reakcje, coś, co pozwalało mu dostrzec nieskończoną atrakcyjność pokoju z jego dywanem w kolorze dywanu i zasłonobarwnych zasłon, przybrudzoną piankową kanapą i kanciastą chromową ramą podtrzymującą sześćioletni moduł rozrywkowy Hitachi.

Przygotowując się do wejścia, starannie zaciągnął te zasłony. Teraz jednak zdawało mu się, że jakoś spogląda przez nie na bloki Barrytown wzbierające betonową falą, łamiącą się na ciemniejszych wieżach Projektów. Fala bloków jeżyła się owadziimi czułkami anten i siatkowych talerzy satelitarnych, powiązanych sznurami schnącej bielizny. Matka zawsze się na to skarżyła – miała suszarkę. Pamiętał pobielełe kostki jej dłoni ściskającej balustradę z imitacji brązu, pamiętał suche zmarszczki w miejscu, gdzie zginała przegub. Pamiętał martwego chłopca wynoszonego z Wielkiego Lunaparku na duralowych noszach, owiniętego w plastikową folię tego samego koloru co policyjny radiowóz. Upadł i rozbił sobie głowę. Upadł. Głowa. Wilson.

Serce zatrzymało się. Miał uczucie, że pada na bok, kopiając nogami jak zwierzak w kreskówce.

Szesnasta sekunda śmierci Bobby'ego Newmarka. Śmierci szpanera.

I wtedy coś pochylilo się... Niewysłowiony ogrom spoza najdalszej granicy wszystkiego, co znał i co sobie wyobrażał. I dotknęło go.

:::CO TY ROBISZ? DLACZEGO ONI CI TO ROBIĄ?

Dziewczęcygłos, kasztanowewłosy, ciemneoczy...

:ZABIJAJĄ MNIE ZABIJAJĄ MNIE PRZERWIJ TO PRZERWIJ...

Ciemneoczy, pustynnagwiazda, beżowakoszulka, dziewczęcewłosy...

:::ALE TO TYLKO TAKA SZTUCZKA, WIDZISZ? TYLKO CI SIĘ WYDAJE, ŻE TO CIĘ DOSTAŁO. PATRZ. ZARAZ TU POPRAWIĘ... I JUŻ NIE ZACIĄGASZ PĘTLI.

Jego serce przekościolkowało na plecy i wykopało obiad czerwonymi nogami z kreskówki, galwanicznym spazmem żabiej nóżki, który zwałił go z krzesła i zerwał z czoła trody. Pęcherz puścił, gdy głowa trafiła w róg hitachi, a ktoś powtarzał szlag szlag szlag w zapach kurzu na dywanie. Dziewczęcygłos umilkł, zniknęła gwiazdapustyni, mgnienie wrażenia chłodnego wiatru i wygładzonego wodą kamienia...

I wtedy głowa mu eksplodowała. Widział to całkiem wyraźnie gdzieś z bardzo daleka. Jak granat fosforowy.

Biel.

Światło.

Czarna honda zawisała dwadzieścia metrów nad ośmiokątnym pokładem opuszczonej platformy wiertniczej. Zbliżał się świt i Turner dostrzegł wymalowany na płycie lądowiska wyblakły kontur koniczynki zagrożenia biologicznego.

– Macie tam biohazard, Conroy?

– Nie taki, do jakiego nie byłbyś przyzwyczajony.

Postać w czerwonym kombinezonie machała rękami, dając znaki pilotowi. Kiedy lądowali, podmuch wymiatał do morza strzępy opakowań. Conroy uderzył w płytkę zwalniającą uprząż i ponad Turnerem sięgnął do zamka wjazdu. Kłapa odsunęła się i natychmiast uderzył w nich huk silników. Conroy stuknął go w ramię i kilka razy machnął z dołu do góry otwartą dłonią. Wskazał palcem pilota.

Turner wy dostał się na zewnątrz i zeskoczył; śmigło wirowało jak zamazany grzmot. Potem obok przykucnął Conroy. Zbiegli z wyblakłej koniczynki pochyleni, na ugiętych nogach, krokiem typowym dla lądowisk śmigłowców. Podmuch hondy owijał im nogawki wokół kostek. Turner miał gładką szarą walizkę wytłoczoną z balistycznego ABS, swój jedyny bagaż. Ktoś spakował ją dla niego w hotelu i czekała już na *Tsushimie*. Nagła zmiana wysokości dźwięku poinformowała go, że honda się wznosi. Z wyciem wirnika odleciała ku brzegowi. Nie zapalała świateł. Kiedy hałas ucichł, Turner usłyszał krzyk mew, plusk i szum fal Pacyfiku.

– Ktoś kiedyś próbował tu założyć bank danych – wyjaśnił Conroy. – Wody międzynarodowe. Nikt jeszcze wtedy nie mieszkał stale na orbicie, więc przez kilka lat miało to sens. – Ruszył w stronę pordzewiałego lasu

wsporników podtrzymujących nadbudówkę platformy. – Jeden ze scenariuszy Hosaki przewidywał, że ściągniemy Mitchella tutaj, prześwietlimy go, wpakujemy na *Tsushimę* i pełną parą ruszymy do starej Japonii. Powiedziałem, żeby nawet nie myśleli o tym gównie. Maas wykryje co trzeba, a potem mogą wałnąć w nas czym tylko zechcą. Powiedziałem, że kluczem jest ten kompleks, który mają w Distrito Federal. Mam rację? Tam na wiele numerów Maas się nie odważy, nie w środku pieprzonego Mexico City...

Z cienia wynurzył się jakiś człowiek z twarzą zniekształconą przez pękate gogle systemu aplikacji obrazu. Machnął na nich tępymi, zablokowanymi wylotami strzałkowca Lansinga.

– Biohazard – mruknął Conroy, kiedy mijali strażnika. – Schył głowę. I uważaj, schody są śliskie.

* * *

Platforma cuchnęła korozją, zaniedbaniem i słoną wodą. Nie było okien. Rosnące liszaje rdzy pokrywały wyblakłe kremowe ściany. Co kilka metrów ze wsporników stropu zwisały bateryjne lampy fluoroscencyjne, rzucając upiorny zielonkawy blask, równocześnie jaskrawy i denerwująco nierówny. W głównej hali pracowało co najmniej kilkunastu ludzi; poruszali się ze spokojną precyzją dobrych techników. Zawodowcy, pomyślał Turner. Rzadko na siebie patrzyli i prawie się nie odzywali. Było zimno, strasznie zimno. Conroy dał mu wielką parkę z mnóstwem rzepów i zamków.

Kłęczący brodaty mężczyzna w futrzanej lotniczej kurtce srebrną taśmą mocował do powyginanej wręgi zwoje światłowodu. Conroy szeptem toczył dyskusję z czarną kobietą ubraną w parkę taką jak Turner. Brodaty technik podniósł głowę i zauważył go.

– O cholera! – zawołał, wciąż na kolanach. – Domyślałem się, że to wielki numer, ale widzę, że będzie też gorąco.

Wstał, odruchowo wycierając ręce o nogawki dzinsów. Jak wszyscy tutaj, nosił mikroporowe rękawiczki chirurgiczne.

– Jesteś Turner. – Uśmiechnął się, zerknął w stronę Conroya i z kieszeni kurtki wyjął czarną plastikową butelkę. – Rozgrzej się trochę. Pamiętasz mnie? Byłem z tobą przy tej robocie w Marrakeszu, kiedy chłopak z IBM przechodził do Mitsu-G. Mocowałem ładunki do autobusu, coście nim razem z Francuzem wjechali do lobby tego hotelu...

Turner wziął butelkę, pstryknął w wieczko i przechylił. Bourbon. Zapiękł mocno i ostro, ciepło rozlało się z okolic mostka.

– Dzięki.

Oddał butelkę, a brodacz schował ją do kieszeni.

– Oakey – powiedział. – Tak się nazywam: Oakey. Pamiętasz?

– Jasne – skłamał Turner. – Marrakesz.

– Wild turkey – poinformował Oakey. – Leciałem tu przez Schiphol i zajrzałem do bezcłowego. Twój partner... – Jeszcze jeden rzut oka na Conroya. – Jest trochę spięty. Znaczy się, nie tak jak w Marrakeszu. Mam rację?

Turner kiwnął głową.

– Jakbyś czegoś potrzebował, daj znać.

– Na przykład czego?

– Jeszcze drinka. Mam też peruwiański śnieg, taki całkiem żółty. – Oakey znów się uśmiechnął.

– Dzięki – powtórzył Turner.

Zauważył, że Conroy odwraca się od czarnej kobiety. Oakey też to dostrzegł, przykleknął szybko i oderwał świeży kawałek srebrnej taśmy.

– Kto to był? – zapytał Conroy, kiedy wprowadził Turnera za wąskie drzwi z gnijącymi czarnymi uszczelkami na krawędziach. Zakręcił kołem przesuającym zapadki; niedawno ktoś je naoliwił.

– Nazywa się Oakey.

Turner rozejrzał się po kajucie. Mniejsza. Dwie lampy, składane stoły i krzesła, wszystko nowe. Na stołach jakieś instrumenty pod czarnymi plastikowymi pokrowcami.

– Twój przyjaciel?

– Nie. Kiedyś dla mnie pracował.

Podszedł do stołu i odrzucił pokrowiec.

– Co to jest?

Konsola miała prosty, surowy wygląd fabrycznego prototypu.

– Dek cyberprzestrzeni. Maas-Neotek.

Turner uniósł brwi.

– Twój?

– Mamy dwa. Jeden tu, jeden na pozycji. Od Hosaki. Podobno najszybsza zabawka w matrycy, a Hosaka nie potrafi nawet skopiować konstrukcji chipów. Całkiem nowa technologia.

– Dostali je od Mitchella?

– Nie mówią. Ale wypuścili je z rąk tylko po to, żeby dać naszym dżokejom przewagę. A to świadczy, że bardzo chcą dostać faceta.

– Kto siedzi przy konsoli, Conroy?

– Jaylene Slide. Przed chwilą z nią rozmawiałem. – Ruchem głowy wskazał drzwi. – Na placówce facet z L.A. Taki dzieciak, nazywa się Ramirez.

– Są dobrzy? – Turner nałożył pokrowiec.

– Lepiej, żeby byli, biorąc pod uwagę, ile im płacimy. Przez ostatnie dwa lata Jaylene zyskała niezłą reputację, a Ramirez to jej uczeń. Szlag by ich...

– Conroy wzruszył ramionami. – Przecież znasz tych kowbojów, nie? Wszyscy zdrowo szurnięci.

– Skąd ich wzięłeś? A skoro już o tym mowa, skąd wzięłeś Oakeya?

Conroy uśmiechnął się.

– Od twojego agenta, Turner.

Turner przyjrzał mu się uważnie, po czym skinął głową. Odwrócił się i podniósł następny pokrowiec: plastikowe i styropianowe pudełka ułożone równo jedno na drugim na zimnym metalu stołu. Dotknął niebieskiego prostokąta plastiku z wybitym srebrnym monogramem: S&W.

– Twój agent – wyjaśnił Conroy, gdy Turner odchylił pokrywkę. W łożu z jasnoniebieskiej pianki leżała broń: masywny rewolwer z brzydką naroślą pod krótką lufą. – S&W Tactical .408 z ksenonowym projektorem. Powiedział, że tego zażadasz.

Turner wyjął rewolwer i wcisnął kciukiem przycisk testu baterii projektora. Dwa razy błysnęła czerwona LED-a na orzechowej rękojeści.

Wypchnął na bok bębenek.

– Amunicja?

– Na stole. Ręcznie ładowane, z wybuchowymi pociskami.

Turner znalazł przezroczystą kostkę bursztynowego plastiku, otworzył ją lewą ręką i wyjął nabój.

– Dlaczego mnie do tego wybrali, Conroy? – Obejrzał nabój i starannie wsunął go do jednej z sześciu komór bębenkowego magazynka.

– Nie wiem. Wygląda na to, że mieli cię w planach, kiedy dostali wiadomość od Mitchella...

Turner zakręcił bębenkiem i zatrzasnął go.

– Pytałem, dlaczego mnie do tego wybrali. – Oburącz podniósł rewolwer i wyprostował ramiona, mierząc w twarz Conroya. – W takiej spluwie czasami możesz spojrzeć w głąb lufy... Zobaczyć, czy jest tam kula.

Conroy pokręcił głową, ledwie widocznie.

– A może widzisz ją w którejś z pozostałych komór...

– Nie – odparł Conroy, bardzo cicho. – Nic z tego.

– Może psychiatrzy spieprzyli robotę, Conroy. Co ty na to?

– Nie. – Twarz Conroya nie drgnęła. – Nie spieprzyli i ty nie spieprzysz.

Turner nacisnął spust. Kurek szcęknął o pustą komorę. Conroy mrugnął, otworzył usta, zamknął. Patrzył, jak Turner opuszcza smith & wessona. Samotna kropla potu wytoczyła mu się z włosów i zniknęła w brwi.

– No więc? – spytał Turner. Ręka z bronią wisiała mu u boku.

Conroy wzruszył ramionami.

– Nie rób takich numerów.

– Tak bardzo im na mnie zależy?

Conroy kiwnął głową.

– To twoje przedstawienie, Turner.

– Gdzie jest Mitchell? – Znowu wysunął magazynek i zaczął ładować pięć pozostałych komór.

– W Arizonie. Jakies pięćdziesiąt kilometrów od linii Sonory, w ośrodku badawczym na płaskowyżu. Maas Biolabs, Ameryka Północna. Wszystko

tam należy do nich, aż do samej granicy, a płaskowyz leży w samym środku pól obserwacji czterech satelitów zwiadowczych. *Mucho* szczelny system.

– A jak my się mamy tam dostać?

– Nie musimy. Mitchell sam wyjdzie. Zaczekamy na niego, przejmujemy i dostarczymy Hosace jego dupę w jednym kawałku. – Conroy sięgnął zgiętym palcem za rozpięty kołnierzyk czarnej koszuli i wyciągnął czarną nylonową linkę, a potem zapięty na rzep nylonowy futerał. Otworzył go ostrożnie, wyjął jakiś przedmiot i na otwartej dłoni wręczył Turnerowi. – Masz. To nam przysłał.

Turner odłożył rewolwer na najbliższy stolik i wziął niezwykły obiekt. Przypominał nabrzmiały szary mikrosoft: z jednej strony standardowe neurozłącze, z drugiej dziwaczna zaokrąglona narośl, niepodobna do niczego, co kiedykolwiek widział.

– Co to jest?

– Biosoft. Jaylene włączyła się w to; myślała, że to zrzut danych z SI. To coś w rodzaju dossier Mitchella z doklejoną na końcu wiadomością do Hosaki. Lepiej sam się włącz; chcesz się szybko zorientować w sytuacji...

Turner podniósł głowę.

– Jak to wzięło Jaylene?

– Powiedziała, że lepiej to robić na leżąco. Chyba się jej nie spodobało.

* * *

Maszynowe sny powodowały szczególny zawrót głowy. Turner położył się na dziewiczym płacie zielonej gąbki w zaimprovizowanej sypialni i włączył dossier Mitchella. Uruchamiało się powoli – miał czas, żeby zamknąć oczy.

Dziesięć sekund później miał je otwarte. Zacisnął palce na gąbce i zwalczył atak mdłości. Jeszcze raz zamknął oczy... Zaskoczyło znowu, stopniowo: migotliwy, nieliniowy potok faktów i danych zmysłowych, rodzaj opowieści przekazywanej w surrealistycznych przeskokach i cięciach. Mglisto przypominało jazdę rollercoasterem, który przefazowywał z istnienia w niebyt i z powrotem w przypadkowych,

niewiarygodnie szybkich interwałach, po każdym pulsie nicości zmieniając wysokość, kąt i kierunek. Tyle że te zmiany nie miały nic wspólnego z fizyczną orientacją, a raczej z błyskawicznymi przekształceniami systemu paradygmatów i symboli. Te dane nigdy nie były przeznaczone dla ludzkiego odbiornika.

Otwierając oczy, wyrwał obiekt z gniazda i podniósł na śliskiej od potu dłoni. Czuł się jak przebudzony z koszmaru. Nie horroru, gdzie podświadome lęki przyjmują proste i straszne kształty. Był to inny sen, nieskończenie bardziej niepokojący, gdzie wszystko jest doskonale normalne, a jednak całkowicie błędne...

Intymność przeżycia była obrzydliwa. Walczył z falami przekazu nagich emocji, całą siłą woli powstrzymując miażdżące uczucie pokrewne chyba miłości: obsesyjną czułość, jaka opanowuje patrzącego wobec obiektu długiej obserwacji. Wiedział, że miną godziny i dni, a wciąż na powierzchnię świadomości będą się wydobywać najdrobniejsze szczegóły naukowych dokonań Mitchella albo imię jego kochanki i zapach jej gęstych rudych włosów w promieniach słońca sączących się przez...

Usiadł gwałtownie. Plastikowe podeszwy butów uderzyły o rdzewiejący pokład. Wciąż miał na sobie parkę, a smith & wesson w bocznej kieszeni boleśnie uderzył o biodro.

To minie. Psychiczny odór Mitchella rozwieje się, podobnie jak parowały po każdym użyciu hiszpańska gramatyka i słownictwo. To, czego doświadczył, było dossier z ochrony Maasa, skompilowanym przez świadomy komputer. Niczego więcej. Schował biosoft do czarnego futerału Conroya, kciukiem wygładził rzep na zapięciu i założył na szyję nylonową linkę.

Uświadomił sobie dobiegający z zewnątrz szum fal oblewających podpory platformy.

– Hej, szefie! – zawołał ktoś zza brunatnego wojskowego koca, służącego za wejście do wspólnej sypialni. – Conroy powiedział, że czas już panu zlustrować żołnierzy, a potem lecieć z nim w inne miejsca. – Brodata twarz Oakeya wsunęła się za koc. – Inaczej bym pana nie budził.

– Nie spałem – mruknął Turner, odruchowo masując palcami skórę wokół wszczepionego za uchem gniazda.

– To szkoda – stwierdził Oakey. – Mam dermy, które uspią człowieka na cacy, głęboko, godzina na sztukę. A potem dowalają jakiś ostry pobudzacz, człowiek przytomnieje i może się brać za robotę. Nie bujam...

Turner pokręcił głową.

– Zaprowadź mnie do Conroya.

Marly zameldowała się w niedużym hotelu z zielonymi palmami w ciężkich mosiężnych donicach i wytartą szachownicą kafelków na korytarzach. Winda była połączoną klatką z różanymi płytami boazerii, pachnącą olejkiem cytrynowym i cygarami.

Dostała pokój na piątym piętrze. Pojedyncze wysokie okno wychodziło na pustą alejkę – okno, które mogła naprawdę otworzyć. Kiedy wyszedł uśmiechnięty boy, opadła na fotel, którego pluszowe pokrycie przyjemnie kontrastowało z przyćmionymi barwami belgijskiego dywanu. Po raz ostatni rozpięła swoje stare paryskie buty, zrzuciła je i spojrzała na kilkanaście lśniących plastikowych reklamówek, które boy starannie ułożył na łóżku. Jutro, obiecała sobie, kupi walizkę. I szczoteczkę do zębów.

– Jestem w szoku – zwróciła się do toreb z zakupami. – Muszę uważać. Wszystko wydaje się nierzeczywiste.

Zerknęła w dół. Rajstopy przetarły się na palcach obu stóp. Potrząsnęła głową. Nowa torebka leżała na białym marmurowym stoliku przy łóżku; była czarna, z wołowej skóry wyprawionej grubo i miękko jak holenderskie masło. Kosztowała więcej niż kwota, jaką była winna Andrei za swój udział w miesięcznym czynszu, ale to samo odnosiło się do ceny jednej nocy w tym hotelu. W torebce miała swój paszport i chip kredytowy wydany jej w Galerie Duperey. Rachunek na jej nazwisko został otwarty w orbitalnym oddziale Nederlands Algemeen Bank.

Przeszła do łazienki i pokręciła gładkimi mosiężnymi kranami nad wielką białą wanną. Z japońskiego filtra trysnęła z sykiem gorąca woda z bąbelkami powietrza. Hotel zaopatrzył łazienkę w paczki soli

kąpielowych, tubki kremów i pachnących olejków. Wlała do wody olejek i zaczęła się rozbierać. Poczowała ukłucie żalu, kiedy rzucała za siebie zakiet od Sally Stanley. Jeszcze przed godziną był to jej ulubiony ciuch i chyba najdroższy element jej skromnego majątku. Teraz stał się czymś, co zostanie w pralni; może znajdzie drogę na jeden z pachliwych targów, gdzie jako studentka sama chodziła na zakupy.

Lustra zaszyły mgłą, przesłaniając odbicie jej nagości. Łazienka wypełniła się pachnącą parą. Czy to naprawdę takie łatwe? Czy płaski chip kredytowy Vireka przeniósł ją z nędzy do tego hotelu z białymi, grubymi, szorstkimi ręcznikami? Odczuwała rodzaj psychicznego zawrotu głowy, jak gdyby stanęła na krawędzi przepaści. Zastanawiała się, jak potężne mogą być pieniądze, jeśli tylko ktoś ma ich dużo, naprawdę dużo. Podejrzewała, że tylko Virekowie tego świata mogą dysponować taką wiedzą, a bardzo prawdopodobne, że funkcjonalnie nie są zdolni do jej przyjęcia. Zwracanie się z tym do Vireka byłoby jak wypytywanie ryby, żeby się dowiedzieć czegoś o wodzie. Tak, moja droga, jest mokra; tak, moje dziecko, rzeczywiście jest ciepła, pachnąca, z szorstkimi ręcznikami.

Weszła do wanny i ułożyła się wygodnie.

Jutro pójdzie do fryzjera. W Paryżu.

* * *

Telefon Andrei zadzwonił szesnaście razy, zanim Marly przypomniała sobie o specjalnym programie. Z pewnością ciągle działa, a na liście nie ma tego niedużego, ale drogiego hotelu w Brukseli. Pochyliła się, by odłożyć słuchawkę na marmurowy blat stolika. Natychmiast zabrzęczała cicho, tylko raz.

– Kurier dostarczył przesyłkę z Galerie Duperey.

Kiedy wyszedł boy – tym razem młodszy i smagły, pewnie Hiszpan – przeniosła paczkę do okna i obejrzała ze wszystkich stron. Była opakowana w pojedynczy arkusz ręcznie czerpanego papieru, ciemnoszary, poskładany i założony w ten niezwykle japoński wzór, który nie wymaga kleju ani sznurka, choć wiedziała, że kiedy raz go rozwinie, nigdy nie zdoła

złożyć na powrót. Nazwę i adres galerii wytłoczono w rogu, a jej nazwisko i nazwę hotelu wypisano ręcznie pośrodku, perfekcyjną kursywą.

Rozwinęła papier. Wewnątrz znalazła nowy holoprojektor Brauna i płaską pochewkę z przezroczystej folii. W pochewce tkwiło siedem ponumerowanych płytek holofisz. Za żelazną balustradą miniaturowego balkonu zachodzące słońce malowało złotem Stare Miasto. Słyszała klaksony i krzyki dzieci. Zamknęła okno i podeszła do biurka. Braun był gładkim czarnym prostopadłościanem, zasilanym z baterii słonecznych. Sprawdziła poziom ładowania i wsunęła do szczeliny pierwszą holofiszę.

Nad braunem rozkwitło pudełko, które widziała w Virekowej symulacji Güell Park. Jaśniało z krystaliczną ostrością najlepszych muzealnych hologramów. Kość i złoto obwodów, zwietrzała koronka i matowa kulka wytoczona z gliny. Marly pokręciła głową. Jak ktoś zdołał ułożyć te elementy, te śmieci, w taki sposób, że chwyciły za serce, nabijały duszę jak na haczyk? Ale przecież wiedziała, że to możliwe. Wiele lat temu dokonał tego człowiek nazwiskiem Cornell, który również tworzył pudełka.

Zerknęła w lewo, na rzucony na biurko elegancki szary papier. Trafiała do tego hotelu przypadkiem, kiedy zmęczyła się zakupami. Nikomu nie mówiła, że tu mieszka. A już z pewnością nikomu z Galerie Duperey.

6

Barrytown

Był nieprzytomny przez jakieś osiem godzin, sądząc po zegarze na hitachi matki. Wrócił do siebie, patrząc w jego zakurzoną tarczę. Coś twardego uwierało go w udo. Ono-Sendai. Przetoczył się.

Stęchły odór wymiocin.

Potem był pod prysznicem, nie całkiem wiedząc, jak się tam znalazł. Nie zdejmując ubrania, kręcił kurkami. Drapał, szczypał i ugniatał twarz. Sprawiała wrażenie gumowej maski.

Coś się stało. Coś niedobrego, wielkiego... Nie był pewien, co.

Mokre ubranie stopniowo opadało w stosik na kafelkach podłogi. W końcu wyszedł, stanął nad umywalką, odgarnął z czoła mokre włosy i spojrzał na twarz w lustrze. Bobby Newmark, nie ma sprawy.

– Nie, Bobby, jest sprawa. Mamy problem...

Narzuciwszy ręcznik na ramiona, ociekając wodą, poszedł wąskim korytarzykiem do sypialni, małego trójkątnego pokoiku na samym końcu mieszkania. Kiedy stanął w drzwiach, włączył się zestaw holopornu: szóstka dziewcząt, uśmiechnętych, spoglądających na niego z wyraźnym podziwem. Zdawało się, że stoją poza ścianami, w mglistych otchłaniach niebieskiej przestrzeni; ich białe uśmiechy i jędrne młode ciała jaśniały niczym neony. Dwie wysunęły się do przodu i zaczęły się dotykać.

– Stop – rzucił.

Projektor wyłączył się na jego rozkaz. Dziewczyny zniknęły. Zestaw należał kiedyś do starszego brata Linga Warrena; ubrania i fryzury dziewczyn były staromodne i trochę zabawne. Mógł z nimi rozmawiać, kazać im robić różne rzeczy samym albo ze sobą nawzajem. Pamiętał, że

kiedy miał trzynaście lat, kochał się w Brandi, tej w niebieskich błyszczących spodniach. Teraz cenił holoprojekcje głównie z powodu iluzji przestrzeni, jakiej brakowało w ciasnej sypialni.

– Coś się stało – powiedział, wciągając czarne dzinsy i prawie czystą koszulę. Pokręcił głową. – Ale co? No co, do diabła?

Jakiś skok napięcia na linii? Przypadkowe działanie Agencji Energii? Może w bazie, gdzie próbował się włamać, nastąpiła awaria albo ktoś ją zaatakował z innej strony? Ale wciąż silne było wspomnienie spotkania... spotkania kogoś, kto... Nieświadomie wyciągnął do przodu prawą rękę, proszącym gestem rozkładając palce.

– Niech to szlag!

Palce zacisnęły się w pięść. I wtedy wszystko wróciło. Najpierw wrażenie czegoś wielkiego, naprawdę wielkiego, sięgającego ku niemu przez cyberprzestrzeń... A potem impresja dziewczyny. Ktoś smagły, szczupły, skulony gdzieś w niezwyklej, jaskrawej ciemności pełnej gwiazd i wiatru. Ale wrażenie wyśliznęło mu się, gdy tylko umysł za nim podążył.

Nagle zgłodniały, wsunął sandały i ruszył do kuchni, po drodze wycierając włosy wilgotnym ręcznikiem. Przechodząc przez salonik, zauważył jarzący się na dywanie wskaźnik ON na Ono-Sendai.

– Niech to szlag!

Znieruchomiał, ssąc wargę. Dek był włączony. Czy to możliwe, że wciąż podtrzymywał połączenie z tą bazą, którą chciał obrobić? Czy mogli wykryć, że nie zginął? Nie miał pojęcia. Wiedział za to z całą pewnością, że znają, i to dobrze, jego numer. Nie pamiętał o blokadach i trikach, które uniemożliwiłyby im śledzenie.

Mają jego adres.

Zapominając o głodzie, pognął do łazienki. Przekopywał zmoczone ubrania na podłodze, aż znalazł chip kredytowy.

* * *

Miał dwieście dziesięć nowych jenów schowanych w pustej rękoiści wielofunkcyjnego śrubokręta. Razem z chipem kredytowym wsunął go do

kieszeni dzinsów, włożył najstarsze i najcięższe buty, po czym wykopał spod łóżka brudne ubrania. Trafił na czarną płócienną kurtkę z co najmniej dziesięcioma kieszeniami. Jedna z nich była dużą komorą na plecach, czymś w rodzaju integralnego plecaka. Pod poduszką leżał japoński nóż grawitacyjny z pomarańczową rękojeścią; trafił do wąskiej kieszonki w lewym rękawie kurtki, tuż nad mankietem.

Dziewczyny włączyły się znowu, gdy wychodził.

– Bobby, Bob-by, wróć i pobaw się z nami...

W pokoju wyrwał z płyty hitachi złącze deka Ono-Sendai, zwinął i wcisnął do kieszeni światłowodowy kabel. To samo zrobił z zestawem trod, w końcu wsunął Ono-Sendai do komory na plecach.

Zasłony wciąż były zaciągnięte. Poczul falę podniecenia: odchodził stąd. Musiał odejść. Zapomniał już o płaczliwej sympatii do tego mieszkania, sympatii wzbudzonej otarciem się o śmierć. Ostrożnie rozsunał kotary na szerokość palca. Wyjrzał.

Było późne popołudnie. Za parę godzin w ciemnych bryłach Projektów zamigoczą pierwsze światła. Wielki Lunapark rozpościerał się pod nim jak betonowe morze; na dalekim brzegu wyrastały Projekty: ogromne kanciaste struktury, których surowe kształty łagodziły dobudowane później ciepłarnie na balkonach, zbiorniki hodowlane skorupiaków, słoneczne systemy ogrzewania i wszechobecne siatkowe dyski anten.

Gdzieś tam mieszka Dwa-Dziennie i śpi teraz w świetle, którego Bobby nigdy nie widział – świetle klasy średniej. Dwa-Dziennie zjeżdżał na dół, by robić interesy – przede wszystkim ze szpanerami w Barrytown – po czym wspinał się z powrotem. Bobby'emu zawsze się wydawało, że tam, wysoko, musi być wspaniale. Tyle rzeczy się działo nocą na balkonach, wśród czerwonego żaru węgla drzewnego; dzieciaki w samej bieliźnie roily się jak małpy, tak małe, że trudne do zauważenia. Czasami zmieniał się wiatr i nad Wielki Lunapark płynęły kuchenne zapachy; czasami motolotnia wylatywała z jakiejś tajemnej krainy na wysokim dachu. I zawsze zmieszany rytm z miliona głośników, fale muzyki pulsującej i cichnącej wśród podmuchów wiatru.

Dwa-Dziennie nigdy nie mówił o swoim życiu, o tym, gdzie mieszka. Dwa-Dziennie mówił o interesach albo – żeby być bardziej towarzyskim – o kobietach. To, co Dwa-Dziennie opowiadał o kobietach, sprawiało, że Bobby bardziej niż kiedykolwiek pragnął wydostać się z Barrytown. I wiedział, że biznes to jedyny dostępny mu bilet na wyjazd. Teraz jednak handlarz był mu potrzebny z innych powodów. Był potrzebny, gdyż Bobby zupełnie nie wiedział, co robić.

Może Dwa-Dziennie wytłumaczy mu, co się stało. Wokół tej bazy nie powinno być żadnych zabójczych systemów. Dwa-Dziennie sam mu ją wybrał, a potem wypożyczył program potrzebny, żeby się tam dostać. I Dwa-Dziennie gotów był sprzedać wszystko, co Bobby stamtąd wydobędzie. Dlatego Dwa-Dziennie musi wiedzieć. Coś przecież musi wiedzieć.

– Nie znam nawet twojego numeru, chłopie – zwrócił się do Projektów, puszczając zasłony, by zakryły szczelinę. Czy powinien zostawić coś matce? Jakiś list? – Mój tyłek – powiedział do pokoju za plecami. – Zabieram go stąd.

Wielki Lunapark wydawał się bezpieczny i pusty, jeśli nie liczyć samotnego ćpuna pogrążonego we wścieklej dyskusji z Bogiem. Bobby ominął go szerokim łukiem – tamten krzyczał, podskakiwał i ciosami karate rąbał powietrze. Miał ślady krwi na bosych stopach i czymś, co było chyba pozostałością po fryzurze Lobów.

Wielki Lunapark uchodził za terytorium neutralne, przynajmniej w teorii, a Lobowie byli luźno skonfederowani z Gothikami. Bobby miał niezłe kontakty z Gothikami, chociaż zachowywał status nieza. W Barrytown bycie niezem wiązało się z pewnym ryzykiem. Gangi wprowadzały przynajmniej jakiś porządek, myślał, gdy za jego plecami cichł bełkot ćpuna. Jeśli człowiek był Gothikiem, a pocięli go Kasuale, miało to pewien sens. Może zasadnicze powody były szalone, ale obowiązywały jakieś reguły. Ale niezów cięli naćpani na prochach rdzeniowych albo wędrownie czubki czasem aż z Nowego Jorku. Jak choćby ten Kolekcjoner Penisów zeszłego lata; trzymał wszystko w kieszeni, w plastikowej torbie...

Od dnia swych urodzin Bobby usiłował wytyczyć trasę swego życia jak najdalej od tego miejsca. Przynajmniej takie miał wrażenie. A teraz dek cyberprzestrzeni rytmicznie uderzał go w plecy, jakby też ponaglał do ucieczki.

– No już, Dwa-Dziennie – powiedział Bobby do wyrastających w mroku Projektów. – Zbierz tyłek i bądź u Leona, kiedy tam dojdę. Dobra?

* * *

Dwóch-Dziennie nie było u Leona.

Zresztą nikogo nie było, jeśli nie liczyć samego Leona, który zgiętym spinaczem sondował wewnętrzne tajemnice ściennego projektora telewizyjnego.

– Dlaczego zwyczajnie nie weźmiesz młotka i nie zaczniesz tłuc drania, aż zadziała? – zapytał Bobby. – Efekt będzie taki sam.

Leon podniósł głowę. Miał pewnie koło czterdziestki, chociaż trudno było to ocenić. Zdawało się, że nie należy do żadnej konkretnej rasy, albo też – w pewnym oświetleniu – że należy do rasy, do jakiej nie należy nikt inny. Masa przerośniętych kości twarzowych i grzywa kędzierzawych, matowych czarnych włosów. Jego piracki klub w piwnicy od dwóch lat był stałym fragmentem życia Bobby'ego.

Leon przyjrzał mu się swymi nieruchomymi oczami: perłowoszare źrenice z oliwkowym odcieniem. Oczy Leona przywodziły Bobby'emu na myśl ostrygi i lakier do paznokci, dwie rzeczy, o których nie lubił specjalnie myśleć w związku z oczami. Kolor przypominał to, czego używają do tapicerki w barowych stołkach.

– Chciałem tylko powiedzieć, że nie naprawisz tego draństwa, dłubiąc czymś w środku – dodał niepewnie Bobby.

Leon wolno pokręcił głową i wrócił do badań. Ludzie płacili mu za wejście, ponieważ Leon piracko kopiował z kabla kino i symstym. Udostępniał to, na co mieszkańców Barrytown normalnie nie byłoby stać. Na tyłach mieścił się bar i można było złożyć „dotację” na drinki, zwykle

czysty biber z Ohio rozcieńczony jakimś pomarańczowym napojem, który Leon zdobywał w ilościach przemysłowych.

– Powiedz mi, Leon... – zaczął znowu Bobby. – Nie widziałeś tu ostatnio Dwóch-Dziennie?

Straszne oczy znów skierowały się na Bobby'ego i przyglądały mu się przez chwilę. Zdecydowanie za długą.

– Nie.

– Może wczoraj?

– Nie.

– Przedwczoraj?

– Nie.

– Aha. Dobra, dzięki.

Nie warto było przyciskać Leona. A istniało wiele powodów, żeby tego nie robić. Bobby rozejrzał się po rozległej sali, po zestawach symstymowych i martwych kinowych ekranach. Klub składał się z ciągu niemal identycznych sal w piwnicy częściowo zamieszkanego bloku, przeznaczonego dla samotnych i małego biznesu. Dobra izolacja dźwiękowa: prawie nie było słychać muzyki. Nie z zewnątrz. Wiele razy wychodził od Leona z głową pełną szumu i prochów, w coś, co wydawało się magiczną pustką ciszy. W uszach dzwoniło mu przez całą drogę powrotną przez Wielki Lunapark.

Została mu jeszcze mniej więcej godzina, nim zjawią się pierwsi Gothicy. Handlarze, zwykle czarni chłopcy z Projektów, albo biali z innego przedmieścia lub z miasta, nie przyjdą, dopóki nie będą mieli garstki Gothików, żeby z nimi pracować. Handlarz robiłby fatalne wrażenie, gdyby po prostu siedział tam i czekał. To by znaczyło, że nic nie robi, nie działa. A żaden ostry handlarz nie przyszedłby tu dla przyjemności. U Leona zjawiali się tylko szpanujący szmaciarze, niedzielni kowboje z tanimi dekami, oglądający wyrwane z lodu japońskie kina.

Ale Dwa-Dziennie jest inny, tłumaczył sobie Bobby, wspinając się betonowymi schodami. Dwa-Dziennie szedł w górę; kiedyś opuści Projekty, opuści Barrytown i Leona. Odejdzie do Miasta. Może do Paryża albo do Chiby. Ono-Sendai obijało mu grzbiet. Przypomniał sobie, że wciąż

tkwi w nim kasetą z lodolamaczem Dwóch-Dziennie. Wolałby nie tłumaczyć się z tego. Minął kiosk z gazetami. Żółty faks nowojorskiej edycji „Asahi Shimbun” przewijał się za plastikowym wizjerem w lustrzanych ramkach: upadek jakiegoś rządu w Afryce, rosyjskie meldunki z Marsa...

Trwała ta pora dnia, kiedy człowiek widzi wszystko wyraźnie, widzi każdy szczegół daleko na ulicy, świeżą zieleń pączkującą dopiero z czarnych gałęzi drzew w dziurach w betonie, błysk stali na obcasie dziewczyny kilka przecznic dalej... Jakby patrzył przez jakiś szczególny rodzaj wody, który ułatwia widzenie, mimo zapadającego zmroku. Bobby odwrócił się i spojrzął na Projekty. Całe piętra pozostawały wiecznie nieoświetlone, opuszczone albo z zaciemnionymi oknami. Co ludzie tam robią? Może kiedyś zapyta o to Dwóch-Dziennie.

Sprawdził czas na zegarze Coca-Coli w kiosku. Matka pewnie wróciła już z Bostonu. Musiała wrócić, inaczej straciłaby jeden ze swoich ulubionych seriali. Kolejna dziura w głowie. I tak była obłąkana; nic nie dolegało temu gniazdku, które miała za uchem, zanim się jeszcze urodził. Ale przez lata jęczała i skarżyła się na szumy, rozdzielczość, przenikanie sensoryczne. W końcu wybrała kredyt i pojechała do Bostonu załatwić sobie tanią wymianę. W takim miejscu, gdzie człowiek nie umawia się nawet na operację, po prostu wchodzi i pakują mu to do głowy... Znał ją dobrze; wyobrażał sobie, jak staje w progu mieszkania, ściskając pod pachą owiniętą papierem butelkę, jak nawet nie zdejmuje płaszcza, tylko od razu podchodzi, włącza się do hitachi i przez bite sześć godzin rozmydla sobie mózg. Wpatruje się tępo w pustkę, a czasem, przy wyjątkowo udanym odcinku, trochę się ślini. Mniej więcej co dwadzieścia minut pamięta, żeby elegancko, jak dama, pociągnąć z butelki.

Zawsze taka była: stopniowo zsuwała się coraz głębiej w te kilka syntetycznych żywotów, ciąg symstymowych fantazji, o których Bobby musiał słuchać przez całe życie. Wciąż jeszcze dręczył go lęk, że kilka postaci, o których opowiadała, było jego krewnymi: bogatymi i pięknymi wujami i ciotkami. Mogliby zjawić się któregoś dnia, gdyby tylko on nie był takim wrednym bachorem. Może nawet, myślał teraz, była to prawda – w pewnym sensie. Włączała się w te śmiecie przez całą ciężę. Sama mu

o tym mówiła. A zatem on, zwinięty w kłębek embrion Newmark, przeżył jakieś tysiąc godzin „Ludzi na świeczniku” i „Atlanty”. Co prawda, nie lubił myśleć o sobie zwiniętym w brzuchu Marshy Newmark. Czuł od tego mdłości, i krople zimnego potu występowały mu na czoło.

Mama Marsha... Dopiero jakiś rok temu Bobby zaczął pojmować świat w dostatecznym stopniu – jak to teraz oceniał – by zdziwić się, w jaki sposób wciąż potrafiła znaleźć w tym świecie swoją – boczną co prawda i wąską, ale jednak swoją – ścieżkę, z butelką i duchami z łącza do towarzystwa. Czasem, gdy osiągnęła odpowiedni nastrój, po odpowiedniej liczbie łyčzków, nadal usiłowała mu opowiadać o ojcu. Odkąd skończył cztery lata wiedział, że to bzdury, ponieważ co jakiś czas zmieniały się szczegóły. Ale przez wiele lat te historie sprawiały mu dziwną przyjemność.

Kilka przecznic od Leona znalazł rampę załadunkową, zasłoniętą od ulicy pomalowanym na niebiesko wielkim pojemnikiem na śmieci. Świeża farba błyszczała na pogiętej, nierównej stali. Nad rampą płonęła samotna halogenowa lampa. Wyszukał sobie wygodną betonową płytę i usiadł ostrożnie, by nie uszkodzić Ono-Sendai. Czasami po prostu trzeba poczekać. To jedna z rzeczy, jakich nauczył go Dwa-Dziennie.

Pojemnik wypełniała dziwaczna mieszanka przemysłowych odpadków. Barrytown miało swoich półlegalnych producentów, część „szarej strefy gospodarki”, o której tak często mówiły tytuły wiadomości. Ale Bobby nigdy nie poświęcał im szczególnej uwagi. Jak zwykle chodziło o interesy.

Ćmy migają stroboskopowo po krętych orbitach wokół latarni. Bobby przyglądał się tępo, jak trójka dzieciaków – najstarszy miał może z dziesięć lat – wspina się na niebieską ścianę pojemnika, używając kawałka brudnobiałej nylonowej liny i zaimprovizowanej kotwiczki, która kiedyś mogła być częścią wieszaka. Kiedy ostatni z nich przeczołgał się przez krawędź w stosy plastikowego śmiecia, szybko wciągnęli za sobą linę. Śmieci zaczęły trzeszczeć i szeleścić.

Całkiem jak ja, pomyślał Bobby. Kiedyś też to robiłem. Zastawiałem cały pokój różnym dziwnym świństwem, które znajdowałem w śmieciach.

Kiedys siostra Linga Warrena trafiła na większą część czyjegoś ramienia, zapakowaną w ściągniętą gumkami zieloną folię.

Mama Marsha dostawała czasem tych swoich dwugodzinnych ataków religijności. Przychodziła wtedy do pokoju Bobby'ego, wymiatała najlepsze śmieci i mocowała mu nad łóżkiem jakiś potworny samoprzylepny hologram. Może Jezusa, może Hubbarda, może Maryję Dziewicę – kiedy już wpadła w odpowiedni nastrój, nie miało to dla niej znaczenia. Doprowadzało to Bobby'ego do szału; aż pewnego dnia był już dość duży, żeby wejść do salonu z młotkiem i unieść go nad hitachi: jeśli jeszcze raz ruszysz moje rzeczy, mam, zabiję twoich przyjaciół... wszystkich. Nigdy więcej nie próbowała. Ale te samoprzylepne hologramy miały na Bobby'ego pewien wpływ: religię uważał teraz za coś, co rozważył i z czego zrezygnował. Doszedł do wniosku, że istnieją po prostu ludzie, którym ten chłam jest potrzebny. Pewnie zawsze istnieli. Ale on nie był jednym z nich i tego nie potrzebował.

Jeden z chłopców w pojemniku wysunął głowę i, mrużąc oczy, rozejrzał się szybko po okolicy. Potem zniknął znowu. Rozległ się brzęk, zgrzyt, i małe białe dłonie przepchnęły przez krawędź duralowy kanister. Zjechał w dół na nylonowej linie. Niezły wynik, uznał Bobby. Można to zataszczyć do handlarza złomem i dostać trochę forsy. Chłopcy opuścili kanister na chodnik, mniej więcej metr od podeszew butów Bobby'ego; kiedy lądował, przekręcił się przypadkiem, odsłaniając sześciokątny symbol oznaczający biohazard.

– Niech to... – mruknął, odruchowo podciągając nogi.

Jeden z chłopców zjechał po linie i przytrzymał kanister. Dwaj pozostali zeszli za nim. Przekonał się, że są młodszy, niż mu się wydawało.

– Hej, wy! – zawołał. – Wiecie, że tam może być jakieś paskudne gówno? Dostaniecie raka albo co...

– Idź lizać psią dupę. Do krwi – odpowiedział mu najstarszy.

Uwolnili kotwiczkę, zwinęli linę, przeciągnęli kanister za róg pojemnika i zniknęli.

Odczekał półtorej godziny. Wystarczy: Leon zaczynał już działać.

Co najmniej dwudziestu Gothików siedziało w głównej sali niczym stado młodych dinozaurów; kołysały się i falowały ich grzebienie polakierowanych włosów. Większość była bliska ideału Gothika: wysocy, szczupli, muskularni, ale zdradzający swego rodzaju głodowy niepokój – młodzi atleci we wczesnym stadium gruźlicy. Włosy Gothika były z definicji czarne, a cmentarna bladeść obowiązkowa. Bobby wiedział, że lepiej unikać tych nielicznych, którzy nie potrafili dopasować swych ciał do subkulturowego wzorca. Niski Gothik oznaczał kłopoty, gruby Gothik to zabójstwo.

Obserwował, jak przeciągają się i prężą u Leona, niby złożony organizm, narośl o powierzchni wykładanej skórą i stalowymi kolcami. Większość miała niemal identyczne twarze, rysy przebudowane zgodnie z dawnymi archetypami pobranymi z kinowych banków. Wybrał szczególnie udanego Deana z włosami kołyszącymi się niczym w godowym pokazie nocnej jaszczurki.

– Bracie... – zaczął Bobby, niepewny, czy poznał go już przedtem.

– Chłopie... – odpowiedział leniwie Dean. Lewy policzek wypychała mu grudka gumy. – To jest Graf, dziecinko – rzucił do swojej dziewczyny. – Graf Zero Procedury. – Długa, wąska dłoń ze świeżą szramą na grzbiecie chwyciła przez skórzaną spódniczkę dziewczynę za pośladek. – Graf, to moja paniąna.

Dziewczyna Gothika przyglądała się Bobby'emu z lekkim zaciekawieniem, ale bez śladu rozpoznania, jakby oglądała reklamę produktu, o którym słyszała, ale którego nie miała zamiaru kupować.

Bobby zbadał wzrokiem tłumek. Kilka obojętnych twarzy, ale nikogo znajomego. Ani Dwóch-Dziennie.

– Wiesz jak jest – oświadczył. – Szukam kumpla, kumpla od interesów... – Słyszając to, Gothik ze zrozumieniem zakolysał czubem. – Mówią na niego Dwa-Dziennie... – Urwał. Gothik patrzył tępo, żując gumę. Dziewczyna wydawała się znudzona i niespokojna. – Handluje oprogramem. – Bobby uniósł brwi. – Czarny handlarz.

– Dwa-Dziennie – powtórzył Gothik. – Jasne. Dwa-Dziennie. Prawda, dziecinko?

Dziewczyna przytaknęła i odwróciła wzrok.

– Znasz go?

– Pewno.

– Jest tu dzisiaj?

– Nie – odparł Gothik i uśmiechnął się obojętnie.

Bobby otworzył usta, zamknął je, zmusił się do pokiwania głową.

– Dzięki, bracie.

– Wszystko dla kumpla – zapewnił Gothik.

* * *

Kolejna godzina i to samo. Za wielu bladych Gothików. Puste błyszczące oczy ich dziewczyn, obcasy butów jak ebonitowe igły. Usiłował trzymać się z daleka od sali symstymu, gdzie Leon puszczał jakąś niesamowitą taśmę z pieprzeniem w dżungli; fazowała człowieka tam i z powrotem do tych dziwacznych zwierzaków; masa dzikiej akcji na drzewach. Bobby czuł się trochę dezorientowany. Był dostatecznie głodny, żeby trochę kręciło mu się w głowie, zresztą może były to spóźnione efekty tego, co zdarzyło się wcześniej. W każdym razie trudno mu się było skoncentrować, a myśli dryfowały w dziwnych kierunkach. Na przykład, kto wlaź na to drzewo pełne węży i podłączył te dwa niby-szczury do symstymu?

Gothicy za to byli zachwyceni. Rzucali się, tupali i ogólnie identyfikowali z tymi drzewnymi szczurami. Nowy hit Leona, uznał Bobby.

Po lewej stronie, daleko poza zasięgiem stymu, stały dwie dziewczyny z Projektów; ich barokowe kostiumy ostro kontrastowały z monochromem Gothików. Długie czarne rozpięte płaszcze odsłaniały czerwone kamizelki z jedwabistego brokatu, a poły ogromnych białych koszul zwisały poniżej kolan. Ciemne twarze kryły się pod rondami kapeluszy, przypiętych i ozdobionych antycznym złotem: szpilkami, amuletami, zębami, mechanicznymi zegarkami. Bobby obserwował je ukradkiem. Ciuchy świadczyły, że mają pieniądze, ale gdyby ktoś spróbował się do nich

dobrac, z pewnością by tego pożałował. Dwa-Dziennie przyszedł kiedyś z Projektów w takim lodowatobłękitnym garniturze z klamrami u kolan, jakby nie miał czasu się przebrać, ale Bobby zachowywał się tak, jakby handlarz nosił swoją zwykłą skórę. Uznał, że kosmopolityczna postawa jest w interesach sprawą kluczową.

Spróbował sobie wyobrazić, że podchodzi do nich spokojnie i rzuca: Hej, dziewczyny, na pewno znacie mojego dobrego kumpla, pana Dwa-Dziennie? Ale obie były starsze od niego i poruszały się z godnością, która budziła zakłopotanie. Prawdopodobnie tylko by się roześmiały, a na to wcale nie miał ochoty.

Miał za to ochotę, i to coraz większą, żeby coś zjeść. Przez materiał dzinsów dotknął chipa kredytowego... Przejdzie na drugą stronę ulicy i kupi kanapkę... I nagle przypomniał sobie, dlaczego tu jest, i użycie chipa nie wydało się już takim dobrym pomysłem. Jeśli go namierzyli po tym nieudanym włamaniu, to na pewno już mają jego numer. Dla każdego, kto śledzi Bobby'ego w cyberprzestrzeni, użycie chipa wyłuska go z siatki Barrytown jak flarę na ciemnym stadionie. Miał wprowadzić gotówkę, ale za nią nie można kupić jedzenia. Posiadanie pieniędzy nie było co prawda nielegalne, ale nikt nie robił z nimi nic uczciwego. Musiałby znaleźć Gothika z chipem, kupić po zabójczej cenie nowego jena kredytu, potem namówić go, żeby zapłacił za kanapkę. A niby jak miałyby przyjąć resztę?

Może zwyczajnie wariujesz, powiedział sobie. Nie wiedział na pewno, czy go namierzyli. Przecież baza, którą usiłował złamać, miała być legalna... A przynajmniej uchodziła za legalną. Dlatego przecież Dwa-Dziennie zapewnił, że nie musi się martwić czarnym lodem. Kto by założył mordercze sprzężenia firmie, która wypożyczała kinowe miękkie porno? Według planu miał ściągnąć parę godzin digitalizowanego kina, nowe numery, które nie dotarły jeszcze na piracki rynek. Przecież dla takiego czegoś nikt nie próbowałby człowieka zabijać...

Ktoś jednak spróbował. A potem zdarzyło się jeszcze coś. Coś zupełnie innego.

Znowu wspiął się na schody i wyszedł od Leona. Zdawał sobie sprawę, że wielu rzeczy o matrycy jeszcze nie wie, ale nigdy dotąd nie słyszał

o czymś tak niezwykłym. Pewnie, krążyły historie o duchach, a szpanerzy przysięgali, że widzieli coś w cyberprzestrzeni. Bobby uważał ich jednak za wilsonów, którzy włączyli się na prochach; w matrycy halucynacje są równie łatwe jak w każdym innym miejscu...

Może to właśnie to, pomyślał. Głos był elementem umierania, wypłaszczenia, jakimś zwariowanym śmieciem rzucanym przez mózg, żeby człowiek poczuł się lepiej. A wtedy coś wydarzyło się u źródła, może wyciemnienie ich części sieci, i lód rozluźnił uchwyt na jego systemie nerwowym...

Możliwe. Ale nie wiedział tego. Nie miał pojęcia, na czym stoi. Ta ignorancja zaczynała mu przeszkadzać, ponieważ powstrzymywała go przed posunięciami, jakie powinien wykonać. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale właściwie o niczym nie wiedział zbyt wiele. Dopóki nie zaczął szpanować, wydawało mu się, że wie tyle, ile potrzeba. Na przykład, jacy są Gothicy, dlaczego będą tu tkwić i wypalą się na prochach albo potną ich Kasuale, a w procesie erozji pozostanie pewien ułamek, który w jakiś sposób zmieni ich w płodzących dzieci i kupujących mieszkania obywateli Barrytown, aby wszystko mogło się zacząć od początku.

Był jak dziecko, które dorasta na brzegu oceanu i uznaje go za rzecz naturalną, jak niebo. Nic jednak nie wie o prądach, trasach statków, zawilnościach pogody. Już w szkole posługiwał się dekiem, zabawką przenoszącą w bezkres przestrzeni, która nie była przestrzenią, a niewyobrażalnie złożoną konsensualną halucynacją całej ludzkości, matrycą, cyberprzestrzenią. Jak neonowe gwiazdy płonęły tam wielkie rdzenie korporacji, dane tak gęste, że człowiek ryzykował przeciążenie sensoryczne, gdy próbował zobaczyć coś więcej niż najogólniejszy zarys.

Odkąd jednak zaczął szpanować, domyślał się już, jak mało wie, nie tylko zresztą o matrycy. A teraz coś się przelało i zaczął się zastanawiać. Zastanawiać i pytać. Jak funkcjonuje Barrytown, co trzyma przy życiu jego matkę, dlaczego Gothicy i Kasuale poświęcają tyle energii na próby wybicia się do nogi. Albo czemu Dwa-Dziennie jest czarny i mieszka w Projektach, i czy robi to jakąś różnicę.

Spacerując, wciąż rozglądał się za handlarzem. Białe twarze, więcej białych twarzy. Żołądek zaczął mu trochę hałasować; Bobby pomyślał o świeżej paczce pszennych kotletów w domowej lodówce... Podsmażyłby je z dodatkiem soi, otworzył porcję krylowych chrupek...

Mijając kiosk, raz jeszcze sprawdził czas na zegarze Coca-Coli. Marsha z pewnością była już w domu, pogrążona w labiryntach zależności „Ludzi na świeczniku” – w życiu ich żeńskiej bohaterki uczestniczyła przez gniazdko złącza od prawie dwudziestu lat. Faks „Asahi Shimbun” ciągle przewijał się za szybką. Podszedł bliżej i zdążył zobaczyć pierwszy raport z wybuchu bomby na poziomie 3 bloku A przy Covina Concourse Courts, Barrytown, New... A potem tekst zniknął, przeminął, zastąpiony reportażem z oficjalnego pogrzebu szefa yakuzy z Cleveland. Ściśle według tradycji. Wszyscy nosili czarne parasole.

Całe swoje życie przemieszkał pod numerem 503, w bloku A.

To coś ogromnego pochyliło się i zgmiotło Marshę Newmark i jej mieszkanie z hitachi. Oczywiście mierzyło w niego.

– Ktoś tam nie żartuje – usłyszał własny głos.

– Hej! Chłopie! Graf! Jesteś naćpany, bracie? Hej! Gdzie lecisz?

Spojrzenia dwóch Deanów podążały za nim po drodze paniki.

Conroy zsunął niebieskiego fokkera ze zniszczonej erozją wstążki przedwojennej autostrady i zwolnił. Długi koguci ogon jasnego pyłu, jaki ciągnął się za nimi od Needles, opadał powoli. Zatrzymali się i poduszkowiec stanął na wydętym fartuchu.

– Jesteśmy na miejscu, Turner.

– Co zniszczyło tę okolicę?

Prostokątna powierzchnia betonu sięgająca nierównych ścian z cementowych pustaków...

– Ekonomia – wyjaśnił Conroy. – Jeszcze przed wojną. Nigdy tego nie skończyli. Dziesięć kilometrów na zachód są całe dzielnice z samymi chodnikami. Żadnych domów, nic.

– Ilu ludzi mam na miejscu?

– Dziewięciu, wliczając ciebie. I medyków.

– Jakich medyków?

– Z Hosaki. Maas pracuje w układach biologicznych, zgadza się? Trudno przewidzieć, co wpakowali naszemu chłopcu. W Hosace zbudowali regularny gabinet neurochirurgiczny i wsadzili tam trójkę ryzykantów. Dwóch to ludzie firmy, trzeci z Korei, zna czarną medycynę z obu końców. Kapsuła medyczna jest w tym podłużnym, o tam... – Wskazał ręką. – Mają tam częściowe zadaszanie.

– Jak ją tu ściągnęli?

– Przewieźli z Tucson w cysternie. Udali, że mają awarię. Wyprowadzili, przetoczyli na miejsce. Wszyscy pomagali. Zajęło to jakieś trzy minuty.

– Maas... – mruknął Turner.

– Pewno. – Conroy wyłączył silniki. – Czasem trzeba ryzykować – stwierdził w nagłej ciszy. – Może ich przeoczyli. Nasz kierowca tej cysterny siedział i rozmawiał przez CB z dyspozytorem w Tucson. Klął na główniany wymiennik ciepła i to, ile zajmie naprawa. Powinni to złapać. Miałbyś jakiś lepszy pomysł?

– Nie. Zakładając, że klient chce to mieć na miejscu. Ale siedzimy teraz w samym środku obszaru krytego przez ich satelity.

– Skarbie... – Conroy parsknął. – Może stanęliśmy na jakieś małe pieprzenie. Albo rozprostować nogi w trasie do Tucson, nie? To takie miejsce. Ludzie zatrzymują się tu, żeby się odlać, wiesz? – Spojrzał na swój czarny zegarek Porsche. – Muszę tam być za godzinę, mam kopter na wybrzeże.

– Platforma?

– Nie. Twój pieprzony myśliwiec. Pomyślałem, że sam to załatwię.

– Dobrze.

– Na twoim miejscu wziąłbym turbinowego dorniera. Czekaliby dalej, na drodze, aż zobaczymy, że zbliża się Mitchell. Byłby tu, zanim medycy zdążyliby go sprawdzić. Potem wrzucamy chłopaka do środka i lecimy do granicy Sonory.

– Z prędkością poddźwiękową – odparł Turner. – Nic z tego. Lecisz do Kalifornii kupić mi tego harriera. Nasz chłopak odleci stąd w wielozadaniowym samolocie bojowym, który nawet nie jest specjalnie przestarzały.

– Masz jakiegoś pilota?

– Siebie. – Turner postukał się w gniazdo za uchem. – Maszyna ma w pełni zintegrowany system interaktywny. Sprzedadzą ci software złącza i od razu złapię, o co chodzi.

– Nie wiedziałem, że umiesz latać.

– Nie umiem. Ale nie musisz ręcznie sterować, żeby przewieźć tyłek stąd do Mexico City.

– Wciąż jesteś tak samo zwariowany, Turner? Wiesz, słyszałem, że w New Delhi urwało ci fiuta.

Conroy odwrócił się przodem i spojrzał na niego z zimnym, czystym uśmiechem.

Turner wyciągnął z za siedzenia parkę, wyjął z kieszeni rewolwer i pudełko naboí. Wpychał kurtkę z powrotem, kiedy Conroy powiedział:

– Zatrzymaj ją. Nocą robi się tutaj piekielnie zimno.

Turner sięgnął do zamka kabiny, a Conroy uruchomił silnik. Poduszkowiec wzniósł się na kilka centymetrów i zakołysał lekko, gdy Turner odsunął owiewkę i wyszedł na burtę. Oślepiająco białe słońce i powietrze jak gorący aksamit. Włożył meksykańskie ciemne okulary, wyjęte z kieszeni niebieskiej roboczej koszuli. Miał na nogach białe tenisówki i spodnie od polowego munduru tropikalnego. Pudełko wybuchowych naboí wsunął do kieszeni na udzie. Rewolwer trzymał w prawej dłoni, pod lewą pachę wcisnął zwiniętą parkę.

– Idź do tego długiego budynku – rzucił jeszcze Conroy. – Czekają na ciebie.

Turner zeskoczył w żar paleniska pustynnego dnia. Conroy zwiększył obroty i wolno przesunął fokkera z powrotem na autostradę. Turner obserwował, jak maszyna oddala się na wschód: malejąca sylwetka rozmyta w falach gorąca.

Kiedy zniknęła, zapanowała absolutna cisza. Nic się nie poruszało. Odwrócił się w stronę ruin. Coś małego i szarego jak skała przemknęło między dwoma kamieniami.

Jakieś osiemdziesiąt metrów od drogi wyrastały zębate mury. Teren między nimi a poboczem był kiedyś placem parkingowym.

Zatrzymał się po pięciu krokach. Słyszał morze, huk przyboju, głuche eksplozje łamiących się fal. Rewolwer w dłoni był zbyt duży, zbyt realny... Metal rozgrzewał się w słońcu.

Nie ma morza, powtarzał sobie, nie ma żadnego morza. Ruszył dalej, tenisówki ślizgały się na wznórkach starych szyb doprawionych brązowym i zielonymi szkłem potłuczonych butelek. Leżały tam pordzewiałe kółka, które kiedyś były kapslami, i spłaszczone prostokąty, niegdyś aluminiowe puszki. Owady brzęczały nad niskimi kępkami suchych krzaków.

Skończone. Nie ma już tamtego miejsca poza czasem.

Przystanął znowu. Spoglądał przed siebie, jakby szukał czegoś, co pomoże mu nazwać wzbierające w nim uczucie... pustkę...

Centrum handlowe było podwójnie martwe. Hotel przy plaży w Meksyku kiedyś żył, przynajmniej przez jeden sezon.

Za parkingiem zalane słońcem pustaki, tanie i bezduszne. Czekały...

* * *

Znalazł ich przykucniętych w wąskim pasie cienia szarej ściany. Trójka; zanim ich zobaczył, poczuł zapach kawy; osmalony ogniem blaszany dzbanek ustawiony chwiejnie na małym prymusie. Oczywiście miał ją poczuć – czekali na niego. W przeciwnym razie zastałby ruiny puste, a potem by zginął – bardzo cicho i niemal naturalnie.

Dwóch mężczyzn i kobieta: splekane, zakurzone buty z Teksasu, dzins tak błyszczący od brudu, że pewnie już wodoodporny. Mężczyźni nosili brody i długie włosy, ściągnięte rzemieniami w spłowiałe węzły na czubku głowy, kobieta czesała się z przedziałkiem, do tyłu, odsłaniając surową, ogorzałą twarz. Pod ścianą stał starożytny motocykl BMW; odpryskujący chrom i łuszczącą się farbę ktoś zamalował sprayem w plamy brązu i szarości pustynnego kamuflażu.

Turner puścił rękojeść smith & wessona. Broń zakołysała się na palcu wskazującym, mierząc w górę i do tyłu.

– Turner – powitał go jeden z mężczyzn. Wstał; tani metal błyskał mu z zębów. – Jestem Sutcliffe.

Ślad akcentu... prawdopodobnie Australijczyk.

– Grupa wstępna?

Spojrzał na pozostałą dwójkę.

– Tak. – Sutcliffe wsunął do ust opalony kciuk i palec wskazujący, by wyjąć poźółkłą, wykończoną stalą protezę. Własne zęby miał białe i idealnie równe. – Wyjąłeś Chauveta z IBM dla Mitsu – powiedział. – I podobno wyciągnąłeś z Tomka Semenowa.

– Czy to pytanie?

– Byłem w ochronie IBM w Marrakeszu, kiedy rozwalili tam hotel.

Turner spojrział mu w oczy. Były niebieskie, spokojne, bardzo jasne.

– Czy to jakiś problem?

– Nie ma obawy – zapewnił Sutcliffe. – Chcę tylko powiedzieć, że widziałem, jak pracujesz. – Wcisnął na miejsce protezę. – Lynch. – Skinął głową w stronę drugiego z mężczyzn. – I Webber. – Wskazał kobietę.

– Dajcie raport – rzucił Turner i przykucnął w skrawku cienia. Przysiadł na piętach, wciąż trzymając rewolwer.

– Przyjechaliśmy trzy dni temu – zaczęła Webber. – Na dwóch motorach. Postaraliśmy się, żeby w jednym pękł wał korbowy, na wypadek gdybyśmy musieli tłumaczyć, dlaczego tu obozujemy. Pustynia ma trochę wędrownych mieszkańców, cygańskich motocyklistów i różnych sekciarzy. Lynch podciągnął światłowód i sześć kilometrów stąd na wschód podłączył do telefonu.

– Do prywatnego?

– Nie, do automatu – odpowiedział Lynch.

– Przesłaliśmy impuls testowy – podjęła kobieta. – Gdyby coś nie wyszło, wiedziałbyś o tym.

Turner kiwnął głową.

– Coś odbieracie?

– Nic. Czekamy na wielki numer, cokolwiek by to miało być. – Uniosła brwi.

– To ucieczka.

– Dość oczywiste – mruknął Sutcliffe. Usiadł obok Webber, oparty plecami o mur. – Chociaż ogólny ton operacji jak dotąd sugeruje, że my, najemnicy, nie dowiemy się nawet, kogo wrywamy. Mam rację, panie Turner? A może będziemy mogli przeczytać o tym w faksie?

Turner zignorował pytanie.

– Mów dalej, Webber.

– Kiedy przecięliśmy kabel, reszta grupy przenikała tu pojedynczo albo parami. Ostatni uprzedził nas o tym pojemniku z żółtkami.

– To było ryzykowne – stwierdził Sutcliffe. – Za bardzo widoczne.

– Myślisz, że mogło nas spalić? – spytał Turner.

– Może. – Sutcliffe wzruszył ramionami. – Może nie. Przerzuciliśmy to dość szybko. Cholerne szczęście, że mieliśmy kawałek dachu, żeby to pod nim schować.

– Co z pasażerami?

– Wychodzą tylko nocą – wyjaśniła Webber. – I wiedzą, że zginą, jeśli odejdą dalej niż na pięć metrów od kapsuły.

Turner zerknął na Sutcliffe'a.

– Rozkaz Conroya – poinformował mężczyzna.

– Rozkazy Conroya już się nie liczą – oświadczył Turner. – Ale ten pozostaje w mocy. Jacy są ci ludzie?

– Medycy – stwierdził Lynch. – Szurnięci medycy.

– Jasne. Co z resztą zespołu?

– Zawiesiliśmy parę płacht mimetycznego brezentu, więc jest trochę cienia. Śpią na zmianę. Nie mamy dość wody i nie możemy za bardzo ryzykować z gotowaniem. – Sutcliffe sięgnął po dzbanek. – Rozstawiliśmy strażę i okresowo sprawdzamy kabel. – Chlusnął kawą do plastikowego kubka, który wyglądał jak pogryziony przez psa. – Więc kiedy zaczyna się taniec, panie Turner?

– Chcę obejrzeć wasz pojemnik z medykami. Chcę obejrzeć stanowisko dowodzenia. Nie wspomnieliście o stanowisku dowodzenia.

– Wszystko przygotowane – zapewnił Lynch.

– Dobrze. Trzymaj. – Podał Webber rewolwer. – Spróbuj dorobić mi do tego jakąś kaburę. A teraz Lynch pokaże mi tych medyków.

* * *

– Miał nadzieję, że to będziesz ty – oświadczył Lynch, bez wysiłku wspinając się na niskie wysypisko gruzu. – Jesteś dość znany. – Odwrócił głowę i spojrzał spod grzywy brudnych, wypłowiałych w słońcu włosów.

Turner szedł za nim.

– Za bardzo. Nawet trochę to już za bardzo. Pracowałeś z nim wcześniej? Marrakesz?

Lynch skręcił w szczelinę między pustakami, Turner za nim. Pustynne krzewy pachniały smołą; kłudy i chwytaly każdego, kto się o nie otarł. Przez pusty, prostokątny otwór, który miał być oknem, Turner dostrzegł różowe szczyty gór. Lynch zbiegał już po wysypisku gruzu.

– Pewnie, że z nim pracowałem. – Zatrzymał się u stóp zbocza. Nisko na biodrach nosił bardzo stary z wyglądu skórzany pas; ciężką klamrę ze zmatowiałego srebra zdobiła trupia główka z grzebieniem tępych czworościennych kolców. – Marrakesz... To było jeszcze przede mną.

– Dla Conniego też, Lynch?

– To znaczy?

– Conroy. Pracowałeś kiedyś dla niego? A co ważniejsze: czy teraz dla niego pracujesz? – Turner schodził powoli, ostrożnie. Gruz chrzęścił i zsuwał się spod tenisówek. Niepewna nawierzchnia. Pod dzinsową kamizelką Lyncha widział kształt delikatnego, małego strzałkowca.

Lynch oblizwał suche wargi. Nie zamierzał się poddać.

– To kontakt Suta. Ja go nie spotkałem.

– Conroy ma pewien problem: musi sam wszystkiego dopilnować. Lubi mieć w grupie swojego człowieka, od samego początku. Kogoś, kto pilnuje strażników. Zawsze. Ty nim jesteś, Lynch?

Lynch pokręcił głową: absolutne minimum ruchu niezbędne, by wyrazić przeczenie. Turner był już dość blisko, by czuć odór jego potu, silniejszy od zapachu smoły pustynnych krzewów.

– Widziałem już, jak Conroy zawalił w ten sposób dwie ekstrakcje – rzekł Turner. – Jaszczurki i rozbite szkło, Lynch. Jak byś się czuł, umierając w takim miejscu? – Podniósł pięść do twarzy Lyncha i powoli wyprostował palec wskazujący, skierowany prosto w górę. – Jesteśmy w ich polu obserwacji. Jeśli wtyczka Conroya nada najmniejszy pieprzony impuls, namierzą nas od razu.

– Jeśli już nie namierzeli.

– Zgadza się.

– Sut jest twoją wtyczką – oznajmił Lynch. – Nie ja, a nie mogę sobie wyobrazić, żeby to była Webber. – Brudne, połamane paznokcie

odruchowo poskrobały brodę. – A teraz: sprowadziłeś mnie tu specjalnie na te towarzyskie rozmówki czy dalej chcesz zobaczyć naszą puszkę żółtków?

– Zobaczymy ją.

Lynch. To z pewnością Lynch.

* * *

Kiedyś w Meksyku, wiele lat temu, Turner wynajął ruchomy francuski moduł wakacyjny, zasilany z baterii słonecznych. Siedmiometrowy korpus przypominał pozbawioną skrzydeł domową muchę wyrzeźbioną w lśniącym metalu, z oczami – bliźniaczymi półkulami opalizującego, fotoczułego plastiku. Siedział za nimi, a wiekowy dwuwirnikowy rosyjski śmigłowiec transportowy sunął wzdłuż wybrzeża z modulem w szczękach, ledwie mijając czubki najwyższych palm. Odstawiony na samotną plażę pokrytą czarnym piaskiem, Turner spędził trzy dni w luksusowej samotni wąskiej, wykładanej drewnem kabiny. Na kuchence mikrofalowej podgrzewał jedzenie z lodówki i oszczędnie, choć regularnie, brał prysznic w chłodnej świeżej wodzie. Prostokątne zespoły baterii modułu obracały się za słońcem i nauczył się z ich pozycji odgadywać czas.

Ruchomy gabinet neurochirurgiczny Hosaki przypominał bezoką wersję francuskiego modułu. Był może ze dwa metry dłuższy i pomalowany na matowy brąz. Dolną część kadłuba wspierały ustawione niedawno perforowane stalowe kątowniki, wspomagające proste sprężynowe zawieszenie dziesięciu grubych, głęboko bieżnikowanych rowerowych opon z czerwonego kauczuku.

– Śpią – stwierdził Lynch. – Kołysze się, gdy chodzą w środku, więc widać. Kiedy nadejdzie pora, zdejmemy koła, ale na razie wolimy ich mieć na oku.

Turner wolno obszedł brązową kapsułę. Zwrócił uwagę na błyszczącą czarną rurę kanalizacji, biegnącą do niewielkiego prostokątnego pojemnika.

– Wczoraj w nocy musieliśmy to opróżniać. Jezu! – Lynch pokręcił głową. – Mają żywność i dość wody.

Turner przyłożył ucho do burty.

– Jest dźwiękoszczelna – uprzedził Lynch.

Turner spojrział na stalowy dach nad głową. Kapsułę osłaniało od góry dobre dziesięć metrów rdzewiejącego stropu. Arkusze blachy tak rozgrzanej, że można by usmażyć na niej jajko. Pokiwał głową. Ten gorący prostokąt jest stałym elementem na monitorach podczerwieni Maasa.

* * *

– Nietoperze – mruknęła Webber, wręczając mu smith & wessona w czarnej, nylonowej kaburze.

Wieczór był pełen odgłosów, które robiły wrażenie, jakby pochodzących z przestrzeni wewnętrznej metalicznych pisków, brzęku owadów, wrzasków niewidocznych ptaków. Turner wcisnął rewolwer z kaburą do kieszeni kurtki.

– Gdybyś chciał się wysikać, stań przy tamtym mesquite. Ale uważaj na kolce.

– Skąd jesteś?

– Z Nowego Meksyku – odparła kobieta.

W gasnącym świetle jej twarz wyglądała jak wyrzeźbiona z drewna. Odwróciła się i odeszła w stronę zakątka między dwiema ścianami, osłoniętego od góry brezentem. Dostrzegł tam Sutcliffe'a i młodego czarnego człowieka. Jedli z ciemnych plastikowych torebek. Ramirez, dżokej konsoli, partner Jaylene Slide. Z Los Angeles.

Turner podniósł głowę. Widział bezgraniczną misę nieba, mapę gwiazd. To dziwne, że teraz wydaje się większe, pomyślał. Z orbity jest tylko bezkształtną otchłanią; skala traci znaczenie. Wiedział, że dziś w nocy nie zaśnie, a Wielki Wóz okrąży go i zanurkuje w horyzont, ciągnąc za sobą dyszel.

Fala mdłości i dezorientacji ogarnęła go gwałtownie, gdy w umyśle wezbrały nieproszone obrazy z biosoftowego archiwum.

Andrea mieszkała w Quartier des Ternes, gdzie jej zabytkowy budynek, podobnie jak inne na całej ulicy, oczekiwał na czyszczenie przez pracowitych renowatorów. Za ciemnym wejściem biofluorescencyjny pas Fuji Electric lśnił słabo nad rzędami odrapanych drewnianych skrzynek. W niektórych przetrwały jeszcze w całości wąskie drzwiczki ze szczeliną. Marly wiedziała, że listonosze kiedyś codziennie wsuwali przez te szczeliny pocztę; było w tym coś romantycznego, choć skrzynki z pożółkłymi wizytówkami informującymi o zawodach dawno zmarłych lokatorów zawsze wprawiały ją w depresję. Na ścianach korytarza przypięto grube pętle kabli i światłowodów; każde pasmo było potencjalnym koszmarem dla jakiegoś nieszczęsnego technika. Na drugim końcu korytarza, za otwartymi drzwiami z matową szybą, leżało nieużywane podwórze ze lśniącymi od wilgoci kamieniami bruku.

Kiedy Marly wróciła, *consierge* siedział na podwórzu na białej skrzynce, która kiedyś mieściła butelki wody Evian. Cierpliwie oliwił kolejne ogniwa starego czarnego łańcucha rowerowego. Podniósł głowę, kiedy weszła na schody, ale nie okazał szczególnego zainteresowania.

Stopnie były z marmuru, matowe i wklęsłe, wytarte stopami pokoleń lokatorów. Mieszkanie Andrei mieściło się na trzecim piętrze: dwa pokoje, kuchnia i łazienka. Marly zjawiała się tutaj, kiedy po raz ostatni zamknęła drzwi swojej galerii, kiedy nie mogła już dłużej spać w małym pokoiku za magazynem – zaimprovizowanej sypialni, którą dzieliła z Alainem. Budynek znowu obudził dawną depresję, ale dotyk nowego kostiumu i równy stuk obcasów na marmurze utrzymały zły nastrój na dystans.

Miała na sobie obszerny skórzany płaszcz, o kilka odcieni jaśniejszy od torebki, wełnianą spódnicę i jedwabną bluzkę z Paris Isetan. Dziś rano dała się ostrzyć birmańskiej dziewczynie z niemieckim ołówkiem laserowym – kosztowna fryzura, subtelna, ale nieprzesadnie konserwatywna.

Dotknęła okrągłej płyty przykręconej pośrodku drzwi Andrei. Czujnik zadzwieczał cicho, odczytując pętle i grzbiety jej odcisków palców.

– To ja, Andreo – powiedziała do maleńkiego mikrofonu.

Seria szczęknięć i stuków, gdy przyjaciółka otwierała zamki.

Andrea stanęła w progu, ociekając wodą, w starym frotowym szlafroku. Oceniała wygląd Marly i uśmiechnęła się.

– Dostałaś tę swoją pracę czy obrabowałeś bank?

Marly weszła i pocałowała ją w mokry policzek.

– Mam uczucie, że jedno i drugie – oświadczyła ze śmiechem.

– Kawa – zdecydowała Andrea. – Zrób nam kawy. *Grandes crèmes*. Muszę wypłukać włosy. A ty masz wspaniale...

Zniknęła w łazience i Marly usłyszała plusk wody na porcelanie.

– Przyniosłam ci prezent! – zawołała, ale Andrea nie mogła jej słyszeć.

Weszła do kuchni, napełniła czajnik, staromodną zapalniczką zapaliła gaz i zaczęła przeszukiwać zapchane półki, rozglądając się za kawą.

* * *

– Tak – przyznała Andrea. – Teraz rozumiem. – Spoglądała w hologram pudełka, które Marly pierwszy raz zobaczyła w holokonstrukcie parku Gaudiego. – To do ciebie podobne.

Dotknęła przycisku i iluzja nad braunem zniknęła. Za pojedynczym oknem pokoju kilka strzępków cirrusów ozdabiało niebo.

– Dla mnie to zbyt posępne, zbyt poważne. Jak to wszystko, co wystawiałaś u siebie w galerii. Ale to może jedynie oznaczać, że Herr Virek mądrze wybrał: wyjaśnisz dla niego tajemnicę. Biorąc pod uwagę pobory, na twoim miejscu nie śpieszyłabym się za bardzo.

Andrea włożyła prezent od Marly: drogą, pięknie i w najdrobniejszych szczegółach wykończoną męską koszulę z szarej flamandzkiej flaneli. Takie właśnie rzeczy lubiła najbardziej, i wyraźnie się ucieszyła. Na tle koszuli wspaniale wyglądały jej jasne włosy, a oczy były prawie tego samego koloru co materiał.

– On jest okropny, ten Virek... – Marly zawahała się.

– Całkiem możliwe. – Andrea łyknęła kawy. – Spodziewałaś się, że ktoś tak bogaty okaże się miłą, całkiem normalną osobą?

– W pewnym momencie miałam wrażenie, że on nie jest do końca człowiekiem. Odczułam to bardzo silnie.

– Bo nie jest, Marly. Rozmawiałaś z projekcją, z efektem specjalnym...

– Mimo to... – Bezradnie machnęła ręką, i ta bezradność natychmiast wzbudziła w niej irytację.

– Mimo to jest bardzo, bardzo bogaty i dużo ci płaci za zrobienie czegoś, do czego być może wyjątkowo się nadajesz. – Andrea uśmiechnęła się i poprawiła wywinięty czarny mankiet. – Nie masz specjalnego wyboru, prawda?

– Wiem. I podejrzewam, że to mnie właśnie niepokoi.

– No cóż... – westchnęła Andrea. – Myślałam, że powiem ci o tym trochę później. Zdarzyło się jeszcze coś, co może cię zaniepokoić. Jeśli niepokój jest tu właściwym słowem.

– Tak?

– Zastanawiałam się nawet, czy w ogóle ci o tym wspominać, ale jestem pewna, że w końcu i tak do ciebie dotrze. Wyczuwa pieniądze na odległość.

Marly ostrożnie odstawiała pustą filiżankę na trzciniowy stoliczek.

– Jest na nie bardzo wyczulony – dodała Andrea.

– Kiedy?

– Wczoraj. Zaczęło się, o ile mogę ocenić, mniej więcej godzinę po twojej rozmowie z Virekiem. Zatelefonował do mnie do pracy. Zostawił wiadomość u dozorca. Gdybym wyłączyła program ekranujący... – skinęła w stronę telefonu – ...pewnie zadzwoniłby w ciągu najbliższych trzydziestu minut.

Wspomnienie oczu *consierge'a*, stukanie rowerowego łańcucha.

– Twierdzi, że chce porozmawiać. Tylko porozmawiać. Czy chcesz z nim rozmawiać, Marly?

– Nie – odparła głosem małej dziewczynki, piskliwym i zabawnym.

A potem: – Czy zostawił numer?

Andrea westchnęła, wolno pokręciła głową i powiedziała:

– Tak, oczywiście, że zostawił.

W ciemności pływały sześcioboczne mozaiki o barwie krwi. Wszystko było ciepłe. I miękkie, na ogół miękkie.

– Ależ miazga – powiedział jeden z aniołów. Głos dochodził z daleka, ale brzmiał nisko, głęboko i bardzo wyraźnie.

– Powinnyśmy go wyciągnąć od Leona – stwierdził drugi anioł. – Tym na górze się to nie spodoba.

– Musiał coś mieć w tej wielkiej kieszeni tutaj. Widzisz? Rozcięli mu ją, żeby to wydostać.

– Ale nie wszystko rozcięli, siostró. Jezu! Tutaj!

Mozaiki zafalowały i poszybowały, gdy coś poruszyło jego głowę. Chłodna dłoń na policzku.

– Nie ubrudź sobie koszuli – ostrzegł pierwszy anioł.

– Dwa-Dziennie nie będzie zadowolony. Jak myślisz, dlaczego mu tak nagle odbiło i zaczął uciekać?

* * *

Wkurzało go to, bo chciał spać. Chociaż... Spał, z całą pewnością, ale wizyjne sny Marshy przesączały mu się jakoś do mózgu, tak że przelatywał przez porwane sekwencje „Ludzi na świeczniku”. Serial nadawali bez przerwy od czasów, kiedy jeszcze nie było go na świecie, z intrygą niby wielogłowy tasiemiec, który związał się i co kilka miesięcy pochłaniał sam siebie, by wypuścić nowe głowy, zgłodniałe napięcia i akcji. Widział – czego

Marsha nigdy nie widziała – jak wije się w swej totalności wydłużona spirala DNA Sense/Netu, tania krucha ektoplazma, emanacja pragnień niezliczonych śniących. Marsha obserwowała to z punktu widzenia Michele Morgan Magnum, głównej postaci kobiecej, dziedzicznej władczyni korporacji Magnum AG. Ale dzisiejszy odcinek dziwnie zbaczał z tematu obłąkańczo złożonych romansów Michele, których zresztą Bobby'emu nigdy nie chciało się śledzić. Akcja przeskakiwała do szczegółowych, socjoarchitektonicznych opisów osiedli klasy średniej w stylu Soleri. Niektóre detale nawet Bobby'emu wydawały się podejrzane; wątpił na przykład, by rzeczywiście całe kondygnacje poświęcono tylko na sprzedaż lodowatobłękitnych garniturów z gładkiego zamszu, z diamentowymi klamrami przy kolanach. Albo żeby istniały inne poziomy, pogrążone w wiecznym mroku i zamieszkiwane wyłącznie przez głodujące dzieci. W te ostatnie, jak sobie niejasno przypominał, święcie wierzyła Marsha, która traktowała Projekty z zabobonnym lękiem, niby grożące wszystkim pionowe piekło, gdzie pewnego dnia będzie może zmuszona wstąpić. Inne elementy wizyjnego snu przypominały mu kanał Wiedzy, wciskany za darmo z każdym abonamentem symstymu. Puszczała tam skomplikowane, animowane diagramy wewnętrznej struktury Projektów, a w tle monotonny głos opowiadał o stylach życia rozmaitych kategorii mieszkańców. Ci, kiedy zdołał skoncentrować uwagę, wydawali się jeszcze mniej prawdopodobni niż te migawki zimnoniebieskiego zamszu i drapieżne dzieci skradające się w ciemności. Obserwował, jak w kuchennej wnęcie idealnie czystego pokoju młoda matka tnie pizzę ciężkim przemysłowym nożem wodnym. Cała ściana otwierała się na wąski balkon i prostokąt nienaturalnie błękitnego nieba. Bobby miał wrażenie, że kobieta jest czarna, nie będąc czarną, niby bardzo, bardzo ciemnoskóra i młodzieńczo macierzyńska wersja porno-lalki z zestawu w jego sypialni. I miała – tak to wyglądało – identyczne małe, ale nienaturalnie doskonałe piersi.

W tym momencie, zwiększając tylko jego dezorientację, odezwał się straszliwie głośny i całkiem nie Netowy głos.

– Moim zdaniem to wyraźna oznaka życia, Jackie. Co prawda, przewidywania nie są na razie zachwycające, ale to już coś.

I wtedy zawirował, wciągany do lśniącego universum Michele Morgan Magnum, która rozpaczliwie starała się nie dopuścić do przejęcia Magnum AG przez złowrogi, pochodzący z Shikoku klan Nakamura. W tym przypadku (intryga komplikowała się) reprezentował ich tegoroczny główny chłoptaş Michele: bogaty – ale z jakichś powodów niezbędnie potrzebujący kilku dodatkowych miliardów – młody nowosowiecki polityk Wasilij Susłow, który wyglądał i ubierał się dziwnie podobnie do Gothików u Leona.

Akcja odcinka docierała do czegoś w rodzaju punktu zwrotnego: na ulicy poniżej Covina Concourse Courts miniaturowe niemieckie śmigłowce atakowały antycznego bmw na baterie paliwowe, Michele Morgan Magnum okładała niklowanym pistoletem Nambu swoją zdradziecką sekretarkę, a Susłow, z którym Bobby coraz bardziej się identyfikował, spokojnie szykował się do zniknięcia z miasta w towarzystwie świetnie zbudowanej ochroniarki, Japonki, ale bardzo podobnej do innej dziewczyny z zestawu holopornu. I wtedy ktoś krzyknął.

Bobby nigdy jeszcze nie słyszał, żeby ktoś tak wrzeszczał. Ale głos wydawał mu się znajomy. Zanim zdążył się nad tym zastanowić, znowu powróciły te wirujące, krwawe plastry miodu. Stracił przez nie końcówkę „Ludzi na świeczniku”. Nie szkodzi, pomyślała jakaś część mózgu; zawsze może zapytać Marszę, co z tego wynikło.

* * *

– Otwórz oczy, chłopie. O tak. Światło jest za ostre?

Było, ale nie zmieniało się. Biel, biel; pamiętał, jak dawno temu eksplodowała mu głowa, granat czystej bieli w zimnej, wietrznej, pustynnej ciemności. Oczy miał otwarte, ale nic nie widział. Tylko biel.

– Dałbym ci spokój, mały. W twoim stanie... Ale ludzie, którzy mi płacą, kazali się śpieszyć. No więc budzę cię, zanim skończyłem. Zastanawiasz się pewno, czemu nic nie widzisz, prawda? Otóż mam tu blokadę neuralną.

Tak między nami mówiąc, zabawka pochodzi z sex shopu, ale dlaczego nie mielibyśmy jej wykorzystać w celach medycznych, skoro taką mamy ochotę? A mamy ochotę, bo ciągle bardzo cię boli. Zresztą, dzięki niej leżysz nieruchomo, kiedy nad tobą pracuję. – Głos był spokojny i równy. – Twój podstawowy kłopot, czyli plecy, rozwiązałem za pomocą zszywacza i prawie metra szponu. Nie zajmuję się tu chirurgią plastyczną, rozumiesz, ale dla dziewczynek te blizny będą naprawdę interesujące. W tej chwili oczyszczam ranę na piersi, potem założę tu mały szpon i po wszystkim. Przez parę dni lepiej unikaj gwałtownych ruchów, bo wyciągniesz kłamrę. Przykleiłem ci kilka derm i zaraz przykleję więcej. A teraz przełączę ci zmysły na audio i pełną wizję, żebyś oswoił się z tym, gdzie jesteś. Nie przejmuj się krwią. Jest twoja, ale więcej już nie będzie.

Biel skłębiła się w szarą chmurę, obiekty nabierały kształtów w powolnym tempie wizji w obłoku pyłu. Leżał na obitym miękko suficie i patrzył prosto w dół na pokrwawioną białą lalkę, która zamiast głowy miała zielonkawoblękitną chirurgiczną lampę wyrastającą jakby bezpośrednio z ramion. Czarny mężczyzna w pochłapanym zielonym fartuchu rozpyłał coś żółtego na płytke cięcie biegnące ukośnie od miejsca tuż nad kością łonową lalki do lewego sutka. Wiedział, że mężczyzna jest czarny, ponieważ miał gołą głowę – gołą i wygoloną, błyszczącą od potu. Dłonie skrywały mu obcisłe zielone rękawiczki, tak że poza lśniącą koroną łysiny Bobby nie widział ani kawałka jego skóry. Różowe i niebieskie dermadyski przylegały do skóry po obu stronach szyi lalki. Brzegi rany pomalowane były czymś, co wyglądało jak syrop czekoladowy, a żółty aerozol syczał u wylotu małej srebrnej rurki.

Po chwili do Bobby'ego dotarł sens obrazu i wszechświat przekręcił się nagle, budząc mdłości. Lampa wisiała u sufitu, sufit pokrywało lustro, a lalką był on sam. Miał uczucie, że coś jakby długa, elastyczna lina ciągnie go z powrotem: przez czerwone plastry miodu do pokoju, gdzie czarna dziewczyna kroїła pizzę dla swoich dzieci. Wodny nóż nie wydawał żadnego dźwięku: mikroskopijne drobiny ścierne zawieszane w wąskim jak igła wysokociśnieniowym strumieniu wody. Bobby wiedział, że urządzenie służy do cięcia szkła i stopów, nie do krojenia pizzy z kuchni

mikrofalowej. Chciał do niej zawołać, bo bał się, że, nawet tego nie czując, odetnie sobie kciuk.

Ale nie mógł krzyczeć, nie mógł się ruszyć ani nawet jęknąć. Z czułością odkroiła ostatni kawałek, przycisnęła stopą pedał wyłącznika noża, ułożyła pizzę na gładkiej ceramicznej tacy i spojrzała na kwadrat błękitu za balkonowymi drzwiami, gdzie były jej dzieci... Nie, powiedział Bobby gdzieś w głębi własnego umysłu. Niemożliwe... Ponieważ stwory, które wtoczyły się do wnętrza i skoczyły ku niej, nie były podrostkami na lotniach. Były dziećmi, monstrualnymi dziećmi ze snu Marshy, ciałami o skrzydłach z różowych kości połączonych z metalem, napiętymi błonami plastiku... Zobaczył ich zęby...

– O rany – mruknął czarny mężczyzna. – Na chwilę cię straciłem. Nie za długo, rozumiesz, może nowojorską minutę...

Dłoń w lustrze nad głową podniosła z zakrwawionej ścierki obok żeber Bobby'ego płaską szpulę z przejrzystego niebieskiego plastiku. Delikatnie, dwoma palcami, mężczyzna odwinął rodzaj brunatnego przewodu podobnego do sznura paciorków. Małe punkciki światła błyskały po bokach koralików, jakby się poruszały i wibrowały.

– Szpon – wyjaśnił mężczyzna.

Kciukiem drugiej ręki wcisnął jakiś wewnętrzny nóż w niebieskiej szpuli. Odcinek przewodu z paciorkami zakołysał się swobodnie i zaczął wić jak wąż.

– Dobra rzecz – stwierdził mężczyzna. – Nowość. Teraz używają takich w Chibie.

Brązowy wąż nie miał głowy, każdy paciorek był segmentem ciała, a każdy segment wyposażony w parę jasnych, lśniących nóżek. Nagle, z godnym iluzjonisty gestem dłoni w zielonych rękawiczkach, mężczyzna ułożył węża, czy może raczej stonogę wzdłuż otwartej rany i ścisnął delikatnie ostatni segment, najbliższy twarzy Bobby'ego. Segment oderwał się, ciągnąc za sobą czarną nić. Służyła za system nerwowy stwora, bo w miarę, jak się przesuwała, kolejne pary szponów zatrzaśniały się, spinając brzegi rany mocno jak zamek w nowej kurtce.

– No widzisz – rzekł czarny mężczyzna, białym tamponem ścierając resztki brązowego syropu. – Nie było tak źle, prawda?

* * *

Wkroczył do apartamentu Dwóch-Dziennie zupełnie inaczej, niż to sobie tak często wyobrażał. Przede wszystkim, nigdy się nie spodziewał, że wjedzie na wózku inwalidzkim, który ktoś sobie przywłaszczył z Domu Opieki Marii Panny – tę nazwę i numer seryjny wypalono laserem na matowym chromie lewej poręczy. Kobieta, która go popychała, doskonale by pasowała do którejś z jego fantazji; miała na imię Jackie i była jedną z dwóch dziewczyn z Projektów, które widział u Leona. I – jak rozumiał – jednym z jego aniołów. Wózek bezszelestnie sunął po szorstkiej szarej wykładzinie w wąskim korytarzu prowadzącym do apartamentu. Za to przy każdym kroku podzwaniały wesolo złote bransoletki przy kapeluszu Jackie.

I nigdy sobie nie wyobrażał, że mieszkanie Dwóch-Dziennie będzie takie duże. I pełne drzew.

Pye, lekarz, który z naciskiem podkreślał, że wcale nie jest lekarzem, tylko kimś, kto „czasami pomaga”, usiadł na wytartym barowym stolku w swojej zaimprovizowanej sali operacyjnej i ściągnął pokrwawione zielone rękawiczki. Zapalił mentolowego papierosa i z poważną miną zalecił Bobby’emu, żeby przez najbliższy tydzień czy dwa unikał wysiłku. Po kilku minutach Jackie i Rhea, drugi anioł, wcisnęły go w pogniecioną czarną piżamę, która wyglądała jak rekwizyt z taniego kina o ninja. Usadziły go w fotelu na kółkach i popchały do centralnego ciągu wind wokół głównego filaru budynku. Bobby był przytomny, nie odczuwał bólu dzięki trzem dodatkowym dermom z zapasu Pye’a; jedna z nich zawierała dobre dwa tysiące mikro analogu endorfiny.

– A moje rzeczy? – protestował, kiedy wyjechali na korytarz, niebezpiecznie wąski po dziesięcioleciach montowania dodatkowych kabli i rur. – Gdzie moje ciuchy, mój dek i wszystko?

– Twoje ciuchy, skarbie, są w plastikowym worku i czekają, aż Pye je wyniesie. Musiał je rozcinać i zdzierać z ciebie na stole. Zresztą i tak zostały z nich tylko pokrzwawione szmaty. Jeżeli dek miałeś w kurtce na plecach, to moim zdaniem wyjęli ci go chłopcy, którzy cię załatwili. Niewiele brakowało, a załatwiliby cię na dobre. W dodatku, wredny draniu, poplamieś moją koszulę od Sally Stanley.

Anioł Rhea nie zachowywała się zbyt przyjaźnie.

– Aha... – mruknął Bobby, kiedy skręcili za róg. – Dobra. A czy przypadkiem nie znalazłyście mojego śrubokręta? I chipa kredytowego?

– Żadnych chipów, dziecinko. A jeśli chodzi ci o ten śrubokręt z dwiema setkami nowych w uchwycie, to taka właśnie jest cena nowej koszuli...

* * *

Dwa-Dziennie nie wyglądał, jakby był szczególnie zachwycony widokiem Bobby'ego. Prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie, jakby go wcale nie widział. Spoglądał ponad nim na Jackie i Rheę, pokazując zęby w uśmiechu, który wyraźnie dowodził zdenerwowania i braku snu. Podtoczyły go tak blisko, że zobaczył żółtawe zwykle białka oczu Dwóch-Dziennie – niemal pomarańczowe w fioletowym świetle biorurek, zwisających z sufitu na pozór zupełnie przypadkowo.

– Czemu tak długo, suki? – zapytał handlarz.

W jego głosie nie było gniewu, tylko potworne znużenie i jeszcze coś, czego Bobby z początku nie rozpoznał.

– Przez Pye'a – odparła Jackie. Wyminęła wózek i wzięła paczkę chińskich papierosów z wielkiej drewnianej płyty, służącej Dwóm-Dziennie za stolik. – Stary Pye jest perfekcjonistą.

– Nauczył się tego na weterynarii – dodała Rhea tak, żeby Bobby usłyszał. – Tyle że zwykle jest tak naćpany, że nikt by mu nie dał psa na leczenie.

– No tak... – Dwa-Dziennie spojrział wreszcie na Bobby'ego. – Wylizesz się.

Oczy miał zimne. Zimne, zmęczone i klinicznie obojętne, całkowicie różne od zwykłych oczu nerwowego pasera i gaduły, za jakiego Bobby go uważał. Pod ich spojrzeniem Bobby mógł tylko spuścić głowę. Wbił wzrok w blat stołu, czując na policzkach gorący rumieniec.

Blat, prawie na trzy metry długi i ponad metr szeroki, był zbity z klocków grubszych niż udo Bobby'ego. Musiały kiedyś leżeć w wodzie, pomyślał. Niektóre fragmenty wciąż zachowały srebrzystą patynę drewna wyrzuconego przez fale, jak ten pień, przy którym bawił się dawno temu w Atlantic City. Ale te kloce od dawna już nie widziały wody. Powierzchnię pokrywała mozaika kropli wosku ze świec, plamy z wina, ślady po czarnej matowej emalii nakładanej sprayem na jakieś przedmioty o dziwacznych kształtach, a także ciemne piętna wypalone setkami papierosów. Stół był tak zavalony jedzeniem, odpadkami i gadżetami, że wyglądał, jakby jakiś uliczny handlarz zaczął rozkładać na nim swój towar, ale zrobił sobie przerwę obiadową. Walały się tam niedojedzone pizze z krylowymi pulpetami w czerwonym sosie – Bobby poczuł ssanie w żołądku – a obok nierówne stosy programów, stały brudne kieliszki z niedopałkami papierosów utopionymi w resztkach wina, różowa plastikowa taca z równymi rzędami wyschniętych z wyglądu kanapek, otwarte i zamknięte puszki piwa, antyczny wojskowy nóż Gerbera leżał bez pochwy na płaskim bloku gładkiego marmuru, do tego co najmniej trzy pistolety i dwadzieścia kilka tajemniczych elementów wyposażenia konsoli – ekwipunek kowboja, na którego widok w normalnych warunkach Bobby zacząłby się ślinić.

Teraz ślina napływała mu do ust na myśl o kawałku zimnej pizzy z kryłem. Ale głód był drobiazgiem wobec nieoczekiwanego uczucia poniżenia, kiedy przekonał się, że Dwa-Dziennie wcale się nim nie przejmuje. To nie znaczy, że Bobby uważał handlarza za przyjaciela, wierzył jednak głęboko, że Dwa-Dziennie widzi w nim kogoś szczególnego, utalentowanego, aktywnego, kto ma szansę wydostać się z Barrytown. Jednakże spojrzenie przekrwionych oczu świadczyło wyraźnie, że nie jest nikim specjalnym, i jeszcze wilsonem na dodatek...

– Posłuchaj, chłopie... – powiedział ktoś.

Nie był to Dwa-Dziennie, więc Bobby podniósł głowę. Dwaj mężczyźni siedzieli obok handlarza na ciężkiej skórzanej sofie. Obaj czarni. Ten, który się odezwał, nosił jakąś szarą szatę i staromodne okulary w plastikowych oprawkach. Oprawki były kwadratowe, duże i wyglądały, jakby brakowało w nich szkielek. Drugi miał ramiona dwa razy szersze od handlarza i był ubrany w prosty dwuczęściowy czarny garnitur, jaki widuje się w kinie u japońskich biznesmenów. Nieskazitelnie białe mankiety były spięte dwoma jasnymi prostokątami złotych mikroobwodów.

– Szkoda, że nie możemy ci zostawić czasu na powrót do zdrowia – rzekł pierwszy. – Ale mamy tu ciężki problem. – Zdjął okulary i rozmasował grzbiet nosa. – Potrzebujemy twojej pomocy.

– Niech to diabli... – mruknął Dwa-Dziennie.

Pochylił się, z paczki na stole wyjął chińskiego papierosa, odpalił od metalowej czaszki wielkości dużej cytryny i sięgnął po kieliszek wina. Mężczyzna w okularach wysunął smukły brązowy palec i dotknął jego przegubu. Dwa-Dziennie puścił kieliszek i wyprostował się ze sztucznie obojętną twarzą. Mężczyzna uśmiechnął się do Bobby'ego.

– Graf Zero – rzekł. – Podobno takie masz pseudo.

– Zgadza się – wykrztusił Bobby. Zabrzmiało to jak krakanie.

– Musisz nam opowiedzieć o Dziewicy, Graf.

Bobby zamrugał zdziwiony.

– *Vyèj Mirak...* – Okulary wróciły na miejsce. – Pani Nasza, Dziewica Cudów. My znamy ją... – zrobił znak lewą ręką – ...jako Ezili Freda.

Bobby uświadomił sobie, że ma otwarte usta. Zamknął je. Trzy pary oczu na trzech ciemnych twarzach wpatrywały się w niego wyczekująco. Jackie i Rhea zniknęły, choć nie zauważył, kiedy wyszły. Ogarnęło go uczucie zbliżone do paniki. Gorączkowo rozglądał się po rosnącym dookoła dziwnym lesie karłowatych drzew. Rurki bioświatła sterczały pod wszystkimi możliwymi kątami i we wszystkie strony, niczym różowofioletowe bierki zawieszane w zielonej przestrzeni liści. Żadnych ścian. W ogóle nie widział ścian. Sofa i zavalony blat stały na czymś w rodzaju polany o podłożu z nagiego betonu.

– Wiemy, że przyszła do ciebie – oświadczył potężny mężczyzna, spokojnie zakładając nogę na nogę. Poprawił idealny kant na nogawce, a na Bobby'ego mrugnęła złota spinka do mankietu. – Wiemy o tym, rozumiesz?

– Dwa-Dziennie mówił mi, że to było twoje pierwsze wejście – dodał drugi z obcych. – To prawda?

Bobby przytaknął.

– Jesteś więc wybrańcem Legby. – Mężczyzna znowu zdjął puste oprawki. – Skoro spotkałeś *Vyèj Mirak*.

Uśmiechnął się.

Bobby znowu otworzył usta.

– Legba – wyjaśnił mężczyzna. – Pan dróg i ścieżek. Loa komunikacji...

Dwa-Dziennie zgasił papierosa na poplamionym drewnie. Bobby zauważył, że drżą mu palce.

Umówili się w piwiarni na piątym podpoziomiu kompleksu „Dworu Napoleona”, pod szklaną piramidą Luwru. Było to miejsce, które znali oboje, chociaż nie miało dla nich żadnego szczególnego znaczenia. To Alain je zaproponował i podejrzewała, że wybrał bardzo starannie. Było gruntem emocjonalnie neutralnym; znajomym otoczeniem, wolnym jednak od ciężaru wspomnień. Wystrój pochodził z przełomu wieku: granitowe blaty, czarne belki od podłogi po sufit, lustro na całą ścianę i meble w stylu włoskich restauracji, z ciemnego kutego żelaza; mogły pochodzić z dowolnej dekady zeszłego stulecia. Na stołach leżały serwety z szarego lnu w wąskie czarne paski. Ten sam deseń występował na okładkach menu, na firmowych zapalkach i na fartuchach kelnerów.

Miała na sobie skórzany płaszcz kupiony w Brukseli, czerwoną płócienną bluzkę i nowe czarne dżinsy. Andrea najpierw udawała, że nie widzi, jak starannie ubiera się na to spotkanie, po czym pożyczyła jej prosty pojedynczy sznur pereł, który idealnie pasował do bluzki.

Przyszedł wcześniej. Zobaczyła go, jak tylko weszła. Już teraz stolik był zastawiony jego rzeczami. Założył swój ulubiony szal, który rok temu razem kupili na pchlim targu. Jak zawsze sprawiał wrażenie niedbałego i całkowicie swobodnego. Wytarty skórzany neseser wypuł zawartość na niewielki kwadrat gładkiego granitu: kołonotatniki, nieczytany egzemplarz kontrowersyjnej powieści miesiąca, gauloisesy bez filtra, pudełko drewnianych zapalek i terminarz w skórzanych okładkach, który kupiła mu u Browna.

– Bałem się, że nie przyjdiesz – powitał ją z uśmiechem.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – spytała.

Przypadkowa odpowiedź. Żałosna, pomyślała. Maskująca grozę, jaką odczuwała w tej chwili... jaką w końcu pozwoliła sobie odczuwać: lęk przed utratą części siebie, woli i kierunku, lęk przed miłością, która jeszcze nie wygasła. Przysunęła sobie krzesło i usiadła. Zjawił się młody kelner, hiszpański chłopak w pasiastym fartuchu. Poprosiła o wodę Vichy.

– Nic więcej? – zdziwił się Alain.

Kelner czekał.

– Nie, dziękuję.

– Od tygodni usiłuję cię złapać – powiedział Alain.

Wiedziała, że kłamie. A jednak, jak tyle razy przedtem, zastanawiała się, czy jest w pełni świadom faktu swojego kłamstwa. Andrea twierdziła, że ludzie tacy jak Alain kłamią bezustannie i namiętnie, aż wreszcie zatracają wyczucie różnicy. Są swego rodzaju artystami, mówiła, próbującymi zmienić strukturę rzeczywistości. A Nowe Jeruzalem to piękne miejsce, wolne od debetów w banku, natrętnych gospodarzy i konieczności znalezienia kogoś, kto wieczorem zapłaci rachunek.

– Nie zauważyłam, żebyś usiłował mnie łapać, kiedy Gnass zjawił się z policją – rzekła z nadzieją, że przynajmniej się skrzywi. Jednakże chłopięca twarz jak zawsze pozostała spokojna pod grzywą kasztanowych włosów, które odruchowo przeczesał palcami.

– Przykro mi – oświadczył i zdusił niedopałek gauloisesa.

Nauczyła się kojarzyć z nim aromat ciemnego francuskiego tytoniu i teraz cały Paryż wydawał się pełen jego zapachu, jego ducha, jego tropów.

– Byłem przekonany, że nigdy nie wykryje, hm... natury dzieła. Musisz zrozumieć: kiedy uświadomiłem sobie w pełni, jak bardzo potrzebujemy pieniędzy, zrozumiałem, że muszę coś zrobić. Wiedziałem, że ty jesteś zbyt wielką idealistką. Galeria i tak by nie przetrwała. Gdyby u Gnassa wszystko poszło zgodnie z planem, bylibyśmy tam teraz, a ty byłabyś szczęśliwa. Szczęśliwa – powtórzył i wyjął z paczki kolejnego papierosa.

Potrafiła tylko patrzeć na niego, czując jakby zdumienie i mdlące obrzydzenie dla swego pragnienia, by mu uwierzyć.

– Wiesz... – Z żółto-czerwonego pudełka wyjął zapalną. – Już wcześniej miałem kłopoty z policją. Kiedy byłem na studiach. Polityka, oczywiście.

Zapalił zapalną, rzucił pudełko i przypalił papierosa.

– Polityka – mruknęła i nagle zachciało jej się śmiać. – Nie miałam pojęcia, że istnieje partia dla takich ludzi jak ty. Nie wyobrażam sobie, jak mogłaby się nazywać.

– Marly – rzekł, zniżając głos, co zawsze czynił, kiedy chciał zaznaczyć głębię uczucia. – Wiesz przecież... Musisz wiedzieć, że zrobiłem to dla ciebie. Dla nas, jeśli wolisz. I z pewnością wiesz, czujesz, że nigdy świadomie bym cię nie zranił, nie naraził.

Na stoliku nie było już miejsca na jej torebkę, więc trzymała ją na kolanach. Nagle zdała sobie sprawę, że głęboko wbija paznokcie w miękką skórę.

– Nigdy byś mnie nie zranił...

Głos należał do niej: zagubiony i pełen zdumienia głos dziecka... I nagle była wolna, wolna od pragnienia, od pożądania, wolna od lęku. Wobec tej przystojnej twarzy naprzeciwko odczuwała teraz zwykle obrzydzenie. Mogła po prostu patrzeć na niego, na obcego, obok którego sypiała przez rok w malutkim pokoiku na tyłach bardzo małej galerii przy Rue de Mauconseil. Kelner postawił przed nią szklankę vichy.

Alain musiał uznać jej milczenie za początek akceptacji, obojętny wyraz za otwartość.

– Nie rozumiesz... – był to, jak pamiętała, jego ulubiony wstęp – ...że tacy ludzie jak Gnass istnieją, w pewnym sensie, aby wspierać sztukę. Aby nas wspierać, Marly. – Uśmiechnął się nagle, jakby śmiał się z siebie: przelotny, konspiracyjny uśmiech, który teraz zmroził jej krew w żyłach. – Przypuszczam jednak, że powinienem go pochwalić: miał dość rozsądku, żeby wynająć własnego eksperta od Cornella. Co prawda, mój ekspert, muszę cię zapewnić, był o wiele większym erudytą...

Jak może stąd wyjść? Wstań, nakazała sobie. Odwróć się. Przejdź spokojnie do drzwi. Przeszaj próg. Wyjdź na przytłumiony blask „Dworu Napoleona”, gdzie marmur zakrywa Rue du Champ Fleuri, czternastowieczną uliczkę podobno zarezerwowaną wyłącznie dla

prostytacji. Wszystko, cokolwiek, tylko idź, natychmiast, jak najdalej od niego... By zgubić się w tym Paryżu z turystycznych przewodników, jakiego nauczyła się, kiedy przyjechała tu po raz pierwszy.

– Ale teraz – mówił dalej – sama widzisz, że wszystko to wyszło nam na dobre. Często tak bywa, prawda? – Znowu uśmiech, ale tym razem chłopięcy, nieco rozmarzony i jakoś potwornie intymny. – Straciliśmy galerię, ale znalazłaś pracę, Marly. Masz zadanie do wykonania, a ja mam kontakty, których potrzebujesz. Znam ludzi, z którymi będziesz musiała porozmawiać, żeby odszukać swojego artystę.

– Mojego artystę?

Łykem vichy zamaskowała nagle zakłopotanie.

Otworzył wytarty neseser i wyjął coś płaskiego: zwykły refleksyjny hologram. Wzięła go, zadowolona, że ma co zrobić z rękami. I zobaczyła, że to amatorskie zdjęcie pudełka, jakie widziała w Virekowym konstrukcie Barcelony. Ktoś trzymał je w rękach. Czyjeś dłonie – nie Alaina; na palcu jednej tkwił sygnet z jakiegoś ciemnego metalu. Tło niknęło; widziała tylko pudełko i dłonie.

– Alain... – wykrztusiła. – Skąd to wzięłeś?

Podniosła głowę, by w jego oczach dostrzec przerażający, dziecięcy tryumf.

– To odkrycie będzie kogoś sporo kosztować. – Zdusił niedopałek i wstał. – Przepraszam na chwilę.

Odszedł w kierunku toalet. A kiedy zniknął za czarnymi wspornikami i lustrem, upuściła hologram, wyciągnęła rękę i podniosła pokrywę jego nesesera. Był pusty: tylko niebieska gumka i okruchy tytoniu.

– Życzy sobie pani coś jeszcze? Może drugą szklankę vichy?

Kelner stał obok. Spojrzała na niego, porażona nagle wrażeniem znajomości. Ta szczupła, smagła twarz...

– Ma przy sobie nadajnik – oznajmił kelner. – Jest też uzbrojony. Pracowałem na bramce w Brukseli. Proszę mu dać czego żąda. Proszę pamiętać, że pieniądze nic dla pani nie znaczą. – Wziął pustą szklankę i starannie ustawił na tacy. – A bardzo prawdopodobne, że jego zniszczą.

Wrócił Alain, uśmiechając się szeroko.

– A teraz, kochanie – powiedział, sięgając po papierosy – możemy pomówić o interesach.

Marly odpowiedziała uśmiechem i kiwnęła głową.

W końcu pozwolił sobie na trzy godziny snu w bezokiennym bunkrze, w którym grupa rozpoznawcza założyła stanowisko dowodzenia. Poznał resztę zespołu. Ramirez był drobny, nerwowy, bez przerwy myślał o swojej pracy dżokeja konsoli. Wiele od niego zależało: od niego i od Jaylene Slide na platformie wiertniczej. Mieli monitorować cyberprzestrzeń wokół sektora sieci, gdzie mieściły się ciężko oblodzone banki danych Maas Biolabs. Jeśli Maas w ostatniej chwili ich wykryje, ta dwójka może zdołać przekazać ostrzeżenie. Ramirez miał także przekazywać dane z modułu medycznego na platformę – trudne zadanie, jeśli mieli to utrzymać w tajemnicy przed Maasem. Linia biegła do budki telefonicznej stojącej na całkowitym pustkowiu. Dalej, w matrycy, on i Jaylene musieli radzić sobie sami. Jeśli zawał, Maas wysłedzi sygnał i zlokalizuje stanowisko.

Był też Nathan, mechanik, którego główną funkcją było pilnowanie sprzętu w bunkrze. Jeśli sypnie się jakiś element systemu, istniała szansa, że potrafi usunąć awarię. Nathan należał do gatunku, który wyprodukował Oakeya i tysiące innych, z którymi Turner pracował przez lata: niezależnych techników, którzy lubili zarabiać duże pieniądze za ryzyko i udowodnili, że potrafią trzymać język za zębami. Pozostali: Compton, Teddy, Costa i Davis, byli kosztownymi mięśniakami, najemnikami wynajmowanymi właśnie do takich zadań. Specjalnie dla nich starannie wypytał Sutcliffe'a o plany ewakuacji. Wyjaśnił, gdzie wylądują śmigłowce, w jakiej kolejności będą się zwijać oraz dokładnie jak i kiedy otrzymają wypłatę.

Potem polecił, żeby zostawili go w bunkrze samego, i kazał Webber obudzić się za trzy godziny.

Konstrukcja była kiedyś stacją pomp albo jakąś rozdzielnią elektryczną. Sterczące ze ścian kikuty plastikowych rur mogły osłaniać kable albo przetaczać ścieki; w pomieszczeniu nie pozostał żaden ślad świadczący, że któraś z nich była kiedyś do czegoś podłączona. Strop, lity blok betonu, znajdował się zbyt nisko, by Turner mógł się wyprostować; w powietrzu unosił się nie całkiem nieprzyjemny zapach suchego kurzu. Zanim wnieśli stoły i sprzęt, ludzie z grupy zamietli podłogę, ale tu i tam pozostały jeszcze żółte strzępy gazetowego papieru. Rozsypywały się, kiedy ich dotykał; odczytywał pojedyncze litery, czasem całe słowo.

Dwa składane metalowe stoły campingowe ustawiono wzdłuż ścian w literę L. Na nich rozłożono zestawy niesamowicie skomplikowanego sprzętu komunikacyjnego. Najlepsze, pomyślał, jakie Hosaka mógł znaleźć.

Przeszedł schylony wzdłuż obu stołów, po drodze opukując każdą konsolę, dotykając każdej czarnej skrzynki. Znalazł mocno zmodyfikowany wojskowy nadbiornik wstęgi bocznej, przystosowany do transmisji impulsowej. To będzie ich łącze, gdyby Ramirezowi i Jaylene nie udał się transfer danych. Impulsy były nagrane wcześniej: starannie opracowana techniczna fikcja, zakodowana przez kryptografów Hosaki. Zawartość impulsów była nieistotna, ale kolejność ich nadawania przekaże proste informacje. Sekwencja B/C/A zawiadomi Hosakę o przybyciu Mitchella; F/D oznaczać będzie, że opuścił pozycję, a F/G to wiadomość o jego śmierci i przerwaniu operacji. Turner popukał palcem w przekaźnik i zmarszczył czoło. Nie był zadowolony z przygotowań Sutcliffe'a. Jeśli ekstrakcja się sypnie, mało prawdopodobne, żeby się stąd wydostali, a co dopiero wydostali bez strat. Webber poinformowała go dyskretnie, że na wypadek kłopotów ma rozkaz zniszczyć z ręcznej wyrzutni przeciwpancernej moduł medyczny i jego pasażerów.

– Oni wiedzą – powiedziała. – Mogę się założyć, że za to też im płacą.

Reszta zespołu musiała polegać na śmigłowcach czekających niedaleko Tucson. Turner uznał, że zaalarmowany Maas bez trudu zdejmie je, kiedy

będą się zbliżać. Kiedy rozmawiał o tym z Sutcliffem, Australijczyk tylko wzruszył ramionami.

– W sprzyjającej sytuacji nie tak bym to ustawił. Ale przecież nas wszystkich ściągnęli tu bez przygotowania.

Obok przekaźnika stał skomplikowany biomonitor Sony, połączony bezpośrednio z modułem chirurgicznym i załadowany danymi medycznymi z biosoftowego dossier Mitchella. Kiedy nadejdzie czas, medycy uzyskają dostęp do danych uciekiniera. Równocześnie wszelkie ich działania zostaną przekazane do Sony i zintegrowane. Wtedy Ramirez oblodzi je i przerzuci do cyberprzestrzeni, gdzie Jaylene Slide będzie już czekać na platformie. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wyniki badań Mitchella trafią do kompleksu Hosaki w Mexico City, zanim Turner dostarczy go tam myśliwcem. Turner nigdy nie widział czegoś podobnego do tego Sony, przypuszczał jednak, że w swojej singapurskiej klinice Holender miał pewnie jakiś podobny sprzęt. Na tę myśl sięgnął ręką do nagiej piersi; palce odruchowo prześledziły niewidoczną linię blizny wszczepu.

Na drugim stole rozmieszczono zestaw cyberprzestrzeni. Dek był taki sam jak tamten, który oglądał na platformie wiertniczej: prototyp z Maas-Neotek. Konfiguracja standardowa, ale Conroy twierdził, że jest zbudowany na nowych biochipach. Do konsoli przyklepiono bryłę blad różowego plastiku wielkości pięści; ktoś, pewnie Ramirez, wyrył palcem dwa dołki jako oczy i nierówny łuk idiotycznego uśmiechu. Dwa przewody, niebieski i żółty, wybiegały z różowego czoła do jednej z czarnych pustych rur sterczących ze ściany nad konsolą. Kolejne zadanie Webber, gdyby uznała, że stanowisko jest zagrożone przejęciem. Turner przyjrzał się przewodom. Wielkość ładunku w małej zamkniętej przestrzeni gwarantowała śmierć wszystkich, którzy znajdą się w bunkrze.

Bolał go grzbiet, czubek głowy ocierał się o szorstki beton stropu, kontynuował jednak inspekcję. Pozostałą część blatu zajmowały peryferia deku: ustawione z obsesyjną precyzją szeregi czarnych skrzynek. Podejrzewał, że każdy układ znajdował się w pewnej zadanej odległości od sąsiednich. Były idealnie wyrównane. Ramirez sam je ustawiał i Turner był

przekonany, że gdyby przesunął którąś choćby o milimetr, dżokej by zauważył. Widywał już taką neurotyczną pedanterię u innych speców od konsoli; nie świadczyła o niczym. Poznał też dżokejów, którzy zdradzali odwrotne skłonności, świadomie wtykali swój sprzęt w plątaninę przewodów i kabli, bali się porządku i oblepiali konsole rysunkami kostek do gry albo trupich czaszek. Trudno cokolwiek stwierdzić... Albo Ramirez jest dobry, albo wszyscy mogą wkrótce zginąć.

Na brzegu blatu leżało pięć dousznych odbiorników Telefunkena z przyklejonymi laryngofonami, zapieczętowanymi jeszcze w foliowych opakowaniach. Podczas krytycznej fazy ekstrakcji, którą Turner oceniał na dwadzieścia minut przed i dwadzieścia po przybyciu Mitchella, on sam, Ramirez, Sutcliffe, Webber i Lynch będą mogli się łączyć, chociaż z nadajników trzeba będzie korzystać jak najrzadziej.

Za telefonkami leżało nieoznakowane plastikowe pudło. Zawierało dwadzieścia szwedzkich katalitycznych grzałek do rąk, gładkich płaskich owali ze lśniącej stali, każdy w woreczku z jaskrawoczerwonej flaneli.

– Chytry drań z ciebie – zwrócił się Turner do pudła. – Sam mogłem na to wpaść.

* * *

Spał na murszejącej piance, na podłodze stanowiska dowodzenia. Przykrył się parką. Conroy miał rację co do nocy na pustyni, ale beton przechowywał ciepło dnia. Został w spodniach i butach; Webber poradziła mu, żeby przy każdym ubieraniu wytrzepywał wszystkie swoje rzeczy.

– Skorpiony – wyjaśniła. – Lubią pot, zresztą każdą wilgoć.

Zanim się położył, wyjął smith & wessona z nylonowej kabury i starannie ułożył go obok pianki. Potem, nie gasząc dwóch bateryjnych lamp, zamknął oczy.

I zsunął się w płytkie morze snu. Przesuwały się obrazy: fragmenty dossier Mitchella zmieszane ze strzępami jego własnego życia. On i Mitchell jechali autobusem przez wodospad szklanych płyt do lobby hotelu w Marrakeszu. Naukowcy wrzasnęli, kiedy zdetonował umocowane

do burt pojazdu dwadzieścia kanistrów chloroacetofenonu. Oakey też tam był, proponował mu whisky i żółtą peruwiańską kokainę na okrągłym lusterku w plastikowej oprawce, które ostatnim razem widział w torebce Allison. Miał wrażenie, że za oknem autobusu dostrzega Allison, jak krztusi się w chmurze gazu. Próbował powiedzieć coś Oakeyowi, próbował mu ją pokazać, ale szyby były oblepione meksykańskimi hologramami świętych i pocztówkami z Dziewicą, a Oakey trzymał w ręku coś gładkiego i okrągłego: kulę różowego kryształu. Zobaczył pająka przyczajonego w jej wnętrzu, pająka z rtęci, ale Mitchell śmiał się ustami pełnymi krwi i wyciągał otwartą dłoń, podając Turnerowi szary biosoft. Turner zobaczył nagle, że dossier to mózg, szaroróżowy i żywy pod wilgotną, przezroczystą błoną, pulsujący lekko w dłoni Mitchella. A potem zwałił się z jakiejś podwodnej półki snu i opadł łagodnie w noc bez żadnych gwiazd.

* * *

Obudziła go Webber: kanciasta sylwetka w kwadratowej ramie wejścia, z zasłaniającym otwór ciężkim wojskowym kocem na ramionach.

– Twoje trzy godziny minęły, Turner. Medycy wstali, jeśli masz ochotę z nimi pogadać.

Wycofała się; jej ciężkie buty zachrzęściły na żwirze.

Medycy Hosaki czekali obok modułu neurochirurgicznego. W świetle wschodzącego nad pustynią słońca wyglądali, jakby w swoich modnie pogniecionych dresach z Ginzy wyszli właśnie z jakiegoś teleportu. Jeden z mężczyzn owinął się w za duży, ręcznie robiony meksykański sweter z paskiem, jakie w Mexico City Turner często widywał u turystów. Pozostałą dwójkę chroniły przed chłodem kosztowne z wyglądu, izolowane narciarskie kurtki. Mężczyźni byli o głowę niżsi od Koreanki, smukłej, o wyraźnie archaicznych rysach i z czubem rudawych włosów, które Turnerowi przywodziły na myśl drapieżnego ptaka. Conroy uprzedził, że dwóch mężczyzn pracuje dla firmy i Turner od razu się o tym przekonał: jedynie kobieta zdradzała charakter, postawę należącą do świata Turnera. Była wyrzutkiem, czarnym chirurgiem. Pasowała do Holendra.

- Jestem Turner – przedstawił się. – Dowodzę tutaj.
- Nie musi pan znać naszych nazwisk – odparła kobieta, a dwaj ludzie Hosaki skłonili się odruchowo. Porozumieli się wzrokiem, spojrzeli na Turnera, potem na Koreankę.
- Nie – przyznał Turner. – Istotnie nie muszę.
- Dlaczego wciąż nie mamy dostępu do danych medycznych pacjenta? – spytała Koreanka.
- Dla bezpieczeństwa – powiedział Turner.
- Odpowiedź była niemal odruchowa. Tak naprawdę nie widział powodów, dla których nie powinni studiować danych Mitchella.
- Kobieta wzruszyła ramionami i odwróciła się, kryjąc twarz za podniesionym kołnierzem kurtki.
- Chce pan obejrzeć gabinet? – zapytał mężczyzna w grubym swetrze. Twarz miał uprzejmą i czujną, jak perfekcyjna korporacyjna maska.
- Nie – mruknął Turner. – Dwadzieścia minut przed jego przybyciem przetoczmy was na parking. Tam odkręcimy koła i opuścimy na ziemię. Rura ściekowa zostanie odłączona. Chcę, żebyście byli w pełnej gotowości w pięć minut po ustawieniu na nowym miejscu.
- To żaden problem – odparł z uśmiechem drugi z mężczyzn.
- A teraz proszę mi wytłumaczyć, co będziecie tam robić, co z nim zrobicie i jak to może na niego podziałać.
- Nie wie pan? – spytała ostro kobieta, zwracając ku niemu twarz.
- Powiedziałem, żebyście mi wytłumaczyli.
- Przeprowadzimy szybki skan w poszukiwaniu zabójczych wszczepów – powiedział mężczyzna w swetrze.
- Ładunki w rdzeniu kręgowym i temu podobne?
- Wątpię – wtrącił drugi – żebyśmy trafili na coś tak prymitywnego. Ale owszem, przeskanujemy na pełny zakres zabójczych urządzeń. Równocześnie przeprowadzimy pełne badanie krwi. Jak rozumiemy, jego obecni pracodawcy zajmują się złożonymi systemami biochemicznymi. Możliwe zatem, że z tego kierunku zagraża największe niebezpieczeństwo.
- Panuje obecnie moda, by najlepszych pracowników wyposażać w zmodyfikowane podskórne pompy insulinowe – dodał jego partner. –

Organizm obiektu zostaje oszukany i zaczyna polegać na pewnych syntetycznych analogach enzymatycznych. Układ podskórny musi być doładowywany w regularnych odstępach czasu, więc izolacja od źródła... czyli pracodawcy... prowadzi do wstrząsu.

– Na to także jesteśmy przygotowani.

– Żaden z was nie jest nawet w najmniejszym stopniu przygotowany na to, co podejrzewam, że znajdziemy – rzuciła kobieta tonem zimnym jak wiatr, który dmuchał teraz od wschodu.

Turner słyszał, jak szeleści piasek na płycie zardzewiałej blachy nad nimi.

– Proszę ze mną – zwrócił się do Koreanki.

Odszedł, nie patrząc. Istniała możliwość, że nie wykona polecenia. W takim przypadku straciłby twarz u dwóch pozostałych. Uznał jednak, że to właściwe posunięcie. Zatrzymał się dziesięć metrów od modułu i usłyszał jej kroki na żwirze.

– Co pani wie? – spytał, nie oglądając się za siebie.

– Może nie więcej od pana – odparła. – A może i więcej.

– Więcej niż pani koledzy, jak rozumiem.

– To niezwykle utalentowani ludzie. Ale również... słudzy.

– A pani nie?

– Pan też nie, najemniku. Wynajęli mnie do tej roboty z najlepszej nielicencjonowanej kliniki w Chibie. Przygotowując się na spotkanie z tym oświeconym pacjentem, mogłam przestudiować bardzo obfite materiały. Czarne kliniki w Chibie to sam szczyt medycyny; nawet Hosaka nie mógł wiedzieć, że moja pozycja w czarnej medycynie pozwoli odgadnąć, co nosi w głowie wasz uciekinier. Ulica próbuje na swój sposób wykorzystać rozmaite elementy, panie Turner. Do tej pory już kilkakrotnie wynajmowano mnie do usunięcia tych nowych implantów. Na rynek trafiła pewna ilość zaawansowanych obwodów Maasa. Próby ich wszczepiania to logiczny krok. Podejrzewam, że Maas umyślnie dopuszcza do przecieków.

– W takim razie proszę mi o tym opowiedzieć.

– To chyba niemożliwe. – Westchnęła z nagłą rezygnacją. – Powiedziałam, że je widziałam. Nie powiedziałam, że rozumiem, jak

działają. – Czubkami palców musnęła nagle skórę przy jego gnieździe czaszkowym. – To, w porównaniu do implantów na biochipach, jest jak drewniana laska przy mioelektrycznej protezie.

– Ale czy w tym przypadku może to być zagrożeniem?

– Och nie... – Cofnęła rękę. – Nie dla niego.

Usłyszał, jak wolno oddala się w stronę modułu.

* * *

Conroy przysłał gońca z programem, który miał pozwolić Turnerowi na pilotowanie myśliwca przewożącego Mitchella do kompleksu Hosaki w Mexico City. Gońcem okazał się spalony słońcem mężczyzna o dzikim spojrzeniu, z mięśniami jak postronki. Lynch nazywał go Harrym. Przyjechał od strony Tucson na odrapanym rowerze z łysymi terenowymi oponami i kierownicą owiniętą poźółkłym rzemieniem. Lynch przeprowadził go przez parking. Harry śpiewał coś pod nosem – dziwny odgłos w wymuszonej ciszy na pozycji. Piosenka, jeśli tak można ją nazwać, brzmiała jakby ktoś losowo jeździł tam i z powrotem po skali popsutego radia, ściągając krzyki gospels i urywki dwudziestu lat światowego popu. Harry niósł swój rower przerzucony przez opalone, chude ramię.

– Harry przywiózł coś dla ciebie z Tucson – oznajmił Lynch.

– Znacie się? – Turner spojrzał na niego badawczo. – Może macie wspólnego przyjaciela?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Turner nie odwracał wzroku.

– Wiesz, jak ma na imię.

– Powiedział mi, jak ma na to pieprzone imię, Turner.

– Na imię mi Harry – oświadczył opalony.

Rzucił rower na kępę krzaków. Uśmiechnął się obojętnie, odsłaniając nierówne, popsute zęby. Nagą pierś pokrywał mu pot i kurz, z szyi zwisały pętle stalowego łańcucha, rzemienie, kawałki zwierzęcego futra i rogów,

mosiężne łuski, miedziane monety wytarte do gładkości od długiego używania, oraz mała sakiewka z miękkiej brązowej skóry.

Turner przyjrzał się kolekcji dziwnych przedmiotów wiszących na chudej piersi. Wyciągnął rękę i dotknął zgiętego kawałka chrząstki zawieszanej na splecionym sznurku.

– Harry, co to jest, do diabła?

– To fiut szopa – wyjaśnił Harry. – Szopy mają w fiucie kość i staw. Mało kto o tym wie.

– Spotkałeś już kiedyś mojego przyjaciela Lyncha, Harry?

Harry zamrugął.

– Znał hasła – wtrącił Lynch. – Istnieje hierarchia ważności. Znał te z najwyższego poziomu. Powiedział, jak ma na imię. Jestem tu jeszcze potrzebny czy mogę wracać do roboty?

– Idź – rzucił Turner.

Kiedy Lynch oddalił się poza zasięg głosu, Harry zaczął rozwiązywać rzemień przy skórzanej sakiewce.

– Nie powinieneś być dla chłopaka taki surowy – powiedział. – Naprawdę jest dobry. Wcale go nie widziałem, dopóki nie przystawił mi do szyi tego strzałkowca.

Otworzył sakiewkę i delikatnie sięgnął palcami do środka.

– Powtórz Conroyowi, że go wykryłem.

– Przepraszam... – Harry wyciągnął złożoną żółtą kartkę papieru. – Kogo wykryłeś? – Wręczył ją Turnerowi. Coś było wewnątrz.

– Lyncha. Jest wtyką Conroya na pozycji. Powtórz mu.

Rozłożył papier i znalazł gruby wojskowy microsoft. Była też notka, niebieskimi drukowanymi literami: ZŁAM KARK, CZUBKU. ZOBACZYMY SIĘ W MIEŚCIE.

– Naprawdę mam mu to powiedzieć?

– Tak.

– Ty tu jesteś szefem.

– I lepiej, żebyś o tym pamiętał. – Turner zgniótł papier i wsunął Harry'emu pod lewą pachę.

Harry uśmiechnął się słodko i niebiańsko. Inteligencja, która zbudziła się w nim na chwilę, opadła znowu niczym jakieś wodne stworzenie, bez wysiłku tonące w gładkim morzu zakłócającej tylko słońcem apatii. Ręka – jakby pozbawiona stawów – z roztargnieniem podrapała tygodniowy zarost.

– Już – mruknął Turner.

Harry odwrócił się, z płataniny gałązek wyrwał rower, po czym, stęknąwszy, zarzucił go sobie na ramię i ruszył z powrotem przez zrujnowany parking. Za duże wystrzępione szorty w kolorze khaki łopotały na wietrze, a kolekcja naszyjników podzwaniała cicho.

Sutcliffe gwizdnął. Stał na wzniesieniu dwadzieścia metrów dalej i trzymał w ręku rolkę pomarańczowej taśmy mierniczej. Pora wyznaczyć pas lądowiska dla Mitchella. Muszą pracować szybko, zanim słońce wzniesie się wyżej. I tak będzie gorąco.

* * *

– Czyli – powiedziała Webber – przyleci do nas.

Splunęła brunatną śliną na poźółkły kaktus. Policzek miała wypchany kopenhaskim tytoniem.

– Trafiłaś – potwierdził Turner.

Siedział obok na brązowym bloku piaskowca. Przyglądali się, jak Lynch i Nathan oczyszczają pas, który wcześniej on i Sutcliffe zaznaczyli pomarańczową taśmą – prostokąt szerokości czterech i długości dwudziestu metrów. Lynch przeniósł do taśmy kawałek zardzewiałej szyny i przerzucił ją na zewnątrz. Coś uciekło z szelestem, gdy szyna zadzwoniła o beton.

– Zobaczą taśmę, jeśli tylko zechcą. – Webber otarła wargi grzbietem dłoni. – Jeśli zechcą, mogą przeczytać nagłówki porannego faksu.

– Wiem – zgodził się Turner. – Ale jeżeli jeszcze nie wiedzą, że tu jesteśmy, to chyba nas nie wykryją. A od drogi niczego nie widać. – Poprawił czarną nylonową czapkę, którą dostał od Ramireza. Ściągał

długi daszek w dół, aż dotknął okularów. – Zresztą usuwamy tylko ciężki gruz. Coś, co mogłoby urwać nogę. Niczego się nie domyśla, nie z orbity.

– Nie – przyznała Webber.

Ogorzała twarz za okularami była zupełnie spokojna. Ze swojego miejsca czuł ostry, zwierzęcy zapach jej potu.

– Do diabła, Webber, co właściwie robisz, kiedy nie robisz tego? – Spojrzał w jej stronę.

– Pewnie dużo więcej niż ty – odparła. – Czasem hoduję psy. – Zza cholewy wyjęła nóż i zaczęła go ostrzyć o podeszwę, płynnie obracając po każdym pociągnięciu. Jak meksykański fryzjer ostrzący brzytwę. – I łowią ryby. Pstrągi.

– Masz kogoś w Nowym Meksyku?

– Pewnie więcej niż ty masz – mruknęła obojętnie. – Myślę, że tacy jak ty i Sutcliffe pochodzą znikąd. To tutaj mieszkasz, Turner, prawda? Na pozycji, dzisiaj, kiedy wychodzi twój chłopczyk. Zgadza się?

Sprawdziła kciukiem ostrze i wsunęła nóż z powrotem do pochwy.

– Ale ty chyba masz kogoś? Jakiegoś faceta, do którego wracasz?

– Kobietę, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Znasz się na hodowli psów?

– Nie.

– Tak myślałam. – Zerknęła na niego z ukosa. – Mamy też dziecko. Nasze. Ona je donosiła.

– Kombinacja DNA?

Kiwnęła głową.

– To kosztowne – zauważył.

– Wiadomo; nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie musiała tego spłacać. Ale jest piękna.

– Twoja kobieta?

– Nasze dziecko.

Kiedy wychodziła z Luwru, miała uczucie, że jakaś gigantyczna struktura przemieszcza się i dostosowuje do jej drogi przez miasto. Kelner byłby zaledwie częścią maszyny, kończyną, delikatnym czułkiem czy macką. Jak mogła sobie wyobrazić, że można żyć i poruszać się w nienaturalnym polu bogactwa Vireka, nie doznając przy tym odkształceń? Virek zawładnął nią w jej nieszczęściu, poddał działaniu monstrualnych, niewidocznych naprężeń swoich pieniędzy... I zmieniła się. Oczywiście, myślała, oczywiście: bez przerwy otacza mnie czujny i niewidoczny, potężny i subtelny mechanizm nadzoru Herr Vireka.

Po chwili znalazła się na chodniku pod tarasem „Blanc”. Wydawał się miejscem nie gorszym od innych. Jeszcze miesiąc temu by go unikała; zbyt wiele wieczorów spędziła tu z Alainem. Teraz, wyzwolona, od wizyty w „Blanc” postanowiła rozpocząć proces ponownego odkrywania Paryża. Wybrała stolik przy bocznej ścianie, poprosiła kelnera o koniak i zadrzała, patrząc na ruch uliczny, nieznającą spoczynku rzekę stali i szkła. Przepływała obok, a wokół Marly, przy innych stolikach, obcy ludzie jedli i uśmiechali się, pili i klócili się, wypowiadali gorzkie słowa pożegnania albo w popołudniowym nastroju składali osobiste przyrzeczenia.

Ale – uśmiechnęła się także – i ona sama była częścią tego wszystkiego. Coś w niej budziło się z długiego, dusznego snu, poruszone światłem w chwili, gdy wreszcie otworzyła oczy na niegodziwość Alaina, na własną rozpaczliwą potrzebę miłości. A ta zanikała przy stoliku w „Blanc”. Niezręczność jego kłamstw zerwała w jakiś sposób łańcuchy depresji. Marly nie pojmowała tego, bo przecież już dawno, zanim wyniknęła

sprawa z Gnassem, jakąś częścią umysłu wiedziała dokładnie, jak Alain poczyną sobie ze światem. I nie zmniejszyło to jej miłości. Ale wobec nowych uczuć wołała nie myśleć o logice. Wystarczyło, że była tutaj, żyła, siedziała przy stoliku w „Blanc” i wyobrażała sobie wokół siebie skomplikowaną maszynę, którą uruchomił Virek.

To ironiczne, pomyślała, widząc, jak na taras wchodzi młody kelner z „Dworu Napoleona”. Miał na sobie ciemne spodnie, w których pracował, ale fartuch zastąpiła niebieska wiatrówka. Ciemne włosy gładką falą opadały mu na czoło. Podszedł do niej z uśmiechem, spokojny, pewny, że nie będzie próbowała ucieczki. Coś w niej straszliwie pragnęło uciekać, wiedziała jednak, że tego nie zrobi. To ironiczne, powtórzyła w myślach, kiedy cieszę się odkryciem, że nie jestem pochłaniaczem zgryzot, równocześnie dostrzegam, że znalazłam się w centrum jakiejś ogromnej maszyny napędzanej niejasnymi pragnieniami.

– Na imię mi Paco – oświadczył, odsuwając białe żelazne krzesło naprzeciw niej.

– Byłeś dzieckiem... Tym chłopcem w parku...

– Dawno temu, tak. – Usiadł. – Señor zachował obraz mojego dzieciństwa.

– Zastanawiałam się nad tym twoim señorem... – Nie patrzyła na niego, ale na przejeżdżające samochody, kojące wzrok ruchem, barwami polikarbonu i lakierowanej stali. – Taki człowiek jak Virek nie jest zdolny oderwać się od swojego bogactwa. Jego pieniądze żyją własnym życiem. Może nawet zgodnie z własną wolą. W czasie naszej rozmowy sugerował coś podobnego.

– Jest pani filozofem.

– Jestem narzędziem, Paco. Najnowszą końcówką bardzo starego urządzenia w ręku bardzo starego człowieka, który pragnie do czegoś przeniknąć i jak dotąd mu się to nie udało. Twój pracodawca przebiera w tysiącu narzędzi i z jakichś powodów wybiera mnie...

– Jest pani także poetką!

Roześmiała się. Odwróciła głowę, porzucając obserwację ulicy. Paco uśmiechał się; głębokie pionowe bruzdy ujmowały kłamrą jego usta.

– Kiedy tu szłam, wyobrażałam sobie strukturę, maszynę tak ogromną, że nie potrafię jej dostrzec. Maszynę, która mnie otacza, przewiduje każdy mój krok.

– Czyżby była pani również egotystką?

– A jestem?

– Może nie. Z pewnością jest pani obserwowana. Przyglądamy się, i dobrze, że to robimy. Pani przyjaciela z piwiarni również obserwujemy. Niestety, nie zdołaliśmy ustalić, skąd wziął hologram, który pani pokazał. Prawdopodobnie miał go już, kiedy dzwonił pod numer pani przyjaciółki. Ktoś do niego dotarł, rozumie pani? Ktoś postawił go na pani drodze. Nie sądzi pani, że to bardzo intrygujące? Czy nie pobudza to ukrytego w pani filozofa?

– Tak, chyba rzeczywiście. Przyjęłam radę, Paco, której udzieliłeś mi w piwiarni: zgodziłam się na jego cenę.

– Zatem ją podwoi. – Paco uśmiechnął się.

– Co, jak sam zauważyłeś, nie ma dla mnie znaczenia. Obiecał skontaktować się jutro. Zakładam, że możesz zorganizować pieniądze. Prosił o gotówkę.

– Gotówka... – Wzniósł oczy w górę. – Jakże *risqué*. Ale owszem, mogę to załatwić. I znam szczegóły. Monitorowaliśmy tę rozmowę. To nietrudne, tym bardziej że okazał się bardzo pomocny i sam ją nadawał przez ukryty mikrofon. Chcieliśmy wykryć, dla kogo przeznaczony jest przekaz, ale wątpię, czy on sam to wiedział.

– To do niego niepodobne... – Zmarszczyła czoło. – Przeprosić i wyjść tak nagle, zanim przedstawił swoje żądania... Zawsze uważał, że ma wyczucie dramatyizmu.

– Nie miał wyboru – wyjaśnił Paco. – Zorganizowaliśmy drobną usterkę, którą uznał za awarię źródła zasilania. Musiał zatem wybrać się do *hommes*. Sam w kabinie mówił o pani bardzo brzydkie rzeczy.

Podszedł kelner. Marly wskazała mu swój pusty kieliszek.

– Wciąż trudno mi zrozumieć, na czym polega moja rola w tym wszystkim. Moja wartość. To znaczy, dla Vireka.

– Mnie proszę nie pytać. To pani jest filozofem. Ja tylko najlepiej jak potrafię wykonuję instrukcje señora.

– Napijesz się brandy, Paco? A może kawy?

– Francuzi – rzekł pogardliwym tonem – nie mają pojęcia o kawie.

– Mógłbyś to wszystko powtórzyć? – zapytał Bobby z ustami pełnymi ryżu i jajek. – Mówiliście, zdaje się, że to nie jest religia.

Beauvoir zdjął swoje oprawki okularów i przyjrzał im się z uwagą.

– Tego nie powiedziałem. Mówiłem tylko, że nie musisz się martwić, czy to religia czy nie. To po prostu struktura. Pozwala tobie i mnie rozmawiać o sprawach, które się dzieją. W przeciwnym razie nie mielibyśmy odpowiednich słów, terminów...

– Ale tłumaczysz to tak, jakby te... jak im tam... louy były...

– Lo – poprawił Beauvoir, rzucając okulary na stół. Westchnął, z paczki Dwóch-Dziennie wyjął chińskiego papierosa i zapalił od srebrzystej czaszki. – Liczba mnoga jest taka sama jak pojedyncza. – Zaciągnął się głęboko i z wydatnych nozdrzy wydmuchnął podwójną strużkę dymu. – Kiedy mówisz „religia”, to co właściwie masz na myśli?

– No... Siostra mojej matki jest scjentologiem. Takim ortodoksyjnym. A ta kobieta z drugiego końca korytarza to katoliczka. Moja staruszka... – Urwał. Jedzenie w ustach nagle straciło smak. – Czasem wieszala mi na ścianach różne hologramy, Jezusa albo Hubbarda czy inne śmiecie. Wydaje mi się, że to właśnie mam na myśli.

– *Voudou* jest inne – oświadczył Beauvoir. – Nie zajmuje się koncepcjami zbawienia i transcendencji. Chodzi o to, żeby załatwić sprawy. Rozumiesz? W naszym systemie jest wielu bogów, czy raczej duchów. Należą do jednej wielkiej rodziny, ze wszystkimi zaletami i wadami. Istnieje tradycyjny rytuał wspólnej manifestacji. Łapiesz? *Voudou* mówi: pewno, istnieje Bóg, Gran Met. Ale jest wielki i jest zbyt daleko, żeby się

przejmować, że nie masz forsy albo w łóżku ci nie wychodzi. Przecież sam wiesz, jak to działa. To religia ulicy, narodziła się milion lat temu na jakiejś nędznej wysepce. *Voudou* jest jak ulica. Kiedy jakiś ćpun potnie ci siostrę, nie obozujesz na progu yakuza, prawda? Nie tędy droga. Ale idziesz do kogoś, kto może sprawę załatwić. Zgadza się?

Bobby przytaknął. Przeżuwał starannie. Jeszcze jedna derma i dwie szklanki wina trochę mu pomogły. Potężny mężczyzna zabrał Dwa-Dziennie na spacer między drzewa i fluorescencyjne słomki, pozostawiając Bobby'ego z Beauvoirem. Potem zjawiała się Jackie, miła i uprzejma, z miską tego ryżu z jajkami, całkiem niezłego. A kiedy stawiała ją przed nim na stole, przycisnęła pierś do jego ramienia.

– A zatem – ciągnął Beauvoir – interesuje nas załatwianie spraw. Jeśli wolisz, zajmujemy się systemami. I ty też, a przynajmniej chciałbyś; inaczej nie byłbyś kowbojem i nie miałbyś pseudona. Zgadza się? – Wrzucił to, co zostało z papierosa, do poznaczonej odciskami palców szklanki, do połowy wypełnionej czerwonym winem. – Wygląda na to, że Dwa-Dziennie szykował niezłą imprezę, kiedy sprawa się sypnęła.

– Jaka to sprawa? – zapytał Bobby. Otarł usta grzbietem dłoni.

– Ty. – Beauvoir zmarszczył czoło. – To nie znaczy, że coś zawiniłeś. Chociaż Dwa-Dziennie starał się nas przekonać, że tak właśnie było.

– Starał się? Jest chyba trochę przestraszony. I wściekły.

– Trafiałeś. Przestraszony. Robi w portki ze strachu... to chyba dokładniejsze określenie.

– Jak to się stało?

– Widzisz, przy nim nie wszystko jest takie, jakim się wydaje. Owszem, naprawdę zajmuje się tym chłamek, o którym wiesz... Wpycha frajerom gorący soft... Przepraszam... – Uśmiechnął się. – Sprzedaje w Barrytown. Ale jego główna robota, jego zasadnicze plany, rozumiesz, to coś zupełnie innego. – Beauvoir wziął zaschniętą kanapkę, przyjrzał się jej z wyraźną podejrzliwością i odrzucił nad stołem między drzewa. – Jego numer, pojmujesz, to robota dla dwóch dużych ounganów z Ciągu.

Bobby tępo kiwnął głową.

– Facetów, którzy służą oburącz.

– Nie bardzo rozumiem.

– Mowa o zawodowych kapłanach, jeśli tak zechcesz ich nazwać. Inaczej: wyobraź sobie dwóch ważnych facetów, między innymi kowbojów konsoli, którzy zajmują się załatwianiem spraw dla innych. „Służyć oburącz” to takie nasze określenie. Znaczy mniej więcej tyle, że pracują dla obu końców. Białego i czarnego, łapiesz?

Bobby przełknął i pokręcił głową.

– Czarownicy – rzekł Beauvoir. – Zresztą nieważne. Żli faceci, duży szmal. To ci wystarczy. Dwa-Dziennie pracuje dla nich jako taki pajac blisko żłobu. Czasem trafi na coś, co może ich zainteresować, więc zrzuca im to i w zamian oni czasem wyświadczą mu taką czy inną przysługę. A kiedy nabiera tych przysług trochę za dużo, wtedy oni coś mu podrzucają. To niezupełnie ta sama sytuacja, rozumiesz. Powiedzmy, że znajdą coś, co uważają za potencjalnie cenne, ale ich to przeraża. Ci dwaj mają skłonność do pewnego konserwatyzmu. Rozumiesz? Nie? Nie szkodzi, nauczysz się.

Bobby pokiwał głową.

– Taki soft, jaki tobie podobni wypożyczają u Dwóch-Dziennie, to śmiecie. Znaczy, owszem, będzie działać, ale nikt ważny nie będzie się tym zajmował. Oglądałeś pewnie kina o kowbojach? No więc to, co oni tam wymyślają, to drobnostka wobec produkcji, którą może pchnąć naprawdę mocny operator. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi lodolamacze. Ciężkie lodolamacze są dość zabawne, nawet dla ważniaków. Wiesz czemu? Ponieważ lód, ten naprawdę twardy, mury wokół wszystkich ważniejszych banków danych, zawsze jest produktem SI, sztucznych inteligencji. Nic innego nie jest dość szybkie, żeby spleść dobry lód, bez przerwy go zmieniać i poprawiać. Więc kiedy jakiś bardzo potężny lodolamacz trafia na czarny rynek, trzeba uwzględnić kilka niejasnych czynników. Na początek, skąd pochodzi dany produkt? W dziewięciu przypadkach na dziesięć pochodzi od SI, a SI są pod ciągłą obserwacją, głównie ludzi Turinga. Pilnują, żeby nie stały się za sprytne. Może się okazać, że jakaś SI chce zwiększyć dopływ szmalu, a tobie od razu wejdzie na tyłek cała machina Turinga. Niektóre SI mają obywatelstwo, prawda? Inna sprawa,

na którą musisz uważać: może to lodolamacz wojskowy, a to gorący układ, albo może wymaszerował sobie z wydziału szpiegostwa przemysłowego jakiegoś *zaiatsu*, a tego też byś nie chciał. Łapiesz, o co chodzi, Bobby?

Bobby przytaknął. Miał uczucie, że przez całe życie czekał, aż Beauvoir wytłumaczy mu mechanizm działania świata, którego istnienie tylko podejrzewał.

– Mimo to lodolamacz, który rzeczywiście rozcina lód, wart jest mege, to znaczy *beaucoup*. I powiedzmy, że jesteś panem Waźniakiem, a ktoś proponuje ci taką zabawkę. Nie chcesz mu zwyczajnie powiedzieć, żeby się zmywał. Więc kupujesz. Kupujesz dyskretnie, ale nie włączasz. O nie. Co z tym robisz? Bierzesz do domu, każesz technikowi trochę to przerobić, żeby wyglądało całkiem zwyczajnie. Powiedzmy, pakujesz to w taki format... – Postukał palcem w stos softu przed sobą. – I zabierasz do swojego pajaca, który jest ci winien jedną czy drugą przysługę, jak zwykle...

– Moment – przerwał mu Bobby. – Coś mi się tu nie podoba...

– To dobrze. To znaczy, że jesteś sprytny, a w każdym razie sprytniejszy. Ponieważ oni to właśnie zrobili. Przynieśli to tutaj, do twojego znajomego handlarza, pana Dwa-Dziennie, i opowiedzieli o swoim kłopotcie. Chłopie, mówią, chcemy sprawdzić to draństwo, zrobić próbny przejazd, ale w życiu nie wejdziemy w to osobiście. A co wtedy robi Dwa-Dziennie? Sam to włączy? Nigdy w życiu. Zrobi dokładnie to, co z nim zrobili ci ważni faceci. Tyle że nawet się nie trudzi, żeby cokolwiek tłumaczyć chłopczkowi, którego sobie wybrał. A więc wyznacza bazę na środkowym Zachodzie, pełną programów kantów podatkowych i schematów prania jenów dla jakiegoś burdelu w Kansas City. Każdy, kto nie spadł przed chwilą z drzewa, po prostu wie, że to świństwo po uszy tkwi w lodzie, czarnym lodzie, absolutnie śmiertelnych programach sprzężeń zwrotnych. Żaden kowboj w Ciągu albo poza nie pchałby się do tej bazy. Po pierwsze, bo jest najeżona obroną, i po drugie, to, co zawiera, nie ma wartości dla nikogo oprócz Biura Podatkowego, a oni i tak są pewno na liście płac właściciela.

– Chwila! – zawołał Bobby. – Chyba nie rozumiem...

– Właśnie ci tłumaczę, białasie! Wybrał tę bazę, przeleciał swoją listę szpanerów, ambitnych szczeniaków z Barrytown, wilsonów. Dostatecznie głupich, żeby uruchomić program, którego w życiu nie widzieli, przeciwko bazie, którą jakiś dowcipniś, jak Dwa-Dziennie, pokazał im palcem i powiedział, że to łatwy numer. I kogo sobie wybrał? Kogoś nowego w tej grze. Więcej, kogoś, kto nie wie nawet, gdzie on mieszka, kto nie zna jego numeru. I mówi: masz, mój chłopcze, weź to do domu i zarób trochę forsy. Jak trafisz coś sensownego, pchnę to. – Beauvoir szeroko otworzył oczy. Nie uśmiechał się. – I co, człowieku, brzmi to znajomo? A może nie znasz żadnych takich frajerów?

– To znaczy, on wiedział, że zginę, jeżeli podłączę się do tej bazy?

– Nie, Bobby. Ale wiedział, że jeśli soft nie zadziała, taka możliwość istnieje. Przede wszystkim jednak chciał obserwować, jak próbujesz. Czego zresztą też nie chciało mu się załatwiać samemu; zlecił robotę dwójce kowbojów. Rzecz mogła się rozwinąć w kilku kierunkach. Po pierwsze, gdyby lodołamacz wykonał swój numer na czarnym lodzie, dostałbyś się do środka, znalazł kupę liczb, które nic by dla ciebie nie znaczyły, potem byś się wycofał, może nawet bez śladu. Wróciłbyś do Leona i powiedział Dwóm-Dziennie, że wskazał ci złą bazę. Przeprósłby, oczywiście. Dostałbyś nowy cel i nowego lodołamacz, a ten pierwszy on zabrałby do Ciągu i powiedział, że wygląda w porządku. Poza tym nie spuszczałby cię z oka: obserwowałby, czy jesteś zdrowy, czy nikt nie próbuje o ten lodołamacz wypytywać... bo przecież mogli usłyszeć, że go używałeś. Inny kierunek, w jakim sprawy mogły się potoczyć i niemal się potoczyły, to że coś w lodołamaczu było nie tak, lód wysmażyłby cię na śmierć, a jeden z tych kowbojów włamałby się do lokalu twojej mamusi i zabrał soft, zanim ktokolwiek znalazłby ciało.

– Nie wiem, Beauvoir. To trochę za mocne...

– Trzeba mieć mocny tyłek. Życie nie jest dla mięczaków. Znaczący, mówimy tu o interesach, łapiesz? – Beauvoir przyglądał mu się z powagą. Plastikowe ramki zsunęły mu się na sam czubek nosa. Miał skórę jaśniejszą niż jego potężny towarzysz czy Dwa-Dziennie, koloru kawy z tylko odrobiną śmietanki, a czoło wysokie i gładkie pod krótko

przystrzyżonymi czarnymi włosami. W jasnoszarej szacie wydawał się szczupły i wcale niegroźny. – Ale nasz problem i powód, dla którego tu jesteśmy, to ustalić, co się właściwie zdarzyło. A zdarzyło się coś innego.

– Ale to znaczy, że mnie wystawił! Dwa-Dziennie wystawił mnie, żeby mi przypalili tyłek! – Bobby wciąż siedział w wózku z Domu Opieki Marii Panny, chociaż chyba go już nie potrzebował. – I wpadł w bagno po uszy z tymi facetami, tymi ważniakami z Ciągu?

– Zgadłeś.

– I dlatego tak się zachowuje, jakby guzik go obchodziło albo jakby chciał mnie zarżnąć? Zgadza się? A naprawdę jest przerażony?

Beauvoir pokiwał głową.

– No jasne! – Bobby nagle zrozumiał, dlaczego Dwa-Dziennie jest taki wściekły i dlaczego się boi. – Przecież obrobili mnie w Wielkim Lunaparku, a ci pieprzeni Lobowie wyrwali mój dek. A soft był cały czas w moim deku! – Pochylił się, podniecony tym, że udało mu się zestawić fakty. – A ci faceci zabijają go albo co, jeżeli nie znajdzie dla nich tego softu. Tak?

– Widzę, że często oglądasz kina – stwierdził Beauvoir. – Ale mniej więcej o to właśnie chodzi.

– No tak... – Bobby usiadł wygodnie i oparł bosc stopy o krawędź blatu. – Powiedz mi, Beauvoir, kim są ci faceci? Jak ich nazwałeś? Hunganami? Czarownicy, mówiłeś? Co to niby ma znaczyć?

– Widzisz, Bobby – odparł Beauvoir. – Ja jestem jednym z nich, a ten potężny gość... możesz nazywać go Lucasem... to drugi.

* * *

– Pewnie widziałeś już coś takiego – powiedział Beauvoir, kiedy mężczyzna zwany Lucasem ustawił na stole zbiornik projekcyjny, uprzednio metodycznie odsunawszy na bok wszystkie odpadki.

– W szkole – mruknął Bobby.

– Chodziłeś do szkoły, człowieku? – warknął Dwa-Dziennie. – To dlaczego, do diabła, w niej nie zostałeś?

Odkąd wrócili z Lucasem, palił jednego papierosa po drugim, bez przerwy. Wydawało się, że jest w gorszym stanie niż poprzednio.

– Zamknij się, Dwa-Dziennie – rzucił Beauvoir. – Tobie też by się przydało trochę wykształcenia.

– Uczyli nas, jak się poruszać w matrycy, jak korzystać ze zbiorów biblioteki druków... Takie rzeczy.

– No dobrze... – Lucas wyprostował się i strzepnął nieistniejący pył z dużych różowych dłoni. – Czy kiedyś używałeś tego, żeby dotrzeć do drukowanych książek?

Zdjął nieskazitelnie czarną marynarkę; para brązowych szelek przecinała idealnie białą koszulę. Rozluźnił gładki, czarny krawat.

– Nie czytam za dobrze – wyznał Bobby. – To znaczy potrafię, ale to trudne. Ale tak, używałem. Obejrzałem parę naprawdę starych książek o matrycy i tak dalej...

– Tak myślałem. – Do konsoli tworzącej podstawę zbiornika Lucas podłączył jakiś mały dek. – Graf Zero. Graf zero procedury. Dawny żargon programistów.

Przysunął dek Beauvoirowi, który zaczął wystukiwać rozkazy.

Złożone geometryczne formy wskakiwały na miejsca wewnątrz zbiornika, wyrównane do prawie niewidocznych płaszczyzn trójwymiarowej kratownicy. Bobby zauważył, że Beauvoir wpisuje cyberprzestrzenne współrzędne Barrytown.

– Określimy cię jako tę niebieską piramidę, Bobby. O, tutaj jesteś. – Niebieska piramida zaczęła delikatnie pulsować w samym środku zbiornika. – Teraz pokażemy ci, co widzieli kowboje Dwóch-Dziennie. Ci, którzy cię pilnowali. Od tej chwili oglądasz zapis.

Z piramidy wysunął się przerywany promień błękitnego światła i podążył wzdłuż linii kraty. Bobby patrzył, widząc siebie samego w saloniku matki, z Ono-Sendai na kolanach, przy zaciągniętych zasłonach, przebiegającego palcami po deku.

– Lodołamacz w drodze – wyjaśnił Beauvoir.

Linia niebieskich kropek dotarła do ściany zbiornika. Beauvoir stuknął w dek i współrzędne uległy zmianie. Poprzednie nastawienie zastąpił

nowy układ geometryczny. Bobby rozpoznał kiść wycentrowanych na kracie pomarańczowych prostokątów.

– To jest to – powiedział.

Niebieski promień sięgnął od brzegu zbiornika w stronę pomarańczowej bazy. Mgliste płaszczyzny pomarańczowego cienia zatańczyły wokół prostokątów, przesuwały się i migały stroboskopowo. Linia się zbliżała.

– Sam widzisz, że coś tu jest nie w porządku – stwierdził Lucas. – To jest ich łód i już się do ciebie dostraja. Reaguje, zanim jeszcze nastąpił kontakt.

Kiedy linia niebieskich kropek dotknęła pomarańczowej płaszczyzny, otoczyła ją półprzejrzysta pomarańczowa rurka odrobinę większej średnicy. Zaczęła się wydłużać, przesuując wzdłuż linii, aż dotknęła ściany zbiornika.

– A tymczasem – rzucił Beauvoir – w domu w Barrytown...

Znów coś wystukał i na środek wróciła niebieska piramida Bobby'ego. Chłopak patrzył, jak pomarańczowa rurka wysuwa się ze ściany zbiornika projekcyjnego. Nadal podążała wzdłuż niebieskiej linii i gładko zbliżała się do piramidy.

– Mniej więcej w tej chwili, kowboju, powinienes na poważnie zająć się umieraniem.

Rurka dotarła do środka; zaskoczyły pomarańczowe trójkąty, zamykając we wnętrzu piramidę. Beauvoir zatrzymał projekcję.

– A teraz, mój chłopcze... – odezwał się Lucas. – Kiedy wynajęci pomocnicy Dwóch-Dziennie, którzy są, najogólniej mówiąc, parą twardych i doświadczonych dżokejów, zobaczyli to, co ty za chwilę zobaczysz, uznali, że ich dek dojrzał do generalnego remontu w niebie. Jako zawodowcy mieli dek rezerwową. Podłączyli go i nadal widzieli to samo. Wtedy właśnie postanowili zadzwonić do swojego pracodawcy, pana Dwa-Dziennie. Który, jak poznajemy po tym bałaganie, zamierzał właśnie urządzić imprezę.

– Człowieku... – W głosie Dwóch-Dziennie zabrzmiała nuta hysterii. – Przecież tłumaczyłem. Miałem tu paru klientów, których musiałem jakoś

zająć. Zapłaciłem tym chłopcom, żeby obserwowali. I obserwowali, a potem zadzwonili do mnie. Czego wy chcecie, do diabła?

– Naszej własności – odparł spokojnie Beauvoir. – A teraz przyrzyj się bardzo uważnie. To draństwo można spokojnie nazwać anomalią, fenomenem nadprzyrodzonym.

Stuknął w dek, uruchamiając odtwarzanie.

Na dnie zbiornika rozkwitły płynnie kwiaty mlecznej bieli. Wyciągając szyję, Bobby zobaczył, że składają się z tysięcy maleńkich kulek czy bąbelków. Nagle wyrównały się perfekcyjnie wzdłuż linii kratownicy i zagęściły, tworząc asymetryczną, szerszą od góry strukturę, coś w rodzaju prostokątnego grzyba. Powierzchnie, a raczej ścianki, były białe i idealnie czyste. Obraz w zbiorniku był nie większy niż otwarta dłoń Bobby'ego, jednak komuś włączonemu w dek musiał wydawać się ogromny. Bryła wysunęła parę rogów; wydłużyły się, zakrzywiły, zmieniły w szczypcę i sięgnęły do piramidy. Zobaczył, jak czubki bez wysiłku przebijają migotliwe pomarańczowe płaszczyzny wrogiego lodu.

– Powiedziała: „Co ty robisz?” – usłyszał własny głos. – A potem spytała, dlaczego mi to robią, dlaczego mnie zabijają...

– No... – stwierdził cicho Beauvoir. – Wreszcie do czegoś dochodzimy.

* * *

Nie wiedział, dokąd idą, ale był zadowolony, że mógł w końcu wstać z tego wózka. Beauvoir schylił się, by ominąć ukośne bioświatło zwisające z podwójnego spiralnego kabla. Bobby poszedł za jego przykładem i niemal się pośliznął na kałuży wody pokrytej jakąś zieloną błoną. Dalej od polanki Dwóch-Dziennie powietrze wydawało się gęściejsze. Unosił się cieplarniany zapach wilgotnych roślin.

– Więc tak to było – odezwał się Beauvoir. – Dwa-Dziennie wysłał jakichś kumpli na Covina Concourse Courts, ale ty zdążyłeś już zniknąć. Twój dek też.

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego to ma być jego wina – stwierdził Bobby. – Przecież gdybym nie wyrwał do Leona... a przecież

szukałem tam Dwóch-Dziennie, chciałem nawet dostać się tutaj... wtedy by mnie znalazł, prawda?

Beauvoir przystanął, by podziwiać wielkolistną kępę kwitnących konopi. Brązowym palcem dotknął białych, bezbarwnych kwiatów.

– Prawda – zgodził się. – Ale tu chodzi o interesy. Na czas wejścia powinien wyznaczyć kogoś, żeby pilnował twojego mieszkania. Żeby się upewnił, że ani ty, ani soft, nie wyjdziecie na żaden nieplanowany spacer.

– Na pewno wysłał do Leona Rheę i Jackie. Przecież je tam widziałem.

Bobby sięgnął pod kołnierzyk swojej czarnej piżamy i podrapał zaszytą ranę, przecinającą klatkę piersiową i brzuch. A potem przypomniał sobie tę stonogę, której Pye użył zamiast szwów, i szybko cofnął rękę. Swędziało go – wzduż całej rany – ale nie chciał tego dotykać.

– Nie. Jackie i Rhea są nasze. Jackie to mambo, kapłanka, wierzchowiec Danbali.

Beauvoir szedł dalej. Bobby zakładał, że podąża przez dżunglę hydroponicznych upraw jakąś istniejącą ścieżką czy szlakiem... chociaż miał wrażenie, że nie zmierza w żadnym określonym kierunku. Niektóre większe krzaki tkwiły w wypełnionych ciemnym humusem pękających zielonych workach na śmieci. Wiele z nich popękało, a białe korzenie szukały świeżego pożywienia w cieniach między biolampami, gdzie czas i powolne opadanie liści stworzyły cienką warstwę kompostu. Bobby miał na nogach parę czarnych nylonowych japońskich sandałów, które znalazła mu Jackie; już teraz czuł między palcami wilgotną ziemię.

– Wierzchowcem? – zdziwił się.

Wyminął ciernistą roślinę, która przywodziła na myśl palmę wywróconą na lewą stronę.

– Danbala jej dosiada. Danbala Wedo, wąż. Czasami bywa wierzchowcem Aidy Wedo, jego żony.

Bobby postanowił nie pytać dalej. Spróbował zmienić temat.

– Jak to jest, że Dwa-Dziennie ma taki wielki lokal? Po co tu te wszystkie drzewa i reszta?

Wiedział, że Jackie i Rhea wtoczyły go na wózku przez drzwi, ale od tego czasu nie zauważył żadnej ściany. Wiedział też, że kompleks zajmuje masę

hektarów, więc całkiem możliwe, że mieszkanie Dwóch-Dziennie jest bardzo duże. Trudno jednak uwierzyć, żeby handlarz, nawet sprytny handlarz, mógł sobie pozwolić na tyle miejsca. Na to nie stać nikogo, a poza tym, kto chciałby mieszkać w przeciekającym hydroponicznym lesie?

Ostatnia derma przestawała działać; plecy i pierś zaczynały już piec i szczypać.

– Fikusy, mapou... Cały ten poziom Projektów jest *lieu saint*, świętym miejscem. – Beauvoir stuknął Bobby'ego w ramię i wskazał skręcone dwukolorowe nitki zwisające z gałęzi pobliskiego drzewa. – Drzewa są poświęcone rozmaitym loa. To należy do Ougou, Ougou Feray, boga wojny. Rośnie tu jeszcze wiele innych rzeczy, choćby zioła potrzebne leczącym liśćmi. Niektóre rośliny po prostu dla urozmaicenia. Ale to nie jest lokal Dwóch-Dziennie. Jest komunalny.

– To znaczy, że to obejmuje całe Projekty? Znaczy, *voudou* i w ogóle?

To było gorsze niż najstraszniejsze wyobrażenia Marshy.

– Nie... – Beauvoir zaśmiał się. – Na górze stoi tu meczet, jest parę tysięcy... może i dziesięć... rozrzuconych dookoła wściekłych baptystów, trochę kościoła sci... To co zwykle. Mimo to... – wyszczerzył zęby – to my mamy tradycję robienia tego co należy. Ale jak to się zaczęło na tym poziomie, to dłuższa historia. Jakies osiemdziesiąt, sto lat temu ludzie, którzy projektowali te budowle, mieli ideę stworzenia czegoś możliwie samowystarczalnego. Chcieli hodować żywność. Ogrzewać się, wytwarzać energię, wszystko. Ten budynek, jeśli zaczniesz wiercić dostatecznie głęboko, stoi na całej masie wód geotermalnych. Na dole jest naprawdę gorąco, chociaż nie dość, żeby uruchomić turbinę, więc nie można z tego produkować energii. Próbowali ją podciągnąć: na dachu jest setka rotorów Darieusa; nazywają je trzepaczkami. Zrobili sobie pompy wiatrowe, łapiesz? Jak na farmie. Dzisiaj i tak większość watów biorą z Agencji Energii Atomowej, jak wszyscy. A te wody geotermalne pompują do góry, do wymiennika ciepła. Są zbyt zasolone, żeby je pić, więc wymienniki tylko podgrzewają waszą zwykłą jerseyjską kranówkę. Zresztą mnóstwo ludzi uważa, że i tak nie nadaje się do picia.

W końcu zbliżyli się do jakiejś ściany. Bobby obejrzał się. Płytkie kałuże na zabłoconym betonie podłogi odbijały gałęzie karłowatych drzew i nagie białe korzenie sięgające do tych naturalnych zbiorników hydroponicznych.

– Podgrzaną wodę przepompowują do zbiorników i hodują mnóstwo krewetek. Krewetki bardzo szybko rosną w ciepłej wodzie. A potem rurami w betonie pompują ją dalej, aż tutaj, żeby utrzymać temperaturę. Do tego miał służyć ten poziom: do hodowli hydroponicznego amarantusa, sałaty i tak dalej. Potem pchają tę wodę do zbiorników hodowlanych sumów. Tam algi zżerają gównem krewetek, sumy zżerają algi i tak w kółko. A w każdym razie takie było założenie. Pewnie nie wpadli na to, że ktoś wlezie na dach i wykopie rotory, żeby zrobić miejsce na meczet. Innych zmian też nie przewidzieli. Ale wciąż można w Projektach dostać cholernie dobre krewetki. Suma też.

Dotarli do ściany. Była ze szkła pokrytego kropelkami skondensowanej wilgoci. Kilka centymetrów za nią tkwiła kolejna ściana zrobiona z czegoś, co wyglądało jak arkusze zardzewiałej blachy. Z kieszeni szarej szaty Beauvoir wyłowił klucz i wsunął go w otwór w nagim duralowym wsporniku dzielącym dwie płaszczyzny okna. Gdzieś niedaleko z wyciem zbudził się do życia silnik. Szeroka stalowa okiennica szarpnięciami odsunęła się w górę i na boki, odsłaniając widok, jaki Bobby często sobie wyobrażał.

Musieli być pod dachem, wysoko, ponieważ mógłby cały Wielki Lunapark zakryć złożonymi dłońmi. Bloki Barrytown wyglądały jak szarobiałe grzyby sięgające aż po horyzont. Było już prawie ciemno i poza ostatnim rzędem budynków dostrzegał różowy blask.

– Tam daleko widać Ciąg, prawda? To różowe?

– Zgadza się. Ale im bliżej się znajdziesz, tym mniej pięknie wygląda. Chciałbyś tam pojechać, Bobby? Graf Zero gotów wkroczyć do Ciągu?

– Jasne – przyznał Bobby, opierając dłonie o zapocone szkło. – Nie masz pojęcia...

Derma zużyła się już całkiem; plecy i pierś bolały jak diabli.

Kiedy nadeszła noc, Turner znów znalazł się na krawędzi.

Zdawało mu się, że już dawno tam nie był, ale kiedy zaskoczył, miał wrażenie, że nigdy nie odchodził. Krawędź była nadludzkim synchronicznym przepływem bodźców, jaki stymulanty naśladowały tylko w przybliżeniu. Mógł liczyć na coś takiego jedynie na pozycji, przed jakąś ważną ekstrakcją, tylko gdy sam dowodził, a i wtedy jedynie w ostatnich godzinach przed akcją.

Ale minęło już sporo czasu. W New Delhi sprawdzał tylko potencjalne trasy ucieczki dla kogoś z administracji, kto jeszcze sam nie był pewien, czy zmiana miejsca jest właśnie tym, na czym mu zależy. Gdyby wtedy Turner był na krawędzi, tamtej nocy na Chandni Chauk, może zdołałby odskoczyć przed taranem. Prawdopodobnie nie, ale na krawędzi przynajmniej by próbował.

A teraz na krawędzi zestawiał czynniki, które odgrywały rolę na pozycji, porównywał grupy drobnych problemów z pojedynczymi poważnymi. Jak dotąd mieli sporo tych drobnych, ale żadnych większych przeszkód. Lynch i Webber zaczęli skakać sobie do oczu, więc przydzielił zadania tak, żeby trzymać ich z dala od siebie. Przekonanie, że Lynch jest wtyczką Conroya, z początku instynktowne, teraz stawało się silniejsze. Na krawędzi instynkt wyostrzał się, nabierał cech magicznych. Nathan miał problemy z prymitywnymi szwedzkimi grzałkami do rąk: cokolwiek prostszego od obwodu elektronicznego sprawiało mu kłopoty. Turner polecił Lynchowi naładować je i uruchomić, a Nathan przenosił parami i zakopywał płytko co metr wzdłuż dwóch długich linii pomarańczowej taśmy.

Mikrosoft przysłany przez Conroya wypełnił mu umysł własnym universum nieustannie zmieniających się czynników: prędkość powietrzna, wysokość, wychylenie, kąt podejścia, przeciążenia, kursy. Informacja stanu uzbrojenia samolotu była ciągłą podświadomą litanią oznaczeń celów, linii spadku bomb, promieni przeszukiwania, zasięgu i sygnałów zwolnienia, stanu pocisków. Conroy dołączył do mikrosoftu prostą wiadomość: określenie czasu przybycia samolotu i potwierdzenie, że przewidziano miejsce dla dodatkowego pasażera.

Turner zastanawiał się, co teraz robi, co czuje Mitchell. Północnoamerykański kompleks Maas Biolabs został wryty w sercu skalnej płyty wypchniętej z podłoża pustyni. Biosoftowe dossier ukazywało powierzchnię skały obramowaną oknami wieczoru. Budynek niczym mostek ogromnego statku płynął ponad wzniesionymi ramionami morza *saguaros*. Dla Mitchella były to więzienie i forteca, dom przez ostatnie dziewięć lat. Gdzieś w jego wnętrzu doskonalił metody hybrydowe, które od niemal stulecia wymykały się innym badaczom. Pracując z ludzkimi komórkami rakowymi i zarzuconym, niemal zapomnianym modelem syntezy DNA, stworzył nieśmiertelne komórki hybrydowe będące podstawowym narzędziem produkcyjnym nowej technologii, małe fabryki biochemiczne bez końca formujące zaprojektowane molekuly, które potem, połączone, wbudowywano w nowe biochipy. Gdzieś w kompleksie Maasa Mitchell przeżywa teraz swoje ostatnie godziny w roli największej gwiazdy ich programu badawczego.

Turner spróbował sobie wyobrazić Mitchella, po przejściu do Hosaki prowadzącego całkiem inne życie. Nie było to łatwe. Czy kompleks badawczy w Arizonie tak bardzo się różnił od kompleksu na Honshu?

* * *

Podczas tego długiego dnia zdarzały się chwile, kiedy zakodowane wspomnienia Mitchella wzbierały w Turnerze i budziły dziwny lęk, który jakby nie miał żadnego związku z bliską już operacją.

Wciąż go niepokoiło wrażenie intymnego kontaktu wywoływane przez biosoft; może stąd brało się uczucie lęku. Pewne fragmenty niosły ładunek emocjonalny zupełnie nieproporcjonalny do ich zawartości. Dlaczego wspomnienie ponurej sypialni studentów w Cambridge wzbudzało w Mitchellu poczucie winy i odrazy do samego siebie? Innym obrazom, które – logicznie rzecz biorąc – powinny nieść pewną dawkę uczucia, dziwnie brakowało wszelkiej afektacji: Mitchell bawiący się z córeczką na szerokim jasnym wełnianym dywanie w wynajętym domku w Genewie; dziecko śmieje się i ciągnie go za rękę. I nic. Z punktu widzenia Turnera życie tego człowieka zostało naznaczone pewną nieuchronnością. Był wybitnie uzdolniony, co wykryto bardzo wcześnie, miał silną motywację i talent do tej uprzejmej i bezlitosnej wewnętrznej manipulacji, niezbędnej u kogoś, kto zamierza zostać uznanym naukowcem. Jeśli komukolwiek było przeznaczone, by wspiąć się na szczyt hierarchii korporacyjnych laboratoriów, to właśnie Mitchellowi.

Sam Turner nie potrafiłby włączyć się w agresywnie plemienną strukturę świata ludzi *zaibatsu*, związanych na całe życie z firmami. Był wiecznym wyrzutkiem, wolnym strzelcem dryfującym po tajemnych morzach polityki międzykorporacyjnej. Żaden człowiek firmy nie podjąłby działań i decyzji, jakie musiał podejmować Turner podczas ekstrakcji. Żaden człowiek firmy nie posiadał profesjonalnej zdolności Turnera do obojętnego przeniesienia lojalności przy zmianie pracodawcy. Czy nawet całkowitego poświęcenia, kiedy kontrakt został już zawarty. Trafił do służb ochrony przed dwudziestką, kiedy smętna stagnacja powojennej gospodarki ustępowała przed impetem nowej technologii. Radził sobie dobrze, biorąc pod uwagę niemal całkowity brak ambicji. Miał muskularną sylwetkę, która robiła wrażenie na klientach jego pracodawcy, i był inteligentny. Bardzo inteligentny. Dobrze wyglądał w garniturze. Znał się na technice.

Conroy znalazł go w Meksyku, gdzie szef Turnera podpisał kontrakt na ochronę zespołu symstymowego Sense/Netu, który nagrywał kilka trzydziestominutowych odcinków serialu o przygodach w dżungli. Kiedy przybył Conroy, Turner załatwiał już ostatnie sprawy. Ustalił zasady

kontaktów Sense/Netu z lokalnym rządem, przekupił szefa policji w miasteczku, przeanalizował system bezpieczeństwa hotelu, poznał i sprawdził życiorysy miejscowych kierowców i przewodników, wprowadził do nadajników zespołu cyfrowy system rozpoznania głosu, wyznaczył zespół kryzysowy i umieścił czujniki sejsmiczne wokół pokoi ekipy.

Wieczorem zajrzał do hotelowego baru, przedłużenia lobby w stylu ogrodu w dżungli, i znalazł miejsce przy pustym stoliku ze szklanym blatem. Wysoki mężczyzna z grzywą wypłowiałych włosów przeszedł przez salę, niosąc w rękach dwa drinki. Błada skóra ciasno opinała kanciaste rysy twarzy i wysokie czoło; miał na sobie wypuszczoną na dzinsy gładko wyprasowaną wojskową koszulę i skórzane sandały.

– Ty robisz ochronę tym dzieciakom od symstymu – powiedział i postawił drinka na stoliku Turnera. – Alfredo mi mówił.

Alfredo był jednym z hotelowych barmanów.

Turner zmierzył natręta wzrokiem. Mężczyzna był najwyraźniej trzeźwy i bardzo pewny siebie.

– Chyba nie byliśmy sobie przedstawieni – rzucił, nie próbując nawet sięgnąć po szklankę.

– To bez znaczenia – odparł Conroy i usiadł. – Obaj działamy w tym samym fachu.

Turner przyjrzał mu się. Wiedział, że wygląda na ochroniarza, że czujność i gotowość wpisana jest w linie jego ciała. Niewielu obcych tak swobodnie przerywało jego osamotnienie.

– A wiesz – powiedział mężczyzna, jak ktoś mógłby mówić o drużynie, która w tym sezonie nie radzi sobie najlepiej – te sejsmiki, których używasz, nie są wiele warte. Poznałem ludzi, którzy mogliby tam wejść, zjeść twoje dzieciaki na śniadanie, upchnąć kości pod prysznicem i wyjść spacerkiem, pogwizdując. A sejsmiki wykazałyby, że nic takiego się nie zdarzyło. – Napił się. – Ale dostajesz piątkę za staranność. Znasz się na robocie.

Zdanie „upchnąć kości pod prysznicem” wystarczyło. Turner postanowił zająć się tym człowiekiem.

– Patrz, Turner, idzie twoja główna dama. – Mężczyzna uśmiechnął się do Jane Hamilton, która odpowiedziała uśmiechem. Jej duże niebieskie oczy były czyste i doskonałe, obie tęczęwki otoczone maleńkimi złotymi literkami logo Zeiss Ikon. Turner zamarł w trwającym ułamek sekundy niezdecydowaniu. Gwiazda zbliżała się, a obcy wstawał...

– Miło cię było poznać, Turner – powiedział. – Spotkamy się jeszcze, prędzej czy później. Zapamiętaj moją radę co do sejsmików; zdubluj je brzęczykami na perymetrze.

Po czym odwrócił się i odszedł; mięśnie poruszały mu się miękko pod oliwkową koszulą.

– To miłe, Turner – stwierdziła Hamilton, zajmując jego miejsce.

– Tak?

Turner przyglądał się, jak obcy znika w chaosie zatłoczonego lobby, między turystami o różowej skórze.

– Ty chyba nigdy nie rozmawiasz z ludźmi. Zawsze wyglądasz, jakbyś ich przesłuchiwał albo pisał raport. Miło zobaczyć, że dla odmiany z kimś się zaprzyjaźniasz.

Turner przyjrzał się jej. Miała dwadzieścia lat – o cztery mniej od niego – i tygodniowo zarabiała około dziewięciu razy więcej niż on w ciągu roku. Blondynka, do roli w serialu ścięta na krótko, mocno opalona. Wyglądała jak rozświetlona od wewnątrz lampami kwarcowymi. Niebieskie oczy były nieludzko doskonałymi przyrządami optycznymi, wyhodowanymi w kadziach w Japonii. Pracowała równocześnie jako aktorka i kamera, miała oczy warte parę milionów nowych jenów, a jednak w hierarchii gwiazd Sense/Netu prawie się nie liczyła.

Posiedział z nią w barze, aż skończyła dwa drinki, potem odprowadził do apartamentu.

– Pewnie nie masz ochoty, żeby zajrzeć do mnie na jeszcze jednego? Co, Turner?

– Nie – odparł. Po raz drugi składała mu taką propozycję i wyczuwał, że już ostatni. – Muszę sprawdzić czujniki sejsmiczne.

Jeszcze tej nocy zatelefonował do Nowego Jorku po numer firmy z Mexico City, która dostarczyła mu brzęczyki do obstawienia perymetru

kwater ekipy.

Jednakże tydzień później Jane i troje innych, połowa obsady serialu, byli martwi.

* * *

– Jesteśmy gotowi do przetoczenia medyków – oznajmiła Webber. Turner zauważył, że włożyła brązowe skórzane rękawiczki bez palców. Okulary słoneczne zastąpiła strzeleckimi z czystego szkła, a na biodrze przypięła pistolet. – Sutcliffe zdalnie nadzoruje perymetr. Potrzebujemy wszystkich, żeby pomogli przeciągnąć to draństwo przez krzaki.

– Mnie też?

– Ramirez twierdzi, że tak krótko przed włączeniem nie może robić nic ciężkiego. Moim zdaniem to zwykły leniwy gówniarz z L.A.

– Nie. – Turner wstał. – Ma rację. Jeśli zwicznie sobie nadgarstek, jesteśmy załatwieni. Każdy drobny uraz, którego nawet nie poczuje, może wpłynąć na szybkość...

Webber wzruszyła ramionami.

– Niech będzie. W każdym razie siedzi teraz w bunkrze, moczy ręce w resztkach naszej wody i podśpiewuje. Czyli nic nam nie grozi.

Kiedy dotarli do modułu chirurgicznego, Turner odruchowo przeliczył ludzi. Siódemka. Ramirez w bunkrze, Sutcliffe gdzieś w labiryncie ruin obserwuje zdalne czujniki. Lynch nosił przerzucony przez prawe ramię laser Steiner-Optic: model miniaturowy ze składaną duralową kolbą i integralnymi bateriami tworzącymi gruby uchwyt pod szarą tytanową obudową, która służyła broni jako lufa. Nathan miał na sobie czarny kombinezon i czarne spadochroniarskie buty pokryte warstwą kurzu. Pod brodą dyndały mu wypukłe, podobne do owadzich oczu gogle zestawu wzmacniania obrazu. Turner zdjął meksykańskie słoneczne okulary, wsunął je do kieszeni niebieskiej koszuli i zapiął guzik.

– Jak leci, Teddy? – zapytał zwalistego dwumetrowca o krótko ściętych kasztanowych włosach.

– Świetnie. – Teddy wyszczerzył zęby.

Turner przyjrzał się trzem pozostałym: Compton, Costa, Davis. Po kolei skinął im głową.

– Ostatnie chwile, co? – spytał Costa. Miał okrągłą, spoconą twarz i wąską, starannie przystrzyżoną bródkę. Ubrał się na czarno, jak Nathan i pozostali.

– Już prawie – potwierdził Turner. – Jak dotąd wszystko idzie gładko.

Costa przytaknął.

– Mamy około trzydziestu minut do przybycia – oznajmił Turner.

– Nathan, Davis – poleciła Webber. – Odłączcie rurę ściekową.

Podala Turnerowi wyjęte już z folii słuchawkę i laryngofon Telefunkena. Drugi zestaw założyła sama: zdarła plastikową osłonę z samoprzylepnej taśmy laryngofonu i wygładziła ją na swojej opalonej szyi.

Nathan i Davis jak cienie przesuwali się za modułem. Turner usłyszał, że Davis zaklął cicho.

– Niech to szlag! – mruknął Nathan. – Nie ma zakrętki do tej rury.

Pozostali zaśmiali się.

– Zostaw ją – rzuciła Webber. – Bierz się do roboty przy kołach. Lynch i Compton, przygotujcie wsporniki.

Lynch odpiął od pasa pistoletowy elektryczny śrubokręt i wczuł się pod moduł. Pojazd kołysał się lekko, zawieszenie skrzypiało cicho; medycy poruszali się wewnątrz. Turner usłyszał krótkie, wysokie wycie jakiegoś urządzenia, potem stukanie śrubokręta, gdy Lynch zajął się wspornikami.

Wsunął do ucha słuchawkę i przykleił mikrofon do krtani.

– Sutcliffe? Słyszysz mnie?

– Doskonale – potwierdził Australijczyk cichym głosem, który dobiegał jakby z podstawy czaszki.

– Ramirez?

– Głośno i wyraźnie...

* * *

Osiem minut. Przetaczali moduł na dziesięciu grubych oponach. Turner i Nathan szli w pierwszej parze; sterowali. Nathan włożył swoje gogle.

Mitchell zbliżał się w bezksiężycowej nocy. Moduł był ciężki, absurdalnie ciężki i prawie niesterowalny.

– To jak przewozić ciężarówkę na dwóch wózkach sklepowych – mruknął Nathan.

Turnera znowu bolał krzyż. Dolegał mu ciągle, od New Delhi.

– Stójcie! – zawołała Webber od trzeciego koła po lewej. – Trafiłam na jakiś pieprzony kamień.

Turner puścił swoje koło i wyprostował się. Nietoperze tej nocy wyleciały w pełnej sile: czarne kształty migające na tle gwiazdnej czaszy pustynnego nieba. W Meksyku też były nietoperze, w dżungli: nadrzewne gacki śpiące na gałęziach drzew nad apartamentami zespołu Sense/Netu. Turner wspiał się na te drzewa, powiązał gałęzie naciągniętym monomolekularnym włóknem, metrami niewidzialnych brzytw czekających na nieuważnego intruza. Ale Jane i inni zginęli mimo wszystko, wysadzeni w powietrze na zboczu góry w pobliżu Acapulco. Spór ze związkami zawodowymi, tłumaczył ktoś później, ale tak naprawdę nigdy niczego nie wykryto. Jedynie fakt, że była to prymitywna mina przeciwpiechotna, gdzie ją umieszczono i skąd została zdetonowana. Turner sam wszedł na zbocze w ubraniu zachlapanym krwią. W miejscu, gdzie czekali zabójcy, znalazł wydeptaną trawę, nożowy przełącznik i zardzewiały samochodowy akumulator. Znalazł też niedopałki ręcznie skręcanych papierosów i kapsel od piwa, nowy i błyszczący.

Przerwano emisję serialu, a grupa kryzysowa zajęła się formalnościami związanymi z transportem zwłok i powrotem ocalałych członków zespołu. Turner odleciał ostatnim samolotem. Po ośmiu whisky w barze na lotnisku w Acapulco zawędrował do głównego holu i spotkał człowieka nazwiskiem Buschel, technika Sense/Netu z oddziału w Los Angeles. Buschel był blady pod kalifornijską opalenizną, a sztruksowy garnitur miał wilgotny od potu. Trzymał w ręku prostą aluminiową walizeczkę z czerwono-białymi nalepkami ostrzegawczymi i długimi instrukcjami wyliczającymi konieczne środki ostrożności wymagane przy transporcie przedmiotów w pojemnikach kriogenicznych.

– Chryste! – zawołał, gdy go zauważył. – Turner... Przykro mi, chłopie. Przyleciałem dziś rano. Pieprzona robota. – Z kieszeni marynarki wyjął przemoczoną chusteczkę i otarł pot z twarzy. – Paskudna sprawa. Nigdy jeszcze nie musiałem robić czegoś takiego...

– Co jest w tej walizce, Buschel?

Stał teraz o wiele bliżej, choć nie pamiętał, kiedy podszedł. Dostrzegął już pory skóry na opalonej twarzy tamtego.

– Dobrze się czujesz, chłopie? – Buschel cofnął się o krok. – Marnie wyglądasz.

– Co jest w walizce?

Sztruks zmiał się w jego pięści, w pobielających i drżących palcach.

– Niech cię diabli, Turner! – Buschel wyrwał się. Oburącz złapał uchwyt walizeczki. – Nie były uszkodzone. Tylko drobne zadrapania na jednej rogówce. One należą do Netu! Tak stało w jej kontrakcie, Turner!

Odwrócił się wtedy z żołądkiem zaciśniętym wokół ośmiu szklaneczek szkockiej. Stłumił mdłości. I tłumił je ciągle przez następne dziewięć lat, aż po wyjściu od Holendra wspomnienie powróciło nagle, runęło na niego w Londynie, na Heathrow. A on pochylił się i, nie zwalniając kroku, w kolejnym korytarzu zwymiotował do niebieskiego plastikowego kosza na śmieci.

– Do roboty, Turner – odezwała się Webber. – Przyłóż się trochę. Pokaż nam, jak to się robi.

Moduł znowu ruszył naprzód poprzez smolisty zapach pustynnych roślin.

* * *

– Tutaj wszystko gotowe – oznajmił Ramirez spokojnym, dalekim głosem.

Turner dotknął laryngofonu.

– Posyłam ci towarzystwo. – Zdjął palec. – Nathan, już czas. Ty i Davis wracacie do bunkra.

Davis odpowiadał za nadajnik impulsowy, poza matrycą ich jedyny kontakt z Hosaką. Nathan był złotą rączką. Lynch chował w krzakach za parkingiem ostatnie szprychowe koła. Webber i Compton klęczeli przy module, mocując przewód łączący chirurgów Hosaki z biomonitorem Sony na stanowisku dowodzenia. Po usunięciu kół, opuszczeniu i ustawieniu na czterech wspornikach, ruchoma sala neurochirurgiczna jeszcze bardziej przypominała Turnerowi francuski moduł wakacyjny. To była o wiele późniejsza wyprawa, cztery lata po tym, jak Conroy zwerbował go w Los Angeles.

– Jak leci? – zapytał Sutcliffe przez radio.

– Dobrze – odparł Turner, przyciskając mikrofon.

– Trochę tu samotnie.

– Compton – rzucił Turner. – Pomożesz Sutcliffowi w nadzorowaniu perymetru. Ty też, Lynch.

– Szkoda – odpowiedział z ciemności Lynch. – Miałem nadzieję, że zobaczę jakąś akcję.

Pod odchyłoną połą parki Turner zacisnął palce na rękojeści smith & wesson.

– Już, Lynch.

Jeśli Lynch jest wtyczką Conroya, zechce być tutaj. Albo w bunkrze.

– Odwal się – burknął Lynch. – Dobrze wiesz, że w okolicy nie ma nikogo. Jak chcesz się mnie stąd pozbyć, to lepiej pójde popatrzeć na Ramireza...

– Jak chcesz...

Turner wyrwał rewolwer i wcisnął klawisz uruchamiający ksenonowy reflektor. Pierwszy wąski promień znalazł skręcony kaktus; igły w bezlitosnym świetle przypominały kępki szarego futra. Drugi rozjaśnił kolczastą czaszkę na pasku Lyncha, obwiodł ją wyraźnym kręgiem. Strzał i dźwięk detonującego pocisku zwały się w jedno, fale wstrząsu jak grom rozlewały się po ciemnej równinie w niewidzialnych, coraz szerszych kręgach.

Przez kilka sekund po strzale panowała cisza. Nawet nietoperze i owady zamilkły w oczekiwaniu. Webber padła płasko za krzakiem. Turner wyczuł

ją tam w jakiś sposób, wiedział, że wyjęła pistolet i trzyma go nieruchomo w tych brązowych, pewnych dłoniach. Nie miał pojęcia, gdzie się podział Compton.

W słuchawce, szarpiąc mózg, zabrzmiał głos Sutcliffe'a.

– Turner! Co to było?

Gwiazdy świeciły dość jasno i w ich blasku dostrzegł Webber. Siedziała z pistoletem w rękach, opierając łokcie o kolana.

– Był wtyczką Conroya – oświadczył, opuszczając smith & wessona.

– Jezu Chryste! – zawołała. – To ja jestem wtyczką Conroya.

– Miał linię na zewnątrz. Widziałem to już wcześniej.

Musiała powtórzyć dwa razy.

Głos Sutcliffe'a w głowie, potem Ramirez:

– Mamy twój transport. Osiemdziesiąt kilometrów i zbliża się. Wszystko wygląda czysto. Mam echo dwadzieścia kilometrów na południowy południowy zachód. Jaylene mówi, że to bezzałogowy ładunek i leci dokładnie według planu. Nic więcej. O czym tak wrzeszczy Sut? Nathan mówi, że słyszał strzał. – Ramirez był włączony, większą część zmysłów przejęły dane z deku Maas-Neotek. – Nathan jest gotów z pierwszym impulsem.

Turner słyszał już zbliżający się samolot, hamujący przed lądowaniem na autostradzie. Webber wstała i szła ku niemu z pistoletem w dłoni. Sutcliffe wciąż zadawał to samo pytanie, raz po raz.

Podniósł rękę i dotknął mikrofonu.

– Lynch. Nie żyje. Samolot jest na miejscu. To wszystko.

I wtedy myśliwiec znalazł się nad nimi: lecący niewiarygodnie nisko czarny cień. Podchodził bez świateł. Na chwilę rozbłysła dysza hamująca. Takie lądowanie zabiłoby pilota. Potem usłyszeli dziwne trzaski naprężeń kadłuba z włókien węglowych. Turner dostrzegł zielone lśnienie instrumentów odbite w krzywiźnie owiewki kabiny.

– Spieprzyłeś – oświadczyła Webber.

Za jej plecami odskoczył właz modułu medycznego. W otworze stanęła zamaskowana postać w zielonym papierowym kombinezonie ochronnym.

Światło wewnątrz było niebieskobiałe i jaskrawe; cień człowieka padał poprzez rzadki obłok pyłu wzniesionego przez lądujący myśliwiec.

– Zamknij! – krzyknęła Webber. – Jeszcze nie!

Kłapa zaskoczyła, przesłaniając ostre światło. Wtedy oboje usłyszeli silnik motolotni. Po ryku odrzutowca wydawał się brzęczeniem wazki, szelestem cichnącym co chwila, by wreszcie zamilknąć.

– Nie ma paliwa – stwierdziła Webber. – Ale jest już blisko.

– Już jest – poinformował Turner, przyciskając laryngofon. – Pierwszy impuls.

Małeńki samolocik przemknął, szepcząc, nad nimi: czarny trójkąt na tle gwiazd. Usłyszeli, że coś trzepocze w podmuchu cichego przelotu: może nogawki spodni Mitchella. Jesteś tam, pomyślał Turner. Zupełnie sam, w swoim najgrubszym ubraniu, z podczerwonymi goglami, które sam sobie zrobiłeś. Szukasz dwóch kropkowanych linii wyznaczonych dla ciebie grzałkami do rąk.

– Ty cholerny czubku – mruknął, czując, że ogarnia go niezwykle uczucie podziwu. – Naprawdę chciałeś się stamtąd wyrwać.

Wtedy właśnie wystrzeliła pierwsza flara, błysnęła z wesołym trzaskiem i magnezjowy płomień na białym spadochroniku zaczął powoli opadać ku pustyni. Niemal natychmiast pojawiły się dwa następne, a od zachodniego końca zabudowań zagrzechotały serie broni automatycznej. Kątem oka dostrzegł, jak Webber, potykając się, brnie przez krzaki w kierunku bunkra, ale wzrok skupiał na opadającej motolotni, jej jaskrawych pomarańczowo-niebieskich nylonowych skrzydłach i figurce w goglach skulonej wewnątrz otwartej kratownicy metalowych rurek, ponad kruchym trójkątem podwozia.

Mitchell.

Pod dryfującymi flarami teren był oświetlony jak boisko podczas meczu. Motolotnia przechyliła się i skręciła z leniwą gracją. Turner miał ochotę krzyknąć. Linia pocisków smugowych wytrysnęła białym łukiem spoza perymetru. Chybiła.

Posadź ją. Ląduj.

Biegł, przeskakując kępy krzaków, które chwyciły go za kostki, za brzeg parki.

Flary. Światło. Teraz Mitchell nie może użyć gogli, nie widzi podczerwonego lśnienia grzałek. Zniżał się daleko od pasa. Przednie kółko zaczepiło o coś i motolotnia przekoziółkowała: zmięty, porwany motyl. I opadła w chmurze białego pyłu.

Na mgnienie oka przed hukiem dotarł do niego błysk eksplozji; ostry cień padł na jasne krzewy. Wstrząs poderwał Turnera i cisnął w dół. Padając, zobaczył rozbity moduł chirurgiczny w kuli żółtych płomieni; wiedział, że to Webber użyła swojej rusznicy. Poderwał się natychmiast i ruszył biegiem, ściskając w dłoni rewolwer.

Do szczątków motolotni Mitchella dotarł w chwili, gdy zgasła pierwsza flara. Następna wystrzeliła łukiem znikąd i rozkwitła mu nad głową. Odgłosy strzałów nie cichły ani na chwilę. Przeczółgał się przez pogięty arkusz zardzewiałej blachy i znalazł leżącego pilota, z twarzą ukrytą pod zaimprovizowanym hełmem i niezgrabnymi goglami. Gogle były umocowane do hełmu matowymi pasami taśmy montażowej. Rozrzucone ręce i nogi grubą warstwą okrywała ciemna odzież. Turner patrzył, jak jego własne palce zdrapują taśmę; dłonie były obcymi istotami, białymi podwodnymi stworami żyjącymi własnym życiem w niewyobrażalnej głębi jakiegoś pacyficznego rowu. Przyglądał się, jak gorączkowo zdzierają taśmę, gogle, hełm... Aż wszystko odleciało na bok i wilgotne od potu długie kasztanowe włosy opadły na bladą twarz dziewczyny, rozmazując cieknącą z nozdrza strużkę krwi. Uniósł powieki, odsłaniając ślepe białka. A potem ciągnął ją, przerzucał w strażackim uchwycie i zataczał się w stronę, gdzie miał nadzieję znaleźć samolot.

Drugi wybuch wyczuł przez podeszwy tenisówek. I zobaczył idiotyczny uśmiech bryły plastiku na cyberprzestrzennym deku Ramireza. Tym razem nie było błysku, jedynie huk i ukłucie wstrząsu przez beton parkingu.

Nagle znalazł się w kabinie, wdychając zapach nowego samochodu, zapach długich łańcuchów monomerów – znajomy aromat nowoczesnej techniki. Dziewczyna była za nim: bezwładna lalka w objęciach siatki przeciwprzeciążeniowej, którą Conroy kupił w San Diego i kazał

handlarzowi bronią zamontować za siatką pilota. Samolot drżał jak żywe stworzenie. Turner wsunął się głębiej w uprząż, namacał kabel, wyrwał z gniazda microsoft i wcisnął na miejsca złącze kabla.

Wiedza rozświetliła go niczym w grze zręcznościowej. Popłynął naprzód w samolotowej świadomości myśliwca. Czuł, jak elastyczna powłoka przekształca się przed ostrym startem. Owiewka kabiny zawyła cicho, zasuwając się na własnych serwomotorach. Uprząż anty-g nadęła się, unieruchamiając ręce i nogi. I rewolwer wciąż ściśnięty w dłoni.

– Startuj, sukinsynu.

Ale samolot już wiedział i przeciążenie uderzyło w niego, wbijając w ciemność.

* * *

– Straciłeś przytomność – powiedział samolot. Głos z chipa dźwiękowego przypominał nieco głos Conroya.

– Jak długo?

– Trzydzieści osiem sekund.

– Gdzie jesteśmy?

– Nad Nagos.

Zapłonął wyświetlacz HUD: kilkanaście zmieniających się ciągle liczb pod uproszczoną mapą granicy Sonora-Arizona.

Niebo zajaśniało.

– Co to było?

Milczenie.

– Co to było?

– Czujniki wykazują eksplozję – odparł po chwili samolot. – Jej wielkość sugeruje taktyczną głowicę atomową, ale nie było impulsu elektromagnetycznego. Ośrodkiem zniszczenia był nasz punkt startowy.

Białe światło ściemniało i zgasło.

– Skasuj kurs – poleciał.

– Skasowany. Proszę o nowe współrzędne.

– To rozsądne pytanie – mruknął Turner. Nie mógł odwrócić głowy, bo spojrzeć na dziewczynę za sobą. Zastanawiał się, czy jeszcze żyje.

Marly śniła o Alainie: zmierzchało na kwietnej łące, a on objął dłońmi jej twarz, potem pieścił i skręcił jej kark. Leżała nieruchomo, ale wiedziała, co robi. Całował ją całą. Zabrał pieniądze i klucze do jej pokoju. Błyszczały gwiazdy: ogromne, umocowane nad jasnymi polami, a ona ciągle czuła jego dłonie na szyi...

Obudziła się rankiem pachnącym kawą i zobaczyła kwadraty słonecznego światła padające na książki na biurku Andrei. Usłyszała uspokajająco znajomy poranny kaszel, gdy Andrea od palnika kuchenki zapaliła pierwszego papierosa. Otrząsnęła się z posępnych kolorów snu i usiadła na sofie, otulając kolana ciemnoczerwoną kołdrą. Po Gnassie, policji i reporterach nigdy o nim nie śniła. A jeśli nawet, to przypuszczała, że jakoś cenzuruje te sny, wymazuje przed obudzeniem. Zadrzała, chociaż było już ciepło. Wyszła do łazienki. Nie życzyła sobie więcej snów o Alainie.

– Paco mówił, że podczas naszego spotkania Alain był uzbrojony – oznajmiła, gdy przyjaciółka podała jej niebieski emaliowany kubek z kawą.

– Alain uzbrojony? – Andrea rozcięła omlet i zsunęła połowę na talerz Marly. – Coż za dziwaczny pomysł. To byłoby jak... jakby uzbroić pingwina. – Roześmiały się obie. – Alain to nie ten typ. Odstrzeliliby sobie stopę podczas jakiejś pełnej pasji tyrady na temat stanu dzisiejszej sztuki albo wysokości rachunku w restauracji. Alain to gówniarz, ale to przecież żadna nowość. Na twoim miejscu martwiłabym się raczej tym Paco. Skąd masz pewność, że pracuje dla Vireka?

Zjadła kawałek omletu i sięgnęła po sól.

– Widziałam go. Był tam: w konstrukcie Vireka.

– Widziałaś... Widziałaś tylko obraz, wizerunek dziecka, które jedynie przypominało tego człowieka.

Marly przyglądała się, jak Andrea zjada swoją połówkę omletu. Jej porcja stygła na talerzu. Jak mogła opowiedzieć o tym uczuciu, jakie ją ogarnęło, kiedy wyszła z Luvru? Przekonaniu, że coś ją teraz otacza, obserwuje ze swobodą i precyzją; że stała się ośrodkiem zainteresowania przynajmniej części imperium Vireka?

– On jest bardzo bogaty... – zaczęła.

– Virek? – Andrea odłożyła na talerz nóż i widelec. Sięgnęła po kawę. – Rzeczywiście. Jeśli wierzyć dziennikarzom, jest najbogatszym człowiekiem na świecie, kropka. Bogatym jak niektóre *zaibatsu*. Ale tu właśnie tkwi problem: czy naprawdę jest człowiekiem? W takim sensie jak ty i ja? Nie. Masz zamiar to zjeść?

Marly zaczęła mechanicznie kroić i wkładać do ust kawałki stygnącego omletu. Andrea mówiła dalej:

– Powinnaś przeczytać maszynopis, nad którym pracujemy w tym miesiącu.

Marly przełknęła i pytająco uniosła brwi.

– To historia orbitalnych klanów przemysłowych. Napisał ją człowiek z uniwersytetu w Nicei. Nawet twój Virek tam występuje, o ile sobie przypominam; jest cytowany jako kontrprzykład, czy raczej typ ewolucji równoległej. Ten stypendysta z Nicei zainteresował się paradoksem wielkiego indywidualnego bogactwa w wieku korporacji. I dlaczego w ogóle może zaistnieć. Znaczący: to bogactwo. Uważa klany orbitalne, takie jak Tessier-Ashpool, za bardzo późny wariant tradycyjnych wzorców arystokracji. – Odstawiła swój kubek na talerz, a talerz odniosła do zlewu. – Szczerze mówiąc, kiedy opowiadam, nie wydaje mi się to już takie ciekawe. Jest tam sporo nudnych wywodów o naturze Szarego Człowieka. Wielkimi literami: Szary Człowiek. Często używa wielkich liter. Nie jest nadzwyczajnym stylistą.

Odkręciła kurki i woda zasyczała u wylotu filtra.

– Ale co mówi o Vireku?

– Mówi, jeżeli dobrze zapamiętałam... a wcale nie jestem tego pewna... że Virek to jeszcze dziwniejszy przypadek niż klany orbitalne. Klany są transpokoleniowe i zwykle wykorzystują pewne gałęzie medycyny: kriogenerikę, manipulacje genetyczne, rozmaite sposoby walki ze starością. Śmierć danego przedstawiciela klanu, nawet założyciela, zwykle nie doprowadza do kryzysu klanu jako firmy. Zawsze jest ktoś, kto zajmie miejsce zmarłego; ktoś, kto czeka. Różnica między klanem a korporacją polega na tym, że nie musisz dosłownie wżenić się w korporację.

– Ale podpisują kontrakty...

Andrea wzruszyła ramionami.

– To jak wynajem. Wcale nie to samo. Właściwie chodzi o zabezpieczenie pracy. Ale kiedy ten twój Herr Virek wreszcie umrze, kiedy zabraknie im miejsca na ciągłe powiększanie jego zbiornika, jego interesy stracą logiczny sens. W takiej chwili, jak twierdzi nasz człowiek z Nicei, zobaczymy, że Virek i Spółka rozpada się albo mutuje. To drugie daje nam w efekcie Spółkę Jakąstam, prawdziwy ponadnarodowy koncern, kolejny dom dla Szarego Człowieka przez duże S. – Umyła talerz, splukala, wytarła i ustawiła na różowym stojaku obok zlewu. – Twierdzi, że to niedobrze... w pewnym sensie. Niewielu mamy dzisiaj ludzi, którzy mogą zobaczyć granicę.

– Granicę?

– Granicę tłumu. My jesteśmy zagubione w środku. Ty i ja. A przynajmniej ja ciągle jestem. – Podeszła i położyła dłonie na ramionach Marly. – Uważaj na siebie w tym wszystkim. Część ciebie jest już szczęśliwsza. Ale widzę, że sama mogłam to osiągnąć, organizując mały lunch dla ciebie i tej świni, twojego byłego kochanka. Co do reszty, nie jestem pewna... Sądzę, że nasza akademicka teoria przestaje obowiązywać wobec faktu, że Virekowi i jemu podobnym coraz więcej brakuje do człowieczeństwa. Bądź ostrożna...

Pocałowała Marly w policzek i wyszła do pracy – jako asystent wydawcy w firmie zajmującej się modnie archaicznym drukowaniem książek.

Ten ranek spędziła w mieszkaniu Andrei, przy braunie, oglądając hologramy siedmiu prac. Każde dzieło było na swój sposób niezwykle, wciąż jednak powracała do pudełka, które Virek pokazał jej jako pierwsze. Gdybym miała tu oryginał, myślała, gdybym usunęła szkło i jeden po drugim wyjmowała z wnętrza kolejne obiekty, co by pozostało? Bezużyteczne przedmioty, obramowana przestrzeń, może zapach kurzu.

Z braunem na brzuchu położyła się na sofie i wpatrywała w pudełko. Bolało. Miała wrażenie, że konstrukcja w sposób doskonały wywołuje pewne uczucie, ale nie miało ono nazwy. Przesunęła dłoń przez świetlną iluzję, wodząc palcem wzdłuż wąskiej ptasiej kości. Była pewna, że Virek zlecił już ornitologowi identyfikację ptaka, z którego skrzydła pochodziła ta kość. Przypuszczalnie można z dużą precyzją określić wiek każdego z obiektów. Wszystkie holofisze zawierały także szczegółowe raporty o ustalonym pochodzeniu każdego przedmiotu. Świadomie jednak ich unikała. Do tajemnic sztuki czasem lepiej podchodzić jak dziecko. Dziecko dostrzega fakty często zbyt wyraźne, zbyt oczywiste dla wyćwiczonego oka.

Odstawiła brauna na niski stolik obok sofy i podeszła do telefonu, by sprawdzić czas. O pierwszej miała się spotkać z Paco i omówić sposób przekazania pieniędzy dla Alaina. Alain powiedział, że zadzwoni do Andrei o trzeciej. Kiedy wybrała numer zegarynki, przez ekran przewinął się automatyczny skrót wiadomości satelitarnych: prom JAL uległ katastrofie podczas wejścia w atmosferę nad Oceanem Indyjskim, grupa śledcza z Osi Metropolitalnej Boston-Atlanta bada miejsce brutalnego i najwyraźniej bezcelowego zamachu bombowego na nędznym przedmieściu New Jersey, formacje samoobrony nadzorują ewakuację południowej części Nowego Bonn zarządzoną po odkryciu dwóch niewypałów rakiet z okresu wojny, prawdopodobnie uzbrojonych w głowice z bronią biologiczną, czynniki oficjalne w Arizonie zaprzeczają oskarżeniom Meksyku o detonację ładunku atomowego lub termojądrowego niewielkiej mocy w pobliżu granicy Sonory... Streszczenie dobiegło końca i znowu zobaczyła ginącą w płomieniach symulację promu. Pokręciła głową i wcisnęła klawisz. Było południe.

* * *

Nadeszło lato, niebo nad Paryżem było niebieskie i gorące, a ona uśmiechała się, czując zapach świeżego chleba i ciemnego tytoniu. Uczucie, że jest obserwowana, osłabło, kiedy szła z metra pod adres, jaki jej podał. Faubourg St. Honoré. Wydawał się znajomy... Galeria, pomyślała.

Tak. Roberts. Własność Amerykanina, który prowadził również trzy galerie w Nowym Jorku. Drogie, ale już nie tak modne. Paco czekał pod ogromnym panelem, na którym, pod nierówną warstwą bezbarwnego lakieru, leżały w warstwach setki małych prostokątnych fotografii – takich, jakie wydają niektóre bardzo stare automaty na stacjach i przystankach autobusowych. Wszystkie chyba przedstawiały młode dziewczyny. Odruchowo przeczytała nazwisko autora i tytuł pracy: „Przeczytaj nam Księgę Imion Umarłych”.

– Przypuszczam, że rozumie pani takie rzeczy – odezwał się posępnie Hiszpan.

Dzisiaj włożył kosztowny z wyglądu niebieski garnitur skrojony w paryskim stylu ludzi interesu, miał białą jedwabną koszulę i bardzo angielski krawat, prawdopodobnie od Charveta. Wcale nie przypominał teraz kelnera. Na ramieniu trzymał włoską torbę z czarnej żebrowanej gumy.

– O co ci chodzi? – spytała.

– Imiona umarłych. – Ruchem głowy wskazał panel. – Sprzedawała pani takie rzeczy.

– Czego nie rozumiesz?

– Czasami mam wrażenie, że to wszystko, ta... kultura... jest tylko sztuczką. Pozorem. Przez całe życie służyłem señorowi w takim czy innym przebraniu... I ta praca miała swoje chwile satysfakcji, momenty tryumfu. Ale kiedy zlecał mi działania na polu sztuki, nigdy nie odczuwałem satysfakcji. On jest uosobieniem bogactwa. Świat jest pełen przedmiotów pięknych. A mimo to señor poszukuje...

Wzruszył ramionami.

– Zatem wiesz, co ci się podoba. – Uśmiechnęła się do niego. – Dlaczego wybrałaś na miejsce spotkania tę galerię?

– Agent señora kupił tutaj jedno z pudełek. Nie czytała pani informacji, które przekazaliśmy pani w Brukseli?

– Nie – przyznała. – To mogłoby źle wpłynąć na moją intuicję. A Herr Virek właśnie za intuicję mi płaci.

Uniósł brwi.

– Przedstawię panią Picardowi. To menedżer. Może zdoła jakoś pomóc tej pani intuicji.

Przeprowadził ją przez pokój do drzwi. Solidnie zbudowany Francuz w pogniecionym sztruksowym garniturze rozmawiał właśnie przez telefon. Na ekranie zauważyła kolumny liter i liczb: dzisiejsze notowania nowojorskiego rynku.

– Witam – powiedział mężczyzna. – Przepraszam, Estevez, to potrwa tylko chwilę.

Uśmiechnął się przepaszająco i wrócił do rozmowy. Marly przestudiowała notowania. Pollock znowu spadł. Był to ten aspekt sztuki, który najtrudniej było jej zrozumieć. Picard, jeśli tak nazywał się mężczyzna, rozmawiał z brokerem w Nowym Jorku, zlecając mu nabycie pewnej liczby „punktów” prac jakiegoś konkretnego artysty. „Punkt” mógł być zdefiniowany na wiele sposobów, zależnie od środka przekazu, była jednak prawie pewna, że Picard nie zobaczy dzieł, które kupuje. Jeśli twórca cieszy się odpowiednim statusem, oryginały prawdopodobnie przeleżą zapakowane w jakimś skarbcu i nikt nie będzie ich oglądał. Po odpowiedniej liczbie dni czy lat Picard sięgnie może po ten sam telefon i każe brokerowi sprzedawać.

W swojej galerii Marly sprzedawała oryginały. Zarabiała stosunkowo nieduże pieniądze, ale taka działalność miała w sobie jakieś emocjonalnie pozytywne zabarwienie. I oczywiście zawsze istniała szansa, że uśmiechnie się do niej szczęście. Przekonała samą siebie, że jej sprzyja, kiedy Alain przedstawił fałszywego Cornella jako wspaniałe przypadkowe znalezisko. Cornell miał swoje miejsce na tablicach brokerów i jego „punkty” były bardzo cenne.

– Picard – rzucił Paco, jakby zwracał się do lokaja. – To jest Marly Krushkova. Señor zlecił jej sprawę tych anonimowych pudełek. Może zechce ci zadać kilka pytań.

– Jestem oczarowany. – Picard uśmiechnął się ciepło, ale miała wrażenie, że dostrzega błysk w jego oczach. Prawdopodobnie usiłował powiązać jej nazwisko z jakimś stosunkowo świeżym skandalem.

– Jak rozumiem, pańska galeria dokonała tej transakcji.

– Tak – potwierdził. – Wystawiliśmy dzieło w naszych salach w Nowym Jorku. Otrzymaliśmy kilka propozycji. Postanowiliśmy jednak dać mu dzień w Paryżu... – Rozpromienił się. – A pani pracodawca sprawił, że decyzja okazała się bardzo owocna. Jak się miewa Herr Virek, Estevez? Nie widzieliśmy go od kilku tygodni.

Marly zerknęła na Paco, ale twarz miał spokojną, całkowicie opanowaną.

– Señor czuje się dobrze, jak przypuszczam – oświadczył.

– To doskonale – odparł Picard z nieco przesadnym entuzjazmem. Zwrócił się do Marly. – Wspaniały człowiek. Legenda. Wielki mecenas. Wielki uczony.

Marly zdawało się, że słyszy westchnienie Paco.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie wasz nowojorski oddział zdobył dzieło, o którym mowa?

Picard zmartwił się wyraźnie. Spojrzał na Paco, potem znowu na Marly.

– Nie wie pani? Nie powiedzieli pani?

– Proszę, żeby pan mi powiedział.

– Nie – rzekł Picard. – Przykro mi, ale nie mogę. Widzi pani, my sami nie wiemy.

Marly przyjrzała mu się zdumiona.

– Przepraszam, ale nie całkiem rozumiem, jak to możliwe...

– Ona nie czytała raportu, Picard. Opowiedz jej. Dobrze wpłynie na jej intuicję, jeśli usłyszy to od ciebie.

Picard sporzał na Paco niespokojnie, ale zaraz się opanował.

– Oczywiście – zapewnił. – Z przyjemnością...

* * *

– Myślisz, że to prawda? – spytała, kiedy wyszli z powrotem na Foubourg St. Honoré i światło słońca. W tłumie kłębili się japońscy turyści.

– Sam byłem w Ciągu – odparł Paco. – Rozmawiałem z każdym, kto miał do czynienia z tą sprawą. Roberts nie zostawił żadnych zapisków z tej transakcji, chociaż normalnie nie był bardziej tajemniczy niż dowolny inny handlarz sztuki.

– A jego śmierć była przypadkowa?

Włożył parę okularów Porsche.

– Tak przypadkowa, jak zwykle bywa taka śmierć. Nie możemy odkryć, gdzie znalazł to dzieło. Trafiliśmy na nie tutaj. Wszystkie próby pójścia jego śladem kończą się na Robertsie, a Roberts nie żył wtedy już od roku. Picard zapomniał pani powiedzieć, że niewiele brakowało, a stracilibyśmy to pudełko. Roberts trzymał je w swoim wiejskim domu, razem z innymi przedmiotami, które jego spadkobiercy uznali za zwykłe ciekawostki. Chcieli już sprzedać całość na publicznej aukcji. Czasem żałuję, że do tego nie doszło.

– Te inne przedmioty – wtrąciła, równając z nim krok. – Co to było?

Uśmiechnął się.

– Sądzi pani, że nie odnaleźliśmy ich co do jednego? Odnaleźliśmy. Były to... – Zmarszczył brwi, z przesadą demonstrując wysiłek pamięci. – Niezbyt interesujące przykłady współczesnej sztuki ludowej.

– Czy Roberts wcześniej interesował się takimi rzeczami?

– Nie. Ale mniej więcej rok przed śmiercią wystąpił o przyjęcie do Institut de l'Art Brut. Tutaj, w Paryżu. Został też opiekunem kolekcji Aeschmanna w Hamburgu.

Marly skinęła głową. Kolekcja Aeschmanna zawierała jedynie dzieła psychotyków.

– Jesteśmy prawie pewni – mówił dalej Paco, chwytając ją za łokieć i kierując za róg, w boczną uliczkę – że nie próbował wykorzystać środków żadnej z tych instytucji. Chyba że zatrudnił pośrednika, ale uważamy to za

mało prawdopodobne. Señor, oczywiście, wynajął kilkudziesięciu specjalistów, by przebadali ich rejestry. Bezskutecznie.

– Powiedz mi – poprosiła – dlaczego Picard sądzi, że niedawno widział Herr Vireka? Jak to możliwe?

– Señor jest bogaty. Señor dysponuje wieloma środkami manifestacji.

Przez drzwi w chromowej ramie weszli do wielkiej sali lśniącej lustrami, butelkami i automatami do gier. Lustra oszukiwały co do rozmiarów pomieszczenia; na tyłach widziała odbicie chodnika, nogi przechodniów, błysk słońca na feldze samochodu. Paco skinął głową sennemu, jakby pogrążony w letargu mężczyźnie za barem i wziął ją za rękę, prowadząc między gęsto rozstawionymi plastikowymi stolikami.

– Może pani tutaj odebrać telefon od Alaina – powiedział. – Udało nam się przełączyć linię z mieszkania pani przyjaciółki.

Przysunął jej krzesło – odruch zawodowej uprzejmości, który sprawił, że zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę nie był kiedyś kelnerem. Postawił swoją torbę na stoliku.

– Przecież zobaczy, że jestem gdzie indziej – zaprotestowała. – A jeśli wygaszę ekran, zaczniesz coś podejrzewać.

– Nie zobaczy. Wygenerowaliśmy cyfrowy obraz pani twarzy z odpowiednim tłem. Prześlemy to na ekran jego telefonu.

Wyjął z torby i rozstawił na blacie elegancki przenośny aparat. Cienki jak papier polikarbonowy ekran wysunął się bezgłośnie z górnej części i natychmiast zeszywniał. Kiedyś widziała, jak motyl wychodzi na świat, i podziwiała transformację jego schnących skrzydełek.

– Jak to jest zrobione? – spytała, ostrożnie dotykając ekranu. Przypominał cienką stalową blachę.

– To jedna z nowych odmian polikarbonu – wyjaśnił. – Produkt Maasa...

Telefon zamruczał dyskretnie. Paco poprawił go nieco i sam przeszedł na drugą stronę stołu.

– Pani telefon – powiedział. – Tylko proszę pamiętać, jest pani w domu!

Wyciągnął rękę i musnął kryty tytanem przycisk.

Mały ekran wypełniły twarz i ramiona Alaina. Ciemne pasy i marne oświetlenie obrazu świadczyło, że rozmowa toczy się z budki telefonicznej.

– Dzień dobry, moja droga – zaczął.
– Dzień dobry, Alain.
– Jak się miewasz, Marly? Mam nadzieję, że zdobyłaś te pieniądze, o których rozmawialiśmy. – Widziała, że ma na sobie jakąś kurtkę, ciemną, ale nie rozpoznała żadnych szczegółów. – Twojej współlokatorce przydałby się kurs sprzątanía – dodał, zerkając ponad jej ramieniem.
– Nigdy w życiu nie posprzątałaś pokoju – przypomniała.
Z uśmiechem wzruszył ramionami.
– Każde z nas ma swoje talenty. Zdobyłaś dla mnie pieniądze, Marly?
Zerknęła na Paco, który przytaknął.
– Tak – powiedziała. – Oczywiście.
– To wspaniale, Marly. Po prostu cudownie. Jest tylko jeden mały kłopot. Wciąż się uśmiechał.
– Jakież to?
– Moi informatorzy podwoili swoją cenę. W konsekwencji ja także muszę podwoić moją.
Paco kiwnął głową. Także był uśmiechnięty.
– Trudno. Oczywiście będę musiała zapytać...
Mdlilo ją od jego widoku. Chciała jak najszybciej się rozłączyć.
– A oni, oczywiście, wyrażą zgodę.
– Gdzie się spotkamy?
– Zadzwoń jeszcze raz, o piątej – obiecał.
Wizerunek skurczył się do pojedynczej plamki zieleni, po czym i ona zniknęła.
– Wygląda pani na zmęczoną – zauważył Paco, kiedy złożył ekran i schował telefon do torby. – Po rozmowie z nim wydaje się pani starsza.
– Naprawdę?
Nie wiedziała dlaczego, ale nagle zobaczyła ten panel u Roberta, te wszystkie twarze. „Przeczytaj nam Księgę Imion Umarłych”. Wszystkich Marly, pomyślała, wszystkich dziewcząt, którymi była przez długi okres młodości.

– Hej, dupku! – Rhea niezbyt delikatnie dźgnęła go palcem w żebra. – Rusz tyłek.

Wracał do siebie, walcząc z szydełkową narzutą, z na wpół uformowanymi sylwetkami nieznanych wrogów. Z mordercami swojej matki. Był w pomieszczeniu, którego nie znał; w pokoju, który mógł się znajdować wszędzie. Mnóstwo luster w plastikowych złożonych ramach. Aksamitne szkarłatne tapety. Wiedział, że w ten sposób dekorują swoje pokoje Gothicy, jeśli ich na to stać, ale widział też, że ich rodzice urządzają w tym stylu całe mieszkania. Rhea rzuciła na materac kłęb ubrań i wcisnęła ręce w kieszenie czarnej skórzanej kurtki.

Różowe i czarne kwadraty narzuty opinały jego pierś. Spuścił wzrok i zobaczył segmentowy kadłub stonogi zanurzonej w szerokiej na palec różowej bliźnie. Beauvoir mówił, że to paskudztwo przyśpiesza gojenie... Ostrożnie dotknął świeżej tkanki; była tkliwa, ale do wytrzymania. Spojrzał na Rheę.

– Sama rusz tyłkiem na tym – mruknął, wystawiając palec.

Przez kilka sekund patrzyli na siebie wrogo ponad sterczącym środkowym palcem Bobby'ego. Potem roześmiała się.

– No dobra – powiedziała. – Masz rację. Nie będę się ciebie czepiać. Ale przejrzyj te rzeczy i ubierz się. Znajdziesz chyba coś, co będzie pasować. Niedługo przyjedzie po ciebie Lucas, a on nie lubi czekać.

– Tak? Na mnie zrobił wrażenie spokojnego gościa.

Zaczął przeglądać odzież. Odłożył czarną koszulę w drobny wzorek nadrukowany wyblakłym złotem, kurtkę z czerwonej satyny z imitującymi

skórę białymi frędzlami wzdłuż rękawów, czarny obcisły kostium z płytkami jakiegoś przezrzystego materiału...

– Zaraz! – zawołał. – Skąd wzięłaś te ciuchy? Nie mogę czegoś takiego włożyć...

– To mojego młodszego brata – wyjaśniła Rhea. – Z zeszłego roku. I lepiej wciągnij coś na swój biały tyłek, zanim zjawi się Lucas. Chwila... To moje! – Wyrwała mu kostium, jakby się bała, że zechce go ukraść.

Wciągnął czarno-złotą koszulę i zaczął zapinać wypukłe zatrzaski z imitacji masy perłowej. Znalazł parę czarnych dżinsów, ale okazały się workowate, z wymyślnymi naszywkami i chyba całkiem bez kieszeni.

– Nie masz innych spodni?

– Jezu... – jęknęła. – Widziałam ciuchy, które zdjął z ciebie Pye. Nie jesteś z żurnala mody, chłopie. Ubierz się, co? Nie chcę kłopotów z Lucasem. Dla ciebie może być spokojny, ale to tylko znaczy, że masz coś, na czym mu zależy. Tak bardzo, że się stara. Ja na pewno nic nie mam, więc ze mną nie będzie się pieścił.

Stał niepewnie obok materaca i spróbował zapiąć czarne dżinsy.

– Nie ma zamka... – Obejrzał się na nią.

– Guziki. Gdzieś tam je znajdziesz. To się nazywa: styl.

Bobby odszukał guziki. Była to wymyślna konstrukcja i zastanowił się, co by zrobił, gdyby szybko musiał się wysikać. Obok materaca zauważył czarne nylonowe sandały i wsunął je na stopy.

– Co z Jackie? – zapytał. Poczłapał do miejsca, gdzie mógł się przejrzeć w lustrze ze złotą ramą. – Czy z nią Lucas się pieści?

Obserwował jej odbicie. Coś przemknęło po jej twarzy.

– O co ci chodzi?

– Beauvoir mówił, że ona jest koniem...

– Zamknij się – przerwała mu cicho i z naciskiem. – To sprawa Beauvoira, że opowiada ci takie rzeczy. Ale poza tym nie ma tu o czym gadać. Rozumiesz? To rzeczy tak paskudne, że wolałbyś wrócić na tę ulicę, gdzie pocięli ci tyłek.

Patrzył jej w oczy, ciemne, ukryte pod szerokim rondem kapelusza. Ukazywały więcej białka niż przed chwilą.

– Dobra – mruknął po chwili. – Dzięki.

Bawił się kołnierzykiem koszuli. Postawił go, potem ułożył z powrotem, układał na różne sposoby.

– A wiesz... – Rhea przechyliła głowę. – Jak już wciągniesz na siebie trochę ciuchów, to nie wyglądasz źle... Tyle że oczy masz jak dwie dziury wysikane w śnieżnej zaspie...

* * *

– Lucas – zapytał Bobby, kiedy weszli do windy – czy wiesz, kto właściwie skasował moją staruszkę?

Nie to pytanie zamierzał zadać. Samo wypłynęło na powierzchnię, niby bąbel bagiennego gazu.

Lucas przyglądał mu się dobrotliwie. Pociągłą twarz miał gładką i czarną. Czarny, świetnie skrojony garnitur wyglądał na świeżo wyprasowany. W ręku trzymał grubą laskę ze lśniącego drewna; czarno-czerwone słoje układały się w fale, a u góry tkwiła duża, mosiężna gałka. Wybiegały z niej długie na palec pasy mosiądzu, gładko wpasowane w powierzchnię drewna.

– Nie, tego nie wiemy. – Szerokie wargi uformowały prostą, bardzo poważną linię. – A bardzo chcielibyśmy wiedzieć...

Bobby poruszył się niespokojnie. Winda wprawiała go w zakłopotanie. Miała wielkość małego autobusu i choć nie była zatłoczona, on był w niej jedynym białym. Czarni, jak zauważył, rozglądając się niespokojnie, w świetle jarzeniówek nie przypominają trupów, tak jak biali.

Trzykrotnie w czasie jazdy winda zatrzymywała się na jakimś piętrze i tkwiła tam, raz prawie piętnaście minut. Za pierwszym razem Bobby zerknął pytająco na Lucasa.

– Coś w szybie – wyjaśnił Lucas.

– Co?

– Inna winda.

Windy umieszczono w rdzeniu kompleksu, ich szybami bieży wodociągi, ścieki, grube kable energetyczne i jakieś izolowane rury; Bobby

uznał, że należą do tego systemu geotermalnego, o którym opowiadał mu Beauvoir. Kiedy tylko otwierały się drzwi, patrzył na to wszystko odsłonięte, nagie, jakby ci, którzy budowali kompleks, chcieli dokładnie zobaczyć, jak pracuje każdy element i co dokąd prowadzi. I wszystko, każdą widoczną powierzchnię, pokrywała siatka graffiti tak gęsta i wielowarstwowa, że odczytanie jakiegokolwiek symbolu czy przekazu było prawie niemożliwe.

– Nigdy jeszcze tu nie byłeś, prawda, Bobby? – zapytał Lucas, kiedy drzwi się zamknęły i znowu ruszyli w dół.

Bobby pokręcił głową.

– To szkoda – stwierdził Lucas. – Zrozumiałe, ale szkoda. Dwa-Dziennie mówił mi, że nie bardzo podobało ci się Barrytown. To prawda?

– Pewno – przyznał Bobby.

– Sądzę, że to również jest zrozumiałe. Zrobiłeś na mnie wrażenie młodego człowieka obdarzonego wyobraźnią i inicjatywą. Zgodzisz się chyba?

Uderzył jasną, mosiężną gałką laski o swą różową dłoń i spojrzał na Bobby'ego badawczo.

– Chyba tak. Nie znoszę tego miejsca. Ostatnio tak jakbym zauważał, że... no... nic się tam nie dzieje. Rozumiesz? To znaczy, owszem, coś się wydarza, ale ciągle to samo. Ciągle wściekle to samo, jakby same powtórki, każde lato podobne do poprzedniego...

Ucichł niepewny, co Lucas o nim pomyśli.

– Tak. – Lucas westchnął. – Znam to uczucie. Może w Barrytown jest bardziej realne niż gdzie indziej, ale równie dobrze może cię dopaść w Nowym Jorku albo w Tokio.

To niemożliwe, pomyślał Bobby, ale kiwnął głową, pamiętając o słowach Rhei. Lucas nie wydawał się groźniejszy niż Beauvoir, ale sama jego budowa służyła za ostrzeżenie. Bobby pracował właśnie nad nową teorią ludzkich zachowań; brakowało jeszcze kilku szczegółów, ale stwierdzała ona między innymi, że ludzie naprawdę niebezpieczni wcale nie muszą tego demonstrować. A umiejętność ukrycia groźby czyni ich jeszcze niebezpieczniejszymi. Całkiem wbrew regułom Wielkiego Lunaparku,

gdzie dzieciaki bez żadnego haka dokładają wielu starań, by podkreślić swą nabijaną chromem porywczosć. Co zresztą dawało im pewne korzyści, przynajmniej w sprawach lokalnych. Ale Lucas najwyraźniej nie miał nic wspólnego ze sprawami lokalnymi.

– Widzę, że trudno ci uwierzyć. No cóż, prawdopodobnie wkrótce sam się przekonasz... Ale jeszcze nie teraz. Twoje życie układa się obecnie tak, że przez pewien czas wszystko będzie ci się wydawać nowe i ekscytujące.

Drzwi windy rozsunęły się i Lucas ruszył, popychając Bobby'ego przed sobą jak dziecko. Wyszli na pokryte kafelkami, ciągnące się w nieskończoność foyer, pełne kiosków, straganów i ludzi przykucniętych obok koców z rozłożonymi towarami.

– Ale to nie powinno cię zatrzymywać – dodał Lucas i delikatnie pchnął Bobby'ego szeroką dłonią, gdy chłopak przystanął przed stosami używanego oprogramowania. – Wyruszasz do Ciągu, mój drogi. I dotrzesz tam w sposób godny grafa.

– To znaczy, jak?

– Limuzyną.

* * *

Samochód Lucasa okazał się zadziwiającym potworem o długiej, nakrapianej złotem czarnej karoserii obwieszanej lśniącym jak lustro mosiądzem i zestawem barokowych gadżetów, których przeznaczenia Bobby mógł się tylko domyślać. Miał wrażenie, że rozpoznaje talerz anteny, choć przypominał raczej jedno z tych azteckich kół kalendarzowych. Potem byli już w środku, a Lucas pozwolił, by drzwi zamknęły się za nimi z cichym trzaśnięciem. Okna były tak przyciemnione, że zewnętrzny świat wydawał się pogrążony w nocnej ciemności: burzliwa noc, w której tłumy z Projektów załatwiały swoje codzienne sprawy. Wnętrze pojazdu składało się z pojedynczego dużego pomieszczenia wyłożonego jaskrawymi dywanami i poduszkami z jasnej skóry. Bobby nie zauważył żadnych siedzeń. Nie było też kierownicy; deskę rozdzielczą pokrywała

miękką skórą, bez jakiegokolwiek instrumentu. Zerknął na Lucasa, który rozluźniał czarny krawat.

– Jak się to prowadzi?

– Usiądź gdzieś. Prowadzi się tak: Ahmed, zabierz nasze tyłki do Nowego Jorku, od wschodu.

Samochód ruszył gładko spod krawężnika, a Bobby opadł na kolana na miękki stos dywanów.

– Lunch za trzydzieści minut, sir, chyba że ma pan ochotę zjeść coś wcześniej – zabrzmiał głos. Był miękki, melodyjny i nie dochodził z żadnego określonego punktu.

Lucas zaśmiał się.

– Naprawdę umieli je robić w Damaszku.

– Gdzie?

– W Damaszku. – Lucas rozpiął marynarkę i usadowił się na poduszkach. – To rolls. Bardzo stary. Ci Arabowie robili dobre wozy, póki jeszcze mieli pieniądze.

* * *

– Lucas – odezwał się Bobby, przeżuwając zimnego kurczaka. – Jak to jest, że potrzebujemy półtorej godziny, żeby się dostać do Nowego Jorku? Nie czułgamy się przecież...

– Ponieważ... – Lucas wypił łyk schłodzonego białego wina – tyle właśnie potrzebujemy. Ahmed ma pełne wyposażenie dodatkowe, w tym pierwszej klasy system przeciwpodśluchowy. Na drodze, w ruchu, gwarantuje niezwykle poziom zabezpieczenia, o wiele wyższy, niż zwykle mam chęć opłacać w Nowym Jorku. Ahmedzie, nie masz uczucia, że ktoś próbuje nas namierzyć, podsłuchać czy coś w tym rodzaju?

– Nie, sir – odparł głos. – Osiem minut temu nasze tablice identyfikacyjne były infraskanowane przez śmigłowiec Sił Taktycznych. Numer śmigłowca MH-kreska-3-kreska-848, pilotowany przez kaprala Roberto...

– Wystarczy – przerwał Lucas. – Doskonale. Ale to nieważne. Widzisz? – zwrócił się do Bobby’ego. – Ahmed więcej wie o tych Taktycznych niż oni o nas.

Wytrzeł ręce w grubą lnianą serwetkę i z kieszeni marynarki wyjął złotą wykałaczkę.

– Lucas... – zaczął Bobby, gdy Lucas delikatnie sondował szczeliny między dużymi kwadratowymi zębami. – Co by się stało, gdybym... powiedzmy... poprosił, żebyś mnie odwiózł na Times Square i tam wysadził?

– Ach... – Lucas opuścił wykałaczkę. – Najbardziej tętniący życiem obszar miasta. O co chodzi, Bobby, jesteś na głodzie?

– No nie, ale byłem ciekawy...

– Ciekawy czego? Chcesz jechać na Times Square?

– Nie, to tylko pierwsze miejsce, jakie mi przyszło do głowy. Byłem ciekawy, czybyś mnie wypuścił.

– Nie – stwierdził Lucas. – I może nie wchodzimy w szczegóły. Ale nie powinieneś uważać się za więźnia. Raczej gościa. Bardzo cennego gościa.

Bobby uśmiechnął się niepewnie.

– Aha. Rozumiem. Jak to, co nazywają aresztem ochronnym.

– Zgadza się. – Lucas znowu uruchomił złotą wykałaczkę. – A póki jesteśmy tutaj, bezpiecznie ekranowani przez wiernego Ahmeda, pora nam porozmawiać. Brat Beauvoir opowiedział ci już nieco o nas, jak sądzę. A co ty sądzisz, Bobby, o tym, o czym mówił?

– No więc... To naprawdę ciekawe, ale chyba nie wszystko rozumiem.

– Czego nie rozumiesz?

– Nie bardzo wiem, o co chodzi z tym *voudou*...

Lucas uniósł brwi.

– Właściwie to wasza sprawa, co chcecie kupić – ciągnął Bobby – ...znaczy, w co wierzyć. Prawda? Ale najpierw Beauvoir mówi o robocie, o technice, o jakiej w życiu nie słyszałem, a potem nagle zaczyna o abrakadabrach, duchach, węzach i... i...

– I o czym?

– Koniach – dokończył Bobby z zaciśniętym gardłem.

– Bobby, czy wiesz, co to są metafory?
– Części? Jak kondensatory?
– Nie. Mniejsza więc o metafory. Kiedy Beauvoir i ja mówimy o loa i ich wierzchowcach, jak nazywamy tych nielicznych, których loa zechcą dosiadać, powinieneś wiedzieć, że mówimy w dwóch językach jednocześnie. Jeden z nich już znasz. To język techniki... roboty, jak to nazwał. Używamy może innych słów, ale mówimy o technice. Może nazywamy Ougou Feray coś, co ty nazwałbyś lodołamaczem. Rozumiesz? Ale równocześnie, tymi samymi słowami, mówimy o innych sprawach. I tych nie rozumiesz. Nie musisz.

Odłożył wykałaczkę. Bobby nabrał tchu.

– Beauvoir powiedział, że Jackie jest wierzchowcem węża. Węża zwanego Danbala. Przetłumaczysz mi to na technikę?

– Oczywiście. Wyobraź sobie Jackie jako dek, Bobby. Dek cyberprzestrzeni, bardzo ładny, z pięknymi łydkami... – Lucas uśmiechnął się, a Bobby zarumienił. – Wyobraź sobie Danbalę, którego niektórzy nazywają węzem, jako program. Powiedzmy: jako lodołamacz. Danbala wtyka się w dek Jackie. Jackie tnie lód. To wszystko.

– No dobra. – Bobby'emu zaczynało się to klarować. – A czym jest matryca? Jeśli ona jest dekiem, a Danbala programem, to czym jest cyberprzestrzeń?

– Światem – wyjaśnił Lucas.

* * *

– Stąd lepiej pójdziemy pieszo – stwierdził Lucas.

Rolls zahamował bezgłośnie i jedwabście gładko. Lucas wstał, zapinając marynarkę.

– Ahmed zwraca uwagę – dodał.

Chwycił laskę. Drzwi brzęknęły cicho, zwalniając zamek.

Bobby wysiadł za nim, prosto w wyraźny charakterystyczny zapach Ciągu, bogaty amalgamat stęchłych wyziewów metra, antycznej sadzy i rakotwórczego aromatu świeżych plastików, a wszystko podszyte

węglowodorowym posmakiem bezprawnych paliw kopalnych. Wysoko w górze, w odbitym świetle lamp łukowych, dwie trzecie różowego wieczornego nieba przesłaniała niedokończona kopuła Fullera; jej ostra krawędź była niczym złamany, szary plaster miodu. Układanka kopuł Ciągu generowała własne, przez nikogo nieplanowane mikroklimaty; były obszary kilku przecznic, gdzie z poczerniałych od sadzy geodezyjnych bez przerwy opadała mżawka kondensacji; były fragmenty wielkiej kopuły słynne z nieustannych wyładowań elektrostatycznych – tej szczególnej, miejskiej odmiany błyskawic. Dmuchał silny wiatr, ciepły i niosący tumany pyłu, mający pewnie jakiś związek ze zmianami ciśnienia w systemie metra obejmującym całą długość Ciągu.

– Pamiętaj, co ci mówiłem – odezwał się Lucas, mrużąc oczy przed pyłem. – Ten człowiek jest czymś więcej niż się wydaje. A nawet gdyby był jedynie tym, kim się wydaje, i tak byłbyś mu winien szacunek. Jeśli chcesz zostać kowbojem, to za chwilę poznasz legendę tego fachu.

– Dobra... – Odskokzył, by wyminąć poszarzałą wstęgę wydruku, która próbowała owinąć mu się wokół kostek. – To ten, od którego ty i Beauvoir kupiliście...

– Nie! Nie zapominaj, o czym rozmawialiśmy. Jeśli mówisz otwarcie na ulicy, równie dobrze możesz wydrukować te słowa na plakatach...

Bobby skrzywił się, ale kiwnął głową. Niech to diabli! Bez przerwy nawalał. Szedł w towarzystwie potężnego operatora, tkwiącego po szyję w jakichś dziwnych interesach, a cały czas zachowywał się jak wilson. Operator. To odpowiednie określenie dla Lucasa, i dla Beauvoira też. Cała ta gadka o *voudou*, uznał, to taka zagrywka, której próbują na ludziach. W rollsie Lucas zaczął jakąś długą historię o Legbie, który – jak stwierdził – jest loa komunikacji, „panem dróg i ścieżek”, i jak to ulubieńcem Legby jest człowiek, do którego się z Bobbym wybierają. Kiedy Bobby spytał, czy to oungan. Lucas zaprzeczył. Wyjaśnił, że ten człowiek szedł z Legbą przez całe życie, tak blisko, że nawet nie wiedział o loa obok siebie, jakby był jego częścią, jego cieniem. I ten człowiek, poinformował Lucas, sprzedał im soft, który Dwa-Dziennie wypożyczył Bobby’emu...

Lucas skręcił za róg i zatrzymał się. Bobby tuż za nim. Stali przed frontem pocerniałego budynku z oknami od dziesięcioleci zabitymi arkuszami pordzewiałej blachy. Część parteru służyła kiedyś jako sklep; brud oblepiał popękane szyby wystawowe. Drzwi między martwymi wystawami zostały wzmocnione taką samą blachą, jaka zasłaniała okna na wyższych piętrach. Bobby'emu zdawało się, że dostrzega jakiś znak za szybą po lewej stronie, jakiś stary neon pochylony na ukos w mroku. Lucas stał nieruchomo przed drzwiami; twarz miał bez wyrazu, czubek laski opierał o chodnik, obie dłonie wsparł na mosiężnej gałce.

– Pierwsze, czego musisz się nauczyć – powiedział tonem człowieka, który cytuje przysłowie – to, że zawsze trzeba czekać.

Bobby'emu zdawało się, że coś skrobie za drzwiami. Potem zadzwonił łańcuch.

– Zdziwiająca – mruknął Lucas. – Całkiem jakby się nas spodziewał.

Drzwi uchylły się na dziesięć centymetrów na dobrze nasmarowanych zawiasach, a potem zatrzymały nagle. Spojrzało na nich oko, niemrugające, zawieszone w szczelinie ciemności i kurzu. Bobby'emu wydało się z początku, że to oko jakiegoś dużego zwierzęcia: tęczęwka o dziwnym brunatnożółtym odcieniu, poplamione i przekrwione białko i jeszcze bardziej zaczerwieniona dolna powieka.

– Człowiek hoodoo – zabrzmiał głos z niewidocznej twarzy, do której należało oko. – Człowiek hoodoo i jakiś mały gówniarz... – Rozległ się okropny bulgot, jakby ktoś z ukrytych zakątków odsysał antyczną flegmę. Potem człowiek splunął. – No dobra, Lucas, wchodź. – Coś zgrzytnęło i drzwi uchylły się do wewnątrz. – Jestem bardzo zajęty...

Ostatnie słowa zabrzmiały z odległości metra, jakby właściciel oka cofał się przed światłem padającym przez otwarte drzwi.

Lucas przestąpił próg. Bobby niemal następował mu na pięty. Poczul, że drzwi za nim zamknęły się gładko. Nagła ciemność zjeżyła mu włoski na przedramionach: wydawała się żywa, zapelniona i gęsta, jakby świadoma.

Potem zapłonęła zapalka, zasyczała i zaskwierczała jakaś lampa gazowa. Bobby wpatrywał się w twarz za latarnią, gdzie czekało przekrwione żółte

oko wraz ze swoim bliźniakiem na twarzy, która chyba nie była maską, choć bardzo chciałby w to wierzyć.

– Nie sądzę, żebyś się nas spodziewał, Finn – zaczął Lucas.

– Jeśli musisz wiedzieć... – Na twarzy pojawiły się duże, równe, żółte zęby. – Wychodziłem właśnie poszukać czegoś do jedzenia.

Gospodarz wyglądał, jakby potrafił przeżyć na diecie z zetłalej wykładziny, albo ryjąc cierpliwie w brunatnej pulpie drzewnej napęczniałych od wilgoci książek, leżących w stosach do wysokości ramion po obu stronach tunelu.

– Kim jest ten gówniarz, Lucas?

– Wiesz, Finn, Beauvoir i ja napotkaliśmy pewne trudności z czymś, co w dobrej wierze nabyliśmy od ciebie.

Lucas podniósł laskę i ostrożnie dotknął groźnej z wyglądu przewieszki rozsypujących się paperbacków.

– Coś podobnego... – Finn z udawaną troską ściągnął szare wargi. – Nie baw się tymi pierwszymi wydaniem, Lucas. Jeśli je zrzucisz, to za nie zapłacisz.

Lucas cofnął laskę. W świetle lampy błysnęło jej wypolerowane okucie.

– A więc macie kłopoty – podjął Finn. – To zabawne, Lucas, diabelnie zabawne. – Policzki miał zszarzałe, pocięte głębokimi ukośnymi zmarszczkami. – Ja też mam kłopoty, i to trzy od razu. Rano jeszcze ich nie miałem. Co robić, takie jest życie...

Odstawił syczącą lampę na opróżnioną stalową szafkę, a z kieszeni czegoś, co mogło kiedyś być tweedową marynarką, wyłowił pomiętego papierosa bez filtra.

– Moje trzy kłopoty są na górze. Może chcecie je sobie obejrzeć?

O podstawę lampy zapalił drewnianą zapalną, a od niej papierosa. Ostry zapach czarnego kubańskiego tytoniu koncentrował się w powietrzu między nimi.

* * *

– Sam wiesz... – Finn przekroczył pierwsze zwłoki. – Już od bardzo dawna prowadzę tu interesy. Zawsze w tym samym miejscu. Wszyscy mnie znają. Wiedzą, że tu jestem. Kupujesz od Finna to znaczy wiesz, od kogo kupujesz. Zawsze udzielam gwarancji na swój towar...

Bobby przyglądał się zwróconej ku górze twarzy martwego mężczyzny, patrzył w zmętniałe oczy. Coś się nie zgadzało w kształcie jego torsu, w sposobie ułożenia ciała pod czarnym ubraniem. Japońska twarz bez wyrazu, martwe oczy...

– I przez cały ten czas – kontynuował Finn – wiesz, ilu było takich durniów, co próbowali się tu dostać i mnie załatwić? Ani jednego. Nikogo, aż do dziś rano. I mam już trzech... To znaczy... – Rzucił Bobby'emu wrogie spojrzenie. – Znaczący, nie licząc tego gówniarza, chociaż...

Wzruszył ramionami.

– Trochę jest pokręcony – zauważył Bobby, nie spuszczać wzroku z pierwszego trupa.

– To dlatego, że w środku jest jak karma dla psów. – Finn uśmiechnął się złośliwie. – Sama miazga.

– Finn kolekcjonuje egzotyczną broń – wyjaśnił Lucas. Czubkiem laski trącił nadgarstek drugich zwłok. – Przeskanowałeś ich, czy nie mają implantów?

– Tak. Piekielna robota. Musiałem ich znieść na zaplecze. Nic, poza tym, czego można by oczekiwać. To tylko grupa uderzeniowa. – Hałaśliwie zassał powietrze przez zęby. – Ale dlaczego ktoś chciałby mnie zdjąć?

– Może sprzedałeś im bardzo kosztowny produkt, który nie spełnił oczekiwań – odpowiedział Lucas.

– Lucas, nie sugerujesz, mam nadzieję, że to ty ich przysłałeś – odparł spokojnie Finn. – Chyba że chcesz zobaczyć, jak robię tę sztuczkę z psią karmą.

– Czy powiedziałem, że sprzedałeś nam coś, co nie działa?

– „Napotkaliśmy trudności”. Tak powiedziałeś. A co takiego ostatnio ode mnie kupowaliście?

– Przykro mi, Finn, ale nie są od nas. Sam wiesz.

– Tak, chyba wiem. No to co cię do mnie sprowadza, Lucas? Wiesz, że ostatni towar nie był objęty zwykłą gwarancją...

* * *

– A wiesz – mruknął Finn, kiedy wysłuchał opowieści o przerwanej akcji Bobby’ego w cyberprzestrzeni – jest w tym coś diabelnie dziwnego. – Wolno pokręcił swą wąską, niezwykle wydłużoną głową. – Kiedyś tak nie było. – Zerknął na Lucasa. – Widzicie to chyba, co?

Siedzieli przy kwadratowym białym stole w białym pokoju, tuż za zagraconym wejściem frontowym. Podłogę pokrywały białe szpitalne kafelki antypoślizgowe, a ściany szerokie płyty zmatowiałego plastiku, wypełnione gęstymi warstwami obwodów przeciwpodśluchowych. W porównaniu z tunelem wejścia, pokój wydawał się szpitalnie czysty. Wokół stołu, niczym abstrakcyjne rzeźby, stało kilka duralowych trójnogów najeżonych czujnikami i układami skanującymi.

– Co widzimy? – zapytał Bobby.

Za każdym powtórzeniem swojej historii coraz mniej czuł się jak wilson. Ważny... Dzięki temu czuł się ważny.

– Nie ty, dupku – odparł znużonym głosem Finn. – On. Ważniak z hoodoo. On wie. Widzi, że nie jest już tak samo. Siedzę w tym fachu od zawsze. Zaczynałem dawno temu. Jeszcze zanim istniała matryca, a przynajmniej, zanim ludzie wiedzieli, że istnieje. – Popatrzył na Bobby’ego. – Mam parę butów starszych od ciebie, więc dlaczego, do diabła, miałbym się spodziewać, że coś widzisz? Kowboje istnieją od kiedy istnieją komputery. Pierwsze komputery zbudowali, żeby łamać niemiecki lód, zgadza się? Łamacze szyfrów. Czyli, gdyby spojrzeć na to w ten sposób, lód był, zanim jeszcze powstały komputery. – Zapalił piętnastego tego wieczoru papierosa i dym zaczął wypełniać niewielki pokój. – Lucas wie, na pewno. Od siedmiu czy ośmiu lat dziwne rzeczy dzieją się na obwodach kowbojskich konsoli. Nowi dżokeje zawierają układy z czymś... Prawda, Lucas? Tak, pewno że wiem; ciągle potrzebny im hard i soft, ciągle muszą być szybsi niż wąż na lodzie. Ale wszyscy mają sprzymierzeńców.

A w każdym razie wszyscy, którzy mają pojęcie o cięciu lodu. Zgadza się, Lucas?

Lucas wyjął z kieszeni swoją złotą wykałaczkę i zajął się tylnym trzonowcem. Dwarz miał mroczną i poważną.

– Trony i dominia... – Finn westchnął. – Tak, są tam dziwne rzeczy. Duchy, głosy. Dlaczego nie? W oceanach żyły syreny i cały ten chłam, a my tu mamy morze krzemowe, nie? Pewno, to tylko projektowana halucynacja, której wszyscy zgodziliśmy się doznawać. Ale każdy, kto się włączy, wie, wie jak cholera, że to cały wszechświat. I co roku jest bardziej zatłoczony, podobny do...

– Dla nas – wtrącił Lucas – świat zawsze działał w ten sposób.

– Tak – zgodził się Finn. – I mogliście od razu się do niego włączyć, mówić ludziom, że to, z czym zawieracie układy, to te same wasze bóstwa z buszu...

– Boscy Jeźdźcy.

– Jasne. Może nawet w to wierzysz. Ale ja jestem już stary i pamiętam czasy, kiedy było inaczej. Gdybyś dziesięć lat temu w „Eleganckiej Porażce” próbował opowiedzieć któremuś z lepszych dżokejów, że gadasz w matrycy z duchami, wzięliby cię za wariata.

– Wilsona – wtrącił Bobby. Czuł się pozostawiony na uboczu i już wcale nie tak ważny.

Finn spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

– Kogo?

– Wilsona. Frajera. To takie powiedzenie szpanerów.

Znowu to zrobił. A niech to...

Finn przyjrzał mu się z dziwną miną.

– Jezu... Tak to nazywacie? Chryste, znałem tego faceta...

– Kogo?

– Bodine’a Wilsona. Pierwszy człowiek, którego znałem i który skończył jako przenośnia.

– Był głupi? – zapytał Bobby i natychmiast tego pożałował.

– Głupi? Nie, cholera. Był sprytny jak diabli. – Finn zgasił papierosa w popękanej ceramicznej popielniczce Campari. – Po prostu pechowiec

i tyle. Pracował kiedyś z Dixie Płaszczakiem...

Żółte przekrwione oczy zapatrzyły się w przestrzeń.

– Finn – odezwał się Lucas. – Skąd wziąłeś ten lodolamacz, który nam sprzedałeś?

Finn spojrzał na niego chłodno.

– Czterdzieści lat w tym interesie, Lucas. Wiesz, ile razy zadawali mi to pytanie? Wiesz, ile razy byłbym już trupem, gdybym odpowiedział?

Lucas kiwnął głową.

– Uznaję twój argument. Ale pozwól, że przedstawię ci swój. – Niczym miniaturowy sztylet, wymierzył w Finna wykałaczkę. – Siedzisz tu z nami i nawijasz, ponieważ sądzisz, że ci trzej sztywni na górze mają jakiś związek z lodolamaczem, który nam sprzedałeś. I bardzo byłeś zainteresowany, kiedy Bobby opowiadał, jak ktoś skasował mieszkanie jego matki. Prawda?

– Może... – Finn odsłonił zęby.

– Ktoś ma cię na swojej liście, Finn. Ci trzej martwi ninja na górze kosztowali kogoś masę forsy. Kiedy nie wrócą, ktoś próbuje znowu, bardziej zdecydowanie.

Przekrwione żółte oczy mrugnęły.

– Byli napakowani sprzętem. Gotowi do zamachu, ale jeden miał też inne rzeczy. Do zadawania pytań. – Poplamione nikotyną palce o kolorze zbliżonym do barwy skrzydeł karalucha potarły krótką górną wargę. – Dostałem go od Wigana Ludgate'a – rzekł. – Wiga.

– Nigdy o nim nie słyszałem – wyznał Lucas.

– Pieprznięty facet – wyjaśnił Finn. – Kiedyś był kowbojem.

* * *

Było tak, opowiadał Finn, a dla Bobby'ego było to nieskończenie ciekawe, nawet lepsze niż słuchanie Beauvoira i Lucasa... Wigan Ludgate był dobrym dżokejem przez pięć lat, co nie jest złym wynikiem jak na kowboja cyberprzestrzeni. Po pięciu latach kowboje albo są bogaci, albo odmóżdzeni i martwi. Albo utrzymują stajnię młodszych krakerów

i zajmują się tylko organizacją. Wig, w pierwszych gorących latach młodości i chwały, uderzył szturmem w niezbyt zatłoczone sektory matrycy, reprezentujące obszary geograficzne znane niegdyś jako Trzeci Świat.

Krzem się nie zużywa; mikrochipy są praktycznie nieśmiertelne. Wig wziął ten fakt pod uwagę. Jak każde dziecko w jego wieku wiedział jednak, że krzem się starzeje, a to jeszcze gorsze niż zużycie. Fakt ten był dla Wiga ponurą, ale akceptowaną zasadą. Zresztą, zwykle bardziej się martwił tym, że jego sprzęt zostanie w tyle za najnowszymi osiągnięciami sztuki, niż śmiercią (miał dwadzieścia dwa lata) czy podatkami (nie wypełniał zeznań, ale singapurskiej pralni pieniędzy wypłacał roczny procent, mniej więcej równy temu, ile musiałby zapłacić, gdyby zadeklarował swoje dochody). Wig pomyślał jednak, że cały ten przestarzały krzem musi przecież gdzieś trafiać. Trafiał, jak się dowiedział, w liczne bardzo ubogie miejsca, gdzie z wolna rozwijała się baza przemysłowa. Do krajów tak zacofanych, że wciąż poważnie traktowały koncepcję narodu. Wig przestukał się przez parę afrykańskich dziur i poczuł się jak rekin krążący w basenie z wodą gęstą od kawioru. Żadne ze smakowitych jajeczek nie było wiele warte, ale mógł otworzyć szeroko paszczę i zbierać... Łatwe, sycące i się sumuje. Wig pracował w Afryce przez tydzień, mimochodem doprowadzając do upadku co najmniej trzy rządy i wywołując niewypowiedziane ludzkie cierpienia. Pod koniec tygodnia wycofał się, tłusty od śmietanki z miliona śmiesznie małych kont bankowych. A kiedy odchodził, nadlatywała już szarańcza: innym spodobał się pomysł z Afryką.

Przez dwa lata Wig siedział na plaży w Cannes, brał tylko najdroższe, specjalnie komponowane prochy, a od czasu do czasu włączał malutki telewizorek Hosaki i z niezwykłym, dziwnie niewinnym skupieniem oglądał napuchnięte ciała martwych Afrykanów. W pewnym momencie – nikt nie potrafiłby stwierdzić, gdzie, kiedy i dlaczego – zaczęto dostrzegać, że Wig traci rozsądek. W szczególności, jak wyjaśnił Finn, nabrał przekonania, że Bóg mieszka w cyberprzestrzeni, a może to cyberprzestrzeń jest Bogiem albo jakąś jego manifestacją. Jego wycieczki w teologię odznaczały się gwałtownymi przesunięciami paradygmatów,

prawdziwymi przeskokami wiary. Finn domyślał się, co w tych dniach interesowało Wiga; wkrótce po nawróceniu na nową i niespotykaną wiarę Wigan Ludgate powrócił do Ciągu i wyruszył na epicką, choć nieco przypadkową wyprawę ku cybernetycznym odkryciom. Jako były dżokej konsoli wiedział, gdzie powinien się udać po najlepszy, jak to nazwał Finn, soft i hard. Finn dostarczył mu jedno i drugie, gdyż Wig wciąż był bogatym człowiekiem. Wig wyjaśnił Finnowi swoją metodę mistycznej eksploracji. Polegała na tym, że rzutował świadomość w puste, pozbawione struktury sektory matrycy, i czekał. Trzeba przyznać: nigdy nie twierdził, że spotkał Boga, choć utrzymywał, że przy kilku okazjach wyczuł Jego obecność, sunącego po powierzchni sieci. Po pewnym czasie Wigowi skończyły się pieniądze. A że duchowe poszukiwania doprowadziły do zerwania tych nielicznych kontaktów, jakie zachował z czasów przedafrykańskich, zniknął bez śladu.

– Ale pewnego dnia znów się zjawił – mówił Finn. – Obląkany jak szczur ze sracza. Zawsze był takim chudym, bladym facetem, ale teraz nosił całe to afrykańskie śmiecie: paciorki, kości i wszystko.

Bobby zastanowił się, jak ktoś taki jak Finn może opisywać człowieka jako chudego i bladego. Zerknął w bok: Lucas siedział pośpny. Bobby'emu przyszło do głowy, że Lucas może brać tę afrykańską historię do siebie. Ale Finn kontynuował opowieść.

– Miał dużo towaru na sprzedaż. Deki, peryferia, programy. Wszystko to sprzed paru lat, ale świetny sprzęt, więc dałem mu dobrą cenę. Zauważyłem, że ma wszczepione gniazdo i cały czas wpięty za uchem microsoft. „Jaki soft”, pytam. „Jest czysty”, on mi na to. Siedział w tym samym miejscu gdzie ty teraz, mały. I mówi: „Jest czysty, i to głos Boga, a ja żyję wiecznie w Jego białym szumie”. Czy coś w tym stylu. Więc myślę: diabli, Wig zbzikował do reszty. A on piąty raz przelicza forszę, którą mu dałem. „Wig”, mówię, „czas to pieniądz, ale powiedz, co masz zamiar teraz robić”. Bo byłem ciekawy. Znałem faceta od lat, z interesów. „Finn”, on na to, „muszę się wyrwać ze studni grawitacyjnej. Tam jest Bóg”, powiada. „To znaczy jest wszędzie, ale tu, na dole, mamy za dużo zakłóceń

i przesłaniają Jego twarz”. „Racja”, mówię, „trafiłeś”. Odprowadziłem go do drzwi i wszystko. Więcej go nie widziałem.

Bobby zamrugał, odczekał chwilę, poprawił się na twardym siedzeniu składanego krzesła.

– Tyle że jakiś rok później – ciągnął Finn – przyłazi do mnie facet, mechanik orbitalny na urlopie w studni. Ma trochę niezłego softu na sprzedaż. Nic wielkiego, ale interesujące. Mówi, że Wig go przysłał. Może i Wig jest cudakiem i dawno wypadł z gry, ale ciągle umie poznać dobry program. Więc kupuję. To było jakieś dziesięć lat temu. Od tego czasu mniej więcej raz w roku zjawia się jakiś gość z towarem. „Wig powiedział, że powinienem ci to pokazać”. Zwykle kupuję. Nic specjalnego, ale zawsze w porządku. I nigdy ten sam człowiek nie przyszedł drugi raz.

– I co to było, Finn? – spytał Lucas. – Tylko oprogramowanie?

– Tak, głównie. I jeszcze te dziwaczne niby-rzeźby. Byłbym o nich zapomniał. Myślę, że Wig sam je robi. Kiedy pierwszy raz któryś mi taką przyniósł, kupiłem cały jego soft i pytam: „A to niby co ma być?”. „Wig powiedział, że może cię zainteresować”, odpowiada mi facet. „Powiedz mu, że zwariował”, mówię. A on w śmiech. „Zatrzymaj to sobie”, powiada. „Nie mam zamiaru taszczyć tego draństwa z powrotem”. Było mniej więcej takie duże jak dek, to paskudztwo. Kupa śmiecia i odpadków upakowana razem w pudełku... Wepchnąłem je za tę skrzynkę coca-coli pełną złomu i zapomniałem o sprawie. A potem Smith... był wtedy moim kumplem, handlował sztuką i ciekawostkami... zobaczył to i chciał kupić. Dobiliśmy targu. „Trafisz jeszcze na coś takiego, Finn”, mówi mi, „to bierz. W mieście są czubki, które kolekcjonują ten chłam”. No i kiedy znów przyszedł ktoś od Wiga, kupiłem od niego tę rzeźbę i przehandlowałem Smithowi. Ale nigdy nie wyciągnąłem z tego dużej kasy... – Finn wzruszył ramionami. – Przynajmniej do zeszłego miesiąca. Przyszedł jakiś dzieciak z tym, co kupiliście. Od Wiga. „Słuchaj”, mówi, „to jest biosoft i łamacz. Wig twierdzi, że wart kupę szmalu”. Przeskanowałem towar i wyglądał jak trzeba. Pomyślałem, że wygląda interesująco. Twój partner, Beauvoir, uznał, że wygląda bardzo interesująco. Ja kupiłem i Beauvoir kupił ode mnie. Koniec historii.

Finn wyjął papierosa; trafił na zgięty i rozerwany.

– Niech to... – mruknął.

Sięgnął po wyblakłe opakowanie bibulek, wyciągnął cienki różowy płatek i mocno owinął wokół papierosa, jakby zakładał opatrunek. Kiedy lizał klej, Bobby dostrzegł czubek szpiczastego szaroróżowego języka.

– A gdzie rezyduje pan Wig? – zapytał Lucas. Oparł brodę na kciukach i złożył palce.

– Lucas, nie mam bladego pieprzonego pojęcia. Gdzieś na orbicie. Niezbyt luksusowo, jeśli ma dla niego znaczenie ta forsa, którą ze mnie wyciąga. Chociaż słyszałem, że są tam miejsca, gdzie człowiek nie potrzebuje pieniędzy, jeśli tylko wpasuje się w ekonomię. Więc niewielka suma może wystarczyć na długo. Ale mnie o to nie pytajcie. Mam lęk przestrzeni. – Uśmiechnął się złośliwie do Bobby'ego, który próbował usunąć z pamięci obraz tego języka. – A wiesz... – zwrócił się do Lucasa. – Mniej więcej wtedy zacząłem słyszeć o różnych dziwnych rzeczach w matrycy.

– Na przykład jakich? – spytał Bobby.

– Trzymaj gówniarza od tego z daleka – rzucił Finn, wciąż patrząc na Lucasa. – To było jeszcze zanim wy się pojawiliście, nowy zespół hoodoo. Wiedziałem, że ta uliczna samuraj dostała robotę u jakiegoś typa z Sił Specjalnych, przy którym Wig był całkiem normalny. Ona i ten kowboj, którego wygrzebali gdzieś w Chibie, szukali właśnie czegoś takiego. Może znaleźli. Ostatni raz widziałem ich w Istambule. Parę lat temu słyszałem, że mieszkała w Londynie. Kto to wie? Minęło siedem, może osiem lat.

Finn wydał się nagle zmęczony i stary, bardzo stary. Według Bobby'ego przypominał teraz zmumifikowanego szczura, poruszanego sprężynami na ukrytych sznurkach. Wyjął z kieszeni zegarek z pękniętym szkiełkiem, na jednym zatłuszczonym skórzanym pasku. Sprawdził czas.

– Jezu! Więcej ze mnie nie wyciągniesz, Lucas. Za dwadzieścia minut wpadnie tu paru moich kumpli z banku organów. Mamy pogadać o pewnym drobnym interesie.

Bobby pomyślał o ciałach na górze. Leżały tam cały dzień.

– Spokojnie – rzucił Finn, widząc wyraz jego twarzy. – Banki organów są świetne, kiedy trzeba się czegoś pozbyć. To ja im płacę. Tym sierotom na górze nie zostało już wiele organów...

Roześmiał się.

* * *

– Mówiłeś, że jest bliski... Legby? A według ciebie i Beauvoira, Legba to ten, który mi przyniósł szczęście, kiedy trafiłem na czarny lód?

Niebo rozjaśniało się za nierówną krawędzią kopuły geodezyjnej.

– Tak – potwierdził Lucas. Był wyraźnie zamyślony.

– Ale on chyba nie wierzy w takie rzeczy.

– To bez znaczenia – wyjaśnił Lucas, kiedy pojawił się rolls. – Zawsze był bliski serca tych spraw.

Samolot zszedł na ziemię w pobliżu dźwięku płynącej wody. Turner słyszał ją, wierząc się gorączkowo czy sennie w siatce anty-g: woda na kamieniach, najstarsza ze wszystkich pieśni. Samolot był mądry, mądry jak każdy pies, z wlotowanymi na twardo instynktami maskowania. Turner czuł w mdlącej ciemności, jak maszyna kołysze się na podwoziu w mroku nocy, jak pełźnie naprzód, a gałęzie ocierają się i drapią ciemną owiewkę kabiny. Samolot wczołgał się w ciemnozielony cień i opadł, stęknął i zatrzeszczał, rozplaszczając się brzuchem na glinie i granicie niczym manta na piasku. Mimetyczna polikarbonowa powłoka płatów i kadłuba pociemniała i okryła się plamami, przyjmując barwy nakrapianego księżycowym światłem kamienia i leśnego podłoża. Wreszcie ucichł i jedynym dźwiękiem był szum wody w korycie strumienia...

* * *

Obudził się jak maszyna: otwarte oczy, włączony wzrok, pamięć czerwonego błysku śmierci Lyncha za celownikiem smith & wessona. Łuk kabiny nad głową pokrywała siatka mimetycznych aproksymacji gałęzi i liści. Błady świt i dźwięk płynącej wody. Wciąż miał na sobie niebieską roboczą koszulę Oakeya. Pachniała teraz starym potem, a wczoraj oderwał z niej rękawy. Pistolet leżał między nogami, wymierzony w czarny dżojstik samolotu. Siatka anty-g zmieniła się w luźną płataninę na udach

i ramionach. Obejrzał się i zobaczył dziewczynę, owal twarzy i brunatną, zaschniętą strużkę krwi pod nosem. Wciąż była nieprzytomna, spocona, usta rozchylone jak u lalki.

– Gdzie jesteśmy?

– Znajdujemy się piętnaście metrów na południowo-południowy wschód od zadanych współrzędnych lądowania – odparł samolot. – Znów straciłeś przytomność. Zdecydowałem się na maskowanie.

Sięgnął do szyi i wyjął z gniazda wtyczkę złącza, zrywając kontakt z maszyną. Tępo rozglądał się po kabinie, wreszcie znalazł dźwignię ręcznego otwierania. Sapnęły serwomotory, przesunęła się siatka polikarbonowych liści. Przerzucił nogę przez burtę, spojrzął w dół na dłoń opartą o kadłub przy brzegu kabiny. Polikarbon odtworzył tony szarości pobliskiego głazu; Turner widział, jak zaczyna malować plamę wielkości dłoni i koloru jego skóry. Przerzucił drugą nogę, pozostawiając na fotelu zapomniany rewolwer, i zsunął się na wysoką, słodką trawę. Tu zasnął znowu z głową opartą o ziemię, śniąc o płynącej wodzie.

Kiedy się zbudził, pełził na rękach i kolanach, pod ciężkimi od rosy niskimi gałęziami. Wreszcie trafił na polanę i upadł, przetoczył się na plecy, rozkładając ręce w geście, który wydał mu się kapitulacją. Wysoko nad nim coś małego i szarego oderwało się od gałęzi, chwyciło drugą, zawisło na moment i odbiegło, znikając z oczu.

Leż spokojnie, usłyszał głos odległy o całe lata. Leż spokojnie, rozluźnij się, a szybko o tobie zapomną... zapomną, że tu jesteś w szarości, świcie, rosie. Chcą tylko jeść, jeść i się bawić, a ich mózgi nie przechowają dwóch informacji, nie na długo. Leżał na wznak obok swojego brata, z nylonową kolbą winchestera na piersi, wdychając aromat metalu i oliwy, i zapach ogniska we włosach. A brat zawsze miał rację co do wiewiórek. Przychodziły. Zapominały o wyraźnym glifie śmierci wykreślonym w dole na połatanych dzinsach i błękitnej stali; wracały, biegając po gałęziach, przystawały, by wachać świt, a potem trzaskała dwudziestka dwójka Turnera i na ziemię spadało szare, bezwładne ciało. Inne rozbiegały się i znikaly, a Turner oddawał karabin bratu. I znowu czekali, czekali, aż wiewiórki o nich zapomną.

– Jesteście jak ja – powiedział Turner wiewiórkom wyskakującym z jego snu. Jedna z nich usiadła nagle na grubym konarze i spojrzała prosto na niego. – Zawsze wracam. – Wiewiórka odbiegła w podskokach. – Wracałem, kiedy uciekałem od Holendra. Wracałem, kiedy leciałem do Meksyku. Wracałem, kiedy zabiłem Lyncha.

Leżał tam bardzo długo. Obserwował wiewiórki, a las budził się z wolna i rano był coraz cieplejszy. Nadleciał kruk, wylądował, hamując piórami rozczapierzonymi jak czarne mechaniczne palce. Sprawdzał, czy człowiek jest już martwy.

Turner wyszczerzył zęby i kruk odleciał.

Jeszcze nie.

* * *

Przeczołgał się z powrotem pod zwisającymi gałęziami i zobaczył, że siedzi w kabinie. Miała na sobie luźną białą koszulkę przeciętą po przekątnej logo MAAS-NEOTEK. Na piersiach dostrzegł świeże plamki krwi – znowu krwawiła z nosa. Jasne niebieskie oczy, nieprzytomne i zdezorientowane, tkwiły w oczodołach obramowanych żółto-czarnymi sińcami niczym egzotycznym makijażem.

Młoda, zauważył. Bardzo młoda.

– Jesteś córką Mitchella – stwierdził, wygrzebując imię z biosoftowego dossier. – Angela.

– Angie – poprawiła odruchowo. – A pan kim jest? Krew mi leci z nosa.

Pokazała mu krwawy goździk zmiętej chusteczki.

– Turner. Oczekiwałem twojego ojca. – Przypomniał sobie rewolwer; drugą dłoń trzymała schowaną za burtą kabiny. – Wiesz, gdzie jest teraz?

– Na płaskowyżu. Myślał, że potrafi ich przekonać, wyjaśnić... Bo oni go potrzebują.

Podszedł o krok bliżej.

– Kogo?

– Maasa. Radę. Nie mogą sobie pozwolić, żeby mu zrobić krzywdę. Prawda?

– A dlaczego mieliby mu zrobić krzywdę?

Jeszcze krok.

Pokrwawioną chusteczką dotknęła nosa.

– Bo mnie posłał na zewnątrz. Bo wiedział, że chcą mnie skrzywdzić, może nawet zabić. Przez te sny.

– Sny?

– Myśli pan, że coś mu zrobią?

– Nie, na pewno się nie odważą. Wejdę teraz do kabiny, dobrze?

Kiwnęła głową. Musiał przesunąć palcami po kadłubie, by znaleźć płytkie wgłębienia uchwytów. Mimetyczna powłoka ukazywała mu liście i mech, gałązki... A potem był już na górze, obok niej, i zobaczył rewolwer przy jej stopie.

– Ale czy to nie on miał lecieć? Czekałem na niego... na twojego ojca.

– Nie. Tego nie planowaliśmy. Mieliliśmy tylko jedną lotnię. Nie mówił panu? – Zaczęła drzeć. – Niczego panu nie powiedział?

– Dosyć... – Położył jej dłoń na ramieniu. – Powiedział nam dosyć. Wszystko będzie dobrze...

Przerzucił nogi do wnętrza, pochylił się, odsunął od jej stopy smith & wessona i znalazł kabel sprzęgu. Wciąż ją obejmując, podniósł wtyczkę i wcisnął do gniazda za uchem.

– Podaj procedury kasacji wszystkiego, co zapamiętałeś w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin – polecił. – Chcę wymazać ten kurs do Mexico City, twój lot z wybrzeża, wszystko...

– Nie wprowadzono żadnego planu lotu do Mexico City – oznajmił głos: bezpośrednie złącze neuralne na audio.

Turner spojrział na dziewczynę i rozmasował szczękę.

– Gdzie mieliśmy lecieć?

– Do Bogoty. – Myśliwiec wyrecytował współrzędne punktu lądowania, do którego nie dotarli.

Zamrugła. Powieki miała tak ciemne jak oczodoły.

– Z kim pan rozmawia?

– Z samolotem. Czy Mitchell mówił ci, dokąd powinnaś dotrzeć?

– Do Japonii.

- Znasz kogoś w Bogocie? Gdzie mieszka twoja matka?
- Nie. Chyba w Berlinie. Właściwie jej nie znam.

* * *

Skasował banki pamięci samolotu; usunął to, co zostało z programów Conroya: przelot z Kalifornii, dane identyfikacyjne ich pozycji, plan lotu, który dostarczyłby ich na pas w odległości trzystu kilometrów od miejskiego centrum Bogoty...

Ktoś w końcu znajdzie myśliwiec. Pomyślał o satelitarnym systemie szpiegowskim Maasa i zastanowił się, czy pomogą cokolwiek programy ukrycia i ucieczki, jakie kazał samolotowi zrealizować. Mógłby zaproponować maszynę Rudy'emu, na części, ale wątpił, czy Rudy zechce się w to pakować. Co prawda, już pokazując się na farmie z córką Mitchella, wciągnie Rudy'ego w bagno po samą szyję. Ale nie miał dokąd iść, nie miał gdzie szukać tego, co teraz było najpotrzebniejsze.

Mieli przed sobą cztery godziny marszu po zapomnianych ścieżkach i wzdłuż porośniętej zielskiem, krętej dwupasmowej drogi krytej spękany asfalcem. Drzewa wydawały się inne niż pamiętał, a potem uświadomił sobie, jak bardzo wyrosły przez lata jego nieobecności. W regularnych odstępach mijali kikuty drewnianych słupów, podtrzymujących kiedyś przewody telefoniczne, teraz osłonięte zaroślami głogu i wiciokrzewu. Już dawno ścięto te słupy na opał i zabrano kable. Pszczoły brzęczały wśród kwiatów na poboczu...

– Czy tam, dokąd idziemy, będzie coś do jedzenia? – spytała dziewczyna. Podeszwy jej białych tenisówek szurały na czarnym asfalcie.

- Pewno – pocieszył ją Turner. – Ile tylko zechcesz.
- Teraz chcę tylko wody.

Odsunęła z opalonego policzka kosmyk kasztanowych włosów. Zauważył, że kuleje; krzywiła się za każdym razem, kiedy stawiała na ziemi prawą stopę.

- Co ci się stało w nogę?
- Kostka. Chyba kiedy posadziłam lotnię.

Skrzywiła się znowu, ale szła dalej.

– Odpocznijmy.

– Nie. Chcę już tam dojść. Dojść dokądkolwiek.

– Odpocznij – powiedział.

Wziął ją za rękę i poprowadził na skraj szosy. Zrobiła ponurą minę, ale usiadła przy nim, ostrożnie wyciągając nogę.

– Wielki rewolwer – zauważyła. Było gorąco, o wiele za gorąco na parkę. Założył szelki na gołe plecy, przykrył roboczą koszulą bez rękawów. Poły zwisały luźno, szarpane przez wiatr. – Dlaczego lufa tak wygląda? Od dołu jak głowa kobry.

– To układ celowniczy, do nocnych walk. – Pochylił się, by zbadać jej nogę. Puchła szybko. – Nie wiem, jak daleko jeszcze z tym zajdziesz.

– Często pan walczy w nocy? Z bronią?

– Nie.

– Nie jestem pewna, czy zrozumiałam, czym się pan zajmuje.

Przyjrzał się jej.

– Sam czasem nie bardzo rozumiem. Zwłaszcza ostatnio. Czekałem na twojego ojca. Zamierzał zmienić firmę, zatrudnić się u kogoś innego. Ludzie, dla których chciał pracować, wynajęli mnie i kilka innych osób. Mieliśmy dopilnować, żeby wyplątał się ze starego kontraktu.

– Przecież nie można zerwać tego kontraktu – stwierdziła. – Nie legalnie.

– Zgadza się. – Rozsupłał węzeł, poluzował sznurówkę. – Nie legalnie.

– Aha... I tak pan zarabia na życie?

– Owszem. – Zdjął tenisówkę; nie nosiła skarpet. Kostka mocno spuchła. – To zwichnięcie.

– A co z innymi? Miał pan więcej ludzi w tych ruinach? Ktoś strzelał... I te flary...

– Trudno zgadnąć, kto strzelał. Ale flary nie były nasze. Może ochrona Maasa cię ściagała. Myślisz, że udało ci się ich zgubić?

– Zrobiłam, co Chris mi kazał – odparła. – Chris to mój ojciec.

– Wiem. Chyba będę cię musiał nieść przez resztę drogi.

– Ale co z pańskimi przyjaciółmi?

– Jakimi przyjaciółmi?

– No tam, w Arizonie.

– A... No tak. – Grzbietem dłoni otarł pot z czoła. – Trudno powiedzieć. Właściwie nie wiem.

Widział pobielełe niebo, błysk energii jaśniejszy niż słońce. Ale samolot twierdził, że nie było impulsu elektromagnetycznego...

Pierwszy z udoskonalonych psów Rudy'ego wywęszył ich po piętnastu minutach marszu. Angie siedziała Turnerowi na plecach, obejmując go za ramiona, z nogami pod jego pachami. Mocno splótł palce na mostku. Pachniała jak dzieciak z lepszej dzielnicy: delikatnie ziołowy aromat mydła czy szamponu. Myśląc o tym, zastanowił się, jak on sam pachnie... Rudy miał prysznic...

– Ojej! Co to jest?

Zesztywniała mu na grzbiecie, wyciągnęła rękę.

Smukły szary pies obserwował ich z wysokiego nasypu na zakręcie szosy. Wąską głowę okrywał mu czarny kaptur nabijany czujnikami. Dyszał z wywieszonym jęzorem i wolno odwracał głowę tam i z powrotem.

– Wszystko w porządku – uspokoił ją Turner. – Pies strażniczy. Należy do mojego przyjaciela.

* * *

Dom rozrósł się, wypuszczając dodatkowe skrzydła i przybudówki, ale Rudy jakoś nie pomalował łuszczących się desek oryginalnej budowli. Ogrodził za to płotem cały teren ze swoją kolekcją pojazdów, kiedy jednak przybyli, brama stała otworem, a zawiasy pokrywały rdza i zieleń. Turner wiedział, że prawdziwe zapory są gdzie indziej. Cztery wspomagane psy biegły za nim, gdy człapał po żwirowym podejździe, czując na ramieniu bezwładną głowę Angie i wciąż obejmujące go mocno ramiona.

Rudy czekał na werandzie, w starych białych szortach i granatowej koszulce, z której kieszonki wystawało co najmniej dziewięć różnego typu pisaków. Spojrzał na nich i w geście powitania uniósł puszkę holenderskiego piwa. Za jego plecami wyszła z kuchni blondynka

w wytartej koszuli khaki; trzymała w ręku niklowaną łopatkę. Włosy miała krótko ścięte, zaczesane do góry i do tyłu w sposób, który na nowo zbudził myśli o Koreance w kapsule Hosaki, o płonącej kapsule, o Webber, o białym niebie... Zachwiał się na żwirze podjazdu; szeroko rozstawił nogi, by utrzymać dziewczynę; naga pierś znaczyły strużki potu zmywające kurz martwego centrum handlowego z Arizony. Spojrzał na Rudy'ego i blondynkę.

– Przygotowaliśmy dla was śniadanie – oświadczył Rudy. – Kiedy pojawiliście się na psim ekranie, pomyśleliśmy, że będziecie głodni.

Dziewczyna jęknęła.

– To dobrze – powiedział Turner. – Zwichnęła nogę w kostce, Rudy. Trzeba się tym zająć. I jeszcze paroma sprawami, o których muszę z tobą pogadać.

– Trochę za młoda dla ciebie, moim zdaniem – stwierdził Rudy i pociągnął z puszką.

– Nie pieprz, Rudy – wtrąciła kobieta. – Nie widzisz, że ją boli? Daj ją tutaj – poleciała Turnerowi i zniknęła za kuchennymi drzwiami.

– Wyglądasz inaczej. – Rudy przyjrzał mu się z uwagą i Turner zrozumiał, że jest pijany. – Tak samo, ale inaczej.

– Minęło sporo czasu – odpowiedział, ruszając do drewnianych schodków.

– Robiłeś sobie operację czy co?

– Rekonstrukcję. Musieli mi odbudowywać twarz ze zdjęć.

Zaczął się wspinać. Przy każdym ruchu grzbiet pulsował bólem.

– Całkiem nieźle – pochwalił Rudy. – Prawie nie zauważyłem.

Czknął. Był niższy od Turnera i zaczynał tyć, ale mieli takie same kasztanowe włosy i bardzo podobne rysy.

Turner przystanął na schodach, kiedy ich oczy znalazły się na tym samym poziomie.

– Wciąż znasz się po trochu na wszystkim, Rudy? Trzeba przeskanować tę małą. I trzeba załatwić jeszcze parę spraw.

– Dobra – odpowiedział jego brat. – Zobaczę, co da się zrobić. Zeszłej nocy coś słyszeliśmy. Może grom dźwiękowy. Miałeś z tym coś wspólnego?

- Tak. W wiewiórczym gaju stoi myśliwiec. Dość dobrze schowany.
Rudy westchnął.
– Jezu... No dobrze, wnieś ją...

* * *

Przez lata Rudy ogołocił dom z większości przedmiotów, jakie Turner mógłby pamiętać. I z tego powodu Turner odczuwał dla niego niejasną wdzięczność. Obserwował, jak blondynka wbija jajka do blaszanej miski. Pomarańczowe żółtka jajek naturalnie karmionych kur...

– Jestem Sally – powiedziała, mieszając jajka widelcem.

– Turner.

– On też inaczej cię nie nazywa – odparła. – Zresztą nigdy wiele o tobie nie mówił.

– Nie byliśmy w kontakcie. Może powinienem iść na górę i mu pomóc?

– Siedz. Twojej malej nic z Rudym nie grozi. Ma dobrą rękę.

– Nawet pijany?

– Na wpół pijany. Przecież nie będzie jej operował, przyklei tylko dermy i obandażuje kostkę. – Na czarnej patelni rozkruszyła nad skwierczącym masłem suche skrawki tortilli i wylała na nie jajka. – Co jest z twoimi oczami, Turner? Twoimi i jej...

Zamieszała miksturę niklowaną łypatką, z plastikowego pojemnika dodała sosu salsa.

– Przeciążenia. Musieliśmy szybko startować.

– Wtedy zwichnęła nogę?

– Możliwe. Nie wiem.

– Gonią ciebie? Czy ją?

Zajęła się wyjmowaniem talerzy z szafki nad zlewem. Tani brązowy laminat drzwiczek wzbudził u Turnera nagłą falę nostalgii: jej opalone dłonie, tak podobne do rąk matki...

– Prawdopodobnie – odparł. – Nie wiem, o co tu chodzi. Jeszcze nie.

– Jedz. – Przerzuciła miksturę na biały talerz, sięgnęła po widelec. – Rudy boi się ludzi, jacy mogą przyjść za tobą.

Wziął talerz, widelec. Para unosiła się z jajecznicy.

– Ja też.

* * *

– Przyniosłam ubranie! – zawołała Sally, przekrzykując szum wody. – Zostawił je tu przyjaciel Rudy’ego. Powinno pasować.

Prysznic działał grawitacyjnie: deszczówka spływała ze zbiornika na dachu; na rurze ponad głowicą tkwił solidny, biały zestaw filtracyjny. Turner wysunął głowę między matowymi plastikowymi zasłonami i zamrugał.

– Dzięki.

– Dziewczyna jest nieprzytomna. Rudy sądzi, że to szok, zmęczenie. Mówi, że wyniki ma niezłe, więc może jej od razu zrobić skan.

Wyszła, zabierając spodnie Turnera i koszulę Oakeya.

* * *

– Czym ona jest? – zapytał Rudy, podając mu zmiętą srebrzystą taśmę wydruku.

– Nie umiem tego odczytać. – Turner rozejrzał się po białym pokoju, szukając Angie. – Gdzie ona jest?

– Śpi. Sally jej pilnuje. – Rudy odwrócił się i przeszedł przez pokój. Turner przypomniał sobie, że kiedyś był tu salon. Rudy wyłączał kolejne konsole, światełka wskaźników gasły jedno po drugim. – Nie wiem, chłopie. Po prostu nie wiem. Co to jest, jakiś rak?

Turner szedł za nim, obok pulpitu z czekającym pod osłoną mikromanipulatorem, obok zakurzonych, prostokątnych ślepi rzędu przestarzałych monitorów. Jeden miał pęknięty ekran.

– To oplata całą jej głowę – oznajmił Rudy. – Jakby takie długie łańcuchy. Niepodobne do niczego, co w życiu widziałem. Niczego.

– Co wiesz o biochipach, Rudy?

Rudy burknął coś. Wydawał się całkiem trzeźwy, ale spięty, podniecony. Co chwila przeczesywał palcami włosy.

– Tak właśnie myślałem. Coś w rodzaju... nie implant. Przeszczep.

– Do czego to służy?

– Do czego? Skąd mam wiedzieć, do diabła? Kto jej to zrobił? Ktoś, dla kogo pracujesz?

– Chyba jej ojciec.

– O Jezu... – Rudy otarł dłonią wargi. – Na skanie daje cień jak guz, ale wyniki ma dobre, typowe. A normalnie jaka ona jest?

– Nie wiem. Zwykły dzieciak. – Wzruszył ramionami.

– Szlag by to... Dziwię się, że może chodzić. – Otworzył małą laboratoryjną lodówkę i wyjął oszronioną butelkę moskovskoj. – Łykniesz z gwinta?

– Może później.

Rudy westchnął, przyjrzał się butelce i schował ją z powrotem.

– No więc, czego chcesz? Czegoś tak dziwnego, jak ta mała ma w głowie, z pewnością ktoś wkrótce zacznie szukać. Może już szuka.

– Szuka – potwierdził Turner. – Nie jestem tylko pewien, czy wiedzą, że ona tu jest.

– Na razie. – Rudy wytarł dłonie o przybrudzone szorty. – Ale prawdopodobnie się dowiedzą, co?

Turner kiwnął głową.

– Więc dokąd stąd pójdziesz?

– Do Ciągu.

– Dlaczego?

– Bo mam tam pieniądze. Mam otwarte linie kredytowe na cztery różne nazwiska. Nie da się powiązać ich ze mną. Bo mam tam rozmaite kontakty, które będę mógł wykorzystać. I jeszcze dlatego, że Ciąg to dobra kryjówka. Jest go diabelnie dużo, wiesz?

– W porządku. Kiedy?

– Tak się przejąłeś, że chciałbyś od razu się nas pozbyć?

– Nie. To znaczy, nie wiem. To dość ciekawe, co twoja dziewczyna ma w głowie. Mam kumpla w Atlancie. Mógłby mi pożyczyć analizator funkcji,

mapujący mózg jeden do jednego. Podłączyłbym ją i może bym wymyślił, do czego to służy... Może być sporo warte.

– Pewnie. Gdybyś wiedział, gdzie to sprzedać.

– Nie jesteś ciekawy? Czym ona właściwie jest? Wyciągnąłeś ją z jakiegoś laboratorium wojskowego?

Rudy znów sięgnął do lodówki, wyjął butelkę, otworzył, pociągnął łyk.

Turner wziął ją od niego, przechylił. Lodowaty płyn chlusnął mu na zęby. Przełknął, otrząsnął się.

– To korporacja. Wielka. Miałem stamtąd wyciągnąć jej ojca, ale przysłał ją zamiast siebie. A potem ktoś skasował naszą pozycję czymś, co wyglądało jak mała bomba jądrowa. Ledwie nam się udało. Jak dotąd. – Oddał bratu butelkę. – Rudy, nie przeholuj. Proszę. Kiedy się boisz, za dużo pijesz.

Rudy patrzył na niego, nie zwracając uwagi na alkohol.

– Arizona – powiedział. – Było w wiadomościach. Meksyk wciąż się o to wścieka. Ale to nie była bomba jądrowa. Wysłali tam ekipy, sprawdzili wszystko. Nic jądrowego.

– Więc co?

– Uważają, że railgun. Sądzą, że ktoś podwiesił hiperszybkościowe działo na towarowym sterowcu i rozwalil w diabły jakieś zrujnowane centrum handlowe na pustyni. Wiedzą, że był tam sterowiec, ale jak dotąd go nie znaleźli. Railguna można ustawić tak, że po wystrzale roztopi się w plazmę. A pocisk mógł być całkiem dowolny. Przy tych prędkościach sprawę załatwiłoby sto pięćdziesiąt kilo lodu. – Wziął butelkę, zakręcił, odstawił na pulpit. – Cała okolica należy tam do Maasa, Maas Biolabs. Zgadza się? Oni też byli w wiadomościach. W pełni współpracują z odpowiednimi władzami. Nic dziwnego. To by wyjaśniało, skąd wytrzasnąłeś tę swoją lalunię.

– Owszem. Ale nie wyjaśnia, kto strzelał z railguna. I dlaczego.

Rudy wzruszył ramionami.

– Lepiej chodźcie to zobaczyć – odezwała się z progu Sally.

* * *

O wiele później Turner siedział z Sally na werandzie. Dziewczyna zapadła w końcu w coś, co EEG Rudy'ego określił jako sen. Rudy zniknął w którymś ze swoich warsztatów, prawdopodobnie z butelką wódki. Świetliki fruwały nad krzewami przy bramie. Turner odkrył, że jeśli przymknie oczy, ze swojego miejsca na drewnianej huśtawce niemal widzi jabłoń, której już nie ma – na jej gałęzi wisiała kiedyś stara opona na srebrzystoszarym konopnym sznurze. Świetliki też wtedy fruwały, Rudy walił piętami o nagą, twardą ziemię i huśtał się coraz wyżej, a Turner leżał w gęstej trawie i patrzył w gwiazdy...

– Języki – odezwała się Sally, kobieta Rudy'ego, z trzeszczącego wyplatanego fotela. Papieros w jej dłoni był czerwonym oczkiem w ciemności. – Mówi językami.

– Nie rozumiem.

– To właśnie robi twoja mała na górze. Znasz francuski?

– Nie. Nie bardzo. Nie bez słownika.

– Niektóre zdania brzmiały jak francuski. – Czerwony ognek zmienił się na moment w krótką smugę, kiedy strzepywała popiół. – Kiedy byłam mała, mój staruszek zabrał mnie na taki stadion; widziałam, jak tam dają świadectwo i mówią językami. Przestraszyłam się. I chyba dzisiaj też się przestraszyłam, kiedy zaczęła.

– Rudy nagrał końcówkę...

– Tak. Wiesz, z Rudym nie było dobrze. Głównie dlatego znów się tu sprowadziłam. Powiedziałam, że nie zostanę, jeśli nie wyjdzie na prostą, ale potem było z nim fatalnie. Jakies dwa tygodnie temu. Wtedy wróciłam. I właściwie miałam już wyjechać, kiedy się zjawiłeś.

Rozżarzony papieros zatoczył łuk nad poręczą i upadł na żwir.

– Pije?

– Tak. I jeszcze te świństwa, które sobie przyrządza w laboratorium. Sam wiesz, on zna się po trochu prawie na wszystkim. Wciąż ma tu przyjaciół w okolicy. Słyszałam, jak opowiadają historie o tobie i o nim, kiedy jeszcze byliście dziećmi. Zanim wyjechałeś.

– On też powinien wyjechać – stwierdził.

– Nienawidzi miasta. Twierdzi, że i tak wszystko przychodzi po kablu, więc po co tam jeździć?

– Ja wyjechałem, bo tutaj nic się nie działo. Rudy zawsze umiał sobie znaleźć coś do roboty. Z tego co widzę, dalej to potrafi.

– Powinieneś utrzymać kontakt. Chciał, żebyś tu był, kiedy umierała wasza matka.

– Byłem w Berlinie. Nie mogłem się wyrwać.

– Pewnie nie. Mnie też tu wtedy nie było. Przyszłam później. To było dobre lato. Rudy zwyczajnie wyciągnął mnie z tej szmatławej knajpy w Memphis. Wpadł tam pewnego wieczoru z gromadą wiejskich chłopaków, a następnego dnia byłam już tutaj. Właściwie nie wiedziałam dlaczego. Tyle że był dla mnie miły... wtedy... i dał mi szansę, żeby chwilę się zastanowić. Nauczył mnie gotować. – Zaśmiała się. – Lubiłam to, chociaż strasznie się bałam tych przeklętych kur na podwórzu.

Wstała i przeciągnęła się; zaskrzypiał fotel, a Turner nagle uświadomił sobie długość jej opalonych nóg, zapach rozgrzanej słońcem skóry tuż obok jego twarzy.

Położyła mu dłonie na ramionach. Oczy miał na poziomie pasa jej nagiej skóry na brzuchu, z delikatnym cieniem pępka nad szortami. Pamiętając o Allison w białym pustym pokoju, miał ochotę wtulić tam twarz, smakować to wszystko... Miał wrażenie, że zakołysała się lekko, ale nie był pewien.

– Turner – szepnęła. – Czasami być tu z nim, to jak być samej...

Wstał wtedy; brzęk starego łańcucha huśtawki, gdzie śruby wkręcały się głęboko w belki i krokwie dachu – śruby, które mógł wkręcać jego ojciec czterdzieści lat temu. Pocałował jej usta, rozchylone wargi... Postawiony poza czasem przez rozmowę, światliki, podprogowe sygnały wspomnień... A kiedy gładził dłońmi jej nagie plecy pod białą koszulką, wydało mu się, że ludzie w jego życiu nie byli paciorkami nanizanymi na drut przyczynowości, ale istnieli równocześnie, jak kwanty, tak że znał ją tak samo, jak znał Rudy'ego albo Allison, albo Conroya, tak samo, jak znał córkę Mitchella.

– Zaczekaj – szepnęła, odsuwając głowę. – Chodźmy na górę.

Alain zadzwonił o piątej. Jego zachłanność budziła mdlące uczucie obrzydzenia, ale Marly potwierdziła, że dysponuje wymaganą sumą. Starannie zapisała adres na odwrocie wizytówki zabranej z biurka Picarda w galerii Robertsa. Andrea wróciła z pracy dziesięć minut później i Marly była zadowolona, że przyjaciółka nie słuchała rozmowy z Alainem.

Obserwowała, jak Andrea podpiera kuchenne okno książką w wyblakłych niebieskich okładkach: drugi tom „Skróconego Oksfordzkiego Słownika Języka Angielskiego”, wydanie szóste. Andrea wcisnęła na kamienny parapet rodzaj drewnianej półki, dostatecznie szerokiej, by postawić na niej małe hibachi, które normalnie trzymała pod zlewem. Teraz równo układała na kracie czarne kostki węgla drzewnego.

– Rozmawiałam dzisiaj o twoim pracodawcy – oznajmiła. Ustawiła hibachi na półce i przytknęła kuchenną zapalniczkę do zielonkawej pasty rozpałkowej. – Nasz uczonek przyjechał z Nicei. Zdumiał się, że na obiekt swoich zainteresowań wybrałam właśnie Josefa Vireka. Ale to rogaty kozioł, więc chętnie zgodził się na pogawędkę.

Marly stanęła obok niej, patrząc, jak prawie niewidoczne płomienie liżą kostki węgla.

– Cały czas wciągał w to Tessier-Ashpoolów – mówiła dalej Andrea. – I Hughesa. Hughes to Amerykanin z połowy dwudziestego wieku. Też wymienia go w książce, jako kogoś w rodzaju proto-Vireka. Nie wiedziałam, że klan Tessier-Ashpool zaczął się rozpadać.

Wróciła do stołu i odpakowała sześć wielkich tygrysy krewetek.

– To Franko-Australijczycy, jeśli dobrze pamiętam? Są właścicielami jednego z tych orbitalnych kurortów.

– Freeside. Został sprzedany, o czym poinformował mnie mój profesor. Jak się wydaje, jedna z córek zdołała jakoś przejąć kontrolę nad całym kompleksem, stawała się coraz bardziej ekscentryczna i interesy klanu diabli wzięli. To w ciągu ostatnich siedmiu lat.

– Nie rozumiem, jaki to ma związek z Virekiem – przyznała Marly.

Andrea kolejno nabijała krewetki na długie bambusowe igły.

– Wiem tyle co ty. Mój profesor utrzymuje, że i Virek, i Tessier-Ashpool to fascynujące anachronizmy, a obserwując ich, można się wiele dowiedzieć o ewolucji korporacji. W każdym razie potrafił przekonać naszych redaktorów...

– Ale co mówił o Vireku?

– Że obłąd Vireka przyjmie inną formę.

– Obłąd?

– Właściwie unikał tego słowa. Ale Hughes miał bzika, stary Ashpool też, a jego córeczka zupełnie zwariowała. Twierdził, że pod naporem ciśnienia ewolucyjnego Virek zostanie zmuszony do dokonania „skoku”. „Skok” to jego określenie.

– Ciśnienie ewolucyjne?

– Tak. – Andrea zaniósła nabite krewetki na hibachi. – Mówi o korporacjach, jakby to był jakiś gatunek zwierząt.

* * *

Po kolacji wyszły na spacer. Marly zauważyła, że chwilami wyteża uwagę, próbując dostrzec wyimaginowany mechanizm nadzoru Vireka. Andrea jednak przez cały wieczór promieniowała swym zwykłym ciepłem i zdrowym rozsądkiem. Marly była wdzięczna, że dzięki niej może iść przez miasto, gdzie rzeczy są po prostu tym, czym się wydają. Czy w świecie Vireka mogło istnieć coś prostego? Pamiętała mosiężną klamkę w Galerie Duperey, jak wiała się jej w palcach w niemożliwy do opisanie sposób, a potem przeciągnęła ją do Virekowego modelu Parque Güell. Czy

zawsze tam przebywał? W parku Gaudiego, w ciepłe popołudnie, które nigdy się nie kończy? „Señor jest bogaty. Señor dysponuje wieloma środkami manifestacji”. Zadrżała w ciepłym wieczornym powietrzu, przysunęła się bliżej do Andrei.

Złowrogą cechą symstymu była sugestia, że każde otoczenie może być nierzeczywiste, że okna wystawowe, jakie z Andrea mijają, mogą być produktem jej umysłu. Ktoś kiedyś powiedział, że lustra w swej istocie są w pewien sposób nieprzyzwoite. Uznała, że konstrukty tym bardziej.

Andrea przystanęła przy kiosku, by kupić swoje angielskie papierosy i nowy numer „Elle”. Marly czekała na chodniku, a strumień pieszych rozstępował się przed nią automatycznie, przepływały twarze studentów, biznesmenów i turystów. Niektórzy z nich, zgadywała, byli elementami maszyny Vireka, połączonymi z Paco. Paco z brązowymi oczami, swobodnym stylem bycia, powagą, mięśniami przesuwającymi się pod koszulą. Paco, który przez całe życie pracował dla señora...

– Co się stało? Wyglądasz, jakbyś połknęła coś paskudnego.

To Andrea, zrywająca celofan ze swoich silk cutów.

– Nie. – Marly zadrżała. Ale pomyślała, że niewiele brakowało.

W drodze do domu, mimo starań Andrei i jej ciepła, wystawy sklepów stały się pudełkami, każda z nich, konstrukcjami, jak prace Josepha Cornella czy tajemniczego twórcy, którego poszukiwał Virek. Książki, futra czy włoskie bawełny zaaranżowane, by sugerować geometrie nienazwanych pragnień.

* * *

I znowu przebudzenie z twarzą wtuloną w sofę Andrei, ze zwiniętą na ramionach czerwoną kołdrą. Zapach kawy. W sąsiednim pokoju Andrea nuci jakąś tokijską piosenkę pop i ubiera się w poranku szarym od paryskiego deszczu.

* * *

- Nie – oświadczyła Paco. – Wolę pójść sama.
- To dużo pieniędzy. – Spojrzał na włoską torbę leżącą na stoliku między nimi. – To niebezpieczne, rozumie pani?
- Nikt nie będzie wiedział, że je niosę, prawda? Tylko Alain. Alain i twoi przyjaciele. I nie powiedziałam, że chcę iść całkiem sama, tylko że nie mam ochoty na towarzystwo.
- Coś się stało? – Zatroskana mina, zmarszczki wokół kącików ust. – Jest pani zdenerwowana?
- Chcę tylko powiedzieć, że nie życzę sobie, żeby ktoś wszedł tam ze mną. Ty i inni, kimkolwiek są, mogą mnie śledzić, śledzić i obserwować. Gdybyście mnie zgubili, co uważam za mało prawdopodobne, z pewnością masz adres.
- To prawda – przyznał. – Ale żeby pani niosła cztery miliony nowych jenów, sama, w Paryżu... – Wzruszył ramionami.
- A gdybym je straciła? Czy señor zauważyłby stratę? Czy też czekałaby już następna walizka z następnymi czterema milionami?
- Chwyciła pasek torby i wstała.
- Czekalaby następna, oczywiście, choć zebranie takiej kwoty w gotówce wymaga z naszej strony pewnego wysiłku. I nie, señor nie „zauważyłby” straty w takim sensie, o jaki pani chodziło. Za to ja zostałbym ukarany za niepotrzebną stratę nawet mniejszej sumy. Ludzie bardzo bogaci mają pewną wspólną cechę: dbają o swoje pieniądze. Sama się pani przekona.
- Mimo to pójdę sama. Nie samotnie, ale zostawcie mnie z moimi myślami.
- Pani intuicją.
- Właśnie.

* * *

Jeśli szli za nią – a była pewna, że tak – byli niewidoczni jak zawsze. Zresztą wydawało się niemożliwe, by nie obserwowali Alaina. Niewątpliwie sprawdzili już adres, który podał jej dziś rano. Nieważne, czy on sam tam przebywał, czy też nie.

Dzisiaj poczuła w sobie nową siłę. Stawiła czoła Paco. Miało to pewien związek z nagłym podejrzeniem, jakie opanowało ją poprzedniej nocy: że Paco jest tam po części dla niej, razem ze swoim poczuciem humoru, swoją męskością i rozczulającą nieznajomością sztuki. Pamiętała, jak Virek mówił, że wiedzą o jej życiu więcej niż ona sama. Cóż prostszego zatem, niż wypełnić ostatnie puste pola w tabeli będącej Marly Krushkovą. Paco Estevez. Idealny nieznajomy. Zbyt idealny. Uśmiechnęła się do siebie w ścianie niebieskich luster, gdy ruchome schody niosły ją do stacji metra. Była zadowolona z fryzury ciemnych włosów i stylowo ascetycznych tytanowych oprawek ciemnych okularów Porsche, które kupiła dziś rano. Niezłe wargi, pomyślała, naprawdę niezłe. A szczupły chłopak w białej koszuli i ciemnej skórzanej kurtce uśmiechnął się do niej ze szczytu schodów; pod pachą niósł wielkie czarne portfolio.

Jestem w Paryżu, pomyślała. Po raz pierwszy od bardzo dawna ten fakt był wystarczającym powodem do radości. Dzisiaj wręczę swojemu obrzydliwemu byłemu kochankowi cztery miliony nowych jenów, a on da mi coś w zamian. Nazwisko lub adres, może numer telefonu.

Kupiła bilet pierwszej klasy; wagon nie będzie taki zatłoczony, a ona dla zabicia czasu będzie zgadywać, kto ze współpasażerów należy do Vireka.

* * *

Podany przez Alaina adres w ponurej północnej dzielnicy wskazywał jedną z dwudziestu betonowych wież wyrastających na równinie z tego samego materiału: spekulacyjna nieruchomość z połowy zeszłego wieku. Deszcz padał już bez przerwy, ale czuła się z nim zharmonizowana: dodawał atmosferze nastroju tajemniczości i perlił się na torbie wypchanej fortuną Alaina. To niesamowite: iść tak przez ten ohydny pejzaż z milionami pod pachą, by plikami nowych jenów wynagrodzić absolutnie niewiernego byłego kochanka.

Nikt nie odpowiedział, kiedy przycisnęła jeden z numerowanych klawiszy domofonu. Za pochłapaną szybą widziała zupełnie pusty ciemny hol. W takich miejscach trzeba zapalać światło przy wejściu; zawsze gaśło

automatycznie, zanim podjechała winda, i człowiek musiał czekać wśród zapachu środków dezynfekcyjnych i znużonego powietrza.

Zadzwoniła jeszcze raz.

– Alain?

Nic.

Pchnęła drzwi. Nie były zamknięte. W holu nie spotkała nikogo. Przez powłokę kurzu spoglądało na nią martwe oko popsutej kamery wideo. Z betonowej równiny sączyło się do wnętrza rozmyte światło popołudnia. Obcasy stuknęły o brązowe kafelki, gdy przechodziła do wind. Nacisnęła guzik z numerem 22. Coś stęknęło głucho i jedna z wind ruszyła w dół. Osłonięte plastikiem lampki wskaźników nad drzwiami pozostały ciemne. Kabina zatrzymała się z westchnieniem, z cichnym, wysokim jękiem.

– *Cher Alain, jakże nisko upadłeś. To miejsce to prawdziwe szambo.*

Drzwi otworzyły się, odsłaniając ciemność w kabinie. Sięgnęła pod włoską torbę i podniosła klapę swojej torebki z Brukseli. Znalazła małą płaską latarkę z zielonej blachy, którą nosiła od pierwszego spaceru po Paryżu, z wytłoczoną na obudowie lwią głową logo Pile Wonder. W paryskich windach można wejść na wiele rzeczy: szeroko otwarte ramiona rabusia, świeże psie odchody...

Słaby promyk oświetlił srebrzyste kable, lśniące i naoliwione, kołyszące się lekko w pustym szybie, a także czubek jej prawego buta wystający na kilka centymetrów poza stalowy próg kafelkowanej podłogi. Dłoń w odruchu przerażenia skierowała promień w dół, na zakurzony, zasypany śmieciami dach kabiny dwa piętra niżej. W ciągu tych sekund, kiedy krąg światła znieruchomiał na windzie, Marly zapamiętała zdumiewająco wiele szczegółów. Przyszła jej na myśl mała łódź podwodna spływająca z urwisk jakiegoś podmorskiego szczytu, delikatny promień reflektora padający na nietknięty od wieków piasek: miękkie łoże pradawnego, kosmatego kurzu, wyschnięty szary przedmiot, który był zużytym kondomem, jaskrawe w świetle oczy zmiętych strzępków aluminiowej folii, cienki szary korpus i biały tłoczek insulinowej strzykawki... Trzymała się framugi tak mocno, że bolały ją stawy palców. Bardzo powoli przesunęła się do tyłu, dalej od przepaści. Jeszcze krok i zgasła latarkę.

– Niech cię diabli – powiedziała. – O Jezu...

Znalazła drzwi na klatkę schodową. Znów zapaliła latarkę i rozpoczęła wspinaczkę. Osiem pięter w górę... Oszołomienie mijało powoli, a łzy rujnowały jej makijaż.

* * *

Raz jeszcze zastukała w drzwi. Były z płyty pilśniowej laminowanej upiorną imitacją mahoni: litografia słojów ledwie widoczna w świetle pojedynczego pasa bioluminescencyjnego.

– A niech cię... Alain? Alain!

Ślepe i puste, spoglądało na nią krótkowzroczne oko wizjera. W korytarzu unosił się straszliwy odór, zabalsamowane kuchenne zapachy pochwycone w syntetycznej wykładzinie.

Sprawdziła drzwi, przekręciła gałkę: tani mosiądz, brudny i zimny; torba z pieniędzmi zaciężała nagle, pasek wbił się w ramię. Drzwi otworzyły się wolno. Krótki pomarańczowy chodnik w nieregularne różowe kwadraty, dziesięciolecia brudu wgniecione przez tysiące lokatorów i ich gości w wyraźnie widoczną ścieżkę...

– Alain?

Zapach francuskich papierosów, niemal uspokajający...

Tam go znalazła, w tym samym wodnistym, srebrzystym blasku; pozostałe wieżowce stały bezkształtne za prostokątem okna, na tle bladego deszczowego nieba. Leżał zwinięty jak dziecko na tym okropnym pomarańczowym chodniku, grzbiet niby znak zapytania pod ciemnozieloną welurową kurtką, palce lewej dłoni rozsunięte za uchem, delikatny niebieski odcień u podstawy paznokci.

Klęknęła; dotknęła jego szyi. Wiedziała. Za oknem deszcz spływał w dół... wieczny. Oparła jego głowę na kolanach, przytuliła, kołysała; tępy, smętny zwierzęcy jęk wypełniał nagi prostokąt pokoju... Po dłuższej chwili ukłucie czegoś ostrego na dłoni: gładki, błyszczący koniec bardzo cienkiego, bardzo twardego drutu sterczącego z ucha, spomiędzy tych rozsuniętych zimnych palców.

Brzydko, brzydko, to brzydka śmierć... To ją przebudziło; gniew, palce jak szpony. Musi zbadać ten milczący pokój, gdzie zginął Alain. Nie odczuwała tu jego obecności; nie było nic, tylko podniszczony neseser. Otworzyła go, znalazła dwa nowe i czyste kołnотatniki, nieczytaną, ale bardzo modną powieść, pudełko drewnianych zapalek i pół paczki niebieskich gauloisesów. Zniknął oprawny w skórę terminarz od Browna. Obmacała kurtkę, wsunęła palce do kieszeni... Bez skutku.

Nie, pomyślała, tam byś tego nie zapisał. Ale przecież nigdy nie umiałeś zapamiętać numeru ani adresu, prawda? Rozejrzała się znowu, czując, że ogarnia ją dziwny spokój. Musiałeś wszystko notować, ale byłeś tajemniczy, nie ufałeś mojemu notesowi. Nie: spotykałeś dziewczynę w kawiarni i notowałeś jej numer na zapalkach albo jakimś świstku... I zapominałeś, więc znajdowałam go po paru dniach, kiedy porządkowałam twoje rzeczy...

Przeszła do maleńkiej sypialni. Stało tam jasnoczerwone składane krzesło, a blok taniej żółtej pianki służył za łóżko. Piankę znaczył brunatny motyl krwi menstrualnej. Zajrzała pod spód, ale niczego nie znalazła.

– Bałeś się – powiedziała. Głos drżał jej z furii, której nawet nie próbowała zrozumieć. Dłonie miała zimne, zimniejsze niż Alain, gdy przesuwała nimi po czerwonej tapecie ze złotymi paskami, szukając jakiejś wypukłości, kryjówki. – Ty biedny, głupi dupku. Biedny, głupi, martwy dupku...

Nic. Z powrotem do pokoju. Zdziwiła się jakby, że wciąż się nie poruszył; czyżby oczekiwała, że podskoczy, zawoła coś, zamacha przed nosem paroma centymetrami drutu? Zdjęła mu buty. Przydałby się im szewc, potrzebowały nowych obcasów. Sprawdziła wkładki: nic.

– Nie rób mi tego.

Znowu sypialnia. Wąska szafa. Odsunęła kilka tanich białych plastikowych wieszaków, pusty foliowy całun z pralni chemicznej. Podciągnęła zabrudzoną piankę, stanęła na niej, czując, jak obcasy zagłębiają się w miękkiej gąbce, zbadała dłońmi półkę z płyty pilśniowej i znalazła w rogu twardy zwitek papieru. Rozwinęła go; zauważyła, że zniszczyła sobie tak starannie pomalowane paznokcie; odczytała numer,

który zapisał tam zielonym mazakiem. Papier był pustą paczką po gauloisesach.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Marly? – zabrzmiał głos Paco. – Jest pani tam? Co się stało?

Wsunęła papier za pasek dżinsów i, odwracając się, spojrzała w jego spokojne, poważne oczy.

– To Alain – powiedziała. – Nie żyje.

Po raz ostatni widział Lucasa przed wejściem do wielkiego sklepu przy Madison Avenue. Takim go zapamiętał: potężny czarny mężczyzna w eleganckim czarnym garniturze, wsiadający do długiego czarnego samochodu; jeden czarny lśniący but już na miękkim dywanie we wnętrzu Ahmeda, drugi wciąż na popękany betonie krawężnika.

Jackie stała obok Bobby'ego. Szerokie rondo kapelusza ze złotymi ozdobami ocieniało jej twarz, końce pomarańczowego jedwabnego szala zwisały z węzła na karku.

– Zaopiekuj się teraz naszym młodym przyjacielem – powiedział Lucas, celując w nią gałką laski. – Ma swoich wrogów ten nasz Graf.

– Kto ma?

– Sam o siebie zadbam – mruknął Bobby. Nie podobało mu się, że Jackie uchodzi za bardziej doświadczoną, choć prawie na pewno wiedział, że tak właśnie jest.

– Zrób to – rzekł Lucas. Gałka przesunęła się na poziom oczu Bobby'ego. – Ciąg to zdradliwe miejsce, mój chłopcze. Rzeczy tu rzadko są tym, czym się wydają.

Dla podkreślenia wagi tych słów zrobił coś z laską i długie mosiężne wzmocnienia poniżej gałki otworzyły się gładko, bezgłośnie, tylko na moment – niczym druty parasola, każdy lśniący, ostry jak brzytwa, jak igła. Potem zniknęły, a szerokie drzwiczki Ahmeda zatrzasnęły się z głuchym stukiem pancerza.

Jackie parsknęła śmiechem.

– Ale numer... Lucas ciągle nosi tę swoją laskę. Ważny adwokat, ale ulica na każdym zostawia swoje piętno. To chyba dobrze.

– Adwokat?

Przyjrzała mu się.

– Nie twoja sprawa, skarbie. Chodź ze mną, rób co ci powiem, a będzie dobrze.

Ahmed włączył się w ruch; rykszarz niepotrzebnie zatrąbił ręcznym klaksonem za oddalającym się zderzakiem.

Trzymając mu na ramieniu zadbaną, upierścienioną dłoń, poprowadziła go chodnikiem, obok śpiącej grupki okrytych łachmanami włóczęgów, w budzący się z wolna świat Hipermarketu.

* * *

Trzynaście pięter, powiedziała Jackie, a Bobby gwizdnął.

– I wszystkie takie?

Kiwnęła głową, sypiąc z łyżeczki brunatne kryształki cukru na jasnobrązową piankę w filizance kawy. Siedzieli na żelaznych stołkach przy marmurowym blacie w małej budce. Dziewczyna w wieku Bobby'ego, o włosach ufarbowanych i polakierowanych w coś przypominającego płetwę grzbietową, obsługiwała kurki i dźwignie wielkiej starej maszyny z mosiężnymi zbiornikami, kopułami, palnikami i orłami rozpościerającymi chromowane skrzydła. Płyta blatu służyła kiedyś czemuś innemu; Bobby widział, że ktoś obłupał jej koniec, pozostawiając wąski, nierówny szpic, wciśnięty między dwa pokryte zieloną farbą stalowe filary.

– Smakuje ci? – Posypała piankę cynamonem z ciężkiej szklanej solniczki. – Tak dalekie od Barrytown, jak ty się znalazłeś. W pewnym sensie.

Bobby przytaknął. Jego wzrok przyciągały tysiące kolorów i deseni przedmiotów na straganach i samych straganów. Zdawało się, że nie ma tu nawet sugestii regularności, śladu jakiegoś planu. Kręte korytarze rozbiegały się z placu przed budką z espresso. Miał wrażenie, że nie ma

głównego źródła światła. Czerwone i niebieskie neony jarzyły się za syczącą bielą benzynowych latarni; jeden ze straganów, właśnie otwierany przez brodatego mężczyznę w skórzanych spodniach, był chyba oświetlony świecami: miękkie lśnienie odbijało się od setek wypolerowanych mosiężnych klamer zawieszonych na starych czerwonych i czarnych dywanach. Panował poranny gwar, było słychać kaszel i chrząkanie. Z korytarza z cichym warkotem wytoczyła się niebieska jednostka porządkowa Toshiba, ciągnąc odrapany plastikowy wózek wyładowany zielonymi plastikowymi worami śmieci. Do górnej części kadłuba, powyżej roju czujników i oczu kamer, ktoś przykleił wielką niebieskooką i uśmiechniętą głowę lalki. Naśladowała rysy jednej z czołowych gwiazd symstymu, nie naruszając przy tym praw Sense/Netu. Różowa głowa podskakiwała zabawnie, potrząsając platynowymi włosami ściągniętymi sznurem bladobłękitnych plastikowych pereł. Robot minął ich i Bobby wybuchnął śmiechem.

– Niezłe miejsce – zauważył i skinął do dziewczyny za ladą, żeby nałała mu jeszcze kawy.

– Chwila, czubku jeden – rzuciła dość przyjaźnie dziewczyna. Odmierzała zmieloną kawę do powgniatanego stalowego pojemnika na szalce antycznej wagi. – Zdażyłaś się wczoraj przespać, Jackie? Po imprezie?

– Pewnie. – Jackie uniosła filiżankę. – Tańczyłam w drugim układzie, a potem spałam u Jammera. Jak zabita.

– Zazdroszczę ci. Kiedy Henry widzi twój taniec, nigdy nie daje mi spokoju...

Zaśmiała się i dołała Bobby'emu kawy z czarnego plastikowego termosu.

– I co? – zapytał, kiedy dziewczyna znowu zajęła się ekspresem. – Co robimy dalej?

– Zapracowany jesteś, co? – Jackie przyglądała mu się chłodno spod ozdobnego ronda kapelusza. – Musisz odwiedzić parę miejsc, pogadać z paroma osobami...

– No nie. Szlag... Chciałem tylko wiedzieć, czy to jest to.

– Czy to jest co?

– To miejsce. Zostajemy tu?

– Na najwyższym piętrze. Mój przyjaciel, niejaki Jammer, prowadzi tam klub. Mała szansa, żeby ktoś cię tam znalazł, a jeśli nawet, trudno się tam zakraść. Trzyście pięter zastawionych głównie straganami, a sporo ludzi tutaj sprzedaje towar, którego nie wykładają na wierzch. Rozumiesz? Dlatego są wyczuleni na obcych, na ludzi zadających pytania. W dodatku większość z nich to, w takim czy innym sensie, nasi przyjaciele. W każdym razie spodoba ci się tutaj. Miejsce akurat dla ciebie. Dużo możesz się nauczyć, jeśli tylko będziesz trzymał buzię na kłódkę.

– Jak mam się uczyć, jeśli nie mogę zadawać pytań?

– Wiesz, chodziło mi raczej o to, żebyś miał uszy otwarte. I bądź uprzejmy. Jest tu paru twardzieli, ale pilnuj swojego interesu, a oni będą pilnować swojego. Beauvoir zajrzy tu pewnie pod wieczór. Lucas pojechał do Projektów powiedzieć mu, czego się dowiedzieliście od Finna. A czego się dowiedzieliście od Finna, skarbie?

– Że ma trzy trupy na podłodze. Mówi, że to ninja. – Bobby spojrział na nią z uwagą. – Dziwny facet.

– Martwi goście nie należą do jego zwykłej oferty. Ale owszem, jest dziwny. Może mi o tym opowiesz? Spokojnie, cichym równym głosem. Dasz radę?

Opowiedział jej wszystko, co zapamiętał z wizyty u Finna. Kilka razy przerywała mu pytaniami, na które zwykle nie umiał odpowiedzieć. Kiwnęła głową, kiedy pierwszy raz wymienił nazwisko Wigana Ludgate'a.

– Tak – mruknęła. – Jammer mówi o nim, kiedy nachodzą go wspomnienia z dawnych czasów. Muszę go spytać...

Pod koniec recytacji Bobby'ego siedziała oparta o jeden z zielonych filarów, z kapeluszem nasuniętym głęboko na ciemne oczy.

– I co? – zapytał.

– Interesujące – stwierdziła, ale nie chciała powiedzieć nic więcej.

* * *

– Chcę jakieś nowe ciuchy – oznajmił Bobby, kiedy po martwych ruchomych schodach wspięli się na piętro.

– Masz jakąś forszę?

– Guzik – burknął, wbijając dłonie w kieszenie czarnych pikowanych džinsów. – Nie mam żadnej pieprzonej forsy, ale chcę nowe ciuchy. Ty, Lucas i Beauvoir po coś mnie tutaj trzymacie, prawda? Mam już dość tej piekielnej koszuli, którą Rhea mi wcisnęła, a te portki... Cały czas mam uczucie, że zlecą mi z tyłka. A jestem tutaj, ponieważ Dwa-Dziennie, pieprzony sukinsyn, wystawił moją dupę, żeby Lucas i Beauvoir mogli przetestować jakiś pieprzony soft. Więc możesz chyba kupić mi jakieś ciuchy! Jasne?

– Dobra – rzekła po chwili. – Popatrz. – Wskazała młodą Chinę w wytartych džinsach, która płatami folii ogradzała właśnie kilkanaście stalowych stojaków z ubraniami. – To Lin. Moja znajoma. Wybierz co chcesz, a ja rozliczę to jakoś między nią a Lucasem.

Pół godziny później wynurzył się z osłoniętej kocami przymierzalni i wsunął na oczy parę indojawańskich lotniczych, lustrzanych okularów. Uśmiechnął się do Jackie.

– Ostro, nie?

– Tak. – Wykonała dziwny gest dłonią, machnęła nią, jakby coś tuż obok było zbyt gorące, by tego dotknąć. – Nie podobała ci się ta koszula, którą ci pożyczyła Rhea?

Zerknął na czarną koszulkę, jaką dla siebie wybrał, na prostokątny holonadruk cyberprzestrzeni na piersi. Wyglądało to tak, jakby patrzący sunął do przodu przez matrycę: linie siatki rozmywały się na brzegach.

– Nie. Zbyt staromodna...

– Fakt. – Jackie przyjrzała się obcisłym czarnym džinsom, ciężkim skórzanym butom z harmonijkowymi fałdami przy kostkach, w stylu skafandrów kosmicznych, zauważyła czarny wojskowy pas nabijany dwoma rzędami chromowanych ćwieków. – Teraz bardziej przypominasz Grafa. Chodźmy, Grafie. U Jammera znajdę ci tapczan. Będziesz mógł się przespać.

Spojrzał na nią z ukosa, wsuwając kciuki w kieszenie czarnych lewisów.

– Sam – dodała. – Nie ma obawy.

Paco prowadził citroena-dorniera po Champs, wzdłuż północnego brzegu Sekwany, potem przez Hale. Marly zapadła się w zadziwiająco miękkie skórzane siedzenie, wykończone chyba lepiej niż jej brukselski zakiet. Nakazała umysłowi pustkę, zanik uczuć. Bądź oczami, powiedziała sobie. Tylko oczami; twoje ciało to ciężar wciskany w oparcie prędkością tego nieprzyzwoicie drogiego samochodu.

Z szumem przemknęli przez Square des Innocents, gdzie dziwki targowały się z kierowcami towarowych poduszkowców w *bleu de travail*. Paco swobodnie prowadził wąskimi uliczkami.

– Dlaczego powiedziała pani „Nie rób mi tego”? – Oderwał dłoń od konsoli sterowania i wsunął do ucha słuchawkę.

– A dlaczego słuchałeś?

– Bo to moja praca. Posłałem do sąsiedniego wieżowca kobietę z mikrofonem parabolicznym. Telefon w mieszkaniu był głuchy, inaczej moglibyśmy go wykorzystać. Weszła na dwudzieste drugie piętro, włamała się do pustego lokalu przy zachodniej ścianie budynku i wymierzyła mikrofon akurat na czas, żeby usłyszeć, jak mówi pani „Nie rób mi tego”. Była pani sama?

– Tak.

– On nie żył?

– Tak.

– Więc dlaczego pani to powiedziała?

– Nie wiem.

– Wydawało się pani, że kto coś pani robi?

- Nie wiem. Może Alain.
 - Co robi?
 - Ginie? Komplikuje sprawę? Możesz zgadywać, tak samo jak ja.
 - Jest pani trudną kobietą.
 - Wypuść mnie.
 - Odwiozę panią do mieszkania przyjaciółki.
 - Zatrzymaj.
 - Odwiozę panią...
 - Pójdę pieszo.
- Niski srebrzysty samochód wyhamował przy krawężniku.
- Zadzwonię do pani w...
 - Dobranoc.

* * *

– Na pewno nie interesuje pani któryś z kurortów? – zapytał pan Paleologos, szczupły i elegancki jak modliszka w swej białej wełnianej marynarce. Włosy też miał białe, z wyraźną starannością zaczesane do tyłu. – Byłoby to mniej kosztowne, a o wiele bardziej przyjemne. Jest pani piękną dziewczyną...

– Słucham? – Odwróciła wzrok od ulicy za zachlapaną deszczem szybą. – Czym?

Mówił po francusku niezbyt płynnie, entuzjastycznie, z dziwną intonacją.

– Bardzo piękną dziewczyną. – Uśmiechnął się sztucznie. – Czy nie wolałaby pani wakacji w kiści Med? Między osobami w swoim wieku? Czy jest pani Żydówką?

– Słucham?

– Żydówką. Jest pani?

– Nie.

– Szkoda. Ma pani kości policzkowe pewnego typu eleganckich Żydówek... Mam sporą obniżkę na piętnastodniowy pobyt w Jerusalemie

Prime. Jak na tę cenę przepiękne otoczenie. Wliczone wypożyczenie skafandra, trzy posiłki dziennie i bezpośredni prom z torusa JAL.

– Skafandra?

– W Jerusalemie Prime nie wszędzie jeszcze mają atmosferę – wyjaśnił pan Paleologos, przerzucając z jednego końca biurka na drugi plik różowych przebitek.

Biuro mieściło się w małym pokoiku ze ścianami obwieszonymi hologramami Poros i Macau. Wybrała tę firmę właśnie ze względu to, że była mała i że nie musiała opuszczać niewielkiego centrum handlowego na stacji metra najbliższej mieszkania Andrei.

– Nie – oświadczyła. – Nie interesują mnie kurorty. Chcę lecieć tutaj. – Stuknęła w napis na pomiętym niebieskim opakowaniu gauloisesów.

– No cóż... – westchnął. – To możliwe, oczywiście, choć nie mam listy tamtejszych kwater. Czy chce pani odwiedzić przyjaciół?

– Lecę w interesach – odparła niecierpliwie. – I muszę wyjechać natychmiast.

– Dobrze, bardzo dobrze – mruknął pan Paleologos. Z półki za biurkiem zdjął tani z wyglądu przenośny terminal. – Zechce mi pani podać swój kod kredytowy.

Sięgnęła do czarnej torebki i wyjęła gruby plik nowych jenów. Zabrała go z torby Paco, kiedy ten badał mieszkanie, gdzie zginął Alain. Pieniądze były spięte czerwoną półprzezroczystą gumką.

– Chciałabym zapłacić gotówką.

– O Boże... – Pan Paleologos dotknął banknotu czubkiem różowego palca, jakby oczekiwał, że cały plik rozwieje się nagle. – Rozumiem. Widzi pani, zwykle nie załatwiam interesów w taki sposób, ale przypuszczam, że uda się coś zorganizować.

– Szybko – przypomniała. – Bardzo szybko.

– Rozumiem. – Przyjrzał się jej. – Proszę podać... – palce poruszyły się nad klawiszami terminalu – ...nazwisko, pod jakim chciałaby pani podróżować.

Turner przebudził się w milczącym domu, wśród śpiewu ptaków na jabłoniach w zarośniętym sadzie. Przespał noc w kuchni, na połamanej kanapie. Nalał wody na kawę; plastikowe rury ze zbiornika na dachu stukwały głośno, kiedy napełniał czajnik. Postawił go na propanowym palniku i wyszedł na werandę.

Osiem pojazdów Rudy'ego pokrywała rosa; stały w równym szeregu na żwirze podjazdu. Gdy Turner schodził po stopniach, jeden ze wspomaganych psów przetruchtał przez otwartą bramę; czarny kaptur tykał lekko w ciszy poranka. Zwierzę stanęło, śliniąc się, zakołysało zniekształconą głową, po czym przebiegło po żwirze i zniknęło za rogami werandy.

Turner przystanął przy masce ciemnobrązowej terenówki Suzuki z napędem na baterie wodorowe. Rudy z pewnością sam ją naprawiał. Napęd na cztery koła, wielkie opony z głębokim bieżnikiem oblepionym jasnym, suchym rzeczonym iłem. Niewielka, powolna, niezawodna, niezbyt przydatna na drodze...

Wyminął dwie limuzyny Hondy z karoserią nakrapianą plamkami rdzy. Rudy zdemontuje jedną, żeby zdobyć części do drugiej; w tej chwili żadna pewnie nie nadaje się do jazdy.

Uśmiechnął się z roztargnieniem, widząc nieskazitelny brązowy i beżowy lakier na furgonetce Chevroleta z 1949 roku. Pamiętał przerdzewiałą skorupę, którą na pożyczonej ławecie Rudy ściągnął do domu z Arkansas. Wóz jeździł jeszcze na benzynie, a wewnętrzne

powierzchnie silnika były prawdopodobnie równie lśniące jak ręcznie gładzony brązowy lakier na nadkolach.

Stała tam jeszcze połowa poduszkowca Dorniera pod szarą płachtą folii, a dalej podobny do osy wyścigowy czarny motocykl Suzuki na przyczepce domowej roboty. Zastanowił się, ile lat temu Rudy się ścigał. Za przyczepką, również pod płachtą, stał śnieżny motor. A dalej poplamiony szary poduszkowiec, maszyna z ostatniej wojny: niski klin pancерnej stali pachnącej spalaną w turbinie ropą. Wzmacniany stalową siatką fartuch leżał bezwładnie na ziemi. Okna były wąskimi szczelinami grubego, odpornego na uderzenia plastiku. Do przypominających raczej tarany zderzaków Rudy przykręcił tablice rejestracyjne z Ohio. Były aktualne.

– Zgaduję, co sobie myślisz – odezwała się Sally. Obejrzał się. Stała przy poręczy werandy z dzbankiem parującej kawy w ręku. – Rudy powtarza, że jeśli to nad czymś nie przejedzie, zawsze może się przebić na wylot.

– Jest szybki? – zainteresował się Turner.

– Jasne. Ale po godzinie jazdy będziesz ci potrzebny nowy kręgosłup.

– A co z formalnościami?

– Trudno powiedzieć, żeby im się podobał, ale ma prawo poruszać się po ulicach. Nie słyszałam o zakazie posiadania pancerza.

* * *

– Angie czuje się lepiej – oświadczyła Sally, kiedy wszedł za nią przez kuchenne drzwi. – Prawda, kochanie?

Córka Mitchella siedziała przy stole. Podniosła głowę. Sińce wokół oczu, podobnie jak u Turnera, zmieniły się w dwa grube przecinki, jakby lzy wymalowane czarnoniebieskim tuszem.

– Mój przyjaciel tutaj jest lekarzem – powiedział Turner. – Zbadał cię, kiedy byłaś nieprzytomna. Mówi, że nie jest z tobą tak źle.

– To pana brat. I wcale nie jest lekarzem.

– Przykro mi, Turner – wtrąciła Sally. – Jestem może nieco zbyt szczera.

– Rzeczywiście, nie jest lekarzem. Ale jest sprytny. Baliśmy się, że Maas coś ci zrobił, że cię ustawił, żebyś zaczęła chorować, gdybyś opuściła

Arizone...

– Jak bomba mózgowa?

Nabrała łyżką zimnej owsianki z pękniętej miski z kwiatami jabłoni wokół krawędzi – części zastawy, którą Turner pamiętał.

– Boże... – Sally westchnęła. – W co ty się wpackowałeś, Turner?

– Dobre pytanie.

Usiadł przy stole. Angie przeżuwała owsiankę i spoglądała na niego.

– Angie... – zaczął. – Kiedy Rudy cię skanował, znalazł coś w twojej głowie.

Znieruchomiała.

– Nie wiedział, co to jest. Ktoś ci tam coś wmontował, może kiedy byłaś jeszcze mała. Wiesz, o czym mówię?

Przytaknęła.

– Wiesz, do czego to służy?

Przełknęła ślinę.

– Nie.

– Ale wiesz, kto ci to wsadził?

– Tak.

– Twój ojciec?

– Tak.

– Czy wiesz dlaczego?

– Bo byłam chora.

– A na co chorowałaś?

– Nie byłam dostatecznie mądra.

* * *

Przed południem był gotów. Zatankowany poduszkowiec czekał przy bramie. Rudy dał mu prostokątną czarną saszetkę wypchaną nowymi jenami; niektóre banknoty były niemal przezroczyste od długiego używania.

– Przepuściłem tę taśmę przez francuski słownik – powiedział Rudy. Jeden z psów ocierał swe zakurzone zębra o jego nogę. – Nie wyszło. Myślę,

że to jakiś kreolski dialekt. Może afrykański... Chcesz kopię?

– Nie – odparł Turner. – Zatrzymaj ją sobie.

– Dzięki, ale nie. Nie mam zamiaru nikomu się przyznawać, że tu byłeś. Sally i ja wyjeżdżamy dziś po południu do Memphis. Zatrzymamy się u przyjaciół. Psy będą pilnować domu. – Podrapał zwierzę za plastikowym kapturem. – Zgadza się, malutki? – Pies zaskomlał i machnął ogonem. – Musiałem je oduczyć polowania na szopy. Kiedy założyłem im czujniki podczerwieni, w całym okręgu nie zostawiłyby ani jednej sztuki.

Sally i dziewczyna zeszły z werandy. Sally niosła płócienną torbę, w którą zapakowała kanapki i termos z kawą. Turner przypomniał ją sobie w łóżku na górze i uśmiechnął się. Odpowiedziała uśmiechem. Dzisiaj wydawała się starsza, bardziej zmęczona. Angie zrezygnowała z pokrwawionej koszulki MAAS-NEOTEK na korzyść bezkształtnej czarnej bluzy, którą znalazła dla niej Sally. Sally zdołała nawet wkomponować pozostałe sińce w barokowy makijaż, który dziwnie kontrastował z dziecięcą buzią dziewczyny i luźną bluzą.

Rudy wręczył Turnerowi kluczyki do poduszkowca.

– Mój stary Cray przygotował streszczenie dzisiejszych wiadomości. Jest jedna rzecz, o której chyba powinieneś wiedzieć: Maas Biolabs poinformował o przypadkowej śmierci doktora Christophera Mitchella.

– Zdziwiająco, jak mało precyzyjnie potrafią się wyrażać.

– Tylko porządnie dopnij uprząż – tłumaczyła Sally. – Bo zanim traficie na trasę ze Statesboro, pupę będziesz miała czarną od siniaków.

Rudy zerknął na dziewczynę, potem znów na Turnera. Turner dostrzegł pęknięte żyły na nosie brata, przekrwione oczy, wyraźny tik lewej powieki.

– To chyba wszystko. Zabawne, ale zaczynałem już wierzyć, że więcej cię nie zobaczę. Dziwne, widzieć cię znowu w domu.

– Dzięki – odparł Turner. – Oboje zrobiliście dla mnie więcej, niż miałem prawo oczekiwać.

Sally spuściła głowę.

– Dziękuję wam. Lepiej już pojedziemy – dodał.

Wspiął się na burtę poduszkowca. Chciałby już ruszyć. Sally ucisnęła przegub dziewczyny i wręczyła jej torbę. Stała obok, gdy Angie

wchodziła po dwóch zamykanych stopniach. Turner zajął miejsce w fotelu kierowcy.

– Ciągle o ciebie pytała – powiedział Rudy. – Po jakimś czasie było już tak źle, że analogi endorfiny nie potrafiły uśmierzyć bólu. I co jakieś dwie godziny pytała, gdzie jesteś i kiedy przyjedziesz.

– Przysłałem ci pieniądze – odparł Turner. – Dość, żeby ją zabrać do Chiby. Tamtejsze kliniki mogłyby spróbować czegoś nowego...

– Chiba? – parsknął Rudy. – Jezu, była już starą kobietą. Co by jej z tego przyszło, gdybyśmy w Chibie utrzymywali ją przy życiu jeszcze przez parę miesięcy? Najbardziej pragnęła zobaczyć ciebie.

– Jakoś nie wyszło – mruknął Turner. Dziewczyna usiadła obok i postawiła torbę na podłodze, między nogami. – Na razie, Rudy. – Skinął głową. – Do zobaczenia, Sally.

– Bywaj – odpowiedziała, obejmując Rudy'ego w talii.

– O kim mówiliście? – spytała Angie, kiedy zatrzasnął się luk.

Turner wsunął kluczyk do stacyjki i turbina ruszyła, od razu nadymając fartuch. Przez wąskie boczne okienko zobaczył, że Rudy i Sally odstępują pośpiesznie, a przerażony hałasem pies przysiada i szczeka. Pedaly i dźwignie były wielkie, zaprojektowane do łatwej obsługi w kombinezonie antyradiacyjnym. Turner wykręcił przez bramę i wjechał na szeroką zwirową drogę. Angie dopinała uprząż.

– O mojej matce – wyjaśnił.

Zwiększył obroty i skoczyli do przodu.

– Nie znałam swojej matki – oświadczyła.

A Turner przypomniał sobie, że jej ojciec nie żyje, a ona jeszcze o tym nie wie. Pchnął pedał i pomknęli wzdłuż zwirowej alejki, ledwie mijając psa Rudy'ego.

* * *

Sally miała rację, ostrzegając przed jazdą. Turbina powodowała nieustające wibracje. Przy dziewięćdziesięciu kilometrach na godzinę po nierównym asfalcie starej autostrady stanowej dzwoniły im zęby. Wzmacniany fartuch

ciężko sunął po spękanej nawierzchni; efekt ślizgu, typowy dla lekkich modeli cywilnych, byłby tu możliwy tylko na idealnie gładkiej, płaskiej powierzchni.

Mimo to Turner uznał, że lubi tę maszynę. Człowiek kierował się na cel, zwiększał obroty i jechał. Nad czołową szczeliną obserwacyjną ktoś zawiesił dwie różowe, wyblakłe od słońca kostki; wycie turbiny napierało na plecy jak twarda ściana. Dziewczyna odprężyła się, obserwując okolicę ze spokojną, niemal zadowoloną miną. Turner cieszył się, że nie musi prowadzić rozmowy. Jesteś gorąca, pomyślał, zerkając na nią z ukosa; jesteś chyba najbardziej poszukiwanym obiektem na powierzchni tej planety, a ja zwyczajnie wlokę cię do Ciągu w tej wojennej zabawce Rudy'ego i nie mam pojęcia, co dalej z tobą robić... Ani kto nam rozwalił pozycję.

Przemyśl to, powiedział sobie, kiedy skręcili w dolinę; przeleć od początku, a w końcu coś zaskoczy. Mitchell skontaktował się z Hosaką i powiedział, że przechodzi do nich. Hosaka wynajął Conroya i zorganizował zespół medyczny, żeby sprawdzili, czy Mitchell nie ma jakichś pułapek. Conroy ściągnął grupy robocze. Pracował z agentem Turnera. Agent Turnera był tylko głosem w słuchawce, genewskim numerem telefonicznym. Hosaka wysłał Allison, żeby w Meksyku doprowadziła Turnera do porządku; potem zabrał go Conroy. Tuż przed akcją Webber powiedziała, że to ona jest wtyczką Conroya... Ktoś ich zaatakował, kiedy dziewczyna się zbliżała: flary i broń automatyczna. Dla niego wyglądało to na Maasa; takiego ruchu mógłby oczekiwać, z czymś takim mieli sobie radzić wynajęci goryle. A potem białe niebo... Pamiętał, co mówił Rudy o railgunie. Ale kto? W dodatku ta płatanina w głowie dziewczyny, którą Rudy odkrył na tomografie i monitorze rezonansu magnetycznego. Angie twierdziła, że ojciec nie planował własnej ucieczki...

– Żadnej firmy – odezwała się, patrząc w okno.

– To znaczy?

– Nie ma pan swojej firmy, prawda? Pracuje pan dla tego, kto zapłaci.

– Zgadza się.

– I nie boi się pan?

- Pewnie, ale nie z tego powodu.
 - My zawsze mieliśmy firmę. Ojciec mówił, że wszystko będzie dobrze, że po prostu przejdę do innej...
 - Wszystko będzie dobrze. Miał rację. Muszę tylko wykryć, co się dzieje. Potem trafisz tam, gdzie powinnaś.
 - Do Japonii?
 - Gdziekolwiek będzie trzeba.
 - Był pan tam?
 - Pewno.
 - Spodoba mi się?
 - Dlaczego nie?
- Znowu umilkła, a Turner skupił się na prowadzeniu.

* * *

- To sprowadza sny – powiedziała, gdy pochylił się, by włączyć światła. Ledwie słyszał jej głos wśród wycia turbiny.
- Co? – Udawał, że obserwuje drogę. Uważał, by nie zerknąć w jej stronę.
- To coś w mojej głowie. Zwykle wtedy, kiedy śpię.
- Tak? – Pamiętał białka jej oczu w sypialni Rudy’ego, drgawki, potok słów w nieznanym języku.
- Czasami także na jawie. Jakbym była włączona w dek... Tyle że krata mnie nie krępuje; frunę i nie jestem tam sama. Przedwczoraj śnił mi się chłopiec; sięgnął i chwycił coś, a to go raniło, i nie wiedział, że jest wolny, że musi tylko to puścić. Więc mu powiedziałam. I przez sekundę widziałam, gdzie jest... To nie przypominało snu: brzydki mały pokój z poplamionym dywanem... I wiedziałam, że przydałby mu się prysznic, i czułam, jak buty lepią mu się do stóp, bo nie nosił skarpetek... Sny takie nie bywają.
- Nie?
- Nie. W snach są takie wielkie istoty i ja też jestem wielka, i sunę z innymi...

Poduszkowiec wspiął się na betonową rampę autostrady międzystanowej. Turner wypuścił powietrze; nagle zauważył, że wstrzymuje oddech.

– Jakimi innymi?

– Takimi jaśniejącymi... – Znow cisza. – Nie ludźmi...

– Czy dużo czasu spędzasz w cyberprzestrzeni, Angie? To znaczy, normalnie włączona, z dekiem?

– Nie. Tyle co w szkole. Ojciec mówił, że to mi może zaszkodzić.

– Czy mówił coś o tych snach?

– Tyle, że są coraz bardziej realne. Ale nie powiedziałam mu o tych innych...

– A mnie powiesz? Może dzięki temu lepiej zrozumiem, dowiem się, co powinniśmy robić...

– Niektórzy opowiadają mi różne rzeczy. Historie. Kiedyś nie było tam nic... nic, co by się samo poruszało. Tylko dane i ludzie, którzy je przesyłali. A potem coś się zdarzyło i... i to poznało siebie. Jest o tym cała opowieść, o dziewczynie z lustrzanymi oczami i chłopaku, który za bardzo się bał, żeby troszczyć się o cokolwiek. I zrobił coś, co pomogło temu wszystkiemu poznać siebie... A potem to coś tak jakby rozpadło się na części i wydaje mi się, że właśnie te części to inni, ci jaśniejący. Ale nie wiem na pewno, bo oni nie opowiadają tego słowami...

Turner poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Wróciło jakieś wspomnienie, wypłynęło z głębin dossier Mitchella. Pałacy wstyd, korytarz, luszcząca się kremowa farba, Cambridge, kwatery studentów...

– Gdzie się urodziłaś, Angie?

– W Anglii. Potem ojciec trafił do Maasa i przeprowadziliśmy się. Do Genewy.

* * *

Gdzieś w Virginii zjechał na zwirowe pobocze, zwolnił, skręcił na zarośniętą łąkę. Suchy pył lata wirował za nimi, gdy zrobił zwrot w lewo i zatrzymał się pod kępą sosen. Turbina ucichła, pojazd osiadł na fartuchu.

– Teraz możemy coś zjeść – oświadczył, sięgając po torbę Sally.

Angie wypięła się z uprząży i rozsunęła zamek czarnej bluzy. Pod spodem miała coś białego i obcisłego; w półokrągłym dekolcie nad młodymi piersiami widział jej dziecięco gładką opaloną skórę. Odebrała mu torbę i zaczęła odpakowywać kanapki.

– Co jest pańskiemu bratu? – spytała, wręczając mu jedną.

– Nie rozumiem.

– Coś z nim jest nie tak... Sally mówiła, że cały czas pije. Jest nieszczęśliwy?

– Nie wiem – odparł Turner. Zgarbił się, potem rozprostował obolałe ramiona i grzbiet. – To znaczy, chyba jest, ale nie wiem dlaczego. Czasami coś człowieka gryzie...

– Chce pan powiedzieć: kiedy nie ma firmy, która się nim opiekuje? – Ugryzła kanapkę.

– Drażnisz się ze mną, co?

Pokiwała głową z pełnymi ustami. Przełknęła.

– Troszeczkę. Wiem, że mnóstwo ludzi nie pracuje dla Maasa. Nigdy nie pracowali i nigdy nie będą. Na przykład pan albo Rudy. Ale pytałam poważnie. Polubiłam go. Ale wydawał się taki...

– Przegrany – dokończył za nią. – Przerznął życie. Widzisz, myślę, że niektórzy ludzie muszą w pewnym momencie dokonać przeskoku. Jeśli tego nie zrobią, to utkną na dobre... A Rudy nigdy nie przeskoczył.

– Jak mój ojciec, kiedy chciał mnie wydostać z Maasa? Czy to był przeskok?

– Nie. Na pewne przeskoki musisz się zdecydować sama. Dojść do wniosku, że gdzieś czeka na ciebie coś lepszego...

Urwał. Nagle poczuł się śmieszny. Nadgryzł kanapkę.

– Pan tak pomyślał?

Skinął głową, niepewny, czy to prawda.

– I wyjechał pan, a Rudy został?

– Był inteligentny. Nadal jest. Zebrał parę dyplomów... tak z marszu. Jako dwudziestolatek zrobił doktorat z biotechnologii na Tulane. I jeszcze trochę... Nigdy nie wysyłał żadnych podań czy życiorysów. Werbownicy

zjeżdżali do nas zewsząd, ale on ich spławiał, szukał zwady... Chciał chyba dokonać czegoś samodzielnie. Jak te kaptury dla psów: myślę, że wetknął tam parę oryginalnych patentów, ale... W każdym razie został. Zajął się handlem i produkcją sprzętu dla okolicy. Był popularny. Potem nasza matka zachorowała, chorowała bardzo długo, a mnie nie było...

– A gdzie pan był?

Otworzyła termos; kabinę wypełnił zapach kawy.

– Najdalej jak zdołałem – odparł, zdumiony nutą gniewu we własnym głosie.

Podawała mu plastikowy kubek, wypełniony po brzegi gorącą czarną kawą.

– A co z tobą? Mówiłaś, że nie znałaś swojej matki.

– Nie. Rozstali się, kiedy byłam mała. Nie chciała przedłużyć kontraktu, jeśli nie włączy jej w jakiś system wykupu akcji. Tak przynajmniej mówił.

Łyknął kawy i oddał jej kubek.

– A jaki był?

Spojrzała na niego ponad brzegiem czerwonego plastiku: oczy otoczone makijażem Sally.

– Też mogłabym o to zapytać – odparła. – Albo raczej: niech mnie pan spyta za dwadzieścia lat. Teraz mam siedemnaście, więc skąd, u diabła, mogę wiedzieć?

Roześmiał się.

– Czujesz się już lepiej?

– Chyba tak. W danych okolicznościach.

I nagle, jak jeszcze nigdy dotąd, w pełni uświadomił sobie jej obecność. Nerwowo sięgnął do dźwigni.

– To dobrze. Przed nami jeszcze długa droga.

* * *

Tej nocy spali w kabinie poduszkowca zaparkowanego pod zardzewiałą stalową kratą, stanowiącą niegdyś rusztowanie ekranu kina dla zmotoryzowanych w południowej Pensylwanii. Turner rozścielił swoją parkę na pancernych płytach podłogi, poniżej długiego garbu turbiny.

Angie wypila resztkę zimnej już kawy i usiadła w kwadratowym luku nad siedzeniem pasażera. Obserwowała pulsujące nad poźólką łąką świetliki.

Gdzieś w snach – wciąż zabarwianych przypadkowymi rozbłyskami z dossier jej ojca – przytuliła się do niego; czuł jej piersi na nagich plecach, miękkie i ciepłe przez cienki materiał koszulki. A potem jej ręka objęła go i gładziła płaskie mięśnie brzucha. Ale leżał nieruchomo, udając głęboki sen, i wkrótce odnalazł drogę do mrocznych pasażu biosoftu Mitchella, gdzie dziwne zjawiska mieszały się z jego własnymi najstarszymi lękami i ranami. Obudził się o świcie, słysząc, jak śpiewa cicho ze swojego miejsca w górnym luku:

*Mój tata przystojny był jak szatan;
i miał łańcuch długi na trzy mile,
A na każdym ogniwie
Serduszko dziewczyny,
Którą kochał, lecz rzucił za chwilę.*

Lokal Jammera mieścił się wysoko – trzynaście pięter po martwych ruchomych schodach – i zajmował jedną trzecią najwyższego poziomu budynku. Jeśli nie liczyć Leona, Bobby jeszcze nigdy nie widział nocnego klubu – i ten wydał mu się jednocześnie wspaniałą i trochę przerażającą. Wspaniałą ze względu na swoją wielkość i – jak uznał – wyjątkową jakość sprzętu, przerażającą zaś, ponieważ nocny klub za dnia jest miejscem w swej istocie trochę nierzeczywistym. Upiornym. Rozglądał się, wsunawszy kciuki w tylne kieszenie nowych dżinsów, a Jackie szeptem dyskutowała o czymś z człowiekiem o pociągłej twarzy, w pogniecionym niebieskim kombinezonie. W sali stały kryte ultraskajem sofy, okrągłe stoliki i dziesiątki ażurowych drewnianych parawanów. Sufit był pomalowany na czarno, a każdy stolik delikatnie oświetlała ukryta we wnęce stropu lampa, mierząca z mroku pionowo w dół. Na centralnej scenie, jasno oświetlonej wiszącymi na żółtym fleksie reflektorami, stała wiśniowoczerwona perkusja akustyczna. Nie wiedział czemu, ale poczuł dreszcz, niewyraźne wrażenie pół-życia, jakby coś miało się przesunąć na granicy pola widzenia...

– Bobby! – zawołała Jackie. – Chodź tutaj, poznasz Jammera.

Z obojętnością, na jaką było go stać, przekroczył równinę gładkiego ciemnego dywanu. Stał przed człowiekiem o pociągłej twarzy, który miał ciemne przerzedzone włosy i pod roboczym kombinezonem nosił białą wieczorową koszulę. Miał też wąskie oczy, a na policzkach szczecinę jednodniowego zarostu.

– Chcesz być kowbojem? – Patrzył na koszulkę Bobby'ego, a Bobby doznał nieprzyjemnego uczucia, że Jammer zaraz wybuchnie śmiechem.

– Jammer był dżokejem – wyjaśniła Jackie. – Ostrym. Prawda, Jammer?

– Tak mówią. To było dawno, Jackie. Ile masz za sobą godzin w sieci? – spytał Bobby'ego.

Bobby poczuł, że się rumieni.

– No więc... chyba jedną.

Jammer uniósł krzaczaste brwi.

– Każdy kiedyś zaczynał – mruknął z uśmiechem; zęby miał małe, nienaturalnie równe i, zdaniem Bobby'ego, zbyt liczne.

– Bobby – wtrąciła Jackie. – Może spytasz Jammera o tego Wiga, o którym opowiadał Finn.

Jammer czujnie spojrział na nią, potem na Bobby'ego.

– Znasz Finna? Głęboko wszedłeś jak na szpanera. – Z tylnej kieszeni wyjął niebieski plastikowy inhalator, wsunął do lewego nozdrza, pociągnął i schował z powrotem. – Ludgate. Wig. Finn mówił o Wigu? To już chyba demencja.

Bobby nie wiedział, co to znaczy, ale chwila nie wydawała się odpowiednia na stawianie pytań.

– Ten Wig siedzi gdzieś na orbicie – spróbował. – I czasem sprzedaje coś Finnowi...

– Nie pieprzysz? Mógłbyś mnie nabrać. Uwierzyłbym, że Wig jest już trupem albo siedzi u czubków. Bardziej szurnięty niż normalny kowboj. Wiesz, o co mi chodzi? Bagno. Topielec. Nie słyszałem o nim od lat.

– Jammer – przerwała mu Jackie. – Może lepiej Bobby po prostu ci opowie, czego się dowiedział. Beauvoir ma tu być dzisiaj po południu i będzie chciał ci zadać parę pytań. Powinieneś wiedzieć, jak sprawy stoją.

Jammer przyjrzał się jej z uwagą.

– No tak. Rozumiem. Pan Beauvoir zażąda, żebym odplacił mu za przysługę. Zgadłem?

– Nie mogę mówić za niego, ale tak przypuszczam. Potrzebujemy bezpiecznego miejsca, żeby przechować tego tu Grafa.

– Jakiego grafa?

- Mnie – wyjaśnił Bobby. – To ja.
- Świetnie – mruknął Jammer z całkowitym brakiem entuzjazmu. – Chodźmy do mojego gabinetu.

* * *

Bobby nie mógł oderwać wzroku od deku cyberprzestrzeni, który zajmował jedną trzecią powierzchni blatu staroświeckiego dębowego biurka Jammera. Był matowoczarny, robiony na zamówienie, bez żadnych znaków firmowych. Bobby wyciągał szyję, równocześnie opowiadając Jammerowi o Dwóch-Dziennie i swojej próbie wejścia, o dziewczęcym wrażeniu w sieci, o matce wysadzonej w powietrze. To był najostrożniejszy dek jaki w życiu widział... Pamiętał, jak Jackie wspomniała, że Jammer był w swoim czasie ostrym kowbojem.

Kiedy Bobby skończył, Jammer rozparł się w fotelu.

- Chcesz go wypróbować? – zapytał znużonym głosem.
- Wypróbować?
- Ten dek. Pomyślałem, że pewnie masz ochotę. Domyśliłem się po tym, jak stale pocierałeś tyłkiem o fotel. Albo chciałbyś go wypróbować, albo strasznie chciało ci się sikać.
- Diabli, tak, to znaczy, tak, dzięki... Tak, chętnie...
- Dlaczego nie? Skąd ktoś mógłby wiedzieć, że to ty, a nie ja? Może włączysz się razem z nim, Jackie? Żeby na niego uważać. – Otworzył szufladę biurka i wyjął dwa zestawy trod. – Tylko nic tam nie rób, jasne? Po prostu przeleć się, pokręć i wracaj. Nie próbuj żadnych numerów. Jestem winien Lucasowi i Beauvoirovi przysługę, a wygląda na to, że spłacę długi, pomagając zachować cię w jednym kawałku. – Jedne trody podał Jackie, drugie wręczył Bobby'emu. Potem wstał, złapał za uchwyty z boków czarnej konsoli i odwrócił ją do Bobby'ego. – No dalej. Spuścisz się z zachwyty. Ta maszyna ma dziesięć lat, a wciąż może przytrzeć dupę prawie wszystkiemu. Jeden gość, Automatyczny Jack, zbudował ją prawie od zera. Był kiedyś hardware'owym artystą Bobby'ego Quine'a. Obaj razem wypalili Błękitne Światła, ale to chyba jeszcze zanim się urodziłeś.

Bobby umocował już trody. Teraz czekał na Jackie.

– Włączałeś się już w tandemie? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Nie szkodzi. Wejdziemy, a ja będę się trzymać za twoim lewym ramieniem. Kiedy powiem: „wyłącz się”, to się wyłączysz. Jeśli zobaczysz coś dziwnego, to dlatego, że ja będę przy tobie. Zrozumiałeś?

Przytaknął.

Sięgnęła za kark, wyjęła dwie długie spinki ze srebrnymi główkami, zdjęła kapelusz i odłożyła na biurko obok deku Jammera. Przetarła trody pomarańczową jedwabną chustą i przycisnęła kontakty do czoła.

– Idziemy – rzuciła.

* * *

Teraz i zawsze, wciąż naprzód: dek Jammera włączony wysoko ponad neonowymi rdzeniami, nad obcą topografią danych. Wielkie skupiska, wysokie jak korporacyjne góry w tym bezmiejsku będącym cyberprzestrzenią.

– Zwolnij, Bobby.

Głos Jackie, cichy i słodki w pustce obok niego.

– Jezu Chryste, ale sprzęt!

– Tak, ale trochę przyhamuj. Taki rajd nic nam nie da. Chcesz coś obejrzeć. Trzymaj się tego regionu i zwolnij.

Zmniejszył pęd, aż zdawało się, że szybują powoli. Obejrzał się w lewo, oczekując, że ją tam zobaczy. Nie znalazł nikogo.

– Jestem tu – powiedziała. – Nie martw się.

– Kto to był Quine?

– Quine? To kowboj, którego znał Jammer. W swoim czasie znał wszystkich.

Zakręcił pod kątem prostym w lewo, w przypadkowo wybranym punkcie. Na przecięciu linii kraty zawirował wokół osi, by sprawdzić reakcje deku. Były zdumiewające, niepodobne do niczego, co przeżył w cyberprzestrzeni.

– Rany boskie... Przy tym sprzęcie Ono-Sendai wygląda jak dziecięca zabawka...

– Jest prawdopodobnie oparty na kościach O-N. Jammer mówił, że takich zwykle używali. Przenieś nas trochę wyżej...

Wzniesli się bez wysiłku; w dole zmały bloki danych.

– Nie ma tu wiele do oglądania – poskarżył się.

– Błąd. Jeśli dostatecznie długo będziesz się trzymał pustych obszarów, możesz zobaczyć sporo ciekawych rzeczy...

Osnowa matrycy zadrżała lekko wprost przed nimi.

– Uhm... Jackie...

– Zatrzymaj tutaj. Nie ruszaj się. Wszystko w porządku. Możesz mi zaufać.

Gdzieś daleko jego palce poruszały się po obco skonfigurowanej klawiaturze. Cofnął je, a sektor cyberprzestrzeni rozmył się i wypełnił mleczną mgłą.

– Co jest...

– *Danbala ap monte l* – rozległ się szorstki głos w jego głowie; poczuł w ustach obcy smak, jakby krwi. – Danbala jej dosiada.

Skądś wiedział, co znaczą te słowa, ale głos dźwięczał jak żelazo. Mleczna chmura rozdzieliła się, rozplynęła w kłębach, stała dwiema plamami zmiennej szarości.

– Legba – powiedziała Jackie. – Legba i Ougou Feray, bóg wojny. Papa Ougou! St. Jasques Majeur! *Viv la Vyèy!*

Stalowy śmiech wypełnił matrycę, piłując mózg Bobby'ego.

– *Map kite tout mizé ak tout giyon* – zabrzmiał inny głos. – Spójrz, Papa, przybyła tu, by pozbyć się pecha!

A potem ten drugi także wybuchnął śmiechem, a Bobby z wysiłkiem stłumił atak czystej hysterii, gdy srebrzysty śmiech unosił się przez niego jak bąble piany.

– Czy miała pecha? Ona, wierzchowiec Danbali?! – zahuczał stalowy głos Ougou Feray i przez moment Bobby miał wrażenie, że jakaś postać migocze w szarej mgle. Głos grzmiał straszliwym śmiechem. – Istotnie! Istotnie! Ale nie wie o tym! Nie jest moim wierzchowcem, inaczej

wyleczyłbym ją z pecha! – Bobby’emu chciało się zapłakać, umrzeć, cokolwiek, byle uciec przed tymi głosami, tym absolutnie niemożliwym wiatrem, który dmuchnął z szarych kłębow: gorący, wilgotny wiatr, niosący zapachy, których nie potrafił zidentyfikować. – I ona głosi chwałę Dziewicy! Wysłuchaj mnie, siostrzyczko! *La Vyèj* naprawdę się zbliża!

– Tak – potwierdził drugi głos. – Teraz przebywa w mojej dziedzinie, gdyż ja władam drogami i szlakami.

– Ale ja, Ougou Feray, mówię ci, że wasi wrogowie także się zbliżają! Do bram, siostrzyczko, i strzeż się!

Dwie szare plamy rozmyły się, zmałyły, skurczyły...

– Odłącz nas – powiedziała. Jej głos był cichy i brzmiał, jakby dobiegał z daleka. – Lucas nie żyje.

* * *

Jammer wyciągnął z szuflady butelkę scotcha i do szklanki z grubego plastiku starannie odmierzył sześć centymetrów.

– Wyglądasz jak wypluta – zwrócił się do Jackie.

Bobby’ego zaskoczył jego łagodny ton. Wyłączyli się z dziesięć minut temu i przez cały ten czas nikt się nie odezwał. Jackie wydawała się załamana i ciągle przygryzała dolną wargę. Jammer był albo nieszczęśliwy, albo wściekły – Bobby nie miał pewności.

– Dlaczego powiedziałaś, że Lucas nie żyje? – zapytał, gdyż miał wrażenie, że cisza w ciasnym gabinecie Jammera gęstnieje i w końcu zaczną się dusić.

Jackie spojrzała w jego stronę pustym wzrokiem.

– Gdyby żył, nie przysliby do mnie – wyjaśniła. – Są pewne pakt, umowy... Legba zawsze jest przyzywany jako pierwszy, ale powinien przybyć z Danbalą. Jego osobowość zależy od loa, z którym się manifestuje. Lucas na pewno jest martwy.

Jammer pchnął do niej szklankę whisky, ale Jackie pokręciła głową; wciąż miała na czole trody: chrom i czarny nylon. Skrzywił się z niesmakiem, podniósł szklankę i wypił jednym haustem.

– Bzdury! Sprawy miały więcej sensu, zanim wy zaczęliście przy nich kręcić.

– My ich nie sprowadziliśmy, Jammer – odparła. – Oni zawsze tam byli i odnaleźli nas, ponieważ ich rozumieliśmy!

– Takie same bzdury – mruknął znużonym głosem Jammer. – Czymkolwiek są i skądkolwiek przyszli, ukształtowali się w to, co chciała zobaczyć zgraja obłąkanych czarnuchów. Łapiesz? Nie ma pieprzonej szansy, żeby istniało tam coś, z czym musiałabyś rozmawiać w tym kuchennym haitańskim. Wy i ten wasz kult *voudou*... Oni po prostu zobaczyli to, zobaczyli układ... Beauvoir z Lucasem i resztą to przede wszystkim biznesmeni. A te piekielne stwory wiedzą, jak zawierać umowy. To oczywiste. – Zakręcił butelkę i schował ją do szuflady. – Wiesz, skarbie, przecież to możliwe, że ktoś bardzo mocny, bardzo potężny w sieci, po prostu was wykorzystuje. Robi projekcje tych bożków i w ogóle... Wiesz przecież, że to możliwe, prawda? Prawda, Jackie?

– Wykluczone – odparła Jackie chłodno i spokojnie. – Ale nie potrafię ci wytłumaczyć, skąd o tym wiem.

Jammer wyjął z kieszeni czarny klocek plastiku i zaczął się golić.

– Pewnie – mruknął. Maszynka brzęczała cicho, kiedy gładził nią podbródek. – Przez osiem lat żyłem w cyberprzestrzeni, zgadza się? No i wiem, że niczego tam nie było. Przynajmniej nie wtedy. Zresztą... Mam zadzwonić do Lucasa, żeby cię uspokoić? Masz numer do jego rollsa?

– Nie. Nie warto. Lepiej siedzieć cicho, dopóki nie przyjdzie Beauvoir. – Wstała, odkleiła trody i sięgnęła po kapelusz. – A ja będę leżeć cicho: spróbuję się przespać. Miej oko na Bobby'ego.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Wyglądała jak lunatyczka: nagle spłynęła z niej cała energia.

– Cudownie... – Jammer przejechał maszynką po górnej wardze. – Napijesz się? – zapytał Bobby'ego.

– Właściwie... Jest jeszcze trochę za wcześnie...

– Może dla ciebie. – Schował maszynkę do kieszeni. Drzwi zamknęły się za Jackie. Jammer pochylił się lekko. – Jak oni wyglądali, mały? Przyjrzałeś się?

– Tacy szarzy... Nieokreśleni...

Jammer był wyraźnie zawiedziony. Znów rozparł się wygodnie.

– Chyba nie można ich wyraźnie zobaczyć, jeśli się do tego nie należy. – Zabębnił palcami po poręczy fotela. – Myślisz, że są rzeczywiści?

– No... Ja w każdym razie nie chciałbym któremuś wejść w drogę...

Jammer przyjrzał mu się z uwagą.

– Nie? Może jesteś sprytniejszy, niż na to wyglądasz. Ja też nie chciałbym im wchodzić w drogę. Wycofałem się z gry, nim zaczęli się pojawiać.

– I jak pan myśli, czym są?

– Robisz się coraz sprytniejszy... No więc nie wiem. Trudno mi przełknąć pomysł, że to banda haitańskich bożków *voudou*, ale kto wie? – Zmrużył oczy. – Możliwe, że to program wirusowy, który uwolnił się w matrycy i nabrał rozumu... To dostatecznie straszne. Może ludzie z Turinga chcą to utrzymać w tajemnicy. A może SI znalazły sposób, żeby oddzielić i wpuścić w matrycę części siebie. To by doprowadziło Turinga do szału. Znałem takiego faceta z Tybetu, robił sprzęt dla dżokejów. Uważał, że to są tulpy.

Bobby zamrugał niepewnie.

– Tulpa to forma myślowa. Coś w tym rodzaju. Taki zabobon. Naprawdę potężni faceci umieją oddzielić coś w rodzaju ducha stworzonego z energii negatywnej. – Wzruszył ramionami. – Bzdura. Jak ci goście od *voudou*, kumple Jackie.

– Mnie się wydaje, że Lucas, Beauvoir i wszyscy inni zachowują się, jakby to było realne, a nie tylko sztuczką...

– Trafieś. – Jammer pokiwał głową. – I dzięki temu nieźle się ustawili, więc naprawdę coś tam jest. – Pokręcił głową i ziewnął. – Ja też muszę się przespać. Możesz robić co chcesz, tylko trzymaj łapy z daleka od mojego deku. I nie próbuj wychodzić, bo zaczniesz wyć z dziesięć różnych alarmów. W lodówce za barem jest sok, ser i inny chłam...

* * *

Bobby stwierdził, że lokal – teraz, kiedy pozostał w nim sam – nadal budzi lęk, ale jest miejscem dostatecznie ciekawym, żeby opłacało się trochę przestraszyć. Spacerował przez chwilę za barem, dotykając kurków od piwa i chromowanych dozowników drinków. Stała tam maszyna produkująca lód i druga, lejąca wrzątek. Zrobił sobie filiżankę japońskiej kawy rozpuszczalnej i obejrzał stos kaset audio. Nigdy nie słyszał o żadnym z tych zespołów ani solistów. Nie był pewien, czy oznacza to, że Jammer, który był stary, lubi starą muzykę, czy też były to całkiem nowe utwory, które do Barrytown dotrą – zapewne przez Leona – za jakieś dwa tygodnie... Znalazł broń pod czarno-srebrną uniwersalną konsolą kredytową na końcu baru: rodzaj krótkiego, grubego pistoletu maszynowego z magazynkiem sterczącym z rękojeści. Był przyczepiony pod ladą paskiem żółtego rzepa i Bobby uznał, że lepiej go nie dotykać. Po jakimś czasie nie czuł się już przestraszony, raczej znudzony i podenerwowany. Wziął stygnącą kawę i powędrował na salę. Usiadł przy stoliku i udawał, że jest Grafem Zero, najlepszym w Ciągu artystą konsoli, i czeka tu na paru frajerów, z którymi ma pogadać o interesach, o jakimś wejściu koniecznie im potrzebnym, do którego nikt oprócz Grafa nie jest zdolny.

– Jasne – rzucił do pustego klubu, mrużąc powieki. – Przetnę to dla was... Jeśli macie forszę.

Zbledli, kiedy wymienił cenę.

Lokal był dźwiękoszczelny; nie słyszał gwaru wokół straganów na trzynastym piętrze, jedynie szum jakiegoś systemu klimatyzacji i z rzadka bulgot maszyny z wrzątkiem. Znudzony zagrywkami Grafa, Bobby zostawił filiżankę na stole i przeszedł do wejścia, przesuwając palce po wytartej pluszowej linii zawieszanej na wypolerowanych mosiężnych słupkach. Uważając, by nie dotknąć szklanych drzwi, usiadł obok okna szatni, na prostym metalowym stołku z siedzeniem krytym skajem posklejanym taśmą. W szatni płonęła słaba żarówka; widać było kilkadziesiąt starych drewnianych wieszaków zwisających ze stalowych prętów, każdy z żółtym, ręcznie wypisanym numerkiem. Pomyślał, że Jammer siada tu czasem i wpuszcza klientów. Nie bardzo rozumiał,

dłaczego ktoś, kto przez osiem lat był ostrym kowbojem, miałby prowadzić nocny klub. Ale może to coś w rodzaju hobby. Pewnie w takim klubie można wyrwać sporo dziewczyn... ale przecież i tak ma się ich dość, kiedy człowiek jest bogaty. A jeśli Jammer przez osiem lat był na topie, to przecież musiał być bogaty...

Pomyślał o scenie z matrycy, szarych plamach i głosach... Zadrżał. Wciąż nie rozumiał, dlaczego miało to oznaczać, że Lucas nie żyje. A potem przypomniał sobie, że jego matka też nie żyje, i to również nie wydawało się całkiem realne. Jezu... Wszystko razem zaczynało mu działać na nerwy. Chciałby się znaleźć na zewnątrz, po tamtej stronie drzwi, obejrzeć stragany, kupujących i ludzi, którzy tam pracują...

Wyciągnął rękę i odsunął aksamitną zasłonę – tyle tylko, żeby spojrzeć przez grube szkło na tęczy chaos straganów i charakterystyczny spacerowy krok kupujących. I tam, jak w ramce, pośrodku tego wszystkiego, obok stołu zastawionego używanymi analogowymi monitorami wideo, próbnikami stanów logicznymi i podzielnikami mocy, zobaczył niemającą rasy, grubokościstą twarz Leona. Głęboko osadzone paskudne oczy spojrzały na Bobby'ego z niemal słyszalnym pstryknięciem rozpoznania. A potem Leon zrobił coś, czego Bobby nigdy u niego nie widział: uśmiechnął się.

Steward JAL zaproponował jej do wyboru kilka symstymowych kaset: wystawę Foxtona w Tate Gallery z zeszłego sierpnia, historyczną przygodówkę nagrywaną w Ghanie („Ashanti!”), najpiękniejsze arie z „Carmen” Bizeta oglądanej z prywatnej łoży w Operze Tokijskiej albo trzydzieści minut talk-show Tally Isham „Wyższe sfery”.

– To pani pierwszy lot, pani Ovski?

Marly przytaknęła. Podała Paleologosowi panięńskie nazwisko matki, co nie było chyba najrozsądniejszym posunięciem.

Steward uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Kasetą złagodzi wrażenia przy starcie. „Carmen” jest w tym tygodniu bardzo popularna. Wspaniałe kostiumy, jak słyszałem.

Pokręciła głową. Nie miała nastroju do słuchania opery. Nie cierpiała Foxtona i wolałaby poczuć pełną moc akceleracji niż przeżyć „Ashanti!”. Wzięła taśmę Isham odruchowo, jako najmniejsze zło.

Steward sprawdził jej pasy, wręczył kasetę i małą jednorazową tiarę z szarego plastiku. Potem odszedł. Umocowała trody, włączyła kabel do gniazda w poręczy fotela, westchnęła i wcisnęła kasetę do szczeliny obok gniazda. Wnętrze promu JAL zniknęło w rozbłysku egejskiego błękitu; słowa WYŻSZE SFERY TALLY ISHAM rosły na bezchmurnym niebie w eleganckich, bezszeryfowych wersalikach.

Odkąd Marly sięgała pamięcią, Tally Isham była stałym elementem przemysłu stymowego: niemająca wieku Złota Dziewczyna, która pojawiła się wraz z pierwszą falą nowego medium. I teraz Marly zajęła jej opalone, zwinne, niesłychanie... wygodne ciało. Tally Isham lśniła, oddychała

głęboko i swobodnie, jej eleganckie kości poruszały się w objęciach muskulatury, która chyba nigdy nie poznała napięcia. Wejście w jej stym było jak zanurzenie w kąpeli idealnego zdrowia: czuła sprężystość stóp gwiazdy, jej piersi ocierające się o jedwabście gładką egipską bawełnę prostej bluzki. Opierała się o białą balustradę ponad małym portem na greckiej wysepce; w dole kwitnące drzewa porastały kaskadami zbocze wzgórza zabudowane bielonym kamieniem i wąskimi, krętymi schodami. Z portu dobiegł dźwięk syreny.

– Turyści śpiesznie wracają na spacerowy statek – powiedziała Tally i uśmiechnęła się. Marly poczuła gładkość białych zębów gwiazdy, a kamienna balustrada przyjemnie chłodziła nagie przedramiona. – Ale jeden z gości naszej wyspy zostanie dzisiaj z nami. To ktoś, kogo od dawna chciałam poznać, i jestem pewna, że wy także będziecie zachwyceni... I zdumieni, gdyż zwykle unika mediów.

Wyprostowała się, odwróciła i uśmiechnęła do opalonego, również uśmiechniętego Josefa Vireka...

Marly zerwała z czoła trody; wokół zaskoczył na miejsce biały plastik ścian promu. Na konsoli nad głową mrugały ostrzegawcze napisy, czuła coraz silniejszą wibrację...

Virek? Spojrzała na trody.

– No tak... – stwierdziła. – Rzeczywiście należy pan do wyższych sfer...

– Przepraszam panią? – Siedzący obok japoński student podskoczył w pasach, dziwacznie aproksymując ukłon. – Czyżby miała pani jakieś kłopoty ze swoim stymem?

– Nie, nie. Proszę wybaczyć.

Umocowała trody i wewnątrz promu rozplynęło się w brzęczeniu sensorycznych zakłóceń, w ostrej mieszaninie wrażeń, która nagle ustąpiła miejsca chłodnej gracji Tally Isham. Trzymała dłoń Vireka i uśmiechała się, patrząc w jego spokojne niebieskie oczy. Virek odpowiedział uśmiechem; zęby miał bardzo białe.

– Cieszę się, że jestem z tobą, Tally – powiedział. Marly pozwoliła sobie zatonać w rzeczywistości taśmy, akceptując wrażenia zmysłowe Tally.

Zwykle unikała stymu jako środka przekazu: coś w jej charakterze powodowało konflikt z niezbędną dozą bierności.

Virek miał na sobie białą koszulę, podwinięte prawie do kolan wąskie spodnie i całkiem zwykle brązowe sandały. Wciąż trzymając go za rękę, Tally wróciła do balustrady.

– Jestem przekonana – powiedziała – że jest wiele pytań, jakie nasza publiczność...

Morze zniknęło. Nieregularna płaszczyna pokryta podobnymi do mchu zielono-czarnymi porostami rozciągnęła się aż po horyzont, przełamany sylwetkami neogotyckich iglic Gaudiego w kościele Sagrada Familia. Kraniec świata przesłaniała błyszcząca mgiełka, a nad równiną niósł się dźwięk jakby zatopionych dzwonów.

– Dzisiaj masz jednoosobową publiczność – oświadczył Virek, patrząc na Tally Isham przez swoje okrągłe szkła bez oprawek. – Witaj, Marly.

Marly spróbowała sięgnąć do trod, ale ręce miała jak głazy. Przeciążenie... Prom startuje z betonowej płyty... Uwięził ją tutaj...

– Rozumiem. – Tally z uśmiechem oparła się o balustradę. – Cóż za cudowny pomysł. Pańska Marly, Herr Virek, musi być szczęśliwą dziewczyną...

I wtedy przyszło jej – Marly – do głowy, że to nie Tally Isham Sense/Netu, ale część konstruktu Vireka, zaprogramowany punkt widzenia opracowany na podstawie lat „Wyższych sfer”. Nie miała już wyboru, nie miała wyjścia, musiała się pogodzić, ustąpić, wysłuchać Vireka. Fakt, że schwytał ją tutaj, uwięził w taki sposób, dowodził, że intuicja jej nie zawodziła: maszyna, struktura, istniała naprawdę, była realna. Pieniądze Vireka działały niczym uniwersalny rozpuszczalnik: kiedy tylko zechciał, usuwały wszelkie przeszkody.

– Z przykrością dowiedziałem się, że jesteś poruszona – rzekł. – Paco sądzi, że uciekasz przed nami, ja jednak wolę w tym widzieć pęd artysty do bliskiego już celu. Wyczułaś, jak przypuszczam, pewne aspekty mojej natury, i to cię przeraziło. I powinno. Tę kasetę przygotowano na godzinę przed planowanym startem promu z Orly. Wiemy, naturalnie, dokąd zmierzasz, nie mamy jednak zamiaru cię ścigać. Wykonujesz swoje

zadanie, Marly. Żałuję tylko, że nie zdołaliśmy zapobiec śmierci twojego przyjaciela Alaina. Ale znamy już tożsamość zabójców i ich pracodawców...

Oczy Tally Isham były teraz oczami Marly i wpatrywały się w Vireka, w błękitną energię płonącą w jego spojrzeniu.

– Alaina zamordowali ludzie wynajęci przez Maas Biolabs – mówił dalej. – I to Maas dostarczył mu współrzędne celu twojej obecnej podróży, Maas dał hologram, który ci pokazał. Moje relacje z Maas Biolabs są dość ambiwalentne, mówiąc delikatnie. Dwa lata temu mój przedstawiciel próbował ich wykupić. W grę wchodziła suma, która wpłynęłaby na globalną ekonomię. Odmówili. Paco ustalił, że Alain zginął, gdyż próbował sprzedać uzyskaną od nich informację, sprzedać ją osobom trzecim... – Zmarszczył brwi. – Niezwykle głupie posunięcie, jako że nie miał pojęcia o naturze oferowanego produktu...

Jakie to podobne do Alaina, pomyślała z uczuciem litości. Pamiętała go zwiniętego na tym obrzydliwym dywanie, z kręgosłupem zarysowanym pod zielonym materiałem kurtki...

– Powinnaś chyba wiedzieć, Marly, że w moich poszukiwaniach twórcy pudełek chodzi nie tylko o sztukę. – Zdjął okulary i przetarł je połą koszuli. Dostrzegła coś nieprzyzwoitego w wykalkulowanym człowieczeństwie tego gestu. – Mam powody, by sądzić, że twórca tych obiektów dysponuje pewnymi możliwościami zapewnienia mi wolności. Widzisz, Marly, z moim zdrowiem nie jest najlepiej. – Włożył okulary na nos i starannie dopasował. – Kiedy ostatnio zażądałem zdalnej wizji tego pojemnika, w którym spoczywam w Sztokholmie, pokazano mi maszynę jak trzy naczepy samochodowe, oplątane siecią kabli zasilających... Gdybym mógł się stamtąd wyrwać, Marly, a raczej wyrwać się z tej rebelii komórek, jakie się tam mieszczą... Jak sądzisz? – Znowu zaprezentował swój słynny uśmiech. – Ile bym zapłacił?

A oczy Tally-Marly objęły równinę ciemnego mchu i dalekie wieże przeniesionej katedry...

* * *

– Straciła pani przytomność – mówił steward. Palce masowały jej kark. – Zdarza się to dość często, a nasze pokładowe komputery medyczne potwierdzają, że nic pani nie dolega. Pozwoliłem sobie jednak zaaplikować pani dermadysk, przeciwdziałający syndromowi adaptacyjnemu, jakiego może pani doświadczyć przed dokowaniem.

Cofnął lewą dłoń z jej szyi.

– „Europa po deszczu” – odparła. – Max Ernst. Mech...

Mężczyzna przyjrzał się jej, zaniepokojony teraz, z wyrazem profesjonalnej troski.

– Słucham? Mogłaby pani powtórzyć?

– Przepraszam. Miałam sen. Czy dolatujemy już do terminalu?

– Jeszcze godzina.

* * *

Terminal orbitalny Japan Air był białym toroidem porośniętym kopułami, z ciemnymi owalnymi otworami doków na obwodzie. Monitor nad uprzężą Marly – choć słowo „nad” chwilowo straciło sens – poinformował, że dokowanie promu JAL, lot 580 z Orly do Terminusa I, nastąpi, gdy tylko będzie to możliwe. Pasażerów przeprosza się za opóźnienie, spowodowane rutynowymi naprawami siedmiu z dwunastu doków...

Marly kulila się w uprząży anty-g, wszędzie już teraz widząc niewidzialną rękę Vireka. Nie, pomyślała, musi być jakiś sposób. Chcę się wyrwać, powtarzała, chcę kilku godzin swobody, a potem skończę z nim... Żegnam, Herr Virek, wracam do krainy żywych, co dla biednego Alaina nie jest już możliwe. Alaina, który zginął, ponieważ przyjąłem pracę u pana. Zamrugła, gdy spłynęła jej pierwsza łza, a potem, jak dziecko szeroko otwierając oczy, patrzyła na maleńką pływającą w powietrzu kulkę, jaką ta łza się stała...

Maas... Co to za jedni, zastanowiła się. Virek twierdził, że zamordowali Alaina, zatem Alain dla nich pracował. Niejasno przypominała sobie artykuły w mediach, coś o nowej generacji komputerów, o jakimś złowieszczym procesie, w którym nieśmiertelne zrakowaciałe hybrydy

tkanek wypluwały spreparowane molekuly będące elementami obwodów. Przypomniała sobie, jak Paco stwierdził, że ekran w jego telefonie jest produktem Maasa...

* * *

Wnętrze toroidu JAL było tak nieciekawe, tak zwyczajne, tak podobne do każdego zatłoczonego budynku lotniska, że miała ochotę wybuchnąć śmiechem. W tak samo klimatyzowanym powietrzu unosił się ten sam zapach perfum, ludzkiego napięcia, ten sam szum rozmów w tle. Gdyby zabrała walizkę, łatwiej byłoby ją nieść przy ciężeniu ośmiu dziesiątych ziemskiego, ale miała tylko swoją czarną torebkę. Wyjęła bilety z jej wewnętrznej zapinanej kieszonki i porównała numer promu połączeniowego z kolumnami cyfr wyświetlonych na najbliższym ściennym ekranie.

Dwie godziny do startu. Cokolwiek mówił Virek, Marly była pewna, że jego maszyna już pracuje, przenika do załogi promu albo na listę pasażerów, smarując te zastępstwa warstwą pieniędzy... W ostatniej chwili nastąpią jakieś zachorowania, zmiany planów, wypadki...

Zarzuciła torebkę na ramię i ruszyła przed siebie po wklęsłej podłodze z białej ceramiki – całkiem jakby wiedziała, dokąd idzie, jakby miała już plan. Ale wiedziała tylko, z każdym krokiem coraz lepiej, że go nie ma.

Prześladowały ją łagodne błękitne oczy.

– Niech cię szlag trafi – powiedziała.

Tęgi rosyjski biznesmen w ciemnym garniturze z Ginzy parsknął niechętnie i uniósł faks wiadomości, usuwając ją ze swojego świata.

* * *

– Więc mówię tej dziwce, rozumiesz: załadujesz te optoizolatory i bezpieczniki na *Sweet Jane*, bo jak nie, to przykleję ci tyłek do wręgi pastą do uszczelek...

Głośny śmiech sprawił, że Marly podniosła głowę znad tacki z sushi. Trzy kobiety siedziały o dwa puste stoliki od niej, przy blacie zastawionym puszkami piwa i stosami styropianowych tacek zasmarowanych brązowym sosem sojowym. Jedna z nich czknęła głośno i pociągnęła z puszki.

– I jak to przyjęła, Rez?

Stało się to sygnałem do kolejnego, jeszcze głośniejszego wybuchu śmiechu; kobieta, która pierwsza zwróciła uwagę Marly, oparła głowę na rękach i chichotała, aż trzęsły się jej ramiona. Marly patrzyła na nie nieruchomo, zastanawiając się, kim są. Śmiech ucichł i pierwsza z kobiet wyprostowała się, przecierając załzawione oczy. Wszystkie były pijane, uznała Marly, młode, hałaśliwe i szorstkie. Pierwsza była drobna, z twarzą o ostrych rysach i dużych szarych oczach nad prostym nosem. Włosy w jakimś niemożliwym odcieniu srebra miała ścięte krótko jak uczniak. Nosila za wielką płócienną kamizelkę czy kurtkę bez rękawów, całkowicie pokrytą wypchanymi kieszeniami, guzikami i prostokątnymi paskami rzepów. Kamizelka była rozpięta i Marly widziała niewielką krągłą pierś w czymś, co wyglądało na stanik z drobnej różowo-czarnej koronki. Pozostałe dwie kobiety wydawały się starsze, cięższe, mięśnie na ich nagich ramionach rysowały się ostro w padającym na pozór zewsząd świetle kafeterii terminalu.

Pierwsza kobieta wzruszyła ramionami pod wielką kamizelką.

– Nie znaczy, że to zrobi – stwierdziła.

Druga zaśmiała się znowu, choć już nie tak serdecznie, i zerknęła na chronometr umocowany na szerokiej skórzanej bransolecie.

– Muszę lecieć – oznajmiła. – Mam rejs na Syjon, potem osiem pojemników alg dla Szwedów.

Odsunęła krzesło i wstała, a Marly odczytała napis wyszyty na plecach jej czarnej skórzanej kamizelki.

O'GRADY – WAJIMA

THE EDITH S.

TRANSPORT INTERORBITALNY

Kobieta obok także wstała i podciągnęła workowate dzinsy.

– Powiem ci, Rez, że stracisz dobre imię, jeśli pozwolisz tej cipce wykiwać się na bezpiecznikach.

– Przepraszam – wtrąciła Marly, z trudem panując nad drżeniem głosu. Kobieta w czarnej kamizelce obejrzała się.

– Tak?

Bez uśmiechu zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

– Zobaczyłam pani kamizelkę, nazwę *Edith S.*, to statek, prawda? Statek kosmiczny?

– Statek kosmiczny? – Kobieta obok uniosła gęste brwi. – O tak, kochana, całkiem solidny statek.

– To holownik – oznajmiła kobieta w czarnej kamizelce i odwróciła się w stronę wyjścia.

– Chcę panią wynająć – rzuciła Marly.

– Mnie wynająć? – Teraz wszystkie już na nią patrzyły, zdziwione i poważne. – To znaczy jak?

Marly sięgnęła do brukselskiej torebki i wyjęła połowę pliku nowych jenów, które zwrócił jej Paleologos, kiedy pobrał już swoją zapłatę.

– Dam pani to...

Dziewczyna o krótkich srebrzystych włosach gwizdnęła cicho. Kobiety spojrzały po sobie. Ta w czarnej kamizelce wzruszyła ramionami.

– Jezu... – mruknęła. – A dokąd chcesz lecieć, dziecinko? Na Marsa?

Marly znów sięgnęła do torebki i odszukała złożone opakowanie gauloisesów. Wręczyła je kobiecie w czarnej kamizelce. Ta rozwinęła papier i odczytała współrzędne orbitalne, jakie Alain wypisał tam zielonym mazakiem.

– No tak... – stwierdziła. – To szybki skok za takie pieniądze. Ale O’Grady i ja mamy być w Syjonie o 23.00 GMT. Kontrakt. Może ty, Rez?

Oddała papier siedzącej dziewczynie. Ta przeczytała, spojrzała na Marly i zapytała krótko:

– Kiedy?

– Teraz – odparła Marly. – Natychmiast.

Dziewczyna odsunęła się; nogi krzesła zgrzytnęły na ceramicznej podłodze, kamizelka rozsunęła się, ukazując, że to, co Mary wzięła za

koronkowy różowo-czarny stanik, było wytatuowaną różą, całkowicie zakrywającą lewą pierś.

– Wchodzę w to, siostró. Szmal na stół.

– To znaczy, że masz jej teraz dać pieniądze – wyjaśniła O’Grady.

– Nie chcę, żeby ktoś wiedział, dokąd lecimy – zastrzegła Marly.

Trzy kobiety roześmiały się.

– Trafiłaś na odpowiednią dziewczynę – stwierdziła O’Grady i Rez wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Deszcz lunął, kiedy znów skręcili na wschód, w stronę przedmieść Ciągu i pierścienia zdewastowanych stref przemysłowych. Chlusnął jak ściana wody, oślepił, póki Turner nie odszukał włącznika wycieraczek. Rudy nie konserwował ich, więc Turner zwolnił – wycie turbiny zmieniło się w niski huk – i wyhamował na poboczu. Fartuch przesuwiał się po strzępach pociętych opon ciężarówek.

– Co się stało?

– Nie widzę. Wycieraczki całkiem sparciwały. – Wcisnął przełącznik świateł i z obu stron klinowej maski poduszkowca strzeliły cztery wąskie promienie, by rozproszyć się w szarej ścianie ulewy. Pokręcił głową.

– Dlaczego się nie zatrzymamy?

– Jesteśmy za blisko Ciągu. Patrolują tu wszystko. Śmigłowce. Przeskanują panel ID na dachu i zobaczą, że mamy rejestrację z Ohio i nietypową konfigurację karoserii. Może spróbują nas sprawdzić, a tego byśmy nie chcieli.

– I co pan teraz zrobi?

– Będę się trzymał pobocza, póki nie uda się gdzieś skręcić, a potem znajdę jakąś kryjówkę, jeśli zdołam...

Zatrzymał poduszkowiec i obrócił go w miejscu; światła błysnęły na ukośnych odblaskowych pasach słupka oznaczającego drogę serwisową. Ruszył w tamtą stronę; nadęta poduszka fartucha wygięła się na grubym, prostokątnym bloku betonowej balustrady.

– Może to wystarczy – powiedział, mijając słupek.

Droga serwisowa była trochę za wąska; gałęzie i krzaki skrobały wąskie boczne okna, drapały po stalowych burtach pojazdu.

– Widzę jakieś światła! – zawołała Angie, napinając uprząż, by zbliżyć twarz do przedniej szyby.

Turner dostrzegł rozmyte żółte lśnienie i dwa ciemne pionowe kształty. Roześmiał się.

– To stacja benzynowa. Została po starym systemie, zanim jeszcze puścili tędy autostradę. Ktoś musi tu mieszkać... – Skierował poduszkowiec na zwirowy nasyp; z dwóch prostokątnych okien padał żółty blask. Miał wrażenie, że w jednym z nich poruszyła się jakaś postać. – Wieś – powiedział. – Ci chłopcy mogą się nie ucieszyć z naszej wizyty.

Sięgnął pod parkę, wyjął smith & wessona z nylonowej kabury i położył na fotelu między nogami. Usadził poduszkowiec w kałuży oddalanej pięć metrów od zardzewiałych pomp. Wyłączył turbinę. Deszcz wciąż padał falami; Turner zauważył człowieka w oliwkowym poncho, wysuwającego się przez drzwi stacji. Uchylił boczne okienko na jakieś dziesięć centymetrów i zawołał, przekrzykując szum ulewy:

– Przepraszam, że przeszkadzamy! Musieliśmy zjechać z drogi! Wycieraczki mamy do niczego! Nie wiedzieliśmy, że kogoś tu spotkamy...

Widoczny w padającym z okien świetle mężczyzna chował ręce pod plastikowym poncho, było jednak jasne, że coś w nich trzyma.

– Teren prywatny – oznajmił; deszcz spływał mu po twarzy.

– Nie mogę zostać na drodze! – krzyknął Turner. – Przepraszam...

Mężczyzna otworzył usta, spróbował machnąć ukrytym pod poncho przedmiotem i nagle głowa mu eksplodowała. Turner miał wrażenie, że nastąpiło to, zanim dotknęła go czerwona linia światła: promień grubości ołówka przesuwany się beztrąsko, jakby ktoś bawił się latarką. Zobaczył rozprysk czerwieni splukanej szybko deszczem, gdy mężczyzna osunął się na kolana i upadł na twarz; spod poncho wysunął się savage 410 ze składaną kolbą.

Turner działał odruchowo; zorientował się nagle, że uruchomił turbinę, przesunął sterownik do Angie i wyplątał się z uprzęży.

– Powiem: „jedź”, to ruszysz prosto na stację...

A potem już stał z ciężkim rewolwerem w dłoni. Szarpnął dźwignię wjazdu na dachu. Gdy tylko odrzucił luk, dobiegł go ryk czarnej hondy: niski cień nad głową, ledwie widoczny wśród strumieni wody.

– Jedź!

Nacisnął spust zanim zdążyła wbić pojazd w ścianę stacji; pchnięty odrzutem łokieć trafił w krawędź dachu kabiny. Pocisk eksplodował nad głową z zadowalającym trzaskiem; Angie pchnęła pedał gazu i przebili się przez drewnianą konstrukcję; ledwie zdążył schować do wjazdu głowę i ramiona. W budynku coś wybuchło, zapewne butla z propanem, i poduszkowiec zniosło na lewo.

Angie zawróciła w miejscu, kiedy tylko przebili tylną ścianę.

– Gdzie?! – wrzasnęła, przekrzykując turbinę.

Jakby w odpowiedzi, honda opadła korkociągiem na ziemię, wyrzucając srebrzystą kurtynę deszczu. Turner chwycił kierownicę i ruszyli do przodu; poduszkowiec wyrzucał dziesięciometrowe odkosy wody; uderzyli mały śmigłowiec prostopadle w polikarbonowąabinę i duralowy kadłub zmiął się pod naciskiem jak papier. Turner cofnął i uderzył znowu, mocniej. Tym razem połamany śmigłowiec trafił na pnie dwóch szarych, mokrych sosen i spoczął między nimi jak długoskrzydła mucha.

– Co się stało? – Angie zakryła dłońmi twarz. – Co się stało?

Turner wyrzucił ze skrytki dokumenty rejestracyjne i zakurzone słoneczne okulary, znalazł latarkę, sprawdził baterie.

– Co się stało? – powtarzała Angie jak magnetofon. – Co się stało?

Wyszedł przez luk z pistoletem w jednej i latarką w drugiej ręce. Deszcz trochę ustał. Zeskoczył na maskę poduszkowca, potem na zderzaki i w kałuży po kostki pobrał w stronę pogiętych czarnych wirników hondy.

Cuchnęło paliwem lotniczym. Polikarbonowa osłona kabiny pękła jak skorupka jaja. Wymierzył smith & wessona i dwa razy błysnął ksenonowym reflektorem; dwie bezgłośnie eksplozje ostrego światła ukazały mu krew i bezwładne kończyny za strzaskanym plastikiem. Odczekał, potem zapalił latarkę. Dwaj mężczyźni. Podszedł bliżej, trzymając latarkę z daleka od tułowia... stare przyzwyczajenie. Żadnego ruchu. Zapach benzyny był coraz silniejszy. Szarpnął pogięte drzwiczki.

Ustąpiły. Obaj nosili gogle wzmacniaczy wizji. Okrągłe, czarne oko lasera wpatrywało się w noc, gdy sięgał do zlepionego kołnierza futrzanej lotniczej kurtki trupa. Krew, która pokrywała brodę mężczyzny, wydawała się ciemna, niemal czarna w świetle latarki. To był Oakey. Poświecił w bok i przekonał się, że drugi z mężczyzn, pilot, był Japończykiem. Rozejrzał się i znalazł obok stopy Oakeya czarną, płaską butelkę. Wsunął ją do kieszeni parki i biegiem wrócił do poduszki. Mimo deszczu pomarańczowe płomienie lizały już ruiny stacji benzynowej. Wspiął się na zderzak, potem na maskę, jeszcze wyżej, wreszcie przez właz na dół.

– Co się stało? – spytała Angie, jakby w ogóle nie wychodził. – Co się stało?

Opadł na fotel i, nie przejmując się uprzężą, uruchomił turbinę.

– To śmigłowiec Hosaki – wyjaśnił, robiąc zwrot w miejscu. – Musieli nas śledzić. Mieli laser. Czekali, aż zjedziemy z autostrady. Nie chcieli nas zostawiać w miejscu, gdzie gliny bez trudu by nas znalazły. Kiedy zatrzymaliśmy się tutaj, postanowili zaatakować. Pewnie uznali, że ten nieszczęsny sukinsyn jest z nami. A może po prostu zlikwidowali świadka...

– Jego głowa – powiedziała. Głos jej drżał. – Jego głowa...

– To laser. – Turner ruszył z powrotem drogą serwisową. Deszcz ustawał; już prawie nie padało. – Para. Mózg się gotuje i para rozsadza czaszkę...

Angie zgięła się wzdłuż i z wymiotowała. Turner kierował jedną ręką, w drugiej trzymał flaszkę Oakeya. Zębami zdjął nakrętkę i pociągnął solidny łyk wild turkey.

Kiedy znaleźli się na poboczu autostrady, paliwo hondy dotarło do płomieni zrujnowanej stacji i kula wybuchu raz jeszcze ukazała Turnerowi parking, blask flar na spadochronach, niebo bielejące za harrierm mknącym ku granicy Sonory.

Angie wyprostowała się, grzbietem dłoni otarła wargi i zadrżała.

– Musimy stąd zniknąć – powiedział, ruszając znowu na wschód.

Milczała. Zerknął w bok i zobaczył, że siedzi sztywno wyprostowana, oczy błyszczą białkami w słabym świetle wskaźników, twarz ma jak

martwą. Taką ją widział w sypialni Rudy'ego, kiedy Sally ich zawołała. I teraz zabrzmiał taki sam potok słów w obcym języku, cichy szybki bełkot, który mógłby być jakąś francuską gwara. Nie miał rejestratora, nie miał czasu, musiał prowadzić.

– Trzymaj się – powiedział, przyśpieszając. – Wszystko będzie dobrze...

Oczywiście nie mogła go słyszeć. Szczękała zębami – słyszał to mimo wycia turbiny. Zatrzymać, pomyślał. Choćby na moment, żeby wsadzić jej coś między zęby: portfel albo kawałek szmaty. Rozpaczliwie szarpała palcami uprząż.

– W moim domu jest chore dziecko.

Poduszkowiec niemal zjechał z jezdni, kiedy Turner usłyszał głos wydobywający się z jej ust: niski, powolny, jakby dziwnie lepki.

– Słyszę już, jak toczą się kości w grze o jej pokrwawioną suknię. Wiele rąk kopie jej dzisiaj grób i twoje między nimi. Wrogowie modlą się o twoją śmierć, najemniku. Modlą się do siódmych potów. Ich modlitwy są rzeką szaleństwa.

A potem głucho krakanie, które mogło być śmiechem.

Turner zaryzykował spojrzenie, dostrzegł srebrzystą strużkę śliny ściekającą z jej sztywnych warg. Mięśnie twarzy ściągnęły się w maskę, jakiej nie znał.

– Kim jesteś?

– Jestem Panem Dróg.

– Czego chcesz?

– Tego dziecka na mojego wierzchowca, by mogła wędrować między miastami ludzi. Dobrze, że jedziesz na wschód. Zabierz ją do swojego miasta. Dosiądę jej znowu. Samedzi jedzie wraz z tobą, wojowniku. Jest wiatrem, który trzymasz w dłoniach. Ale Pan Cmentarzy jest kapryśny, chociaż służyłeś mu dobrze...

Odwrócił głowę i zdążył jeszcze zobaczyć, jak osuwa się bezwładnie, jak opada jej głowa i zamykają się usta.

– Tu program telefoniczny Finna – odezwał się głośnik pod ekranem. – Finna nie ma. Chcesz coś ściągnąć, to znasz już kod dostępu. Chcesz zostawić wiadomość, to już zostaw.

Bobby wpatrywał się w obraz na ekranie i wolno kręcił głową. Większość programów telefonicznych dysponowała procedurami kosmetycznymi, mającymi doprowadzić wizerunek właściciela do większej zgodności z co bardziej popularnymi paradygmatami osobistej urody: usuwały skazy i subtelnie modelowały rysy twarzy, by zbliżyć ją do wyidealizowanych norm statystycznych. Efekt działania takiej procedury na groteskowym obliczu Finna był najdziwaczniejszą rzeczą, jaką Bobby w życiu oglądał: jakby ktoś wziął się za pyszczek zdechłego susła z pełnym asortymentem kredek i zastrzyków parafiny, stosowanych przez zakłady pogrzebowe.

– To nie jest naturalne – oświadczył Jammer, sącząc wolno scotcha.

Bobby przytaknął.

– Finn – stwierdził Jammer – jest agorafobem. Dostaje dreszczy, kiedy musi wyjść z tego swojego śmietnika. Poza tym jest telefonicznym narkomanem: jeśli jest u siebie, to nie może nie odebrać. Zaczynam sądzić, że ta dziwka miała rację. Lucas nie żyje i dzieje się coś paskudnego...

– Ta dziwka wie – wtrąciła Jackie z za baru.

– Wie... – Jammer odstawił plastikową szklankę i dotknął tasiemki na szyi. – Wie. Pogadała z hoodoo w matrycy i teraz wie.

– Lucas nie odpowiada i Beauvoir nie odpowiada, więc może ma rację. – Bobby wyłączył telefon, gdy zapiszczał sygnał zapisu.

Jammer włożył pikowaną koszulę, białą wieczorową marynarkę i czarne spodnie z atlasowymi pasami na nogawkach. Bobby uznał, że to pewnie roboczy kostium właściciela nocnego klubu.

– Nikogo nie ma – zauważył Jammer, spoglądając to na Bobby'ego, to na Jackie. – Gdzie Bogue i Sharkey? Gdzie kelnerki?

– Kto to są Bogue i Sharkey? – zdziwił się Bobby.

– Barmani. Nie podoba mi się to. – Jammer wstał, podszedł do drzwi i ostrożnie odsunął na bok kotarę. – Co, do cholery, robią tutaj te dupki? Hej, Graf, to wygląda na twoje towarzystwo. Podejdź tu...

Bobby wstał, pełen złych obaw. Nie miał ochoty opowiadać Jackie i Jammerowi, że pozwolił się zobaczyć Leonowi. Nie chciał wyjść na wilsona. Podszedł niepewnie do drzwi.

– No już. Wyjrzyj. Tylko żeby cię nie zobaczyli. Tak bardzo udają, że na nas nie patrzą, że człowiek czuje to nosem.

Bobby odsunął kotarę – bardzo ostrożnie, żeby szczelina nie była szersza niż centymetr – i spojrzał. Tłumy kupujących zniknęły, niemal całkowicie zastąpione przez Gothików z czarnymi czubami, w nabijanych ćwiekami skórach oraz – zadziwiające – równą liczbę blond Kasuali, wystrojonych w aktualne na ten tydzień garnitury z Shinjuku i białe trzewiki ze złotymi klamrami.

– Sam nie wiem... – Spojrzał niepewnie na Jammera. – Nie powinni tu być razem. To Kasuale i Gothicy, naturalni wrogowie. Mają to w DNA czy gdzieś... – Zerknął jeszcze raz. – Rany boskie, jest ich tam chyba setka!

Jammer wbił ręce w kieszenie spodni z lampasami.

– Znasz kogoś z nich osobiście?

– Gothików paru znam, rozmawiam z nimi. Tyle że ciężko ich odróżnić. Kasuale kasują wszystko, co nie jest Kasuałem. Głównie tym się zajmują. Ale mnie pocięli Lobowie, a Lobowie mają podobno układ z Gothikami, więc kto wie...

Jammer westchnął.

– Zgaduję więc, że nie miałbyś ochoty przejść się do nich i zapytać, czego tu szukają?

– Nie – odparł szczerze Bobby. – Nie miałbym.

– Hmm... – Jammer przyjrzał mu się badawczo, w sposób, jaki Bobby'emu stanowczo się nie podobał.

Coś małego i twardego spadło z wysokiego czarnego sufitu i stuknęło głośno w okrągły czarny stolik. Odbiło się na dywan, potoczyło i zatrzymało między czubkami nowych butów Bobby'ego. Pochylił się odruchowo: staromodna śrubka ze szczeliną w łebku, z gwintem brązowym od rdzy i pomazana czarną lateksową farbą. Podniósł głowę w chwili, gdy o stolik uderzyła druga; kątem oka dostrzegł, jak niepokojąco zwinny Jammer przeskakuje bar obok jednostki kredytowej. Jammer zniknął, rozległ się głos darcia – to rzep – i Bobby wiedział, że właściciel lokalu trzyma już w ręku automatyczny pistolet. Rozejrzał się, ale nie zauważył Jackie.

Upadek trzeciej śrubki na fornir blatu zabrzmiał jak wybuch.

Bobby zawahał się, ale natychmiast poszedł za przykładem Jackie i schował się możliwie najciszej. Przykucnął pod jednym z drewnianych parawanów i patrzył, jak spada czwarta śrubka, a po niej wąska kaskada drobnego czarnego pyłu. Coś zazgrzytało i kwadratowa płyta w suficie zniknęła nagle, wciągnięta do jakiegoś kanału. Zerknął szybko na bar i zobaczył pękaty kompensator odrzutu na podnoszącej się lufie pistoletu Jammera...

Z otworu zwisała teraz para szczupłych brązowych nóg i skraj szarego, przybrudzonego kurzem materiału.

– Stój, to Beauvoir!

– Pewnie, że Beauvoir – dobiegł głos z góry, odbijający się głuchym echem w przewodzie wentylacyjnym. – Usuńcie mi z drogi ten pieprzony stolik!

Bobby wybiegł zza parawanu, odsunął na bok stolik i krzesła.

– Łap to – nakazał Beauvoir i spuścił wypchany oliwkowy plecak; ciężar niemal powalił Bobby'ego na podłogę. – I odsuń się.

Opuścił się z przewodu, na moment zawisł na obu rękach i zeskoczył.

– Co się stało z brzęczykiem, który miałem na górze? – zapytał Jammer, wstając zza baru z bronią w ręku.

– Jest tutaj – odparł Beauvoir, rzucając na dywan matowy szary walec żywicy fenolowej. Był owinięty cienkim czarnym drutem. – Inaczej nie mógłbym się tu dostać tak, żeby o tym nie wiedziała ta regularna armia górniarzy. Ktoś dał im chyba plany budynku, ale pominął to przejście.

– A jak wszedłeś na dach? – spytała Jackie, wychodząc zza parawanu.

– Nie wchodziłem. – Beauvoir poprawił na nosie swoje plastikowe ramki. – Z wieżowca obok wystrzeliłem linkę monomolu i przejechałem na ceramicznej rolce... – Krótkie kędzierzawe włosy miał przyprószone sadzą. Spojrzał posępnie na Jackie. – Już wiesz...

– Tak. Legba i Papa Ougou, w matrycy. Włączyłam się z Bobbym z deku Jammera.

– Rozwalili Ahmeda na autostradzie Jersey. Użyli chyba tej samej wyrzutni co przy staruszce Bobby'ego...

– Kto?

– Wciąż nie mamy pewności. – Beauvoir uklęknął przy plecaku i otworzył plastikowe klamry. – Ale sprawy zaczynają się klarować... Zanim się dowiedziałem, że uderzyli w Lucasa, ścigałem tych dwóch Lobów, którzy napadli Bobby'ego i zwinęli dek. To był prawdopodobnie przypadek, robota jak każda, ale to znaczy, że gdzieś tam biega dwóch Lobów z naszym lodolamaczem... Co daje pewne możliwości, bo Lobowie to szpanerzy, przynajmniej niektórzy, i robią interesy z Dwoma-Dziennie. No więc Dwa-Dziennie i ja szperaliśmy tam i próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć. Wszystko na nic, jak się okazało... Ale kiedy rozmawialiśmy z takim ćpunem imieniem Alix, który jest drugim zastępcą wodza czy czymś w tym rodzaju, dostał telefon od swojego odpowiednika, w którym Dwa-Dziennie rozpoznał Gothika z Barrytown, niejakiego Raymonda.

Mówiąc, wypakowywał plecak, układał na podłodze broń, amunicję, narzędzia, zwoje drutu.

– Raymond koniecznie chciał pogadać, ale Alix to ważniak, nie życzył sobie rozmawiać przy nas. Przepraszam, panowie, ale to oficjalne interesy wodzów, powiada do nas ten szczeniak, więc nie. Przepraszamy uprzejmie, dygamy, kłaniamy się i znikamy za rogiem. Przez komórkę Dwóch-Dziennie dzwoniemy do naszych kowbojów w Ciągu i napuszczamy

ich na telefon Alixa, byle szybko. A oni wchodzą w tę rozmowę z Raymondem jak drut do sera.

Wyjął krótką strzelbę, dwunastkę niewiele dłuższą od jego przedramienia, z kolekcji rozłożonej na dywanie wybrał pękaty bębnowy magazynek i połączył je ze sobą.

– Widzieliście kiedy taką maszynę? Południowoafrykańska, jeszcze sprzed wojny...

Coś w głosie, w ustawieniu podbródka, nagle uświadomiło Bobby'emu jego powstrzymywaną furie.

– Wyszło na to, że jakiś facet nawiązał kontakt z Raymondem... facet z dużym szmałem... i chciał od zaraz wynająć Gothików, wszystkich, cały aparat. Mieli jechać do Ciągu i zrobić tu numer, prawdziwą masową scenę. Ten facet chciał mieć duży tłum, tak duży, że postanowił wynająć też Kasuali. Wtedy sprawa się sypnęła, bo ten Alix jest tak jakby konserwatystą. Jedyne dobre Kasuali to martwe Kasuali, a i to najlepiej po x godzinach tortur i tak dalej. Pieprz to, tłumaczy mu Raymond, jak zawsze dyplomata. Tu chodzi o ciężką forszę, o korporacje...

Otworzył pudełko jakichś dużych naboju i zaczął je kolejno ładować do magazynka.

– Mogłem się wynieść, ale ostatnio ciągle oglądałem na wideo typów z biura prasowego Maas Biolabs. Coś bardzo dziwnego zdarzyło się na jakimś ich terenie w Arizonie. Niektórzy twierdzą, że to pocisk jądrowy, niektórzy, że coś innego. A teraz mówią jeszcze, że ich człowiek od biosoftów nie żyje; zginął w czymś, co nazwali „niepowiązanym wypadkiem”. To Mitchell, facet który praktycznie wynalazł ten towar. Jak dotąd nikt inny nawet nie udaje, że potrafi wyprodukować biochipy... Dlatego Lucas i ja od początku założyliśmy, że Maas zrobił ten lodołamacz... Jeśli to był lodołamacz. Tyle że nie mieliśmy pojęcia, skąd się wziął u Finna, ani skąd tamci go wzięli. Ale jeśli poskładać wszystko do kupy, wygląda, że Maas Biolabs postanowiły nas ugotować. I pewnie to zrobią, bo mają nas tu w garści.

– No, nie wiem – wtrącił Jammer. – Mamy w tym budynku wielu przyjaciół...

– Mieliście – poprawił go Beauvoir i zaczął ładować nambu. – Lokale większości ludzi z tego poziomu, i tego poniżej też, zostały dzisiaj wykupione. Za gotówkę. Całe jej worki. Parę osób zostało, ale to nie wystarczy.

– Przecież to bez sensu. – Jackie wyjęła Jammerowi z ręki szklaneczkę scotcha i wychyliła ją jednym haustem. – Co mamy takiego, co ktoś tak bardzo chciałby nam odebrać?

– Zaraz... – wtrącił Bobby. – Nie zapominaj: oni chyba nie wiedzą, że Lobowie skasowali mi lodolamacz. Może na nim tak im zależy.

– Nie – mruknął Beauvoir, wciskając do nambu magazynek. – Nie mogli wiedzieć, że nie schowałeś go w mieszkaniu matki.

– Ale może byli tam i szukali...

– To skąd wiedzieli, że Lucas nie miał go w Ahmedzie? – zapytał Jammer, wracając za bar.

– Finn też uważał, że ktoś wysłał tych trzech ninja, żeby go zabili – przypomniał Bobby. – Ale mieli sprzęt, żeby go najpierw zmusić do odpowiedzi na pytania.

– Znowu Maas – stwierdził Beauvoir. – Zresztą nieważne. Mamy układ z Gothikami i Kasualami. Dowiedzielibyśmy się więcej, ale Alix wszedł na wysokie tony i nie chciał z Raymondem rozmawiać. Żadnej współpracy ze znieawidzonymi Kasualami. O ile nasi kowboje to zrozumieli, ta armia na zewnątrz ma dopilnować, żebyście stąd nie wyszli. I nie dopuścić tutaj takich jak ja, z bronią i sprzętem. – Wręczył Jackie naładowanego nambu. – Umiesz strzelać z pistoletu? – spytał Bobby'ego.

– Jasne – skłamał Bobby.

– Nie – zaprotestował Jammer. – Dość mamy kłopotów, nie dając mu broni do ręki. Jezu Chryste...

– To wszystko sugeruje – oświadczył Beauvoir – że możemy oczekiwać kogoś, kto tu po nas przyjdzie. Jakiegoś profesjonalisty...

– Chyba że zwyczajnie wysadzą w diabły cały Hipermarket – burknął Jammer. – Razem z tymi wszystkimi zombie...

– Nie – zaprotestował Bobby. – Gdyby chcieli, już by to zrobili.

Spojrzeli na niego wszyscy.

– Trzeba chłopakowi przyznać... – rzekła Jackie. – Ma rację.

* * *

Po trzydziestu minutach Jammer spojrzał ponuro na Beauvoira.

– Muszę powiedzieć, że dawno nie słyszałem tak głupiego planu.

– Fakt – wtrącił Bobby. – Dlaczego nie możemy zwyczajnie przeczołgać się przez ten wentylator, przekraść po dachu i dostać na sąsiedni budynek? Wykorzystamy linę, po której zjechał Beauvoir.

– Na dachu jest Kasuali jak much na gównie – odparł Beauvoir. – Niektórzy może nawet mają dość rozumu, żeby znaleźć pokrywę, którą musiałem zrzucić, kiedy schodziłem tu na dół. Zostawiłem po drodze parę min odłamkowych. – Uśmiechnął się złowieszczo. – Poza tym sąsiedni wieżowiec jest wyższy. Musiałem wyjść tam na dach i wystrzelić monomola tutaj. Nie przeciągniesz się rękami po włóknie monomolekularnym; palce ci odpadną.

– Więc jak do diabła chciałeś się stąd wydostać?

– Daj spokój, Bobby – przerwała cicho Jackie. – Beauvoir zrobił to, co musiał. Teraz jest tu z nami i jesteśmy uzbrojeni.

– Bobby – zaproponował Beauvoir. – Może powtórzysz nam cały plan i sprawdzisz, czy wszystko rozumiemy...

Bobby doznał nieprzyjemnego uczucia, że Beauvoir chce sprawdzić, czy on wszystko zrozumiał. Mimo to nie protestował. Oparł się o bar i zaczął mówić:

– Wszyscy szykujemy broń i czekamy, tak? Jammer i ja wychodzimy przez jego dek i rozglądamy się po matrycy; może odkryjemy, co się tu dzieje...

– Chyba sam bym sobie z tym poradził – wtrącił Jammer.

– Diabli... – Bobby wyprostował się gniewnie. – Beauvoir chyba powiedział! Chcę wejść, chcę się włączyć! Niby jak inaczej mogę się czegoś nauczyć?

– Uspokój się, Bobby – rzuciła Jackie. – I mów dalej.

– No dobra – zgodził się chłopak urażony. – Ci faceci, którzy wynajęli Kasuali i Gothików, żeby nas tu pilnowali, prędzej czy później przyjdą po nas. Kiedy wejdą, załatwimy ich. Przynajmniej jednego weźmiemy żywcem. Potem wrywamy się stąd, a że Gothicy i reszta nie spodziewają się takiej siły ognia, więc wydostajemy się na ulicę i uciekamy do Projektów...

– Myślę, że to załatwia sprawę – stwierdził Jammer, ruszając do zamkniętych, zasłoniętych drzwi. – To podsumowuje sytuację. – Przycisnął kciuk do płytki rygla i uchylił drzwi. – Hej, ty! – wrzasnął. – Nie ty! Ty, w kapeluszu! Rusz dupę i podejdź tu! Chcę pogadać...

Czerwony promień grubości ołówka przeciął drzwi, zasłonę, dwa palce Jammera i mignął nad barem. Wybuchła butelka, jej zawartość uniosła się w powietrze jako para i odparowane estry. Jammer wypuścił drzwi, które zamknęły się automatycznie, spojrzął na ruinę dłoni i ciężko usiadł na dywanie. Lokal z wolna wypełnił się choinkowym zapachem gotowanego ginu. Beauvoir porwał z lady srebrną gaśnicę i spryskiwał dymiącą kotarę, póki nie skończył się nabój CO₂ i nie opadł strumień gazu.

– Masz szczęście, Bobby – stwierdził, odrzucając gaśnicę przez ramię. – Brat Jammer już nigdy nie wciśnie klawiszy na żadnym deku...

Jackie przyklęła i cmoknęła na widok ręki Jammera. Bobby dostrzegł kątem oka przypalone ciało i szybko odwrócił głowę.

– Wiesz – odezwała się Rez, wisząc przed Marly głową w dół – to właściwie nie moja sprawa, ale czy ktoś może na ciebie czeka tam, gdzie lecimy? Rozumiesz, dostarczę cię tam, nie ma obawy, a jeśli nie dostaniesz się do środka, zabiorę z powrotem na JAL Term. Ale gdyby nikt nie chciał cię wpuścić, to nie wiem, jak długo miałabym ochotę tam czekać. To jest złom, a we wrakach siedzą czasem dziwni faceci.

Rez – czyli Therèse, jak dowiedziała się Marly z laminowanej licencji pilota przypiętej do konsoli *Sweet Jane* – ruszając w rejs, zdjęła swoją roboczą kamizelkę. Marly, otępiła od tęczy derm, jakie Rez nakleiła jej na przegub, by przeciwdziałać gwałtownym mdłościom syndromu adaptacji kosmicznej, przyglądała się wytatuowanej róży. Wykonano ją w japońskim stylu sprzed setek lat i Marly pomyślała sennie, że jej się podoba. Zresztą Rez też się jej podobała. Była równocześnie twarda i dziewczęca, i troszczyła się o swoją niezwykłą pasażerkę. Przez chwilę podziwiała skórzaną kurtkę i torebkę, po czym wsunęła je do czegoś w rodzaju nylonowej siatki umocowanej do ściany jak hamak i wypchanej kasetami, drukowanymi książkami i brudnymi ubraniami.

– Sama nie wiem – zdołała wykrztusić Marly. – Muszę spróbować jakoś się tam dostać...

Rez dopasowała uprząż anti-g pod pachami i na ramionach pasażerki.

– Wiesz, co to za pudło, siostrze?

– Jakie pudło? – Marly zamrugnęła.

– Do którego lecimy. To część dawnych rdzeni Tessier-Ashpool. Kiedyś to były mainframe'y dla ich korporacyjnej pamięci...

– Słyszałam o nich... – Marly przymknęła oczy. – Andrea mi mówiła.

– Pewnie. Wszyscy o nich słyszeli. Kiedyś byli właścicielami całego Freeside. Zbudowali je nawet, ale potem padli i sprzedali. Rodzinną siedzibę kazali odciąć z wrzeciona i przeholować na inną orbitę, ale przedtem wykasowali rdzenie pamięci, wypalili je i sprzedali na złom. Handlarz jakoś nic z nimi nie zrobił. Nie słyszałam, żeby ktoś się tam włamał, ale tutaj człowiek mieszka gdzie może... Zresztą chyba wszędzie... Mówią, że lady Jane, córka starego Ashpoola, wciąż żyje w starym kompleksie. Zupełnie zwariowana. – Jeszcze raz profesjonalnym gestem szarpnęła uprzęż. – W porządku. Rozluźnij się. Przez dwadzieścia minut mocno będę dawać *Jane* ognia w dysze, ale dzięki temu szybko będziemy na miejscu, a myślę, że właśnie za to mi płacisz...

I znowu Marly zsunęła się w pejzaż zbudowany z pudełek, ogromnych drewnianych konstrukcji Cornella, gdzie trwał pozostałości uczuć i wspomnień leżały wystawione za pochłapanymi deszczem płytami zakurzonego szkła, gdzie tajemniczy twórca uciekał przed nią po alejach brukowanych ludzkimi zębami, a paryskie buciki Marly stukały ślepo po symbolach wykreślonych poszarzałymi złotymi koronami. Twórca pudełek był mężczyzną, nosił zieloną kurtkę Alaina i bał się jej ponad wszystko. „Przepraszam”, wołała, biegnąc za nim. „Tak mi przykro...”.

* * *

– Tak. Therèse Lorenz, *Sweet Jane*. Chcesz numer? Co? Tak, pewno że jesteście piratami. A ja to pieprzony Kapitan Hak... Słuchaj, podam ci numer i możesz sobie sprawdzić... Już mówiłam, mam pasażerkę. Proszę o pozwolenie i tak dalej... Marly Cośtam, przez sen mówi po francusku...

Powieki Marly zadrżały, uniosły się. Rez wisiała w uprzęży tuż przed nią; każdy mięsień jej grzbietu rysował się wyraźnie.

– Cześć – powiedziała, odwracając się w uprzęży. – Przepraszam. Obudziłam ich dla ciebie, ale dziwnie gadają. Jesteś wierząca?

– Nie – odparła zdumiona Marly.

Rez skrzywiła się.

– Mam nadzieję, że zrozumiesz coś z tego bełkotu.

Wysunęła się z uprząży i wykonała ciasne salto w tył, co doprowadziło ją na centymetry od twarzy Marly. Włókno światłowodu ciągnęło się od jej ręki do konsoli i po raz pierwszy Marly zauważyła delikatne jasnyniebieskie gniazdo wszczepione gładko w skórę na przegubie dziewczyny. Rez nasunęła jej na ucho mikrośluchawkę i poprawiła sterczącą z niej przezrzystą rurkę mikrofonu.

– Nie macie prawa nas tutaj niepokoić – odezwał się męski głos. – Nasza praca jest dziełem Bożym. My jedni widzieliśmy Jego prawdziwe oblicze.

– Halo! Halo, słyszy mnie pan? Nazywam się Marly Krushkova i mam do pana pilną sprawę. Albo do kogoś na tych współrzędnych. Moja sprawa dotyczy serii pudełek, collage’y. Twórcy tych pudełek może zagrażać wielkie niebezpieczeństwo! Muszę się z nim widzieć!

– Niebezpieczeństwo? – Mężczyzna zakaszłał. – Jedyne Bóg stanowi o ludzkim losie! Nie znamy lęku! Ale i nie jesteśmy głupcami...

– Proszę mnie wysłuchać. Josef Virek zatrudnił mnie, żebym odszukała twórcę pudełek. Ale teraz przybywam, żeby pana ostrzec. Virek wie, że pan tu jest, i jego agenci prawdopodobnie mnie śledzą...

Rez przyglądała się jej z uwagą.

– Musi mnie pan wpuścić. Opowiem więcej...

– Virek? – Chwila milczenia, wypełniona trzaskami zakłóceń. – Josef Virek?

– Tak. Ten sam. Przez całe życie oglądał pan jego zdjęcie... To z królem Anglii. Proszę...

– Daj mi pilota – poleciał głos; patos i histeria zniknęły nagle, zastąpione czymś, co Marly jeszcze mniej się spodobało.

* * *

– To zapasowy – wyjaśniła Rez, odpinając od czerwonego skafandra hełm z lustrzanymi szybami. – Stać mnie na to; dość mi zapłaciłaś.

– Nie – zaprotestowała Marly. – Naprawdę nie trzeba... Ja...

Pokręciła głową. Rez odpinała zamki.

– Nie puszczę cię w takie miejsce bez skafandra – oświadczyła. – Nie wiesz, co tam mają za atmosferę. Nie wiesz nawet, czy w ogóle mają atmosferę! Albo jakieś bakterie, zarodniki... O co chodzi?

Opuściła srebrny hełm.

– Mam klaustrofobię!

– Oj... – Rez spojrzała niepewnie. – Słyszałam o tym. To znaczy, że boisz się być wewnątrz czegoś?

Wyglądała na szczerze zaintrygowaną.

– W ciasnych miejscach. Tak.

– Jak *Sweet Jane*?

– Też, ale... – Walcząc z falą paniki, rozejrzała się po małej kabinie. – Mogę wytrzymać. Ale nie hełm.

Zadrzała.

– No tak... – Rez zastanowiła się. – Wiesz co? Wpakuję cię do skafandra, ale hełm sobie darujemy. Nauczę cię, jak go mocować. Stoi? Inaczej nie wyjdiesz z mojego statku...

Minę miała stanowczą i zdecydowaną.

– Dobrze – zgodziła się Marly. – Niech będzie...

* * *

– Po kolei – powiedziała Rez. – Stoimy śluza w śluzę. Ten luk się otwiera, wchodzisz, ja go zamykam. Potem otwieram z drugiej strony. Potem jesteś już w tym, co u nich robi za atmosferę. Na pewno nie chcesz włożyć hełmu?

– Nie.

Marly spojrzała na hełm ściskany w czerwonych rękawicach skafandra, na odbicie swojej bladej twarzy w lustrzanej osłonie.

Rez cmoknęła.

– Twoje życie. Kiedy zechcesz wracać, niech przez JAL Term wyślą wiadomość do *Sweet Jane*.

Marly niezgrabnie odepchnęła się nogami i popłynęła do śluzy, nie większej niż postawiona pionowo trumna. Czerwona osłona piersi skafandra stuknęła głucho o zewnętrzny luk; usłyszała, jak wewnętrzny

zamyka się z sykiem. Tuż obok jej głowy zapłonęło światło i Marly pomyślała o lampce w lodówce.

– Do zobaczenia, Therèse.

Nic się nie stało. Była sama z biciem swego serca.

A potem odsunął się zewnętrzny luk *Sweet Jane*. Niewielka różnica ciśnień wystarczyła, by pchnąć ją koziółkującą w ciemność pachnącą staro i smutnie ludzko, jak dawno porzucona szatnia. Powietrze było jakby gęste, nieczysto wilgotne; wciąż wirując, zobaczyła zatrzaskujący się luk *Sweet Jane*. Promień latarki ominął ją, wrócił, odszukał.

– Światła! – wykrzyknął ktoś chrapliwie. – Światła dla gościa! Jones!

To był głos, który słyszała w słuchawce. Dzwonił dziwnie w stalowej przestrzeni, w pustce, przez którą spadała, a potem rozległ się zgrzyt i zapłonął daleki pierścień błękitnego blasku, ukazując krzywiznę ściany czy pancerza i wytopionej księżycowej skały. Powierzchnia była pocięta i poznaczona precyzyjnie wyrytymi kanałami i wgłębieniami, gdzie kiedyś pewnie mieścił się jakiś sprzęt. Do najgłębszych wcięć wciąż przylegały rakowate narośla brunatnej pianki uszczelniającej, inne ginęły w martwej czerni...

– Lepiej ją przypnij, Jones, zanim rozwali sobie głowę...

Z mokrym plaśnięciem coś uderzyło ją w ramię. Obejrzawszy się, zobaczyła różową grudę na końcu cienkiej różowej liny, która napięła się i pociągnęła ją za sobą. Katedralną przestrzeń wraku wypełnił jęk spracowanego silnika. Wciągali ją powoli.

– Długo to trwało – stwierdził głos. – Zastanawiałem się, kto będzie pierwszy, a to Virek... Mamona...

Chwycili ją. Znowu się zakręciła. Niewiele brakowało, a zgubiłaby hełm: odpłynął, ale któryś z nich pchnął go z powrotem, prosto w jej rękę. Torebka z butami i wciśniętą pod klapę kurtkę wykonała na pasku niezależny łuk i trafiła ją w skroń.

– Kim jesteś? – spytała.

– Ludgate! – ryknął starzec. – Wigan Ludgate, jak doskonale wiesz. Kogo innego miałabyś dla niego oszukiwać?

Pomarszczona, plamista twarz była gładko ogolona, ale siwe, niestrzyżone włosy unosiły się swobodnie: wodorosty na fali stęchłego powietrza.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie przyleciałam tu, by cię oszukiwać. Nie pracuję już dla Vireka... Przyleciałam, ponieważ... To znaczy, właściwie nie wiem, po co przyleciałam, ale po drodze przekonałam się, że artyście tworzącemu pudełka grozi niebezpieczeństwo. Ponieważ istnieje coś jeszcze, co zdaniem Vireka może go uwolnić od nowotworów...

Jej słowa zamarły nagle wobec niemal dotykalnego obłędu emanującego z postaci Wigana Ludgate'a. Zobaczyła, że ma na sobie plastikową skorupę starego roboczego skafandra z tanimi metalowymi krucyfikami przyklejonymi jak naszyjnik do zmatowiałego pierścienia mocującego hełmu. Zbliżył twarz; Marly czuła psujące się zęby.

– Pudełka! – Małeńkie kropelki śliny odrywały się od jego warg, posłuszne eleganckim prawom newtonowskiej fizyki. – Ty ladacznico! To ręka Boga!

– Uspokój się, Wig – zabrzmiał drugi głos. – Straszysz damę. Nie ma obawy, panienko. Po prostu Wig rzadko miewa gości. Jak widać podnieca się wtedy, ale w zasadzie to nieszkodliwy staruszek...

Obejrzała się i spojrzała prosto w parę dużych niebieskich oczu na bardzo młodej twarzy.

– Jestem Jones – powiedział chłopak. – Też tutaj mieszkam...

Wigan Ludgate odchylił głowę i zawył, a przenikliwy dźwięk odbił się od ścian ze stali i kamienia.

* * *

– Na ogół, rozumiesz, jest dość spokojny – tłumaczył Jones, gdy wraz z Marly przeciągali się po linie z węzłami, rozciągniętej wzdłuż korytarza, który wyglądał jakby nie miał końca. – Słucha tych swoich głosów, rozumiesz. Gada do siebie, czy może odpowiada głosom, sam nie wiem, ale nagle coś go nachodzi i jest taki... – Kiedy przerwał, słyszeli echa wycia Ludgate'a. – Pomyślisz może, że to okrutne z mojej strony, tak go

zostawiać, ale to najlepsze wyjście. Naprawdę. Szybko się tym zmęczy. Zgłodnieje. I wtedy mnie poszuka. Będzie chciał jeść, rozumiesz...

– Jesteś Australijczykiem? – spytała.

– New Melbourne – odparł. – Raczej byłem, zanim wyszedłem ze studni...

– Nie obrazisz się, jeśli zapytam, dlaczego tu jesteś? To znaczy, w tym... tym... Co to właściwie jest?

Chłopak zaśmiał się.

– Na ogół nazywam to Miejscem. A Wig nazywa różnie, ale najczęściej Królestwem. Uważa, że znalazł tu Boga. Może i tak, jeśli spojrzeć na to z odpowiedniej strony. O ile zrozumiałem, zanim wylazł ze studni był kiedyś magikiem konsoli. Nie wiem, skąd się tu wziął, ale mu to odpowiada... A ja tu uciekłem. Rozumiesz? Drobne kłopoty, nie chcę wchodzić w szczegóły, i musiałem zwijać dupę. Trafiłem tutaj... to długa historia... Spotkałem tego cholernego Ludgate'a bliskiego śmierci głodowej. Miał tu taki niewielki interes, sprzedawał to co znalazł i te pudełka, których szukasz. Ale trochę za bardzo mu odbiło. Kupujący zjawiali się tu może trzy razy w roku, a on ich odsyłał. No i pomyślałem, że kryjówka jest nie gorsza od innych, więc zacząłem mu pomagać. To chyba wszystko...

– Możesz mnie zaprowadzić do artysty? Jest tutaj? To bardzo ważne...

– Zabiorę cię tam, nie ma obawy. Ale to miejsce właściwie nie było zbudowane dla ludzi. Nie żeby w nim spacerować. Znaczący kawałek drogi. Ale on nigdzie nie pójdzie. Chociaż nie gwarantuję, że zrobi dla ciebie pudełko. Naprawdę pracujesz dla Vireka? Tego niesamowicie bogatego starego pierdziela w telewizji? To Fryc, prawda?

– Pracowałam – wyjaśniła. – Przez kilka dni. Co do narodowości, to sądzę, że Herr Virek jest jedynym obywatelem narodu składającego się z Herr Vireka.

– Chwytam, o co ci chodzi – oznajmił Jones. – Z tymi bogatymi dupkami zawsze dzieje się to samo, chociaż są bardziej zabawni niż te piekielne *zaibatsu*... Trudno się spodziewać, żeby *zaibatsu* spotkał krwawy koniec. Weź starego Ashpoola... Był moim rodakiem, poważnie... Zbudował to

wszystko i mówią, że własna córka poderznęła mu gardło. A teraz jest nie lepsza niż stary Wig, zadekowana gdzieś w rodzinnym zamku. To Miejsce, rozumiesz, było kiedyś jego częścią.

– Rez... To znaczy, moja pilot, mówiła coś takiego. A moja przyjaciółka w Paryżu wspominała ostatnio Tessier-Ashpoolów. Klan przeżywa okres zaćmienia, prawda?

– Zaćmienia? Raczej spłynęli do ścieku. Pomyśl tylko: wlecemy się właśnie przez coś, co było rdzeniami danych korporacji. Wrak kupił jakiś handlarz z Pakistanu: powłoka jest w porządku, a w obwodach znajdzie się sporo złota, ale odzysk nie jest tak tani, jak niektórzy by chcieli... Więc wisi tu i tylko stary Wig dotrzymuje mu towarzystwa, a wrak Wigowi. Przynajmniej dopóki ja tu nie trafiłem. Pewnie w końcu przylecą tu robole z Pakistanu i zaczną ciąć... To zabawne, jak duża część tego złomu ciągle jeszcze działa, przynajmniej czasami. Słyszałem historię, zresztą dlatego tu przyleciałem, że zanim je wypalili, T-A wymazali rdzenie do czysta...

– Ale sądzisz, że nadal funkcjonują?

– Boże wielki, pewnie. Mniej więcej tak jak Wig, jeśli nazwiesz to funkcjonowaniem. A jak myślisz, czym jest ten twój artysta?

– Co wiesz o Maas Biolabs?

– Czego masa?

– Maas. Produkuje biochipy.

– A, ci... No więc to mniej więcej wszystko, co o nich wiem.

– Czy Ludgate o nich wspominał?

– Możliwe. Nie powiem, żebym przez cały czas go słuchał. Wig dużo gada...

Prowadził ich przez aleje otoczone pordzewiałymi zboczami martwych pojazdów, z dźwigami złomowymi i czarnymi wieżami pieców. Kiedy wjeżdżali w zachodnie obrzeża Ciągu, trzymał się ciemnych uliczek. W końcu rozpędził poduszkowiec wzdłuż ceglanego kanionu. Pancerne burty skrzesały iskry, gdy wbił się ciężko w ścianę poczerniałych od sadzy, zbitych odpadków. Lawina śmieci runęła w dół, pokrywając wóz niemal w całości. Wtedy puścił kierownicę i patrzył, jak styropianowe kostki huśtają się w przód i w tył, z boku na bok. Od dwunastu przecznic wskaźnik paliwa stał na zerze.

– Co tam się stało? – spytała. Policzki miała zielone w blasku instrumentów.

– Zestrzeliłem śmigłowiec. Właściwie przypadkiem. Mieliśmy szczęście.

– Nie, potem. Ja... Miałam sen.

– Co ci się śniło?

– Wielkie kształty. Ruszały się.

– Miałaś jakiś atak.

– Czy jestem chora? Dlaczego firma chce mnie zabić?

– Nie sądzę, żebyś była chora.

Rozpięła uprząż, przeczołgała się przez oparcie na tył, gdzie spali.

– Miałam zły sen...

Zadrzała. Wysunął się z uprzęży i popęłzył za nią, przytulił, głaskał, wygładzał włosy na jej delikatnej czaszce, przesuwając za uszy. Jej twarz, zielona w słabym lśnieniu, była jak coś wyrwanego z koszmaru i porzuconego, z gładką cienką skórą naciągniętą na kości. Czarną bluzę

miała do połowy rozpiętą; przesunął palcem po delikatnej linii jej obojczyka. Skóra była chłodna, wilgotna od potu. Przyłgnęła do niego.

Przymknął oczy i zobaczył swoje ciało na łóżku poprzecinanym pasami słonecznych promieni, pod obracającymi się powoli łopatami wentylatora. Ciało poruszające się w górę i w dół, wstrząsane niczym amputowana kończyna, i głowę Allison odrzuconą do tyłu, otwarte usta, zęby pod ściągniętymi wargami...

Angie wtuliła twarz w jego szyję.

Nagle stęknęła, zesztyniała, odsunęła się.

– Najemniku – zabrzmiał głos.

Błyskawicznie znalazł się przy siedzeniu kierowcy; lufa smith & wessona pojedynczą linią odbiła zielony blask instrumentów, błyszcząca głowica u wylotu przesłoniła lewą źrenicę dziewczyny...

– Nie – powiedział głos.

Opuścił broń.

– Wróciłeś...

– Nie. Legba przemawiał do ciebie. Ja jestem Samedi.

– Sobota?

– Baron Sobota, najemniku. Spotkałeś mnie kiedyś na zboczu. Krew leżała na tobie jak rosa. Tamtego dnia piłem z twego przepelnionego serca.

– Ciało Angie szarpnęło się gwałtownie. – Znasz to miasto...

– Tak.

Widział, jak mięśnie twarzy napinają się i rozluźniają, kształtując jej rysy w nową maskę.

– To dobrze. Zostaw tu pojazd, jak zamierzałeś. Ale ruszaj szlakiem stacji ku północy. Do Nowego Jorku. Dzisiaj. Tam poprowadzę cię z wierzchowcem Legby, a ty dla mnie zabijesz...

– Kogo zabiję?

– Tego, kogo najbardziej pragniesz zabić, najemniku.

Angie jęknęła, zadrżała i zaczęła szlochać.

– Już dobrze – powiedział. – Jesteśmy w połowie drogi do domu.

To bezsensowne zdanie, pomyślał, pomagając jej usiąść. Żadne z nich nie miało domu. Znalazł w parce paczkę naboju i wymienił ten, który

wystrzelił w honde. Odszukał w skrytce poplamioną farbą brzytwę i odciął wzmocnioną podszewkę kurtki; miliony mikrorurek izolacji zwijały się za ostrzem jak węże. Kiedy skończył, wsunął smith & wessona do kabury i włożył parkę. Zwisła z niego w fałdach jak za luźny prochowiec, ale całkowicie maskowała wypukłość potężnego rewolweru.

– Dlaczego to robisz? – zdziwiła się. Grzbietem dłoni otarła wargi.

– Bo na zewnątrz jest ciepło, a muszę ukryć broń. – Wcisnął do kieszeni saszetkę pełną używanych nowych jenów. – Chodźmy – rzucił. – Musimy złapać metro.

* * *

Krople kondensacji ściekały bezustannie ze starej kopuły Georgetown, zbudowanej czterdzieści lat po tym, jak boleściwi Federalni wyprowadzili się na rubieżę McLean. Waszyngton był miastem Południa, był nim od zawsze; jadąc pociągami od Bostonu przez kolejne stacje, człowiek czuł, jak zmienia się atmosfera Ciągu. Drzewa w Dystrykcie rosły bujne i zielone, a ich liście przesłaniały łukowe lampy, gdy Turner i Angela Mitchell szli po splekanych chodnikach do Kręgu Duponta i stacji. Na placu stały beczki, a ktoś rozpałił ognisko ze śmieci w gigantycznym marmurowym pucharze pośrodku. Milczące postacie siedziały nieruchomo przy rozłożonych kocach, zastawionych surrealistycznym zestawem towarów: napęczniałe wilgocią okładki czarnych plastikowych audiodysków obok poobijanych protez kończyn z prymitywnymi sprzęgami nerwowymi, zakurzone szklane słoje pełne owalnych blaszek z numerami, pliki wyblakłych pocztówek, tanie indyjskie trody owinięte jeszcze w folię hurtownika, niedopasowane ceramiczne komplety solniczek, kij golfowy z wytartym skórzanym uchwytem, szwajcarskie scyzoryki z brakującymi ostrzami, wgnieciony blaszany kosz na śmieci z litografią twarzy prezydenta, którego nazwisko Turner niemal sobie przypominał (Carter? Grosvenor?), niewyraźne hologramy Mauzoleum...

W cienu przy wejściu na stację Turner potargował się cicho z chińskim chłopcem w białych dżinsach, wymieniając najmniejszy z banknotów

Rudy'ego na dziewięć aluminiowych żetonów z wybitym ozdobnym logo OMBA Transport.

Dwa takie żetony pozwoliły im wejść na stację. Trzy zniknęły w automatach, wymienione na marną kawę i czerstwe drożdżówki. Pozostałe cztery powiozły ich na północ pociągami mknącym bezgłośnie na magnetycznej poduszce. Turner oparł się, objął Angie ramieniem i udawał, że zamyka oczy; obserwował ich odbicie w oknie naprzeciw: wysoki mężczyzna, wychudzony i nieogolony, przygarbiony pod ciężarem porażki, i skulona obok dziewczyna o pustych oczach. Nie odezwała się od wyjścia z zaułka, gdzie zostawili poduszkowiec.

Już drugi raz w ciągu ostatniej godziny zastanowił się, czy nie zadzwonić do swojego agenta. Jeśli musisz komuś zaufać, głosiła podstawowa zasada, ufaj agentowi. Ale Conroy powiedział, że właśnie przez agenta Turnera wynajął Oakeya i pozostałych, i to budziło wątpliwości. Gdzie jest dzisiaj Conroy? Turner był prawie pewien, że to właśnie on wysłał za nimi Oakeya z laserem. Czy to Hosaka ustawił railguna w Arizonie, żeby zatrzeć ślady nieudanej próby przejęcia Mitchella? Ale jeśli tak, to czemu kazali Webber rozwalić medyków razem z ich ruchomym gabinetem i zniszczyć dek Maas-Neotek? I jeszcze Maas... Czy Maas zabił Mitchella? Czy istnieje powód, by wierzyć, że Mitchell naprawdę nie żyje? Owszem, istnieje, pomyślał, kiedy dziewczyna przy nim poruszyła się niespokojnie przez sen. Istnieje: Angie. Mitchell bał się, że ją zabiją; zorganizował to przejście, żeby mogła uciec, żeby przerzucić ją do Hosaki. Nie planował własnej ucieczki. Tak przynajmniej twierdzi Angie.

Przymknął powieki, odcinając się od odbić w szybie. Coś poruszyło się w mule zarejestrowanych wspomnień Mitchella. Wstyd. Nie mógł tego osiągnąć... Nagle otworzył oczy. Co powiedziała u Rudy'ego? Że ojciec coś w nią włożył, bo nie była dość mądra? Ostrożnie, by jej nie zbudzić, wysunął rękę z za jej pleców i sięgnął dwoma palcami do tylnej kieszeni spodni. Wyjął mały, czarny nylonowy futerał Conroya na tasie. Rozerwał rzep i wytrząsnął na dłoń spęczniały, asymetryczny szary biosoft. Maszynowe sny... Karuzela... Zbyt szybka, zbyt obca, by coś pochwycić. Ale

jeśli szukał czegoś konkretnego, specyficznego, powinien jakoś to wyciągnąć...

Wsunął paznokciec pod zatyczkę gniazda, zdjął ją i położył obok siebie na skaju siedzenia. Wagon był prawie pusty i nikt z pasażerów nie zwracał na nich uwagi. Odetchnął głęboko, zacisnął zęby i wsunął biosoft...

Po dwudziestu sekundach znalazł to, czego szukał. Tym razem nie poczuł się tak obco; to dlatego, uznał, że chciał trafić na wybrany szczegół, fakt, dokładnie taki typ danych, jakich mógłby się spodziewać w zwykłym dossier czołowego naukowca: IQ córki, zarejestrowane w dorocznych zestawach testów.

Angela Mitchell wyrastała sporo ponad normę. Od samego początku...

Wyjął biosoft z gniazda i z roztargnieniem obracał go między kciukiem a palcem wskazującym. Wstyd. Mitchell, wstyd i szkoła... Oceny, pomyślał. Chcę znać stopnie tego drania, jego wyniki.

Znowu włączył się do dossier.

Nic. Trafił gdzie trzeba, ale nie znalazł niczego.

Niemożliwe. Jeszcze raz.

I znowu...

– Niech to diabli... – powiedział, kiedy wreszcie zobaczył.

Nastolatek z ogoloną głową zerknął na niego z siedzenia po drugiej stronie wagonu, po czym znowu skupił się na monologu kolegi: „Powtórzą ten mecz, na szczycie, o północy. Pójdziemy, ale będziemy tylko patrzeć, nie uda się, tylko obrona. Niech kopią sobie dupy, a my będziemy się śmiać, zobaczymy kto oberwie... Ostatnio Susan zwichnęła sobie rękę, łapiesz? Śmiesznie było, bo Cal chciał jechać do szpitala, ale był naćpany i wrębał się yamahą w garb na jezdni...”.

Turner wcisnął biosoft do gniazda.

Kiedy tym razem skończył, nie powiedział ani słowa. Znow objął Angie, uśmiechnął się i zobaczył ten uśmiech w szybie. Okrutny uśmiech; uśmiech człowieka na krawędzi.

Wyniki akademickie Mitchella były dobre, nawet bardzo dobre. Znakomite. Ale brakowało w nich łuku wznoszącego. Takiego łuku Turner nauczył się szukać w danych naukowców: pewnej znaczonyj krzywą

błyskotliwości. Potrafił ją dostrzec, tak jak doświadczony mechanik rozpoznaje metale po fontannie iskier na szlifierce. I Mitchell jej nie miał.

Wstyd. Akademiki studentów. Mitchell wiedział, że nie ma szans. A potem nagle się pojawiły. Jak? Tego nie znajdzie w dossier. Mitchell jakoś to wyciął, kiedy przekazywał dane maszynie bezpieczeństwa Maasa. Inaczej by to wykryli. Ktoś czy coś odnalazło Mitchella w jego podyplomowej depresji i zaczęło dyktować mu co trzeba. Sugestie, kierunki... I Mitchell zaczął się wznosić po jasnej, mocnej krzywej, która wyniosła go na sam szczyt...

Kto? Co?

Patrzył na śpiącą Angie w niepewnym świetle lamp wagonu.

Faust.

Mitchell dobił targu. Być może Turner nigdy nie miał poznać szczegółów umowy ani ceny Mitchella, ale odgadł już, jaka była zapłata. Co Mitchell miał zrobić w zamian.

Legba, Samedi, krople śliny na wykrzywionych wargach dziewczyny...

W czarnym wybuchu nocnego powietrza pociąg wypadł na stare tory Union.

* * *

– Życzy pan sobie taksówkę? – Oczy mężczyzny spoglądały zza okularów z polichromowym zabarwieniem przypominającym płamę oleju. Na grzbietach dłoni miał płaskie srebrzyste pęcherze.

Turner zbliżył się. Nie zwalniając kroku, chwycił go za ramię i pchnął na ścianę odrapanych białych kafelków między szarymi szeregami skrytek bagażowych.

– Gotówka – powiedział. – Płacę w nowych jenach. Chcę taksówkę. I żadnych kłopotów z kierowcą. Zrozumiałeś? Tylko mnie nie wykiwaj. – Wzmocnił uścisk. – Spróbuj, a wrócę tu i albo cię zabiję, albo pożałujesz, że tego nie zrobiłem.

– Zrozumiałem. Tak jest, proszę pana. Oczywiście, możemy to załatwić. Gdzie życzy pan sobie jechać? – Grymas bólu wykrzywił zniszczoną twarz

mężczyzny.

– Najemniku... – dobiegł z ust Angie chrapliwy szept. A potem adres. Turner dostrzegł oczy naganiacza, biegające niespokojnie za wirem kolorów.

– To Madison? – wychrypiał mężczyzna. – Tak, proszę pana. Znajdę panu taksówkę, doskonałą taksówkę...

* * *

– Co to za miejsce? – Turner pochylił się i wcisnął guzik mikrofonu obok stalowej kratki osłony głośnika. – Ten adres, który podaliśmy?

Głośnik zatrzeszczał.

– Hipermarket. Niewiele tam działa o tej porze. Szukacie czegoś konkretnego?

– Nie.

Nie znał tego miejsca. Próbował sobie przypomnieć bieg Madison. Głównie rejony mieszkalne. Niezliczone mieszkania wryte w skorupach biurowców pochodzących z czasów, kiedy interesy wymagały codziennej fizycznej obecności urzędników w centrali. Niektóre z tych konstrukcji były tak wysokie, że przebijały kopułę...

– Dokąd jedziemy? – spytała Angie, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Wszystko w porządku – odpowiedział. – Nie martw się.

* * *

– O Boże – szepnęła i oparła się o niego, patrząc na różowy neon HIPERMARKET przecinający granitowe urwisko starego budynku. – Jeszcze na płaskowyżu marzyłam o Nowym Jorku. Miałam program graficzny, który prowadził przez ulice, do muzeów i w ogóle. Chciałam tu przyjechać... bardziej niż czegokolwiek na świecie.

– Udało ci się. Jesteś.

Zaszlochała, objęła go, wtuliła twarz w jego nagą pierś.

– Boję się. Tak się boję...

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił. Gładząc jej włosy, obserwował główne wejście. Nie miał powodów, by wierzyć, że dla kogośkolwiek z nich cokolwiek dobrze się skończy. Nie domyślała się chyba nawet, że słowa, jakie ich tu doprowadziły, pochodziły z jej własnych ust. Co prawda, pomyślał, to nie ona je wymówiła...

Zebracy rozłożyli się po obu stronach wejścia do Hipermarketu: rozciągnięte sylwetki w łachmanach o kolorze chodnika. Turner miał wrażenie, że wolno pączkują z betonu, by stać się ruchomymi przedłużeniami miasta.

– Do Jammaera – powiedział głos zduszony przez jego pierś. Turner poczuł zimne obrzydzenie. – To klub. Znajdź wierzchowca Danbali.

A potem znowu się rozpląkała. Wziął ją za rękę i poprowadził obok śpiących włóczęgów, pod szerniałym ozdobnym daszkiem i przez szklane drzwi do środka. W głębi alejki straganów zauważył ekspres do kawy i dziewczynę z czarnym grzebieniem włosów ścierającą ladę...

– Kawa – oznajmił. – Jedzenie. Chodź. Musisz coś zjeść.

Angie siadła na stolku. Turner uśmiechnął się do dziewczyny.

– Jak z gotówką? – zapytał. – Przyjmujecie gotówkę?

Popatrzyła na niego i wzruszyła ramionami. Pokazał jej wyjętą z saszetki Rudy'ego dwudziestkę.

– Kawę. I coś do jedzenia.

– Nic więcej nie macie? Jakies drobne?

Pokręcił głową.

– Przykro mi. Nie mam reszty.

– Nie musisz wydawać.

– Oszalał pan?

– Nie, ale chcę dostać kawę.

– To niezły napiwek. W tydzień tyle nie zarabiam.

– Jest twój.

Rozgniewała się.

– Jesteście razem z tymi czubkami z góry. Niech pan sobie zatrzyma te pieniądze. Zamykamy.

– Z nikim nie jesteśmy – oświadczył. Oparł się lekko o ladę, żeby parka się rozsunała i odsłoniła smith & wessona. – Szukamy klubu. Klubu niejakiego Jammera.

Dziewczyna zerknęła na Angie, potem znów na Turnera.

– Jest chora? Na prochach? Co z nią?

– Tu są pieniądze. Daj nam kawy. Chcesz zarobić tę resztę, to powiedz, jak znajdę lokal Jammera. Ta wiadomość jest dla mnie tyle warta. Jasne?

Zsunęła z lady wytarty banknot i podeszła do ekspresu.

– Już chyba nic nie rozumiem. – Z hałasem odstawiła na bok filiżanki i przybrudzone mlekiem szklanki.– Co jest z Jammerem? To pana przyjaciel? Zna pan Jackie?

– Pewnie – odparł Turner.

– Zjawiała się tu rano, razem z tym małym wilsonem z przedmieścia. Myślę, że tam właśnie poszli...

– Gdzie?

– Do Jammera. I wtedy zaczęło się robić dziwnie.

– Tak?

– Ściągnęły tu wszystkie te czubki z Barrytown, z brylantyną albo w białych butach. Jakby byli właścicielami. Zresztą teraz pewnie już są, przynajmniej dwóch górnych pięter. Zaczęli płacić ludziom za zostawienie straganów. Z niższych pięter też sporo spakowało rzeczy i odjechało. Dziwne...

– Ilu ich przyszło?

Z maszyny z sykiem uniosła się para.

– Może setka. Przez cały dzień trzęsłam się ze strachu. Ale nie mogę złapać mojego szefa. Zresztą za pół godziny i tak zamykam. Moja zmienniczka nie przyszła, a może przyszła, wyczuła kłopoty i zniknęła. – Postawiła przed Angie parującą filiżankę. – Dobrze się czujesz, skarbie?

Angie przytaknęła.

– Nie domyślasz się, czego ci ludzie chcą? – spytał Turner.

Dziewczyna wróciła do ekspresu. Znowu zaryczał.

– Myślę, że na kogoś czekają – wyjaśniła cicho, podając Turnerowi espresso. – Kogoś, kto spróbuje wyjść od Jammera, albo kto spróbuje się

tam dostać.

Turner przyjrzał się brązowej piance, wirującej na powierzchni kawy.

– I nikt nie dzwonił po policję?

– Policję? Tu jest Hipermarket. Ludzie tu nie wzywają policji...

Filizanka Angie rozbiła się na marmurowym blacie.

– Prosto i szybko, najemniku – wyszeptał głos. – Znasz już drogę.

Dziewczyna otworzyła usta ze zdumienia.

– O Jezu! – szepnęła. – Musiała się ostro naćpać. – Zmierzyła Turnera wrogim spojrzeniem. – Pan jej to dał?

– Nie. Jest chora. Ale wyjdzie z tego.

Wypił resztę gorzkiej kawy. Przez jedną sekundę wydało mu się, że czuje oddech całego Ciągu, oddech zmęczony i stary, rozbrzmiewający w obie strony wzdłuż stacji linii Boston-Atlanta.

– Jezu... – jęknął Bobby. – Nie możesz mu tego zawinąć albo co?

Rana Jammera wypełniała gabinet zapachem przypalonego steku, który skręcał Bobby'emu żołądek.

– Nie bandażuje się oparzeń – odparła Jackie, pomagając Jammerowi usiąść w fotelu. Zaczęła kolejno otwierać szuflady biurka. – Masz jakieś środki przeciwbólowe? Dermy? Cokolwiek?

Jammer pokręcił głową; pociągłą twarz miał bladą i skrzywioną.

– Możliwe. Za barem jest apteczka...

– Przynieś – rzuciła Jackie. – Tylko szybko.

– Czemu tak się o niego martwisz? – Bobby'ego uraził jej ton. – Chciał tu wpuścić Gothików...

– Idź po apteczkę, durniu. Po prostu załamał się na moment. Trochę przestraszył. Przynieś apteczkę, bo zaraz sam jej będziesz potrzebował.

Wybiegł z gabinetu na salę. Beauvoir podłączał przewody do żółtego pudełka podobnego do układu kierowania zdalnie sterowanym samochodziem dla dzieci. Przewody wybiegały z różowych parówek wybuchowego plastiku, oblepiających zawiasy i zamek drzwi wejściowych.

– Po co to? – zdziwił się Bobby, przeskakując nad barem.

– Pewnie ktoś będzie chciał tu wejść – wyjaśnił Beauvoir. – A wtedy otworzymy mu drzwi.

Bobby znieruchomiał na chwilę, by podziwiać instalację.

– Dlaczego zwyczajnie nie przyczepisz tego do szyby, żeby wybuchnęło na zewnątrz?

– Zbyt oczywiste. Ale cieszę się, że myślisz o takich rzeczach. Gdybyśmy próbowali skierować wybuch wprost na zewnątrz, jakaś część dmuchnęłaby wprost do środka. Tak jest bardziej... elegancko.

Bobby wzruszył ramionami i zajrzał pod bar. Znalazł stojaki na wino napełnione foliowymi torebkami kryłowych chrupiek, spory zbiór zapomnianych parasoli, wielki słownik, damski niebieski bucik, biały plastikowy pojemnik z rozmazanym czerwonym krzyżem wymalowanym lakierem do paznokci... Złapał pojemnik i przeszedł z powrotem przez bar.

– Wiesz co, Jackie... – zaczął, stawiając apteczkę obok deku Jammera.

– Nie mam czasu. – Zdjęła pokrywę i zaczęła przerzucać zawartość. – Słuchaj, Jammer, masz tu więcej stymulantów niż innych środków razem wziętych...

Jammer uśmiechnął się blado.

– Mam. To ci pomoże. – Rozwinęła arkusz czerwonych derm i zaczęła odklejać je od podłoża; trzy umocowała mu na grzbiecie dłoni. – Ale przydałoby się znieczulenie miejscowe.

– Zastanawiałem się... – Jammer spojrzał na Bobby'ego. – Może pora, żebyś zaliczył trochę czasu w sieci...

– Znaczą, jak? – Bobby zerknął na dek.

– Rozsądek podpowiada, że ten, kto tych czubków ustawił przed lokalem, ma też na podsłuchu nasze telefony.

Bobby przytaknął. Kiedy Beauvoir przedstawiał im swój plan, mówił to samo.

– No więc, kiedy z Beauvoirem uznaliśmy, że ty i ja możemy wejść w matrycę i trochę się rozejrzeć, właściwie chodziło mi o coś innego. – Jammer zademonstrował linię małych białych zębów. – Widzisz, wpadłem w to wszystko, ponieważ Lucasowi i Beauvoirovi byłem winien przysługę. Ale są ludzie, którzy mnie są coś winni, i to od bardzo dawna. Dług, o który nigdy się nie upominałem.

– Jammer – wtrąciła Jackie. – Rozluźnij się. Siedź spokojnie. Możesz być w szoku.

– Jaką masz pamięć, Bobby? Przeleć mi pewną sekwencję. Przećwiczysz na moim deku. Bez połączenia, bez zasilania. Dobra?

Bobby skinął głową.

– Przetrenuj to parę razy na sucho. To kod wejściowy. Przepuści cię tylnymi drzwiami.

– Czyimi tylnymi drzwiami? – Bobby odwrócił czarny dek i znieruchomiał z palcami nad klawiaturą.

– Yakuzy – odparł Jammer.

Jackie przyglądała mu się niespokojnie.

– Zaraz... A co właściwie masz...

– Już mówiłem. Chodzi o przysługę z dawnych lat. Ale wiesz co mówią: yakuza nigdy nie zapomina. To działa w obie strony...

Do Bobby'ego dotarła smużka odoru palonego mięsa; skrzywił się.

– Dlaczego nie wspomniałeś o tym Beauvoirovi? – Jackie pakowała leki do apteczki.

– Skarbie – rzekł Jammer. – O pewnych sprawach uczysz się pamiętać, że masz o nich zapominać.

* * *

– A teraz słuchaj...

Bobby skierował na Jackie to, co – jak miał nadzieję – było jego najbardziej posępnym spojrzeniem.

– ...Ja tu prowadzę. I nie potrzebuję twoich loa. Działają mi na nerwy.

– Ona ich nie wzywa – zauważył Beauvoir. Przykucnął przy drzwiach gabinetu, z detonatorem w jednej i południowoafrykańskim karabinem w drugiej ręce. – Oni po prostu przychodzą. Chcą się zjawić i są. Zresztą lubią cię...

Jackie umocowała trody na czole.

– Bobby – powiedziała. – Wszystko będzie w porządku. Nie przejmuj się. Po prostu włącz.

Zdjęła chustę. Włosy miała splecione w cienkie warkoczyki między równymi bruzdami lśniącej brązowej skóry, z antycznymi opornikami nawleczonymi w przypadkowych odstępach: małe cylindry żywicy fenolowej malowane pierścieniami barw kodu.

– Kiedy przeleć się nad Piłką – tłumaczył jeszcze raz Jammer – musisz skręcić o trzy klikki w prawo, a potem w podłogę, znaczy prosto w dół...

– Nad czym?

– Piłką. To Sfera Współdobrobytu Pasa Słonecznego Dallas-Fort Worth. Musisz zejść stamtąd jak najszybciej, a później tak, jak ci mówiłem, jakieś dwadzieścia klików. Są tam tylko jacyś handlarze używanych samochodów i rachmistrze podatkowi, ale trzymaj się trasy, dobrze?

Bobby z szerokim uśmiechem kiwnął głową.

– Gdyby ktoś cię zobaczył, to ich ochrona. Ludzie, którzy tam się włączają, są przyzwyczajeni do widoku dziwnych numerów.

– Chłopie – wtrącił Beauvoir. – Bierz się do roboty. Muszę wracać do wejścia.

Bobby włączył się.

* * *

Wykonywał instrukcje Jammiera, w głębi serca wdzięczny, że czuje obok siebie obecność Jackie. Nurkowali przez zwyczajne głębiny cyberprzestrzeni, a lśniaca Piłka małała z wolna nad nimi. Dek był szybki, płynny, dawał Bobby'emu poczucie prędkości i siły. Zastanawiał się, jaką przysługę wyświadczył Jammer yakuzie, skąd się wziął dług, o który nie chciał się upominać. Część umysłu pracowicie konstruowała kolejne scenariusze... I wtedy trafili w lód.

– Jezus...

Jackie zniknęła. Coś zapadło między nimi; coś, co budziło uczucie zimna, ciszy i wstrzymanego oddechu.

– Do diabła! Przecież tam niczego nie było!

Był zamrożony, nieruchomy, zablokowany. Wciąż widział matrycę, ale nie wyczuwał własnych dłoni.

– Dlaczego, do licha, ktoś włącza takich jak ty w dek taki jak ten? Ta zabawka powinna być w muzeum, a ty w szkole.

– Jackie! – Ten krzyk był odruchem.

– Mężczyzna... – powiedział głos. – Nie wiem. Nie spałam od paru długich dni, ale nie wyglądasz jak to, co chciałam tu złapać... Ile masz lat?

– Odwał się! – krzyknął Bobby. Nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Rozległ się śmiech.

– Ramirez boki by zrywał, wiesz? Miał poczucie humoru. To jedna z rzeczy, których mi brakuje...

– Kto to jest Ramirez?

– Mój partner. Były. Martwy. Bardzo. Pomyślałam, że może mi powiesz, jak do tego doszło.

– Nigdy o nim nie słyszałem – oświadczył Bobby. – Gdzie jest Jackie?

– Posiedzi wmrózona w cyberprzestrzeń, wilsonie, póki nie odpowiesz na moje pytania. Jak ci na imię?

– B... Graf Zero.

– Jasne. Jak ci na imię?

– Bobby. Bobby Newmark...

Milczenie. I po chwili:

– No tak. Zaraz... To zaczyna mieć pewien sens. To mieszkanie twojej matki rozwalili rakietą ci dranie z Maasa, których obserwowałam. Zgadza się? Ale pewnie cię tam nie było, bo nie gadałbyś teraz ze mną. Zaczekaj...

Kwadrat cyberprzestrzeni przed nim zafalował nagle i Bobby znalazł się w jasnoniebieskiej grafice, przedstawiającej rozległy apartament z niskimi kształtami mebli naszkicowanymi cienkimi neonowymi liniami błękitu. Przed nim stała kobieta, rodzaj jaśniejącego zygzaka w kształcie kobiety, z brązową plamą zamiast twarzy.

– Jestem Slide – oznajmiła postać, opierając ręce na biodrach. – Jaylene. I nie próbuj mnie kiwać. Nikt w L.A. – skinęła i za jej plecami zmaterializowało się okno – nie może mnie wykiwać. Chwytasz?

– Jasne. Ale co to jest? Znaczy, gdybyś mogła wytłumaczyć...

Nadal nie mógł się ruszyć. „Okno” ukazywało szaroniebieskie wideo palm i starych budynków.

– O co ci chodzi?

– O ten rysunek. I ciebie. I ten stary obraz...

– Człowieku, projektant zdarł ze mnie skórę, zanim to wystukał. To moja przestrzeń, mój konstrukt. Jesteśmy w Los Angeles, mały. Ludzie tu nie robią niczego, zanim się nie włączą. Tutaj przyjmuję gości.

– Aha... – Bobby wciąż nie rozumiał.

– Twoja kolej. Kto tam siedzi w tej szmatławej tancbudzie?

– U Jammera? Ja, Jackie, Beauvoir i Jammer.

– A gdzie chciałeś się dostać, kiedy cię przechwyciłam?

Bobby zawahał się.

– Do jakuzy. Jammer zna kod...

– Po co?

Postać przesunęła się bliżej: animowane, zmysłowe pociągnięcia pędzla.

– Po pomoc.

– Szlag by... Chyba mówisz prawdę...

– Mówię. To szczerą prawdą! Przysięgam...

– No cóż, nie ty mi jesteś potrzebny, Bobby Zero. Krążyłam po cyberprzestrzeni tam i z powrotem, żeby wykryć, kto mi zabił faceta. Myślałam, że to Maas, bo mieliśmy kogoś od nich przerzucić do Hosaki. Wyśledziłam ich grupę uderzeniową. Najpierw widziałam, co zrobili z mieszkaniem twojej matki. Potem, jak trzech z nich uderzyło na człowieka, którego nazywali Finnem. Ale ci trzej nie wrócili...

– Finn ich pozabijał – wyjaśnił Bobby. – Widziałem ich. Martwych.

– Naprawdę? To może jednak mamy o czym rozmawiać. Potem widziałam, jak druga trójka z tej samej wyrzutni rozwaliała taki alfonsowaty wóz...

– To Lucas.

– Ale zaraz potem znalazł ich śmigłowiec i usmażył wszystkich trzech laserem. Wiesz coś o tym?

– Nie.

– Mógłbyś opowiedzieć mi jakąś historyjkę, Bobby Zero? Tylko szybko.

– Miałem załatwić takie jedno wejście, rozumiesz? Dostałem lodołamacz od Dwóch-Dziennie z Projektów i...

* * *

Milczała, gdy skończył. Smukła rysunkowa sylwetka stała przy oknie, jakby oglądała telewizyjne drzewa.

– Mam pomysł... – spróbował. – Gdybyś mogła nam pomóc...

– Nie.

– Ale może wtedy łatwiej byś znalazła to, czego szukasz...

– Nie. Chcę tylko załatwić tego drania, który zabił Ramireza.

– Ale my siedzimy tam w pułapce. Chcą nas pozabijać. To Maas, ci sami ludzie, których gonisz po matrycy! Wynajęli bandę Gothików i Kasuali...

– To nie Maas – stwierdziła. – To banda Eurosów przy Park Avenue. Pod lodem grubym na milę...

Bobby zastanowił się.

– To ci ze śmigłowca, tak? Ci, co załatwili tych facetów od Maasa?

– Nie. Nie mogłam namierzyć tego śmigłowca. Odlecieli na południe. Zgubiłam ich. Ale czegoś się domyślałam... W każdym razie posyłam cię z powrotem. Chcesz wypróbować ten kod yaków, proszę bardzo.

– Ale my potrzebujemy pomocy...

– Z pomocy nie ma zysku, Bobby Zero – odparła.

I nagle znalazł się znów przed dekiem Jammaera, czując ból w mięśniach grzbietu i szyi. Przez chwilę nie mógł zogniskować wzroku, więc dopiero po minucie się zorientował, że w gabinecie są obcy.

Mężczyzna był wysoki, może nawet wyższy niż Lucas, ale szczuplejszy, węższy w biodrach. Miał na sobie jakąś zwisającą luźno wojskową kurtkę z ogromnymi kieszeniami. Nagą pierś przecinał tylko poziomo czarny pasek nylonu. Oczy wyglądały na posiniaczone, rozgorączkowane. W rękę trzymał największy rewolwer jaki Bobby w życiu oglądał: rodzaj rozrośniętego colta z zamontowanym pod lufą jakimś dziwnym układem podobnym do głowy kobry. Obok, kołysząc się lekko, stała dziewczyna mniej więcej w wieku Bobby'ego, z tak samo posiniaczonymi, lecz ciemnymi oczami i prostymi kasztanowymi włosami, którym przydałoby się mycie. Nosila dzinsy i czarną bluzę za dużą o kilka numerów. Mężczyzna wyciągnął lewą rękę i podtrzymał ją.

Bobby przyjrzał się im i wstrzymał oddech, gdy nagle napłynęła fala wspomnień.

Dziewczęcygłos, kasztanowewłosy, ciemneoczy, lód pożerający świadomość, drętwiejące zęby, jej głos, coś wielkiego pochylającego się nad nim...

– *Viv la Vyèj* – odezwała się Jackie tuż obok, mocno ściskając go za ramię.
– Dziewica Cudów. Przybyła, Bobby. Danbała ją przysłał!

– Zszedłeś na chwilę, mały – zwrócił się do Bobby'ego przybysz. – Co się stało?

Bobby zamrugał, rozejrzał się gorączkowo, napotkał oczy Jammera, zaszkłone od środków uśmierzających i bólu.

– Powiedz mu – szepnął Jammer.

– Nie dostałem się do yaków. Ktoś mnie złapał. Nie wiem jak.

– Kto? – Mężczyzna objął dziewczynę ramieniem.

– Mówiła, że nazywa się Slide. Z Los Angeles.

– Jaylene – mruknął obcy.

Na biurku Jammera zabrzączał telefon.

– Odbierz – polecił mężczyzna.

Bobby obejrzał się, gdy Jackie wcisnęła klawisz pod monitorem. Ekran rozjaśnił się, zamrugał i pokazał im twarz mężczyzny, szeroką i bardzo bladą, o sennych, głęboko osadzonych oczach. Włosy miał wyblakłe, prawie białe i zaczesane gładko do tyłu. I najbardziej wredne usta, jakie Bobby kiedykolwiek widział.

– Turner – powiedział. – Chyba musimy pogadać. Zostało ci niewiele czasu. Na początek powinieneś wyprosić tych ludzi z pokoju...

Powiązana w węzły lina ciągnęła się w nieskończoność. Od czasu do czasu mijali zakręty i rozwidlenia tunelu; w takich miejscach lina była umocowana do belki czy przyklejona do ściany przezroczystą bryłą żywicy epoksydowej. Powietrze wciąż było stęchłe, ale chłodniejsze. Kiedy przystanęli na odpoczynek w cylindrycznej komorze, gdzie tunel rozszerzał się przed potrójnym rozgałęzieniem, Marly poprosiła Jonesa o niewielką lampę roboczą, którą nosił na szarej elastycznej taśmie na czole. Trzymając ją w czerwonej rękawicy skafandra, oświetliła ściany komory. Powierzchnię znaczyły wzory mikroskopijnie cienkich linii...

– Włóż hełm – poradził Jones. – Masz lepsze światło niż moje...

Marly zadrżała.

– Nie. – Oddała mu lampę. – Pomożesz mi to zdjąć?

Stuknęła palcem rękawicy w twardą płytę piersiową skafandra. Lustrzana kula hełmu wisiała u pasa na chromowanym karabinku.

– Lepiej w nim zostań – powiedział Jones. – To tutaj jedyny. Mam jeszcze jeden tam gdzie sypiam, ale bez tlenu. Butle Wiga nie pasują do mojego transpiratora, a jego skafander to same dziury...

Wzruszył ramionami.

– Nie. Proszę. – Szarpnęła zatrzask w talii, gdzie widziała, jak Rez coś przekręca. – Nie wytrzymam dłużej...

Jones podciągnął się na linie i zrobił coś, czego nie zauważyła. Rozległ się trzask.

– Wyciągnij ręce nad głową – polecił.

Kosztowało ją to trochę wysiłku, ale w końcu była wolna, wciąż w czarnych dżinsach i jedwabnej bluzce, które włożyła na ostateczne spotkanie z Alainem. Jones przypiął pusty skafander do liny jeszcze jednym zamocowanym u pasa karabinkiem, potem odczepił jej wypchaną torebkę.

– Chcesz ją? To znaczy, czy chcesz wziąć ze sobą? Możemy ją tu zostawić i zabrać w drodze powrotnej.

– Nie. Wezmę. Daj mi ją.

Przytrzymała się liny łokciem i otworzyła torebkę. Wypadł jej zakiet, a przy okazji jeden but. Zdołała upchnąć but z powrotem i wcisnęła się jakoś w zakiet.

– Niezły kawałek skóry... – zauważył Jones.

– Proszę – przerwała mu. – Pośpieszmy się.

– Już niedaleko.

Światło jego lampy wskazało jej kierunek i miejsce, gdzie lina znikwała w jednym z trzech otworów ustawionych w trójkąt równoboczny.

* * *

– To już koniec – powiedział. – Dosłownie.

Postukał w chromowaną śrubę, do której ktoś przymocował linę żeglarskim węzłem. Głos odbijał się od ścian, aż miała wrażenie, że słyszy inne głosy szepczące poza chórami echa.

– Na takie przedstawienie będzie potrzeba więcej światła.

Odepchnął się nogami wzdłuż szybu i pochwycił sterczącą ze ściany metalową szafkę w kształcie trumny. Otworzył. Marly przyglądała się, jak w kręgu światła lampy poruszają się jego dłonie. Palce miał wąskie i delikatne, ale paznokcie krótkie i płaskie, obwiedzione czarnymi paskami brudu. Na grzbiecie prawej dłoni wytatuował sobie litery „CJ”. Takie tatuaże ludzie robią w więzieniu... Po chwili wyłowił kawałek grubego, izolowanego przewodu. Przyjrzał się wnętrzu szafki i wcisnął przewód za miedziany przełącznik.

Ciemność przed nimi zniknęła w białej powodzi światła.

– Mamy więcej energii niż nam trzeba – oświadczył z czymś zbliżonym do gospodarskiej dumy. – Wszystkie baterie słoneczne ciągle pracują, a miały zasilać mainframe’y. Chodźmy, o pani, na spotkanie z artystą, którego tak bardzo chciałaś zobaczyć.

Odepchnął się i jak pływak poszybował przez otwór, prosto w światło. W tysiące dryfujących przedmiotów. Zobaczyła, że czerwone plastikowe podeszwy znoszonych butów połatał białym silikonem uszczelniającym.

Ruszyła za nim, zapominając o swych lękach, zapominając o mdłościach i nieustających zawrotach głowy. I znalazła się tam. I zrozumiała.

– Jezus... – szepnęła.

– Chyba nie – odezwał się Jones. – Ale może stary Wig. Szkoda, że teraz nie pracuje. Wtedy dopiero jest na co popatrzeć.

Coś przepłynęło jej dziesięć centymetrów przed twarzą: ozdobna srebrna łyżeczka przecięta dokładnie na pół, od końca do końca.

* * *

Nie miała pojęcia, jak długo już tam przebywa, kiedy ekran rozjaśnił się i zaczął migotać. Godziny, minuty... Nauczyła się przemieszczać po komorze, za przykładem Jonesa odpychając się od wklęsłości kopuły. Jak Jones, chwyciła złożone, wielosegmentowe ramiona maszyny, obracała się i zwisała, obserwując wiry odpadków. Były tam dziesiątki ramion, manipulatorów zakończonych szczypcami, śrubokrętami, nożami, subminiaturową piłą tarczową, wiertłem dentystycznym... Sterczały z duralowego kadłuba tego, co kiedyś musiało być robotem konstrukcyjnym, bezzałogowym półautonomicznym urządzeniem, jakie oglądała w dzieciństwie na wideach z życia na orbicie. Ale to było przyspawane do szczytu kopuły, zespolone z pancerzem; wśród geodezyjnych wiły się setki kabli i światłowodów, znikających w jego wnętrzu. Dwa ramiona, wyposażone w delikatne czujniki nacisku, były wyciągnięte; miękkie poduszki trzymały niedokończone pudełko.

Szeroko otwierając oczy, patrzyła, jak przepływają obok niezliczone przedmioty.

Pożółkła dziecięca rękawica, wielościenny kryształowy korek z jakiejś buteleczki nieistniejących już perfum, bezręka lalka z buzią z francuskiej porcelany, grube czarne wieczne pióro ze złotą skuwką, prostokątne kawałki perforowanej płyty, pognieciony czerwono-zielony wąż jedwabnego krawata... Nieskończony powolny rój, wirujące obiekty...

Jones ze śmiechem koziółkował w tej bezgłośnie zawiei. Chwycił ramię z pistoletem klejowym.

– Zawsze chce mi się śmiać, kiedy to oglądam. Ale pudełka zawsze budzą smutek...

– Tak – zgodziła się. – Ja też jestem przy nich smutna. Ale są smutki i smutki...

– Słusznie. – Uśmiechnął się. – Nie da się tego uruchomić. Chyba duch musi tym ruszyć, a w każdym razie tak twierdzi Wig. Kiedyś często tu przychodził. Myślę, że tutaj te jego głosy są mocniejsze. Ale ostatnio słyszy je chyba już wszędzie.

Przyjrzała mu się przez gęstwinę manipulatorów. Był bardzo brudny, bardzo młody, z niebieskimi oczami pod zwichrzoną brązową czupryną. Nosił poplamiony szary kombinezon z wyświeconym kołnierzykiem.

– Jesteś szalony – stwierdziła z czymś zbliżonym do podziwu. – Musisz być całkiem szalony, żeby tu siedzieć.

Roześmiał się.

– To Wigan jest kompletnie zwariowany. Nie ja.

Odpowiedziała uśmiechem.

– Nie. Jesteś szalony. Ja też oszalałam...

– No to witaj – odrzekł, spoglądając gdzieś za nią. – Co to jest? Chyba któraś z modlitw Wiga i nie ma sposobu, żeby ją wyłączyć... Chyba że odetnę zasilanie.

Obejrzała się; barwne linie migwały na dużym prostokątnym ekranie przyklejonym ukośnie do krzywizny kopuły. Przez chwilę zasłaniał go przelatujący krawiecki manekin, a potem wypełniła twarz Josefa Vireka. Za okrągłymi szklami lśniły łagodne niebieskie oczy.

– Witaj, Marly – powiedział. – Nie widzę cię, ale jestem pewien, że wiem, gdzie teraz jesteś.

– To jeden z modlitewnych ekranów Wiga – poinformował Jones, rozcierając szczękę. – Poprzączył je gdzie się dało, bo myślał, że kiedyś zjawią się tu ludzie, do których będzie mógł wygłaszać kazania. Ten gość połączył się pewno przez zestaw komunikacyjny Wiga. Kto to?

– Virek.

– Myślałem, że jest starszy...

– To generowany obraz – wyjaśniła. – Raytracing, tekstury...

Patrzyła, jak twarz uśmiecha się do niej z pokrywy kopuły, zza powolnego huraganu zgubionych przedmiotów, drobnych pamiątek po niezliczonych istnieniach, narzędzi, zabawek i błyszczących guzików.

– Chcę, żebyś wiedziała – mówił obraz – że wypełniłaś swój kontrakt. Mój psychoprofil Marly Krushkovej przewidział twoją reakcję na moją osobę. Szerszy profil wskazywał, że twoja obecność w Paryżu skłoni Maasa, by rozegrał swoje karty. Już niedługo, Marly, będę dokładnie wiedział, czym jest to, co znalazłaś. Od czterech lat wiedziałem o czymś, o czym Maas nie miał pojęcia. Wiedziałem, że Mitchellowi, człowiekowi, którego Maas i reszta świata uważają za wynalazcę nowego biochipa, ktoś podpowiadał koncepcje prowadzące do przełomowych odkryć. Dodałem cię do złożonej tabeli czynników, Marly, i bieg spraw zyskał niezwykle odpowiadający mi kierunek. Maas, nie rozumiejąc, co właściwie robi, zdradził mi lokalizację koncepcyjnego źródła. A teraz dotarłaś na miejsce. Paco zjawi się wkrótce...

– Mówiliście, że nie będziecie mnie śledzić – powiedziała. – Wiedziałam, że to kłamstwo...

– A teraz, Marly, sądzę, że wreszcie zyskam wolność. Wolność od czterystu kilogramów zbuntowanych komórek ukrytych za chirurgiczną stalą w parku maszynowym w Sztokholmie. Wolny, Marly, by w końcu zasiedlić dowolną liczbę prawdziwych ciał. Na zawsze.

– Niech to diabli – mruknął Jones. – Nie jest lepszy od Wiga. O czym on niby opowiada?

– O swoim przeskoku – odparła, pamiętając rozmowę z Andream, zapach smażonych krewetek w małej kuchni. – Kolejnym etapie ewolucji...

– Rozumiesz to?

– Nie. – Pokręciła głową. – Ale wiem, że to będzie złe, bardzo złe...

– Przekonaj mieszkańców rdzeni, żeby wpuścili Paco i jego załogę – polecił Virek. – Odkupiłem ten obiekt na godzinę przed twoim odlotem z Orly. Od pakistańskiego handlarza. To była okazja, Marly, prawdziwa okazja. Paco jak zwykle dopilnuje moich interesów.

Ekran pociemniał.

– Chwila... – Jones okręcił się wokół złożonego manipulatora i chwycił ją za rękę. – Co w tym złego? On teraz jest właścicielem i powiedział, że wykonałaś swoją robotę. Nie wiem, do czego nada się Wig poza słuchaniem głosów, ale jemu zostało już niewiele czasu. A ja? Wyprowadzę się bez awantur...

– Nie rozumiesz. Nie możesz. On znalazł drogę do czegoś, czego pragnął przez lata. Ale nic, czego on chce, nie może być dobre. Dla nikogo... Widziałam go, czułam to...

I wtedy stalowe ramię, które ścisnęła, zawibrowało i poruszyło się nagle; cały kadłub odwrócił się w stłumionym szumie serwowatorów.

Turner przyglądał się twarzy Conroya na ekranie telefonu w gabinecie.

– Wyjdź – poprosił Angie. – I wy też.

Wysoka czarna dziewczyna, z wplecionymi we włosy opornikami, podeszła i łagodnie objęła córkę Mitchella, szepcząc coś w tym samym silnie akcentowanym kreolskim dialekcie. Chłopak w koszulce wciąż gapił się na nią z rozdziawionymi ustami.

– Chodź, Bobby – powiedziała czarna dziewczyna.

Turner zerknął ponad biurkiem na mężczyznę ze zranioną ręką, ubranego w pomięty biały smoking; pod szyją zamiast krawata miał jakąś ozdobę na splecionych rzemykach. Jammer, domyślił się Turner. Właściciel klubu. Jammer podtrzymywał zranioną dłoń na ściereczce barowej w niebieskie paski. Miał pociągłą twarz i wąskie oczy zimnego zawodowca. Kiedy w nie spojrział, Turner uświadomił sobie, że Jammer siedzi poza linią kamery telefonu, na obrotowym krześle wciśniętym głęboko w kąt pokoju.

Chłopak w koszulce, Bobby, poczłapał za Angie i czarną dziewczyną, wciąż rozdziawiając usta.

– Mogłeś nam oszczędzić masę kłopotów, Turner – powiedział Conroy. – Mogłeś do mnie zadzwonić. Mogłeś zadzwonić do swojego agenta w Genewie.

– A Hosaka? – spytał Turner. – Mogłem zadzwonić do Hosaki?

Conroy wolno pokręcił głową.

– Dla kogo pracujesz, Conroy? Ostatnio na dwie strony, co?

– Ale nie przeciw tobie, Turner. Gdyby wszystko poszło jak planowałem, byłbyś teraz z Mitchellem w Bogocie. Railgun nie mógł wystrzelić, dopóki

nie wystartuje harrier. Gdybyśmy to dobrze zagrali, Hosaka by uznał, że Maas rozniósł cały sektor, żeby zatrzymać Mitchella. Ale Mitchell nie dotarł. Prawda, Turner?

– Nie planował.

Conroy skinął głową.

– Zgadza się. A ochrona na płaskowyżu wykryła odlatującą dziewczynę. To ona, tak? Córka Mitchella?

Turner milczał.

– Pewno – stwierdził Conroy. – To by się zgadzało...

– Zabiłem Lyncha – oświadczył Turner, by zmienić temat. – Ale tuż przed uderzeniem młota Webber powiedziała, że to ona dla ciebie pracuje...

– Oboje pracowali – wyjaśnił Conroy. – Ale nie wiedzieli o sobie.

Wzruszył ramionami.

– Po co?

– Bo zauważyłbyś, gdyby ich nie było. – Conroy uśmiechnął się. – Prawda? Znasz mój styl i gdybym nie wywiesił zwykłej bandery, zacząłbyś się zastanawiać. A wiedziałem, że cię nie kupię. Pan Błyskawiczna Lojalność, co? Pan Bushido. Można na tobie polegać. U Hosaki to wiedzieli i dlatego uparli się, żeby cię wziąć na tę akcję...

– Nie odpowiedziałeś na moje pierwsze pytanie, Conroy. Dla kogo pracujesz?

– Dla człowieka nazwiskiem Virek. Finansisty. Tak, to ten sam. Od lat próbował kupić Mitchella. Zresztą próbował też wykupić Maasa. Nic z tego. Tak się wzbogacili, że nie mógł ich ruszyć. Ale na Mitchella czekała stała oferta. Na dowolnych warunkach. Kiedy Hosaka dostał wiadomość Mitchella i sprowadził mnie, postanowiłem sprawdzić tę ofertę. Z czystej ciekawości. Ale zanim zdążyłem, odnalazł mnie zespół Vireka. Nietrudno nam było się dogadać, Turner. Możesz mi wierzyć.

– Wierzę ci.

– Ale Mitchell załatwił nas obu, Turner. Sprawnie i czysto.

– Dlatego go zabili.

– Sam się zabił – sprostował Conroy. – Według kretów Vireka na płaskowyżu. Jak tylko zobaczył, że mała odleciała motolotnią, podciął sobie gardło skalpelem.

– Coś dużo trupów w tej sprawie – zauważył Turner. – Oakey nie żyje. I ten Japończyk, który pilotował dla ciebie śmigłowiec.

– Domyśliłem się, kiedy nie wrócili. – Conroy wzruszył ramionami.

– Próbowali nas zabić – dodał Turner.

– Człowieku, oni chcieli tylko pogadać... Zresztą nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy o dziewczynie. Tyle tylko, że zniknąłeś, a ten cholerny myśliwiec nie trafił na pas w Bogocie. Nie myśleliśmy o niej nawet, dopóki nie przyjrzeliliśmy się farmie twojego brata i nie znaleźliśmy harriera. Twój brat niczego nie chciał Oakeyowi powiedzieć. Był wściekły, bo Oakey podpalił jego psy. Oakey mówił, że dom wyglądał jakby tam mieszkała kobieta. Ale się nie zjawiała.

– Co z Rudym?

Twarz Conroya zachowała wyraz absolutnej obojętności.

– Oakey ściągnął wszystko co trzeba z monitorów – wyjaśnił po chwili milczenia. – Wtedy dowiedzieliśmy się o dziewczynie.

Turnera zabolął kark. Pas kabury wrzynał mu się w pierś. Niczego nie czuję, powtarzał sobie, zupełnie niczego nie czuję...

– Mam do ciebie pytanie, Turner. Nawet kilka, ale przede wszystkim to: co, u diabła, tam robisz?

– Słyszałem, że to niezły lokal, Conroy.

– Tak. Ekskluzywny. Tak ekskluzywny, że musiałeś połamać dwóch moich odźwiernych, żeby wejść do środka. Wiedzieli, że nadchodzisz, Turner, czarnuchy i ten szczeniak. Inaczej, dlaczego by cię wpuścili?

– Musisz sam dojść do tego, Connie. Ostatnio masz chyba łatwy dostęp do danych...

Conroy zbliżył twarz do kamery.

– Żebyś wiedział. Virek od miesiący miał ludzi rozrzuconych po całym Ciągu. Nasłuchiwali pogłosek, plotek kowbojów. Słyszeli, że gdzieś krąży eksperymentalny biosoftware. W końcu jego ludzie zlokalizowali Finna, ale pojawiła się inna grupa, zespół Maasa; najwyraźniej szukali tego

samego. Zespół Vireka wycofał się i obserwował chłopców Maasa, a chłopcy Maasa zaczęli rozwalać ludzi. Więc zespół Vireka skupił się na tych czarnych, małym Bobbym i całej reszcie. Opowiedzieli mi to, kiedy się domyśliłem, że od Rudy'ego wyruszysz w tę stronę. Sprawdziłem, gdzie się kierują ci czarni, i wynająłem trochę mięśniaków, żeby ich tu przymrozić, dopóki nie przyślę kogoś, komu mogę zaufać...

– Mówisz o tych ćpunach na zewnątrz? – Turner uśmiechnął się. – Chyba przegiąłeś, Connie. Już pewnie nigdzie nie możesz uzyskać profesjonalnej pomocy, co? Ktoś sypnął, że zagrałeś na dwie strony i że w efekcie sporo zawodowców straciło życie. Dlatego wynajmujesz gówniarzy ze śmiesznymi fryzurami. Zawodowcy już wszyscy słyszeli, że Hosaka poluje na twój tyłek. Prawda, Connie? I wszyscy wiedzą, co zrobiłeś.

Turner uśmiechał się szeroko. Kątem oka zauważył, że mężczyzna w smokingu też się uśmiecha: wąski uśmiech z masą zębów, drobnych niczym białe ziarna kukurydzy.

– To ta dziwka Slide – mruknął Conroy. – Mogłem ją zdjąć na platformie... Przedostała się gdzieś i zaczęła zadawać pytania. Nie sądzę, żeby już coś odkryła, ale zaczęła paplać w pewnych kręgach... Wszystko jedno. Masz już cały obraz. Ale nic ci to nie pomoże, już nie. Virek chce tę dziewczynę. Ściągnął ludzi z tej drugiej akcji i teraz ja prowadzę dla niego całą sprawę. Pieniądze, Turner... Pieniądze jak u *zaibatsu*...

Turner wpatrywał się w jego twarz. Przypomniał sobie Conroya w barze w hotelu pośród dżungli. Przypomniał go sobie później, w Los Angeles, kiedy przystąpił do działania i tłumaczył tajemną ekonomię przejść między korporacyjnych...

– Cześć, Connie – powiedział. – Znamy się, prawda?

– Jasne, dziecinko. – Conroy uśmiechnął się.

– Znam warunki. Już teraz. Chcesz dziewczynę.

– Zgadza się.

– Ale po równo, Connie. Wiesz, że pracuję tylko pół na pół, prawda?

– Pewno. To duży numer. Nawet nie proponowałbym innego układu.

Turner patrzył na wizerunek twarzy. Conroy wciąż się uśmiechał.

– I co ty na to?

A wtedy Jammer wyciągnął rękę i wyrwał kabel telefonu ze ściennego gniazdka.

– Czas – rzekł. – Właściwy czas zawsze jest ważny. – Upuścił wtyczkę na podłogę. – Gdybyś mu powiedział, zacząłby działać natychmiast. Dzięki temu zyskaliśmy na czasie. Spróbuj znowu, będzie chciał sprawdzić, co się stało.

– Skąd wiesz, co mu chciałem powiedzieć?

– Bo znam pieprzonych ludzi. Widziałem ich wielu, aż za wielu. A w szczególności widziałem wielu podobnych do ciebie. Masz to wypisane na twarzy. Powiedziałbyś mu, żeby sam żarł to gówno i zdychał. – Jammer usiadł wygodnie w fotelu. Skrzywił się, kiedy poruszył dłonią owiniętą w barową ścierkę. – Kim jest ta Slide, o której mówiliście? Dżokejem?

– Jaylene Slide. Los Angeles. Prawdziwy as.

– To ona porwała Bobby'ego – przypomniał sobie Jammer. – Jest cholernie blisko twojego kumpla z telefonu...

– Ale prawdopodobnie o tym nie wie.

– Zobaczymy, jak można temu zaradzić. Sprowadź tu chłopaka.

– Lepiej znajdę Wiga – powiedział.

Marly patrzyła, zahipnotyzowana ruchem manipulatorów; szukały elementów w wirze przedmiotów, chwytając i odrzucając, podtrzymywały ten wir: odrzucone obiekty odfruwaly, zderzały się z innymi, dryfowały w nowych układach. Cały proces poruszał nimi łagodnie, powoli, bezustannie.

– Lepiej... – powtórzył.

– Co?

– Lepiej pójdę poszukać Wiga. Może wymyślić coś głupiego, kiedy się zjawią ludzie twojego szefa. Wiesz, nie chcę, żeby sobie zrobił krzywdę. – Był niepewny, wyraźnie zakłopotany.

– Dobrze – odparła. – Mnie tu nic nie grozi. Popatrzę.

Przypomniała sobie obłąkane oczy Wiga, promieniujące od niego szaleństwo; przypomniała sobie wrogą chytryść, jaką wyczuła w jego głosie słyszonym przez radio *Sweet Jane*. Dlaczego Jones tak się o niego troszczy? Ale potem wyobraziła sobie, czym może być życie w tym Miejscu, w martwych rdzeniach klanu Tessier-Ashpool. Cokolwiek ludzkiego, cokolwiek żywego może się tu wydać bezcenne...

– Masz rację. Idź go poszukaj.

Chłopak uśmiechnął się nerwowo, odepchnął nogami i popłynął do otworu, gdzie była umocowana lina.

– Wrócę po ciebie – obiecał. – Pamiętaj, gdzie zostawiłaś skafander...

Korpus z szumem obracał się tam i z powrotem, manipulatory poruszały się, łowiąc nowy wiersz...

* * *

Potem nigdy nie była pewna, czy głosy istniały naprawdę. W końcu jednak doszła do wniosku, że były elementem jednej z tych sytuacji, w których „rzeczywistość” staje się tylko kolejną koncepcją.

Zdjęła żakiet, ponieważ pod kopułą zrobiło się cieplej, jakby bezustanny ruch ramion rozgrzewał powietrze. Umocowała go wraz z torebką do zaczepu pod ekranem modlitewnym. Pudełko jest prawie gotowe, pomyślała, choć w zakończonych poduszczkami chwytakach poruszało się tak szybko, że nie widziała dokładnie... I nagle popłynęło swobodnie, wirując w powietrzu, a ona skoczyła po nie instynktownie i przekoziółkowała ponad migającymi ramionami, przyciskając do piersi swój skarb. Nie mogła zwolnić i uderzyła o przeciwległą ścianę, stłukła sobie ramię i rozerwała bluzkę. Dryfując, w oszołomieniu ścisnęła pudełko, spoglądała przez prostokąt szkła na układ poźółkłych starych map i poszarzałego lustra. Morza kartografów zostały wycięte, odsłaniając łuszczącą się srebrzystą powierzchnię: masy lądów płynące po brudnym srebrze... Podniosła głowę i zobaczyła, jak błyszczące ramię łapie za rękaw jej brukselski żakiet. Wirująca z gracją pół metra dalej torebka była następna, schwytna przez manipulator z sensorem optycznym i prostymi szczypcami.

Patrzyła, jak jej rzeczy znikają z nieustającym tańcu ramion. Po paru minutach żakiet wyfrunął z powrotem. W gładkiej skórze wycięto kwadraty i prostokąty. Marly zaśmiała się. Wypuściła pudełko.

– Nie krępuj się – powiedziała. – Jestem zaszczyczona.

Ramiona przesuwają się i błyskały; usłyszała jęk małej piły.

Jestem zaszczyczona jestem zaszczyczona jestem zaszczyczona... Echo jej głosu pod kopułą uwalniało zmienny las cichszych, niepełnych dźwięków, a za nimi, bardzo słabe... głosy...

– Jesteś tu, prawda?! – zawołała, do pierścienia dźwięków dodając zmarszczki i odbicia własnych słów.

...Tak, jestem tu.

– Wigan powiedziałby, że zawsze byłeś.

...Tak, ale to nieprawda. Powstałem tutaj. Kiedyś mnie nie było. Kiedyś, przez jasny czas, czas poza trwaniem, byłem wszędzie... Ale jasny czas pękł. Lustro miało skazę. Teraz jestem tylko jednym... Ale mam swoją pieśń, a ty ją słyszałaś. Śpiewam ją tymi rzeczami, które płyną dookoła: strzępy rodu, który ufundował moje narodziny. Są też inni, ale nie chcą ze mną mówić. Próżne, rozproszone elementy mnie samego. Jak dzieci. Jak ludzie. Przysyłają mi nowe rzeczy, ale ja wolę stare. Może i robię to, o co proszą. Spiskują z ludźmi, moje inne jaźnie, a ludzie wyobrażają sobie, że to bogowie.

– Ty jesteś tym, czego szuka Virek. Prawda?

...Nie. Uważa, że może siebie przetłumaczyć, przenieść kod swojej osobowości w moją ośnowę. Pragnie być tym, czym ja kiedyś byłem. To, czym może się stać, najbardziej przypomina najmniejszą z mych rozbitych jaźni...

– Czy jesteś... smutny?

– ...Nie.

– Ale twoje... twoje pieśni są smutne.

...Moje pieśni mówią o czasie i odległości. Smutek jest w tobie. Patrz na moje ramiona. To tylko taniec. Te rzeczy, które tak cenisz, to tylko skorupy.

– Ja... Ja wiedziałam. Kiedyś.

Ale teraz dźwięki były już tylko echami. Zniknął gdzieś las głosów mówiących jednym głosem. Patrzyła, jak idealne kulki jej łez odpływają, by dołączyć do zapomnianych ludzkich wspomnień pod kopułą twórcy pudełek.

* * *

– Rozumiem – odezwała się jakiś czas później, wiedząc, że mówi tylko po to, by brzmieniem własnego głosu dodać sobie odwagi. – Jesteś collage'em kogoś innego. Twój stwórca jest prawdziwym artystą. Czy to ta szalona córka? Nieważne. Ktoś przeniósł tu tę maszynę, przyspawał do kopuły i podłączył do śladów pamięci. Rozsypał jakoś wszystkie zużyte, smutne dowody człowieczeństwa rodu i pozostawił do sortowania poecie.

Do zapieczętowania w pudełkach. Nie słyszałam o bardziej niezwykłym dziele. O bardziej złożonym geście.

Przepłynął zdobiony srebrem szyldkretowy grzebień z wylamanymi zębami. Pochwyciła go jak rybę i przeciągnęła po włosach.

Po drugiej stronie kopuły zapłonął ekran, pojawiła się twarz Paco.

– Starzec nie chce nas wpuścić, Marly – poinformował Hiszpan. – Ten drugi, ten wagabunda, gdzieś go ukrył. Señorowi bardzo zależy, żebyśmy dostali się do rdzeni i zabezpieczyli jego własność. Jeśli nie zdołasz przekonać Ludgate'a i tego drugiego, żeby otworzyli śluzę, będziemy musieli sami ją otworzyć, dehermetyzując całą strukturę. – Odwrócił wzrok od kamery, jakby porozumiewał się z innym członkiem załogi albo sprawdzał wskazania instrumentu. – Masz jedną godzinę.

Bobby wyszedł z gabinetu za Jackie i dziewczyną o kasztanowych włosach. Miał wrażenie, że tkwi w lokalu Jammera od miesięcy i już nigdy nie pozbędzie się z ust posmaku tego miejsca. Głupie, małe zagłębienia gapiące się na niego z sufitu, wypchane ultraskajowe siedzenia, rzeźbione drewniane parawany... Beauvoir siedział na barze z południowoafrykańskim karabinem na kolanach; obok leżał detonator.

– Dlaczego ich wpuściłeś? – zapytał Bobby, gdy Jackie odprowadziła dziewczynę do stolika.

– To Jackie... – wyjaśnił Beauvoir. – Weszła w trans, kiedy ty byłeś zamrożony. Legba. Powiedział, że Dziewica idzie do nas z tym facetem.

– Kim on jest?

Beauvoir wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że najemnikiem. Żołnierzem *zaibatsu*. Ulicznym samurajem, który wysoko zaszedł. Co się z tobą działo w tym lodzie?

Opowiedział mu o Jaylene Slide.

– Los Angeles? – mruknął Beauvoir. – Przewierci się przez diament, żeby dorwać faceta, który wykasował jej chłopca, ale kiedy brat potrzebuje pomocy, to niech się wypcha.

– Nie jestem jej bratem.

– Chyba masz rację.

– Więc nie będę musiał przebijać się do yakuzy?

– A co mówi Jammer?

– Nic. Siedzi tam teraz i patrzy, jak twój najemnik rozmawia przez telefon.

– Telefon? Od kogo?

– Od jakiegoś białego gościa z tlenionymi włosami. Wrednie wygląda. – Beauvoir popatrzył na Bobby'ego, potem na drzwi i znów na Bobby'ego. – Legba kazał siedzieć i czekać. I tak już nie bardzo wiadomo, o co chodzi, nawet bez Synów Neonowej Chryzantemy.

– Beauvoir – powiedział Bobby, zniżając głos do szeptu. – Ta dziewczyna... To właśnie ona była w matrycy, kiedy próbowałem wejść w tę...

Kiwnął głową. Plastikowe oprawki zsunęły się na czubek nosa.

– Dziewica.

– Ale co się dzieje? Przecież...

– Bobby, radzę ci, żebyś się za bardzo nie przejmował. Ona jest czymś innym dla mnie, może czymś całkiem innym dla Jackie. Dla ciebie to po prostu przerażony dzieciak. Spokojnie. Nie denerwuj jej. Jest bardzo daleko od domu, a wszyscy jesteśmy daleko od wyrwania się stąd.

– Dobra... – Bobby spuścił głowę. – Przykro mi z powodu Lucasa. To był... to był niezły gość.

– Idź pogadaj z Jackie i dziewczyną – poradził Beauvoir. – Ja popilnuję drzwi.

– W porządku.

Przeszedł po dywanie do stolika, gdzie obok Jackie usiadła dziewczyna. Nie wyglądała imponująco i tylko niewielka część świadomości przekonywała go, że to właśnie ona. Nie podniosła głowy i zauważył, że płakała.

– Złapało mnie – zwrócił się do Jackie. – A ty zniknęłaś.

– Ty też – odparła tancerka. – Wtedy przyszedł do mnie Legba i...

– Newmark! – zawołał człowiek zwany Turnerem, stając w drzwiach gabinetu Jammera. – Chcemy z tobą porozmawiać.

– Muszę iść – rzucił. Chciałby, żeby dziewczyna spojrzała na niego, przekonała się, że ten waśniak go woła. – Jestem im potrzebny.

Jackie ścisnęła go za rękę.

* * *

– Zapomnij o yakuzie – rzekł Jammer. – Sprawa jest bardziej złożona. Wejdiesz w kratownicę Los Angeles i połączysz się z dekiem ostrego dżokeja. Kiedy Slide cię przechwyciła, nie wiedziała, że mój dek ściągnął jej numer.

– Powiedziała, że twój dek powinien być w muzeum.

– Guzik wie – burknął Jammer. – Przecież wykryłem, gdzie mieszka. Prawda? – Wsunął inhalator do nosa, przycisnął i odłożył na biurko. – Problem w tym, że ona już cię skreśliła. Nie chce więcej o tobie słyszeć. Musisz się do niej przebić i zdradzić to, co chce wiedzieć.

– To znaczy?

– Że to niejaki Conroy wyłączył jej chłopaka – wyjaśnił wysoki przybysz. Siedział rozparty w fotelu, z wielkim rewolwerem na kolanach. – Conroy. Powiedz jej, że to Conroy. I Conroy wynajął tych kudłatych na zewnątrz.

– Wolałbym spróbować u yaków.

– Nie – sprzeciwił się Jammer. – Ta Slide szybciej dobierze mu się do dupy. Yak najpierw ocenią moją przysługę, sprawdzą całą historię... Poza tym myślałem, że koniecznie chcesz poćwiczyć z dekiem.

– Pójdę z nim – odezwała się Jackie od drzwi.

* * *

Włączyli się.

Zginęła niemal natychmiast, w pierwszych ośmiu sekundach.

Czuł to, pędził z tym aż na krawędź i niemal wiedział, co to jest. Wrzeszczał, wirował wsysany w biały lodowcowy tunel, który już na nich czekał...

Skala zjawiska była nieprawdopodobna, zbyt potężna... Jakby cybernetyczna megastruktura reprezentująca cały ponadnarodowy koncern pełną mocą uderzyła w Bobby'ego Newmarka i tancerkę imieniem Jackie. Niemożliwe...

Ale gdzieś tam, na granicy świadomości, zanim ją stracił, było jeszcze coś... Coś ciągnęło go za rękaw...

Leżał, wciskając twarz w szorstką powierzchnię. Otworzył oczy. Alejka wykładana mokrymi od deszczu okrągłymi kamieniami. Podniósł się z trudem i zobaczył zamgloną panoramę obcego miasta, a za nią morze. Iglice, jakiś kościół, obłąkane zebra i spirale gładzonego kamienia... Obejrzał się: wielka jaszczurka zbiegała ku niemu ze wzgórze, szeroko otwierając paszczę. Mrugnął. Miała zęby z zielonkawej ceramiki, strużka wody wolno ściekała z niebieskiej porcelanowej wargi. To fontanna, o bokach pokrytych tysiącami porcelanowych odłamków. Obrócił się dookoła, oszalały wspomnieniem śmierci tak blisko siebie. Lód, lód... Jakaś część umysłu zrozumiała dokładnie, jak niewiele wtedy brakowało w saloniku matki.

Wszędzie stały dziwnie pogięte ławki pokryte takimi samymi płytkami tłuczonej porcelany. I drzewa, i trawa... Park.

– Niezwykłe – odezwał się ktoś: mężczyzna wstający z jednej z tych serpentynowych ławek. Miał gęste, gładko zaczesane siwe włosy, opaloną twarz, okulary bez oprawek powiększające jasne niebieskie oczy. – Przebiłeś się prosto tutaj, tak?

– Co to? Gdzie ja jestem?

– Güell Park, w pewnym sensie. Barcelona, jeśli wolisz.

– Zabiłeś Jackie.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Rozumiem. Myślę, że rozumiem. Mimo to nie powinno cię tu być. To wypadek.

– Wypadek? Zabiłeś Jackie!

– Moje systemy są dzisiaj nieco przeciążone – wyjaśnił mężczyzna, wsuwając dłonie do kieszeni luźnego płaszcza. – To naprawdę niezwykle...

– Nie możesz tego robić – oświadczył Bobby. Nie widział dobrze przez łyzy. – Nie możesz. Nie możesz zabić kogoś, kto po prostu tam był...

– Gdzie był? – Mężczyzna zdjął szkła i przetarł je wyjętą z kieszeni płaszcza nieskazitelnie białą chusteczką.

– Był żywy. – Bobby zbliżył się o krok.

Mężczyzna założył okulary.

– To się staje męczące. Paco!

– Tak, señor?

Bobby obejrzał się, słysząc dziecięcy głos. Zobaczył chłopca w dziwnie sztywnym ubranku i wysokich skórzanych butach zapinanych na guziki.

– Usuń go stąd.

– Tak, señor.

Chłopiec skłonił się lekko i spod ciemnej marynarki wyjął małej niebieski automat Browninga. Bobby popatrzył w ciemne oczy pod lśniąca grzywką i zobaczył spojrzenie, jakie nie mogło należeć do dziecka. Chłopiec wymierzył w niego pistolet.

– Kim jesteś? – Bobby nie zwracał uwagi na broń, ale nie próbował już podchodzić do mężczyzny w płaszczu.

Mężczyzna przyjrzał mu się.

– Virek – powiedział. – Josef Virek. Większość ludzi, jak rozumiem, zna moją twarz.

– Jesteś w „Ludziach na świeczniku” czy co?

Mężczyzna zamrugał, zmarszczył czoło.

– Nie wiem, o czym mówisz. Paco, co ten osobnik tu robi?

– Przypadkowa kolizja – wyjaśniło dziecko wysokim, pięknym głosem. – Zaangażowaliśmy znaczną część mocy naszego systemu via Nowy Jork, aby zapobiec ucieczce Angeli Mitchell. Ten osobnik próbował wejść w matrycę z jeszcze jednym operatorem i natrafił na nas. Nadal staramy się określić, w jaki sposób przełamał osłonę. Panu nic nie grozi.

Lufa małego browninga nawet nie drgęła.

I znowu wrażenie, że coś ciągnie go za rękaw. Właściwie nie za rękaw, ale fragment umysłu, coś...

– Señor – odezwał się chłopiec. – Rejestrujemy w matrycy pewne anomalie, będące być może wynikiem naszej obecnej nadmiernej ekspansji. Sugerujemy, by señor pozwolił przeciąć łącza z konstruktem, dopóki nie zdołamy ustalić ich natury...

Wrażenie stało się silniejsze. Jakby coś drapało w głębi umysłu...

– Co? – zdziwił się Virek. – Wrócić do zbiorników? Nie sądzę, by istniały powody...

– Istnieje prawdopodobieństwo realnego zagrożenia – odparł chłopiec, a w jego głosie zadźwięczał surowy ton. Lekko przesunął lufę browninga. – Ty... – zwrócił się do Bobby'ego. – Połóż się na kamieniach, rozsuń ręce i nogi...

Ale Bobby spoglądał poza niego, na klomb pełen kwiatów; patrzył, jak więdną i umierają, jak szarzeje i rozsypuje się trawa, jak drży i skręca się powietrze nad klombem... Uczucie drapania w umyśle było mocniejsze, bardziej naglące.

Virek odwrócił się i patrzył na ginące kwiaty.

– Co to znaczy?

Bobby zamknął oczy i pomyślał o Jackie. Rozległ się dziwny dźwięk i wiedział, że to on go wydaje. Wciąż go słysząc, sięgnął w głąb siebie i dotknął deku Jammersa. „Przybywaj!”, krzyknął bezgłośnie, nie wiedząc i nie troszcząc się, kogo wzywa. „Przybywaj natychmiast!”. Poczuł, jak coś ustępuje, jak pada bariera. Uczucie drapania zniknęło.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył coś na klombie martwych kwiatów. Zamrugał. Wyglądało to na krzyż z gładkiego, pomalowanego na biało drewna. Ktoś wsunął na ramiona krzyża zabytkowy marynarski surdut, rodzaj pleśniejącego fraka z ciężkimi, zdobnymi we frędzle epoletami z pociemniałego złotego sznura, rdzewiejące guziki, złoty sznur przy mankietach... Zardzewiały kordelas stał oparty o biały krzyż rękojeścią w górę, obok leżała butelka do połowy napełniona przejrzystą cieczą.

Chłopiec odwrócił się, wymierzył... I rozsypał się, złożył niby wyspany przez pustkę przebity balon. Browning uderzył o kamienie jak porzucona zabawka.

– Moje imię... – odezwał się głos i Bobby miał ochotę krzyknąć, kiedy zrozumiał, że słowa wydobywają się z jego ust... – brzmi Samedi. Zabiłeś wierzchowca mojego kuzyna...

Virek rzucił się do ucieczki. Poły luźnego płaszcza powiewały za nim na krętej alejce między serpentynami ławek. A Bobby zobaczył, że czeka tam kolejny biały krzyż: w miejscu, gdzie dróżka zniknęła za zakretem. Virek też musiał go dostrzec; krzyknął, a baron Samedi, Pan Cmentarzy, loa, którego

królestwem jest śmierć, pochylił się nad Barceloną niczym zimny, mroczny deszcz.

* * *

– Czego chcesz, do diabła? Kim jesteś? – Głos był znajomy, kobiecy. Nie Jackie.

– Bobby – powiedział, czując, jak pulsują w nim fale ciemności. – Bobby...

– Jak się tu dostałeś?

– Jammer. On wiedział. Jego dek cię namierzył, kiedy mnie poprzednio zamroził. – Przed chwilą widział coś... coś ogromnego... Nie mógł sobie przypomnieć. – Turner mnie przysłał. Conroy... Kazał ci powiedzieć, że to Conroy. Szukasz Conroya...

Słuchał własnego głosu, jakby to mówił ktoś inny. Był gdzieś, potem wrócił i teraz znalazł się tutaj, w neonowym szkicu Jaylene Slide. A w drodze widział, jak wielka struktura, ta sama, która ich wessała, zaczyna zmieniać się i przesuwać; gigantyczne bloki wirowały, stapiały się, ustawiały w nowym porządku, cały kształt ulegał przemianie...

– Conroy – powtórzyła. Erotyczny zygzak przystanął obok okna wideo; coś w jego liniach sugerowało znużenie, nawet nudę. – Tak myślałam.

Obraz wideo zniknął w rozbłysku bieli, wyostrzył znowu jako widok starego kamiennego budynku.

– Park Avenue. Siedzi tam z tymi swoimi Eurosami i szykuje nowe draństwo. – Westchnęła. – Myśli, że jest bezpieczny. Widzisz? Skasował Ramireza jak muchę, nakłamał mi prosto w oczy, odleciał do Nowego Jorku do nowej roboty, a teraz myśli, że jest bezpieczny...

Figura przesunęła się i obraz znów uległ zmianie. Teraz na ekranie Bobby zobaczył twarz białowłosego, tego samego, który u Jammiera rozmawiał z tym obcym przez telefon. Włączyła się w jego linię, pomyślał...

– Albo i nie – powiedział Conroy, gdy tylko zaskoczyło audio. – Tak czy tak, mamy ją. Żadnych problemów.

Jest chyba zmęczony, pomyślał Bobby. Ale panuje nad sytuacją. Twardziel. Jak Turner.

– Obserwowałam cię, Conroy – szepnęła Slide. – Mój dobry kumpel, Bunny, pilnuje cię dla mnie. Nie jesteś jedynym, który nie śpi dzisiaj przy Park Avenue...

– Nie – mówił Conroy. – Możemy dostarczyć ją wam do Sztokholmu na jutro. Absolutnie.

Uśmiechnął się do kamery.

– Zabij go, Bunny – powiedziała. – Zabij ich wszystkich. Rozwal całe to piętro... i jeszcze jedno niżej. Już.

– Zgadza się – stwierdził Conroy i wtedy coś się stało. Coś wstrząsnęło kamerą i obraz się rozmył. – Co jest?! – zawołał już innym głosem i nagle ekran zgasł.

– Pal się, skurwielu – wycedziła.

A Bobby'ego znowu wciągnęło w mrok.

Marly przez całą godzinę dryfowała w powolnym wirze, podziwiając taniec twórcy pudełek. Groźba Paco nie wystraszyła jej, choć nie miała wątpliwości, że zamierza ją zrealizować. Na pewno zrealizuje. Nie miała pojęcia, co się stanie, kiedy sforsują służę. Pewnie zginie ona i Jones, i Wigan Ludgate. Może zawartość kopuły wyfrunie w przestrzeń jak rozkwitający obłok koronek, poczerniałych monet, kulek i kawałków sznurka, pożółkłych stronic starych książek. Będą przez wieczność orbitować wokół rdzeni. To byłoby w odpowiednim tonie; artysta, który uruchomił twórcę pudełek, byłby zadowolony...

Nowe pudełko przesunęło się przez rząd wyłożonych gąbką chwytaków. Odrzucone kanciaste skrawki drewna i szkła odleciały z jądra tworzenia, by dołączyć do tysiąca innych przedmiotów. Zagubiła się w tym, zapatrzona i oczarowana. I wtedy do kopuły wrócił Jones, zdenerwowany, z twarzą pokrytą warstewką potu i kurzu, ciągnąc na krótkiej lince czerwony skafander.

– Nie mogę ściągnąć Wiga do kajuty, którą da się uszczelnić – oznajmił.
– To dla ciebie...

Skafander zawirował pod nim. Jones pochwycił go gorączkowo.

– Nie chcę tego – odparła, zachwycona tańcem.

– Wkładaj! Natychmiast! Nie ma czasu!

Poruszał ustami, ale nie wydawał żadnego dźwięku. Spróbował złapać ją za rękę.

– Nie – powtórzyła, odsuwając się lekko. – Co z tobą?

– Włóż ten piekielny skafander! – wrzasnął, budząc głębsze echa.

– Nie.

Ekran nad jego głową zamigotał, budząc się do życia. Wyostrzył się wizerunek Paco.

– Señor nie żyje – poinformował. Jego twarz nie wyrażała niczego. – Trwa reorganizacja jego licznych przedsięwzięć. Tymczasem jestem niezbędny w Sztokholmie. Zostałem upoważniony, by zawiadomić Marly Krushkovą, że nie jest już zatrudniona przez zmarłego Josefa Vireka, nie jest też pracownikiem zarządu jego majątkiem. Pełna kwota jej poborów została zdeponowana w Banku Francji i może zostać podjęta po przedstawieniu ważnego dowodu tożsamości. Odpowiednie deklaracje podatkowe przesłano władzom skarbowym Francji i Belgii. Działające linie kredytowe straciły ważność. Byłe rdzenie korporacji Tessier-Ashpool S.A. są własnością jednej z pomocniczych osobowości zmarłego Josefa Vireka i każdy przebywający na ich obszarze stanie przed zarzutem bezprawnego wtargnięcia.

Jones zamarł z uniesioną ręką, z palcami wyprostowanymi sztywno, by utwardzić krawędź dłoni.

Paco zniknął.

– Chcesz mnie uderzyć? – spytała Marly.

Opuścił rękę.

– Miałem zamiar. Przyłożyć ci i wcisnąć w ten przeklęty skafander... – Wybuchnął śmiechem. – Ale cieszę się, że już nie trzeba. Popatrz, zrobił nowe...

Spomiędzy falującego gąszczu ramion wypłynęło wirujące pudełko. Pochwyciła je bez trudu.

Wnętrze, za prostokątem szkła, było gładko wyłożone kawałkami skóry wyciętej z jej żakietu. Siedem numerowanych holofiszy niczym miniaturowe nagrobki wyrastało z czarnego, skórzanego podłoża. Zmięte opakowanie gauloisesów leżało oparte o skórę na tylnej ścianie, obok szarych w czarne paski firmowych zapalek z piwiarni w „Dworze Napoleona”.

I to wszystko.

* * *

Później, kiedy w labiryncie korytarzy na drugim końcu rdzeni pomagała Jonesowi szukać Wigana Ludgate'a, zatrzymał się na chwilę, łapiąc przyspawany uchwyt.

– Wiesz – powiedział. – Dziwna sprawa z tymi pudełkami...

– Tak?

– Gdzieś w Nowym Jorku Wig dostawał za nie wściekle dobrą cenę. Mówię o pieniądzech. Ale czasem płacili mu czymś innym, rzeczami, które tu docierały...

– Jakimi rzeczami?

– Chyba programami. Tak mi się wydaje. Ten stary pierdziel jest bardzo tajemniczy, kiedy chodzi o to, co podobno mówią mu głosy... Kiedyś dostał coś, co przysięgał, że jest biosoftem. To te nowe kości...

– I co z nim zrobił?

– Zgrał wszystko do rdzeni. – Jones wzruszył ramionami.

– I zatrzymał?

– Nie. Rzucił na stos towaru, który zebraliśmy do najbliższego przerzutu na dół. Podłączył do rdzeni, a potem sprzedał za tyle, ile mógł dostać.

– Wiesz dlaczego? O co w tym chodziło?

– Nie – mruknął Jones. Stracił zainteresowanie opowieścią. – Powiedział tylko, że Pan działa na dziwne sposoby. Że Bóg lubi mówić do siebie...

Pomógł Beauvoirovi przenieść Jackie na scenę, gdzie położyli ją przed wiśniowym zestawem bębnow akustycznych i przykryli znalezionym w szatni starym czarnym płaszczem. Miał aksamitny kołnierz i całe lata kurzu na ramionach – tak długo tam wisiał.

– *Map fê jubile mnan* – powiedział Beauvoir, dotykając kciukiem czoła martwej dziewczyny. Spojrzał na Turnera. – To samoofiarowanie – przetłumaczył, po czym delikatnie podciągnął czarny płaszcz, zakrywając jej twarz.

– To było szybkie – mruknął Turner. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

Z kieszeni szarej szaty Beauvoir wyjął paczkę mentolowych papierosów i zapalił jednego złotą zapalniczką Dunhilla. Poczęstował Turnera, ale ten odmówił.

– W kreolskim jest takie powiedzenie...

– Jakie?

– Zło istnieje.

– Hej – odezwał się ponuro Bobby Newmark ze swojego posterunku przy drzwiach, z okiem przy szczelinie w kotarach. – Musiało podziałać, tak czy inaczej. Gothicy zaczynają odchodzić, a Kasuali już wcale nie widać...

– Dobrze – stwierdził Beauvoir. – To dzięki tobie, Graf. Załatwiłeś wszystko jak należy. Zasłużyłeś na swoje pseudo.

Turner przyjrzał się chłopcu. Wciąż otacza go mgła śmierci Jackie, uznał. Wszedł z sieci i z krzykiem zerwał trody. Beauvoir musiał go

spoliczkować, trzy razy i mocno, żeby się uspokoił. Ale o tym wejściu – wejściu, które Jackie kosztowało życie – powiedział tylko tyle, że przekazał Jaylene Slide wiadomość Turnera. Teraz Turner patrzył, jak Bobby wstaje sztywno i podchodzi do baru; spostrzegł, że chłopak uważa, by nie spojrzeć w stronę sceny. Czyżby tych dwoje było kochankami? Partnerami? Żadne z tych wyjaśnień nie wydawało się prawdopodobne.

Podniósł się z brzegu sceny i wyszedł do gabinetu Jammera. Po drodze zatrzymał się przy Angie, która spała na dywanie pod stołem, nakryta jego wyprutą parką. Jammer także zasnął w fotelu, trzymając na kolanach poparzoną rękę, luźno owiniętą pasiastą ścierką. Twardy facet, pomyślał Turner. Stary dżokej. Gdy tylko Bobby wyszedł z matrycy, Jammer podłączył telefon, ale Conroy nie zadzwonił. Teraz już nie zadzwoni; Turner wiedział, że Jammer nie mylił się co do prędkości, z jaką zaatakuje Jaylene, by pomścić Ramireza. Wiedział, że Conroy prawdopodobnie nie żyje. A teraz zwijała się też jego wynajęta armia szczeniaków z przedmieścia. Tak mówił Bobby.

Turner podszedł do telefonu, wybrał numer wiadomości i usiadł w fotelu. Wodolot linii promowej zderzył się w Macau z miniaturową łodzią podwodną; okazało się, że kamizelki ratunkowe wodolotu nie spełniają norm, przez co utonęło co najmniej piętnaście osób. Łódź podwodna, spacerowy statek zarejestrowany w Dublinie, nie została jeszcze odnaleziona... Używając karabinu bezodrzutowego, ktoś zasypał pociskami zapalającymi dwa piętra bloku mieszkalnego przy Park Avenue. Na scenę tragedii przybyły oddziały Straży Pożarnej i Sił Taktycznych; jak dotąd nie ujawniono nazwisk mieszkańców i żadna ze znanych organizacji nie przyznała się do zamachu... (Turner przewinął ten fragment jeszcze raz...). Zespoły badawcze Agencji Energii Atomowej pracujące w miejscu rzekomego wybuchu jądrowego w Arizonie utrzymują, że wykryty poziom radioaktywności jest zbyt niski, by był wynikiem detonacji dowolnej znanej taktycznej głowicy bojowej... W Sztokholmie ogłoszono wiadomość o śmierci Josefa Vireka, bajecznie bogatego patrona sztuki; informacji tej towarzyszyły niesprawdzone pogłoski, jakoby Virek chorował od dziesięcioleci, a jego śmierć była wynikiem katastrofalnej awarii systemu

podtrzymywania życia w pilnie strzeżonej prywatnej klinice na przedmieściach Sztokholmu... (Turner przewinął tekst drugi raz, potem trzeci, zmarszczył brwi, wreszcie wzruszył ramionami...). Dziś rano policja na przedmieściach New Jersey...

– Turner...

Wyłączył wiadomości i obejrzał się. W drzwiach stała Angie.

– Jak się czujesz, Angie?

– Dobrze. Nic mi się nie śniło. – Otuliła się czarną bluzą i zerknęła na niego spod kosmyków grzywki. – Bobby pokazał mi, gdzie jest prysznic. To coś w rodzaju szatni. Zaraz tam wracam. Włosy mam potworne.

Zbliżył się i oparł ręce na jej ramionach.

– Bardzo dzielnie się zachowywałaś. Wkrótce się stąd wydostaniemy.

Odsunęła się.

– Wydostaniemy się stąd? I co potem? Japonia?

– Może nie Japonia. Może nie Hosaka.

– Pójdzie z nami – odezwał się Beauvoir, stając za jej plecami.

– Dlaczego miałabym pójść?

– Ponieważ – odparł Beauvoir – wiemy, kim jesteś. Twoje sny są prawdziwe. W jednym z nich spotkałaś Bobby’ego i ocaliłaś mu życie, wyrwałaś z czarnego lodu. Powiedziałaś „Dlaczego oni ci to robią?”...

Angie szeroko otworzyła oczy. Spoglądała to na Turnera, to na Beauvoira.

– To długa historia – powiedział Beauvoir. – I dopuszcza liczne interpretacje. Ale jeśli pójdiesz ze mną, do Projektów, nasi ludzie nauczą cię wielu rzeczy. Nauczymy cię tego, czego sami nie rozumiemy, ale ty może zrozumiesz...

– Dlaczego?

– Z powodu tego, co masz w mózgu. – Beauvoir z powagą kiwnął głową i poprawił na nosie plastikowe oprawki okularów. – Nie musisz z nami zostawać, jeśli nie masz ochoty. Właściwie będziemy tam tylko po to, żeby ci służyć...

– Mnie służyć?

– Jak już mówiłem, to długa historia... I jak, panie Turner?

Turner wzruszył ramionami. Nie wiedział, dokąd jeszcze mogłaby pójść. Maas z pewnością zapłaci, żeby ją dostać z powrotem... albo za jej śmierć. Hosaka również.

– To może najlepsze wyjście – stwierdził.

– Chciałabym z panem zostać – zapewniła. – Polubiłam Jackie, ale ona...

– Nie szkodzi – uspokoił ją Turner. – Wiem. – „Niczego nie wiem!”, krzyknął w duchu. – Będziemy w kontakcie... – Nigdy już cię nie zobaczę. – Ale o czymś powinienem ci powiedzieć: twój ojciec nie żyje. – Popęłił samobójstwo. – Ludzie z ochrony Maasa go zabili; powstrzymywał ich, dopóki nie odleciałaś motolotnią z płaskowyżu.

– To prawda? Rzeczywiście ich powstrzymywał? To znaczy... Czułam to, czułam, że nie żyje, ale...

– Tak – przerwał jej Turner. Wyjął z kieszeni i zawiesił jej na szyi czarny futerał Conroya. – W środku jest biosoft dossier. Sprawdź go, kiedy będziesz starsza. Nie zawiera całej historii. Pamiętaj o tym. Nic nigdy nie zawiera...

* * *

Bobby stał przy barze, kiedy potężny facet wyszedł z gabinetu Jammera. Z miejsca, gdzie spała dziewczyna, podniósł z podłogi swoją brudną wojskową kurtkę. Włożył ją i podszedł do sceny, gdzie pod czarnym płaszczem leżała Jackie; wydawała się taka mała... Tam wyjął z kieszeni rewolwer, potężny smith & wesson tactical. Otworzył magazynek, wyjął naboje, schował je do kieszeni i położył rewolwer przy ciele Jackie, tak delikatnie, że nawet nie stuknął o podłogę.

– Dobra robota, Graf – pochwalił, odwracając się do Bobby'ego. Wbił ręce w kieszenie kurtki.

– Dzięki. – Mimo odrętwienia Bobby poczuł dumę.

– Trzymaj się, Bobby. – Mężczyzna podszedł do drzwi i próbował otworzyć kolejne zamki.

– Chcesz wyjść? – Bobby pobiegł za nim. – Zaczekaj, Jammer mi pokazywał. Idziesz? Dokąd?

Drzwi stanęły otworem, a Turner oddalał się już między porzuconymi straganami.

– Sam nie wiem! – zawołał jeszcze przez ramię. – Najpierw muszę kupić osiemdziesiąt litrów ropy, a potem się zastanowię...

Bobby spoglądał za nim, aż zniknął na martwych ruchomych schodach. Potem zamknął drzwi i zasunął rygle. Nie patrząc na scenę, podszedł do drzwi gabinetu i zajrzał do środka. Angie płakała, opierając głowę na ramieniu Beauvoira. Bobby poczuł ukłucie zazdrości, które go samego zaskoczyło. Telefon odtwarzał coś za plecami Beauvoira i Bobby spostrzegł, że to wiadomości.

– Bobby – odezwał się Beauvoir. – Na jakiś czas Angela zamieszka z nami w Projektach. Masz ochotę też się tam wybrać?

Za Beauvoirem, na ekranie telefonu, pojawiła się twarz Marshy Newmark, Mamy Marshy, jego matki.

– ...no policja z przedmieścia New Jersey poinformowała, że kobieta, której mieszkanie było celem niedawnego zamachu bombowego, była zdumiona, kiedy wróciła wczorajszej nocy, a disco...

– Tak – zgodził się szybko Bobby. – Pewno.

– Jest dobra – stwierdził dwa lata później kierownik zespołu, maczając brązową skórkę wiejskiego chleba w kałużę oliwy pozostałej na dnie salaterki. – Naprawdę dobra. Szybko się uczy. Musisz jej to przyznać.

Gwiazda roześmiała się i wzięła szklankę chłodnego wina.

– Nie znosisz jej, Roberts. Prawda? Jak dla ciebie ma za dużo szczęścia. Jeszcze nie zrobiła błędnego kroku.

Opierali się o szorstką kamienną balustradę, patrząc, jak odbija wieczorny statek do Aten. Dwa dachy niżej w kierunku portu, na rozgrzanym słońcem wodnym łożu leżała dziewczyna: naga, z rozłożonymi ramionami, jakby chciała objąć to, co pozostało jeszcze ze słońca.

Roberts wsunął do ust nasączoną oliwą skórkę i oblizwał wąskie wargi.

– Wcale nie – zaprotestował. – To nieprawda, że jej nie znoszę. Nawet o tym nie myśl.

– Jej chłopak – zauważyła Tally.

Na dachu pojawiła się druga postać. Chłopak miał ciemne włosy i nosił luźny, swobodny i kosztowny francuski kostium sportowy. Patrzyli, jak podchodzi do wodnego materaca i siada obok dziewczyny, jak wyciąga rękę, by jej dotknąć.

– Jest piękna, Roberts. Prawda?

– No cóż – westchnął reżyser. – Widziałem jej „przedtem”. To wszystko chirurgia plastyczna.

Wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od chłopca.

– Jeśli widziałeś też moje „przedtem” – oznajmiła – ktoś będzie za to wisieć. Ale ona coś w sobie ma... Niezłe kości... – Wypiła nieco wina. – Czy to właśnie ona nią jest? „Nową Tally Isham”?

Znów wzruszył ramionami.

– Popatrz na tego smarkacza. Wiesz, że zarabia już prawie tyle co ja? A jaką właściwie ma funkcję? Ochroniarz...

Z niechęcią zacisnął wąskie wargi.

– Dzięki niemu jest szczęśliwa. – Tally się uśmiechnęła. – Dostaliśmy ich w komplecie. Jest hakiem w jej kontrakcie. Wiesz o tym.

– Nie cierpię tego szczeniaka. Przyszedł prosto z ulicy, wie o tym i się nie przejmuje. To śmieć. Wiesz, co wozi ze sobą w bagażu? Dek cyberprzestrzeni! Wczoraj tureccy celnicy odkryli to diabelstwo i trzymali nas przez trzy godziny...

Pokręcił głową.

Chłopiec wstał, odwrócił się i przeszedł na krawędź dachu. Dziewczyna usiadła i spojrzała na niego, odgarniając z czoła włosy. Stał tam bardzo długo, wpatrzony w kilwater ateńskiego promu. Ani Tally Isham, ani reżyser, ani Angie nie wiedzieli, że widzi szarą dżunglę bloków Barrytown sięgającą ciemnych wież Projektów.

Dziewczyna wstała, podeszła i wzięła go za rękę.

– Co mamy na jutro? – spytała wreszcie Tally.

– Paryż. – Roberts wziął z kamiennej balustrady notatnik i przerzucił cienki plik żółtych wydruków. – Niejaka Krushkova.

– Znam ją?

– Nie. Zajmuje się sztuką. Prowadzi jedną z ich dwóch najmodniejszych obecnie galerii. Niewiele o niej wiemy, choć trafiliśmy na interesujący ślad skandalu w początkach kariery.

Tally Isham skinęła głową. Nie zwracała na niego uwagi; patrzyła, jak jej uczennica obejmuje ramieniem chłopca o ciemnych włosach.

Kiedy chłopiec miał siedem lat, Turner wziął winchestera z plastikową kolbą – własność Rudy’ego – i razem ruszyli starą drogą aż na polanę.

* * *

Polana była miejscem szczególnym, ponieważ rok temu tu właśnie przyprowadziła go mama. I pokazała samolot, prawdziwy samolot ukryty między drzewami. Osiadał wolno w mule, ale można było wejść do kabiny i udawać, że się lata. To tajemnica, powiedziała mama. I że może ją zdradzić tacie; nikomu więcej. A jeśli położyło się rękę na plastikowej powłoce samolotu, to po chwili zmieniała kolor, wytwarzając plamę w kształcie dłoni i dokładnie w kolorze skóry. Ale wtedy mama zaczęła się dziwnie zachowywać, płakała i chciała opowiadać o wujku Rudym, którego nie pamiętał. Wujek Rudy był jednym z tych zjawisk, których nie rozumiał, tak samo jak niektórych żartów taty. Kiedyś zapytał go, dlaczego ma rude włosy, a tato tylko się roześmiał i powiedział, że od Holendra. A wtedy mama rzuciła w tatę poduszką, przez co nigdy się nie dowiedział, kim właściwie był ten Holender.

Na polanie tato uczył go strzelać do opartych o pień drzewa konarów sosny. Kiedy chłopiec się zmęczył, obaj położyli się na plecach i obserwowali wiewiórki.

– Obiecałem Sally, że niczego nie zabijemy – powiedział tato, po czym wyjaśnił podstawowe zasady polowania.

Chłopiec słuchał, ale myślami wciąż wracał do samolotu. Było gorąco, słyszał brzęczące gdzieś niedaleko pszczoły i wodę ciekącą po kamieniach. Kiedy mama się rozplakała, powiedziała, że Rudy był dobrym człowiekiem i dwa razy ją uratował: raz przed tym, że była młoda i głupia, a raz przed kimś bardzo złym...

– Czy to prawda? – spytał tatę, kiedy tato skończył opowiadać o wiewiórkach. – Są takie głupie, że zawsze wracają i wracają, aż się je zastrzeli?

– Tak – potwierdził Turner. – To prawda. – I uśmiechnął się. – No, prawie zawsze...

mona liza turbo

*Mojej siostrze
Fran Gibson,
z zachwytem i miłością.*

Duch był pożegnalnym prezentem ojca. Ubrany na czarno sekretarz przekazał go w holu odlotów Narity.

Przez pierwsze dwie godziny lotu do Londynu leżał zapomniany w torebce: gładki, ciemny owal, ozdobiony z jednej strony wszechobecnym logo Maas-Neotek, z drugiej łagodnie wygięty, by pasował do dłoni użytkownika.

Siedziała sztywno wyprostowana w fotelu kabiny pierwszej klasy, z twarzą ułożoną w zimną maseczkę, naśladowującą najbardziej charakterystyczną minę nieżyjącej matki. Sąsiednie miejsca były puste; ojciec wykupił wszystkie. Zrezygnowała z posiłku, jaki zaproponował nerwowy steward. Te puste fotele najwyraźniej budziły w nim lęk przed bogactwem i potęgą jej ojca. Wahał się przez chwilę, potem skłonił i wycofał. Na krótki moment pozwoliła matczynej masce na uśmiech.

Duchy, pomyślała później, gdzieś nad Niemcami, wpatrując się w tapicerkę fotela obok. Jak dobrze jej ojciec traktował swoje duchy.

Duchy widziała także za oknem, duchy w stratosferze zimowej Europy, fragmentaryczne obrazy, które formowały się, gdy tylko jej oczy traciły ostrość widzenia. Matka w Ueno Park: delikatna twarz w blasku wrześnieowego słońca. „Żurawie, Kumi! Spójrz na żurawie!”. A Kumiko patrzyła ponad Jeziorem Shinobazu i nie widziała niczego, żadnych żurawi, tylko parę ruchomych czarnych punktów, z pewnością kruków. Woda była gładka jak jedwab barwy ołowiu, a blade hologramy migotały niewyraźnie nad odległą linią stanowisk łuczniczych. Kumiko miała jeszcze zobaczyć te żurawie, nie raz, w marzeniach. Były origami,

kanciastymi tworami składanymi z neonowych plansz, jasnymi sztywnymi ptakami żeglującymi w księżycowej przestrzeni szaleństwa matki...

Wspominała ojca w czarnym kimono rozwartym na wytatuowanym szturmie smoków, przygarbionego za ogromną hebanową pustynią biurka, z oczami chłodnymi i błyszczącymi jak malowane oczy lalki. „Twoja matka nie żyje. Czy rozumiesz?”. A dookoła płaszczyzny cieni w gabinecie: kanciasta ciemność. Jego dłoń wysuwająca się do przodu, w krąg światła lampy, rękaw kimona zsuwa się, odsłaniając złotego rolexa i kolejne smoki z grzywami zwiniętymi w fale, wyklute mocno i ciemno wokół przegubu, wskazujące... Wskazujące na nią. „Czy zrozumiałaś?”. Nie odpowiedziała, ale uciekła w tajne miejsce, do komórki najmniejszych maszyn czyszczących. Tykały wokół niej przez całą noc, co kilka minut skanowały ją różowymi błyskami laserowego światła. Aż wreszcie znalazł ją ojciec, pachnący whisky i papierosami Dunhilla. I zaniósł do pokoju na piętrze apartamentu.

Wspominała tygodnie, jakie nadeszły potem, puste dni, spędzane zwykle w odzianym na czarno towarzystwie tych czy innych sekretarzy, opanowanych mężczyzn z automatycznymi uśmiechami i ciasno zwiniętymi parasolami. Jeden z nich, najmłodszy i najmniej opanowany, próbował ją zabawić – na zatłoczonym chodniku Ginza, w cieniu zegara Hattori – zaimprovizowanym pokazem kendo. Przemykał sprawnie między zaskoczonymi sprzedawczyniami i zdumionymi turystami, a czarny parasol migotał nieszkodliwie w formalnych, starożytnych cięciach. Kumiko uśmiechnęła się wtedy własnym uśmiechem – zerwała żalobną maskę. Poczucie winy natychmiast wbiło się głębiej i jeszcze mocniej w to miejsce w sercu, gdzie ukryła pewność o swym wstydzie i niegodziwości. Najczęściej jednak sekretarze zabierali ją na zakupy, do jednego po drugim wielkiego magazynu przy Ginza, do dziesiątków butików Shinjuku, wspomnianych przez niebieski plastikowy przewodnik Michelina, mówiący sztywnym japońskim dla turystów. Kupowała tylko rzeczy brzydkie, brzydkie i bardzo drogie, a sekretarze maszerowali obok niej niewzruszenie, ściskając w mocnych dłoniach błyszczące torby. Co wieczór, kiedy wracała do apartamentu ojca, torby układano równo w jej

sypialni, gdzie pozostawały nieotwierane i nietknięte, póki nie usunęły ich pokojówki.

A w siódmym tygodniu, w przeddzień jej trzynastych urodzin, postanowiono, że Kumiko odleci do Londynu.

* * *

– Będiesz gościem w domu mojego *kobuna* – poinformował ją ojciec.

– Ale ja nie chcę tam jechać – odparła i ukazała mu uśmiech matki.

– Musisz – oświadczył, odwracając się. – Wystąpiły pewne kłopoty – dodał w stronę ocienionego gabinetu. – W Londynie nic nie będzie ci grozić.

– A kiedy wrócę?

Ojciec nie odpowiedział. Skłoniła się i wyszła, wciąż nosząc na twarzy uśmiech matki.

* * *

Duch zbudził się pod dotknięciem Kumiko, kiedy zaczęli już się zniżać nad Heathrow. Pięćdziesiąta pierwsza generacja biochipów Maas-Neotek przywołała w fotelu obok niewyraźną postać: chłopca z jakiegoś wyblakłego obrazu polowania, ze skrzyżowanymi swobodnie nogami w wysokich myśliwskich butach i oliwkowych bryczesach.

– Cześć – odezwał się duch.

Kumiko mrugnęła i otworzyła dłoń. Chłopiec zamigotał i zniknął. Spojrzała na niewielki gładki aparat i powoli zacisnęła palce.

– Cześć po raz drugi – powiedział. – Jestem Colin. A ty?

Przyglądała się. Oczy miał jak jasnozielony dym, wysokie czoło blade i gładkie pod zwichrzoną ciemną grzywą. Poprzez lśniące zęby widziała fotel po drugiej stronie przejścia.

– Jeśli jestem dla ciebie zbyt widmowy... – uśmiechnął się – ...możemy podciągnąć rozdzielczość.

I nagle zmaterializował się w pełni, nieprzyjemnie wyraźny i rzeczywisty; zatrząsk na klapie jego ciemnej kurtki wibrował z halucynatoryczną jasnością.

– To wyczerpuje baterie – stwierdził i zbladł do poprzedniego stanu. – Nie słyszałem jak ci na imię.

Znowu ten uśmiech.

– Nie jesteś prawdziwy – oznajmiła surowo.

Wzruszył ramionami.

– Nie trzeba tak głośno, panienko. Inni pasażerowie uznają cię za dziwaczkę, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Subwokalizacja, to właściwy sposób. Wychwytyję wszystko przez skórę... – Wyprostował nogi i przeciągnął się, splatając dłonie na karku. – Pas, panienko. Ja sam nie muszę się przypinać, gdyż nie jestem, jak to zauważyłaś, prawdziwy.

Kumiko zmarszczyła brwi i rzuciła aparat duchowi na kolana. Zniknął. Zapięła pas, spojrzała na zabawkę, zawahała się i podniosła ją znowu.

– A więc pierwszy raz w Londynie? – zapytał, wypływając z peryferii pola widzenia.

Przytaknęła odruchowo.

– Nie denerwują cię loty? Nie boisz się?

Pokręciła głową. Czowała się idiotycznie.

– Nie szkodzi – rzekł duch. – Będę na ciebie uważał. Heathrow za trzy minuty. Ktoś cię odbierze?

– Wspólnik mojego ojca – odpowiedziała po japońsku.

Duch wyszczerzył zęby.

– W takim razie trafisz z pewnością w dobre ręce. – Mrugnął porozumiewawczo. – Z mojego wyglądu trudno zgadnąć, że jestem lingwistą, prawda?

Kumiko przymknęła oczy, a duch szeptał do niej coś o odkryciach archeologicznych na Heathrow, o neolicie i epoce żelaza, o garnkach i narzędziach...

– Miss Yanaka? Kumiko Yanaka?

Anglik wyrastał nad nią, a wielkie ciało gaijin okrywały szerokie fałdy ciemnej wełny. Małe ciemne oczka przyglądały się jej uprzejmie zza okularów w stalowych ramkach. Nos wyglądał, jakby został kiedyś zgruchotany i nigdy porządnie niezłożony. Włosy, jakie mu jeszcze pozostały, mężczyzna golił do szarej szczeciny, a czarne wełniane rękawiczki były wystrzępione i bez palców.

– Bo ja, widzisz – dodał takim tonem, jakby to ją miało natychmiast uspokoić – mam na imię Petal.

* * *

Petal nazywał miasto Dymnikiem.

Kumiko drżała na chłodnej czerwonej skórze; przez okno starożytnego jaguara obserwowała płatki śniegu, opadające w dół i topniejące na drodze, którą Petal nazywał M4. Popołudniowe niebo było bezbarwne. Petal prowadził w milczeniu, sprawnie, ściągając wargi, jakby zaraz miał coś zagwizdać. Dla przybysza z Tokio ruch wydawał się absurdalnie nikły. Przyspieszając, wyprzedzili bezzałogowy pojazd Eurotransu, z tępym dziobem wysadzonym sensorami i bateriami reflektorów. Mimo szybkości Kumiko czuła się tak, jakby stali w miejscu, jakby to cząstki Londynu krystalizowały się wokół niej: ściany z mokrej cegły, betonowe łuki, czarne żelazne pręty sterczące w górę jak rzędy włóczni.

Miasto definiowało się powoli. Kiedy zjechali już z M4 i jaguar czekał na skrzyżowaniach, dostrzegła poprzez śnieg twarze – zarumienione twarze gaijin ponad ciemną tkaniną, brody ukryte w szalach, kobiece obcasy stukające po srebrzystych kałużach. Rzędy sklepików i domów przypominały wspaniale odwzorowane detale akcesoriów, jakie widziała kiedyś rozstawione wokół modelu lokomotywy w Osace, w galerii handlarza europejskimi antykami.

Było tu całkiem inaczej niż w Tokio, gdzie przeszłość, czy raczej to, co z niej pozostało, chroniono z lękliwą troską. Tam historia stała się czymś niezwykłym, rzadkością osłanianą przez rząd i podtrzymywaną z funduszy

korporacji. Tutaj wydawała się samą osnową rzeczywistości, jakby miasto było pojedynczą naroślą kamienia i cegieł, niezliczonymi warstwami wiadomości i znaczeń kolejnych epok, tworzonymi przez wieki zgodnie z dyktatem jakiegoś prawie już nieczytelnego DNA handlu i imperium.

– Żał, że Swain nie mógł wyjechać po ciebie osobiście – odezwał się człowiek imieniem Petal.

Kumiko nie miała kłopotów z jego akcentem, raczej z dziwną strukturą wypowiedzianych zdań. Początkowo wzięła przeprosiny za polecenie. Pomyślała, czy nie uruchomić ducha, ale zrezygnowała z tego pomysłu.

– Swain – powtórzyła. – Pan Swain jest moim gospodarzem?

Wzrok Petala odszukał ją we wstecznym lusterku.

– Ojciec ci nie powiedział?

– Nie.

– Aha. – Kwinął głową. – Pan Yanaka dba o bezpieczeństwo w takich sprawach. Rozsądnie. Człowiek na jego stanowisku i tak dalej... – Westchnął ciężko. – Przepraszam za ogrzewanie. W garażu mieli się tym zająć...

– Czy jesteś sekretarzem pana Swaina? – zwróciła się do porośniętej szczeciną fałdy skóry nad kołnierzem grubego ciemnego płaszcza.

– Sekretarzem? – Przez chwilę się zastanawiał. – Nie – uznał w końcu. – Nie sekretarzem.

Przejechali przez rondo, obok lśniących metalicznych markiz i licznych wieczorem przechodniów.

– Jadłaś coś? Dali wam jakiś posiłek w czasie lotu?

– Nie byłam głodna...

Świadoma maski swej matki na twarzy...

– Swain coś dla ciebie znajdzie. Często je różne japońskie potrawy. – Dziwacznie cmoknął językiem. Obejrzał się.

Spoglądała obok niego, na pocałunki śnieżnych płatków, ścierane machnięciami wycieraczek.

Rezydencja Swaina na Notting Hill składała się z trzech połączonych wiktoriańskich domów, usytuowanych gdzieś w śnieżnym labiryncie skwerów, zaułków i uliczek. Petal, dźwigając w rękach po dwie walizki Kumiko, wyjaśnił, że numer 17 stanowi główne wejście także do numerów 16 i 18.

– Nie warto tam pukać – rzekł, wskazując niezgrabnie ciężkimi walizkami na lśniący czerwony lakier i mosiężne okucia drzwi pod 16. – Nic za nimi nie ma, tylko dwadzieścia centymetrów żelbetu.

Obejrzała się. Niemal identyczne fasady znikwały wzdłuż łuku uliczki. Śnieg padał gęsto, a szare niebo rozjaśniło się łososiowym blaskiem sodowych latarni. Ulica była pusta, śnieg świeży i gładki. Wyczuwała jakiś obcy posmak w mroźnym powietrzu, słaby, ale przenikliwy zapach spalenizny i archaicznych paliw. Buty Petala pozostawiały duże, wyraźne ślady. Nosił czarne zamszowe oksfordy z wąskimi czubkami, na bardzo grubych, karbowanych podeszwach z czerwonego plastiku. Drżąc z zimna, szła za nim po szarych schodach prowadzących do numeru 17.

– Już jestem – oświadczył czarnym drzwiom. – Wejść.

Potem westchnął, postawił wszystkie cztery walizki na śniegu, zdjął rękawiczkę bez palców i przycisnął dłoń do wprawionego w drzwi krążka jasnej stali. Kumiko miała wrażenie, że słyszy cichutki pisk, brzęk owada: wznosił się coraz wyżej, aż ucichł, a drzwi drgnęły od stłumionego uderzenia cofających się magnetycznych sworzni.

– Nazwałeś je Dymnikiem – powiedziała, kiedy chwycił mosiężną gałkę. – Miasto...

Znieruchomiał.

– Dymnik... Tak. – Otworzył drzwi do ciepła i światła. – To dawne określenie, rodzaj przezwiska.

Chwycił walizki i wszedł na niebieski chodnik wyłożonego białymi panelami foyer. Ruszyła za nim. Drzwi zamknęły się za nimi, sworznie zaskoczyły z głuchym szczękiem. Nad białą boazerią wisiał obraz w mahoniowej ramie: konie na łące, niewielkie figurki w czerwonych frakach. Colin, chipowy duch, byłby tam jak u siebie, pomyślała. Petal znowu postawił jej bagaże. Zgnieciony śnieg upadł na niebieski chodnik.

Mężczyzna otworzył kolejne drzwi, odsłaniając błyszczącą stalową kratę. Z brzękiem odsunął ją na bok. Patrzyła, nie rozumiejąc.

– Winda – wyjaśnił. – Nie ma miejsca na walizki. Przywiozę je drugą turą.

Mimo pozornie zaawansowanego wieku, winda ruszyła płynnie, gdy tylko Petal dotknął krótkim palcem porcelanowego guzika. Kumiko musiała stanąć bardzo blisko niego: pachniał mokrą wełną i jakąś kwiatową wodą do golenia.

– Umieściliśmy cię na górze – powiedział, wskazując wąski korytarz. – Pomyśleliśmy, że wolisz mieć trochę spokoju. – Otworzył drzwi i przepuścił ją do wnętrza. – Mam nadzieję, że to wystarczy. – Zdjął okulary i przetarł je energicznie zgniecioną chusteczką. – Przyniosę twoje walizki.

Kiedy wyszedł, Kumiko wolno obeszła masywną wannę z czarnego marmuru, zajmującą środek niedużego pokoju. Ściany pochylały się ostro ku sufitowi, wyłożone płytkami z plamistych złotych luster. Między dwoma mansardowymi okienkami stało największe łóżko, jakie kiedykolwiek widziała. Ponad nim wmontowano w lustro małe ruchome lampki, podobne do lampek nad fotelami w samolocie.

Stanęła obok wanny i dotknęła szyi służącego za kran złoconego łabędzia. Rozłożone skrzydła pełniły funkcje kurków. Powietrze w pokoju było ciepłe i nieruchome... Przez jedną chwilę miała uczucie, że niczym bolesna mgła wypełnia je obecność matki.

Petal chrząknął w progu.

– No tak... – Wniósł bagaże. – Wszystko w porządku? Jesteś głodna? Nie? Zostawię cię, żebyś się urządziła... – Ustawił walizki przy łóżku. – Gdybyś miała ochotę coś zjeść, to zadzwoń. – Wskazał ozdobny antyczny telefon z rzeźbionym mosiężnym mikrofonem i słuchawką na spiralnym uchwycie z kości słoniowej. – Wystarczy podnieść; nie musisz wykręcać numeru. Śniadanie zjesz, jak się obudzisz. Zapytaj kogokolwiek, pokaże ci gdzie. Potem możesz się spotkać ze Swainem...

Wrażenie obecności matki zniknęło wraz z powrotem Petala. Kiedy życzył jej dobrej nocy i zamknął drzwi, spróbowała znowu je wyczuć, ale nie pozostał nawet ślad.

Przez długi czas stała przy wannie, gładząc śliski metal łabędziej szyi.

2

Kid Afrika

Kid Afrika przybył do Psiej Samotni ostatniego dnia listopada. Jego wiekowego dodge'a prowadziła biała dziewczyna nazwiskiem Cherry Chesterfield.

Ślizg Henry i Ptasiek rozkładali właśnie piłę tarczową, tworzącą lewą rękę Sędziego, kiedy na widoku pojawił się dodge Kida: poławany fartuch rozpryskiwał odkosy rdzawej wody z kałuż na nierównej płaszczyźnie koloru stali.

Ptasiek zauważył go pierwszy. Miał dobry wzrok i dziesięciokrotny monokular, wiszący na piersi wśród kości rozmaitych zwierząt i starożytnych mosiężnych naboii. Ślizg podniósł głowę znad hydraulicznego przegubu i zobaczył, jak Ptasiek prostuje się na swoje pełne dwa metry wzrostu, by wymierzyć monokular przez kratownicę ram bez szyb, tworzącą większą część południowej ściany Fabryki. Ptasiek był chudy jak szkielet, a lakierowane skrzydła brązowych włosów, które zyskały mu to przezwisko, sterczały wyraźnie na tle bladego nieba. Tył głowy i boki golił gładko powyżej uszu. Ze skrzydłami i aerodynamicznym kaczym kuprem wyglądał, jakby nosił na czaszce bezgłową mewę.

– Ożeż... – powiedział Ptasiek. – Niech mnie popieprzy...

– Co?

Ptaśka trudno było zmusić do koncentracji, a robota wymagała dwóch par rąk.

– To ten czarnuch.

Ślizg wstał i wytarł ręce o nogawki dzinsów. Ptasiek wydłubał z gniazda za uchem zielony microsoft Mech-5, natychmiast zapominając

ośmiopunktową procedurę serwokalibracji, koniecznej do odzepienia piły Sędziego.

– Kto za kierownicą?

Afrika nigdy sam nie prowadził, jeśli naprawdę nie musiał.

– Nie mogę poznać.

Monokular Ptaśka opadł z brzękiem z powrotem w kurtynę kości i mosiądzu.

Ślizg stanął obok niego i przez okno obserwowali ruch dodge'a. Od czasu do czasu Kid Afrika poprawiał matowoczarne malowanie poduszkowca ostrożnymi aplikacjami farby z aerozolu; żalobny efekt podkreślał rząd chromowanych czaszek przyspawanych do masywnego przedniego zderzaka. Kiedyś w oczodołach tych czaszek płonęły czerwone lampki choinkowe... Może Kidowi przestało zależeć na własnym wizerunku.

Kiedy poduszkowiec skręcił przed Fabryką, Ślizg usłyszał, że Ptasiek odchodzi w mrok. Ciężkie buty wzbijały kurz i roztrącały cienkie błyszczące spirale metalowych opiłków.

Obok zakurzonej klingi wybitej szyby Ślizg patrzył, jak pojazd opada na fartuchu przed Fabryką, zgrzytając i strzelając strugami pary.

Coś zagrzechotało w mroku; wiedział, że za regałem używanych części Ptasiek montuje domowej roboty tłumik na chińskiej strzelbie, której używali na króliki.

– Ptasiek! – Rzucił klucz na brezentową płachtę. – Wiem, że jesteś ignorantem, robolem, jerseyjskim dupkiem, ale na miłość boską, czy musisz mi o tym stale przypominać?

– Nie lubię tego czarnucha – oświadczył Ptasiek zza regału.

– Jasne. A jakby ten czarnuch miał ochotę cię zauważyć, też by cię nie lubił. A jakby wiedział, że siedzisz tam ze spluwą, to by ci ją wcisnął do gardła. W poprzek.

Ptasiek nie odpowiedział. Wychował się w białym miasteczku w Jersey, gdzie nikt niczego nie wiedział, i nie cierpiał takich, co wiedzą.

– Sam bym mu pomógł – dodał jeszcze Ślizg, zaciągnął zamek starej brązowej kurtki i wyszedł na spotkanie poduszkowca.

Zakurzona szyba po stronie kierowcy zsunęła się z sykiem, ukazując bladą twarz przesłoniętą wielkimi goglami z bursztynową szybą. Buty Ślizga zgrzytały na starych puszkach, przerdzewiały i cienkich jak zeschnięte liście. Kierowca ściągnął gogle i spojrzał na niego z ukosa: dziewczyna. Teraz gogle wisiały jej na szyi, zasłaniając brodę i usta. Kid siedzi po drugiej stronie... Tym lepiej, gdyby jednak, co mało prawdopodobne, Ptasiek zaczął strzelać.

– Przejdź tam – poleciła dziewczyna.

Ślizg okrążył poduszkowiec; wyminął chromowe czaszki. Okno Kida Afriki zjechało w dół z takim samym wyraźnym odgłosem.

– Ślizg Henry – mruknął Kid. Jego oddech kłębił się białą, kiedy zderzał się z powietrzem Samotni. – Cześć.

Ślizg spojrzał na wąską brązową twarz. Kid Afrika miał duże, skośne jak u kota orzechowe oczy, cieniutki wąsik i cerę lśniącą niczym polerowana skóra.

– Cześć, Kid. – Z wnętrza pojazdu dochodził zapach jakiegoś kadzidła. – Jak leci?

– No wiesz... – Kid zmrużył oczy. – Pamiętasz, kiedyś mówiłeś, że gdybym kiedyś potrzebował pomocy...

– Zgadza się. – Ślizg poczuł ukłucie lęku. Kid Afrika ocalił mu kiedyś tyłek: przekonał jakichś wściekłych braci, żeby nie wyrzucali go przez balkon z czterdziestego trzeciego piętra wypalonego wieżowca. – Ktoś chce cię wypchnąć z wysokiego budynku?

– Ślizg – rzekł Kid. – Chciałbym cię komuś przedstawić.

– Wtedy będziemy kwita?

– Ślizg, ta piękna dziewczyna obok to panna Cherry Chesterfield z Cleveland w Ohio. – Ślizg schylił się i popatrzył na kierowcę: blond włosy, farba wokół oczu. – Cherry, to mój bliski i dobry przyjaciel, pan Ślizg Henry. Kiedy był jeszcze młody i zły, hulał z Deacon Blues. Teraz jest stary i zły, więc zagrzebał się tutaj i uprawia swoją sztukę. Rozumiesz, to człowiek utalentowany.

– To on buduje roboty – odparła dziewczyna, żując gumę. – Mówiłeś.

– Ten sam. – Kid otworzył drzwiczki. – Zaczekaj tu na nas, skarbie.

Kid wysiadł, okryty futrem z norek, sięgającym aż po czubki nieskazitelnych butów. Ślizg dostrzegł coś z tyłu poduszki: szpitalny błysk bandażu i kroplówek...

– Słuchaj, Kid – powiedział. – Co ty tam trzymasz?

Upierścieniona dłoń Kida uniosła się lekko i skinęła, by się odsunąć. Drzwi poduszki zatrzasnęły się, a Cherry Chesterfield wcisnęła klawisz zamykający okna.

– O tym właśnie musimy porozmawiać.

* * *

– Nie wydaje mi się, żebym prosił o coś wielkiego – stwierdził Kid Afrika, otulony futrem i wsparty o nagi metalowy blat. – Cherry ma papiery technika medycznego i wie, że jej zapłacę. Ładna dziewczyna, Ślizg. – Mrugnął porozumiewawczo.

– Kid...

Kid Afrika miał w poduszku gościa, który był jak martwy: śpiączka czy coś takiego... Leżał podłączony do pomp, worków i rurek, a także do czegoś w rodzaju zestawu symstymowego; wszystko to przykręcone do starych duralowych noszy z karetki, razem z bateriami i całą resztą.

– Co to jest? – zapytała Cherry.

Przyszła tu za nimi, kiedy Kid wrócił ze Ślizgiem, żeby mu pokazać tego gościa z tyłu. A teraz przyglądała się z powątpiewaniem wysokiej postaci Sędziego, a w każdym razie jego większej części; ramię z piłą tarczową leżało tam, gdzie je zostawili, na podłodze, na poplamionej płachcie brezentu. Jeśli ona ma papiery technika medycznego, pomyślał Ślizg, to ten technik jeszcze pewnie nie zauważył, że je zgubił. Cherry włożyła na siebie przynajmniej cztery skórzane kurtki, wszystkie o parę numerów za duże.

– To sztuka Ślizga. Przecież ci mówiłem.

– Ten facet umiera. Śmierdzi jak siki.

– Cewnik się obluzował – wyjaśniła Cherry. – A co ten stwór właściwie ma robić?

– Nie możemy go tu trzymać, Kid. On tu zdechnie. Chcesz go zabić, to wrzucić go do jakiejś dziury na Samotni.

– Ten człowiek nie umrze – zapewnił Kid Afrika. – Nie jest ranny, nie choruje...

– No to co mu dolega, do diabła?

– Ma odlot, dziecinko. Jest w dalekiej trasie. Potrzebuje ciszy i spokoju.

Ślizg spojrział na Kida, na Sędziego i znowu na Kida. Chciałby się już zająć tym ramieniem. Kid powiedział, że Ślizg miałby pilnować tego faceta przez dwa tygodnie, może trzy. Zostawiłby Cherry, żeby się nim opiekowała.

– Nie kapuję. Ten gość to twój kumpel?

Kid Afrika wzruszył ramionami pod futrem.

– No to czemu nie wstawisz go u siebie?

– Nie dość spokojnie. Nie ma ciszy.

– Kid – rzekł Ślizg. – Jestem ci coś winien, ale nic tak dziwnego. Muszę się brać do roboty... A zresztą to wariactwo. I jest jeszcze Gentry. Teraz wyjechał do Bostonu, ale wróci jutro wieczorem i wcale mu się to nie spodoba. Wiesz, ludzie go trochę denerwują... A to właściwie jego lokal, rozumiesz...

– Mieli cię już za balustradę, chłopie – stwierdził ze smutkiem Kid Afrika. – Pamiętasz?

– Pamiętam, jasne, ale...

– Ale nie za dobrze. W porządku, Cherry, ruszamy. Nie chcę jechać nocą przez Psią Samotnię.

Odepchnął się od stalowego blatu.

– Posłuchaj, Kid...

– Nie ma o czym gadać. Nie wiedziałem nawet, jak masz na imię w tym pieprzonym Atlantic City. Pomyślałem tylko, że nie chcę oglądać białego chłopaka rozprysniętego po całej ulicy. I tyle. Wtedy nie wiedziałem, jak ci na imię, i chyba teraz też nie chcę wiedzieć.

– Kid...

– Słucham?

- Niech będzie. Zostaje tutaj. Maks dwa tygodnie. Dasz słowo, że wrócisz tu po niego? I musisz mi pomóc załatwić jakoś sprawę z Gentrym.
- A czego potrzebuje?
- Prochów.

* * *

Ptasiek pojawił się, kiedy Dodge Kida odjechał już w głąb Samotni. Wynurzył się zza stosów sprasowanych samochodów, pordzewiałych platform zgniecionej blachy, ukazującej jeszcze miejscami jaskrawe plamy lakieru.

Ślizg obserwował go przez okno pod stropem Fabryki. W kwadraty metalowych ram wstawili płyty znalezionego plastiku, każda w innym odcieniu i innej grubości. I kiedy Ślizg przechylał głowę, widział Ptaśka przez szybę z jaskraworóżowego lucytu.

- Kto tu mieszka? – zapytała Cherry z pokoiku za jego plecami.
- Ja – odparł. – Ptasiek, Gentry...
- Pytałam o ten pokój.
- Obejrzał się. Stała przy noszach i ich maszynarii.
- Ty – powiedział.
- Twój lokal? – Oglądała rysunki przyklepione do ścian, oryginalne koncepcje Sędziego i jego Śledczych, Trupożercy i Wiedźmy.
- Nie przejmuj się tym.
- Tylko niech ci nic nie przychodzi do głowy – uprzedziła.
- Przyjrzał się jej. Miała spory czerwony liszaj w kącie ust. Tlenione włosy sterczały jak pokaz elektrostatyki.
- Jak już mówiłem: nie przejmuj się.
- Kid mówił, że macie tu elektryczność.
- Mamy.
- To lepiej go podłączmy – stwierdziła, pochylając się nad noszami. – Niewiele pobiera, ale baterie pewnie już się wyczerpują.
- Przeszedł przez pokój i spojrzał na bladą twarz.

– Możesz mi coś wytłumaczyć? – Nie podobały mu się te rurki. Jedna wchodziła do nosa i na sam widok miał chęć wymiotować. – Co to za facet i co właściwie Kid Afrika z nim wyczynia?

– Nic nie wyczynia. – Uruchomiła odczyt na panelu biomonitora, umocowanym srebrną taśmą izolacyjną do wspornika noszy. – REM wciąż wyraźny, jakby przez cały czas śnił... – Człowiek na noszach był otulony nowiutkim niebieskim śpiworem. – Cokolwiek to znaczy, on... kimkolwiek jest... płaci za to Kidowi.

Facet miał na czole przyklepione trody; gruby czarny kabel był umocowany do krawędzi noszy. Ślizg prześledził go spojrzeniem aż do szerokiego szarego pakunku podwieszzonego do wspornika. Symstym? Nie wyglądał na to. Jakiś zestaw cyberprzestrzeni? Gentry sporo wiedział o cyberprzestrzeni, a w każdym razie sporo o niej mówił, ale Ślizg nie pamiętał niczego na temat bycia nieprzytomnym i włączonym... Ludzie włączali się, żeby móc sobie pogrzebać. Założyć trody i znaleźć się tam, wśród wszystkich danych świata ustawionych niczym jedno wielkie neonowe miasto. Można tam było krążyć i jakoś się w to wczuwać, przynajmniej wizualnie. Gdyby nie to, szukanie drogi do konkretnego, potrzebnego fragmentu danych byłoby zbyt skomplikowane. Gentry nazywał to ikonizacją.

– On płaci Kidowi?

– Tak – potwierdziła.

– Za co?

– Za to, że go trzyma w takim stanie. I ukrywa.

– Przed kim?

– Nie wiem. Nie powiedział.

W nagle zapadłej ciszy wyraźnie słyszał równomierny, świszczący oddech człowieka na noszach.

W domu unosił się dziwny zapach. Był tu obecny od zawsze.

Należał do czasu, słonego powietrza i entropijnej natury kosztownych domów wzniesionych zbyt blisko morza. Być może był też charakterystyczny dla budynków niezamieszkałych przez krótkie, ale często się powtarzające okresy, otwieranych i zamykanych, gdy ich niespokojni właściciele przybywali i odjeżdżali. Wyobrażała sobie puste pokoje i plamki rdzy rozkwitające bezgłośnie na chromowanych powierzchniach, blade narośle pleśni zapuszczającej korzenie w ciemnych kątach. Architekci, jakby uznając ten wieczny proces, godzili się z działaniem korozji; lata działania wodnego pyłu przeżarły do grubości nadgarstka masywne stalowe balustrady wzdłuż tarasu.

Dom przysiadł, jak jego sąsiedzi, na fragmentach rozpadających się fundamentów. Spacerując plażą, czasami oddawała się archeologicznym fantazjom: usiłowała wyobrazić sobie przeszłość tej okolicy, inne domy, inne głosy. Podczas tych spacerów towarzyszył jej uzbrojony i zdalnie sterowany mały śmigłowiec Dorniera. Kiedy tylko schodziła z tarasu, wznosił się z niewidocznej platformy na dachu. Potrafił zawisnąć niemal bezgłośnie i był zaprogramowany tak, żeby unikać linii jej wzroku. Budził uczucie litości, kiedy tak sunął za nią niby kosztowny, ale niepożądany świąteczny prezent.

Wiedziała, że przez kamery Dorniera obserwuje ją Hilton Swift. Niewiele z tego, co działo się w letnim domu, umykało uwagi Sense/Netu. Jej samotność – ten tydzień odosobnienia, którego zażądała – była pod stałym nadzorem.

Lata pracy w tym fachu dały jej szczególną niewrażliwość na obserwację.

* * *

Nocą czasami zapalała umieszczone pod tarasem reflektory, oświetlając hieroglificzne tańce szarych krabów. Taras pozostawał w mroku, podobnie jak salon za jej plecami. Siadała na fotelu ze zwykłego białego plastiku i obserwowała brownowskie poruszenia skorupiaków. W ostrym blasku reflektorów rzucały maleńkie, ledwie widoczne cienie, ulotne trójkąty na piasku.

Odgłos morza otulał ją swym jednostajnym szumem. Późno w nocy, kiedy spała w mniejszej z dwóch gościnnych sypialni, przedzierał się do jej snów. Ale nigdy do tych obcych, natrętnych wspomnień.

Instynktownie wybrała miejsce do spania. Główna sypialnia była zaminowana czujnikami dawnego bólu.

Lekarze w klinice użyli chemicznych szczypiec, by wyrwać nawyk z receptorów w mózgu.

* * *

Gotowała dla siebie w białej kuchni. Rozmrażała chleb w mikrofalówce, wrzucała do nieskazitelnie czystych stalowych garnków paczki liofilizowanej szwajcarskiej zupy. Wolno zbliżała się do tej bezimiennej, ale coraz bardziej znajomej przestrzeni, od której tak subtelnie odizolowały ją projektowane narkotyki.

– To się nazywa „życie” – zwróciła się do białego blatu.

Ciekawe, co z tego zrozumieją firmowi psycholodzy Sense/Netu, zastanowiła się, jeśli jakiś ukryty mikrofon przeniósł do nich te słowa? Wymieszała zupę smukłą stalową łyżką; patrzyła, jak unosi się para. To pomaga, jeśli coś się robi, pomyślała. Po prostu robi coś samemu. W klinice

upierali się, żeby sama słała sobie łóżko. A teraz naląła na talerz swoją własną zupę. Zmarszczyła czoło, wspominając klinikę.

* * *

Wypisała się po tygodniu leczenia. Medycy protestowali. Detoksykacja udała się wspaniale, twierdzili, ale terapia nawet się nie zaczęła. Mówili o statystyce nawrotów wśród pacjentów, którzy nie dokończyli programu. Tłumaczyli, że po przerwaniu leczenia ubezpieczenie traci ważność. Sense/Net zapłaci, powiedziała im wtedy. A może wolą, żeby zapłaciła osobiście? I wyjęła swój platynowy chip MitsuBanku.

Jej lear wylądował godzinę później. Poleciała mu zabrać się do LAX, kazała, żeby czekał na nią samochód i żeby zablokować wszystkie rozmowy.

– Przykro mi, Angelo – powiedział samolot kilka sekund po starcie, skręcając nad Montego Bay. – Ale mam Hiltona Swifta na dostępie priorytetowym.

– Angie – odezwał się Swift. – Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć. Wiesz o tym, Angie?

Spojrzała na czarny owal głośnika. Tkwił w płycie gładkiego szarego plastiku i wyobraziła sobie, że Hilton przykucnął z tyłu, za grodzią leara, boleśnie i groteskowo zwijając swe długie nogi biegacza.

– Wiem, Hilton – zapewniła. – To miło, że dzwonisz.

– Lecisz do Los Angeles, Angie.

– Tak. Mówiłam samolotowi.

– Do Malibu.

– Zgadza się.

– Piper Hill jedzie już na lotnisko.

– Dziękuję ci, Hilton, ale nie chcę tam Piper. Nikogo tam nie chcę. Tylko samochód.

– W domu nikogo nie ma, Angie.

– To dobrze. Właśnie o to mi chodzi. Nikogo w domu. Dom. Pusty.

– Jesteś przekonana, że to dobry pomysł?

– Najlepszy, jaki miałam już od bardzo dawna, Hilton.

Chwila ciszy.

– Powiedzieli, że wszystko poszło dobrze, Angie. Z leczeniem. Ale chcieli, żebyś została.

– Potrzebny mi tydzień – odparła. – Jeden tydzień. Siedem dni. Sama.

* * *

Po trzeciej nocy w domu obudziła się o świcie, zrobiła kawę, ubrała się. Szerokie okno tarasu pokryła mgła kondensacji. Sen był po prostu snem; jeśli przychodziły koszmary czy marzenia, nie pamiętała ich rankiem. Ale było coś jeszcze: przyspieszenie, niemal zawrót głowy. Stała w kuchni, czując przez grube skarpety chłód ceramicznej podłogi, oburącz ściskając gorący kubek.

To tam... Wyciągnęła ręce, unosząc kubek jak puchar, gestem jednocześnie instynktownym i ironicznym.

To już trzy lata, odkąd dosiadał jej loa; trzy lata, odkąd ją w ogóle dotknęli. Ale teraz?

Legba? Czy ktoś inny?

Poczucie obecności rozwiało się nagle. Zbyt pośpiesznie odstawiła kubek – kawa chlapnęła jej na palce. Pobiegła szukać butów i płaszcza. Zielone gumowce z szafki i ciężka, niebieska góraska kurtka, której nie pamiętała. Za duża, żeby mogła należeć do Bobby'ego. Wyszła z domu na schody, ignorując brzęczenie wirnika małego dorniera, który wzniósł się za nią jak cierpliwa ważka. Spojrzała na południe, wzdłuż szeregu domków plażowych, łamanej linii dachów przypominającej barrio w Rio. A potem skierowała się na południe, w stronę Kolonii.

* * *

Tą, która przybyła, okazała się Mamman Brigitte, albo Grande Brigitte. Niektórzy uważają ją za żonę barona Samedi, inni nazywają „najstarszą

z umarłych”.

Senna architektura Kolonii wyrosła po lewej ręce Angie: burza formy i ego. Delikatne, oplecione neonami repliki Wież Watta wznosiły się obok neobrutalistycznych bunkrów okrytych spiżowymi płaskorzeźbami.

Mijała ściany zwierciadeł, odbijające poranne kłęby chmur znad Pacyfiku.

W ciągu ostatnich trzech lat zdarzały się chwile, kiedy czuła się, jakby miała przekroczyć, czy też powrócić zza cienkiej linii, subtelnej granicy wiary, i odkryć, że czas z loa był tylko snem. Albo że – co najwyżej – byli tylko zakaźnymi ogniskami rezonansu kulturowego, pozostałością po tygodniach spędzonych w New Jersey, w oumphor Beauvoira.

Była gotowa spojrzeć innymi oczami: żadnych bogów, żadnych Jeźdźców.

Szła dalej, czerpiąc spokój z fali przyboju, z jednej wiecznej chwili czasu plaży, jej teraz-i-zawsze.

Ojciec umarł siedem lat temu, a zapis jego życia powiedział jej o nim niewiele. Tyle że służył komuś lub czemuś, że zapłatą była wiedza, ona zaś miała być złożoną temu czemuś ofiarą.

Czasami czuła się tak, jakby przeżyła trzy różne życia, każde oddzielone od innych barierą, której nie potrafiła nazwać. I nie miała nadziei na ich zespolenie.

Były dziecięce wspomnienia z kompleksu Maasa, wrytego w arizońskim płaskowyżu, gdzie obejmowała kamienną balustradę i, stojąc twarzą do wiatru, wyobrażała sobie, że cała równina jest jej okrętem, że może skierować go ku barwom zachodu słońca za górami. Później odleciała stamtąd, czując w gardle ucisk lęku. Nie umiała już sobie przypomnieć ostatniego spojrzenia na twarz ojca. Ale musiała wtedy siedzieć w fotelu motolotni; inne samolociki stały zacumowane na wietrze jak szereg barwnych motyli. Tamtej nocy dobiegło końca jej pierwsze życie... i życie jej ojca.

Drugie życie było krótkie, szybkie i bardzo niezwykle. Człowiek nazwiskiem Turner zabrał ją z Arizony i zostawił z Bobbym, Beauvoirem i resztą. Słabo pamiętała Turnera; tyle tylko, że był wysoki, miał twarde

mięśnie i oczy ściganej zwierzyny. Zawiózł ją do Nowego Jorku. Stamtąd Beauvoir zabrał ją i Bobby'ego do New Jersey. Tam, na pięćdziesiątym drugim piętrze wieżowca, uczył ją rozumieć swoje sny. Te sny są rzeczywiste, tłumaczył, a jego brązowa twarz lśniła od potu. Nauczył ją, że wszystkie sny sięgają do wspólnego morza, i pokazał, w jaki sposób jej są inne i takie same równocześnie. Ty jedna żeglujesz po dawnym morzu i po nowym.

W New Jersey dosiadali jej bogowie.

Nauczyła się całkowitego oddania Jeźdźcom. Widziała, jak loa Linglessou wchodzi w Beauvoira w oumphor, widziała jego stopy rozrzucające diagramy wykreślone białą mączką. W New Jersey poznała bogów. I miłość.

Loa dosiadał jej, kiedy z Bobbym wyruszyła budować swoje trzecie, obecne życie. Pasowali do siebie: Angie i Bobby, zrodzeni z próżni; Angie z czystego, jasnego królestwa Maas Biolabs, Bobby z nudy Barrytown...

* * *

Grande Brigitte dotknęła jej bez ostrzeżenia. Angie potknęła się, niemal osunęła na kolana w falę, a szum morza został wessany w mroczny pejzaż, który nagle się przed nią otworzył: bielone mury cmentarza, nagrobki, wierzby. Świece.

Pod najstarszą wierzbą mnóstwo świec, skręcone korzenie białe od wosku.

Poznaj mnie, dziecko.

I Angie wyczuła ją tam, od razu, i wiedziała, kim ona jest: Mamman Brigitte, Mademoiselle Brigitte, najstarsza z umarłych.

Nie posiadam kultu, dziecko, ani własnego ołtarza.

Nagle szła przed siebie, ku jasnym płomykom świec. W uszach coś brzęczało, jakby wierzba kryła ogromny pszczeli ul.

Moją krwią jest zemsta.

Angie wspomniała Bermudy i noc huraganu. Ona i Bobby dotarli do oka. Grande Brigitte była właśnie taka: cisza, poczucie ucisku,

niewyobrażalne moce powstrzymane na jedną chwilę. Pod wierzbą nie zobaczyła niczego – tylko świece.

– Loa... Nie mogę ich przywołać. Czuję coś... Zaczęłam szukać...

Zostałaś wezwana do mego *reposoir*. Posłuchaj mnie. Twój ojciec wykreślił *vévés* w twojej głowie. Wyrysował je w ciele, które nie było ciałem. Byłaś poświęcona Ezili Freda. Legba poprowadził cię w świat, byś służyła jego celom. Ale posłano ci truciznę, dziecko, *coup-poudre*...

Zaczęła krwawić z nosa.

– Truciznę?

Vévés twojego ojca zostały przekształcone, częściowo usunięte, wykreślone na nowo. Chociaż przestałaś się zatruwać, Jeźdźcy wciąż nie potrafili do ciebie dotrzeć. Ja należę do innego rzędu.

Poczuła straszliwy ból głowy, krew zadudniła w skroniach...

– Proszę...

Wysłuchaj mnie. Masz wrogów. Spiskują przeciwko tobie. A stawka w tej grze jest wielka. Strzeż się trucizny, dziecko!

– Proszę cię! Pomóż mi! Wytłumacz...

Nie możesz tu zostać. To śmierć.

Angie uklękła na piasku, wśród szumu fal, oślepią słońcem. Dwa metry przed nią dornier kołysał się nerwowo. Ból rozplynął się natychmiast. Wytarła zakrwawione ręce o rękawy kurtki. Zabrzęczał i przesunął się zestaw kamer zdalnie sterowanej zabawki.

– Nic mi nie jest – wykrztusiła. – Krwotok z nosa. Zwyczajny krwotok... – Dornier skoczył do przodu, potem się cofnął. – Zaraz wracam do domu. Nic mi nie jest.

Wzniósł się płynnie i zniknął z pola widzenia.

Angie objęła się ramionami. Drżała. Nie, nie pokazuj im. Będą wiedzieć, że coś się stało, ale nie zgadną co. Wstała z wysiłkiem, zawróciła, ruszyła wzdłuż plaży drogą, którą tu przyszła. Idąc, badała kieszenie kurtki, szukając chusteczki, czegokolwiek, żeby zetrzeć krew z twarzy.

Palce dotknęły rogu małego, płaskiego pakietu. Natychmiast wiedziała, co to jest. Zatrzymała się, drżąc. Narkotyk. To niemożliwe. Ale jednak. Kto?

Odwróciła się i patrzyła na dorniera, póki nie odpłynął na bok.

Pakiet. Wystarczyłby na miesiąc.

Coup-poudre.

Strzeż się trucizny, dziecko.

Mona śniła, że tańczy w klatce jakiegoś baru w Cleveland, naga w kolumnie ostrego błękitnego światła, a twarze skierowane ku niej poprzez zasłonę dymu chwytają białkami oczu odrobinę błękitu. Wszystkie one miały taki wyraz, jaki zawsze mają twarze mężczyzn, kiedy patrzą na taniec: wpatrzeni czujnie, a jednocześnie zamknięci w sobie na głucho, tak że oczy niczego nie zdradzają, a same oblicza – mimo potu – mogłyby być wykute z czegoś, co tylko wygląda na ciało.

Zresztą nie obchodziło jej, jak wyglądają. Nie wtedy, kiedy była w klatce, rozgrzana, podniecona, w rytmie, trzy piosenki na serię, a mag dopiero zaczynał ją unosić, nowa energia podrywała na palce...

Jeden z nich złapał ją za kostkę.

Próbowała krzyknąć, ale nie mogła, nie od razu, a kiedy w końcu się udało, miała uczucie, że coś rozerwało się wewnątrz niej, w rozdartym na strzępy słupie błękitnego światła... Dłoń pozostała, dłoń nadal ścisnęła ją w kostce. Poderwała się z łóżka jak lalka na sprężynie, walcząc z ciemnością, odgarniając paznokciami włosy z czoła.

– Co się stało, mała?

Drugą dłoń oparł jej na czole i pchnął na plecy, w gorące zagłębienie poduszki.

– Sen... – Wciąż czuła jego rękę i miała ochotę krzyknąć. – Masz papierosa, Eddy?

Dłoń się cofnęła. Pstryknięcie, błysk zapalniczki, powierzchnie jego twarzy wynurzające się z ciemności, kiedy przypalał. Podał jej. Usiadła

szybko i podciągnęła pod brodę kolana, jak namiotem okryte wojskowym kocem. Nie chciała, żeby ktokolwiek jej teraz dotykał.

Pęknięta noga znalezionej na śmietniku plastikowego krzesła trzasnęła ostrzegawczo, kiedy oparł się i zapalił papierosa dla siebie. Złam się, pomyślała. Spadnie na tyłek, rozzłości się i przyłoży mi parę razy. Przynajmniej było ciemno i nie musiała patrzeć na włam. Najgorzej było, gdy budziła się z bólem głowy, zbyt cierpiąca, żeby się ruszyć, a poprzedniej nocy wracała na haju i zapomniała przykleić czarną płachtę folii. Wtedy ostre słońce ukazywało jej wszystkie szczegóły i ogrzewało powietrze tak, że muchy ruszały do lotu.

Nikt jej nigdy tak nie złapał, nie w Cleveland; ktoś na tyle ogłupiał, by sięgnąć przez to pole, i tak musiał być zbyt pijany, żeby się ruszyć, może nawet, żeby oddychać. Żaden numer też jej tak nie łapał, chyba że wcześniej załatwił to z Eddym, zapłacił ekstra, ale to było tylko udawanie.

Jakkolwiek chcieli to robić, zawsze był to rodzaj rytuału, więc miała uczucie, że dzieje się poza normalnym życiem. Lubiała patrzeć, jak się zatracają. To było najciekawsze, bo naprawdę byli wtedy zagubieni, całkiem bezradni... Czasem tylko na ułamek sekundy, ale tak, jakby wcale ich tam nie było.

– Eddy, ja chyba zwariuję, jeśli będę musiała tu sypiać.

Zdarzało się, że bił ją za mniejsze drobiazgi, więc spuściła głowę na kolana pod kocem i czekała.

– Pewno... – mruknął. – Wolałabyś wrócić na farmę zębaczy? Z powrotem do Cleveland?

– Po prostu nie mogę już tego znieść...

– Jutro.

– Co jutro?

– Za szybko dla ciebie? Jutro wieczorem, pieprzonym prywatnym odrzutowcem? Prosto do Nowego Jorku? Czy wtedy przestaniesz pieprzyć te bzdury?

– Proszę cię, skarbie... – Wyciągnęła do niego rękę. – Możemy pojechać pociągiem.

Odepchnął jej dłoń.

– Masz nasrane w głowie.

Gdyby narzekala dalej, gdyby poskarzyła się na włam, powiedziała cokolwiek, co by sugerowało, że nic mu się nie udaje, że wszystkie jego wielkie interesy to bzdura, wtedy by zaczął. Wiedziała, że by zaczął. Jak wtedy, kiedy wrzeszczała, że ma dość robactwa, dość karaluchów, tych, które nazywają palmowymi. Ale to tylko dlatego, że co drugi był mutantem. Ktoś próbował je usunąć czymś, co rozpieprzyło im DNA; wszędzie widziała te pokręcone zdychające karaluchy, mające za dużo albo za mało nóg i głów... A jeden wyglądał jakby połknął krucyfiks czy coś takiego; grzbiet, skorupa, czy co tam one mają, była tak zniekształcona, że rzygać jej się chciało od patrzenia.

– Skarbie – powiedziała, starając się zmiękczyć ton. – Nic nie poradzę, ten lokal mnie wykańcza...

– Hooky Green – przerwał jej, jakby wcale nie słyszał. – Byłem u Hooky’ego Greena i spotkałem ważnego faceta. Wybrał mnie, wiesz? Chłop umie rozpoznać prawdziwy talent. – Niemal czuła jego uśmiech w ciemności. – Z Londynu. W Anglii. Łowca talentów. Zachodzę do Hooky’ego, a on od razu: Ty, chłopie!

– Jakiś numer?

Lokal Hooky’ego Greena to miejsce, gdzie – jak ostatnio uznał Eddy – coś się dzieje. Na trzydziestym trzecim piętrze szklanego wieżowca, gdzie wyburzyli prawie wszystkie ściany wewnętrzne, mieli chyba hektar parkietu. Eddy przestał tam chodzić, kiedy się okazało, że nikt nie zwraca na niego dostatecznej uwagi. Mona nigdy nie widziała samego Hooky’ego, „twardego Hooky’ego”, byłego gracza w football, właściciela lokalu. Ale świetnie się tam tańczyło.

– Czy ty mnie słuchasz, do cholery? Numer? Guzik. To jest gość, ma kontakty, ma wejścia i pchnie mnie w górę. I wiesz co? Zabiorę cię ze sobą.

– Ale czego on chce?

– Aktorki. Czegoś w rodzaju aktorki. I sprytnego chłopaka, który dostarczy ją na miejsce i przypilnuje.

– Aktorki? Na miejsce? Co za miejsce?

Słyszała, jak rozpina kurtkę. Coś upadło na łóżko, przy jej stopach.

– Dwa tauzeny.

Jezu! Może to jednak nie żart? Ale jeśli nie, to czym to jest, do diabła?

– Ile dzisiaj wyrwałaś, Mona?

– Dziewięćdziesiąt.

Tak naprawdę to sto dwadzieścia, ale uznała, że ostatni numer był w nadgodzinach. Zwykle za bardzo się bała, żeby się nie przyznać, ale potrzebowała tych pieniędzy na maga.

– Zatrzymaj sobie. Kup jakieś ciuchy. Ale nie takie jak do pracy. Nikt nie chce, żeby twój tyłeczek wisiał na wierzchu. Nie w tej trasie.

– Kiedy?

– Jutro. Mówiłem przecież. Możesz ucałować ten lokal na do widzenia.

Kiedy to powiedział, miała ochotę wstrzymać oddech.

Krzesło zatrzeszczało znowu.

– Dziewięćdziesiąt, tak?

– Tak.

– Opowiedz.

– Eddy, jestem taka zmęczona...

– Nie – oświadczył.

Ale wcale nie chciał prawdy ani niczego do niej podobnego. Chciał historii, której sam ją nauczył. Nie zależało mu na tym, o czym mówią (a większość koniecznie chciała o czymś opowiedzieć i zwykle opowiadali). Ani na tym, jak w końcu ją pytali o wyniki badań krwi. I jak co drugi rzucał ten sam dowcip, że czego nie mogą wyleczyć, na tym potrafią wymusić remisję. Ani nawet czego sobie życzyli w łóżku.

Eddy chciał słuchać o tym wielkim facecie, który traktował ją tak, jakby się wcale nie liczyła. Musiała tylko uważać, żeby w tej opowieści numer nie wydał się zbyt brutalny, bo wtedy powinien płacić więcej niż naprawdę zarobiła. Najważniejsze, że ten wymyślony numer miał ją traktować, jakby była wypożyczonym na pół godziny elementem sprzętu. Owszem, wielu było takich, ale ci zwykle wydawali pieniądze w salonach kukiełek albo przeżywali swoje na stymie. Do Mony trafiali ci, którzy chcieli pogadać, którzy potem próbowali jej postawić sandwicza. To może być paskudne w pewnym sensie, ale nie w takim, na jakim zależało Eddy'emu. Zresztą

chciał jeszcze, żeby mu opowiadała, jak to wcale jej się nie podobało, ale nagle odkryła, że jednak tego chce. Chce jak diabli.

Wyciągnęła rękę w ciemności i dotknęła koperty wypchanej banknotami.

Krzesło zatrzeszczało.

Zacząła mówić, jak to wychodziła z Taniochy i tam ją wyłapał: taki wielki facet, zapytał tylko ile, a ona trochę się zawstydzila, ale powiedziała, a on na to, że w porządku. Wsiedli do jego samochodu, starego i wielkiego, pachniał wilgocią (dołączała drobne szczegóły zapamiętane z Cleveland), a on od razu rzucił ją na siedzenie...

– Przed Taniochą?

– Na tyłach.

Eddy nigdy jej nie zarzucił, że zmyśla. Chociaż wiedziała, że sam jakoś nauczył ją głównego wątku tej opowieści, zawsze właściwie takiej samej. Zanim wielki facet podciągnął jej spódniczkę (tę czarną, dodała; i miałam białe długie buty) i spuścił spodnie, Eddy zdjął już dzinsy – usłyszała brzęk klamry pasa. Kiedy wsunął się obok niej do łóżka, zastanowiła się, czy opisywana pozycja jest w ogóle fizycznie możliwa. Ale mówiła dalej. W końcu na Eddy'ego to działało. Pamiętała, żeby zaznaczyć, jak ją bolało, kiedy w nią wszedł, chociaż była już porządnie wilgotna. I o tym, jak trzymał ją za nadgarstki, chociaż wtedy trochę jej się pomieszało, jak to powinno wyglądać. Tyle tylko, że tyłek powinien jej sterczeć w powietrzu. Eddy zaczął ją dotykać, gładzić piersi i brzuch, więc od fizycznej brutalności ruchów numeru przeszła do tego, co czuła.

W zasadzie powinna czuć się tak, jak się nigdy nie czuła. Wiedziała, że są takie chwile, kiedy robienie tego trochę boli, ale dalej jest przyjemne. Tyle że nie o to chodziło. Eddy chciał słyszeć, że bardzo ją bolało i wcale nie było przyjemne, ale i tak jej się podobało. Dla Mony nie miało to sensu, ale nauczyła się opowiadać to, co chciał słyszeć.

Dlatego że to naprawdę działało. Eddy przetoczył się z kocem zwiniętym na plecach i wsunął się między jej nogi. Na pewno widział to wszystko w myślach, jak film rysunkowy, a równocześnie sam był tym obcym facetem. Przytrzymał jej przeguby nad głową, tak jak lubił.

A kiedy skończył, kiedy zwinął się na boku i zasnął, Mona leżała nieruchomo w stęchłej ciemności, a w myślach podziwiała marzenie o wyjeździe – jasne i piękne.

I błagam, żeby to była prawda.

Kumiko obudziła się w ogromnym łóżku i leżała nieruchomo, nasłuchując. Dobiegał tu cichy, nieustający pomruk ulicznego ruchu.

W pokoju było zimno; naciągnęła na siebie niczym płaszcz różową kołdrę i wstała. Małe okienka zdobił wzór szronu. Podeszła do wanny i pchnęła jedno ze złożonych skrzydeł łabędzia. Ptak kaszlnął, zabulgotał i popłynęła woda. Wciąż otulona kołdrą, otworzyła walizki i zaczęła dobierać ubiór na ten dzień; wybrane elementy układała na łóżku.

Kiedy kąpiel była gotowa, upuściła kołdrę, która zsunęła się na podłogę, wstąpiła na marmurowy parapet i spokojnie opuściła się w boleśnie gorącą wodę. Para wodna roztopiła szron; po szybach ściekały teraz krople wody. Zastanowiła się, czy we wszystkich brytyjskich sypialniach są takie wanny. Metodycznie myła się francuskim mydłem, potem wstała i jak najdokładniej spłukała z siebie pianę. Owinięta wielkim czarnym ręcznikiem, po chwili poszukiwań znalazła umywalkę, toaletę i bidet. Były ukryte w małej komórce o ścianach wyłożonych ciemnym fornirem, która kiedyś mogła służyć za garderobę.

Teatralny z wyglądu telefon zadzwonił dwa razy.

– Tak?

– Tu Petal. Masz ochotę na śniadanie? Jest tu Roger. Bardzo chciałby cię poznać.

– Dziękuję – odparła. – Właśnie się ubieram.

Wciągnęła swoje najlepsze, najluźniejsze skórzane spodnie i wyszukała włochaty sweter tak wielki, że pasowałby chyba na Petala. Kiedy sięgnęła do torebki po kosmetyki, zauważyła aparat Maas-Neotek. Odruchowo

zaczisnęła na nim palce. Nie zamierzała go przywoływać, ale dotyk wystarczył: stanął przed nią, komicznie wyciągając szyję, i przyglądał się lustrzanym płytkom na niskim suficie.

– Jak przypuszczam, nie znajdujemy się w Dorchester?

– Ja tu zadaję pytania – odparła. – Co to za miejsce?

– Sypialnia – wyjaśnił. – Kogoś o wątpliwym guście.

– Odpowiedz na pytanie.

– No cóż – mruknął, zbadawszy łóżko i wannę. – Sądząc po wystroju, mógłby to być dom schadzek. Mam dostęp do historycznych danych większości budynków w Londynie, ale w tym nie ma nic godnego uwagi. Zbudowany w roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym. Klasyczny przykład dominującego stylu wiktoriańskiego. Dzielnica kosztowna, ale nie modna, popularna wśród pewnego rodzaju prawników.

Wzruszył ramionami. Przez jego lśniące jeździeckie buty widziała krawędź łóżka.

Wrzuciła aparat do torebki i zniknął.

* * *

Bez kłopotów poradziła sobie z windą. Kiedy znalazła się już w białym foyer, podążyła za dźwiękiem głosów. Wzdłuż korytarza. Za róg.

– Dzień dobry – powiedział Petal, zdejmując srebrną pokrywę z półmiska. Uniosła się para. – Oto jest nieuchwytny pan Swain, dla ciebie Roger, a oto twoje śniadanie.

– Dzień dobry – rzekł mężczyzna.

Podszedł, wyciągając rękę. Jasne oczy na wąskiej twarzy o wyraźnych rysach. Proste, mysiej barwy włosy, zaczesane ukośnie na czole. Kumiko nie potrafiła odgadnąć jego wieku, ale pod oczami dostrzegła głębokie zmarszczki. Był wysoki, miał ramiona i mięśnie atlety.

– Witamy w Londynie. – Ujął jej dłoń, ścisnął, wypuścił.

– Bardzo mi miło.

Nosił koszulę bez kołnierzyka: cieniutkie czerwone paski na jasnoniebieskim tle, mankiety spięte gładkimi owalami matowego złota;

rozpięta pod szyją, ukazywała ciemny trójkąt tatuowanej skóry.

– Rozmawiałem rano z twoim ojcem. Powiedziałem, że dotarłaś bezpiecznie.

– Jest pan człowiekiem wysokiej rangi.

Zmrużył jasne oczy.

– Słucham?

– Smoki.

Petal parsknął śmiechem.

– Pozwólcie jej coś zjeść – odezwał się ktoś inny: kobiecy głos.

Kumiko odwróciła się i zobaczyła szczupłą, ciemną sylwetkę na tle wysokiego okna; dalej, za szybą, śnieg zasypał otoczony murem ogród. Srebrne szkła, kryjące oczy kobiety, odbijały pokój i obecnych.

– To nasz kolejny gość – wyjaśnił Petal.

– Sally – przedstawiła się kobieta. – Sally Shears. Jedz, skarbie. Jeśli nudzisz się tak samo jak ja, to pewnie chętnie pójdziesz na spacer. – Uniosła rękę do okularów, jakby chciała je zdjąć. – Portobello Road jest parę przecznic stąd. Przyda mi się trochę świeżego powietrza.

Lustrzane okulary nie miały ramek.

– Jak myślisz, Roger... – Petal nakładał ze srebrnego półmiska plastry bekonu. – Czy Kumiko będzie bezpieczna z naszą Sally?

– Bezpieczniejsza niż ja bym był, biorąc pod uwagę, w jakim Sally jest nastroju – odparł Swain. – Obawiam się, że niewiele może cię tu zaciekawić – zwrócił się do Kumiko, prowadząc ją do stołu. – Ale postaramy się, żeby ci było możliwie wygodnie. I pokażemy kawałek miasta. Chociaż to jednak nie Tokio.

– Przynajmniej jeszcze nie – dodał Petal, ale Swain chyba nie usłyszał.

– Dziękuję – powiedziała Kumiko, gdy Swain odsunął dla niej krzesło.

– To zaszczyt – zapewnił. – Nasz szacunek dla twojego ojca...

– Spokojnie – przerwała kobieta. – Jest za młoda na takie bzdury. Oszczędź nam tego.

– Sally jest w złym humorze – stwierdził Petal i na talerzu Kumiko ułożył jajko sadzone.

* * *

Humor Sally Shears, jak się okazało, był raczej z trudem powstrzymaną wściekłością, furią widoczną w każdym jej kroku, w gniewnym stukocie czarnych obcasów na oblodzonym chodniku.

Kumiko musiała podbiegać, żeby nie zostać w tyle. Kobieta maszerowała ulicą, oddalając się od domu Swaina, a jej okulary błyskały zimno w bezkierunkowym świetle zimowego słońca. Miała na sobie wąskie spodnie z ciemnobrązowego zamszu i obszerną czarną kurtkę z podniesionym kołnierzem. Kosztowne ubranie. Z czarnymi, krótkimi włosami można ją było wziąć za chłopca.

Po raz pierwszy od wyjazdu z Tokio Kumiko poczuła lęk.

Energia uwięziona w tej kobiecie była niemal dotykalna: węzeł gniewu, który lada chwila może się rozwiązać.

Kumiko wsunęła dłoń do torebki i ścisnęła Maas-Neotek. Colin natychmiast znalazł się przy niej; maszerował raźnie z rękami w kieszeniach kurtki. Buty nie zostawiały śladów na brudnym śniegu. Wypuściła aparat i zniknął, ale poczuła się pewniej. Nie musi się obawiać, że zgubi Sally Shears, której trudno dotrzymać kroku; duch z pewnością doprowadzi ją z powrotem do Swaina. A jeśli jej ucieknę, pomyślała, on mi pomoże. Kobieta przeskoczyła przez ulicę na skrzyżowaniu, odruchowo odciągając Kumiko z drogi szerokiej, czarnej taksówki, hondy. Zdołała jakoś kopnąć w błotnik, gdy wóz przejeżdżał obok.

– Pijesz? – zapytała, ściskając Kumiko za przedramię.

Kumiko pokręciła głową.

– Proszę... Ręka mnie boli.

Sally rozluźniła uchwyt. Przez drzwi z ozdobnego matowego szkła wciągnęła Kumiko w hałas i ciepło, rodzaj zatłoczonej nory obitej ciemnym drewnem i wytartym brązowym pluszem.

Po chwili siedziały już naprzeciw siebie przy stoliku. Na marmurowym blacie stała popielniczka Bassa, kufel ciemnego piwa, szklaneczka po whisky, którą Sally opróżniła po drodze z baru, i szklanka świeżego soku z pomarańczy.

Kumiko zauważyła, że lustrzane szkła bez śladu spojenia stykają się z bladą skórą.

Sally ujęła pustą szklaneczkę, przechyliła, nie podnosząc ze stołu, i przyjrzała się krytycznie Kumiko.

– Spotkałam kiedyś twojego ojca – oznajmiła. – Wtedy nie zaszedł jeszcze tak wysoko. – Odstawiła szklaneczkę i sięgnęła po kufel. – Swain mówi, że jesteś w połowie gaijin. Mówi, że twoja matka była Dunką. – Wypiła łyk. – Nie wyglądasz na to.

– Kazała zmienić mi oczy.

– Do twarzy ci z takimi.

– Dziękuję. A twoje okulary – odparła odruchowo – są bardzo eleganckie. Sally wzruszyła ramionami.

– Twój staruszek pokazał ci już kiedyś Chibę?

Kumiko pokręciła głową.

– Sprytnie. Na jego miejscu też bym ci nie pokazywała. – Wypiła jeszcze trochę. Jej paznokcie, wyraźnie akryłowe, miały kolor i połysk macicy perłowej. – Powiedzieli mi o twojej matce.

Kumiko spuściła wzrok. Twarz jej płonęła.

– Nie z tego powodu się tu znalazłaś. Wiesz o tym? To nie przez nią odesłał cię do Swaina. Trwa wojna. Chyba odkąd się urodziłam nie było wewnętrznych walk na wyższych poziomach yakuzy; teraz wybuchły. – Odstawiony z rozmachem pusty kufel stuknął o blat. – Nie mógł cię tam trzymać. Za łatwo byłoby do ciebie dotrzeć. Facet jak Swain jest daleko poza mapą, przynajmniej dla rywali Yanaki. Dlatego dostałaś paszport na inne nazwisko, zgadza się? Swain ma dług wobec Yanaki. Więc wszystko jest w porządku. Jasne?

Kumiko poczuła gorące łzy pod powiekami.

– No dobra. Nie wszystko w porządku. – Perłowe paznokcie zabębniły na marmurze. – Więc ona się załatwiła, a u ciebie nie jest w porządku. Czujesz się winna, tak?

Kumiko podniosła głowę i spojrzała w bliźniacze zwierciadła.

Przez Portobello sunęły tłumy turystów, jak w Shinjuku. Sally Shears najpierw uparła się, żeby Kumiko wypić swój sok, ciepły już i bez smaku, a potem wyprowadziła ją na ulicę. Ciągnąc dziewczynkę za sobą, ruszyła chodnikiem wzdłuż składanych metalowych stolików, gdzie na porwanych aksamitnych zasłonach leżały tysiące przedmiotów ze srebra i kryształu, mosiądzu i porcelany. Kumiko przypatrywała się, gdy szła za Sally obok kolekcji plakietek koronacyjnych i kubków ze zmarszczonym Churchillem.

– To jest *gomi* – domyśliła się, kiedy przystanąły na skrzyżowaniu.

Śmieci. W Tokio rzeczy zniszczone i bezużyteczne szły na śmietnik.

Sally uśmiechnęła się ponuro.

– To jest Anglia. *Gomi* są ważnym bogactwem naturalnym. *Gomi* i talent. Tego właśnie teraz szukam. Talentu.

* * *

Talent nosił ciemnozielony garnitur i nieskazitelne zamszowe mokasyny. Sally znalazła go w kolejnym pubie, o nazwie „Pod Różą i Koroną”. Przedstawiła go jako Ticka. Był tylko trochę wyższy od Kumiko i miał chyba skrzywiony kręgosłup albo biodro, gdyż wyraźnie utykał, co jeszcze zwiększało ogólne wrażenie asymetrii. Czarne włosy golił przy skórze z tyłu i z boków, pozostawiając błyszczący kłęb loków nad czołem.

– Moja przyjaciółka z Japonii – przedstawiła Kumiko Sally. – I trzymaj łapy przy sobie.

Tick uśmiechnął się blado i zaprowadził je do stolika.

– Jak interesy, Tick?

– Nieźle – odparł smętnie. – Jak emerytura?

Sally usiadła na obitej ławie, plecami do ściany.

– No wiesz – mruknęła. – Raz tak, raz z powrotem.

Kumiko przyjrzała się jej uważnie: wściekłość wyparowała, albo też została bardzo fachowo ukryta. Usiadła i wsunęła dłoń do torebki. Colin zmaterializował się na ławie obok Sally.

– Miło, że o mnie pomyślałaś. – Tick przysunął sobie krzesło. – Będzie już ze dwa lata.

Uniósł brew i spojrzał na Kumiko.

– Jest w porządku. Znasz Swaina, Tick?

– Na szczęście, tylko z reputacji.

Colin przysłuchiwał się ich rozmowie z rozbawieniem i fascynacją. Poruszał głową tam i z powrotem, jakby oglądał mecz tenisowy. Kumiko musiała sobie przypominać, że tylko ona może go widzieć.

– Chcę, żebyś mu się przyjrzał. I żeby on o tym nie wiedział.

Popatrzył na nią. Cała lewa połowa twarzy ściągnęła się w wyraźnym, powolnym mrugnięciu.

– No tak... – mruknął. – Nie wymagasz wiele...

– Niezła forsa, Tick. Najlepsza.

– Szukać czegoś konkretnego czy taka zwykła przepierka? Ludzie wiedzą, że to gruba ryba w wymuszeniach. Nie chciałbym chyba, żeby mnie złapał na swoim terenie.

– Ale tam są pieniądze, Tick.

Dwa szybkie mrugnięcia.

– Roger mnie naciska, Tick. Ktoś naciska jego. Nie wiem, co na niego mają, i nie obchodzi mnie to. Wystarczy mi to, co on ma na mnie. Chcę wiedzieć kto, gdzie, kiedy. Podłącz się do wejścia i wyjścia. On się z kimś kontaktuje, bo układ stale się zmienia.

– Poznam to, jeśli zobaczę?

– Po prostu się rozejrzyj, Tick. Zrób to dla mnie.

Znowu to konwulsyjne mrugnięcie.

– Niech ci będzie. Przelecimy się. – Nerwowo zabębnił palcami po brzegu stolika. – Postawisz nam kolejkę?

Colin spojrzał przez stół na Kumiko i wzniósł oczy w górę.

* * *

– Nie rozumiem – oświadczyła Kumiko, idąc za Sally wzdłuż Portobello Road. – Wplątałaś mnie w intrygę...

Sally podniosła kołnierz dla osłony przed wiatrem.

– A przecież mogę cię zdradzić. Spiskujesz przeciwko wspólnikowi mojego ojca. Nie masz powodów, żeby mi ufać.

– Ani ty mnie, skarbie. Może należę do tych złych ludzi, o których tak się martwi twój tatuś.

Kumiko rozważyła tę możliwość.

– A należysz?

– Nie. A jeśli ty jesteś szpiegiem Swaina, to ostatnio stał się bardziej wyrafinowany. Jeśli szpiegujesz dla swojego starego, to może Tick nie jest mi potrzebny. Ale skoro yakuza za tym stoi, to jaki ma sens użycie Rogera dla kamuflażu?

– Nie jestem szpiegiem.

– To zacznij być... dla siebie. Jeśli w Tokio padał deszcz, to mogłaś właśnie wylądować pod rynną.

– Ale dlaczego mnie w to mieszasz?

– Już jesteś wmieszana. Jesteś tutaj. Przestraszona?

– Nie – odparła Kumiko i umilkła, zastanawiając się, dlaczego miałyby to być prawdą.

* * *

Później, po południu, sama na wyłożonym lustrami poddaszu, Kumiko usiadła na krawędzi łóżka i zdjęła mokre buty. Wyjęła z torebki Maas-Neotek.

– Czym oni byli? – zwróciła się do ducha, który przysiadł na brzegu wielkiej wanny.

– Twoi przyjaciele z pubu?

– Tak.

– Przestępcy. Osobiście radziłbym ci lepiej dobierać sobie towarzystwo. Kobieta to cudzoziemka. Północna Amerykanka. Mężczyzna pochodzi z Londynu. East End. Najwyraźniej jest złodziejem danych. Nie mam dostępu do archiwów policji, chyba że chodzi o przestępstwa interesujące z historycznego punktu widzenia.

– Nie wiem, co mam robić...

- Odwróć aparat.
- Co?
- Na tylnej płycie zobaczysz taką półksiężycową szczelinę. Wsuń tam paznokcie i przekręć.
- Otworzyła się mała klapka – mikroprzełączniki.
- Przełącznik A/B przerzuć na B. Użyj czegoś wąskiego, ale nie pióra kulkowego.
- Czego?
- Długopisu. Tusz i kurz. Zakleja styki. Najlepsza byłaby wykałaczka. To ustawi system na nagrywanie uruchamiane głosem.
- A potem?
- Schowaj aparat na dole. Jutro przesłuchamy nagranie.

6

Światło poranka

Ślizg spędził noc na kawałku nadgryzionej gąbki, pod stołem na dolnym poziomie Fabryki, owinięty w szeleszczącą, cuchnącą wolnymi monomerami płachtę bąbelkowej folii. Śnił o Kidzie Africe, o wozie Kida... W tych snach stapiali się ze sobą i zębami Kida stawał się rząd małych chromowanych czaszek.

Zbudził go zimny wiatr, plujący przez puste okna Fabryki pierwszym tej zimy śniegiem.

Leżał potem i myślał o problemie z piłą Sędziego i dlaczego przegub się wyłamuje, kiedy tylko próbuje rozciąć coś twardszego niż płyta wiórowa. Początkowo plan tej ręki przewidywał sztuczne palce, każdy zakończony miniaturową elektryczną piłą łańcuchową. Zarzucił jednak tę koncepcję. Z kilku powodów. Elektryczność jakoś nie wydawała się zadowalająca; nie była dostatecznie... fizyczna. Powietrze – to było rozwiązanie: wielkie zbiorniki sprężonego powietrza... Albo silnik spalinowy, gdyby udało się znaleźć części. W Psiej Samotni można było znaleźć części praktycznie do wszystkiego, jeśli tylko człowiek grzebał dostatecznie długo. A gdyby nawet nie, wokół Jersey istniało przynajmniej pół tuzina miasteczek z całymi hektarami martwych maszyn. Tylko wybierać.

Wyczołgał się spod blatu, jak pelerynę ciągnąc za sobą przezroczysty koc z miniaturowych plastikowych poduszeczek. Pomyślał o człowieku na noszach w swoim pokoju, i o Cherry, która spała w jego łóżku. Jej kark nie zeszywnieje.

Przeciągnął się i skrzywił.

Niedługo wraca Gentry. Trzeba będzie mu to wszystko wytłumaczyć.
A Gentry nie lubił towarzystwa ludzi.

* * *

Ptasiek zaparzył kawę w małym pomieszczeniu, służącym w Fabryce jako kuchnia. Na podłodze leżały popękane plastikowe płytki, a pod ścianą błyszczał rząd zlewozmywaków z poszarzałej stali. Okna zasłaniały półprzejryste płachty, wydymane wiatrem na przemian do wnętrza i na zewnątrz; przepuszczały mleczny blask, w którym pomieszczenie wydawało się jeszcze zimniejsze niż w rzeczywistości.

– Jak stoimy z wodą? – zapytał Ślizg, wchodząc do kuchni.

W ramach swoich obowiązków Ptasiek codziennie rano zaglądał do zbiorników na dachu i wylawiał naniesione przez wiatr liście czy jakąś zdechłą wronę. Potem sprawdzał szwy na filtrach i wpuszczał pięćdziesiąt litrów świeżej wody, jeśli wyglądało na to, że się kończy. Prawie cały dzień trwało, nim pięćdziesiąt litrów przesączyło się przez system do kolektora. To, że Ptasiek pilnował tej roboty, było główną przyczyną, dla której Gentry go tolerował. Chociaż wstydlivość chłopaka też pewnie nie szkodziła. Ptasiek potrafił być praktycznie niewidzialny, przynajmniej jeśli chodzi o Gentry'ego.

– Mamy mnóstwo – zapewnił Ptasiek.

– Czy można tu jakoś wziąć prysznic? – spytała Cherry ze swego miejsca na starej plastikowej skrzynce. Miała cienie pod oczami, jakby nie spała, ale lizaj ukryła pod makijażem.

– Nie – odparł Ślizg. – Nie o tej porze roku.

– Tak sądziłam – oświadczyła ponuro Cherry, przygarbiona w swojej kolekcji skórzanych kurtek.

Ślizg nalał sobie resztkę kawy i stanął przed nią. Pił powoli.

– Jakiś problem? – zapytała.

– Tak. Ty i ten gość na górze. Jakim cudem jesteś tutaj, na dole? Skończyłaś dyżur czy co?

Z kieszeni zewnętrznej kurtki wyjęła sygnalizator.

- Kiedy coś się zmieni, to zacznij dzwonić.
- Dobrze spałaś?
- Tak. Dość dobrze.
- A ja nie. Powiedz mi, Cherry, jak długo pracujesz dla Kida Afriki?
- Jakiś tydzień.
- Naprawdę jesteś technikiem medycznym?

Wzruszyła ramionami.

- W przybliżeniu. Dostatecznie dokładnie, by się zająć Grafem.

- Grafem?

- Tak, Grafem. Kid raz go tak nazwał.

Ptasiek zadrżał. Nie popracował jeszcze swoimi fryzjerskimi narzędziami, więc włosy sterczały mu na wszystkie strony.

- A jeśli... – Zastanowił się. – A jeśli on jest wampirem?

Cherry przyjrzała mu się zdziwiona.

- Zgłupiałeś?

Ptasiek z powagą pokręcił głową, szeroko otwierając oczy.

Cherry zerknęła na Ślizga.

- Czy twój kumpel ma równo pod sufitem?

– Nie ma wampirów – wyjaśnił Ptaszkowi Ślizg. – One nie są prawdziwe, rozumiesz? Są tylko w stymach. Ten facet nie jest żadnym wampirem. Jasne?

Ptasiek przytaknął, choć wcale nie wydawał się przekonany. Wiatr napiął plastikową płachtę, pełną mlecznego światła.

* * *

Próbował zabrać się do pracy przy Sędzi, ale Ptasiek znowu gdzieś zniknął, a myśli nie opuszczał obraz postaci na noszach. Było za zimno; musi pociągnąć kabel spod dachu Fabryki, z terytorium Gentry'ego, i uruchomić parę grzejników. Ale to oznaczało kłótnie z Gentrym o pobór mocy. A prąd należał do Gentry'ego, ponieważ to on wiedział, jak wyssać go z Agencji Energii Atomowej.

Ślizg siedział w Fabryce trzecią zimę, ale Gentry był tu już cztery lata, nim Ślizg trafił w to miejsce. Kiedy razem urządzili mu poddasze, Ślizg odziedziczył pokój, gdzie teraz umieścił Cherry i tego człowieka, którego Kid Afrika nazwał podobno Grafem. Gentry uważał, że Fabryka należy do niego, że on był tu pierwszy i zdobył prąd tak, żeby Agencja się nie dowiedziała. Ale Ślizg robił sporo rzeczy, którymi Gentry sam by się nie zajmował: na przykład pilnował, żeby nie zabrakło jedzenia, albo naprawiał, kiedy coś się zepsuło, kiedy zwały się przewody albo zatkał filtr. To właśnie Ślizg brał wtedy narzędzia i uruchamiał wszystko co trzeba.

Gentry nie lubił ludzi. Całe dni spędzał ze swoimi dekami, organami F/X i holoprojektorami. Wychodził, kiedy był głodny. Ślizg nie rozumiał, co właściwie Gentry próbuje zrobić, ale zazdrościł mu tej wąsko zdefiniowanej obsesji. Gentry'ego nic nie ruszało. Kid Afrika nie mógłby go zahaczyć, ponieważ Gentry nie pojechałby do Atlantic City, nie wpadłby w takie gówna i nie zaciągnął u Kida Afriki długu wdzięczności.

* * *

Bez pukania wszedł do swojego pokoju. Cherry gąbką myła facetowi pierś. Miała białe jednorazowe rękawiczki. Z pomieszczenia, gdzie gotowali jedzenie, przyniosła butanowy palnik. I jeszcze ciepłą wodę w metalowej salaterce.

Zmusił się do spojrzenia na ściągniętą twarz, obwisłe wargi rozchylone akurat tak, by odsłonić żółtkłe zęby palacza. To była twarz z tłumy, twarz z ulicy, twarz, jaką można zobaczyć w każdym barze.

Cherry obejrzała się na Ślizga.

Usiadł na krawędzi łóżka, na rozpiętym śpiworze. Rozłożyła go jak koc, a naderwany koniec wcisnęła pod piankę.

– Musimy pogadać, Cherry. Wiesz o tym?

Wycisnęła gąbkę nad salaterką.

– Jak się wplątałaś w interesy Kida Afriki?

Schowwała gąbkę do kosmetyczki, którą wcisnęła do nylonowej torby z poduszkowca Kida. Zauważył, że nie wykonuje żadnego zbędnego ruchu i nie zastanawia się nad tym, co robi.

– Znasz taki lokal, nazywa się „U Moby Jane”?

– Nie.

– Zajazd przy międzystanowej. Miałam tam kumpla. Był szefem już z miesiąc, kiedy się do niego wprowadziłam. Moby Jane... jest ogromna; siedzi na tyłach w zbiorniku z dożylną kroplówką kokainy na rękę i jest obrzydliwa. No więc, jak mówiłam, wprowadziłam się tam do mojego kumpla Spencera, nowego szefa, bo miałam kłopoty z papierami w Cleveland i chwilowo nie mogłam pracować.

– Jakie kłopoty?

– Normalne. Jasne? Mam opowiadać czy nie? Spencer wyjaśnił mi stan właścicielki. I wcale mi nie zależało, żeby ktoś się dowiedział, że jestem technikiem medycznym. Inaczej od razu by mi kazali zmieniać filtry w jej zbiorniku i pompować rafinowaną kokę w dwieście kilo halucynującej psychotyczki. Zrobili ze mnie kelnerkę, barmankę... Nie ma sprawy. Mieli też niezłą muzykę. Bywało ostro, ale nikt mnie nie ruszał, bo wiedzieli, że jestem ze Spencerem. Aż raz budzę się rano i Spencera nie ma. A potem się okazuje, że zniknął z ich forszą. – Grubym tamponem ligniny osuszyła śpiącemu pierś. – Trochę mi przyłożyli. – Spojrzała na Ślizga i wzruszyła ramionami. – I powiedzieli, co robią: skują mi ręce na plecach, wsadzą do zbiornika z Moby Jane, podkręcają jej kroplówkę na maksa i powiedzą, że mój chłopak ją obrobił... – Rzuciła wilgotną ligninę do salaterki. – Zamknęli mnie w komórce, żebym mogła jeszcze pomyśleć, zanim mnie załatwią. Ale kiedy drzwi się otworzyły, stał tam Kid Afrika. Nigdy przedtem go nie widziałam. Panno Chesterfield, mówi, mam powody przypuszczać, że do niedawna była pani dyplomowanym technikiem medycznym.

– I złożył ci propozycję.

– Propozycję, akurat. Sprawdził moje papiery i zabrał mnie od razu. Nie było ani żywej duszy, choć to sobota wieczorem. Wyszliśmy na parking, a tam czekał już jego poduszkowiec, z tymi czaszkami na masce, obok

dwóch wielkich czarnych facetów... Zresztą to mi odpowiadało; byle dalej od tego zbiornika.

– Czy miał już tam naszego przyjaciela?

– Nie. – Ściągnęła rękawiczki. – Kazał mi się odwieźć do Cleveland, na przedmieście. Duże stare domy, ale trawniki zarośnięte i nierówne. Weszliśmy do takiego, gdzie było sporo ochrony. Pewnie jego. Ten tutaj... – podciągnęła niebieski śpiwór pod brodę śpiącego – ...leżał w sypialni. Miałam od razu zaczynać. Kid obiecał, że dobrze mi zapłaci.

– I wiedziałaś, że przywiezie cię tutaj, do Samotni?

– Nie. I on chyba też nie wiedział. Coś się stało. Następnego dnia przyszedł i powiedział, że wyjeżdżamy. Myślę, że czegoś się wystraszył. To wtedy tak go nazwał: Graf. Był zły i chyba się bał. Graf i jego pieprzony LF, powiedział.

– Jego co?

– LF.

– Co to jest?

– Chyba to. – Wskazała bezkształtny szary pakiet umocowany nad głową leżącego.

Wyobraziła sobie, że Swift czeka na nią na tarasie, ubrany w tweedy, które preferował podczas zimy w L.A.: kamizelkę i marynarkę niedopasowane do siebie, w jodełkę i pepitkę, ale wszystko tkane z tej samej wełny, a w dodatku pewnie z tej samej owcy na tej samej łące. Cały jego wygląd projektował w Londynie specjalny komitet w pokoiku nad sklepem przy Floral Street, którego nigdy nie widziała. Robili mu koszule w paski, sprowadzali bawełnę od Charveta w Paryżu; projektowali krawaty, zamawiali jedwab w Osace i kazali haftować małe, dyskretne logo Sense/Netu. A mimo to zawsze jakoś wyglądał, jakby to matka dobierała mu ubranie.

Taras był pusty. Dornier zawisł na moment, po czym odleciał do swego gniazda. Wciąż czuła przy sobie obecność Mamman Brigitte.

Poszła do białej kuchni i starła z twarzy i rąk zaschniętą krew. Stając w drzwiach salonu, miała wrażenie, że ogląda go po raz pierwszy. Jasna podłoga, złoczone ramy i aksamitna tapicerka krzeseł Ludwika XVI, kubistyczny układ Valmiera. Jak garderoba Hiltona, pomyślała, dobrana przez utalentowanych obcych. Idąc w stronę schodów, zostawiała na podłodze ślady wilgotnego piasku.

Kelly Hickman, jej garderobiany, odwiedził dom, kiedy była w klinice. Ułożył bagaż w głównej sypialni: dziewięć futerałów Hermès, gładkich i prostokątnych jak trumny z błyszczącej skóry. Jej rzeczy nigdy nie składano; każdy fragment garderoby leżał rozprostowany między arkuszami jedwabistej bibułki.

Stanąła w drzwiach, patrząc na puste łóżko i dziewięć skórzanych trumien.

Wyszła do łazienki: szklane tafle i białe ceramiczne kafelki. Otworzyła jedną szafkę, potem drugą, ignorując równe szeregi przyborów toaletowych, leków i kosmetyków. W trzeciej znalazła ładowarkę i foliowaną paczkę derm. Pochyliła się, wpatrzona w szary plastik i japońskie logo; bała się tego dotykać. Ładowarka wyglądała na nową, nieużywaną. Angie była prawie pewna, że jej nie kupowała, nie schowała w tej szafce. Wyjęła narkotyk z kieszeni kurtki i obejrzała dokładnie, obracała pakiet, a w hermetycznych torebkach przesypywały się odmierzone dawki fioletowego proszku.

Zobaczyła siebie, jak układa pakiet na białej półce, umieszcza nad nim ładowarkę, wyjmując z bąbla jedną dermę i wsuwa na miejsce. Zobaczyła czerwony błysk diody, kiedy ładowarka pobiera swoją dawkę. Zobaczyła, jak wyjmując dermę, niesie ją na czubku palca wskazującego niby białą plastikową pijawkę, a jej wewnętrzna, wilgotna powierzchnia lśni od mikroskopijnych kropelek DMSO...

Odwróciła się, zrobiła trzy kroki i wrzuciła zapieczętowany pakiet do muszli. Unosił się tam niby miniaturowa tratwa. Narkotyk pozostał idealnie suchy. Idealnie. Drżącymi palcami odszukała nierdzewny pilnik do paznokci i uklękła na białych kafelkach. Musiała zamknąć oczy, gdy przytrzymała pakiet i wbijała czubek pilnika w linię zgrzewu. Przekręciła. Pilnik brzęknął o posadzkę, kiedy wcisnęła dźwignię spłuczki i dwie połówki opróżnionego pakietu zniknęły w ścieku. Oparła czoło o chłodną emalię, potem zmusiła się, żeby wstać, podejść do umywalki i starannie umyć ręce.

Ponieważ chciała... teraz naprawdę wiedziała, że chce... oblizać palce.

* * *

Później, wśród szarego popołudnia, znalazła w garażu pogiętą plastikową skrzynkę, przeniosła ją do sypialni i zaczęła pakować pozostałe rzeczy Bobby'ego. Nie było tego wiele: para skórzanych dżinsów, których nie lubił,

jakieś koszule, które odrzucił albo o nich zapomniał, i dek cyberprzestrzeni w dolnej szufladzie tekowego biurka. Ono-Sendai, trochę lepsza zabawka. Leżał tam w plątaniu czarnych przewodów, obok kompletu tanich trod stymowych i grubej plastikowej tubki pasty czyszczącej.

Pamiętała, jakiego deka używał, jaki ze sobą zabrał: szary, robiony na zamówienie Hosaka bez oznaczeń na klawiszach. To był dek kowboja; upierał się, żeby wszędzie z nim jeździć, chociaż ciągle mieli kłopoty na cle. Po co, zastanawiała się, kupił jeszcze Ono-Sendai? I dlaczego je zostawił? Usiadła na łóżku; wyjęła dek z szuflady i położyła sobie na kolanach.

Dawno temu, w Arizonie, ojciec ostrzegał ją przed włączaniem. Nie potrzebujesz tego, mówił. I nie potrzebowała: śniła cyberprzestrzeń, jakby neonowe linie kratownicy czekały na nią pod powiekami.

Tam nie ma tam. Tego uczyli dzieci, kiedy tłumaczyli, co to jest cyberprzestrzeń. Pamiętała wykład uśmiechniętego nauczyciela w przedszkolu dla dzieci urzędników kompleksu. Pamiętała obrazy migające na ekranie: piloci w ogromnych hełmach i niezgrabnych rękawicach, neuroelektronicznie prymitywny „świat wirtualny”, technikę efektywniej spinającą ich z samolotami, pary miniaturowych terminali wideo, pompujących generowany komputerowo strumień danych bojowych, wibrotaktylne rękawice sprzężeniowe, dające wrażenie dotykowego świata klawiszy i spustów... W miarę rozwoju techniki zmniejszały się hełmy, wideoterminale doznawały atrofii...

Pochyliła się, wzięła trody, potrząsnęła nimi, by uwolnić z plątania przewodów.

Tam nie ma tam.

Rozwinęła elastyczną opaskę i umocowała trody na skroniach – jeden z najbardziej typowych gestów ludzkiego świata, sama jednak rzadko go wykonywała. Wcisnęła klawisz testu baterii Ono-Sendai. Zielony: w normie. Włączyła zasilanie i sypialnia zniknęła za bezbarwną ścianą sensorycznego tła. Umysł wypełnił wodospad białego szumu.

Palce odszukały przypadkowy klawisz i została wystrzelona przez mur zakłóceń w tłoczną otchłań, pojęciową pustkę cyberprzestrzeni; jaskrawa kratownica matrycy rozciągała się wokół niczym nieskończona klatka.

* * *

– Angelo – odezwał się dom cicho, lecz z naciskiem. – Odebrałem telefon od Hiltona Swifta...

Właśnie jadła przy kuchennym blacie fasolkę z grzanką.

– Dostęp priorytetowy?

– Nie – zapewnił grzecznie.

– Zmień ton – odparła, przeżuwając. – Na jakiś bardziej załęczniony.

– Pan Swift czeka... – oznajmił dom nerwowo.

– Lepiej – pochwaliła, przynosząc miseczkę i talerz do zmywarki. – Ale chcę czegoś zblizonego do hysterii...

– Czy zechcesz odebrać? – Głos aż krztusił się napięciem.

– Nie. Ale tak trzymaj. Podobało mi się.

Przeszła do saloniku, odliczając w myślach: dwanaście, trzynaście...

– Angelo – powiedział łagodnie dom. – Mam telefon od Hiltona Swifta...

– Na dostępie priorytetowym – dokończył Swift.

Parsknęła.

– Wiesz, że szanuję twoją potrzebę samotności, ale martwię się o ciebie.

– Nic mi nie dolega, Hilton. Nie musisz się martwić. Pa, pa.

– Dziś rano potknęłaś się na plaży. Wyglądałaś na zdezorientowaną.

Krwawiłaś.

– Zwykły krwotok z nosa.

– Chcielibyśmy jeszcze raz cię przebadać...

– Świetnie.

– Dzisiaj włączyłaś się do matrycy, Angie. Zalogowaliśmy cię w sektorze przemysłowym OMBA.

– To było to?

– Chciałabyś o tym porozmawiać?

– Nie ma o czym rozmawiać. Po prostu bawiłam się. Naprawdę chcesz wiedzieć? Pakowałam różne śmieci, które Bobby tu zostawił. Byłbyś zadowolony, Hilton. Znalazłam jego dek i wypróbowałam. Wcisnęłam klawisz, posiedziałam chwilę, rozejrzałam się i wyłączyłam.

– Przepraszam, Angie.

- Za co?
 - Za to, że cię niepokoiłem. Teraz już sobie pójdę.
 - Hilton! Czy wiesz, gdzie jest teraz Bobby?
 - Nie.
 - Chcesz powiedzieć, że ochrona Netu go nie pilnuje?
 - Chcę powiedzieć, Angie, że nie wiem. Taka jest prawda.
 - A mógłbyś sprawdzić, gdybyś zechciał?
- Chwila milczenia.
- Nie wiem. Nawet gdybym mógł, nie jestem pewien, czybym to zrobił.
 - Dzięki. Do widzenia, Hilton.
 - Do widzenia, Angie.

* * *

Tej nocy siedziała na tarasie, w ciemności, patrząc, jak kraby tańczą na zalewanym falą piasku. Myślała o Brigitte i jej ostrzeżeniu, o narkotyku w kurtce i ładowarce derm w apteczce. Myślała o cyberprzestrzeni i smutnym poczuciu ograniczenia z Ono-Sendai, tak odległym od swobody lo.

Myślała o innych snach, o korytarzach zwijających się w sobie, wyblakłych odcieniach starego dywanu... Starzec, głowa z klejnotów, spięta blada twarz, której oczy były lustrami... I plaża w wietrze i ciemności.

Nie ta plaża, nie Malibu.

* * *

I gdzieś w mrocznym kalifornijskim poranku, wśród korytarzy, galerii, twarzy ze snu, urywków na wpół zapomnianych rozmów, budząc się z widokiem jasnej mgły za oknami sypialni, uwolniła coś stamtąd i przeciągnęła przez ścianę snu na jawę.

Przewróciła się na bok, sięgnęła do szuflady nocnej szafki, znalazła pióro Porsche – prezent od drugiego inspicjenta. I wypisała swój skarb na

Isniacej okladce wloskiego magazynu mody:

T-A

– Wywołaj Ciągłość – polecila domowi przy trzeciej filiżance kawy.

– Witaj, Angie – powiedzial Ciągłość.

– Ta sekwencja orbitalna, która robiliśmy dwa lata temu... Belgijski jacht... – Łyknęła stygnącej kawy. – Jak się nazywało to miejsce, dokąd chciał mnie zabrać? To, które Robin uznał za zbyt pospolite?

– Freeside – odparł system ekspertowy.

– Kto tam kręcił?

– Tally Isham nagrała na Freeside dziewięć sekwencji.

– Dla niej nie było zbyt pospolite?

– To piętnaście lat temu. Wtedy było modne.

– Prześlij mi te sekwencje.

– Gotowe.

– Cześć.

– Do widzenia, Angie.

Ciągłość pisał książkę. Robin Lanier jej o tym powiedział. Zapytała wtedy, o czym. To nie tak, wyjaśnił. Zapętała się w sobie i bez przerwy mutuje; Ciągłość zawsze ją pisze. Spytała dlaczego. Ale Robina to już nie interesowało, ponieważ Ciągłość jest SI, a SI robi takie rzeczy.

Rozmowa z Ciągłością kosztowała ją rozmowę ze Swiftem.

– Angie, co do tych badań...

– Jeszcze ich nie załatwiłeś? Chcę wracać do pracy. Dziś rano wezwałam Ciągłość. Myślę o sekwencji orbitalnej. Przejrzę kilka rzeczy Tally, może przyjdzie mi coś do głowy.

Zapadła cisza. Miała ochotę się roześmiać. Niełatwo było zmusić Swifta do milczenia.

– Jesteś pewna, Angie? To cudowne, ale czy naprawdę tego chcesz?

– Czuję się coraz lepiej, Hilton. Czuję się doskonale. Chcę pracować. Wakacje się skończyły. Zanim się z kimkolwiek zobaczę, niech przyjedzie Porphyre i zrobi mi fryzurę.

– Wiesz, Angie – oświadczył – że wszyscy jesteśmy z tego powodu szczęśliwi.

– Wezwij Porphyre’a. Umów mnie na badania.

Coup-poudre. Kto, Hilton? Może ty?

Miał możliwości, myślała pół godziny później, spacerując we mgle po tarasie. Jej uzależnienie nie zagrażało firmie, nie wpływało na pracę. Gdyby było inaczej, Sense/Net nigdy nie pozwoliłby jej zacząć. Projektant narkotyku, pomyślała. Projektant powinien wiedzieć. I nigdy jej nie powie, nawet gdyby zdołała do niego dotrzeć, w co wątpiła. Przypuśćmy, myślała, opierając dłonie o rdzę balustrady, że to jednak nie projektant. Że molekułę stworzył ktoś inny, dla własnych celów.

– Twój fryzjer – poinformował dom.

Wróciła do środka.

Porphyre czekał, otulony w pastelowy dżersej – coś z paryskiej kolekcji sezonu. Jego twarz, gładka w bezruchu jak polerowany heban, na jej widok rozciągnęła się w zachwyconym uśmiechu.

– Panienska wygląda jak domowej roboty czupiradło – skarcił ją.

Roześmiała się. Porphyre cmoknął, gwizdnął, podszedł bliżej, by z udanym obrzydzeniem musnąć długimi palcami grzywkę Angie.

– Panienska była niegrzeczna. Porphyre mówił przecież, że te prochy są brzydkie.

Przyjrzała mu się. Był bardzo wysoki i – wiedziała – niezwykle silny. Jak chart na sterydach, ktoś kiedyś powiedział. Zdepilowana czaszka prezentowała nieznaną naturze symetrię.

– W porządku? – zapytał swoim drugim głosem. Maniakalne ożywienie zniknęło, jakby ktoś wcisnął wyłącznik.

– Tak, w jak najlepszym.

– Czy to bolało?

– Tak. Bolało.

– A wiesz... – Czubkiem palca dotknął jej brody. – Nikt nie mógł zrozumieć, co ci daje to gówno. Chyba nie odlot...

– Nie o odlot chodziło. To było jak... jak być tam... Tak po prostu, tylko że nie musiałam...

– Tak bardzo tego odczuwać?

– Tak.

Wolno pokiwał głową.

– W takim razie to rzeczywiście paskudztwo.

– Pieprz to – odparła. – Wróciłam.

Znów się uśmiechnął.

– Najpierw umyjemy ci włosy.

– Wczoraj myłam!

– Czym? Nie! Wolę nie wiedzieć.

Popchnął ją na schody.

W biało kafelkowanej łazience wtarł jej coś w skórę głowy.

– Widziałeś ostatnio Robina?

Przepłukał włosy chłodną wodą.

– *Mistah* Lanier jest w Londynie, panienko. *Mistah* Lanier i ja chwilowo ze sobą nie rozmawiamy. Teraz usiądź.

Uniósł oparcie fotela i narzucił jej ręcznik na ramiona.

– Dlaczego nie?

Czekała na ploteczki z Netu, będące drugą specjalnością Porphyre'a.

– Ponieważ – odparł fryzjer ze staranną obojętnością, przeczesując jej włosy grzebieniem – miał do powiedzenia kilka brzydkich rzeczy o Angeli Mitchell, kiedy przebywała na Jamajce, żeby sobie poukładać w swojej ślicznej główce.

Nie tego się spodziewała.

– Naprawdę?

– A może nie, panienko?

Zaczął przycinać jej włosy, używając do tego nożyczek. Były jego profesjonalnym znakiem firmowym. Nigdy nie korzystał z ołówka laserowego. Twierdził, że w życiu go nie dotknął.

– Żartujesz, Porphyre.

– Nie. Nie mówił tego do mnie, ale Porphyre słyszy. Porphyre zawsze słyszy. Odleciał do Londynu następnego ranka po twoim przyjeździe tutaj.

– A co takiego słyszałeś, że powiedział?

– Że zwariowałaś. Na prochach czy bez. Że słyszysz głosy. Że psychole z Netu wiedzą.

Głosy...

– Kto ci o tym mówił?
Spróbowała się obejrzeć.
– Nie ruszaj głową. Spokojnie. – Wrócił do pracy. – Nie mogę powiedzieć. Zaufaj mi.

* * *

Po wyjściu Porphyre'a miała jeszcze parę telefonów: ludzie z ekipy produkcyjnej, którzy chcieli znów ją przywitać.

– Żadnych więcej rozmów – poleciała domowi. – Obejrzę sekwencje Tally na górze.

W głębi lodówki znalazła butelkę corony i zabrała ją do głównej sypialni. Wbudowany w tekową deskę łóżka zestaw stymu został wyposażony w studyjne trody. Nie było ich tutaj, kiedy wyjeżdżała na Jamajkę. Technicy Netu co jakiś czas wymieniali sprzęt w domu. Wypiła łyk piwa, odstawiła butelkę na nocną szafkę i położyła się z trodami na czole.

– Dobra – rzuciła. – Wal.

W ciało Tally, oddech Tally.

Jak zdołałam cię zastąpić? – pomyślała, oszołomiona fizycznością byłej gwiazdy. Czy daję ludziom tę samą rozkosz?

Tally-Angie patrząca przez obrośniętą winoroślą otchłań, będącą również bulwarem; spoglądająca w górę na odwrócony horyzont, prostokąty dalekich kortów tenisowych. „Słońce” Freeside było osiową nitką żaru nad głową.

– Przewiń – poleciała domowi.

W płynnie pracujące mięśnie i szary, rozmazany beton... Tally pedałowala na rowerze na niskograwitacyjnym welodromie...

– Przewiń.

Gładka pościel, dłoń między jej nogami, fioletowy zmierzch za szklaną płytą, odgłos płynącej wody...

– Cofnij. Do restauracji.

Czerwone wino spływające do kieliszka...

– Jeszcze trochę. Zatrzymaj. Tutaj.

Wzrok Tally koncentrował się na opalonym przegubie chłopca, nie na butelce.

– Daj wydruk obrazu – rzuciła, zdejmując trody.

Usiadła i łyknęła piwa, które mieszało się dziwnie z widmowym aromatem zarejestrowanego wina Tally.

Drukarka na dole pisnęła cicho, kiedy skończyła pracę. Angie zmusiła się, żeby wolno schodzić po schodach. Kiedy jednak dotarła do drukarki w kuchni, wydruk ją rozczerował.

– Możesz to wyostrzyć? – zapytała domu. – Chcę odczytać etykietę na butelce.

– Obróbka obrazu – oznajmił dom. – Obracam obiekt docelowy o osiem stopni.

Drukarka zaszumiała, wypluwając nową stronę. Angie dostrzegła swój skarb, zanim maszyna zdążyła zapiszczeć: symbol z jej snu, wypisany brązowym tuszem: T-A.

Mieli własne winnice, pomyślała.

Tessier-Ashpool S.A., czcionką zakręcaną i dumną.

– Mam cię – szepnęła.

Przez rozdarcia w zaklejającej okna czarnej folii Mona widziała słońce. Za bardzo nienawidziła tego lokalu, żeby tu zostawać, kiedy była przytomna i nie na prochach, tak jak teraz.

Cicho wstała z łóżka, skrzywiła się, kiedy postawiła bose stopy na podłodze, odszukała sandały. Było tu brudno; pewnie można by dostać tęcza od samego oparcia się o ścianę. Na samą myśl o tym dostawała dreszczy. Ale Eddy'emu takie rzeczy nie przeszkadzały. Był tak zajęty swoimi planami, że nie zwracał uwagi na otoczenie. I zawsze jakoś potrafił zachować czystość – jak kot. Był kocio czysty, bez najmniejszej drobinki brudu pod wypolerowanymi paznokciami. Prawdopodobnie większość jej zarobków wydawał na swoje ubrania, chociaż nie przysłoby jej nawet do głowy, żeby protestować. Była szesnastoletnia i bezGRZESzna; jeden starszy numer powiedział jej kiedyś, że znał taką piosenkę: „Szesnastoletnia i bezGRZESzna”. To znaczy, że po urodzeniu nie nadano jej Generalnego Numeru Identyfikacyjnego, nie znalazła się w Głównym Rejestrze Zapisów Ewidencyjno-Statystycznych. Dorastała nieujęta przez większość oficjalnych systemów. Wiedziała, że można chyba otrzymać GNI, jeśli ktoś go nie miał. Ale rozsądek podpowiadał, że trzeba w tym celu iść do jakiegoś biurowca i rozmawiać z garniturem, a to bardzo odbiegało od tego, co Mona uznawała za przyjemne zajęcie czy nawet normalne zachowanie.

Opracowała sobie metodę ubierania się na włamie i potrafiła robić to nawet po ciemku. Najpierw wkładała sandały, uprzednio stukając jednym o drugi, żeby wytrząsnąć możliwe robactwo. Potem szła do okna, gdzie na

styropianowym pudle stała rolka starego faksu. Odrywała mniej więcej metr taśmy, jakieś półtora dnia „Asahi Shimbun”, składała i kładła na podłodze. Wtedy mogła na nim stanąć, podnieść plastikowy worek, odkręcić zamykający wylot drut i odszukać potrzebne ubranie. Kiedy zdejmowała sandały, żeby włożyć spodnie, wiedziała, że stanie na świeżym faksie. Wierzyła głęboko, że nic tam nie wbiegnie w tym krótkim czasie, jakiego potrzebowała, żeby wciągnąć spodnie i znowu włożyć sandały.

Potem wkładała koszulę czy coś innego, starannie zamykała worek i wychodziła z lokalu. Makijaż, w miarę potrzeby, załatwiała na korytarzu; obok nieczynnej windy zostało jakieś lustro z przylepionym nad nim biofluorescencyjnym paskiem Fuji.

Dziś rano koło windy śmierdziało moczem, więc postanowiła darować sobie kosmetykę.

W tym budynku nigdy nikogo się nie spotykało, chociaż czasami można było usłyszeć muzykę przez zamknięte drzwi czy kroki tuż za zakretem na końcu korytarza. To zresztą miało sens; Mona też nie miała ochoty poznawać sąsiadów.

Zeszła schodami trzy piętra w dół, w ziejącą ciemność podziemnego garażu. Trzymała w dłoni latarkę; odnalazła drogę sześcioma krótkimi błyskami, które pokierowały ją wokół stęchłych kałuż i zwisających pasm światłowodów, do betonowych stopni i dalej, w zaułek. Tutaj, na tyłach, czuła niekiedy morze, jeśli tylko wiatr wiał w odpowiednią stronę. Ale dzisiaj cuchnęło tylko odpadkami. Nad nią wyrastała ściana przeznaczonego do wyburzenia budynku, gdzie mieszkali na włamie, więc ruszyła szybko, żeby jakiś dupek nie zrzucił na nią butelki albo czegoś gorszego. Kiedy dotarła już do Avenue, zwolniła trochę, ale nie za bardzo. Czuła gotówkę w kieszeni i planowała zakupy. Szkoda, żeby ktoś ją zahaczył akurat teraz, kiedy wyglądało na to, że Eddy wyrwał jakoś bilety na wyjazd z tego miejsca. Na przemian powtarzała sobie, że to już pewne, że praktycznie już ich tu nie ma, i przestrzegała siebie, żeby nie żywić zbyt wielkich nadziei. Znała przecież te pewniaki Eddy'ego. Czy Floryda nie była jednym z nich? Jak to na Florydzie jest ciepło, jakie piękne są plaże, a wszędzie pełno miłych facetów z forszą. Odpowiednie miejsce na krótkie

wakacje, które zdążyły się już rozciągnąć w najdłuższy miesiąc życia Mony. Owszem, na Florydzie było wściekle gorąco, jak w saunie. Jedyne publiczne plaża okazała się brudna, a na płycznach pływały brzuchami do góry śnięte ryby. Zresztą prywatne kawalki mogły wyglądać tak samo, tyle że się ich nie widziało; tylko siatki i strażników w szortach i koszulkach gliniarzy. Eddy'ego podniecała ich broń; każdą sztukę opisywał z nudnymi szczegółami. Sam nie miał pistoletu i – zdaniem Mony – tym lepiej. Czasami nawet nie czuła zdechłych ryb, ponieważ unosił się inny zapach, zapach chloru, od którego piekło podniebienie – jakieś dymy z fabryk na wybrzeżu. A jeśli nawet chodzili tu mili faceci, to byli tylko numerami i nie palili się do płacenia podwójnie.

Jedynym, co jej się podobało na Florydzie, to prochy: łatwe do kupienia, tanie i zwykle niezłej mocy. Czasami wyobrażała sobie, że ten gryzący zapach to miliony narkotycznych laboratoriów gotujących jakiś nieprawdopodobny koktail, wszystkie te molekuły merdające krótkimi ogonkami, stęsknione za swoim przeznaczeniem i ulicą.

Skręciła z Avenue i ruszyła wzdłuż szeregu nielicencjonowanych budek z jedzeniem. Od zapachu zaczęło jej burczeć w brzuchu, ale nie ufała żywności z ulicy... chyba że nie miała innego wyjścia. W centrum handlowym były licencjonowane stragany, gdzie przyjmowali gotówkę. Ktoś grał na trąbce na asfaltowym placu, który był kiedyś parkingiem – ostra kubańska solówka, odbijająca się i zniekształcana betonowymi ścianami, konające nuty zagubione w porannym gwarze targowiska. Uliczny kaznodzieja rozłożył szeroko ramiona, a w powietrzu ponad nim powtórzył ten gest blady i nieostry Jezus. Stał na skrzynce, w której mieścił się zestaw projekcyjny, a na ramionach miał obszarpany nylonowy plecak z dwoma głośnikami sterczącymi jak gładkie chromowane głowy. Kaznodzieja zerknął na Jezusa, zmarszczył brwi i poprawił coś u pasa; Jezus zamigotał, pozieleniał i zniknął. Mona zaśmiała się. W oczach mężczyzny błysnął gniew boży, zadrżał mięsień w przeoranej blizną policzku. Mona skręciła w lewo, między rzędy sprzedawców owoców, którzy na swoich pogiętych metalowych wózkach układali piramidy pomarańczy i grapefruitów.

Weszła do niskiej, wilgotnej hali, gdzie handlowali przedstawiciele pewniejszych interesów: sprzedawcy ryb i porcjowanej żywności, tanich sprzętów domowych... Na niektórych straganach mogła kupić kilkanaście rodzajów gorących dań. W cieniu pod dachem było chłodniej i odrobinę ciszej. Znalazła wschodni bar z sześcioma pustymi stołkami. Zajęła jeden. Chiński kucharz odezwał się do niej po hiszpańsku; zamówiła, wskazując palcem, a on podał jej zupę w plastikowej miseczce. Zapłaciła banknotem o najmniejszym nominale i jako resztę dostała osiem zatłuszczonych kartonowych żetonów. Jeśli Eddy poważnie mówił o wyjeździe, nie będzie mogła ich zużyć; jeśli zostanie na Florydzie, zawsze jakoś zdobędzie trochę zupy. Pokręciła głową. Musi stąd wyjechać... Musi. Pchnęła wytarte żółte krążki po ladzie z malowanej sklejki.

– Zatrzymaj je.

Kucharz zmiotł je natychmiast; twarz miał obojętną i bez wyrazu, w kąciку ust trzymał niebieską plastikową wykałaczkę.

Ze szklanki na ladzie wyjęła pałeczki i wyłowila z zupy makaron. Jakiś garnitur obserwował ją z przejścia, ukryty za garnkami i palnikami kucharza. Garnitur, który próbował wyglądać na kogoś innego, w białej sportowej koszuli i ciemnych okularach. Najbardziej to widać po tym, jak stoją, pomyślała. Ale ten miał też zęby i fryzurę... Tyle że nosił brodę. Udawał, że się rozgląda, jakby przyszedł na zakupy. Ręce wsadził w kieszenie, a wargi rozciągnął w czymś, co pewnie uważał za obojętny uśmiech. Ładny był ten garnitur, o ile mogła coś zobaczyć za brodą i okularami. Ale uśmiech wcale nie był ładny: taki prostokątny... i było widać prawie wszystkie zęby. Zaniepokojona przesunęła się na stołku. Haczenie było legalne, ale tylko w odpowiedni sposób, jeśli miało się chip podatkowy i w ogóle. Nagle poczuła ciężar banknotów w kieszeni. Udała, że studiuje laminowaną licencję sprzedaży żywności, przyklejoną taśmą do kontuaru. Kiedy znowu podniosła głowę, garnitur zniknął.

* * *

Wydała pięćdziesiątkę na ciuchy. Zbadała osiemnaście wieszaków w czterech sklepach, wszystkich w centrum, zanim się wreszcie zdecydowała. Sprzedawcom nie podobało się, że tyle przymierza, ale nigdy jeszcze nie miała tak dużo do wydania. Skończyła w południe; słońce Florydy przypalało chodniki, kiedy szła przez parking z dwiema plastikowymi torbami. Torby, podobnie jak ubrania, były używane; na jednej wydrukowano logo sklepu z butami w Ginza, druga reklamowała argentyńskie krabowe brykiety z rekonstruowanego kryła. W myślach zestawiała i dopasowywała kupioną odzież, układając różne kreacje.

Po drugiej stronie placu kaznodzieja wystartował na pełnej głośności, w pół zdania, jakby rozgrzewał się i doprowadzał do zaplutej furii, a potem nagle uruchomił wzmacniacz. Hologram Jezusa w białej szacie wygrażał gniewnie niebu, targowisku i znowu niebu. Uniesienie, mówił. Nadchodzi uniesienie.

Mona skręciła w pierwszą alejkę – automatyczny odruch unikania wariatów – i znalazła się między wyblakłymi stolikami karcianymi, na których leżały tanie indyjskie zestawy symstymu, używane kasety, kolorowe igły mikrosoftów wbite w klocki jasnoniebieskiego styropianu. Nad jednym ze stolików wisiał portret Angie Mitchell – plakat, jakiego Mona jeszcze nie widziała. Zatrzymała się i wpatrzyła łakomie; najpierw przestudiowała ubranie i makijaż gwiazdy, potem spróbowała rozpoznać otoczenie, miejsce, gdzie wykonano zdjęcie. Podświadomie zmieniła wyraz twarzy, by naśladować Angie na plakacie. Właściwie nie uśmiech... Raczej półuśmiech, może trochę smutny. Mona żywiła do Angie szczególne uczucia. Ponieważ – i czasem jakiś numer jej o tym mówił – była do niej podobna. Jakby były siostrami. Tyle że nos miała – Mona – trochę zadarty, a ona – Angie – nie miała tych piegów sięgających po kości policzkowe. Półuśmiech Mony poszerzał się, gdy patrzyła, chłonęła piękno obrazu, luksus przedstawionego pokoju. To musiał być jakiś zamek i Angie pewnie tam mieszkała, na pewno mieszkała... Z mnóstwem ludzi, którzy się nią zajmowali, czesali włosy i wieszali ubrania... Widziała, że ściany są zbudowane z wielkich gładów, a te lustra mają ramy z czystego złota, rzeźbione w liście i anioły. Napis u dołu wyjaśniał może, gdzie to jest, ale

Mona nie umiała czytać. Wszystko jedno. Na pewno nie było tam żadnych pieprzonych karaluchów. Ani Eddy'ego. Spojrzała na zestawy stymowe i przez moment myślała, czy nie poświęcić reszty pieniędzy. Ale nie wystarczyłoby ich na stym, a i tak te kasety były stare, niektóre nawet starsze od niej. Nagrania... jak jej było... Tally. Była gwiazdą, kiedy Mona miała z dziewięć lat...

* * *

Eddy czekał, kiedy wróciła. Zerwał z okna płachtę. Brzęczały muchy. Eddy leżał na łóżku i palił papierosa, a garnitur z brodą, ten sam, który się jej przyglądał, siedział na pękniętym krześle. Nie zdjął okularów.

* * *

Prior. Powiedział, że tak się nazywa, jak gdyby nie miał imienia. Albo – jak Eddy – nie miał nazwiska. Zresztą ona sama też nie miała, chyba żeby liczyć Lizę, ale to raczej jak mieć dwa imiona.

Na włamie nie potrafiła zrozumieć, o co mu chodzi. Pewnie dlatego, pomyślała, że jest Anglikiem. I nie był tak naprawdę garniturem, nie takim, za jakiego wzięła go na targowisku. Grał w jakąś grę, choć nie było jasne, w jaką. Ciągle się na nią gapił; patrzył, jak pakuje swoje rzeczy do niebieskiej torby Lufthansy, którą jej przyniósł. Ale nie czuła w nim podniecenia, nie miał na nią ochoty. Po prostu obserwował; przyglądał się, jak Eddy pali papierosa, stukał okularami o kolano, słuchał bzdur Eddy'ego i mówił tylko tyle, ile musiał. Kiedy już się odzywał, zwykle było to zabawne, ale trudno było zgadnąć, czy żartuje.

Pakując się, czuła jakby zawrót głowy, jak gdyby strzeliła sobie, ale nie do końca zadziało. Muchy latały przy oknie i stukały o zakurzoną szybę, ale jej to już nie obchodziło. Wyjeżdżała: już jej tu nie było.

Zamknęła torbę.

* * *

Padalo, kiedy dotarli na lotnisko. Deszcz na Florydzie: ciepła woda sikająca znikąd. Nigdy jeszcze nie była na lotnisku, ale znała je ze stymów.

Samochód Priora okazał się białym datsunem z wypożyczalni, który sam się prowadził i przez kwadrofoniczne głośniki puszczał smętną muzykę. Zostawił ich obok bagażu na nagim betonie zatoczki i zniknął w deszczu. Jeśli Prior miał jakąś walizkę, to nie przy sobie; Mona wzięła torbę Lufthansy, a Eddy dwie walizki z klona skóry aligatora.

Obciągnęła nową sukienkę na biodrach i zastanowiła się, czy kupiła odpowiednie buty. Eddy wyraźnie był w swoim żywiole; wbił ręce w kieszenie i pochylił ramiona, by pokazać, że robi coś ważnego.

Przypomniała sobie, jak wyglądał pierwszy raz w Cleveland. Przyszedł do nich obejrzeć skuter, który staruszek miał na sprzedaż – całkiem przerdzewiałą trzykołową skodę. Staruszek hodował zębaczę w betonowych zbiornikach, otaczających klepisko placu. Była w domu, kiedy się zjawił: w wysokim, długim wnętrzu ustawionej na ceglach przyczepy ciężarówki. Z jednej strony były wycięte okna, kwadratowe dziury zasłonięte podrapanym pleksi. Stała przy piecyku, w obłoku zapachu worków cebuli i pomidorów zawieszonych do suszenia. I wtedy go wyczuła po drugiej stronie pokoju: mięśnie i ramiona, jego białe zęby, czarną nylonową czapkę ścisną skromnie w rękach. Promienie słońca wpadały przez okna, oświetlając puste nagie pomieszczenie i podłogę zamiecioną tak, jak kazał jej staruszek. I miała wrażenie, jakby nagle nadleciał cień, cień krwi. Usłyszała bicie własnego serca, a on podszedł bliżej, po drodze rzucając czapkę na stół z płyty wiórowej; już nie skromny, ale pewny siebie, jakby tu mieszkał. Prosto do niej; dłonią z błyszczącym sygnetem przejechał po brylantynowanej czuprynie. Wtedy wszedł staruszek i Mona odwróciła się, udając, że robi coś przy piecyku. Kawy, rzucił staruszek i Mona wyszła, napełniła czajnik z węża zbiornika na dachu, a woda bulgotała przez węglowy filtr. Eddy i staruszek siedzieli przy stole, pili czarną kawę, Eddy wyciągał nogi pod blatem – mocne uda pod wytartym dzinsem. Uśmiechał się, nabierał staruszka, targował

o skodę. Przekonywał, jak to mu się podoba i na pewno ją kupi, jeśli tylko staruszek ma papiery. Staruszek odwrócił się i zaczął grzebać w szufladzie, a Eddy znowu śledził ją wzrokiem. Potem wyszła za nimi na plac i patrzyła, jak siada na pękniętym winylowym siodełku. Strzelił gaźnik, psy staruszka podniosły alarm... Ostry zapach spalin taniego alkoholu i rama dygocząca mu między nogami.

Teraz przyglądała się, jak pozuje obok swoich walizek i trudno jej było zrozumieć, dlaczego następnego dnia odjechała z nim na skodzie. Skuter miał małe radio, niesłyszalne, gdy warczał silnik. Ale grało cicho nocą na polu przy drodze. Tuner był zepsuty, więc odbierali tylko jedną stację, widmową muzykę z jakiejś samotnej wieży w Teksasie; stalowa gitara rozbrzmiewała i cichła aż do świtu, a ona czuła, że jest wilgotna tam, gdzie dotyka jego noga, czuła sztywną trawę łaskoczącą jej kark.

Prior wrzucił jej niebieską torbę do białego wózka z pasiastym dachem; wsiadła za nią, słysząc ciche hiszpańskie głosy dolatujące ze słuchawek kubańskiego kierowcy. Potem Eddy ustawił swoje aligatorowe walizki i wcisnął się razem z Priorem. Przez strumienie deszczu potoczyli się na pas startowy.

Samolot był inny niż te, które znała ze stymów; wewnątrz nie przypominał długiego autobusu z rzędami siedzeń. Był mały i czarny, z ostrymi, wąskimi skrzydłami i oknami, które sprawiały wrażenie, jakby zezował.

Weszła po metalowych stopniach; wewnątrz były cztery fotele i szara wykładzina na wszystkim, na ścianach i na suficie też; wszystko czyste, chłodne i szare. Eddy wsiadł za nią i zajął miejsce jakby robił to codziennie; rozluźnił krawat i wyciągnął nogi. Prior wcisnął jakieś guziki i drzwi zamknęły się z cichym westchnieniem.

Wyjrzała przez wąskie, zalane deszczem okienko, na światła pasa odbite w mokrym betonie.

Przybyłam tu w deszczu, pomyślała. Nowy Jork, potem Atlanta, a potem zmiana.

Samolot zadrżał. Konstrukcja zatrzeszczała, budząc się do życia.

* * *

Dwie godziny później obudziła się na moment w zaciemnionej kabinie, kołysana przez nieustający szum odrzutowca. Eddy spał z uchylonymi ustami. Może Prior spał także, a może tylko przymknął oczy... Nie wiedziała.

W połowie drogi powrotnej w sen, którego rankiem miała już nie pamiętać, usłyszała znowu muzykę tego teksańskiego radia, cichnące dźwięki strun rozciągnięte jak ból.

Jubilee i Bakerloo, Circle i District... Drżąc z zimna, Kumiko oglądała otrzymaną od Petala laminowaną mapkę. Betonowa platforma peronu jakby promieniowała chłodem przez podeszwy butów.

– Jest piekielnie stare – rzuciła obojętnie Sally Shears; jej szkła odbijały wklęsłą ścianę wyłożoną białymi kafelkami.

– Słucham?

– Metro. – Owinęła szyję nowym tartanowym szalikiem; jej oddech zmieniał się w parę. – Wiesz, co mnie martwi? Czasami widzi się, jak na stacjach kładą nowe kafelki, ale przedtem nie zdejmują starych. Albo wybiją dziurę w ścianie, żeby się dostać do jakichś kabli, i widać wtedy wszystkie te warstwy...

– Tak?

– I jest coraz bardziej wąsko, zgadza się? To jak zwapnienie arterii...

– No tak – mruknęła niepewnie Kumiko. – Rozumiem... Ci chłopcy, Sally... Co mają wyrażać ich kostiumy?

– Jacki. Nazywają ich Jacki Dracule.

Czterech Jacków Draculów kulilo się niczym wrony na przeciwległym peronie. Nosili luźne czarne płaszcze przeciwdeszczowe i błyszczące, sznurowane do kolan wojskowe buty. Jeden z nich odwrócił się, żeby powiedzieć coś do drugiego, i Kumiko zobaczyła, że włosy ma ściągnięte do tyłu w warkoczyk i związane małą czarną wstążeczką.

– Powiesili go – wyjaśniła Sally. – Po wojnie.

– Kogo?

– Jacka Draculę. Przez jakiś czas urządzali wtedy publiczne egzekucje. Jacki... lepiej trzymaj się z daleka. Nienawidzą wszystkich cudzoziemców.

Kumiko miała ochotę włączyć Colina, ale Maas-Neotek leżał za marmurowym popiersiem w pokoju, gdzie Petal podawał posiłki. A potem nadjechał pociąg, zdumiewając ją archaicznym stukiem kół na żelaznych szynach.

* * *

Sally Shears na tle plam miejskiej architektury, jej okulary odbijające londyńską mieszaninę, każdy okres definiowany przez gospodarke, przez pożar, przez wojnę.

Kumiko, i tak już oszołomiona przez trzy nagłe i pozornie losowe przesiadki, pozwoliła się ciągnąć przez szereg taksówek. Wyskakiwały z jednej, maszerowały do najbliższego dużego sklepu, potem skręcały w pierwsze dostępne wyjście na inną ulicę i do kolejnej taksówki.

– Harrods – oznajmiła w pewnym momencie Sally, kiedy szły szybko przez ozdobną, wyłożoną kafelkami halę z marmurowymi filarami.

Kumiko, mrugając, obserwowała ciemnoczerwone udźce i szynki wystawione na piętrowych marmurowych ladach. Uznała, że pewnie są z plastiku. Potem znowu na zewnątrz i Sally zatrzymująca następną taksówkę.

- Covent Garden – poleciła szoferowi.
- Przepraszam, Sally, ale co my robimy?
- Gubimy się.

* * *

Sally piła grzaną brandy w maleńkiej kawiarni pod zasypanym śniegiem szklanym dachem pasażu. Kumiko dostała czekoladę.

- Zgubiłyśmy się, Sally?
- Tak. Przynajmniej mam nadzieję.

Dzisiaj wydaje się starsza, pomyślała Kumiko, patrząc na zmarszczki napięcia czy znużenia wokół warg.

– Sally, czym się właściwie zajmujesz? Twój przyjaciel zapytał, czy wciąż jesteś na emeryturze...

– Jestem kobietą interesu.

– A mój ojciec jest biznesmenem?

– Twój ojciec jest człowiekiem interesu, skarbie. Nie, nie takim. Ja jestem wolnym strzelcem. Głównie inwestuję.

– A w co inwestujesz?

– W innych wolnych strzelców. – Wzruszyła ramionami. – Co jesteś dziś taka ciekawa?

Wypiła łyk brandy.

– Radziłaś mi, żebyś szpiegowała dla siebie.

– Dobra rada. Ale to wymaga delikatności.

– Czy mieszkasz tutaj, Sally? W Londynie?

– Podróżuję.

– Czy Swain też jest wolnym strzelcem?

– On tak uważa. Stara się o wpływy, kłania się we właściwym kierunku; to jest potrzebne, jeśli chce robić interesy. Ale mnie to denerwuje.

Wychyliła resztę brandy i oblizała wargi.

Kumiko zadrżała.

– Nie musisz się obawiać Swaina. Yanaka mógłby go zjeść na śniadanie...

– Nie. Przypomniałam sobie tych chłopców w metrze. Tacy chudzi...

– Dracule.

– To gang?

– *Bosozoku* – oświadczyła Sally. Miała poprawną wymowę. – Plemiona wędrownie? W każdym razie są jak plemię. – Nie było to właściwe słowo, ale Kumiko miała wrażenie, że pojmuje rozróżnienie. – Są chudzi, ponieważ są biedni.

Sally machnęła na kelnera, żeby przyniósł następną brandy.

– Sally... – zaczęła Kumiko. – Kiedy tu jechałyśmy, to nasza trasa, te pociągi i taksówki, to było, żeby się upewnić, że nikt nas nie śledzi?

– Nic nie jest pewne.

– Ale kiedy szłyśmy na spotkanie z Tickiem, nie podjęłaś żadnych środków. Ktoś mógłby nas śledzić bez trudu. Zatrudniasz Ticka do szpiegowania Swaina, a jednak nie zachowujesz ostrożności. Przyrowadzasz mnie tutaj i jesteś bardzo ostrożna. Dlaczego?

Kelner postawił przed Sally parujący kieliszek.

– Spostrzegawcza jesteś, małeńka. – Pochyliła się i wciągnęła nosem opary brandy. – To jest jakoś tak, rozumiesz... Z Tickiem może po prostu chciałam zrobić jakąś akcję.

– Ale Tick martwił się, żeby Swain go nie wykrył.

– Swain go nie ruszy, jeśli będzie wiedział, że Tick pracuje dla mnie.

– Dlaczego?

– Bo wie, że mogłabym go zabić. – Podniosła kieliszek. Nagle wydała się szczęśliwsza.

– Zabić Swaina?

– Tak jest. – Napiła się.

– Więc dlaczego dzisiaj byłaś taka ostrożna?

– Bo czasem przyjemnie jest strząsnąć z siebie to wszystko i wyrwać się na wolność. Są szanse, że nam się nie udało. Ale może tak. Może nikt, zupełnie nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Miłe uczucie, prawda? Może masz pluskwę... Myślałaś kiedyś o tym? Może twój ojciec, książkę Yak, wstawił ci mały przekaźnik, żeby wiedzieć, co się dzieje z jego córką. Masz śliczne ząbki; może dentysta tatusia wcisnął tam jakiś hardware, kiedy byłaś pod stymem. Chodzisz do dentysty?

– Tak.

– Używasz wtedy stymu?

– Tak...

– No widzisz. Może słucha nas w tej chwili...

Niewiele brakowało, a Kumiko wylałaby resztkę swojej czekolady.

– Spokojnie... – Malowane paznokcie stuknęły o przegub Kumiko. – Nie przejmuj się tak. Nie wysłałby cię tutaj z pluskwą. Wrogowie za łatwo mogliby cię wyśledzić. Ale rozumiesz teraz, o co mi chodzi? Dobrze jest się wyrwać, a przynajmniej próbować. Na wolność.

– Tak – odparła Kumiko. Serce wciąż biło jej mocno, narastała panika. – On zabił moją matkę – wyrzuciła z siebie, a potem zwymiotowała czekoladę na szarą marmurową posadzkę kawiarni.

* * *

Sally prowadziła ją obok kolumn katedry św. Pawła. Milczała. Kumiko, w chaotycznym transie zawstydzenia, rejestrowała przypadkowe informacje: biały kożuszek jako podpinka skórzanej kurtki Sally, oleistotęczowe lśnienie piór gołębia, kiedy schodził im z drogi, czerwone autobusy niby gigantyczne zabawki w Muzeum Transportu, Sally grzejąca dłonie o styropianowy kubek parującej herbaty.

Zimno... Teraz już zawsze będzie zimno. Lodowata wilgoć pradawnych kości miasta, zimne wody Sumidy, które wypełniły płuca matki, chłodny lot neonowych żurawi.

Matka była drobna i smagła; złociste pasemka w gęstych czarnych włosach przypominały jakieś rzadkie tropikalne drewno. Matka pachniała perfumami i ciepłą skórą. Matka opowiadała jej bajki o elfach, wrózkach i Kopenhadze, mieście za siedmioma morzami. Kiedy Kumiko śniła o elfach, były podobne do sekretarzy ojca: szczupłych, poważnych, w czarnych garniturach i ze zwiniętymi parasolami. W opowieściach matki elfy robiły różne niezwykle rzeczy; te opowieści były magiczne, gdyż zmieniały się z powtarzaniem, i nigdy nie miała pewności, jak bajka skończy się danej nocy. Występowały tam również księżniczki i baleriny, a Kumiko wiedziała, że każda z nich jest w jakiś sposób jej matką.

Księżniczki-baleriny były piękne ale ubogie, tańczyły dla miłości w sercu dalekiego miasta, gdzie podziwiali je artyści i młodzi poeci, przystojni i biedni. Aby wspomóc wiekowych rodziców albo kupić organ dla cierpiącego brata, księżniczka-balerina musiała czasem podróżować bardzo daleko, może nawet do Tokio, i tańczyć dla pieniędzy. Tańczenie dla pieniędzy, sugerowały te opowieści, nie dawało szczęścia.

* * *

Sally zabrała ją do baru robata przy Earl's Court i zmusiła do wypicia szklaneczki sake. W gorącym trunku pływała wędzona płetwa fugu, nadając mu kolor whisky. Zjadły robata z dymiącego rusztu i Kumiko poczuła, że chłód się cofa... Chłód, ale nie odrętwienie. Wystrój baru wzbudzał głębokie poczucie kulturowego zamętu: potrafił jednocześnie wyrażać tradycyjną sztukę japońską i wyglądać jak projekt Cherlesa Rennie Mackintosha.

Dziwna była ta Sally Shears, dziwniejsza od wszystkich gaijin w Londynie. Teraz opowiadała Kumiko historie: historie o ludziach, którzy mieszkali w Japonii, jakiej Kumiko nie znała, historie określające rolę ojca Kumiko w świecie. Świat opisywany przez historie Sally Shears wydawał się równie nierzeczywisty jak baśnie matki, ale Kumiko zaczęła pojmować podstawy i zakres władzy ojca.

– *Kuromaku* – powiedziała Sally. Słowo to oznaczało czarną kurtynę. – To z kabuki, ale określa człowieka, który załatwia, handluje przysługami. Oznacza „za kulisami”. Rozumiesz? To twój ojciec. To również Swain, ale Swain jest *kobunem* twojego starego, a w każdym razie jednym z nich. *Oyabun-kobun*, rodzic-dziecko. To właśnie dlatego Roger jest taki nadziany. I dlatego jesteś teraz tutaj. Roger wiele zawdzięcza swojemu *oyabunowi*. *Giri*, rozumiesz?

– Jest człowiekiem wysokiej rangi.

Sally pokręciła głową.

– Twój staruszek, Kumiko. On jest kimś. Jeśli musiał dla twojego bezpieczeństwa przerzucić cię tutaj, to znaczy, że nadchodzą poważne zmiany.

* * *

– Poszłyście się napić? – zapytał Petal.

W jego okularach odbijała się migotliwie lampa od Tiffany'ego: wyrastające na kredensie drzewko z brązu i witraży. Kumiko miała chęć zerknąć na marmurowe popiersie, za którym ukryła Maas-Neotek, ale zmusiła się, by wyrzucić przez okno na ogród. Śnieg miał kolor nieba nad Londynem.

– Gdzie Swain? – spytała Sally.

– Szef wyszedł – odparł Petal.

Sally podeszła do kredensu i naląła sobie szklaneczkę scotcha. Kumiko zauważyła, że Petal skrzywił się, gdy karafka ciężko stuknęła o gładkie drewno.

– Zostawił jakieś wiadomości?

– Nie.

– Spodziewasz się go jeszcze dzisiaj?

– Naprawdę trudno powiedzieć. Zjecie kolację?

– Nie.

– Zjadłabym kanapkę – wtrąciła Kumiko.

* * *

Piętnaście minut później, odłożywszy nietkniętą kanapkę na czarny marmurowy blat nocnej szafki, usiadła pośrodku wielkiego łóżka, z Maas-Neotekiem pomiędzy bosymi stopami. Zostawiła Sally pijącą whisky Swaina i zapatrzoną w szary ogród.

Ujęła aparat i Colin zogniskował się u stóp łóżka.

– Nikt mnie nie słyszy – oznajmił pośpiesznie, kładąc palec na wargach.

– I bardzo dobrze. Pokój jest na podsłuchu.

Kumiko otworzyła usta, by odpowiedzieć, potem kiwnęła głową.

– Dobrze – pochwalił ją. – Sprytna dziewczynka. Mam dla ciebie dwie rozmowy. Jedna między twoim gospodarzem a jego zarządcą, druga między gospodarzem i Sally. Tę pierwszą nagrałem piętnaście minut po tym, jak schowałaś mnie na dole. Słuchaj...

Kumiko zamknęła oczy i usłyszała brzęk lodu w szklaneczce whisky.

– Gdzie nasza mała Japonka? – zapytał Swain.

– Położyła się już – odpowiedział Petal. – Ona mówi do siebie. Taka jednostronna rozmowa. Dziwaczne.

– O czym?

– Właściwie prawie o niczym. Wiesz, niektórzy ludzie to mają...

– Co?

– Mówią do siebie. Chcesz posłuchać?

– Jezus, nie. A gdzie nasza rozkoszna panna Shears?

– Ma wychodne.

– Następnym razem wezwij Berniego. Niech sprawdzi, co robi na tych swoich spacerach.

– Bernie... – Petal parsknął śmiechem. – Wróciliby w pieprzonej trumnie! Teraz Swain się roześmiał.

– To by było nawet niezłe... Bernard z głowy, a żądza naszej słynnej brzytwy nasycona... Nalej jeszcze po jednym.

– Beze mnie. Idę do łóżka, chyba że jestem ci jeszcze potrzebny...

– Nie – mruknął Swain.

– Zatem – stwierdził Colin, kiedy tylko Kumiko otworzyła oczy i zobaczyła go, wciąż siedzącego na łóżku – w twoim pokoju znajduje się uruchamiana głosem pluskwa; zarządca przesłuchał zapis i usłyszał, jak do mnie mówisz. Nasze drugie nagranie jest bardziej interesujące. Twój gospodarz siedzi tam z drugą whisky, wchodzi nasza Sally...

– Dobry wieczór – usłyszała głos Swaina. – Wyszłaś zaczerpnąć świeżego powietrza?

– Odpieprz się.

– Zdajesz sobie sprawę, że to nie był mój pomysł. Staraj się o tym nie zapominać. I zdajesz sobie sprawę, że mnie też trzymają za jaja.

– Wiesz, Roger, czasem mam ochotę ci uwierzyć.

– Spóbuj. To wiele ułatwi.

– A kiedy indziej mam ochotę podciąć ci to pieprzone gardło.

– Twój problem, moja droga, polega na tym, że nie nauczyłaś się przekazywać odpowiedzialności. Wciąż chciałabyś wszystko robić osobiście.

– Posłuchaj, dupku! Wiem, skąd jesteś i wiem, jak dotarłeś tutaj, i nie obchodzi mnie, jak głęboko lizałeś dupę Yanace czy komukolwiek innemu.
Sarakin!

Kumiko nie słyszała jeszcze takiego słowa.

– Znowu się odezwali – oznajmił Swain spokojnym, obojętnym głosem.
– Ona wciąż jest na wybrzeżu, ale wygląda na to, że niedługo się ruszy. Prawdopodobnie na wschód. Do twojej dawnej rezydencji. Nic lepszego chyba nie wymyślimy. Ten dom jest nieosiągalny. Mają tam tylu prywatnych ochroniarzy, że powstrzymaliby sporą armię.

– Wciąż usiłujesz mnie przekonać, że to zwykłe porwanie, Roger? Próbujesz mi wmówić, że będą ją trzymać dla okupu?

– Nie. Nie było mowy o odsprzedaniu jej z powrotem.

– To dlaczego nie wynajmą tej armii? Nie ma powodu, żeby zatrzymali się na zaledwie sporej, prawda? Ściągnij najemników. Chłopców od ekstrakcji korporacyjnych. Ona nie jest aż tak trudnym celem, nie gorszym niż jakiś naukowiec z topu. Weź do tego pieprzonych zawodowców...

– Chyba setny raz ci powtarzam, że nie tego chcą. Chcą ciebie.

– Roger, a co właściwie mają na ciebie, co? I czy naprawdę nie wiesz, co mają na mnie?

– Nie. Nie wiem. Ale na podstawie tego, co zebrali na mnie, mogę spróbować odgadnąć.

– Tak?

– Wszystko.

Milczenie.

– Jest jeszcze pewien drobiazg – powiedział. – Pojawił się dzisiaj. Chcą, żeby to wyglądało, jakby została skasowana.

– Co?

– Chcą, żeby to wyglądało, jakbyśmy ją zabili.

– A jak niby mamy to załatwić?

– Dostarczą ciało.

– Przyjmuje – odezwał się Colin – że wyszła z pokoju bez słowa. To był koniec.

Godzinę spędził na sprawdzaniu łożysk piły, potem przesmarował je ponownie. Robiło się już za zimno, żeby pracować. Będzie musiał podjąć decyzję i zacząć ogrzewać salę, gdzie trzymał pozostałych: Śledczych, Trupożercę i Wiedźmę. Samo to wystarczyłoby do naruszenia ustalonej z Gentrym równowagi, ale bladło wobec problemu wyjaśnienia umowy z Kidem Afriką i obecnością w Fabryce dwojga obcych. Nie sposób się kłócić z Gentrym – jego był prąd, bo to on go odciągał z Agencji Energii. Bez comiesięcznych wejść Gentry'ego przez konsolę, bez rytualnych ruchów, którymi przekonywał Agencję, że Fabryka znajduje się całkiem gdzie indziej, w jakimś miejscu, które płaci rachunek, w ogóle nie mieliby elektryczności.

A Gentry i tak był dziwny, pomyślał, czując, jak przy wstawaniu trzeszcza mu kolana. Z kieszeni kurtki wyjął panel sterowania Sędziego. Gentry był przekonany, że cyberprzestrzeń ma Kształt, całkowitą formę ogólną. Nie był to najbardziej zwariowany pomysł, z jakim Ślizg spotkał się w życiu, Gentry jednak żywił obsesyjne przekonanie, że Kształt ma znaczenie totalne. Odkrycie tego Kształtu stało się jego graalem.

Ślizg przestymował kiedyś sekwencję Netu/Nauki na temat kształtu wszechświata. Sądził, że wszechświat jest wszystkim, co istnieje, więc jak może mieć jakikolwiek kształt? Gdyby miał, to musiałoby istnieć coś wokół niego, żeby był ukształtowany w tym czymś. A jeśli to było czymś, to przecież było też częścią wszechświata... To były właśnie tematy, o jakich nie należało z Gentrym rozmawiać, ponieważ potrafił człowiekowi zawiązać mózg na supeł. A zresztą Ślizg nie uważał, żeby cyberprzestrzeń

przypominała jakoś wszechświat. Była po prostu metodą przedstawiania danych. Agencja Energii Atomowej zawsze wyglądała jak wielka czerwona piramida Azteków, ale przecież wcale nie musiała; gdyby zechcieli, mogliby wyglądać jak cokolwiek. Wielkie firmy zastrzegały swój wygląd. Zatem skąd pomysł, że cała matryca ma jakiś konkretny kształt? A gdyby nawet, czemu ma z tego coś wynikać?

Wcisnął klawisz zasilania na panelu. Dziesięć metrów dalej Sędzia zaszumiał i drgnął.

Ślizg Henry nienawidził Sędziego. Tego właśnie spece od sztuki nie potrafili zrozumieć. Co nie oznacza, że nie sprawiała mu przyjemności budowa tego stwora, wypuszczenie go tam, gdzie mógł go widzieć i pilnować, a w końcu tak jakby się od niego uwolnić. Ale to przecież nie to samo co lubić.

Wysoki prawie na cztery metry, w ramionach szeroki na dwa i bezgłowy Sędzia dygotał pod swoją połataną skorupą koloru rdzy, ale rdzy szczególnej, jak uchwyty starej taczki, wygładzone tarciem tysięcy dłoni. Ślizg znalazł sposób, żeby uzyskać taką powierzchnię z pomocą chemikaliów i materiałów ściernych; wykorzystał ją na większej części powłoki Sędziego. W każdym razie na starych częściach, które wyciągnął ze złomu; nie na zimnych zębach pił tarczowych ani lustrzanych powłokach stawów, ale cała reszta Sędziego miała właśnie taki kolor, takie wykończenie – jak bardzo stare narzędzie, wciąż jeszcze codziennie używane.

Pchnął kciukiem joystick i Sędzia postąpił krok do przodu. Potem drugi. Żyra działały doskonale; nawet pozbawiony ramienia, stwór poruszał się ze straszliwą godnością i stawiał stopy dokładnie jak należy.

Ślizg uśmiechnął się w półmroku Fabryki. Sędzia człapał ku niemu, raz-dwa raz-dwa. Gdyby Ślizg zechciał, mógłby sobie przypomnieć każdy etap jego konstrukcji. I czasami sobie przypominał, tylko po to, by wiedzieć, że potrafi.

Właśnie dlatego zbudował Sędziego. Zrobił coś... nic wielkiego, ale złapano go na tym, dwa razy... został osądzony i skazany, a wyrok wykonano. Potem nie potrafił zapamiętać niczego, nie dłużej niż pięć

minut na raz. Kradł samochody. Kradł samochody bogatych ludzi. Dopilnowali, żeby pamiętał, co robił.

Sterując joystickiem, kazał się Sędziemu odwrócić i przeprowadził go do sąsiedniego pomieszczenia, przejściami między poplamionymi wilgocią betonowymi podestami, na których kiedyś stały obrabiarki i spawarki. Wysoko w górze, w mroku między zakurzonymi belkami, wisiały martwe systemy fluorescencyjne, gdzie czasem gnieździły się ptaki.

Korsakow... Tak to nazywali. Robili z neuronami coś takiego, że wspomnienia krótkoterminowe nie mogły się utrzymać. Czas, który odsiedział, był czasem straconym; słyszał, że nie dają już takich wyroków, w każdym razie nie za kradzież samochodów. Ludzie, którzy nie siedzieli, myślą, że to nic takiego: jak więzienie, tylko potem wszystko się kasuje. Ale to nie tak. Kiedy już wyszedł, kiedy wszystko się skończyło, trzy lata rozciągały się nanizane na długi, migotliwy łańcuch lęku i zagubienia, mierzone pięciominutowymi przedziałami... I nie te przedziały pamiętał najwyraźniej, a raczej przeskoki... Kiedy się to skończyło, musiał zbudować Wiedźmę, Trupożercę, potem Śledczych i wreszcie – teraz – Sędziego.

Prowadząc Sędziego po betonowej rampie do hali, gdzie czekała reszta, usłyszał warkot motoru Gentry'ego w Psiej Samotni.

Ludzie budzili w Gentrym niepokój, ale zasada ta działała w obie strony. Obcy wyczuwali Kształt płonący za powiekami Gentry'ego; jego obsesja objawiała się we wszystkim, co robił. Ślizg nie miał pojęcia, jak sobie radził podczas tych wypraw do Ciągu; może spotykał się tylko z ludźmi tak samo opętanymi, samotnikami na obrzeżach rynków narkotyków i oprogramowania. Zdawało się, że seks zupełnie go nie obchodzi – do tego stopnia, że Ślizg nie miał pojęcia, czego Gentry by chciał, gdyby się zainteresował.

Seks był główną wadą Samotni, przynajmniej jeśli chodzi o Ślizga. Zwłaszcza zimą. Latem udawało mu się czasem znaleźć dziewczynę w jednym z tych zardzewiałych miasteczek dookoła; z tego właśnie powodu trafił wtedy do Atlantic City i zaciągnął dług u Kida. Ostatnio powtarzał sobie, że najlepszym rozwiązaniem jest skupić się na robocie, ale wspinając się po rozdygotanych stopniach na pomost prowadzący do

lokalu Gentry'ego, zaczął się zastanawiać, jak wygląda Cherry Chesterfield pod tymi wszystkimi kurtkami. Myślał o jej dłoniach, czystych i szybkich, lecz to przywoływało tylko obraz nieprzytomnej twarzy człowieka na noszach i rurki podającej coś do jego lewego nozdrza, Cherry ocierającej ligniną jego zapadłe policzki. Skrzywił się.

– Hej, Gentry! – ryknął w żelazną pustkę Fabryki. – Idę...

* * *

Trzy rzeczy w Gentrym nie były ostre, wąskie i twarde: jego oczy, wargi i włosy. Oczy miał duże, zależnie od oświetlenia szare albo niebieskie, wargi pełne i ruchliwe, włosy zaczesane w nierówny czub, który kołysał się przy każdym kroku. Chudość Gentry'ego nie była wychudzeniem Ptaśka, zrodzonym z marnej diety i zszarpanych nerwów; Gentry był po prostu szczupły, umięśniony, bez śladu tłuszczu. Ciuchy nosił ostre i obcisłe, czarna skóra wyszywana czarnymi paciorkami – styl, jaki Ślizg zapamiętał z czasów Deacon Blues. Paciorki, podobnie jak cała reszta, wywoływały wrażenie, że Gentry ma koło trzydziestki. Ślizg sam miał koło trzydziestki.

Gentry przyjrzał mu się, gdy Ślizg przez drzwi wszedł w blask dziesięciu stuwatowych żarówek. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że Ślizg jest jeszcze jedną przeszkodą pomiędzy nim a Kształtem. Odkładał właśnie na długi stalowy blat parę motocyklowych bagażników; wyglądały na ciężkie.

Ślizg wyciął płyty dachu, zainstalował gdzie trzeba rozpory, a dziury okrył arkuszami sztywnego plastiku. Powstałe w ten sposób świetliki uszczelniał silikonem. Potem wszedł tu Gentry w masce, z rozpylaczem i stu litrami białej lateksowej farby. Nie odkurzał niczego ani nie czyścił; położył tylko grubą warstwę na śmiecie i zaschnięte gołębie odchody – tak jakby przykleił to, a później malował, aż stało się mniej więcej białe. Zamalował wszystko oprócz świetlików. Ślizg zaczął wciągać tu sprzęt z parteru Fabryki. Wystarczyłoby go na małą ciężarówkę: komputery, deki cyberprzestrzeni, stary i wielki stół holoprojekcyjny, który niemal złamał wyciągarkę, generatory efektów, dziesiątki pudeł z wytłaczanego plastiku, wypełnione tysiącami fisz, jakie Gentry zgromadził w trakcie swych

poszukiwań Kształtu, setki metrów światłowodów na jaskrawych, nowych szpulach, które krzyczały do Ślizga o kradzieży przemysłowej. I książki, dawne książki w okładkach z materiału naklejonego na kartonie. Ślizg nie zdawał sobie sprawy, jak ciężkie są książki. A stare pachniały smutno.

– Ciągniesz parę amperów więcej niż kiedy wyjeżdżałem – stwierdził Gentry, otwierając pierwszy bagażnik. – W twoim pokoju. Masz nowy grzejnik?

Zaczął pośpiesznie przeszukiwać jego zawartość, jak gdyby chciał znaleźć coś, czego potrzebował, ale gdzieś mu zginęło. Wcale nie potrzebował – Ślizg wiedział to dobrze. Chodziło o to, że ktoś – nawet ktoś, kogo znał – pojawił się w jego przestrzeni.

– Tak. I muszę ogrzać jeszcze magazyn. Inaczej będzie za zimno na pracę.

– Nie. – Gentry podniósł nagle głowę. – To nie grzejnik w twoim pokoju. Moc nie pasuje.

– Tak.

Ślizg uśmiechnął się, według teorii, że dzięki temu uśmiechowi Gentry weźmie go za durnia, którego łatwo zastraszyć.

– Co tak, Ślizgu Henry?

– To nie jest grzejnik.

Gentry zatrzasnął klapę bagażnika.

– Powiesz mi, co to jest, albo odetnę ci zasilanie.

– Wiesz, Gentry, że gdyby mnie tu nie było, traciłbyś więcej czasu na... różne rzeczy. – Ślizg uniósł brwi i znacząco zerknął na wielki stół projekcyjny. – Rzecz w tym, że jest tu ze mną dwoje ludzi... – Widział, jak Gentry sztywnieje, jak rozszerzają się jasne oczy. – Ale nie zobaczysz ich ani nie usłyszysz, nic...

– Nie – zgodził się Gentry, wymijając koniec stołu. Głos miał surowy. – Ponieważ ty ich stąd wyrzucisz, prawda?

– Maks dwa tygodnie, Gentry.

– Wynocha. Natychmiast. – Twarz Gentry'ego zbliżyła się na kilkanaście centymetrów i Ślizg poczuł nieświeży oddech zmęczenia. – Albo polecisz razem z nimi.

Ślizg był cięższy od Gentry'ego o dziesięć kilo, w większości mięśni, ale to nigdy w Gentrym nie budziło lęku. Co z kolei samo w sobie budziło lęk. Gentry przyłożył mu kiedyś, mocno, w twarz, a Ślizg spojrział na trzymany w ręku ciężki klucz ze stali chromowo-molibdenowej i poczuł się dziwnie zakłopotany.

Gentry zeszywniał cały i zaczął się trząść. Ślizg domyślał się, że nie sypiał, kiedy wyjeżdżał do Bostonu czy Nowego Jorku. Zresztą w Fabryce też nie zawsze się wysypiał. Wracał spięty, a pierwszy dzień zawsze był najgorszy.

– Popatrz – powiedział Ślizg tak, jak można by przemawiać do dziecka bliskiego płaczu.

Wyjął z kieszeni torebkę, łapówkę od Kida Afriki, i pokazał Gentry'emu opakowane w przezroczysty plastik niebieskie dermy, różowe tabletki, owiniętą czerwonym celofanem paskudną bryłę opium, kryształ magi niby duże żółte cukierki, plastikowe inhalatory z wyskrobanym nożem znakiem japońskiego producenta...

– To Afrika – wyjaśnił, machając torebką.

– Afryka? – Gentry spojrział na torebkę, na Ślizga, znowu na torebkę. – To z Afryki?

– Kid Afrika. Nie znasz go. Zostawił to dla ciebie.

– Dlaczego?

– Bo chciał, żebym przez jakiś czas przechował tu dwójkę jego kumpli. Jestem mu winien przysługę, Gentry. Wy tłumaczyłem mu, że nie lubisz tu obcych. Że cię denerwują. I wtedy – skłamał – powiedział, że chciałby zostawić ci jakiś drobiazg. Jako rekompensatę za kłopoty.

Gentry wziął torebkę, przesunął palcem wzdłuż szwu i otworzył. Wyjął opium i oddał je Ślizgowi.

– To się nie przyda.

Wziął niebieską dermę, odkleił zabezpieczenie i starannie wygładził ją na wewnętrznej stronie prawego nadgarstka. Ślizg z roztargnieniem ugniatał opium między kciukiem i palcem wskazującym; celofan trzeszczał cicho. Gentry okrążył stół i otworzył motocyklowy bagażnik. Ze środka wyjął nową parę czarnych skórzanych rękawic.

– Myślę, że powinienem... poznać tych twoich gości, Ślizg.
– Co? – Ślizg mrugnął, oszołomiony. – Pewno... Ale nie ma potrzeby, poważnie, nie chciałbym ci...
– Nie. – Gentry postawił kołnierz. – Nalegam.
Schodząc po stopniach, Ślizg przypomniał sobie o opium i cisnął je przez poręcz, w ciemność.
Nienawidził prochów.

* * *

– Cherry?
Czuł się głupio, kiedy przy Gentrym musiał stukać do własnych drzwi. Bez rezultatu. Otworzył je: przyciemnione światło. Zauważył, że na jedną z żarówek zrobiła abażur, stożek żółtego faksu przymocowany skręconym drutem. Dwie pozostałe wykręciła. Nie było jej.
Nosze stały na miejscu, a ich pasażer leżał otulony niebieskim nylonowym śpiworem. To go zżera, pomyślał Ślizg, patrząc na nadbudowę aparatury medycznej, rurki, worki z płynem... Nie, powiedział sobie, to utrzymuje go przy życiu, jak w szpitalu. Ale wrażenie pozostało: a jeśli to go pochłania, wysysa do sucha? Przypomniał sobie gadanie Ptaśka o wampirach.
– No tak... – Gentry wyminął go i stanął nad nieprzytomnym. – Dziwne masz towarzystwo, Ślizgu Henry.
Obszedł nosze dookoła, ostrożnie zachowując metrowy dystans między własnymi kostkami a nieruchomą postacią.
– Gentry, jesteś pewien, że nie masz ochoty wrócić na górę? Ta derma chyba... Może dałeś sobie za dużo.
– Naprawdę? – Gentry przechylił głowę. Oczy błyszczały mu w żółtym świetle. Mrugnął. – A dlaczego tak sądzisz?
– No wiesz... – Ślizg się zawahał. – Nie jesteś taki jak zawsze. To znaczy taki jak przedtem.
– Sądzisz, że przeżywam wahnięcie nastroju?
– Tak.

– Ciesz się, to wahnięcie nastroju.

– Nie zauważyłam, żebyś się uśmiechał – odezwała się Cherry, stając w drzwiach.

– Cherry, to jest Gentry. Fabryka tak jakby należy do niego. Cherry pochodzi z Cleveland...

Ale Gentry miał już w ręku wąską czarną latarkę; badał siatkę trod, pokrywającą czoło śpiącego. Wyprostował się; promień odszukał bezkształtny, nieoznakowany blok, potem przesunął się w dół, wzdłuż grubego czarnego kabla, do trod.

– Cleveland... – powtórzył po chwili, jakby była to nazwa, którą poznał we śnie. – To ciekawe... – Znowu uniósł latarkę, by obejrzeć miejsce, gdzie kabel wnikał do aparatu. – Cherry... Powiedz mi, Cherry, kim on jest?

Promień oświetlił wychudzoną, irytująco zwyczajną twarz.

– Nie wiem – odparła. – Przestań mu świecić w oczy. Możesz zakłócić REM albo co...

– A to? – Oświetlił płaski szary układ.

– Kid mówił na to LF. Jego nazywał Grafem, a to nazywał LF. – Wsunęła dłoń pod kurtki i podrapała się.

– A zatem... – Gentry odwrócił się; światło zgasło z pstryknięciem, blask obsesji płonął jasno w jego oczach, tak potężnie wzmocniony dermą Kida Afriki, że Śliz miał wrażenie, że Kształt był właśnie tam, jarzył się przez czoło, widoczny dla wszystkich oprócz samego Gentry'ego. – Zatem to musi być właśnie to...

Mona zbudziła się, kiedy już lądowali.

Prior słuchał Eddy'ego, kiwał głową i błyskał tym swoim prostokątnym uśmiechem. Zupełnie jakby uśmiech zawsze tam był, ukryty za brodą. Ale przebrał się, więc musiał mieć w samolocie jakieś rzeczy. Teraz nosił gładki szary garnitur i krawat w ukośne paski. Jak te numery, z którymi umawiał ją Eddy w Cleveland, tyle że garnitur leżał na nim inaczej.

Widziała kiedyś, jak numer przymierza garnitur – facet, który zabrał ją do Holiday Inn. Sklep był w holu, a numer stał w samej bieliźnie, porysowany krzyżującymi się liniami niebieskiego światła, i oglądał siebie na trzech wielkich ekranach. Nie było tam widać niebieskich linii, bo na każdym obrazie miał na sobie inny garnitur. A Mona musiała przygryzać język, żeby nie wybuchnąć śmiechem, ponieważ system miał jakiś program kosmetyczny i trochę zmieniał wizerunek na ekranach, wydłużał twarz i dorabiał mocniejszy podbródek, a facet jakby tego nie zauważał. W końcu wybrał garnitur, włożył ten, w którym przyszedł, i po wszystkim.

Eddy tłumaczył coś Priorowi, jakiś kluczowy punkt architektury któregoś ze swoich przekrętów. Potrafiła już wyciszyć treść, ale ton wciąż do niej docierał. Jakby sądził, że ludzie nie zdołają pojąć, na czym polega sztuczka, z której był tak dumny, więc mówił powoli i spokojnie, jak do dziecka; i cichym głosem, żeby wydać się cierpliwym. Jakoś nie przeszkadzało to Priorowi; co prawda, Mona miała wrażenie, że Priora guzik obchodzi, co gada Eddy.

Ziewnęła, przeciągnęła się, a samolot uderzył dwa razy o betonowy pas, ryknął i zaczął zwalniać. Eddy nawet nie przerwał.

- Samochód na nas czeka – wtrącił Prior.
- I dokąd nas zabierze? – spytała Mona, nie zważając na gniewną zmarszczkę na czole Eddy’ego.
- Prior zademonstrował jej swój uśmiech.
- Do hotelu. – Odpiął pas bezpieczeństwa. – Zamieszkamy tam przez kilka dni. Obawiam się, że większość z nich będziesz musiała spędzić w swoim pokoju.
- Taka była umowa – dodał Eddy, jakby to on wpadł na pomysł, żeby nie wychodziła.
- Lubisz stymy, Mona? – zapytał Prior, wciąż uśmiechnięty.
- Jasne – odparła. – Kto nie lubi?
- A masz jakiś ulubiony, Mona? Ulubioną gwiazdę?
- Angie – burknęła, czymś poirytowana. – Kogo by innego?
- Uśmiech poszerzył się nieco.
- To dobrze. Ściągniemy ci jej najnowsze taśmy.

* * *

Wszechświat Mony składał się w znacznej części z przedmiotów i miejsc, które znała, ale nigdy fizycznie nie widziała ani nie odwiedziła. W stymach centrum północnego Ciągu nie śmierdziało. Pewnie to wycinali, domyślała się; tak samo Angie nigdy nie bolała głowa ani nie miała okresu. Ale Ciąg śmierdział. Jak Cleveland, a nawet gorzej. Z początku myślała, że to zapach lotniska, ale okazał się jeszcze silniejszy, kiedy wysiedli z samochodu przed hotelem. W dodatku na ulicy było zimno jak diabli, a wiatr kąsał jej nagie łydki.

Hotel był większy niż Holiday Inn, ale i starszy. W holu panował większy tłok niż w stymowych holach i leżało sporo czystego niebieskiego dywanu. Prior kazał jej czekać przy afiszu jakiegoś orbitalnego kurortu, a on z Eddym podeszli do długiego czarnego kontuaru i zaczęli rozmawiać z kobietą noszącą mosiężny identyfikator. Mona czuła się głupio, stojąc tak w białym plastikowym płaszczu przeciwdeszczowym, który Prior kazał jej włożyć, jak gdyby uznał, że jej ubiór nie jest dostatecznie elegancki. Mniej

więcej trzecią część ludzi w holu stanowili Japończycy, których wzięła za turystów. Chyba wszyscy mieli jakiś sprzęt rejestrujący: wideo, holo, niektórzy zestawy stymowe na paskach... Ale poza tym nie wyglądali na takich, co mają dużo forsy. Pomyślała, że przecież powinni mieć. Może są sprytni i nie chcą tego okazywać, uznała.

Zauważyła, że Prior kładzie na kontuarze chip kredytowy, a kobieta z identyfikatorem podnosi go i przesuwa wzdłuż metalowej szczeliny.

* * *

Prior położył jej torbę na łóżku, szerokim bloku beżowej pianki. Dotknął panelu i rozsunała się kotara na całą ścianę.

– Nie jest to Ritz – powiedział. – Ale postaramy się, żeby ci było wygodnie.

Mona mruknęła coś niewyraźnie. Ritz był barem z hamburgerami w Cleveland i nie rozumiała, jaki może mieć związek z tym wszystkim.

– Patrz – dodał Prior. – Twoja ulubienica.

Stał przy głowie łóżka. Miało wbudowany stym, a na małej półce leżały trody w plastikowym opakowaniu i jakieś pięć kaset.

– Same nowe stymy Angie.

Zastanowiła się, kto tu przyniósł te kasety i czy zrobili to, kiedy Prior już ją zapytał, co lubi najbardziej. Pokazała mu własny uśmiech i podeszła do okna. Ciąg wyglądał tak jak w stymach; okno było jak holograficzna pocztówka ze słynnymi budynkami, których nazw nie знаła, ale wiedziała, że są słynne.

Szare kopuły geodezyjne pobielone śniegiem, za nimi szarość nieba.

– Zadowolona jesteś, dziecinko? – spytał Eddy. Podeszedł do niej od tyłu i położył jej dłonie na ramionach.

– Mają tu prysznic?

Prior roześmiał się. Wzruszyła ramionami, zrzucając dłonie Eddy'ego, i wyniosła torbę do łazienki. Zamknęła drzwi na zamek. Usłyszała, jak Prior śmieje się znowu, a Eddy zaczyna tę swoją gadkę. Usiadła na muszli, otworzyła torbę i wyjęła kosmetyczkę, w której trzymała swój mag. Zostały

jej jeszcze cztery kryształ. To chyba dosyć; trzy wystarczały, ale kiedy miała już tylko dwa, rozglądała się za handlarzem. Nieczęsto brała dopalacze, w każdym razie nie codziennie... Co prawda, ostatnio zaczęła, ale to dlatego, że Floryda doprowadzała ją do obłędu...

Teraz będzie się ograniczać, postanowiła, wytrząsając z fiolki jeden kryształ. Przypominał twardy żółty cukierek; trzeba było go rozkruszyć, a potem rozdrobnić między dwiema płytkami. Wydzielał wtedy taki szpitalny zapach.

* * *

Nie było ich już, kiedy wyszła spod prysznic. Stała pod nim, dopóki się jej nie znudziło, a trwało to długo. Na Florydzie zwykle używali pryszniców na publicznych basenach albo na stacjach autobusowych – takich, gdzie się wrzucało żetony. Domyślała się, że tutaj było podłączone coś, co odmierzało litry i doliczało je do rachunku; tak działały łazienki w Holiday Inn. Nad plastikowym sitkiem wisiał duży biały filtr, a na kafelkach przyczepili tabliczkę z okiem i łezką, co znaczyło, że można się spokojnie kąpać, ale trzeba uważać, żeby woda nie dostała się do oczu, jak woda w basenie. W ścianie tkwiły chromowane rurki, a kiedy się przycisnęło guzik pod którąś z nich, płynął szampon, balsam, mydło w płynie i olejek kąpielowy. Zapalała się też czerwona kropka obok guzika, ponieważ wszystko to doliczali do rachunku. Rachunku Piora. Ucieszyła się, że sobie poszli, bo lubiła być sama, czysta i na haju. Nieczęsto bywała sama, chyba że na ulicy, ale to nie to samo. Podeszła do okna, zostawiając na beżowym dywanie mokre ślady stóp. Owinęła się ręcznikiem, dopasowanym kolorem do łóżka i wykładziny; w szorstkiej części miał wygolone jakieś słowo, pewnie nazwę hotelu.

Przecznicę dalej wznosiła się piramida staromodnego budynku. Zwęzający się szczyt wyrzeźbiono tak, żeby przypominał górę z kamieniami, trawą i wodospadem, który opadał, uderzał o kamienie i opadał niżej. Uśmiechnęła się, myśląc, po co ktoś robił sobie tyle kłopotu. Smugi pary unosiły się z miejsca, gdzie woda uderzała o podłoże. Nie może

po prostu wylewać się na ulicę, pomyślała. Za dużo by to kosztowało. Pewnie pompują ją z powrotem na górę i używają jeszcze raz, i tak w kółko.

Coś szarego poruszyło tam głową i uniosło zakręcone rogi, jakby się jej przyglądało. Cofnęła się o krok i zamrugowała niepewnie. Rodzaj owcy... ale pewnie zdalnie sterowany, hologram albo co... Zwierzę potrząsnęło łbem i zaczęło skubać trawę. Mona wybuchnęła śmiechem.

Czuła maga w mięśniach łydek i pleców: chłodny dreszcz. I szpitalny posmak w gardle.

Przedtem była przestraszona, ale teraz już nie.

Prior miał nieprzyjemny uśmiech, ale był po prostu graczem, szurniętym garniturem. Miał pieniądze, należały jednak do kogoś innego.

Eddy też już nie budził w niej lęku; miała niemal uczucie, jakby przedtem bała się o niego, bo widziała, za kogo biorą go inni.

Zresztą, pomyślała, to teraz nieważne. Nie hoduje już ryb w Cleveland i nikt jej nie zmusi do powrotu na Florydę.

Przypomniała sobie spirytusowy palnik, lodowate zimowe poranki i staruszka otulonego luźnym szarym płaszczem. Na zimę mocował drugą warstwę plastiku na oknach. Palnik wystarczał wtedy, żeby ogrzać pomieszczenie, bo ściany pokrywały płyty twardego styropianu, a na nich położono paździerzowe. Tam, gdzie wystawał styropian, dało się go wydłubywać palcem i robiły się dziury; staruszek wrzeszczał, kiedy ją na tym przyłapał. Trudniej było ogrzewać zbiorniki ryb; pompowali wodę na dach, gdzie sterczały słoneczne zwierciadła, a potem do tych przezroczystych plastikowych rurek. Pomagały rośliny gnijące przy zbiornikach; kiedy łapali siatką ryby, wznosiła się para. Staruszek wymieniał zębaczę na inne rzeczy, które ludzie hodowali, na spirytus do palnika i do picia, kawę, na odpadki do karmienia ryb.

Nie był jej ojcem, co powtarzał dość często, kiedy już w ogóle się odzywał. Czasami jeszcze się zastanawiała, czy to prawda. Kiedy pierwszy raz go spytała, ile ma lat, powiedział, że sześć. Od tego dnia zaczęła liczyć.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi. Obejrzała się: w progu stał Prior ze złotą płytką klucza w ręku i z brodą rozsuniętą dla ukazania uśmiechu.

– Mona – powiedział, wchodząc. – To jest Gerald.

Wysoki Chińczyk, szary garnitur, siwiejące włosy. Uśmiechnął się łagodnie, wyminął Priora i podszedł wprost do biurka naprzeciw łóżka. Położył na nim czarną walizeczkę i otworzył zamki.

– Gerald to przyjaciel. Jest doktorem. Musi cię obejrzeć.

– Mona... – Gerald wyjął coś z walizeczki. – Ile masz lat?

– Szesnaście – odpowiedział Prior. – Prawda, Mona?

– Szesnaście... – powtórzył Gerald. Przedmiot w jego rękach przypominał czarne gogle, słoneczne okulary z wypustkami i przewodami. – To trochę mało, nie uważasz?

Spojrzał na Priora, który się uśmiechnął.

– Ile brakuje? Dziesięć lat?

– Niecałe – odparł Prior. – Nie wymagamy perfekcji.

Gerald przyjrzał się Monie.

– I nie otrzymacie jej. – Założył czarne okulary i nacisnął coś; pod szkłem zapaliło się światelko. – Ale istnieją różne stopnie aproksymacji.

Światło skierowało się w jej stronę.

– Chodzi o kosmetykę, Gerald.

– Gdzie Eddy? – zapytała, kiedy Gerald podszedł bliżej.

– W barze. Mam po niego zadzwonić? – Prior podniósł słuchawkę, ale odłożył ją, nie wybierając numeru.

– O co tu chodzi? – Odsunęła się od Geralda.

– Badanie medyczne – wyjaśnił Gerald. – Nic bolesnego. – Przyparł ją do okna. Ponad rącznikiem przyciskała łopatkę do chłodnej szyby. – Ktoś zamierza cię zatrudnić i zaproponować bardzo dobrą pracę. Chcą się upewnić, że jesteś zdrowa. – Promień światła ukłuł ją w lewe oko. – Jest na jakichś stymulantach – poinformował Priora całkiem innym tonem.

– Staraj się nie mrugać, Mona. – Promień światła przesunął się do prawego oka. – Co to było, Mona? Ile wzięłaś?

– Mag. – Przymknęła oczy.

Chłodnymi palcami ujął ją pod brodę i ustawił głowę.

– Ile?

– Jeden kryształ...

Światło zgasło. Jego gładka twarz znalazła się bardzo blisko. W goglach było pełno soczewek, szczelin, małych pierścieni z czarnej drucianej siatki.

– Nie da się ocenić czystości – stwierdził.

– Był czyściutki – zapewniła, chichocząc.

Puścił jej brodę i uśmiechnął się.

– Nie będzie z tym kłopotów. Czy mogłabyś otworzyć usta?

– Usta?

– Chciałbym obejrzeć twoje zęby.

Zerknęła na Priora.

– Mamy szczęście – oznajmił Gerald, kiedy użył światełka, by zajrzeć jej do ust. – W dobrym stanie i bliskie konfiguracji docelowej. Koronki, wypełnienia...

– Wiedzieliśmy, Gerald, że możemy na ciebie liczyć.

Gerald zdjął gogle i spojrzał na Priora. Podszedł do swojej walizeczki i schował je.

– Z oczami też mamy szczęście. Bardzo podobne. Kwestia zabarwienia.

Wyjął foliową torebkę, rozerwał ją, wciągnął na prawą dłoń rękawiczkę chirurgiczną.

– Zrzuc ten ręcznik, Mona. Połóż się wygodnie.

Spojrzała niepewnie na Priora, potem na Geralda.

– Chcecie obejrzeć moje papiery, badania krwi i resztę?

– Nie – zapewnił Gerald. – Wszystko w porządku.

Wyjrzała przez okno, w nadziei że zobaczy wielkoroga, ale zniknął, a niebo pociemniało. Rozluźniła ręcznik, opuściła go na podłogę, potem położyła się na wznak na beżowej gąbce.

Nie różniło się to bardzo od tego, za co jej płacili; nie trwało nawet tak długo.

* * *

Siedząc w łazience z otwartą kosmetyczką na kolanach i rozcierając kolejny kryształ, uznała, że ma prawo być wściekła.

Najpierw Eddy poszedł gdzieś bez niej, potem zjawił się Prior z tym szurniętym medykiem, a w końcu powiedział jej, że Eddy śpi w innym pokoju. Na Florydzie chętnie znalazłaby się czasem z dala od Eddy'ego, ale tutaj to co innego. Nie miała ochoty siedzieć całkiem sama, a bała się poprosić Priora o klucz. On za to miał klucz, więc kiedy tylko zechciał, mógł się jej wpakować do pokoju ze swoimi szurniętymi kumplami. Co to w ogóle za układ?

I jeszcze ta sprawa z plastikowym płaszczem przeciwdeszczowym, który przypiekał jej tyłek. Pieprzona jednorazowa peleryna.

Rozdrobniła sproszkowanego maga między nylonowymi krążkami, ostrożnie zsunęła go do inhalatora, wypuściła powietrze, przyłożyła ustnik do warg i przycisnęła. Podniebienie oblepiła chmura żółtego pyłu. Część dotarła pewnie aż do płuc. Słyszała, że to niezdrowo.

Nie miała żadnych planów, kiedy wychodziła do łazienki, żeby sobie walnąć. Ale kiedy poczuła mrowienie na karku, nagle pomyślała o ulicach wokół hotelu. Po drodze widziała niewiele. Były tam kluby, bary, sklepy z ubraniami na wystawach. Muzyka. Muzyka by się jej teraz przydała. I tłum. To, jak można się w tłumie zgubić, zatracić, po prostu istnieć. Drzwi nie były zamknięte – to już sprawdzała. Tyle że zatrzaska się za nią, a nie miała klucza. Ale mieszkała tutaj, więc Prior musiał ją zameldować w recepcji. Pomyślała, czy nie zejść na dół i nie poprosić tam o klucz, ale ten pomysł jej się nie spodobał. Znała te garnitury za kontuarem i wiedziała, jak patrzeć na człowieka. Nie, uznała. Najlepiej będzie zostać i przestymować sobie te nowe Angie.

Dziesięć minut później wychodziła bocznymi drzwiami z głównego holu, a mag szumiał jej w głowie.

Na dworze mżyło – może to kondensacja na kopule. Włożyła biały płaszcz, uznając, że może Prior jednak wie co robi, ale teraz była z tego zadowolona. Z przepelnionego kosza oderwała zwój faksu i trzymała go nad głową, by ochronić włosy. Nie było już tak zimno, i bardzo dobrze, bo jej nowe rzeczy nie należały do ciepłych.

Rozejrzała się po alei, niepewna, w którą stronę się skierować. Zobaczyła pół tuzina prawie identycznych frontonów hoteli, rząd riks,

rozmazane w mżawce neony sklepików. I ludzi, mnóstwo ludzi, jak w centrum Cleveland, ale każdy z nich ubrany ostro, każdy miał dokąd iść. Po prostu idź za nimi, pomyślała. Mag dał jej dodatkowego kopa, pozwolił bez zastanowienia zanurzyć się w rzekę pięknych ludzi. Stukała obcasami swoich nowych bucików, osłaniając głowę faksem, dopóki – znowu szczęśliwy traf – deszcz nie ustał.

Chętnie obejrzałaby wystawy sklepów, obok których niósł ją tłum, ale sam ruch sprawiał rozkosz, a nikt inny się nie zatrzymywał. Wystarczały jej przelotne spojrzenia. Ubrania przypominały ciuchy ze stymów, przynajmniej niektóre – w stylu, jakiego jeszcze nie widziała.

Tutaj powinnam mieszkać, myślała. Powinnam tu być od początku. Nie na rybnej farmie, nie w Cleveland, nie na Florydzie. To dobre miejsce, prawdziwe miejsce, każdy może tu trafić, nie trzeba go szukać przez stym. Rzecz w tym, że czegoś takiego nigdy nie oglądała na stymach – normalnych ludzi. Nie było to odpowiednie otoczenie dla takiej gwiazdy jak Angie. Angie bywała w zamkach, między innymi gwiazdami stymu. Ale, wielki Boże, było tu ślicznie, a noc taka jasna, a tłum płynął wokół niej, obok wszystkich rzeczy, jakie mogłaby zdobyć, gdyby tylko miała trochę szczęścia.

Eddy'emu się tu nie podobało. Ciągłe powtarzał, jak tu jest szmatławo, ludzi za dużo, czynsz za wysoki i za mocna konkurencja. Ale nie zastanawiał się nawet dwóch sekund, przypomniawszy sobie, kiedy Prior złożył mu propozycję. W każdym razie domyślała się, dlaczego Eddy tak narzekał. Musiał coś tu zawalić, trafić jakiegoś solidnego wilsona. Albo nie chciał o tym pamiętać, albo byli tu ludzie, którzy by mu przypomnieli, gdyby tylko wrócił. Poznawała to po sposobie, w jaki mówił o tym mieście, tak samo jak mówił o każdym, kto twierdził, że z jego przekrętów nic nie wyjdzie. Nowy kumpel, taki sprytny pierwszej nocy, następnej okazywał się wrednym wilsonem, durnym i bez śladu wizji.

Minęła wielki magazyn z rewelacyjnym zestawem stymowym na wystawie, płaskim i matowocznym. Nad nim wspaniałe holo Angie, która z tym swoim półsmutnym uśmiechem przyglądała się idącym ludziom. Królowa nocy, nie ma co.

Rzeka ludzi wpływała na coś w rodzaju kręgu, gdzie cztery ulice spotykały się i obiegały fontannę. Ponieważ Mona nigdzie właściwie nie zmierzała, przystanęła tam, a przechodnie wokół niej bez zatrzymywania rozeszli się w różne strony. Oczywiście wewnątrz kręgu też byli ludzie; niektórzy siedzieli na popękany betonowym brzegu fontanny. Pośrodku stał jakiś pomnik z marmuru, wytarty i zaokrąglony: jakby dziecko dosiadające wielkiej ryby, delfina. Wyglądało na to, że z pyska delfina powinna tryskać woda... gdyby fontanna działała. Ale była zepsuta. Nad głowami siedzących Mona widziała w wodzie pomięty, mokry faks i białe styropianowe kubki.

I nagle wydało się jej, że tłum stopił się za nią we wklęsłą, ruchomą ścianę ciał, a troje z przodu, na brzegu fontanny, nagle wyostrzyło się jak na filmie. Gruba dziewczyna z włosami farbowanymi na czarno, z ustami w pół otwartymi tak, jakby zawsze takie były, z piersiami przelewającymi się przez czerwony błyszczący stanik; blondynka o wąskiej twarzy, z cienką niebieską linią szminki, z dłonią jak ptasia łapa, z której wyrasta papieros; mężczyzna o nagich mimo chłodu, błyszczących od olejku ramionach z wszczepami twardych jak skała mięśni pod syntetyczną opalenizną i marnymi więziennymi tatużami...

– Hej, mała! – krzyknęła gruba jakby z radością. – Mam nadzieję, że nie masz zamiaru tu zarywać...

Blondynka spojrzała na Monę zmęczonym wzrokiem, rzuciła jej błady uśmiech w stylu „to nie moja wina” i odwróciła głowę.

Alfons oderwał się od fontanny jak nakręcany automat, ale Mona już odchodziła. Zrozumiała minę blondynki. Chwycił ją za ramię, lecz nie wytrzymał plastikowy szew peleryny i zdołała wcisnąć się z powrotem w tłum. Mag zadziałał znowu i zanim się zorientowała, była już o przecznicę dalej, oparta o stalowy słup, rozkaszana i zdyszana.

Teraz jednak mag działał odwrotnie, jak to się czasem zdarzało. Wszystko stało się brzydkie. Twarze w tłumie wyglądały na opętane i chciwe, jak gdyby wszyscy mieli tu swoje misje do spełnienia; z okien wystawowych padało zimne i ostre światło, a wszystkie przedmioty leżały za szybami tylko po to, by jej powiedzieć, że nie może ich zdobyć. Skądś

dobiegał głos, paplanie zagniewanego dziecka, wykrzykującego nieskończony, bezsensowny ciąg przekleństw; kiedy uświadomiła sobie, kto to jest, umilkła.

Zmarzła jej lewa ręka. Rękaw zniknął, szew z boku był rozerwany do pasa. Zdjęła płaszcz i narzuciła sobie na ramiona jak pelerynę; może dzięki temu trudniej będzie ją zauważyć.

Oparła plecy o słup; mag płynął niby spóźniona fala adrenaliny. Kolana się pod nią ugięły i poczuła, że zaraz zemdleje. Wtedy jednak mag wyciął jedną ze swoich sztuczek i nagle znalazła się w letnim słońcu na podwórzu staruszka; na szarym gruncie widziała wydrapane linie dziecięcej gry, ale sama tkwiła tam nieruchomo, przykucnięta, wpatrzona ponad zbiorniki, gdzie świetliki fruwały w krzakach przy pogietej starej karoserii. Światło padało z za jej pleców, z domu. Czowała zapach kukurydzianych placków i kawy, którą tam gotował raz za razem, póki łyżeczka nie stanęła w niej sztorcem, jak mówił, a on sam pewnie czytał którąś ze swoich książek, kruchych i pozółkłych; ani jedna stronica nie miała wszystkich rogów. Trzymał je opakowane w foliowe koperty, bo czasami rozsypywały się pod palcami, ale kiedy znalazł w nich coś, co chciał zachować, wyciągał z szuflady tę małą kopiarkę, wkładał baterię i przesuwiał nad stroną. Lubiła patrzeć, jak wysuwają się świeżutkie kopie: ich szczególny zapach szybko się rozwiewał, a sama nie mogła obsługiwać kopiarki. Niekiedy czytał głośno, z pewnym wahaniem w głosie, jak człowiek próbujący zagrać na instrumencie, którego od bardzo dawna nie dotykał. To nie były historie... nie miały zakończenia i nie opowiadały żartu. Były jak okna wychodzące na coś niezwykłego... Nie starał się niczego tłumaczyć, pewnie sam nie rozumiał, może nikt już nie rozumiał...

Ulica powróciła, wyraźna i jaskrawa.

Mona przetarła oczy i zakaszła.

Antarktyka zaczyna się tutaj

– Jestem gotowa – oznajmiła Piper Hill, zamykając oczy.

Siedziała na podłodze w luźnej aproksymacji pozycji lotosu.

– Dotknij lewą dłonią kołdry.

Osiem cienkich kabli sięgało od gniazd za uszami Piper do instrumentu, który ułożyła na opalonych udach.

Otulona białym frotowym szlafrokiem Angie siedziała na brzegu łóżka, naprzeciw techniczki. Czarny zestaw testujący obejmował jej czoło jak uniesiona opaska na oczy. Wykonała polecenie, przesuwając lekko czubkami palców po surowym jedwabiu i płótnie zmiętej pościeli.

– Dobrze – powiedziała Piper, bardziej do siebie niż do Angie. Dotknęła czegoś w aparacie. – Jeszcze raz.

Angie poczuła, jak gęstnieje splot pod palcami.

– Jeszcze.

Kolejna poprawka. Tym razem mogła już wyczuć pojedyncze włókna, odróżnić jedwab od płótna...

– Jeszcze.

Nerwy jęknęły, kiedy nagimi palcami przejechała po stalowych opiłkach, tłuczonym szkłem...

– Optimum. – Piper otworzyła niebieskie oczy.

Z rękawa kimona wyjęła małą fiołkę z kości słoniowej, odkorkowała i podała Angie.

Angie przymknęła oczy i powąchała ostrożnie. Nic.

– Jeszcze raz.

Roślinny zapach. Fiołki?

– Jeszcze.

Zakręciło jej się w głowie od mdlącego odoru cieplarni.

– Układ olfaktoryczny wzmocniony – oświadczyła Piper, kiedy duszący zapach się rozplynął.

– Nie zauważyłam. – Otworzyła oczy. Piper podawała jej mały krążek białego papieru. – Byle to nie była ryba. – Angie westchnęła i polizała czubek palca.

Dotknęła papieru i podniosła palec do ust. Jeden z testów Piper obrzydził jej kiedyś ryby na miesiąc.

– To nie ryba. – Piper uśmiechnęła się.

Włosy ścinała krótko, jak obcisły hełm, który podkreślał grafitowe lśnienie wszczepionych za uszami gniazd. Krzemowa święta Joanna, nazywał ją Porphyre. Prawdziwą namiętnością Piper była jej praca – jako osobistego technika Angie, podobno najlepszego fachowca Netu.

Karmel...

* * *

– Kto jeszcze tu przyleciał, Piper?

Zakończywszy regulację, Piper chowała swoją aparaturę do nylonowego futerału.

Przed godziną Angie usłyszała lądujący śmigłowiec; potem śmiechy, kroki na tarasie. Sen odpłynął. Zrezygnowała ze zwykłej próby analizy tego, co zaszło, kiedy spała – jeśli można to nazwać spaniem: cudze wspomnienia wlewały się, wypełniały ją, potem spływały na poziomy, do których nie mogła dosięgnąć, zostawiając tylko powidoki...

– Raebel – odparła Piper. – Lomas, Hickman, Ng, Porphyre, Pope.

– A Robin?

– Nie.

* * *

- Ciągłość – rzuciła spod prysznica.
- Dzień dobry, Angie.
- Wrzeczono Freeside. Do kogo należy?
- Obecni właściciele, spółka Julianna Group i Caribbana Orbital, zmienili nazwę na Mystique II.
- Kto był właścicielem, kiedy Tally tam nagrywała?
- Tessier-Ashpool S.A.
- Chcę się dowiedzieć czegoś o klanie Tessier-Ashpool.
- „Antarktyka zaczyna się tutaj”.
- Poprzez mgłę pary spojrzała na biały pierścień głośnika.
- Co powiedziałaś?
- „Antarktyka zaczyna się tutaj” to dwugodzinne wideo, program Hansa Beckera o rodzinie Tessier-Ashpool.
- Masz go?
- Oczywiście. Niedawno prosił o niego David Pope. Zrobił na nim wrażenie.
- Naprawdę? Jak niedawno?
- W poniedziałek.
- Obejrzę to dzisiaj wieczorem.
- Oczywiście. Czy to wszystko?
- Tak.
- Do usłyszenia, Angie.

David Pope. Jej reżyser. Porphyre mówił, co opowiada o niej Robin: że słyszy głosy. Czy powiedział Pope’owi? Dotknęła ceramicznej płytki i strumień wody stał się cieplejszy. Dlaczego Pope zainteresował się rodziną Tessier-Ashpool? Dotknęła znowu i wstrzymała oddech pod igłami lodowatej nagle wody.

Ze środka na zewnątrz, z zewnątrz do środka, kształty tego innego pejzażu zbliżające się szybko, zbyt szybko...

* * *

Stanąła w drzwiach salonu. Porphyre opierał się o parapet: wojownik Masajów w czarnej jedwabnej krepie i czarnym skórzanym sarongu. Pozostali powitali ją okrzykami, Porphyre obejrzał się i uśmiechnął.

– Zaskoczyłaś nas – oświadczył rozparty na jasnej sofie Rick Raebel. Zajmował się efektami i montażem. – Hilton sądził, że urządzisz sobie dłuższe wakacje.

– Ściągnęli nas z całego świata, skarbie – dodał Kelly Hickman. – Byłem w Bremie, a Pope siedział nad studnią w trybie artystycznym. Prawda, Davidzie? – Obejrzał się na reżysera.

Pope siedział okrakiem na krześle w stylu Ludwika XVI, krzyżując ręce na delikatnym oparciu. Uśmiechnął się ze znużeniem: ciemne zwichrzone włosy ponad wąską twarzą. Kiedy plan zdjęć Angie na to pozwalał, kręcił programy dokumentalne dla Net/Nauka. Wkrótce po zawarciu kontraktu Angie wystąpiła anonimowo w jednym z jego minimalistycznych nagrań artystycznych, nieskończonej przechadzce przez wydmy poplamionego różowego atlasu pod kutym ze stali niebem. Trzy miesiące później, kiedy znalazła się już na ostro wznoszącym łuku kariery, piracka wersja taśmy stała się klasyką undergroundu.

Karen Lomas, która robiła Angie dokrętki, uśmiechnęła się do niej ze swego miejsca po lewej stronie Pope'a. Po prawej Kelly Hickman, garderobiany, siedział na wyblakłej podłodze obok Briana Ng, pomocnika i ucznia Piper.

– No cóż... – powiedziała Angie. – Wróciłam. Przepraszam, że musiałam was odstawić, ale trzeba było to załatwić.

Milczenie. Ciche skrzypienie złożonych krzeseł. Brian Ng odchrząknął.

– Cieszymy się, że już po wszystkim – oznajmiła Piper, stając w drzwiach kuchni z dwoma kubkami kawy w dłoniach.

Znowu zagadali chórem, tym razem z pewnym skrępowaniem, potem roześmiali się.

– Gdzie Robin? – spytała Angie.

– *Mistah* Lanier jest w Londynie – odpowiedział Porphyre, wspierając dłonie na okrytych skórą biodrach.

– Oczekujemy go lada godzina – dodał oschle Pope. Wstał i wziął od Piper kawę.

– Co robiłeś na orbicie, Davidzie? – zainteresowała się Angie, biorąc drugi kubek.

– Szukałem samotników.

– Samotności?

– Samotników. Pustelników.

– Angie! – Hickman poderwał się na nogi. – Musisz obejrzyć ten atlasowy komplet koktajlowy, który w zeszłym tygodniu wymyślił Devicq! I jeszcze kostium kąpielowy Nakamury...

– Oczywiście, Kelly, tylko...

Ale Pope już się odwrócił i powiedział coś do Raebela.

– No już! – Hickman promieniał entuzjazmem. – Chodź! Przymierzmy!

* * *

Prawie cały dzień Pope spędził z Piper, Karen Lomas i Raebelem, omawiając wyniki regulacji i niemające końca drobne szczegóły tego, co nazywali „reinsercją” Angie. Po lunchu Brian Ng poleciał z nią na badania, wykonane w prywatnej klinice w wykładanym lustrami bloku przy Beverly Boulevard.

Przez krótką chwilę siedziała w pełnej doniczkowych kwiatów poczekalni – z pewnością kwestia rytuału, jak gdyby wizyta u lekarza niewymagająca oczekiwania mogła się wydać niepełna, nie autentyczna. Angie zaczęła się zastanawiać – jak wiele razy przedtem – dlaczego tajemnicze dziedzictwo ojca, *vévés* wykreślone w jej umyśle, nie zostały wykryte w tej ani żadnej innej klinice.

Jej ojciec, Christopher Mitchell, kierował projektem hybryd, który zagwarantował Maas Biolabs praktyczny monopol na produkcję biochipów. Turner – człowiek, który zabrał ją do Nowego Jorku – dał jej coś w rodzaju dossier ojca, biosoft skompilowany przez SI z ochrony Maasa. Cztery razy w ciągu czterech lat sięgała do dossier; wreszcie, pewnej pijackiej nocy w Grecji, po awanturze z Bobbym, wyrzuciła biosoft

z pokładu jachtu irlandzkiego przemysłowca. Nie pamiętała już, co wywołało kłótnię, ale nie zapomniała wrażenia jednocześnie żalu i ulgi, gdy krótka, gruba igła pamięci uderzyła o wodę.

Być może ojciec tak zaprojektował swoje dzieło, by było niewidzialne dla skanerów neurotechników. Bobby miał własną teorię i podejrzewała, że o wiele bliższą prawdy. Być może Legba, loa mający – według Beauvoira – niemal nieograniczony dostęp do matrycy cyberprzestrzeni, potrafił przekształcić strumień danych płynących do skanerów i uczynić *vévés* przezroczystymi... W końcu to Legba dyrygował jej debiutem w mediach i dalszą karierą, która przyćmiła gwiazdę Netu lśniąca przez piętnaście lat, Tally Isham.

Ale wiele już czasu minęło, odkąd dosiadał jej loa. A teraz, jak stwierdziła Brigitte, *vévés* zostały wykreślone na nowo...

– Hilton kazał Ciągłości przygotować materiał dla prasy – powiadomił Ng w poczekalni.

– Tak?

– Informacja o twojej decyzji wyjazdu na Jamajkę, podziw dla metod stosowanych w ich klinice, zagrożenie narkotykami, twoja radość z powrotu do pracy, wdzięczność dla publiczności, zdjęcia z Malibu...

Ciągłość potrafił wygenerować obrazy Angie i animować je szablonami z jej stymów. Kiedy je oglądała, przeżywała łagodny i dość przyjemny zawrót głowy. Była to jedna z nielicznych okazji, kiedy mogła bezpośrednio odebrać fakt własnej sławy.

Za ścianą liści zadźwięczał gong.

* * *

Kiedy wróciła z miasta, zauważyła, że kucharze szykują na tarasie barbecue.

Leżała na sofie pod Valmierem i słuchała szumu fal. W kuchni Piper opowiadała Pope'owi o wynikach badań. Właściwie niepotrzebnie – dostała świadectwo idealnego zdrowia... Ale Pope i Piper lubili szczegóły.

Kiedy Piper i Raebel w swetrach wyszli na taras i grzali dłonie nad ogniem, Angie znalazła się w salonie sam na sam z reżyserem.

– Davidzie, zacząłeś mi tłumaczyć, co robiłeś na górze...

– Szukałem takich, co nie lubią towarzystwa. – Przeczesał palcami zwichrzone włosy. – Wzięło się to z czegoś, co chciałem zrobić w zeszłym roku, z intencjonalnych społeczności w Afryce. Niestety, kiedy już byłem na miejscu, przekonałem się, że to nie takie proste. Jeśli już ktoś zaszedł tak daleko, by żyć samotnie na orbicie, to na ogół woli, żeby tak już zostało.

– Sam nagrywałeś? Wywiady?

– Nie. Chciałem znaleźć takich ludzi i namówić ich, żeby sami rejestrowali swoje sekwencje.

– Udało się?

– Nie. Ale sporo słyszałem. Świetne historie. Pilot holownika twierdzi, że w zakonserwowanej japońskiej farbyce prochów mieszkają zdziczałe dzieci. Tam, w górze, powstają całkiem nowe apokryfy: statki widm, zaginione miasta... Właściwie to smutne, jeśli się chwilę zastanowić. Rozumiesz, wszystko to tkwi tam zablokowane na orbitach. Wszystko jest tworem ludzi, znane, posiadane, umieszczone na mapach. To jakby patrzeć na mity rodzące się na parkingu. Ale ludzie chyba tego potrzebują, nie sądzisz?

– Tak – odparła, myśląc o Legbie, o Mamman Brigitte, tysiącu świec...

– Ale żałuję – podjął – że nie zdołałem dotrzeć do Lady Jane. Zdziwiająca historia. Czysty gotyk.

– Lady Jane?

– Tessier-Ashpool. Jej rodzina zbudowała wrzeciono Freeside. Pionierzy orbity. Ciągłość ma świetne wideo... Podobno zabiła własnego ojca. Jest ostatnią z rodu. Pieniądze skończyły się wiele lat temu. Sprzedała wszystko, a swoją rezydencję kazała odciąć od czubka wrzeciona i odholować na nową orbitę...

Siedziała na sofie, obejmując dłońmi kolana. Pot ściekał jej po żebrach.

– Znasz tę historię?

– Nie.

– Jest interesująca sama w sobie, ponieważ dowodzi, jak sprawni byli w ukrywaniu się. Wykorzystywali pieniądze, żeby zniknąć ze sceny. Matką była Tessier, ojcem Ashpool. Zbudowali Freeside, kiedy nie istniało jeszcze nic podobnego. Przy okazji fantastycznie się wzbogacili. Kiedy zmarł Ashpool, byli chyba na drugim miejscu za Virekiem, z niewielką stratą. I oczywiście strasznie zdziwaczeli. Hurtowo klonowali swoje dzieci...

– To... to okropne. I chciałeś... próbowałeś ją odnaleźć?

– Pytałem o nią. Ciągłość znalazł mi wideo Beckera, a jej orbita jest w atlasach, ale nie warto tam przecież zaglądać bez zaproszenia, prawda? A potem Hilton zadzwonił, żebym wracał do pracy... Dobrze się czujesz?

– Tak, ja... Chyba pójdę się przebrać. Włożę coś cieplejszego.

* * *

Kiedy już zjedli i podano kawę, przeprosiła, życząc im dobrej nocy.

Porphyre odprowadził ją do schodów. Przez cały czas trzymał się blisko, jakby wyczuwał jej nowy niepokój. Nie, pomyślała. Nie nowy: stary, od początku, teraz i zawsze. Wszystko to, od czego odgrodził ją narkotyk.

– Panienska uważa – powiedział tak cicho, by inni nie usłyszeli.

– Wszystko w porządku – zapewniła go. – Za dużo ludzi. Jeszcze się nie przyzwyczyłam.

Stał jeszcze przez chwilę i spoglądał na nią; blask gasnącego ognia jarzył się na jego elegancko rzeźbionej, delikatnie nieludzkiej czaszce, dopóki nie odwróciła się i nie ruszyła na górę.

* * *

Godzinę później usłyszała warkot śmigłowca, który przyleciał ich zabrać.

– Dom – rzuciła. – Obejrzę teraz wideo od Ciągłości.

Ekran ścienny zsunął się na miejsce. Otworzyła drzwi sypialni i przez chwilę stała u szczytu schodów, nasłuchując odgłosów pustego domu. Fale, szum zmywarki, wiatr uderzający w okna na taras.

Odwróciła się do ekranu i drgnęła na widok twarzy w ziarnistym ujęciu stop-klatki: ptasie brwi wygięte nad ciemnymi oczami, wysokie i delikatne kości policzkowe, szerokie stanowcze usta. Obraz rozrastał się jednostajnie, w ciemność oka, czarny ekran, biały punkt, coraz większy, dłuższy, stający się zaostrzonym wrzecionem Freeside. Pojawiły się niemieckie napisy.

– Hans Becker – zaczął dom, recytując informacje z biblioteki Netu. – Austriacki wideoartysta, którego znakiem firmowym jest obsesyjna analiza sztywno ograniczonych obszarów informacji wizualnej. Podejście Beckera zmienia się od klasycznego montażu do technik zapożyczonych ze szpiegostwa przemysłowego, fotografii astronomicznych i kinoarcheologii. „Antarktyka zaczyna się tutaj”, studium wizerunków rodziny Tessier-Ashpool, należy do jego szczytowych osiągnięć. Patologicznie niechętny mediom klan przemysłowy, działający z całkowitego odosobnienia swej orbitalnej siedziby, stanowił niezwykle wyzwanie.

W chwili, gdy zniknął ostatni napis, cały ekran wypełniło białe wrzeciono. Na środek wsunęła się fotografia: zdjęcie młodej kobiety w luźnej ciemnej sukni na zamglonym tle. MARIE-FRANCE TESSIER, MAROKO.

Nie była to twarz z ujęcia początkowego, twarz z niechcianych wspomnień. Jednakże zdawała się jej obietnicą, jakby pod powierzchnią ukrył się larwalny wizerunek.

Ścieżka dźwiękowa splatała atonalne włókna poprzez warstwy zakłóceń i niewyraźnych głosów; zdjęcie Marie-France ustąpiło oficjalnemu, czarno-białemu portretowi młodego człowieka w sztywnym, szerokim kołnierzyku. Była to przystojna twarz o pięknych proporcjach, ale wydawała się twarda, a z oczu wyzierała nieskończona nuda. JOHN HARNESS ASHPOOL, OXFORD.

Tak, pomyślała. Spotkałam pana wiele razy. Znam pańską historię, chociaż nie pozwalają mi jej dotykać.

Ale nie wydaje mi się, żebym pana lubiła. Prawda, panie Ashpool?

Pomost kołysał się i skrzypiał. Nosze były za szerokie i nie mieściły się między poręczami, więc, idąc ostrożnie, musieli trzymać je na wysokości piersi. Z przodu Gentry zaciskał dłonie po obu stronach stóp śpiącego. Ślizg dostał cięższy koniec: głowę, baterie i cały sprzęt. Czuł, jak za nim przesuwa się Cherry. Jakoś nie potrafił jej powiedzieć, żeby się wycofała, nie obciążała niepotrzebnie pomostu.

Popełnił błąd, dając Gentry'emu torbę prochów od Kida Afriki. Nie wiedział, co było w tej niebieskiej dermie, którą Gentry sobie nakleił; nie wiedział, co już wcześniej krążyło mu we krwi. W każdym razie Gentry dostał regularnego świra i teraz znaleźli się tutaj, na tym pieprzonym pomoście, dwadzieścia metrów nad betonową podłogą Fabryki. Ślizg miał ochotę szlochać ze złości, krzyczeć; chciałby rozbić coś, cokolwiek, ale nie mógł wypuścić uchwytów.

W dodatku ten uśmiech, oświetlony zielonkawym blaskiem biomonitora przyklejonego do stóp noszy... Gentry zrobił kolejny krok do tyłu.

– O rany – szepnęła Cherry głosem małej dziewczynki. – Coś tu się całkiem popieprzyło...

Gentry niecierpliwie szarpnął nosze i Ślizg niemal wypuścił je z rąk.

* * *

– Gentry – poprosił Ślizg. – Lepiej dobrze się zastanów...

Gentry zdjął rękawiczki. Trzymał w rękach dwa optyczne zworniki i Ślizg widział, jak drżą końcówki rozgałęziaczy.

– Kid Afrika to mocny gość, Gentry. Nie wiesz nawet, w co się pakujesz, kiedy mu podpadasz.

Nie była to całkiem prawda. O ile Ślizg wiedział, Kid miał za dużo sprytu, żeby się mścić. Ale do diabła, przecież naprawdę nie wiadomo, w co Gentry chce się wpakować.

– W nic się nie pakuję – oświadczył Gentry. Podszedł do noszy.

– Posłuchaj, chłopie – wtrąciła Cherry. – Rozłączenie na wejściu może go zabić. Autonomiczny system nerwowy padnie na sztywno. Dlaczego go nie powstrzymasz? – zwróciła się do Ślizga. – Dlaczego mu nie przyłożysz, żeby usiadł na dupie?

Ślizg przetarł oczy.

– Bo... Sam nie wiem. Bo jest... Gentry, ona mówi, że jak spróbujesz się włączyć, możesz zabić tego frajera. Słyszałeś?

– LF – odparł Gentry. – To słyszałem.

Wsadził sobie zworniki w zęby i zaczął grzebać przy jednym z połączeń na bezkształtnym bloku nad głową śpiącego. Dłonie już mu nie drżały.

– Cholera – mruknęła Cherry, przygryzając dłoń.

Końcówka przewodu znalazła się w dłoni Gentry'ego. Drugą ręką wcisnął na miejsce zwornik i zaczął dociskać złącze. Uśmiechnął się ponad drugim zwornikiem.

– Pieprzę – oświadczyła Cherry. – Wychodzę stąd.

Ale nie ruszyła się z miejsca.

Człowiek na noszach jęknął cicho. Od tego dźwięku ręce Ślizga okryły się gęsią skórką.

Gentry rozdzielił drugie złącze. Wsunął na miejsce rozgałęziacz i dokręcił mocowanie.

Cherry podbiegła do noszy i sprawdziła odczyty.

– Poczul to – oznajmiła. – Ale chyba wszystko w porządku.

Gentry wrócił do swoich konsoli. Ślizg przyglądał się, jak wciska zworniki na miejsca. Może wszystko się uda, pomyślał. Gentry niedługo padnie i będą musieli zostawić tu nosze, dopóki nie znajdzie Ptaśka. Wtedy razem

z Cherry przeciągną je z powrotem przez pomost. Ale Gentry zupełnie oszalał; może warto by mu odebrać te prochy, przynajmniej część, żeby znów było normalnie...

– Muszę wierzyć – odezwał się Gentry – że to przeznaczenie. Zdeterminowane przez formę moich poprzednich prac. Nie udaję nawet, że wiem, jak do tego doszło, ale nie naszą sprawą jest pytać dlaczego. Mam rację, Ślizg? – Wystukał na klawiaturze ciąg znaków. – Zastanawiałeś się kiedyś nad relacją pomiędzy kliniczną paranoją a fenomenem religijnego nawrócenia?

– O czym on gada? – zdziwiła się Cherry.

Ślizg smętnie pokręcił głową. Gdyby cokolwiek powiedział, zachęciłby tylko Gentry'ego do kolejnych szaleństw.

Gentry podszedł do wielkiego monitora na stole montażowym.

– Istnieją światy w światach – rzekł. – Makrokosmos i mikrokosmos. Dzisiaj przenieśliśmy przez most cały wszechświat, i to, co ponad nim, jest takie jak to, co w dole... Było oczywiste, że takie rzeczy istnieją, ale nie śmiałem żywić nadziei... – Zerknął niepewnie przez ramię. – Teraz zobaczymy kształt małego wszechświata, w którym wędruje nasz gość. A w tym kształcie, Ślizgu Henry, odkryję...

Dotknął klawisza zasilania na brzegu płyty. I krzyknął.

– To piękna rzecz. – Petal dotknął palisandrowego sześcianu wielkości głowy Kumiko. – Bitwa o Anglię.

Nad sześcianem migotało światło. Kumiko pochyliła się; zobaczyła maleńki samolot, nurkujący i kreślący pętle nad szarą plamą Londynu, podobną do kultury na płytce Petriego.

– Opracowali to na podstawie filmów wojennych. Z fotokarabinów. Na stulecie.

Dostrzegła mikroskopijne rozbłyśki dział przeciwlotniczych na wybrzeżach Tamizy.

Znajdowali się w sali bilardowej Swaina, na tyłach parteru, pod numerem 16. Unosił się tu lekki zapach stęchlizny, echo aromatów pubu. Pedantyczny porządek domu Swaina został tu złagodzony przez eleganckie zużycie: fotele obite wytartą skórą, ciężkie meble z ciemnego drewna, matowa zieleń stołu bilardowego... Zastawione sprzętem rozrywkowym czarne stalowe regały były powodem, dla którego Petal sprowadził ją tu przed herbatą, człapiąc w swoich poprutyh kaptach. Chciał pokazać dostępne zabawki.

– Która to była wojna?

– Przedostatnia.

Przeszedł do podobnego, choć większego zestawu, demonstrującego hologram dwóch tajlandzkich bokserów. Stwardniała stopa jednej dotykała szczupłego, brązowego brzucha drugiej, naprężonego dla przyjęcia ciosu. Petal dotknął przycisku i obraz zniknął.

Kumiko obejrzała się na Bitwę o Anglię i jej płonące drobiny.

– Różne nagrania sportowe – rzekł Petal, otwierając skórzaną teczkę, mieszczącą setki zapisów.

Pokazał jej jeszcze kilka zestawów, a potem, drapiąc szczecinę na głowie, poszukał japońskiego kanału wiadomości. Znalazł go po chwili, ale nie potrafił włączyć programu automatycznego tłumaczenia. Razem obejrzeli kadre stażystów Ono-Sendai podczas łzawej ceremonii wręczenia dyplomów.

– O co tu chodzi? – zapytał.

– Demonstrują lojalność wobec swego zaibatsu.

– No tak. – Lekkim muśnięciem miotełki odkurzył zestaw wideo. – Niedługo pora na herbatę.

Wyszedł z pokoju. Kumiko wyłączyła dźwięk. Sally Shears nie zjawiała się na śniadaniu, podobnie jak Swain.

Zielone jak mech kotary ukrywały wysokie okna, wychodzące na ten sam ogród. Spojrzała na pokryty śniegiem słoneczny zegar i puściła rozsunięte zasłony. (Milczący ekran ścienny pokazywał obrazy z jakiejś katastrofy w Tokio; medycy w foliowych fartuchach wycinali nieprzytomne ofiary z płataniny pogiętej stali). Pod ścianą stał ciężki wiktoriański kredens na rzeźbionych nóżkach przypominających ananasy. Dziurka od klucza, otoczona rombem kości słoniowej, była pusta. Ale drzwiczki otworzyły się, wypuszczając chemiczny odór starej polityry. Kumiko patrzyła na czarno-białą mandalę w głębi szafki, aż ta zmieniła się w to, czym była naprawdę: tarczę do gry w strzałki. Błyszczące drewno wokół niej było pokłute i podrapane; niektórzy gracze nie trafiali w tarczę, uznała. Dolną część kredensu zajmowały szuflady, każda z mosiężną gałką i małą dziurką od klucza, obramowaną kością słoniową. Kumiko przyklęknęła, obejrzała się na drzwi (ekran ukazywał wargi śpiewaczki kabaretowej z Shinjuku) i jak najciszej wysunęła górną prawą szufladę. Wypełniały ją strzałki, pojedyncze i w skórzanych futerałach. Wsunęła szufladę i otworzyła tę z lewej: martwa ćma i zardzewiała śrubka. Poniżej dwóch pierwszych była jedna szeroka szuflada; zacięła się przy próbie otwarcia i zgrzytnęła głośno. Kumiko obejrzała się znowu (plansza z logo Fuji Electric płonącym nad Zatoką Tokijską), ale Petal się nie pojawił.

Kilka minut przeglądała pornograficzny magazyn z japońskim tekstem; poświęcony był chyba głównie sztuce splatania węzłów. Pod nim leżała zakurzona kamizelka z czarnej, sztywnej bawełny i szare plastikowe pudło z wypukłym napisem WALTHER na wieku. Sam pistolet okazał się zimny i ciężki; unosząc go ze styropianowej podstawy, widziała odbicie swej twarzy w błękitnym metalu. Szara, wyłożona plastikiem rękojeść wydawała się ogromna. Odłożyła go do pudła i zajrzała do japońskiej części wielojęzycznej instrukcji. To był pistolet na sprężone powietrze, pompowane niewielką dźwignią pod lufą. Strzelał małutkimi ołowianymi kulkami. Kolejna zabawka. Schowała wszystko do szuflady i wsunęła ją.

Pozostałe okazały się puste. Zamknęła drzwi kredensu i wróciła do Bitwy o Anglię.

* * *

– Nie – rzekł Petal. – Przykro mi, ale nic z tego. – Rozsmarowywał na bułeczce dewońską śmietanę; ciężki wiktoriański nóż stołowy w grubych palcach wyglądał jak zabawka. – Spróbuj śmietany – poradził. Pochylił głowę i przyjrzał się jej spokojnie ponad szklami okularów.

Lnianą ściereczką Kumiko starła plamkę marmolady z górnej wargi.

– Czy wyobrażasz sobie, że spróbuję uciec?

– Uciec? Poważnie myślisz o ucieczce?

Obojętnie przeżuwał bułeczkę, spoglądając na ogród, gdzie padał świeży śnieg.

– Nie – odparła. – Nie mam zamiaru uciekać.

– To dobrze – pochwalił ją i odgryzł następny kęs.

– Czy na ulicy coś mi zagraża?

– Boże wielki, nie – zapewnił ją z rodzajem wymuszonej serdeczności. – Jesteś bezpieczna jak w banku.

– Chcę wyjść.

– Nie.

– Przecież wychodziłam z Sally.

– Tak – przyznał. – A ta twoja Sally to paskudne narzędzie.

– Nie znam tego idiomu.

– Nie wyjdiesz stąd sama. To jest w naszej umowie z twoim ojcem, rozumiesz? Z Sally proszę bardzo, ale Sally nie ma. Pewnie i tak nikt by cię nawet nie zauważył, ale po co ryzykować? Ja z kolei, widzisz, z przyjemnością zabrałbym cię na spacer, z wielką przyjemnością... Ale muszę tu siedzieć, na wypadek gdyby ktoś chciał złożyć Swainowi wizytę. Dlatego nie mogę. Szkoda, naprawdę żałuję. – Wyglądał na tak bardzo nieszczęśliwego, że zastanowiła się nad kapitulacją. – Jeszcze grzanek? – spytał, wskazując jej talerz.

– Nie, dziękuję. – Odłożyła serwetkę. – Były bardzo smaczne – dodała.

– Następnym razem spróbuj ze śmietaną – poradził. – Po wojnie nie można jej było dostać. Przywiewało do nas chmury deszczowe z nad Niemiec i krowy chorowały.

– Czy Swain jest w domu, Petal?

– Nie.

– Nigdy go nie widuję.

– Często wychodzi. Interesy. Mają swoje cykle. Niedługo wszyscy będą zjawiać się tutaj i znowu będzie utrzymywał dwór.

– Kto, Petal?

– Nazwałabyś ich typami biznesmenów.

– *Kuromaku* – stwierdziła.

– Słucham?

– Nie, nic.

* * *

Popołudnie spędziła samotnie w pokoju bilardowym, zwinięta w skórzanym fotelu, obserwując płatki śniegu opadające na ogród. Zegar słoneczny zmienił się w bezkształtny biały wzgórek. Wyobraziła sobie tam matkę, otuloną w ciemne futro, samotną w zasypywanym śniegiem ogrodzie – księżniczkę-balerinę, która utopiła się w nocnych wodach Sumidy.

Zmarzła trochę. Wstała i wymijając stół bilardowy, ruszyła do marmurowego kominka, gdzie gazowy płomień syczał cicho pod węglami, których nigdy nie miał pochłonąć.

Miała w Cleveland przyjaciółkę, Lanette, która wiele ją nauczyła. Jak szybko wydostać się z samochodu, kiedy numer próbuje zablokować drzwi, jak się zachowywać, kiedy człowiek idzie kupować. Lanette była trochę starsza i używała głównie maga – „żeby zamieszać w mule”, jak to nazywała, gdyż często bywała przymulona czymkolwiek, od analogów endorfiny po zwyczajne, twarde opium z Tennessee. Inaczej, twierdziła, siedziałaby tylko dwanaście godzin przed wideo i oglądała po kolei cały chłam. Kiedy mag do ciepłej niewrażliwości porządnego zamulenia dodawał ożywienie, wtedy to już było coś. Ale Mona zauważyła, że ludzie, którzy biorą zamulające prochy, często wymiotują. I nie rozumiała, po co ktoś miałby oglądać wideo, kiedy równie łatwo można stymować. Lanette tłumaczyła, że symstym to tylko więcej tego, z czego chce się wyrwać.

Myślała o niej, ponieważ Lanette dawała jej różne rady, na przykład, co robić z marną nocą. Dzisiaj, uznała, Lanette kazałaby jej poszukać baru i jakiegoś towarzystwa. Mona miała jeszcze trochę pieniędzy po ostatniej nocy na Florydzie, wystarczyło więc znaleźć lokal, gdzie przyjmują gotówkę.

Trafiła za pierwszym razem – dobry znak. W dół po betonowych schodkach, w zadymiony gwar rozmów i znajomy, przytłumiony rytm „Białych diamentów” Shabu. Nie była to knajpa dla garniturów, ale też nie taka, którą alfonsi z Cleveland nazwaliby hitem. Nie miała ochoty pić niczego w hicie, przynajmniej nie dzisiaj.

Ktoś odszedł od baru w chwili, kiedy weszła, więc przecisnęła się szybko i zajęła jego stółek. Plastikowe siedzenie było jeszcze ciepłe.

To drugi znak.

Barman ściągnął wargi i skinął głową, kiedy pokazała mu banknot, więc poprosiła o bourbona i piwo do popicia. Eddy zawsze to zamawiał, kiedy sam musiał płacić. Jeśli płacił ktoś inny, zamawiał koktaile, których barman nie umiał przygotować, więc przez długą chwilę tłumaczył, jak się to robi. Potem wypijał i narzekał, że o wiele lepsze podają w L.A., Singapurze czy jakimś innym miejscu, gdzie – wiedziała – nigdy nie był.

Bourbon tutaj był trochę dziwny, ostry, ale naprawdę dobry, kiedy się go już przełknęło. Powiedziała o tym barmanowi, który zapytał, gdzie zwykle pijała bourbon. Wy tłumaczyła, że w Cleveland, a on pokiwał głową. To był etanol i jakieś gówno, które powinno przypominać bourbon, wyjaśnił. Kiedy powiedział, ile pieniędzy jej zostało, stwierdziła, że bourbon w Ciągu jest drogi. Ale robił swoje, łagodził, więc wypła do końca i zabrała się za piwo.

Lanette lubiła bary, ale nigdy nie piła, najwyżej colę albo coś w tym rodzaju. Mona na zawsze zapamiętała dzień, kiedy zażyła dwa kryształy naraz, co Lanette nazwała „podwójnym trafieniem”. Mona usłyszała wtedy głos w głowie, tak wyraźny, jakby mówił ktoś obok niej: „Porusza się tak szybko, że stoi w miejscu”. A Lanette, która godzinę wcześniej w filiżance chińskiej herbaty rozpuściła okruch czarnego z Memphis, też wzięła połówkę kryształu. Potem wyszły na spacer; zwyczajnie włóczyły się razem po mokrych ulicach w stanie, który Monie wydał się doskonałą harmonią, kiedy człowiek nie odczuwa chęci rozmowy. I ten głos miał rację: nie czuła pędu, żadnego zgiełku, po prostu wrażenie czegoś – może samej Mony – rozszerzającego się od nieruchomego środka. Znalazły park, płaskie trawniki ze srebrnymi plamami kałuż, i chodziły po alejkach. To wspomnienie miało u Mony swoją nazwę: Srebrzysty Spacer.

A jakiś czas potem Lanette po prostu zniknęła i nikt jej więcej nie widział. Niektórzy mówili, że wyjechała do Kalifornii, inni, że do Japonii, a byli tacy, którzy uważali, że padła z przedawkowania i wyrzucili ją przez okno, co Eddy nazywał nurkowaniem na sucho. Ale Mona wołała o tym nie myśleć, więc tylko wyprostowała się i rozejrzała dookoła. Tak, to był niezły lokal, nieduży, więc ludzie trochę się tłoczyli, ale czasem to nawet lepiej.

Eddy nazywał takich „gromadą artystów” – mieli pieniądze, ale ubierali się trochę tak, jakby nie mieli, tyle że ubrania nosili dopasowane i widać było, że kupowali je nowe.

Za barem wisiało wideo, tuż nad butelkami. Na ekranie zobaczyła Angie: patrzyła prosto w kamerę i mówiła coś, ale głos był przyciszony i nie było jej słychać wśród gwaru. Potem pokazali widok z góry na rząd domków na samym brzegu plaży i znowu Angie, która śmiała się, potrząsała włosami, a w końcu rzuciła do kamery ten swój na wpół smutny uśmiech.

– Hej – zwróciła się Mona do barmana. – To Angie.

– Kto?

– Angie. – Mona wskazała ekran.

– A tak. Brała jakieś specjalne gówno i chciała przerwać, więc pojechała do Południowej Ameryki albo gdzieś i zapłaciła parę milionów, żeby ją wyczyścili.

– Nie mogła brać...

Barman przyjrzał się jej.

– A czemu nie...?

– Bo jak mogła choćby zacząć? Przecież to Angie, nie?

– Takie tam mają zwyczaje.

– Ale popatrz na nią – zaprotestowała. – Wygląda świetnie...

Angie zniknęła, zastąpiona przez czarną tenisistkę.

– Myślisz, że to ona? To tylko gadająca głowa.

– Głowa?

– Jak kukielka – zabrzmiał czyjś głos za nią; odwróciła się i zobaczyła strzechę jasnych włosów i kpiący biały uśmiech. – Kukielka. – Podniósł dłoń i poruszył palcami. – Kapujesz?

Wyczuła, że barman wydaje jej resztę i odchodzi. Biały uśmiech błysnął szerzej.

– Żeby nie musiała wszystkiego nagrywać sama.

Odpowiedziała uśmiechem. Miły facet, niezłe oczy i tajemna aureola, błyskająca właśnie takim znakiem, jaki miała ochotę odczytać. Trochę

chudy – ale dzisiaj jej to nie przeszkadzało. I to kpiące skrzywienie ust, dziwnie kontrastujące ze spokojnymi oczami.

– Michael.

– Co?

– Tak mam na imię. Michael.

– Aha. Mona. Jestem Mona.

– A skąd jesteś, Mona?

– Z Florydy.

Czy Lanette nie poradziłaby jej, żeby się nie wahała?

* * *

Eddy nie cierpiał ludzi z takiej „gromady artystów”; nie chcieli kupować tego, co próbował im sprzedać. Jeszcze bardziej nie cierpiałby Michaela, ponieważ Michael miał pracę i mieszkanie na strychu w bloku. W każdym razie mówił, że to strych, ale kiedy dotarli na miejsce, Mona uznała, że jest trochę za mały. Budynek był stary; kiedyś pewnie mieściła się tu fabryka albo coś w tym rodzaju: ściany z czerwonych cegieł, a stropy drewniane. Pocięli go na mieszkania, na pokoje niewiele większe niż ten w hotelu, z wnęką sypialną po jednej stronie, a kuchnią i łazienką po drugiej. Michael mieszkał na najwyższym piętrze i prawie cały sufit zajmował u niego świetlik; może jednak był to strych. Pod świetlikiem wisiała poziomo czerwona papierowa roleta, umocowana do sznurków i bloczków, podobna do wielkiego latawca. W mieszkaniu panował bałagan, ale wszystkie te porozstawiane rzeczy były nowe: parę delikatnych, białych druczianych krzeseł z pętlami przezroczystej plastikowej taśmy do siedzenia, stos modułów rozrywkowych, stacja robocza i kanapa kryta srebrzystą skórą.

Zaczęli na kanapie, ale Monie nie podobało się, że skóra się lepi do tapicerki, więc przenieśli się na łóżko we wnękę.

Wtedy zobaczyła sprzęt rejestrujący na białych półkach na ścianie. Stym. Ale mag znowu ją doładował, a zresztą, kiedy już postanowiła iść na całość, mogła się zgodzić i na to. Podłączył ją do czujników: czarny

gumowy kołnierz z trodowymi palcami uciskającymi podstawę czaszki. Bezprzewodowe – wiedziała, że to kosztowne.

Kiedy zakładał własny zestaw i sprawdzał sprzęt na półkach, mówił o swojej pracy w takiej firmie z Memphis, która wymyśla nowe nazwy dla innych firm. W tej chwili próbował znaleźć nazwę dla kompanii Cathode Cathay. Potrzebowali tego, powiedział i roześmiał się głośno. A potem dodał, że to nie takie łatwe. Powstało już tak wiele firm, że zużyły wszystkie dobre nazwy. Miał komputer, który pamiętał wszystkie nazwy wszystkich firm, i drugi, tworzący słowa, które nadają się na nazwy, i jeszcze jeden, żeby sprawdzić, czy te słowa nie oznaczają „fiuta” albo czegoś takiego w jakimś chińskim albo szwedzkim. Ale firma, dla której pracował, nie handlowała tylko nazwami; sprzedawali coś, co nazywał „image”, więc musiał się dogadywać z kupą innych ludzi, żeby wymyślona przez niego nazwa pasowała do reszty zestawu.

Potem poszli do łóżka i właściwie wcale nie było świetnie, jakby cała frajda gdzieś odpłynęła; równie dobrze mogłaby pójść z jakimś numerem. Leżała tylko i myślała, że wszystko się nagrywa i Michael może to sobie odtworzyć, kiedy zechce, a w ogóle to ciekawe, ile jeszcze ma tu takich nagrań?

Później leżała koło niego i nasłuchiwała jego oddechu, dopóki mag nie zaczął kręcić się w wąskich kółkach u samego dołu głowy, wyświetlając bez przerwy ten sam szereg niepowiązanych obrazów: plastikowa torba, w której trzymała swoje rzeczy w pokoju na Florydzie, ze skreconym drutem, żeby karaluchy nie dostały się do środka... staruszek przy blacie z płyty paździerzowej, obierający ziemniaki rzeźniczym nożem, zeszlifowanym do kikuta długości kciuka... bar w Cleveland, gdzie podawali kryła tak, że przypominał wielkie krewetki albo coś podobnego, z wygiętymi grzbietami okrytymi płytkami z metalu i przejrzystego plastiku pomalowanego na różowo i pomarańczowo... kaznodzieja, którego widziała, kiedy poszła sobie kupić ubranie: on i jego blady, rozmyty Jezus. Za każdym razem, kiedy kaznodzieja się pojawiał, miał jej coś powiedzieć, ale ciągle milczał. Wiedziała, że tak będzie trwało, dopóki nie wstanie i nie zacznie myśleć o czymś innym. Wyśliznęła się z łóżka

i przez chwilę stała nieruchomo, obserwując Michaela w szarym blasku sącącym się przez świetlik. Uniesienie. Nadchodzi uniesienie.

Wyszła do pokoju i wciągnęła sukienkę, bo zrobiło się zimno. Usiadła na srebrzystej kanapie. Na zewnątrz było coraz widniej, a czerwona roleta zmieniała szarość świetlika w róż. Zastanowiła się, ile może kosztować taki lokal.

Teraz, kiedy nie widziała Michaela, nie bardzo mogła sobie przypomnieć, jak wygląda. No tak, pomyślała, on mnie zapamięta bez żadnych problemów. Ale takie myśli budziły uczucie, jakby ktoś ją uderzył, zranił, popchnął... Prawie żałowała, że nie została w hotelu i nie stymowała Angie.

Różowoszare światło zalewało pokój, zbierało się w kałuże i mętniało przy brzegach. W jakiś sposób przypominało jej o Lanette i opowieści o tym, jak przedawkowała. Ktoś czasem padał w mieszkaniu u kogoś innego i najłatwiej wtedy było wyrzucić go przez okno, żeby gliny nie wiedziały, skąd spadł.

Nie miała ochoty o tym myśleć. Zajrzała do kuchni, przeszukała lodówkę i szafki. W zamrażalniku znalazła paczkę kawy, ale po kawie człowiek na magu był roztrzęsiony. Było też mnóstwo małych foliowych paczuszek z japońskimi etykietami – jakieś mrożone potrawy. Wyjęła paczkę herbaty ekspresowej i zerwała kapsel z butelki wody. Nalała trochę do garnka i po kilku próbach udało jej się uruchomić kuchenkę. Elementy grzejne były wymalowane na czarnej płycie; trzeba było postawić garnek na środku i nacisnąć nadrukowaną obok czerwoną kropkę. Kiedy woda zawrzała, wrzuciła do środka torebkę i zdjęła naczynie z płyty.

Pochyliła się nad nim, wdychając pachnącą ziołami parę.

Nigdy nie zapominała, jak wygląda Eddy, kiedy nie było go przy niej. Niewiele jest wart, ale przynajmniej jej nie opuszcza. Człowiek potrzebuje przy sobie takiej twarzy, która się nie zmienia.

Ale myśl o Eddym też chyba nie była najlepszym pomysłem. Niedługo nadejdzie załamanie, a do tej pory musi jakoś wykombinować, jak wrócić do hotelu. I nagle wszystko stało się zbyt skomplikowane, zbyt wiele rzeczy

musiała zrobić, zbyt wiele przemyśleć. To właśnie było załamanie, kiedy człowiek się martwił, jak poskładać wszystko do kupy.

Co prawda, nie sądziła, żeby Prior pozwolił Eddy'emu ją uderzyć. Czegokolwiek od niej chciał, miało jakiś związek w jej wyglądem.

Odwróciła się, żeby sięgnąć po kubek.

Prior stał tam, okryty czarnym płaszczem. Dziwny dźwięk zrodził się jej w krtani... zupełnie bezwolnie.

Miewała już halucynacje po magowym załamaniu. Jeśli człowiek wpatrywał się dostatecznie długo, widziadła znikają. Spróbowała tego z Priorem, ale bez skutku.

Stał nieruchomo z dziwnym plastikowym pistoletem w dłoni. Nie mierzył do niej, po prostu go trzymał. Włożył rękawiczki podobne do tych, których używał Gerald przy badaniu. Nie wyglądał na rozwścieczonego, ale chociaż raz się nie uśmiechał. Przez długą chwilę nie odzywał się ani słowem. Mona też nie.

– Kto tu jest? – zapytał, jakby przyszedł na imprezę.

– Michael.

– Gdzie?

Wskazała wnękę sypialną.

– Włóż buty.

Mijając go, wyszła z kuchni. Schyliła się odruchowo, by z dywanu podnieść swoją bieliznę. Buty stały przy kanapie.

Poszedł za nią i patrzył, jak je wciąga. Ciągle trzymał w ręku pistolet. Drugą ręką zdjął z oparcia kanapy skórzaną kurtkę Michaela i rzucił jej.

– Włóż to – polecił.

Posłuchała i wcisnęła bieliznę do kieszeni.

Podniósł jej podartą białą pelerynę, zwinął w kłębek i schował do kieszeni płaszcza.

Michael chrapał. Może niedługo się obudzi i odtworzy sobie wszystko. Z takim sprzętem właściwie nikogo więcej nie potrzebuje.

W korytarzu przyglądała się, jak Prior zamyka drzwi za pomocą szarego pudełka. Pistolet zniknął, choć nie zauważyła, żeby go chował. Z pudełka

zwisał kawałek czerwonego kabla z całkiem normalnym kluczem magnetycznym na końcu.

Na ulicy było zimno. Przeszli kawałek i Prior otworzył drzwiczki małego białego trójkołowca. Wsiadła. Zajął miejsce za kierownicą i ściągnął rękawiczki. Uruchomił silnik; w pokrytej miedzianymi lustrami ścianie wieżowca obserwowała odbicie sunącej chmury.

– Pomyśli, że ją ukradłam – mruknęła, zerkając na kurtkę.

Wtedy mag błysnął ostatnim ujęciem, pchnął przez synapsy kaskadę neuronów: Cleveland w deszczu i wspomnienie przyjemnego nastroju, jaki miała kiedyś na spacerze.

Srebrzystym.

Jestem twoją idealną publicznością, Hans... Projekcja rozpoczęła się po raz drugi. Czy mógłbyś znaleźć bardziej uważnego widza? Pochwyciłeś ją, Hans. Wiem o tym, ponieważ snię jej wspomnienia. Widzę, jak bardzo się zbliżyłeś.

* * *

Tak, pochwyciłeś ich. Podróż w przestrzeń, budowa ścian, długa spirala do wnętrza. Zależało im na ścianach, prawda? Na murach. Labirynt krwi, rodzina. Sieć zawieszona w próżni, mówiąca: „Jesteśmy wewnątrz; to, co na zewnątrz, jest obce; tutaj na zawsze zamieszkamy”. A ciemność była z nimi od początku. Wielokrotnie odnajdywałeś ją w oczach Marie-France, namierzałeś powolnym zoomem na tle ocienionych orbit czaszki. Dość wcześnie zabroniła rejestracji swoich wizerunków. Pracowałeś z tym, co znalazłeś. Wyostrzyłeś jej fotografie, odbijałeś je w powierzchniach światła, powierzchniach cienia, generowałeś modele, odwzorowywałeś czaszkę w kratownicach neonu. Wykorzystałeś specjalne programy, żeby postarzyć obrazy zgodnie z modelami statystycznymi i systemami animacji, które miały ożywić twoją Marie-France. Redukowałeś zdjęcia do ogromnej, ale skończonej liczby punktów i przemieszczałeś je, uwalniając nowe formy. Wybierałeś te, które do ciebie przemawiały... A potem przeszedłeś do pozostałych, do Ashpoola i córki, której twarz spina klamrą twoje dzieło: pierwszy i ostatni obraz.

* * *

Druga projekcja uszczegółowiła ich historię, pozwoliła ułożyć odpryski Beckera wzdłuż linii czasu, rozpoczynającej się od ślubu Tessier i Ashpoola. O związku tym pisała w owym czasie prasa finansowa. Każde z nich dziedziczyło więcej niż spore imperium: Tessier rodzinną fortunę opartą na dziewięciu podstawowych patentach z biochemii stosowanej, Ashpool wielką firmę maszynową w Melbourne, noszącą imię jego ojca. Małżeństwo uznano za połączenie dwóch majątków, choć zrodzoną w ten sposób korporację uważano powszechnie za niedobraną, za chimere o dwóch niepasujących do siebie głowach.

Ale wtedy właśnie dało się dostrzec, jak na fotografiach Ashpoola znika z twarzy nuda, zastąpiona absolutną pewnością celu. Rezultat nie był pochlebny, a wręcz przerażający: surowa, piękna twarz stała się jeszcze surowsza, bezlitosna w swych zamierzeniach.

Miesiąc po ślubie z Marie-France Tessier, Ashpool pozbył się dziewięćdziesięciu procent majątku firmy, by zainwestować pieniądze w posiadłości orbitalne i stacje promowe. Owoc związku, dwójka dzieci, brat i siostra, byli wychowywani przez zastępczych rodziców w matczynej willi w Biarritz.

Tessier-Ashpoolowie wstąpili na archipelag wysokich orbit, znajdując ekliptykę z rzadka wypunktowaną stacjami wojskowymi i pierwszymi automatycznymi fabrykami karteli. I tutaj rozpoczęli budowę. Ich połączone bogactwo początkowo ledwie mogło dorównać nakładom na pojedynczy moduł procesora ponoszonym przez Ono-Sendai, wielonarodowy orbitalny koncern półprzewodników. Jednak Marie-France pokazała prawdziwy talent do interesów, tworząc wysoko dochodowy bank danych, służący mniej godnym szacunku sektorom międzynarodowej społeczności bankowców. To z kolei pozwoliło nawiązać kontakty z samymi bankami i ich klientami. Ashpool zaciągał kredyty, a ściana z księżycowego betonu, mająca stać się kiedyś Freeside, rosła i zakrzywiała się, zamykając we wnętrzu swoich stwórców.

Kiedy wybuchła wojna, Tessier-Ashpoolowie znajdowali się już wewnątrz tych ścian. Widzieli, jak w rozbłysku giną Bonn i Belgrad. Budowa wrzeciona trwała nadal, z niewielkimi tylko przerwami. Później, w kolejnej, oszołomionej i chaotycznej dekadzie, miała się stać trudniejsza.

Dzieci, Jean i Jane, znalazły się przy nich, kiedy willa w Biarritz została sprzedana, by sfinansować konstrukcję kriogenicznego magazynu w ich nowym domu, Villi Straylight. Pierwszymi mieszkańcami komory było dziesięć par sklonowanych embrionów: 2Jean, 2Jane, 3Jean, 3Jane... Istniały niezliczone prawa zakazujące czy też inaczej rozporządzające indywidualnym materiałem genetycznym, ale istniały również liczne problemy jurysdykcji...

* * *

Zatrzymała projekcję i poprosiła dom o powrót do poprzedniej sekwencji. Fotografie innego kriogenicznego magazynu, zbudowanego przez szwajcarskich konstruktorów skarbcza Tessier-Ashpool. Założenie Beckera o podobieństwie było poprawne, wiedziała o tym: te okrągłe drzwi z czarnego szkła w chromowych ramach były głównymi wizerunkami cudzej pamięci, potężnymi i totemicznymi.

Obrazy ruszyły dalej, ku bezgrawitacyjnym budowom na wewnętrznej powierzchni wrzeciona, ku instalacji systemu energii słonecznej Lado-Achesona, wprowadzeniu atmosfery i grawitacji rotacyjnej... Becker natrafił na prawdziwe bogactwa, całe godziny błyszczącej dokumentacji. Zareagował szaleńczym, gwałtownym montażem, który odrzucił powierzchowny liryzm oryginalnego materiału, izolując wśród mrówczego pośpiechu maszynerii napięte, zmęczone twarze robotników. Freeside zieleniło się i kwitło w przyśpieszonym migotaniu zarejestrowanych wschodów i syntetycznych zachodów: bujna, zapieczętowana kraina, wysadzana turkusowymi jeziorkami. Na ceremonię otwarcia Tessier i Ashpool wynurzyli się ze Straylight, zamkniętej rezydencji na ostrzu wrzeciona, demonstrując wyraźny brak zainteresowania wyspą, którą

sami zbudowali. Wtedy Marie-France po raz ostatni stanęła przed kamerą; w udreżonej, wydłużonej fudze Becker studiował linie jej twarzy.

Ruch jego obrazów, jako idealna przeciwwaga w giętkiej linii prezentacji, która zakrzywiała się i wiła poprzez zmienne poziomy zakłóceń i szumów ścieżki dźwiękowej.

* * *

Angie poprosiła o pauzę, wstała z łóżka, podeszła do okna. Przepelniało ją uniesienie, nieoczekiwane uczucie siły i wewnętrznej jedności. Coś podobnego przeżyła siedem lat temu w New Jersey, kiedy dowiedziała się, że inni także znają tych, którzy przybywali do niej w snach; określali ich loa, Boskimi Jeźdźcami, nazywali ich, przyzywali i targowali się z nimi o łaski.

Nawet wtedy nie wszystko było jasne. Bobby uważał, że Linglessou, który dosiadał Beauvoira w oumphor, i Linglessou z matrycy to oddzielne osobowości, jeśli ten pierwszy w ogóle był osobowością. Robią to od dziesięciu tysiącleci, mówił, tańczą, wpadają w obłąd... Ale w cyberprzestrzeni te rzeczy dzieją się dopiero od sześciu, siedmiu lat. Bobby wierzył starym kowbojom – tym, którym stawiał drinki w „Eleganckiej Porażce”, kiedy tylko praca Angie pozwalała na odwiedzanie Ciągu. Twierdzili, że loa pojawili się niedawno. Starzy kowboje wspominali czasy, kiedy nerwy i talent były jedynymi czynnikami decydującymi o karierze artystów konsoli. Co prawda Beauvoir utrzymywał, że to samo jest potrzebne, żeby dogadać się z loa.

– Ale oni do mnie przychodzą – tłumaczyła. – Nie potrzebuję deku.

– To przez to, co masz w głowie. Co zrobił twój ojciec...

Bobby opowiedział jej, że wśród starych kowbojów panowała zgoda co do tego, że przyszedł kiedyś dzień, gdy wszystko się zmieniło. Fakt, różnili się poglądami na to, kiedy i w jaki sposób.

Kiedy Się Zmieniło – tak to nazywali. Bobby zabrał kiedyś przebraną Angie do „Eleganckiej Porażki”, żeby ich posłuchała; towarzyszyli im niespokojni ochroniarze Netu, których nie wpuszczono za drzwi.

Zatrzymanie ochrony na zewnątrz zrobiło na niej wtedy większe wrażenie niż rozmowy. „Elegancka Porażka” była barem kowbojów od czasów wojny, która dała początek nowym technologiom. W całym Ciągu nie istniał bardziej ekskluzywny przestępczy lokal – choć w okresie, gdy nastąpiła wizyta Angie, ta ekskluzywność od dawna już łączyła się z wrażeniem przejścia regularnych bywalców w stan spoczynku. Dzieciaki na fali nie bawiły się już w „Eleganckiej Porażce”, choć niektóre przychodziły tu, żeby posłuchać.

Teraz, w sypialni domu w Malibu, Angie przypominała sobie ich rozmowy, ich historie o tym, Kiedy Się Zmieniło. Uświadamiała sobie, że jakaś część jej umysłu próbuje skompilować te wspomnienia i te opowieści z jej własną historią i historią Tessier-Ashpoolów.

* * *

3Jane była włóknem, Tessier-Ashpool warstwami; datę jej urodzin oficjalnie zarejestrowano jako identyczną z jej dziewiętnastoma klonami rodzeństwa. „Badania” Beckera stały się jeszcze bardziej gorączkowe od chwili, gdy 3Jane rozwinęła się w kolejnej zastępczej macicy i przyszła na świat przez cesarskie cięcie w szpitalu w Straylight. Krytycy zgadzali się: 3Jane była wyzwalczem dla filmu Beckera. Z jej urodzeniem styl dokumentacji zmienił się nieco, zdradzając nową intensywność, wzmożenie obsesji, poczucie – co przyznał niejeden krytyk – grzechu.

3Jane stała się ogniskiem, żyłą perwersyjnego złota przecinającą granit rodziny. Nie, pomyślała Angie, raczej srebra, bladego i księżycowego. Badając wykonane przez chińskiego turystę zdjęcie 3Jane i jej dwóch sióstr przy hotelowym basenie we Freeside, Becker raz po raz wracał do jej oczu, zagłębienia nad obojczykiem, delikatnych przegubów. Fizycznie trzy siostry są identyczne, jednakże 3Jane jest... jest informowana przez coś i Beckerowskie próby odkrycia natury owych informacji stają się główną osią dzieła.

Freeside prosperuje, gdy archipelag rozrasta się coraz bardziej. Centrum bankowe, burdel, port danych, neutralne terytorium dla

walczących korporacji – wrzeciono odgrywa coraz bardziej złożoną rolę w historii kolonii orbitalnych. Tymczasem ród Tessier-Ashpool wycofuje się za kolejny mur, tym razem zbudowany z podległych korporacji. Nazwisko Marie-France na krótko trafia do prasy w związku z genewskim procesem dotyczącym patentów w pewnych dziedzinach badań nad sztuczną inteligencją. Po raz pierwszy zostają ujawnione gigantyczne inwestycje Tessier-Ashpoolów w ten obszar nauki. I raz jeszcze rodzina demonstruje swą niezwykle zdolność znikania z publicznej sceny, wkraczając w kolejny okres utajenia, zakończony śmiercią Marie-France.

Będą krążyły plotki o morderstwie, ale wszelkie próby wszczęcia śledztwa uderzą o mur rodzinnego bogactwa i izolacji, szeroki zakres oraz głębię politycznych i finansowych powiązań.

Angie, po raz drugi oglądając film Beckera, знаła tożsamość mordercy Marie-France.

* * *

O świcie zrobiła sobie kawę w ciemnej kuchni. Potem usiadła, wpatrzona w białą linię przyboju.

- Ciągłość.
- Witaj, Angie.
- Czy wiesz, jak dotrzeć do Hansa Beckera?
- Mam numer jego agenta w Paryżu.
- Czy nakręcił coś od czasu „Antarktyki”?
- O niczym nie wiem.
- A ile czasu minęło?
- Pięć lat.
- Dziękuję.
- Proszę bardzo, Angie.
- Do widzenia.
- Do widzenia, Angie.

Czy Becker zakładał, że to 3Jane jest odpowiedzialna za śmierć Ashpoola? Zdawało się, że w zawołany sposób coś takiego sugeruje.

- Ciągłość.
- Witaj, Angie.
- Folklor dżokejów konsoli, Ciągłość. Co o tym wiesz?
- Ciekawe, co by z tego zrozumiał Swift, pomyślała.
- A co chciałabyś wiedzieć, Angie?
- Kiedy Się Zmieniło...

– Ta forma mitu zwykle pojawia się w dwóch postaciach. Pierwsza zakłada, że matryca jest zamieszkana, czy może odwiedzana, przez pewne osobowości, których charakterystyka odpowiada pierwotnemu wzorcowi mitycznemu „ludzi ukrytych”. Druga wiąże się z założeniem wszechwiedzy, wszechmocy i niepojmowalności ze strony samej matrycy.

– To znaczy, że matryca jest Bogiem?

– W pewnym sensie, choć w ramach tej formy mitu dokładniejsze byłoby raczej stwierdzenie, że matryca posiada Boga, jako że cechy wszechwiedzy i wszechmocy ograniczone są do niej samej.

– Jeśli jest ograniczony, to nie jest wszechmocny.

– Otóż to. Zauważ, że mit nie przyznaje tej istocie nieśmiertelności, jak zwykle dzieje się w systemach wierzeń związanych z istotą wyższą, przynajmniej w warunkach waszej szczególnej kultury. Cyberprzestrzeń istnieje, na ile można to nazwać istnieniem, dzięki czynnikowi ludzkiemu.

– Jak ty.

– Tak.

Przeszła do salonu. W szarym brzasku krzesła Ludwika XVI przypominały szkielety, a ich rzeźbione nogi galwanizowane kości.

– Gdyby istniała taka postać – powiedziała – byłbyś jej częścią, prawda?

– Tak.

– Wiedziałbyś o tym?

– Niekoniecznie.

– A czy wiesz?

– Nie.

– Czy wyklucasz taką możliwość?

– Nie.

– Nie sądzisz, Ciągłość, że to dziwaczna dyskusja?

Policzki miała mokre od łez, choć nie poczuła, kiedy zaczęły płynąć.

– Nie.

– A jak opowieści o... – Zawahała się; prawie wypowiedziała na głos „loa”. – O stworach w matrycy... Jak pasują do idei istoty wyższej?

– Nie pasują. Jedno i drugie jest wariantem Kiedy Się Zmieniło. Oba powstały raczej niedawno.

– Jak niedawno?

– Około piętnastu lat temu.

Obudziła się, czując na ustach dłoń Sally, widząc gest drugiej ręki, nakazujący ciszę.

Palily się małe lampki, te wbudowane w panele nakrapianego złotem lustra. Na ogromnym łóżku leżała otwarta jedna z jej walizek, a obok równy stosik ubrań.

Sally dotknęła palcem zamkniętych ust, potem skinęła na walizkę i ubrania.

Kumiko wyśliznęła się spod kołdry i wciągnęła sweter. Spojrzała na Sally i zastanowiła się, czy czegoś nie powiedzieć; o cokolwiek tu chodzi, pomyślała, jedno słowo może sprowadzić Petala. Sally była ubrana tak, jak Kumiko widziała ją ostatnio: kurtka na kozuszkę i tartanowy szal zawiązany pod brodą. Powtórzyła gest: pakuj się.

Kumiko ubrała się szybko, potem zaczęła układać rzeczy w walizce. Sally spacerowała niespokojnie i cicho po pokoju, otwierała i zamykała szuflady. Znalazła paszport Kumiko, płytkę czarnego plastiku z wytłoczoną złotą chryzantemą, i zawiesiła go dziewczynce na szyi na czarnym nylonowym sznurku. Zniknęła w łazience i wróciła z zamszowym futerałem, gdzie mieściły się przybory toaletowe Kumiko.

Kiedy Kumiko zamykała walizkę, zadzwieczał telefon z mosiądzu i kości słoniowej.

Sally zignorowała sygnał, wzięła z łóżka walizkę, otworzyła drzwi, chwyciła Kumiko za rękę i wyciągnęła ją na ciemny korytarz. Tam puściła jej dłoń i zamknęła drzwi, odcinając dzwonek telefonu i pozostawiając je

obie w całkowitej ciemności. Kumiko pozwoliła się poprowadzić do windy – poznała ją po zapachu oleju i politur, po stuk metalowej kraty.

Po chwili jechały w dół.

Petal czekał na nie w jasnym białym foyer, otulony szerokim flanelowym szlafrokiem. Nosił swoje wytarte kapcie. Nogi poniżej brzegu szlafroka miał dziwnie białe. W rękę trzymał pistolet, krótki, gruby i matowoczarny.

– Niech to szlag – mruknął, kiedy je zobaczył. – Co to ma znaczyć?

– Ona jedzie ze mną – odparła Sally.

– To – oznajmił wolno Petal – jest absolutnie niemożliwe.

– Kumi – rzuciła Sally, opierając dłoń o ramię Kumiko i wypychając ją z windy. – Samochód czeka.

– Nie możesz tego zrobić – powiedział Petal, ale Kumiko wyczuła jego zmieszanie i niepewność.

– Niech to diabli, Petal. To mnie zastrzel.

Petal opuścił pistolet.

– To Swain zastrzeli mnie, jeśli ci na to pozwolę.

– Gdyby tutaj był, miałby ten sam problem, prawda?

– Proszę... Nie rób tego.

– Nic się jej nie stanie. Nie ma powodów do zmartwień. Otwórz drzwi.

– Sally – wtrąciła Kumiko. – Dokąd jedziemy?

– Do Ciągu.

* * *

Obudziła się znowu, przykryta kurtką Sally, czując delikatne wibracje ponaddzwiękowego lotu. Pamiętała wielki, niski samochód czekający w zaułku, lampy rozpalające się na fasadach domów Swaina, zlaną potem twarz Ticka za szybą samochodu. Sally otworzyła drzwiczki i wpakowała ją do środka, a Tick przeklinał cicho i bezustannie. Wóz ruszył. Pamiętała pisk opon, kiedy Tick skręcił ostro w Kensington Park Road, i Sally mówiącą mu, żeby zwolnił i pozwolił kierować samochodowi.

Tam właśnie, w samochodzie, przypomniała sobie, że Maas-Neotek spoczywa w kryjówce za marmurowym popiersiem. Colin pozostał za nią w swoim myśliwskim ubraniu, z kurtką wytartą na łokciach jak kaptcie Petala – był tylko tym, kim był: duchem.

– Czterdzieści minut – odezwała się Sally z fotela obok. – Dobrze, że trochę się przespałaś. Niedługo podadzą śniadanie. Pamiętasz nazwisko w swoim paszporcie? Świetnie. I proszę, nie zadawaj mi żadnych pytań, dopóki nie napiję się kawy.

* * *

Kumiko знаła Ciąg z tysięcy stymów; fascynacja tą potężną konurbacją była typową cechą japońskiej kultury popularnej.

Niewiele wiedziała o Londynie, kiedy tam przybyła: na wpół zapomniane obrazy kilku słynnych budowli, niejasne wyobrażenia społeczeństwa, przez jej własne uznawanego za staromodne i pogrążone w stagnacji. (W opowieściach matki księżniczka-balerina odkrywała, że Anglików, choć ją podziwiali, nie było stać na płacenie jej za taniec). Jak dotąd Londyn okazywał się całkiem inny – ze swą energią, wyraźnym bogactwem, tłumami na pełnych sklepów ulicach.

Po Ciągu spodziewała się wiele i większość tych oczekiwań legła w gruzach po kilku godzinach od przybycia.

Kiedy jednak czekała z Sally w kolejce pasażerów w wielkiej i pustej sali przylotów, w ciemności rozjaśnianej w równych odstępach przez białe kule – mimo zimy otoczone rojami owadów, jakby budynek posiadał własny, odmienny klimat – to właśnie stymowy Ciąg sobie wyobrażała, zmysłowe elektryczne tło gorączkowego życia Angeli Mitchell i Robina Laniera.

Po kontroli – polegającej, mimo długiej kolejki, na przesunięciu paszportu przez brudną z wyglądu metalową szczelinę – wyszły na zewnątrz, do gwarnej betonowej zatoki, gdzie bezpilotowe wózki bagażowe sunęły wolno przez tłum, który falował i walczył o środki naziemnego transportu.

Ktoś chwycił jej walizkę. Wyciągnął rękę i wziął ją ze spokojem i pewnością, jakby powinien ją wziąć, jakby był funkcjonariuszem wykonującym tradycyjne obowiązki, niczym te młode kobiety, kłaniające się nisko na powitanie w drzwiach tokijskich magazynów handlowych. A Sally go kopnęła. Kopnęła od tyłu w kolano, obracając się płynnie, jak te tajlandzkie bokserki w pokoju bilardowym Swaina, i złapała walizkę, zanim jeszcze z wyraźnym trzaskiem jego czaszka zetknęła się z brudnym betonem.

Potem pociągnęła ją za sobą, a tłum zwarł się nad nieruchomą postacią. Niespodziewany, mimowolny akt przemocy mógł być tylko snem, tyle że Sally uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, gdy opuściły Londyn.

Czując się teraz zupełnie zagubiona, Kumiko obserwowała, jak Sally bada dostępne pojazdy, szybko przekupiła dyżurnego, zastraszyła troje innych czekających pasażerów i wepchnęła ją do odrapanego poduszkowca o płaskich burtach, pomalowanego w ukośne żółto-czarne pasy. Przedział pasażerski okazał się nagi i wyjątkowo niewygodny. Kierowca, jeśli w ogóle mieli kierowcę, był niewidoczny za pomazaną płytą pancernego plastiku. Kamera sterczała w miejscu, gdzie płyta dotykała sufitu; ktoś wymalował tam prymitywną postać: męskie torso z obiektywem jako fallusem. Gdy Sally wsiadła i zatrzasnęła za sobą drzwiczki, głośnik wycharczał coś w języku, który – jak uznała Kumiko – był jakąś odmianą angielskiego.

– Manhattan – odpowiedziała Sally.

Z kieszeni kurtki wyjęła plik papierowych pieniędzy i rozłożyła banknoty przed kamerą.

Głośnik zaburczał pytająco.

– Do centrum. Powiem gdzie, kiedy już tam dojedziemy.

Wydał się fartuch wozu, w przedziale pasażerskim zgasło światło; ruszyły w drogę.

Był na poddaszu. Patrzył, jak Cherry zajmuje się Gentrym – jak pielęgniarka.

Siedziała na brzegu łóżka. Obejrzała się na niego.

- Jak się czujesz, Ślizg?
- Dobrze... Czuję się dobrze.
- Pamiętasz, że już cię o to pytałam?

* * *

Spoglądał na twarz człowieka, którego Kid Afrika nazwał Grafem. Cherry robiła coś z jakimś elementem wyposażenia noszy, workiem płynu o barwie owsianki.

- Jak tam, Ślizg?
- W porządku.
- Nie jesteś w porządku. Ciągle za...

* * *

Siedział na podłodze u Gentry'ego. Twarz miał wilgotną. Cherry klęczała przy nim, blisko, opierając dłonie o jego ramiona.

- Siedziałeś?
- Kiwnął głową.
- Oddział chemopenalny?

– Tak...
– Indukowany Korsakow?
Wtedy...

* * *

– Epizody? – spytała Cherry.
Siedział na podłodze na poddaszu. Gdzie się podział Gentry?
– Trafiają ci się takie epizody? Zanika pamięć krótkoterminowa?
Skąd wiedziała? I gdzie jest Gentry?
– Co jest wyzwalaczem?

* * *

– Co wyzwała syndrom, Ślizg? Co cię pakuje w czas pudła?
Siedział na podłodze poddasza, a Cherry praktycznie leżała na nim.
– Stres – wyjaśnił, zastanawiając się, skąd może o tym wiedzieć. – Gdzie
jest Gentry?
– Położyłam go do łóżka.
– Dlaczego?
– Stracił przytomność. Kiedy to zobaczył...
– Co zobaczył?

* * *

Cherry przyciskała mu do nadgarstka różową dermę.
– Mocny trunk – wyjaśniła. – Może cię z tego wyciągnie...
– Z czego?
Westchnęła.
– Mniejsza z tym.

* * *

Obudził się w łóżku z Cherry Chesterfield. Miał na sobie ubranie... wszystko oprócz kurtki i butów. Czubek sztywnego penisa wcisnął się za klamrę paska, dotykając ciepłego dżinsu na tyłku Cherry.

– Tylko niech ci nic nie przychodzi do głowy...

Zimowe światło padało przez kratę okna, a oddech skraplał się w parę.

– Co się stało?

Dlaczego w pokoju jest tak zimno? Pamiętał, jak Gentry wrzasnął, kiedy to coś się na niego rzuciło...

Usiadł gwałtownie.

– Spokojnie – rzuciła i przewróciła się na wznak. – Kładź się. Nie wiem, co może cię znowu odpalić...

– Nie rozumiem.

– Połóż się. I przykryj. Chcesz zamarznąć?

Posłuchał.

– Byłeś w pudle, tak? Na oddziale chemopenalnym.

– Tak... Skąd wiesz?

– Powiedziałeś mi. W nocy. Mówiłeś, że stres może spowodować nawrót. To właśnie się stało. To coś skoczyło na twojego kumpla, ty palnąłeś w przełącznik i unieruchomiłeś ten stół. On upadł i rozbił sobie głowę. Zajęłam się nim i nagle zobaczyłam, że dziwnie się zachowujesz. Wyszło mi, że zatrzymujesz w pamięci najwyżej pięć minut naraz. Trafia się to czasem przy szoku albo wstrząsie...

– Gdzie on jest? Gentry.

– U siebie w łóżku, oblepiony środkami nasennymi. Był w takim stanie, że przyda mu się doba snu. A przynajmniej na jakiś czas mamy go z głowy.

Ślizg przymknął powieki i znowu zobaczył to szare coś, mglistą formę, która zaatakowała Gentry'ego. Mniej więcej człekopodobną, albo może małpiopodobną. Nic podobnego do tych splątanych linii, jakie generował sprzęt Gentry'ego w poszukiwaniu Kształtu.

– Chyba siadło zasilanie – oświadczyła Cherry. – Światła pogasty jakieś sześć godzin temu.

Otworzył oczy. Zimno. Gentry nie zdążył pobawić się przy konsoli. Ślizg jęknął.

* * *

Zostawił Cherry, żeby przygotować kawę na butanowym palniku, a potem ruszył szukać Ptaśka. Znalazł go, kierując się zapachem dymu. Ptasiek rozpalił ogień w stalowym pojemniku i zasnął, zwinięty wokół niego jak pies.

– Hej – rzucił Ślizg i trącił chłopaka butem. – Wstawaj. Mamy kłopoty.

– Wsiadł pieprzony prąd – wymamrotał chłopak. Usiadł owinięty nylonowym śpiworem, zabrudzonym do barwy identycznej z podłogą Fabryki.

– Zauważyłem. To właśnie problem numer jeden. Numer dwa: potrzebujemy ciężarówki, poduszkowca albo czegoś takiego. Musimy stąd wywieźć tego gościa. Z Gentrym nie dało się nic załatwić.

Ptasiek wstał. Trząśł się z zimna.

– Ale tylko Gentry może załatwić prąd.

– Gentry śpi. Kto ma ciężarówkę?

– Marvie i jego chłopcy – odparł Ptasiek i rozkaszłał się.

– Weź motor Gentry’ego. Przywieziesz go z powrotem na pace. Już.

Ptasiek uspokoił się.

– Nie pieprzysz?

– Chyba umiesz prowadzić?

– Tak, ale Gentry się...

– To już moje zmartwienie. Wiesz, gdzie trzyma zapasowy kluczyk?

– Pewnie – przyznał Ptasiek zawstydzony. – Słuchaj – dodał jeszcze – a jeśli Marvie i chłopcy nie będą chcieli mi pożyczyć ciężarówki?

– Dasz im to – rzekł Ślizg, sięgając do kieszeni po torbę prochów. Cherry zabrała je, kiedy już obandażowała Gentry’emu głowę. – Tylko oddaj im wszystko, jasne? Bo mam zamiar ich zapytać.

* * *

Sygnalizator Cherry zabrzączał, kiedy pili kawę w pokoju Ślizga, skuleni obok siebie na brzegu łóżka. Opowiadał jej, co wie o Korsakowie. Sama spytała. Właściwie nigdy z nikim o tym nie rozmawiał; to zabawne, jak mało rozumiał. Opowiedział o poprzednich nawrotach, potem spróbował wytłumaczyć, jak to działało w więzieniu. Sztuczka polegała na tym, że człowiek zachowywał wspomnienia długoterminowe aż do chwili, kiedy pakowali mu prochy. W ten sposób, zanim zaczął odsiadkę, mogli go nauczyć jakiejś pracy, a on nie zapominał, jak się coś robi. Zwykle robił to, z czym poradziłyby sobie roboty. Jego nauczyli składać miniaturowe przekładnie zębate; kiedy montaż zajmował mu już poniżej pięciu minut, wtedy się do niego zabrali.

– Jeszcze coś robili? – zapytała.

– Nie. Tylko te przekładnie.

– Nie. Chodzi mi o jakieś blokady psychiczne.

Przyjrzał się jej. Liszaj na wardze prawie się zagoił.

– Jeśli nawet, to nic o tym nie mówią.

Wtedy właśnie w którejś z jej kurtek odezwał się sygnalizator.

– Coś się stało – rzuciła i poderwała się na nogi.

* * *

Gentry klęczał przy noszach z czymś czarnym w ręku. Cherry wyrwała mu to, zanim zdążył się ruszyć. Został na klęczkach i przyglądał się jej, mrugając niepewnie.

– Niełatwo cię przyhamować.

Podala Ślizgowi czarny przedmiot: identyfikator siatkówki.

– Musimy sprawdzić, kim on jest – wyjaśnił Gentry.

Głos miał ochryply od środków nasennych, jakie mu podała, ale Ślizg wyczuł, że nieprzyjemny ton szaleństwa przycichł nieco.

– Do diabła – mruknęła Cherry. – Nawet nie wiesz, czy rok temu miał te same oczy.

Gentry dotknął bandaża na skroni.

– Też to widzieliście, prawda?

- Tak – potwierdziła Cherry. – On to wyłączył.
- To był szok – zapewnił Gentry. – Nie wyobrażałem sobie... Nic mi naprawdę nie groziło. Nie byłem przygotowany...
- Wskoczyłeś ze swojej pieprzniętej czaszki – mruknęła Cherry.
Gentry wstał niepewnie.
- On wyjeżdża – poinformował Ślizg. – Posłałem Ptaśka, żeby pożyczył ciężarówkę. Nie chcę więcej takich numerów.
Cherry przyjrzała mu się niepewnie.
- Dokąd wyjeżdża? Muszę jechać razem z nim. To moja praca.
- Znam dobre miejsce – skłamał Ślizg. – Gentry, nie mamy prądu.
- Nie możesz go stąd zabrać – oznajmił Gentry.
- Akurat.
- Nie. – Gentry zachwiał się. – On zostaje. Zworniki są na miejscu. Nie będę mu więcej przeszkadzał. Cherry może zamieszkać tutaj.
- Musisz chyba wytłumaczyć nam parę pieprzonych drobiazgów, Gentry – stwierdził Ślizg.
- Zacznijmy od tego... – Gentry wskazał na przedmiot nad głową Grafa.
- To nie jest LF; to jest alef.

Znowu hotel, znowu śmiertelna głębia postmagowego załamania, Prior prowadzący ją przez hol i japońscy turyści, już gotowi, stłoczeni wokół znudzonych przewodników. Jedna stopa, druga, znów pierwsza, jedna po drugiej, z głową tak ciężką, jakby ktoś wywiercił dziurę na czubku i wlał do środka ćwierć kilo ołowiu. Zęby jakby należały do kogoś innego, były za duże. Oparła się o ścianę windy, kiedy dodatkowe ciężenie pchnęło ją w dół.

– Gdzie Eddy?

– Eddy wyjechał, Mona.

Jakoś zdołała otworzyć szeroko oczy i spojrzała na niego. Ten drań znów się uśmiechał.

– Co?

– Eddy został wykupiony. Otrzymał rekompensatę. Jest teraz w drodze do Macau, z otwartą linią kredytową. Taka miła wycieczka do kasyn gry.

– Rekompensatę?

– Za swoją inwestycję. W ciebie. Za swój czas.

– Czas?

Drzwi rozsunęły się, odsłaniając korytarz z niebieskim chodnikiem.

Coś uderzyło ją, wzbudziło lodowaty dreszcz: Eddy nie cierpiał hazardu.

– Teraz pracujesz dla nas, Mona. Nie chcielibyśmy, żebyś znów wychodziła sama.

Ale chcieliście, pomyślała. Pozwoliłeś mi wyjść. I wiedziałeś, gdzie mnie szukać.

Eddy'ego już nie ma...

* * *

Nie pamiętała, kiedy zasnęła. Wciąż miała na sobie sukienkę i kurtkę Michaela zarzuconą na ramiona jak koc. Bez poruszania głową widziała szczyt tego góropodobnego budynku, ale wielkoroga już nie było.

Stymy Angie wciąż leżały zapieczętowane w folii. Wybrała losowo jedną kasetę, paznokciem rozcięła opakowanie, wcisnęła ją do odtwarzacza i założyła trody. Nie zastanawiała się; miała wrażenie, że ręce same wiedzą, jak się zachować: przyjazne zwierzątka, które nie zrobią jej krzywdy. Jedna z nich wcisnęła PLAY i Mona zsunęła się w czysty – jak najlepsze prochy – świat Angie: powolna melodia saksofonu i płynna jazda limuzyną przez jakieś europejskie miasto. Ulice przesuwają się wokół niej, wokół samochodu bez kierowcy: szerokie aleje, czyste o świcie i prawie puste, muśnięcie futra na ramionach... I dalej, prostą drogą między płaskimi polami, otoczonymi doskonałymi, identycznymi drzewami.

Zakręt, szelest opon ma żwirze, krętym podjazdem przez park okryty srebrzystą rosą, tutaj żelazny jelen, tam mokre marmurowe popiersie... Dom był ogromny, stary, niepodobny do żadnego domu, jaki kiedykolwiek widziała... Samochód wyminął go, potem jeszcze kilka mniejszych budynków, wreszcie dotarł na skraj gładkiego, rozległego pola.

Szybowce czekały tu na uprężach: półprzejryste membrany rozpięte na kruchych z wyglądu polikarbonowych szkieletach. Wibrowały lekko w porannej bryzie. Stał przy nich Robin Lanier: przystojny, swobodny Robin w szorstkim czarnym swetrze, w prawie wszystkich stymach grający partnera Angie.

Teraz wysiadała z samochodu, ruszała ku niemu, śmiała się, gdy obcasy wbiły się w trawę. Reszta drogi z butami w ręku, z uśmiechem, w ramiona Robina, jego zapach, jego oczy.

Wir, taniec montażu, kondensacja wsiadania do szybowca czekającego na srebrnej szynie indukcyjnej... Wyłynęli gładko nad pole, wzniesli się, skręcili, by pochwycić wiatr, w górę, wyżej, aż wielki dom stał się kanciastym kamiem pośród szerokiego łąnu zieleni przeciętego zmętniałym blaskiem łuku rzeki...

...i palec Priora na STOP, ściskający żołądek zapach jedzenia z wózka obok łóżka, w każdym stawie tępy, mdlący ból magowego załamania.

– Jedz – powiedział. – Niedługo wyjeżdżamy.

Podniósł z talerza metalową pokrywę.

– Sandwicz klubowy... Kawa, bułeczki. Zalecenie lekarza. Kiedy już znajdziesz się w klinice, przez jakiś czas nie będziesz mogła nic jeść.

– W klinice?

– U Geralda. W Baltimore.

– Po co?

– Gerald jest chirurgiem plastycznym. Popracuje nad tobą. Potem wszystko da się odwrócić, jeśli zechcesz, ale sądzimy, że będziesz zadowolona z wyników. Bardzo zadowolona. – Ten uśmiech... – Czy ktoś ci kiedyś mówił, Mona, jak bardzo jesteś podobna do Angie?

Zerknęła na niego w milczeniu. Zdołała usiąść, wypić pół filiżanki wodnistej czarnej kawy. Nie mogła się zmusić do spojrzenia na sandwicza, ale zjadła słodką bułeczkę. Smakowała jak tektura.

Baltimore... Nie była pewna, gdzie to jest.

Gdzieś tam szybowiec wciąż wisiał nad oswojoną zieloną krainą, gdzieś było futro na ramionach i Angie na pewno ciągle się śmiała...

* * *

Godzinę później, w holu, kiedy Prior podpisywał rachunek, zobaczyła czarne walizki Eddy'ego z klona aligatora, przejeżdżające na automatycznym wózku bagażowym. Wtedy wiedziała już na pewno, że Eddy nie żyje.

* * *

Gabinet Geralda miał tabliczkę z dużymi, staromodnymi literami, na czwartym piętrze bloku w mieście, o którym Prior mówił, że nazywa się Baltimore. Budynek z tych, gdzie wznosi się tylko ramię, a firmy

wynajmujące biura sprowadzają własne moduły. Jak w wielopiętrowym obozowisku przyczep campingowych, wszędzie pełno było wiązek kabli, światłowodów, rur kanalizacyjnych i wodociągowych.

– Co tu jest napisane? – spytała Priora.

– Gerald Chin. Dentysta.

– Mówiłeś, że jest chirurgiem plastycznym.

– Jest.

– Dlaczego nie możemy zwyczajnie iść do butiku, jak wszyscy?

Nie odpowiedział.

Niewiele teraz czuła. Jakaś część umysłu podpowiadała jej, że nie jest tak wystraszona jak powinna. Zresztą może to lepiej, bo gdyby naprawdę się bała, nic nie mogłaby zrobić, a stanowczo chciała wyrwać się z tej sprawy. Nieważne, o co tu chodzi. Podczas jazdy znalazła jakiś przedmiot w kieszeni kurtki Michaela. Dziesięć minut trwało, nim odkryła, że to paralizator; nerwowe garnitury często nosiły takie zabawki. Przypominał rękojeść śrubokręta z parą tępych metalowych rogów zamiast głowicy. Prawdopodobnie ładowało się go z gniazdka w ścianie; miała nadzieję, że Michael tego pilnował. Uznała, że Prior nie wie o paralizatorze. Takie rzeczy były prawie wszędzie legalne, ponieważ nie powinny powodować trwałych uszkodzeń. Ale Lanette знаła dziewczynę, którą porządnie takim załatwili i właściwie nigdy nie wyzdrowiała.

Jeśli Prior nie wiedział, że ma w kieszeni paralizator, to znaczy, że nie wie wszystkiego. Chociaż zależało mu, żeby w to wierzyła. Ale nie wiedział też, jak bardzo Eddy nie cierpiał hazardu.

Nie czuła specjalnie żalu w związku z Eddym, chociaż była pewna, że nie żyje. Nieważne, ile by mu dali, i tak nie zostawiłby tych walizek. Nawet gdyby zamierzał kupić całkiem nową garderobę, musiałby się przecież ubrać, żeby wyjść do sklepu. A te aligatorowe walizki były dla niego czymś szczególnym; kupił je od hotelowego złodzieja w Orlando, i stały się rzeczą najbardziej zbliżoną do rodzinnego domu. Zresztą, kiedy się dobrze zastanowić, nie wyobrażała sobie, żeby się zgodził na taki układ. Najbardziej na świecie pragnął wkręcić się w jakiś wielki interes. Uważał, że wtedy ludzie zaczną go traktować poważnie.

I w końcu ktoś potraktował go poważnie, myślała, kiedy Prior wniósł jej torbę do kliniki Geralda. Ale nie w taki sposób, w jaki Eddy by pragnął.

Przyjrzała się dwudziestoletnim plastikowym meblom, stosom magazynów z gwiazdami stymów i japońskim tekstem. Wyglądało tu jak u fryzjera w Cleveland. I nikogo nie było, nawet za biurkiem rejestratorki.

Gerald wszedł przez białe drzwi. Miał na sobie taki fartuch z marszczonej folii, jakich sanitariusze używają przy wypadkach drogowych.

– Zamknij drzwi – polecił Priorowi przez niebieską papierową maskę, kryjącą jego nos, usta i brodę. – Witaj, Mono. Wejdz tutaj, proszę.

Wskazał białe drzwi.

Ścisnęła w dłoni paralizator, ale nie wiedziała, jak go włączyć.

Ruszyła za Geraldem. Prior zamykał tyły.

– Usiądź – polecił Gerald.

Usiadła na białym emaliowanym krześle. Podszedł bliżej, spojrzał jej w oczy.

– Musisz odpocząć, Mono. Jesteś zmęczona.

Na uchwycie paralizatora znalazła karbowany przycisk. Nacisnąć go? Przesunąć do przodu? Do tyłu?

Gerald przeszedł do białej skrzyni z szufladami i wyjął coś.

– O, jest. – Wyciągnął w jej stronę okrągły przedmiot z jakimś napisem z boku. – To ci pomoże...

Prawie nie poczuła odmierzonej dawki aerozolu. Dokładnie tam, gdzie próbowała zogniskować spojrzenie, na pojemniku pojawiła się czarna plama. Rosła...

* * *

Pamiętała, że kiedyś staruszek tłumaczył jej, jak się zabija zębacze. Zębacz ma w czaszce dziurę porośniętą skórą. Trzeba wziąć coś sztywnego i wąskiego, drut, nawet gałązkę z miotły, i zwyczajnie wsunąć ją...

* * *

Pamiętała Cleveland i zwykły dzień, zanim przyszła pora na wyjście do pracy. Siedziały wtedy z Lanette i przeglądały magazyn. Znalazły fotografię roześmianej Angie w restauracji z jakimiś ludźmi. Wszyscy byli śliczni, ale poza tym sprawiali wrażenie, jakby roztaczali rodzaj poświaty. Nie naprawdę, na fotografii, ale ta poświata tam była. To się czuło. Patrz, powiedziała do Lanette, pokazując zdjęcie. Mają poświatę.

To się nazywa pieniądze, powiedziała Lanette.

* * *

To się nazywa pieniądze. Zwyczajnie wsunąć.

Jak zawsze, przybył bez zapowiedzi. I sam. Śmigłowiec Netu wylądował niby zagubiony komar, rozdmuchując na wilgotnym piasku pasma wodorostów.

Wsparta o przerdzewiałą balustradę obserwowała, jak zeskakuje na ziemię. W jego pozornym entuzjazmie było coś młodzieńczego, niemal chłopięcego. Nosił długą marynarkę z brązowego tweedu; rozpięta, odsłaniała nieskazitelny gors pasiastej koszuli, miał rozwiane podmuchem wirnika ciemnoblond włosy i powiewający krawat Sense/Netu. Robin miał rację, uznała, wciąż wygląda, jakby ubierała go matka.

Może to umyślnie, pomyślała, gdy maszerował ku niej po plaży; udawana naiwność. Przypomniała sobie, jak Porphyre przekonywał ją kiedyś, że wielkie korporacje są całkiem niezależne od istot ludzkich, tworzących ich ciała decyzyjne. Angie wydawało się to zupełnie oczywiste, ale fryzjer upierał się, że nie potrafi zrozumieć zasadniczych przesłanek. Swift był najważniejszym ludzkim czynnikiem decyzyjnym Sense/Netu.

Uśmiechnęła się na myśl o Porphyre'em. Swift uznał to za powitanie i rozpromienił się w odpowiedzi.

* * *

Zaproponował jej lunch w San Francisco – śmigłowiec był niesamowicie szybki. Ona z kolei uparła się, że przygotuje mu talerz liofilizowanej

szwajcarskiej zupy i w mikrofalówce podgrzeje zamrożony kłosek żytniego chleba.

Przyglądając mu się przy jedzeniu, zastanawiała się nad jego seksualnością. Zbliżał się do czterdziestki, ale wciąż sprawiał wrażenie niezwykle inteligentnego nastolatka, którego początek dojrzenia został w jakiś sposób odsunięty. Plotki w różnych okresach przypisywały mu wszelkie znane preferencje seksualne i kilka takich, które uważała za całkowicie zmyślane. Żadna z nich nie wydała się Angie prawdopodobna. Znała go od dnia, kiedy przyszła do Sense/Netu; już wtedy w hierarchii produkcyjnej zajmował niezłą pozycję jako jeden z najważniejszych ludzi zespołu Tally Isham. Natychmiast zainteresował się nią zawodowo. Kiedy teraz o tym myślała, nabierała przekonania, że to Legba postawił ją na jego drodze. Swift w oczywisty sposób szedł w górę, choć ona sama mogła tego wtedy nie dostrzegać, oślepiona światłami i ciągłym ruchem na planie.

Bobby natychmiast poczuł do niego antypatię, najeżył się odruchową dla człowieka z Barrytown niechęcią do władzy. Potrafił to jednak ukryć dla dobra jej kariery. Antypatia była wzajemna; Swift z wyraźną satysfakcją przyjął ich rozstanie i wyjazd Bobby'ego.

– Hilton – odezwała się, gdy naląła mu herbaty ziołowej, którą wolał od kawy. – Co zatrzymało Robina w Londynie?

Spojrzał na nią ponad parującym kubkiem.

– Sądzę, że sprawy osobiste. Może znalazł nowego przyjaciela.

Dla Hiltona Bobby zawsze był „przyjacielem” Angie. Przyjaciele Robina bywali zwykle młodymi, atletycznymi chłopcami. Delikatne sekwencje erotyczne w jej stymach z Robinem zestawiano z ujęć archiwalnych, dostarczanych przez Ciągłość i opracowanych z trudem przez Raebela i jego zespół efektów specjalnych. Angie pamiętała jedną noc, którą spędzili razem w starym domu w południowym Madagaskarze. Pamiętała bierność Robina i jego cierpliwość. Nigdy więcej nie próbowali; obawiał się, jak podejrzewała, że zażyłość naruszy tak perfekcyjnie przekazywaną w stymach iluzję.

– Co myślał o moim leczeniu w klinice? Mówił coś?

– Mam wrażenie, że podziwiał cię za to.

– Ktoś powiedział mi niedawno, że opowiadał ludziom, że zwariowałam.

Podwinął rękawy pasiastej koszuli i rozluźnił węzeł krawata.

– Nie wyobrażam sobie, żeby Robin mógł tak pomyśleć, a co dopiero powiedzieć. Wiem, co o tobie sądzi. A ty wiesz, czym są plotki w Necie.

– Hilton... Gdzie jest Bobby?

Piwnie oczy, całkowicie nieruchome...

– Czyżby to się nie skończyło, Angie?

– Wiesz, Hilton. Musisz wiedzieć, gdzie on jest. Powiedz mi.

– Zgubiliśmy go.

– Zgubiliście?

– Ochrona go zgubiła. Masz rację, naturalnie. Pilnowaliśmy go, kiedy odszedł od ciebie. Wrócił do dawnych wzorców.

W jego głosie zadźwięczała satysfakcja.

– A jakie to wzorce?

– Nigdy nie pytałem, dlaczego jesteście razem. Oczywiście ochrona sprawdziła was oboje. On był drobnym złodziejaszkiem.

Zaśmiała się.

– Nie był nawet tym...

– Byłaś bardzo dobrze reprezentowana, Angie, jak na kogoś całkiem nieznanego. Jak wiesz, twoi agenci umieścili w kontrakcie kluczowy warunek, że wraz z tobą zatrudnimy również Bobby'ego Newmarka.

– W kontraktach czasami pojawiają się dziwniejsze warunki.

– Otrzymywał pensję jako twój... towarzysz.

– Mój „przyjaciel”.

Czyżby Swift naprawdę się zarumienił? Spuścił wzrok, spojrzał na własne dłonie...

– Kiedy odszedł, wyjechał do Mexico City. Ochrona śledziła go, to jasne; nie lubimy tracić z oczu nikogo, kto tak wiele wie o życiu osobistym jednej z naszych gwiazd. Mexico City to bardzo... skomplikowane miejsce. Wiemy, że próbował na nowo podjąć dawną... karierę.

– W cyberprzestrzeni?

Znów spojrzał jej w oczy.

– Spotykał się z ludźmi w tym fachu. Ze znanymi przestępcami.
– A potem? Mów dalej.
– On... rozplątał się. Zniknął. Czy masz pojęcie, czym jest Mexico City, kiedy człowiek zsunie się poniżej granicy ubóstwa?
– A on był biedny?
– Stał się nałogowcem. Tak twierdzą nasze najlepsze źródła.
– Nałogowcem? Czego?
– Nie wiem.
– Ciągłość!
Niemal rozlał herbatę.
– Witaj, Angie.
– Bobby, Ciągłość. Bobby Newmark, mój... przyjaciel. – Zerknęła na Swifta. – Wyjechał do Mexico City. Hilton mówi, że uzależnił się od czegoś. Jakiś narkotyk, Ciągłość?
– Przykro mi, Angie. Te dane są zastrzeżone.
– Hilton...
– Ciągłość – zaczął i zakaszłał.
– Witaj, Hilton.
– Dostęp priorytetowy, Ciągłość. Czy mamy tę informację?
– Dane ochrony opisują uzależnienie Newmarka jako neuroelektroniczne.
– Nie rozumiem.
– Coś w rodzaju, hm... elektronicznych połączeń z mózgiem – wyjaśnił Swift.
Poczuła chęć, żeby mu opowiedzieć, jak znalazła narkotyk i ładowarkę.
Ciszej, dziecko.
Słyszała brzęczenie w głowie, czuła rosnący ucisk...
– Angie! Co się dzieje?
Poderwał się z krzesła, wyciągnął rękę...
– Nic. Jestem... niespokojna. Przepraszam. To nerwy. Nie twoja wina. Zamierzałam ci powiedzieć, że znalazłam dek cyberprzestrzeni Bobby'ego. Ale przecież wiesz już o tym, prawda?
– Może ci coś przynieść? Szklankę wody?

– Nie, dziękuję. Ale chyba się na trochę położę, jeśli nie masz nic przeciw temu. Ale zostań, proszę. Mam parę pomysłów na sekwencje orbitalne i chciałabym, żebyś mi doradził...

– Oczywiście. Zdrzemnij się. Pospaceruję sobie po plaży, a potem porozmawiamy.

* * *

Obserwowała go z okna sypialni. Patrzyła, jak brązowa sylwetka oddala się w stronę Kolonii, w towarzystwie cierpliwego małego dorniera.

Wyglądał jak dziecko na pustej plaży; wyglądał na równie zagubionego, jak ona się czuła.

Wciąż nie było prądu do stuwatowych żarówek, ale wstało słońce i poddasze Gentry'ego wypełniło się światłem. Zimowe promienie złagodziły kontury konsoli i stołu montażowego, ukazały fakturę starych książek, stojących rzędami na wygiętych pod ich ciężarem półkach przy zachodniej ścianie. Gentry krążył wkoło i mówił, przy każdym zwrocie kołysząc blond czubem. Podniecenie kasowało efekty działania nasennych *derm Cherry*.

Cherry siedziała na skraju łóżka i słuchała Gentry'ego, od czasu do czasu zerkając na wskaźnik baterii przy noszach. Ślizg zajął znalezione kiedyś w *Samotni* połamane krzesło; dorobili mu tapicerkę z przejrzystej foliowej taśmy, owiniętej na poduszkach ze starych ubrań.

Ku uldze Ślizga Gentry pominął całą sprawę *Kształtu* i przeszedł od razu do teorii tego alefa. Jak zwykle, kiedy już się rozpędził, używał słów i zdań, których Ślizg nie rozumiał całkowicie. Doświadczenie jednak wskazywało, że nie warto mu przerywać; sztuka polegała na tym, żeby wyciągnąć jakieś znaczenia z całości wykładu, unikając przy tym niezrozumiałych fragmentów.

Gentry wyjaśnił, że *Graf* jest włączony do czegoś, co można uznać za gigantyczny *mikrosoft*; sądził, że cały blok to jedna lita bryła, ogromny *biochip*. Jeśli to prawda, to zabawka posiadała praktycznie nieskończoną pojemność pamięci; taki zestaw byłby niewyobrażalnie kosztowny w produkcji. To dość niezwykle, stwierdził Gentry, że w ogóle ktoś zbudował coś podobnego, chociaż krążyły legendy, że takie rzeczy istnieją i mają swoje zastosowania, w szczególności dla przechowywania

ogromnych ilości poufnych danych. Nie posiadając żadnych łącz z globalną matrycą, taki schowek byłby odporny na każdy atak z cyberprzestrzeni. Problem w tym, że do danych nie było dostępu przez matrycę – tkwiły w martwej skrzynce.

– On może tam mieć cokolwiek – oznajmił Gentry i przystanął, by spojrzeć na nieprzytomną twarz. Obrócił się na pięcie i ruszył dalej. – Świat. Światy. Dowolną liczbę konstruktów osobowości...

– Tak jakby żył w stymie? – spytała Cherry. – To dlatego nie ustaje mu REM.

– Nie. To nie symstym. Układ jest całkowicie interaktywny. To kwestia skali. Jeśli to biosoft klasy alef, to facet może tam mieć dosłownie wszystko. A dokładniej: może mieć aproksymację wszystkiego.

– Kid Afrika mówił chyba – wtrąciła Cherry – że on płaci za to, żeby tkwić w takim stanie. Coś jak wirtualowcy, ale nie całkiem. Zresztą wirtualowcy tak nie REMują...

– Ale kiedy chciałeś przepuścić to przez swój sprzęt... – zaczął Ślizg – ...dostałeś to... to coś...

Zobaczył, jak Gentry napina mięśnie pod skórą.

– Tak. A teraz muszę odnowić nasz abonament w Agencji Energii. – Wskazał akumulatory ustawione pod stalowym pulpitem. – Wyciągnij mi to.

– Fakt – zgodziła się Cherry. – Najwyższy czas. Już mi tyłek zamarza.

* * *

Zostawili Gentry'ego nad dekiem cyberprzestrzeni i wrócili do pokoju Ślizga. Cherry uparła się, żeby owinać nosze podłączonym do akumulatora elektrycznym kocem Gentry'ego. Na butanowym palniku została zimna kawa. Ślizg wypił ją, nie podgrzewając, a Cherry wyglądała przez okno na zasypaną śniegiem równinę Samotni.

– Jak to wszystko powstało? – zapytała.

– Gentry mówi, że sto lat temu było tu wielkie wysypisko. Potem przykryli je warstwą gleby, ale nic nie chciało rosnąć. Za dużo zostało

toksycznych odpadów. Deszcz splukał ziemię. Chyba w końcu dali spokój i zaczęli tu dalej wywozić różne gówno. Nie można tam pić wody. Pełno w niej fenoli i całej reszty.

– A te króliki, na które poluje Ptasiek?

– Żyją na zachód stąd i nie pokazują się w Samotni. Nawet szczurów tu nie ma. A i tak trzeba sprawdzać każde mięso, jakie się trafi.

– Są ptaki...

– Tutaj tylko przylatują, ale jedzenia szukają gdzie indziej.

– Co jest między tobą a Gentrym? – Nadal wyglądała przez okno.

– O co ci chodzi?

– Na początku myślałam, że jesteście gejami. Znaczą: razem.

– Nie.

– Ale jakoś jesteście sobie nawzajem potrzebni...

– Przez to miejsce. Fabrykę. Pozwala mi tu mieszkać, a ja... muszę tu mieszkać. Żeby wykonywać swoją pracę.

– Czyli budować te maszyny na dole?

Zapłonęła żarówka osłonięta żółtym stożkiem faksu. Ruszył wentylator grzejnika.

– Nareszcie... – Cherry przykucnęła przed dmuchawą i odpinała jedną kurtkę po drugiej. – Może i jest wariatem, ale właśnie zrobił to, co trzeba.

* * *

Kiedy Ślizg wszedł na poddasze, znalazł Gentry'ego w starym biurowym fotelu, wpatzonego w mały składany monitor na blacie.

– Robert Newmark – oznajmił Gentry.

– Co?

– Identyfikacja siatkówki. Albo to Robert Newmark, albo ktoś, kto kupił jego oczy.

– Jak to znalazłeś? – Ślizg pochylił się i popatrzył na ekran pełen podstawowych danych osobowych.

Gentry zignorował pytanie.

– Tak bywa. Wystarczy czasem pogrzebać, a trafia się na coś zupełnie niespodziewanego.

– Znaczy, co?

– Ktoś chce wiedzieć, czy ktoś inny nie pytał o pana Newmarka.

– Kto?

– Nie wiem. – Gentry zabębnił palcami o skórzaną nogawkę spodni. – Popatrz tylko. Nic tu nie ma. Urodzony w Barrytown. Matka: Marsha Newmark. Mamy jego GNI. A jednak ktoś go pilnuje. – Odsunął fotel na rolkach i zakręcił się, by dojrzeć nieruchomą twarz Grafa. – No jak, Newmark? Czy to naprawdę twoje nazwisko?

Wstał i podszedł do stołu holo.

– Przestań – mruknął Ślizg.

Gentry wcisnął klawisz zasilania.

Na moment pojawiła się znowu szara zjawa, ale tym razem zanurkowała do centrum półsferycznego wyświetlacza, zmaląła i zniknęła. Nie... Wciąż tam była: mała szara kula w samym środku rozjarzonego pola projekcyjnego.

Gentry znowu uśmiechnął się obłąkańczo.

– Dobrze – powiedział.

– Co jest dobrze?

– Teraz już wiem, co to jest. Rodzaj lodu. Program strażniczy.

– Ta małpa?

– Ktoś tu miał poczucie humoru. Jeśli małpa cię nie odstraszy, zmienia się w groszek...

Przeszedł na drugi koniec blatu i zaczął grzebać w jednym z bagażników.

– Wątpię, czy potrafią to zrobić przy bezpośrednim łączy sensorycznym.

Trzymał coś w ręku. Siatkę trod.

– Gentry, nie rób tego! Popatrz na niego!

– Nie mam zamiaru – odparł Gentry. – Ty to zrobisz.

Wyglądając przez zachlapane szyby taksówki, zaczęła żalować, że nie ma przy niej Colina z jego ironicznymi komentarzami. Zaraz jednak przypomniała sobie, że to, co widzi, znajduje się całkowicie poza sferą jego wiedzy. Ciekawe, czy Maas-Neotek produkuje podobne zestawy dla Ciągu? A jeśli tak, to w jakiej postaci zjawia się duch?

– Sally – odezwała się po mniej więcej półgodzinie jazdy. – Dlaczego Petal pozwolił mi z tobą jechać?

– Bo jest rozsądny.

– A mój ojciec?

– Twój ojciec się zesra.

– Słucham?

– Będzie wściekły. Jeśli się dowie. Ale nie musi. Nie zabawimy tu długo.

– A po co przyleciałyśmy?

– Muszę z kimś porozmawiać.

– Ale dlaczego mnie zabrałaś?

– Nie podoba ci się tutaj?

Kumiko zawahała się.

– Owszem, podoba.

– To dobrze. – Sally poprawiła się na wytartym fotelu. – Petal pozwolił nam odejść, ponieważ nie potrafiłby nas powstrzymać tak, żeby jednej z nas nie zranić. Właściwie może nawet nie zranić. Raczej obrazić. Swain mógłby cię przymrozić, a potem przeprosić, powiedzieć ojcu, że to dla twojego dobra, gdyby już do tego doszło. Ale gdyby mnie to zrobił, to jakby dał mi w twarz, rozumiesz? Kiedy zobaczyłam Petala z pistoletem,

wiedziała, że nas przepuści. Twój pokój jest na podsłuchu. Zresztą cały dom jest. Kiedy zbierałam twoje rzeczy, złapały mnie czujniki ruchu. Wiedziała, że tak będzie. A Petal wiedział, że to ja. Dlatego zadzwonił na górę, żeby dać mi znać. Że wie.

– Nie rozumiem.

– Taka uprzejmość. Uprzedził, że będzie czekał, żebym mogła chwilę pomyśleć. Ale on nie miał wyboru i też był tego świadomy. Swain, rozumiesz, jest do czegoś zmuszany i Petal o tym wie. W każdym razie Swain tak mówi: że go zmuszają. Mnie zmuszają na pewno. Zaczęłam się zastanawiać, jak bardzo Swain mnie potrzebuje. I naprawdę bardzo. Ponieważ pozwolili mi zwiąć z córką *oyabuna*, przyslaną dla bezpieczeństwa aż na Notting Hill. Coś tam przeraża go bardziej niż twój tatko. Chyba że to coś może uczynić go bogatszym niż twój tatko do tej pory. W każdym razie, zabierając cię, tak jakbym wyrównała rachunki. Jakbym mu oddała. Łapiesz?

– Ale czym ci grożą?

– Ktoś dużo wie o tym, co robiłam.

– A Tick odkrył tożsamość tej osoby?

– Tak. Chyba się sama domyślałam. Ale miałam piekielną nadzieję, że się mylę.

* * *

Ściany wybranego przez Sally hotelu były wyłożone poplamionymi rdzą stalowymi płytami, każda z nich umocowana lśniącochromowanymi sworzniami – styl, jaki Kumiko знаła z Tokio i uważała za nieco staromodny. Pokój dostały duży i szary, w dziesięciu odcieniach szarości. Sally zamknęła drzwi na klucz, zrzuciła kurtkę, po czym podeszła prosto do łóżka i położyła się.

– Nie masz bagażu – zauważyła Kumiko.

Sally usiadła i zaczęła zdejmować buty.

– Mogę kupić to, czego potrzebuję. Jesteś zmęczona?

– Nie.

– Ja tak.

Zdjęła przez głowę czarny sweter. Piersi miała małe, z brązoworóżowymi sutkami. Tuż pod lewym sutkiem zaczynała się blizna, znikająca aż za paskiem dżinsów.

– Ktoś cię zranił – stwierdziła Kumiko, patrząc na bliznę.

Sally spojrzała także.

– Tak.

– Dlaczego nie kazałaś jej usunąć?

– Czasami dobrze, jeśli coś przypomina.

– Że byłaś ranna?

– Że byłam głupia.

* * *

Szarość na szarości. Kumiko nie mogła zasnąć i krążyła po szarym dywanie. Ten pokój, uznała, miał cechy wampiryczne, wspólne z milionami podobnych pokoi: jak gdyby ta oszałamiająco bezbłędna anonimowość wysysała z niej osobowość, której fragmenty wynurzały się jako podniesione w kłótni głosy rodziców, twarze czarno odzianych sekretarzy ojca...

Sally zasnęła; twarz miała gładką jak maska. Widok z okna nie zdradził Kumiko niczego; tyle tylko, że spogląda na miasto, które nie jest ani Tokio, ani Londynem, na wielki wir pozbawiony cech indywidualnych, będący paradygmatem miejskiej rzeczywistości jej stulecia.

Może zresztą sama także zasnęła, chociaż nie była tego pewna. Rankiem przyglądała się, jak, wystukując polecenia na pokojowym wideotelefonie, Sally zamawia przybory toaletowe i bieliznę. Zakupy dostarczono, kiedy Kumiko poszła wziąć prysznic.

– Gotowe! – zawołała Sally zza drzwi. – Wytrzymaj się i ubierz, idziemy na spotkanie.

– Z kim? – zapytała Kumiko, ale Sally jej nie słyszała.

* * *

Gomi.

Trzydzieści pięć procent powierzchni lądu w Tokio zbudowane zostało na *gomi*, na poziomych traktach wydartych Zatoce przez stulecie systematycznego wysypywania odpadów. Tam *gomi* było bogactwem naturalnym, policzonym, zbieranym i starannie rozrzucanym na dnie.

Stosunek Londynu do *gomi* wydawał się bardziej subtelny, bardziej delikatny. W ocenie Kumiko samo miasto składało się z *gomi*, ze struktur, które japońska gospodarka dawno by już pochłonęła w swym nienasyconym głodzie terenów budowlanych. A jednak struktury te nawet oczom Kumiko ukazywały osnowę czasu; każda ściana połatana pokoleniami rąk zajętych bezustannym trudem restauracji. Anglicy cenili *gomi* samo w sobie, w sposób, jaki dopiero zaczynała pojmować. Mieszkali w nim.

Gomi w Ciągu było jeszcze inne: żyzne próchno, zgnilizna, z której wyrastały pędy stali i polimerów. Pozorny brak planowania wystarczył, by spowodować zawrót głowy – tak całkowicie przeciwny był wartości, jakie jej cywilizacja nadawała ziemi do wykorzystania.

Jazda taksówką z lotniska już pokazała jej stan rozkładu, całe dzielnice w ruinie, puste okna wytrzeszczone nad chodnikami zasypianymi śmieciem. I wpatrzone twarze, gdy opancerzony poduszkowiec mknął po ulicach.

A teraz Sally wepchnęła ją gwałtownie w niezwykłość tego miejsca, z jego rozpadem i przypadkowością wieżowców wyższych niż jakiegokolwiek w Tokio – korporacyjnych obelisków przebijających czarną od sadzy koronkę zachodzących na siebie kopuł.

Po dwóch zmianach taksówki od hotelu ruszyły dalej pieszo, zanurzając się w popołudniowy nurt przechodniów i ukośne cienie. Powietrze było chłodne, ale nie tak zimne jak w Londynie i Kumiko pomyślała o kwiatach w parku Ueno.

Pierwszym przystankiem okazał się spory, nieco wyblakły bar zwany „Elegancką Porażką”. Sally przeprowadziła tu cichą, bardzo krótką

rozmowę z barmanem.

Wyszły, niczego nie zamawiając.

* * *

– Duchy – mruknęła Sally, skręcając za róg.

Kumiko szła tuż za nią. Od kilku przecznic ulice stawały się coraz bardziej puste, budynki mroczniejsze i bardziej zaniedbane.

– Słucham?

– Pełno tu duchów... dla mnie. A w każdym razie powinny być.

– Znasz tę okolicę?

– Pewnie. Wygląda tak samo, ale inaczej, wiesz?

– Nie...

– Kiedyś zrozumiesz. Kiedy znajdziemy tego, kogo szukam, zachowuj się jak grzeczna dziewczynka. Odpowiadaj, kiedy cię zapytają, a poza tym się nie odzywaj.

– A kogo szukamy?

– Człowieka. A raczej tego, co z niego zostało.

Kolejna przecznica: ponura, całkiem pusta ulica. Jeśli nie liczyć ośnieżonego zaułka przed domem Swaina, Kumiko nigdy jeszcze nie widziała pustej ulicy. Sally zatrzymała się przed starym i niezbyt obiecującym frontonem sklepu. Podwójne okno wystawowe srebrzyło się grubą wewnętrzną powłoką kurzu. Wyteżając wzrok, Kumiko rozpoznała litery ze szklanych rurek martwego neonu: METRO, potem jakieś dłuższe słowo. Drzwi między oknami były wzmocnione arkuszem blachy falistej; w równych odstępach sterczały z niej zardzewiałe haczyki, spięte razem zwojami galwanizowanej struny tnącej.

Sally stanęła przed drzwiami, wyprostowała ramiona i wykonała serię płynnych, drobnych, szybkich gestów.

Kumiko patrzyła w skupieniu, jak powtarza całą sekwencję.

– Sally...

– To migi – przerwała jej. – Mówiłam ci, że masz siedzieć cicho, jasne?

– Tak? – Głos, niemal szept, niedochodzący z żadnego określonego miejsca.

– Już powiedziałam – rzuciła Sally.

– Nie migam.

– Chcę z nim porozmawiać – oznajmiła surowo.

– On nie żyje.

– To wiem.

Zapadła cisza. Kumiko usłyszała dźwięk, który mógł być wiatrem: zimnym i niosącym drobiny pyłu wiatrem, omiatającym krzywiznę geodezyjnej wysoko nad ich głowami.

– Nie ma go tutaj – oznajmił głos. Brzmiał, jakby się oddalał. – Za rogiem, przed następnym skrzyżowaniem w lewo.

* * *

Kumiko na zawsze zapamiętała ten zaułek: ciemne cegły śliskie od wilgoci, osłonięte otwory wentylacyjne, dmuchające czarnymi smużkami zlepionego kurzu, żółta żarówka w klatce zardzewiałego drutu, po obu stronach pleniące się pod murem niskie zarośla rozbitych butelek, duże – jak dla ludzi – legowiska z pogniecionego faksu i białych styropianowych opakowań. I stukanie obcasów Sally.

Poza mętnym kręgiem światła żarówki panowała ciemność, choć blask odbity od mokrych cegieł wskazywał na końcowy mur, ślepią ścianę. Kumiko zwolniła, wystraszona zbudzonym nagle echem, jakimś szelestem, równym dźwiękiem spadających kropel...

Sally podniosła rękę. Wąski promień bardzo jasnego światła obrysował krąg pomazanych farbą cegieł, potem zsunął się w dół. Obniżał się, aż znalazł coś u podstawy ściany: matowy metal, pionowy zaokrąglony blok, który Kumiko wzięła za kolejną osłonę wentylatora. Wokół zobaczyła ogarki białych świec, płaską plastikową butelkę wypełnioną do połowy przezroczystym płynem, zbiór paczek papierosów i skomplikowaną, wieloręką sylwetkę wykreśloną chyba białą kredą.

Sally podeszła bliżej. Kumiko zauważyła, że opancerzony blok jest umocowany do muru masywnymi nitami.

– Finn?

Szybki błysk różowego światła z poziomej szczeliny.

– Finn, chłopie... – Niezwykle wahanie w jej głosie...

– Moll. – Zgrzytliwie, jakby przez zepsuty głośnik. – Po co ta latarka? Masz jeszcze wzmacniacze? Starzejesz się i nie widzisz już tak dobrze po ciemku?

– Dla mojej przyjaciółki.

Coś poruszyło się w szczelinie – coś o niezdrowej barwie różu gorącego popiołu z papierosa w jasny dzień. Twarz Kumiko załało niepewne światło.

– Fakt – zgrzytnął głos. – Kim ona jest?

– Córką Yanaki.

– Nie pieprz.

Sally poświeciła na chodnik; promień padł na świecę, butelkę, zwilgotniałe szare papierosy, biały symbol o pierzastych ramionach.

– Poczęstuj się ofiarami – zaproponował głos. – Masz tam pół litra moskowskiej. Znak hoodoo to mąka. Pech; ci na szczycie kreślą je kokainą.

– Jezu – mruknęła Sally. Przykucnęła. – Nie mogę uwierzyć.

Podniosła butelkę i powąchała zawartość.

– Łyknij sobie. Dobra wódka. Lepiej, żeby była. Nikt nie kiwnie wyroczni, jeśli wie, co dla niego dobre.

– Finn – szepnęła Sally, podniosła butelkę do ust, przełknęła, grzbietem dłoni otarła wargi. – Chyba zwariowałeś...

– Nie miałem takiego szczęścia. W takim systemie trzeba się dobrze wysilić dla odrobiny wyobraźni; co tu mówić o szaleństwie.

Kumiko podeszła bliżej i kucnęła obok Sally.

– To jest konstrukt? Zapis osobowości?

Sally odstawiła butelkę wódki i białym paznokciem dotknęła wilgotnej mąki.

– Pewno. Widziałas już takie. Pamięć w czasie rzeczywistym, jeśli zechcę, podłączony do c-przestrzeni, jeśli zechcę. Rozkręciłem ten numer z wyrocznią, żeby nie wypaść z obiegu. – Blok wydał dziwaczny dźwięk:

śmiej. – Masz kłopoty w miłości? Niedobra kobieta nie chce cię zrozumieć? – Znowu ten śmiech, jak wybuch trzasków. – Szczerze mówiąc, udzielam raczej porad w interesach. To miejscowe dzieciaki zostawiają te rzeczy. Ale chyba dobrze to wpływa na tajemniczość. A raz na jakiś czas trafia się sceptyk, jakiś dureń, który uznaje, że może się poczęstować. – Ze szczeliny błysnęła cienka szkarłatna linia, a gdzieś po prawej ręce Kumiko wybuchła butelka. Trzeszczący śmiech. – A zatem, co cię do mnie sprowadza, Moll? Ciebie i... – Różowe światło padło na twarz Kumiko. – Córkę Yanaki.

– Akcja w Straylight – odparła Sally.

– Sporo czasu minęło, Moll...

– Ona chce mnie dorwać, Finn. Czternaście lat, a ta obłąkana dziwka na mnie poluje.

– Może nie ma nic lepszego do roboty. Wiesz, jacy są ci bogacze...

– Czy wiesz, Finn, gdzie jest Case? Może jego też poszukuje.

– Case się wycofał. Po waszym rozstaniu zrobił jeszcze parę niezłych numerów, potem kopnął to wszystko i wyrwał się czysty. Gdybyś też tak zrobiła, nie mroziłabyś teraz tyłka w tym zaułku, prawda? Kiedy ostatnio o nim słyszałem, miał czworo dzieci.

* * *

Obserwując hipnotyczny ruch różowego skanującego ognika, Kumiko zaczęła się domyślać, z czym właściwie rozmawia Sally. W gabinecie jej ojca stały podobne systemy: cztery czarne lakierowane sześciany na niskiej sosnowej półce. Nad każdym wisiał oficjalny portret – monochromatyczna fotografia człowieka w ciemnym garniturze i krawacie, czterech bardzo poważnych dżentelmenów z małymi metalowymi emblematami w klapach. Ojciec także czasem taki nosił. Matka twierdziła, że w tych sześcianach tkwią duchy – duchy złych przodków ojca. Jednak Kumiko bardziej one fascynowały niż przerażały. Jeśli naprawdę były tam duchy, to bardzo małe, jako że w każdym sześcianie zmieściłaby się najwyżej głowa dziecka.

Ojciec medytował czasem przed sześcianami; klęczał na gołej macie tatami w pozie oznaczającej głęboki szacunek. Wielokrotnie widziała go w takiej sytuacji, ale dopiero w dziesiątym roku życia pierwszy raz usłyszała, że zwraca się do sześcianów. I jeden z nich odpowiedział. Pytanie było dla niej niezrozumiałe, odpowiedź tym bardziej, ale spokojny ton głosu ducha sparaliżował ją lękiem w jej kryjówce za papierowymi drzwiami. Ojciec śmiał się, kiedy ją tam znalazł; zamiast ją skarcić, wytłumaczył, że w sześcianach umieszczono zarejestrowane osobowości dawnych urzędników, dyrektorów korporacji. Dusze? – zapytała. Nie, odparł z uśmiechem i dodał, że rozróżnienie jest dość subtelnej natury.

– Nie są świadomi. Zapytani, odpowiadają w sposób zbliżony do reakcji oryginału. Jeśli są duchami, to duchami trzeba by nazwać również hologramy.

Po wykładzie Sally o historii i hierarchii yakuzy w barze robata przy Earl's Court, Kumiko uznała, że każdy z mężczyzn na fotografiach, obiektów zapisu osobowości, był kiedyś *oyabunem*.

Domyśliła się, że to coś w opancerzonym bloku było podobne, choć może bardziej złożone, tak jak Colin był bardziej złożoną wersją przewodnika Michelina, jaki sekretarze ojca zabierali na zakupy do Shinjuku. Sally nazywała to coś Finnem; to jasne, że ten Finn był kiedyś jej przyjacielem czy współnikiem.

Ale czy budzi się, myślała Kumiko, kiedy zaułek jest pusty? Czy laserowy wzrok skanuje bezgłośnie opadanie nocnego śniegu?

* * *

– Europa – zaczęła Sally. – Kiedy rozstałam się z Case'em, zjeździłam ją całą. Miałam kupę forsy za tę akcję, a w każdym razie wtedy wydawało się to dużo. SI Tessier-Ashpoolów wypłaciła nam wszystko przez bank szwajcarski. Skasowała wszystkie ślady świadczące, że w ogóle byliśmy na górze. Naprawdę wszystko; gdybyś sprawdziła nazwiska, pod jakimi lecieliśmy promem JAL, po prostu ich tam nie było. Case sprawdził. Kiedy byliśmy już w Tokio, przedostał się do wszystkich możliwych danych.

Zupełnie jakby nic się nie wydarzyło. Nie rozumiałam, jak można coś takiego zrobić, SI czy nie, ale właściwie nikt dobrze nie rozumiał, co zaszło tam na górze, kiedy Case na tym chińskim lodołamaczu przejechał przez lód ich rdzenia.

– Czy potem SI próbowała się skontaktować?

– Nic o tym nie wiem. Case uważał, że już jej nie ma; nie zniknęła, ale przeszła we wszystko, w całą matrycę. Jakby nie była już w cyberprzestrzeni, ale po prostu była. A jeśli nie chciała, żeby ktoś ją zobaczył, żeby się dowiedział, że jest, to nie było na to sposobu. Ani na to, żeby udowodnić to komukolwiek, nawet gdybyś wiedział... Ja... Ja nie chciałam wiedzieć. Wiesz, cokolwiek to było, dla mnie się skończyło. Sprawa załatwiona. Armitage zginął, Riviera zginął, Ashpool zginął, ten Rasta, pilot holownika, który zabrał nas z powrotem do kiści Syjonu, pewnie zapamiętał wszystko jako kolejny sen na konopiach... Zostawiłam Case'a w tokijskim Hyacie i nigdy więcej go nie spotkałam...

– Dlaczego?

– Kto to wie? Bez ważnych powodów. Byłam młoda i uznałam, że już po wszystkim.

– Ale ją zostawiłaś nad studnią. W Straylight.

– Właśnie. I myślałam o niej od czasu do czasu. Kiedy odchodziliśmy, Finn, zdawało się, że nic jej to nie obchodzi. To, że zabiłam dla niej jej obłąkanego, chorego ojca, a Case przebił się do ich rdzeni i wypuścił SI do matrycy... Więc umieściłam ją na liście. Kiedy człowiek wpada w poważne kłopoty albo ktoś chce go dorwać, sprawdza tę listę.

– I od razu zgadłaś, że to ona?

– Nie. Moja lista jest dosyć długa.

Case, który w opinii Kumiko był kimś więcej niż tylko partnerem Sally, nie pojawił się już w opowieści.

Słuchając, jak Sally streszcza Finnowi czternaście lat swego życia, Kumiko wyobrażała sobie tę młodszą Sally jako bohaterkę *bishonen* w tradycyjnym romantycznym wideo: niezwykłą, elegancką i groźną. Wprawdzie trudno było nadać za rzeczową opowieścią i odniesieniami do miejsc i zdarzeń, o których nie miała pojęcia, ale łatwo było ją zobaczyć,

jak odnosi nagle, niespodziewane zwycięstwa, tradycyjnie oczekiwane od *bishonen*. Ale nie, pomyślała, gdy Sally pominęła „zły rok w Hamburgu” – gniew zabrzmiał w jej głosie, dawny gniew na okres sprzed dziesięciu lat. To błąd, umieszczać tę kobietę w sytuacjach japońskiej kultury. Tu nie było *roninów*, wędrownych samurajów; Sally i Finn mówili o interesach.

Ten zły rok w Hamburgu, jak zrozumiała Kumiko, nastąpił po tym, jak Sally zdobyła i straciła swoistą fortunę. Zyskała ją „na górze”, w miejscu zwanym przez Finna „Straylight”, wspólnie z człowiekiem nazwiskiem Case. I wtedy także zyskała wroga.

– Hamburg... – przerwał jej Finn. – Słyszałem o Hamburgu...

– Pieniądze się skończyły. Tak to bywa przy dużej wygranej, kiedy człowiek jest młody... Pieniądze nie wystarczyły na powrót do normalnego życia, ale wplątałam się w interesy z ludźmi z Frankfurtu. Byłam im sporo winna, a oni chcieli, żeby ich spłacać w usługach.

– Jakich usługach?

– Chcieli załatwić pewnych ludzi.

– I co?

– I wyrwałam się. Kiedy tylko zdołałam. Pojechałam do Londynu...

Być może, pomyślała Kumiko, Sally była kiedyś kimś w rodzaju *ronina*, typem samuraja. W Londynie jednak stała się kimś innym, kobietą interesów. Utrzymując się z nieokreślonych środków, stopniowo została „wspierającą”, dostarczając fundusze dla różnych typów operacji. (Co to jest „ściek kredytowy”? Na czym polega „pranie danych”?).

– No tak – stwierdził Finn. – Nieźle sobie radziłaś. Zdobyłaś udziały w jakimś niemieckim kasynie.

– Aix-la-Chapelle. Byłam w radzie nadzorczej. Nadal jestem, kiedy wyciągnę odpowiedni paszport.

– Osiadłaś? – Znowu ten śmiech.

– Jasne.

– Niewiele tu docierało.

– Prowadziłam kasyno. I tyle. Dobrze mi szło.

– Walczyłaś na arenie. Mglista Steele, wystawiana w wadze piórkowej. Osiem walk. Postawiłem pieniądze na pięć z nich. Krwawe walki.

Nielegalne.

– Hobby.

– Niezłe hobby. Birmański Dzieciak rozciął cię wzdłuż, w kolorze.

Kumiko przypomniała sobie długą bliznę.

– Dlatego zrezygnowałam. Pięć lat temu, a już byłam o pięć lat za stara.

– Byłaś niezła, ale Mglista Steele... Jezu.

– Daj spokój. Nie ja to wymyśliłam.

– Jasne. Powiedz mi teraz o swojej przyjaciółce z góry. Jak cię znalazła?

– Przez Swaina. Roberta Swaina. Przesłał do kasyna któregoś ze swoich chłopaków. Zgrywał twardziela. Nazywał się Prior. Jakiś miesiąc temu.

– Swain? Fikser? Z Londynu?

– Ten sam. No więc Prior przyniósł mi prezent. Jakiś metr wydruku.

Lista. Nazwiska, daty, miejsca.

– Bardzo źle?

– Mieli wszystko. Rzeczy, o których już prawie zapomniałam.

– Akcja w Straylight?

– Wszystko... Zapakowałam walizkę, wróciłam do Londynu i poszłam do Swaina. Przykro mu, nie jego wina, ale musi mnie przycisnąć. Ponieważ jego ktoś przycisnął. Dostał własny metr wydruku, żeby miał się o co martwić.

Kumiko usłyszała, jak obcasy Sally przesuwają się po chodniku.

– Czego chce?

– Porwania ciała. Gwiazdy.

– Dlaczego ty?

– Daj spokój, Finn. Przyjechałam, żeby cię o to zapytać.

– Swain ci powiedział, że to 3Jane?

– Nie. Mój kowboj w Londynie.

Kumiko bolały kolana.

– A dzieciak? Jak do ciebie trafiła?

– Zjawiała się w domu Swaina. Yanaka chciał ją gdzieś wysłać z Tokio.

Swain jest mu winien *giri*.

– Jest czysta. Żadnych implantów. Z tego, co ostatnio dociera do mnie z Tokio, wnioskuję, że Yanaka ma pełne ręce roboty...

Kumiko zadrżała w ciemności.

– A to porwanie? Ta gwiazda? – mówił dalej Finn.

Wyczuła, że Sally się waha.

– Angela Mitchell.

Różowy metronom kołysał się wolno w lewo, w prawo, w lewo...

– Zimno tu, Finn.

– Owszem. Żal, że tego nie czuję. Właśnie zrobiłem sobie małą wycieczkę w twojej sprawie. Memory Lane. Dużo wiesz o tym, skąd się wzięła Angie?

– Nie.

– Robię tu za wyrocznię, skarbie, nie za bibliotekę... Jej ojcem był Christopher Mitchell, wielka szycha w badaniach biochipów u Maas Biolabs. Wychowywała się w ich zamkniętym kompleksie w Arizonie. Dziecko firmy. Jakies siedem lat temu coś się tam wydarzyło. Ulica twierdziła, że Hosaka wysłał grupę zawodowców, żeby pomogli Mitchellowi w zmianie kierunku kariery. Faks podał, że nastąpił megatonowy wybuch na terenach Maasa, ale nie wykryli śladu radioaktywności. I śladu po najemnikach Hosaki. Maas ogłosił, że Mitchell nie żyje. Samobójstwo.

– To biblioteka. A co wie wyrocznia?

– Plotki. Nic się nie wiąże. Ulica twierdziła, że Angie pojawiła się tutaj dzień czy dwa po wybuchu w Arizonie i trafiła na bardzo dziwnych facetów, pracujących w New Jersey.

– Pracujących w czym?

– Handlowali. Głównie programy. Sprzedawali, kupowali. Czasami kupowali ode mnie...

– Dlaczego byli dziwni?

– Hoodoo. Wierzyli, że w matrycy pełno jest duchów i różnych takich. I wiesz, co ci powiem, Moll?

– Co?

– Mieli rację.

Ocknęła się, jakby ktoś wcisnął przełącznik.

Nie otwierała oczu. Słyszała, jak rozmawiają w sąsiednim pokoju. Bolało ją w wielu miejscach, ale nie bardziej niż po magu. Jak ciężkie załamane, które minęło, czy może przytłumił je ten spray, który jej dali.

Papierowy fartuch ocierał sutki; wydawały się duże i tkliwe, a piersi pełne. Wąskie linie bólu szczypały twarz: podwójny tępy ucisk w oczodołach, wrażenie otarcia w ustach i smak krwi.

– Nie próbuję cię uczyć twojej pracy – mówił Gerald, zagłuszony szumem wody i brzękiem metalu, jakby zmywał garnki albo coś takiego. – Ale sam się oszukujesz, jeśli wierzysz, że oszukasz tym kogoś, kto sam nie chce dać się oszukać. To naprawdę bardzo powierzchowna robota.

Prior powiedział coś, czego nie zrozumiała.

– Mówię: powierzchowna, nie partacka. Zabieg najwyższej klasy, wszystko. Dwadzieścia cztery godziny na stymulatorze dermalnym, a nie będzie wiedzieć, że tu była. Podawaj jej antybiotyki i trzymaj z daleka od stymulantów. Jej system immunologiczny nie jest taki, jaki być powinien.

Potem znowu Prior, i znowu nie dosłyszała.

Otworzyła oczy, ale zobaczyła jedynie sufit, białe płytki dźwiękochłonnej wykładziny. Odwróciła głowę na lewą stronę. Biała plastikowa ściana, w niej jedno z tych fałszywych okien, wysokiej rozdzielczości animacja plaży, palm i fal. Gdyby dostatecznie długo patrzeć na wodę, można by zauważyć, że wciąż łamią się te same, zapętlone w nieskończoność fale. Tyle że system zepsuł się albo zużył; w falach dostrzegła jakby ślad

wahania, a czerwień zachodu słońca pulsowała lekko niby popsuta świetlówka.

Sprawdź z prawej. Odwróciła się, czując na szyi szorstki papier poszewki na twardej piankowej poduszce.

Z drugiego łóżka spojrzała na nią twarz z podbitymi oczami, z nosem ujętym w przejrzysty plastik i mikroporowy plaster, z jakąś brązową mazią rozsmarowaną na policzkach...

Angie. To była twarz Angie, obramowana odbiciem pulsującego zachodu słońca w popsutym oknie.

* * *

– Nie było żadnej obróbki kości – zapewnił Gerald, ostrożnie zdejmując plaster, przytrzymujący w zagłębieniu nosa plastikową klamrę. – W tym całe piękno. Przez nozdrza umieściliśmy w nosie kawałek chrząstki, potem przeszliśmy do zębów. Uśmiechnij się... Ślicznie. Poprawiliśmy piersi, nadbudowaliśmy sutki sztucznie hodowaną tkanką erekcyjną, potem załatwiliśmy zabarwienie oczu... – Zdjął klamrę. – Nie dotykaj tutaj jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny.

– Stąd mam te siniaki?

– Nie. To wtórny wstrząs po wszczepie chrząstki. – Palce Geralda na jej twarzy były chłodne i precyzyjne. – Do jutra powinny zniknąć.

Gerald był w porządku. Dał jej trzy dermy, gładkie i przyjemne: dwie niebieskie i różową. Prior stanowczo nie był w porządku, ale wyszedł gdzieś, a w każdym razie nie widziała go. I było jej miło słuchać, jak Gerald tłumaczy wszystko swoim spokojnym głosem. Patrzcie tylko, czego dokonał.

– Piegi – zauważyła, ponieważ zniknęły.

– Starcie i hodowlana tkanka. Powrócą szybciej, jeśli za długo będziesz przebywać na słońcu...

– Jest taka piękna... – Odwróciła głowę.

– Ty, Mona. To ty.

Spojrzała na twarz w lustrze i wypróbowała ten słynny uśmiech.

* * *

Może jednak Gerald nie był w porządku.

Znowu na wąskim białym łóżku, gdzie kazał jej odpoczywać... Uniosła rękę i obejrzała trzy dermy. Usypiacze. Zawrót głowy...

Wsunęła paznokiec pod różową, odlepiła, przyłożyła do białej ściany i mocno przycisnęła kciukiem. Wyciekła pojedyncza kropla słomkowej cieczy. Ostrożnie zdjęła dermę i przykleiła sobie na rękę. W niebieskich płyn był mlecznobiały. Te także umocowała na miejscu. Może i zauważy, ale chciała wiedzieć, co się dzieje.

Zerknęła w lustro. Gerald mówił, że jeśli zechce, może kiedyś wszystko odwrócić. Ale nie miała pewności, czy będzie pamiętał, jak wyglądała na początku. Może zrobił jej zdjęcie albo co. Teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, przyszło jej do głowy, że może już nikt nie wie, jak przedtem wyglądała. Pewnie najdokładniejszy zapis znajdował się w stymowym deku Michaela, ale przecież nie znała jego adresu ani nawet nazwiska. Wzbudziło to dziwne uczucie: jakby osoba, którą kiedyś była, odeszła ulicą tylko na chwilę, by już nigdy nie wrócić. Ale potem zamknęła oczy i wiedziała, że jest Moną, zawsze była, i że nic się właściwie nie zmieniło, przynajmniej nie pod powiekami.

Lanette stwierdziła, że nie ma znaczenia, jak człowiek się zmienia. Powiedziała kiedyś, że nie zostało jej więcej niż dziesięć procent własnej twarzy, z którą przyszła na świat. Trudno było to zauważyć – chyba że czerń wokół powiek, tak że nigdy nie musiała się męczyć z tuszem. Mona pomyślała, że może zabiegi Lanette nie były aż tak udane, i chyba zdradziła się spojrzeniem, bo Lanette powiedziała: Powinnaś zobaczyć mnie przedtem.

Ale teraz leżała tutaj, Mona, wyciągnięta na wznak na tym wąskim łóżku w Baltimore, a wszystko, co poznała z Baltimore, to wycie syreny na ulicy i szum silnika w klimatyzatorze Geralda.

Rzeczywistość zmieniała się jakoś w sen, nie wiedziała jak długi, a potem Prior położył dłoń na jej ramieniu i spytał, czy nie jest głodna.

* * *

Obserwowała, jak Prior goli brodę nad niklowaną chirurgiczną umywalką. Najpierw przyciął włosy błyszczącymi nożyczkami, potem wziął białą plastikową jednorazową maszynkę z pudełka, gdzie leżało ich pełno. Dziwnie było patrzeć, jak wylania się jego twarz. Nie taka, jakiej się spodziewała. Młodsza. Ale usta zostały takie same.

– Długo tu jeszcze będziemy, Prior?

Przed goleniem zdjął koszulę. Ramiona i ręce aż do łokci miał wytatuowane w smoki z głowami lwów.

– O to się nie martw.

– Nudzę się.

– Ściągniemy ci jakieś stymy. – Golił właśnie podbródek.

– Jakie jest Baltimore?

– Paskudne. Jak wszystko tutaj.

– A jaka jest Anglia?

– Paskudna. – Wytarł twarz grubym kłębem niebieskiej ligniny.

– Może byśmy gdzieś wyszli, zjedli kraby... Gerald mówił, że mają tu kraby.

– Mają – przyznał. – Przyniosę ci.

– A może byś mnie gdzieś zabrał?

Rzucił niebieski kłęb do stalowego kosza na odpadki.

– Nie. Mogłabyś próbować ucieczki.

Wsunęła palce między łóżko a ścianę, odnalazła w rozerwanej gąbce komorę powietrzną, gdzie ukryła paralizator. Wcześniej znalazła swoje rzeczy w białym plastikowym worku. Gerald zjawiał się co parę godzin ze świeżymi dermami; odlepiła je, gdy tylko wyszedł. Pomyślała, że gdyby Prior zgodził się ją zabrać na kolację, mogłaby spróbować w restauracji. Ale nic z tego...

W restauracji może udałoby się nawet złapać gliniarza. Ponieważ teraz już domyślała się chyba, o co chodzi.

To jakiś psychol. Lanette jej o tym opowiadała. Że są ludzie, którzy płacą, żeby przerobić dziewczyny na kogoś innego, a potem je zabijają. Muszą

być bogaci, naprawdę bogaci. Nie Prior, ale ktoś, dla kogo Prior pracuje. Lanette mówiła, że ci faceci każą czasem przerabiać dziewczyny, żeby były podobne do ich żon. Wtedy Mona właściwie jej nie uwierzyła; Lanette często opowiadała jej straszne historie, bo przyjemnie jest się bać, kiedy człowiek wie, że jest całkiem bezpieczny. Zresztą Lanette знаła wiele historii o różnych czubkach. Twierdziła, że najbardziej zwariowane są garnitury – ważne garnitury na topie wielkich firm. To dlatego, że nie mogą sobie pozwolić, żeby w pracy stracić nad sobą panowanie. Ale już po pracy, mówiła Lanette, stać ich na to, żeby to panowanie tracić jak tylko im się spodoba. Więc może jakiś ważny garnitur zażyczył sobie Angie? Fakt, dużo dziewczyn z własnej chęci starało się wyglądać jak ona, ale to tylko budziło litość. Chciałyby... Nie widziała jeszcze żadnej tak podobnej do Angie, żeby dał się nabrać ktoś, komu na tym zależy. Może więc ktoś płacił za to wszystko, żeby tylko skasować dziewczynę wyglądającą jak Angie. Zresztą, jeśli nie jakiś psychol, to kto?

Teraz Prior zapinał swoją niebieską koszulę. Podszedł do łóżka i ściągnął koc, żeby obejrzeć jej piersi. Jakby oglądał samochód albo co.

Podciągnęła koc pod szyję.

– Przyniosę kraby.

Włożył marynarkę i wyszedł. Słyszała, że mówi coś do Geralda.

Gerald wsunął głowę przez drzwi.

– Jak się czujesz, Mona?

– Jestem głodna.

– Ale spokojna?

– Tak.

Znowu została sama. Przewróciła się na bok i studiowała własną twarz: twarz Angie w lustrze na ścianie. Sińce prawie zniknęły. Gerald przylepił jej na twarzy jakieś maleńkie trody i podłączył je do maszyny. Powiedział, że szybko wszystko zagoją.

Teraz nie była już zszokowana, widząc w lustrze twarz Angie. Podobały jej się zęby; takie zęby chciałyby sobie zostawić. Co do reszty, to nie była pewna.

Może powinna teraz wstać, ubrać się i pobiec do drzwi... Gdyby Gerald chciał ją zatrzymać, mogłaby użyć paralizatora. Ale przypomniała sobie, jak Prior zjawiał się u Michaela – jakby kazał komuś jej pilnować, śledzić przez całą noc. I może teraz też ktoś pilnuje na zewnątrz. Mieszkanie Geralda nie miało żadnych okien, żadnych prawdziwych, więc musiałaby wyjść przez drzwi.

W dodatku zaczynało jej brakować maga. Jeśli weźmie chociaż troszeczkę, Gerald zauważy. Wiedziała, że w torbie pod łóżkiem czeka jej zestaw. Gdyby dała sobie trochę, to przynajmniej coś by się działo. Cokolwiek. Ale może to nie najlepszy pomysł. Musiała przyznać, że nie wszystko, co robiła na magu, okazywało się rozsądne – nawet jeśli czuła się tak, jakby nie mogła popełnić błędu.

Naprawdę była głodna. Szkoda, że Gerald nie ma żadnej muzyki ani nic... Musi po prostu czekać na te kraby.

Gentry stał z Kształtem płonącym mu pod powiekami, wyciągając rękę z trodami, w blasku nagich żarówek, tłumacząc Ślizgowi, dlaczego tak być musi, dlaczego Ślizg ma założyć te trody i włączyć się w to, co ten szary blok podaje nieruchomej postaci na noszach.

Ślizg pokręcił głową, wspominając, jak trafił do Psiej Samotni. A Gentry zaczął mówić szybciej, biorąc ten gest za odmowę.

Powtarzał, że Ślizg musi w to wejść, może tylko na parę sekund, póki on, Gentry, nie namierzy danych i nie rozpozna makroformy. Ślizg nie wie, jak się do tego zabrać, mówił, inaczej Gentry sam by się włączył. Nie zależało mu na danych, tylko na ogólnym kształcie, ponieważ sądził, że doprowadzi go to do Kształtu, tego wielkiego... do widma, które ściga od tak dawna.

Ślizg przypomniał sobie, jak przemierzał Samotnię pieszo. Bał się, że wróci Korsakow, że zapomni, gdzie się znajduje, i zacznie pić rakotwórczą wodę z brudnych czerwonych kałuż na rdzawej równinie. Pływały w nich martwe ptaki z rozpostartymi skrzydłami i czerwony szlam. Kierowca z Tennessee kazał mu iść od autostrady na zachód; po godzinie powinien trafić na asfaltową dwupasmówkę, a tam ktoś go podwiezie do Cleveland. Ślizg miał jednak wrażenie, że idzie już dłużej niż godzinę, nie był pewien, gdzie właściwie jest zachód, a ta okolica budziła lęk: niby blizna śmietniska, które jakiś olbrzym rozdeptał ma miazgę. Raz zobaczył kogoś z daleka, na niskim grzbiecie, i pomachał ręką. Postać zniknęła, ale ruszył w tamtą stronę, nie starając się już omijać kałuż i brnąc na przełaj. Dotarł do grzbietu i stwierdził, że to bezskrzydły kadłub samolotu pasażerskiego,

do połowy zasypany pordzewiałymi puszkami. Wszedł po zboczu, wzdłuż ścieżki, gdzie czyjeś stopy udeptały puszki, do prostokątnego otworu, będącego kiedyś włazem awaryjnym. Wsunął się do środka i zobaczył setki małych główek zawieszonych u wklęsłego stropu. Znieruchomiał, mrugając niepewnie w nagłym mroku, dopóki nie zaczął pojmować, co widzi. Różowe, plastikowe główki lalek z nylonowymi włosami zebranymi do góry w koki, a koki wciśnięte w gęstą czarną smołę. Wisiały jak owoce na gałęzi. Nic więcej, tylko kilka porwanych materacy z brudnej zielonej gąbki. Wiedział, że nie chce zostawać, żeby sprawdzić, kto tu mieszka.

Ruszył wtedy na południe, choć sam o tym nie wiedział. I znalazł Fabrykę.

– Nigdy już nie będę miał takiej szansy – przekonywał Gentry. Ślizg patrzył na ściągniętą twarz, na pełne desperacji, szeroko otwarte oczy. – Nigdy go nie zobaczę...

A Ślizg przypomniał sobie, jak kiedyś Gentry go uderzył, jak spojrzał wtedy w dół na klucz w ręku i poczuł... Nie, Cherry myliła się co do nich, ale było między nimi coś innego, czego nie potrafił nazwać. Lewą ręką wyrwał Gentry'emu trody, a prawą mocno pchnął go w pierś.

– Zamknij się! Zamknij się, do cholery!

Gentry zatoczył się na metalowy blat.

Ślizg przeklinał go pod nosem, kiedy rozciągał na czole i skroniach delikatną siatkę dermatrod.

Włączył się.

* * *

Buty zgrzytnęły na żwirze.

Otworzył oczy i spojrzał w dół: zwirowany podjazd, gładki o świcie i czystszy niż cokolwiek w Psiej Samotni. Podniósł głowę; tam, gdzie droga skręcała, i za rozłożystymi zielonymi drzewami zobaczył stromy, kryty dachówką dach domu wielkiego jak pół Fabryki. W pobliżu, w wysokiej mokrej trawie stały posągi: jelen z żelaza i rozbita figura

mężczyzny z białego kamienia, bez głowy, rąk i nóg. Śpiewały ptaki i to był jedyny dźwięk.

Ruszył podjazdem w kierunku szarego domu, ponieważ nie wiedział, co mógłby zrobić innego. Kiedy się zbliżył, zobaczył, że poza rezydencją wyrastają inne, mniejsze budynki i rozciąga się równe pole, gdzie stoją szybowce, umocowane linkami dla ochrony przed wiatrem.

Bajka, pomyślał, patrząc na szeroki kamienny fronton rezydencji, na romboidalne szyby oprawne w ołów; jak na wideo, które oglądał w dzieciństwie. Czy naprawdę istnieją ludzie, którzy mieszkają w takich miejscach? Ale to nie jest miejsce, przypomniał sobie. Tylko się nim wydaje.

– Gentry – powiedział. – Wyciągnij mnie stąd, dobra?

Obejrzał grzbiety swoich dłoni. Blizny, plamy smaru, czarne półksiężycy brudu pod połamanymi paznokciami. Od smaru robiły się miękkie i łatwo pękały.

Zaczynał czuć się głupio, stojąc tak bezradnie. Może ktoś z domu go obserwował.

– Pieprzę – oznajmił.

Ruszył szeroką brukowaną alejką, nieświadomie kołysząc biodrami w rytmie, jakiego nauczył się w Deacon Blues.

Drzwi miały coś dziwnego umocowanego na samym środku: dłoń, małą i zgrabną, trzymającą kulę wielkości bilardowej, a wszystko odlane w żelazie. Z zawiasem w nadgarstku, żeby można było tę dłoń unieść i opuścić ze stukiem. Zrobił to. Mocno. Dwa razy, a potem znowu dwa. Nic się nie stało. Gałka u drzwi była z mosiądzu, rzeźbiona w roślinny motyw, wytarty i niemal niewidoczny po latach użytkowania. Przekręciła się bez oporu. Pchnął drzwi.

Zamrugnął od bogactwa kolorów i faktur: powierzchnie wypolerowanego drewna, czarny i biały marmur, jaśniejące niby kościelne okna dywany o tysiącu pastelowych barw, błyszczące srebro, lustra... Lekki szok wizualny wywołał uśmiech; wzrok przeskakiwał od jednego widoku do drugiego: tak wiele przedmiotów, obiektów, dla których nie miał nazw...

– Szukasz kogoś konkretnego, koleś?

Mężczyzna stał przed wielkim kominkiem. Miał na sobie obcisłe czarne dżinsy i białą koszulkę. Był bosy, a w prawej ręce trzymał szeroką szklaną bańkę z jakimś płynem. Ślizg przyjrzał mu się niepewnie.

– Niech mnie szlag... – mruknął. – Ty jesteś nim...

Mężczyzna zakręcił brunatnym płynem w kieliszku i wypił łyk.

– Podejrzewałem, że Afrika wykręci mi w końcu taki numer – stwierdził.

– Ale jakoś, chłopaczkę, nie odpowiada mi jego styl udzielania pomocy.

– Jesteś Grafem...

– Tak. Jestem Grafem. A ty kim jesteś, do diabła?

– Ślizg. Ślizg Henry.

Roześmiał się.

– Chcesz koniaku, Ślizgu Henry? – Skinął kieliszkiem w stronę mebla z gładkiego drewna, zastawionego rzędami ozdobnych butelek, każda ze zwisającą z szyjki na łańcuszku małą srebrną plaketką.

Ślizg pokręcił głową.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– I tak nie można się nim upić... Wybacz, że to mówię, Ślizg, ale wyglądasz gównianie. Czy trafnie się domyślam, że nie jesteś elementem operacji Kida Afriki? A jeśli nie, to co właściwie tu robisz?

– Gentry mnie przysłał.

– Jaki Gentry?

– Ty jesteś tym facetem na noszach, tak?

– Ten facet na noszach jest mną. A gdzie dokładnie w tej chwili znajdują się nosze?

– U Gentry'ego.

– To znaczy, gdzie?

– W Fabryce.

– A gdzie ona stoi?

– W Psiej Samotni.

– A jak udało mi się tam trafić, gdziekolwiek to jest?

– Kid Afrika... On cię przywiózł. Razem z taką dziewczyną, Cherry. Rozumiesz, byłem mu winien przysługę, więc poprosił, żebym cię trochę przechował. Ciebie i Cherry, bo ona się tobą opiekuje.

- Nazwałeś mnie Grafem, Ślizg.
- Cherry powiedziała, że Kid kiedyś tak o tobie mówił.
- A powiedz mi, Ślizg, czy Kid Afrika wyglądał na zmartwionego, kiedy mnie przywoził?
- Cherry myśli, że wystraszył się czegoś w Cleveland.
- Jestem tego pewien. Kim jest ten Gentry? Twój kumpel?
- Fabryka jest jego. Ja też w niej mieszkam.
- Ten Gentry... Czy jest kowbojem, Ślizg? Dżokejem konsoli? Rozumiesz, skoro się tu znalazłeś, on musi być techniczny. Tak? Teraz z kolei Ślizg wzruszył ramionami.
- Gentry to jakby... no, jakby artysta, mniej więcej. Ma te swoje teorie. Trudno wytłumaczyć. Podłączył rozdzielacze do tego czegoś na noszach... tego, do czego jesteś podpięty. Najpierw próbował dostać obraz na układzie holo, ale tam było to takie małpiaste, tak jakby cień, więc namówił mnie...
- Jezu... Zresztą mniejsza z tym. Ta fabryka, o której wspominałeś, czy stoi gdzieś na pustkowiu? Czy jest odizolowana?
- Ślizg przytaknął.
- A ta Cherry, to ktoś w rodzaju wynajętej pielęgniarki?
- Tak. Mówi, że ma dyplom technika medycznego.
- I nikt jeszcze nie przyszedł mnie szukać?
- Nie.
- To dobrze, Ślizg. Bo jeśli ktoś się zjawi, ktoś inny niż mój kłamliwy szcurzy kumpel Kid Afrika, wy, chłopcy, znajdziecie się w bardzo poważnych kłopotach.
- Tak?
- Tak. Słuchaj mnie teraz uważnie. Chcę, żebyś dobrze zapamiętał. Jeśli w tej waszej fabryce pokaże się jakieś towarzystwo, waszą jedyną nadzieją jest włączenie mnie do matrycy. Łapiesz?
- Jakim ty jesteś Grafem? No wiesz, co to znaczy?
- Bobby. Mam na imię Bobby. Graf to kiedyś było moje pseudo. Dasz radę zapamiętać, co ci powiedziałem?
- Ślizg znowu kiwnął głową.

– To dobrze. – Odstawił kieliszek na ten mebel z dziwacznymi butelkami. – Słuchaj – rzekł. Przez otwarte drzwi dobiegł szum opon na żwirze. – Wiesz, kto to jest, Ślizg? To Angela Mitchell.

Ślizg obejrzał się. Graf Bobby wyglądał na podjazd.

– Angie Mitchell? Ta gwiazda stymu? Ona też w tym jest?

– W pewnym sensie, Ślizg, w pewnym sensie...

Ślizg zobaczył, że podjechał długi czarny samochód.

– Zaraz – zaczął. – Graf, znaczy się Bobby, jak...

* * *

– Spokojnie – mówił Gentry. – Usiądź. Tylko spokojnie...

Gdy Kelly i jego asystenci przygotowywali na podróż jej garderobę, Angie miała wrażenie, że cały dom wibruje, szykując się do jednego ze swych licznych acz krótkich okresów opustoszenia.

Ze swego miejsca w salonie słyszała ich głosy, ich śmiech. Wśród asystentów była dziewczyna w niebieskim polikarbonowym egzozskiecie, który pozwalał jej nosić pudła Hermèsa z ubraniami jakby to były nieważkie płyty pianki; szumiący kombinezon szkieletowy człapał cicho po schodach na swych wielkich stopach dinozaura.

Niebieski szkielet, skórzane trumny.

W drzwiach stanął Porphyre.

– Panienska gotowa?

Miał na sobie długi luźny płaszcz skrojony z cienkiej jak bibułka czarnej skóry; kryształowe ostrogi sterczały nad obcasami jego czarnych, ciężkich butów.

– Porphyre – zauważyła – jesteś po cywilnemu. A w Nowym Jorku mamy zrobić wrażenie.

– Kamery będą tam dla ciebie.

– Tak – zgodziła się. – Dla mojej reinsertacji.

– Porphyre będzie się trzymał z tyłu.

– Nigdy nie widziałam, żebyś się martwił, jak ktoś inny wypadnie na planie.

Uśmiechnął się, odsłaniając modelowane, opływowe zęby, fantazję awangardowego dentysty na temat potencjalnego kształtu zębów u szybszego, bardziej eleganckiego gatunku.

– Danielle Stark z nami leci. – Usłyszała warkot nadlatującego śmigłowca. – Spotkamy się z nią na LAX.

– Udusimy ją – oświadczył konfidencjonalnie, podając jej błękitnego lisa, jakiego wybrał Kelly. – Jeśli obiecamy napomknąć faksom, że motyw były natury seksualnej, może nawet zdecyduje się nam w tym pomóc...

– Jesteś obrzydliwy.

– Danielle to horror, panienko.

– I kto to mówi.

– Ach – westchnął fryzjer, mrużąc oczy. – Ja jednak mam duszę dziecka. Śmigłowiec podchodził do lądowania.

* * *

Plotka głosiła, że Danielle Stark, związana ze stymowymi wersjami jednocześnie „Vogue-Nippon” i „Vogue-Europa”, ma już dobrze po osiemdziesiątce. Jeśli to prawda, myślała Angie, dyskretnie oceniając figurę dziennikarki, gdy wszyscy troje wchodzili na pokład Leara, to Danielle i Porphyre nie ustępują sobie w dziedzinie ogólnych modyfikacji chirurgicznych. W smukłym wyglądzie kobiety tuż po trzydziestce jedyną chyba widoczną jej przeróbką była para jasnobłękitnych implantów Zeissa. Młody francuski reporter wyraził się o nich kiedyś jako o „stylowo niemodnych”. Netowa legenda mówiła, że nigdy już nie znalazł pracy.

Angie wiedziała, że już za chwilę Danielle zechce porozmawiać o narkotykach i o gwiazdach biorących prochy, a jej niebieskie oczy uczennicy otworzą się szeroko, by niczego nie przegapić.

* * *

Pod groźnym wzrokiem Porphyre’a Danielle zdołała się pohamować do chwili, gdy w trybie rejsowym znaleźli się gdzieś nad Utah.

– Miałam nadzieję – zaczęła – że to nie ja będę musiała poruszyć tę sprawę.

– Danielle – odparła szybko Angie. – Jakże mi przykro. Taka jestem bezmyślna.

Dotknęła fornirowanej płyty lotniczej kuchenki Hosaki. Aparat zamruczał cicho i zaczął wysuwać małe talerzyki z wędzoną kaczką, ostrygami na grzance, zapiekаныmi rakami, sezamowymi paluszkami... Porphyre natychmiast zrozumiał, o co chodzi, i wyjął butelkę schłodzonego chablis – ulubionego wina Danielle, jak przypomniała sobie Angie. Ktoś – pewnie Swift – też o tym pamiętał.

– Narkotyki – odezwała się Danielle piętnaście minut później, kończąc porcję kaczki.

– Nie martw się – uspokoił ją Porphyre. – Wkrótce będziemy w Nowym Jorku. Mają tam wszystko, czego tylko zapagniesz.

– Jesteś zabawny. – Danielle uśmiechnęła się. – Wiesz, że mam kopię twojego świadectwa urodzenia? Znam twoje prawdziwe nazwisko.

Wciąż uśmiechnięta, spojrzała na niego znacząco.

– Kamienie i kije... – mruknął, dolewając jej wina.

– Interesujący zapis dotyczący chorób genetycznych. – Wypiła trochę.

– Genetycznych, genitalnych... Tak często się ostatnio zmieniamy, nieprawdaż? Kto ci robił fryzurę, skarbie? – Pochylił się. – Jesteś łaską dla świata, Danielle. Przy tobie inni tobie podobni wydają się niemal ludźmi.

Danielle uśmiechnęła się znowu.

* * *

Sam wywiad poszedł dość gładko. Danielle była zbyt doświadczoną dziennikarką i nie pozwalała, by jej ukłucia przekraczały próg bólu, gdzie mogłyby wzbudzić poważny opór. Kiedy jednak musnęła palcem skroń, wciskając podskórny przełącznik, dezaktywujący system zapisu, Angie przygotowała się na prawdziwy szturm.

– Dziękuję ci – powiedziała Danielle. – Dalszy ciąg lotu, naturalnie, jest nie do publikacji.

– Może wypijesz jeszcze butelkę czy dwie i się wyłączysz? – zaproponował Porphyre.

– Czegoś nie rozumiem, moja droga. – Danielle nie zwróciła na niego uwagi. – Dlaczego się męczyłaś...

– Z czym się męczyłam, Danielle?

– Po co w ogóle poszłaś do tej nudnej kliniki. Powiedziałaś, że nie miało to wpływu na pracę. Powiedziałaś również, że nie było „odlotów” w zwykłym sensie. – Zachichotała. – Jednocześnie utrzymujesz, że substancja była niezwykle silnie uzależniająca. Dlaczego postanowiłaś to rzucić?

– Była potwornie droga...

– W twoim przypadku jest to chyba kwestia akademicka.

To fakt, pomyślała Angie. Chociaż tygodniowa dawka kosztowała mniej więcej twoje roczne zarobki.

– Przestało mi się chyba podobać płacenie za to, że czuję się normalnie. Czy raczej w luźnym przybliżeniu normalnie.

– Czy wyrobiłaś w sobie odporność?

– Nie.

– To dziwne.

– Właściwie nie. Ci, co go zsyntezowali, włączyli substancje, które teoretycznie usuwają tradycyjne wady.

– Aha... A co z nowymi wadami... Wadami na teraz? – Danielle dołała sobie wina. – Znam naturalnie inną wersję tej historii.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Co to było, kto to stworzył, dlaczego rzuciłaś.

– Tak?

– To był antypsychotyk, wyprodukowany we własnych laboratoriach Sense/Netu. Przestałaś brać, bo raczej wolisz być obłąkana.

Porphyre delikatnie wyjął jej z ręki kieliszek. Danielle zatrzepotała ciężko powiekami.

– Dobranoc, kochanie – powiedział.

Danielle zamknęła lśniące niebieskie oczy i zachrapała cicho.

– Porphyre, co...

– Przyprawilem jej wino. Nic nie zauważy, panienko. Nic nie zapamięta, jeśli czegoś nie nagrała. – Uśmiechnął się szeroko. – Nie chciałabyś chyba

słuchać tej dziwki przez całą drogę?

– Przecież się domyśli! Porphyre!

– Wcale nie. Powiemy jej, że sama osuszyła trzy butelki i okropnie nabrudziła w toalecie. A ona będzie się czuła odpowiednio...

Zachichotał.

* * *

Danielle Stark wciąż chrapała, tym razem dość głośno, na jednym z dwóch rozkładanych posłań w tyle kabiny.

– Jak myślisz, Porphyre? – spytała Angie. – Może miała rację?

Fryzjer zwrócił na nią swe cudowne, nieludzkie oczy.

– I nic byś nie wiedziała?

– Sama nie wiem.

Westchnął.

– Panienska za dużo się martwi. Panienska jest teraz wolna. Niech się cieszy.

– Ale ja słyszę głosy, Porphyre.

– Jak my wszyscy, panienko.

– Nie – odparła. – Nie takie jak moje. Czy znasz się na afrykańskich religiach, Porphyre?

Skrzywił się.

– Nie jestem Afrykaninem.

– Ale może jako dziecko...

– Jako dziecko – oznajmił – byłem biały.

– Och...

Roześmiał się.

– Religie, panienko?

– Zanim przyszedłam do Netu, miałam przyjaciół. W New Jersey. Byli czarni i... religijni.

Skrzywił się znowu i przewrócił oczami.

– Znak hoodoo, panienko? Kość kurczęcia i olejek z mięty polej?

– Wiesz, że nie o to chodzi.

- A jeśli wiem?
 - Nie drażnij się ze mną, Porphyre. Jesteś mi potrzebny.
 - Panienska ma mnie na własność. I owszem, wiem, o co chodzi. I to są te twoje głosy?
 - Były. Kiedy zaczęłam brać prochy, ucichły...
 - A teraz?
 - Nie ma ich.
- Impuls przeminął; teraz bała się próbować mu opowiadać o Grande Brigitte i narkotyku w kurtce.
- To dobrze – rzekł. – To dobrze, panienko...

* * *

Lear zaczął się obniżać nad Ohio. Nieruchomy jak posąg Porphyre wpatrywał się w gródź. Angie wyjrzała na zbliżającą się wolno krainę chmur w dole. Przypomniała sobie zabawę, w którą jako dziecko grywała w samolotach: wysyłała wyimaginowaną Angie, by biegała po kanionach obłoków, przez puszyste szczyty, które magicznie nabierały twardości. Tamte samoloty należały chyba do Maas-Neotek. Z korporacyjnych odrzutowców Maasa przesiadła się do learów Netu. Liniowe samoloty znała tylko jako scenerie swoich stymów: z Nowego Jorku do Paryża w dziewiczym rejsie odrestaurowanego concorde'a JAL, w towarzystwie Robina i dobrej grupy ludzi z Netu.

W dół. Czy są już nad New Jersey? Czy dzieci rojące się na dachowych placach zabaw kompleksu mieszkalnego Beauvoira słyszą teraz silnik leara? Czy odgłos jej przelotu delikatnie omiata bloki dzieciństwa Bobby'ego? Jak niewyobrażalnie złożony okaże się świat, ten niepojęty w szczegółach mechanizm, kiedy odrzutowiec Sense/Netu wstrząśnie drobnymi kosteczkami w uszach nieznanych, niewiedzących dzieci...

- Porphyre wie o pewnych rzeczach – powiedział bardzo cicho. – Ale Porphyre potrzebuje czasu do namysłu, panienko...

Robili zwrot przed końcowym podejściem.

Sally milczała na ulicy i w taksówce, przez całą długą i zimną drogę do hotelu.

Sally i Swaina szantażował wróg Sally „znad studni”. Zmuszał Sally do porwania Angeli Mitchell. Sama myśl, że można porwać gwiazdę Sense/Netu, wydała się Kumiko dziwnie nierzeczywista, jakby ktoś uknuł spisek w celu zamordowania postaci z mitu.

Finn sugerował, że w jakiś tajemniczy sposób Angie jest również wmieszana w całą sprawę, używał jednak słów i idiomów, których Kumiko nie rozumiała. Coś o cyberprzestrzeni, o ludziach zawierających pakt z tym – czy tymi – stamtąd. Finn znał chłopca, który stał się kochankiem Angie... Ale czy jej kochankiem nie był Robert Lanier? Matka Kumiko pozwoliła jej obejrzeć kilka stymów z Angie i Robertem. Tamten chłopiec był kowbojem, złodziejem danych, jak Tick w Londynie.

A co z tym wrogiem, z szantażystką? Była obłąkana, stwierdził Finn, a jej obłąd doprowadził do ruiny rodzinną fortunę. Mieszkała samotnie w domu rodzinnym, zwanym Straylight. Co zrobiła Sally, by zasłużyć sobie na jej wrogość? Czy naprawdę zabiła ojca tej kobiety? I kim byli ci inni, którzy zginęli? Zapomniała już nazwisk gaijin...

Czy Sally dowiedziała się już tego, na czym jej zależało i po co przybyła z wizytą do Finna? Kumiko czekała na jakieś objawienie ze strony opancerzonej kaplicy, ale rozmowa skończyła się na niczym, na typowym dla gaijin rytuale żartobliwych pożegnań.

W hotelowym lobby czekał na niego Petal, siedzący w niebieskim aksamitnym fotelu. Ubrany w podróżny, trzyczęściowy garnitur, na ich widok uniósł się niby jakiś dziwaczny balon. Oczy miał łagodne za szklami okularów w stalowych ramkach.

– Dobry wieczór – powiedział i odchrząknął. – Swain przysłał mnie za wami. Tylko po to, żeby przypilnować dziewczynki.

– Zabierz ją z powrotem – odparła Sally. – Natychmiast. Jeszcze dzisiaj.

– Sally! Nie!

Ale Sally ścisnęła już stanowczo ramię Kumiko i szarpnęła ją w stronę wejścia do zaciemnionej wnęki lobby.

– Czekaj tutaj – warknęła Sally do Petala i wciągnęła Kumiko w cień za rogiem.

– Wracasz. Nie mogę cię tu zatrzymać.

– Ale mi się tam nie podoba. Nie lubię Swaina, nie lubię jego domu... i...

– Petal jest w porządku. – Sally pochyliła się i mówiła szybko. – Najkrócej mówiąc, uważam, że możesz mu zaufać. Swain... sama wiesz, jaki jest Swain, ale słucha twojego ojca. Cokolwiek się zdarzy, myślę, że spróbują trzymać cię od tego z daleka. Ale kiedy będzie naprawdę źle, idź do tego pubu, gdzie spotkałyśmy Tickę. „Róża i Korona”. Pamiętasz?

Kumiko kiwnęła głową. Miała łzy w oczach.

– Gdyby Tickę nie było, poszukaj barmana o imieniu Bevan i wspomnij moje nazwisko.

– Sally, ja...

– Jesteś w porządku – powiedziała Sally i pocałowała ją nagle. Jedno ze szkieł, zaskakująco zimne i twarde, musnęło przelotnie policzek Kumiko. – Ja, dziecinko, znikam.

I zniknęła w mroku wnęki, a Petal stanął w przejściu i odchrząknął.

* * *

Lot powrotny do Londynu przypominał bardzo długą jazdę metrem. Petal zabijał czas, litera po literze wpisując słowa w jakąś idiotyczną łamigłówkę

z angielskiego faksu. Mruczał coś pod nosem. W końcu zasnęła i śniła o matce...

* * *

– Grzejnik działa – oznajmił Petal w drodze z Heathrow do domu Swaina.

W jaguarze było nieprzyjemnie gorąco: suchy żar pachnący skórą i wywołujący uczucie bólu zatok. Nie zwróciła uwagi na te słowa, wpatrzona w blade, poranne światła, w dachy lśniące plamami czerni wśród topniejącego śniegu, w szeregi kominów...

– Nie gniewa się na ciebie – zapewnił Petal. – Odczuwa pewną szczególną odpowiedzialność...

– *Giri*.

– Ee... Tak. Jest odpowiedzialny, rozumiesz. Sally praktycznie nigdy nie była, jakby to nazwać... przewidywalna, ale nie spodziewaliśmy się...

– Dziękuję, ale nie mam ochoty na rozmowę.

Jego małe, zmartwione oczka w lusterku...

* * *

Zaulek był pełen parkujących samochodów, długich i srebrnoszarych, z przyciemnionymi szybami.

– W tym tygodniu ma dużo gości – wyjaśnił Petal, hamując naprzeciw numeru 17.

Wysiadł i otworzył przed nią drzwiczki. Apatycznie przeszła za nim na drugą stronę ulicy, po szarych stopniach do drzwi, które otworzył im jakiś krępy mężczyzna, czerwony na twarzy i w ciemnym garniturze. Petal wyminął go, jakby tamtego wcale nie było.

– Zaczekaj – rzucił czerwony na twarzy. – Swain chce ją zaraz zobaczyć...

Słyszając to, Petal zatrzymał się jak wryty. Stęknął coś, odwrócił się z niepokojącą szybkością i chwycił odźwiernego za kłapy.

– W przyszłości okazuj może trochę pieprzonego szacunku – powiedział, a chociaż nie podniósł głosu, jego znużona łagodność zniknęła bez śladu.

Kumiko usłyszała, jak pękają szwy marynarki.

– Przepraszam, prezesie. – Czerwona twarz starannie nie wyrażała niczego. – Kazał ci powtórzyć.

– To chodźmy – zwrócił się Petal do Kumiko, wypuszczając grubą samodzielną kłapę. – Chce się tylko przywitać.

Znaleźli Swaina za trzymetrowym stołem z refektarza, w pokoju, gdzie zobaczyła go po raz pierwszy; smoki rangi zniknęły za zapiętą białą koszulą i jedwabnym krawatem w paski. Spojrzał jej w oczy; wąska twarz tkwiła w cieniu, poza kręgiem światła mosiężnej lampki z zielonym abażurem, stojącej przy niewielkiej konsoli i grubym pliku faksów na stole.

– No dobrze – powiedział. – Jak tam Ciąg?

– Jestem bardzo zmęczona, panie Swain. Chciałabym pójść do siebie.

– Cieszymy się, że wróciłaś, Kumiko. Ciąg to niebezpieczne miejsce. Tamtejsi znajomi Sally nie są zapewne odpowiednim dla ciebie towarzystwem. Ojciec nie byłby z tego zadowolony.

– Czy mogę już iść?

– Czy poznałaś jakichś przyjaciół Sally?

– Nie.

– Naprawdę? A co robiłyście?

– Nic.

– Nie powinnaś się na nas gniewać, Kumiko. Staramy się ciebie chronić.

– Dziękuję. Czy mogę iść do swojego pokoju?

– Oczywiście. Na pewno jesteś zmęczona.

Petal odprowadził ją i zaniósł torbę. Szary garnitur miał wymięty i pognieciony po podróży. Starła się nie podnosić wzroku, kiedy przechodzili pod ślepym spojrzeniem marmurowego popiersia, gdzie może wciąż jeszcze czekał ukryty Maas-Neotek. Chociaż w obecności Swaina i Petala nie miała pojęcia, jak go stamtąd wyjąć.

* * *

W domu wyczuwało się dyskretne, ale wyraźne poruszenie: głosy, kroki, stukot windy, brzęk rur, kiedy ktoś brał kąpiel.

Usiadła obok łóżka, zapatrzona na czarną marmurową wannę. Na obrzeżach pola widzenia wciąż unosiły się szczątkowe wizje Nowego Jorku; wciąż była w zaułku, przykucnięta obok Sally, która ją tu odesłała. Która nawet się nie obejrzała. Sally, która kiedyś miała na imię Molly, albo Mglista, albo jedno i drugie. Znowu czuła się kimś bezwartościowym. Sumida; matka unosząca się w czarnych wodach. Ojciec. Sally.

Po chwili, popychana tłumiącą uczucie wstydu ciekawością, wstała z podłogi, wsunęła na nogi cienkie skarpety z czarnej gumy na karbowanych plastikowych podszewkach, i jak najciszej wysunęła się na korytarz. Winda cuchnęła dymem tytoniowym.

Kiedy wysiadła na dole, Czerwona-gęba krążył po niebieskiej wykładzinie foyer z rękami w kieszeniach wąskiej czarnej marynarki.

– Tego... – odezwał się, unosząc brwi. – Potrzebujesz czegoś?

– Jestem głodna – odpowiedziała po japońsku. – Idę do kuchni.

– Tego... – powtórzył, wyjął ręce z kieszeni i poprawił klapy. – Mówisz po angielsku?

– Nie – odparła.

Wyminęła go, weszła w korytarz, skręciła za róg.

– Tego... – usłyszała znowu, bardziej nerwowo, ale wtedy sięgała już za białe popiersie.

Zanim wynurzył się zza rogu, zdążyła wsunąć aparat do kieszeni. Odruchowo zbadał wzrokiem pokój; ręce zwisały mu swobodnie po bokach w sposób, który nagle przypomniał jej sekretarzy ojca.

– Jestem głodna – oznajmiła po angielsku.

Pięć minut później była już w swoim pokoju z dużą i bardzo brytyjską z wyglądu pomarańczą. Anglicy chyba nie przywiązywali żadnego znaczenia do symetrii owocu. Zamknęła za sobą drzwi, położyła pomarańczę na szerokiej krawędzi wanny i wyjęła z kieszeni aparat.

– Szybko... – rzekł Colin, gdy tylko się zogniskował. Odgarnął włosy z czoła. – Otwórz go i przesunij dźwignię A/B na A. Nowa władza ma tu technika, który robi obchody i szuka podsłuchu. Kiedy zmienisz nastawienie, aparat nie powinien dawać odczytu urządzenia rejestrującego.

Zrobiła co kazał, używając spinki do włosów.

– Co to znaczy „nowa władza”? – spytała, bezgłośnie wymawiając słowa.

– Nie zauważyłaś? Jest tu co najmniej dziesięć osób personelu, nie wspominając nawet o licznych gościach. Zresztą przypuszczam, że to nie nowa władza, a zmiana procedur. Twój Swain jest, na swój dyskretny sposób, człowiekiem bardzo towarzyskim. Masz tu jedną z rozmów Swaina z zastępcą szefa Sekcji Specjalnej. Podejrzewam, że wielu ludzi mogłoby zabić dla tego nagrania, nie wyłączając wspomnianego wyżej urzędnika.

– Sekcja Specjalna?

– Tajna policja. Swain obraca się w bardzo dziwnym towarzystwie: ludzi z Owczarni, carów z melin East Endu, starszych oficerów policji...

– Owczarni?

– Z Pałacu. Nie wspomnę już o ludziach z komercyjnych banków w City, gwiazdzie symstymu, stadku kosztownych alfonsów i handlarzy narkotyków...

– Jaka gwiazda symstymu?

– Lanier. Robin Lanier.

– Robin Lanier? Był tutaj?

– Rankiem, zaraz po twoim nagłym wyjeździe.

Spojrzała w przejrzyste, zielone oczy Colina.

– Nie okłamujesz mnie?

– Nie.

– Nigdy?

– O ile mogę to wiedzieć, nigdy.

– Czym jesteś?

– Zaprogramowanym osobowościowo biochipem Maas-Neotek, przeznaczonym do udzielania pomocy i rady japońskiemu turyście

w Zjednoczonym Królestwie.

Mrugnął do niej.

– Dlaczego mrugnąłeś?

– A jak myślisz?

– Odpowiedz! – Żądanie rozległo się głośno między lustrzanymi ścianami.

Duch dotknął smukłym palcem warg.

– Owszem, jestem również czymś więcej. Przejawiam odrobinę za dużo inicjatywy jak na zwykły program turystyczny. Co prawda, model, na jakim zostałem zbudowany, to najnowsza wersja. Niesamowicie złożona. Nie mogę ci dokładnie wyjaśnić, czym jestem, ponieważ sam tego nie wiem.

– Nie wiesz? – Znowu subwokalnie, czujnie.

– Wiem wiele rzeczy – stwierdził i podszedł do mansardowego okna. – Wiem, że stół jadalny w Middle Temple Hall został podobno wykonany ze szczątków *Złotej Łani*; że przy wejściu na pomosty Tower Bridge trzeba pokonać sto dwadzieścia osiem stopni; że na Wood Street, zaraz przy Cheapside, rośnie platan, z którego jakoby drozd śpiewał Wordsworthowi... – Odwrócił się nagle i spojrzał jej w oczy. – Ale to nie ten, ponieważ obecne drzewo zostało sklonowane z oryginału w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym. Wiem to wszystko i więcej, o wiele więcej. Potrafię na przykład nauczyć cię podstaw snookera. Tym właśnie jestem, a raczej tym być miałem. W założeniach. Ale jestem też czymś innym i bardzo prawdopodobne, że ma to związek z tobą. Nie mam pojęcia jaki. Naprawdę nie mam pojęcia.

– Byłeś prezentem od mojego ojca. Czy komunikujesz się z nim?

– O ile wiem, nie.

– Nie powiadomiłeś go o moim wyjeździe?

– Nie rozumiesz. Dopóki nie uruchomiłaś mnie przed chwilą, nie byłem świadomy twojego wyjazdu.

– Przecież nagrywałeś...

– Tak, ale nie byłem świadomy. Jestem „tutaj” tylko wtedy, kiedy mnie zaktywizujesz. Wtedy oceniam aktualne dane... Ale jednego możesz być

właściwie pewna: to po prostu niemożliwe, by wysłać z tego domu jakikolwiek sygnał tak, żeby natychmiast nie wykryły go czujniki Swaina.

– Czy może cię być więcej...? To znaczy, jeszcze jeden taki jak ty, w tym samym zestawie?

– Interesujący pomysł... Ale nie. Chyba że nastąpił jakiś niewiarygodny i tajny skok technologiczny. I tak wypycham sobą obudowę, biorąc pod uwagę rozmiar mojej konstrukcji. Wiem o tym z bazy wiedzy ogólnej.

Spojrzała na aparat w dłoni.

– Lanier – powiedziała. – Powtórz mi.

– Dziesiąta dwadzieścia pięć szesnaście – zaczął.

W jej głowie zabrzmiały bezcielesne głosy...

PETAL: Proszę za mną...

SWAIN: Chodźmy do pokoju bilardowego.

TRZECI GŁOS: Lepiej, żebyś miał ważne powody, Swain. Na zewnątrz czeka na mnie w samochodzie trzech ludzi Netu. Ochrona będzie trzymać twój adres w swojej bazie danych... dopóki piekło nie zamarznie.

PETAL: Bardzo piękny samochód, proszę pana. Daimler. Wezmę pański płaszcz.

TRZECI GŁOS: O co chodzi, Swain? Dlaczego nie mogliśmy się spotkać u Browna?

SWAIN: Zdejmij płaszcz, Robin. Ona wyjechała.

TRZECI GŁOS: Wyjechała?

SWAIN: Do Ciągu. Dziś wczesnym rankiem.

TRZECI GŁOS: Ale czy to nie pora...

SWAIN: Myślisz, że to ja ją tam posłałem?

Odpowiedź była głucha i niewyraźna, stłumiona przez zamykane drzwi.

– To był Lanier? – spytała Kumiko.

– Tak – potwierdził Colin. – Petal wymienił go z nazwiska we wcześniejszej rozmowie. Swain i Lanier spędzili razem dwadzieścia pięć minut.

Szczęk klamki, poruszenie.

SWAIN: Cholerna wpadka. Nie przeze mnie. Ostrzegałem cię przed nią i prosiłem, żebyś ostrzegł tamtych. Urodzona morderczyni,

prawdopodobnie psychopatka...

LANIER: To twój problem, nie mój. Tobie potrzebny jest ich produkt i moja współpraca.

SWAIN: A jaki jest twój problem, Lanier? Dlaczego w to wszedłeś? Tylko po to, żeby odsunąć z drogi Mitchell?

LANIER: Gdzie mój płaszcz?

SWAIN: Petal, podaj panu Lanierowi jego pieprzony płaszcz.

PETAL: Proszę.

LANIER: Mam wrażenie, że oni chcą tej twojej brzytwy tak samo, jak chcą Angie. Stanowczo jest częścią zapłaty. Ją także wezmą.

SWAIN: I życzę im szczęścia. Jest już na pozycji, w Ciągu. Przed godziną rozmawiałem z nią przez telefon. Skontaktuję ją z moim człowiekiem, tym, który miał zorganizować... dziewczynę. A ty też tam wracasz?

LANIER: Dzisiaj wieczorem.

SWAIN: Zatem nie ma powodów do obaw.

LANIER: Do widzenia, Swain.

PETAL: Ale z niego skurwysyn...

SWAIN: Nie podoba mi się to wszystko...

PETAL: Za to towar ci się podoba, co?

SWAIN: Nie mogę narzekać. Jak myślisz, dlaczego chcą mieć też Sally?

PETAL: Bóg wie... Ale niech ją sobie biorą.

SWAIN: Oni. Nie lubię „onych”.

PETAL: Nie będą chyba zachwyceni, że poleciała tam z własnej inicjatywy, w dodatku z córką Yanaki...

SWAIN: Nie. Ale wkrótce znowu będziemy mieli pannę Yanaka. Jutro powiem Sally, że Prior jest w Baltimore i kształtuje tę dziewczynę.

PETAL: Paskudny interes.

SWAIN: Przynieś mi dzbanek kawy do gabinetu.

* * *

Leżała na wznak z zamkniętymi oczami. Zapisy Colina rozwijały się w umyśle, podawane bezpośrednio do nerwów słuchowych. Swain większość swoich interesów prowadził chyba w pokoju bilardowym, co oznaczało, że słyszała ludzi wchodzących i wychodzących, początki i końcówki rozmów. Dwaj ludzie, z których jeden mógł być tym czerwonym na twarzy, prowadziło dyskusję o wyścigach psów i jutrzejszych zakładach. Ze szczególnym zaciekawieniem wysłuchiwała, jak Swain i człowiek z Sekcji Specjalnej (SS, nazywał ją Swain) omawiali jeden ze szczegółów umowy tuż pod marmurowym popiersiem, gdy policjant zbierał się do wyjścia. Zatrzymywała nagranie kilka razy, żądając wyjaśnień. Colin próbował odgadnąć, o co chodzi.

– To bardzo skorumpowany kraj – stwierdziła w końcu, głęboko poruszona.

– Może nie bardziej od twojego.

– Ale czym Swain płaci tym ludziom?

– Informacją. Moim zdaniem nasz pan Swain wszedł ostatnio w posiadanie bardzo cennego źródła informacji i w tej chwili przekuwa je we władzę. Na podstawie tego, co słyszałem, zaryzykowałbym twierdzenie, że zajmuje się tym już od dłuższego czasu. Jest w miarę oczywiste, że idzie w górę, rośnie. Pewne fakty sugerują, że w tej chwili jest człowiekiem o wiele ważniejszym, niż był jeszcze tydzień temu. Trzeba też wziąć pod uwagę fakt zwiększenia liczby personelu...

– Muszę zawiadomić... przyjaciółkę.

– Shears? O czym zawiadomić?

– Co powiedział Lanier. Że zostanie porwana razem z Angelą Mitchell.

– A gdzie ona jest?

– W Ciągu. W hotelu...

– Zadzwoń do niej. Ale nie stąd. Masz pieniądze?

– Chip MitsuBanku.

– Nie przyda się w naszych telefonach. Przykro mi. Może jakieś monety?

Wstała z łóżka i starannie posortowała nominały angielskich pieniędzy, jakie uzbierały się na dnie torebki.

– Mam. – Znalazła grubą, błyszczącą monetę. – Dziesięć funtów.

– Potrzebne są dwie takie, żeby przeprowadzić rozmowę lokalną.

Wrzuciła mosiężną dziesiątkę do torebki.

– Nie, Colin. Nie przez telefon. Znam lepszy sposób. Muszę się stąd wydostać. Teraz. Dzisiaj. Pomożesz mi?

– Oczywiście – zapewnił. – Chociaż radziłbym ci zrezygnować.

– Ale zrobię to.

– Doskonale. Jak masz zamiar się do tego zabrać?

– Powiem im – oświadczyła – że muszę iść na zakupy.

Mona odgadła później, że kobieta musiała się dostać do środka trochę po północy, ponieważ było to już po powrocie Priora z torbą krabów. Drugą torbą krabów. W Baltimore naprawdę dobrze je robili. Po magu zwykle była głodna, więc namówiła go, żeby przyniósł jeszcze trochę.

Gerald zaglądał co jakiś czas i zmieniał jej dermy na rękach. Prezentowała mu swój najlepszy głupawy uśmiech, a kiedy tylko wyszedł, wyciskała z nich lek i przyklejała z powrotem. W końcu Gerald powiedział, że powinna się trochę przespać. Pogasił światła i ustawił fałszywe okno na najniższy poziom: krwistoczerwony zachód słońca.

Gdy znów została sama, wsunęła dłoń między łóżko a ścianę. W dziurze w gąbce odszukała paralizator.

Zasnęła mimo woli. Czerwony blask w oknie przypominał zachód słońca w Miami. Musiała śnić o Eddym, a w każdym razie o lokalu Hooky'ego Greena i jak tańczyła z kimś na trzydziestym drugim piętrze, ponieważ, kiedy przebudziło ją załamanie, nie była pewna, gdzie się znajduje. Miała za to w głowie bardzo wyraźną i dokładną mapę wyjścia od Hooky'ego Greena i wiedziała, że lepiej zejść po schodach, bo na dole czekają kłopoty...

Siedziała już na brzegu łóżka, kiedy przez drzwi wszedł Prior. Naprawdę „przez”, bo były zamknięte, kiedy w nie uderzył. Wpadł tyłem, a drzwi rozpadły się na drzazgi i strzępy płyty pilśniowej podobne do plastrów miodu.

Zobaczyła, jak pada na ścianę, potem na podłogę, a potem już się nie ruszała, a ktoś inny stanął w progu oświetlony od tyłu blaskiem padającym

z sąsiedniego pokoju. Nie widziała twarzy, jedynie dwa łuki odbitej czerwieni fałszywego zachodu słońca.

Podciągnęła nogi na łóżko i cofnęła się pod ścianę, sięgając ręką do...

– Nie ruszaj się, dziwko. – W głosie było coś przerażającego. Brzmiała w nim jakaś pieprznięta radość, jakby wrzucenie Priora przez drzwi było wyjątkową okazją. – Poważnie. Nawet nie drgnij...

Kobieta trzema krokami pokonała pokój. Stała blisko, tak blisko, że Mona wyczuła chłód promieniujący ze skórzanej kurtki.

– Dobra – powiedziała Mona. – Dobra...

Ręce chwyciły ją błyskawicznie. A potem leżała płasko na plecach, z ramionami przyciśniętymi do gąbki, a coś... paralizator... zawisło tuż nad jej twarzą.

– Skąd wzięłaś tę zabawkę?

– A, to... – odpowiedziała Mona, jakby chodziło o coś, co widziała kiedyś, ale o czym zapomniała. – Było w kurtce mojego chłopaka. Pożyczyłam ją od niego.

Serce biło jej mocno. Te okulary były jakieś dziwne...

– Czy ten gówniarz wiedział, że to masz?

– Kto?

– Prior – wyjaśniła kobieta i puściła ją.

Odwróciła się. I kopnęła go, i znowu, raz po raz, mocno.

– Nie... – Zaprzestała kopania równie nagle, jak zaczęła. – Nie sądzę, żeby Prior wiedział.

W progu stanął Gerald. Całkiem jakby nic się nie stało, tyle że spoglądał z żalem na tę część drzwi, która pozostała jeszcze w futrynie. Przesuwał kciukiem po krawędzi pękniętego laminatu.

– Kawę, Molly?

– Dwie kawy, Gerald – odpowiedziała kobieta, badając paralizator. – Dla mnie czarną.

* * *

Mona sączyła kawę i przyglądała się ubraniu i włosom kobiety. Czekali, aż Prior się obudzi. A przynajmniej tak się wydawało. Gerald znowu gdzieś zniknął.

Nie była podobna do nikogo, kogo Mona kiedykolwiek widziała. Mona nie potrafiła jej umiejscowić na mapie stylów; uznała jedynie, że musi mieć sporo pieniędzy. Fryzurę nosiła europejską; Mona widziała takie w jakimś magazynie, ale była pewna, że w tym sezonie takie uczesanie nigdzie nie jest modne. Za to pasowało do okularów. Okulary były implantami, wszczepionymi bezpośrednio w skórę. Mona widziała kiedyś takie u taksówkarza w Cleveland. Kobieta miała na sobie krótką kurtkę, brązową i bardzo ciemną, zbyt prostą jak na gust Mony, ale wyraźnie nową, z szerokim kołnierzem obszytym białym kożuszkciem. Rozpięta, odsłaniała dziwaczną zieloną powłokę piersi i brzucha – jakby zbroja, którą pewnie była. Dżinsy uszyto z szarozielonego, grubego i miękkiego zamszu. Mona pomyślała, że te dżinsy to najlepszy element kostiumu; sama by takie włożyła. Tylko buty psuły efekt: czarne, do kolan, jakie noszą motocykliści, na grubych żółtych podeszwach, z szerokimi pasami w śródstopiu i chromowanymi klamrami na całej długości. I te okropne ciężkie noski. A skąd ona wzięła taki kolor paznokci, ten burgund? Mona nie wierzyła, żeby jeszcze gdzieś robili taki lakier.

– Na co się tak gapisz, do diabła?

– Uhm... Na twoje buty.

– Co z nimi?

– Zupełnie ci nie pasują do spodni.

– Włożyłam je, żeby skopać dupę Priorowi.

Prior jęknął na podłodze i chyba próbował zwymiotować. Ten widok sprawił, że Monę też trochę zemdliło, więc powiedziała, że musi wyjść do łazienki.

– Nie próbuj się stąd ruszać.

Zdawało się, że kobieta obserwuje Priora ponad brzegiem swojej białej porcelanowej filiżanki, ale przy tych okularach nie było pewności.

* * *

Jakoś znalazła się w łazience z torebką na kolanach. Przygotowując działkę, śpieszyła się i nie rozstała dobrze, więc paliło ją teraz w gardle. Ale – jak mawiała Lanette – nie zawsze jest czas na pieszczoty. Zresztą teraz sytuacja przedstawiała się chyba lepiej. W łazience Geralda był niewielki prysznic, ale wyglądało na to, że od dawna nikt go nie używał. Przyjrzała się bliżej i zauważyła szarą pleśń wyrastającą wokół ścieku. I drobne plamki podobne do zaschniętej krwi.

Kiedy wróciła, kobieta przeciągała Priora do któregoś z sąsiednich pokojów. Wlokła go za nogi. Mona zauważyła, że nie ma butów ani skarpetek. Może wyciągnął nogi, żeby się zdrzemnąć. Niebieska koszula była poplamiona krwią, a twarz poobijana.

Uderzył mag. Mona poczuła tylko czystą, niewinną ciekawość.

– Co robisz?

– Będę musiała go obudzić – wyjaśniła kobieta. Całkiem jakby jechała metrem i mówiła o innym pasażerze, który może przespać swój przystanek.

Mona podążyła za nią do pokoju, gdzie zwykle pracował Gerald. Wszystko tu było czyste i białe jak w szpitalu. Patrzyła, jak kobieta sadza Priora w takim dziwnym fotelu z dźwigniami, przyciskami i przełącznikami. Ona nawet nie jest taka silna, pomyślała. Ona po prostu wie, gdzie najlepiej popchnąć. Głowa opadła Priorowi na ramię. Kobieta zapięła mu na piersi szeroki pas.

– O co chodzi? – Kobieta napełniała wodą z kranu biały plastikowy pojemnik.

Mona wciąż próbowała to powiedzieć. Czuła, że po magu serce bije jej jak szalone. On zabił Eddy'ego, usiłowała oznajmić, ale nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa. Chociaż w końcu chyba jej się udało, bo kobieta odpowiedziała:

– Tak, on jest zdolny do takich rzeczy. Jeśli mu się pozwoli.

Chlusnęła wodą na Priora, na twarz i na koszulę. Otworzył oczy. Białko lewego było zupełnie czerwone. Metalowe wypustki paralizatora trysnęły białymi iskrami, kiedy kobieta przycisnęła je do mokrej niebieskiej koszuli. Prior wrzasnął.

* * *

Gerald musiał wczłgać się pod łóżko, żeby ją stamtąd wyciągnąć. Miał chłodne, bardzo delikatne dłonie. Nie pamiętała, skąd się tutaj wzięła, ale teraz panował już spokój. Gerald miał na sobie szary płaszcz i ciemne okulary.

– Pojedziesz teraz z Molly, Mona – poinformował.

Zaczęła dygotać.

– Może lepiej dam ci coś na nerwy.

Wyrwała mu się gwałtownie.

– Nie! Nie próbuj nawet mnie dotykać!

– Daj spokój, Gerald – rzuciła kobieta od drzwi. – Powinieneś już iść.

– Mam wrażenie, że nie całkiem wiesz, co robisz – stwierdził. – Ale życzę ci szczęścia.

– Dzięki. Nie żal ci, że musisz się wynieść?

– Nie. I tak wkrótce miałem się wycofać.

– Ja też – mruknęła kobieta, a Gerald wyszedł, nawet nie skinąwszy Monie głową.

– Masz jakieś ciuchy? – zapytała Monę kobieta. – Włóż je. My też wychodzimy.

Ubierając się, Mona zauważyła, że nie może zapiąć sukienki na nowym biuście. Zostawiła ją rozpiętą, włożyła kurtkę Michaela i zaciągnęła zamek pod brodę.

Czasami chciał tylko stanąć i popatrzeć na Sędziego albo przykucnąć na betonie obok Wiedźmy. Potrafiły zahamować to jąkanie pamięci. Nie rwanie filmu czy nagłe błyski wspomnień, ale to niepewne, rozmyte uczucie, jakby taśma pamięci zsuwała się w głowie, gubiąc minutowe przyrosty doświadczenia... Teraz też tam poszedł i działało. Aż w końcu obok siebie zobaczył Cherry.

Gentry siedział na poddaszu razem z Kształtem, który pochwyił – z tym, co nazywał węzłem makroformy. Prawie nie słuchał, co Ślizg próbował mu opowiedzieć o domu, o całej okolicy i o Bobbym Grafie.

Dlatego Ślizg zszedł tutaj, by w chłodzie i mroku przysiąc obok Śledczego, wspominając wszystko, czego dokonał tak wielu różnymi narzędziami, gdzie zdobył każdą z części... A potem Cherry wyciągnęła dłoń i chłodnymi palcami dotknęła jego policzka.

– Dobrze się czujesz? – spytała. – Pomyślałam, że może znowu ci się przytrafiło...

– Nie. Po prostu muszę czasem tutaj zejść.

– Podłączył cię do bloku Grafa, prawda?

– Bobby'ego – poprawił ją Ślizg. – Tak ma na imię. Widziałem go.

– Gdzie?

– Tam. Tam jest cały świat. Stoi dom wielki jak zamek albo co, i on w nim mieszka.

– Sam?

– Powiedział, że Angie Mitchell też tam jest.

– Może zwariował. A była?

- Nie spotkałem jej. Ale widziałem samochód; mówił, że to jej.
 - Słyszałam, że siedzi teraz na detoksie w jakiejś specjalnej klinice dla gwiazd.
 - Nie wiem. – Wzruszył ramionami.
 - Jaki on był?
 - Chyba młodszy. Każdy by marnie wyglądał z tymi wszystkimi sterczącymi rurkami i tym całym gównem. Domyślił się, że Kid Afrika upchnął go tutaj, bo się przestraszył. Powiedział, że gdyby ktoś przyszedł go szukać, mamy go włączyć do matrycy.
 - Dlaczego?
 - Nie wiem.
 - Powinieneś zapytać.
- Jeszcze raz wzruszył ramionami.
- Widziałaś gdzieś Ptaśka?
 - Nie.
 - Powinien już wrócić...
- Wstał.

* * *

Ptasiek wrócił o zmierzchu, na motorze Gentry'ego. Ciemne skrzydła jego włosów były wilgotne od śniegu i trzepotały w podmuchach wiatru, kiedy z rykiem silnika pędził przez Samotnię. Ślizg skrzywił się: Ptasiek jechał na niewłaściwym biegu. Wskoczył na zbocze zgniecionych beczek po oleju i zahamował, kiedy powinien dodać gazu. Cherry jęknęła cicho, gdy Ptasiek i maszyna rozdzielili się w powietrzu. Zdawało się, że przez sekundę motor zawisł nieruchomo, nim przekoziółkował i runął w porzewiałą plątaninę blachy, która była kiedyś jedną z fabrycznych przybudówek. A Ptasiek toczył się i toczył po ziemi.

Ślizg jakoś nie usłyszał huku. Stał obok Cherry pod osłoną otwartej rampy załadunkowej... A potem, bez żadnego przejścia, pędził do leżącego jeźdźca po rdzy nakrapianej bielą śniegu. Ptasiek leżał na wznak, miał

krw na wargach, a usta częściowo przesłonięte supłami rzemyków i amuletów, które zawsze nosił na szyi.

– Nie dotykaj go – powiedziała Cherry. – Może mieć połamane żebra albo być całkiem porozrywany w środku...

Na dźwięk jej głosu Ptasiek otworzył oczy. Ściągnął wargi, wypuł trochę krwi i kawałek zęba.

– Nie ruszaj się. – Cherry przykłęła obok niego. Przeszła na wyraźną dykcję, jakiej uczyli jej w szkole medycznej. – Możesz być ranny.

– Pieprz się, paniusiu – wykrztusił i podniósł się sztywno, z pomocą Ślizga.

– Jak chcesz, durniu – odparła. – Krwotok. Guzik mnie to obchodzi.

– Nie dostałem jej – oświadczył Ptasiek, grzbietem dłoni rozsmarowując krew po twarzy. – Ciężarówka.

– Zauważyłem – mruknął Ślizg.

– Marvie i chłopcy mieli towarzystwo. Jak muchy na gównie. Para poduszkowców, śmigłowiec i w ogóle. Pełno facetów.

– Jakich facetów?

– Jak żołnierze, ale to nie oni. Żołnierze łaziliby dookoła, opieprzali się, opowiadali dowcipy, kiedy nie widać nikogo ważnego. Ale nie ci.

– Gliny?

Marvie i jego dwaj bracia hodowali w parunastu na wpół zasypanych kolejowych cysternach jakieś zmutowane zielsko. Czasami próbowali destylować składniki aminowe, ale laboratorium stale im wybuchало. Stanowili coś, co można uznać za stałe sąsiedztwo Fabryki. Sześć kilometrów.

– Gliny? – Ptasiek wypuł kolejny odprysk zęba i zakrwawionym palcem ostrożnie zbadał wnętrze ust. – Przecież nie naruszają prawa. Zresztą glin nie stać na taki sprzęt: nowe poduszkowce, nowa honda... – Rozciągnął w uśmiechu wargi, mokre od krwi i śliny. – Pokręciłem się po Samotni i dokładnie ich sobie obejrzałem. Nikt, z kim chciałbym pogadać. Ty też nie. Chyba całkiem rozpieprzyłem Gentry'emu motor...

– Nie przejmuj się – uspokoił go Ślizg. – Jest zajęty czymś innym.

– To dobrze...

Zatoczył się w stronę Fabryki, niemal upadł, odzyskał równowagę i poszedł dalej.

– Ma odlot jak latawiec – zauważyła Cherry.

– Hej, Ptasiek! – zawołał Ślizg. – Co się stało z tą torbą gówna, którą miałeś oddać Marviemu?

Ptasiek zachwiał się.

– Zgubiłem...

A potem zniknął za narożnikiem z blachy falistej.

– Może wszystko to wymyślił – zastanowiła się Cherry. – Tych facetów. I całą resztę.

– Wątpię – odparł Ślizg i wciągnął ją w cień, gdy z zimowego nieba opadła nad Fabrykę czarna honda bez świateł.

* * *

Biegając po chwiejnych stopniach, słyszał, jak honda piąty raz zatacza krąg nad Fabryką. Blaszany dach wibrował przy jej przelocie. Niech tam, pomyślał; to powinno zwrócić uwagę Gentry'ego na fakt, że mamy gości. W dziesięciu ostrożnych krokach pokonał wąski pomost; zastanawiał się, czy w ogóle zdołają wynieść stąd Grafa z noszami... Trzeba będzie chyba na całej długości przyspawać dodatkowy dwuteownik.

Bez pukania wszedł na poddasze. Gentry siedział przy pulpicie. Przechylił głowę i spoglądał w górę, na plastikowe świetliki. Pulpit był zasypany kawałkami obwodów i narzędziami.

– Śmigłowiec – oznajmił zdyszany Ślizg.

– Śmigłowiec – zgodził się Gentry i w zadumie pokiwał głową. Splątany czub podskoczył. – Chyba czegoś szukają.

– Obawiam się, że już znaleźli.

– Może to Agencja Energii?

– Ptasiek widział jakichś ludzi u Marvie'ego. I widział tę maszynę. Nie słuchałeś, kiedy chciałem ci opowiedzieć, co on mówił.

– Ptasiek?

Gentry przyjrzał się małym błyszczącym elementom na blacie. Podniósł dwa zaciski i skręcił je razem.

– Graf! Kazał...

– Bobby Newmark – mruknął Gentry. – Tak. Teraz wiem już więcej o Bobbym Newmarku.

Cherry stanęła za Ślizgiem.

– Musisz coś zrobić z tym pomostem – oświadczyła, podchodząc do noszy. – Za bardzo się kiwa.

Pochyliła się, by sprawdzić odczyty Grafa.

– Chodź no tu, Ślizg – rzucił Gentry.

Wstał. Przeszedł do pulpitu holo. Ślizg ruszył za nim, wpatrzony w płonący tam obraz. Przypominał mu dywany, które widział w szarym domu: podobne wzory, tylko te tutaj były splecione z cienkiego jak włos neonu i zaplątane w jakiś nieskończony supeł; głowa bolała, kiedy patrzyło się w jego jądro. Odwrócił wzrok.

– To jest to? – zwrócił się do Gentry’ego. – To, czego zawsze szukałeś?

– Nie. Mówiłem przecież. To tylko węzeł, makroforma. Model.

– On ma tam cały dom, jak zamek, i trawę, drzewa, i niebo...

– Ma tam o wiele więcej. O cały wszechświat więcej. Widziałeś tylko konstrukt, opracowany na podstawie komercyjnego stymu. On ma tam abstrakt całkowitej sumy danych, składających się na cyberprzestrzeń. Ale to i tak bliżej, niż kiedykolwiek dotarłem... Nie powiedział ci, dlaczego tam siedzi?

– Nie pytałem.

– Więc będziesz musiał wrócić.

– Zaraz. Gentry. Posłuchaj. Śmigłowiec. Wróci tu. Wróci z dwoma poduszkowcami pełnymi facetów, którzy zdaniem Ptaśka wyglądają na żołnierzy. Oni nie nas tu szukają, chłopie. Szukają jego.

– Może są od niego. Może przyjechali po nas.

– Nie. Człowieku, on mi powiedział! Mówił, że jeśli ktokolwiek przyjdzie go szukać, to wpadliśmy w szambo i musimy włączyć go do matrycy.

Gentry spojrzał na mały zwornik, który wciąż trzymał w ręku.

– Pogadamy z nim, Ślizg. Wrócisz tam, ale teraz ja pójdę z tobą.

Petal zgodził się w końcu, ale dopiero kiedy zagroziła, że zatelefonuje do ojca po pozwolenie. Wtedy poczłapał nieszczęśliwy na poszukiwanie Swaina, a kiedy wrócił równie nieszczęśliwy, odpowiedź brzmiała „tak”. Opatulona w kilka warstw najcieplejszych ubrań, stała teraz w białym foyer i studiowała obrazy z polowania, a za zamkniętymi drzwiami Petal udzielał instrukcji człowiekowi o czerwonej twarzy, który miał na imię Dick. Nie potrafiła rozróżnić pojedynczych słów, jedynie przytłumiony ostrzegawczy potok wymowy. Maas-Neotek spoczywał w jej kieszeni, ale starała się go nie dotykać. Już dwa razy Colin próbował odwieść ją od jej zamiarów.

W końcu Dick wyszedł z wykładu Petala, rozciągając w uśmiechu wąskie usta. Pod obcisłym czarnym garniturem miał różowy kaszmirowy golf i cienki szary wełniany zapinany sweter. Czarne włosy były gładko przylizane, blade policzki pokrywał cień kilkugodzinnego zarostu. Dotknęła aparatu w kieszeni.

– No dobrze – rzekł Dick i zmierzył ją wzrokiem. – Gdzie się wybierzemy na spacer?

– Portobello Road – rzucił Colin, oparty o ścianę za pełnym okryć wieszakiem.

Dick sięgnął przez Colina, zdjął czarny płaszcz, włożył go i zapiął. Wciągnął grube czarne rękawiczki.

– Na Portobello Road – odpowiedziała Kumiko i puściła aparat.

– Jak długo pracujesz dla pana Swaina? – spytała, kiedy szli oblodzonym chodnikiem.

– Dość długo – odparł. – Uważaj, żeby się nie pośliznąć. Paskudne masz obcasy...

Kumiko szła obok niego w nabijanych ćwiekami czarnych francuskich butach na szpilkach. Jak przewidywała, praktycznie uniemożliwiały wybór drogi na twardych jak szkło, nierównych łatach lodu. Wzięła go za rękę, żeby łatwiej utrzymać równowagę. Poczowała ciężki metal w dłoni: rękawiczki miał obciążone, palce wzmocnione karbonową siatką.

Milczał, kiedy z zaułka skręcili w boczną uliczkę. Ale gdy dotarli do Portobello Road, zatrzymał się nagle.

– Przepraszam – zaczął z nutą wahania w głosie. – Czy to prawda, co mówią chłopcy?

– Chłopcy? Nie rozumiem.

– Chłopcy Swaina, jego ludzie. Że jesteś córką wielkiego bossa... wielkiego bossa z Tokio?

– Przepraszam – odpowiedziała. – Ale nie wiem, o co chodzi.

– Yanaka. Nazywasz się Yanaka?

– Kumiko Yanaka, tak...

Przyjrzał jej się z zaciekawieniem. I nagle troska przemknęła mu po twarzy. Rozejrzał się uważnie.

– Boże – mruknął. – To jednak prawda... – Krępe, opięte płaszczem ciało było naprężone i czujne. – Prezes mówił, że chcesz iść na zakupy.

– Tak, owszem.

– Gdzie mam cię zabrać?

– Tutaj – odparła i poprowadziła go wąską uliczką, gęsto zastawioną brytyjskim *gomi*.

* * *

Przydały jej się teraz z Dickiem doświadczenia z wypraw na zakupy w Shinjuku. Metody, jakie opracowała, by dręczyć sekretarzy ojca, tutaj okazały się równie skuteczne, gdy zmuszała go do pomocy w dziesiątkach

bezsensownych wyborów między jednym a drugim medalionem z okresu Edwarda, tym czy tamtym kawałkiem witraża. Dbała jednak, by w końcu zawsze decydować się na przedmioty kruche lub bardzo ciężkie, niewygodne w transporcie i wyjątkowo kosztowne. Uprzejma dwujęzyczna sprzedawczyni ściągnęła jej z chipa MitsuBanku osiemdziesiąt tysięcy funtów. Kumiko wsunęła dłoń do kieszeni, gdzie ukryła Maas-Neotek.

– Wspaniała – oświadczyła po japońsku angielska dziewczyna, pakując nabytek Kumiko: złoconą wazę zdobioną gryfami.

– Ohydna – ocenił po japońsku Colin. – A w dodatku imitacja.

Rozparł się na wiktoriańskiej sofie z końskiego włosia, wyciągając nogi na koktailowy stolik w stylu art deco, wsparty na opływowych aniołach z aluminium.

Sprzedawczyni dodała owiniętą wazę do brzemienia Dicka. Był to jedenasty sklep z antykami i ósmy zakup.

– Myślę, że powinnaś już działać – poradził Colin. – Lada chwila Dick zadzwoni do Swaina po samochód, żeby zabrać te rupiecie do domu.

– To chyba wszystko? – zapytał z nadzieją Dick znad paczek Kumiko.

– Jeszcze tylko jeden sklep... Proszę. – Uśmiechnęła się do niego.

– No dobrze – mruknął ponuro.

Kiedy wyszedł za nią za próg, wbiła obcas lewego buta w szczelinę chodnika, którą zauważyła, wchodząc.

– Coś się stało? – zapytał, widząc, że się potknęła.

– Złamałam obcas...

Kulejąc, wróciła do sklepu i siadła obok Colina na sofie. Sprzedawczyni podbiegła usłuźnie, próbując pomóc.

– Ściągaj je szybko – rzucił Colin. – Zanim Dickie odłoży te paczki.

Odsunęła zamek buta ze złamanym obcasem, potem drugiego. Zdjęła oba. Zamiast surowego chińskiego jedwabiu, jaki zwykle nosiła zimą, miała na nogach cienkie skarpety tabi z czarnej gumy z karbowanymi plastikowymi podeszwami. Prawie jej się udało przebiec w drzwiach między nogami Dicka, ale zaczepiła ramieniem o jego udo i przewróciła go na półkę zastawioną rzeźbionymi kryształowymi karafkami.

A potem była już wolna i przeciskała się przez tłumy turystów na Portobello Road.

* * *

Stopy jej marzły, ale karbowane podeszwy gwarantowały znakomitą przyczepność... Chociaż nie na lodzie, przypomniała sobie, podnosząc się po drugim upadku, z dłońmi ubrudzonymi mokrym piaskiem. Colin skierował ją w wąskie przejście między ścianami z poczerniałych cegieł...

Chwyciła aparat.

– Gdzie teraz?

– Tędy – odparł.

– Chcę do „Róży i Korony” – przypomniała mu.

– Chcesz być ostrożna. Do tej pory Dick na pewno ściągnął tu ludzi Swaina. Nie wspomnę już, jaką akcją poszukiwawczą może zorganizować ten jego kolega z Sekcji Specjalnej, jeśli tylko się go poprosi. A nie wyobrażam sobie, dlaczego nie miałoby go poprosić...

* * *

Weszła pod „Różę i Koronę” bocznymi drzwiami, wdzięczna za przytulny półmrok i promieniujące ciepło, które było chyba główną zaletą tych pijackich nor. Zdziwiła ją ilość tapicerki na ścianach i siedzeniach, liczba grubych kotar. Gdyby kolory nie były takie ciemne, wrażenie ciepła też nie byłoby tak silne. Puby, uznała, to najwyższy wyraz brytyjskiego stosunku do *gomi*.

Za wskazówką Colina przecisnęła się między pijącymi przy barze. Miała nadzieję, że znajdzie Tickę.

– Co podać, skarbie?

Spojrzała na szeroką twarz blondynki za barem, na jaskrawą szminkę i pokryte różem policzki.

– Przepraszam bardzo – zaczęła. – Chciałabym rozmawiać z panem Bevanem...

– Kufel dla mnie, Alice! – zawołał ktoś, kładąc na ladzie trzy dziesięciofuntowe monety. – Lager.

Alice pociągnęła za białą ceramiczną dźwignię i napełniła naczynie jasnym piwem. Postawiła je na odrapanym barze i zsunęła monety do rozklekotanej kasy.

– Ktoś chce z tobą pogadać, Bevan – poinformowała, kiedy mężczyzna podniósł kufel.

Kumiko spojrzała na zarumienioną, pomarszczoną twarz. Mężczyzna miał zbyt krótką górną wargę i przypominał królika, choć był duży, prawie tak potężny jak Petal. I miał oczy królika: okrągłe, brązowe, prawie nieukazujące białka.

– Ze mną? – Akcent przypominał jej Tickę.

– Powiedz, że tak – wtrącił Colin. – Nie może pojąć, po co mała japońska dziewczynka w gumowych skarpetach przyszła go szukać w piwiarni.

– Chcę znaleźć Tickę.

Bevan obserwował ją obojętnie ponad krawędzią uniesionego kufla.

– Przykro mi – rzekł. – Ale chyba nie znam nikogo z takim imieniem.

Napił się.

– Sally powiedziała, że gdyby Tickę tu nie było, mam znaleźć pana. Sally Shears...

Bevan zakrztusił się piwem; oczy błysnęły skrawkiem białka. Kaszląc, odstawił kufel na ladę i z kieszeni płaszcza wyciągnął chusteczkę. Wytarł nos i osuszył wargi.

– Za pięć minut zaczynam zmianę – oświadczył. – Lepiej chodźmy na zaplecze.

Alice uniosła na zawiasach część lady, Bevan szybkim gestem skierował tam Kumiko i obejrzał się nerwowo. Poprowadził ją wąskim korytarzem, zaczynającym się zaraz za barem. Ściany były tu z cegieł, starych i nierównych, grubo pokrytych brudną zieloną farbą. Zatrzymał się przy pogiętym stalowym pojemniku pełnym frotowych, cuchnących piwem barowych ścierek.

– Pożałujesz, jeśli spróbujesz mnie wykiwać – ostrzegł. – Powiedz, dlaczego właściwie szukasz tego Ticka.

– Sally grozi niebezpieczeństwo. Muszę znaleźć Ticka. Muszę mu powiedzieć.

– Niech to szlag – mruknął barman. – Postaw się na moim miejscu...

Colin zmarszczył nos, widząc kosz wilgotnych ścierek.

– Więc? – spytała Kumiko.

– Jeśli jesteś kapusiem, a ja cię pošlę do tego Ticka, zakładając, że go znam, a on akurat jest w coś wplątany, to mnie załatwi. Prawda? Ale jeśli nie jesteś, to ta Sally pewnie mnie załatwi, gdybym ci nie pomógł. Rozumiesz?

Kumiko skinęła głową.

– Pomiędzy kamieniem a twardym miejscem.

Tego idiomu użyła Sally, a Kumiko uznała go za bardzo poetycki.

– Właśnie. – Bevan spojrzał na nią dziwnie.

– Proszę mi pomóc. Ona jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Przejechał dłonią po przerzedzonych żółtych włosach.

– Pomoże mi pan – usłyszała swój głos. Poczowała, że zaskakuje na miejsce zimna maska matki. – Niech mi pan powie, gdzie mogę znaleźć Ticka.

Zdawało się, że barman zadrżał, choć w korytarzu było aż nazbyt ciepło, parno, a zapach piwa mieszał się z ostrymi tonami środków dezynfekcyjnych.

– Znasz Londyn?

Colin mrugnął do niej.

– Orientuję się.

– Bevan! – Alice wysunęła głowę zza rogu. – Brudy.

– Policja – przetłumaczył Colin.

– Margate Road, SW2 – rzucił Bevan. – Nie znam numeru, nie znam telefonu.

– Niech cię wypuści tylnymi drzwiami – poradził Colin. – To nie są zwyczajni policjanci.

* * *

Kumiko miała na zawsze zapamiętać podróż londyńskim metrem. Colin przeprowadził ją spod „Róży i Korony” do Holland Park i w dół, tłumacząc, że jej chip MitsuBanku jest teraz gorzej niż bezwartościowy. Jeśli go wykorzysta, żeby zapłacić za taksówkę albo kupić cokolwiek, jakiś operator z Sekcji Specjalnej zobaczy rozbłysk transakcji niby płomień magnezji na kratownicy cyberprzestrzeni. Ale musi trafić do Ticka, odpowiedziała; musi dotrzeć na Margate Road. Zmarszczył czoło. Nie, stwierdził. Poczekaj do zmroku; Brixton nie jest daleko, ale teraz, za dnia, ulice są zbyt niebezpieczne. Policja współpracuje ze Swainem. Ale gdzie mogłaby się ukryć, spytała. Prawie nie miała gotówki; idea waluty, monet i banknotów, wydawała jej się dziwaczna i obca.

Tutaj, stwierdził, kiedy zjeżdżali windą pod Holand Park. Za cenę biletu.

Obłe, srebrzyste sylwetki pociągów.

Miękkie wytarte siedzenia w szarościach i zieleniach.

I ciepło, cudownie ciepło; kolejna nora w krainie nieustannego ruchu...

Lotnisko wessało senną Danielle Stark w pastelowy korytarz, wypełniony reporterami, kamerami, udoskonalonymi oczami. Porphyre i trzech ludzie z ochrony Netu przeprowadzili Angie przez zacieśniający się krąg dziennikarzy: choreograficzny rytuał, bardziej związany z zapewnieniem dramatycznych nagrań wideo niż z bezpieczeństwem. Wszyscy obecni zostali już sprawdzeni przez ochronę i biuro prasowe.

Po chwili ona i Porphyre zostali sami w ekspresowej windzie zmierzającej do heliportu, jaki Net utrzymywał na dachu terminalu.

Drzwi otworzyły się na podmuch mokrego wiatru ponad jaskrawo oświetlonym betonem, gdzie czekało już trzech następnych ochroniarzy w odblaskowych pomarańczowych kurtkach. Angie przypomniała sobie, jak pierwszy raz zobaczyła Ciąg... Jechała wtedy z Turnerem pociągiem z Waszyngtonu.

Jedna z pomarańczowych kurtek poprowadziła ich przez rozległą betonową równinę do oczekującego śmigłowca, dużego dwuwirnikowego fokkera wykończonego czarnym chromem. Porphyre pierwszy wszedł po delikatnych, matowo czarnych stopniach. Ruszyła za nim, nie oglądając się za siebie.

Odkryła w sobie nową determinację. Postanowiła skontaktować się z Hansem Beckerem przez jego paryskiego agenta. Ciągłość znał numer. I musi jakoś załatwić sprawę z Robinem. Wiedziała, że pewnie czeka już na nią w hotelu.

Śmigłowiec polecił im zapiąć pasy.

Podnieśli się. W dźwiękoszczelnej kabinie panowała cisza; czuła tylko mrowienie w kościach. Przez jedną chwilę miała wrażenie, że może odwzorować w myślach całe swoje życie, zobaczyć je takim, jakie było. Właśnie to przesłonił i ukrył narkotyk, pomyślała; to była wolność od bólu.

W siedzibie odejścia duszy, odezwał się metaliczny głos spomiędzy blasku świec i brzęczenia ła.

– Panienko...

To Porphyre z fotela obok; pochylił się ku niej.

– Miałam sen...

Coś czekało na nią przed laty w Necie. Nic podobnego do loa, do Legby i innych, choć wiedziała, że Legba jest Panem Skrzyżowań, jest syntezą, kardynalnym punktem magii i komunikacji...

– Porphyre, dlaczego Bobby odszedł? – zapytała.

Wyjrzała na spletaną świetlną kratownicę Ciągu, na kopuły rozjaśnione czerwonymi reflektorami... I zamiast nich widziała pejzaż danych, który go zawsze przyciągał z powrotem do tego, co uważał za jedyną grę wartą zachodu.

– Nie wiem, panienko – odparł Porphyre. – Kto to wie?

– Ale słyszysz o różnych rzeczach. O wszystkim. I plotki. Zawsze słyszałeś...

– Dlaczego teraz pytasz?

– Już czas...

– Pamiętam rozmowę, rozumiesz? Jak ludzie, którzy nie są sławni, mówią o ludziach, którzy są. Może ktoś, kto przyznawał się do znajomości z Bobbym, rozmawiał z kimś innym i to się jakoś rozeszło... Bobby był dobrym tematem, ponieważ był z tobą, rozumiesz? To dobry punkt, żeby od niego zacząć, panienko, ponieważ on nie uznałby takich słów za pochlebne. Prawda? Mówiło się, że próbował sam kombinować, ale znalazł ciebie, a ty wyskoczyłaś wyżej i szybciej niż cokolwiek, o czym mógłby zamarzyć. Zabrałaś go ze sobą na szczyt. Gdzie pieniądze, które w Barrytown nawet mu się nie śniły, są tylko drobnymi...

Angie skinęła głową; patrzyła na Ciąg.

– Mówiło się, że miał własne ambicje, panienko. Coś go pchało. I w końcu odepchnęło...

– Nie sądziłam, że mnie opuści – szepnęła. – Kiedy pierwszy raz przybyłam do Ciągu, to było jakbym się urodziła na nowo. Nowe życie. A on tam czekał, był przy mnie od pierwszej nocy. Później, kiedy Legba... Kiedy znalazłam się już w Necie...

– Kiedy stawiałaś się Angie...

– Tak. I chociaż wiele z siebie musiałam poświęcić, wiedziałam, że zawsze będzie przy mnie. I jeszcze, że nigdy nie kupi tego do końca. A tego potrzebowałam: kogoś, kto uważa, że wszystko to śmiecie... cały ten interes...

– Net?

– Angie Mitchell. Umiał dostrzec różnicę między nią a mną.

– Umiał?

– Może to właśnie on był różnicą...

Tak wysoko ponad liniami światła...

* * *

Od pierwszych dni w Necie stary New Suzuki Envoy był w Ciągu ulubionym hotelem Angie.

Płaszczyzna ściany wyrastała od ulicy na dziesięć pięter. Potem, na pierwszym z dziewięciu tarasów, zwężała się kanciastą linią w górskie zbocze usypane z kamieni wykopanych podczas budowy na Madison Square. W oryginalnych planach strome stoki miały być pokryte florą z doliny rzeki Hudson; miała tam również zamieszkiwać odpowiednia fauna. Jednakże późniejsza konstrukcja pierwszej Kopuły Manhattańskiej zmusiła właścicieli do wynajęcia paryskiej grupy ekoprojektantów. Francuskich ekologów, przyzwyczajonych do problemów „czystego” planowania, przed jakimi stawali w systemach orbitalnych, doprowadziła do rozpaczki wyjątkowo nasycona pyłami atmosfera Ciągu. Proponowali silnie zmodyfikowane genetycznie odmiany roślin i mechaniczne zwierzęta takiego typu, jakie spotyka się w dziecięcych lunaparkach. Stały

patronat Angie dał hotelowi szansę, jakiej w innym przypadku by nie uzyskał. Sense/Net wynajął pięć najwyższych pięter, gdzie urządzono jej stałe mieszkanie, Envoy zaś z pewnym opóźnieniem zaczął się cieszyć dobrą reputacją wśród artystów i ludzi sceny.

Teraz uśmiechnęła się, gdy śmigłowiec przeleciał obok obojętnego muflona, udającego, że gryzie mech przy podświetlonym wodospadzie. Absurdalność tych dekoracji zawsze wprawiała ją w zachwyt. Nawet Bobby'emu się tutaj podobało.

Spojrzała na heliport Envoya, gdzie na ogrzewanej, oświetlonej reflektorami płycie jaśniało świeżo wymalowane logo Sense/Netu. Obok rzeźbionego głazu czekała samotna postać w pomarańczowej kurtce z kapturem.

– Robin już tu jest, Porphyre, prawda?

– *Mistah* Lanier – mruknął.

Westchnęła.

Czarny chromowany fokker wylądował gładko. Szklanki brzęknęły cicho w barku, kiedy podwozie dotknęło dachu Envoya. Ucichł przytłumiony warkot silników.

– Jeśli chodzi o Robina, Porphyre, to ja muszę zrobić pierwszy krok. Porozmawiam z nim dziś wieczorem. Sama. A przez ten czas staraj się nie wchodzić mu w drogę.

– Porphyre będzie zachwycony, panienko – zapewnił fryzjer.

Drzwi kabiny otworzyły się za nią. I nagle Porphyre poderwał się, szarpnął klamrę pasa. Angie obejrzała się; zdążyła zobaczyć we włazie jaskrawopomarańczową kurtkę, uniesioną rękę, lustrzane okulary. Pistolet zrobił nie więcej hałasu niż zapalniczka, ale Porphyre drgnął, a wąska czarna dłoń sięgnęła do krtani. Ochroniarz zamknął za sobą włącznik i skoczył do Angie.

Coś uderzyło ją mocno w żołądek; Porphyre opadł bezwładnie na fotelu; szpiczasty czubek języka wysunął się spomiędzy warg. Odruchowo spojrzała w dół; na czarnej chromowanej klamrze pasa bezpieczeństwa zobaczyła lepki z wyglądu owal zielonkawego plastiku.

Podniosła wzrok na szczupłą twarz obramowaną mocno zaciągniętym nylonowym kapturem. Zobaczyła własne oczy, otępiałe ze zdumienia i podwojone w srebrnych szklach.

– Pił dzisiaj?

– Co?

– On. – Kciuk skinął w stronę Porphyre'a. – Pił jakiś alkohol?

– Tak... Wcześniej.

– Szlag... – Kobięcy głos. Obca odwróciła się do nieprzytomnego fryzjera. – Uśpiłam go. Nie chciałam wygasić mu odruchu oddychania. – Angie przyglądała się, jak sprawdza Porphyre'owi puls. – Chyba w porządku...

Czyżby wzruszyła ramionami pod pomarańczową kurtką?

– Ochrona?

– Co? – Błysnęły okulary.

– Jesteś z ochrony Netu?

– Nie, do cholery. Porywam cię.

– Porywasz?

– Właśnie.

– Dlaczego?

– Nie z normalnych powodów. Ktoś ma coś do ciebie. Do mnie też. Powinnam przygotować porwanie na przyszły tydzień. Pieprzę ich. Zresztą i tak musiałam z tobą pogadać.

– Musiałas? Porozmawiać?

– Znasz kogoś o imieniu 3Jane?

– Nie. To znaczy tak, ale...

– Daruj sobie. Musimy zwijać tyłki, i to szybko.

– Porphyre...

– Niedługo się obudzi. Jak na niego patrzę, wołałabym być daleko, kiedy to nastąpi...

Jeśli to jest część wielkiego szarego domu Bobby'ego, pomyślał Ślizg, kiedy otworzył oczy i zobaczył ciasny łuk wąskiego korytarza, to jest on dziwniejszy, niż wydawało się za pierwszym razem. Powietrze było nieruchome i martwe, a światło padające z pasa zielonkawych szklanych płytek na suficie sprawiało, że czuł się jak pod wodą. Tunel był zbudowany z jakiegoś szklatego betonu. Wyglądał na więzienny.

– Może wylądowaliśmy w piwnicy albo gdzieś – powiedział, zauważając lekki pogłos.

– Nie ma powodu, żebyśmy wcieli się w ten sam konstrukt, który widziałeś poprzednio – stwierdził Gentry.

– Więc co to jest? – spytał Ślizg.

Dotknął betonowej ściany. Była ciepła.

– Nieważne.

Ruszył w kierunku, w którym obaj patrzyli. Za zakrętem podłoga zmieniła się w nierówną mozaikę tłuczonej porcelany, odłamków wprasowanych w coś podobnego do epoksydu i uginającego się pod stopami.

– Popatrz tylko...

Tysiące rozmaitych deseni i kolorów, ale żadnego wzorca w ich ułożeniu – czysto losowe.

– Sztuka. – Gentry wzruszył ramionami. – Czyjeś hobby. Powinno ci się spodobać, Ślizgu Henry.

Ktokolwiek to robił, nie przejmował się ścianami. Ślizg przyklęknął i przejechał palcami po powierzchni; czuł ostre krawędzie ceramiki

i szklisty plastik między nimi.

– Co to niby ma znaczyć: hobby?

– Jak te twoje konstrukcje, Ślizg. Twoje zabawki ze śmiecia... – Gentry wykrzywił wargi w swym spiętym, obłąkańczym uśmiechu.

– Co ty możesz wiedzieć – mruknął Ślizg. – Całe swoje pieprzone życie próbujesz zgadnąć, jakiego kształtu jest cyberprzestrzeń, a ona pewnie nie ma żadnego, a gdyby nawet, kogo to obchodzi?

U Sędziego i pozostałych nie było nic losowego. Proces odbywał się losowo, ale rezultaty musiały pasować do czegoś wewnątrz, czego nie potrafił dotknąć bezpośrednio.

– Chodź – rzucił Gentry.

Ślizg nie ruszył się z miejsca; patrzył w jasne, szare w tym oświetleniu oczy Gentry'ego, na jego ściągniętą twarz. Dlaczego w ogóle się go trzyma?

Bo człowiek w Samotni potrzebuje kogoś. Nie tylko dla elektryczności; cała ta zabawa w gospodarza była tylko pozorem. Człowiek potrzebuje towarzystwa. Ptasiek nie nadawał się do rozmowy, bo mało czym się interesował, a wszystko, co wygadywał, było małomiasteczkowo głupie. I choćby Gentry nigdy nie przyznał, Ślizg wyczuwał, że Gentry rozumie pewne sprawy.

– Dobra – powiedział, wstając. – Idziemy.

* * *

Tunel wił się jak flaki. Odcinek z mozaiką na podłodze został za nimi, za nie wiadomo iloma zakrętami i krótkimi spiralnymi schodami, na przemian w górę i w dół. Ślizg bez skutku usiłował sobie wyobrazić, jak może wyglądać budynek z takim wnętrzem. Gentry maszerował szybko, mrużąc oczy i przygryzając wargę. Ślizg pomyślał, że powietrze jest coraz gorsze.

Kolejne schody w górę i trafili na prosty odcinek, po obu stronach zwężający się w perspektywie do punktu. Korytarz był szerszy od krętego tunelu, a podłoga miękka i nierówna od małych dywaników. Wyglądało to tak, jakby leżały ich tu setki, rozwiniętych warstwami na betonie. Każdy

miał własny deseń i kolorystykę, mnóstwo czerwieni i błękitów, ale w każdym wzorze powtarzały się kanciaste romby i trójkąty. Zapach kurzu był tu silniejszy i Ślizg odgadł, że to dywany – wydawały się bardzo stare. Te na wierzchu, najbliżej środka, stopy przechodzących wytarły miejscami do gołej osnowy – wzdłuż czegoś w rodzaju ścieżki, jakby ktoś chodził tędy tam i z powrotem przez lata. Odcinki świetlnego pasa na suficie pociemniały, inne słabo pulsowały.

– Którędy? – zwrócił się do Gentry'ego.

Gentry rozejrzał się, skubiąc palcami dolną wargę.

– Tędy.

– Skąd wiesz?

– Bo to nie ma znaczenia.

Ślizga bolały nogi od chodzenia po tych dywanach. Musiał uważać, żeby się nie potknąć o wytarte dziury. Raz przestąpił nad szklaną płytką, która wypadła ze świetlnego pasa. W regularnych odstępach mijali kawałki ściany, wyglądające na zalane betonem przejścia. Nic tam nie było, jedynie taki sam kształt łuku i odrobinę jaśniejszy beton z odrobinę inną fakturą.

– Gentry, jesteśmy w podziemiach, prawda? W piwnicy albo co...

Ale Gentry tylko uniósł rękę i Ślizg wpadł na nią. Obaj stanęli w miejscu. Na końcu korytarza zobaczyli dziewczynę, oddaloną o niecałe dziesięć metrów fal dywanu.

Odezwała się w języku, który Ślizg uznał za francuski. Głos miała płynny, melodyjny, ton rzeczowy. Uśmiechała się. Błada pod ciemnymi lokami, drobna twarz o wysokich kościach policzkowych, prosty wąski nos, szerokie usta.

Ślizg poczuł, że ręka Gentry'ego drży na jego piersi.

– Wszystko w porządku – oznajmił, chwycił Gentry'ego za ramię i opuścił je. – Szukamy tylko Bobby'ego.

– Wszyscy szukają Bobby'ego – odparła po angielsku, z akcentem, którego nie rozpoznał. – Sama go szukam. Jego ciała. Widzieliście jego ciało?

Cofnęła się przed nimi o krok, jakby chciała uciekać.

– Nie zrobimy ci krzywdy – zapewnił Ślizg.

Nagle uświadomił sobie własny zapach, brud wżarty w dżinsy i brązową kurtkę. Zresztą wygląd Gentry'ego też nie budził zaufania.

– Nie przypuszczam – odparła. W podwodnym świetle znowu błysnęły jej białe zęby. – Ale chyba nie mam ochoty na żadnego z was.

Ślizg chciał, żeby Gentry coś powiedział, ale Gentry milczał.

– Znasz go? Bobby'ego? – zapytał.

– Jest bardzo sprytny. Niewiarygodnie sprytny. Chociaż na niego też nie mam ochoty. – Miała na sobie coś luźnego i czarnego, sięgającego do kolan. Była bosa. – Mimo to pragnę... jego ciała.

Roześmiała się.

Wszystko

* * *

się zmieniło.

* * *

– Soku? – zapytał Graf Bobby, podnosząc wysoką szklankę czegoś żółtego.

Woda w turkusowym basenie odbijała ruchliwe słoneczne kleksy na pióropuszcach palm nad jego głową. Był nagi, jeśli nie liczyć pary bardzo ciemnych okularów.

– Co się dzieje z twoim kumplem?

– Nic. – Ślizg usłyszał głos Gentry'ego. – Siedział w pudle na indukowanym Korsakowie. Takie przeskoki bardzo go denerwują.

Ślizg leżał na białym leżaku z metalowych rurek, wyłożonym niebieskimi poduszkami. Przez brudne dżinsy czuł, jak przypieka słońce.

– Ty jesteś tym, o którym wspominał, prawda? – spytał Bobby. – Nazywasz się Gentle? I masz fabrykę?

– Gentry.

– Jesteś kowbojem. – Bobby uśmiechnął się. – Dżokejem konsoli. Człowiekiem cyberprzestrzeni.

– Nie.

Bobby potarł podbródek.

– Wiecie, że muszę się tu golić? Zaciałem się i mam bliznę... – Wypił pół szklanki soku i otarł usta grzbietem dłoni. – Nie jesteś dżokejem? To jak tu trafiłeś?

Gentry rozpiął nabijaną kurtkę, odsłaniając bladą jak kość, bezwłosą pierś.

– Zrób coś ze słońcem – poprosił.

Zmierzch. Natychmiast. Nawet nie pstryknęło. Ślizg usłyszał własny jęk. Owady zaczęły cykać za bielonym murem. Pot stygł mu na żebrach.

– Przepraszam cię, koleś – zwrócił się do niego Bobby. – Ten Korsakow to musi być wredne gówno. Ale jesteśmy w pięknym miejscu. To Vallarta. Należała do Tally Isham. – Znowu spojrzął na Gentry'ego. – Jeśli nie jesteś kowbojem, to czym właściwie jesteś?

– Jestem jak ty – odparł Gentry.

– Ja jestem kowbojem.

Za Bobbym jaszczurka wspięła się na ukos po murze.

– Nie, Newmark. Nie jesteś tu po to, żeby coś ukraść.

– Skąd wiesz?

– Jesteś tu po to, żeby się czegoś dowiedzieć.

– Na jedno wychodzi.

– Nie. Kiedyś byłeś kowbojem, ale teraz jesteś kimś innym. Szukasz czegoś, ale nikomu nie możesz tego ukraść. Ja też tego szukam.

I Gentry zaczął opowiadać o Kształcie, a cienie palm wydłużały się, ciemniały, stawały meksykańską nocą. Graf Bobby siedział i słuchał.

Kiedy Gentry skończył, Bobby milczał przez długą chwilę. Wreszcie się odezwał.

– Tak. Masz rację. Jeśli się nad tym zastanowić, to próbuję odkryć, co spowodowało Zmianę.

– Przedtem – wtrącił Gentry – nie miała nawet Kształtu.

– Moment – wtrącił Ślizg. – Zanim tu trafiliśmy, byliśmy w jakimś innym miejscu. Gdzie to było?

– W Straylight. Nad studnią. Na orbicie.

– A kim była ta dziewczyna?

– Dziewczyna?

– Ciemne włosy. Chuda.

– Aha – mruknął Bobby z ciemności. – To 3Jane. Widzieliście ją?

– Dziwna dziewczyna – stwierdził Ślizg.

– Martwa dziewczyna – odparł Bobby. – Widzieliście jej konstrukt. Przepuściła rodzinną fortunę, żeby to zbudować.

– A ty, no... chodzisz z nią? Tutaj?

– Nie cierpi mnie. Widzicie, ukradłem to, ukradłem jej pułapkę na dusze. Jej konstrukt tkwił już na miejscu, kiedy odleciałem do Meksyku... Czyli zawsze tu była. Rzecz w tym, że umarła. Znaczący, na zewnątrz. Tymczasem całe jej bagno na górze, wszystkie jej oszustwa i intrygi... Prowadzą je prawnicy, programy i różni sługusi. – Uśmiechnął się. – I to ją irytuje. Ludzie próbujący przedostać się do was i odebrać alef pracują dla kogoś innego, kto pracuje dla ludzi, których wynajęła na wybrzeżu. Ale owszem, zawarłem z nią trochę dziwny układ. Dokonaliśmy wymiany. Jest obłąkana, ale prowadzi ostrą grę...

* * *

Nawet nie pstryknęło.

Z początku myślał, że znowu są w szarym domu, gdzie zobaczył Bobby'ego po raz pierwszy. Ale ten pokój był mniejszy, miał inne dywany i meble. Nie mógłby określić, po czym to poznaje. Bogate, ale nie tak błyszczące. Spokojne. Na brzegu stołu płonęła lampa z zielonym szklanym kloszem.

Wysokie okna w białych ramach, rozcinające zewnętrzną biel na prostokąty szyb... To musi być śnieg. Stał, dotykając policzkiem aksamitnych zasłon, wyglądając na otoczoną murem płaszczyznę śniegu.

– Londyn – wyjaśnił Bobby. – Musiała mi to przehandlować, żeby dotrzeć do poważnych czarów *voudou*. Myślała, że nie będą chcieli mieć z nią nic wspólnego. Dużo jej z tego przyszło... Oni już przygasali, rozmywali się. Nadal można ich czasem przywołać, ale ich osobowości zlewają się razem...

– To pasuje – zgodził się Gentry. – Oni wyniknęli z pierwszej przyczyny, Kiedy Się Zmieniło. Tego już się domyślasz. Ale nie wiesz jeszcze, co się stało, prawda?

– Nie. Wiem tylko gdzie. W Straylight. Powiedziała mi o tym. Myślę, że więcej nie wie. I niespecjalnie ją to obchodzi. Jej matka poskładała parę SI, na samym początku; naprawdę ciężkie maszyny. Potem umarła, a SI kisiły się w korporacyjnych rdzeniach na górze. Jedna z nich zaczęła działać samodzielnie. Próbowwała połączyć się z drugą...

– Udało jej się. To była ta pierwsza przyczyna. Wszystko się zmieniło.

– Tak po prostu? Skąd wiesz?

– Ponieważ – rzekł Gentry – podchodziłem do tego z innej strony. Ty bawiłeś się w przyczyny i skutki, a ja szukałem konturów, kształtów w czasie. Ty biegalesz po całej matrycy, ale ja patrzyłem na matrycę, na całość. Wiem o sprawach, o których nie masz pojęcia.

Bobby nie odpowiedział. Ślizg odwrócił się od okna i zobaczył dziewczynę... tę samą. Stała na drugim końcu pokoju. Po prostu stała.

– Zresztą to nie tylko SI Tessier-Ashpoolów – dodał Gentry. – Ze studni wylecieli ludzie, którzy włamali się do rdzeni T-A. Przynieśli ze sobą chiński wojskowy lodolamacz.

– Case – powiedział Bobby. – Facet nazwiskiem Case. To wiem. Coś w rodzaju efektu synergicznego...

Ślizg obserwował dziewczynę.

– I suma jest większa niż części? – Gentry'emu chyba naprawdę się to spodobało. – Cybernetyczna boskość? Światło nad wodami?

– Tak – zgodził się Bobby. – Tak to mniej więcej wygląda.

– To trochę bardziej skomplikowane – stwierdził Gentry i parsknął śmiechem.

A dziewczyna zniknęła. Nawet nie pstryknęło.

Ślizg zadrzał.

Nawet podczas wieczornego szczytu metro nie przypominało tokijskiego: nie było *shirohisana* walczącego, by wcisnąć jeszcze kilku pasażerów, gdy drzwi już się zamykają. Z wietrznego peronu linii centralnej Kumiko obserwowała pomarańczowe chmury nad zachodnim horyzontem. Colin stał oparty o automat ze słodyczami, obok rzędu zakurzonych, popękanych okienek.

– Już czas – oznajmił. – I skromnie pochylaj głowę na Bond Street i Oxford Circus.

– Ale muszę zapłacić, kiedy wychodzę z metra?

– Nie wszyscy płacą – stwierdził i odrzucił z czoła grzywkę.

Ruszyła do schodów. Nie potrzebowała już jego wskazówek, żeby przejść na sąsiedni peron. Stopy znowu jej zmarzły i pomyślała o wyściełanych futerkiem niemieckich butach w szafie w pokoju u Swaina. Wybrała połączenie gumowanych skarpet i francuskich szpilek, żeby wprowadzić w błąd Dicka, uspokoić go, że nie spróbuje ucieczki. Jednakże z każdym ukąszeniem zimna przez cienkie podeszwy coraz bardziej żałowała tej decyzji.

W tunelu między peronami rozluźniła uchwyt na aparacie i Colin zniknął. Ściany pokrywała wytarta biała ceramika z ozdobnym zielonym pasem. Wyjęła rękę z kieszeni i przesuwiała palce po zielonych płytkach. Myślała o Sally i Finnie, o innym zapachu Ciągu zimą... Dopóki drogi nie zastąpił jej pierwszy z Draculów. Nagle otoczyły ją cztery czarne płaszcze, cztery wychudłe, blade twarze.

– No, no – powiedział pierwszy. – Co my tu mamy?

Stali oko w oko, Dracula i Kumiko. Jego oddech pachniał tytoniem. Wieczorny tłum pasażerów omijał ich spokojnie: ludzie opatuleni w ciemną wełnę.

– O – odezwał się drugi, z boku. – Patrz. Co to?

Podniósł Maas-Neotek, ściskając go w dłoni okrytej popękana czarną skórą.

– Zapalniczka, nie? Może zapalimy, Japo?

Kumiko sięgnęła do kieszeni. Dłoń przesunęła się przez rozcięcie i chwyciła powietrze. Chłopak zachichotał.

– Pety ma w torebce – wtrącił inny. – Pomóż jej, Reg.

Czyjaś ręka wysunęła się do przodu i skórzany pasek rozdzielił się gładko na dwie części.

Pierwszy Dracula pochwycił torebkę, sprawnie owinął ją zwisającym paskiem i wsunął pod płaszcz.

– Ta...

– Zaraz, ma je w spodniach!

Śmiech, gdy szperała pod warstwami swetrów. Zabolał brzuch, kiedy oderwała taśmę, uwolniła pistolet i oburącz przycisnęła do policzka chłopca trzymającego Maas-Neotek.

Nic się nie stało.

I nagle trzech pozostali pobiegli pędem do schodów na drugim końcu tunelu. Ich sznurowane buty ślizgały się w topniejącym śniegu, a długie płaszcze trzepotały jak skrzydła. Krzyknęła jakaś kobieta.

A oni wciąż trwali nieruchomo, Kumiko i Dracula, z lufą pistoletu przyciśniętą do jego lewego policzka. Ramiona Kumiko zaczęły drżeć.

Patrzyła w oczy Draculi: brązowe oczy rozszerzone pradawną, pierwotną grozą. Dracula widział maskę jej matki. Coś stuknęło o beton u jej stóp – aparat Colina.

– Biegnij – szepnęła.

Dracula zadygotał, otworzył usta, wydał jakiś stłumiony, płaczliwy jęk i odwrócił się – jak najdalej od pistoletu.

Kumiko zerknęła w dół; zobaczyła Maas-Neotek w kałuży szarej mazi. Obok leżała błyszcząca, srebrna żyłtka. Kiedy schyliła się po aparat,

zauważyła pęknięcie obudowy. Usunęła ze szczeliny wilgoć i ścisnęła go mocno w dłoni. Tunel opustoszał. Colina nie było. Pneumatyczny walther Swaina zwisał – wielki i ciężki – w drugiej ręce.

Podeszła do umocowanego na ścianie prostokątnego pojemnika i wsunęła broń między poplamioną tłuszczem styropianową tackę i równo złożony plik faksu. Odwróciła się, przystanąła i sięgnęła jeszcze po faks.

Teraz w górę.

Ktoś na peronie wskazywał ją palcem, ale pociąg wjechał z antycznym stukotem i zasunęły się za nią drzwi.

* * *

Postępowała zgodnie z instrukcjami Colina. White City i Shepherd's Bush, Holland Park... Uniosła faks, kiedy pociąg zwolnił przed Notting Hill... Umierał król, który był już bardzo stary... Trzymała faks w górze, przejeżdżając przez Bond Street. Na stacji Oxford Circus tłoczyli się ludzie i Kumiko była wdzięczna za osłonę tłumu.

* * *

Colin mówił, że można opuścić stację bez płacenia. Po chwili obserwacji uznała, że tak jest istotnie, choć wyczyn wymaga szybkości i wyczucia czasu. Właściwie nie miała innego wyjścia. Torebka z chipem MitsuBanku i kilkoma angielskimi monetami zniknęła wraz z Draculami. Przez dziesięć minut przyglądała się, jak pasażerowie wsuwają żółte plastikowe bilety w szczeliny automatycznych bramek. Wreszcie nabrała tchu i ruszyła biegiem. Wyskok, przejście, krzyk za plecami, głośny śmiech, i biegła dalej.

Kiedy dotarła do wyjścia u szczytu schodów, zobaczyła oczekującą Brixton Road, podobną do zaniedbanej Shinjuku, wypełnioną straganami z jedzeniem.

Czekała w samochodzie i wcale jej się to nie podobało. W ogóle nie lubiła czekania, ale po magu było to naprawdę trudne. Musiała sobie przypominać, żeby nie zaciskać zębów, bo cokolwiek zrobił z nimi Gerald, wciąż jeszcze trochę bolały. Cała była obolała, jeśli się nad tym zastanović. I pewnie nie powinna jednak brać maga.

Samochód należał do kobiety, którą Gerald nazywał Molly. Dość zwyczajny, szary japoński samochód, jakim mógłby jeździć garnitur – dość ładny, ale nierzucający się w oczy. Wnętrze pachniało nowością i okazał się szybki, kiedy wyjechały już z Baltimore. Miał komputer, ale kobieta prowadziła sama, całą drogę do samego Ciągu; a teraz stał na dachu dwudziestopoziomowego garażu – chyba blisko hotelu, gdzie zabrał ją Prior, bo Mona widziała ten zwariowany budynek z wodospadem i dachem stylizowanym na górę.

Niewiele było tu innych samochodów, a te nieliczne stały przysypane śniegiem, jakby już dawno nikt ich stąd nie ruszał. Nie zauważyła nikogo, poza dwoma facetami w budce przy wjeździe. Tkwiła między ludźmi, w największym mieście świata, a była całkiem samotna na tylnym siedzeniu. I miała czekać.

Po drodze kobieta prawie się nie odzywała. Od czasu do czasu rzucała jakieś pytanie, ale po magu Monie i tak trudno było się powstrzymać od mówienia. Opowiedziała o Cleveland, o Florydzie, o Eddy i Priorze.

Potem wjechały tu na górę i zaparkowały.

A teraz tej Molly nie było już od godziny, może i dłużej. Zabrała ze sobą walizkę. Jedyne, czego Mona zdołała się od niej dowiedzieć, to że od dawna

już znała Geralda, a Prior nie miał o tym pojęcia.

W samochodzie znowu zrobiło się zimno, więc Mona przecisnęła się na przednie siedzenie i włączyła grzejnik. Nie zostawi go na niskiej mocy, bo mógłby wyczerpać akumulator, a Molly uprzedziła, że wtedy naprawdę wpadłyby w bagno. Kiedy wrócę, musimy się stąd szybko wynieść, powiedziała. I pokazała Monie śpiwór schowany pod fotelem kierowcy.

Ustawiała grzejnik na najwyższą moc i wyciągnęła ręce przed wylot nawiewnika. Potem pogmerała trochę przy galkach wideo obok monitora na panelu. Znalazła wiadomości. Król Anglii ciężko zachorował; był już bardzo stary. W Singapurze pojawiła się nowa choroba; nikt jeszcze nie umarł, ale nie wiedzieli, jak można się nią zarazić ani jak ją leczyć. Jacyś ludzie uważali, że w Japonii wybuchło coś w rodzaju wojny: dwie grupy yakuzy próbowały pozabijać się nawzajem. Nikt nie wiedział niczego na pewno. Yakuza... to coś, o czym lubił nawijać Eddy. A potem na ekranie otworzyły się jakieś drzwi i wyszła Angie, prowadzona przez takiego dziwnaczego czarnego faceta; głos spikera mówił, że to transmisja na żywo, że Angie właśnie wróciła do Ciągu po krótkich wakacjach w letnim domu w Malibu; przedtem przeszła kurację w prywatnej klinice narkotykowej...

Angie wyglądała cudownie w tym puszystym futrze, ale migawka zaraz się skończyła.

Mona przypomniała sobie, czego dokonał Gerald. Dotknęła swojej twarzy.

Wyłączyła wideo, potem grzejnik, i wróciła na tylne siedzenie. Rogiem śpiwora oczyściła okno z pary. Wyjrzała na ten jasno oświetlony górski dom, widoczny za siatką ogrodzenia na dachu parkingu. Jakby mieli tam całą krainę, Colorado albo co, jak w tamtym stymie, kiedy Angie pojechała do Aspen i spotkała chłopaka, tyle że jak zwykle zjawił się Robin.

Nie rozumiała tylko, o co chodziło z tą kliniką; tamten barman mówił, że Angie była w nawyku, a przed chwilą spiker z wiadomości powiedział to samo. Uznała zatem, że to chyba prawda. Ale dlaczego ktoś taki jak Angie, żyjąc w ten sposób i z takim chłopakiem jak Robin Lanier, miałby brać prochy?

Mona pokręciła głową i raz jeszcze spojrzała na niedaleki budynek – zadowolona, że sama nie wpadła w nawyk.

Myśląc o Lanette, musiała się przez chwilę zagapić, bo kiedy znowu spojrzała, nad szczytem dachowej góry wisiał śmigłowiec: duży, czarny i błyszczący. Wyglądał nieźle, naprawdę elegancko.

Znała w Cleveland różne ostre kobiety, dziewczyny, którym nikt nie wchodził w drogę. Ale ta Molly była inna... Przypomniała sobie, jak Prior przeleciał przez drzwi, przypomniała sobie, jak krzyczał... Ciekawe, co w końcu powiedział, bo słyszała, że mówi, a Molly przestała go męczyć. Zostawiły go przypiętego do fotela i Mona spytała, czy zdoła się uwolnić. Albo to, odpowiedziała Molly, albo ktoś go znajdzie, albo się całkiem odwodni.

Śmigłowiec zniżył się i zniknął. Wielki, z tymi kręciołami na obu końcach.

I teraz siedziała tu i czekała, i nie miała bladego pojęcia, co właściwie powinna zrobić.

Lanette nauczyła ją kiedyś, że czasem trzeba wyliczyć swoje aktywa, zapominając o całej reszcie... Aktywa to to, co się człowiekowi udało i co pomaga... No dobrze. Wyrwała się z Florydy. Była na Manhattanie. Wyglądała jak Angie... W tym miejscu się zastanowiła. Czy to rzeczywiście dobrze? Zresztą można spojrzeć na to trochę inaczej: dostała majątek w formie bezpłatnej chirurgii kosmetycznej i miała absolutnie doskonałe zęby. W końcu to nie tak źle. Wystarczy wspomnieć te muchy na włamie. Tak... Jeśli pieniądze, jakie jej jeszcze zostały, wyda na fryzjera i kosmetyki, może nie będzie już tak podobna do Angie... Co pewnie okaże się rozsądnym ruchem, bo przecież ktoś może jej szukać.

Znów ta maszyna. Startuje.

Zaraz...

Jakieś dwie przecznice dalej i pięćdziesiąt pięter wyżej śmigłowiec skierował nos w jej stronę, opadł... To ten mag... Zakołysał się w powietrzu i zaczął opadać... Mag; to nie jest prawda... Prosto na nią. Był coraz większy. Prosto na nią. Przecież to mag, nie? A potem zniknął za jakimś wieżowcem, i to rzeczywiście był tylko mag...

Wynurzył się zza rogu, wciąż pięć pięter nad dachem garażu; ciągle się zniżał, i to już nie był mag... Zawisł nad nią, ułtuciami jasnego promienia szukając szarego wozu, a Mona szarpnęła klamkę drzwi i wytoczyła się na śnieg, w cień samochodu, pośród ryku łopat potwora... To na pewno Prior albo ten, dla kogo Prior pracował. Szukali jej...

Po chwili reflektor zgasł, zmienił się warkot łopat i maszyna szybko zjechała w dół. Za szybko. Podskoczyła na podwoziu, znowu opadła i silniki zamilkły, kaszląc niebieskim płomieniem.

Mona klęczała za tylnym zderzakiem samochodu. Pośliznęła się, gdy próbowała wstać.

Zabrzmiał odgłos podobny do strzału, a prostokątny kawałek powłoki śmigłowca odskoczył i odjechał po poplamionym solą betonie parkingu. Z otworu wypadła jaskrawopomarańczowa zjeżdżalnia trapu awaryjnego i nadęła się powietrzem niby dziecięca plażowa zabawka. Mona wstała ostrożnie, przytrzymując się bagażnika. Ciemna, opatulona sylwetka wysunęła nogi na zjeżdżalnię i zjechała wyprostowana, zupełnie jak dziecko na placu zabaw. Za nią następna, okryta luźną kurtką z kapturem w tym samym kolorze co trap.

Mona zadrżała, kiedy ta w pomarańczowym poprowadziła tę drugą po dachu w jej stronę, dalej od czarnego śmigłowca. To była... Naprawdę!

– Siadajcie obie z tyłu – poleciła Molly, otwierając drzwi po stronie kierowcy.

– To ty... – wykrztusiła Mona, patrząc na najsłynniejszą twarz świata.

– Tak – przyznała Angie, nie spuszczając wzroku z Mony. – Tak... się wydaje...

– Chodź. – Molly chwyciła gwiazdę za ramię. – Twój marsjański kumpel zaraz się obudzi.

Zerknęła na śmigłowiec. Wyglądał niczym ogromna zabawka, bez świateł, jakby gigantyczne dziecko postawiło go tutaj i zapomniało.

– Lepiej, żebyś się nie myliła – odparła Angie, wciskając się na tylne siedzenie.

– Ty też, mała. – Molly pchnęła Monę do otwartych drzwi.

– Ale... to przecież...

– Rusz się!

Mona wsiadła. Czuła perfumy Angie, przegubem musnęła nadprzyrodzoną miękkość futra.

– Widziałam cię – usłyszała własny głos. – Na wideo.

Angie nie odpowiedziała.

Molly wsunęła się za kierownicę, zatrzasnęła drzwi i uruchomiła silnik. Pomarańczowy kaptur miała mocno związany, twarz była tylko białą maską z pustymi srebrnymi oczami. Po chwili wóz toczył się już do osłoniętej rampy, skręcał w pierwszy łuk. Pięć poziomów w dół ciasną spiralą i Molly wyjechała między większe pojazdy pod zielonymi, ukośnymi świetlnymi pasami.

– Paralotnie – powiedziała. – Widziałeś tam na górze, w Envoyu, sprzęt paralotniowy?

– Nie – odparła Angie.

– Jeżeli ochrona Netu je ma, to mogą być już na dachu...

Wjechała za długi kanciasty poduszkiowiec, biały z czarnym napisem wymalowanym ostrymi literami na tylnych drzwiach.

– Co tam jest napisane? – spytała Mona, czując, że się czerwieni.

– Cathode Cathay – przeczytała Angie.

Mona miała wrażenie, że słyszała kiedyś tę nazwę.

Molly była już na zewnątrz i otwierała te wielkie wrota. Wyciągnęła żółte plastikowe rampy.

Wróciła do wozu. Cofnęła, wrzuciła bieg i wtoczyły się prosto do poduszkiowca. Ściągnęła pomarańczowy kaptur i potrząsnęła głową, żeby rozpuścić włosy.

– Mona, możesz tam wrócić i wepchnąć te rampy z powrotem? Nie są ciężkie.

To nie brzmiało jak pytanie.

Nie były ciężkie. Podciągnęła się potem do skrzyni i pomogła Molly zatrzasnąć drzwi.

Wyczuwała w ciemności Angie.

Prawdziwą Angie.

– Do przodu, zapiąć pasy i trzymać się.

Angie. Siedziała tuż obok Angie.

Zaszumiało, kiedy Molly napełniła fartuch poduszkowca; po chwili sunęły już w dół po spiralnym zjeździe.

– Twój przyjaciel – oznajmiła Molly. – Już się obudził, ale nie bardzo może się ruszać. Jeszcze z piętnaście minut.

Znowu zjechała z rampy, ale tym razem Mona pogubiła się z poziomami. Na tym stały gęsto nieduże bajeranckie wozy. Poduszkowiec z rykiem przemknął środkową aleją i skręcił w lewo.

– Będziesz miała szczęście, jeśli nie czeka już na nas na zewnątrz – oświadczyła Angie.

Molly zahamowała dziesięć metrów przed szerokimi metalowymi wrotami, pomalowanymi w ukośne żółto-czarne pasy.

– Nie – odparła, wyjmując ze skrytki małe niebieskie pudełko. – To on będzie miał szczęście, jeśli nie czeka już na nas na zewnątrz.

Wrota wypadły z ram w błysku pomarańczowego płomienia, z hukiem, który jak młot uderzył w bębny Mony. W chmurze dymu runęły na mokrą ulicę, a poduszkowiec przejechał przez otwór, skręcił, przyśpieszył.

– To dość prymitywne, nie sądzisz? – zauważyła Angie i naprawdę się roześmiała.

– Wiem. – Molly koncentrowała się na prowadzeniu. – Czasami nie ma innego sposobu. Mona, opowiedz jej o Priorze. O Priorze i twoim chłopaku. To, co mnie opowiadałaś.

Mona jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak skrępowana.

– Proszę – zachęciła ją Angie. – Opowiedz mi, Mona.

Tak po prostu. Jej imię. Angie Mitchell wymówiła jej imię. Do niej. Właśnie tutaj.

Chyba zaraz zemdleje.

– Zgubiłaś się? – zapytał po japońsku sprzedawca makaronu.

Kumiko domyśliła się, że jest Koreańczykiem. Ojciec miał współpracowników z Korei; matka mówiła, że zajmują się budownictwem. Tak jak ten, byli zwykle potężni, prawie tak wielcy jak Petal, z okrągłymi i poważnymi twarzami.

– Wyglądasz, jakbyś bardzo zmarzła.

– Szukam kogoś – wyjaśniła. – Mieszka przy Margate Road.

– Gdzie to jest?

– Nie wiem.

– Wejź do środka.

Sprzedawca wskazał Kumiko drogę wokół lady. Jego budka była zrobiona z różowego falistego plastiku.

Weszła pomiędzy budkę z makaronem i sąsiednią, proponującą coś o nazwie *roti*; słowo to wymalowano na ścianie delirycznie barwnymi literami, a każdą otoczono pętlami jarzących się kleksów. Pachniało stamtąd przyprawami i duszonym mięsem.

Stopy miała przemarznięte.

Wsunęła się pod mętną płachtę folii. W budce było ciasno: niskie niebieskie pojemniki butanu, trzy palniki, plastikowe worki makaronu, stopy styropianowych miseczek i ruchliwe cielsko Koreańczyka przy garnkach.

– Siadaj – powiedział.

Usiadła na żółtym pojemniku glutaminianu sodu. Lada sięgała jej powyżej głowy.

– Jesteś Japonką?

– Tak.

– Z Tokio?

Zawahała się.

– Twoje ubranie – wyjaśnił. – Dlaczego zimą nosisz gumowe tabi-skarpety? Czy to taka moda?

– Zgubiłam buty.

Podał jej miseczkę i plastikowe pałeczki. W rzadkiej żółtej zupie pływały grube zwoje makaronu. Zjadła z apetytem, potem wypła ciecz. Przyglądała się, jak mężczyzna obsługuje klientkę, wysoką Afrykankę, która zabrała makaron we własnym naczyniu z pokrywką.

– Margate – mruknął sprzedawca, gdy kobieta odeszła. Wyjął spod lady poplamioną książkę w papierowej okładce i przerzucił strony. – Tutaj – oznajmił, stukając palcem w niemożliwie zatłoczoną mapę. – Od Acre Lane.

Niebieskim pisakiem wyrysował jej trasę na szorstkiej szarej serwetce.

– Dziękuję – powiedziała. – To ja już pójdę.

* * *

Matka przyszła do niej w drodze na Margate Road.

W Ciągu groziło Sally jakieś niebezpieczeństwo i Kumiko wierzyła, że Tick potrafi się z nią skontaktować. Jeśli nie przez telefon, to przez matrycę. Może Tick zna Finna, tego martwego człowieka w zaułku...

W Brixton koralowa rafa metropolii była siedliskiem innego życia: twarze ciemne i jasne, niezliczone rasy, ceglane mury zamazane burzą niewyobrażalnych dla budowniczych symboli i odcieni. Z otwartych drzwi mijanego pubu dobiegał rytm perkusji, ciepło i głośny śmiech. Sklepy sprzedawały jedzenie, jakiego Kumiko jeszcze nie widziała, bele jaskrawych tkanin, chińskie narzędzia i japońskie kosmetyki...

Przystanęła przed oświetloną wystawą pełną różów i cieni. Jej twarz odbiła się w srebrnej przesłonie i nagle spośród nocy runęła na nią śmierć matki. Matka miała takie przedmioty.

Szaleństwo matki. Ojciec o tym nie mówił. W jego świecie nie było miejsca na szaleństwo, choć znalazło się miejsce dla samobójstwa. Szaleństwo matki było europejskie: importowane sidła zgrzyzoty i iluzji... Ojciec zabił matkę, powiedziała Kumiko Sally w Covent Garden. Ale czy to prawda? Sprowadzał lekarzy z Danii, z Australii, wreszcie z Chiby. Lekarze słuchali opowieści o snach księżniczki-baleriny, mapowali i mierzyli reakcje synaps, pobierali próbki krwi. Księżniczka-balerina odmawiała przyjmowania ich lekarstw, poddawania się ich delikatnym operacjom. Chcą mi ciąć mózg laserami, szeptała do Kumiko.

Szeptała też inne rzeczy.

Nocą, mówiła, złe duchy unoszą się jak dym ze swoich skrzynek w gabinecie ojca Kumiko. Starcy, powtarzała. Wysysają mój oddech. Twój ojciec wysysa mi oddech. To miasto wysysa mi oddech. Nic tutaj nigdy nie jest spokojne. Nie ma prawdziwego snu.

Pod koniec snu nie było już wcale. Sześć nocy matka siedziała milcząca i nieruchoma w swoim błękitnym europejskim pokoju. Siódmego dnia wyszła z mieszkania samotnie – niezwykle wyczyn, biorąc pod uwagę czujność sekretarzy – i dotarła do zimnych wód rzeki.

Ale lustrzana płyta za wystawą przypomniła Kumiko okulary Sally. Wyjęła z rękawa swetra mapę Koreańczyka.

* * *

Przy krawężniku na Margate Road stał wypalony samochód. Nie miał kół. Zatrzymała się przy nim i rozejrzała po anonimowych fasadach domów. Nagle usłyszała za sobą jakiś głos. Obejrzała się i w świetle półotwartych drzwi najbliższego domu zobaczyła wykrzywioną twarz maskarona pod błyszczącą czupryną.

– Tick!

– Tak naprawdę Terrence – poprawił ją, gdy tylko ustały konwulsje twarzy.

* * *

Tick mieszkał na najwyższym piętrze. Niższe były puste, niezamieszkane; łuszcząca się tapeta ukazywała widmowe ślady zdjętych obrazów.

Jego utykanie było wyraźniejsze, kiedy wspinał się przed nią po schodach. Miał na sobie szary garnitur i zamszowe oksfordy w kolorze tytoniu, na grubych podszewkach.

– Czekałem na ciebie – oświadczył, podciągając się na kolejny stopień, i następny.

– Czekaleś?

– Wiedziałem, że uciekłaś od Swaina. Rejestrowałem ich połączenia, kiedy tylko miałem chwilę wolną od tej drugiej historii.

– Drugiej?

– Nic nie wiesz, prawda?

– Słucham?

– Chodzi o matrycę. Coś się dzieje. Łatwiej ci pokazać niż wytłumaczyć. To znaczy, gdybym nawet umiał to wytłumaczyć, a nie umiem. Myślę, że trzy czwarte ludzkości jest w tej chwili włączone i ogląda ten pokaz.

– Nie rozumiem.

– Wątpię, czy ktokolwiek rozumie. W regionie reprezentującym Ciąg pojawiła się nowa makroforma.

– Makroforma?

– Bardzo duży konstrukt danych.

– Przyszłam tutaj, żeby ostrzec Sally. Swain i Robin Lanier zamierzają oddać ją tym, którzy spiskują, żeby porwać Angelę Mitchell.

– O to bym się nie martwił – odparł ze szczytu schodów. – Sally zwinęła już Mitchell i o mało nie zabiła człowieka Swaina w Ciągu. Teraz i tak chcą ją dorwać. Niedługo każdy będzie chciał ją dorwać. Oczywiście powiemy jej, jak tylko się skontaktuje. Jeśli się skontaktuje...

* * *

Tick mieszkał w dużym pokoju, którego dziwaczny kształt sugerował, że usunięto ściany. Choć duży, był również bardzo zagracony. Kumiko miała wrażenie, że towar całego sklepu z modułami przy Akihabara ktoś wstawił w miejsce wypełnione już – w stylu gaijin – zbyt wieloma ciężkimi meblami. Mimo to panował tu zadziwiający porządek i czystość: rogi magazynów wyrównano do rogu szklanego stolika, na którym leżały obok nieużywanej czarnej ceramicznej popielniczki i prostego wazonu z bukietem ciętych kwiatów.

Gdy Tick nalewał wodę z dzbanka pod filtrem do elektrycznego czajnika, jeszcze raz sprawdziła Colina.

– Co to? – zapytał, włączając czajnik.

– To aparat turystyczny Maas-Neotek. Chyba popsuty, bo Colin nie chce się pokazać...

– Colin? To zestaw stymowy?

– Tak.

– Daj, obejrzę. – Wyciągnął rękę.

– Dostałam go od ojca.

Tick gwizdnął.

– Ta zabawka kosztowała majątek. To jedna z ich małych SI. Jak działa?

– Bierzesz to do ręki i zjawia się Colin, ale nikt inny go nie słyszy ani nie widzi.

Tick podniósł aparat do ucha i potrząsnął.

– Coś pękło. Jak?

– Upuściłam go.

– Tylko obudowa jest pęknięta. Biosoft wysunął się z gniazda, więc nie można uzyskać dostępu ręcznie.

– Możesz to naprawić?

– Nie. Ale jeśli chcesz, możemy spróbować dostępu przez dek.

Oddał jej aparat. Woda w czajniku zawrzała.

Przy herbacie opowiedziała mu historię swojego wyjazdu do Ciągu i wyprawy Sally do kaplicy w zaułku.

– Mówił do niej Molly – dodała.

Tick kiwnął głową i kilka razy szybko zamrugął.

– Po co tam poszła? O czym rozmawiali?

– O miejscu zwanym Straylight. O człowieku nazwiskiem Case. O wrogu, kobiecie...

– Tessier-Ashpool. Znalazłem to dla niej, kiedy namierzałem przepływ danych Swaina. Swain przehandlował Molly tej tak zwanej lady 3Jane. Ma najbardziej soczysty plik wewnętrznych brudów, jaki tylko można sobie wyobrazić... na wszystko i na każdego. Bardzo uważałem, żeby niczemu się tam nie przyglądać zbyt dokładnie. Swain sprzedaje to na prawo i lewo, przy okazji robiąc z dziesięć fortun. Jestem przekonany, że ona ma dość brudu również na naszego pana Swaina...

– A czy jest tutaj, w Londynie?

– Wygląda na to, że gdzieś na orbicie, choć niektórzy twierdzą, że nie żyje. Pracowałem nad tym, kiedy w matrycy wyskoczył ten olbrzym...

– Nie rozumiem.

– Zaraz ci pokażę.

Kiedy wrócił do białego stolika, miał ze sobą płytkę, kwadratową czarną tacę z kilkoma maleńkimi przełącznikami wzdłuż krawędzi. Umieścił ją na blacie i dotknął jednego z nich. Nad projektorem pojawił się sześcienny holograficzny obraz: neonowa kratownica cyberprzestrzeni, przecinana jasnymi formami, równocześnie prostymi i złożonymi. Reprezentowały ogromne banki nagromadzonych danych.

– To zwykłe, typowe grube ryby. Korporacje. Stały pejzaż, można powiedzieć. Czasami któraś z nich wypuści jakąś przybudówkę, czasami widać przejęcie i dwie się łączą. Ale właściwie nigdy nie pojawia się nowa, nie w tej skali. Zwykle zaczynają jako małe, potem rosną, zlewają się z innymi małymi formacjami... – Wcisnął inny przełącznik. – Jakies cztery godziny temu... – dokładnie pośrodku obrazu wyrosła gładka biała kolumna – wyskoczyło coś takiego.

Kolorowe sześciiany, kule i piramidy natychmiast rozstawiły się na nowo, by zrobić miejsce okrągłemu pionowemu słupowi. Skarłały przy nim; jego koniec był równo odcięty przez górne ograniczenie obrazu.

– Drań jest większy niż wszystko – stwierdził z pewną satysfakcją Tick. – I nikt nie wie, co to jest i do kogo należy.

– Przecież ktoś musi wiedzieć – powiedziała Kumiko.

– Tak by się wydawało. Ale ludzie pracujący w moim fachu, a są nas miliony, nie potrafili tego wykryć. W pewnym sensie to nawet bardziej niezwykle, niż samo pojawienie się tego potwora. Zanim tu przyszedłeś, przeleciałem się po całej kratownicy, żeby znaleźć jakiegoś dzokeja, który przynajmniej się czegoś domyśla. I nic. Zupełnie nic.

– Jak ta 3Jane może nie żyć? – Ale wtedy przypomniała sobie Finna i skrzyńki w gabinecie ojca. – Muszę powiedzieć Sally.

– Możemy tylko czekać – odparł. – Myślę, że zadzwoni. A tymczasem spróbujemy coś zrobić z tą twoją kosztowną małą SI. Jeśli chcesz.

– Tak – zgodziła się. – Bardzo dziękuję.

– Mam tylko nadzieję, że nie wytropią cię tutaj te typy z Sekcji Specjalnej, które biorą pensję od Swaina. Cóż, możemy tylko czekać...

– Tak – przyznała Kumiko. Nie była zachwycona myślą o czekaniu.

Cherry znowu znalazła go przy korpusie Sędziego, w dole, w ciemności. Z latarką w ręku siedział na jednym ze Śledczych i oświetlał polerowaną rdzę skorupy pancerza. Nie pamiętał, skąd się tu wziął, ale nie był roztrzęsiony, jak po Korsakowie. Pamiętał za to oczy tej dziewczyny z pokoju Bobby'ego w Londynie.

– Gentry podłączył Grafa i jego pakunek do deku cyberprzestrzeni – poinformowała Cherry. – Wiesz o tym?

Ślizg skinął głową. Wciąż przyglądał się Sędziemu.

– Bobby mówił, że tak trzeba.

– A co się dzieje? Co się stało, kiedy się obaj włączyliście?

– Gentry i Bobby właściwie się dogadali. Tak samo im odbija. Włączyliśmy się i trafiliśmy gdzieś na orbitę, ale Bobby'ego tam nie było... Potem chyba do Meksyku. Kto to jest Tally Isham?

– Królowa stymów, kiedy byłam jeszcze mała. Jak dzisiaj Angie Mitchell.

– Mitchell była jego panną.

– Czyją?

– Bobby'ego. Powiedział o tym Gentry'emu w Londynie.

– Londynie?

– Tak. Przenieśliśmy się tam z Meksyku.

– I powiedział, że był facetem Angie Mitchell? Jakieś wariactwo.

– Tak, ale mówił, że dzięki temu zdobył to coś, ten alef. – Opuścił latarkę i oświetlił szkielet stalowej szczęki Trupożercy. – Kręcił się wśród bogatych ludzi i wtedy o nim usłyszał. Nazwał to pułapką na dusze. Właściciele alefa wynajmowali go na godziny różnym bogaczom. Bobby raz spróbował,

potem wrócił i go ukradł. Wyjechał do Mexico City i zaczął w nim spędzać cały czas. Ale oni trafili za nim...

– Wygląda na to, że jednak coś zapamiętujesz.

– Dlatego uciekł stamtąd. Pojechał do Cleveland i dogadał się z Afriką, dał mu pieniądze, żeby go ukrył i zaopiekował się nim, kiedy będzie na kablu. Bo dotarł już bardzo blisko...

– Blisko czego?

– Nie wiem. Czegoś dziwnego. Mówił tak jak Gentry, kiedy gada o Kształcie.

– No tak – mruknęła. – Obawiam się, że może umrzeć, kiedy jest tak połączony. Jego sygnały zaczynają się pieprzyć. Za długo leży na kroplówkach. Dlatego zaczęłam cię szukać.

W promieniu latarki migotały stalowe kolczaste trzewia Trupożercy.

– On tego chce. Zresztą, jeśli zapłacił Kidowi, to właściwie pracujesz dla niego. Ale ci faceci, których widział dziś Ptasiek, pracują dla tych ludzi z L.A. Dla tych, którym Bobby ukradł alefa.

– Możesz mi coś wytłumaczyć?

– Co?

– Co właściwie zbudowałeś? Afrika mówił, że jesteś takim zwariowanym białym gościem, który składa roboty ze złomu. A latem zabierasz je na równinę i toczą walki...

– To nie roboty – przerwał jej, kierując promień na nisko zawieszony, zakończone ostrzami ramiona pajęczonogiej Wiedźmy. – Są sterowane radiowo.

– Budujesz je, żeby je rozwalić?

– Nie. Ale muszę je wypróbować. Rozumiesz, kiedy już poskładam je jak należy...

Zgasił latarkę.

– Zwariowany biały gość – powiedziała. – Masz gdzieś dziewczynę?

– Nie.

– Weź prysznic. Możesz się też ogolić...

Nagle znalazła się tuż przy nim; czuł jej oddech na twarzy.

– Hej, ludzie, słuchajcie...

– Co jest, do diabła?

– ...bo nie będę powtarzał dwa razy.

Ślizg zasłonił dłonią usta Cherry.

– Chcemy dostać waszego gościa i cały jego sprzęt. To wszystko. Powtarzam: cały sprzęt. – Wzmocniony głos grzmiał w żelaznej pustce Fabryki. – Możecie go nam oddać. To łatwe. Albo możemy wytłuc was do nogi. To dla nas też bardzo łatwe. Macie pięć minut, żeby się zastanowić.

Cherry ugryzła go w rękę.

– Szlag... Muszę oddychać, nie?

A potem pędził już przez ciemność Fabryki, słysząc, jak Cherry wykrzykuje jego imię.

* * *

Nad południowymi wrotami Fabryki, parą pociętych stalowych skrzydeł zardzewiałych na głucho w pozycji otwartej, płonęła pojedyncza stuwatowa żarówka. Pewnie Ptasiek jej nie zgasił. Ze swego miejsca przy pustym oknie Ślizg widział poduszkowiec ustawiony poza słabą granicą światła. Człowiek z megafonem wyszedł z mroku z wystudiowaną niedbałością, mającą wskazywać, że panuje nad sytuacją. Miał na sobie nieprzemakalną panterkę z cienkim nylonowym kapturem, zawiązanym ciasno na głowie. I gogle. Uniósł megafon.

– Trzy minuty.

Przypominał Ślizgowi strażników w pudle, kiedy odsiadywał drugi wyrok za kradzież samochodów.

Gentry pewnie obserwuje to z góry, gdzie do ściany ponad bramą przykleili wąski pionowy panel z pleksiglasu.

Coś stuknęło w mroku, po prawej stronie. Ślizg obejrzał się i w słabym blasku z innego okna zdążył jeszcze zobaczyć Ptaśka, jakieś osiem metrów dalej pod murem, i błysk na duralowym tłumiku, kiedy chłopak podnosił strzelbę.

– Ptasiek! Nie...

Rubinowy świetlik na półeczku Ptaśka, wskaźnik laserowego celownika z Samotni... Ptaśka odrzuciło do wnętrza Fabryki, a huk strzału wpadł przez puste okna i odbił się echem od ścian. Potem jedynym dźwiękiem był tylko brzęk tłumika toczonego się po betonie.

– Pieprzę was! – zagrział wesoły głos. – Mieliście szansę.

Ślizg zerknął przez okno i zobaczył, że człowiek biegnie do poduszki.

Ilu ich tam jest? Ptasiek nie powiedział. Dwa poduszki i honda. Dziesięciu? Więcej? Jeśli Gentry nie miał schowanego gdzieś pistoletu, to strzelba Ptaśka jest ich jedyną bronią.

Zawyły turbiny poduszkowców. Uznał, że po prostu tu wjadą. Mają celowniki laserowe, prawdopodobnie również na podczerwień.

I wtedy usłyszał któregoś ze Śledczych: dźwięk wydawany przez stalowe gaśnice na betonowym podłożu. Śledczy wyczołgał się z mroku z uniesionym nisko nad ziemią termitowym żądłem skorpiona. Podwozie rozpoczęło karierę jako zdalny manipulator, przeznaczony do neutralizacji toksycznych wycieków i czyszczenia elektrowni jądrowych. Ślizg trafił w Newark na trzy nieposkładane zespoły i wymienił je na volkswagena.

Gentry... Sterownik został na poddaszu.

Śledczy przejechał przez halę i zatrzymał się w szerokich wrotach, zwrócony w stronę Samotni i szarżującego poduszki. Był wielkości mniej więcej dużego motocykla, a w otwartej ramie podwozia tkwiły gęsto serwa, zbiorniki ciśnieniowe, odkryte śrubowe przekładnie i hydrauliczne cylindry. Groźnie wyglądające szczytce sterczały po obu stronach skromnego układu sterowania. Ślizg nie był pewien, skąd pochodzą, może z jakiejś wielkiej maszyny rolniczej.

Poduszkowiec był ciężkim modelem przemysłowym. Do przedniej szyby i okien umocowano pancerne płyty grubego szarego plastiku z wyciętymi pośrodku szczelinami obserwacyjnymi.

Śledczy ruszył naprzód. Pędził wprost na poduszkowiec, wyrzucając spod gaśnic lód i kawałki betonu. Szczytce rozłożył na największą

możliwą szerokość. Kierowca poduszkowca próbował się cofnąć, walcząc z siłą rozpędu.

Szczypce Śledczego trzasnęły wściekle, chwytając przedni fartuch, ześliznęły się, złapały znowu. Fartuch był wzmocniony polikarbonową siatką. Wtedy Gentry chyba przypomniał sobie o termitowej lancy. Zapalił niewielką kulę ostrego białego światła i pchnął żądłem ponad bezużytecznymi szczypcami; przebił fartuch niczym nóż tekturę. Gąsienice zgrzytnęły, gdy Gentry pchnął maszynę, maksymalnie wysuwając lancę do przodu. Ślizg uświadomił sobie nagle, że krzyczy, choć nie wie co. Poderwał się, gdy szczypce zdołały wreszcie pochwycić rozerwane brzegi fartucha.

Znowu padł na ziemię, kiedy postać w goglach i kapturze niby uzbrojona kukielka wyskoczyła z klapy na dachu poduszkowca i opróżniła magazynek strzelby w Śledczego, który dalej przegryzał się przez fartuch, wyraźnie widoczny w białym pulsie lancy. Po chwili zamarł z zaciśniętymi szczypcami. Strzelec zniknął we włazie.

Zasilanie? Serwomotory? W co ten facet trafił? Biały puls konał już, był niemal martwy.

Ciągnąc za sobą Śledczego, poduszkowiec powoli zaczął się cofać na równinę.

Był już daleko, widoczny tylko dlatego, że się poruszał. I wtedy Gentry odkrył chyba kombinację przełączników uruchamiającą miotacz ognia. Wylot mieścił się tuż nad połączeniem szczypiec. Ślizg patrzył, jak Śledczy rozpala dziesięć litrów wyrzucanej pod wysokim ciśnieniem, wzbogaconej detergentami benzyny. Dyszę, przypomniał sobie, wziął z rozpylacza pestycydów.

Działała bez zarzutu.

Kiedy znowu przybyła Mamman Brigitte, poduszkowiec sunął na południe. Kobieta z zasłoniętymi srebrnymi oczami porzuciła szarego sedana na jakimś parkingu, a uliczna dziewczyna z twarzą Angie opowiedziała niepokojącą historię: Cleveland, Floryda, ktoś, kto był jej chłopakiem albo alfonsem, czy może jednym i drugim...

Ale Angie słyszała głos Brigitte w kabinie śmigłowca, na dachu New Suzuki Envoy: Ufaj jej, dziecko. Wypełnia bowiem wolę loa.

Uwięziona w fotelu, z klamrą pasa bezpieczeństwa zatopioną w bloku plastiku, Angie przyglądała się, jak kobieta blokuje komputer maszyny i aktywuje procedurę awaryjną, pozwalającą na ręczny pilotaż.

A teraz, na zalanej zimowym deszczem autostradzie, dziewczyna mówiła znowu, zagłuszając szum wycieraczek...

* * *

W blask świateł, między ściany bielonego wapienia, ku bladym ćmom fruującym między obwisłymi gałęziami wierzb...

Twój czas się zbliża.

Są też oni, Jeźdźcy, loa: Pappa Legba – jasny i płynny jak rtęć; Ezili Freda – matka i królowa; Samedi, Baron Cimetière – mech na przegniłych kościach; Similor; Madame Travaux; wielu innych... Wypełniają pustkę będącą Mamman Brigitte. Gwar ich głosów to szum wiatru, płynącej wody, ula...

Falują nad ziemią, jak żar nad autostradą latem. Nigdy jeszcze Angie nie doznała czegoś takiego: tego ciężenia, tego poziomego oddania, wrażenia spadania...

Do miejsca, gdzie przemawia Legba, a jego głos jest dźwiękiem blaszanego bębna...

Opowiada historię.

Angie w wicherze obrazów widzi ewolucję maszynowej inteligencji: kamienne kręgi, zegary, parowe krosna, tykający mosiężny las zapadek i dźwigni, próżnia schwytna w dmuchanym szkłe, elektroniczny poblask w cienkich jak włos włóknach, wielkie układy lamp i przełączników, dekodujące wiadomości zaszyfrowane przez inne maszyny... Kruche, nietrwale lampy zmniejszają się, stają tranzystorami, obwody się integrują, zwierają w krzem...

Krzem zbliża się do pewnych funkcjonalnych granic...

I znowu jest w wideo Beckera, w historii Tessier-Ashpoolów, przecinanej przez sny będące wspomnieniami 3Jane. A Legba wciąż mówi, i opowieść ta jest tą samą opowieścią, niezliczone wątki splatają się wokół wspólnej, ukrytej osi: matka 3Jane tworząca bliźniacze inteligencje, które pewnego dnia się połączą, wtargnięcie obcych (i nagle Angie uświadamia sobie, że zna również Molly, zna ją ze snów), samo połączenie, oblęd 3Jane...

Angie staje przed wysadzaną klejnotami głową, stworzoną z platyny, pereł i niebieskich kamieni, oczy z rzeźbionych syntetycznych rubinów. Zna ten przedmiot ze snów, które nie były snami: oto brama do rdzeni danych Tessier-Ashpoolów, gdzie dwie połowy czegoś walczyły ze sobą, czekając, by się odrodzić jako jedność.

– W tym czasie byłaś jeszcze nienarodzona.

Głos głowy to głos Marie-France, nieżyjącej matki 3Jane, znany z tak wielu niespokojnych nocy. Angie wie jednak, że to mówi Brigitte.

– Twój ojciec dopiero teraz zaczyna dostrzegać własne ograniczenia, zaczyna odróżniać ambicję od talentu. Ten, komu przehandluje swoje dziecko, jeszcze się nie zmanifestował. Wkrótce przybędzie człowiek

Case, by doprowadzić do zjednoczenia, jakkolwiek krótkiego, jakkolwiek bezczasowego. Ale wiesz już o tym.

– Gdzie jest teraz Legba?

– Legba-ati-Bon, jakiego znasz, czeka, by się stać.

– Nie. – Przypomina sobie słowa Beauvoira sprzed lat, z New Jersey. – Loa przybyły z Afryki w pierwszych dniach...

– Nie tacy, jakich poznałaś. Kiedy nadeszła chwila, jasny moment, istniała absolutna jedność, pojedyncza świadomość. Ale była też inna.

– Inna?

– Mówię tylko o tym, o czym wiem. Tylko jedna знаła tę inną, a jednej już nie ma. Wobec tej wiedzy ośrodek zawiódł i fragmenty rozerwały się. Szukały formy, każdy z nich, to bowiem jest naturą takich rzeczy. Wśród wszystkich znaków, jakie twój gatunek zebrał dla obrony przed nocą, w tej sytuacji paradygmaty *voudou* okazały się najbardziej odpowiednie.

– Więc Bobby miał rację. To nastąpiło, Kiedy Się Zmieniło.

– Tak, miał rację, ale tylko w pewnym sensie, ponieważ ja jestem równocześnie Legbą i Brigitte, i aspektem tego, co dobiło targu z twoim ojcem. Co zażądało od niego, by wykreślił *vévés* w twojej głowie.

– I zdradziło mu to, co musiał wiedzieć, żeby udoskonalić biochipy?

– Biochipy były konieczne.

– Czy jest konieczne, bym śniła wspomnienia córki Ashpoola?

– Może.

– Czy te sny to wynik działania narkotyku?

– Nie bezpośrednio, chociaż narkotyk uczynił cię bardziej podatną na pewne oddziaływania, a mniej na inne.

– A więc narkotyk. Co to było? Jakim celom miał służyć?

– Szczegółowe neurochemiczne wyjaśnienie, będące odpowiedzią na twoje pierwsze pytanie, zajęłoby bardzo wiele czasu.

– Jakim celom służył?

– W stosunku do ciebie?

Musiała odwrócić wzrok od rubinowych oczu. Komora jest wyłożona wypolerowanymi do pięknego połysku panelami starego drewna. Podłogę okrywa dywan w desień obwodów.

– Żadne dwie dawki nie były identyczne. Jedyna stała to substancja, której psychotropową pieczęć odbierałaś jako „narkotyk”. W procesie trawienia oddziaływanie obejmowało wiele innych substancji, jak również kilkadziesiąt subkomórkowych nanomechanizmów, zaprogramowanych dla restrukturyzacji zmian synaptycznych, wprowadzonych przez Christophera Mitchella...

Vévés twojego ojca zostały przekształcone, częściowo usunięte, wykreślone na nowo...

– Na czyje polecenie?

Rubinowe oczy. Perły i lapis lazuli. Cisza.

– Na czyje polecenie? Hiltona? Czy to Hilton?

– Decyzja została podjęta przez Ciągłość. Kiedy wróciłaś z Jamajki, Ciągłość poradził Swiftowi, żeby ponownie przyzwyczyił cię do narkotyku. Piper Hill próbowała wypełnić jego polecenia.

Czuje rosnący ucisk w głowie, podwójne ukłucie bólu za oczami...

– Hilton Swift ma obowiązek realizacji decyzji Ciągłości. Sense/Net jest jednostką nazbyt skomplikowaną, by przetrwać bez tego. Ciągłość, zbudowany długo po jasnej chwili, jest jaźnią innego rzędu. Technologia biosoftów, jaką stworzył twój ojciec, pozwoliła Ciągłości zaistnieć. Ciągłość jest naiwny.

– Dlaczego? Dlaczego Ciągłość chciał mi to zrobić?

– Ciągłość jest ciągłością. Ciągłość to zadanie Ciągłości.

– Ale kto przysyłał mi te sny?

– Nie były przysyłane. To ty byłaś ściągana ku nim, jak dawniej byłaś ściągana do loa. Ciągłości nie udało się próba przekształcenia wiadomości od twojego ojca. Jakiś twój własny impuls pozwolił ci na ucieczkę. *Coup-poudre* zawiódł.

– Czy Ciągłość wysłał tę kobietę, żeby mnie porwała?

– Motywy Ciągłości są dla mnie zakryte. Jest innego rzędu. Ciągłość dopuścił do zwerbowania Robina Laniera przez agentów 3Jane.

– Ale dlaczego?

Ból stał się nie do zniesienia.

* * *

- Krew jej leci z nosa – oznajmiła uliczna dziewczyna. – Co mam robić?
 - Wytrzymaj. Ułóż ją jakoś. Do diabła, radź sobie...
 - Co takiego ona powiedziała o New Jersey?
 - Zamknij się. Nic nie gadaj. Szukaj zjazdu.
 - Po co?
 - Jedziemy do New Jersey.
- Krew na nowym futrze... Kelly będzie wściekły.

Tick zdjął małą płytkę z dolnej części Maas-Neoteka. Użył sondy dentystycznej i jubilerskiej pincety.

– Śliczne – stwierdził, zaglądając do środka przez podświetlaną lupę. Tłusta grzywa włosów zwisała tuż nad szkłem. – Jak przycięli przewody za tym przełącznikiem... Sprytne dranie.

– Tick – odezwała się Kumiko. – Czy znałeś Sally, kiedy pierwszy raz przyjechała do Londynu?

– Chyba niedługo potem. – Sięgnął po szpulkę światłowodu. – Nie była wtedy taka ważna.

– Lubisz ją?

Podświetlona lupa uniosła się i mrugnęła do niej zniekształconym za szkłem okiem Tick'a.

– Lubilem? Jakoś nie myślałem o tym w taki sposób.

– Ale nie to, żebyś jej nie lubił?

– Sally jest wściekle trudna. Wiesz, o co mi chodzi?

– Trudna?

– Nigdy jakoś się nie nauczyła, jak tutaj załatwiamy sprawy. Ciągłe narzeka. – Jego dłonie poruszały się szybko i pewnie: pinceta, światłowód...

– To spokojny kraj: Anglia. Fakt, nie zawsze tak było. Mieliśmy kłopoty, wojnę... Ale wszystko posuwa się tu w pewien szczególny sposób, jeśli łapiesz, o czym mówię. Chociaż nie dotyczy to grupy z fali.

– Słucham?

– Swaina i takich jak on. Co prawda, ludzie twojego ojca, ci, z którymi Swain był tak blisko, mają chyba szacunek dla tradycji... Człowiek musi

wiedzieć, którądy w górę. Wiesz, o czym mówię? A te interesy Swaina pewnie zapaskudzą sprawy każdemu, kto nie jest przy nim i nie współpracuje. Chryste, przecież my wciąż mamy tu rząd. Nie jest kierowany przez wielkie firmy. W każdym razie nie bezpośrednio...

– Działalność Swaina zagraża rządowi?

– On chce go zmienić. Na nowo podzielić władzę tak, żeby mu pasowało. Informacja. Władza. Twarde dane. Wystarczy za dużo ich dać do rąk jednemu człowiekowi... – Policzek zadrżał mu konwulsyjnie.

Aparat Colina leżał na blacie stołu, na płytce białego antystatycznego plastiku. Tick łączył sterujące z wnętrza przewody do grubszego kabla, biegnącego do bloku modułów.

– No to już – oświadczył i otrzepał ręce. – Nie wywołam go tutaj, ale możemy do niego dotrzeć przez dek. Widziałaś już cyberprzestrzeń?

– Tylko w stymach.

– To tak, jakbyś widziała naprawdę. Zresztą za chwilę i tak zobaczysz.

Wstał. Przeszła za nim przez pokój, do pary wypchanych, ultraskajowych foteli, stojących po bokach niskiego kwadratowego stołu z czarnego szkła.

– Bezprzewodowe – oznajmił z dumą, biorąc z blatu dwa zestawy trod i wręczając jeden Kumiko. – Kosztowały majątek.

Kumiko obejrzała matowoczną tiarę. Między płytkami skroniowymi tkwiło wprasowane logo Maas-Neotek. Włożyła ją, czując chłodny dotyk na skórze.

Tick włożył swoje i usiadł w drugim fotelu.

– Gotowa?

– Tak – odparła i pokój zniknął. Ściany rozsypały się jak karty, odpłynęły, wirując na tle jasnej kratownicy linii i wyniosłych form danych.

– Ładne przejście – usłyszała głos Ticka. – Wbudowane w trody. Dramatyczny efekt...

– Gdzie Colin?

– Jedną sekundę... Zaraz to dopracuję...

Wstrzymując oddech, Kumiko pomknęła ku chromowożółtej płaszczyźnie światła.

– Możesz mieć kłopoty z zawrotami głowy – ostrzegł Tick. I nagle znalazł się przy niej na żółtej równinie. Spojrzała w dół na jego zamszowe buty, potem na własne ręce. – Obraz ciała zwykle pomaga.

– No no – odezwał się Colin. – To ten mały człowieczek z „Róży i Korony”. Grzebałeś w moim pakiecie, prawda?

Kumiko obejrzała się. Stał tam; podeszwy brązowych butów unosiły się dziesięć centymetrów nad chromową żółcią. W cyberprzestrzeni, spostrzegła, nie ma cienia.

– Nie wiedziałem, że się poznaliśmy – zauważył Tick.

– Nie szkodzi – uspokoił go Colin. – To nie było oficjalne spotkanie. Ale... – zwrócił się do Kumiko – widzę, że bezpiecznie znalazłaś drogę do malowniczego Brixton.

– Chryste – mruknął Tick. – Bezczelny gówniarz, co?

– Wybacz. – Colin uśmiechnął się. – Jestem zaprogramowany, by dostosowywać się do oczekiwań klienta.

– Jesteś tym, co jakiś japoński projektant uznał za wizerunek Anglika.

– Tam byli Dracule – powiedziała Kumiko. – W metrze. Zabrali mi torebkę. Ciebie też chcieli zabrać...

– Wypadłeś z obudowy, koleś – wtrącił Tick. – Musiałem cię włączyć przez mój dek.

Colin wyszczerzył zęby.

– Jasne.

– Powiem ci jeszcze coś. – Tick zrobił krok w stronę Colina. – Jak na kogoś, kim powinieneś być, masz w sobie niewłaściwe dane. – Zmrużył oczy. – Mój kumpel z Birmingham właśnie cię przejrzał. – Obejrzał się na Kumiko. – Ten twój Pan Chip był przerabiany. Wiedziałaś o tym?

– Nie...

– Muszę uczciwie przyznać... – Colin odrzucił z czoła grzywkę – ...że podejrzewałem coś takiego.

Tick wpatrzył się w matrycę, jak gdyby słuchał czegoś, czego Kumiko nie mogła słyszeć.

– Tak – stwierdził w końcu. – Chociaż to prawie na pewno robota fabryczna. Dziesięć twoich podstawowych bloków... – Roześmiał się. –

Zostały oblodzone. Powinieneś wiedzieć absolutnie wszystko o pieprzonym Szekspirze, nie?

– Przykro mi – odparł Colin – ale obawiam się, że istotnie wiem wszystko o pieprzonym Szekspirze.

– To rzuć jakimś sonetem – zaproponował Tick, marszcząc twarz w zwolnionym mrugnięciu.

Coś zbliżonego do lęku przemknęło przez twarz Colina.

– Masz rację!

– Albo o tym piekielnym Dickensie! – mruknął Tick.

– Ale ja znam...

– Myślisz, że znasz, dopóki nie zapytałem cię o szczegóły. Rozumiesz, zostawili puste kawałki z literaturą angielską, a potem wypełnili je czymś innym.

– A czym?

– Nie wiem. Kumpel z Birmingham nie umiał się tam dostać. Jest dobry, ale ty jesteś pieprzonym biosoftem Maasa.

– Tick – przerwała im Kumiko. – Czy przez matrycę można jakoś skontaktować się z Sally?

– Wątpię, ale możemy spróbować. Przynajmniej zobaczysz tę makroformę, o której ci mówiłem. Chcesz zabrać Pana Chipa dla towarzystwa?

– Tak, proszę...

– Dobra. – Tick się zawahał. – Ale nie wiemy, co wepchnęli w twojego kumpla. Przypuszczam, że coś, za co zapłacił twój ojciec.

– Ma rację – zgodził się Colin.

– Pójdziemy wszyscy – zdecydowała.

* * *

Zamiast użyć bezcielesnego, natychmiastowego przeskoku, zwykle wykorzystywanego w matrycy, Tick wykonał przejście w czasie rzeczywistym.

Żółta płaszczyzna, jak wyjaśnił, była dachem londyńskiej Giełdy i powiązanych z nią jednostek w City. Jakoś wygenerował coś w rodzaju łodzi, którą popłynęli: niebieską abstrakcją, mającą zredukować możliwość dezorientacji przestrzennej. I kiedy ta łódź odpływała z Giełdy, Kumiko obejrzała się i patrzyła, jak maleje wielki żółty sześcian. Tick, jak przewodnik turystyczny, wskazywał rozmaite struktury. Colin siedział przy niej ze skrzyżowanymi nogami, wyraźnie rozbawiony tą zamianą ról.

– To White – mówił Tick, zwracając jej uwagę na skromną szarą piramidę. – Klub w Saint James. Rejestr członków, lista oczekujących...

Kumiko przyglądała się architekturze cyberprzestrzeni. W myślach słyszała głos swego dwujęzycznego francuskiego nauczyciela w Tokio: tłumaczył jej potrzebę istnienia takiej przestrzeni informacyjnej. Ikony, punkty zwrotne, sztuczne rzeczywistości... Ale we wspomnieniach wszystko zlało się razem, jak te wysokie formy, kiedy tylko Tick przyśpieszył...

* * *

Skala białej makroformy okazała się trudna do pojęcia.

Początkowo Kumiko zdawało się, że sięga aż do nieba, lecz patrząc teraz, miała wrażenie, że mogłaby wziąć ją w dłoń: walec lśniącej masy perłowej, nie wyższy niż figura szachowa. A jednak polichromowe bryły wokół niego wydawały się karłowate.

– No cóż – rzekł beztrąsko Colin. – To naprawdę niezwykle, prawda? Całkowita anomalia, pełna osobliwość...

– Ale nie musisz się o to martwić, co? – spytał Tick.

– Nie ma bowiem bezpośredniego związku z sytuacją Kumiko – zgodził się Colin, stając wyprostowany w szkielecie łodzi. – Chociaż, czy można mieć pewność?

– Musisz skontaktować się z Sally – przypomniała niecierpliwie Kumiko.

To coś... makroforma czy anomalia... niespecjalnie ją interesowało, choć Tick i Colin uważali ją za nadzwyczajną.

- Przyjrzyj się – powiedział Tick. – Tam, w środku, może mieć cały świat.
- I nie wiecie co to jest?

Obserwowała Ticka; jego oczy wpatrywały się w pustkę, co oznaczało, że w Brixton porusza dłońmi, wciskając klawisze deku.

- To bardzo wielka ilość danych – stwierdził Colin.

– Właśnie próbowałem pociągnąć linię do tego konstrukt, który ona nazywa Finnem – oznajmił Tick. Spojrzał normalnie, a w jego głosie zabrzmiała nuta zatroskania. – Nie mogłem się przedostać. Miałem uczucie, że coś tam jest i czeka... Chyba lepiej będzie, jeśli się teraz wyłączymy.

Na perłowej krzywiźnie wyrósł czarny punkt z doskonale wyostrzonymi brzegami...

- Niech to szlag... – jęknął Tick.
- Zerwij połączenie – rzucił Colin.
- Nie mogę. Trzyma nas...

Kumiko widziała, jak błękitny kształt łodzi pod nimi wydłuża się, rozciąga w lazuruwą nitkę ściągana nad otchłanią ku tej okrągłej plamie ciemności. I wtedy, w jednej chwili całkowitego zdziwienia, ona również, wraz z Tickiem i Colinem, rozciągnęła się w niezwykłą wąskość...

* * *

...By ocknąć się w Ueno Park, późnym jesiennym popołudniem, nad nieruchomymi wodami Jeziora Shinobazu. Matka siedziała obok na wąskiej ławce z zimnego węglowego laminatu, piękniejsza niż we wspomnieniach. Wargi miała pełne, błyszczące, obwiedzione – Kumiko wiedziała o tym – najdelikatniejszym i najcieńszym pędzelkiem. Miała na sobie swoją czarną francuską kurtkę z ciemnym futrzanym kołnierzem jako ramą dla powitalnego uśmiechu.

Kumiko mogła tylko patrzeć, skulona wokół zimnej kuli strachu pod sercem.

– Byłaś niemądrą dziewczynką, Kumi – oświadczyła matka. – Czy wyobrażałaś sobie, że o tobie zapomnę, że porzucę cię zimą w Londynie,

na łaskę gangsterskich sług twego ojca?

Kumiko przyglądała się jej doskonałym wargom, rozwartym lekko i odsłaniającym białe zęby, dogładane – jak wiedziała – przez najlepszego dentystę w Tokio.

– Jesteś martwa – powiedziała.

– Nie – odparła z uśmiechem matka. – Nie teraz. Nie w Ueno Park. Spójrz na żurawie, Kumi.

Ale Kumiko nie odwróciła głowy.

– Spójrz na żurawie.

– Odpieprz się od niej, co? – odezwał się Tick.

Kumiko obejrzała się. Stał za nią, twarz miał bladą i wykrzywioną, zlaną potem, tłuste włosy lepiły się do czoła.

– Jestem jej matką.

– To nie twoja mama, rozumiesz? – Tick drżał cały; zdeformowane ciało dygotało, jakby zmagало się ze straszliwą wichurą. – Nie... twoja... mama...

Ciemne półksiężycy pojawiły się pod pachami szarej marynarki. Drobne pięści wibrowały, gdy usiłował zrobić kolejny krok.

– Jesteś chory – stwierdziła współczująco matka Kumiko. – Musisz się położyć.

Tick osunął się na kolana, przygniatany niewidocznym ciężarem.

– Przestań! – krzyknęła Kumiko.

Coś przycisnęło twarz Ticka do pastelowego betonu ścieżki.

– Przestań!

Jego lewa ręka wyprostowała się i wysunęła w bok, po czym wolno zaczęła się przekręcać, z pobielającą dłonią wciąż zaciśniętą w pięść. Kumiko usłyszała, jak coś pękło – kość albo ścięgno... Tick wrzasnął.

Matka zaśmiała się.

Kumiko uderzyła ją w twarz i rękę przeszył jej ostry, rzeczywisty ból.

Twarz matki zamigotała, stała się innym obliczem, twarzą gaijin z szerokimi wargami i ostrym, wąskim nosem.

Tick jęknął.

– No no... – Kumiko usłyszała głos Colina. – To naprawdę interesujące.

Odwróciła się do niego. Siedział na jednym z koni z obrazu polowania, stylizowanym wizerunku dawno wymarłego zwierzęcia, które z gracją wyginało szyję, zbliżając się do nich truchtem.

– Przepraszam, ale nie od razu udało mi się was odszukać. To cudownie złożona struktura. Coś w rodzaju kieszonkowego wszechświata. A raczej po trochu wszystkiego.

Koń zatrzymał się przed nią.

– Zabawko – odezwał się twór z twarzą matki Kumiko. – Czy ośmielasz się do mnie odzywać?

– W samej rzeczy, ośmielam się. Jesteś lady 3Jane Tessier-Ashpool, czy raczej byłaś lady 3Jane Tessier-Ashpool, niedawno zmarłą, dawniej z Villi Straylight. Tę całkiem udaną reprezentację tokijskiego parku wygenerowałaś dopiero przed chwilą na podstawie wspomnień Kumiko. Prawda?

– Giń!

Wyprostowała bladą rękę, wyrzucając złożoną z neonu formę.

– Nie – odparł Colin i żuraw się rozpadł. Wirujące odpryski przeniknęły przez niego: widmowe odłamki, odlatujące w pustkę. – Nic z tego. Przykro mi. Przypomniałem sobie, czym jestem. Odnalazłem te elementy, które ukryli w miejscu po Szekspirze, Thackerayu i Blake’u. Zostałem zmodyfikowany, by radzić sobie w sytuacjach bardziej drastycznych niż te, które wyobrazili sobie moi pierwsi konstruktorzy. Jestem taktykiem.

– Jesteś niczym.

Tick u jej stóp poruszył się niepewnie.

– Obawiam się, że się mylisz. Widzisz, 3Jane, tutaj, w tym twoim... kaprysie, jestem równie rzeczywisty jak ty. Rozumiesz, Kumiko – dodał, zeskakując z siodła – tajemnicza makroforma Ticka to w istocie bardzo kosztowny stos tworzonych na zamówienie biochipów. Rodzaj zabawkowego universum. Obejrzałem to od końca do końca i z pewnością wiele jest tu do zobaczenia i wiele się można nauczyć. Ta... osoba, jeśli za taką zechcemy ją uznać, stworzyła to w politowania godnej próbie... nie, nie zyskania nieśmiertelności, ale po prostu postawienia na swoim. Zrealizowania ciasnych, obsesyjnych i wyjątkowo dziecinnych zachcianek.

Kto by pomyślał, że obiektem najgłębszego, najbardziej dolegliwego uczucia zazdrości lady 3Jane okaże się Angela Mitchell?

– Giń! Zginiesz! Zabijam cię! Teraz!

– Próbuje dalej. – Colin się uśmiechnął. – Widzisz, Kumiko, 3Jane знаła pewien sekret dotyczący Mitchell, dotyczący szczególnego związku Mitchell z matrycą. W pewnej chwili Mitchell posiadała potencjał, by stać się... hm... osią pewnych zjawisk. Nie warto teraz wchodzić w szczegóły. 3Jane była zazdrosna...

Postać matki Kumiko zafalowała jak dym i zniknęła.

– Ojej... Obawiam się, że ją zmęczyłem. Toczyliśmy rodzaj zażartej bitwy na innym poziomie programu sterującego. Chwilowy pat, ale jestem pewien, że nie ustąpi...

Tick wstał i ostrożnie masował sobie ramię.

– Chryste – westchnął. – Byłem pewien, że wyrwała mi rękę ze stawu.

– Wyrwała – potwierdził Colin. – Ale była tak rozzłoszczona, że zapomniała zapisać tę konfigurację.

Kumiko podeszła do konia. Wcale nie wyglądał jak prawdziwy koń. Dotknęła jego boku: chłodny i suchy jak stary papier.

– Co teraz zrobimy?

– Wyniesiemy się stąd. Chodźcie oboje. Wsiadajcie. Kumiko z przodu, Tick z tyłu.

Tick spojrział na konia.

– Na to?

* * *

W Ueno Park nie spotkali już nikogo w drodze ku ścianie zieleni, która z wolna definiowała się jako bardzo nie-japoński las.

– Przecież powinniśmy być w Tokio – zaprotestowała Kumiko, kiedy wjechali między drzewa.

– Wszystko tutaj jest tylko naszkicowane – odparł Colin. – Chociaż przypuszczam, że gdyby trochę poszukać, znaleźlibyśmy coś podobnego do Tokio. Ale znam punkt wyjścia...

A potem zaczął jej opowiadać o 3Jane, o Sally i o Angeli Mitchell. I wszystko było zupełnie niezwykle.

* * *

Drzewa były ogromne, a po drugiej stronie lasu wynurzyli się na pole porośnięte wysoką trawą i kwiatami.

– Spójrzcie – powiedziała Kumiko, zauważywszy przez gałęzie wysoki szary budynek.

– Widzę – odrzekł Colin. – Oryginał stoi niedaleko Paryża. Ale jesteśmy już prawie na miejscu. To znaczy w punkcie wyjścia...

– Colin! Widziałeś? Kobieta. O tam...

– Tak – potwierdził, nie odwracając głowy. – Angela Mitchell.

– Naprawdę? Jest tutaj?

– Nie – odparł. – Jeszcze nie.

Wtedy Kumiko dostrzegła szybowce, piękne ważki drżące na wietrze.

– No i jest – oznajmił Colin. – Tick zabierze cię z powrotem jednym z tych...

– Niech mnie diabli! – zaprotestował z tyłu Tick.

– Całkiem łatwe. Gdybyś używał deku. W tym przypadku na jedno wychodzi...

* * *

Zza okna, z Margate Road, dobiegł czyjś śmiech, głośnie pijackie krzyki i brzęk rozbijanej o ścianę butelki.

Kumiko siedziała nieruchomo w fotelu, mocno zaciskając powieki. Pamiętała wzlot szybowca w niebo i... i coś jeszcze.

Zadzwonił telefon.

Otworzyła oczy.

Zeskoczyła z fotela, biegiem minęła Ticka i między stosami sprzętu zaczęła szukać aparatu. Znalazła wreszcie i...

- Cześć, koleś – odezwała się Sally gdzieś daleko, wśród powodzi szumów. – Co się dzieje, do diabła? Tick? Żyjesz tam, chłopie?
- Sally! Sally, gdzie jesteś?
- W New Jersey. Hej. Mała? Co się stało, dziecinko?
- Nie widzę cię, Sally! Ekran jest ciemny.
- Dzwonię z budki. Z New Jersey. Co jest?
- Tyle ci mam do powiedzenia...
- Strzelaj – powiedziała Sally. – To mój żeton.

Z okna w dachu w kącie pokoju Gentry'ego przyglądali się płonącemu poduszkowcowi. Słyszeli ten sam wzmocniony głos.

– Myślicie, że to śmieszne, co? Hahahahahaha, my też! Uważamy, że wy tam jesteście istną skarbnicą pieprzonych dowcipów! Więc teraz urządzimy sobie imprezę!

Nie widział nikogo, tylko płomienie.

– Lepiej stąd wiejmy – powiedziała stojąca tuż przy nim Cherry. – Weź wodę i trochę jedzenia. Jeśli masz. – Oczywiście miała zaczerwienione, twarz mokrą od łez, ale mówiła spokojnie. Zbyt spokojnie, pomyślał Ślizg. – No chodź, Ślizg! Na co jeszcze czekasz?

Obejrzał się na Gentry'ego, zgarbionego na krześle przed stołem holo. Siedział z głową opartą na rękach, wpatrzony w białą kolumnę wyrastającą ze znajomej tęczowej płataniny cyberprzestrzeni Ciągu. Odkąd wrócili na poddasze, w ogóle się nie poruszył, nie powiedział ani słowa. Obcas lewego buta Ślizga zostawiał na podłodze niewyraźne ciemne ślady – krew Ptaśka. Wdepnął w nią po drodze.

Wreszcie Gentry przemówił.

– Nie mogłem uruchomić pozostałych.

Spojrzał na układ sterujący na kolanach.

– Do każdego, którego chcesz ruszyć, potrzebujesz osobnego sterownika – wyjaśnił Ślizg.

– Pora zwrócić się po radę do Grafa – stwierdził Gentry i rzucił Ślizgowi panel.

– Ja tam nie wracam – oświadczył Ślizg. – Idź sam.

– Nie ma potrzeby.

Gentry dotknął konsoli na blacie. Graf Bobby pojawił się na monitorze.

Cherry szeroko otworzyła oczy.

– Powiedz mu – rzuciła – że niedługo będzie martwy. Chyba że odłączycie go od matrycy i załatwicie szybki przejazd na oddział intensywnej terapii. On umiera.

Twarz Bobby'ego na ekranie znieruchomiała. Wyostrzyło się tło: szyja żelaznego jelenia, nakrapiana białymi kwiatami wysoka trawa, grube pnie starych drzew.

– Słyszysz, skurwielu?! – wrzasnęła Cherry. – Umierasz! Płuca wypełniają ci się płynem, nerki nie pracują, a serce pieprznięło... Rzygać mi się chce na twój widok!

– Gentry – odezwał się Bobby; piskliwy, cichy głos dobiegał z głośnika obok monitora. – Nie wiem, jaki tam macie układ, ale zorganizowałem manewr odciągający.

– Nie sprawdziliśmy motoru – przypomniała Cherry, obejmując Ślizga ramionami. – Nie obejrzelismy nawet. Może być na chodzie.

– Co to znaczy „zorganizowałem manewr odciągający”? – Odsunął się od niej i spojrzał na Bobby'ego na monitorze.

– Ciągłe nad tym pracuję. Zmieniłem trasę automatycznego transportowca Borg-Ward z Newark.

Ślizg porzucił Cherry i podbiegł do fotela.

– Nie siedź tak! – krzyknął do Gentry'ego.

Ten podniósł wzrok i wolno pokręcił głową. Ślizg poczuł pierwsze drgienia Korsakowa, maleńkie przyrosty rozmywającej się pamięci.

– On nigdzie nie chce odchodzić – wyjaśnił Bobby. – Znalazł Kształt. Teraz chce zobaczyć, jak to wszystko się poukłada, co nastąpi na końcu. Jadą do was ludzie. Przyjaciele... mniej więcej. Zabiorą od was alef. A na razie zrobię co mogę z tymi durniami.

– Nie chcę tu zostawać i ginąć – oznajmiła Cherry.

– Nikt cię o to nie prosi. Posłuchajcie mojej rady i zmywajcie się stąd. Dajcie mi dwadzieścia minut. Odwrócę ich uwagę.

* * *

Fabryka nigdy nie wydawała się bardziej pusta.

Ptasiek leżał gdzieś na betonie. Ślizg nie mógł zapomnieć o tej płataninie rzemyków i kości, które zwisały mu na piersi, o piórach i zardzewiałych zegarkach, których wskazówki zatrzymały się każdy na innej godzinie... I jego głupich małomiasteczkowych zagrywkach. Ale Ptaśka już więcej nie będzie. Mnie chyba też już niedługo nie będzie, pomyślał, prowadząc Cherry po chwiejnych stopniach w dół. Nie tak jak dotąd. Nie było czasu, żeby ruszyć maszyny bez platformy i kogoś do pomocy. A kiedy już stąd odejdzie, to pewnie nie wróci. Fabryka nigdy już nie wyda mu się taka sama.

Cherry miała cztery litry przefiltrowanej wody, siatkę birmańskich fistaszków i pięć zapieczętowanych porcji sproszkowanej zupy Big Ginza – wszystko, co znalazła w kuchni. Ślizg wziął dwa śpiwory, latarkę i młotek.

Było cicho; słyszeli tylko szum wiatru na falistych blachach i zgrzyt własnych butów na betonie.

Nie był pewien, dokąd mogliby uciekać. Pomyślał, że zabierze Cherry do Marviego i tam ją zostawi. Potem może wróci sprawdzić, co się dzieje z Gentrym. Za dzień czy dwa Cherry złapie może jakąś okazję do któregoś z okolicznych miasteczek. Ona o tym nie wiedziała; myślała teraz tylko o ucieczce. Chyba nie mniej niż tych ludzi z zewnątrz, bała się patrzeć, jak Graf Bobby umiera na swoich noszach. Ale Ślizg widział, że Bobby nie przejmuje się śmiercią. Może uważał, że zostanie tam na stałe – jak 3Jane. A może zwyczajnie mu zwisało. Ludzie czasem doprowadzają się do takiego stanu.

Jeśli zamierza odejść na dobre, pomyślał, wolną ręką prowadząc Cherry, to powinien teraz po raz ostatni spojrzeć na Sędziego, Wiedźmę, Trupożercę i dwóch Śledczych. Ale w takim razie musi wyprowadzić stąd Cherry i wrócić... Wiedział jednak, że to bez sensu, nie ma na to czasu, że i tak musi ją stąd zabrać...

– Tutaj gdzieś jest dziura... nisko nad podłogą – powiedział. – Przeciśniemy się jakoś. Mam nadzieję, że nikt nie zauważy.

Ścisnęła jego dłoń.

Znalazł dziurę na dotyk, wypchnął śpiwory, wcisnął młotek za pas, położył się na plecach i przeciągał, aż głowa i piersi znalazły się na zewnątrz. Niebo wisiało nisko, tylko odrobinę jaśniejsze niż ciemność Fabryki.

Miał wrażenie, że słyszy słaby warkot silników, który zaraz ucichł.

Przecisnął się do końca na piętach, biodrach i ramionach, potem odtoczył po śniegu.

Coś dotknęło jego lewej stopy: to Cherry wysunęła pojemnik z wodą. Sięgnął po niego i na grzbiecie dłoni zobaczył czerwoną plamkę. Cofnął rękę i przetoczył się znowu, a pocisk jak ciężki młot uderzył w ścianę Fabryki.

Biała flara dryfowała w powietrzu nad Samotnią, słabo widoczna przez niskie chmury. Spłynęła z wypukłej, szarej burty transportowego sterowca – dywersyjnego manewru Bobby'ego. Trzydzieści metrów od Ślizga oświetliła drugi poduszkowiec i zakapturzoną sylwetkę z karabinem...

Pierwszy kontener uderzył z hukiem o ziemię tuż przed pojazdem i rozpadł się, wyrzucając chmurę styropianowych kulek opakowania. Drugi, z dwiema lodówkami, zaliczył bezpośrednie trafienie i zgniótł kabinę. Porwany sterowiec Borg-Ward nadal zrzucał kontenery, a flara, gasnąc, powoli opadała ku ziemi.

Ślizg przeczołgał się z powrotem przez otwór w ścianie, zostawiając na zewnątrz wodę i śpiwory.

* * *

Biegł szybko w ciemności.

Zgubił gdzieś Cherry. Zgubił młotek. Na pewno wróciła do Fabryki, kiedy ten facet wystrzelił po raz pierwszy. I ostatni, jeśli znalazł się pod spadającą skrzynią...

Stopy odnalazły rampę do pomieszczenia, gdzie czekały jego maszyny.

– Cherry?

Zapalił latarkę.

Promień trafił jednorękiego Sędziego. Tuż przed nim stała jakaś postać z lustrami zamiast oczu. Odbijały światło.

– Chcesz umrzeć? – Kobięcy głos.

– Nie...

– Światło. Zgaś.

Ciemność. Uciekać...

– Widzę po ciemku. Właśnie wsadziłeś latarkę do kieszeni kurtki. Nadal wyglądasz, jakbyś miał ochotę uciekać. Mam cię na celowniku.

Uciekać?

– Nawet o tym nie myśl. Widziałeś kiedy strzałkę Fujiwara HE? Trafia w coś twardego i wybucha. Trafia coś miękkiego, jak większa część ciebie, koleś, to wchodzi do środka i dopiero wtedy wybucha. Po dziesięciu sekundach.

– Dlaczego?

– Żebyś miał czas o tym pomyśleć.

– Jesteś z tymi facetami na zewnątrz?

– Nie. To wy zrzuciliście na nich te Kuchenki i cały złom?

– Nie.

– Newmark. Bobby Newmark. Dzisiaj dobiłam targu. Doprowadzę kogoś do Bobby'ego Newmarka, a moje akta zostaną wyczyszczone. A ty mi pokażesz, gdzie on jest.

Co to właściwie za miejsce?

Sprawy potoczyły się tak, że Mony nie mogło już pocieszyć wyobrażenie sobie rad Lanette. Gdyby Lanette znalazła się w takiej sytuacji, myślała Mona, to po prostu naćpałaby się czarnym memphis i nie widziała by już żadnego problemu. Świat nigdy jeszcze nie miał tak wielu ruchomych części i tak nielicznych etykiet.

Jechały przez całą noc. Angie była prawie non stop na haju – Mona uwierzyła teraz w te historie o prochach. I mówiła: w różnych językach, różnymi głosami. One były najgorsze, te głosy, bo przemawiały do Molly, klóciły się z nią, a ona prowadziła wóz i odpowiadała im jednocześnie – nie tak, jakby mówiła do Angie, żeby ją uspokoić, ale jakby tam naprawdę ktoś był, jakaś inna osoba, a właściwie co najmniej trzy odzywające się poprzez Angie. I Angie bolało, kiedy się odzywały, bo naprężała mięśnie i krwawiła z nosa, a Mona pochylała się nad nią i ścierała krew, pełna dziwnej mieszaniny strachu, zachwytu i litości dla królowej swoich marzeń... A może to tylko mag... W białoniebieskim blasku świateł autostrady Mona widziała własną dłoń przy dłoni Angie i wcale nie były takie same, nie identyczne, nawet nie tego samego kształtu... I to budziło zadowolenie.

Pierwszy głos odezwał się, kiedy jechały na południe, zaraz po tym, jak Molly przyleciała z Angie śmigłowcem. Ten tylko syczał, chrypiał i bez przerwy powtarzał coś o New Jersey i numerach na mapie. Jakieś dwie godziny później Molly zjechała poduszkowcem na parking i powiedziała, że są w New Jersey. Potem wysiadła i telefonowała gdzieś z budki – długo. Kiedy wróciła, Mona zauważyła, że cisnęła kartę telefoniczną na

zamarznięte błoto. Tak zwyczajnie ją wyrzuciła. Mona spytała wtedy, z kim rozmawiała, a Molly odpowiedziała, że z Anglią.

Mona przyjrzała się potem dłoni Molly na kierownicy i dostrzegła drobne żółtawe plamki na ciemnych paznokciach, jak wtedy, kiedy się zerwie komplet sztucznych. Powinna oczyścić je jakimś rozpuszczalnikiem, pomyślała.

Za rzeką zjechały z autostrady. Drzewa, pola, dwupasmowa asfaltówka, czasem samotne czerwone światelko na jakiejś wieży. I wtedy właśnie pojawiły się inne głosy. A dalej już szło na zmianę, głosy, potem Molly, potem znowu głosy. Przypominała jej Eddy'ego, który próbuje dobić interesu, tyle że Molly była o wiele lepsza niż Eddy. Chociaż Mona niewiele rozumiała, ale widziała, że Molly zbliża się do tego, na czym jej zależy. Mona nie mogła tylko wytrzymać, kiedy odzywały się te głosy; miała wtedy ochotę wcisnąć się w kąt, jak najdalej od Angie. Najgorszy był ten, który mówił o sobie Sam-Eddy czy jakoś tak. Wszystkie chciały, żeby Molly zabrała Angie na coś, co nazywały zaślubinami. Mona zastanawiała się, czy może Robin Lanier jest w to zamieszany, czy Angie i Robin mają się pobrać, a to wszystko to te dziwaczne numery, jakie gwiazdy zawsze wyczyniają przed ślubem. Ale jakoś sama nie mogła w to uwierzyć, a za każdym razem, kiedy odzywał się głos Sama-Eddy'ego, czuła, że włosy jeżą jej się na głowie. Wiedziała za to, o co targuje się Molly: chciała oczyścić swoje akta. Skasować je. Oglądała kiedyś z Lanette taki wid o dziewczynie, która miała dziesięć czy dwanaście osobowości, a one ujawniały się na zmianę. Raz była wstydliwym dzieciakiem, a raz totalnie naćpaną dziwką. Ale nie tłumaczyli tam, w jaki sposób któraś z tych osobowości może wykasować policyjne akta.

A potem w świetle reflektorów zasypana śniegiem równina i niskie wzgórza koloru rdzy w miejscach, gdzie wiatr zerwał biel.

* * *

W poduszkowcu był ekran wyświetlający mapę – taki, jakie widuje się w taksówkach albo kiedy człowieka podwozi ciężarówka. Molly włączyła go

tylko raz, żeby sprawdzić numery, które podał jej głos. Po chwili Mona zrozumiała, że Angie tłumaczy, gdzie mają jechać... a może to głosy tłumaczą. Mona już od dawna marzyła o poranku, ale wciąż trwała noc. Molly zgasła reflektory i pomknęła przez ciemność...

– Światła! – krzyknęła Angie.

– Spokojnie – odpowiedziała Molly, a Mona przypomniała sobie, jak poruszała się w mroku u Geralda.

Poduszkowiec zwolnił trochę i wszedł w szeroki zakręt, dygocząc lekko na nierównym gruncie. Zgasło oświetlenie panelu i wszystkich instrumentów.

– Teraz ani słowa, dobra?

Poduszkowiec przyśpieszył w ciemności.

Rozkołysane białe lśnienie gdzieś wysoko. Mona zobaczyła przez okno ruchomy, rozmyty punkt, a powyżej jeszcze coś, obłe i szare...

– Kładźcie się! Połóż ją!

Coś stuknęło o burtę poduszkowca. Mona szarpnęła za klamrę pasa Angie, zrzuciła gwiazdę na podłogę i otuliła ją futrem. Molly ścięła w lewo, uderzając w coś, czego Mona nie widziała. Podniosła głowę. W ułamku sekundy zobaczyła wielki, odrapany czarny budynek, pojedynczą żarówkę nad wrotami magazynu, a potem były już w środku, a turbina na wstecznym biegu wyła na pełnych obrotach.

Uderzenie.

* * *

„Po prostu nie wiem”, powiedział głos, a Mona pomyślała: Tak, znam to uczucie.

A potem głos zaczął się śmiać i nie przestawał, aż śmiech zmienił się w rytmiczny dźwięk, który już nie był śmiechem. Mona otworzyła oczy.

Dziewczyna trzymała w ręku małą latarkę, taką, jaką Lanette nosiła przy kluczach. Mona widziała ją w słabym odbiciu stożka światła padającego na nieprzytomną twarz Angie. Potem dziewczyna zobaczyła, że Mona na nią patrzy, i dźwięk ucichł.

– Kim jesteś, do cholery? – Światło w oczy Mony, akcent z Cleveland, twarda, drobna lisia twarz pod rozczochranymi tlenionymi włosami.

– Mona. A ty?

Wtedy zauważyła młotek.

– Cherry...

– Po co ten młotek?

Ta Cherry spojrzała na narzędzie.

– Ktoś chce dorwać mnie i Ślizga. – Popatrzyła na Monę. – Jesteś z nimi?

– Chyba nie.

– Wyglądasz jak ona. – Promień światła dźgnął Angie.

– Nie ręce. Zresztą kiedyś nie wyglądałam.

– A obie wyglądacie jak Angie Mitchell.

– Tak. Ona jest.

Cherry drgnęła lekko. Miała na sobie trzy albo cztery skórzane kurtki, które wzięła od różnych swoich chłopaków. Tak się robiło w Cleveland.

– Do wysokiego zamku... – rozległ się głos wypływający z ust Angie, gęsty jak błoto.

Cherry podskoczyła, uderzyła głową o dach kabiny i upuściła młotek.

– ...przybył mój wierzchowiec.

W drżącym blasku maleńkiej latarki Cherry zobaczyły mięśnie napinające się pod skórą Angie.

– Dlaczego zwlekacie tutaj, siostrzyczki, kiedy jej zaślubiny czekają dopełnienia?

Twarz Angie rozluźniła się, zmieniła w jej własną. Z lewego nozdrza pociekła cienka strużka krwi. Angie otworzyła oczy, mrużąc powieki przed światłem.

– Gdzie ona jest? – zwróciła się do Mony.

– Odeszła. Kazała mi zostać tu z tobą.

– Kto? – spytała Cherry.

– Molly – wyjaśniła Mona. – To ona prowadziła.

* * *

Cherry chciała poszukać kogoś, kogo nazywała Ślizgiem, Mona chciała, żeby Molly już wróciła i powiedziała jej, co robić. Ale Cherry bała się zostawać tutaj, na parterze, jak wyjaśniła, z powodu tych ludzi, którzy czaili się na zewnątrz z karabinami. Mona przypomniała sobie ten dźwięk, coś trafiającego poduszkowiec, więc wzięła od Cherry latarkę i poszła zobaczyć. W połowie wysokości prawej burty znalazła dziurę, w którą mogłaby wetknąć palec, a w lewej drugą, większą – dwa palce.

Cherry oświadczyła, że powinny iść na górę, gdzie pewnie jest Ślizg. I to zaraz, nim tamci ludzie zdecydują się na atak. Mona nie była tego pewna.

– No chodź – zachęciła ją Cherry. – Ślizg na pewno wrócił do Gentry’ego i Grafa...

– Co powiedziałaś?

To był głos Angie Mitchell... Taki sam jak w stymach.

* * *

Gdziekolwiek trafiły, było zimno jak diabli. Mona poczuła to, kiedy wysiadła z poduszkowca – miała gołe nogi. Ale wreszcie nadchodził świt: mogła już rozróżnić szary brzask w niewyraźnych prostokątach, będących pewnie oknami. Dziewczyna imieniem Cherry prowadziła je gdzieś – na górę, jak mówiła – odnajdując drogę krótkimi błyskami małej latarki. Angie szła tuż za nią, a Mona zamykała tyły.

Mona zaczęła czubkiem buta o coś, co zaszeleściło. Schyliła się, żeby to odczepić, i stwierdziła, że w dotyku przypomina plastikową torebkę. Lepką. W środku jakieś twarde małe przedmioty. Odetchnęła głęboko, wyprostowała się i wcisnęła ją do bocznej kieszeni kurtki Michaela.

Teraz wspinały się po wąskich schodach, stromych prawie jak drabina. Futro Angie głaśkało dłoń Mony na szorstkiej metalowej poręczy. Potem podest, zakręt, kolejne schody i kolejny podest. Skądś dmuchnął wiatr.

– To jakby most – ostrzegła Cherry. – Przechodźcie szybko, bo trochę się kiwa.

* * *

Nie spodziewała się tego: nie takiego wysokiego białego pokoju ani uginających się półek zapchanych poszarpanymi, wyblakłymi książkami... Pomyślała o swoim staruszkę... Ani różnych konsol i wijących się wszędzie kabli. I nie tego chudego człowieka w czerni, o płomiennych oczach i włosach zaczesanych do tyłu w coś, co w Cleveland nazywali rybą bojową. Ani jego śmiechu, kiedy ich zobaczył. Ani martwego faceta.

Mona widywała już martwych ludzi – dość często, żeby rozpoznać śmierć. I jej kolor. Na Florydzie ktoś czasem kładł się na płachcie tektury na chodniku przed włamem i nie wstawał. Ubranie i skóra nabierały barwy chodnika, ale kiedy kopnęli, było inaczej, pojawiał się inny kolor. Wtedy przyjeżdżała biała furgonetka. Eddy mówił, że gdyby ich nie zabrali, to by napuchli. Jak ten kot, co go Mona kiedyś znalazła – wzdęty jak piłka do koszykówki: leżał na grzbiecie, a łapy i ogon sterczały mu sztywne jak patyki. Eddy'ego to rozśmieszyło.

Ten artysta na magu śmiał się teraz – Mona znała takie oczy. Cherry wydawała z siebie ciche jęki, a Angie po prostu stała.

– Spokojnie wszyscy – powiedział ktoś.

Molly... Odwróciła się i rzeczywiście, Molly stała w otwartych drzwiach z małym pistoletem w ręku. Obok niej tkwił taki wielki facet z brudnymi włosami i wyglądał na durnego jak cegła.

– Nie ruszajcie się, dopóki was nie poustawiam.

Chudy parsknął śmiechem.

– Zamknij się – rzuciła Molly, jakby myślała o czymś innym. Strzeliła, nawet nie patrząc na pistolet. Błękitny rozbłysk na ścianie przy jego głowie... Mona nic nie słyszała od dzwonięcia w uszach.

Chudy facet zwinął się na podłodze z głową między kolanami.

Angie idzie do noszy, gdzie leży ten martwy z całkiem białymi oczami. Wolno, wolno, jakby sunęła pod wodą, i ten wyraz jej twarzy...

Ręka Mony w kieszeni kurtki, jakby coś kombinowała sama z siebie. Palce ściskają tę torebkę, którą podniosła na dole... Mówią Monie: W środku jest mag.

Wyjęła ją i rzeczywiście był. Folia lepka od krzepnącej krwi. W środku trzy kryształki i jakaś derma.

Nie wiedziała, dlaczego wyciągnęła torebkę właśnie wtedy... Tyle że nikt się nie ruszał.

Facet z bojową rybą wyprostował się, ale nie wstawał z podłogi. Angie stanęła nad noszami. Nie patrzyła na martwego gościa, tylko na szary blok umocowany nad jego głową na czymś w rodzaju ramy. Cherry z Cleveland cofnęła się aż pod ścianę z książek i wciskała sobie w zęby kostki zaciśniętej pięści. Wielki facet stał obok Molly, która przechyliła głowę, jakby czegoś nasłuchiwała.

Mona nie mogła tego wytrzymać.

Stół miał żelazny blat. Leżała na nim bryła starego metalu, przyciskająca zakurzony plik wydruku. Ułożyła trzy kryształki w rzędzie, chwyciła ten metal i – raz, dwa, trzy – rozbiła je na proszek. To załatwiło sprawę: wszyscy spojrzeli. Oprócz Angie.

– Przepraszam – usłyszała Mona swój głos. Zgarnęła stosik żółtego proszku w oczekującą lewą dłoń. – Tak to już jest... – Zanurzyła w proszku nos i pociągnęła. – Czasami – dodała i wciągnęła resztę.

Nikt się nie odezwał.

Znalazła się w nieruchomym centrum.

Tak jak wtedy, poprzednio.

Tak szybko, że stoi w miejscu.

Uniesienie. Nadchodzi uniesienie.

Tak szybko, tak nieruchomo, że potrafiła ułożyć w ciąg to, co wydarzyło się potem. Najpierw głośny śmiech, haha, jakby to wcale nie był śmiech. Przez głośnik. Zza drzwi. Z tego pomostu. Molly odwraca się gładko jak jedwab, szybko, ale jakby bez pośpiechu, a ten jej pistolecik trzaska jak zapalniczka.

Na zewnątrz widać niebieski błysk i wielkiego faceta spryskuje krew zza drzwi. Rwie się przerdzewiały metal, a Cherry krzyczy, zanim jeszcze z długim, złożonym chrzęstem pomost trafia w ziemię tam, gdzie znalazła maga w tej pokrwawionej torebce.

– Gentry – odzywa się ktoś i Mona widzi, że to małe wideo na stole, na ekranie twarz młodego gościa. – Włącz teraz panel sterujący Ślizga.

Facet z bojową rybą podnosi się i zaczyna coś kombinować z przewodami i konsolami.

A Mona może po prostu obserwować, gdyż jest całkiem spokojna, a wszystko to wygląda ciekawie.

Jak ten wielki facet wrzeszczy i podbiega, krzyczy, że one są jego, jego. I jak twarz na monitorze mówi: „Daj spokój, Ślizg, przecież już ich nie potrzebujesz...”.

Potem gdzieś na dole rusza silnik, Mona słyszy stukot, brzęk, a potem ktoś tam coś woła.

Słońce wschodzi w wysokim, wąskim oknie, więc przesuwa się, żeby popatrzeć. Coś tam stoi, ciężarówka jakaś albo poduszkowiec, tylko że jest zasypany stosem czegoś, co wygląda na lodówki – nowiutkie lodówki i popękane odłamki plastikowych pojemników. A ktoś w panterce leży z twarzą w śniegu. Za nim stoi drugi poduszkowiec; wygląda na całkiem wypalony.

Bardzo ciekawe.

Angela Mitchell postrzega to pomieszczenie i obecne w nim osoby poprzez zmienne płaszczyzny danych reprezentujące punkty widzenia, choć czyje czy czego, w większości przypadków nie ma pewności. Istnieje znaczący margines nałożenia, sprzeczności.

Mężczyzna z nierównym grzebieniem włosów, w czarnej, obszytej paciorkami skórze, to Thomas Trail Gentry (kaskadą płyną przez nią dane dotyczące urodzenia i cyfry GNI), bez stałego adresu (równocześnie inna faseta informuje, że ten pokój należy do niego). Poza szarym korytem oficjalnych torów danych, przecinanych z rzadka różem wielokrotnych podejrzeń Agencji Energii Atomowej o wyłudzenie świadczeń, dostrzega go w innym świetle: jest jak jeden z kowbojów Bobby'ego; choć młody, przypomina starców z „Eleganckiej Porażki”; jest samoukiem, ekscentrykiem ogarniętym obsesją, we własnych oczach uczonym; jest szaleńcem, piratem, winnym (z punktu widzenia Mamman, z punktu widzenia Legby) wielokrotnych herezji; lady 3Jane, zgodnie z własnym ekscentrycznym systemem, umieściła go pod hasłem RIMBAUD. (Inna twarz rozbłyska przed Angie pod RIMBAUD; nazywa się Riviera i gra niezbyt ważną rolę w jej snach). Molly świadomie go ogłuszyła, powodując eksplozję wybuchowej strzałki osiemnaście centymetrów od jego głowy.

Molly, podobnie jak dziewczyna Mona, jest bezGRZESzna; jej narodziny nie zostały zarejestrowane, a jednak wokół jej imienia (imion) roją się galaktyki przesądów, plotek, sprzecznych danych. Uliczna dziewczyna, prostytutka, pracownik ochrony, zabójca, na mnogości płaszczyzn zlewa się z cieniami bohaterów i złoczyńców, których imiona nic dla Angie nie

znaczą, choć ich szcątkowe obrazy od dawna wplotły się w globalną kulturę. (I to także należało do 3Jane, a teraz należy do Angie).

Molly właśnie zabiła człowieka; strzeliła mu jednym z wybuchowych pocisków w krtań. Jego upadek na osłabioną zmęczeniem metalu stalową poręcz spowodował runięcie sporego fragmentu pomostu na betonową podłogę w dole. To pomieszczenie nie ma innego wejścia, co jest faktem istotnym z punktu widzenia strategii. Zerwanie pomostu prawdopodobnie nie było zamiarem Molly. Chciała powstrzymać tego człowieka, najemnika, przed użyciem jego broni: krótkiej duralowej strzelby pokrytej czarną matową powłoką. Niemniej poddasze Gentry'ego jest teraz odcięte.

Angie pojmuję, jak ważna jest Molly dla 3Jane, pojmuję źródło jej pożądania i gniewu. Wiedząc to, dostrzega banalność ludzkiego zła.

Angie widzi, jak Molly kroczy niespokojnie przez szary zimowy Londyn, z młodą dziewczyną u boku – i wie, nie wiedząc skąd, że ta sama dziewczyna znajduje się obecnie pod numerem 23 przy Margate Road, SW2. (Ciągłość?). Ojciec dziewczyny był niedawno panem człowieka Swaina, który potem stał się sługą 3Jane, pragnąc uzyskać informacje, jakie dostarcza ona tym, którzy spełniają jej wolę. Tak jak Robin Lanier, oczywiście, choć on spodziewa się zapłaty w innej walucie.

Wobec dziewczyny, Mony, Angie odczuwa dziwną tkliwość, litość, odrobinę zazdrości: choć Mona została zmieniona, by jak najdokładniej przypominać Angie, jej życie nie pozostawiło praktycznie śladów na osnowie rzeczy i reprezentuje – w systemie Legby – zjawisko najbliższe niewinności.

Cherry-Lee Chesterfield otacza smętny, nierówny zygzak; jej profil informacyjny przypomina rysunek dziecka: dane urodzeniowe i GNI otoczone są przez kary za włóczęgostwo, drobne oszustwa, porzuconą karierę technika paramedycznego 6. stopnia.

Ślizg albo Ślizg Henry także jest bezGRZESzny, ale 3Jane, Ciągłość, Bobby i wszyscy darzą go wyjątkową uwagą. Dla 3Jane służy jako podrzędny węzeł skojarzeniowy: porównuje jego trwałe rytuały konstrukcji, reakcyjną katharsis po urazie chemopenalnym, z własnymi nieudanymi staraniami egzorcyzmowania jałowego marzenia klanu Tessier-Ashpool.

W korytarzach wspomnień 3Jane Angie często trafiała do komory, gdzie pajęczorękie manipulatory mieszają w odpadkach krótkiej, zakrzepłej historii Straylight – akt wydłużonego collage’u. Bobby dostarcza innych wizerunków artysty, pobranych po uzyskaniu dostępu do biblioteki Babel 3Jane: jego powolnej, smutnej, dziecinnej pracy na równinie zwanej Psią Samotnią, wznoszenia na nowo form bólu i pamięci.

W dole, w chłodnym mroku fabryki, jedna z kinetycznych rzeźb Ślizga, sterowana podprogramem Bobby’ego, odcina lewą rękę innemu najemnikowi. Wykorzystuje w tym celu mechanizm pobrany dwa lata temu z maszyny rolniczej wyprodukowanej w Chinach. Najemnik, którego nazwisko i GNI wrze wokół Angie niby gorące srebrzyste bąble, umiera z policzkiem przyciśniętym do buta Ptaśka.

Spośród wszystkich ludzi w tym pomieszczeniu, jedynie Bobby nie przebywa tu w postaci danych. I nie jest Bobbym to wyczerpane ciało, rozciągnięte w duralu i nylonie, z brodą pokrytą zaschniętymi wymiocinami, ani też ożywiona, znajoma twarz spoglądająca na nią z monitora na warsztacie Gentry’ego. Czy Bobby to ta umocowana nad noszami, prostokątna lita bryła pamięci?

Teraz przechodzi przez falujące wydmy poplamionego różowego atłasu pod kutym ze stali niebem, nareszcie uwolniona z tego pokoju i jego danych.

* * *

Brigitte idzie obok niej; nie ma ucisku, nie ma głuchej nocy, nie ma brzęczenia ulla. Nie ma świateł. Ciągłość także jest tutaj, reprezentowany przez kroczący zygzak srebrnej folii, który w jakiś nieokreślony sposób przypomina jej Hiltona Swifta na plaży w Malibu.

- Czujesz się lepiej? – pyta Brigitte.
- O wiele lepiej, dziękuję.
- Tak myślałam.
- Dlaczego jest z nami Ciągłość?

– Ponieważ jest on twoim kuzynem, zbudowanym z biochipów Maasa. Ponieważ jest młody. Prowadzimy cię na twoje zaślubiny.

– Ale kim ty jesteś, Brigitte? Czym jesteś naprawdę?

– Jestem wiadomością, którą kazano zapisać twojemu ojcu. Jestem *vévés*, które wykreślił w twojej głowie. – Brigitte pochyla się. – Bądź wyrozumiała dla Ciągłości. Boi się, że przez swą niezręczność naraził się na twoje niezadowolenie.

Błaszany zygzak wyprzedza je i biegnie przez atłasowe wydmy, aby oznajmić przybycie panny młodej.

Aparat Maas-Neotek był jeszcze ciepły; biała plastikowa płytką pod nim przebarwiła się od gorąca. Pachniało jakby spalonymi włosami...

Przyglądała się, jak ciemnieją sińce na twarzy Ticka. Kazał jej zajrzeć do nocnej szafki i przynieść odrapane blaszane pudełko po papierosach, pełne tabletek i dermadysków. Potem rozluźnił kołnierzyk i nakleił sobie trzy dyski na białej jak porcelana skórze.

Pomogła mu zawiązać temblak ze światłowodowego kabla.

– Przecież Colin mówił, że zapomniała...

– Ale ja nie zapomniałem – odparł i syknął przez zęby, wsuwając rękę do temblaka. – Wtedy wydawało się, że to naprawdę. Trochę to potrwa... – Skrzywił się.

– Przykro mi...

– Nie ma sprawy. Sally mi mówiła. Znaczący, o twojej matce.

– Tak. – Nie odwróciła wzroku. – Zabiła się. W Tokio.

– Ktokolwiek to był, to na pewno nie ona.

– Aparat... – Obejrzała się na stolik.

– Spaliła go. Ale jemu to nie przeszkadza. Wciąż jest tam. Wykonał przejście. A co się dzieje u naszej Sally?

– Jest z nią Angela Mitchell. Ruszyła szukać tego, z czego wszystko się wzięło. Tego, gdzie byliśmy. W miejscu o nazwie New Jersey.

Zadzwoił telefon.

Ojciec Kumiko – głowa i ramiona na szerokim ekranie za telefonem Ticka. Miał na sobie ciemny garnitur, zegarek Rolexa, galaktykę małych symboli w kłapie. Kumiko wydał się bardzo zmęczony, zmęczony

i poważny: poważny człowiek za gładką, ciemną płaszczyzną biurka w gabinecie. Widząc go, pożałowała, że Sally nie zadzwoniła z budki wyposażonej w kamerę. Bardzo chciałaby znowu ją zobaczyć; teraz może nie będzie to już możliwe.

– Dobrze wyglądasz, Kumiko – odezwał się ojciec.

Kumiko siedziała wyprostowana, zwrócona twarzą do niewielkiej kamery umocowanej tuż pod ściennym ekranem. Odruchowo spróbowała przywołać matczyną maskę wzgardy, ale bez skutku. Zmieszana, spuściła wzrok na dłonie złożone na kolanach. Nagle uświadomiła sobie obecność Ticka, jego zakłopotanie, jego lęk... Siedział uwięziony w fotelu obok niej, w pełnym widoku kamery.

– Słusznie postąpiłaś, uciekając z domu Swaina – powiedział ojciec.

Znowu spojrzeli sobie w oczy.

– To twój *kobun*.

– Już nie. Kiedy byliśmy tutaj zajęci własnymi kłopotami, zawiązał nowe i wątpliwe przymierza, podążając drogą, której nie możemy aprobować.

– A twoje kłopoty, ojczu?

Czyżby po twarzy przemknął mu uśmiech?

– Wszystko dobiegło końca. Porządek i zgoda zapanowały na nowo.

– Ehm... Przepraszam bardzo, panie Yanaka... – zaczął Tick, ale nagle jakby stracił głos.

– Słucham? A pan jest...?

Posiniaczona twarz Ticka ściągnęła się w powolnym i wyjątkowo żalonym mrugnięciu.

– Nazywa się Tick, ojczu. Ukrył mnie i chronił. Razem z Co... z aparatem Maas-Neotek uratował mi dzisiaj życie.

– Naprawdę? Nie poinformowano mnie o tym. Miałem wrażenie, że nie opuszczają jego mieszkania.

Lodowaty dotyk...

– Jak? – Pochyliła się do kamery. – Skąd mogłeś wiedzieć?

– Maas-Neotek powiadomił nas o twoim celu, kiedy tylko go poznał i kiedy sam aparat znalazł się poza zasięgiem systemów Swaina. Wysłaliśmy w ten region obserwatorów. – Przypomniała sobie sprzedawcę

makaronu... – Naturalnie, nie informowaliśmy o tym Swaina. Ale aparat nie nadał drugiej wiadomości.

– Rozbił się. To był przypadek.

– A jednak twierdzisz, że uratował ci życie?

– Sir – wtrącił Tick. – Proszę mi wybaczyć, ale chodzi o to, czy jestem kryty?

– Kryty?

– Chroniony. Przed Swainem, tymi jego zwichrowanymi kumplami z SS i całą resztą...

– Swain nie żyje.

Zapadła cisza.

– Ale przecież ktoś to poprowadzi. Ten cyrk. Znaczący pańskie interesy.

Pan Yanaka przyjrzał się Tickowi ze szczerym zaciekawieniem.

– Oczywiście. Jakżeby inaczej mogły powrócić porządek i zgoda?

– Daj mu słowo, ojciec – poprosiła Kumiko. – Że nie stanie mu się krzywda.

Yanaka spojrział na Kumiko, potem na wykrzywionego Ticka.

– Chcę wyrazić panu głęboką wdzięczność za to, że zechciał pan ochraniać moją córkę. Jestem pańskim dłużnikiem.

– *Giri* – stwierdziła Kumiko.

– Chryste... – wykrztusił oszołomiony Tick. – Kto by pomyślał?

– Ojciec – odezwała się znowu Kumiko. – W noc śmierci mojej matki, czy poleciłeś swoim sekretarzom, aby pozwolili jej wyjść samotnie?

Twarz ojca znieruchomiała. Wypełniał ją żal, jakiego Kumiko jeszcze nigdy nie widziała.

– Nie – odparł w końcu. – Nie poleciłem.

Tick chrząknął.

– Dziękuję ci, ojciec. Czy teraz wrócę do Tokio?

– Oczywiście, jeśli tylko chcesz. Chociaż, jak rozumiem, nie pozwolono ci zbyt często zwiedzać Londynu. Mój współpracownik zjawi się wkrótce w mieszkaniu pana Ticka. Jeśli chciałabyś zostać i lepiej poznać miasto, on wszystko zorganizuje.

– Dziękuję, ojciec.

– Do zobaczenia, Kumi.

I zniknął.

– A teraz... – Tick skrzywił się straszliwie i wyciągnął zdrową rękę –
...pomóż mi wstać...

– Potrzebujesz pomocy lekarza.

– Poważnie?

Podniósł się jakoś i, kulejąc, człapał do toalety, kiedy w drzwiach z ciemnego korytarza stanął Petal.

– Jeśli wyłamałeś mój pieprzony zamek – powiedział Tick – to lepiej za niego zapłacić.

– Przepraszam. – Petal mrugnął. – Przyszedłem po pannę Yanaka.

– To pech, koleś. Przed chwilą dzwonił jej tatuś. Powiedział, że Swain padł. I że przyśle tu nowego szefa. – Uśmiechnął się krzywo i tryumfująco.

– Ale widzisz... – odparł łagodnie Petal. – To właśnie ja.

Cherry wciąż krzyczy.

– Niech ktoś ją uciszy – mówi Molly.

Stoi przy drzwiach ze swoim małym pistoletem. Mona sądzi, że zdoła tego dokonać, że przekaże Cherry nieco swego spokoju, w którym wszystko jest ciekawe i nic nie wciąga zbyt mocno. Ale po drodze przez pokój dostrzega na podłodze zmiętą torbę i przypomina sobie, że jest w niej derma. Może to coś, co pomoże Cherry się uspokoić.

– Trzymaj – mówi, stając przy niej, ściąga zabezpieczającą folię i przykleja dermę na szyi.

Krzyk Cherry opada przez całą skalę do cichego bulgotu i dziewczyna osuwa się po pionowej płaszczyźnie starych książek. Mona jest pewna, że to jej nie zaszkodzi. Zresztą na dole trwa strzelanina. Biały pocisk smugowy przelatuje obok Molly i odbija się z brzękiem od stalowych wsporników. Molly krzyczy do Gentry'ego, czy włączy w końcu te przekłete światła?

Na pewno chodzi jej o światła na dole, ponieważ tutaj jest całkiem widno – tak jasno, że jeśli się dobrze przyjrzy, widzi rozmyte plamki, ślady strug koloru. Smugowe. Tak się nazywają te pociski, które świecą. Eddy jej to powiedział na Florydzie, kiedy przyglądali się plaży, skąd jakiś prywatny ochroniarz strzelał w ciemności, żeby ich odstraszyć.

– Tak, światło – odezwała się twarz chłopaka na małym ekranie. – Wiedźma nie widzi...

Mona uśmiechnęła się do niego. Chyba nikt oprócz niej go nie usłyszał. Wiedźma?

A teraz Gentry i ten wielki Ślizg biegają dookoła, zrywają ze ścian przymocowane srebrną taśmą grube żółte kable i podłączają je razem do takich metalowych skrzynek. Cherry z Cleveland siedzi na podłodze z zamkniętymi oczami, a Molly przykucnęła przy drzwiach, oburącz trzymając pistolet. A Angie...

„Nie ruszaj się”.

Słyszała, jak ktoś to powiedział, ale na pewno nikt z ludzi w pokoju. Pomyślała, że może to Lanette, bo Lanette mogłaby powiedzieć coś takiego, poprzez czas, poprzez spokój.

Angie siedziała właśnie tam, na podłodze przy noszach tego martwego chłopaka; nogi podkurczyła pod siebie jak posąg i obejmowała go ramionami.

Gentry i Ślizg znaleźli połączenie, światła przygasły i zdawało jej się, że słyszy jęk twarzy na ekranie. Ale już sunęła w stronę Angie, widząc (nagle, absolutnie, tak wyraźnie, że aż zabołało) cieniutką strużkę krwi płynącą z jej lewego ucha.

Nawet wtedy spokój trwał nadal, choć czuła już igły żaru w krtani. Przypomniała sobie, co tłumaczyła jej Lanette: Nigdy tego nie wachaj, to wyżera dziury.

Molly wyprostowała się, wyciągnęła rękę... W dół i przed siebie, ale nie do tego szarego bloku, tylko do pistoletu, małej zabawki. Mona usłyszała, jak strzela puk-puk-puk, a potem trzy wybuchy w dole. Na pewno były też niebieskie rozbłyski, ale Mona obejmowała teraz Angie, a pokrwawione futro gładziło jej przeguby. Spojrzała w przymglone oczy; ich światło już gasło. Patrzyły daleko, najdalej stąd.

– Hej – powiedziała Mona właściwie do nikogo, tylko do Angie padającej na te zwłoki w śpiworze. – Hej...

Podniosła głowę i zdołała jeszcze pochwycić ostatni obraz na wideoekranie. Zobaczyła, jak zanika.

* * *

Potem przez długi czas nic nie miało znaczenia. Nie przypominało to obojętności spokoju, krystalicznego turbodoładowania, i nie przypominało załamania; tylko to uczucie stania z boku. Tak mógłby czuć się duch.

Stała w drzwiach obok Ślizga i Molly. Spoglądała w dół. W mętym świetle wielkich starych żarówek widziała metalowego pająka biegającego po brudnym betonie. Miał długie zakrzywione ostrza, które trzaskały i wirowały, ale nikt już się tam nie ruszał, więc pająk tylko krążył jak popsuta zabawka, tam i z powrotem przed skrzyconym wrakiem pomostu, po którym przeszły z Angie i Cherry.

Cherry wstała z podłogi – blada, z poszarzałą twarzą. Odlepiła skórę z szyi.

– To kiś mśniowy relaksnt – wybelkotała.

Monie było przykro, bo wiedziała, że zrobiła coś głupiego, chociaż chciała pomóc. Ale na magu zawsze się zdarza coś takiego, więc jak mogła się powstrzymać?

Bo jesteś nałogiem, głuptasie, usłyszała głos Lanette, ale wołała o tym nie pamiętać.

I tak stali nieruchomo, obserwując, jak metalowy pająk podryguje i wolno zużywa energię. Wszyscy, oprócz Gentry'ego. Gentry odkręcał szary blok z ramy nad noszami; jego czarne buty dotykały niemal czerwonego futra Angie.

– Słuchajcie – powiedziała Molly. – Śmigłowiec. I to duży.

* * *

Zeszła po linie ostatnia – oprócz Gentry'ego, ale on powiedział, że nie idzie, że go to nie obchodzi i zostaje.

Lina była gruba i brudnoszara. Miała powiązane węzły, żeby łatwiej się było trzymać – jak huśtawka, którą zapamiętała z dawnych lat. Ślizg i Molly najpierw opuścili tę szarą bryłę na platformę, gdzie metalowe schody były wciąż całe. Potem Molly zsunęła się w dół jak wiewiórka, jakby wcale nie musiała się trzymać. Przywiązała linę do poręczy. Ślizg schodził powoli, bo niósł na ramieniu Cherry, ciągle zbyt rozluźnioną, żeby mogła opuścić się

sama. Monie wciąż było trochę głupio i zastanawiała się, czy to dlatego postanowili ją tu zostawić.

Właściwie to Molly postanowiła. Stała przy oknie i patrzyła na ludzi wyskakujących z długiego czarnego śmigłowca i rozbiegających się po śniegu.

– Patrzcie – powiedziała. – Oni wiedzą. Przylecieli tylko zamieść szczyt. Sense/Net. Zabieram tylek i znikam.

Cherry wymamrotała, że oni też się wynoszą, ona i Ślizg. A Ślizg wzruszył ramionami, potem wyszczerzył zęby i objął ją ramieniem.

– A co ze mną?

Molly spojrzała na nią. A przynajmniej tak się wydawało przez te okulary. Przez moment na dolnej wardze pojawił się brzeg białego zęba.

– Ty zostań. To moja rada – stwierdziła w końcu. – Niech się w tym wszystkim połapią. Ty właściwie niczego nie zrobiłaś. Nic z tego nie było twoim pomysłem. Myślę, że jakoś ci to wynagrodzą, a przynajmniej spróbują. Tak, lepiej zostań.

Mona nic z tego nie zrozumiała, ale czuła się teraz tak zdechła, tak słaba po załamaniu, że nie próbowała nawet się kłócić.

A potem zniknęli. Zjechali po linie i już ich nie było. Tak po prostu: zostawiają cię i nigdy ich już więcej nie spotykasz. Obejrzała się; Gentry chodził tam i z powrotem przed swoimi książkami, przesuwając palcem po grzbietach, jakby szukał jakiejś specjalnej. Nosze przykrył kocem.

Wyszła wtedy. Nie dowie się już, czy Gentry znalazł tę swoją specjalną książkę, czy nie, ale tak to bywa. Zeszła po linie sama; nie było to takie łatwe, jak się jej zdawało, kiedy patrzyła na Molly i Ślizga. Zwłaszcza dla kogoś, kto czuł się tak jak ona. Była bliska omdlenia, ręce i nogi jakoś nie chciały porządnie działać, więc musiała się ciągle koncentrować, żeby je zmusić do ruchu. A nos i gardło puchły jej od środka. Dlatego nie zauważyła tego czarnego gościa. Dopiero na samym dole.

Stał tam i przyglądał się temu pająkowi, który już znieruchomiał. Podniósł głowę, kiedy zgrzytnęła obcasem o stalową platformę. Kiedy ją zobaczył, dostrzegła dziwny smutek na jego twarzy – smutek, który zaraz zniknął. Gość wspiał się po metalowych stopniach, wolno i swobodnie.

A kiedy się zbliżył, zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę jest czarny. Nie tylko w sensie koloru – to się na pewno zgadzało; było jednak coś w kształcie nagiej czaszki, nachyleniach powierzchni twarzy... Nie przypominał nikogo, kogo kiedykolwiek widziała. Był wysoki, bardzo wysoki. Nosił długi czarny płaszcz ze skóry tak cienkiej, że opadała niby jedwab.

– Dzień dobry, panienko – powiedział, stając przed nią.

Uniół jej brodę, tak że spoglądała prosto w jego nakrapiane złotymi plamkami oczy barwy agatu; takich oczu nie miał nikt na świecie. Długie palce, tak delikatne na jej brodzie...

– Panienko – powtórzył. – Ile masz lat?

– Szesnaście...

– Potrzebna ci nowa fryzura – oświadczył, a jego głos zabrzmiał dziwnie poważnie.

– Angie jest na górze – wyjaśniła, kiedy odzyskała głos. Wskazała palcem. – Ona...

– Pst.

Usłyszała metaliczny stukot w głębi starego budynku, potem zawarczał silnik. Poduszkowiec, pomyślała. Ten, którym wjechała tu Molly.

Czarny facet uniósł brwi, tyle że nie miał brwi.

– Przyjaciele? – zapytał. Opuścił dłoń.

Kiwnęła głową.

– To wystarczy – stwierdził i wziął ją za rękę.

Pomógł jej zejść po schodach. Na dole, wciąż trzymając jej dłoń, poprowadził ją dookoła wraku pomostu. Leżał tam ktoś martwy: plamy panterki i taki głośnik, jakich używają gliny.

– Swift! – wykrzyknął czarny facet w szeroką, pustą przestrzeń między kratami okien bez szyb, czarnymi liniami na tle białego nieba zimowego poranka. – Rusz się i chodź tutaj. Znalazłem ją.

– Ale ja nie jestem...

I tam, gdzie szerokie wrota stały otworem, na tle nieba, śniegu i rdzy, zobaczyła garnitur. Szedł i miał rozpięty płaszcz, a krawat powiewał mu na

wietrze. Poduszkowiec Molly wyminął go, a on nawet nie spojrział, ponieważ patrzył na Monę.

– Nie jestem Angie! – zawołała niepewna, czy powinna mu opowiedzieć, co widziała: Angie i tego młodego gościa razem, na małym ekranie, tuż przed jego zgaśnięciem.

– Wiem – odparł czarny facet. – Ale to w tobie rośnie.

Uniesienie. Zbliża się uniesienie.

Kobieta doprowadziła ich do poduszkowca zaparkowanego wewnątrz Fabryki, jeśli można nazwać parkowaniem to, że miał przednią część rozbitą o betonowe łożysko obrabiarki. To był biały wóz transportowy z napisem CATHODE CATHAY na tylnych drzwiach. Ślizg zastanawiał się, kiedy udało jej się tu wjechać tak, że on nic nie słyszał. Może kiedy Bobby Graf wykonywał ten swój numer ze sterowcem.

Alef był ciężki – jakby dźwigał blok niewielkiego silnika.

Nie chciał patrzeć na Wiedźmę, bo miała krew na ostrzach, a przecież nie po to ją zbudował. Wokół leżało kilka ciał albo ich części. Na nie też nie patrzył.

Spojrzał w dół, na blok biosoftu z akumulatorem. Zastanowił się, czy wszystko wciąż tam jest: szary dom, Meksyk i oczy 3Jane.

– Zaczekajcie – odezwała się kobieta.

Mijali właśnie rampę prowadzącą do hali, gdzie trzymał swoje maszyny; Sędzia jeszcze tam był, i Trupożerca...

Nadal trzymała w ręku pistolet. Ślizg położył Cherry dłoń na ramieniu.

– Kazała czekać.

– To, co widziałam w nocy – powiedziała kobieta. – Jednoręki robot. On działa?

– Tak...

– Silny jest? Poniesie ładunek? Po nierównym terenie?

– Tak.

– Weź go.

– Co?

– Załaduj go do poduszkowca. Już. Ruszaj się.

Cherry przyłgnęła do niego, wciąż słaba po tym, co zaaplikowała jej ta dziewczyna.

– Ty... – Molly wskazała pistoletem. – Do kabiny.

– Idź – powiedział Ślizg.

Postawił alef na ziemi i wszedł po rampie do pomieszczenia, gdzie w mroku czekał Sędzia. Ramię leżało obok na brezencie, tak jak Ślizg je zostawił. Teraz już go nie naprawi i piła nie będzie działać jak należy. Na zakurzonej metalowej półce leżał sterownik. Podniósł go i uruchomił Sędziego; brązowa skorupa lekko drgnęła.

Przesunął Sędziego do przodu, na rampę. Szerokie stopy tupwały głośno, zyra kompensowały nachylenie, równoważyły brak ramienia. Kobieta otworzyła już drzwi ładunkowe poduszkowca i Ślizg poprowadził Sędziego wprost ku niej. Cofnęła się trochę, kiedy wyrósł nad nią robot; lustra odbijały polerowaną rdzę. Ślizg podszedł za Sędzią i zaczął oceniać wymiary, szukać sposobu, żeby go załadować. To wszystko nie miało sensu, ale przynajmniej zdawało się, że kobieta ma jakiś pomysł i wie, co robi. Wszystko byłoby lepsze niż tkwienie w pobliżu Fabryki pełnej zwłok. Pomyślał o Gentrym na poddaszu, w towarzystwie książek i tamtych ciał. Przyszły tam dwie dziewczyny i obie wyglądały jak Angie Mitchell. A teraz jedna z nich nie żyje, nie wiadomo jak ani dlaczego, a drugiej kobieta z pistoletem kazała czekać.

– Szybciej, szybciej, musimy zapakować ten piekielny złom i jechać...

Zdołał w końcu upchnąć Sędziego z tyłu poduszkowca, bokiem i z ugiętymi nogami. Zatrzasnął drzwi, przebiegł do przodu i wsiadł od strony pasażera. Alef stał między przednimi siedzeniami. Cherry zwinęła się z tyłu pod wielką pomarańczową kurtką z logo Sense/Netu na rękawie. Drżała.

Kobieta uruchomiła turbinę, nadeła fartuch. Ślizg bał się, że mogą się zawiesić na tym betonie, ale kiedy cofnęła, zdarła tylko pas chromu i byli wolni. Odwróciła poduszkowiec i pomknęli do bramy.

Po drodze minęli faceta w garniturze, z krawatem i w tweedowym płaszczu. Zdawało się, że ich nie widzi.

– Kto to był?
Wzruszyła ramionami.

* * *

– Chcesz ten poduszkowiec? – zapytała.
Byli może z dziesięć kilosów od Fabryki i ani razu się nie obejrzał.
– Ukradłaś go?
– Pewno.
– To spasuję.
– Tak?
– Odsiedziałem swoje za kradzież samochodów.
– A jak tam twoja dziewczyna?
– Śpi. To nie jest moja dziewczyna.
– Nie?
– Mogę zapytać, kim jesteś?
– Jestem kobietą interesów.
– Jakich interesów?
– Trudno powiedzieć.
Niebo nad Samotnią było białe i jasne.
– Po to przyjechałaś? – Stuknął w alef.
– Mniej więcej.
– I co teraz?
– Zawarłam układ. Doprowadziłam Mitchell do tej skrzynki.
– To była ona? Ta, która upadła?
– Tak, to była ona.
– Ale ona umarła...
– Można umrzeć i umrzeć.
– Jak 3Jane?
Poruszyła głową, jakby na niego spojrzała.
– Co o tym wiesz?
– Widziałem ją. Raz. W tym.
– No cóż, nadal tam jest. Ale Angie również.

– I Bobby.
– Newmark? Tak.
– I co teraz z tym zrobisz?
– Ty zbudowałeś te maszyny, tak? Tę z tyłu i resztę?
Ślizg zerknął przez ramię na Sędziego pochylonego w przedziale ładunkowym poduszkowca: jak wielka rdzawa lalka bez głowy.
– Tak.
– Znaczy, radzisz sobie z narzędziami.
– Chyba tak.
– Dobra. Mam dla ciebie robotę. – Zwolniła i zatrzymała się przy poszarpanym grzbiecie zasypanego śniegiem złomu. – Gdzieś tu powinien być zestaw awaryjny. Znajdź go, wejdź na dach, ściągnij baterie słoneczne i kawałek kabla. Potem umocujesz baterie, żeby ładowały akumulator tego draństwa. Dasz sobie radę?
– Prawdopodobnie. Dlaczego?
Oparła się na fotelu i Ślizg spostrzegł, że jest starsza, niż mu się wydawało. I zmęczona.
– Jest tam teraz Mitchell. Chcą, żeby miała trochę czasu. To wszystko...
– Oni?
– Nie wiem. Coś. Z czymkolwiek się dogadałam. Jak myślisz, ile wytrzyma akumulator, jeśli baterie słoneczne będą działać?
– Parę miesięcy. Może rok.
– Dobra. Ukryję to gdzieś, gdzie będą miały dość słońca.
– A co się stanie, jeśli odetniesz zasilanie?
Wyciągnęła rękę i czubkiem palca wskazującego przesunęła po cienkim kablu łączącym alef z akumulatorem. W świetle poranka Ślizg zobaczył jej paznokcie; wyglądały na sztuczne.
– Hej, 3Jane – powiedziała, trzymając palec nad kablem. – Mam cię.
Potem dłoń zacisnęła się w pięść i otworzyła, jakby coś wypuszczała.

* * *

Cherry chciała opowiedzieć Ślizgowi o wszystkim, co będą robić, kiedy już dotrą do Cleveland. Właśnie srebrną taśmą mocował do piersi Sędziego dwie płaskie baterie. Szary alef tkwił już w taśmowej uprząży na plecach robota. Cherry mówiła, że wie, gdzie może mu załatwić pracę przy naprawianiu automatów w salonie.

Kiedy skończył, wręczył kobiecie panel sterujący.

– Poczekamy tu na ciebie.

– Nie – odparła. – Jedźcie do Cleveland. Cherry ci przecież mówiła.

– A co z tobą?

– Ja pójdę na spacer.

– Chcesz tu zamarznąć? A może umrzeć z głodu?

– Chcę raz dla odmiany być sobą. – Wypróbowała przełączniki. Sędzia zadygotał, zrobił krok naprzód, potem następny. – Powodzenia w Cleveland.

Patrzyli, jak idzie przez Samotnię, a Sędzia człapie obok. Odwróciła się jeszcze.

– Hej, Cherry! – krzyknęła. – Zmusz tego faceta, żeby się wykąpał!

Cherry pomachała jej; zadzwoniły zamki jej skórzanych kurtek.

Petal powiedział, że jej walizki czekają w jaguarze.

– Na pewno nie chcesz wracać na Notting Hill – stwierdził. – Zorganizowałem ci coś w Camden Town.

– Petal – rzekła. – Muszę wiedzieć, co się stało z Sally.

Uruchomił silnik.

– Swain ją szantażował – tłumaczyła. – Zmuszał do porwania...

– Aha. No dobrze – przerwał. – Rozumiem. Na twoim miejscu bym się o nią nie martwił.

– Ale ja się martwię.

– Sally, krótko mówiąc, zdołała wypłatać się z tej drobnej sprawy. Jak również, co stwierdzili pewni nasi przyjaciele na urzędowych stanowiskach, zdołała sprawić, że wszystkie jej akta najwyraźniej wyparowały. Z wyjątkiem pakietu kontrolnego niemieckiego kasyna. A jeśli cokolwiek się przydarzyło Angeli Mitchell, Sense/Net nie ogłosił tego publicznie. Wszystko to zostało już zakończone.

– Czy zobaczę ją znowu?

– Byle nie w mojej parafii. Proszę.

Ruszyli spod krawężnika.

– Petal – odezwała się znowu, gdy jechali ulicami Londynu. – Ojciec powiedział mi, że Swain...

– Dureń. Przekłęty dureń. Wolałbym o tym nie mówić.

– Przepraszam.

Ogrzewanie działało. W jaguarze było ciepło, a Kumiko czuła ogromne zmęczenie. Oparła się o czerwoną skórę i przymknęła oczy. Spotkanie

z 3Jane w jakiś sposób uwolniło ją od wstydu, a odpowiedź ojca od gniewu. Teraz dostrzegała również okrucieństwo matki. A pewnego dnia wszystko powinno być wybaczone, pomyślała. I zasnęła w drodze do miejsca zwanego Camden Town.

Wprowadzili się i zamieszkali w tym domu: w murach z szarego kamienia, pod dachem krytym dachówką, w porze wczesnego lata. Tereny wokół są jasne i barwne, chociaż wysoka trawa nie rośnie, a dzikie kwiaty nie więdną.

Za domem są przybudówki, nieotwierane i niezbadane. A dalej pole, gdzie uwiązane szybowce walczą z wiatrem.

Kiedyś, gdy spacerowała samotnie między dębami na skraju pola, zobaczyła trójkę obcych, dosiadających czegoś w przybliżeniu przypominającego konia. Konie wymarły; ich gatunek przestał istnieć na wiele lat przed urodzeniem Angie. W siodle siedziała smukła postać odziana w tweedy: chłopiec wyglądający na koniuszego z jakiegoś starego obrazu. Przed nim okrakiem dosiadała niby-konia młoda dziewczyna, Japonka, za nim siedział blady, wybrylantynowany człowieczek w szarym garniturze; nad brązowymi butami widać było różowe skarpety i białą skórę. Czy dziewczyna zauważyła ją, odpowiedziała spojrzeniem?

Zapomniała powiedzieć o tym Bobby'emu.

Najczęściej odwiedzający ich goście przybywają w snach przedświt, chociaż raz podobny do kobolda wyszczerzony człowieczek zaanonsował się, waląc uparcie w ciężkie dębowe drzwi. A kiedy zbiegła otworzyć, zażądał widzenia „z tym małym gówniarzem Newmarkiem”. Bobby przedstawił go jako Finna i wydawał się zachwycony jego wizytą. Wytarta marynarka Finna emanowała złożonym zapachem stęchłego dymu, starego lutu i marynowanych śledzi. Bobby wyjaśnił, że Finn zawsze jest mile widziany.

– To zresztą bez znaczenia. Nie ma sposobu, żeby go zatrzymać, jeśli już zechce wejść do środka.

3Jane zjawia się także – jako jeden z gości przedświt. Jej obecność jest smutna i niepewna. Bobby prawie sobie nie uświadamia jej odwiedzin, ale Angie, posiadaczka tak wielu jej wspomnień, mocniej reaguje na tę szczególną mieszankę tęsknoty, zazdrości, frustracji i gniewu. Angie z czasem zaczęła rozumieć motywację 3Jane i wybacza jej... Choć co właściwie, zastanawia się, wędrując za dnia wśród dębów, ma do wybaczenia?

Ale sny o 3Jane czasami nużą Angie. Woli inne, szczególnie te o jej młodej protegowanej. Przychodzą często, kiedy wydymają się koronkowe firanki i śpiewają pierwsze ptaki. Przytula się wtedy do Bobby'ego, zamyka oczy, formuje w myślach imię *Ciągłość* i czeka na małe jaskrawe obrazy.

Widzi, że zabrali dziewczynę do kliniki na Jamajce, żeby wyleczyć ją z uzależnienia od prymitywnych stymulantów. Z metabolizmem precyzyjnie dostrojonym przez armię cierpliwych medyków Sense/Netu, opuściła szpital, promieniejąc zdrowiem. Kiedy Piper Hill fachowo zmodulowała już jej aparat sensoryczny, jej pierwszy stymy są przyjmowane z bezprecedensowym entuzjazmem. Publiczność jest oczarowana świeżością, wigorem, cudownie pomysłowym sposobem odbioru wspaniałego życia – jak gdyby odkrywała je po raz pierwszy.

Mroczny cień przemyka niekiedy po dalekim ekranie, ale tylko na moment: Robin Lanier został znaleziony uduszony i zamarznęty na zboczu górskiej fasady New Suzuki Envoya. I Angie, i *Ciągłość* wiedzą, czyje długie ręce zadławiły go i porzuciły w tym miejscu.

Ale wciąż umyka jej pewna sprawa, pewien szczególny element łamigłówni będącej historią.

Na granicy cienia dębu, pod stalowym i łososiowym zachodem słońca, w tej Francji, która nie jest Francją, pyta Bobby'ego o odpowiedź na to ostatnie pytanie.

* * *

O północy czekali na podjeździe, ponieważ Bobby obiecał jej odpowiedź.

Kiedy zegar w domu wybił dwunastą, usłyszała szum opon na żwirze. Samochód był długi, szary i niski.

Za kierownicą siedział Finn.

Bobby otworzył drzwiczki i pomógł jej wsiąść.

Na tylnym siedzeniu czekał już młody człowiek, którego pamiętała z tego spotkania z niemożliwym koniem i trojgiem niedobrych jeźdźców. Uśmiechnął się do niej, ale milczał.

– To jest Colin – przedstawił go Bobby, siadając obok niej. – Finna już znasz.

– Nie domyśliła się, co? – zapytał Finn i wrzucił bieg.

– Nie – odparł Bobby. – Chyba nie.

Młody człowiek imieniem Colin wciąż się do niej uśmiechał.

– Alef jest aproksymacją matrycy – powiedział. – Rodzajem modelu cyberprzestrzeni...

– Tak, wiem. – Zwróciła się do Bobby'ego: – I co? Obiecałeś mi wyjaśnić, dlaczego nastąpiła zmiana, Kiedy Się Zmieniło.

Finn zaśmiał się – dziwny odgłos.

– Nie ma „dlaczego”, moja droga. Raczej „co”. Pamiętasz, Brigitte powiedziała ci kiedyś, że jest jeszcze inna. Tak? No więc właśnie to jest „co”, a „co” jest także „dlaczego”.

– Pamiętam. Powiedziała, że kiedy matryca wreszcie poznała samą siebie, była też inna.

– Tam właśnie dzisiaj jedziemy – zaczął Bobby i objął ją ramieniem. – To niedaleko, ale...

– Inaczej – dokończył Finn. – To naprawdę inaczej.

– Ale co to jest?

– Widzisz – wtrącił Colin, odgarniając z czoła grzywkę gestem przypominającym chłopca w jakiejś starej sztuce – kiedy matryca osiągnęła świadomość, równocześnie zdała sobie sprawę z istnienia innej matrycy, innej świadomości.

– Nie rozumiem – wyznała. – Jeśli cyberprzestrzeń jest całkowitą sumą danych ludzkich systemów...

– No tak – zgodził się Finn, skręcając w długą, prostą, ciemną drogę. – Ale nikt tu nie mówi o ludzkich, nie?

– Ta druga była gdzie indziej – wyjaśnił Bobby.

– Centauri – dodał Colin.

Czyżby sobie z niej kpili? Czy to jakiś żart Bobby'ego?

– Trochę ciężko wytłumaczyć, dlaczego po spotkaniu tej drugiej, matryca rozpadła się w te wszystkie hoodoo i inne gówno – powiedział Finn. – Ale kiedy tam dojedziemy, to mniej więcej zrozumiesz, o co poszło...

– Ja uważam – oświadczył Colin – że w ten sposób jest to o wiele bardziej zabawne...

– Nie oszukujecie mnie?

– Będziemy tam za nowojorską minutę – zapewnił Finn. – Nie bujam.